

WASILIJ AŻAJEW

DALEKO od MOSKWY

KSIĄŻKA i WIEDZA

Daleko od Moskwy

Wasilij Ażajew

Spis treści

Część pierwsza



1. Do widzenia, Moskwo!

Do ostatniej chwili inżynier Aleksiej Kowszow nie wierzył, że wyjeżdża na wschód, na dalekie zaplecze. Kiedy w zarządzie głównym ostatecznie zakomunikowano mu o nowej nominacji, nie mógł pokonać nastroju przygnębienia. Biernie wysłuchał pośpiesznie udzielanych mu w wydziale kadr instrukcji, jak gdyby nie odnosiły się do niego.

- Poszukajcie kierownika budowy Batmanowa i naczelnego inżyniera Beridzego - poradzono mu - oni jeszcze nie wyjechali.

Aleksiej chodził po korytarzach, zaglądając do gabinetów. Instytucja właśnie ewakuowała się ze stolicy. Wielu pracowników już wyjechało. W opustoszałych pokojach z kancelaryjnymi śmieciami na podłodze rządzili już wojskowi - nowi gospodarze gmachu.

Kowszowowi udało się wreszcie znaleźć Beridzego, który dopiero wczoraj przyleciał z Gruzji. Tam, w kaukaskim słońcu, spędzał swój urlop po ukończeniu prac na południu i od początku wojny kierował budową jakiegoś obiektu o znaczeniu obronnym.

Inżynierowie po przyjacielsku się uścisnęli.

Od Beridzego jakby powiało południowym wiatrem, słońcem i morską falą. Uśmiechał się i żartował pobłyskując oczami, w niczym nie zdradzając niepokoju ani obawy. Aleksiej, z grymasem niechęci w kącikach ust, zlustrował spojrzeniem fircykowaty ubiór towarzysza: nowy garnitur, modne buciki, filcowy kapelusz - wszystko w kolorze czekolady.

- Dziwisz się? - zapytał wesoło Beridze.

- Trochę trudno się nie zdziwić. Przyzwyczaiłem się widzieć ciebie w rozpiętej szeroko koszuli i wygniecionych spodniach, wpuszczonych w ogromne wszędobylskie buty. A w dodatku, do tego przesadnie modnego garnituru nie pasuje broda. Zgoliłbyś ją.

- Nie, Alosza, nie zgadzam się. Będę ją nosić do grobowej deski. Sam wiesz, że w brodzie cała moja siła... - Beridze pogładził swą czarną brodę, ledwie pokrywającą krawat. - Ale garnitur trzeba będzie zmienić, to racja.

Ujął gwałtownie Kowszowa pod ramię. Aleksiej skrzywił się i odsunął:

- Idź lepiej z drugiej strony, Gieorgij. Ręka wprawdzie się już zagoiła, ale - wciąż jeszcze jest wrażliwa.

- Przepraszam cię, mój drogi!

Beridze obrzucił Aleksieja uważnym spojrzeniem: posępna, zatroskana twarz, wypłowiała bluza i cywilne spodnie wypuszczone na ciężkie żołnierskie buty.

- Ciebie też od razu trudno poznać. Zrobiłeś się jakiś surowy. To znaczy, że powąchałeś prochu, co? Zuch!

- Jaki tam zuch? Od razu w pierwszej bitwie zostałem ranny - posępnie odrzekł Aleksiej.

- Nie martw się. Czekają cię bitwy innego rodzaju i w nich nadrobisz, coś stracił. Znów jesteśmy razem, to dobrze. Kiedy dowiedziałem się wczoraj, że jesteś w Moskwie - szalenie się ucieszyłem. Popędziłem do Batmanowa i mówię: „Znalazł się człowiek, jakiego potrzebujemy, lepszego nie ma w całej Moskwie”. Czemuś taki kwaśny? Octu spróbowałeś? A może nie chcesz ze mną pracować na tej budowie?

- Chcę się bić! - odpowiedział ze złością Aleksiej. - Chcę iść na front! Do wściekłości doprowadza mnie ta diabelna ręka. Leżałem w szpitalu - znosiłem wszystko, nie ma rady - myślałem - trzeba czekać. Wypuścili mnie z odroczeniem do zupełnego wyleczenia. Co robić przez te dwa miesiące? W domu siedzieć? Przyszedłem prosić o robotę bliżej frontu i oto masz, wpadłem! Powiadają: jeden raz wykręciłeś się od zwolnienia z liniowej służby, ale drugi raz się nie uda. Dobrze, żeś się nawinął. Dali do podpisania rozkaz - i teraz jedź na koniec świata!

Beridze cierpliwie słuchał.

- Rozumiem cię, mój drogi. Sam to przeżywałem. Nic nie poradzisz, trzeba będzie jechać daleko od wojny. Ale za to - jakaż to będzie budowa!

- Czyż na tej budowie nie mogą się bez nas obejść? - zapytał z irytacją Aleksiej. - Jaki sens odrywać stąd ludzi i posyłać na Daleki Wschód? Tu jesteśmy bardziej potrzebni!

Stali w korytarzu. Beridze łagodnie spoglądał na towarzysza.

- Jaki to zły! Masz, zjedz, może się udobruchasz...

Wyjął z kieszeni dwie pomarańcze i jedną wsunął Aleksiejowi w rękę. Ten ze złości chciał rzucić pomarańczę, ale urzekła go jej słoneczna, piękna barwa, powoli zaczął zdejmować złocistą skórkę.

- Komu jest teraz potrzebne budowanie w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów od frontu? - nie mógł się uspokoić Kowszow. - Mglista sprawa. Ten rurociąg naftowy będzie gotów na następną wojnę.

- Nie bądź mądrzejszy od Rady Komisarzy Ludowych - z niezmienną cierpliwością mówił Beridze zatapiając zęby w miąższu pomarańczy. - Bez potrzeby nie podejmowano by specjalnej uchwały o przyśpieszeniu budowy. A nasze nominacje też mają sens. Posyłają tam Batmanowa, mnie i ciebie. Trzech. Batmanow i ja nie będziemy nowymi ludźmi w tamtych stronach, dzięki Bogu, zbudowaliśmy już tam coś niecoś. A ty - wprawdzie jesteś nowym człowiekiem dla Dalekiego Wschodu, ale nie dla

mnie. Pomocnik z ciebie niezawodny, innego nie chcę. Słowem nie widzę nic mglistego, mój drogi. Może ty masz mglisto w głowie?

Beridze zaprowadził Kowszowa do kierownika budowy, żeby się poznali. Batmanow rozczarował Aleksieja. Wydał mu się zanadto okazały: wysokiego wzrostu, zgrabny, dobrze zbudowany, głowa o popielatych prostych włosach, duże czoło, wyraziście zarysowane usta. W obcym gabinecie czuł się jak we własnym.

„Z pewnością pozer i wielki pan" - pomyślał ponuro Aleksiej. Ciągnęło go teraz do wojskowych, ludzi bardziej prostych i na pozór bez ogłady, noszących wysokie buty, skórzane pasy i broń.

Młodziutka dziewczyna wpadła do gabinetu i zwróciła się do Batmanowa z uśmiechem:

- Wszędzie was szukałam, Wasiliju Maksimowiczu. Auto czeka.

Kierownik budowy podziękował jej skinieniem głowy. Na rozmowę z inżynierami poświęcił nie więcej niż godzinę. Aleksiejowi nie podobało się jego baczne spojrzenie i to, że podczas rozmowy Batmanow częściej się zwracał do niego niż do Beridzego. Aleksiej miał wrażenie, że Batmanow go bada.

- Wracam na południe, aby przekazać obiekt, przy którym pracowałem w ostatnim okresie. Wpadnę na Krym, by pożegnać się z rodziną. Stamtąd polecę wprost na Daleki Wschód. Nie ma sensu rozprawiać teraz o budowie. Na miejscu będzie łatwiej skonkretyzować rozważania. W ogóle nie mamy tu co robić. Do kierownika zarządu głównego nie chodźcie: spędziłem u niego cały dzień. Zarząd główny już się prawie załadował do wagonów. Wszystko, czego potrzeba do budowy - sądząc z raportów zaopatrzeniowców - znajduje się już na miejscu albo w drodze. - Batmanow wstał i pozbierał papiery do skórzanej teczki. - Chcę od was tylko jednego: pośpieszcie się z wyjazdem. Z biletami jest trudno, dworce zapchane tysiącami ludzi, trzeba będzie wykazać energię i spryt. Czy zabieracie ze sobą rodzinę? - zapytał Aleksieja.

- Staruszkowie nie chcą wyjeżdżać. Ojciec całe życie spędził w Moskwie. Młodszego brała wyprawili w tych dniach do szkoły wojskowej. - O Zinie, żonie swojej, Kowszow nie wiadomo dlaczego przemilczał.

- Porozmawiajcie jeszcze raz z rodzicami, może jednak pojadą - poradził Batmanow. - Będzie im lepiej z wami.

- Nie pojadą - uciął Aleksiej.

Odprowadzili kierownika do auta. Batmanow, przepuściwszy przed sobą Kowszowa i wskazawszy na niego ruchem głowy, zapytał Beridzego:

- Jesteście pewni, że wybraliście dzielnego zastępcę? Jest jeszcze bardzo młody i jak widzę niezbyt zadowolony z powołania go na Daleki Wschód. Na podstawie waszych opowiadań wyobrażałem go sobie zupełnie inaczej. Lepiej byłoby wziąć poważnego inżyniera. Teraz, co prawda, już za późno...

- Bądźcie spokojni, Wasiliju Maksimowiczu. Jestem jego pewien nie mniej niż samego siebie. Jest wprawdzie młody i życiowo niedoświadczony, może nawet w tym lub owym naiwny. Ale zuch do roboty. Bardzo zdolny, wytrwały. Mówiłem już wam, że przy budowie na południu spisał się doskonale, lepiej od wielu cieszących się uznaniem. Teraz osmalił go ogień wojny, stał się bardziej zacięty, dojrzał. Zobaczycie, że mam rację...

- Nie mam nic przeciwko niemu, niepokoję się tylko o was. Trzeba będzie wykonać trudne zadanie, powinniście mieć pomocnika zaufanego.

Batmanow grzecznie, ale dość oschle pożegnał się z inżynierami, machinalnie zatrzasnął za sobą lakierowane drzwiczki auta i odjechał - majestatyczny i niewzruszony.

- Zasłużony działacz na polu sztuki, artysta opery i baletu. Gdzieżeś ty wyszukał takiego kierownika? - zapytał Aleksiej.

- Z góry wiedziałem! - roześmiał się Beridze. - Nie wybałuszaj na mnie oczu i przestań syczeć. Jest z tego samego baletu, co i my. Mógłbyś chociaż zainteresować się jego biografią, tyle o nim pisano: palacz, maszynista, działacz partyjny, skończył akademię, kierował największą budową w Związku. I to wszystko do czterdziestego trzeciego roku życia. Niewielu jest takich kierowników w Komisariacie Ludowym. Czy poszedłbym do złego kierownika? Bez racji nie dadzą człowiekowi dwóch orderów Lenina. Posyłają go tam, gdzie inni nie daliby sobie rady. No, przekonałem cię? Oczywiście, nie! Widzę to, Alosza, przejrzałem cię na wylot...

- Mnie radził zabrać ze sobą rodzinę, ale swoją zostawia na Krymie? - zauważył Aleksiej na wpół pytająco.

- Ma synka chorego na gruźlicę; żona, Anna Iwanowna, mieszka z dzieckiem w Jałcie.

Inżynierowie wrócili do zarządu po dokumenty. Byli już teraz wolni. Nieco zafrasowani wyszli na miasto i błądzili po ulicach.

- Czekałem na ciebie w Gruzji - mówił Beridze. - Zwiodłeś mnie, nie przyjechałeś. Wrosłeś w moskiewskie mury, zakochałeś się w jakiejś blondynce i nawet nie zaprosiłeś mnie na wesele. Kiedyż odbyła się ta uroczystość?

- Piętnastego czerwca, w niedzielę...

- Pokazałbyś ją może, co?

Aleksiej w milczeniu wyjął fotografię z kieszeni bluzy.

- Wspaniała dziewczyna - westchnął Beridze. - Miła, dobra twarz, oczy jasne, mądre, i... takie jakieś pytające. Pokaż mi ją w naturze, fotografiom nie wierzę. Inaczej nie pozwolę ci zabrać jej ze sobą.

- Jest na froncie - rzekł ponuro Aleksiej. - A ściślej mówiąc, tuż za linią frontu.

Beridze przystanął zdumiony.

- Ach tak! Jak się tam dostała?

- Była na ostatnim kursie instytutu. Łączniczka, radiotelegrafistka. Ja poszedłem w pospolitym ruszeniu, a ona zaraz za mną - przez Komitet Rejonowy Komsomołu - do armii. Teraz broni ojczyzny, a ja... - Aleksiej machnął ręką ze złością i poszedł naprzód.

Beridze patrzył zatroskanym wzrokiem na oddalającego się towarzysza, potem dogonił go.

- Patrz, Aleksiej, na Moskwę, patrz goręcej! Kiedy znów wrócimy... - rzekł z energią, aby oderwać Kowszowa od jego myśli.

Serce Aleksieja ścisnął ból. Szli ulicą Sadową. Wilgotna jezdnia lśniła. Zachodzące słońce żegnało się z obsługą zenitówek na dachach domów. Od Czerwonych Wrót płynęła pieśń, zrodzona z wojny - tamtędy szły wojska. Środkiem ulicy żołnierze ciągnęli ogromne cielsko balonu zaporowego. Gdy mijały je auta, pędzące z szelestem po wypolerowanym asfalcie, zdawało się, że od ruchu powietrza balon zerwie się ku niebu i pociągnie za sobą podtrzymujących go żołnierzy.

- Oto miasto rodzinne, całe zaklejone papierkami na krzyż, jak od złego ducha - mówił Beridze. - Smutne, ani jednego światełka w nocy. Moskwa bez świateł... Za to jedno przegryzłbym Hitlerowi gardło!

- Ja powinienem tu... bronić każdego kamienia... do ostatniego tchu - cedził przez zaciśnięte zęby Kowszow z lekka się zacinając. - Zamiast tego wlokę się... za tobą... gdzieś do diabła!

- Dosyć o tym! Trzeba jechać, rozkazu odwoływać nie będę - surowo i twardo powiedział Beridze. Spojrzał na pociemniałą twarz przyjaciela, której rysy jakby zaostrzyły się, i wziął Kowszowa pod rękę. - Nie poddawaj się temu nastrojowi, nie dręcz się! Idź do domu, do rodziców, porozmawiaj z nimi. Ja pójdę na dworzec, zdobędę bilety i stamtąd przyjdę do ciebie.

2. Na nowym miejscu

Pierwszą noc na nowym miejscu Kowszow przespał w gabinecie służbowym na ceratowej, gładkiej i chłodnawej kanapie.

Zbudziwszy się i z trudem otworzywszy oczy Aleksiej nie od razu zorientował się, gdzie się znajduje. Obszerny gabinet zalany był różowym słonecznym światłem chłodnego poranka. Na drugiej kanapie leżała porządnie złożona pościel Beridzego. On sam siedział przy biurku i przeglądał papiery. Przy oknie, na brzeżku krzesła siedziała pulchna, starsza kobieta z pince-nez na sznureczku i znużonym głosem opowiadała:

- Ewakuowałam Nateczkę z jej dzieciątkiem i zostałam sama w ogromnej willi, w której dawniej mieszkała rodzina złożona z dziesięciu osób. Codziennie stawało przede mną zagadnienie: pilnować dobytku czy szukać ratunku w schronie? A jednak bomby są straszniejsze niż wszystko inne na świecie. Właziłam do schronu wraz z innymi staruszkami i trzęsłam się jak nędzny psiak. Niestety nie było wśród nas ani jednego pogodnego staruszka - a wiecie, bywają przecież tacy dobrzy staruszkowie, którzy potrafią pocieszyć człowieka. U nas wprost przeciwnie, znalazł się jakiś zły starzec. Mówił on: „Niemcy na pewno przyjdą i porachują się z naszą Muzą. Przypuszczam, że powieszą naszą drogą sąsiadkę na najwyższym drzewie”. To on mnie tak prorokował. Bo widzicie, mój zięć jest dowódcą w Armii Czerwonej. Powiedzcie, dlaczego przed wojną nie dostrzegało się ludzi złych? Ten zjadliwy starzec mieszkał obok mnie chyba z piętnaście lat i zawsze uważałam go za miłego i sympatycznego. Czy bardzo wam przeszkadzam?

- Nie bardzo - odrzekł Beridze nie odrywając oczu, od papierów.

- Jedną z willowych ulic zburzyli zupełnie, pozostały tylko deski, śmiecie i kupy potłuczonego szkła. Upadłam zupełnie na duchu. Zdawałoby się, że taka stara kobieta jak ja nie powinna się bać śmierci, a jednak - przelękłam się. Znajomi namówili mnie do wyjazdu. Na dworcu tłok! Bagażowi zgubili się razem z moimi walizami i koszami, na pewno umyślnie. Bóg z nimi! Jacyś współczujący i weseli chłopcy „upchali” mnie, jak się wyrazili, do wagonu. I ja, głupia starucha, pojechałam na koniec świata. Może przeszkadzam?

- Proszę bardzo! - Beridze, muskając palcami czarną brodę, patrzył na kobietę.

- Tak bardzo się ucieszyłam, kiedy dowiedziałam się, że przyjechaliście, drodzy moskwiczanie! Mieszkam tu przeszło miesiąc i ani rusz nie mogę się przyzwyczaić. Nawet powietrze nie takie jak u nas. Mówią, że szkodzi na serce...

- Powietrze nienajgorsze. Świeże. Dużo go tutaj. Nie trzeba wyjeżdżać na letnisko - z roztargnieniem podtrzymywał rozmowę naczelny inżynier.

- Nie ma z kim podzielić się myślami. Wzruszyło mnie to do łez, że zgodziliście się wziąć na sekretarkę starą kobietę. Na sekretarki wybiera się zwykle dziewczęta i to młode i wesołe.

- Miło mi, że mam sekretarkę z Moskwy, osobę kulturalną. A przy tym nie lubię w pracy młodych i wesołych dziewcząt - wyznał Beridze błysnąwszy oczami w kierunku Aleksieja, który w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. - Wypisałem wam, Muzo Filipowno, na tym papierku pierwsze polecenia. Potrzebne mi są natychmiast wszystkie tomy projektu i notatka do nich. Od dwunastej będziemy przyjmować ludzi.

- Natychmiast zacznę urzędować - rzekła Muza Filipowna i zaczęła się krzątać. - Potem, gdy będziemy mieli czas, opowiecie mi o Moskwie.

„I ja też umknąłem z Moskwy, a teraz będę się nią interesować z daleka” - ze ściśniętym sercem pomyślał Kowszow.

- Pochwyciliście już wątek spraw, towarzyszu inżynierze? - zapytał odprowadziwszy oczyma sekretarkę.

- Dopóki śpisz, mój drogi, staram się nie tracić czasu - odpowiedział Beridze.

Aleksiej wyskoczył z pościeli w samych spodenkach, podszedł do okna, otworzył je szeroko i zaczął się gimnastykować. Mięśnie napinały się pod brązową od opalenizny skórą. Beridze patrzył na niego z uśmiechem.

- Ciekawe, kiedy zaczniesz się zmieniać, kiedy wyrzekniesz się dobrych nawyków, na przykład - gimnastyki - na korzyść złych, w rodzaju palenia lub kieliszka przed obiadem? Zauważyłem, że człowiek z wiekiem zawsze nabiera złych przyzwyczajeń.

- Spróbuję przeciwstawić się temu prawu natury - odparł Aleksiej.

Jego blada zazwyczaj twarz nabrała rumieńców, włosy spadły na czoło jasnym, prostym kosmykiem. Oddychał głęboko, czując, jak krew zaczyna żywiej w nim krążyć. Usiadł na krześle i zaczął masować lewą rękę. Od dłoni aż do łokcia przecinały skórę trzy szerokie blizny.

- Jak tam ręka, Alosza?

- Dobrze, wkrótce już całkiem będzie w porządku.

Patrzyli w okno. Czteropiętrowy, murowany gmach zarządu budowy stał nad urwiskiem. W dole szeroko rozlewała się wiecznie żywa rzeka, na jej falach migotał blask słońca, które niedawno wzeszło. Przeciwległy brzeg wyłaniał się z błękitnej mgły łamaną linią pagórków. Ziemię zdobiły brązowe, żółte i złociste kwiaty - wyraźny znak jesiennego obumierania przyrody.

- Wielki i rozległy jest Adun - nasz ojczulek! Trudno go chyba przepłynąć - powiedział zdziwiony Aleksiej.

Gdzieś, jak gdyby żaląc się, wył parowóz. Jego syrena przypomniała inżynierom ich dwudziestodniową podróż poprzez bezkresne pola, lasy i góry ojczystego kraju. Westchnęli.

Ciało Aleksieja pokryło się gęsią skórką; pośpiesznie wciągnął na siebie ubranie i pobiegł się umyć.

- Będziemy się trzymać razem, nie odstępując jeden drugiego, czyli, jak mówią sportowcy, noga w nogę! - powiedział Beridze, gdy wrócił jego pomocnik. Chciał dodać Aleksiej owi otuchy - zauważył w jego oczach smutek.

Beridze naszkicował plan działania. Pierwsze zadanie polegało na tym, żeby coś zjeść, wykąpać się w łaźni, dostać mieszkanie, zdobyć gazety i mapę oraz dokładnie zorientować się w sytuacji budowy.

- Wystarczy na początek? Czy nic więcej nie potrzeba do życia i pracy specjalistom o wysokich kwalifikacjach? - zapytał Beridze.

- Wystarczy. Na pierwszym miejscu postawiłbym śniadanie - podkreślił Aleksiej.

- A więc zaczynamy!

Beridze zatelefonował do kierownika zaopatrzenia. Ten zapytał kilkakrotnie, z kim mówi, i odpowiedział dość mgliście:

- Wyjaśnię to.

- Co chcecie wyjaśniać? - zaczerwienił się ze złości Beridze. - Tu nie ma co wyjaśniać. Powtarzam: mówi z wami naczelny inżynier budowy, Beridze. Proszę wydać zarządzenie w sprawie śniadania dla mnie i dla mego zastępcy, towarzysza Kowszowa. Pomyślcie również o zaaprowidowaniu nas w ogóle.

Kierownik zaopatrzenia odpowiedział, że zna tylko jednego naczelnego inżyniera - Grubskiego i jego zastępcę Topolewa. Ponadto wykonuje jedynie rozporządzenia naczelnika zarządu. Beridze zatelefonował do stołówki. Oświadczono mu, iż wydadzą śniadanie, jeżeli otrzymają polecenie od kierownika aprowizacji. Beridze ze wściekłością rzucił słuchawkę i zaklął. Aleksiej roześmiał się.

Otworzywszy szeroko drzwi wszedł Batmanow. Inżynierowie przyjechali nocą i dotychczas jeszcze się z nim nie widzieli, rozmawiali tylko telefonicznie.

Kierownik budowy był w wojskowym mundurze. Ubranie zupełnie go zmieniło. Aleksiej nie mógł się oprzeć zdziwieniu: w Moskwie poznał człowieka podobnego do aktora czy malarza, a teraz stał przed nim najpoprawniej wyglądający dowódca: wszystko na nim lśniło - począwszy od białej wypustki kołnierzyka aż do starannie wyczyszczonych butów. Mimo woli spojrzał na swoje zakurzone obuwie i pogładził nieogolony podbródek.

Batmanow z widocznym zadowoleniem, prawie serdecznie, powitał inżynierów. Widać było, że tylko zwykła powściągliwość nie pozwoliła mu po prostu ich wycałować. Wypytywał się szczegółowo o podróż i wrażenia. Sam przyleciał samolotem.

Beridze opowiedział o wydarzeniach w podróży. Pod Daniłowem pociąg został zaatakowany z powietrza. Stali na maleńkiej stacyjce. Bandycie, który niespodziewanie nadleciał, udało się dobrze wycelować. Bomba trafiła w jeden z wagonów. Od wybuchu pokiereszowało również sąsiednie wozy, a w wagonie, w którym jechali Kowszow i Beridze, wyrwało ramy i potłukło w drobny mak szyby.

Wydarzenia tamtych chwil na zawsze utkwiły im w pamięci. Aleksiej drgnął cały, tak wyraźnie odżyły one w opowiadaniu Beridzego. Padając od wybuchu Kowszow przygniótł sobą naczelnego inżyniera. Kiedy podnieśli się, nie wierzyli, że są cali. Beridze przestraszył się ujrzawszy krew na twarzy i włosach towarzysza. Na szczęście były to tylko lekkie zadraśnięcia.

Napastnik wrócił jeszcze raz - ale już nie po to, żeby bombardować, chciał tylko obejrzeć swoje dzieło.

Kowszow i Beridze przenieśli do przydrożnego rowu kobietę ze zmiażdżonymi nogami. Wydało się jej, że ją porzucono, więc zaczęła krzyczeć: „Drodzy, kochani, nie opuszczajcie mnie... zginę!... Ja zginę!”

Aleksiej wyskoczył na tor i krzyknął:

- To ohydne, słyszysz? To ohydne chować się po rowach. Do diabła!

Nadszedł pociąg sanitarny z Daniłowa. Pasażerowie, którzy ocaleli, zaczęli znosić rannych. Beridze wyciągnął spod wagonu małego chłopca; twarz miał zmasakrowaną, lecz w piersi tliło się jeszcze życie. Lekarz zirytował się:

- Rannych trzeba nosić, zabici niech leżą! Im pomoc już niepotrzebna.

- On żył.

- Ale już nie żyje. Idźcie po następnego.

Pociąg sanitarny odszedł. Aleksiej i Beridze poszli do lasku, aby szukających w nim schronienia pasażerów nakłonić do powrotu na stację. Wreszcie okaleczony pociąg powlókł się dalej. W Daniłowie musieli się zatrzymać. Zawiadowca stacji nie mógł dostarczyć podróżnym innego pociągu dla odbycia dalszej drogi. Wysłano depeszę do Komisarza Ludowego z prośbą o pomoc i ze skargą na naczelnika stacji. Kolejarz znękany troskami, które spadły na niego wraz z nieprzyjacielskimi bombami zapalającymi, przeczytawszy telegram zdumiał się jego naiwnością.

- Można by pomyśleć, że na całym świecie tylko was zbombardowali dzisiaj hitlerowcy. Komisarz Ludowy nie ma większych kłopotów - tylko czytać wasz telegram. Nie pokazujcie nikomu depeszy, podrzyjcie ją. Wyprawię was tym samym pociągiem do Kirowa, to już dalekie zaplecze, więc jakoś tam was urządzą.

I znów trzeba było się chować: po raz szósty tego dnia nadleciały nad stację samoloty nieprzyjacielskie. Zawyły syreny parowozów. Z dwóch stojących na stacji transportów wojskowych zaczęły strzelać zenitówki i karabiny maszynowe, ziemia się zakołysała, powietrze zadrgało.

Do Kirowa pędzili bez zatrzymania. Podróżni skupili się w korytarzach pociągu, bliżej wyjścia. Kolejarze kirowscy chcieli zatrzymać wymęczonych ludzi, żeby potem w miarę możności wysyłać ich dalej małymi grupami. Jednakże pasażerowie uprosili, aby przepuszczono ich pociąg. W ten sposób dojechali do Swierdłowska - w wagonach bez okien i drzwi. Na stację wychodziły do pociągu tłumy ludzi i odprowadzały go z płaczem: ci, na których spotkanie przybyli - nie wyszli z wagonów...

Opowiadając o tym Beridze nie wspomniał o swojej sprzeczce z Aleksiejem w Daniłowie. Tam właśnie, przy zbombardowanym pociągu Kowszow oświadczył stanowczo, że powróci do Moskwy. W odpowiedzi na wszelkie perswazje Beridzego powtarzał z uporem:

- Powinienem być w wojsku. Moje miejsce na froncie, jestem żołnierzem.

Batmanow, jakby domyślając się czegoś, skierował wzrok na Aleksieja.

- W tym miejscu - rzekł - postawmy kropkę. Teraz najważniejsza rzecz dla podróżnych to śniadanie, łaźnia, fryzjer, a następnie - mieszkanie.

Kowszow nie odezwał się, mimo iż kierownik budowy zwracał się do niego; odpowiedział Beridze:

- Zastaliście nas właśnie w chwili, gdy usiłowaliśmy ułożyć stosunki z kierownikiem aprowizacji. Ale nic z tego - on nas nie uznaje.

- Ułożenie stosunków z kierownikiem aprowizacji pozostawcie mnie - powiedział Batmanow. Twarz jego przybrała surowy wyraz. - Na początek umówimy się, iż wy zajmiecie się sprawami inżynieryjnymi, zapoznacie się z techniką, z warunkami budowy, rozpatrzycie projekt. Strona

organizacyjna niech was na razie nie obchodzi - to będzie mój monopol, dopóki nie poczuję się tu gospodarzem w całej pełni.

Wyszedł z gabinetu.

- O co rozgniewał się nasz miły kierownik? - zapytał Aleksiej. - Przecież nie zdążyliśmy jeszcze niczym zawinić.

- Nie zrozumiałeś. Batmanow rozgniewał się z naszego powodu, ale nie na nas.

Siedzieli chwilę w milczeniu.

- Jak widać, nieprędko uda mu się zostać w pełni gospodarzem i ułożyć stosunki - powiedział z westchnieniem Aleksiej. - Ryzykujemy śmierć głodową.

Jak gdyby w odpowiedzi zadzwonił telefon - zapraszano ich do stołówki.

- Stosunki zaczynają się układać - powiedział Beridze weselszym tonem.

Po dwóch godzinach wrócili mniej więcej syci, czyści, ogoleni. Beridze zdobył miejscową gazetę. Aleksiej przeczytał komunikat wojenny i przedrukowany artykuł wstępny z „Prawdy". Dywizje niemieckie nadal napierały na wojska radzieckie. Artykuł wzywał armię i naród do obrony każdego metra ziemi i niszczenia wszystkiego w opuszczanych miastach i wsiach.

Inżynierowie przez cały dzień zapoznawali się z dokumentacją budowy. Pomagał im w tym Grubski - były naczelny inżynier, a jednocześnie jeden z autorów projektu. Ten mały człowieczek o ptasiej twarzy i łysej brunatnej głowie zachowywał się wyniośle.

- Czyni mogę służyć? - zapytał stawiwszy się dopiero na czwarte wezwanie. - Jestem teraz bardzo zajęty i przyszedłem tu tylko dlatego, że czcigodna dama w pince-nez zmusiła mnie przemocą do oderwania się od pilnej pracy. To bardzo uparta osoba.

- W tej chwili najpilniejszym waszym zadaniem jest jak najszybsze wprowadzenie nas w tok sprawy - podkreślił Beridze.

- Nic o tym nie wiem. - Cienkie wargi Grubskiego skrzywiły się ironicznie. - jeżeli pozwolicie, będę się trzymał mojego punktu widzenia na obowiązki, których wam jeszcze nie przekazałem.

- Czy to ma jakie znaczenie? Przecież zaczniecie przekazywać sprawy nie za rok, tylko jutro.

- Zacznę przekazywać wtedy, kiedy mi rozkaże mój kierownik budowy. Jeżeli mi rozkaże, mogę zacząć jutro. Nawet dziś. Nawet za godzinę. Chętnie złożę na wasze barki ten ciężar.

Aleksiej patrzył na wąską twarz inżyniera, na jego cienką szyję z wydatną grdyką, słuchał nieprzyjemnej rozmowy i narastała w nim głucha irytacja. Przeszedł do okna: po rzece snuły się łodzie i kutry, środkiem płynął poważnie wielki parowiec.

- Na początek proszę was o niewielką rzecz: pomóżcie nam zorientować się w technicznej koncepcji budowy - ciągnął Beridze.

- Pomóc, zgoda, proszę bardzo. Za godzinę będę tutaj, skończę tylko ze sprawą, którą jednak uważam za pilną.

Przyszedł punktualnie po upływie godziny. Opowiadał gładko, uciekając się raz do popularnych, to znów do specjalnych i skomplikowanych sformułowań. Dziesięciotomowy projekt umiał na pamięć i szybko znajdował odpowiednie arkusze z rysunkami bądź z tablicami. Budowa, jego zdaniem, była bezspornie zakrojona na trzy lata.

Ropa naftowa z wyspy Tajsin powinna być dostarczana na ląd do rafinerii w Nowińsku najkrótszą drogą, przy pomocy rurociągu - do tego sprowadza się sens budowy. Należy uniknąć uciążliwych przewozów drogą morską i rzeczną, połączonych z przetaczaniem czarnego złota ze statków morskich na rzeczne. W zimie drogi zamarzały i dostawy ropy z wyspy ulegały przerwie. W ciągu długiego okresu zimowego ropa nagromadzała się na Tajsinie w olbrzymich ilościach. Zależność od zimy i od transportu od dawna już paraliżowała wzrost wydobycia ropy. Tajsin mógł dostarczać znacznie więcej paliwa, niż można było przewieźć nadmiernie długimi drogami wodnymi. Rurociąg naftowy był życiową koniecznością: dawał tańsze paliwo, pozwalał unikać ogromnych strat podczas transportu, a co najważniejsze, umożliwiał nieprzerwane dostarczanie ropy do zakładów przemysłowych w ciągu całego roku.

Grubski uporczywie podkreślał trudności budowy. Wielokilometrowa trasa przechodziła przez dzikie obszary tajgi, na których znajdowały się pasma szczytów wulkanicznych, przeszkody wodne i okryte mgłą bagniste tereny. Po raz pierwszy miało się budować rurociąg w warunkach krótkiego okresu letniego i długotrwałej zimy z wichrami śnieżnymi, zaspami i pięćdziesięciostopniowymi mrozami. Nie mieli w tej pracy żadnego doświadczenia. Zimowych miesięcy, zdaniem Grubskiego, nie należało w ogóle brać w rachubę, ponieważ najpoważniejsi specjaliści zagraniczni w swych grubych dziełach kategorycznie zabraniali spawania i układania rur w okresie zimowym. Niektórych skomplikowanych zagadnień technicznych na razie jeszcze nie rozwiązano. Wojna wywołała nowe trudności i skomplikowała sytuację. Trzeba rozwozić rury i materiały po trasie, a tymczasem nie ma dróg, zbudowanie zaś ich będzie wymagało wiele czasu i sił. Należy przygotować się do robót ziemnych, wymagających wielkiego nakładu pracy, a tymczasem rąk roboczych brak - skąd je teraz brać? Jak można liczyć na całkowite ułożenie rurociągu, jeżeli rury i urządzenia nie zostały jeszcze dostarczone w dostatecznej ilości i nie wiadomo, czy można spodziewać się ich przysłania? Kadry ludzkie marne, nie podobna z nimi prowadzić roboty, a na odpowiednie skompletowanie ich - nie można mieć nadziei.

Zdawało się, że narzekaniom Grubskiego nie będzie końca. Kiedy jednak wreszcie umilkł, Beridze rzekł z ironią:

- Tak, zadanie niełatwe, trudności duże... Wypada nam tylko podziękować za wasze dokładne informacje. Nie opowiedzieliście jednak najważniejszego: jak została zmieniona techniczna koncepcja budowy w związku z nową uchwałą rządową. Czas na ułożenie rurociągu został skrócony z trzech lat do jednego roku. Proszę, abyście poruszyli również i ten problem.

- Ten problem został przez nas poruszony w szczegółowym memoriale, skierowanym do zarządu głównego. Przypuszczałem, że go znacie. Posiadam kopię, możecie się z nią zapoznać.

- Czytałem ten memoriał w Moskwie. Twierdzicie, że nie można zbudować rurociągu w okresie jednego roku. To wszystko, o czym chcieliście mówić?

- Powtarzam: z tego wyznaczonego nam jednego roku, mającego dwanaście miesięcy - siedem przypada na zimę.

- Lecz na wasz szczegółowy memoriał Moskwa dała zupełnie wyraźną dyrektywę: bezwzględnie przystąpić do wykonania uchwały rządu, a przede wszystkim przerobić projekt.

- Sami rozumiemy, że uchwałę rządu trzeba wykonać bezwzględnie. Czy nie lepiej jednak uczciwie powiedzieć prawdę, że termin jest nierealny, niż oszukiwać rząd, w gruncie rzeczy nierzetelnym podejmowaniem prób trzykrotnego skrócenia czasu?

- Dlaczego nierzetelnym? - Wielkie oczy Beridzego błysnęły.

- Zaraz powiem, dlaczego. W planach wojennych rząd widocznie wziął pod uwagę nasz rurociąg i dlatego zdecydował się przeznaczyć na jego budowę tak drogocenną energię ludzką oraz środki materialne i techniczne. Czyż nie jest naszym obowiązkiem obywatelskim udowodnić, że ludzi i środki należy skierować tam, gdzie każdy wkład przyniesie natychmiastową pomoc dla frontu?

- Czy na ten temat wysłaliście drugi szczegółowy memoriał? - zapytał Beridze.

- Wysłaliśmy depeszę. Jej sens był taki: ponieważ jesteśmy zdrowi i w pełni władz umysłowych, nie możemy się wyrzec naszego punktu widzenia, przedstawionego w pierwszym memoriale.

- Punkt widzenia, punkt widzenia - zawołał ze złością Beridze. - Niepotrzebnie traciliście drogi czas wojenny na układanie memoriałów. Zahipnotyzowało was dziesięć tomów dokumentacji, przyzwyczailiście się do nich jak do żony. Zamiast poddawać w wątpliwość uchwałę rządu, trzeba było śmiało zrewidować to przedwojenne dzieło.

Grubski wstał. Był poruszony nie mniej od Beridzego, ale panował nad sobą.

- Macie możność zrobienia tego, czego my nie potrafiliśmy. Możecie wykazać się odwagą, stanowczością i innymi bohaterskimi przymiotami, których nam było brak. Chętnie popatrzę na wasze wyczyny - powiedział prawie spokojnie i wyszedł.

Beridze chodził szybko po gabinecie lekko zgarbiony, z rękami założonymi do tyłu.

- Ten indor umyje teraz ręce od wszystkiego i stojąc na uboczu będzie się z nas śmiał - powiedział zbliżywszy się do Aleksieja, który z miną obojętną siedział na parapecie okna. - Cóż ty na to?

- O indyku powiem tyle: w jego rozumowaniu jest logika. Nawet nie spodziewałem się po nim takiej prostolinijności.

- Logika może jest, ale rozumowanie - haniebne - odciął Beridze.

- Haniebne? Mam wrażenie, że myśli trzeźwo. Hitlerowcy zaszli daleko, walą pancerną lawiną na Moskwę, losy wojny rozstrzygną się lada dzień. Komu potrzebny będzie rurociąg, gdyby nawet był gotowy nie za trzy lata, lecz za rok? Wkrótce będzie rozstrzygająca bitwa i albo rozgromimy ich, albo...

- Aleksiej, milcz! - krzyknął Beridze. Jednym skokiem znalazł się przy Kowszowie.

Inżynierowie stali twarzą w twarz przy oknie: Aleksiej - blady jak papier, Beridze - czerwony z podniecenia.

- Zapamiętaj, wbij to sobie w swoją głupią głowę: żadnych „albo”! Wojna potrwa tyle czasu, ile trzeba będzie, aby zwyciężyć! Jeżeli trzeba - rok! Jeżeli trzeba - trzy lata, pięć, dziesięć lat! I jeszcze jedno wbij sobie do łba: jeśli rząd postanowił kontynuować budowę rurociągu, to znaczy, że rurociąg jest absolutnie potrzebny, i to nie później niż za rok. - Beridze nabrał tchu i powiedział spokojniej: - Czyż posłano nas tu po to, żebyśmy popierali jakąś wątpliwą „logikę”?

- Mnie tu nie posłano - powiedział szybko Aleksiej i odwrócił się. Zdawał sobie sprawę, że Beridze ma rację, lecz nie potrafił pokonać ducha przekory i dodał brutalnie: - Ciebie posłali; mnie zabrałeś ze sobą po prostu dla kompanii.

Naczelny inżynier długo patrzył w milczeniu na Kowszowa. Ręce jego, zaciśnięte w pięści, podniosły się, a oczy pociemniały z gniewu.

Aleksiej udawał, że nie widzi jego wzburzenia; czując jednak konieczność przerwania rozmowy oparł się o futrynę okna i niezadowolony z siebie oraz zmartwiony tym, że skrzywdził towarzysza, patrzył niewidzącymi oczyma w rozciągającą się za oknem przestrzeń.

- Ręczyłem za ciebie wobec Batmanowi - wyrzekł zduszonym głosem Beridze. - Powiedziałem mu, że pewien jestem ciebie jak siebie samego. Nie każ mi więc wątpić w to, jeśli ci jest droga nasza przyjaźń. Słyszysz, co mówię?

Kowszow nie odpowiedział. Beridze machnął rękami, odwrócił się gwałtownie i szybko wyszedł, niemal wybiegł z pokoju...

3. Czy Moskwie potrzebny jest rurociąg?

Podczas pierwszych dni pobytu w Nowińsku Aleksiej miał dużo wolnego czasu. Zajęcia jego ograniczały się na razie do zapoznania się z dokumentacją budowy i z materiałami sprawozdawczymi. W dodatku po niespodziewanej sprzeczce przyjaciół Beridze zamknął się w sobie i przestał rozmawiać z Aleksiejem, choć pracowali, jak przedtem, w jednym gabinecie.

Na trzeci dzień Kowszow wybrał się piechotą do miasta na pocztę. Zarząd, położony w okolicach dworca, oddalony był od miasta o osiem kilometrów. Aleksiej skręcił z wyboistego gościńca pełnego kurzu i skierował się ku wzgórzom, skracając sobie drogę. Z daleka pod słońce wydawało się, iż wzgórza są brunatną wełną. Gdy podszedł bliżej, stały się one włochate i bardzo pstre.

Jadąc z Moskwy w pociągu Beridze opowiadał Aleksiejowi o Dalekim Wschodzie, zapewniał go, że zobaczy wiele rzeczy nowych i ciekawych-I rzeczywiście, przyroda tutejsza zdumiewała na każdym kroku.

Zbocza góry, na którą wspiął się Aleksiej, porastała niska dębina. Wielkie, rdzawe liście kołysane wiatrem szeleściły martwo, lecz nie opadały. Wznoszące się nad nimi konary modrzewi były ogołocone z zieleni. Iglasty strój tego osypującego się na zimę drzewa szpilkowego chrzęścił pod nogami. Wszystko tu inaczej niż w okolicach Moskwy: liście dębu zimują na gałęziach, a drzewo iglaste nazywa się liściastym, ponieważ zrzuca swe igły na zimę.

Aleksiej zeszedł do jaru i zaczął błądzić wśród wysokich traw, sięgających prawie wzrostu człowieka. Przejrzałe, zeschłe w słonecznym skwarze, chrzęściły nie doczekawszy się kosiarzy. W trawie lśniły jaskrawe kwiaty jesienne - żółte, purpurowe i ciemnoniebieskie, podobne do dużych dzwonków. Śmiało pięły się w górę, jak gdyby w oczekiwaniu lata, nie zimy.

Inżynier zebrał niebawem wielki bukiet nie znanych mu kwiatów, pięknych, lecz pozbawionych zapachu, i zaczął iść w kierunku drogi. Trafił na zarośla suchych, niepozornych krzaczków. Zatrzymał się i patrzył na nie z żałosnym uśmiechem - wiedział już bowiem, że są to rododendrony, które w dzieciństwie pod wpływem lektury Juliusza Verne’a wyobrażał sobie jako bajecznie piękne rośliny.

Nowińsk również rozczarował mieszkańca Moskwy. Tak wiele o tym mieście pisano; a właściwie gdzież ono jest? Nie ma tu ani wysokich, pięknych gmachów, ani regularnych ulic. Przeważały budynki drewniane. Zamiast brukowanych i asfaltowych ulic ciągnęły się liche drogi gruntowe. Przechodnie chodzili po deskach, ułożonych przed oknami domów. Wszystkie główne ulice miasta zaczynały się nad rzeką, ciągnąc się od niej na przestrzeni kilku kilometrów, równoległymi szeregami standardowych budynków. Z rzadka spotykało się murowane domy - ordynarne wielkie pudła, pozbawione ozdób architektonicznych.

Na poczcie dziewczyna odpowiedziała Aleksiejowi z uśmieszkiem:

- Dopiero piszą...

Kowszow posmutniał: miał nadzieję, że dostanie wiadomość z domu.

Umówił się z teściową, że napisze mu o Zinie, gdy tylko otrzyma jakieś wiadomości o niej. To znaczy, że stamtąd nie ma żadnych wieści.

Nadał przy okienku list i depeszę, zamykającą w dwudziestu słowach jego uczucia. Pisał do Ziny w nadziei, że jego listy i depesze uda się w końcu przesłać z Moskwy i że jednak trafią one kiedyś do jej rąk.

Dziewczyna za okienkiem policzyła słowa depeszy, przeczytała je i z zaciekawieniem spojrzała na Aleksieja:

- A kwiaty dla kogo?

- Dla nikogo. Mogę wam je ofiarować.

Z poważną miną wręczył jej kwiaty, ukłonił się i wyszedł z poczty. Jego własna depesza jeszcze bardziej rozjątrzyła zranione serce. W piersi czuł ból prawie fizyczny. Zatrzymał się pośrodku drogi i wyjął z kieszeni złożony starannie skrawek papieru.

„Idę na egzamin. Myśl o mnie. Ale nie przejmuj się zbytnio - zdam na pewno - Zina”.

Jakież wielkie znaczenie miała dla niego przypadkowa zachowana w szufladzie kartka, zapisana paru słowami, którą znalazł po wyjściu ze szpitala! Mógł ją czytać godzinami. Nieszczęściem wydał mu się pobyt w Nowińsku, na głębokim zapleczu, w atmosferze bezpieczeństwa i bezczynności.

- Kimże ty teraz jesteś? - zapytał siebie z oburzeniem. - Ktoś ty, spacerujący spokojnie wśród cichej przyrody - gdy twoja towarzyszka życia i towarzysze walczą za ojczyznę, gdy to, co jest najdroższe i najbliższe, bez czego nie można wyobrazić sobie życia, przyszłość twego narodu, Moskwa, narażona jest każdej chwili na śmiertelne niebezpieczeństwo?

Wówczas w Daniłowie Beridze potrafił wpłynąć na zmianę jego postanowienia. Niestety! Z Nowińska trudniej wyjechać! Każde posunięcie w tym kierunku byłoby interpretowane przez Batmanowa i Beridzego fałszywie, wrogo, jako skandal. Oni nie zrozumieliby jego prawdziwych pobudek, nie wierzyliby, że po prostu nie może postąpić inaczej. Z drugiej strony, sprzeczka z Beridzem mogłaby wyjść mu na korzyść: Batmanow nie będzie go zatrzymywał, o ile Beridze już się zraził...

Na zakręcie minął Kowszowa osobowy samochód, owiewając go chmurą gryzącego kurzu i spalin. Lecz po chwili auto zatrzymało się. Gdy Aleksiej zrównał się z nim, człowiek siedzący przy kierownicy zaproponował mu, że go podwiezie.

Samochód ruszył z dużą szybkością i zręcznie wymijał nierówności drogi.

- Wy dokąd? - zapytał szofer.

- Do zarządu budowy, którego kierownikiem jest Batmanow. Słyszeliście o takim?

Szofer skinął głową i bystrym spojrzeniem obrzucił uważnie Kowszowa.

- To dziwne, że was nie znam - powiedział przesunąwszy papieros z jednego kącika ust w drugi. - Nigdy was nie widziałem.

- A czyż wszystkich musicie znać?

- Muszę. I na pewno zapamiętałbym, gdybym was bodaj jeden raz widział.

- Macie rację, jestem tu dopiero od trzech dni. Jestem przyjezdny.

- Z Moskwy? No, to wiem, kim jesteście. Inżynier Kowszow.

- Dlaczego właśnie Kowszow? Przyjechało nas trzech. Jeden z trójki rzeczywiście nosi to nazwisko.

Szofer odrzucił papierosa i uśmiechnął się. W ustach jego błysnął złoty ząb jak ognik. Spojrzenie jego żywych oczu znów prześliznęło się po twarzy Aleksieja.

- Określiłem was metodą wyłączania. Batmanowem nie jesteście.

- A może?

- Batmanow jest w moim wieku, z takimi jak moje smutnymi oznakami zwiędłej młodości - szofer dotknął dłonią szpakowatej skroni. - Batmanow jest popularną osobistością.

- W takim razie jestem Beridze.

- Jakiż z was Beridze - zaśmiał się szofer. - Sądząc z nazwiska Beridze jest Gruzinem. A wy jesteście przecież Rosjaninem, a przy tym z Moskwy. Zdradza was moskiewski akcent i zadarty rosyjski nos. Beridze ma orli nos i czarną brodę. A choć mówi bardzo czysto i bez akcentu, to jednak nie po moskiewsku.

- Skądże znowu wiecie, jak mówi Beridze i jaką ma brodę? Zdążyliście go poznać?

- Przyznam się wam, że Beridze i Batmanow są moimi starymi znajomymi. Przed trzema laty towarzyszyłem im w podróży z Dalekiego Wschodu na zachód. Beridze już wtedy nosił brodę, a Batmanow skończył wówczas czterdzieści lat. No, cóż, poddajecie się, towarzyszu Kowszow?

- Poddaję się. Pozostaje wam teraz powiedzieć swoje nazwisko - i będziemy mogli uważać się za znajomych.

Auto podskakując minęło drewniany mostek.

- Nie powiem wam, jak się nazywam. Domyślcie się sami - zaproponował żartobliwie kierowca.

Aleksiej przyglądał się człowiekowi siedzącemu przy kierownicy. Szare ubranie, czysta, rozpięta pod szyją, szara jedwabna koszula. Czarne, matowe, kręcące się jak karakuł włosy, z lekka posrebrzone na skroniach siwizną. Ciemna, opalona twarz, szczery uśmiech. Gdy śmiał się, zmarszczki wokół oczu zbiegały się jak promyki, a twarz przybierała wyraz dobroci.

Szofer podchwyciwszy utkwione w siebie badawcze spojrzenie Aleksieja roześmiał się:

- Niezła zagadka, prawda?

- Trudno mi odgadnąć kim jesteście, brak mi do tego danych. Jedno wiem na pewno - nie jesteście szoferem, pomimo iż doskonale prowadzicie auto. Jesteście z pewnością kimś odpowiedzialnym, mającym jakiś związek z budową...

Człowiek przy kierownicy roześmiał się znowu. Widać było, że lubi żartować.

- Byliście w mieście? Jak wam się podoba Nowińsk? - zapytał po chwili milczenia, gdy wprowadzał auto na drogę w kierunku budynków dworcowych.

- Nie - odrzekł bez namysłu, z lekką irytacją Kowszow. - Nie podoba mi się. Alboż to miasto? Kilka tysięcy jednakowych drewnianych domów, ustawionych w rzędy. Nic tu nie cieszy oka, właściwie należałoby to wszystko zburzyć, gdyby się miało budować prawdziwe miasto. Zupełnie niesłusznie gazety tak wychwalały ten cały wasz Nowińsk.

Uwagi Kowszowa wyraźnie nie podobały się jego towarzyszowi.

- Zbyt surowo, powiedziałbym, tendencyjnie potraktowaliście Nowińsk. Zresztą uprzedzenie jest zrozumiałe: przyjechaliście z Moskwy i porównujecie z nią Nowińsk. Myślę, że wkrótce zmienicie zdanie o naszym mieście. Nie widzieliście jeszcze na przykład naszych fabryk w ruchu - mogłyby one przynieść zaszczyt każdemu miastu na świecie. Nie widzieliście też naszej rafinerii ropy naftowej, do której będziecie prowadzić rurociąg. Nie widzieliście fabryk, które są dopiero w budowie. Nie widzieliście ani teatru, ani Pałacu Pionierów. Wychwalano Nowińsk zupełnie słusznie. Inne miasta powstają w ciągu stuleci, a nasz Nowińsk nie ma jeszcze dziesięciu lat, to jeszcze niemowlę! Wy, młodzieńcze, jesteście zepsuci dostatkiem, nie przyjdzie wam nawet do głowy porównać to, co jest obecnie, z tym, co tu było. Czyż można nie ocenić rozmachu, z jakim budowało się to miasto i nadal będzie się budować po wojnie? Od kwadransa jedziemy właśnie linią średnicową przyszłego miasta. Nie wiecie z pewnością, że przed kilku zaledwie laty w tym miejscu Nanajczycy[1] zastawiali sidła na sobole. Tę ogromną płaszczyznę wydarto tajdze, której pozostawiono przeciwległy brzeg. Powinniście obejrzeć projekt przyszłego Nowińska. Czyż dawni budowniczowie miast mogli przewidzieć z góry, co wyniknie z ich poczynań?

- Zbyt gorliwie bronicie Nowińska. Może jesteście architektem albo przewodniczącym Rady Miejskiej?

- Dowiecie się, jak tu pomieszkacie. Przypomnę wam kiedyś waszą złą opinię o Nowińsku.

- Nie ma obawy, nie przypomnicie: mam zamiar wyjechać z powrotem na zachód.

Auto zatrzymało się przed czteropiętrowym, dużym murowanym gmachem zarządu.

- Wysiadam, a wy jedźcie sobie dalej po tej średnicowej linii waszego miasta. Na pewno nie spotkamy się więcej. Dziękuję za podwiezienie. Żegnajcie.

Nieznajomy roześmiał się:

- Żegnajcie... żegnajcie...

Wysiadł również i szedł tuż za Aleksiejem. Kowszow przystanął.

- Wy do nas?

Nieznajomy skinął potakująco głową i spytał poważnie, prawie gniewnie:

- Dlaczego mówiliście o powrotnej drodze. Zażartowaliście sobie, czy rzeczywiście macie rozkaz?

---

[1] Nanajczycy - (Goldowie) tunguska grupa narodowościowa; żyją w dorzeczu rzeki Amur. - Red.

- Nie mam żadnego rozkazu! Z własnej inicjatywy będę się starał wszystkimi siłami, żeby wyprawiono mnie na zachód. Mieszkam tu już od trzech dni i od trzech dni płonę ze wstydu z powodu tego godnego pożałowania haniebnego wygodnictwa.

Zatrzymali się przed wejściem.

- Od tej chwili jesteście moim wrogiem - powiedział posępnie nieznajomy. - Człowiek ganiący Nowińsk i uciekający z Dalekiego Wschodu jest moim osobistym wrogiem.

W nagłym olśnieniu Aleksiej zawołał:

- Ach, teraz już wiem! Jesteście Załkind, sekretarz Nowińskiego Komitetu Miejskiego. Opowiadał mi o was Beridze. I jego kiedyś uznaliście za swego osobistego wroga...

Twarz Załkinda rozjaśniła się:

- Beridze opowiadał o mnie? To znaczy, że nie zapomniał. Do niego nie mam już żalu, on powrócił. Ale w stosunku do was jestem nieprzejednanym wrogiem. A przy okazji zapamiętajcie sobie, że od wczoraj jestem nie tylko sekretarzem Nowińskiego Komitetu Miejskiego, lecz i partorgiem[2] na budowie.

Wieczorem Kowszow napisał podanie do Batmanowa. Na dwóch bitych stronicach uporczywie dowodził, że bez zwłoki powinien wrócić na zachód. Wręczył papier sekretarzowi kierownika budowy i od tej chwili czekał na odpowiedź.

W internacie wszystkie pokoje rozmieszczone były wzdłuż korytarza. Kowszowowi przypadł pokój na samym końcu. Komendant otworzył przed nim drzwi na oścież.

Żelazne łóżko z cienkim materacem, płaską poduszką i szarym, żołnierskim kocem. Szpitalna szafka nocna. Mały stolik, dwa krzesła. Na ścianie - portret Dymitrowa, na stole - biurowa czarna lampa wygięta w znak zapytania. W oknie na wpół spuszczona zasłona z niebieskiego papieru do zaciemniania.

Gdy weszli obaj - w pokoju zrobiło się ciasno. Komendant z niemym pytaniem spojrzał na Aleksieja i zdziwił się, gdy ten powiedział:

- Wspaniale. Nic więcej mi nie trzeba.

Nowy lokator przeszedł z ręcznikiem korytarz, słabo oświetlony jedyną żarówką. Otworzył ostatnie drzwi i zobaczył dużą kuchnię, brudną i niewygodną, taką, jakie często spotyka się we wspólnych mieszkaniach. W szerokim wgłębieniu znalazł umywalnię - dwa żelazne koryta, jedno nad drugim. Z górnego zwisały krany. Kowszow myjąc się pamiętał, by nie robić hałasu.

Nie wszyscy lokatorzy już spali. Drzwi wejściowe otworzyły się z trzaskiem i weszła dziewczyna w skórzanej kurtce i wysokich butach. Nie przestrzegała ciszy i otwierając swój pokój nuciła: „Śpią kurhany ciemne...”

- Ciszej. Ludzie tutaj śpią, a nie kurhany - powiedział Aleksiej.

- Och, nie zauważyłam was. Czy jesteście nowym palaczem?

---

[2] Partorg (skrót) - partyjny organizator, tu pełnomocnik Centralnego Komitetu WKP(b). - Red.

- Jestem nowym lokatorem, któremu zależy na tym, żeby tu było cicho w nocy.

Dziewczyna, przyglądając się mu ciekawie, podeszła nieco bliżej.

- A więc to dla was przygotowywano pokój z rana? Komendant mówił, że to dla nowego naczelnego inżyniera czy dla jego zastępcy. To wy nim jesteście?

- Tak jest.

- Zbeształam go. Dano wam lodownię, a nie pokój! Już teraz jest w nim zimno, a co będzie zimą? W sam raz nadaje się do przechowywania jarzyn, żywy człowiek w nim nie wytrzyma. Nie zgódźcie się, niech wam dadzą inny.

Kowszow ucieszył się, że ktoś przerwał jego przykrą samotność. Z zadowoleniem słuchał gadania dziewczyny, która wbiegła na chwilę do swego pokoju i wróciła bez skórzanej kurtki, w lekkiej jedwabnej bluzce. Obnażonymi po łokcie rękami poprawiała włosy i znów zaczęła go przekonywać.

- Wkrótce będzie dużo wolnych mieszkań. Mówią, że nowy kierownik budowy postanowił wszystkich nas rozpędzić. Prawie cały zarząd spakował się i ma wyjechać wraz z dawnym kierownikiem.

- Czy nie umiecie mówić ciszej? - zapytał Aleksiej.

- Dlaczego mam mówić ciszej ? Przywykliśmy tu nie krępować się. Sami przekonacie się o tym o szóstej rano; nikt nie będzie mówił ciszej. Tam naprzeciwko mieszka Grieczkin, kierownik wydziału planowania. Ma czworo dzieci, one nigdy nie wrzeszczą pojedynczo - zawsze chórem. Ale nie to jest najgorsze. Najstraszniejsza jest Lizoczka, małżonka Grieczkina. Taka maleńka, chudziutka, ale będzie wam aż w uszach dzwonić od jej krzyku.

W ten sposób dziewczyna zapoznała Kowszowa ze wszystkimi lokatorami. Nie pytając o pozwolenie weszła do pokoju inżyniera i krytycznym spojrzeniem obrzuciła wnętrze; była niezadowolona.

- Wilgoć! Podłoga źle umyta! Spójrzcie, ile wody w szparach pomiędzy deskami. A umeblowanie - stare graty! Możecie uważać, że materaca nie ma; zamiast niego położyli wam arkusz bibułki papierosowej. Na tym nie można spać! Będą was boki bolały.

- Można spać zupełnie dobrze - oświadczył Kowszow. - Zwłaszcza że nie będę miał za wiele czasu na wylegiwanie się w łóżku.

Dziewczyna skończyła inspekcję pokoju i skierowała wzrok na inżyniera. Oczy miała duże i łagodne.

- Jesteście na pewno kawalerem i przyzwyczailiście się mieszkać byle jak i jeść byle co?

- Jestem żonaty, co prawda, od niedawna.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem i roześmiała się swawolnie:

- I zostawiliście młodą żonę w domu? To bardzo ładnie!

Kowszowowi nie podobało się to powiedzenie. W jednej chwili zbrzydła mu ta cała paplanina. Dziewczyna zauważyła zmianę w jego nastroju i powiedziawszy „dobranoc” wyszła.

Nie miał ochoty spać. Przyłożył czoło do chłodnej szyby. Na ulicy było widno jak w dzień. Fosforyczny, martwy blask księżyca zalewał baraki i niezliczoną ilość pni, będących śladem istniejącej tu dawniej tajgi zepchniętej za rzekę. Na prawo za ostatnim barakiem lśnił majestatyczny Adun. Gdzieś bezustannie wyła i zgrzytała piła tarczowa, zawodząc chwilami jak płacząca kobieta lub dziecko.

Smutne myśli znów ogarnęły Aleksieja. Tego dnia otrzymał list od brata. Mitieńka, osiemnastoletni chłopaczek, pisał ze szkoły wojskowej, że uczy się bić faszystów niemieckich i wkrótce pójdzie na front. W tych kilku zdaniach Aleksiej wyczuł gorzki wyrzut.

Samotność Kowszowa przerwało wejście Beridzego. Aleksiej poderwał się z miejsca. Na twarzy jego odmalowało się zmieszanie, a jednocześnie radość. Sprzeczka z towarzyszem ciążyła mu; czuł się winnym.

- Przyszedłem nawymyślać ci i zbić... - zażartował Beridze i zbliżywszy się do towarzysza, niezręcznie objął go ramieniem.

Naczelnemu inżynierowi również nie podobał się pokój Kowszowa.

- Słyszałem, że ściany pokrywają się szronem. I ponuro tu jakoś... Aż tęsknota ogarnia... Przenieś się do mnie, u mnie ciepło i gospodyni troskliwa...

- Dziękuję. Na razie będę tutaj mieszkał, pokój mi dogadza.

- Czy naprawdę postanowiłeś starać się o powrót do Moskwy? - zapytał Beridze patrząc mu wprost w oczy.

- Tak - krótko odparł Aleksiej. Zrozumiał, po co Beridze przyszedł do niego. - Mówił ci o tym Batmanow? Puści mnie czy nie?

- Batmanow nic mi o lobie nie mówił. Zdążyłeś już i do niego się zwrócić?

- Wczoraj złożyłem podanie.

- Ech, niepotrzebnie - powiedział Beridze z wyrzutem. Zaczął nerwowo przemierzać pokój: tam i z powrotem po trzy kroki. - Jesteś człowiekiem dojrzałym, Aleksiej. Masz swój rozum i wiesz, co robisz, ale powiem ci po przyjacielsku: niepotrzebnie zacząłeś całą tę historię. Nie wciągnąłeś się - jeszcze do pracy, dlatego się dręczysz. Głupstwo! Trzeba przezwyciężyć w sobie ten nastrój.

Kowszow siedział na niskim łóżku opuściwszy głowę. Beridze ledwie się powstrzymał, żeby nie podejść i nie pogładzić go po jasnych włosach.

- Przykro mi wobec Batmanowa, mój drogi. W tej chwili jest on w trudnym położeniu: chaos organizacyjny, ludzie w rozsypce. Przyjechaliśmy z nim razem i teraz jesteśmy główną jego podporą. A tu nagle podanie: „Żegnajcie”. To jakby cios wymierzony w plecy.

- Przesadzasz, Gieorgij. Kierownikowi nie przyjdą nawet na myśl takie subtelności. Ja jestem dla niego szarym człowiekiem, bez którego może się doskonale obejść.

- Oczywiście, że może się obejść. Ale czy się na to zgodzi - nie wiem. W każdym razie nie potraktuje twego podania obojętnie. I mnie również stawiasz w przykrej sytuacji - ręczyłem za ciebie. Przewiduję przykrości.

Usłyszeli pukanie. Do pokoju wszedł Załkind. Miał na sobie lekki płaszcz letni. Uważnie rozejrzał się dokoła.

- Co, już pogodziliście się? - zapytał Beridzego przysiadając się na łóżku obok Aleksieja. - Niepotrzebnie. Co do mnie - nie mam zamiaru z nim się godzić.

- Słyszałeś? - powiedział Beridze. - On już złożył podanie do kierownika budowy!

- Tym gorzej dla niego! - Załkind położył rękę na ramieniu Aleksieja. - Sami będziecie się tego później wstydzić, będziecie żałować, że składaliście podanie.

- Dlaczego? - spytał z rozdrażnieniem Aleksiej. - Przecież nie proszę o skierowanie do uzdrowiska.

Załkind oparł głowę na rękach.

- Niektórzy ludzie u nas rozumują w ten sposób: Wszystko zostało postawione na kartę wojny, kraj wytęża siły do ostatecznych granic, uwzględnia się w rachunku każdego człowieka i każdy nabój. A tymczasem na Dalekim Wschodzie pozostają w bezczynności poważne siły zbrojne. Trzeba natychmiast zabrać je stąd i przerzucić na zachód. Dywizje Dalekiego Wschodu są dobrze wyćwiczone i uzbrojone, mogą więc przyczynić się do powstrzymania faszystów. Jeśli Japończycy skorzystają z tego i oderwą od nas Daleki Wschód - nie będzie nieszczęścia, obejdziemy się bez niego. Nam przecież miasta, wsie i ziemie Rosji centralnej są milsze i droższe od tych bezludnych, dalekowschodnich przestrzeni. Jakie jest wasze zdanie o tych, którzy tak rozumują?

- To podłe rozumowanie! Nie krępowałbym się takimi mędrkami!

- Słusznie i patriotycznie - pochwalił Załkind. - Każdy kamień i każda nawet najnędzniejsza rzeczka - wszystko jest drogie krajowi. Gdybyśmy byli tylko potomkami Jermaka[3] i Pojarkowa[4], to też nie mielibyśmy prawa oddać ani jednego ziarnka piasku Dalekiego Wschodu. Nawiasem mówiąc, tu każde ziarnko piasku jest złote. A my jesteśmy nie tylko potomkami Jermaka, lecz i spadkobiercami Lenina, radzieckimi ludźmi, my stworzyliśmy w tym kraju nowe życie!

- Ale pytam: co ma z tym wspólnego inżynier Kowszow? - wtrącił Aleksiej.

- Inżynier Kowszow, patriotycznie potępiwszy niepatriotyczne poglądy, w praktyce zgadza się na oddanie Japończykom całego Dalekiego Wschodu. Droga jest mu tylko Moskwa.

Aleksiej podniósł brwi.

- A może ja już oddałem Japończykom Daleki Wschód?

Załkind pominął milczeniem jego uwagę.

- Nie widzę potrzeby mówienia o roli zaplecza w czasie wojny - ciągnął. - Wszyscy wiemy, że wytrwałość zaplecza i jego zdolność do pracy znaczą tyle, co i sama armia. Bo co to jest zaplecze? Fabryki, kołchozy, wszelkiego rodzaju budownictwo, setki i tysiące większych i mniejszych instytucji państwowych dostosowanych do potrzeb wojennych...

- To bardzo interesujące - uśmiechnął się Aleksiej. - Podobne, co prawda, do artykułu miejscowej gazety. Przypuszczacie, że te proste prawdy nie są dla mnie dość jasne?

- Zmartwiliście i mnie, i Beridzego swą niechęcią zrozumienia niektórych z tych prostych prawd. Rurociąg nasz ma taki sam udział w wojnie jak fabryka pocisków czy dywizja pancerna. Budowa rurociągu ma bezpośredni związek z siłami zbrojnymi Dalekiego Wschodu. Oburzacie się na ludzi, którzy proponują usunięcie armii z granic Dalekiego Wschodu. Dlaczegóż więc, w istocie rzeczy, podtrzymujecie ich twierdząc, że rurociąg nie jest konieczny dla celów wojennych?

---

[3] Jermak Timofiejewicz - im. 1584, legendarny wódz, zdobywca Syberii na rzecz Rosji w okresie panowania Iwana IV Groźnego. - Red.

[4] Pojarkow Wasyl (rok urodzenia i śmierci nie ustalony) - dowodzący ekspedycją wojskową, wysłaną w r. 1643 przez wojewodę jakuckiego Gołowina w celu ściągnięcia daniny oraz zebrania danych dotyczących przyrody i ludności dorzecza amurskiego. - Red.

Kowszow wstał, przecisnął się pomiędzy stołem a łóżkiem i siadł w kącie przy stoliku, naprzeciwko Beridzego. Tamten w milczeniu bawił się scyzorykiem zawierającym komplet przyborów: od nożyka do konserw - do szydła.

- Nie neguję potrzeby rurociągu. Po prostu widzę, że nie można go zbudować w tak krótkim czasie. Jest więc rzeczą jasną, że nie będzie on brał udziału w wojnie.

Załkind wyjął z rąk Beridzego scyzoryk i zaczął oglądać jego liczne ostrza i przyrządy.

- Słowa wasze nie mają żadnej wartości. Nie macie pojęcia o planie wojny, nie znacie ani jej zasobów, ani terminów. Oczywiście, my również nie wszystko wiemy! Wszystko wiedzą tylko nasi wielcy wodzowie w Moskwie. Oni też decydują o wszystkim. Mieli do rozstrzygnięcia sprawę rurociągu; jedną z miliona spraw. Grubski dowodził, że nie można go zbudować w ciągu roku. W Moskwie nie zgodzono się z nim! Rurociąg jest konieczny ze względu na potrzeby wojny, więc nie można z niego zrezygnować. Stąd decyzja: zbudować rurociąg w ciągu roku. To równa się rozkazowi: wykonać rzecz niemożliwą! Dlatego nastąpiła zmiana kierownictwa budowy... Spoczywa ono obecnie w niezawodnych rękach. Czy nie czytaliście w swoim czasie w „Prawdzie" reportażu o Batmanowie i Beridzem: „O ludziach, którzy potrafią wykonać rzeczy niemożliwe"?

- Nie pamiętam - odparł Aleksiej.

- Był kiedyś taki reportaż - potwierdził z dumą partorg. - Decyzja Rady Komisarzy Ludowych o forsowaniu budowy ogromnie mnie ucieszyła. Dostrzegłem w tym jeszcze jeden dowód naszej siły. Pomyślcie, rurociąg odległy od frontu o kilka tysięcy kilometrów jest potrzebny i już dziś ma w planie wojennym ściśle określone miejsce, chociaż gotowy będzie dopiero za rok! Jakaż mądrość przewidywania leży u podstaw ogólnego planu wojny z faszystami!

- Wszystko to rozumiem, uznaję, ze wszystkim się zgadzam! - wykrzyknął Aleksiej zrywając się z miejsca. - Ale zechciejcie także mnie zrozumieć! Chcę iść na front, tam, gdzie jest obecnie najtrudniej! Uczono nas od dzieciństwa i na szkolnej ławie, i w Komsomole, że nie należy chować się przed trudnościami, że trzeba być tam, gdzie jest najniebezpieczniej.

- A czy poza tym nie uczono was... dyscypliny? Trzeba przecież ostatecznie podporządkować się starszym towarzyszom. Tak czy nie? -zapytał ostro Załkind. - Czy nie uczono was, że nie należy wyodrębniać siebie z zespołu? Jeżeli nie uczono, to i na froncie będziecie mędrkować: „to do wojny nie należy, a to należy, to jest ważne, to mi odpowiada, a to nie odpowiada". Czy nie uważacie nas za starszych towarzyszy? Mówił mi Beridze, że front was zahartował. Szczerze mówiąc trudno to zauważyć. Radzę wam dobrze przemyśleć nasze słowa.

Załkind oddał Beridzemu scyzoryk i podniósł się.

Naczelny inżynier wstał również. Aleksiej oparł się plecami o ścianę, aby ich przepuścić. W przejściu Załkind przycisnął Kowszowa ramieniem do ściany i zażartował:

- Przyparliśmy chłopa do muru, dosłownie i w przenośni...

- Czego więc chcecie ode mnie, starsi towarzysze? - zapytał Aleksiej.

- Czego od niego chcemy, Beridze? Powiedz mu!

- Chcemy, mój drogi, żebyś przestał myśleć o wyjeździe. Przecież tak bardzo liczę na twoją pomoc! Już czas utonąć w pracy po uszy. I jeszcze jedno. Twój wyjazd miałby bardzo zły wpływ na pracowników zarządu. I tak jest tu niespokojnie. Z Batmanowem załatwię: odbiorę od niego podanie i nie będziesz musiał tłumaczyć się przed nim.

Aleksiej spojrzał uważnie na swych spóźnionych gości.

- Nie wycofuj podania, nie boję się rozmowy. Jeżeli zajdzie potrzeba, sam porozmawiam z kierownikiem budowy.

- To może być pożyteczne. - Załkind uśmiechnął się wyobraziwszy sobie prawdopodobnie ich rozmowę; mówiąc to tknął żartobliwie Aleksieja palcem w brzuch i wyszedł. Po chwili Beridze podążył za nim.

Wsłuchany w żałosny zgrzyt i pojękiwania piły w tartaku, Aleksiej zaczął układać się do snu na swym twardym łożu...

4. Wszyscy chcą wyjechać

W słoneczny, jasny dzień, w jeden z tych pięknych dni, w jakie obfituje jesień na Dalekim Wschodzie, Beridze i Kowszow wsiedli do samolotu, aby z lotu ptaka po raz pierwszy obejrzeć trasę przyszłego rurociągu. Biegła ona wzdłuż prawego brzegu rzeki, oddalając się od niej w niewielu tylko miejscach.

Z góry Adun jeszcze bardziej oszałamiał szerokością swego rozlewiska. Nieprzerwane potoki wód, widziane z góry, rozdzielały się na niezliczone odnogi, rzeka dwoiła się, troiła i mnożyła w niezliczonej ilości zatok, odlewisk i dopływów, błyszczących i iskrzących się w słońcu.

Po obu stronach rzeki, jak daleko wzrok sięgał, rozciągała się tajga - przeogromne skupisko roślinności. W jej niezmierzonych ostępach surowi mieszkańcy północy - modrzewie, gołubika[5] - sąsiadowały z wrażliwymi dziećmi Południa - drzewem aksamitnym[6] i winoroślą, a władca podzwrotnikowej dżungli, tygrys, polował na renifera.

Można by pomyśleć, że nigdy noga ludzka nie stanęła jeszcze w tych puszczach. Lecz oto nagle ukazało się pierwsze osiedle, z równym szeregiem domków i płowymi łanami zbóż. Wkrótce liczne osiedla - zagospodarowane, przyjemne dla oka przytuliska ludzkie, położone nad rzeką - coraz częściej zaczęły przesuwać się pod skrzydłami samolotu.

Trasa dwukrotnie przecinała Adun: pod Nowińskiem i w pobliżu niedużego miasta Olgochty, leżącego również nad rzeką. Nieco dalej rzeka i trasa rozchodziły się; Adun majestatycznie odpływał w prawo, trasa zaś skręcała w lewo, na północ. Zbliżała się ku morzu, ciągnąc się wzdłuż wybrzeża aż do przylądka Czongr. Tu, w najwęższym miejscu, rurociąg miał przeciąć burzliwą, dwunastokilometrową Cieśninę Dżagduńską i przez przylądek Gibielnyj połączyć się z wyspą Taisin. Szyby naftowe znajdowały się w północnej części wyspy, w rejonie miasta Konczełan i do niego właśnie należało przeciągnąć rurociąg.

Beridze był zadowolony z tego, co zobaczył. Przed kilku laty przeszedł wzdłuż i wszerz brzegi Adunu z ekspedycją naukowo-badawczą; teraz z lotu ptaka poznawał znane sobie okolice. Miał już pewne pomysły, lecz nie zdradzał się jeszcze z nimi; półsłówkami zapowiadał tylko, że wkrótce przystąpi do natarcia na Grubskiego.

---

[5] Gołubika - krzew, owoce jego przypominają czarne jagody. - Red.

[6] Drzewo aksamitne - drzewo korkowe rosnące nad Amurem i w Mandżurii (Phellodendron amurense.)- Red.

Wysiadłszy z samolotu, który wylądował na malutkim lotnisku za brzozowym zagajnikiem w pobliżu zarządu, naczelny inżynier pobiegł do gabinetu i od razu na gorąco zagłębił się w granatowe tomie rysunków, mrucząc pod nosem ulubione wiersze Majakowskiego, których wiele umiał na pamięć:

A tymczasem,
zanim ten śpiew się złoży składnie,
długo, z mozołem się łazi
i cicho brzechta się w serca bagnie
głupi karp wyobraźni[7].

Lot nad trasą wywarł na Aleksieju przygnębiające wrażenie. Nie zwrócił uwagi na wspaniały strój czarodziejki-jesieni, nie miał czasu na zachwyty. W napięciu szukał oczyma oznak gorączkowego tempa budownictwa. Niestety, były one ledwie - ledwie widoczne w postaci przesiek w tajdze, bynajmniej nie wszędzie porobionych, w postaci przeciętej miejscami drogi, po której następowały dziesiątki kilometrów bezdroża, wreszcie w postaci namiotów i nowowzniesionych budynków na działkach. Trasa jako całość istniała jedynie w wyobraźni badaczy-projektodawców, w ich wykresach i obliczeniach. Aleksiej z trwogą rzekł do naczelnego inżyniera:

- Przecież na trasie nic nie ma, po prostu pustka!

Beridze, chociaż był jak najlepszej myśli, nie potrafił go pocieszyć.

- Sytuacja jest gorsza, niż przypuszczasz, Alosza - powiedział ukazując w uśmiechu białe zęby w obramowaniu czarnych wąsów i brody. - Moim zdaniem, nie mamy w ogóle trasy. Trzeba będzie szukać nowej. Zdaje się, że dziś podczas lotu oglądaliśmy pracę, która na nic się nie przyda.

Po pamiętnej rozmowie z Załkindem w internacie Aleksiej wciąż jeszcze oczekiwał od Batmanowa odpowiedzi na swoje podanie, ale stracił nadzieję na wyjazd. Coraz bardziej pochłaniały go troski związane z budową. Dziwił go spokój Batmanowa i Beridzego.

- Jak długo Batmanow będzie się zajmował przejmowaniem budowy? - oburzał się. - Bardzo powolny ten wasz zachwalany kierownik. W zarządzie wszystko się pomieszało: i konie, i ludzie. Nie można się niczego dowiedzieć. Dawne kierownictwo nie wiadomo dlaczego nie wyjeżdża, we wszystko się wtrąca. Nowe - patrzy na to, co się dzieje, czegoś wyczekuje i nie bierze rządów w ręce!

Beridzego i Kowszowa niecierpliwiło to, że nie mają wpływu na bieg spraw. Praca nad projektem wymagała usunięcia Grubskiego, reorganizacji aparatu administracyjnego i przegrupowania ludzi.

Batmanow osadził inżynierów:

- Nie śpieszcie się, najpierw muszę przejąć gospodarkę.

Nie pozwolił im jechać na trasę; nawet się uniósł.

- Z czym, towarzysze inżynierowie, zjawicie się na trasie? Bardzo tam jesteście potrzebni z pustymi głowami i gołymi rękami! Na każdym odcinku zwalą wam na głowę tysiące spraw, których nie będziecie mogli rozstrzygnąć. Samo wyższe wykształcenie nic nie pomoże, nie potraficie dać dyspozycji, nie jesteście jeszcze gotowi. Zaczniecie się plątać, a plątaniny już i bez tego jest tam wiele. Dopiero po starannym przygotowaniu puszczę was na trasę i sam tam pojadę. Zrozumcie: w pierwszym stadium organizacyjnym każdej budowy najważniejszą pracą jest praca zarządu, sztabu.

[7] Przekład Artura Sandauera. - Red.

Jedyną sprawą, którą stanowczo i natychmiast zajął się Batmanow, było wyładowywanie materiałów, urządzeń i żywności oraz dostarczanie ich drogą wodną na wyspę i do innych odległych punktów budowy. Do zatok wyspy i do przystani w leśnych, oddalonych odcinkach można było dostać się jedynie drogą wodną, ponieważ inna komunikacja nie istniała. Należało w ciągu niewielu dni, przed zamarznięciem Adunu, przewieźć na trasę możliwie największą ilość ładunku, aby potem mniej się męczyć z transportem podczas zimy. Batmanow przycisnął więc Sidorenkę, byłego kierownika budowy, każąc mu jeździć po kilka razy dziennie na przystań, w której ładowano barki i parostatki, wykłócać się telefonicznie z miejscowym Zarządem Komunikacji Rzecznej i wysyłać dziesiątki depesz do stolicy kraju[8], Rubieżańska, oraz do Konczełanu - miasta na wyspie Tajsin.

W pozostałych sprawach Batmanow zdawał się być rzeczywiście powolny. Beridze usprawiedliwiał przed Aleksiejem to jego postępowanie i bez słowa sprzeciwu wykonywał zarządzenia kierownika budowy. Aleksieja zdumiewała ta uległość zupełnie obca charakterowi naczelnego inżyniera.

- Urabiasz sobie sąd na podstawie pierwszych wrażeń a ja znam go od dawna - mówił łagodnie Beridze. - Przyzwyczaiłem się słuchać go we wszystkim, ponieważ ufam mu. Nie zawiódł nigdy mego zaufania... Przyjrzyj mu się lepiej, a wtedy również przestaniesz zrzędzić. Ten człowiek ma system; to, co robi, zawsze ma sens. Może niekiedy woleliby, żeby kierownik latał zadyszany i wytrzeszczywszy oczy krzyczał donośnym głosem, wydając na prawo i na lewo rozkazy. Batmanow - to człowiek poważny, nie lubuje się w efektach wzrokowo-dźwiękowych.

Beridze miał rację. Władze centralne zajęły się sprawą budowy, dały nowe wytyczne i zmieniły kierownictwo. Reszta należała do nowych gospodarzy. I Batmanow słusznie pojął swe pierwsze zadanie: sprowadzało się ono do odpowiedniego nastawienia ludzi i przygotowania ich do wielkiej, trudnej pracy. Nie można było nawet myśleć o kompletnym zastąpieniu starego zespołu przez nowy - któż by tu przysłał tylu ludzi na wymianę? Pozostawała tylko jedna możliwość: stworzyć nowy zespół ze starego. Było to rzeczą beż porównania bardziej skomplikowaną, niż zacząć wszystko od początku. Batmanow musiał jak najśpieszniej poznać ludzi i rozstrzygnąć o ich losie.

Słabość zespołu wynikała z nieprzystosowania się do warunków wojny. Ludzie wiedzieli, że gdzieś bardzo daleko toczy się wojna. Wiedzieli, w imię czego się toczy, niepokoili się i wzruszali, chciwie słuchali radia, zbierali się przy mapie dyskutując o tym, co czytali i słyszeli. Lecz nie wiedzieli najważniejszego: jakie zadanie włożyła na każdego z nich wojna. Życie na budowie toczyło się nadal prawie przedwojennym trybem i wedle pokojowych norm.

Poprzedni kierownicy budowy nie potrafili stanąć na wysokości zadania i poprowadzić swoich ludzi za sobą. Trzykrotne zwiększenie tempa budowy rurociągu było ich pierwszym zadaniem wojennym. - Sprzeciwili się temu. Projekt, który powstał w czasie pokoju - obliczony na trzy lata - w dalszym ciągu obowiązywał na budowie. Wydawało im się rzeczą niemożliwą zmienić plan, ponieważ stanowił owoc wieloletniego trudu. Opracowanie nowego projektu - wedle ich obliczeń - musiałoby trwać co najmniej rok.

A co najważniejsze, poprzedni kierownicy nie wierzyli, iż budowa tak bardzo odległa od frontu i tak długoterminowa może być natychmiast potrzebna państwu. Czekali, że lada chwila Moskwa przypomni sobie o nich, odwoła j przydzieli do pracy naprawdę nie cierpiącej zwłoki.

Wyznaczenie nowego kierownictwa wywołało zamieszanie. Ludzie w zakłopotaniu garnęli się do starych władz i wielu otwarcie wyrażało swą niechęć do przybyszów. Natknąwszy się na nową przeszkodę Kowszow oburzał się:

---

[8] Kraj - nazwa wielkiej jednostki administracyjno-terytorialnej w ZSRR. - Red.

- Na co on czeka, ten nasz kierownik? Trzeba rozpędzić jak najprędzej to towarzystwo! Zapleśnieli tu! Tacy „współpracownicy” są gorsi od naszych sprzymierzeńców na Zachodzie!

- Nie unoś się, Alosza! - uspokajał go Beridze. - Nie śpiesz się! Dokąd się śpieszysz? Czasu starczy, zobaczysz! Zapleśniałych pozostaw Batmanowowi i Załkindowi.

Pracownicy zarządu zachowywali się różnie. Kierownik wydziału planowania, Grieczkin, nie czekając na wezwanie sam przyszedł do Batmanowa. Przedstawiwszy się otworzył teczkę i zaczął rzeczowo referować stan robót na budowie. Batmanow ze swej strony przyjął sprawozdanie z taką miną, jakby słyszał Grieczkina już wiele razy.

- W ostatnim czasie amortyzacji kapitału w postaci wykończonych robót prawie nie mamy - zakończył Grieczkin wskazując ołówkiem na rozłożone przed Batmanowem sprawozdania. - W takim wypadku my, ekonomiści, wyciągamy wniosek o bankructwie organizacji. Ludzie otrzymują pieniądze, jedzą, piją, coś tam robią, krzątają się, ale nic z tego nie wychodzi. Budowa znalazła się w ślepym zaułku.

- Czy to są ostatnie dane? - zapytał Batmanow przeglądając raporty.

- Szczerze mówiąc stare, mają już długą brodę. Otrzymuję je pocztą. Dostarczane są, jak się da, nawet na psach. Przy okazji chcę się od razu poskarżyć. Nie można pracować bez łączności telefonicznej! Poprzedni naczelny inżynier z niewiadomych powodów uważał, że telefon potrzebny mi jest jedynie do otrzymywania raportów z trasy. Sam radził sobie bez jakiejkolwiek łączności.

Batmanow z góry przewidując odpowiedź zapytał:

- Czy również macie zamiar stąd wyjechać?

- Jeżeli mnie wypędzicie, to wyjadę - nie namyślając się odpowiedział Grieczkin.

Kierownik budowy przypatrywał mu się z zainteresowaniem. Postać Grieczkina wywoływała uśmiech u ludzi, którzy go nie znali. Mały wzrost i krótkie grube nogi nie harmonizowały z barczystym korpusem i wielką głową. Pełna twarz z mięsistą brodawką na podbródku była brzydka. Grieczkin mówił z wielką powagą, akcentując „o” po nadwołżańsku i otwierając szeroko zielonożółte, kocie oczy.

- Macie dzieci? - wypytywał Batmanow.

- Czworo.

- Kiedyż zdążyliście? Nie macie pewnie więcej niż trzydzieści lat.

- Trzydzieści pięć. Nie umiem, towarzyszu kierowniku, wyrzec się dziecka. Zjawiają się jedno po drugim, co z nimi robić?

- Ą więc nie chcecie wyjeżdżać z powodu dzieci - stwierdził Batmanow. Słowa jego brzmiały jak wymówka.

- Nie ma w tym nic dziwnego. Dzieci to nie kocięta - powiedział Grieczkin z odcieniem urazy. - Nie łatwo jeździć z nimi z jednego krańca na drugi. Jedno straciłem w ten sposób: w drodze przeziębiło się i umarło. Jeżeli jednak trzeba będzie, to nie zlęknę się jazdy nawet z całą rodziną. Dzieci mam silne, a Lizoczka, moja żona, przyzwyczajona jest do podróżowania. Tylko przykro wyjeżdżać stąd nic nie osiągnąwszy. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się porzucać nie skończonej roboty. Pracowałam przy dwóch budowach na Dalekim Wschodzie i za obie otrzymałem podziękowanie od rządu. - Zmrużył oczy, spojrzał na Batmanowa i zapytał naiwnie:

- No, a teraz ruszą nasze sprawy czy nie?

- Myślę, że ruszą - Batmanow uśmiechnął się. - Macie odznaczenia?

- Dwa medale: „Za wydajną pracę” i „Za ofiarną pracę”.

Batmanow wyobraził sobie medale na szerokiej piersi Grieczkina i znów się uśmiechnął.

- Umówimy się tak - Batmanow wstał. - Zapoznacie mnie ze wszystkimi pracownikami waszego oddziału; chcę zobaczyć, co to za ludzie. Z raportami o przebiegu prac będziecie przychodzili codziennie rano. Przeróbcie te płachty, będzie tu ze trzy pudy cyfr. - Batmanow jak gdyby ważąc podniósł paczkę tablic, zawierających dane dotyczące wykonania planu.

- Trzeba je uprościć, aby były zwięzłe i jasne. Przemyślcie wasze codzienne raporty, nie ma w nich rzeczowej analizy, a powinna być. Później zorganizujemy służbę łączności. Sądzę, że będzie ona w waszych rękach. Myślę w ogóle o tym, aby rozszerzyć zakres obowiązków oddziału. Oczywiście - stopniowo... Obecnie - macie zupełną rację - brak łączności jest najbardziej przykry. Bez niej jesteśmy ślepi i głusi. Przyzwyczaiłem się mieć tu - uderzył głośno w szklaną taflę pokrywającą blat biurka - selektorowy aparat telefoniczny. Muszę bez przerwy słyszeć trasę i mieć możność rozmawiania z nią w każdej chwili.

Batmanow wyciągnął rękę na pożegnanie, planista uścisnął ją gorąco. Tym uściskiem dłoni zdawali się „przybijać” umowę przyszłej współpracy.

W poczekalni kierownika siedzieli pracownicy wezwani przez Batmanowa. Pokrywając żartami zmieszanie i niepewność, spoglądali na drzwi prowadzące do gabinetu.

- No, cóż tam? - zwrócił się jeden z nich do wychodzącego Grieczkina. - Spociłeś się? Gorąco ci było?

Grieczkin spojrzał na nich wyzywająco, wybałuszył oczy i szepnął drwiąco:

- Dla mnie fraszka, pocę się z zadowolenia. Ale wam będzie zimno, zmarzniecie; krucho z wami! Dał Bóg kierownika - jak brzytwa! Sam mydli, sam goli…

Nic więcej nie dodał, tylko skrywając uśmieszek oddalał się niedźwiedzim krokiem w swoich za dużych i zniszczonych butach.

Batmanow i Załkind wzywali kierowników wydziałów wraz ze wszystkimi ich podwładnymi. Najpierw kierownicy referowali pracę zespołów, a następnie każdy z pracowników opowiadał o swojej pracy. Zadawano im pytania, które nieraz wydawały się dziwne i niedelikatne, wywołujące uśmiech lub rumieniec...

Beridze, który często wpadał do kierownika budowy, śmiejąc się opowiadał Kowszowowi treść rozmowy Batmanowa z jednym z kierowników wydziału.

- Ten bezczelny jegomość był nadęty jak pęcherz od rozpierającej go własnej godności. Ale w ciągu trzech minut wrócił do swojej właściwej miary. Batmanow dowiedział się, że to z zawodu szofer, więc powiada: „Nie przejąłem jeszcze całkowicie budowy, lecz gdy tylko to zrobię, natychmiast dam robotę, która wam się należy: dostaniecie samochód i pojedziecie na trasę. Złym kierownikiem może być każdy, a dobrego szofera trzeba szukać. Tymczasem wyciągnijcie na światło dzienne wasze prawo jazdy i bądźcie gotowi do wyjazdu”.

Nagle Beridze przypomniał sobie:

- Ach, prawda, kazał cię przysłać. Idź do niego.

Schodząc z trzeciego piętra na drugie Kowszow obmyślał, w jaki sposób ma bronić swego podania. Nie miał jednak okazji do obrony... bo Batmanow, sucho odpowiedziawszy na jego powitanie, rzekł:

- Towarzysz Załkind i ja zapoznajemy się z ludźmi. Usiądźcie i posłuchajcie.

Batmanow stał przy drzwiach balkonowych w blasku promieni słonecznych wpadających do gabinetu przez wielkie szyby drzwi i cztery okna dużego gabinetu. Załkind siedział za długim konferencyjnym stołem przysuniętym do biurka. W milczeniu wskazał Aleksiejowi miejsce obok siebie.

- Proście następnego - wydał polecenie sekretarzowi.

Wszedł wysoki człowiek o chudej twarzy.

- Inżynier Filimonow - wycedził lakonicznie.

- W jakim wydziale pracujecie? Dlaczego przyszliście sami? Gdzie reszta pracowników? - zapytał Batmanow.

- Nie pracuję w żadnym wydziale, pracuję sam. Sprawuję funkcję inżyniera transportu. Podlegam bezpośrednio naczelnemu inżynierowi - Filimonow odpowiadał z widoczną niechęcią.

- Kiedy ukończyliście instytut?

- W 1938.

- Z instytutu trafiliście wprost na Daleki Wschód?

- Tak. Pracowałem przy budowie dróg w charakterze inżyniera mechanika.

- Skąd pochodzicie?

- Z Zagłębia Donieckiego. - Filimonow uśmiechnął się. - Te wszystkie dane są w aktach personalnych.

- Przykro wam odpowiadać? - zapytał żywo Batmanow. - Na razie zadawałem wam pytania, które nie mogły was obrazić ani formą, ani treścią. Chciałbym jednak postawić wam bardziej drażliwe pytania. Niektóre sprawy musimy poruszyć na samym wstępie. Otóż Sidorenko wspomniał mi o waszej prośbie, lecz nie mam zamiaru puszczać was na zachód. Czy będziemy dalej mówić na ten temat?

Filimonow wzruszył ramionami. Batmanow rzucił bystre spojrzenie na Kowszowa, pochylonego nad stołem.

- Powiedzieliście, że pełnicie funkcję „inżyniera transportu". Czy macie inny punkt widzenia, gdy chodzi o tę funkcję? Odpowiedzcie mi na takie niedelikatne pytanie: czym właściwie zajmowaliście się tutaj od początku wojny?

Batmanow prowadząc rozmowę nie odrywał wzroku od twarzy rozmówcy. Nie miał maniery, jakże często spotykanej u wielu przełożonych, załatwiania interesantów w roztargnieniu, przy jednoczesnym bezmyślnym grzebaniu w papierach.

- Trudno mi odpowiedzieć na wasze pytanie - odrzekł Filimonow. - Trzeba by albo rzucić parę zdawkowych słów, albo powiedzieć bardzo wiele.

- To już jest wasza sprawa. Odpowiadajcie, jak uważacie za właściwe. Nie będę ukrywał, że wolałbym wyczerpującą relację.

Po chwili milczenia Filimonow wypowiedział się otwarcie i ostro, bez ogródek i prób usprawiedliwiania siebie. Kierownik podparłszy głowę dłonią, słuchał uważnie. Telefon na biurku zadzwonił dwukrotnie, lecz Batmanow nie podniósł słuchawki.

Nie lubił siedzieć za biurkiem. Najczęściej przechadzał się po gabinecie albo przysiadał gdzieś z boku. Widocznie ogromne biurko z ciężkim marmurowym kałamarzem, przedstawiającym grupę lwów wśród skał, przeszkadzało mu. Teraz wstał z fotela i przysiadł się bliżej do Załkinda i Kowszowa.

- Pozwolicie, że wyciągnę wniosek z waszych słów - zwrócił się do Filimonowa i po przerwie mówił dalej, zmieniając z lekka ton: - Powiedzieliście: „Jestem niezadowolony ze swej pracy na budowie. Podczas wojny chciałoby się pracować i więcej, i lepiej. Nie wiem jednak, czy warto zajmować się naszą budową. Od pierwszych dni wojny wszyscy czekali tutaj na rozkaz przerwania robót, czekałem i ja. Tkwię tu prawem bezwładności wraz z innymi. Moja bezczynność jest właściwa całemu zespołowi. Prosiłem uczciwie o wysłanie mnie na front i proszę o to teraz”. Czy to wszystko?

- Chyba wszystko - potwierdził Filimonow. Był blady, zdenerwowany rozmową. - Może rozumowałem niewłaściwie, nie wiem jednak, gdzie jest początek, a gdzie koniec mojego błędu?

- Pomogę wam znaleźć początek i koniec waszego błędu - obiecał Batmanow. - Nie w słowach jednak. Nie będziemy już więcej rozmawiali na ten oderwany temat.

- A więc zostawiacie mnie na budowie? Czy tak mam was rozumieć? - zapytał Filimonow. - Czym wobec tego mam się zająć?

Batmanow wstał. Podniósł się i Filimonow. Batmanow przeszedł się do okna i z powrotem. Zielony chodnik tłumił jego kroki.

- Mam zamiar wprowadzić pewne zmiany w strukturze zarządu, muszę przede wszystkim zorganizować nowy, duży wydział samochodowo-mechaniczny. Co o tym myślicie?

- Jest to bezwzględnie słuszna decyzja - od razu zgodził się Filimonow.

Batmanow i Załkind spojrzeli na siebie.

- Mówiono mi, że kiedyś domagaliście się utworzenia takiego wydziału.

- Owszem, domagałem się. Nie można przecież budować rurociągu, nie wyrąbawszy przedtem drogi przez tajgę i nie zorganizowawszy transportu. Zanim zacznie się spawać rury, trzeba najpierw pomyśleć o rozwiezieniu ich wzdłuż trasy. Mamy wiele aut i ciągników, lecz są bez nadzoru. Tak zwany inżynier transportowy - sam jeden - mógł radzić sobie jedynie ze statystyką i wykazami. Nie udało mi się przekonać zarządu o tej prostej prawdzie.

- Dlaczego? - zainteresował się Załkind.

Filimonow zmieszał się:

- Propozycję moją wzięto za próbę stworzenia wydziału dla siebie, w celu uzyskania awansu. Kierownik budowy powiedział: „Podwyższę wam pensję bez zwiększania etatów, po co bez sensu mnożyć wydziały?”

- Będziecie musieli stworzyć wydział i pokierować jego pracą. Nie można zostawić transportu samochodowego i maszyn bez gospodarza - powiedział Batmanow. - Postanowiłem mianować was kierownikiem tego nowego wydziału.

Filimonow zmienił się na twarzy, podłużne bruzdy na jego policzkach i koło ust zarysowały się ostrzej.

- Dotychczas nie wykazałem się niczym osobliwym. Nie wiem, czy stanę na wysokości zadania, czy nie zawiodę? To sprawa poważna, wolałbym raczej zostać zwykłym pracownikiem wydziału.

Batmanow obszedł długie biurko i zbliżył się do inżyniera.

- W aktach wydziału personalnego, do których odsyłaliście mnie, jest mowa o tym, że kierowaliście biurem transportu samochodowego. Jest tam jeszcze coś więcej: zajmowaliście się mechanizacją pracy na pewnej budowie.

Inżynier zrobił ruch ręką, lecz Batmanow uprzedził jego sprzeciw:

- Chcecie powiedzieć, że skala naszej budowy jest stokroć większa. Ale człowiek powinien iść właśnie od mniejszego do większego. Wyznam otwarcie: wymagać będę od was bardzo wiele. Za to staje przed wami możliwość odrobienia zaległości.

- Pomyślę nad tym - rzekł Filimonow.

Batmanow roześmiał się cicho. Uśmiech dodawał mu uroku; surowa twarz kierownika od razu stała się łagodniejsza i jakaś bliższa.

- Nie zrozumieliście mnie, towarzyszu. Nie mam zamiaru wracać jeszcze raz do sprawy waszej nominacji. Nie macie nad czym myśleć: wasza nominacja to fakt dokonany. Pomyślcie raczej nad tym, aby jak najprędzej skompletować wydział.

Filimonow popatrzył na Batmanowa, na Załkinda, na Kowszowa, którzy bacznie go obserwowali, i powiedział dobrodusznie:

- Zwrot o sto osiemdziesiąt stopni!... Dostanie mi się teraz od żony! Sprzedała już bowiem kury i naczynia kuchenne.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Filimonow odszedł skupiony i poważny.

W gabinecie rozległ się dzwonek telefonu międzymiastowego. Batmanow podszedł do aparatu. Przysłuchując się jego odpowiedziom Załkind zgadywał:

- Na pewno dzwonią z Rubieżańska albo z Krajowego Komitetu Partii, albo - pełnomocnik Komitetu Obrony Państwa...

Batmanow musiał krzyczeć w słuchawkę. Sprawiało mu to widocznie trudność - głos jego załamywał się.

- Podczas wyborów do Rady Najwyższej Republiki musiał często występować przed wyborcami - wyjaśnił Załkind. - Przemawiał na placu miejskim, w fabryce wagonów, przy budowie mostu, nad rzeką. Był silny mróz - kierownik zerwał sobie głos.

- Po co macie tu przyjeżdżać? Sam sobie dam radę! - krzyczał Batmanow. - Przejmowanie ma się ku końcowi. Im prędzej wyjedzie, tym lepiej. Mówię, że tym lepiej, im prędzej on wyjedzie. Krępuje mnie, nie mogę z nim prowadzić wojny podjazdowej o byle drobiazg! Czeka na rozkazy z Moskwy! Powiadam, że czeka na rozkazy - dokąd ma jechać. Jest rozkaz? Proszę więc depeszować pod jego adresem.

Rozmowa telefoniczna przeciągała się. Zaczerwieniony z wysiłku Batmanow donosił o wysyłce materiałów i żywności na odcinki. Postukiwał przy tym niecierpliwie obrączką ślubną o szkło przykrywające blat biurka.

Kowszow, krytycznie obserwujący kierownika, dawno już zwrócił uwagę na tę obrączkę.

- Czy nie wydaje się wam dziwny ten przestarzały symbol małżeństwa u komunisty Batmanowa? - zapytał Załkinda. - Czyżby kierownik brał ślub w cerkwi?

- Jego obrączka nie jest związana z cerkiewnym obrządkiem. Nieraz musiał mieszkać z żoną oddzielnie, rozstawali się często. Kiedyś umówili się, że będą nosić obrączki; Batmanow mówi żartem, że to pomaga im myśleć o sobie. Żartuje i nie zdejmuje.

- Zdaje się, że miał rodzinę na Krymie? - przypomniał Aleksiej.

- Gdzie ona jest teraz? Krym odcięty...

- Od Anny Iwanowny nie ma żadnych wiadomości. Batmanow znikąd nie może się dowiedzieć, czy wyjechała czy została. Jedyna nadzieja w tym, że Anna jest kobietą energiczną i da sobie radę.

Aleksiej spojrzał z mimowolną sympatią na Batmanowa.

- Jak się wam podobał Filimonow? - zapytał Załkind.

- Na pewno od razu okaże się człowiekiem na właściwym miejscu, nikt nie usłyszy od niego słowa skargi - odpowiedział Kowszow z przekonaniem. - Jednakże takich jak on mało jest w zespole. Większość to żubry w rodzaju Grubskiego lub kierownika zaopatrzenia, Libermana. Batmanow robi z nimi ceregiele niepotrzebnie. - Marszcząc brwi dodał żartobliwie:

- Należałoby ich związać jednym sznurem i do Adunu. Niechaj będzie mniej ludzi, ale za to atmosfera się oczyści.

- Utopić w Adunie? - zapytał Załkind. - To byłoby marnotrawstwo...

- Wojna ukazuje istotną wartość ludzi. Obecnie, gdy żąda się od człowieka największego wysiłku, wychodzi na jaw rzeczywista wartość każdego - kontynuował Aleksiej. - Dziś należy być bardziej surowym wobec ludzi. Przyznam się, że nie ze wszystkiego jestem zadowolony... Są tu i mali ludzie. Ćwierć wieku przeżyli w kraju socjalizmu, ale cech socjalistycznych mają jakoś niewiele. Nie widzę nic z socjalizmu w Libermanie. Albo - Topolew... Gdy mi powiedziano, że pracuje tutaj, ucieszyłem się. Poważny inżynier, w instytucie stawiano go nam za wzór. A w rzeczywistości, jak widzę - jawny sabotażysta. Przeżył dziadyga wśród nas tyle lat bez najmniejszego pożytku.

Słowa inżyniera zdziwiły Załkinda. Przestał przysłuchiwać się rozmowie telefonicznej Batmanowa i uważnie popatrzył na Aleksieja.

- Wszystko bez różnicy zwaliliście na kupę! Trzeba będzie teraz na nowo segregować - Załkind zaciągnął się głęboko papierosem i wypuścił kłąb dymu. - Wartości człowieka uwydatniają się teraz jaskrawiej, to prawda. Powiedzmy, że odbywa się ewakuacja miasta, a jakiś komunista i kierownik, a raczej człowiek uważany za komunistę i kierownika ucieka pierwszy, pakując na służbowe auto własne graty, wówczas gdy dzieci i kobiety zostają pod bombami. Taki człowiek nie jest ani komunistą, ani kierownikiem; jest gorszy od wroga. Udało mu się przystosować, przez dwadzieścia pięć lat ukrywał swoją podłą duszę i obnażył ją dopiero w krytycznym momencie, gdy ogarnął go strach o własną skórę. Tacy ludzie wypływają na powierzchnię jak gnój. Można zastosować do nich słowa Dantego: „Oni nie są warci słów! Spójrz, spluń i – przejdź dalej”... Zaznaczam, że słowo „spluń” dodałem, żeby było mocniej... I tułaj znaleźli się ludzie, a wśród nich także kierownicy i komuniści, którzy w przewidywaniu trudności zaczęli robić zapasy na rok i dłużej. Wiadomo, co o takich sądzić. Lecz mogą być okoliczności i postępki innego rodzaju, bardziej skomplikowane. Nie znam dobrze Libermana, Topolewa i innych ludzi z zarządu. Niemniej czuję, że wasza opinia o nich jest niesprawiedliwa i na pewno w przyszłości ulegnie zmianie, kiedy zespół nasz okrzepnie i wszyscy

znajdą się na właściwych miejscach. Czasem sądzimy ludzi na podstawie przypadkowych cech albo pod wpływem nastroju.

Załkind zaciągnął się kilkakrotnie papierosem. Palił namiętnie i dużo. Aleksiej ręką odpędzał dym.

- Wasze słowa obracają się przeciwko wam samym. Nie dostrzegacie tego? - ciągnął dalej partorg. - Powiedzcie bez obrazy... czy na podstawie waszego zachowania się tutaj nie można wyrobić sobie o was ujemnej opinii? Jesteście przecież komunistą i powierzono wam nie byle jakie stanowisko.

Kowszow opuścił głowę i mruknął głucho:

- Teraz przy każdej okazji będziecie mnie bić po twarzy pięścią owiniętą w moje podanie. Czy naprawdę tak trudno zrozumieć właściwie moją prośbę?

- W każdym razie ja i Beridze zrozumieliśmy was dobrze. Na pewno i Batmanow myśli tak samo. Nie miałem najmniejszego zamiaru bić was pięścią, po prostu przytoczyłem wasz własny przykład jako najbardziej przekonywający. Nie godzi się sądzić człowieka pośpiesznie, nie poznawszy go dokładniej. Jesteście, jak się zdaje, niezgorszym człowiekiem i umiecie pracować. A przecież na pewno znajdzie się inny młody człowiek, któremu się nie podobacie. Wyrobi sobie o was fałszywe pojęcie i będzie was klął w żywe kamienie. Nie każdy ma prawo sądzić drugiego człowieka...

- Ja nie mam prawa sądzić? - obruszył się Kowszow.

Załkind pogroził mu palcem:

- Nie komplikujcie zagadnienia. Powiem krótko: wspomnieliście o surowym stosunku do człowieka. Myślę, że mamy prawo ustosunkować się do was surowiej niż, powiedzmy, do Topolewa czy do Libermana. Mamy prawo czy nie?

- Macie - zgodził się Kowszow.

- Ach, jakże skomplikowany jest człowiek! - Załkind stwierdził to bez najmniejszego rozgoryczenia, przeciwnie, z zadowoleniem! - Zły jestem na siebie, że dawniej tego nie doceniałem. Przyznaję szczerze, że niektórych ludzi znałem tylko z życiorysów, z ich przemówień na obradach, z krótkich spotkań w fabryce, w gabinecie czy na budowie. Zdawało się, że te dorywcze wrażenia dają dostateczną podstawę do wydawania stanowczych i ostatecznych ocen: człowiek dobry, uczciwy, wypróbowany, nadający się na dane stanowisko, albo też odwrotnie - zły, nieuczciwy, nieodpowiedni. A tymczasem nie tak to łatwo wniknąć w duszę człowieka. Doprawdy, nieraz żałuję, że tyle czasu marnowało się na różne zebrania i inne ogólne sprawy.

Na ulicy pod oknem warczał samochód. Hałas przeszkadzał Batmanowowi. Z niechęcią spoglądał na okna i ochrypniętym głosem powtarzał każde zdanie po dwa-trzy razy.

- Jasne jest dla każdego, że dla olbrzymiej większości ludzi żyjących w naszym kraju ta ćwierć wieku nie przeszła bez śladu. - Załkind mówił prawie szeptem, pochyliwszy się w stronę Kowszowa, aby nie przeszkadzać Batmanowowi. - Nie ulega wątpliwości, że treść duchowa narodu wzbogaciła się niebywale. Świadczy o tym stosunek każdego obywatela do wojny. Wszyscy rwą się na front. I nawet w wypadku, kiedy rozumują mylnie, mają intencje szlachetne: pragną dobra ojczyzny, a nie swego. Byłoby nawet śmieszne porównywać radzieckich ludzi z ludźmi świata kapitalistycznego, czy nie tak?

- Słusznie - potwierdził Kowszow.

- A więc nie należy robić wielkich oczu, kiedy dostrzeże się w ludziach wady. Cóż tu mówić, nawet nasi najlepsi ludzie dalecy są od doskonałości. To są rodzime ślady kapitalizmu - wodą nie można ich zmyć.

Przecież uczono nas, że człowiek ostatecznie uwolni się od balastu przeszłości dopiero w okresie komunizmu. Wy znaleźliście nowy sposób: topienie rodzimych pozostałości kapitalizmu w Adunie. Sposób przyśpieszony, ale zupełnie niewłaściwy. Wraz z przeżytkami rodzimymi mogą utonąć również ludzie.

Załkind zaśmiał się zasłaniając usta dłonią. Batmanow oderwawszy się wreszcie od aparatu, ocierał twarz chustką. Zapytał z zainteresowaniem:

- Cóż to za szepty i śmiechy?

- Mówiliśmy o Filimonowie i w ogóle o tutejszych ludziach - rzekł Załkind.

- Tak, jest tu wielu ludzi wartościowych i można będzie stworzyć dobry kolektyw - z przekonaniem odpowiedział kierownik budowy.

Załkind w milczeniu popatrzył na Aleksieja. Batmanow zajrzawszy do leżącej przed nim listy oznajmił:

- Następna rozmowa - z Rogowem. Dzwonił do mnie onegdaj i żądał, abym natychmiast zwolnił go z budowy. Dosłownie, tak właśnie powiedział: „Żądam!"

Rogow, kierownik wydziału administracyjno-gospodarczego, wszedłszy do Batmanowa, od razu napadł na niego:

- Dlaczego zabroniliście wydania mi pisma zwalniającego? Kierownik budowy Sidorenko zwolnił mnie. Jak długo chcecie mnie męczyć? - Rogow mówił donośnym, ochrypłym głosem, prawie krzyczał: - Zrozumcie, że obrzydło mi ciągłe zajmowanie się remontem mieszkań, opałem, sprzątaczkami i maszynami do pisania. Weźcie sobie do tej roboty inwalidów! Od pierwszego dnia wojny proszę, domagam się, aby skierowano mnie do Komisariatu Wojskowego. Pojadę na front, będę walczyć, będę się czuł człowiekiem! Przecież to wstyd, do diabła, chodzić tu z napchanym brzuchem i załatwiać te drobiazgi służbowe. Mam wspaniałe zdrowie, mogę być dowódcą liniowym. Jeśli od was zależy, proszę, nie stawiajcie przeszkód.

Rogow wygarnął to wszystko jednym tchem. Słuchając go Batmanow spoglądał to na niego, to na Kowszowa. Na Aleksieju Rogow wywarł silne wrażenie. Blade policzki inżyniera zaróżowiły się, wargi zaczęły drgać. Batmanow pomyślał o nim: „Chłop jak szkło, można go przejrzeć na wylot".

Rogow podobał się Batmanowowi. W duchu kierownik zadecydował już o jego losie. „Taki może poruszyć góry! Trzeba mu tylko dać najtrudniejszy odcinek i dużo samodzielności. Sidorenko popełnił błąd marynując go w kancelarii. On w administracji - to jak słoń w składzie porcelany". - Ze spojrzenia Załkinda Batmanow wywnioskował, że są o Rogowie jednej myśli.

- To wszystko? - zapytał, gdy Rogow urwał w połowie zdania. - Teraz ja wam odpowiem. Rzeczywiście, ode mnie zależy, czy zostaniecie zwolnieni czy nie. Ale ja was nie zwolnię!

- Dlaczego? - zapytał Rogow z irytacją.

Temu barczystemu, jakby z żelaza odlanemu człowiekowi trudno było zapanować nad swą siłą. Wskutek gwałtownego ruchu ręki bluza, jak gdyby przyklejona do jego ciała, zatrzeszczała.

- Jesteście potrzebni tutaj.

- Jakże prędko decydujecie! Czyż naprawdę wszystko widzicie z waszej... - nie dokończył i machnął ręką.

- Dzwonnicy? - dokończył za niego Batmanow. - Tak, daleko widzę z mojej dzwonnicy. Powierzono mi kierowanie ludźmi na budowie. A wy z jakiej dzwonnicy spoglądacie? Kto dał wam prawo rozporządzania swoją pracą w czasie wojny?

- Czy nie mam prawa rządzić sobą? - zawołał Rogow. - Dążenie moje jest zupełnie uprawnione: pragnę pomóc ojczyźnie w ciężkiej dla niej chwili!

- Ojczyzna potrzebuje innej pomocy niż ta, jaką wy proponujecie. Teraz ważny jest dla nas porządek i stalowa organizacja zaplecza. Jeśli każdy będzie chciał chodzić własnymi drogami - przepadniemy. Sądzicie, że ja nie chcę pomóc ojczyźnie w ciężkiej dla niej chwili? Myślicie, że z chęcią jechałem tu - w kierunku przeciwnym niż front? A może uważacie siebie za jedynego przyzwoitego człowieka na tyłach?

- Nie mogę pracować tutaj, męczę się tylko! Muszę we własne ręce dostać faszystę. Nalegam, puśćcie mnie!

- Nie puszczę. Nie radzę wam nalegać. Mogę wam tylko obiecać najtrudniejszy i najważniejszy odcinek na trasie. Bedzie tam ciężko, bardzo ciężko. Nie łatwiej niż naszym towarzyszom w boju. Wszystkie wasze siły pochłonie praca, bez reszty, może wam nawet ich nie starczy. I jeszcze jedno wam przyrzekam: jeśli tu, na Dalekim Wschodzie, rozpocznie się wojna, to pierwszego dnia puszczę was do wojska.

- Niesłusznie postępujecie! - opierał się Rogow.

Batmanow gniewnie się zmarszczył.

- Tylko dlatego, że jest to nasze pierwsze spotkanie, pozwalam wam rozmawiać ze mną tym rubasznym, kawaleryjskim stylem. Zapamiętajcie sobie na przyszłość: mniej wykrzykników!

Przeszedł się po wysłanej dywanem podłodze.

- Wyobraźmy sobie, że sam towarzysz Stalin powiedział do was: „Jest nam potrzebny rurociąg naftowy, musicie go zrobić jak najszybciej”. Czy i jemu odpowiedzielibyście: „Niesłusznie”?

Rogow milczał. Ale widać było, że w duszy jego rozgrywa się walka. Kowszow wzburzony, jak gdyby to nie Rogow, ale on sani prowadził ten spór, podniósł wzrok na kierownika i krew uderzyła mu do twarzy. Batmanow uparcie patrzył nie na Rogowa, lecz właśnie na niego, na Aleksieja.

Podczas rozpaczliwych ataków Rogowa i surowych odpowiedzi Batmanowa Aleksiej z trudem hamował się, żeby nie stanąć w obronie Rogowa, a tym samym i w swojej własnej. Był przekonany, że kierownik nie potrafi sprzeciwić się szlachetnemu porywowi tego człowieka, pragnącego stawić czoło niebezpieczeństwu. Gorące słowa paliły mu wargi, ale nie wypowiedział ich. Roztopiły się pod spojrzeniem Batmanowa, które przeszyło go do głębi duszy.

- Towarzysz Stalin nie może każdemu człowiekowi osobiście wskazywać miejsca w walce - ciągnął Batmanow przenosząc wzrok z Rogowa na Kowszowa. - Ma on miliony żołnierzy. Rozporządzą nimi poprzez właściwe organizacje, za naszym pośrednictwem, tj. kierowników poszczególnych odcinków pracy. Towarzysz Stalin podpisał rozkaz wyznaczający mnie na to stanowisko, tym samym dał mi prawo rozporządzania wami.

Na podwórzu zawyła syrena. Rogow zaniepokoił się.

- Alarm, muszę lecieć. Proszę was, towarzyszu kierowniku, dajcie mi taką pracę, żeby aż kości trzeszczały! Diabli wiedzą, co mi nieraz przychodzi do głowy, miejsca sobie znaleźć nie mogę. Bez prawdziwej pracy czuję się jak ostatni łajdak.

Batmanow skinął głową na znak zgody i Rogow wybiegł. Kierownik popatrzył w okno: przechodnie rozpierzchli się we wszystkie strony. Przed budynkiem zarządu ustawiała się drużyna obrony przeciwlotniczej. Obok jakaś dziewczyna w pośpiechu wciągała na siebie zielony, nagumowany kombinezon. Nad błyszczącym zagajnikiem nisko przeleciały trzy samoloty.

- A co zrobimy z tym gorącym młodzieńcem? - zwrócił się Batmanow do Załkinda. - Chyba puścimy go, żeby nie jęczał dłużej?

Nie patrzył na Kowszowa. Aleksiej podszedł do niego.

- Proszę o zwrot mego podania!

- Nareszcie mądre słowa! - pochwalił Załkind. - Będę musiał przestać uważać go za wroga i zaliczyć do grona przyjaciół.

Batmanow wziął ze stołu podanie Aleksieja, spojrzał na nie z uśmiechem i schował do safesu.

- Okazuje się, że ja jestem bardziej zawzięty. Nie zwrócę wam podania. Mam zwyczaj zbierania ciekawych papierków. Wasze podanie pójdzie do tej kolekcji. Wybiorę chwilę, kiedy autor jak najmniej będzie pragnął przyznać się do swego artystycznego utworu, wtedy dopiero wyjmę je ze zbiorów i zwrócę...

Po wyjściu Kowszowa Batmanow i Załkind długo jeszcze rozmawiali o nim, o Rogowie i o innych ludziach, których ostatnio poznali.

- Trudno ich utrzymać, rwą się na front - mówił w zamyśleniu Batmanow. - Wojna szybko uzupełni ich wychowanie. Pojęcie walki w obronie ojczyzny i komunizmu stało się dla nich teraz bardziej konkretne niż kiedykolwiek przedtem. Zrozumieli chłopcy, jaką wartość ma radosne życie na ziemi radzieckiej - zrozumieli teraz, gdy faszyści dokonali na nie zamachu. I jedno tylko ich wciąż niepokoi, żeby nie pozostali na boku! Patrzę na Rogowa, na Kowszowa i myślę, że właściwie należałoby ich zwymyślać, wygrzmocić dla zasady, a ma się ochotę uścisnąć ich dłonie i pobłogosławić: „Idźcie na front, bijcie najeźdźców!” Szlachetnych ludzi wychowała władza radziecka, Michale Borisowiczu. Chwała jej!

Stali przy mapie. Czarne chorągiewki, oznaczające pozycje nieprzyjaciela, przysunęły się tuż nad samą Moskwę.

- Przesuń chorągiewkę, Wasiliju Maksimowiczu. Wczoraj nasze wojska wycofały się z Orła...

Milczeli obaj, nie mając siły oderwać wzroku od mapy, od tego abstrakcyjnego obrazu nieszczęść, które spadły na ojczyznę.

5. Spadek został przejęty

Przyszła kolej na Grubskiego i Topolewa. Batmanow poświęcił im cały wieczór. Były naczelny inżynier składał sprawozdanie przez bite trzy godziny. Siedział wyprostowany, prawie się nie poruszał i tylko mówił, mówił równym głosem, co chwila zwilżając językiem wysychające, cienkie wargi.

Batmanow w ulubionej pozycji, z głową opartą na ręce, słuchał nic przerywając. Gdy papieros gasł, zapalał go na nowo. Szare, uważne oczy kierownika pilnie obserwowały referującego - jego twarz wąską, z ostrym, ptasim nosem.

Topolew, wysoki, kościsty starzec z szarozielonkawymi wąsami, nie powiedział ani słowa w ciągu całego wieczoru. Wielkie, nabrzmiałe powieki opadały na surowe, bezbarwne źrenica Miało się wrażenie, że drzemie. Chwilami starzec ożywiał się: wyjmował z kieszeni czerwoną chustkę i głośno wycierał nos, po czym brał ze srebrnej tabakierki wielką szczyptę zielonej tabaki i pociągał hałaśliwie szerokimi nozdrzami. Batmanow z boku z zaciekawieniem przyglądał się tej procedurze.

Grubski, zmęczony, z trudem poruszał językiem, lecz Batmanow nie przerywał mu. Wreszcie inżynier skończył. Wtedy kierownik w kilku słowach zreasumował jego długie sprawozdanie:

- Z tego, co powiedzieliście, wynika: po pierwsze, że nowy termin ukończenia budowy jest nierealny; po drugie, że przyjęty projekt rurociągu jest najlepszy ze wszystkich możliwych, ponieważ inne warianty odpadły w czasie badań. Czy taki jest wasz ostateczny wniosek?

- Właśnie taki - zgodził się Grubski. - Uważam za swój obowiązek jeszcze raz...

Batmanow po raz pierwszy przerwał mu:

- Nie trzeba jeszcze raz. Słyszałem już i czytałem wasze zastrzeżenia i zrozumiałem was dobrze. A wy, towarzyszu Topolew, nic mi nic powiecie?

Starzec wstał uniósłszy nieco ramiona.

- Piotr Jefimowicz Grubski zreferował wam wszystko dokładnie i wyraźnie, nie potrafię powiedzieć lepiej. Wspólnie wyznaczyliśmy bieg trasy, wspólnie opracowaliśmy projekt, wspólnie też pisaliśmy sprawozdanie. Nie mam nic do uzupełnienia.

Batmanow wezwał Beridzego i Kowszowa i zwracając się do wszystkich, oświadczył:

- Nie mamy czasu na roztrząsanie sprawy nierealności terminu ukończenia budowy ani na rozmowy o zagadnieniach z dziedziny czystej teorii. Zadaniem naszym jest ułożenie rurociągu w terminie wyznaczonym przez rząd. Przed rozpoczęciem prac należy stworzyć taki plan technicznych rozwiązań, który by nam ułatwiał, a nie utrudniał osiągnięcie celu. Z tego wynika, że przeróbka istniejącego projektu jest konieczna.

Inżynierowie stali parami: Beridze z Kowszowem i Grubski z Topolewem. Batmanow stanął między nimi. Ręce trzymał w kieszeniach. Mówił bez gestykulacji:

- Opracowanie projektu jest niewątpliwie procesem twórczym i nie może być ograniczone ani terminem, ani jakimiś surowymi warunkami. - Zdanie to, choć wypowiedziane poważnie, brzmiało ironicznie. - Dlatego nie określam ani terminów, ani warunków. Chcę was tylko uprzedzić. Obecnie jesteśmy w okresie przygotowawczym. W tym czasie kiedy gromadzę ludzi, wysyłam na odcinki materiały i reorganizuję cały aparat, możecie pozostawać na boku, niczego nie będę od was żądał. Ale z chwilą kiedy okres prac przygotowawczych skończy się - będziecie musieli stanąć na czele robotników.

- Czyli innymi słowami - uzupełnił Beridze - do tego czasu musimy zrobić nowy projekt.

- Zupełnie słusznie - spokojnie potwierdził Batmanow.

Kowszow roześmiał się. Batmanowowi drgnęły kąciki ust; śmiech Aleksieja był zaraźliwy.

Grubski nie potrafił ukryć zdumienia i złości. Nie uszło to uwagi Batmanowa.

- Widzę, że jesteście zdziwieni: jakże to - cały wieczór tłumaczyliście człowiekowi, co i jak, a on nic z tego nie zrozumiał? Ale właściwie i wy mnie nie rozumiecie. Nie mogę zamiast rurociągu przedłożyć rządowi jeszcze jednego memoriału.

Batmanow zbliżył się do Grubskiego i Topolewa.

- Nie liczę na to, że potraficie od razu uwolnić się spod sugestii dawnego projektu. Nie łatwo jest przezwyciężyć siłę przyzwyczajenia. Ciężar pracy i odpowiedzialność za przerobienie projektu spadnie prawdopodobnie na barki Beridzego i Kowszowa. Natomiast od was potrzebujemy pomocy - koleżeńskiej, sumiennej, płynącej ze szczerego serca. Dziś jesteście na budowie źródłem wiedzy inżynieryjnej, bez was nie podołamy... Proszę, abyście się nie poddawali fałszywemu i niegodnemu nastrojowi drobnych uraz i obrażonej ambicji. Jutro podpisujemy akt zdawczo-odbiorczy i od jutra wszyscy stają na swoich stanowiskach. Wy, towarzyszu Grubski, będziecie referentem w kwestiach technicznych, a towarzysz Topolew przejdzie do biura naczelnego inżyniera.

- Wyjaśnię to u towarzysza Sidorenki. Nie otrzymałem od niego żadnego zlecenia w tej sprawie. O ile mi wiadomo, miał zupełnie inne zamiary - powiedział Grubski.

Batmanow spojrzał na niego z ironią:

- Oczywiście, możecie wyjaśnić. Postarajcie się tylko, aby wyjaśnienia nie zaciemniły tego, co usłyszeliście tu ode mnie.

Batmanow specjalnie zainteresował się kierownikiem wydziału zaopatrzenia, Libermanem. Ten ociężały, gruby, zarazem obrotny człowiek znalazł się wśród tych, którzy prawie otwarcie okazali swój nieprzychylny stosunek do nowych kierowników budowy.

Liberman oświadczał przy każdej okazji, że wyjedzie z poprzednim kierownikiem budowy, a na razie urządzi nowoprzybyłym „smętne życie”. I rzeczywiście, przybysze, a zwłaszcza Beridze i Kowszow, odczuli wkrótce rękę Libermana w różnych codziennych brakach i niewygodach. W stołówce przygotowywano dla nich obiady wyłącznie z jarzyn i kaszy i podawano je, gdy już były zimne. Nowy naczelny inżynier i jego zastępca często niedojadali. Kowszow poszedł na targ, ale tam oprócz ziemniaków i wielkich żółtych ogórków nie można było nic dostać. Kiedyś udało mu się kupić za drogie pieniądze świeżego łososia i przez trzy dni inżynierowie dożywiali się tą rybą, usmażoną na prośbę Aleksieja przez żonę Grieczkina.

Liberman przechwalał się wobec wszystkich, że zmusił nowych inżynierów do chodzenia na targ. Beridze zrobił mu wymówkę z powodu złych obiadów i nieładu w stołówce. Szeroka, piegowata twarz Libermana przybrała wtedy wyraz najwyższego zdumienia.

- Mamuniu najmilsza! Skądżeście to przyjechali? Przecież to wojna, jakże można stawiać takie wymagania? To przecież nie hotel „Moskwa”, ale zapadły kąt tajgi!

Batmanow przyjął Libermana w obecności dawnego kierownika budowy. Kierownik zaopatrzenia przystanął obok drzwi, złożył wielkie ręce na brzuchu i wytrzeszczył na zwierzchników swoje ołowiane oczki.

- Przywykłem sprawdzać osobiście, czy moje polecenia zostały wykonane - zwrócił się do Libermana. - Otóż od chwili przyjazdu dałem wam cztery ważne zadania. Dotychczas nie otrzymałem od was

sprawozdania, co i jak zostało wykonane. Mało tego, okazuje się, że w ogóle nie zadaliście sobie trudu, aby je wykonać. Dlaczego?

- Proszę mi wybaczyć, towarzyszu Batmanow, nie bardzo mogę pojąć, bo mam niezbyt mocną głowę, o co właściwie chodzi? Teraz na mnie biednego wali się tyle poleceń i tyle wypływa różnych zagadnień, że nie można się dziwić, jeśli człowiek czegoś nie dopatrzy. Wybaczcie mi tym razem!

Wzniósł ku niebu swoje ołowiane oczki, stał bez ruchu, podobny do chytrego, obłudnego mnicha. Batmanow powiedział ostro i dobitnie:

- Na pewno ukarzę! Mówię tylko o zasadniczych zadaniach, dotyczących zaopatrzenia odcinków oraz przekazania i przejęcia budowy. Mam wrażenie, że po prostu - rozmyślnie mnie ignorujecie.

Liberman efektownym gestem chwycił się za głowę:

- Mamuniu najmilsza! Ja was ignoruję? Niech mnie Bóg broni!

- Nie udawajcie, Liberman, i nie wzywajcie imienia Boga, wy nie macie żadnego Boga... Postępujecie źle. Przeciwko komu zamierzacie intrygować? Chcecie zmierzyć się siłami ze mną? Nie mówię na razie o tym, że zorganizowaliście dla mnie i naczelnego inżyniera świńskie wyżywienie. Jest to osobna sprawa, wrócę do niej przy okazji.

Batmanow mówił spokojnie i dobitnie. Ten spokój i dobitna forma wymówki zmieszały Libermana, który przywykł do tego, że Sidorenko głośno wymyślał, ale łatwo wszystko puszczał w niepamięć.

- Dotychczas polecenia wydawał Jakub Tarasowicz - mruknął Liberman powołując się na dawnego kierownika budowy, stojącego w milczeniu przy oknie. - Czyż kiedykolwiek nie wypełniłem waszego polecenia, Jakubie Tarasowiczu?

- Potwierdzam, że Liberman jest wzorowym, zdyscyplinowanym pracownikiem - nie odwracając się powiedział Sidorenko.

Batmanow zaśmiał się:

- To ciekawe! Pracowity, zdyscyplinowany kierownik działu zaopatrzenia nie wykonuje moich rozkazów, uważa, że one go nie obowiązują. Za godne wykonania uważa tylko twoje polecenia, Jakubie Tarasowiczu. A dlaczego?

- Właśnie dlaczego? - powtórzył Sidorenko.

- Nie trudno zgadnąć. Liberman razem z tobą przekazuje wszystkie sprawy, ale razem ze mną ich nie przyjmuje. Dlatego jest bałagan z produktami żywnościowymi i materiałami technicznymi, dlatego nie daje mi sprawozdań ze stanu zasobów na odcinkach i trzyma w teczkach niezrealizowane zlecenia na zapasy. Dotychczas jeszcze nie wiem, co na trasie jest, a czego brak. Liberman ma zamiar wyjechać. Ale chociaż jest chytry, w tym wypadku przeliczył się.

- W czym? - zapytał z zainteresowaniem Sidorenko.

- Nie pojedzie z tobą, lecz pozostanie na budowie.

Liberman zaczął mrugać rudymi rzęsami.

- Sądzę, że wolno mi zabrać niektórych moich ludzi. Od dawna pracują już ze mną i przyzwyczaili się do mnie. Ja ich wychowałem - powiedział Sidorenko.

- Serdeczne dzięki za ich wychowanie - Batmanow pochylił głowę. - Nawiasem mówiąc, każdy kierownik powinien wychowywać kadry. Jednak nie mam innego wyjścia. Po co mam szukać przykładnego, zdyscyplinowanego kierownika zaopatrzenia, gdy mam już na miejscu Libermana.

- Proszę, żebyście mnie -zwolnili - Liberman przycisnął dłonie do piersi. - Jestem bardzo przywiązany do Jakuba Tarasowicza. Moja metoda pracy może wam nie odpowiadać.

- Będziecie musieli przyzwyczaić się do mnie, a wtedy i wasza metoda będzie mi odpowiadała. Obiecuję szczególnie troskliwie zainteresować się waszą metodą.

Słowa Batmanowa były chłodne i ironiczne.

Liberman postąpił krok naprzód:

- A jednak...

Batmanow powstrzymał go ruchem ręki.

- Nie traćcie na próżno czasu. Możecie wyjść.

Obaj kierownicy budowy, dawny i nowy, stali przy oknie. W powietrzu wirował pierwszy śnieg. Adun pociemniał i wzburzył się. Wiatr pędził nad wodę brudne łachmany chmur. Mały kuter, to wynurzając się, to znowu ginąc wśród spienionych fal, usiłował odważnie przepłynąć burzliwą i szeroką przestrzeń rzeki.

- Musisz natychmiast wyjechać. Nie ociągaj się - cicho powiedział Batmanow. - Byłoby dobrze już dzisiaj podpisać akt.

- Wypędzasz mnie? Przeszkadzam ci?

- Wypędzam. Przeszkadzasz, nawet bardzo przeszkadzasz - przyznał Batmanow.

Zapadło milczenie. Batmanow chodził miarowym krokiem po gabinecie, za nim snuł się niebieski tytoniowy dym. Sidorenko z ukosa rzucał na Batmanowa nieprzyjazne spojrzenia.

- Niepotrzebne nam są delikatne, sentymentalne niedomówienia i nieszczere frazesy. Jesteśmy ludźmi pracy i w imię tej pracy porzućmy udaną grzeczność, zróbmy ofiarę z fałszywej ambicji. Nie będziemy dyskutowali nad tym, dlaczego ja tu przyjechałem, a ty musisz stąd wyjechać. Tak zdecydowano za nas. Ty masz jechać gdzie indziej, a ja będę gospodarować tutaj.

Batmanow podszedł do Sidorenki. Szyby dźwięczały wstrząsane wiatrem. Gęste płatki śniegu i zżółkłe liście wirowały za oknem. Wzgórza, leżące na drugim brzegu rzeki, zniknęły za szarą zasłoną opadającą nad wodą.

- Sam widzisz, że dopóki tu jesteś, mam związane ręce. Więź kolektywu rozluźniła się. Ludzie błądzą jak w lesie. Byłem onegdaj w biurze zarządu: ludzie siedzą na kufrach i walizkach, czekają na drugi dzwonek. Przychodzą z rana i zamiast pracować, przez cały dzień rozprawiają o tym, jakie życie czeka ich w Karagandzie. Są pewni, że tam ich powieziesz. Ale przecież drugiego dzwonka nie będzie!... Po cóż wprowadzasz ludzi w błąd? Kowszow wczoraj nie wytrzymał i powiedział: „Czas ucieka. Jak długo będziecie na to patrzyli?” I miał słuszność, czasu nie powstrzymasz! Jest rzeczą karygodną trwonić go teraz na próżno. Wyjedziesz nie uwierzywszy w to, że istotnie będę musiał zbudować rurociąg w ciągu jednego roku. Nie byłeś na zachodzie, a tu na razie prochem nie pachnie. Nasz rurociąg to młodszy brat kaukaskiego. Ty zacząłeś jego budowę, ja ją dokończę. Rurociąg jest potrzebny państwu, tak samo jak pociski i czołgi.

- Wytykasz mi brak bojowego ducha, tak jakbym się nie wyrywał do walki - powiedział urażony Sidorenko.

- Owszem, wierzę ci, ale ty nie widziałeś płaczących kobiet i martwych dzieci na drogach...

- A cóż ty widziałeś? Przecież wojna trwa zaledwie cztery miesiące.

- Tak się złożyło, że musiałem ewakuować miasto na południu, zostawić Niemcom ruiny i pustkowie. Nie ma boleśniejszej rzeczy nad wysiedlanie ludzi z ich ciepłych domów. Nad wydzieranie obrabiarek z ich betonowych podstaw, na których tak radośnie wibrowały. Czyż nie dość czterech miesięcy, aby serce i wola stały się zawzięte? Wypadło mi budować przyfrontową linię kolejową; drobiazg, jakieś trzydzieści kilometrów. Budowaliśmy ją kilkakrotnie: przylatywały bombowce, po sto na godzinę, i wszystko zaczynało się znów na nowo... Czy nie jest naszym obowiązkiem tak przyspieszyć tempo budowy rurociągu, jak gdyby bomby niemieckie rozrywały się obok nas?

Sidorenko zbliżył się do biurka, przy którym nie siedział od czasu przyjazdu Batmanowa, otworzył kluczem dolną szufladę i wyjął z niej jakąś starą książeczkę i mauzer.

- Chcę ci ofiarować tę książeczkę - powiedział miękkim, prawie wzruszonym głosem. - Przejrzyj ją, gdy będziesz miał wolną chwilę, znajdziesz tam kilka słów o Sidorence. Nie taki już ostatni z niego niedołęga. Daję ci to w dowód przyjaźni, która wbrew przewidywaniom może trwać długo... Ale szkoda każdej minuty na sentymenty. Zapalmy. - Zapalili. - Chciałem ci jeszcze powiedzieć: rób wszystko, co należy. Rozkazuj, nie zwracaj na mnie uwagi. Podporządkuję się we wszystkim. Nie wszystko między nami układało się gładko. Myślę, iż rozumiesz, że nie wynikło to ze złości czy wrogich uczuć - po prostu ludzka słabość. Jesteśmy ludźmi, a nie figurami szachowymi z drzewa. Obraza, rozczarowania i miłość własna - wszystko to żyje w nas. Trudno być tylko człowiekiem pracy.

Batmanow przerzucał stronice książeczki. Był to szkic poświęcony ludziom, którzy zbudowali Turksib[9]. Oczy jego napełniły się smutkiem.

- Nasze pierwsze dzieło... A Dnieproges[10] trzeba będzie budować na nowo.

Sidorenko obserwował jego ręce, pieszczotliwie gładzące książeczkę, i nagle powiedział zdecydowanie:

- A więc dziś jeszcze podpiszemy akt przekazania i przejęcia budowy. Wezwij wszystkich kierowników, powiem im na pożegnanie kilka chłodnych słów. Może nawet pokrzyczę, niech się na mnie rozgniewają na ostatek. Będzie ci lżej...-Sidorenko westchnął i wyznał szczerze: -Doprawdy nie mam pojęcia, jak ty się z tego wykręcisz...

Batmanow polecił sekretarzowi poprosić kierowników wydziałów i starszych pracowników. Dawny i nowy przełożony patrzyli na ludzi wchodzących do gabinetu. Grubski, odciągnąwszy Sidorenkę na bok, zaczął mu coś szeptać do ucha, ale ten machnął gniewnie ręką:

- Przestań!

Grubski, wzburzony, szeptał dalej, zezując w stronę Batmanowa żółtawymi białkami oczu.

---

[9] Turksib - linia kolejowa dl. 2 531 km, jedno z największych osiągnięć pierwszej pięciolatki: łączy pustynną wschodnią część Kazachstanu z urodzajną zachodnią częścią tego kraju, na północy wiąże się z magistralą syberyjską. - Red,

[10] Dnieproges - zakłady hydroelektryczne im. Lenina na Dnieprze, zbudowane w latach 1927-1932. (Największa na świecie) tama: 760 m długości, 64 m wysokości, 39 m szerokości. - Red.

- Daj mi spokój! - wybuchnął Sidorenko. - Teraz nie ja, lecz on jest tu gospodarzem!

- Dokument nie jest podpisany. I nie można rozkazywać przed zorientowaniem się w sprawach - nie dawał za wygraną Grubski.

- Jeszcze raz ci powtarzam, że nie należy już zwracać się do mnie! - prawie krzyknął Sidorenko.

Następnego dnia poprzedni kierownik budowy wyjechał. Zajął wraz ze zwolnionymi pracownikami jeden wagon. Prawie cały zarząd odprowadzał wyjeżdżających. Zafrasowani wysłuchiwali rad, życzeń i żartów, których nie szczędzili im odprowadzający. Batmanow, Załkind i Beridze znaleźli Sidorenkę w ostatnim przedziale wagonu. Przyjął ich z twarzą zachmurzoną, zachowując przez cały czas przygnębiające milczenie.

- Nie martw się, Jakubie Tarasowiczu. Przyjedziesz na nowe miejsce i nowy duch w ciebie wstąpi - pocieszał go Załkind.

Gdy wracali z dworca, Beridze zauważył:

- Sidorenko przypomina dowódcę, który uciekł pozostawiając wojsko otoczone...

- Otóż, co chciałem powiedzieć - przerwał Batmanow. - Nie mówmy już nic złego o Sidorence. Jesteśmy kierownikami budowy i nie możemy poddawać się taniej pokusie zwalania wszystkiego na poprzednie kierownictwo, że to niby ciężkie dziedzictwo i tak dalej... Wprowadźmy uczciwą zasadę: na nikogo się nie oglądać, tylko na siebie; nikogo nie obwiniać, ale żądać jak najwięcej od siebie. Musimy uważać, że sami jesteśmy przyczyną wszystkiego, co złe.

- Bardzo słuszne postawienie sprawy - pochwalił Załkind i z szacunkiem spojrzał na Batmanowa idącego obok zamaszystym krokiem.

6. Nadeszła zima

W przyrodzie zmagały się dwie pory roku: zima nacierała, jesień broniła się. Najpierw strona nacierająca wysyłała zwiadowców w postaci krótkotrwałych mrozów, ostrych, przenikliwych wiatrów i śnieżnej zadymki. Chruśniaki i modrzewie stały ogołocone. Trawy obumarły. Zatoki i przesmyki skute były cienkim i kruchym lodem, a na Adunie pod ciśnieniem wody pękały przybrzeżne kry.

Nagle rozpoczęło się decydujące natarcie zimy. Zdawało się, że niebo zniża się do ziemi, zasłonięte białą, zwartą masą, poprzez którą trudno było nawet z bliska zobaczyć człowieka. W ciągu doby na rudą ziemię zwaliła się metrowa warstwa śniegu. Wszystko dookoła okryło się bielą: śnieg otulił wzgórza; znikły żałosne trawy i pnie. Drzewa uginały się pod ciężarem śniegu. Drogi zniknęły - nie można było przejechać ani pociągiem, ani samochodem, ani końmi.

Gdy tylko śnieg przestał padać, mieszkańcy Nowińska wyszli oczyszczać zasypane drogi. Batmanow zawczasu wydał polecenie, aby przygotowano łopaty i w odpowiednim momencie wyprowadzono pracowników do odśnieżania bocznicy kolejowej prowadzącej do przystani, a także dróg przyległych do osady należącej do budowy. Kierowanie tą pracą Batmanow powierzył Rogowowi, Beridzemu i Kowszowowi; każdy z nich odpowiadał za swój odcinek.

Tego dnia Batmanow wstał jak zwykle bardzo wcześnie. Oczekując świtu chodził po obszernym mieszkaniu, drżał z zimna. W willi, odziedziczonej po Sidorence, nie wprowadził żadnych zmian. Podobało mu się wszystko - pokój stołowy i sypialnia, gabinet i pokój dziecinny; byleby tylko

przyjechali tu Anna Iwanowna i Kostia. Nie przypadły mu tylko do gustu dwa duże olejne obrazy. Jeden przedstawiał burzę na morzu i tonący okręt, a drugi - nagą kobietę wychodzącą z wody. Gdy po raz pierwszy wszedł do mieszkania, zatrzymał się przed obrazami i głośno zganił zły smak miejscowego malarza i poprzedniego właściciela mieszkania.

- Ci biedacy nie widzieli zapewne nigdy ani morza, ani pięknych kobiet, ani prawdziwego malarstwa. Każcie sprzątnąć te „arcydzieła", nie podobają mi się - powiedział administratorowi domu.

Batmanow przebywał w gabinecie podczas tych krótkich chwil, kiedy przyjeżdżał z zarządu, aby odpocząć. Chodząc po ciemnych pokojach, już nieraz myślał sobie, że należałoby zaludnić dom, wprowadzając jakąś liczną rodzinę albo pojedyncze osoby, na przykład Beridzego i Kowszowa. Ale wszystko burzyło się w nim przeciwko tej myśli. Zdawało mu się, iż wprowadzenie nowych mieszkańców równałoby się porzuceniu wszelkiej nadziei odnalezienia własnej rodziny. We śnie i na jawie coraz częściej stawał mu przed oczyma obraz ostatniego pożegnania: Anna i Kostia stoją na drodze, trzymają się za ręce i patrzą w jego kierunku. Anna stoi bez ruchu, jakby skamieniała, z niezmiernie smutną twarzą, a chłopak woła za nim i macha ręką...

Batmanow przetarł oczy odpędzając widzenie. W ciszy doleciał go cichy kobiecy śpiew - to pracownica domowa, Jewdokia, drobna, krzątająca się kobieta w starszym wieku, nuciła w kuchni jedną ze swych niekończących się pieśni...

- Jak się wam dzisiaj pracuje, Jewdokio Siemionowno? - zapytał wchodząc do kuchni.

- Niegorzej niż wczoraj - odpowiedziała z uśmiechem. - Napaliłam dobrze w piecach, za godzinkę będzie ciepło w naszym mieszkaniu. Co prawda, gościem jesteście tutaj... Śniadanie już gotowe, zaraz wam podam...

Batmanow zawsze czytał przy stole. Anna nie lubiła tego przyzwyczajenia z czasów studenckich. Teraz również położył przed sobą otwarty tomik „Eugeniusza Oniegina". Zawsze, gdy czuł, że traci równowagę ducha, sięgał po wiersze Puszkina.

Geniusz poety zmuszał go do śledzenia z żywym współczuciem losu ludzi tak dalekich i tak bardzo mu obcych. Ludzie ci nie wiedzieli, jak przystosować się do życia, jak zużyć swoje siły i czas. Nie wiedzieli, co to wspólna sprawa, świat ich zamykał się w kręgu własnych przeżyć. A przy tym ta przerażająca bezczynność, bale, intrygi miłosne!...

Batmanow kiwał głową: „Trwonili życie, nie wiedząc, jak jest cenne..."

„Czyż rzeczywiście - myślał - nie znajdą się ludzie, którzy równie genialnie opiszą nasze czasy? Kasze prawnuki odziedziczą komunizm, zbudowany przez nas, powinni więc zrozumieć nasze życie, wypełnione ustawiczną pracą i odpowiedzialnością wobec historii, bezinteresowne, bogate w swej istocie, choć czasem biedne w drobiazgach".

Przytłumiony dzwonek telefonu przywrócił go do rzeczywistości.

- Wasiliju Maksimowiczu, przyprowadziłem swych ludzi na przystań; oczyszczamy drogę - zachrypniętym głosem meldował Rogow. - Chciałem was zapytać, czy mamy ładować barki, czy przerwać pracę. Idzie bardzo gęsta kra. Mówią, że Rada Miejska wydała zarządzenie o wstrzymaniu ruchu na rzece.

- Nie słuchaj nikogo. Dopóki Adun nie zamarzł, będziemy ładować i wysyłać barki. Zdążymy jeszcze dociągnąć ze cztery do najbliższych odcinków. Wkrótce będę u ciebie.

Niebieska mgła powoli ginęła za oknami. Kiedy Załkind wstąpił po Batmanowa, było już zupełnie widno.

Załkind zastał Batmanowa na werandzie obsypanej śniegiem do wysokości kolorowych szyb, którymi była oszklona. Czerwone, niebieskie i żółte smugi kładły się na twarz, na skórzany płaszcz i białe filcowe buty Batmanowa, nieruchomo stojącego z rękami wsuniętymi w głębokie kieszenie. Batmanow obmyślał w skupieniu swój pierwszy rozkaz, który miał wydać na tej budowie.

- Woźnica czeka z koniem, ale saniami nie można przejechać - powiedział Załkind po przywitaniu.

- Spróbujemy - odpowiedział Batmanow. - Jeżeli nie przejedziemy, pójdziemy pieszo.

Ujechali nie więcej niż kilometr, gdy musieli zejść z sań i brnąć w głębokim śniegu. Ludzie, rozproszeni wśród zasp, tworzyli czarną żywą linię kropkowaną, rysującą kierunek drogi. Wszyscy z ciekawością witali kierownika budowy i partorga.

- Trzeba było zaczekać, niedługo utorujemy drogę! - zawołał okrągły człowiek w ciepłej kurtce i watowanych spodniach.

Batmanow poznał Grieczkina. Dokoła niego energicznie pracowali ludzie jego wydziału, wzbijając w powietrze srebrzysty pył.

Część bocznicy kolejowej była już oczyszczona. W wąwozie przekopanym w śniegu zobaczyli Beridzego. Naczelny inżynier stał zaczerwieniony przy lokomotywie, sapiącej w oczekiwaniu odjazdu. Gdy tylko wyłaniało się ze śniegu nowe kilkadziesiąt metrów toru, parowóz z przeraźliwym gwizdem dopędzał posuwających się w przekopie ludzi.

W odległości kilometra pracował ze swymi brygadami Kowszow. Zbliżywszy się do zwartej grupki pracowników zarządu ustawił ich w szachownicę, po obu stronach toru.

- A może zamienimy się? Wy weźmiecie łopatę, a ja będę kierować pracą! - zwróciła się do Aleksieja jakaś wysoka dziewczyna.

Inżynier poznał w niej sąsiadkę z internatu.

- Zgoda - odpowiedział i wyciągnął rękę po jej łopatę.

- Nie, ja nie umiem rozkazywać. Chciałam tylko zwrócić waszą uwagę na siebie.

Aleksiej wziął łopatę i stanął naprzeciw dziewczyny. Odrzucając lekki, sypki śnieg gwarzyli.

- Przeziębicie się. Nie można tak żartować z dalekowschodnim mrozem - rzekł Aleksiej.

Pod rozpiętą ciepłą kurtką widać było cienką sportową koszulkę. Bujne, zwinięte w drobne loki włosy dziewczyny wysunęły się spod beretu i pokryły się szronem.

- Jestem gorąca, popatrzcie. - Spostrzegła się i zachichotała. - Oj, ja nie w tym znaczeniu! Nie boję się mrozu, jestem przecież tutejsza, z tajgi.

Obsypała go śniegiem, niby niechcący i z ciekawością czekała - co też on powie na to? Inżynier nawet nie otrzepał się, tylko dalej zapamiętale wymachiwał łopatą.

- Nie można być takim - rzekła z wyrzutem.

- Jakim?

- Wyłącznie kierownikiem, zajętym sprawami. Usiłujecie robić wrażenie pięćdziesięcioletniego i to się wam udaje.

- A co zrobić, żeby być młodszym?

- Interesować się wszystkimi, którzy was otaczają.

- Wszystkimi? Zrobiłem to, zdążyłem już zapoznać się w zarządzie ze wszystkimi.

- To jest zainteresowanie służbowe. To nie to...

- Jakoś nie mogę zrozumieć...

- Moglibyście przynajmniej zapytać, jak się nazywam.

- Wyobraźcie sobie, że wiem. Nazywacie się Żenia Kozłowa. Grieczkin już scharakteryzował mi was. Powiedział, że jesteście niezłym ekonomistą. I jeszcze coś wiem o was.

- Domyślam się. Na pewno Lizoczka skarżyła się, że jej męża uwodzę?

- Nie bez powodu chyba?

- Rzeczywiście! Prawda, że chłopców teraz mniej, ale jakiż z Grieczkina kawaler?

- Pewnie boicie się Lizoczki?

- Nie tyle ja, ile on sam. Widzicie, gdzie mnie zapędził do odrzucania śniegu? Boi się, żeby Lizoczka nie dowiedziała się, że razem odśnieżaliśmy tor. A może wy odważycie się zawrzeć przyjaźń z niezłym ekonomistą? - zapytała po chwili.

- Co rozumiecie przez to: „zawrzeć przyjaźń”? – Aleksiej uśmiechnął się.

- Nie unikać ekonomisty, przy spotkaniu nie udawać, że jej nie widzicie, chodzić z nią na narty, a raz na miesiąc zapraszać ją do miasta - do teatru lub kina.

- To wszystko?

- Wszystko. A cóż by jeszcze mogło być?

Roześmieli się. W pobliżu przeszli Batmanow i Załkind. Aleksiej nie zauważył ich. Przez chwilę obserwowali go z boku.

- Widzisz, jak się chłop zaaklimatyzował, jakby poweselał nawet - zauważył Batmanow.

- Odzyskał równowagę. Teraz można nań ładować, pociągnie każdy wóz! - powiedział Załkind.

Nie mylił się. Kowszow rzeczywiście odzyskał względny spokój ducha, o ile było to możliwe w nastroju nieustannej obawy o los Moskwy. „Twoja jednostka wojskowa broni stolicy - tutaj! Słuchaj rozkazu: ani kroku w tył!” Formułę tę zaproponował Załkind i Aleksiej nie mógł jej nie przyjąć.

Niemałą rolę w tym wszystkim odegrały listy od rodziców i teściowej, które wreszcie otrzymał. Ojciec pisał o towarzyszach, kto i gdzie walczy albo pracuje, o tym, że sam spędza noce na dachu domu, na posterunku obrony przeciwlotniczej, że matka trzy razy w ciągu jednej doby wychodzi z maską gazową, aby dyżurować na podwórzu. Stary stanowczo odmówił przyjazdu do Nowińska. Z krótkich listów Aleksieja domyślił się, że synowi ciężko na duszy, więc zburczał go gniewnie: „Czemu się ciągle wyrywasz. Nawet ja swoim starczym rozumem pojmuję, że wasz rurociąg to żołnierska, bojowa sprawa”.

Teściowa donosiła w krótkich słowach, że ktoś przekazał jej wiadomość, że Zina żyje i jest zdrowa, a jej towarzysze mówią o niej bardzo serdecznie jako o wytrwałym i dzielnym żołnierzu...

Batmanow i Załkind zbliżyli się do urwistego brzegu. W dole była przystań. Trzeba było zsuwać się po urwisku w pozycji siedzącej. Załkind pierwszy dał przykład. Wznosząc białą chmurę utorował drogę w śniegu. Za nim, śmiejąc się głośno, zjechał Batmanow. Rzeka zmagała się z przemożną, skuwającą ją siłą mrozu. Nieskończony, czarny jakby z gniewu potok wody niósł lodową kaszę, uderzając nią z szelestem o brzegi i deski przystani. Nad powierzchnią rzeki unosił się nie milknący, głuchy łoskot, jak gdyby setki olbrzymich żaren mełły lód.

W przystani stały dwie barki. Na jedną z nich ładowano żywność - worki z mąką i kaszą, beczki oleju i ryb, na drugą zaś - konie, narzędzia i materiały techniczne. Około stu robotników pracowało przy odśnieżaniu składów i placów.

Na kładce Rogow prowadził spór z kierownikiem kutra, odmawiającym holowania załadowanej już barki.

- Ślepy czy co? Lada chwila Adun stanie, a wtedy pewna zguba! - opierał się gniewnie kierownik kutra.

- Słuchaj, Poliszczuk, sto razy zdążysz! Nie bądź tchórzem... - nakłaniał go Rogow.

- Tchórzy? - zapytał Batmanow podchodząc ku nim. - Sprawa bardzo ważna, towarzyszu. Jeśli nie wyślemy tej barki teraz, to później będziemy krwią pluli.

- Nie, on pojedzie - powiedział Rogow.

Poliszczuk o ogorzałej twarzy spojrzał na Batmanowa i bez słowa, ociężale ruszył w stronę kutra. Rogow poprowadził Załkinda i Batmanowa do „dyżurki”, tak nazywano niewielki domek jakby wiszący tuż nad wodą. W ciasnej izdebce buchał żar od rozpalonego do czerwoności żelaznego piecyka.

Nie zdążyli się jeszcze ogrzać i Rogow ledwie zaczął wyliczać, co wysłał w ciągu doby na trzech barkach, gdy nagle wpadł do izby jakiś człowiek, który zaraz zaczął zrywać z siebie odzież. Ciepła kurtka, spodnie, filcowe buty, nawet czapka były zmarznięte na kość. Zsiniały, drżał i szczękał zębami.

- Barka „Tajfun” osiadła na Piaskowej Mierzei - z trudem wydobywał z siebie słowo po słowie. - Trzeba pomóc... Aparaty do spawania... amonal... narzędzia… Jest tam chyba ze stu ludzi... Panika. Ja na słabej łódce... wywróciła się... musiałem wpław...

Rogow spojrzał na Batmanowa i jak wicher wypadł z dyżurki. Gdy Batmanow przybiegł na przystań, zobaczyć już tylko szerokie plecy Rogowa w niebieskim kaftanie na kutrze, który odbił od brzegu.

Na barce otoczyli Batmanowa tragarze i załoga holownika.

- Kierowniku, będziemy zdejmować ładunek? - zapytał brygadier tragarzy.

- Niepotrzebnie kazaliście nam holować. Porządni ludzie zajmują się o tej porze roku remontem statków, a nie pędzeniem kutrów po lodzie!

Batmanow poznał w mówiącym Poliszczuka, tego, z którym sprzeczał się niedawno Rogow.

- Nie będziecie rozładowywać i nie na próżno holowaliście - odpowiedział.

- Tak, a w tej chwili na Piaskowej Mierzei ginie barka, a na niej ludzie i tyle cennego sprzętu! Kto za to powinien odpowiadać? – zapytał Poliszczuk.

- Ściągniemy barkę z mierzei, możesz być spokojny, posłałem tam Rogowa, on by diabła wyciągnął z bagna.

Spojrzał na otaczających go zmarzniętych i posmutniałych ludzi.

- Zabraniam szerzenia paniki! Przecież nie jesteście dziećmi! Łez by nie starczyło, gdybyśmy na każdym kroku odprawiali egzekwie. Szykujcie się do odpłynięcia - zwrócił się do Poliszczuka.

- Nie macie prawa mnie zmuszać. Istnieje zakaz Zarządu Miejskiego - ponuro oponował Poliszczuk.

- Mam prawo, chłopie. Nie warto sprawdzać moich uprawnień, nie o to zresztą chodzi. Nie będę cię nawet teraz zmuszać, sam zrozumiesz. - Batmanow poruszał zmarzniętymi palcami w futrzanych rękawicach. - Mamy wielu ludzi na odcinkach, a gdy Adun stanie, wyślemy jeszcze więcej. A czym ich będziemy karmić? Dużo czasu minie, zanim zorganizujemy lodową drogę po Adunie i przewieziemy żywność końmi lub samochodami. Oni tam też muszą pracować. A tymczasem na odcinkach brak narzędzi, nie ma najniezbędniejszych materiałów. Co można zrobić gołymi rękami? Konie też potrzebne - drzewa z lasu na plecach nie naznoszą. Z tego, co mówisz, wynika, że można machnąć ręką na ludzi, niech zdychają z głodu, niech na plecach dźwigają drzewo, niech nie pracują!

- Ja nie mówię, żeby machnąć ręką na ludzi - powiedział Poliszczuk.

- Chcesz więc, żebym ich zabrał stamtąd? Pomyśl, czy mogę teraz zabierać ludzi z tajgi i tracić czas, kiedy każda chwila jest cenna? Teraz powinni urządzać się na odcinkach, przygotowywać do robót zimowych i z chwilą, gdy Adun stanie - torować drogę po lodzie. A może obmyśliłeś jakieś inne wyjście z sytuacji?

Batmanow mówił przekonywająco i spokojnie. Poliszczuk rozgniewał się:

- Kpicie sobie ze mnie, kierowniku! Nic nie wymyśliłem. Nie potrzebujecie mi także nic tłumaczyć; bywałem na odcinkach, widziałem ludzi, rozmawiałem z nimi. Nie wytrwają w żadnym wypadku!

- Wytrwają, jeżeli tylko dojdą do nich te dwie barki. - Obrzucił ludzi spojrzeniem i nagle podniósł głos: - Boicie się?

- Nic dziwnego, boimy się - odezwał się ktoś z tłumu. - I sprzęt przepadnie, i sami zginiemy. Każecie nam wykonać rzecz trudną, wprost niemożliwą.

- Nie wiedziałem, że można wam polecać tylko łatwe prace - powiedział Batmanow i zawołał z gromady tego, który się sprzeciwiał. - Jak myślicie, czy naszym towarzyszom na froncie powierzają bardzo łatwe zadania? Wstydzilibyście się! - Ponownie zwrócił się do Poliszczuka: - Odbijajcie od przystani, pojadę z wami jako komendant.

- To nie wypada - po chwili milczenia odezwał się Poliszczuk. - Nie godzi się, żeby kierownik budowy odprowadzał byle barkę. - Wciągnął zdjęte w czasie rozmowy rękawice, wielkie jak łopaty, i nasunął czapkę na uszy.

- Czy są między wami komuniści? - zawołał Załkind, który także z grupą ludzi wszedł na barkę. - Komuniści poprowadzą ze mną obie barki.

- Cóż wy znowu, Michale Borisowiczu! - krzyknął żałośnie Poliszczuk.

- Dlatego, że jestem bezpartyjny, to wykluczacie mnie z gry? Potem w mieście wstyd będzie spojrzeć ludziom w oczy. Powiedzą, że zamiast Poliszczuka Załkind barki po Adunie spławiał. Schodzić!

Dał ręką znak swojej załodze; zbiegli po mostku z głośnym tupotem nóg.

7. Jak podzielono obowiązki?

Początek budowy przypadł na czas zimy i na tym polegała szczególna trudność sytuacji. Wszystkie podstawowe techniczne instrukcje podkreślały, że nie jest wskazane przystępować do budowy rurociągu w okresie zimy. Czołowi specjaliści zagraniczni, na których autorytet powoływał się Grubski, uważali to za niedopuszczalne. Zdawałoby się, że zespołowi Batmanowa nie pozostawało nic innego, jak zgodzić się na długie przesiadywanie w gabinetach i bez walki oddać trasę wiatrom i śnieżnym burzom.

Lecz to byłoby równoznaczne z podpisaniem się pod memoriałem Grubskiego, który dowodził nierealności terminu rządowego. Z dwunastu miesięcy, przeznaczonych na ułożenie rurociągu, najmniej siedem przypadało na zimę - jakże więc można się było ich wyrzec? Ani Batmanow, ani jego współpracownicy nie mieli zamiaru składać broni, a to już określało linię ich postępowania: nie oddać zimie ani jednego miesiąca, ani jednego tygodnia, ani jednego dnia - po prostu nie zwracać na nią uwagi! Jednakże nie tak to łatwo zapomnieć o zimie. Ledwie się zaczęła, a już sprawiła, że mieli pełne ręce roboty.

Minęły pierwsze opady śnieżne - a ileż ich miało być jeszcze w przyszłości! Przeszkodziły one normalnej pracy zarządu i odcinków, ponieważ trzeba było zająć się wyłącznie oczyszczaniem dróg. Taka prosta rzecz, jak -wysłanie kilku barek na odcinki - okazała się sprawą bardzo skomplikowaną. Rogow, który udał się na ratunek barki osiadłej na mieliźnie Adunu, dotychczas nie wrócił i nikt nie wiedział dokładnie, co się stało z nim, z barką i ludźmi. Za pośrednictwem żywej poczty przyszła wreszcie ustna wiadomość: „Oderwaliśmy się od mielizny, płyniemy dalej". Los ostatnich dwóch barek holowanych przez Poliszczuka również był na razie nieznany. Budowniczowie byli zupełnie odcięci od trasy rurociągu: droga wodna była przerwana, a zimową - na lodzie - trzeba było dopiero budować. Jedynym środkiem łączności z trasą był samolot, lecz mógł on tylko zrzucać pocztę na odcinki, ponieważ nie można było znaleźć odpowiedniego miejsca do lądowania.

Okryty śniegiem Adun ginął w białej przestrzeni, zatarła się linia jego brzegów. Dopiero wpatrując się uważnie można było dojrzeć powolne przesuwanie się lodowej powierzchni unoszonej przez prąd; zakuta w lodowy pancerz rzeka wciąż jeszcze stawiała opór.

Spoglądając co chwila na rzekę, Batmanow dyktował swój pierwszy rozkaz na budowie. Podawał w nim zasady walki z zimą, która nadeszła: nie tracąc czasu należy przygotowywać się do długich mrozów; robić zapasy opału, uszczelniać mieszkania, reperować odzież zimową i buły; wznosić na odcinkach budynki - niezbędne w trudnych warunkach życia w tajdze - baraki, ziemianki, piekarnie, stołówki, łaźnie, pralnie, składy i kluby; z chwilą gdy Adun stanie - oczyszczać ze śniegu drogę lodową na rzece i torować przejścia łączące z trasą; ze składów znajdujących się na odcinkach rozwozić tymi drogami po całej linii żywność, rury, urządzenia i materiały techniczne.

Do rozkazu dołączona była instrukcja, ułożona przez komisję składającą się z doświadczonych ludzi. Było w niej uwzględnione wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów - czym napychać sienniki, w jaki sposób łowić pod lodem ryby w Adunie, jak przygotowywać i stosować nalewkę świerkową przeciwko szkorbutowi, jak zasypywać fundamenty, uszczelniać korytarze i utrzymywać ciepło w barakach.

Rozkaz został wysłany na trasę samolotem. Jednocześnie Załkind wysłał okólnik w sprawie mającej się odbyć konferencji partyjnej, wyznaczonej na początek listopada. W ostatniej chwili, kiedy samolot był

już gotów do startu, partorg zdecydował się na lot. Nigdzie jednak nie udało się wylądować i Załkind powrócił zażywszy tylko przejażdżki. To go zdenerwowało.

- Bardzo żałuję, że mój wypad się nie udał - powiedział wieczorem do Beridzego i Batmanowa. - Tak chciałoby się być teraz z ludźmi na trasie. Pomyślcie tylko, co oni muszą znosić!

Beridze współczująco potakiwał głową. Batmanow przeglądając rozkazy, nadesłane z głównego zarządu i Komisariatu Ludowego, podniósł głowę i uważnie spojrzał na Załkinda.

- Twoja wycieczka była wynikiem nastroju i nie żałuję wcale, że ci się nie udała - powiedział. - Nie wątpię, że byłoby korzystne, gdybyś na którymś z odcinków pobył z piętnaście dni. Pamiętaj jednak, że jesteś partorgiem nie jednego, lecz dwunastu odcinków. Setny raz już powtarzam i będę dalej powtarzać, dopóki nie zrozumiecie - że obecnie najważniejszą sprawą dla budowy jest utworzenie energicznego, uświadomionego, zdolnego do pracy zespołu kierowniczego. Komisarz ludowy pisze o tym samym, podając jako przykład nieudaną budowę nr 215. - Batmanow wziął jeden z otrzymanych rozkazów i podał go Załkindowi. - Poddając się nastrojowi o mało nie popłynęliśmy wraz z tobą na barce zamiast Poliszczuka. Dobrze, że chłop miał dość rozumu, aby nas powstrzymać. W przeciwnym wypadku budowa pozostałaby bez kierownictwa. Czy myślisz, że mnie nie ciągnie na trasę? No, cóż, spróbujmy, poddajmy się nastrojowi i machnijmy się tam wszyscy trzej. Utkniemy na odcinku i zaczniemy gospodarować. Co osiągniemy? To, że z kierowników budowy staniemy się kierownikami jednego odcinka...

Batmanow przerwał tę sarkastyczną tyradę i położył rozkaz na miejscu. Załkind i Beridze milczeli. I Batmanow już dobrodusznie powiedział im:

- Bądźcie cierpliwi, przyjdzie czas, kiedy po prostu zabronię wam wstępu do zarządu, będziecie mieszkać na trasie.

Partorg i naczelny inżynier rozumieli sami słuszność słów Batmanowa. Dokładali na równi z nim wszelkich starań, aby zorganizować pracę zarządu, który z każdym dniem coraz bardziej stawał się podobny do harmonijnie pracującego sztabu. W sztabie tym Batmanow, Załkind i Beridze stanowili trzy ośrodki, z których jak z akumulatorów płynęła energia do poszczególnych ogniw aparatu.

Pewnego razu w rozmowie, żartując, podzielili między siebie obowiązki:

- Ja mam pracę najczarniejszą: usuwanie śniegu, targowanie się z Libermanem, zaopatrywanie ludzi w odzież i obuwie, przygotowywanie opału i tak dalej. Gdy skończę z tymi drobiazgami, usunę się na bok, będę łuskać ziarna słonecznika i przyglądać się spokojnie - powiedział Batmanow.

- Moje zajęcie jest jeszcze prostsze... gawędzić z ludźmi, zabawiać ich po trosze, żeby się nie nudzili - odezwał się tym samym tonem Załkind.

Beridze poklepał się po karku i powiedział tonem skazańca:

- Z tego wynika, że resztę wezmę na swoje barki, niech będzie moja strata!

W „czarnej pracy” Batmanowa wiele czasu zabierał dział zaopatrzenia. Po kilka razy dziennie wzywał do siebie Libermana i popędzał go częstymi telefonami. Liberman chwytał się za wielką rudą głowę i spiesznie przedstawiał mu wykazy, notatki, zestawienia. Sprawdzając liczby Batmanow dociekał prawdy. Uderzyły go nieprzyjemnie poważne braki w zapasach odzieży na odcinkach.

- Powitaliście zimę w spodenkach kąpielowych! - beształ Libermana. - Dla nowych partii robotników, które lada chwila zaczną przybywać, nie macie ani ciepłej odzieży, ani obuwia. Na trasie wkrótce chwycą mrozy czterdziesto- pięćdziesięciostopniowe. W co macie zamiar obuć i odziać ludzi?

Liberman przyniósł grubą teczkę z napisem: „Korespondencja prywatna" i pokazał ze trzydzieści raportów, pisanych do poprzedniego kierownika budowy.

- Widzicie, tu pisałem, że brak obuwia i odzieży, że zostaniemy nadzy na zimę. Dawny zarząd pozostawił wszystko bez odpowiedzi.

- Nie składajcie wszystkiego na stary zarząd! Wiadomo, do czego służy wam ta gruba teczka: asekurujecie się na wszelki wypadek papierkami! Paskudne wykręcanie się... Gdy będziecie musieli odpowiadać za te grzeszki, nic wam nie pomoże nawet sto ton zapisanego papieru. Aby was ustrzec przed zbytecznymi złudzeniami, schowam te wasze raporty na pamiątkę... Batmanow rzeczywiście schował teczkę do safesu. - W stosunku do mnie nie radzę wam zajmować się podobną korespondencją prywatną, bo za każdy taki raport zepsuję wam humor na cały tydzień. Chciałbym jednak usłyszeć od was wreszcie, w co będziecie obuwać i ubierać ludzi?

- Mamuniu najmilsza! Skądże mam wziąć? Na rynku nie kupię, centrala nie przysyła! Proszę was, podpiszcie depeszę do zarządu głównego.

Telegram Libermana wzywał pomocy: „Powstała katastrofalna sytuacja z umundurowaniem brak odzieży obuwia grozi przerwaniem pracy przyślijcie ciepłe kurtki watowane spodnie płaszcze kożuszki filcowe buty".

- Humorysta z was, nieudany potomek Marka Twaina. - Batmanow podarł depeszę. - Dlaczego nie czytacie gazet?

- Czytam... „Prawdę"... „Izwiestia"... miejscową gazetę...

- Nieprawda, nie czytacie. Gdybyście czytali, nie zredagowalibyście takiej depeszy. Macie tu gazetę: spójrzcie, o czym piszą na całej stronie. - Podsunął Libermanowi gazetę.

- „Zorganizujmy zbiórkę ciepłej odzieży dla żołnierzy Armii Czerwonej" - głośno przeczytał Liberman.

- Załkind organizuje zbiórkę odzieży wśród pracowników. Trzeba mu pomóc. Połowę naszych kożuszków, butów filcowych i ciepłych czapek wyślemy dla armii.

- Mamuniu najmilsza! Jakże tak można! - przeraził się intendent.

- Sami nie mamy za dużo! Powiedzieliście przed chwilą, że ludzie są nadzy...

- Nie zmuszajcie mnie do powtarzania tego samego. Oddać! Bardzo mnie rozczarowujecie do siebie swoim postępowaniem, Liberman. Zdawało się z początku, że jesteście człowiekiem o wielkim rozmachu, a tymczasem okazuje się, że jesteście zwyczajnym sknerą, ciułaczem, a nie odpowiedzialnym kierownikiem gospodarczym. Widocznie całą waszą inicjatywę pochłania układanie niepotrzebnych raportów. Macie pod nosem całe składy butów i odzieży, dlaczego nie interesujecie się nimi?

- Gdzie są te składy? - Liberman pociągnął wielkim pokrytym wągrami nosem.

- Umówiłem się z wojskowymi, że dadzą nam stare umundurowanie. Będziecie szyć z tego odzież zimową dla naszych robotników. Jedźcie do Rubieżańska i załadujcie to, co otrzymacie. Po wtóre: zorganizujcie duży warsztat krawiecki. Szukajcie pomieszczenia. Załkind obiecał wciągnąć do pracy gospodynie. Za tydzień warsztat powinien już być czynny,

Batmanow postanowił oddzielić zaopatrzenie techniczne od zaopatrzenia obejmującego przedmioty codziennego użytku. Gospodarstwo Libermana było zbyt obszerne - od gwoździ do oleju... Jednak

zorganizowanie nowego wydziału zaopatrzenia technicznego przedłużało się wskutek tego, że nie było pod ręką człowieka, który by nim pokierował.

- Mamuniu najmilsza! Nie mamy zupełnie pracowników zaopatrzeniowych! - biadał Liberman. - Inżynierów mnóstwo, techników jeszcze więcej, ekonomistów zatrzęsienie - a intendentów nie ma. W moim wydziale - albo durnie, albo złodzieje. I pracować nie ma kto, wszystko trzeba robić samemu. Ale ja nie jestem Juliuszem Cezarem...

W odpowiedzi na to biadolenie Batmanow wtrącił:

- Przypomnieliście mi starą anegdotę. Pewien ordynans głosił teorię podobną do waszej. Mawiał, że cały świat dzieli się na dwie części: jedna, godniejsza, to pan porucznik i on, a druga - to złodzieje, łotry i dumie. Ten ordynans to wasz bezpośredni przewodnik duchowy.

Kierownik nowego wydziału znalazł się niespodziewanie i to właśnie wśród tych pracowników, na których narzekał Liberman.

Batmanow często wpadał do wydziałów i przyglądał się ludziom. Którejś nocy postanowił sprawdzić, kto oprócz niego został jeszcze w zarządzie. We wszystkich niemal pokojach było już ciemno, tylko w gabinetach Załkinda, Beridzego, Kowszowa, Grieczkina i Filimonowa paliło się światło i słychać było rozmowy. W wydziale zaopatrzenia przystojny młodzieniec o kędzierzawej czuprynie rozmawiał z kimś telefonicznie. Batmanow już na korytarzu usłyszał jego głos. Rozmowa była co się zowie, mocna! Prawdopodobnie rozmawiał z Libermanem, który przebywał w tym czasie w Rubieżańsku.

- Jesteście urodzonym komediantem, nie intendentem! Świetny z was aktor, lubicie grać, udawać, robić z siebie osobistość ważniejszą niż jesteście w rzeczywistości - krzyczał młody człowiek w słuchawkę. - Oklaski, które zbiera wasz brat, Łazarz Liberman, nie dają wam spokoju. Co? Nie słychać? Bo nie lubicie słuchać takich rzeczy! Ja nie mam brata wśród artystów i nie pragnę sławy. Mówię, że nie pragnę sławy. Chciałbym zostać intendentem! Zupełnie wystarczy mi ta mała rola w historii!

Wysłuchawszy odpowiedzi Libermana młodzieniec mówił dalej:

- Rozstanę się z wami bez jęków i łez, proszę bardzo! Nawet wypiję kieliszek wódki z radości. Nie bójcie się o mnie, dam sobie radę! Pójdę do Batmanowa, mówią, że on dla każdego znajdzie właściwą pracę... Nie straszcie mnie, nie jestem dzieckiem. Raczej namyślcie się sami - wasz protektor Grubski wyjechał, nie macie mecenasa dla waszej sztuki...

Zobaczywszy stojącego w drzwiach Batmanowa młodzieniec zerwał się i stanął na baczność zapominając o telefonie.

- Jak się nazywacie?

- Fiedosow - odpowiedział referent zaopatrzenia technicznego.

- Dlaczego was nie znam?

- Pomiędzy wami a zwykłymi pracownikami stoją niekiedy kierownicy wydziałów. Nas, pracowników zaopatrzenia, przesłania postać Libermana. - Fiedosow odpowiadał śmiało, patrząc prosto w oczy Batmanowa.

- Tak, figurę ma potężną... - zgodził się Batmanow. - W związku z czym wymieniliście moje nazwisko w czasie tej tak żywej rozmowy?

- Chciałem zwrócić się do was z prośbą o pracę nie związaną z Libermanem. Obrzydły mi dekoracje: pracujemy źle, chociaż na zewnątrz wyglądamy dobrze; nie staramy się pracować lepiej, ale staramy się zachowywać fałszywe pozory. Oszukujemy was dziarskimi raportami na wzór wojskowych: „już wykonano... już osiągnięto... już zażądaliśmy...” A w rzeczywistości wszędzie nieporządek, nic nie jest zrobione, nic nie wykonano. Nie ma planu zaopatrywania. Odcinki wołają wielkim głosem, my je uspokajamy kłamiąc na każdym kroku. Wielu materiałów brak i choć na razie nie są koniecznie potrzebne, wkrótce nie będziemy się mogli bez nich obejść. Wtedy wynikną nieuchronne opóźnienia i przerwy w robocie. Potrzebne są jakieś wyjątkowe środki zaradcze, a my komponujemy papierki, żeby się zaasekurować...

Fiedosow wypowiedział to wszystko jednym tchem, jak człowiek, którego serce zalewa gorycz. Porzucona przez niego słuchawka terkotała. Batmanow podniósł ją i przyłożył do ucha.

- Halo, Fiedosow, zabraniam wam chodzić do Batmanowa! - krzyczał Liberman na drugim końcu przewodu. - Mamuniu najmilsza, po co wyciągać brudy z własnego domu? Posprzeczaliśmy się, to prawda, ale pogodzimy się. Nie takie rzeczy zdarzają się pomiędzy ludźmi. Zapewniam was, że nie ma sensu psuć naszych dobrych stosunków - głos Libermana był słodki jak miód...

- Liberman - powiedział Batmanow - brudów u was jest rzeczywiście dużo, ledwo wstąpiłem do was, od razu ugrzązłem w tym błotku. Czy słyszycie mnie? - Liberman milczał, zaskoczony nieoczekiwanym wtrąceniem się kierownika do rozmowy. - Wyjeżdżajcie do Nowińska! Muszę was pocieszyć. Znalazł się na kuli ziemskiej, oprócz was, jeszcze jeden intendent i w dodatku nie dureń i nie oszust! Ten wasz nauczyciel - ordynans - wprowadził was w błąd!

Gdy Liberman wrócił z Rubieżańska, Batmanow nie zwlekając dokonał podziału wydziału zaopatrzenia na dwie części. Wezwawszy do siebie obu intendentów, po raz drugi przedstawił Fiedosowa Libermanowi.

- Zapoznajcie się i spróbujmy wspólnie rozejrzeć się w waszych śmieciach...

Fiedosow szczegółowo opowiedział, jak są zaopatrzone odcinki trasy. Nie pozwolił sobie na żaden wypad przeciw swojemu byłemu kierownikowi, nie powołał się na niego ani razu, jednak wszystko, co mówił, zdawało się smagać Libermana po twarzy.

Na budowie brakowało wielu rzeczy: rur, zasuw, łączników, aparatów spawalniczych, elektrod do spawania, kabla podwodnego, szkła wodnego, smoły i innych materiałów. Fiedosow trzymał przed sobą obszerne wykazy i bez końca wyliczał braki. Każda nazwa w spisie Fiedosowa miała swoją skomplikowaną historię. Dostawy rur, zasuw i wyposażenia stacji pomp zależne były od zamówień Komisariatu Handlu Zagranicznego. Nie można było liczyć na ich szybkie wykonanie. Niektóre materiały, dostarczane przez fabryki położone na południu kraju, załadowane w pierwszych dniach wojny, zaginęły w drodze. Obecnie te fabryki albo przenoszą na wschód, albo już zorganizowane na nowych miejscach przestawiano na produkcję wojenną.

Fiedosow w sprawozdaniu starał się przedstawić sytuację ze wszystkimi komplikacjami, niczego nie ukrywając i nie upiększając. Był ciekaw, jak ustosunkuje się kierownik do jego referatu. Oczekiwał burzliwej reakcji. Ale twarz Batmanowa wyrażała jedynie uwagę i natężoną pracę myśli. Był zadowolony, że wreszcie miał to, czego mu brakowało: jasne pojęcie o zagmatwanej gospodarce zaopatrzenia technicznego. Obmyślał już pierwsze natychmiastowe kroki.

Liberman, stojący z miną człowieka niesprawiedliwie skrzywdzonego przez ludzi i los, na próżno oczekiwał burzy i gromów, które miały spaść na jego głowę, i niepotrzebnie przygotowywał długą

mowę obronną. Batmanow wezwał sekretarza, podyktował krótki rozkaz w sprawie zorganizowania nowego wydziału pod kierownictwem Fiedosowa i natychmiast go podpisał.

- Jeszcze jedna sprawa, towarzyszu kierowniku - powiedział Fiedosow. - W zaopatrzeniu mamy wspólny bilans i wspólną rachubę. Prosiłbym o rozdzielenie nas i pod tym względem.

Przypuszczając, że Liberman w pierwszym okresie istotnie będzie przeszkadzał Fiedosowowi, Batmanow wydał telefonicznie zarządzenie, aby wyodrębniono nowy wydział pod względem bilansowym.

Główny buchalter był przeciwny temu, uważał, iż nie należy teraz oddzielać rachunkowości nowego wydziału; trzeba poczekać do końca roku sprawozdawczego. Jego zdaniem, takie zarządzenie nie leżało w ogóle w interesach buchalterii.

- Za to jest w interesach budowy. Kiedy zapamiętacie sobie tę prawdę, że wasza buchalteria istnieje dla budowy, a nie na odwrót? Nie chcę czekać na wasze sprawozdanie. I nie irytujcie mnie straszliwym obrachunkiem buchalteryjnym, bo wezmę się do niego nadprogramowo i przekonam was, że nie będzie taki straszny. Idźcie i dzielcie się - zwrócił się do intendentów. - I pamiętajcie: żadnych intryg i matactw! Możecie się nie lubić, odczuwać wzajemną antypatię i wiele innych dramatycznych uczuć, ale w pracy obowiązani jesteście pomagać sobie, przyjaźnić się, a nawet - jeśli to będzie z pożytkiem dla sprawy - całować się... Nie daj Boże, abym dowiedział się, że szkodzicie sobie nawzajem!

Na szerokiej, tłustej twarzy Libermana o wielkim nosie i mętnych oczach pojawił się wyraz ironii i pychy. Dlatego też Batmanow po wyjściu Fiedosowa zatrzymał Libermana.

- Za śmietnik, który znalazłem u was, należałoby porządnie wygarbować wam skórę. Pohamowałem swoje oburzenie sądząc, że sami wyciągniecie właściwe wnioski i ocenicie moją delikatność. Omyliłem się: wniosków nie wyciągnęliście, a mojej delikatności - jak widzę z wyrazu waszej twarzy - nie oceniliście należycie. Patrzę na was i zastanawiam się, jakim właściwie jesteście człowiekiem? Trudno uważać was za wroga, ale pomocnikiem także jeszcze nie jesteście. Wszystko jest u was do góry nogami! Niby nie jesteście głupi, a robicie wiele głupstw. Zastanówcie się nad swoim postępowaniem, bo gotowiście zajść gdzieś daleko, skąd nie będzie powrotu... Teraz jest wojna...

- Zwolnijcie mnie lepiej z budowy. Nie nadaję się, odwykłem od pracy - pokornie, lecz nieszczerze prosił Liberman.

- Dajcie spokój, Liberman, nie róbcie przedstawienia. Zupełnie nie podoba mi się to, czym mnie raczycie. Żądam od was szczerości i prostoty. Bądźcie zawsze sobą, nie kłamcie, mówcie o wszystkim zgodnie ze stanem faktycznym. Żądam kategorycznie, żebyście wymietli śmiecie ze swojej izby, mając na względzie zarówno mnie jak i siebie. Przecież to jest częściowo i moja izba, prawda? A więc utrzymujmy ją we wzorowej czystości.

- Pracuję w dzień i w nocy, staram się ze wszystkich sił, mamuniu najmilsza, a wciąż nie mogę dogodzić...

- Wobec tego zmieńcie waszą metodę pracy. Pamiętacie, kiedyś rozmawialiśmy o metodzie... Przykro mi, że muszę się powtarzać. Uprzedzam, że więcej powtarzać nie będę.

Batmanow umilkł oczekując odpowiedzi. Liberman stał zwrócony do niego profilem.

- Czy czytaliście myśli Tołstoja spisane przez jego bliskich? - zapytał kierownik niespodzianie.

- Zdaje mi się, że czytałem - niepewnie i ze zdziwieniem odpowiedział Liberman.

- Przypomnę wam jedno jego zdanie. Właśnie wy powinniście je zapamiętać. Lew Tołstoj powiedział, że człowiek podobny jest do ułamka, w którym licznik wyraża to, czym on jest naprawdę, a mianownik - to, co o sobie myśli. Im większy jest mianownik, tym mniejszy ułamek. Kiedy mianownik równa się nieskończoności, ułamek równa się zeru. Dobre porównanie, prawda?

Liberman milczał. W ruchu jego głowy o rudych, krótkich włosach i w grubej szyi było coś, co przypominało upartego byka.

- Starajcie się patrzeć w oczy, kiedy słuchacie niemiłych wprawdzie, ale sprawiedliwych upomnień! - Batmanow podniósł lekko głos. - Grozi wam, że zgodnie ze zdaniem Tołstoja, możecie wartość swą sprowadzić do zera. - Palcem zakreślił w powietrzu kółko. - Daję wam niewiele czasu do namysłu. Albo dojdziemy do porozumienia, albo przeniosę was do Fiedosowa w charakterze najmłodszego ekspedytora.

Po tej rozmowie przez jakiś czas kierownik zostawił Libermana w spokoju; dobrze zdawał sobie sprawę z siły swych upomnień. Z tym większą energią natomiast wziął się do organizowania gospodarstwa Fiedosowa. Osobiście zapoznał się z każdym pracownikiem nowego wydziału i wziął udział w pierwszej naradzie całego zespołu.

Obaj z Fiedosowem sprawdzili zasoby głównych magazynów, przeliczyli ilość materiałów na składach, wyznaczyli kolejność wysyłania ładunków na trasę po zimowej drodze.

W pobliżu przystani Batmanow osobiście wybrał miejsce na skład przeładunkowy. W ciągu trzech dni nad brzegiem Adunu wyrosło osiedle, składające się z licznych namiotów, nazwane Startem. W tym miejscu rozpoczynał się przyszły lodowy szlak po Adunie. Można było również uważać, że tutaj był początek rurociągu.

Jednocześnie kierownik budowy postanowił wysłać do wszystkich większych miast Dalekiego Wschodu, Syberii i Uralu obrotnych ludzi w celu wyszukania i nabycia brakujących mu materiałów i sprzętu. Pełnomocników wybierał zasięgając rady Załkinda.

Partorg miał wiele kłopotów. Przygotowywał się pilnie do konferencji partyjnej, którą miał zamiar zwołać przed uroczystościami listopadowymi.

Nie dawały mu spokoju myśli o ludziach na trasie, rozrzuconych na ogromnej przestrzeni, dotąd wciąż rozdzielonych, nie związanych jeszcze nawet linią telefoniczną. Konferencją tą Załkind pragnął jak gdyby połączyć na nowo wszystkich pracowników. Ważną rzeczą było poznanie działaczy partyjnych z odcinków, aby móc zasięgnąć wiadomości o tym, jak żyje trasa, i przez nich poinformować wszystkich o przyszłych zadaniach.

W zarządzie odbyło się zebranie partyjne, połączone z wyborami nowej egzekutywy. Prócz Załkinda i Batmanowa w skład jej weszli Kowszow, Grieczkin i Filimonow. Bezpośrednio po tym z inicjatywy Załkinda zebrał się aktyw komsomolski. Młodzież złożyła kierownictwu budowy sprawozdanie ze swej działalności. Wystąpiwszy z rzeczowym i przemyślanym referatem technik łączności, Kola Smirnow, barczysty młodzieniec o energicznej twarzy i spokojnych ruchach, nie bez goryczy powiedział zwracając się do Załkinda i Batmanowa:

- W tej chwili nie jesteśmy aktywem, lecz - pasywem. Gorzko jest zdać sobie sprawę, że w takiej przełomowej chwili z powodu krótkowzroczności kierownictwa utknęliśmy na martwym punkcie. Trzeba nadrobić stracony czas. Wprzęgnijcie nas jak najszybciej do pracy. Wciąż jeszcze mamy jej za mało.

Ku pełnemu zadowoleniu Załkinda sekretarzem komsomolskiego komitetu zarządu wybrano Kolę Smirnowa.

W tym czasie z Moskwy nadeszło zezwolenie na wydawanie własnej gazety na budowie. Załkind ucieszył się i natychmiast zorganizował redakcję. Przywiózł z miasta dwóch młodych dziennikarzy. Ulokowani chwilowo w jego gabinecie, zabrali się od razu do redagowania pierwszego numeru pisma.

W wydziałach codziennie przed rozpoczęciem pracy przyjął się zwyczaj urządzania prasówki. W hallu zarządu postawiono ogromną tablicę współzawodnictwa pracy, na której podane były również zobowiązania każdego wydziału z okazji święta siódmego listopada. Jako inicjatorzy występowali Grieczkin i pracownicy wydziału planowania.

Przy tym wszystkim Załkind nie tracił kontaktu z Batmanowem i zawsze znajdował czas, aby mu służyć pomocą. Kierownik niejednokrotnie notował sobie w pamięci właściwe podejście do spraw gospodarczych i troskę o nie. Za zezwoleniem Krajowego Komitetu Partyjnego Załkind zrzekł się na jakiś czas obowiązków pierwszego sekretarza Komitetu Miejskiego, złożywszy je na barki drugiego sekretarza. Jednak zawsze przypominał o swych prawach, ilekroć mogły one przynieść pożytek budowie.

Sam zaofiarował się towarzyszyć Batmanowowi, Beridzemu i Fiedosowowi, udającym się do dyrektorów nowińskich zakładów przemysłowych. Celem tej wizyty było nawiązanie stosunków, które między pracownikami wydziałów gospodarczych noszą nazwę dżentelmeńskich i polegają na okazywaniu sobie wzajemnej pomocy. Batmanow miał nadzieję, że uda mu się osiągnąć porozumienie z kierownikami miejskich przedsiębiorstw w sprawie otrzymania brakujących urządzeń i niektórych materiałów. Już w pierwszej fabryce przekonał się, że Załkind nie na próżno im towarzyszy.

Dyrektor fabryki, Tieriechow, blady, wysoki mężczyzna mający około trzydziestu lat, powitał ich serdecznie i przyjaźnie, ale gdy tylko Załkind zaczął mówić o celu przybycia, zapytał go wprost:

- Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, którego towarzysza Załkinda mam przed sobą: sekretarza Komitetu Miejskiego czy partyjnego organizatora budowy?

- Obu na raz - padła odpowiedź. - Załkind partorg prosi was o okazanie pomocy budowie, a Załkind sekretarz Komitetu Miejskiego, znający doskonale możliwości fabryki, postara się o to, aby jej kierownicy odnieśli się do potrzeb budowy tak, jak przystoi patriotom i członkom partii.

Uśmiechnął się, gdy Tieriechow podniósł obie ręce do góry i zawołał:

- Poddaję się! Przyjmuję zamówienia na elektrody! Dam wam dwa aparaty do spawania! Podzielę się metalem! O innych prośbach pomyślę.

Pobyt w mieście zajął im dwa dni. W innych zakładach równie serdecznie przyjęto Batmanowa. Dyrektorzy zakładów podobali mu się. Niektórzy pamiętali go z poprzednich prac w głębi kraju. Odczuł, że miasto jest żywo zainteresowane budową rurociągu.

- Nawet jeżeli zrobią tylko połowę tego, co obiecali - to i za to będę im wdzięczny - powiedział Batmanow, zadowolony z wyników podróży.

- Zrobią więcej, niż obiecali.

Kierownictwo budowy było zaniepokojone również sprawą rezerw ludzkich. Zgodnie z obliczeniami Beridzego i Grieczkina należało co najmniej podwoić ilość rąk roboczych. Na odcinkach brakowało cieśli, szoferów, spawaczy, telefonistów i robotników niewykwalifikowanych. Plany robót zimowych

mogły wskutek tego ucierpieć. Fala ewakuacji z zachodu nie dotarła do nich. Wyjście było tylko jedno: dobrać ludzi na miejscu, chociaż odczuwano tu brak ludzi do pracy nawet w okresie pokoju. Batmanow wraz z Załkindem postanowili wyruszyć do Rubieżańska, aby znaleźć jakieś rozwiązanie trudności.

Przygotowania do robót zimowych odbywały się jak gdyby niezależnie od tego, czy znajdą się nowe rozwiązania techniczne.

- Batmanow działa tak, jakbyśmy mieli już gotowy nowy projekt i widzieli wszystko do dna - z pewnym niepokojem zauważył Kowszow, gdy wraz z Beridzem wyszedł od kierownika budowy po naradzie zarządu.

- Pokłada nadzieję w nas, przyjacielu - odpowiedział Beridze. - Ponadto zaś będąc wielkim dyplomatą wie, w jaki sposób wpłynąć na ludzi takiego pokroju, jak my. Chcesz czy nie chcesz, czujesz się przy nim tak, jakbyś ty jeden miał zaległości i w ogóle jakbyś ty jeden był winien wszystkiemu, i jakbyś ty właśnie hamował budowę. Powiesz może, że nieprawda?

- Słusznie. Myślałem o tym samym i zdecydowałem się wziąć ludzi w garść i dokręcić śruby.

W rzeczywistości poszukiwania nowych rozwiązań technicznych dalekie jeszcze były od pomyślnego zakończenia. W ciągu dziesięciu lat inżynierowie radzieccy zdobyli na Dalekim Wschodzie niemałe doświadczenie w budownictwie kolei żelaznych, mostów i skomplikowanych urządzeń, przemysłowych, odkryli przy tym wiele tajemnic ziemi, skutej wiecznym mrozem, jednak jeszcze nigdy nie budowano tutaj rurociągu naftowego.

Przed rozpoczęciem każdej budowy przeprowadza się zazwyczaj dokładne badania okolic i warunków oraz prace doświadczalne. Było to szczególnie ważne dla tak nowego przedsięwzięcia, jak ułożenie rurociągu. To, co zrobili Grubski, Topolew i ich pomocnicy, nie odpowiadało zadaniu i w najlepszym wypadku mogło służyć za odskocznię do innej, naprawdę właściwej koncepcji technicznej.

Na długie przygotowania brak już było czasu. Beridze musiał robić wszystko na raz: przebudowywać aparat administracyjny, zajmować się badaniami i projektowaniem i kierować robotą odcinków. Zorganizował na nowo wydział techniczno-produkcyjny z kilkoma oddziałami i z dużą grupą projektową, w której zebrano wszystkich specjalistów od projektowania. Na czele tego wydziału postawiono Kowszowa, jego zastępcą został Topolew. Batmanow i Beridze doszli do wniosku, że w ten sposób kierownictwo wydziału w obiecujący sposób łączy energię i stanowczość młodego inżyniera i doświadczeniem i przezornością starego, szanowanego specjalisty.

Praca nowego wydziału ruszyła natychmiast. Naczelny inżynier zasypywał formalnie Aleksieja i jego ludzi wciąż nowymi zadaniami. Koncepcje Beridzego rodziły się tak szybko, były tak nieoczekiwane i śmiałe, że wprowadzały w zakłopotanie nawet doświadczonych inżynierów. Propozycje, sypiące się jak z rogu obfitości, wywoływały w nich niekiedy wątpliwości, a nawet zdumienie.

Stosunkowo łatwo przyjęli polecenie Beridzego, aby zaprojektować organizację prac mających na celu utorowanie na lodzie drogi, która nadawałaby się do przewożenia ciężkich ładunków samochodami, traktorami i końmi. Beridze wyobrażał sobie tę drogę po zamarzniętym Adunie jako potężną magistralę, podobną do kolejowej, na której ruch odbywa się ściśle według rozkładu. Aleksiej, przemyślawszy zadanie, przekazał je po opracowaniu projektodawcom. Zespół pomyślnie opracował wszystkie szczegóły dotyczące przyszłego szlaku na lodzie: sposoby oczyszczania drogi ze zwałów

lodowych, środki walki z zaspami śnieżnymi oraz sposób przewożenia ciężkich ładunków, takich jak rury, lokomobile, części urządzeń.

Nie bez sceptycyzmu przyjęto polecenie Beridzego w sprawie przerobienia projektu „barier” - tak nazywano najbardziej skomplikowane i wymagające dużego nakładu pracy obiekty budowy, np. przejścia przez rzeki oraz stacje przetaczania ropy. Beridze zażądał maksymalnego ograniczenia zakresu robót kosztem drugorzędnych urządzeń.

Ale oto inżynier naczelny niespodziewanie polecił - na całym niemal lądowym odcinku - zmienić bieg trasy, przenieść ją z prawego brzegu na lewy... Pomysł ten wydał się technikom błędny i po prostu niewykonalny. Owszem, przeniesienie trasy powodowało jej wyprostowanie, skracało długość rurociągu i pozwalało na ominięcie łańcucha wzgórz na prawym, brzegu, jednakże ten wariant planu w wyniku dawniejszych badań został stanowczo odrzucony, ponieważ ustalono, że lewy brzeg w czasie wylewu rzeki bywa w dużej części zatapiany. Poza tym przeniesienie trasy równałoby się porzuceniu prac już wykonanych na prawym brzegu i zmuszało do urządzania od początku odcinków na lewym.

Wszyscy byli tym nieprzyjemnie zaskoczeni. „Drwal jakiś - rąbie wszystko jak drzewo” - szeptano w wydziale. Kierownik grupy planowania, Kobziew, sumienny i pracowity inżynier o łagodnej, nie zdradzającej energii twarzy i stale rozwichrzonej czuprynie, ostrzegał Aleksieja, do którego od razu poczuł sympatię:

- Uważajcie, Aleksieju Nikołajewiczu, bo on gotów jest wpakować nas w sytuację bez wyjścia. Może byłoby lepiej podyskutować z nim, przekonać, aniżeli tak od razu ulegać i robić świadomie niepotrzebną pracę.

Kobziew i wszyscy, którzy brali udział w tworzeniu dawnego projektu, nie zdawali sobie jeszcze dostatecznie sprawy z tego, że obowiązkiem ich jest pomóc Beridzemu w znalezieniu sposobu zbudowania rurociągu w ciągu roku. Beridze wydawał się im nierozsądnym hazardzistą, człowiekiem, który działa bez namysłu. Współczuli Aleksiejowi mniemając, że wykonuje polecenia naczelnego inżyniera niemal z musu i że jest podobnie jak oni - swego rodzaju ofiarą sytuacji.

Aleksiej znalazł się jakby na skrzyżowaniu dwóch przeciwdziałających sił. Był najbardziej zaufanym człowiekiem Beridzego i pierwszym wykonawcą jego rozkazów. Z drugiej strony, on właśnie bezpośrednio kierował ludźmi, którzy nie uwolnili się jeszcze spod wpływów Grubskiego. Młody kierownik wydziału cierpliwie starał się przekonać współpracowników o słuszności posunięć Beridzego i korzystał z każdej okazji, aby wszczepiać w nich swą wiarę w niego. Wiedział bowiem, co kryje się za tą pozorną łatwością powstawania technicznych pomysłów Beridzego. Naczelny inżynier był tym typem nowatora, u którego odkrycia, wynalazki i ulepszenia powstają wtedy, kiedy jest nóż na gardle, kiedy nie można się bez nich obejść. Beridze posiadał zdolność skupiania uwagi na jednym, najważniejszym zagadnieniu, nie bał się ryzyka i odpowiedzialności, miał doskonałe przygotowanie i praktykę. Czuł, że żyje, gdy kończył jedną, a zaczynał drugą budowę. I gdyby ktoś pewnego dnia chciał wyjaśnić, co było najważniejsze w całej jego zawodowej działalności, to okazałoby się, że najważniejszą rzeczą było poszukiwanie i znajdowanie sposobów wybrnięcia z różnych krytycznych sytuacji.

Myśl o przeniesieniu trasy na lewy brzeg przyszła nie przypadkowo, nie intuicyjnie. Jeszcze w Moskwie, przyjmując nominację, Beridze zrozumiał, że powodzenie sprawy będzie zależało od tego, czy znajdą się sposoby na to, aby skrócić trzykrotnie czas potrzebny do ułożenia rurociągu. Odtąd myślał tylko o tym. Jak wiele razy przedtem, stanęło przed nim zadanie: koniecznie znaleźć wyjście! Znał doskonale Adun nie z mapy, lecz z badań, w których brał udział przed kilku laty.

Zastanowił go od razu fakt, że dla rurociągu wybrano niedogodny z wielu względów prawy brzeg. Wraz z Aleksiejem udał się niezwłocznie samolotem, aby z lotu ptaka zorientować się we właściwościach lewego brzegu. Następnie jak najstaranniej przestudiował bruliony starego projektu i przekonał się, że lewobrzeżny wariant trasy był proponowany przez badaczy z terenu, lecz został odrzucony decyzją Grubskiego, ponieważ w czasie powodzi rzeka zalewała odcinki lewego brzegu. „Za granicą zbudowano dziesiątki rurociągów, u nas zaś jest to rzecz nowa. Jeżeli autorytety oświadczają, że tak nie należy budować, to trzeba im wierzyć na słowo, ponieważ wiedzą lepiej od nas" - tak postanowił Grubski i przeniósł pomiary trasy na prawy brzeg.

Nowy naczelny inżynier nie zwykł ślepo ufać nawet najbardziej szanowanym autorytetom. Odrzucony przez Grubskiego wariant zbyt wiele obiecywał, aby można było pochopnie z niego zrezygnować. Beridze chciał przekonać się osobiście, czy rzeczywiście wielkie jest niebezpieczeństwo zatopienia lewego brzegu. I nawet w wypadku gdyby istotnie niebezpieczeństwo to okazało się realne, Beridze postanowił z góry zakwestionować słuszność zakazu budowy rurociągu w miejscach zatapianych.

Nikt, nawet Aleksiej, nie domyślał się, ile wytężonej pracy umysłowej kosztowało powzięcie decyzji o nowym kierunku trasy na lądzie... Czterokrotnie Beridze wznosił się samolotem i męczył pilota, każąc mu godzinami krążyć nad Adunem. Zamknąwszy się, przesiadywał w swoim gabinecie i kreślił poprawki na arkuszach map topograficznych i na wykresach projektu, kurząc bez przerwy fajkę, aż powietrze w pokoju stawało się mglisto-zielonkawe... W domu chodził nocami po pokoju lub nieruchomo leżał na kanapie z zadartą do góry czarną brodą.

Aleksiej, Batmanow i Załkind pierwsi dowiedzieli się od naczelnego inżyniera o postanowieniu przeniesienia trasy. Kierownik budowy i partorg pochwalili decyzję, mimo iż zrodziła się niespodzianie i na pierwszy rzut oka mogła wydawać się ryzykowna i wymagała likwidacji wielu odcinków. Aleksiej zrozumiawszy, jakie korzyści rokuje propozycja Beridzego, me posiadał się z radości. Naczelny inżynier musiał nawet ostudzać zapał swego zastępcy.

- Nie zachwycaj się zbytnio, przygotuj się na trudności - radził polecając Kowszowowi przystąpić natychmiast do opracowania nowego wariantu projektu. - Trzeba będzie długo pracować, zanim cała rzecz stanie się zrozumiała dla wszystkich. Zobaczysz jeszcze, że niektórym osobom moja propozycja nie przypadnie do smaku...

Tak się też stało. Następnego dnia Aleksiej nieco strapiony opowiedział Beridzemu, jak nieufnie przyjęli pracownicy jego wydziału nowe polecenie. Prosił Beridzego, aby sam porozmawiał z ludźmi.

- Porozmawiać mogę - zgodził się Beridze. - Ale żadna rozmowa nie zastąpi usilnej pracy. Przekonamy ludzi czynem. Niech pracują nad projektem dzień i noc - a jestem gotów założyć się, że twój Kobziew, a za nim i inni staną się najbardziej oddanymi nam zwolennikami projektu.

Od wszystkich tych kłopotów Grubski i Topolew jawnie stronili. Topolewa dosłownie nikt nie widział i nie słyszał. Całymi dniami przesiadywał w swoim gabinecie. Po nieudanych próbach zaprzyjaźnienia się z nim, Aleksiej postanowił do czasu zostawić starca w spokoju. Grubski w charakterze referenta kierownika budowy sumiennie wypełniał polecenia Batmanowa i do niczego czynnie się nie mieszał. Przypatrując się wysiłkom Beridzego i Kowszowa drwił z nich po cichu, nazywając ich „odkrywcami Ameryki".

Usłyszawszy o ostatniej propozycji Beridzego dawny naczelny inżynier ze złośliwym zadowoleniem powiedział do pracowników z grupy Kobziewa, którzy przybiegli do niego po radę:

- Brodacz prowadzi was najkrótszą drogą do sali sądowej. Ponieważ nie chcę powiększać grona podsądnych, pozostaję na stanowisku spokojnego obserwatora niechybnej zguby - jego i waszej razem z nim...

Jednak Grubski nie utrzymał się w roli chłodnego obserwatora. Gdy dowiedział się, że Beridze równocześnie z poleceniem wydanym Kowszowowi, dotyczącym projektu, kazał przerwać prace na poszczególnych odcinkach prawego brzegu i przenieść je na lewy, udał się do Batmanowa. Kierownik po dwudniowej nieobecności powrócił właśnie z Rubieżańska. Grubski oskarżył Beridzego wobec Batmanowa o niewłaściwe i przestępcze poczynania.

- Projekt wasz nie jest jeszcze zatwierdzony przez wyższe instancje - mówił skandując słowa. - Co więcej, jeszcze nawet nie jest gotowy. Tylko szaloną lekkomyślnością można wytłumaczyć wasze pośpieszne rozkazy. Uzasadnijcie ich słuszność.

- Nie jesteście prokuratorem i nie mam zamiaru wygłaszać przed wami mowy obrończej - odrzekł Beridze małemu, zgryźliwemu człowiekowi.

- Cofnijcie zarządzenia Beridzego. Są one z gruntu fałszywe i zgubne w skutkach - zwrócił się Grubski do Batmanowa. - Jako kierownik budowy ryzykujecie głową z powodu jego lekkomyślności...

Batmanow spodziewał się ataku Grubskiego i był na to wewnętrznie przygotowany. Postanowił osadzić go na miejscu, a jednocześnie zagrzać Beridzego i podkreślić, jak wielka odpowiedzialność spoczywa na jego barkach. Wysłuchał cierpliwie gorącej sprzeczki dawnego naczelnego inżyniera z nowym i oświadczył stanowczo:

- Nie mam zamiaru brać w kuratelę naczelnego inżyniera. Jest on takim samym kierownikiem na budowie jak i ja. Niech rozporządza się w granicach danych mu uprawnień i spoczywającej na nim odpowiedzialności. A co się tyczy mojej głowy, to nie troszczcie się o nią, siedzi na mocnym karku.

Grubski zmieszał się: oczekiwał od kierownika innego przyjęcia.

- Moim obowiązkiem było was uprzedzić. Teraz pozostaje mi tylko zamknąć oczy na wszystko, co się tu dzieje - wyrzekł z goryczą i z pewnym patosem. Wyraźnie obrażony opuścił gabinet Batmanowa.

8. Wysłanka trasy

Dopiero w siódmym dniu wędrówki Tania Wasilczenko dotarła na nartach do Nowińska. W brązowym flanelowym kostiumie i w czerwonej szydełkowej czapeczce, z plecakiem i zwiniętą ciepłą kurtką na plecach wyglądała jak uczestniczka długodystansowych zawodów narciarskich. Brakowało jej tylko wstęgi z godłem lub numerem na piersi.

Ze Startu zauważyli ją Batmanow, Załkind i Beridze. Maleńka postać to ginęła, to znów ukazywała się wśród niezmierzonych przestrzeni Adunu.

W zarządzie starano się nie przeoczyć zamarznięcia rzeki. W wydziałach zakładano się, czy Adun już stanął, czy nie; zakładający się co chwila podchodzili do okien albo wybiegali na brzeg. Adun wydawał się zupełnie nieruchomy, lecz chwilami jego lodowa pokrywa drżała i słychać było głuchy, oddalony łoskot.

W końcu Adun rzeczywiście stanął i nikt nie zauważył tego momentu. W chaotycznych, spiętrzonych zwałach lodowych zastygła jego potężna siła.

... Rozpraszały się resztki mgły, wiszącej w strzępach nad rzeką. Chłodne, zimowe słońce świeciło jaskrawym blaskiem. To tu, to tam wśród spiętrzonych lodowych pryzmatów, piramid i nieforemnych brył zapalały się brylantowe, oślepiające blaski. Oszronione zarośla nadbrzeżne, prześwietlone promieniami, podobne były do różowych krzaków korali.

Batmanow, Beridze i Załkind zeszli na lód. Chodzić wśród zwałów lodowych było trudno, nogi ślizgały się i potykały o ostre występy lodu. Nad rzeką przelatywał lekki wiatr, rozdmuchując puszysty śnieg i parząc nim twarze. Kierownik budowy kazał wyprowadzić ludzi do oczyszczania drogi i puścić na lód traktor. Znów ukazała się, teraz już blisko, samotna postać narciarki.

- Czerwony kapturek na Adunie - uśmiechnął się Beridze. - Ciekaw jestem, skąd i dokąd wędruje ta samotna dusza.

Nie dochodząc do Startu Tania Wasilczenko zdjęła narty i wziąwszy je na ramię, wdrapała się na urwisty brzeg. Szukała schronienia, chciała odpocząć i doprowadzić swój wygląd do porządku. Skierowała się ku jednemu z dwuizbowych domków osiedla, przylegającego do zarządu. Mieszkała tam jej przyjaciółka, lekarz Olga Rodionowa. Na pukanie nikt się nie odezwał. Tania zatrzymała się chwilę na ganeczku, po czym oparłszy narty o drzwi poszła wydeptaną w śniegu ścieżką do zarządu.

Długo chodziła po korytarzach szukając drugiej swej koleżanki, ekonomisty Żeni Kozłowej. Nie zastała jej na dawnym miejscu, wszystko tu było inaczej niż poprzednio; w dobrze znanych jej pokojach byli inni ludzie...

- Obiecujący początek rządów nowego kierownictwa - przeflancowywanie wszystkich z miejsca na miejsce. Bajka Kryłowa, nie zarząd - zrzędziła Tania.

Odnalazła Żenię na czwartym piętrze; siedziała w małym pokoiku przy niezmiernie dużym biurku w towarzystwie drugiego ekonomisty. Zajęta była podliczaniem jakichś tablic, wypisanych na maszynie. Nieoczekiwane zjawienie się Tani Żenia powitała okrzykiem.

Pocałunki, uściski i wzajemne oględziny zajęły przyjaciółkom ponad pół godziny. Siedzącemu przy biurku pracownikowi znudziło się obserwowanie ich; zastukał ołówkiem w szkło:

- Może byśmy wrócili do tablic?

Żenia klasnęła w dłonie i zaczęła się skarżyć; kierownik wydziału Grieczkin jakby oszalał, dniami i nocami pisze, przerabia plan, każe pięć razy zmieniać obliczenia dotyczące pracy, słowem - nie daje odetchnąć. Jakby na potwierdzenie jej słów zadzwonił telefon. Ekonomista spoglądając znacząco na Żenię upewniał kogoś:

- Podliczamy ostatnie tablice. Wkrótce skończymy.

Żenia rzuciła się do biurka, ale po chwili znów podbiegła do przyjaciółki.

- Pójdę do twego pokoju - powstrzymała ją Tania. - Spróbuję zasnąć. Pogadamy wieczorem.

Żenia ucałowała ją serdecznie i odprowadzając mówiła szybko:

- Tam u nas zimno, okryj się dobrze... Czy się pali w piecu, czy nie - wszystko jedno: dmucha. U mnie jeszcze jako tako, ale inżyniera Kowszowa ulokowali w ostatnim pokoju - lód ma na ścianach. Zresztą bardzo sympatyczny, tylko zbyt poważny. Przyjechali we trójkę i wszyscy przystojni. Kierownik budowy - piękny mężczyzna! Wysoki, postawny, o szarych oczach. Ale mówią, że surowy. Za to naczelny inżynier jest dobry. Nosiłam mu komunikaty - żartuje, uśmiecha się i wciąż gładzi swą czarną brodę. A ma ją taką...

Pokazała ręką do pasa i nagle spytała:

- Widziałaś Olgę? U niej w mieszkaniu upał! Chodzę do niej, aby się ogrzać.

Tania przypomniała sobie coś i zaczęła telefonować do szpitala, do Rodionowej, Telefonistka poznała ją po głosie, chociaż Tania od sierpnia nie pokazywała się w zarządzie,

- Dzień dobry, Tatjano Pietrowno, czy wróciliście do nas na stałe? - zapytała i nie czekając na odpowiedź połączyła ją ze szpitalem.

Tania zaczekała, aż dyżurna siostra przywołała Rodionową. Uśmiechnęła się usłyszawszy spokojny i surowy głos Olgi. Głos ten drgnął i stał się serdeczny z chwilą, gdy Tania powiedziała swe nazwisko.

- Naturalnie, naturalnie - przerwała jej Olga w pół zdania. - Zrobiła ogromny kawał drogi na nartach i chce mi zaimponować: „nie zmęczyłam się!” Idź zaraz do mnie odpocząć!

- Wiem, że jesteś gościnna, ale mieszkanie twoje zamknięte na klucz.

- O, rzeczywiście! Serafima miała iść do miasta. Co teraz zrobić?

Drugi klucz ma Beridze. To nasz nowy naczelny inżynier zamieszkał teraz u nas. Wstąp do niego.

- Pójdę lepiej do Żeni.

- Nie waż się iść do niej, u niej jest zimno. Musisz się ogrzać.

Tania zostawiła kurtkę i plecak u Żeni, a sama poszła po klucz. Naczelnego inżyniera nie zastała w gabinecie. Muza Filipowna, siedząca w długiej i wąskiej jak korytarz poczekalni, zakomunikowała z powagą:

- Kierownictwo jest na Starcie. Dziś rozpoczęły się prace przy oczyszczaniu lodowego szlaku.

- Mam pecha - zmartwiła się Tania i przystanęła wahając się, co robić. - Dlaczego tak mi się przyglądacie? - spytała urażona.

- Ogromnie przypominacie mi Nateczkę, moją córkę. Zaginęła podczas ewakuacji i nie mogę jej odnaleźć. Też taka ładna. - Palcem strąciła z nosa binokle, które zawisły na sznureczku. Oczy jej miały wyraz zmęczenia i tęsknoty. - A może to wy właśnie jesteście moją Nateczką?

- Może. Przyjrzyjcie się dobrze - odpowiedziała tym samym tonem Tania. - A tymczasem powiedzcie, czy naczelny inżynier nie zapowiedział, kiedy wróci. Czy warto czekać na niego?

- Czy nie boicie się, córeczko? - zapytała nagle szeptem Muza Filipowna zbliżając do policzka Tani swą twarz z szeroko otwartymi oczami. - Jestem stara i bezradna, może dlatego właśnie tak się boję? Wy jesteście taka spokojna...

- O czym mówicie? Co was tak przeraziło? - nie zrozumiała Tania.

- W zarządzie wszyscy mówią, że Japonia wypowiedziała nam wojnę. Z jakiegoś powodu nie ogłaszają tego urzędowo. Podobno na prawym brzegu w tajdze wylądowali japońscy spadochroniarze, teraz ich wyłapują... Bomby nad głową, krzyki, jęki, czy rozumiecie to?

- Nie rozumiem. Powtarzacie głupie plotki. O wystąpieniu Japonii byłyby natychmiast oficjalne komunikaty. Nie trzeba się denerwować. Zwłaszcza my, kobiety, nie powinnyśmy się denerwować.

- Tak, tak! Macie rację, córeczko.

Muza Filipowna patrzyła z serdecznością na Tanię. Widocznie dziewczyna naprawdę przypominała jej córkę.

- Dobrze, żeście przyszli. Przy was od razu uspokoiłam się - oświadczyła kobieta. - Sama nie wiem, czego się przestraszyłam. Dokoła tacy mocni i rozumni ludzie. Z nimi nic nie jest straszne. Wiecie, dawniej było mi jakoś ciasno w pokojach. A tu - Adun. Spojrzy człowiek i serce w nim zamiera, jak gdyby się stało na wysokiej górze. Tylko w książkach czytałam o wielkich budowach. A jakież to jest ciekawe w życiu! W każdym dniu, w każdej godzinie - walka! Dobrze, że na świecie są tacy ludzie, jak nasz Beridze, prawda? Czy od dawna go znacie? Wyobrażam sobie was razem - śliczna para!

- Nie znam go wcale, co wam przyszło do głowy? „Para”! Wpadłam tu, żeby go poznać i omówić pewne sprawy. Jestem, z trasy.

- Z trasy? Jeżeli chcecie, zaprowadzę was do jego zastępcy, Aleksieja Nikołajewicza Kowszowa, porozmawiajcie z nim.

Muza Filipowna pośpiesznie wstała i Tania odruchowo poszła za nią. Znalazły Kowszowa w ogromnym pokoju, ciasno zastawionym stołami kreślarskimi. Na wysokich stołkach siedzieli przy nim inżynierowie i technicy.

- Opracowują na nowo projekt - z szacunkiem powiedziała Muza Filipowna. - Obecnie jest to najważniejsze zadanie.

Przecisnęły się wąskim przejściem pomiędzy stołami w kąt pokoju. Kowszow na wpół leżąc na biurku uważnie oglądał przypięty pluskiewkami arkusz brystolu. Siedzący obok Kobziew, kierownik grupy, zagłębiwszy obie dłonie w rozczochraną czuprynę również nie odrywał wzroku od wypracowanego przez siebie wykresu.

- Aleksieju Nikołajewiczu, przyszedł do was ktoś z trasy. W pilnej sprawie - powiedziała Muza Filipowna i z godnością oddaliła się szepnąwszy przedtem Tani: - Przyjdźcie tu kiedy. Nie do naczelnego inżyniera, ale do mnie...

Kowszow spojrzał na Tanię i znów opuścił oczy na wykres. Ręka jego szybko biegła po papierze notując ołówkiem długie szeregi liczb. Tania obejrzała się. Ze wszystkich stron pozdrawiali ją w milczeniu znajomi. Najbliżej siedział Pietia Gudkin, nazywany w zarządzie Pietuńczykiem, o którym maszynistki mówiły żartobliwie: „Wyobraźcie sobie - taki młody, a już starszy technik-kreślarz”. Pietia z daleka przesłał jej powitalny uścisk dłoni, demonstrując go uściśnieniem własnej ręki.

„Widać srogi jest ten Kowszow” - pomyślała Tania zwróciwszy uwagę na ciszę panującą w pokoju, mimo tak dużej ilości osób.

- Duszno tu u was, patrzcie, powietrze aż sine! - powiedziała umyślnie głośno.

- Proszę otworzyć górne okna, przewietrzyć! - nie podnosząc głowy polecił Kowszow.

Pietia hałaśliwie zeskoczył ze stołka i zaczął się wdrapywać na parapet.

- Co, boimy się przeziębienia? Spójrzcie, jakie Tatjana ma rumieńce od tego „przeziębienia” - zwrócił się z parapetu do swego wydelikaconego sąsiada, który miał szyję owiniętą zielonym szalikiem. - Ach, jakie wspaniałe powietrze! - Ustami i rękami chwytał biały obłok mroźnego powietrza.

Tania dotknęła rękami policzków, które płonęły rozpalone od wiatru.

- Lepiej by było, gdybyście mniej siedzieli w lokalu. Rurociągu nie zbuduje się w gabinetach, tylko w terenie. - Tania mówiła to do Pieti, ale pod adresem Kowszowa. Miała ochotę mu dokuczyć.

Kowszow ze złością rzucił ołówek na stół i wstał. Pietia pośpiesznie wrócił na swoje miejsce.

- Macie do mnie pilny interes? - Pytanie brzmiało sceptycznie.

- Właściwie szukałam naczelnego inżyniera. Sekretarka przyprowadziła mnie do was.

- Dlaczego więc przeszkadzacie nam tutaj? Idźcie do naczelnego inżyniera.

- Skoro już miałam szczęście poznać was, to pozwólcie rai zadać jedno pytanie.

- Jeżeli jedno - proszę.

- Nie jesteście zbyt uprzejmi. Zapewne nie zdążyliście napatrzyć się na wykres. Poczekam, zachwycajcie się nim dalej.

Pietia parsknął śmiechem.

- Mówcie, o co chodzi, panienko. Nie jesteśmy na dancingu.

- Jestem z dziewiątego odcinka. Otrzymaliśmy polecenie od naczelnego inżyniera, aby wstrzymać zasadnicze prace i przenieść się na drugi brzeg. O co chodzi?

Kowszow stał chwilę z wyrazem roztargnienia na twarzy i nad czymś głęboko się zastanawiał. Nie odpowiedziawszy dziewczynie, znowu pochylił się nad wykresem. Nie chciał rozpraszać myśli. Tania wzruszyła ramionami:

- Może współpracownicy nauczyli się zgadywać wasze myśli bez słów, ale ja was nie zrozumiałam i chciałabym usłyszeć odpowiedź.

Pietia znów się roześmiał. Grafionem z wysychającym tuszem wymachiwał w powietrzu, potakując w ten sposób Tatjanie.

- Nie trać drogiego czasu, weź się lepiej do wykresu - poradziła mu po cichu Tania.

- Co? - zapytał nie dosłyszawszy Pietia, ale Kowszow wstał od biurka i technik-kreślarz zamarł.

- Jeżeli wydano polecenie, aby przerwać pracę, to należy ją przerwać - powiedział Aleksiej. - Czy warto pytać, dlaczego się to robi i w jakim celu?

- Owszem, warto pytać! - zirytowała się Tania. - Jesteśmy ludźmi, a nie automatami, szkoda wykonanej już przez nas pracy. Nagle ni z tego, ni z owego każą nam jej zaprzestać. Przypuśćmy, że w tym jest jakiś sens, ale powinniśmy go zrozumieć. Cóż to, postanowiliście sami tylko odpowiadać za budowę?

Aleksiej uśmiechnął się nagle szeroko i życzliwie, wydał jej się młodszy i sympatyczniejszy.

- Dobrze powiedziane, słowo daję! Jak dostaliście się tu, wojownicza osóbko? Przecież, o ile wiem, dróg nie ma.

- Kto szuka drogi, ten ją znajduje. Alboż to doczekamy się, aż wy do nas znajdziecie drogę?

- Słusznie, słusznie - ze szczerym zadowoleniem powiedział Aleksiej.

- Przybyliście widocznie na konferencję partyjną? Trochę za wcześnie. Jak się nazywacie?

- Wasilczenko.

- Imię?

- Tatjana Pietrowna.

- Mógłbym wam dać niektóre wyjaśnienia. Chcę jednak z pewnych względów, żebyście najpierw zwrócili się do naczelnego inżyniera. Po rozmowie z nim przyjdźcie koniecznie do mnie, omówimy sprawy waszego odcinka. Czy się zgadzacie?

W korytarzu dopędził ją Pietia.

- Tatjano, przywitajmy się jeszcze raz. Przyszłaś w porę. Nie masz pojęcia, co się u nas dzieje! Sidorenko wyjechał w niewiadomym kierunku, a twego wroga, Grubskiego, zapędzili w kozi róg! Nowa era w historii budowy !

- Nie gadaj tyle, Pietia, bo piegi ci spadną. - Tania dotknęła piegowatej twarzy kreślarza. - Dziwne, że nawet zimą ci nie giną...

- Kpisz ze mnie? - zapytał Pietia gotując się do obrony. - Uważaj, nie złość mnie, bo dostaniesz! Mam do ciebie interes. Byłaś już u Koli Smirnowa? On jest teraz organizatorem Komsomołu. Mobilizuje młodzież. Ty też możesz się przydać.

- Ach, tak! - zawołała Tania i przyśpieszyła kroku rzuciwszy Pieti przez ramię: - Idź, bohaterze, do swego kancelaryjnego warsztatu, dopóki twój kierownik nie wsypie ci kary za przerwę w robocie. Wieczorem pogadamy o nowej erze, o mobilizacji młodych sił i o tym, kto do czego może się przydać...

Tania zapomniała o tym, że miała zamiar pójść i odpocząć. Spotkanie z pracownikami zarządu i wszystko, co od nich usłyszała - wyprowadziło ją z równowagi. Przede wszystkim należało pomówić z partorgiem i wyjaśnić, dlaczego z dziewiątego odcinka nikogo nie wezwano na konferencję partyjną. Już w drodze do Nowińska słyszała o tym wydarzeniu. Obecnie szybkie zwołanie konferencji dziwnie kojarzyło się z histeryczną gadaniną Muzy Filipowny o Japończykach.

W poczekalni partorga sekretarka, młodziutka dziewczyna o dziecinnej twarzy, z ożywieniem szeptała o czymś z jakimś chłopakiem. Gdy Tania podeszła do niej, uśmiech jej znikł i twarz nabrała surowego, oficjalnego wyrazu.

- Przybyliście zbyt wcześnie - powiedziała. - Zapiszę was i wydam kartki do stołówki, ale mimo wszystko nie było po co tak się śpieszyć.

- Nie musicie mnie zapisywać, a o kartki nie proszę.

- Nie jesteście delegatką?

- Nie - i chcę się właśnie dowiedzieć - dlaczego.

- Nie wiem, dlaczego nie jesteście delegatką... - dziewczyna wzruszyła ramionami.

- A skąd jesteście? Z jakiego odcinka? - zapytał chłopiec, uważnie przyglądając się nieznajomej, ładnej dziewczynie.

- Z daleka, z dziewiątego. Albo co?

- Po prostu to, że na konferencję nie wzywano ludzi z dalekich odcinków - odrzekła dziewczyna nie tając swego niezadowolenia, że młodzieniec zanadto interesuje się gościem zachowującym się z pewnością siebie.

- Dlaczego nie wzywano? - dopytywała się Tania.

- Widocznie tak trzeba. Wybaczcie towarzyszowi Załkindowi, że zapomniał uzgodnić z wami tę sprawę...

Dziewczyna odpowiadała czupurnie, wyzywająco, tak jak to nieraz rozmawiają ze sobą kobiety na tematy służbowe.

Usłyszawszy znane nazwisko partorga Tania przestała interesować się sekretarką i ominąwszy ją, wśliznęła się do gabinetu.

Tu tyłem do drzwi siedziało dwóch ludzi czytających gazetę. Nie zauważona przez nich Tania zbliżyła się i ponad ich głowami zaczęła przypatrywać się wilgotnemu jeszcze arkuszowi z czarnymi słupkami druku. W artykule wstępnym była mowa o zadaniach budowy, o ofiarnej pracy w okresie wojennym, której męstwo równe jest bohaterstwu na polu bitwy, o czujności. O wojnie z Japonią nie było ani słowa.

- Czy mogę o coś zapytać? -odezwała się Tania głośno po przeczytaniu artykułu. Jeden z dziennikarzy drgnął zaskoczony jej niespodziewanym zjawieniem się. - Dlaczego nazywacie gazetę organem całej budowy?

- Obcym nie wolno czytać gazety przed ukazaniem się jej w druku - rzekł blady młodzieniec o jasnoniebieskich oczach i odwrócił arkusz białą stroną do góry.

- Możecie nie odwracać, już przeczytałam wszystko.

- Kim jesteście i o co wam chodzi? - zapytał z irytacją niebieskooki.

- Nie obawiajcie się, nie jestem obca. Jestem tu takim samym gospodarzem jak wszyscy inni. Jesteście redaktorem?

- Redaktor, jeżeli sobie tego życzycie. Nazywam się Puszczin.

- Dlaczego, towarzyszu Puszczin, gazeta nazwana jest organem budowy, skoro napisana jest w zarządzie i tylko o zarządzie mówi? Żeby choć jedna notatka o odcinkach! O naszym na przykład.

- Jesteście z odcinka? Delegat? Świetnie! Siadajcie i piszcie, zaraz wydrukujemy.

Dziennikarze ożywili się. Jeden z nich przysunął Tani krzesło, drugi położył przed nią arkusz papieru i pióro.

- Nie jestem delegatem. Przyszłam dowiedzieć się od Załkinda, dlaczego nasz odcinek został pominięty.

- Ale jesteście z trasy?

- Oczywiście! Czyż nie widać po mnie, że nie jestem działaczem gabinetowym...

- Widać, widać. Nic nie szkodzi, że nie jesteście delegatem. Napiszcie, o czym chcecie, byleby o trasie. Zaczynamy dopiero nasz żywot, to nasz drugi numer. Nic nawiązaliśmy jeszcze łączności z trasą, musimy więc zbierać materiał na miejscu, jak to mówią - nie odchodząc od kasy...

- No i niesłusznie. Materiał należy zbierać na placówkach budowlanych, a nie w gabinetach. Uczcie się od korespondentów wojennych, którzy pod kulami piszą notatki i drukują gazety. Skoro ja przyszłam do was z dziewiątego odcinka, to dlaczego wy nie moglibyście przyjść do mnie?

- Na nartach? Sama? - Puszczin wpadł w zachwyt. - Napiszcie, jak się wam szło, w jakim celu przyszliście...

Ku zdziwieniu Puszczina Tania nie odrzekłszy słowa zabrała się do pisania notatki.

- Za mało! - powiedział z żalem Puszczin, biorąc z jej rąk po upływie dwudziestu minut arkusz papieru zapisany dużym, niedbałym pismem.

- Wystarczy. I to nie będzie wam odpowiadało. Nie zdecydujecie się tego umieścić.

W ostrych słówkach notatka domagała się od kierownictwa zwrócenia uwagi na odcinki trasy: „Czas wyjść z murów zarządu na teren trasy". Puszczin zamyślił się nad notatką: istotnie sprawa warta była omówienia w gazecie.

Tania zajrzała powtórnie do gabinetu Beridzego, lecz inżyniera jeszcze nie było. Dokonawszy w myśli przeglądu poleceń z odcinka, zdecydowała się wstąpić do Libermana. Zastała go rozmawiającego z jakimś siedzącym naprzeciw niego człowiekiem w kożuszku.

- Mamuniu najmilsza! Z pierwszymi transportami wszystko będzie dostarczone na wasz odcinek! - wykrzykiwał Liberman. - Zapiszcie na papierku! Wyliczę wam, cośmy dla was przygotowali...

„Ależ krętacz - pomyślała Tania. - Ten człowiek przyszedł z zamiarem zrobienia awantury, a wyjdzie uszczęśliwiony..."

Przedstawiciel odcinka rzeczywiście uścisnął mocno dłoń Libermana, podziękował mu dwukrotnie i wyszedł najwyraźniej zadowolony.

- Tania! Królowo! Aniele drogi! - zerwał się z miejsca i skoczył ku niej z otwartymi ramionami.

- Za wiele temperamentu, towarzyszu Libermanie, trochę spokojniej, proszę - powiedziała Tania odsuwając się. - Mój stosunek do was nie uległ zmianie.

- Cóż zrobić, moja droga. Dawno już pogodziłem się z waszą obojętnością. Mamuniu najmilsza! Pocieszy mnie nawet wasze przelotne spojrzenie! Wystarczy mi oddychać tym samym powietrzem! „Choć rzadko, choć raz w tygodniu we wsi naszej widzieć was"... - wygłupiał się Liberman. - Siadajcie, piękna damo w narciarskich spodniach.

Tania kiwając głową spoglądała drwiąco na kręcącego się intendenta.

- Jestem szczerze zdumiona, dlaczego was nie przepędzili z budowy. Mówią, że Batmanow jest mądrym człowiekiem, czyżby się nie poznał, z kim ma do czynienia? Widocznie nie mieliście ochoty tracić ciepłego, dobrze zasiedzianego miejsca i wyprowadziliście w pole nowego kierownika zupełnie tak samo, jak tego towarzysza z odcinka, który wyszedł oczarowany wami. Czy Sidorenko nie zabrał was dlatego, że chciał wreszcie się was pozbyć?

Liberman zaśmiał się cichutko i popatrzył na nią z rozczuleniem.

- Nigdy nie przestanę zachwycać się wami, królowo moja! Jakież wyjątkowe połączenie: piękna i mądra. Nawet piękna Helena nie miała tylu pociągających przymiotów... Co do mnie zawsze byliście w błędzie... Mamuniu najmilsza! Jak Sidorenko się martwił, kiedy się dowiedział, że mnie zatrzymano! A jak ja sam to przeżywałem!

- A któż was zatrzymał? Czyżby się znalazł taki dziwak?

- Batmanow. Dosłownie zakochał się we mnie. Gdzie, powiada, znajdziemy takiego drugiego intendenta?

- O, drugiego takiego na pewno się nie znajdzie! I całe szczęście! A więc dwóch kierowników biło się o was? Jeden nie chciał zostawić, a drugi nie chciał wziąć ze sobą? Pomogły wam na pewno wasze zdolności handlowe.

- Nie będziemy mówili o moich zdolnościach. Doskonale wiecie, że jestem nieszczęśliwym człowiekiem. Każdej chwili mogę odstąpić ten fotel komukolwiek. Marzę o czymś innym...

- Stara piosenka! - zaśmiała się Tania. - Nieraz już ją słyszałam: teatr, scena. Brat Łazarz - zasłużony artysta, talent we krwi. Trzeba by cos nowszego wymyślić. A co do fotela - to nie oderwałby was od niego nawet sześćdziesięciokonny traktor...

Słowa Tani ani trochę nie dotknęły Libermana, słuchał jej z widoczną przyjemnością, próbował nawet pocałować ją w rękę.

- Tak się cieszę, że was widzę, Taniu! Dziękuję za pamięć i odwiedziny.

- Przyszłam do was, Liberman, z interesem, przejdźmy więc do rzeczy. Kiedy skończą się te skandale z materiałami? Pomimo obietnic nie dostarczyliście na odcinek wielu artykułów. Jakbyście czekali, aż rzeka stanie. Brak nam narzędzi, kończy się paliwo, smary do niczego, maszyny drogowe przysłaliście niekompletne. Spójrzcie, oto wykaz tego, czego nam brak!

Liberman patrzył na wykaz i potakująco kiwał głową:

- Skandal, oburzające! Pod sąd, pod sąd! Jak z żywnością? Macie jakieś skargi? Jak z odzieżą?

- Artykuły żywnościowe zwieźliśmy, dzięki Bogu, jeszcze na początku lata. Z głodu nie umieramy. Łowimy ryby. Umundurowanie też jeszcze mamy, ale jeżeli na odcinek przyślecie nowych ludzi, to nie będziemy mieli w co ich ubrać.

- Nowi ludzie będą przyjeżdżali do was ubrani jak z igły. Więcej żadnych pretensji nie macie?

- Jeszcze wam mało? Gdzie są brakujące materiały?

- Radzę wam złożyć zażalenie do Batmanowa. Mamuniu najmilsza! Przecież odcinek jest w katastrofalnej sytuacji!

- Możecie nie podpowiadać. Poskarżę się na pewno i postaram się, żebyście dobrze oberwali.

- Nie, nie, ja nie oberwę! - Liberman zachichotał z zadowoleniem. - Do mnie należą teraz witaminy, koszule, buty. Nie mam już do czynienia z materiałami technicznymi. I dzięki Bogu!

- Cóż wy za głupstwa opowiadacie? Wymyśliliście nowy kawał?

- To nie ja, królowo, wymyśliłem, nie! To sam Batmanow. On podzielił zaopatrzenie na dwie części. Utworzony został nowy oddział: OTZ - Oddział Technicznego Zaopatrzenia, z pięknym Fiedosowem na czele. I oto macie rezultaty! Nie na próżno oddział Fiedosowa ledwie się zorganizował, a już zyskał nazwę Oddziału Trudności Zaopatrzeniowych.

Liberman zdawał się być ożywiony i wesoły. Niemniej jednak Tania poczuła mimowolną litość dla tego otyłego, hałaśliwego i niespokojnego człowieka, zawsze na pierwszy rzut oka zadowolonego z własnego dowcipu i sprytu.

- Dziwny z was człowiek, Liberman - powiedziała poważnie. - Intrygi żarciki. Czyż nie widzicie, w jakich ciężkich czasach żyjemy? Po cóż te błazeństwa? Czyżbyście ukrywali w ten sposób swoje prawdziwe myśli i uczucia?

Słowa jej wywołały nieoczekiwany efekt Liberman spochmurniał i jakby zmalał.

- Ciekawa to rzecz, Taniu, natura ludzka - odpowiedział po chwili. - Nie ja to odkryłem. Otóż człowiek wstydzi się obnażania przed innymi tego, co w nim jest najbardziej ludzkie. Czyż ja jestem winien, że jestem taki, a nie inny? Uważajcie mnie, jeśli chcecie, za lekkomyślnego. Trudne czasy... Wierzcie, że i dla mnie są one trudne. Nikomu nie mówiłem, ale wam powiem, ponieważ poruszyliście moją bolesną strunę. Moi krewni zostali w Mariupolu i Berdiańsku. Żona z córką utknęły w Leningradzie - wyjechały przed wojną i nie zdążyły wrócić. Czyż jestem wrogiem swej rodziny?

Liberman w ciągu jednej minuty jakby postarzał się, siedział przy biurku osowiały, ze spuszczonymi rękami. Tania poczekała chwilę i wyszła z gabinetu.

Na drugim piętrze znalazła Wydział Zaopatrzenia Technicznego. W gabinecie Fiedosowa panował tłok. Sam Fiedosow rozmawiał przez telefon, przyciskając ramieniem słuchawkę do ucha i jednocześnie podpisując stos leżących przed nim depesz. Odłożywszy słuchawkę rozpoczął rozmowę z dwoma urzędnikami, nie przestając podpisywać. Telefon dzwonił prawie bez przerwy. Tania przygotowała się na długie czekanie, lecz Fiedosow szybko ją zauważył.

- Jakie macie sprawy?

Tania nie śpiesząc się wyłuszczyła swoje żale. Fiedosow pozornie nie zwracając na nią uwagi wyjmował z teczki jedno pismo za drugim, czytał i pisał na nich swoje decyzje.

- Moglibyście odłożyć swoje papierki, nie uciekną wam.

- Słyszę każde wasze słowo, niech was papierki nie denerwują. Mówcie dalej. Przerwaliście na drucie miedzianym i materiałach elektrycznych. Czego wam brak najbardziej na waszym odcinku?

Fiedosow wyciągnął rękę po słuchawkę. Tania położyła na niej dłoń.

- Miejcie chociaż trochę szacunku dla innych. Tylko wielkim ludziom wybacza się dziwactwa i lekceważenie otoczenia i to nie zawsze. Kiedy staniecie się sławnym, wówczas wasz sposób robienia wszystkiego na raz będzie wywoływał zachwyt...

Fiedosow zapytał:

- Czy nie jesteście przypadkiem z przedszkola?

- Dlaczego z przedszkola?

- U pracowników przedszkoli wyrabia się z czasem nawyk zawodowy pouczania i wychowywania ludzi przy każdej okazji.

- Nie odbiegajcie od tematu. Odpowiadajcie rzeczowo.

- Wy również odbiegacie od tematu.

- Czy proszę was o pomadkę do ust? Żądam, żebyście mi dostarczyli materiałów technicznych dla odcinka.

- Zanotowałem ściśle wszystkie wasze pretensje. Rozejrzę się, zrobię, co będę mógł. Liberman zostawił mi bardzo zawiły spadek, trudno się we wszystkim od razu zorientować. Niestety, tak jest. Za dwa dni wrócimy do naszej rozmowy. I niepotrzebnie chwytacie za mój telefon.

- Rozpatrzcie moje żądania zaraz przy mnie.

- Teraz nie mogę, jestem zajęty. Muszę dziś jeszcze dać towarzyszowi Załkindowi materiał do referatu na konferencję, a nie mam jeszcze nic gotowego.

- Materiał dla towarzysza Załkinda ja przygotuję za was, dobrze? Nawiasem mówiąc, czy wiecie, jak przezwano wasz wydział na trasie? „Oddział Trudności Zaopatrzeniowych”! Słusznie!

- Nieprawda! - zaprzeczył żywo Fiedosow. - Nazwę tę wymyślił i rozpowszechnia Liberman. Przyznajcie się, przecież to on wam powiedział?

Tania potwierdziła:

- Tak, a czy niesłusznie?

- Tartuffe! - Fiedosow poczerwieniał. - Przeszkadza mi na każdym kroku!...

Dziewczyna przypomniała sobie twarz Libermana i uśmiechnęła się: „Rzeczywiście Tartuffe”. Podobał się jej Fiedosow i jego ambitny stosunek do swego wydziału. Zrozumiała, że nie dla pozoru zapisywał potrzeby jej odcinka. Zostawiła go w spokoju.

Naczelnego inżyniera wciąż jeszcze nie było. Tania wahała się: iść do Żeni Kozłowej czy czekać na Beridzego? Przechodzący obok Grubski powitał ją swoim nieszczerym uśmiechem:

- Dawniutko nie widziałem was, Tatjano Pietrowno. Tym bardziej cieszę się, że was widzę! I cóż, po pobycie na trasie przekonaliście się chyba, że wasza łączność telefoniczna nie jest najważniejszą sprawą na świecie?

- Nie mogę wam odpowiedzieć z równą uprzejmością, towarzyszu były naczelny inżynierze... - Tania zaakcentowała słowo „były”. - Spotkanie z wami nie sprawiło mi radości. Zgadliście. Wiele rzeczy zrozumiałam na trasie. Szczególnie to, jak mała jest korzyść z aparatu administracyjnego, gdy jest zły i prowadzony przez zadowolonych z siebie ludzi. Radziłabym wam również pobyć trochę na trasie, to bardzo pouczające.

Weszła na czwarte piętro do Żeni, lecz nie zastała jej, wezwał ją Grieczkin. Tania włożyła kurtkę i udała się na przystań, przez wszystkich nazywaną teraz Startem.

9. Start

Stroma, szeroka droga schodziła po zboczu na pochyły plac, na którym wyrosło miasteczko namiotów. Na zbocza spotykały się dwa szeregi aut: naładowane jechały w dół, do składów, puste z hałasem wspinały się po nowy ładunek na bocznicę kolejową, gdzie odbywało się przeładowywanie materiałów z wagonów na samochody. Przed namiotami długie szeregi zaplombowanych traktorów i ciężarówek czekały na przygotowanie drogi po lodzie.

Tania była wszędzie: w składach, zapełnionych workami, beczkami i tobołami, w mieszkalnych namiotach-barakach rozplanowanych jak wagon sypialny i w długiej szopie z szerokimi drzwiami. Szopę dopiero pokrywano dachem, ale do wnętrza wtaczano już obrabiarki i warsztaty. W pobliżu kilku ludzi składało ogromne, niezwykłej formy sanie. Dwaj szoferzy, czekając na wyładowanie ich samochodów, przyglądali się saniom dzieląc się uwagami. Tania poznała jednego z nich - szczupłego, o twarzy z lekka pokrytej śladami ospy.

- Dzień dobry, Smorczkow! - Tania zbliżyła się do niego.

Zatroskana twarz szofera rozpromieniła się; rzucił na ziemię skórzane rękawice i energicznie uścisnął dłoń dziewczyny.

- Cóż to za sanie? - spytała Tania.

- To dla nas, szoferów, przyczepka na płozach do przewożenia rur.

Rury są ciężkie, każda waży tonę. Sanie powinny być mocne, wytrzymałe, a jednocześnie lekkie. Może wróciłaś do zarządu?

- Przysłali mnie z odcinka, żebym zobaczyła, co się tu dzieje. Czy przypadkiem nie wozisz nowego naczelnego inżyniera?

Spytała go o to, ponieważ dawniej - zanim w pierwszych dniach wojny przeszedł na samochód ciężarowy - był szoferem Grubskiego.

- Proponowano mi, ale nie dałem się skusić łatwym życiem. Lepiej być stachanowcem - uśmiechnął się z lekka. - Tu dużo zmian. Teraz dowodzi nami Filimonow, wiesz?

- Wiem. W sam raz odpowiedni towarzysz dla was, szoferów.

- Nie pogardzaj tak nami, jesteśmy dziś poważną siłą na budowie. Kierownik Batmanow zebrał nas i mówił, że od szoferów i traktorzystów zależy całe powodzenie. Jeżeli nie rozwieziemy w ciągu zimy rur i materiałów - to i rurociągu nie będzie. - Nagle z ożywieniem zwrócił się do Tani: - Słuchaj, ty jesteś z trasy, powiedz, co sądzisz o moim projekcie? Proponuję doprowadzać samochody do najdalszych odcinków. Tam ich brak. Filimonow nie może się jednak zdecydować: daleko, mróz, dróg nic ma...

- Trzeba nad tym pomyśleć - rzekła Tania i spojrzała uważnie na Smorczkowa; widać było, że podzielił się z nią swą najdroższą myślą. - Filimonow ma rację. Do tego trzeba dobrej drogi. Teraz można przejść tylko na nartach.

- Drogę na Adunie już przeprowadzają. - Smorczkow wyciągnął rękę w kierunku rzeki. - Podejmuję się pierwszy ją przeskoczyć, chociażby z tym - wskazał na sanie. - Chłopie, podpórki robisz za słabe, rury zerwą je nawet przy małym pochyleniu! - rzekł do jednego z cieśli.

- Smorczkow! Czy samochód ma długo czekać na ciebie? - zawołano z pobliskiego składu.

- Do widzenia, Tatjano Pietrowno! - Pobiegł do swojej maszyny.

Start funkcjonował sprawnie, wszędzie pracowali już ludzie. Padały rozkazy i rozlegały się pokrzykiwania. W ruchach tragarzy, cieśli i szoferów wyczuwało się pośpiech. W jednym z magazynów potężniała, to znów cichła znana dziewczynie pieśń budowniczych Nowińska. Tania weszła tam.

Oczy jej, przyzwyczajone do jaskrawego światła dnia i błyszczącego śniegu, z początku nic nie mogły dojrzeć w mroku.

- Patrz, Mikołaju, Tania przyszła! - zawołał ktoś ujmując ją za rękę i prowadząc między szeregami skrzyń.

Przyzwyczaiwszy się do półmroku, dojrzała w mdłym świetle elektrycznej lampki Kolę Smirnowa. Lekko odziany, w watowanej kurtce i narciarskich spodniach, stał, szeroko rozstawiwszy nogi, z rękami na biodrach i mierzył dziewczynę wzrokiem. Obok, tak samo ubrany i w tej samej pozie, stał Gienka Pankow, piętnastoletni chłopaczek, zwany „cieniem Koli Smirnowa”.

- Aleś ty długi, towarzyszu! - szczerze zdziwiła się Tania obrzuciwszy spojrzeniem postać Smirnowa. - Czyś ty wyrósł jeszcze czy też ja odwykłam od twego widoku?

- Urosłem, to jasne. Człowiek zawsze powinien rosnąć i rozwijać się. Jakże domyśliłaś się, że ciebie szukam?

- Naprawdę? Pojęcia o tym nie miałam!

- Dziurę w brzuchu wywierciłem kierownikowi! Mamy, powiadam, dzielną dziewczynę, bojowego inżyniera łączności, ofiarę konserwatyzmu. Chcieli cię wezwać.

- Do czego jestem potrzebna? - zapytała gniewnie.

- Masz tobie, też pytanie! Linię trzeba przeciągnąć. Zobacz, ile tu mamy wszystkiego.

Wskazał na rozłożone na półkach aparaty telefoniczne i selektorowe, kłębki drutu, matowo pobłyskujące wiązki izolatorów.

- A ty, Mikołaju, zostałeś magazynierem, co? - spytała Tania, z zadowoleniem patrząc na wzorowy porządek, w jakim były przechowywane materiały.

- Magazynierem nie jestem, ale mnie właśnie wypadło przygotowywać ten sprzęt. Gdy tylko szlak będzie utorowany, pchniemy wszystko na trasę. Nowy kierownik budowy i naczelny inżynier zupełnie inaczej, aniżeli ich poprzednicy, ustosunkowali się do łączności. Napisano w rozkazie, że prace przy budowie linii telefonicznej należy uważać za najważniejsze.

- Kto będzie wykonywać ten rozkaz?

- Odcinki we własnym zakresie.

- A czy teletechnicy są na odcinkach? Posłano ich tam?

- Masz tobie! Zaczynasz mówić tak jak Grubski. Nikt nie przysyłał teletechników. Natomiast w tym tygodniu rozpoczynamy kurs, będziemy wraz z tobą prowadzić wykłady.

- Ciekawe! - gniewnie powiedziała Tania.

- Cóż ci się w tym nie podoba? - zdziwił się Kola i pochylił się, chcąc zajrzeć dziewczynie w oczy.

- Wszystko mi się podoba. A najwięcej to, że zanim oni ukończą te twoje uniwersytety, komisja rządowa przyjedzie przyjmować rurociąg. Linię trzeba przeciągnąć w ciągu pięciu lub sześciu tygodni.

- A ty masz na to sposób?

- Mam, ale ci nie powiem. I tak już mnie wszędzie ubiegłeś.

W wymówce Tani kryło się przypomnienie, że do czasu swego wyjazdu ona była organizatorem Komsomołu przy zarządzie. Na twarzy Koli odbiło się niekłamane zdumienie.

- Czy jesteś chora, Taniu? Nie poznaję ciebie.

- Z zazdrości tak syczy! - krzyknął Gienka i schował się za Smirnowa ratując się przed Tanią, która wyciągnęła rękę do jego twardej, rudawej czupryny wysuwającej się spod czapki.

- Jeśli będziesz napadać na mnie, pędraku, to ci nie powtórzę pozdrowień od ojca - pogroziła mu.

- Widziałaś go? - spytał nieufnie Gienka. - Jak się miewa?

- Żyje i jest zdrowy, kazał cię ucałować.

- A jakże! Bardzo mi to potrzebne. - Gienka przezornie schował się za półkę.

- Chłopiec ma rację, Mikołaju - przyznała Tania. - Zła jestem, bo zawiść mnie pożera. Tyle wojowałam z Grubskim i Sidorenką i nagle zostałam na boku! Mam pewien pomysł. Musimy porozmawiać poważnie. Tylko nie zaraz. Szukam Beridzego, ale jest nieuchwytny.

- Idź na Adun, gdzie przeprowadzają drogę. Spotkasz go tam na pewno - poradził Gienka.

Tania zeszła na lód. Adun w tym miejscu okrążał miasto potężnym łukiem. Wzdłuż szarej powierzchni rzeki ciągnęła się daleko czarna, ruchliwa wstęga. Słychać było potężne zgrzyty i szczękanie: setki ludzi na rzece kruszyło łomami lodowe zwały. Posunąwszy się naprzód o jakieś dwa kilometry robotnicy pozostawili za sobą wśród zwałów szeroką i równą, nawet zamiecioną drogę.

Mimo zmęczenia Tania z przyjemnością przeszła się po lodzie. Magistrala, którą prowadzono przez rzekę ku odcinkom, była uwieńczeniem tych licznych przygotowań, które Tania dostrzegła w zarządzie.

Ale Beridzego nigdzie nie było. Skończyła się równa droga; Tania z trudem przepychała się między ludźmi rąbiącymi drągami i kilofami lodowe zwały. Błękitnawe odłamki lodu leciały na wszystkie strony połyskując w słońcu.

W pobliżu pełzł samotnie traktor. Terkotał ogłuszająco, napierał na góry lodu umocowanym z przodu ogromnym pługiem metalowym, zatrzymywał się i znów parł naprzód. Zwały trzaskały u podstawy z nieznośnym hukiem, od którego Tanię zaczęły ćmić zęby. Nigdy jeszcze nie widziała traktora w takiej roli. „Ryzykanci, nie bali się puścić takiego kolosa na lód".

Traktorowi towarzyszyła niewielka grupa ludzi. W nadziei, że znajdzie tam nieuchwytnego Beridzego, Tania podeszła do nich. Ludzie z zainteresowaniem śledzili pracę maszyny. Z daleka poznała Filimonowa, w rozpiętym czarnym kożuchu i w czapce ze spuszczonymi nausznikami. W grupie było dwóch nie znanych jej ludzi, prawdopodobnie - kierownicy.

Traktorzysta, zaaferowany próbą, ilekroć się zatrzymał, spoglądał w dół i za każdym razem Filimonow spojrzawszy na następną z kolei przeszkodę, rzucał mu lakonicznie:

- Naciśnij, Silin! Tylko miękko, nie gwałtownie.

Silin kiwał głową na znak zgody i traktor, posłuszny doświadczonej dłoni kierowcy, miękko szedł naprzód i lekko ścinał bryłę lodu.

Filimonow kazał traktorzyście przystanąć; razem zaczęli oglądać buldożer. Korzystając z tego Tania podeszła do obydwu nieznajomych. Zdjąwszy rękawice zaczęli pośpiesznie zapalać papierosy.

- Czy mogę zobaczyć się z naczelnym inżynierem Beridze? - spytała spoglądając na Batmanowa, który również narzucił kożuch na skórzane palto.

- Czerwony Kapturek! - zawołał Beridze. Brodę miał siwą od mrozu. Na przemarzniętej twarzy nie mógł wywołać uśmiechu, uśmiechały się tylko oczy. - Ja jestem Beridze.

Tania miała zamiar poprosić go o klucz od mieszkania Olgi, ale się krępowała.

- Jestem z dziewiątego odcinka. Mam do was dwie sprawy, jedną z odcinka, a drugą osobistą.

- Z dziewiątego? Oho! - zdziwił się Beridze. - Słyszysz, Wasiliju Maksimowiczu, Czerwony Kapturek przyszedł z dziewiątego odcinka. Widzieliśmy was z daleka. Nie baliście się iść sama?

Tani nie podobał się badawczy wzrok Batmanowa, więc się odwróciła.

- Czy nie macie zamiaru wracać do zarządu? - zapytała Beridzego.

- Rzeczywiście, czas wracać - odrzekł Batmanow za naczelnego inżyniera i poszedł naprzód, wymachując olbrzymimi rękawicami.

- Słucham was. Zadawajcie pytania - rzekł Beridze idąc obok Tani.

- Otrzymaliśmy wasze polecenie, aby wstrzymać prace na prawym brzegu i przenieść się wraz ze wszystkimi zasobami odcinka na lewy. Ten rozkaz oburzył nas, jest niezrozumiały.

- Pytacie w imieniu odcinka czy w swoim własnym?

- W imieniu odcinka. Oczywiście sprawa ta interesuje również i mnie. Dlaczego mamy porzucać prawy brzeg po tylu trudach i męczarniach?

- Czym jeszcze interesują się na odcinku?

- Wielu rzeczami. Wiemy, naturalnie, o zmianach w zarządzie. Z początku na trasie zapanowała radość, że przyjechało nowe kierownictwo, bardzo dobrze mówiono o was. Wiele się spodziewano.... A tymczasem dnie mijają i mijają... Prawdę mówiąc, myślimy, że na budowie nic się nie zmieniło na lepsze.

- A na gorsze? - podchwycił Beridze. - Z tego wynika, że zawiedliśmy nadzieje trasy? Wasiliju Maksimowiczu, okazuje się, że trasa zdążyła już w stosunku do nas się rozczarować! - zawołał do idącego przed nimi miarowym krokiem Batmanowi.

- I cóż, postanowiliście nie wykonać poleceń, dopóki nie wytłumaczy się wam ich sensu? - zapytał Batmanow.

Tania spojrzała na niego lekceważąco.

- Postaram się poinformować o wszystkim naczelnego inżyniera.

- Postarajcie się. Tylko nie pomińcie i mnie; ja też chciałbym posłuchać.

- To Batmanow, kierownik budowy - szepnął dziewczynie Beridze.

Tania zmieszała się nieco.

- Dzień dobry, towarzyszu Batmanow! Wybaczcie mi, proszę - powiedziała wzdychając ze smutkiem. - Gdy mi coś dokuczy, rzucam się na wszystkich.

- Widzę. Tak wystraszyliście naszego inżyniera, że aż broda posiwiała mu ze strachu... No, no, opowiadajcie o odcinku.

Teraz Beridze szedł na przedzie, a Tania z Batmanowem za nim.

- Odcinek oczywiście wypełnia polecenia zarządu. Nie myślcie o nas źle, tam u nas rządzi Pankow, a to kierownik surowy i lubi porządek. Zawczasu przygotowaliśmy się do przerzucenia się na drugi brzeg, aby z chwilą zamarznięcia Adunu od razu móc zacząć przeprowadzać drogę, przewozić zasoby i urządzać się na nowym miejscu. Mamy wiele trudności. Brak nam wielu elementarnych rzeczy, bez których kroku zrobić nie można. Wstępowałam do kierownika Wydziału Zaopatrzenia Technicznego, zanotował nasze potrzeby i obiecał pomóc... Lecz najważniejsze, że ludzie chcą wiedzieć, gdzie i jak poprowadzicie budowę. Męczy nas pytanie, czy zdążymy wykonać roboty w terminie.

- Wysłano was czy sami postanowiliście odbyć ten spacer? - zapytał Batmanow.

- Na zebraniu partyjnym zdecydowano wysłać kogoś z listem do was. List mam oczywiście, ale czy można wszystko opisać? Wybrano mnie dlatego, że umiem jeździć na nartach, nie można było przecież czekać, aż będzie lepsza droga! Uwzględniono poza tym i to, że mam do was pewną sprawę osobistą. Wreszcie i mój charakter odegrał tu rolę - dodała z uśmiechem.

- Tak, charakter macie stanowczy - uśmiechnął się Batmanow i poprosił, aby mu szczegółowo opowiedziała, co widziała po drodze. - Interesuje mnie wszystko. Nastrój ludzi, ich skargi, pretensje, a także to, czym jest zajęty każdy odcinek.

Podzieliła się z nim sumiennie swymi obserwacjami. Kierownika zainteresowała wzmianka o Rogowie. Tania widziała się z nim w drodze. Na piątym odcinku, do którego odprowadzono ostatnie barki, Rogow zastał wielkie nieporządki. Ludzie stojący na czele roboty byli zdemoralizowani. Na stanowcze żądanie komunisty Kotieniewa i innych towarzyszy Komitet Rejonowy Partii przysłał swego delegata, aby pomógł zespołowi. Rogow przyjechał w samą porę. Musiał zostać na miejscu, aby przypilnować roboty.

- Jak mu idzie praca? Jak wygląda odcinek?

- Teraz, naturalnie, wszystko jest w ruchu, w chaosie. Jednak ludzi zebrano i zorganizowano. Rogow potrafił zaprzyjaźnić się z Nanajczykami, nawet mu pomagają. W Tywlinie, w ich osiedlu, Rogow czuje się jak u siebie w domu. Najważniejsze jest to, że ludzie przechodzący na drugi brzeg mają zapewnione schronienie.

- Czy potrzeba mu jeszcze ludzi?

- O nic nie prosił - odpowiedziała po chwili namysłu. - Mam jednak wrażenie, że potrzebny mu jest dzielny pomocnik techniczny. Kieruje tam robotami inżynier Pribytkow; moim zdaniem ma zacięcie młodego naukowca, nie potrafi wyjść poza wykresy i zestawienia.

- A więc Rogow jest zadowolony? Zawsze prosił mnie o jak najtrudniejsze zadania. Chciwy... - Batmanow pokiwał głową przypomniawszy sobie niedawną rozmowę z Rogowem.

- Kazał wam przypomnieć - powiedziała Tania potwierdzając jego myśli - że obiecaliście zwolnić go do wojska w pierwszym dniu wojny z Japonią.

O Japonii Tania wspomniała umyślnie.

- Owszem, obiecałem. Wspomnieliście też o Pankowie. Czy dobrze go znacie? Mówią, że to energiczny i bardzo rozsądny człowiek. Czy tak jest istotnie?

Tania odpowiadała żywo i rzeczowo. Podobało się to kierownikowi budowy.

- Pankow jest wartościowym człowiekiem. Zaręczam, że dziewiąty odcinek jest najlepszy na całej trasie. Pankow umie znaleźć dla każdego odpowiednie miejsce. Szanują go i lubią.

- Doskonale - pochwalił Batmanow. - Mam zamiar zabrać Pankowa z najlepszego odcinka i posłać go na najgorszy. Poczekajcie chwileczkę, spojrzę tylko.

Jednym susem przesadził wysoki, lodowy nasyp. Potykając się i ślizgając dobrnął do grupki ludzi zebranych dokoła przerębla. Olbrzymiego wzrostu człowiek, technik Chłynow, robił pomiary dna i grubości lodu. Obok w gromadzie ludzi stał Załkind - odziany w kożuszek, ściśnięty żołnierskim pasem, w filcowych butach sięgających powyżej kolan i wielkich rękawicach ze skórzanymi mankietami do łokci.

Miał pogadankę, chyba już dziesiątą w tym dniu. Znali go wszyscy i wystarczyło, żeby się gdziekolwiek pokazał, a natychmiast gromadzili się ludzie i po chwili wyrastał koło niego zwarty tłum.

Umiał wciągnąć ludzi w rozmowę i zadawano mu mnóstwo pytań. Trzy zagadnienia szczególnie interesowały wszystkich. Czy Armia Czerwona obroni Moskwę, czy też wycofa się dalej? Czy sprzymierzeńcy utworzą drugi front, czy też oszukają, i czy można im wierzyć? Skąd pochodzą plotki o wystąpieniu Japonii? Jeśli istotnie jest już wojna, to dlaczego mówi się o niej po cichu, a jeśli jeszcze nie - to kiedy należy się liczyć z napaścią?

Batmanow przykucnąwszy obok Chłynowa patrzył na czarną wodę, wrzącą i pieniącą się w przeręblu. Pod błękitnym lodem metrowej grubości rozwierała się żywa, bulgocąca głębia.

- Dziś rano doszedłem do Nempi - opowiadał Chłynow kierownikowi budowy. - Odcinek pokryty zwałami lodowymi kończy się na kilometr przed osiedlem. Co najmniej dziesięć kilometrów będziemy musieli przebijać się przez zwały. Dalej lód jest gładki, przysypany samym tylko śniegiem, dość łatwo da się go oczyścić. Ludzie z pierwszego odcinka wyszli już na lód, pomagają im Nanajczycy.

- Towarzyszu Chłynow - rzekł podnosząc się Batmanow - chcę wysłać was na odcinek Rogowa. Tu, na miejscu, zawsze znajdziemy ludzi, a Rogowowi trzeba pomóc. W ogóle mam zamiar rozszerzyć zakres waszych obowiązków. Gdy zaczniecie pracować z Rogowem, starajcie się wnikać we wszystkie dziedziny gospodarki. Zajrzyjcie wieczorem do mnie, porozmawiamy bardziej szczegółowo.

Chylące się ku zachodowi słońce stawało się purpurowe. Wietrzyk nad rzeką ucichł. W niezwykle jasnym powietrzu wyraźnie zarysowywał się bezludny, dziki, lesisty prawy brzeg. Nad prostym i wysokim lasem widniał łańcuch górski w delikatnej, chwiejnej jak miraż, jasnobłękitnej poświacie, gotowej lada chwila rozpłynąć się w powietrzu.

Batmanow trąc twarz i nos rękawicą przywołał Załkinda.

- Chodźmy, Michale, zmarzłem. Na mrozie praca językiem nie zagrzeje, raczej łomem należałoby pomachać... Czeka na ciebie pewna wysłanka z trasy. Przyszła aż z dziewiątego odcinka, żeby powiedzieć nam parę przykrych uwag.

Beridze z daleka pogroził Załkindowi:

- Czekamy na ciebie, Michale Borisowiczu. Chodź na rozprawę.

- Dzień dobry, towarzyszu! Nigdy się tego po was nie spodziewałam... - zaczęła Tania.

Załkind spojrzał na nią:

- Tania? Skąd się tu wzięłaś i czym zawiniłem w stosunku do ciebie?

- To, żeście mnie obrazili - to głupstwo. Ale obraziliście nasz odcinek. Zwołujecie konferencję partyjną bez udziału naszego odcinka! Gdybym nie przyszła do zarządu, nie wiedziałabym w ogóle nic o konferencji!

- Nie mogliśmy, Taniu, zwoływać ludzi z odległych odcinków. Mamy jeszcze dziesiąty, jedenasty i dwunasty, które leżą dalej niż wasz. Prawda? Jak je wezwać? Trzeba byłoby odłożyć konferencję, a obkładać nie można. Zgadzasz się ze mną? Przebaczasz mi moją winę?

- Nie zgadzam się.

Beridze śmiał się:

- Przepadłeś, Michale Borisowiczu.

- Cóż, postaram się ułagodzić cię. Wobec tego zapraszam cię na konferencję jako delegata dziewiątego odcinka. I nawet zgadzam się udzielić dziewiątemu odcinkowi pierwszego głosu. Czy na takich warunkach zawrzemy zgodę?

- Może. Pretensje moje nie są jeszcze, co prawda, wyczerpane. W zarządzie zdążyłam posprzeczać się ze wszystkimi waszymi ludźmi. Do czego to podobne? Olbrzymią budowę wcisnęliście w ramy czteropiętrowego gmachu. Piszą, gadają, szepczą, opowiadają duby smalone o japońskich spadochroniarzach. Nikt nie pamięta i nie myśli o trasie, jak gdyby wcale nie istniała! A tymczasem ona żyje, towarzysze kierownicy! To źle, żeście o niej zapomnieli!

- Bardzo dobrze, Taniu, doskonale - powiedział Załkind i leciutko dotknął rękawicą pleców dziewczyny.

- Nic w tym dobrego nie widzę.

- Dobrze, że przyszłaś do nas. Mahomet przychodzi do góry... Trasa zaczyna nacierać na zarząd - to dobrze. I najważniejsze, Taniu, że nasz zarząd wytrzyma teraz każde natarcie, a to bardzo dobrze! - Załkind z trudem poruszał zmartwiałymi od zimna wargami.

- Nie macie racji wymyślając na zarząd - zwrócił się do Tani Batmanow idący przed nimi z Beridzem.

- Jednak pomimo to proszę, aby na konferencji wypowiedziała się przeciwko pracownikom zarządu, którzy zamknęli się w czterech ścianach - powiedział Załkind. - Mocniej, mądrzej wymyślaj, Taniu. Muszę ci powiedzieć, Wasiliju Maksimowiczu, że nasza Tania jest na budowie historyczną postacią. Przychodziła do mnie, do Komitetu Miejskiego, żądając stanowczej ingerencji w sprawy rurociągu na długo przedtem, zanim sami zrozumieliśmy konieczność tego. - Spojrzał serdecznie na dziewczynę i wziął ją pod rękę. - Tak, Tatjanko, wspólnymi siłami ruszyliśmy wóz z miejsca.

Batmanow zatrzymał się i zajął przy Tani miejsce Załkinda z zamiarem powiedzenia czegoś, lecz ona uprzedziła jego słowa:

- Wiem, towarzyszu kierowniku, chcecie mi zarzucić, że powoduje mną niesłuszne uprzedzenie i płytkość sądów. „Dziewczyna nic nie dostrzegła w zarządzie. Przecież zawsze siła organizująca ma swój początek w gabinetach. Sztab jest sztabem, bez względu na to, czym kieruje - bitwą czy budową. Telefon, telegraf i umiejętność pisania to największe wynalazki ludzkości, które ulepszyły wykonywanie pracy”. Dobrze streściłam?

- Na ogół tak - przyznał Batmanow.

Beridze i Załkind roześmieli się. Kierownik budowy uważnie wpatrywał się w twarz Tani. Ciemne loki, wysuwające się spod czerwonej czapeczki, zbielały i opadły na gładkie, równo opalone czoło. Oczy, ocienione oszronionymi rzęsami, głębokie, prawie czarne, śmiało wytrzymywały jego spojrzenie.

- Nie mamy prawa jechać na trasę jak w gościnę, żeby wypić herbatę, pogawędzić na ogólne tematy i wyrazić współczucie z powodu złego stanu rzeczy. Beridze i Kowszow od pierwszego dnia nie dają mi żyć, chcą iść na trasę! Nie puściłem ich. Przyjdziemy na odcinki jako kierownicy. A to wymaga wyposażenia, zebrania wszystkich sił. Na jedno i na drugie przeznaczyliśmy miesiąc, najwyżej półtora. Dużo? Mogę wyliczyć się z każdego dnia przygotowali.

Tania nic nie odpowiedziała, tylko zasłoniła sobie twarz, niemal po oczy, grubymi, wełnianymi, czerwonymi rękawiczkami.

- Myślę, że nie ma potrzeby wam tego tłumaczyć - powiedział cicho Batmanow. - Macie dobre oczy, musieliście to zauważyć.

- Zobaczyłam coś niecoś. - Tania odsłoniła twarz. - To, co zrozumiałam, podobało mi się. I to, czego nie zrozumiałam, zapewne później też mi się spodoba. Wyobraźcie sobie, towarzyszu Batmanow, że nawet Liberman mi się podobał. Chcę przez to powiedzieć, że teraz bardziej mi się podoba niż dawniej.

Opowiedziała o intendentach, o ich wrogości, w której dopatrzyła się ziarnka współzawodnictwa, i o świętoszku, i o nowym wydziale... „trudności zaopatrzeniowych”... Batmanow roześmiał się i zaraz zaniósł się kaszlem odetchnąwszy mroźnym powietrzem.

- Powiedzcie teraz, wysłanniczko trasy, jak się nazywacie i czym zajmujecie się na odcinku? - zapytał przestając kaszlać. - Domyślam się, że mam do czynienia z Tanią Wasilczenko?

- Wybaczcie, odzwyczaiłam się od form towarzyskich. Nikt nigdy nie pyta mnie, jak się nazywam, po prostu podchodzą i rozmawiają ze mną, jak ze starą znajomą. Zgadliście - jestem Wasilczenko, inżynier łączności.

- Aha! Więc trzymajcie się, teraz my będziemy wam wymyślać! - krzyknął żartobliwie Beridze. - Do tej pory nie mamy na budowie ani telefonu, ani telegrafu. To skandal!

- Nie mnie za to należy wymyślać. Dotychczas zajmowałam się wszystkim, czym chcecie, tylko nie telefonem i nie telegrafem.

- A dlaczego?

- Oto właśnie druga moja sprawa do was, osobista. Łączność powinna wyprzedzać posuwanie się innych robót. Tak uważałam dawniej i tak uważam teraz. Grubski stał na innym stanowisku. Pokłóciliśmy się z nim o to - nie umiem obcować z ludźmi, których nie lubię. Wyrzucił mnie, jak się wyraził, z zarządu na trasę. Dlaczego zostawiliście go na budowie, towarzyszu Batmanow? Spotkałam go na korytarzu. Miał czelność zakpić sobie ze mnie: „I cóż - powiedział ironicznie - czy przekonaliście się już, że wasza łączność nie jest najważniejszą rzeczą na świecie?”

- I rzeczywiście przekonaliście się? - zapytał prowokująco Beridze.

Tania rozgniewała się. Silny rumieniec pokrył jej opaloną twarz.

- Dawnemu naczelnemu inżynierowi odpowiedziałam niegrzecznie. Nie chciałabym jednak od pierwszej chwili znajomości być niegrzeczną wobec was. - Odpowiedź Beridzego zdenerwowała Tanię, wydało się jej, że naczelny inżynier jest uprzedzony do niej.

Beridze pojednawczo ujął ją pod rękę:

- Nie gniewajcie się, Czerwony Kapturku. Nie udał mi się żart.

- Chodźcie prędzej! - zawołał Załkind, który wyprzedził ich i teraz czekał przy samochodzie.

Z trudem wcisnęli się w swych kożuchach do auta. Tani było ciasno pomiędzy Załkindem i Beridzem. Teraz dopiero poczuła, jak bardzo bolą ją nogi. Przeszła dziś tyle kilometrów!

- Grubski twierdził, że nie mamy teletechników i że trzeba czekać, aż zostaną, przysłani - mówiła. - W ogóle był przeciwny zakładaniu tymczasowej linii telefonicznej, zawieszonej na drzewach. „Lepiej od razu budować linię na słupach”. Czyli za sto lat, kiedy rurociąg zostanie przeprowadzony.

Batmanow, który siedział obok szofera, zainteresował się tym, co mówiła.

- Jak uważacie, czy można w szybkim tempie przeszkolić ludzi do służby łączności i przeciągnąć tymczasową linię w terminie jakichś trzech miesięcy?

- Szkolenie należałoby zorganizować nie na kursach, lecz od razu w terenie, praktycznie. Jestem głęboko przekonana, że linię do Tajsinu można przeciągnąć w ciągu sześciu tygodni. Mam plan i z nim właśnie przyszłam do was.

- To rozumiem! - rzekł Batmanow i znów obejrzał się, żeby rzucić okiem na Beridzego i Załkinda.

- Na czym polega twój plan, Taniu? - zapytał Załkind.

- Nie należy rozpraszać służby łączności po odcinkach, bo jest jej bardzo mało. Trzeba stworzyć jedną kolumnę szturmową, w której proces pracy będzie rozbity na najprostsze operacje. Najważniejszą rzeczą jest znalezienie stu komsomolców, którzy by na ochotnika poszli do tajgi.

Tania czekała, co powiedzą o jej propozycji kierownicy budowy, oni zaś milczeli myśląc nie tyle o tym, co powiedziała dziewczyna, ile o niej samej. Batmanowa ogarnął odświętny nastrój; w duchu mówił sobie: „Oto złote kadry - przychodzą same do ciebie, Wasiliju, nie przegap ich, postaraj się jak najlepiej wykorzystać je dla sprawy”. Beridze spojrzał na Tanię spoza podniesionego futrzanego kołnierza.

- Chcę odpowiedzieć na pierwsze wasze pytanie - rzekł. - Macie słuszność, odcinek ma prawo znać nasze zamiary, powinien mieć wyraźne perspektywy...

Tania słuchała jego słów nie odwracając głowy. Beridze mówił o zmianie projektu, o lewobrzeżnym wariancie trasy.

- Trzeba mieć przed oczyma całokształt zadania, a nie jego fragmenty. Dziewiąty odcinek jest zbyt mały, aby można było z niego ogarnąć całokształt pracy. Teraz trudno wam zrozumieć nasze decyzje, ale zrozumiecie je później.

- Zdaje mi się, że już zrozumiałam - powiedziała dziewczyna i nareszcie zwróciła swą twarz ku Beridzemu. - Czy sami doszliście do koncepcji lewego brzegu, czy przeczytaliście o tym w naszych załącznikach do projektu?

- W załącznikach? Nie widziałem ich wcale.

Batmanow spojrzał na Tanię z zainteresowaniem. Wyjaśniła:

- Od pierwszych dni wojny mówiono na trasie o tym, że należy zrewidować projekt. Znalazł się człowiek, niejaki Karpow, który dowodził, że trasę należy przenieść na lewy brzeg.

- Kto to jest? Inżynier?

- Nie. Rybak, tutejszy mieszkaniec, ze wsi Niżniaja Sazanka. Kierował dużym kołchozem. Pewnego razu przyszedł na odcinek i poprosił o pracę: „Chcę się od was rozumu nauczyć”. Bardzo zdolny człowiek! Wykształcenie ma niewielkie, siedem, klas zaledwie, ale wszystko umie i w lot potrafi rozwiązać najbardziej skomplikowaną sprawę. W naszej budowie najbardziej interesowała go droga. Dowodził, że lewy brzeg Adunu nie przypadkowo stał się miejscem licznych osiedli, podczas gdy na prawym nie ma ich prawie zupełnie. Lewy brzeg ukształtował się zgodnie z prawami natury, ma dobre przyrodzone warunki, a trasa na prawym brzegu pozostaje w sprzeczności z historią Adunu. Droga potrzebna jest właśnie na lewym brzegu, ponieważ połączy Nampi, Olgochtę, Czyłm, Czomi i wiele innych osiedli z Nowińskiem i będzie bodźcem do rozwinięcia się rejonu w kierunku północnym. Natomiast na prawym brzegu jest potrzebna tylko osiedlu Ulagir. Ponadto na prawym brzegu trasa musiałaby przecinać nieprzerwane pasmo wzgórz porośniętych lasem. Na lewym zaś brzegu pójdzie ona przez teren rozległy, łagodnie spadający ku rzece. Tu budowniczym rurociągu

pomoże cała ludność z okolic Adunu, na prawym zaś brzegu jest pusto i na żadną pomoc liczyć nie można.

- Do diabła! Przytaczacie moje argumenty - krzyknął podniecony Beridze. - Czyżby ten rybak sam wykombinował to wszystko?

- Aha, poruszyło was! - roześmiała się Tania z zadowoleniem. - Nie bójcie się, nie pozbawi was sławy! Prawdę mówiąc, uzupełniłam myśl Karpowa propozycjami innych towarzyszy. - Tania głośno kichnęła; a jednak przeziębiła się. - Mówiliście o szerokich horyzontach i o małych sprawach jednego odcinka. Jak widzicie, były jednak próby zainteresowania się ogólnym losem budowy...

- A gdzie jest obecnie Karpow? Na odcinku? - zapytał Załkind.

- Opuścił budowę i wrócił do swej Niżniej Sazanki. Spotkałam go w Olgochcie, opowiadałam mu o zmianach, jakie u nas zaszły. Posłuchał, westchnął. Widać było, że nie wierzy w odmianę. Zresztą zajęty jest teraz czym innym: znów jest przewodniczącym kołchozu rybackiego. Ma kłopoty z wykonaniem planu. Przez całą godzinę tłumaczył mi fortele łowienia ryb pod lodem.

- Czy była jakaś odpowiedź na tę propozycję? - zapytał Batmanow.

- Owszem. Stary Topolew odpowiedział: „Zanim zaczniecie krytykować projekt, nauczcie się go wykonywać”. Jednym słowem: „Nie wtrącajcie się do wielkich spraw, gdy polecono wam wykonywać małe”.

- Trzeba odszukać te notatki. Znajdźcie je koniecznie i pokażcie mi - Batmanow zwrócił się do naczelnego inżyniera. - Stary doczeka się tego, że poślę go do kołchozu Karpowa, aby łowił ryby...

Gdy Tania wysiadła z auta, czuła, jak obezwładniało ją zmęczenie. Z trudem poruszała nogami. Na zaproszenie Beridzego, aby wraz z nim wstąpiła do Topolewa, wyciągnęła rękę i poprosiła:

- Dajcie mi nareszcie klucz.

- Jaki klucz?

- Klucz od mieszkania. Nie mogę dostać się do mieszkania Rodionowej i cały dzień biegam za wami, szukam klucza.

Beridze śpiesznie zaczął szperać po kieszeniach. Nagle przypomniał sobie, że klucz pozostawił w kieszeni płaszcza pozostawionego w gabinecie. Tania musiała pójść z nim do zarządu. Szła po schodach i zrzędziła. Pod drzwiami jednego z gabinetów przystanęła:

- Tu, zdaje się, pracuje Topolew. Wstąpmy. Przy okazji przywitam się z nim. To dobry staruszek i mój przyjaciel! Weźcie to pod uwagę, proszę, i nie róbcie mu krzywdy.

10. Gościnny dom

Topolew siedział samotny w pustyni i ponurym pokoju. Od pewnego czasu stało się to jego przyzwyczajeniem. Zmiany na budowie nie wniosły nic nowego do jego rozkładu dnia. Usiłowania Grubskiego zmierzające do nastraszenia staruszka nowym kierownictwem okazały się bezskuteczne.

- Nie taki diabeł straszny - odrzekł mu. - Mam już sześćdziesiąt z górą lat, przekroczyłem swoją normę. Każde kierownictwo musi mnie szanować, jeśli to kierownictwo nie jest głupie.

Tania i Beridze wchodząc do pokoju zauważyli, że staruszek poruszył się gwałtownie i drgnął przestraszony skrzypnięciem drzwi. Beridze przysłonił ręką uśmiech. Kowszow mówił mu o krążących po zarządzie dowcipach na temat Topolewa; opowiadano, jakoby stary inżynier spał siedząc w swym gabinecie ze słuchawką telefoniczną lub piórem w ręku.

Redaktor gazetki ściennej zamieścił w numerze, poświęconym zagadnieniom dyscypliny pracy, karykaturę starego. Charakterystyczne cechy jego powierzchowności - wysoki wzrost, pochyło ramiona, wąsy - dały wdzięczny materiał malarzowi. Przedstawiono go śpiącego przy biurku. W drodze „przyjacielskiej usługi" Grubski zdążył pokazać staremu inżynierowi karykaturę, zanim za radą Załkinda została zdjęta ze ściany. Topolew z początku nie zrozumiał sensu rysunku, a po chwili oblał się pąsem, westchnął ciężko i zgarbiony zaszył się w swoim pokoju.

Na widok Beridzego Topolew, wysoki, kościsty, wstał zza biurka wycierając czerwoną chustką szarozielone wąsy. Obu rękami uścisnął dłoń Tani. Przez jego twarz jakby przemknął promyk światła - stała się niemal przyjazna.

Beridze poprosił go o wyszukanie raportów dziewiątego odcinka, zawierających propozycję zmian w projekcie. Topolew przez długą chwilę, poruszając wąsami, szukał w pamięci, następnie zbliżył się do szafy i zaczął przekładać teczki. Notatki znajdowały się w grubym skoroszycie, zawierającym korespondencję odcinków.

Beridze niezwłocznie zagłębił się w czytaniu. Starzec i dziewczyna rozmawiali szeptem, od czasu do czasu spoglądając w stronę inżyniera.

- Czy nie chcieliście jechać z Sidorenką? - pytała Tania. - Kiedyś dzieliły was jakieś nieporozumienia.

- Nie ruszyłem palcem, żeby jechać, i ani słowa nie powiedziałem, że chcę zostać. Nikt teraz nie zwraca na mnie uwagi: zestarzałem się. Nikt mnie nie prosił, żebym jechał, i nie pamiętam, żeby ktoś namawiał mnie do pozostania. Jest mi wszystko jedno, gołąbeczku. Chciałbym żyć spokojnie. Przeczytałem niedawno u Jacka Londona wspaniałe zdanie: „Uwolniwszy się od pragnień, nie znamy nadziei ni lęków". Dobrze jest, kiedy nas nikt nie potrzebuje. Wierzaj mi, Taniu.

- Nie próbujcie mnie przekonywać, nie uwierzę. Nie chciałabym żyć, gdybym doszła do przekonania, że jestem ludziom zupełnie niepotrzebna. - Wzdrygnęła się. - Co za dzika, smętna myśl! Obgadujecie siebie, nie uwierzę wam, dziaduniu. Po prostu jesteście teraz w złym nastroju. Opowiedzcie mi lepiej o Wołodi. Gdzie jest teraz, co pisze o sobie?

- O sobie nie pisze nic. Pisze o artylerii i o swoim generale: „Rosyjska artyleria jest najlepsza na świecie. Nasz generał to zuch, nikt mu nie dorówna". Pamięta o tobie, kilka razy wspomniał, kazał cię pozdrowić. List przyszedł spod Mińska. Odgadłem to ze słów: „Lejemy szwabów tam, gdzie budowałeś fabrykę".

- Czy to wasz wniosek na tych raportach? - zapytał Beridze uniósłszy w górę gruby skoroszyt.

- Mój - odrzekł Topolew.

Beridze znowu pogrążył się w czytaniu. Miał zwyczaj stale coś trzymać w ręku; zapoznając się z raportem i wnioskiem Topolewa bawił się brodą, skręcając jej kędzierzawe pasemka na ołówku. Tania się roześmiała.

- Dlaczego się śmiejesz? - zapytał Topolew.

- Morowy chłop ten nasz nowy naczelny inżynier.

- Mylisz się. Nie podoba mi się ani on, ani inni; to nietaktowni ludzie, zwolennicy hałasu i szumu. Wszystko zganili. Chcą uczyć, jak należy żyć i pracować. A czy sami umieją? Naczelny inżynier - nowa miotła w postaci brody.

- Nie mam stu lat ani zwyczaju mędrców, żeby wszystko podawać w wątpliwość. Sami się przekonacie, że Beridze to wspaniały chłop. Życzę wam, żebyście jak najprędzej zobaczyli go w prawdziwym świetle. Pewnie powiedział wam kilka słusznych, lecz niemiłych słów, a wam, Kuźmo Kuźmiczu, podobają się tylko tacy ludzie, którzy mówią przyjemne słówka. Na przykład ten wasz Grubski. Nie rozumiem, jak można przyjaźnić się z takim człowiekiem,

Beridze odłożył papier i podszedł ku nim.

- Napisaliście obszerny, przemyślany wniosek - zwrócił się do Topolewa. - Pochwaliliście wyraźnie pomysł Karpowa. Powiedziałbym nawet, żeście go rozwinęli. - Beridze milczał chwilę wyczekująco.

- Myśli zawarte w raportach wydały mi się słuszne i na czasie - potwierdził Topolew.

- Dlaczego więc ustosunkowaliście się do nich tak sucho? Odrzuciliście je dość niegrzecznym papierkiem, zawierającym trzy wiersze. Czy rzeczywiście tylko dlatego, że ktoś inny skrytykował wasz projekt, machnęliście ręką na mądrą i cenną propozycje?

Starzec stał opuściwszy ciężkie, duże ręce o nabrzmiałych niebieskich żyłach. Twarz jego stała się purpurowa, oddychał głośno.

- Nie mogę zrozumieć, po co trudziliście się pisząc swój obszerny wniosek? Jest to zupełnie niezrozumiałe: jesteście jednocześnie za i przeciw. - Beridze wzruszył ramionami.

Tania zauważyła, że wzrok naczelnego inżyniera zwrócony na Topolewa łagodniał. Mimo woli Beridze czuł sympatię do tego surowego i milczącego starca. Nie mógł przymusić się do traktowania go tak, jak Grubskiego, mimo iż trzymali się razem. Musiał szanować Topolewa chociażby ze względu na jego dawną działalność, znaną powszechnie wśród budowniczych.

- To przykro - mówił dalej Beridze - przykro spotykać się z czymś podobnym. Moim zdaniem, sami widzicie brak słuszności w odpowiedzi, którą daliście dziewiątemu odcinkowi.

- Czy mogę odpowiedzieć za Kuźmę Kuźmicza? - nie wytrzymała Tania. - Kuźma Kuźmicz to stary inteligent. W swym postępowaniu kieruje się często źle zrozumianymi zasadami lojalności.

- Tatjano Pietrowno! - przerwał jej gniewnie ochrypłym głosem Topolew uniósłszy krzaczaste brwi.

- Teraz już milczcie raczej, gdy sami nie umieliście się bronić! - zapalczywie przerwała mu Tania. - To nie Topolew jest autorem odpowiedzi, lecz Grubski. Przecież to jego styl! Doskonale sobie wyobrażam, jak to było: Kuźma Kuźmicz, pełen najlepszych chęci, przyniósł Grubskiemu swój wniosek. Tamten wyśmiał go i podyktował mu te trzy znakomite wiersze. - Odwróciła się do Topolewa. - Nie chcecie zrozumieć, że Grubski, chociaż szef i wasz stary przyjaciel, nie jest człowiekiem, którego warto słuchać.

Tania urwała; zdumiało ją pełne wyrzutu spojrzenie, które utkwił w niej starzec.

- Pismo to odegrało oczywiście znikomą rolę - ciągnęła dalej Tania bez poprzedniego uniesienia. - Budowa została zahamowana niezależnie od niego. A gdyby nie zahamowano jej, nie musielibyście jechać aż tu, na koniec świata. Z tego wynika, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło...

Tania chciała żartem rozładować atmosferę, lecz stary odwrócił się od niej, stał nachmurzony i groźny...

Klucz, zdobyty z takim trudem, okazał się niepotrzebny. Serafima, ciotka Rodionowej mieszkająca z Olgą, była w domu. Ogromna, otyła, jak gdyby była złożona z napełnionych powietrzem baloników, wypełniała sobą całą kuchnię, z trudem poruszając się od stołu do płyty i z powrotem. Uderzywszy się rękami po biodrach Serafima rzuciła się ku Tani i przycisnęła ją do swego obfitego łona.

- Witaj, ślicznotko, kochanie, złotko, Taniuszko - wyrzuciła z siebie tłuściocha.

Objęcia gościnnej Serafimy i ciepło buchające z gorącego pieca, w którym ogień widocznie nigdy nie wygasał, rozgrzały dziewczynę. Szybko ściągnęła z siebie kostium narciarski, energicznie wymasowała ramiona i nogi, po czym owinęła się w granatowy, aksamitny szlafrok Olgi. Wyciągnąwszy się na kanapce, z wdzięcznością, prawie % rozrzewnieniem pomyślała o przyjaciółce.

W pokoju nic się nie zmieniło: wszędzie hafty, serwetki, dywaniki. Olga zadziwiała nawet Serafimę szybkością wykonania i fantazyjnością rysunku swych robót ręcznych. Przybyły nowe hafty nanajskie, zdobne w bogate ornamenty; zajmowały one honorowe miejsce nad porządnie zasłanym łóżkiem gospodyni. Na dawnym miejscu stała półeczka z książkami medycznymi, stolik z patefonem i płytami, toaletka - dar szpitalnego stolarza, lustro, a przed nim, na koronkowej serwetce - miniaturowe słonie z zadartymi do góry trąbami, flakony perfum, wody kolońskie i duży grzebień. Na stole leżały książki i zeszyty Konstantego. Przywędrowały tu z jego pokoju. Nad biurkiem, w haftowanym woreczku - listy, kartki, recepty, wycinki z gazet, a wyżej, nad tym wszystkim - portret Konstantego: wysokie czoło z głębokimi zatokami, duże rogowe okulary i zastygła na wąskich wargach ironia.

- Konstanty zawsze ten sam: zimny filozof, psycholog - niechętnie powiedziała Tania.

- Zawsze ten sam - łajdak - podchwyciła Serafima. Stała na progu, wypełniając swoją osobą całą szerokość drzwi.

- Cóż u nich słychać? Z listów Olgi niewiele mogłam zrozumieć. O Konstantym nigdy nic nie pisała.

- Nie mów mi nawet o tym. Sama nie mogę jej zrozumieć, przecież żadnej z niego nie ma pociechy; żyje jak sierota, ni to panna, ni to mężatka. A może nie rozumie, jaki to człowiek? Albo rozumie, tylko nie może pozbyć się tej niedobrej miłości? Wytłumacz mi to, proszę!

- Przyzwyczaiła się do niego, tak przypuszczam. Mimo wszystko żyli przecież ze sobą trzy lata. Myślisz, że ona cierpi?.

- Cóż to, oczu nie mam?

Tłuściocha wsunęła ręce pod fartuch i znów zaczęła sypać słowami:

- Jak oni żyli ze sobą w Rubieżańsku, tego nie wiem. Musiało jednak coś tam być, skoro go opuściła. Mówiono mi, że profesor ją ogromnie lubił i uważał za najlepszą swoją pomocnicę. Jak się nazywało to jej stanowisko?

- Asystent?

- Właśnie. Jednym słowem, była najlepsza. I nagle rzuciła naukę i wyjechała. Pewnie, tu jest naczelnym lekarzem w szpitalu i wszyscy ją szanują - nie chciałabym powiedzieć, że tu ma gorszą pracę. Jednak tyle rozumiem w swojej głupiej głowie, że Olga nie mogła wytrzymać z Konstantym... Coś mi się widzi, że on ją zdradzał. Otóż to, jaki pies! Zamieszkali osobno. Najlepiej by zrobiła, gdyby o nim zapomniała. Tymczasem... Męczy się. Potem on przeniósł się tutaj. Nie trzeba go było wpuszczać, a ona go przyjęła. Jakiś czas mieszkali razem. Byłaś przecież u nich i widziałaś.

- Tylko dwa razy. Nie mogę na niego patrzeć! - Tania skrzywiła się ze wstrętem.

- Dzięki Bogu, wyjechał z powrotem do Rubieżańska. Albo mu się znudziło tutaj, albo się znów pokłócili. Gdy tylko wyjechał, znów zaczęły się historie. W listach pisze: „tęsknię, ściskam, całuję”, a na marginesie: „przyślij mi ubranie - wydarłem się”, „postaraj się o kupon na spodnie - u was na budowie można dostać”, „przyślij pieniądze - oddam, gdy się dorobię”. Inna plunęłaby na to wszystko, a ona - nie! Starała się, ze skóry wyłaziła, swoje rzeczy sprzedawała w tajemnicy przede mną i posyłała mu wszystko, o co prosił.

- Zdaje się, że on tu znów przyjeżdżał? - zapytała Tania sennie, ukołysana jednostajnym głosem Serafimy.

- Przyjeżdżał... W połowie lata, w sierpniu. Aż ścierpłam, kiedy go zobaczyłam. Olga zmieszała się. Wytłumaczyła mi, że przyjechał w sprawach służbowych. Ale nie jestem ślepa - widzę, że zagospodarowuje się jak na stałe. Coś jednak zaszło między nimi. Jakaś awantura. Nie było mnie w domu cały dzień; kiedy wróciłam, Olga zamknęła się w swoim pokoju, a Konstanty pakował walizkę. Nie wyszła nawet, żeby się z nim pożegnać. Uchylił drzwi i powiedział do niej od progu: „Wypędziłaś mnie? Jeszcze pożałujesz!...”

- Zuch Olga! - powiedziała otrząsając się Tania.

- Zuch, może i zuch, ale widzę, że znowu cierpi. Nie mogę tego zrozumieć, żałuje go czy co?... W zeszłym miesiącu, dwudziestego, przysłał ostatni list. Widzisz, sterczy tam w różowej kopercie. Nowinę obwieścił, jakby obuchem w głowę: „Wyjeżdżam jako ochotnik na front. Chcę przelać krew za Ojczyznę!”

Tania, zdumiona, aż przysiadła na kanapce. Tego się już zupełnie nie spodziewała.

- Może tylko chce zamydlić oczy?

- Nie, wydaje się, że wyjechał naprawdę.

- Dziwne, bardzo dziwne! - Tania z niedowierzaniem spoglądała na różową kopertę, wystającą z wyszywanej torebki.

- Teraz rozważ dalej. Poszedł na front - to i dobrze, może nabierze rozumu. Ale jej znowu źle... Męczy się...

Serafima na chwilę wyszła do kuchni, by zobaczyć, co się dzieje, i spiesznie wróciła. Słowa jej znowu polały się wartkim strumieniem.

- O czym myśli, o czym marzy? Czyż nie znajdzie sobie kogoś dobrego? Czy Rogow nie byłby odpowiedni dla niej? Mężczyzna przystojny, silny, dobry, serdeczny. Kocha ją od dawna, jeszcze z Rubieżańska. I jak kocha! Gdyby zażądała - gwiazdkę by jej ściągnął z nieba. Kiedy był jeszcze dyrektorem fabryki konserw, przysyłał ryby wędzone; tyle tego było, że nie wiedziałam, co z nimi robić, całą spiżarnię zapchałam nimi. Skarżył mi się: „W Rubieżańsku nie pozwalałem sobie nawet spojrzeć na nią, bo miała męża. A potem odżyłem: teraz jest wolna. Nic się jednak nie zmieniło”. Pyta mnie: „Co jej się we mnie nie podoba?” Co mu powiedzieć? Dobry przecież człowiek. I mam wrażenie, że nie jest jej obojętny. Ale zrozum: nie pozwala mu zbliżyć się do siebie. A on chwilami przez nią odchodzi od zmysłów...

Tania przypomniała sobie o liście Rogowa do Olgi. Nie miała ochoty wstać, poprosiła więc Serafimę, żeby wyjęła list z plecaka. Szukając listu gospodyni trajkotała dalej:

- Przypuśćmy, że co do Rogowa ma jakieś wątpliwości. Ale podam ci inny przykład. Mieszka u nas naczelny inżynier, sympatyczny, niezależny człowiek. Dobry, grzeczny. Przy tym samotny. Co mu można zarzucić? Dlaczego jej nie odpowiada? Dziwna z niej kobieta.

Tania wyobraziła sobie Olgę z Beridzem. Nie, to nie była dobrana para. Odpowiedziała niezadowolona:

- Beridze nie pasuje do Olgi.

- Nie pasuje? Do kogo więc pasuje?

- Do nikogo. Nie swataj jej to z jednym, to z drugim!

- A ty jesteś wciąż sama, Taniu? Ciągle na księcia czekasz? - zapytała z ożywieniem Serafima. - Jak widzę, Żeńka mądrzejsza od was. Nie ma cierpień i zgryzot, zawsze jest wesoła.

- Gadasz, ciotko, od rzeczy - powiedziała z irytacją Tania. - Zaczęłaś jak rozsądna kobieta, a teraz bredzisz. Nie można z tobą mówić poważnie.

Serafima z dumą zaczęła opowiadać Tani o swym gospodarstwie: o prosiaczkach, kurach, kogucie i trzech gęsiach; miała też beczkę ogórków, beczkę kapusty; kilka worków kartofli w piwnicy. Tania musiała wstać i obejrzeć to całe bogactwo.

Zajrzały do pokoju, w którym mieszkał teraz Beridze. Kilka drobiazgów zmieniło to niesympatyczne dla Tani dawne mieszkanie Konstantego. Zmieszana woń tytoniu i wody kolońskiej („dużo pali i pielęgnuje brodę, perfumuje ją” - wyjaśniła dokładna Serafima); świeże czasopisma techniczne z papierowymi zakładkami („przychodzi późno i czyta, czyta do świtu”); otwarty tom Majakowskiego, kilka fajek, strzelba myśliwska na ścianie, a pod nią zawieszony na pasku aparat fotograficzny („Olgę zapraszał, żeby się sfotografowała - odmówiła, mnie sfotografował, śmieje się - ledwie zmieściłam się na zdjęciu”); fotografia sympatycznej, siwej staruszki („jego matka, mieszka w Gruzji, w tym mieście, gdzie urodził się Stalin; bardzo serdecznie mówi o niej, często pisuje do niej i wysyła pieniądze”); misternie wykonane makiety mostów, model jakiegoś cylindrycznego przyrządu, stos fotografii z tutejszej tajgi i z Adunu („opowiadał nam, że objechał cały kraj, pracował przy wielu budowach; śmieje się i mówi, że dotąd będzie budował, aż znikną białe plamy z naszej ziemi, wtedy sam sobie zbuduje pomnik i spocznie pod nim”).

Rozmowę przerwało wejście Olgi.

- Plotkujecie? - spytała rzuciwszy podejrzliwe spojrzenie na Serafimę, na przyjaciółkę i na portret męża. - Przez to gadanie pewnie nie dałaś jej odpocząć.

Serafima od razu przycichła, chwyciła futerko siostrzenicy i znikła. Przyjaciółki uściskały się.

- Egipcjaneczko, schudłaś, oczy zrobiły ci się jeszcze większe - powiedziała czule Tania.

- Znowu jestem chora. - Olga podniosła zabandażowane ręce.

Dwa razy do roku miewała ataki reumatyzmu stawowego. Patrzyła łagodnie na Tanię swymi dużymi, jasnoniebieskimi oczyma. W gładkim uczesaniu z przedziałem pośrodku, w ledwo widocznych zmarszczkach koło ust, w całej jej delikatnej twarzy taił się wyraz głębokiego bólu.

Tania jeszcze raz czule przygarnęła do siebie Olgę. Obie jednakowego wzrostu, krańcowo różniły się od siebie: Tania robiła wrażenie o wiele silniejszej niż delikatna, krucha i śniada Olga.

- Roztkliwiasz się nade mną, moja droga. Serafima naplotła ci niestworzonych rzeczy, a ty przejęłaś się tym, prawda?

Uwolniła się z objęć Tatjany i poprosiła o rozwiązanie na plecach tasiemek od fartucha lekarskiego. Zmrok zapadał szybko, przez okna wciskała się noc. Przyjaciółki siedziały po ciemku, czekając, aż elektrownia włączy światło. Olga huśtała to jedną, to drugą rękę, jak niemowlę.

- Powinnaś poleżeć, a nie chodzić do szpitala - powiedziała Tania. - Wyobrażam sobie, ile masz tam kłopotów. Słyszałam, że połowę personelu lekarskiego powołano do wojska...

- Rzeczywiście, trochę nas za mało, dlatego nie mogę zostać w domu. Zresztą z moim reumatyzmem jest lepiej, gdy mam dużo pracy. Lubię swój szpital, Taniu, i nie wyobrażam sobie życia poza nim.

Jak zwykle bywa w takich wypadkach, kiedy przyjaciele spotykają się po długiej rozłące, poruszyły w rozmowie wiele tematów, szybko przeskakując z przedmiotu na przedmiot.

- A czy lokator ci nie przeszkadza? - zapytała Tania; była ciekawa odpowiedzi Olgi: mimo wszystko osoba Beridzego zaczęła ją interesować.

- Nie! On nie jest natrętny; to człowiek delikatny. W domu bywa rzadko. Bardzo taktowny wobec otoczenia.

- A w stosunku do ciebie?

- Również; to człowiek wielkiej dobroci, mógłby obdzielić nią dziesięciu ludzi. Serafima lubi go ogromnie i wyzyskuje nie zważając zupełnie na moje wymówki. To drzewo trzeba jej przywieźć, to o coś się postarać... Od czasu gdy tu zamieszkał, jakoś spokojniej zrobiło się w domu. Sama nie wiem dlaczego. Czyżby dla nas, kobiet, konieczna była obecność mężczyzny?

- Nie wiem. Nie mam doświadczenia pod tym względem - odpowiedziała drwiąco Tania.

- Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała... Daleka jestem od tego.

Powiedziała to bez gniewu - ze smutkiem. Idąc za wzrokiem Olgi,

Tania wrogo spojrzała na portret Rodionowa.

- Dlaczego tak boleśnie odczuwasz jego wyjazd na front? Przecież mieszkaliście osobno i wcześniej czy później trzeba było z tym skończyć. Serafima twierdzi, że poszedł jako ochotnik. To bardzo szlachetnie. Wybacz mi moją szczerość, ale nie spodziewałam się, że się na to zdobędzie.

- Rzeczywiście, nawet zanadto szlachetnie! - zgodziła się Olga nieoczekiwanie. - Gdybyż poszedł na front, jak wszyscy uczciwi ludzie! - spojrzała na drzwi i zniżyła głos. - Przecież gdy przyjechał do nas, uwierzyłam, że uzyskał przeniesienie, ponieważ nie może żyć beze mnie. A tymczasem on miał na myśli co innego. Po prostu zdając sobie sprawę z tego, że zostanie zmobilizowany, przeniósł się tutaj pod jakimś pretekstem... Wierzyłam mu i nie wierzyłam. Następnie zaczął nalegać, abym go jakoś urządziła tutaj, dała pracę. Powiedziałam mu: „Idź na front. Jesteś zdrowym człowiekiem i przy tym lekarzem”. Gdybyś widziała, jak en na mnie spojrzał! Nie zapomnę tego do końca życia! „A czy ty, powiada, dasz mi drugie życie? Znajdą się odważni i beze mnie. Pomóż mi raczej zwolnić się zupełnie, masz tu duże stosunki i jesteś członkiem komisji poborowej. W tobie cała moja nadzieja”. Powiedział to tak spokojnie i bezczelnie - a mnie jakby kto uderzył w twarz. Oburzona do głębi, kazałam mu wynieść się natychmiast.

- Słusznie! - krzyknęła z oburzeniem Tania.

- Przyznam ci się, że po jego wyjeździe zrobiło mi się lżej. I nagle ten list! Jest na wskroś zakłamany, możesz się sama przekonać. Nie mogę zrozumieć, co on znów uknuł? Czyżby znowu jakie oszukaństwo? A może wreszcie zrozumiał? Jakie to wszystko przykre!

Ostatnie słowa wyrwały się jej prawie z jękiem. Tania odruchowo pochyliła się ku przyjaciółce.

- Widzisz, ile nagadałam na człowieka dając się ponieść żalowi! - rzekła Olga z wymówką skierowaną do siebie, jakby w tej chwili oprzytomniała; zrobiła się od razu jakaś sztywna. - On naraża życie na froncie, a ja go tu obmawiam...

Usłyszawszy głosy w przedpokoju, Olga wstała. Przyszedł Beridze z Kowszowem.

- Wybaczcie mi, drogie gosposie. Nie mogłem zostawić tego oto bezdomnego. Pozwólcie mu ograć się w waszym gościnnym domu.

Przybiegła także Żenia napełniając dom hałasem, okrzykami i srebrzystym, wesołym śmiechem. Serafima była rozpromieniona - lubiła gości - starannie nakryła stół w pokoju Beridzego. Przyniosła solonego łososia, jarzyny z konserw i kawałki zimnego mięsa z łosia.

- Przekąska wprawdzie skromna, ale za to - nasza, tutejsza. Nie wiem tylko, czy spirytus jest także tutejszy? - Pytanie to skierowała do Beridzego, wskazując na wielką, z brązowego szkła butlę ze spirytusem. - Rozcieńczcie, Gieorgiju Dawydowiczu, jeśli łaska, według swego gustu.

Beridze uśmiechając się dyskretnie, zajął się „chemią” rozcieńczenia spirytusu. Aleksiej, mile zaskoczony ciepłem i przytulnością, której się nie spodziewał, rozmyślał nad tym, że prawdziwie dobry człowiek potrafi stworzyć atmosferę serdeczności nawet w domu z lodu. Siadając do stołu obok Kowszowa, Beridze szepnął mu do ucha:

- Zdaje się, Alosza, że się zakochałem. Czuję, że osławiona strzała Kupidyna przeszywa moje kawalerskie serce. Zgadnij, w której z tych wspaniałych kobiet jestem zakochany? - Nie spuszczał oczu z Tani.

- Nie trudno zgadnąć - roześmiał się Aleksiej.

- To bardzo brzydko rozmawiać szeptem w towarzystwie! - z żartobliwą naganą odezwała się Tania. Odgadła, że mówili o niej, i ucieszyło ją zainteresowanie Beridzego.

- Gieorgij Dawydowicz dał mi zagadkę - wyjaśnił Aleksiej.

- Niezbyt trudną - dodał Beridze.

- Bardzo lubimy zagadki! - ożywiła się Żenia.

- Oto zagadka: w której z obecnych tu kobiet mógłbym się najprędzej zakochać?

- Powiedzieliście, że zagadka nie jest trudna, i spojrzeliście na Tanię. Więc wszystko jest jasne i zrozumiałe! - Żenia skrzywiła się z niezadowoleniem.

- Nie wiem, czy to jasne i zrozumiałe. Nie mogę dokonać wyboru, ponieważ zakochałem się na długo przed przyjściem tutaj.

- Zupełnie zapomniałam. Przecież on przeżywa miodowy miesiąc.

Żenia miała wielką ochotę powiedzieć jakąś złośliwość, ledwo powstrzymała się pod wpływem spojrzenia Aleksieja.

- Przestraszyliście mnie w zarządzie. Drżałam podczas rozmowy z wami - zwróciła się Tania do Kowszowa. - Surowość, pycha i metal w głosie. W rzeczywistości jesteście zupełnie inni.

- To znaczy?

- Taki jak teraz. Gdybyście pisali wiersze, nazywano by was romantykiem.

Żenia parsknęła śmiechem. Aleksiej zaśmiał się również.

- Nie śmiejcie się. Mówię zupełnie poważnie. W moich oczach romantyzm w ujmowaniu życia, oczywiście jeśli jest prawdziwy, stanowi dodatnią cechę człowieka.

- Ależ ją poniosło... - z irytacją powiedziała Żenia. - Patrzcie, jaki filozof. Serafimo, ratuj!

- Taniu, daj spokój tym romantycznym rozmowom! - zadecydowała Serafima. Skończywszy swą dreptaninę przy gospodarstwie, przysiadła w rogu stołu obok Olgi. Wznosząc kieliszek zwróciła się do Beridzego:

- Gieorgiju Dawydowiczu, wy jesteście gospodarzem, czekamy na toast.

- Nie jestem gospodarzem, Serafimo Romanowno, lecz tylko waszym szczęśliwym stołownikiem i czasowym lokatorem w tym miłym domu, w którym zebraliśmy się tak nieoczekiwanie. Jednak skorzystam z przyznanego mi prawa pierwszeństwa do głosu. - Beridze wstał. - Jest wiele tematów do wesołych toastów. Nie poruszę ich dzisiaj. Mam wrażenie, że pierwszy toast powinien być wyrazem najlepszego uczucia, jakie żyje teraz w naszych sercach i myślach. Proszę więc wypić za naszą Moskwę...

Wypili. Przez chwilę trwało milczenie. Przerwała je Serafima.

Opowiedziała o swojej sprzeczce z jakąś kobiety, która twierdziła, że Moskwa zostanie oddana Niemcom, powoływała się przy tym na taktykę wojny w 1812 roku.

- Ja jej wyjaśniłam taktykę! Mało nóg nie pogubiła, żmija! -Serafima podniosła w górę zaciśniętą pieść.

Zerwała się lekko, pobiegła do kuchni i wróciła z olbrzymim półmiskiem, na którym dymiła góra gorących kołdunów.

Wtedy wstała Żenia:

- Proponuję wypić za nasz Daleki Wschód, za najgłębsze zaplecze, które w każdej chwili może zamienić się w czołową linię. Niech towarzysz z Moskwy spróbuje nie wypić!

Żenia trąciła się kieliszkiem z Aleksiejem, chwacko łyknęła trunek, skrzywiła się i zatrzepotała rękami.

- Całym sercem przyjmuję wasz toast - poważnie rzekł Aleksiej.

Do niego przyłączyła się reszta towarzystwa.

Tania i Beridze siedzieli naprzeciw siebie. Inżynier wyraźnie był zachwycony Tanią i myślał: „Gdyby malarz namalował taką twarz, nikt by nie uwierzył, że to portret - zbyt ładna”.

- Tatjano Pietrowno, skąd pochodzicie? Jesteście przyjezdna czy tutejsza? - zapytał.

- Jestem tutejsza. Urodziłam się w Rubieżańsku. Matka moja mieszka tam do dziś. Jest nauczycielką. Już staruszka. Zapraszam ją wciąż do siebie, ale nie może rozstać się ze szkołą.

- A ojciec?

- Zginął pod Wołoczajewką[11]. - Tania spojrzała na Beridzego, jakby namyślając się, czy warto mówić dalej. - Miałam wtedy ze cztery lata. Nie pamiętam go nawet. Za to wiele o nim słyszałam. Dumna jestem z ojca. Bywał u nas Bojko-Pawłow... Wiecie oczywiście, kto to jest. Bardzo pochlebnie wyrażał się o ojcu. Bojko-Pawłow był u nas w instytucie na wieczorze absolwentów, miał długie przemówienie, a do mnie zwrócił się specjalnie: „Twój ojciec, Piotr Wasilczenko, był wiernym komunistą i mężnym partyzantem. Nie zapominaj, co mu zawdzięczasz. Szkoda, że mój dzielny towarzysz broni nie dożył tego dnia...” - Ale rozgadałam się - opamiętała się Tania. - Pewnie was nudzą takie szczegóły.

Beridze jednak z zainteresowaniem słuchał opowiadania Tani. Wzruszyło go, brał sobie do serca wszystko, co miało związek z dziewczyną. W ogólnym gwarze słyszał tylko jej głos.

Serafima była zmartwiona: goście zbyt wcześnie wstali od stołu, pierożki w kuchni nie doczekały się swojej kolejki. Groziła Żeni, że da jej w skórę za to, że pierwsza wstała od stołu i pobiegła do pokoju Olgi. Za chwilę rozległy się stamtąd dźwięki patefonu.

- Walc „Na sopkach Mandżurii” - ogłosiła Żenia. Miała rumieńce, jej oczy i policzki płonęły. - Zapraszają panie, ponieważ jest ich więcej. Czy można, drogi moskwiczaninie? - zwróciła się do Aleksieja.

- Nie mogę.

- Nie umiecie? Ależ to śmieszne - z Moskwy i nie umie tańczyć!

- Nie mogę - powtórzył Aleksiej.

- Do czegóż to podobne? - zapytała Żenia spoglądając po obecnych. Żartem usiłowała pokryć zmieszanie. - Czy to nie jest obraza osobista? A to ci dopiero romantyk! Będę musiała chyba tańczyć z Serafimą.

- Sprawdzimy - powiedziała Tania, wstała i zbliżyła się do Aleksieja. - Proszę...

Aleksiej znów odmówił. Nawet Beridze był zdziwiony.

- Cóż to się dzieje, mój drogi?

- Powiedziałem, że nie mogę. Wybaczcie - powtórzył Kowszow z akcentem zniecierpliwienia.

- Poproście mnie - zaproponował Beridze. - Tancerz ze mnie nie nadzwyczajny, ale kręcić się mogę choćby do upadłego...

Tania spojrzała uważnie na posmutniałego Aleksieja i podała rękę Beridzemu.

- Pokręćmy się... Tylko nie zawróćcie mi głowy.

Żenia nalegała dalej na Kowszowa.

- Jaki z was dziwny, naiwny człowiek. Po co stwarzać różne komplikacje. Chodźmy zatańczyć.

- Żenia, daj spokój! - cicho powiedziała Olga piersiowym, lekko wibrującym głosem.

---

[11] Wołoczajewka - stacja kolejowa - miejscowość na Dalekim Wschodzie na zachód od Chabarowska. W latach 1921-22 toczyły się tu ciężkie walki z resztkami białej armii Kołczaka, pozostającymi na usługach Japonii. - Red.

Kozłowa spojrzała na nią, na Aleksieja, ze złością machnęła ręką i uciekła do tańczących.

Olga z wielką sympatią spoglądała na Kowszowa. Słyszała o nim wiele od Beridzego.

- Pomóżcie mi zapalić papierosa - poprosiła. Bandaże utrudniały jej ruchy.

Aleksiej podszedł do niej z płonącą zapałką, ich spojrzenia mimo woli spotkały się; w tej chwili wydało mu się, że w głębi jej szeroko otwartych oczu kryje się cierpienie.

„Zwykle oczy wyrażają pracę mózgu, a w tych nieomal widać serce" - pomyślał Kowszow.

- Nie lubię, gdy kobiety palą - powiedział odpędzając dym. - Gdybym ustanawiał prawa, surowo zabroniłbym kobietom palenia. Niechby już raczej puszczały dym w oczy - oczywiście w przenośni.

- Lekarze dużo palą, to przyzwyczajenie zawodowe. Mogę zresztą obejść się bez tytoniu. - Zgasiła papierosa. - Czy naprawdę nie tańczycie?

Aleksiej przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

- Tańczę. Może to wyda się wam również śmieszne i naiwne, ale rzeczywiście jakoś teraz... słowem, po prostu nie mogę tańczyć. Moja żona jest na froncie. A nawet nie na froncie, lecz za frontem...

- To wcale nie jest śmieszne ani naiwne! - powiedziała ze wzruszeniem Olga i niezręcznie uścisnęła jego dłoń swą zabandażowaną ręką.

Milczeli oboje, przysłuchując się tęsknej i powolnej melodii walca.

- Bardzo chciałabym zaprzyjaźnić się z wami - rzekła Olga. - Chwilami tak chciałabym mieć mądrego i wiernego przyjaciela! Co to chciałam powiedzieć? Ach, tak! Sprawiacie mi radość, wielką radość! Jesteście szczęśliwym człowiekiem, choć jest wam ciężko obecnie. W waszej miłości nie ma zwątpień, jesteście widocznie kochani miłością równie wierną i czystą jak wasza. Bywa jednak inna miłość - ponura, przytłaczająca. Wyobraźcie sobie, że pokochaliście pierwszy raz w życiu, z całym oddaniem, gorąco! I oto pewnego dnia widzicie, że wasza miłość jest błędem, że jest nieszczęściem. I mimo to miłość ta istnieje, nie łatwo jej się wyrzec. Czy znacie powiedzenie: „Kochaj, jeżeli chcesz być kochanym?" To powiedzenie zapewne kłamie. Ale ja w nie uwierzyłam. Postanowiłam kochać tak, żeby miłość moja uczyniła człowieka niegodnego dobrym. - Olga zamknęła oczy; omdlałe ze zmęczenia, zabandażowane jej ręce spoczywały na kolanach. - A potem przyszłam do przekonania, że miłość moja jest bezsilna, beznadziejna. Pozostało mi tylko jedno: walczyć z nią. Jakaż to straszna walka. Nikt w niej nie może człowiekowi pomóc, a zwycięstwo nie da radości.

Odeszła do drzwi i stanęła przy nich w poczuciu osamotnienia. Aleksieja, patrzącego na nią, ogarnęło przygnębienie. Nie mógł nie podejść do Olgi, a zbliżywszy się nie wiedział, jakim słowem ją pocieszyć.

- Olgo Fiodorowno... Cieszę się, że los nas zetknął - powiedział. - Pragnę, żebyście uwierzyli w naszą przyjaźń. Wiedzcie, że zawsze gotów jestem okazać wam pomoc i zrobić wszystko, żeby wam było lżej.

Przycisnął usta do przesiąkniętego lekarstwem bandaża na jej ręce i nie zauważony przez nikogo, poszedł do drzwi wyjściowych.

11. O starych grzechach

Pod wpływem nalegań Tani Kola Smirnow zwołał zebranie komsomolców.

W chwilę po ogłoszeniu porządku dziennego i oddaniu głosu towarzyszce Wasilczenko weszli na salę Batmanow, Załkind, Beridze, cały zespół egzekutywy partii i niektórzy kierownicy wydziałów.

Komsomolcy, nie wyłączając Gienki Pankowa, zrozumieli, że zarząd budowy przywiązuje dużą wagę do wniosków byłej ich organizatorki.

- Przystępujemy do następnego punktu naszych obrad - powiedział z godnością Smirnow i skinieniem głowy dał znak Tatjanie.

Po rzeczowym omówieniu swego projektu dziewczyna zwróciła się do wszystkich komsomolców z wezwaniem, aby dobrowolnie zgłaszali, się do samodzielnej kolumny łączności.

- Mamy możność dowieść czynem, że jesteśmy patriotami.

Batmanow poprosił o głos.

- Nie możemy dłużej obchodzić się bez linii telefonicznej, drodzy przyjaciele - rzekł kierownik budowy. - Jest nam ona potrzebna tak, jak człowiekowi potrzebne są oczy i uszy. Słyszeliście, co powiedziała Wasilczenko - linię można przeprowadzić w ciągu sześciu tygodni.

Gienka Pankow siedział najbliżej Batmanowa i chciwie, z lekko rozchylonymi ustami wpatrywał się w niego. Ten zauważył chłopca i często spoglądał w jego stronę.

- Można by, rzeczywiście, w drodze służbowej przydzielić do kolumny wszystkich, kogo wymieni Wasilczenko. Nie chcę jednak tego robić. Telefoniści mają przed sobą trudne zadanie - czeka ich praca w tajdze podczas ostrych mrozów. Do takiego dzieła trzeba przystąpić dobrowolnie, pracować z całej duszy i z całą wytrwałością. Tak wypełniają swe zadania żołnierze na froncie. Kto nie jest pewny swoich sił, kto nie ma w sobie takiego zdecydowania, niech lepiej zostanie na swoim obecnym miejscu.

- Kto chce zabrać głos? Kto ma jakieś propozycje? - Kola spoglądał na towarzyszy.

- Nie ma o czym mówić, notuj nazwiska! - krzyknął ktoś. - Zapisz mnie!

Smirnow zapukał ołówkiem w stół.

- Nie hałasujcie! Musimy spokojnie obradować.

Przyjęto decyzję, że należy poprzeć inicjatywę Tatjany Wasilczenko oraz zwrócić się z prośbą do kierownictwa, aby budowę linii telefonicznej jako samodzielne zadanie przekazało zespołowi komsomolców.

- Teraz otwieramy listę - ogłosił Kola.

Podchodzili chłopcy i dziewczęta, kreślarze, buchalterzy, maszynistki. Wśród nich ujrzała Tatjana sekretarkę Załkinda, młodą dziewczynę z okrągłą buzią.

- Dobrze robisz, Zino - pochwalił partorg.

Na dźwięk ukochanego imienia Aleksiej drgnął i uważnie przyjrzał się dziewczynie. Pietia Gudkin wzruszony szeptał Tani do ucha:

- Bardzo chciałbym pójść z tobą, Tatjano, ale mówiłem ci już, że Kowszow przenosi mnie do działu projektowania. To przecież moje marzenie!

- Możesz sobie zostać razem ze swoim marzeniem! - Tania odwróciła się od kreślarza.

- Iść czy nie iść? Jak myślicie? - zwróciła się do Kowszowa Żenia.

- Jak chcecie. A wy jak uważacie?

- Wszystko mi jedno! - wzruszyła ramionami Żenia. - Jestem ekonomistą, moja praca jest odpowiedzialna. Szczerze powiedziawszy, nie chce mi się stąd ruszać...

Aleksiej owi nie podobała się jej odpowiedź.

- Zresztą Grieczkin i tak mnie nie puści - dodała. - Twierdzi, że jestem jego podporą. Na pewno właśnie o mnie szepce w tej chwili Batmanowowi.

Istotnie Grieczkin zbliżył się do Batmanowa i dowodził, że chociaż to bardzo pięknie, iż wszyscy komsomolcy chcą iść z Tatjaną Wasilczenko, lecz niektórych należy zostawić, ponieważ potrzebni są jako specjaliści.

- To się sprawdzi, gdy będziemy zatwierdzać skład osobowy kolumny.

Kola Smirnow podał Załkindowi kartkę; przeczytawszy ją partorg podszedł do Batmanowa.

- Smirnow prosi, żeby i jego zapisać. Popieram jego prośbę, będzie pewnym pomocnikiem Tatjany.

- Słusznie - zgodził się Batmanow i wzrokiem wskazał Załkindowi Gienkę Pankowa.

Chłopak uchwyciwszy odpowiedni moment przecisnął się do Smirnowa i poprosił o wciągnięcie go na listę.

- Kto to jest ten chłopaczek? - rozmyślnie głośno i surowo zapytał Batmanow.

- To Giena Pankow. Dowodzę mu, że nie może pójść z nami, ale nie chce ustąpić.

- Nie jestem wcale mały, a poza tym jestem silny. Będę pracować nie gorzej niż inni. A dziewczynom na pewno nie ustąpię - mruczał gniewnie Gienka zmieszany uwagą kierownika budowy.

- Sprzeciwiam się zabieraniu niepełnoletnich - powiedział ostro Batmanow zwracając się do Smirnowa i Tani. - Powtarzam: macie przed sobą trudną wyprawę. To nie fraszki!

Następnego dnia kierownik budowy w obecności Załkinda i Beridzego wezwał Tanię i Smirnowa.

- Zatwierdziłem listę członków brygady. Inżynier naczelny osobiście dopilnuje, aby w ciągu pięciu dni zaopatrzono was we wszystko, co jest niezbędne. Dokładnie za pięć dni wyruszacie. - Batmanow wstał od biurka i zbliżył się do Tani. - Zawrzemy umowę, Tatjano Pietrowno. Przedstawcie mi szczegółowy plan waszej pracy - tyle a tyle kilometrów założonego przewodu w ciągu doby. Zatwierdzę wasze cyfry i co dzień będę sprawdzał. Jeśli nie zrobicie choćby jednego kilometra ponad plan - będziemy mieli żal do siebie, dostanie się wam!

- Z radością podpiszę taką umowę! - odrzekła Tania.

- Podpisywać nie trzeba, potwierdzimy uściskiem dłoni.

Batmanow mocno uścisnął gorącą dłoń dziewczyny.

- No, Taniu, teraz miej się na baczności! - ostrzegł Załkind pół żartem, pół serio.

Wyszedłszy od kierownika Tania i Smirnow zauważyli w korytarzu Gienkę. Oparty o ścianę zmierzył ich pochmurnym, zagniewanym spojrzeniem.

- Nie można! Rozumiesz, nie można! Nie wierzysz mi? - Kola objął chłopaka.

- Po cichutku, nikt nawet nie będzie wiedział... - mruczał Gienka wyrywając się, ale Kola nie puszczał go.

- Nie gniewaj się. Widzisz przecież, że to zależy od kierownika, a on zabronił...

- Wiesz co, jeśli się nie boisz, idź sam do Batmanowa i poproś - zaproponowała Tania. - Jeżeli się zgodzi, zabierzemy cię. Zabierzemy, prawda? - Tania mrugnęła na Smirnowa.

- Oczywiście.

- Sami sobie rozmawiajcie z waszym Batmanowem. Nie potrzebuję was! - zirytował się Gienka wyczuwając nieszczerość w słowach Tani i Koli.

Jednak wieczorem sekretarka zameldowała kierownikowi:

- Chłopczyna, Gienka Pankow, prosi o przyjęcie. Można go wpuścić?

- Proszę.

Zmieszany chłopak wszedł do dużego gabinetu i przystanął w drzwiach. Batmanow ze zdziwieniem stwierdził w duchu, że jest wzruszony tymi odwiedzinami.

- Śmiało, towarzyszu. Co powiesz?

Onieśmielony Gienka nie podnosił oczu, tych oczu bystrych i rozumnych, które tak mocno ujęły Batmanowa za serce.

- Upierasz się przy swoim? - zapylał.

- Wszyscy chłopcy idą, a tylko ja jeden mam zostać? - W głosie Gienki brzmiał żal.

- Ale któż jest winien, że masz zaledwie piętnaście lat? To trudna praca, nie każdy dorosły da sobie radę.

- Wytrzymam.

- Ale jeżeli cię spotka jakieś nieszczęście? Twój ojciec nie darowałby mi tego.

- Właśnie, że ojciec by mnie puścił - z uporem powiedział Gienka i podniósł wreszcie wzrok na Batmanowi.

- Mówisz, że ojciec puściłby cię?

- Na pewno! Dwa razy brał mnie na robotę do tajgi.

Batmanow przechadzając się powoli po gabinecie czuł na sobie natarczywy wzrok chłopca. Przystanął. Położył ręce na szczupłych ramionach Gienki. Pod palcami czuł ich chłopięcą chudość.

- Trudna z tobą sprawa. Zgadzam się. Idź! Trzymaj się mocno, nie skarż się i nie jęcz!

- Jeszcze czego! - Gienka ruszył ku drzwiom.

Batmanow puścił go niechętnie i długo, bardzo długo patrzył za nim. Wezwał sekretarkę.

- Na razie nikogo nie przyjmuję - powiedział głucho.

Delegaci zjeżdżali się na konferencję. Istotnie ci różnorodni ludzie mieli jakieś wspólne cechy, które czyniły ich podobnymi: osmalone wiatrem twarze, niespokojne oczy, bojowy nastrój. Przybyli tu z nagromadzonymi pretensjami do zarządu. Chcieli jak najprędzej dać upust swoim żalom, nie zapominając, że mają przed sobą nowych kierowników.

Batmanow i Załkind zorientowali się natychmiast w nastrojach ludzi z trasy.

- Przynieśli nam rachunki nie zapłacone przez Sidorenkę i Grabskiego - powiedział Batmanow z niezadowoleniem, gdy wyszedł od niego jeden z kierowników odcinka. - Gotowi są szturmem obalić zarząd. Trzeba będzie przenieść tę sprawę na konferencję, bo mogą pójść po niewłaściwej linii.

- Moim zdaniem, nie masz racji - zaprzeczał Załkind. - Niech atakują pracowników zarządu, zwłaszcza Fiedosowa i Libermana. Mamy teraz sztab, który wytrzyma każdy napór. Ludzie z odcinków są źli na zarząd, że nie potrafił pokierować nimi i był obojętny wobec ich potrzeb. Wielu z nich oczywiście wystąpi z krzywdzącymi nas zarzutami, na przykład Tania Wasilczenko. Ale znajdą się prawdopodobnie i tacy, którzy wystąpią w obronie kierownictwa. Widzę wielki sens w tym zetknięciu pracowników zarządu z pracownikami trasy. - Partorg zaśmiał się. - Zresztą nie możesz wskazywać im tego, o czym mają mówić. Trzeba będzie słuchać i dobrze karbować sobie w pamięci.

- Jestem za tym, żeby nie zajmować się przeszłością. Nie widzę potrzeby wspominania starych grzechów.

- Nie należy zbyt szybko zapominać o nich - nalegał Załkind. - Sam mówiłeś, że odpowiadamy teraz za przejęty spadek.

Batmanow serdecznie powitał Rogowa, którego nie widział od czasu wypadku z barką, kiedy dla ratowania uszkodzonej łodzi odpłynął na kutrze.

- Dziękuję ci za inicjatywy i umiejętne postępowanie na piątym odcinku! - obrzucił serdecznym spojrzeniem mocną postać Rogowa w dobrze skrojonym wojskowym mundurze.

Rogow złożył dokładne sprawozdanie o sprawach odcinka, a następnie wy łuszczył otwarcie swoje pretensje i zaatakował Wydział Zaopatrzenia, Batmanow zgadzając się z nim zapisywał jego uwagi w dużym notesie. Rogow mimochodem zahaczył także o inżynierów:

- Ludzi zebrało się dużo, wszyscy, jak widziałem, siedzą i kreślą, ale projektu na razie nie widać!

W słowach jego wyraźnie zabrzmiała nuta ironii.

- Projekty powstają w ciągu lat - odrzekł sucho Batmanow. - Beridze i jego pomocnicy robią wszystko, co mogą, żeby przygotować nam projekt w ciągu dwóch - trzech miesięcy. Jeżeli im się to uda, ustalą swego rodzaju rekord. Zresztą projekt jest już widoczny dla tych, którzy chcą i umieją patrzeć. Ty i twój odcinek na lewym brzegu - to już cząstka nowego projektu.

Nastrój Batmanowa uległ zmianie; kierownik umilkł i zagłębił się w papierach.

... Klub zarządu, mieszczący się w wielkim drewnianym budynku, zmienił się nie do poznania. Pomalowano ściany, zmieniono meble, udekorowano go hasłami. Przywieziono skądś kwiaty i postawiono je na scenie przed portretem Stalina.

Nastąpiło uroczyste otwarcie konferencji. Delegaci z zapałem wybierali prezydium rzeczywiste, prezydium honorowe, komisję mandatową i sekretarzy. Załkind rozpoczął referat od tego, że złożył delegatom życzenia z powodu otwarcia pierwszej partyjnej konferencji budowy. Partorg mówił z prostotą, wiarą i z tą szczególną umiejętnością logicznego przekonywania, która zawsze

charakteryzuje doświadczonych politycznych kierowników-bolszewików. Opowiadał o niezwykle trudnej sytuacji na frontach, o tym, że cały kraj na wezwanie wodza zamienił się w jeden obóz wojenny. Budowa nie robi jeszcze wrażenia, że jest cząstką tego gigantycznego obozu wojennego. W porównaniu z całym krajem proces mobilizacji sił na budowie wyraźnie pozostaje jeszcze w tyle. Szczegółowo przedstawił zadania stojące przed partyjnymi organizacjami poszczególnych odcinków.

- Trzeba jak najrychlej zakończyć reorganizację. Każdy odcinek w najbliższym czasie powinien się stać zorganizowanym przedsiębiorstwem, które daje frontowi swoją produkcję w postaci kilometrów ułożonych rur. Jeszcze raz wzywam was, towarzysze członkowie partii - stawajcie w pierwszym szeregu naszej twórczej walki o rurociąg!

Wierny swej obietnicy Załkind chciał rozpocząć dyskusję przemówieniem Tani. Jednak w ostatniej chwili Tania zawiadomiła go, że zmieniła zamiar i nie będzie przemawiać. Siedziała teraz obok Aleksieja i z lekka pokpiwała sobie z niego. Przemawiający w tym czasie inżynier Mielników z czwartego odcinka, młody, elokwentny, o gwałtownych gestach, krytykował naczelnego inżyniera i jego zespół za to, że praca nad projektem jest prowadzona w zamkniętym gronie.

- Trzeba dać ujście masowej inicjatywie! Nowy projekt - to nie tylko podstawowe rozwiązanie samego biegu trasy, lecz i tysiące różnych pomysłów racjonalizatorskich, które dadzą w efekcie powiększenie funduszu Komitetu Obrony Państwa!

- Słusznie! - zawołał Kowszow.

- Wymyślają mu, a on się cieszy - zaśmiała się cicho Tania. Zauważyła już w nim ten rys, że przyjmował krytykę bez cienia gniewu i sprzeciwu.

- Słuszne wymyślanie to wielka rzecz - szepnął jej Aleksiej zapisując coś w notesie. - Wam również mogę już z góry podziękować za zgryźliwe wycieczki pod moim adresem.

- A jeśli nie będę przemawiała?

- Wątpię. Wasz temperament nie pozwoli na to, nie powstrzymacie się.

- A gdzie jest naczelny inżynier? Dlaczego nie ma go na konferencji? Gdy szłam tutaj, spotkałam go. Na moje pytanie odpowiedział jakoś zagadkowo...

- Beridze jest bezpartyjny - powiedział nieco zmieszany Aleksiej.

Tania nie potrafiła ukryć zdumienia.

- Ale dlaczego?

- Nie umiem wam odpowiedzieć na to pytanie. Możecie mi jednak wierzyć, że Beridze to prawdziwy bezpartyjny bolszewik.

- Zatem będziecie musieli przemawiać nie tylko w swoim własnym imieniu...

- Wiem o tym. - Aleksiej spojrzał na nią z wdzięcznością. Cieszyło go, że Tania myśli o Beridzem.

Przemówienie sekretarza organizacji partyjnej piątego odcinka, Kotieniewa, odwróciło myśli Tani od Beridzego. Wszyscy przedstawiciele trasy ustosunkowywali się do pracy zarządu w sposób mniej lub bardziej krytyczny, ale mowa Kotieniewa była szczególnie ostra. Bezczynność i brak wiary poprzedniego kierownictwa w konieczność spiesznej budowy paraliżowały zespół piątego odcinka. Ściślej mówiąc, zespół pozbawiony określonego celu uległ rozprzężeniu, przestał być zespołem. Nie wzięto pod uwagę meldunków komunistów domagających się odwołania nieodpowiedniego

kierownika odcinka i dwóch jego pomocników. Po co Sidorenko miał wydalać z pracy tych ludzi, kiedy myślał o likwidacji całego odcinka i w ogóle budowy?

- Czy można wybaczyć fakt, że setki robotników, którzy mogli przydać się na froncie, siedziało tutaj bezczynnie? - pytał z goryczą Kotieniew.

Załkind spoglądał na siedzącego obok Batmanowa, który uważnie i spokojnie słuchał oskarżeń Kotieniewa, starając się nie opuścić ani jednego słowa. Tani nie podobało się to przemówienie.

- Do kogo on się z tym zwraca? - dziwiła się. Nie zwlekając posłała do prezydium kartkę z prośbą o głos.

- Udzielam obecnie głosu towarzyszowi Smorczkowowi, następnie przemawiać będzie Wasilczenko - ogłosił z uśmiechem Załkind.

Szofer niedługo pozostawał na trybunie; Tania nie zdążyła nawet ułożyć sobie planu przemówienia.

- Nasze główne zadanie na okres zimowy rozumiem w następujący sposób - zaczął Smorczkow. - Powinniśmy przed nadejściem wiosny rozwieźć rury wzdłuż trasy. Do tego potrzebne są, ma się rozumieć, dobre samochody i wykwalifikowani szoferzy. Mamy jedno i drugie. Buduje się również drogi, nie idealne co prawda, ale możliwe. Chodzi jednak o to, że nawet w tych warunkach sprawa może się nam nie udać.

- Dlaczego? - zapytał Batmanow ze swego miejsca w prezydium.

Rozwieźć wielkie ładunki na dalekie przestrzenie zimą, w okresie wielkich mrozów, kiedy zwały śniegu zatarasują drogi, jest trudno, bardzo trudno. A z rurami - to już będzie prawdziwa męka! Czyście je widzieli? Każda rura to bydlę mające jedenaście metrów długości i tysiąc kilo wagi. Wyobraźcie sobie kilka takich sztuk na samochodzie! A pamiętajmy, że trzeba je przewieźć po kiepskiej drodze na odległość, powiedzmy, stu kilometrów! To nie byle jakie zadanie!

- Wątpicie, czy można tego dokonać? - zapytał Batmanow.

- Nie, nie wątpię - odrzekł prędko szofer. - Trzeba tylko pokazać wszystkim szoferom, że można tego dokonać.

- Jak to zrobić?

- Proponuję przejechać samochodem z jednego końca trasy na drugi, bez względu na pogodę i stan drogi. Jeśli dostanę pozwolenie, podejmuję się przeprowadzić naładowany wóz od Nowińska aż do Cieśniny Dżagduńskiej. Daję słowo członka partii wobec konferencji partyjnej, że dokonam tego. Mój towarzysz, traktorzysta Silin, prosił również, abym w jego imieniu oświadczył zebranym, że i on także podejmuje się odbyć podobny kurs na traktorze.

Przemówienie Smorczkowa przyjęto gorącymi oklaskami; pierwszy podniósł dłonie kierownik budowy.

Ukazanie się Tani na trybunie powitano ożywionym szmerem. Wielu delegatów znało ją i z zainteresowaniem oczekiwało jej przemówienia. Przemówienie Tani było niespodzianką nie tylko dla Batmanowa,

- Towarzysz Kotieniew mówił tu ze szlachetnym oburzeniem o zarządzie - zaczęła. - Niezupełnie rozumiem jednak, który z zarządów miał na myśli? Stary czy nowy? Jeżeli stary, to gotowa jestem podpisać się pod oświadczeniem towarzysza Kotieniewa. Wszyscy z gorzkiego doświadczenia wiemy,

czym jest złe kierownictwo. Dość nameczyliśmy się z tym zarządem, niech go licho weźmie! Nikt nie powie dobrego słowa w jego obronie. Czy o tym zarządzie mówił Kotieniew?

Tania zrobiła pauzę, wśród zgiełku słychać było okrzyki:

- Nie udawaj, Wasilczenko, wiesz doskonale, kogo miał na myśli.

- Wiadomo, że mówił o dawnym zarządzie!

- O dawnym? Dobrze! Po co w takim razie mówić o dawnym zarządzie, skoro go już nie ma? Moim zdaniem, nie ma zupełnie sensu niepokoić zmarłych. Towarzysz Kotieniew trochę się spóźnił ze swoimi pretensjami. Widocznie nie ma jeszcze nic do powiedzenia o nowym zarządzie. Pozwólcie mi uzupełnić tę lukę.

Na sali rozległ się śmiech, wołano:

- Uzupełniaj, Tatjano Pietrowno!

- Ma chwyty doświadczonego mówcy - szepnął Batmanow nachyliwszy się ku Załkindowi.

- Może to się wam wyda dziwne, towarzysze - ciągnęła Tania - ale będę przemawiała w obronie nowego zarządu. Chcę o nim powiedzieć kilka dobrych słów.

I opowiedziała o tym, jak szła do Nowińska, żeby się wykłócić w sprawie swojego projektu i w sprawie trasy w ogóle; jak zrozumiała plan pracy sztabu Batmanowa, jego strategię i taktykę szeroko zakrojonych przygotowań do budowy.

- Przywykliśmy lekceważąco traktować pracowników zarządu. - Mówiąc te słowa Tania zrobiła ręką niedbały ruch. - Ale czas z tym skończyć, bo gotowiśmy wpaść! Mamy teraz sztab umiejący wydawać właściwe rozkazy i surowo domagający się ich wypełnienia.

Gdy obecni bili brawa, Załkind pochylił się do ucha Batmanowa i powiedział z wyraźnym triumfem:

- Tak to bywa w naszym życiu, mój drogi! Nie tak, jak się człowiek spodziewa, ale o wiele lepiej i mądrzej.

Tania wracała na swoje miejsce uśmiechnięta, odpowiadając żartami na okrzyki delegatów. Batmanow odprowadzał ją tkliwym spojrzeniem. Niespodziewanie poprosił Załkinda o głos w celu złożenia krótkiego oświadczenia poza kolejnością.

Podniósłszy się Batmanow powiedział:

- Jestem szczerze wdzięczny Tatjanie Pietrownie za jej gorące przemówienie obrończe. Chcę jednak ze swej strony powiedzieć parę słów w obronie towarzysza Kotieniewa i innych, którzy wystąpili z ostrą krytyką. Jesteśmy spadkobiercami dawnego zarządu i nie możemy odżegnywać się od jego długów, od jego grzechów. Bądźcie śmielsi w waszej krytyce.

Batmanow usiadł i spod przymrużonych powiek spojrzał na Załkinda. Partorg uśmiechnął się, był zadowolony, wszystko szło pomyślnie: układały się stosunki między ludźmi, zacieśniała się ich przyjaźń. Ucieszył go również Aleksiej Kowszow swoim szczerym opowiadaniem o osiągnięciach i niepowodzeniach w pracy nad projektem. Grieczkin rzeczowo i śmiało wytykał kierownikom pobliskich odcinków nie przemyślane dysponowanie siłą roboczą. Rogow podzielił się doświadczeniem zdobytym przy organizowaniu odcinka na lewym brzegu, podkreślił przy tym słusznie, że należy na szerszą skalę wciągnąć do budowy Nanajczyków i całą ludność Adunu.

Na konferencji zjawili się także przedstawiciele ostatnio przybyłej z Rubieżańska grupy robotników. Przemówienie powitalne w ich imieniu wygłosił stary kopacz Ziatkow. Po nim wystąpił sekretarz organizacji partyjnej trzeciego odcinka Tiomkin, który poruszył ważne zagadnienie roli kierownika w najniższym zespole, stylu jego pracy, jego stosunku do organizacji partyjnej.

Tiomkin był bardzo niskiego wzrostu, na trybunie prawie nie było go widać. Gładząc co chwila rzadkie, jasne włosy, starannie ułożone po obu stronach równego przedziału, skarżył się na Jefimowa, kierownika swego odcinka. Mówił dziwnym, bardzo cichym jakby szeleszczącym głosem:

- Kierownik zagarnął wszystko. We dnie i w nocy wrzeszczy i wścieka się. Nikomu nie ufa, wszystko chce załatwiać osobiście. Nie uznaje nikogo. Polecenie, aby przenieść się na lewy brzeg, wykonał na swój sposób: wysłał robotników, a sam ze swoim biurem i wszystkimi urządzeniami pozostał na dawnym miejscu. Na konferencję partyjną nie pojechał, bo nie ma czasu, nie może - rzekomo - oderwać się od roboty. Nie rozumiem, co się stało z tym człowiekiem! Pracowałem z nim przed wojną, był wtedy zupełnie inny, przyjaźniliśmy się, a dziś wymyślamy sobie, ile wlezie!

- Możemy sobie wyobrazić, jak to wygląda: on wrzeszczy, a ciebie nie słychać! - zawołał ktoś z sali.

Nawet Załkind nie mógł powstrzymać uśmiechu, chociaż wypowiedź Tiomkina traktował poważnie. Jefimowa znał z Nowińska i przemówienie Tiomkina nieprzyjemnie go zaskoczyło. „W najbliższym czasie należy odwiedzić odcinek Jefimowa” - zanotował sobie. Podobnymi uwagami miał zapisany cały notes. Każde przemówienie nasuwało nowe myśli. „Jakaż to skomplikowana machina ta budowa” - pomyślał z niepokojem a zarazem z zadowoleniem. Utwierdził się teraz w przekonaniu, że musi zwrócić się do krajowego Komitetu i do Moskwy z prośbą o zwolnienie z obowiązków sekretarza Komitetu Miejskiego. Nie mógł dłużej łączyć obydwóch stanowisk.

Konferencja trwała dwa dni. Na zakończenie delegaci uchwalili wysłać do towarzysza Stalina pismo, w którymi dawali słowo komunistów, że wykonają w terminie otrzymane od rządu polecenie ułożenia rurociągu na Dalekim Wschodzie.

12. Umara Mahomet śpieszy się na trasę

Ciemna, prawie czarna droga biegła wzdłuż białej wstęgi Adunu. Naładowane samochody co dziesięć minut staczały się z wyjeżdżonego, stromego brzegu na lód i szybko znikały za zakrętem.

Korzystając z dobrej pogody wywożono intensywnie ze Startu na trasę żywność i materiały budowlane. Z całego kraju bez przerwy napływały grupy robotników, których również trzeba było przerzucić na odcinki przed nastaniem burz śnieżnych.

Zbliżał się czas wymarszu kolejnej partii robotników jadących na jeden z najdalszych odcinków - nad cieśninę. Ludzie ci mieli przed sobą drogę liczącą kilkaset kilometrów. Wyprawienie ich zlecił Batmanow Kowszowowi, Libermanowi i Rodionowej. Powiedziano im przy tym z naciskiem, że są osobiście odpowiedzialni za bezpieczeństwo każdego człowieka. Wszyscy troje wczesnym rankiem przybyli na Start.

W obszernym baraku dwa do czerwoności rozpalone żelazne piece ziały nieznośnym gorącem. Ogromna żarówka, zwisająca na przewodzie pod drewnianym pułapem, świeciła jaskrawym światłem. W baraku panował zgiełk. Kolumna złożona z trzystu ludzi przygotowywała się do drogi. Olga Rodionowa w futerku i puszystym szarym kapturku przeglądała odzież i obuwie każdego człowieka. Felczer wydawał wszystkim wazelinę na wypadek odmrożenia.

Przed barakiem zaczepnie nastrojony Liberman sprawdzał wyposażenie kolumny, załadowane na dwa samochody - żywność, kuchnie polowe, zapasową odzież, osobisty bagaż robotników. - Opieszałość, nieporządki! - kłócił się z dziesiętnikiem Gonczarukiem, kierownikiem kolumny, wysokim, ponurym, o gęstych, czarnych brwiach i wygolonych, o sinawym odcieniu policzkach.

- A skądże miałem wiedzieć, że chcieliście jeszcze dodać nam ryby! Sami nie dopatrzyliście tego, a teraz kłócicie się - denerwował się Gonczaruk.

- Mamuniu najmilsza, słowa człowiekowi nie wolno powiedzieć. Powinniście żądać. Im więcej będziecie żądać, tym więcej wam dadzą - takie jest prawo natury.

Kowszow odwołał Gonczaruka i w jego towarzystwie obszedł kolumnę, sprawdził obecność według listy, zapisał polecenia. Olbrzymie chłopisko, traktorzysta Riemniow, dopytywał się, dokąd jadą i jak długo będą w drodze. To interesowało wszystkich.

- Macie najdalszy i najtrudniejszy odcinek - powiedział Aleksiej. - Będziecie posuwali się od odcinka do odcinka. Tam, gdzie droga będzie możliwa - samochodem, a gdzie maszyny nie będą mogły pójść - na własnych nogach. Nie chcę was zwodzić: zarówno w drodze jak na miejscu będziecie musieli, naturalnie, wiele przecierpieć.

- Nie boimy się trudności, synku, jesteśmy przyzwyczajeni do wszystkiego - odezwał się zgarbiony i na oko bardzo silny stary chłop, kopacz Ziatkow. - Byleby się dostać jak najrychlej do tej cieśniny. Grunt to osiąść na miejscu i wziąć się do roboty, reszta przyjdzie sama.

Olga sprzeczała się z małym, barczystym człowiekiem.

- Nie mogę was puścić, jesteście przeziębieni - powiedziała spokojnie, ale stanowczo. - Gotowiście rozchorować się w drodze. Lepiej zostać i wykurować się tutaj. Nic strasznego się nie stanie, jeśli zatrzymacie się tu jeszcze na trzy dni.

- Nie rozchoruję się - upierał się robotnik. - Po co mam chorować? Jestem zdrów jak koń. Na kaszel nie zważajcie, mam go ciągle; to od dymu: palę...

- Nie wracajmy już do tego. Nie mogę was puścić - oświadczyła stanowczo i poszła dalej.

Robotnik wyprzedził ją i zastąpił drogę. Wzburzony zdjął czapkę odsłaniając wielkie uszy i sterczące kosmyki czarnych, twardych włosów.

- Właśnie wracam! Ja tutaj prędzej się rozchoruję. Dla mnie siedzenie bez pracy - to psie życie. Na budowę posłał mnie sam Dudin, sekretarz Krajowego Komitetu, a wy każecie mi chorować - złościł się coraz bardziej. - Dlaczego jesteście taka bez serca, towarzyszko doktorze. Nie mogę zostać w tyle za innymi. Musimy wszyscy być razem. Siódmego listopada chcemy już być na odcinku, chcemy wypełniać swój plan! I tak tracimy wiele czasu. Ja muszę jechać. Nie przeszkadzajcie mi.

- Przecież chcę waszego dobra - tłumaczyła Rodionowa.

- Nie chcę takiego dobra! Niech będzie źle!

Gotowi do drogi ludzie przysłuchiwali się sprzeczce i pokpiwali:

- Puśćcie go, nic mu nie będzie! - prosił w imieniu towarzysza Riemniew.

- To spawacz, Umara Mahomet. Nie puszczam go, bo jest zaziębiony, a on się awanturuje - powiedziała Olga do Kowszowa, który podszedł w tej chwili.

- Głupstwo, nic mnie nie boli i nie jestem wcale przeziębiony, wytłumaczcie jej, towarzyszu inżynierze, niech nie przeszkadza. Na froncie z powodu kataru albo kaszlu nie zwalniają żołnierzy od walki.

Umara nalegał na Kowszowa chwytając jego spojrzenie małymi, błyszczącymi oczkami. Aleksiej przyjrzał się uważnie spawaczowi, odzianemu w nowe watowane ubranie.

- Nie zatrzymujcie go, niech jedzie na moją odpowiedzialność. A jeśli się rozchoruje, to już ja go wyleczę, gdy wpadnę na odcinek...

- Dziękuję, inżynierze, nigdy wam tego nie zapomnę, dziękuję!-Umara Mahomet chwycił swój worek z rzeczami i pierwszy wskoczył na samochód.

Ludzie ulokowali się w dziesięciu krytych ciężarówkach. Przed samym odjazdem przybył autem osobowym Załkind, ubrany w kożuch i futrzane buty. Okazało się, że partorg wyjeżdżał na trzeci odcinek. Towarzyszył mu Tiomkin. Załkind odesłał swój samochód do garażu i razem z Tiomkinein wsiadł z robotnikami do jednej z ciężarówek. Ciężkie samochody wolno ruszyły po lodzie. Umara Mahomet wysunął się spod budy i zawołał do Olgi:

- Hej, doktorze, przyjedźcie do mnie na odcinek w gościnę. Będę bardzo rad. Zobaczycie moją robotę przy spawaniu, ogrzejecie się. Przekonacie się, jaki jestem zdrów. Przyjedźcie, będę czekał.

Aleksiej i Olga, jakby na wezwanie Umary, poszli za samochodami jeszcze kilkanaście kroków. Olga robiła wrażenie bardzo przygnębionej. Aleksiej nie śmiał zadawać jej żadnych pytań; nie widział jej od owego pamiętnego wieczoru.

- Muszę z wami porozmawiać - niepewnie odezwała się Olga podnosząc na niego swoje duże, smutne oczy. W kapturku z długimi nausznikami wyglądała jak duża dziewczynka. - Koniecznie muszę porozmawiać.

- Dobrze.

- Zapomnieliście o nas. Serafima często was wspomina. Serafima i Beridze - to prawdziwe niańki, wciąż muszą się kimś opiekować... - Drwiące iskierki zamigotały w jej oczach. - A może przestraszyłam was wówczas i dlatego nie przychodzicie? Nie bójcie się mnie. Przyjdźcie, czekam.

Uśmiechnęła się i przyśpieszyła kroku. Aleksiej, nieco zmieszany, ruszył na poszukiwanie Filimonowa, ale Olga przywołała go z powrotem:

- Aleksieju Nikołajewiczu, nie gniewajcie się na mnie. Jakoś mi ciężko na duszy i dlatego nie mówię tego, co bym chciała... Potrzebuję waszej pomocy. Pamiętacie, że zaofiarowaliście ją... Otóż teraz proszę, pomóżcie.

- Zdjęła rękawiczkę i obandażowaną dłonią dotknęła jego piersi. - Nie mam się kogo poradzić. Wobec Beridzego, nie wiem dlaczego, krępuję się. Tania w tym przypadku niezupełnie mnie rozumie. Rogow wczoraj wyjechał, zresztą właśnie jemu nie mogę się z tego zwierzyć. Ufam wam...

- Co się stało, Olgo Fiodorowno?

- Telefonował do mnie jeden z moich znajomych, Chmara, przyjaciel męża. Znam go z Rubieżańska - marny, podejrzany typ. - Wzdrygnęła się. - Zakomunikował mi, że mój mąż umarł w drodze na front... nagle...

Olga schwyciła się za gardło. Kowszow przytrzymał jej rękę.

- Spokojnie, Olgo... Jesteście przecież silną kobietą...

- Nie, nie. Nie wiem, czy umarł czy też...

- Przecież sami mówicie...

- Kiedy Chmara powiedział mi o tym, tak mnie to zdenerwowało, że musiał chyba z pięć razy powtarzać to samo, zanim się opanowałam. Na razie zaczęliśmy rozmawiać zupełnie bez sensu. Ja mu powtarzam: „To niemożliwe!" A on: „Dlaczego niemożliwe? Wszyscy jesteśmy śmiertelni..."

Aleksiej nie wypuszczając jej dłoni słuchał wzruszony.

- Nie wierzę w to, że umarł. Jest w tym coś dziwnego; dziwnego i strasznego. To okropne, jeżeli on naprawdę nie żyje, ale jeszcze straszniejsze jest, że ja w to nie wierzę... Chmara ma mnie odwiedzić dzisiaj wieczorem.

Nadszedł Filimonow.

- Wieczorem z pewnością będę u was - powiedział Aleksiej do Olgi.

Traktorzyści w swoich poplamionych smarami kożuchach stali przed warsztatem. Czekali na przybycie Kowszowa i Filimonowa.

- Ruszaj! - zawołał Filimonow. - „Ślimaki" pójdą później, po sprawdzeniu.

Przeraźliwie skrzypiały płozy ciężko naładowanych sań-przyczepek, okrytych brezentowymi plandekami. Traktory, jeden po drugim, zgrzytając gąsienicami ruszały z miejsca i wolno zjeżdżały na lodowy szlak. Musiały przewieźć ładunek na odcinki przebywając stu- a nawet dwustukilometrową odległość.

Pozostały jeszcze cztery „ślimaki" - tak nazywano na Starcie wielkie, kryte drewniane przyczepki, wyglądające jak domki na płozach. Każdy taki domek miał drzwi i dwa małe okienka, a na dachu sterczący komin.

Z inicjatywy traktorzysty Silina „ślimaki" doczepione do traktorów miały obsługiwać lodowy szlak. Traktorzysta wraz z pomocnikiem mieli dbać o to, aby stan drogi był możliwy, oraz w razie wypadku śpieszyć samochodom z pomocą. Domek miał służyć jako mieszkanie, skład i warsztat.

Przed jednym ze „ślimaków" czekał na Kowszowa i Filimonowa Silin, dobrze zbudowany mężczyzna o sympatycznej twarzy i sprytnych małych oczach.

- Cóż, gotowe już wasze wędrujące domy? - zapytał Kowszow. - Zobaczymy, co one są warte w ruchu. Dziś wyprawiamy Smorczkowa, potem przyjdzie kolej na was.

- Mogę jechać, choćby zaraz...

Propozycja Smorczkowa i Silina odbycia rejsu na ciężarówce i traktorze wzdłuż całej trasy została przyjęta przez kierownictwo. Zarówno szofer jak i traktorzysta przez kilka dni przygotowywali się starannie do tej trudnej próby.

- Pokaż nam swoje mieszkanie, Silin - rzekł Filimonow.

Traktorzysta wspiął się po drewnianej drabince do wnętrza „ślimaka". Pochylając głowy, aby w drzwiach nie nabić sobie guza, weszli za nim inżynierowie. W domku pachniało świeżo heblowanymi deskami, żelazem i kapuśniakiem. Trzem osobom trudno było się w nim poruszać. Niewielką przestrzeń zajmowały dwie prycze, umieszczone jedna nad drugą jak w wagonie

kolejowym, żelazny piecyk z kolankiem rury, warsztat i imadło, dwa stołki, skrzynie z żywnością, węgiel i drzewo, żelastwo, skrzynki z narzędziami i częściami zapasowymi.

Silin, wyprzedziwszy inżynierów, usiłował naprędce doprowadzić do porządku swe ciasne mieszkanko: wepchnął nogą pod pryczę jakiś worek, zdjął z warsztatu miskę i chleb, poprawił koc na pryczy.

- Wybaczcie, nie przewidziałem, że zainteresujecie się wnętrzem - usprawiedliwiał się traktorzysta.

- Czy dla nas porządkujesz? Porządek trzeba utrzymywać również dla samego siebie - uśmiechnął się Filimonow. - My tu sobie posiedzimy, a ty podwieź nas do bazy technicznej.

Silin wybiegł. Po chwili zawarczał motor. Domek drgnął, zaskrzypiał, szarpnął raz i drugi, wreszcie ruszył. Kowszow i Filimonow omal nie przewrócili się od wstrząsu. Usiadłszy na stołkach przy piecyku z żarzącym się węglem spoglądali na siebie jak nieznajomi towarzysze podróży w wagonie. Urzędowa znajomość inżynierów w krótkim czasie zamieniła się w przyjaźń, ponieważ stykali się często w pracy i przywykli wiele rzeczy robić wspólnie lub zasięgać wzajemnej rady. „Ślimak” był jednym z wielu ulepszeń technicznych wprowadzonych na trasie. W tej właśnie chwili odbywała się jego próba.

- Dobra rzecz - odezwał się pierwszy Aleksiej. - Musimy zrobić jeszcze kilka takich sztuk. Trzeba tylko dobrze obmyślić rozmieszczenie gratów wewnątrz tego pudła. Bo w tej chwili wszystko jest tu zwalone byle jak.

- Może by coś przekąsić? - zaproponował Filimonow wyjmując z kieszeni kożuszka owinięte w gazetę pajdy chleba.

Żując zmarznięty chleb ze stwardniałym, czerwonym kawiorem zaczęli omawiać sprawę spawania rur w okresie mrozów. Dawny naczelny inżynier Grubski powołując się na autorytety techniczne dowodził, że spawanie rur zimą jest po prostu niedopuszczalne. Twierdził, że styki, spawane w zimie przy niskiej temperaturze, będą w okresie letnim podlegały silniejszym naprężeniom wewnętrznym wskutek różnicy temperatur. Przyczyni się to do obniżenia wytrzymałości rurociągu i może powodować pęknięcia styków pod wpływem wysokiego ciśnienia przepompowywanej ropy.

Argumenty te wydały się Aleksiejowi dość przekonywające. Ponieważ jednak nie można było wyrzec się spawania zimą - postanowił zmienić, złagodzić niejako warunki, w jakich miało się dokonywać samo spawanie. Bez uprzedniego zasięgnięcia opinii Beridzego opracował sam technologię takiego „złagodzonego” spawania. Aby uniknąć działania niskiej zewnętrznej temperatury na metal, Kowszow postanowił dokonywać spawania w specjalnych, na wpół rozkładanych kabinach przenośnych z wewnętrznym ogrzewaniem powietrza. Pomysł ten przypadł do gustu również i Filimonowowi.

Jednak efekt był nieoczekiwany: Beridze stanowczo odrzucił spawanie w kabinach łatwo udowodniwszy, że nie opłaci się ono zarówno pod względem technicznym jak i ekonomicznym. Racje wysuwane przez Grubskiego nazwał inżynierskim mędrkowaniem, ponieważ jego zdaniem spawanie w zimie nie mogło mieć żadnego wpływu na wytrzymałość styków. W dodatku zwymyślał Kowszowa za tracenie czasu na bezsensowne projekty. Aleksiej bez żalu, a nawet z pewną przyjemnością opowiadał teraz Filimonowowi o swej rozmowie z naczelnym inżynierem.

Skrzypienie i wstrząsy „ślimaka” ustały. Inżynierowie wyszli. Słoneczny blask śniegu raził przyzwyczajone do mroku oczy i zmuszał do ich mrużenia.

Podszedł Silin, ciekaw ich opinii. Aleksiej powiedział:

- „Ślimak” jest w porządku. Przygotujcie się do drogi.

W bazie technicznej odbywało się ładowanie rur. Ułożone w stosy leżały na wznoszących się nad ziemią specjalnych sztalugach, które ciągnęły się wzdłuż rzeki na przestrzeni kilometra. Samochody z przyczepkami na płozach podjeżdżały do sztalug i zatrzymywały się czekając na załadowanie. Dwóch robotników odrzucało grube podpory przyczepki, dwóch innych chwytało je hakami z obu końców, ściągało po pochylni. Rura podobna do lufy olbrzymiego działa ze zgrzytem i gwizdem zjeżdżała po szynach i płynnie staczała się na ramę przyczepki. Na każdy samochód ładowano do czterech rur.

- Teraz doskonale, trzy minuty i gotowe - powiedział Aleksiej obserwując z zegarkiem w ręku proces ładowania. - I zupełnie łatwo, a przedtem, pomyśleć tylko, na plecach dźwigano taki ciężar!...

- Chodźmy do Smorczkowa, on tu jest - zaproponował Filimonow.

Szofer, z zatroskaną twarzą, dokładnie i pewno nie po raz pierwszy oglądał przyczepkę, podpórki wytrzymujące obciążenie pięciu rur oraz sprzęgło, łączące przyczepkę z samochodem.

Dokoła stali inni szoferzy, towarzysze Smorczkowa. Przygadywali:

- Chce jechać aż do cieśniny. A tam nawet drogi nie ma.

- Czy aż do końca będzie taszczył te rury?

- Nic podobnego, po co?! Rury wyładuje na siódmym odcinku, a na ich miejsce weźmie zwykły ładunek.

- Ryzykowna sprawa!

- „Ryzykowna"! Wśród naszych szoferów są takie asy, co to boją się wyjechać nawet na odległość dwustu kilometrów. Wymyślają najrozmaitsze powody, byleby nie jechać. Niech spróbują wykręcać się, gdy Smorczkowowi uda się ten rejs wzdłuż całej trasy.

- No, jak tam, towarzyszu Smorczkow? - zapytał Filimonow podchodząc do samochodu.

- Jestem gotów, czekam na wasz rozkaz - odrzekł szofer.

- Skoroście gotowi - to jazda!

- Z całego serca życzę wam powodzenia! – Aleksiej uścisnął dłoń szofera. - Mam nadzieję, że spotkamy się nad cieśniną.

Smorczkow pożegnał się z inżynierami i towarzyszami, siadł przy kierownicy, przywołał swego pomocnika i nacisnął starter. Samochód przez chwilę zmagał się z ciężarem przyczepki, po czym z widocznym wysiłkiem ruszył ją z miejsca. Przed oczyma inżynierów przesunął się profil Smorczkowa, patrzącego wprost przed siebie. W czapce z nausznikami był podobny do pilota.

Zgodnie z tym, co mówiono na Starcie, okazało się, że droga na Adunie była zupełnie dobra. Samochody wiozące kolumnę Gonczaruka jeszcze przed nocą dotarły do trzeciego odcinka, do którego jechał Załkind. W drodze partorg nie tracił czasu: przesiadał się z jednego samochodu do drugiego, poznawał towarzyszy podróży, opowiadał o budowie i udzielał odpowiedzi na niezliczone pytania.

Ludzie zachowywali się jak jedna wielka rodzina, przesiedlająca się z dotychczasowego miejsca zamieszkania na nowe. Jednoczył ich wspólny niepokój o Moskwę oraz świadomość tego, że w tej ciężkiej chwili łączy ich wspólne zadanie. Nie bez przyczyny z taką otuchą czekali na wypowiedzi Załkinda. Los każdego z nich był również ściśle związany z wynikami walk toczących się na zachodzie.

Syn starego Ziatkowa walczył pod Leningradem, młodszy brat - na Morzu Czarnym. Rodzice i siostry Gonczaruka zostali na Ukrainie pod okupacją niemiecką. Traktorzysta Riemniow opowiadał, że pożegnał niedawno dwóch serdecznych przyjaciół odjeżdżających na front. Dwaj bracia spawacza Umary Mahometa przebyli ciężki szlak odwrotu od granic Białorusi aż pod Moskwę:..

Chwilowa bezczynność męczyła nowych robotników. Z niecierpliwością oczekiwali chwili przybycia nad cieśninę i przystąpienia do pracy. Stosunkowo szybkie posuwanie się naprzód po lodowej drodze dodało ludziom otuchy. Nastrój stawał się coraz weselszy.

- Niesłusznie, jak widać, straszono nas tą drogą - mówił Riemniow, ostrożnie poruszając się w pudle samochodu, aby swym ogromnym ciałem nie przycisnąć któregoś z leżących obok towarzyszy. - Ani się obejrzymy, jak będziemy na miejscu.

W ciemnościach zalegających samochód znów zabrzmiał głos Załkinda:

- Nie łudźcie się, towarzysze. Macie przed sobą jeszcze długą i ciężką podróż. Czeka was jeszcze wiele trudów.

Po przybyciu na odcinek partorg polecił Tiomkinowi zorganizować odpoczynek dla zmęczonych drogą ludzi, sam zaś, pożegnawszy się z nimi, ruszył do biura żałując, że z powodu spóźnionej pory nie może od razu obejrzeć robót odcinka. Tiomkin miał rację: Jefimow rzeczywiście nie wypełnił polecenia zarządu i dotąd jeszcze pozostawał wraz ze swoim sztabem na prawym brzegu.

Świecąc sobie latarką po drodze Załkind szedł dużymi krokami po nierównym lodzie Adunu i rozmyślał o Jefimowie. Pamiętał go dobrze. Jefimow przyjechał do Nowińska z pierwszą grupą komsomolców. Pracował dobrze i szybko z prostego cieśli awansował na stanowisko kierownika. Został przyjęty do partii. Tuż przed wybuchem wojny wysłano go na budowę rurociągu.

Trzeci odcinek znajdował się na miejscu dużego osiedla Girczyn, opuszczonego przed trzema laty przez Nanajczyków. Załkind był tu w tym czasie, kiedy dawni mieszkańcy przenosili się na lewy brzeg połączywszy swój kołchoz z kołchozem drugiego osiedla. Niziutkie, okrągłe fanzy stały obok parterowych, obszernych domów, zbudowanych dla pracowników odcinka. Zarząd miał dobre warunki mieszkaniowe: Jefimow sam zajmował cały dom.

Załkind zauważywszy stojące przed domem samochody podszedł do szoferów zgromadzonych przed gankiem i wdał się z nimi w rozmowę.

- Zapytajcie Jefimowa dlaczego tutaj sterczymy - odpowiedzieli na jego pytanie. - Goni nas z jednego brzegu na drugi, trudno coś zrozumieć...

- Rano powiedziano nam, że kierownik odcinka zakomunikuje nowy rozkaz - więc czekamy...

Biuro Jefimowa urządzone było jak w wielkiej instytucji - gabinet, obszerna poczekalnia, sekretarz. W poczekalni tłoczyli się ludzie; siedzieli, stali, rozmawiali i sprzeczali się z pulchną, flegmatyczną niewiastą, siedzącą przy biurku sekretarza. Kilku ludzi otaczało Smorczkowa, opowiadającego o przebiegu partyjnej konferencji. Ujrzawszy Załkinda szofer podskoczył ku niemu.

- Smorczkow, jesteś już tutaj?

- Ech, cóż się tu dzieje, towarzyszu Załkind! - odpowiedział wzburzony szofer. - Muszę się przecież przygotować, powinienem o świcie ruszyć w dalszą drogę, a tu z nikim nie można się dogadać! Benzyny nie dają, nakarmić człowieka też nie ma kto. Sam kierownik wszystkim rządzi, reszta nie ma tu nic do gadania. A dostać się do niego trudniej niż do komisarza ludowego w stolicy. Pomóżcie mi...

- Nie martw się, Smorczkow, wszystko dostaniesz, miej jeszcze trochę cierpliwości.

Załkind usiadł, zapalił papierosa i wdał się w pogawędkę z interesantami czekającymi na przyjęcie. Nie krępując się wcale wymyślali na Jefimowa. Dziesiętnicy czekali cały wieczór na to, żeby kierownik odcinka osobiście sprawdził i zatwierdził plan pracy poszczególnych brygad na dzień następny. Ekspedytor oburzał się, że Jefimow nie podpisał jeszcze jakiegoś papierka na przydział chleba dla robotników na lewym brzegu, a piekarnia i wszystkie inne instytucje gospodarcze pozostały jeszcze na prawym brzegu. Komendant osiedla robotniczego denerwował się, musiał bowiem zdążyć przed świtem przewieźć drzewo z lasu, a tu jak na złość Jefimow z niewiadomych powodów nie dawał zezwolenia na transport.

- Swymi dwiema rękami i słabą głową chce zastąpić tysiąc rąk i pięćset tęgich głów - wycedził Smorczkow.

W gabinecie Jefimowa, podobnie jak w poczekalni, również nudziło się kilku interesantów.

Ich zniecierpliwione twarze świadczyły najlepiej o tym, że czekali już zbyt długo. Uwagę Załkinda zwróciło niedbale zasłane łóżko stojące przy piecu - widok tego sprzętu w gabinecie służbowym sprawiał bardzo niemiłe wrażenie. Jefimow głośno krzyczał rozmawiając z kimś przez telefon. Nie odłożył słuchawki nawet w chwili wejścia Załkinda, uniósł się tylko z miejsca, aby podać mu rękę. Z wykrzykników Jefimowa można było domyślić się, że rozmawia z przewodniczącym kołchozu rybackiego i żąda, aby mu zwrócono wzięte tytułem pożyczki pięćdziesiąt kilogramów gwoździ. Jego zmęczona, nieogolona, jakby nieumyta twarz, siwe włosy i zaczerwienione oczy czyniły go podobnym do chorego człowieka.

Nagadawszy się wreszcie do syta Jefimow odprawił oczekujących robotników i z bladym uśmiechem znużonego człowieka spojrzał na Załkinda.

- Dawnośmy się nie widzieli, Michale Borisowiczu. Przyjechałeś w odwiedziny? Rozbierz się, tu jest ciepło.

- Ile masz lat. towarzyszu Jefimow? - zapytał partorg.

- Trzydzieści trzy. Cóż cię tak zainteresowały moje lata?

- Pamiętasz Tieriechowa? To twój rówieśnik, a wyglądasz jak jego dziadek, a już na pewno jak ojciec. Siwy, zaniedbany - zupełny starzec. Chory jesteś czy co?

- Nie jestem chory - zmęczył mnie odcinek. Trudno pracować podczas wojny. Nie ma odpowiednich ludzi, wciąż czegoś brak. Zupełnie nie rozumiem poleceń zarządu - dlaczego każe nam przenosić się na drugi brzeg? Ledwie urządziliśmy się tutaj - znów wszystko trzeba urządzać na nowo. Dniem i nocą żyje się nerwami! Ani chwili spokoju, pod wieczór głowa pęka, ratuję się tylko piramidonem.

Jakby na dowód tego, wyjął z szuflady pudełeczko z piramidonem, wytrząsnął proszek na język i popił wodą. Załkind obserwował go, z trudem panując nad rosnącą w nim irytacją.

- Ciągniesz więc tylko na piramidonie? Kiepskiego sobie wybrałeś konia. Niedaleko na nim zajedziesz!

- Tak, zdechnę pewnie prędko, jak to mówią, spalę się na robocie - potwierdził skwapliwie Jefimow. - Będziecie musieli, towarzyszu, szukać innego kierownika.

- Ach, ty neurasteniku! Szmato! - wybuchnął Załkind. - A ja myślałem, że będziesz dzielnym pracownikiem.

Wstał i podszedł do biurka. Jefimow zmieszany podniósł się z fotela.

- Za co mi wymyślasz?

- Za to, że szkodzisz sprawie! Za to, że zawiodłeś nasze nadzieje!

- Zawiodłem nadzieje? Robię przecież wszystko, co mogę. Jeżeli jest coś nie tak... więcej nikt nie potrafi.

- Wszystko robisz nie tak, jak potrzeba! Sam nie rozumiesz, co robisz.

- Pracuję dzień i noc. Nikomu nie daję spokoju. Mieszkam w gabinecie, nawet łóżko swoje tu przeniosłem.

- Otóż to! Zamęczyłeś siebie i ludzi. Zajmujesz się każdym litrem benzyny, zamiast pozostawić tę sprawę ekspedytorowi lub pracownikowi zaopatrzenia. Boisz się, żeby robotnicy nie zjedli o jeden bochenek chleba więcej. Muszą zgłaszać się do ciebie po każdy rozkaz jazdy. I to nazywa się u ciebie walką o oszczędność! Słowem, postanowiłeś pracować na odcinku sam, w pojedynkę, nikomu nie ufając. Czego więc nauczyłeś się, jeśli nie zrozumiałeś najważniejszej rzeczy: że cała siła mieści się w zespole, w kolektywie. Mają rację ci, którzy mówią, że dla ciebie ludzie są pionkami!...

- Nigdy nie mówiłeś do mnie tym tonem - wyjąkał bezradnie Jefimow.

- Musisz wysłuchać, kiedy zasłużyłeś na to. Nie na próżno wspomniałem o twoim towarzyszu Tieriechowie. Czy sądzisz, że ma łatwiejsze warunki od ciebie? Nie! A jest prawdziwym dyrektorem, głową fabrycznego zespołu, a nie ekspedytorem. I nie siwieje, wyobraź sobie. Tieriechow jest zawsze ogolony, świeży, w nowym ubraniu - siedzi w gabinecie jak na imieninach. I umierać nie ma zamiaru, bo wie, że partii i państwu potrzebni są pracownicy zdrowi na ciele i duchu, aby zwyciężyć wroga. Byłem w tych dniach u niego w fabryce i miałem takie wrażenie, jakbym ozonu nabrał w płuca. Niedawno zlecono mu robotę, a już dostarcza broń na front. A tobie żal rozstawać się z gabinetem i siedzisz w nim, gdy twoje miejsce jest tam, gdzie są twoi ludzie - na tamtym brzegu. Z tego wynika, że ma słuszność organizacja partyjna. Trzeba cię zwolnić ze stanowiska, ponieważ nie wywiązujesz się z obowiązków.

Jefimow mienił się na twarzy, drżały mu usta.

- Za co? Za to, że jestem oddany sprawie?

- Samo oddanie sprawie - to za mało. Od ciebie więcej się wymaga, jesteś kierownikiem!

Załkind otarł czoło i usiadł. Był wzburzony i chciał się uspokoić. Czyżby naprawdę mianowanie Jefimowa było pomyłką? Czy rzeczywiście trzeba będzie go zwolnić?

Jefimow krzywiąc się połknął jeszcze jeden proszek.

- Uwikłałeś się, zszedłeś z prostej drogi - w głosie Załkinda drgał gniew. - Czyż sam tego nie widzisz, żeś się uwikłał? Słuchałbyś lepiej tego, co mówi Tiomkin. Jego głos jest cichy, ale słuszny. Mogłeś zwrócić się o pomoc do zarządu, przecież nie jest za górami i droga do niego teraz gładka jak stół. Skąd w tobie ta pycha? Zlekceważyłeś nawet konferencję partyjną. Ważne sprawy, patrzcie no, przeszkodziły - pięćdziesiąt kilogramów gwoździ pożyczył! To ci sprawy dopiero! Okazuje się, że nie rozumiesz, co to jest wojna.

Jefimow znów sięgnął do szuflady.

- Przestań już łykać te proszki! Ja ci zapiszę inne lekarstwo.

Jakiś czas siedzieli w milczeniu. Z poczekalni dochodziły głosy. Załkind przysłuchiwał się im.

- Co mam robić? - zapytał zrozpaczony Jefimow. - Dobiłeś mnie zupełnie.

- Zaraz „dobiłeś mnie"! - uśmiechnął się Załkind. Oparł łokcie na biurku i popatrzył Jefimowowi w oczy. - Batmanow prawdopodobnie będzie nalegał na zwolnienie ciebie, i słusznie! Ale ja przyjmowałem cię do partii i wstyd mi za ciebie. Nie chcę, żebyś sam siebie grzebał przed czasem. Wezmę twój odcinek pod swoją osobistą opiekę. Spróbuję pogodzić cię z zespołem i zobaczę, czy potrafisz pracować tysiącem rąk, a nie dwiema. Będziesz pracował tak jak dotąd, dniem i nocą, tylko bez proszków. Albo staniesz się prawdziwym kierownikiem odcinka, albo będziesz musiał zaczynać wszystko od początku jako zwykły cieśla. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem - odparł słabym głosem Jefimow.

- Głos masz teraz jak Tiomkin - cichy - uśmiechnął się Załkind. - Za to tamten się rozkrzyczał, słyszysz? - Spojrzeli obaj w stronę drzwi. - Idź, zwołaj ludzi, wszystkich, ilu ich jest. Oni chcą pracować, nie ma potrzeby trzymać ich w poczekalni.

Załkind zrzucił z siebie kożuszek i stanął na środku pokoju czekając na ludzi. Wchodzili niepewni, gniewni, pochmurni...

Rodionowa sama otworzyła drzwi. Była szczerze ucieszona. Stała obok, podczas gdy Kowszow zdejmował okrycie.

- Serafima poszła w odwiedziny. Beridze jest u siebie - powiedziała Olga. - Przyszliście do mnie, prawda?

Aleksiej zauważył w jasnym świetle lampy wiszącej pod żółtym, jedwabnym abażurem, że Olga jest ubrana jak do wyjścia; była w kostiumie i w botach.

- Mieliście zamiar wyjść?

- Nie, już nie. Ale jeszcze z pięć minut, a byłabym poszła was szukać. Dziękuję, żeście nie zapomnieli.

Dotknęła skroni koniuszkami długich i smukłych palców, lekko zaróżowionych w stawach. Nasłuchiwała.

- Nie powinniście się tak denerwować, doprowadzicie się do histerii. Postarajmy się porozmawiać spokojnie. Rozważmy wszystko na trzeźwo...

- Macie rację. Z pewnością doprowadzę się do szaleństwa. Musieliście być strasznie zaskoczeni tym, co mówiłam rano o śmierci męża...

Zaczęła chaotycznie i bezładnie opowiadać o Konstantym. Poznali się w Rubieżańskim Instytucie Lekarskim; była wtedy jeszcze studentką, a on zdolnym, elokwentnym docentem na katedrze neuropatologii. Już po pierwszym wykładzie Rodionow zaczął jej asystować - uporczywie i jakoś apodyktycznie. Po balu absolwentów rozpoczęło się ich wspólne życie. Były w tym życiu i dobre dni, o których nawet teraz nie mogłaby powiedzieć nic ujemnego. Jakże miły, troskliwy i nawet czuły był Konstanty, gdy tylko chciał! I właśnie ten człowiek uczynił ją nieszczęśliwą. Dotąd nie rozumiała, że mogą być ludzie zdolni do oszukania najbliższego człowieka nawet w rzeczach, które powinny zostać święte! Nie ma potrzeby przypominać ze wszystkimi szczegółami, jak stopniowo przestała mu ufać. Wreszcie przejrzała na oczy. Wszystko się stało dla niej jasne. Zrozumiała to podczas jego ostatniej bytności. Po czułym i miłym wstępie Konstanty zaczął mówić o uzyskaniu zupełnego zwolnienia ze służby wojskowej. Na domiar złego okazał się także tchórzem.

- Nie mogę, nie mogę zrozumieć - mówiła ze smutkiem i oburzeniem - skąd biorą się w społeczeństwie radzieckim tacy ludzie? W jaki sposób się uchowali? Biorą życie lekko, kpią sobie z pracy, z obowiązków społecznych, z rodziny, z miłości, z dzieci... I Konstanty, i Chmara - obaj są jednakowi. Kompani do wypitki. Przyjaciele pod każdym względem. Tym tylko się różnią, że jeden jest lekarzem, a drugi - geologiem. Nienawidzę ich obu!

Podeszła ku drzwiom. Wciąż miała wrażenie, że nadchodzi Chmara.

- Przed waszym przyjściem powtórnie przeczytałam list Konstantego. Kłamstwo! Jeszcze wczoraj ukrywał się przed mobilizacją. Czy mógłby dziś napisać szczerze taki list? Przeczytajcie sami, jeżeli chcecie... - podsunęła Aleksiejowi różową kopertę.

- Nie będę czytał. - Kowszow z odrazą spojrzał na list.

- Nie wierzę i nigdy nie uwierzę! Knują jakąś podłość. I mam takie uczucie, jak gdybym ja również brała w niej udział.

Usiadła obok Aleksieja. Kowszow czuł, że Olga szuka u niego obrony i starał się ją uspokoić. Udało mu się to w pewnej mierze, ale jej niepokój i wzburzenie udzieliły się i jemu. Wbrew swej woli Aleksiej również nasłuchiwał, czy gość nie idzie.

- Jak się zachować wobec Chmary? Zapewne nie wytrzymam i przepędzę go...

Olga patrzyła na Aleksieja z wyrazem nadziei. Ten zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

- Postąpimy tak. Przede wszystkim musicie się opanować. Do człowieka, który tu przyjdzie, starajcie się podejść bez uprzedzeń. Najprawdopodobniej jest on tylko pośrednikiem w przekazaniu wam tej smutnej wiadomości. W tym przypadku wasza nieufność i podejrzliwość byłyby niedorzeczne. Jeśli natomiast Chmara rzeczywiście bierze udział w jakimś oszustwie i jeśli ma na celu przekonanie was o śmierci męża, to wasze zachowanie wzbudzi tylko jego czujność. Jestem gotów być przy waszej rozmowie, ale sądzę, że lepiej byłoby nie przeszkadzać wam. Beze mnie - będzie wobec was bardziej szczery. Zaczekam u Beridzego. Gdyby zaszła potrzeba, zawołacie mnie.

- Słusznie, Alosza, słusznie. - Olga szybko wstała, obudziła się w niej energia. - Dobrze radzicie. Niech będzie tak. Porozmawiam z nim sama.

- Czy mogę zadać jedno pytanie?

- Pytajcie, Alosza.

- Powiedzieliście z głębokim przekonaniem, że Rodionow i ten geolog - Chmara - to źli, a nawet niebezpieczni ludzie... Czy tylko w stosunku do was? Czy też uważacie ich za niebezpiecznych również pod względem społecznym? Czego można się po nich spodziewać?

Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili.

- Słuszne pytanie. Źle, że sama go sobie wcześniej nie postawiłam. Wydaje mi się, że można się po nich spodziewać nie tylko złego, ale nawet bardzo złego. I nie tylko w stosunku do mnie, ale w ogóle... Nie myślcie, że przemawia przeze mnie urażona godność własna czy też poczucie krzywdy. Jestem w tej chwili obiektywna. Osądźcie sami. To są egoiści w każdym calu. To, co my uważamy za najważniejsze w życiu - dla nich jest obojętne. Mogę się w czymś mylić, wiem jednak, do jakiego stopnia są zepsuci moralnie. Ta pasja do pieniędzy, do rzeczy i przyjemności! Te drwiny z wszystkiego, co jest drogie sercu każdego prawdziwego człowieka!... Ta głupia słabość do wszystkiego, co

zagraniczne!... Ten brak szacunku dla ludzi! Jak mogłam nie widzieć tego dawniej! Zresztą Chmarę przejrzałam wcześniej. Wciąż buntowałam Konstantego przeciw niemu.

Olga podeszła do portretu i odwróciła go. Chwilę stała bez ruchu, potem przywróciła portret do poprzedniej pozycji, wzięła kawałek czarnej wstążki i przymocowała ją do fotografii męża.

- Żałoba. Żyje czy umarł - to wszystko jedno - powiedziała z posępną stanowczością. Zauważyła, że ma na nogach boty, więc rzekła:

- Pozostańcie na chwilę sami, zaraz wrócę, muszę się przebrać.

- Pójdę lepiej do Beridzego - powiedział Aleksiej.

- Tylko nie mówcie mu nic o Chmarze. Tam jest Tania, ona go nie cierpi. Obawiam się, że mogłaby przeszkodzić.

Drzwi do pokoju Beridzego były niedomknięte. Aleksiej zatrzymał się w przedpokoju. Tania siedziała przy stole obok Beridzego. Ciemny abażur lampy stołowej tłumił światło; twarze obojga tonęły w półmroku.

„Ładna para! Czas, żeby Gieorgij założył rodzinę. Gdyby szukał nawet sto lat - nie znajdzie takiej drugiej Tani" - pomyślał szczerze uradowany widokiem obojga.

- Dobrze, że spędzicie święto tutaj - mówił Beridze. - Chodziłem jak nieswój, dopóki Batmanow nie zgodził się odłożyć terminu wysłania waszej grupy... Chociaż przez te trzy dni będę mógł was widzieć i słyszeć.

- Ale ja nie jestem z tego zadowolona. Wolałabym już jutro wymaszerować. Dlaczego zakłócacie mi spokój, Gieorgiju Dawydowiczu?

- Już wam powiedziałem. I powiem jeszcze raz. Będę powtarzał to bez końca! Pokochałem was! Rozumiecie? Pokochałem! - Beridze wypowiedział te słowa wyznania w jakimś radosnym uniesieniu.

- Nie, nie! - zaoponowała Tania. - Czyż można tak od razu? Zdaję sobie sprawę ze wszystkiego. Jesteście samotni. Macie taki charakter, że koniecznie musicie się troszczyć o kogoś. To, co nazywacie miłością, jest tylko gotowością kochania, myślenia o kimś. Proszę was, nie mówcie ze mną o tym.

- Odejdziecie z kolumną i przez długi czas nie będziemy się widzieli. Dlaczego więc nie miałbym powiedzieć wam już teraz tego, co wcześniej czy później musiałbym powiedzieć?

Kowszow znalazł się w niezręcznej sytuacji człowieka, który przypadkowo podsłuchał cudzą tajemnicę. Nie mógł jednak także wrócić do pokoju Olgi. Chciał zamknąć drzwi, lecz nie zamknął; całym sercem był po stronie Beridzego i chciał wiedzieć, jaki będzie koniec tych oświadczyn.

- Dlaczego mi nie wierzycie! - usłyszał okrzyk Beridzego. - Mówię szczerze to, co czuję.

- Wierzę w waszą szczerość. Ale nie wierzę, aby można pokochać człowieka od pierwszego wejrzenia. Czyż dawno się poznaliśmy?

- A jeśli jestem taki, że mogę pokochać od razu, od pierwszego dnia? Jakże mam przekonać was o mojej miłości? - Beridze chciał widocznie objąć dziewczynę. Tania gwałtownie odsunęła się razem z krzesłem.

- Nie dotykajcie mnie, bo odejdę.

„Wpadł brodacz"! - pomyślał z uśmiechem Aleksiej.

- Jak można pokochać człowieka nie znając go? Za co? - pytała zmieszana Tania. - Nie tak łatwo poznaje się człowieka. Zdaje mi się, że zakochujecie się od razu, ale na bardzo krótko.

Umilkli. W ciszy słychać było wyraźnie tykanie zegarka.

- Cóż robić, Taniu? - westchnął Beridze. - Powiedzcie, zastosuję się do was...

- Niewątpliwie trzeba poczekać. Myślę, że to wszystko minie u was równie prędko, jak przyszło.

...Niespodziewanie rozległo się głośne pukanie do drzwi wejściowych. Olga wybiegła na spotkanie gościa. Kowszow przymknął drzwi prowadzące do pokoju Beridzego i przeszedł do kuchni, do przybytku Serafimy, gdzie było ciepło i rozchodził się zapach pierogów.

Późny gość wyglądał bardzo solidnie. Miał na sobie skórzany płaszcz, czarne filcowe buty, futrzaną czapkę-kubankę, bluzę i spodnie kroju wojskowego - ulubiony strój wielu radzieckich pracowników. Powierzchowność jego była raczej miła: szeroka, opalona twarz, szczere spojrzenie ciemnych oczu, stanowcze, zaciśnięte nieco usta.

- Witaj, droga Olgo! - zawołał; spojrzał jej w twarz i pocałował w rękę. - Wybacz, że tak niezręcznie wypełniłem swoją misję. Wiele myślałem w drodze, ale nic mądrego nie wymyśliłem. Żal mi Konstantego, serdecznie żal!

Mówił swobodnie, z prostotą; był nieco wzruszony - zachowywał się tak, jak powinien się zachować człowiek w jego sytuacji. Jednak Olga, która z zaostrzoną uwagą przyjmowała każde jego słowo i każdy ruch, miała wrażenie, że już zauważyła w nim jakiś fałsz.

Nie czekając na pytania gość zaczął opowiadać. Konstanty długo oczekiwał odpowiedzi na swoje podanie, a potem wszystko stało się błyskawicznie: wezwano go do- Komisariatu Wojskowego i dano mu dwie godziny na spakowanie się. O śmierci donieśli towarzysze podróży; oni też przysłali jego walizkę. Wszystkich znajomych zaskoczyła wiadomość o śmierci Konstantego, który nie robił wrażenia chorego człowieka. Pragnął być na froncie, wprost wyrywał się tam - i niestety, nie dojechał. Lepiej już byłoby oczywiście zginąć w boju, ale cóż - umiera się nie tylko na polu bitwy.

Olga słuchała go ze spuszczonym wzrokiem. Sama nie umiała kłamać i nie mogła słuchać, jak kłamią inni. Miała ochotę powstrzymać go i rzucić mu w twarz: „Nieprawda! Konstanty wcale nie rwał się na front: to tchórz - taki sam jak i wy! I nie umarł!"

Chmara wręczył jej walizkę i podkreślił, że rzeczy są w nienaruszonym stanie. Nie otwierając jej Olga postawiła walizkę pod wieszakiem. Jak gdyby uważając żałobną część wizyty za skończoną, Chmara powiedział wesołym tonem:

- Nie wadziłoby uczcić tradycyjnie pamięć przyjaciela. Może masz trochę wódeczki i coś na przekąskę? Jestem wściekle głodny! - Śmiejąc się Chmara przypomniał: - W Rubieżańsku nie bardzo byłaś dla mnie łaskawa; bałem się do was przychodzić. Nawet Konstantego nastawiałaś przeciw mnie. A niesłusznie: zawsze byłem szczerym przyjacielem i jego, i twoim.

Olga weszła do kuchni, aby przygotować kolację. Natknęła się na siedzącego tam Aleksieja.

- Nie wierzę mu! Rozumiecie, nie wierzę! On kłamie! - szepnęła Kowszowowi do ucha.

Gdy wróciła do pokoju, Chmara siedział przy stole, wpatrywał się w portret z żałobną wstążką i z kpiącym wyrazem twarzy coś mruczał pod nosem. Nie zmienił tego wyrazu nawet wtedy, gdy weszła Olga, skierował tylko na nią swój wzrok. Olgę - jakby kto wrzątkiem bluznął w twarz. Czekała

na chwilę, kiedy Chmara zdradzi się, i oto ten moment nadszedł. Teraz już była pewna, że ją oszukują. Miała jednak dość sił, aby się opanować.

Podczas kolacji Chmara usiłował bawić Olgę opowiadaniem o życiu w głównym mieście kraju. Przyznał się, że jak dawniej lubi wypić, dobrze zjeść, zabawić się, nie gardzi towarzystwem kobiet i że w ogóle żadna z przyjemności nie jest mu obojętna. Pracę ma dobrą, bezpieczną, szanują go; zarabia dostatecznie dużo; w ogóle - powodzi mu się nie gorzej niż przed wojną.

- Piękna jesteś, bogini! - powiedział ze szczerym uznaniem. - Konstanty nie doceniał cię. Chcę ci dać dobrą radę - chociaż ty na pewno rozgniewasz się na mnie: nie rozpaczaj zanadto po nim! Łzami go nie wskrzesisz. To był wielki grzesznik. Postaraj się raczej zrównoważyć jego grzechy swoimi grzechami. Bóg ci je przebaczy. - Podpiwszy sobie Chmara stał się prostacki, jego uprzejmość zniknęła bez śladu. Położył swoją dużą twardą dłoń na ramieniu Olgi.

- Przestańcie! - Olga gwałtownie się odsunęła. Nie mogła już dłużej znieść bezczelnej gadaniny Chmary i czekała, kiedy zjawi się Aleksiej.

Siedzący w kuchni Kowszow słyszał wyraźnie każde słowo. Z początku opowiadanie Chmary brzmiało prawdopodobnie i Aleksiej gotów był uznać, że Olgę wyprowadza w błąd jej uprzedzenie do tego człowieka. Ale w miarę tego, jak Chmarze rozwiązywał się język, Aleksiej tracił do niego zaufanie i nie widząc geologa, odczuwał w stosunku do niego coraz większą odrazę.

Kowszow wzruszał ramionami. Czym wytłumaczyć sobie, że ci ludzie, nie pozbawieni rozumu i zdolności, sami wybrali sobie taki nędzny los? Jakże głupio wyglądał Chmara ze swymi płytkimi namiętnościami! A ten drugi, który dopuścił się największej ohydy, byleby tylko uniknąć frontu... Jeżeli nawet Rodionow nie umarł śmiercią fizyczną, to dla nas on i tak przestał istnieć.

Usłyszawszy okrzyk Olgi Kowszow wyszedł z kuchni.

- Czy można, Olgo Fiodorowno? - zapytał głośno, Chmara spojrzał pytająco na gospodynię.

- Sąsiad. Inżynier z naszego zarządu - powiedziała Olga.

Zdawało się, że Aleksiej zrobił na Chmarze dobre wrażenie. Geolog z łatwością nawiązał z nim rozmowę. Wyjaśnił służbowy cel swego przybycia do Nowińska, wykazał znajomość spraw związanych z budową, nazwał Grubskiego swoim starym kolegą. Zdaniem Chmary, w Rubieżańsku odnoszono się negatywnie do budowy rurociągu, uważając ją za zbyteczną w tym momencie, kiedy wszystkie siły należy poświęcić frontowi. Jeszcze niedawno Aleksiej puściłby te słowa mimo uszu. Ale teraz, gdy wypowiedział je Chmara, uraziły go one i oburzyły! Z trudem opanował chęć zaoponowania w sposób tak ostry, jak to miał we zwyczaju.

Nareszcie gość wstał. Wyraził nadzieję i życzenie ujrzenia Olgi i Aleksieja u siebie w Rubieżańsku. Wkładając płaszcz rzekł do gospodyni:

- Nie zapomnij o mojej radzie...

Kowszow zacisnął pięści - cynizm tego człowieka doprowadzał go do szału. Ledwie za Chmarą zamknęły się drzwi, Olga bezsilnie upadła na łóżko. Miała łzy w oczach.

- Opanujcie się, tak nie można - Aleksiej dotknął jej ramienia. - Dogonię go, muszę jeszcze z nim porozmawiać.

- Dobrze, dobrze - zgodziła się obojętnie Olga.

... Kowszow wyszedł na ulicę. Chmara stał w pobliżu domu przy samochodzie, który na niego czekał.

- Zdenerwowaliście gospodynię - rzekł Aleksiej.

- Cóż robić. Nie będę jej przecież oszukiwał!

- Wtargnęliście tak nieoczekiwanie. Olga Fiodorowna nie wierzy w śmierć Rodionowa - wyrzekł nagle Aleksiej podszedłszy zupełnie blisko do Chmary.

Barczysty i silny geolog stał z rękami w kieszeniach rozstawiwszy szeroko nogi.

- Nie wierzy? W takim razie niech sprawdzi. Został pochowany na stacji Tajszet. Co za kobieta! Tyle się przez niego nacierpiała, a mimo wszystko go żałuje! Niepotrzebnie! Powinna o nim od razu zapomnieć! Popatrzył na Aleksieja i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Myślę, że zapomni, oczywiście przy waszej pomocy. Mieliście szczęście, młodzieńcze!

Aleksiej nie zdążył nic odrzec. Chmara wsiadł do samochodu, powiedział „dobranoc” i szybko odjechał.

13. Ranek siódmego listopada

Głos Stalina rozległ się nagle, zaskakując ludzi znienacka, mimo iż długo czekano na przemówienie. Wszyscy zamarli na swych miejscach.

Stalin, mówił spokojnie, bez pośpiechu, z ogromną mocą wewnętrzną. Niektóre jego słowa, przezwyciężając przestrzeń liczącą tysiące kilometrów, gubiły się w eterze wśród szumu i trzasków. Zebrani w klubie nie słyszeli początku. Miało się takie wrażenie, jak gdyby radiowęzeł spóźnił się z włączeniem transmisji.

- Zgapili się, niedołęgi! - głośnym szeptem powiedział Grieczkin i umilkł. Stojący za nim Aleksiej trącił go w plecy.

Nie odrywając wzroku od głośnika pobladły Kowszow chłonął każdy dźwięk, czasami odgadnięty raczej niż usłyszany. Całe świadome życie pokolenia Aleksieja było nieodłącznie związane ze Stalinem, z jego działalnością, z jego książkami i przemówieniami. Od szkolnej ławy, od dnia, w którym zabrzmiały słowa: „Przysięgamy Ci, towarzyszu Leninie...” - dla Aleksieja Kowszowa i jego rówieśników Stalin stał się na zawsze tym jedynym nauczycielem, którego autorytet był niezmiennie jasny i niewzruszony. Gdy rozpoczęła się wojna i serca wielu najbardziej nawet mężnych i wypróbowanych ludzi drgnęły trwogą, myśli ich z nadzieją zwróciły się ku Stalinowi. I usłyszeli jego przejmujące do głębi słowa: „Towarzysze! Obywatele! Bracia i siostry! Żołnierze naszej armii i floty! Do was się zwracam, przyjaciele moi”.

...Teraz Stalin znów wszedł na trybunę. W tej chwili dla Aleksieja nie istniało nic prócz głosu Stalina. Głos ten napełniał go wiarą i siłą.

Stalin nie uspokajał. Wiedział, że naród nie potrzebuje pociechy, że chce prawdy. I jak zawsze naród usłyszał tę prawdę z ust Stalina: „Niebezpieczeństwo nie tylko nie osłabło, lecz przeciwnie, wzmogło się jeszcze bardziej. Wróg zagraża naszej pełnej chwały stolicy - Moskwie...”

Ten, który utwierdził w kraju przekonanie, że najcenniejszym kapitałem na świecie jest człowiek, mężnie oznajmiał narodowi o śmierci setek tysięcy ludzi radzieckich, poległych w walkach za Ojczyznę. Jego wolno płynące słowa nabrzmiałe były wielkim bólem.

Nie krępując się otoczeniem, nagle zapłakała Żenia, zupełnie jak dziecko pochlipując i zawodząc. Aleksiej czuł, jak coś gorącego zatyka mu gardło i dławi oddech. Stojący obok Żeni Batmanow podniósł rękę i w milczeniu pogładził ją po głowie; zdawało się, iż ruchem tym obejmował wszystkich zgromadzonych, jak gdyby właśnie ona jedna - zwykle tak wesoła i pełna życia dziewczyna - wyrażała smutek wszystkich.

„Sprawa nasza jest słuszna - zwycięstwo będzie nasze!" Przez kilka minut w głośniku szalała burza oklasków. I tu - daleko od Moskwy, wśród głębokiej nocy - trzy setki ludzi, zebranych w drewnianym budynku klubowym na brzegu Adunu, z równym zapałem oklaskiwało Stalina.

Zgiełk głośników urwał się nagle, płynęły uroczyste dźwięki hymnu. Potem nastała cisza...

- Jakie szczęście, że mamy Stalina, towarzysze! Co by się stało z nami bez niego? - rozległ się w ciszy dźwięczny głos Tani. I znów wszyscy ożywili się i zaklaskali w dłonie.

Aleksiej wydostał się z tłumu. Zatrzymał go Beridze - wzruszony, blady, z zaczerwienionymi oczami.

- Chodźmy do mnie, Aleksiej. Musimy porozmawiać...

- Wybacz mi, nie mogę. Muszę pozostać sam. Odłóż rozmowę do jutra. Zresztą to „jutro" już się zaczęło. Czy możesz poczekać ze trzy godziny?

- Poczekam - burknął Beridze, odwrócił się gwałtownie i odszedł nie spojrzawszy za siebie.

Grieczkin krzyknął do Kowszowa:

- Zaczekaj, pójdziemy razem...

Inżynier przyśpieszył kroku udając, że nie słyszy. Słowa Stalina żyły w nim i nie mógł pozwolić, aby doniosłość tego, co przeżył, rozpłynęła się w drobiazgach, w mało znaczących codziennych pogawędkach. Zapiął kożuszek, nacisnął czapkę na uszy i poszedł szybko wydeptaną, śliską drogą do domu. Wysoko na firmamencie świecił księżyc, niebo usiane było niezliczoną ilością gwiazd. Dokoła leżał śnieg zielonkawy i fosforyzujący w świetle księżyca.

Aleksiej przystanął na chwilę przed internatem i kilka razy wciągnął w płuca mroźne powietrze. Z klubu w różnych kierunkach rozchodzili się ludzie, głosy ich brzmiały dźwięcznie i urywanie. Ujrzawszy Grieczkina, który zbliżał się w towarzystwie Tani i Żeni, inżynier szybko wszedł do domu. Drzwi prowadzące do korytarza otworzyły się przed Aleksiejem i ukazała się w nich głowa Lizoczki w obramowania jasnych, rzadkich włosów. Spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem i zapytała nieufnie:

- Nie widzieliście gdzie mojego męża?

- Zaraz nadejdzie...

- Wciąż gdzieś lata! Czworo dzieci już ma, wkrótce będzie piąte, a odpowiedzialności nie ma za grosz!

- Byliśmy razem na uroczystym posiedzeniu, a potem słuchaliśmy przemówienia towarzysza Stalina - wyjaśnił z ledwie opanowanym rozdrażnieniem Aleksiej.

Lizoczka drgnęła i zatrzepotała powiekami.

- Ojczulkowie! Dlaczego ja o tym nie wiedziałam? O czymże mówił? Czy prędko skończy się wojna?

- Mąż przyjdzie, to wam opowie - rzekł Aleksiej, szybko ją wymijając.

Pragnął zachować to uczucie podniosłego, odświętnego nastroju, w którym się znajdował. Wszedł do swego pokoju i zamknął się. Jak zwykle, było tu zimno; oddech przemieniał się w kłęby białej pary; na suficie i szczytowej ścianie widać było aksamitną warstwę szronu.

Szybko zdjął ubranie i długo przewracał się na twardym, nierównym posłaniu otulając się kołdrą i kożuszkiem.

W korytarzu rozległy się głosy. Lizoczka witała Grieczkina wymówkami, dlaczego nie uprzedził jej o przemówieniu i nie zapowiedział, że późno wróci. Grieczkin usprawiedliwiał się niepewnie i nieśmiało.

Żenia też wmieszała się do rozmowy. Oburzało ją zawsze, że Grieczkin, energiczny i samodzielny w biurze, jak dziecko boi się swej Lizoczki. Głosy zabrzmiały donośniej, po czym drzwi zatrzasnęły się z hałasem. Kłótnia przeniosła się do mieszkania Grieczkina.

Aleksiej usłyszał miękkie szuranie filcowych butów, a potem rozległo się ciche, natarczywe pukanie do jego drzwi. Nie odezwał się.

- Śpi. Prześpi wszystko na świecie - burknęła niezadowolona Żenia.

- Daj mu spokój, czego od niego chcesz? - upominała ją z wyrzutem Tania.

- Muszę z nim porozmawiać. Podeszłam do niego w klubie, a on nie spojrzał nawet na mnie...

- Zrób mu kiedy skandal tu na korytarzu, na wzór Lizoczki - poradziła drwiąco Tania.

Dziewczęta stały jeszcze chwilę koło drzwi, po czym odeszły. W domu wszystko ucichło, słychać było tylko podobne do brzęczenia komara pojękiwanie wiatru, przenikającego przez wąską szczelinę między dwoma kawałkami szyb.

Chociaż noc miała się już ku końcowi, Aleksiej nie mógł zasnąć. W głowie kłębiły się myśli. W uszach wciąż brzmiały słowa: „Wróg... zagraża naszej pełnej chwały stolicy - Moskwie". Usiłował sobie wyobrazić, co się teraz tam dzieje? Jak tam rodzice, Mitia? Gdzie jest Zina? Gdyby mógł się z nimi zobaczyć, powiedzieć im choć słowo, uścisnąć ich. Aleksiej nie wątpił teraz, że budowa rurociągu jest niezbędna dla wojny i że on sam jest tu potrzebny. Miejsce jego okazało się nie mniej ważne i odpowiedzialne niż to, które mógłby zająć broniąc Moskwy. Słuszne były słowa Załkinda: „Walczyć trzeba tam, gdzie cię postawili starsi towarzysze. Naszym bojowym zadaniem jest obrona Moskwy na brzegach Adunu". Podawanie tego w wątpliwość równało się negowaniu niezaprzeczonej prawdy o jedności frontu i zaplecza.

Tak, istotnie! Wszystko to prawda. I nie ma sensu jeszcze raz powracać do tych spraw. A jednak czasami trudno było (sercu, nie rozumowi) uznać za równowartościowe - rolę inżyniera, sprawdzającego w ciszy gabinetu kolejny arkusz projektu, i rolę dowódcy plutonu, który w ogniu dział prowadzi swych żołnierzy do ataku. Kiedy nadchodziły szczególnie trwożne wieści spod Moskwy, pragnęło się być nie budowniczym, lecz żołnierzem.

W korytarzu, naprzeciw gabinetu Aleksieja, wisiał plakat, z którego groźnie patrzył na przechodnia ranny żołnierz i surowo pytał: „Co uczyniłeś dla frontu?" Tak wyglądałoby sumienie, gdyby ktoś zechciał przedstawić je na obrazie: „Wróg zagraża Moskwie - a cóż ty na to? Czy nie masz czego bronić?"

W końcu Aleksiej zapadł w sen, trwający godzinę, a może tylko minutę... Śniły mu się różne głupstwa. Obudziwszy się poczuł, że twarz ma mokrą od łez. Sen przeniósł go na wystawę w Moskwie - do

pawilonu Dalekiej Północy. Siedzieli z Ziną na tarasie i jedli lody z truskawkami. Słychać było skądś muzykę. Zina wzięła na łyżeczkę dużą truskawkę i podała ją Aleksiejowi:

„To lepsze od jagód, które rosną na Dalekim Wschodzie”.

I Aleksiej nie mógł powstrzymać łez.

„Dlaczego płaczesz, Alosza?” - Zina zaniepokoiła się i nachyliła się ku niemu, aby obetrzeć jego oczy koronkową chusteczką.

„Jacyż my byliśmy! Żyliśmy jak szczęśliwe dzieci!” - powiedział Aleksiej.

„Byliśmy? - zdziwiła się Zina. - Czyżbyśmy umarli? Nie rozumiem cię, Alosza”.

„Teraz jesteśmy inni” - odpowiedział. Chciał dodać, że wojna położyła kres ich niezakłóconemu spokojowi, lecz powstrzymał się.

„Nie trzeba jej niepokoić przedwcześnie, niech jeszcze trochę pożyje w spokoju...”

Po mowie Stalina kierownik budowy i partorg wrócili z klubu do zarządu.

- Gdybyśmy mieli linię telefoniczną aż do wyspy, moglibyśmy teraz połączyć się z całą trasą i porozmawiać do woli - powiedział Batmanow wchodząc do gabinetu.

Na jego biurku stał aparat selektorowy. Aparat ten łączył tylko z bliższymi odcinkami, do Tywlina, w którym znajdował się sztab Rogowa. Batmanow usiadł przy biurku i z przyzwyczajenia przysunął ku sobie aparat. Załkind w milczącej zadumie chodził po gabinecie.

- Trzeba znaleźć Beridzego, niech tu przyjdzie - powiedział Batmanow. - Na pewno nie śpi.

- Nie wzywaj go - sprzeciwił się Załkind. - Dałem mu słowo, że właśnie dziś, siódmego listopada, rozpatrzymy jego podanie w sprawie przyjęcia do partii. Nie trzeba go teraz niepokoić.

- Słusznie, zapomniałem o tym, chociaż sam go polecałem. Czemu się nie rozbierasz? - spytał Batmanow. - Zdejm płaszcz, usiądź, będziemy rozmawiać z odcinkami. Dowiemy się, czym nasi ludzie postanowili odpowiedzieć na przemówienie towarzysza Stalina.

- Wezmę udział w rozmowie z Jefimowem, a potem pojadę na Start. Tam również postanowiono uznać dzień siódmy listopada za dzień roboczy.

Załkind przysiadł na poręczy fotela, rozpiął płaszcz i zdjął czapkę. Batmanow włączył selektor. Na trasie ktoś monotonnie dyktował komunikat meteorologiczny. Kobieta, pełniąca funkcję dyżurnej ruchu na drugim odcinku, z przerwami i trochę nerwowo donosiła o zaginięciu samochodu, który przed trzema dniami wyjechał z Nowińska. Donośniej od innych brzmiały dwa męskie głosy; niski, przytłumiony glos inżyniera Niekrasowa z trzeciego odcinka i wysoki, dźwięczny - inżyniera Mielnikowa z odcinka czwartego. Mielników podawał treść przemówienia Stalina. Niekrasow wciąż nie mógł uspokoić się z tego powodu, że na ich odcinku późno dowiedzieli się o mowie Stalina. Oprócz głosów w telefonie było słychać niewyraźnie różne hałasy.

- Nasza trasa oddycha, żyje i walczy - powiedział cicho Batmanow.

Siedział nieruchomo przy aparacie, twarz oparł na dłoni i pilnie przysłuchiwał się odgłosom płynącym z przestrzeni. Słuchanie trasy było jego ulubionym zajęciem.

- Towarzyszu Mielników! Tu mówi Rogow. Przede wszystkim składam wam życzenia z okazji rocznicy Października i podarku, który nam wszystkim ofiarował towarzysz Stalin - rozległ się lekko zachrypnięty głos kierownika piątego odcinka.

- Dziękuję, nawzajem przyjmijcie moje życzenia - odezwał się Mielników. - Sprawił nam radość towarzysz Stalin.

Batmanow spojrzał w milczeniu na Załkinda.

- Postanowiliśmy na wiecu wezwać wasz zespół do współzawodnictwa - ciągnął Rogow. - Jutro przyjedzie do was z umową sekretarz naszej organizacji partyjnej Kotieniew, na razie uprzedzam was. Słyszycie mnie?

- Słyszę - potwierdził Mielników. - Wyprzedziliście nas! Ani rusz nie mogliśmy się zdecydować, kogo wybrać - was czy trzeci odcinek.

- Zobowiązania nasze są następujące... zanotujcie sobie - Rogow dyktował wyraźnie: - Terminowo zakończyć prace związane ze szlakiem zimowym, w ciągu dwóch tygodni doprowadzić go do całkowitego porządku. Najpotrzebniejsze pomieszczenia główne i pomocnicze, a mianowicie: wszelkie składy, mieszkania, garaż, piekarnię, łaźnię - wybudować do końca tego miesiąca.

- Słyszysz! - zawołał Batmanow zwracając się do Załkinda.

- Ponadto nasi szoferzy, Machow, Sołncew i inni, po spotkaniu się ze stachanowcem Smorczkowem, wzięli na siebie osobne zobowiązanie: rozpoczęcia natychmiastowego rozwożenia rur, nie czekając na ostateczne przygotowanie drogi. Zanotowaliście? - Głos Rogowa brzmiał pouczająco, mówił jak starszy do młodszego.

- Zanotowałem, dlaczego nie miałbym zanotować - już gderliwie odpowiedział Mielników.

- A więc mogę zakomunikować zarządowi, że przyjęliście nasze wezwanie?

- Też pytanie! Nie słyszałem jeszcze, żeby ktokolwiek odrzucił wezwanie do współzawodnictwa. Przysyłajcie waszego Kotieniewa.

- Słyszeliście, towarzyszu! - powtórzył Batmanow i zadowolony oparł się o fotel.

- Niepokoi mnie trzeci odcinek, ten Jefimow. - Załkind wstał. - Wezwij jego i Tiomkina.

Ale w tej chwili Rogow zaczął wzywać Nowińsk. Ucieszył się, gdy odezwał się Batmanow; można było poznać z jego głosu, jak był rad, że może porozmawiać w tym czasie z kierownikiem budowy.

- Dzisiaj pracujemy! Za dwie godziny cały kolektyw stanie do współzawodnictwa - meldował Rogow. - Z pomocą stachanowców chcemy w ciągu dnia wykonać dwie prace... Przebić drogi dojazdowe, łączące lodową drogę na Adunie z trasą, i rozpocząć budowę osiedla dla kolumny samochodowej. Obiecuję, towarzyszu Batmanow, że przed waszym przybyciem na odcinek wybuduję wzorowe pomieszczenie dla szoferów.

- Nie obiecuj, bo nuż wpadnę jutro? Podziękuję ci, jeśli zbudujesz zwyczajne schronisko, żeby ludzie mieli ciepło i czysto.

Załkind niecierpliwie chodził tam i z powrotem. Batmanow śpiesznie kończył rozmowę.

- Aleksandrze Iwanowiczu, czy widzieliście ludzi Gonczaruka, których skierowałem do prac w cieśninie? - zapytał Batmanow.

- Nocowali u mnie i przedwczoraj ruszyli dalej.

- Na samochodach?

- Tak. Obawiam się, że od szóstego odcinka będą musieli dreptać pieszo, bo dalej już nie można przejechać.

- W jakim byli nastroju? Czy wszyscy zdrowi?

- Chorych nie było. Chciałem zatrzymać ich na święto, ale nie zgodzili się. Jest tam pomiędzy nimi jeden gorący chłop - Umara Mahomet, który tak się śpieszy do cieśniny, jakby tam pierniki na niego czekały. W ogóle żałuję, że ich puściłem, przydaliby mi się dzisiaj.

- Jeszcze jedno pytanie. Dzisiaj sztafetą wysłałem list na dziewiąty odcinek, do Pankowa. Wzywam go terminowo do zarządu. Czy otrzymaliście?

- Otrzymałem i zdążyłem oddać go Smorczkowowi. To pewny chłopak, dostarczy na miejsce.

- Doskonale. Na razie to wszystko. Odpocznijcie z godzinkę, Aleksandrze Iwanowiczu, i do roboty!

Dyżurnemu telefoniście zarządu nie od razu udało się wywołać Jefimowa. Załkind chciał już wyjść, gdy nagle ostry głos kierownika trzeciego odcinka rozległ się wśród szumu i trzasków. Batmanow wstał od biurka i ruchem ręki zaprosił Załkinda, aby zajął jego miejsce. Jefimow patetycznym tonem zaczął składać życzenia kierownikowi budowy i Załkindowi. Załkind nie wysłuchał go...

- Z którego brzegu mówicie? - zapytał.

- Na razie z prawego - Jefimow zmieszał się. - Przenieśliśmy się już niemal zupełnie. Prawie wszystko jest na tamtej stronie. Ja sam zbieram się także...

Twarz Załkinda nabiegła krwią, wąskie jego oczy zwęziły się i pociemniały.

- Jeszcze cały rok będziecie się tak przeprowadzali! - krzyknął. - Widzę, że nie dogadam się z wami po dobroci. Na tym skończymy rozmowę, rozpoczniemy znów W południe, kiedy będziecie już na lewym brzegu. Gdzie Tiomkin? Pewno też wam pomaga „przenosić się”?

- Jest już na tamtym brzegu. Z rana mamy wiec, bezpośrednio po nim wszyscy udadzą się do pracy.

Batmanow podszedł do Załkinda:

- Powiedz temu człowiekowi, że jeżeli natychmiast nie zaniknie swego obrzydliwego biura i nie przeniesie się na lewy brzeg, to może się w ogóle nie śpieszyć. Dam polecenie, aby go po prostu nie puszczono na lewy brzeg.

Wysłuchawszy Załkinda Jefimow przez dłuższą jeszcze chwilę siedział przy aparacie w jakimś odrętwieniu, następnie prędko zebrał papiery, wziął z biurka kalendarz, zegarek i przybory do pisania, obrzucił pożegnalnym spojrzeniem gabinet i wyszedł do samochodu, żeby udać się na lewy brzeg.

... Dzień pracy - siódmy listopada - rozpoczął się o szóstej rano.

Tiomkin stał na zwalonym drzewie i swoim cichym głosem opowiadał zebranym wokół niego robotnikom trzeciego odcinka o przemówieniu Stalina. Mrok wczesnego zimowego poranka okrywał leżący nad brzegiem plac, namioty osiedla i samych ludzi. Czerwony blask latarni, które trzymali Niekrasow i Jefimow, oświetlał tylko tych, którzy stali w pobliżu.

...W tym samym czasie jaskrawy blask mnóstwa pochodni z kory brzozowej oświetlił nanajskie osiedle Tywlin. Olbrzymia ciżba robotników i Nanajczyków zapełniła szeroką ulicę osiedla. Daleko aż do Adunu niósł się potężny gwar zmieszanych głosów, wzajemnych nawoływań, śmiechów i śpiewów. Z domu zarządu kołchozu wyszedł Rogow, przewodniczący Rady Wiejskiej Hodżer, inżynier odcinka Pribytkow, Kotieniew oraz pomocnicy Rogowa - Chłynow i Poliszczuk. Wszyscy oni stojąc na ganku przypatrywali się z zachwytem poruszającym się światłom pochodni.

- Rozprowadzić swoje brygady - powiedział Rogow. - Powtarzam jeszcze raz... Twój odcinek, Maksymie, to droga od trasy przez Krzywy Przesmyk do Adunu. Poliszczuk poprowadzi swych ludzi wzdłuż rzeki aż do Szamańskiej Wyspy i stamtąd zacznie torować drogę ku trasie poprzez powłokę śnieżną. Pribytkow, Kotieniew i ja pójdziemy z pozostałymi ludźmi przygotowywać plac pod osiedle kolumny samochodowej.

Hodżer, Chłynow i Poliszczuk zeszli z ganku i zmieszali się z tłumem, który poruszył się i zahuczał jeszcze gwałtowniej. Wkrótce oddzieliły się od niego i popłynęły w przeciwnych kierunkach dwa ogniste strumienie.

Grupa szoferów zatrzymała Rogowa. Nieśli łopaty, kilofy i pochodnie - umocowane na kijach puszki po konserwach, napełnione pakułami zmoczonymi naftą.

- Do kogo mamy się przyłączyć? - zapytał kierownika szofer Machow, młody chłopak o ładnej, delikatnej, dziewczęcej twarzy. - Nęci nas robota przy drodze, to przecież sprawa szoferów, ale i przy budowie własnego osiedla chcieliśmy również pomóc.

- Dobrze, chodźcie ze mną - raczył pobłażliwie pozwolić Rogow. - Już tam inni przeprowadzą za was drogę...

Aleksieja zbudziła głośna krzątanina Lizoczki na korytarzu. Kapryśna sąsiadka nie liczyła się zupełnie z otoczeniem. Jeden z czterech potomków Grieczkina ryczał basem, Lizoczka zaś wymyślała mu na cały głos.

Aleksiej przygładził oszronione włosy, które omal że nie przymarzły mu do poduszki, odrzucił kołdrę i kożuszek, po czym starając się nie zwracać uwagi na zimno zapalił światło. Spojrzał na zegarek: dzień pracy - siódmy listopada - zaczynał się i dla niego.

Po zupełnym wygojeniu ręki wyznaczono go jako byłego żołnierza liniowego na dowódcę plutonu przysposobienia wojskowego.

Wyskoczył z pokoju w koszuli i watowanych spodniach i pobiegł do umywalni. Na korytarzu, ustawieni według wzrostu, stali trzej chłopcy i dziewczynka, wszyscy o jasnych niebieskich oczach, lnianych włosach i z jednakowymi rumieńcami na pulchnych policzkach. Starszy, sześcioletni z powagą trzymał w ręku czerwony proporczyk. Przed tym małym oddziałem wznosiła się kulista postać Grieczkina. Przebierał w miejscu nogami obutymi w wielkie, szare walonki, powtarzając komendę:

- Raz, dwa... Raz, dwa...

Lizoczka stojąc w na wpół otwartych drzwiach dobrodusznie gderała:

- Przedstawienie urządza, bohater przysposobienia wojskowego!

Aleksiej podał rękę każdemu dziecku i złożył im życzenia z okazji dwudziestej czwartej rocznicy Rewolucji Październikowej.

- Masz u mnie czekoladę - obiecał dziewczynce.

- Niewesołe mamy święto w tym roku - odezwała się Lizoczka. - Nawet dzieci nie ma czym obdarować.

- Wujku Aleksieju, daj mi chorągiewkę taką, jaką ma Kola - prosiła dziewczynka.

- Dobrze, dostaniesz także i chorągiewkę - podniósł pulchną, ciężką dziewczynkę i ucałował ją w zimny policzek.

Grieczkin szedł za Aleksiejem, za nim gęsiego maszerowały dzieci.

- Co ci się wczoraj stało, Aleksieju Nikołajewiczu? - zapytał Grieczkin. - Uciekłeś ode mnie, jakby cię coś złego spotkało...

- Nic mi się nie stało... Senny byłem.

- Dziewczęta pukały do ciebie...

Grieczkin przystanął przy umywalni, dzieci również. Cała rodzina, pięć par oczu, uważnie obserwowała myjącego się Aleksieja, a następnie w tym samym porządku odprowadziła go do pokoju. Na korytarz wybiegła Żenia ubrana w zielony kostium narciarski. Cieszącz się biegła do umywalni,

- Czy nie spóźniłam się? Mój zegarek jest dziwny: to leci naprzód, to się spóźnia...

Aleksiej włożył na siebie watowaną kurtkę, zapiął szeroki żołnierski pas i przerzucił przez ramię maskę przeciwgazową, wziął narty i wyszedł z Grieczkinem na miejsce zbiórki. Na ulicy było jeszcze ciemno. Chwycił ich od razu silny mróz.

- Winszuję wam w dniu dwudziestej czwartej rocznicy Października, Aleksieju Nikołajewiczu! - zawołała Żenia dopędzając ich. - Pierwszy raz w moim życiu - siódmy listopada jest dniem pracy.

- To nic, Żeniu! - odezwał się Aleksiej. - Wróg popamięta ten przepracowany przez nas dzień świąteczny.

Ćwiczenia rozpoczęły się od zaprawy narciarskiej. Kowszow szedł na czele plutonu torując ślad w głębokim śniegu. Od ruchu ciało rozgrzało się, mróz przestał wkrótce dokuczać, trzeba było rękawice zatknąć za pas, bo ręce płonęły. Na razie tylko Aleksiej dobrze jeździł na nartach, pozostali dopiero stawiali pierwsze kroki. Kowszow to przyśpieszał, to hamował bieg obserwując tych, którzy pozostawali w tyle. Kołował po rzadkim, brzozowym zagajniku, wspinał się na strome wzgórze i rozpostarłszy szeroko ręce niby ptak zlatywał w dół. Kazał żołnierzom, jednemu po drugim, zjeżdżać po pochyłości. Narciarze padali i zjeżdżali na siedząco wzbijając w powietrzu tumany lekkiego śnieżnego pyłu.

- Powtórzcie bez upadków! - komenderował ze szczytu Aleksiej. - A wy? Czekacie na specjalny rozkaz? - zapytał Grieczkina drepczącego przy nim.

Na ćwiczeniach Aleksiej był surowy, wymagający i nie pobłażał nikomu. Grieczkin, Fiedosow, Kobziew i Pietia Gudkin, wszyscy niezależnie od stanowiska byli dla niego zwykłymi żołnierzami. Teraz także pozostał nieczuły na błagalny wzrok kierownika wydziału planowania. Znów padła komenda:

- Szeregowy Grieczkin, wypełnijcie rozkaz.

Grieczkin pochylił się i podszedł do zbocza, jak gdyby miał zamiar zejść powoli. Nagle narty poderwały go naprzód, ciało cofnęło się w tył - Grieczkin upadł na ziemię i na plecach zjechał w dół. Aleksiej kazał mu powtórzyć zjazd. Za drugim razem Grieczkin zjechał nienajgorzej i w niezłej formie, upadł dopiero u samego podnóża.

Dowódca ogłosił przerwę. Żołnierze palili trzymając w zaczerwienionych rękach pośpiesznie skręcone, grube papierosy. Kowszow gderał:

- Poruszacie się ledwo, ledwo! Chodzicie jak po linie, boicie się upaść. Zeszłym razem czytałem z wami artykuł „Prawdy" - wymagana jest umiejętność prowadzenia walki na nartach, a my na razie nie umiemy nawet jeździć.

Wrócili do klubu, na miejsce zbiórki; ogrzali się, posłuchali ostatnich wiadomości radiowych. Następna godzina poświęcona była mustrze. Kowszow mów nie dał żołnierzom ani chwili wytchnienia. Szczególnie dostało się Grieczkinowi, który słabo reagował na komendę, ani rusz nie mógł nauczyć się chodzić „w nogę" i stale robił zwroty w niewłaściwą stronę. Kowszow kazał mu wyjść z szeregu i w ciągu kilku minut musztrował go oddzielnie. Wytężając wszystkie siły Grieczkin starał się nie robić błędów. Stojący w szeregu uśmiechali się; sam Aleksiej z trudem zachowywał powagę obserwując niepewne ruchy i ponurą, nadętą minę Grieczkina. Przed zwolnieniem ludzi z ćwiczeń zwrócił się do niego.

- Nie można być niezgrabnym. Ćwiczcie więcej poza godzinami zajęć. Gdy staniecie przed prawdziwymi frycami, będzie już za późno na trening i mała będzie z was pociecha.

- Nie bójcie się, będzie z nas pociecha, bodzie - gniewnie burknął Grieczkin. - Będziemy się bili nie gorzej od niektórych wyćwiczonych...

W stołówce czekała na Aleksieja Żenia, która samowolnie wzięła na siebie misję opiekowania się nim. I teraz Aleksiej nie musiał czekać na kelnerkę, obsługującą połowę sali – śniadanie stało już na stole. Tego dnia troskliwość dziewczyny, nie wiadomo dlaczego, specjalnie go wzruszyła. Unikając jej wzroku pochylił się nad glinianą miską, w której na duszonych kartoflach leżał kawałek jasnoczerwonego solonego łososia.

Pijąc herbatę patrzyła na niego ciemnymi, niespokojnymi oczyma sponad wielkiego glinianego kubka. Okrągła twarz dziewczyny była jeszcze zaróżowiona od mrozu. - Wątpię, czy ktokolwiek spał dziś dobrze - dodała.

- Dlaczego? Ja, na przykład, spałem dziś doskonale i sny miałem przedwojenne... Śniło mi się, że byłem na wystawie w pawilonie Dalekiej Północy i jadłem lody z truskawkami. I że nie było wcale wojny. - Aleksiej chciał odpowiedzieć Żeni tonem żartobliwym, ale mimo woli w słowach jego o wystawie zabrzmiał smutek. - Od lodów zrobiło mi się zimno, zbudziłem się i okazało się, że głowa przymarzła mi do poduszki.

- Ja również nie zmrużyłam oka - powiedziała Żenia nie zważając na usiłowania Kowszowa, by obrócić rozmowę w żart. - Wiecie, urodziłam się w nocy z szóstego na siódmego i zawsze byłam z tego dumna. Jednego dnia obchodziłam dwa święta.

Poczekała, aż Aleksiej wypije ostatni łyk niesmacznej, prawie nie osłodzonej herbaty. Wstała. Całe śniadanie trwało pięć minut.

- Winszuję wam z całego serca i z głębi duszy! - powiedział gorąco Aleksiej. - Szkoda, że nie powiedzieliście mi wczoraj o swoich urodzinach. Uczcilibyśmy jakoś skromnie ten dzień.

- Słyszeliście, jak się rozpłakałam wczoraj? Tyle było ludzi, a ja w takiej chwili nie mogłam się powstrzymać! Jakoś zanadto ciężko było mi na sercu. Jak radośnie witaliśmy zawsze Październikowe Święto! A dziś - nieszczęście, krew i śmierć młodych, takich jak wy i ja.

Gdy szli po schodach, Aleksiej po przyjacielsku uścisnął jej rękę. Żenia z wdzięcznością odpowiedziała na ten gest uściskiem swych pulchnych paluszków.

- Chciałam wam wczoraj opowiedzieć o tym wszystkim, ale nie mogłam się do was dopukać, pewno spaliście już. Byłam z Tanią, potem ona poszła do Olgi, a ja płakałam w samotności. - Umilkła na chwilę. - Dziś wszyscy będą mi winszować: „Życzymy ci, Żeniu, żebyś jeszcze w tym roku znalazła dobrego męża". Grieczkin już mi właśnie w ten sposób winszował, jak gdyby całe szczęście polegało na posiadaniu dobrego męża! Dziękuję, że wyście przynajmniej zaoszczędzili mi tego życzenia.

W tym dniu Żenia zupełnie nie była podobna do siebie; ani uśmiechu, ani chichotania, tylko jakaś niezwykła u niej powaga. Kowszow odprowadzał ją zdumionym spojrzeniem.

Topolew siedział już przy biurku. Do biura przychodził z rana bardzo wcześnie. Idąc za radą Beridzego Kowszow umieścił staruszka w gabinecie wychodząc z założenia, że w ten sposób „prędzej wejdzie we wspólny nurt pracy". Inżynierowie podali sobie ręce, ale chłodno i milcząco. Ich wzajemny stosunek był nieprzyjazny - tak chciał Topolew, starszy wiekiem. Całymi dniami siedział naprzeciw Kowszowa i od czasu do czasu, odrywając się od papierów, zapadniętymi oczyma spoglądał obojętnie na przychodzących do Aleksieja ludzi. Młody inżynier był dla niego uprzedzająco grzeczny i niczym nie podkreślał swych praw kierownika wydziału. Gdy dawał mu jakieś zadanie, robił to zawsze w imieniu naczelnego inżyniera. Topolew wykonywał je powoli i jakoś zimno, jakkolwiek dokładnie. Niekiedy ta obojętność starca oburzała Kowszowa i nieraz z trudem opanowywał w sobie wzrastającą chęć ostrego starcia się ze swoim zastępcą. Staruszek był jedynym człowiekiem w zarządzie, który pozostawał poza niepokojami i sporami związanymi z projektem.

Spojrzawszy na sporządzony ubiegłej nocy wykaz spraw pilnych Aleksiej westchnął. Lista była ogromna i niektóre sprawy, nie załatwione, przechodziły już z wykazu do wykazu po kilka razy.

Obecnie nie mógłby już zarzucić kierownictwu ani rozrzutnego szafowania czasem, ani powolnego nabierania rozmachu. Robota zalała ich jak powódź. Kierownicy budowy jakby się umówili, żeby wszelkimi sposobami zwiększyć jej przydział. Bezpośrednim jego zwierzchnikiem był naczelny inżynier, który często z naciskiem przypominał mu o konieczności pracy ponad normę, wciąż mu się bowiem zdawało, że Kowszow zajmuje się czymś ubocznym, nie mającym związku z pracami inżynieryjnymi. Batmanow dawał mu zlecenia nie pytając, czy Aleksiej jest w stanie je wypełnić. Załkind również nie pozostawał w tyle i rzadko mijał dzień bez jakiegokolwiek zlecenia partyjnego.

Obowiązków i trosk byłoby zapewne mniej, gdyby Aleksiej chciał się od czegokolwiek uchylić. Ale nie robił tego. Przeciwnie, sam pragnął mieć jak najwięcej pracy - ona uciszała jego niepokój. Uśmiechał się, kiedy w największym nawale pracy, w ciągu dnia otrzymywał od Batmanowa, Załkinda, czy Beridzego nowe polecenie, zawsze jeszcze pilniejsze i ważniejsze od poprzednich. Pewnego razu Załkind zauważył jego uśmiech i powiedział ze zrozumieniem:

- Życie jest najciekawsze wtedy, kiedy mamy pracy powyżej głowy. Prawda? Pamiętaj, mój drogi, że im więcej się od człowieka wymaga, im więcej ma on obowiązków, tym bardziej jest potrzebny zespołowi.

W kolejnym liście do Ziny Aleksiej napisał: „Postawiłem przed sobą i przed swymi ludźmi zadanie, by podołać każdej pracy. Zdaje mi się teraz, że siły człowieka są niewyczerpane, trzeba tylko bardzo

wiele od niego wymagać. Zwykła proporcja: im więcej naładują - tym więcej się uciągnie. A może odkryłem przypadkowo nowe naturalne prawo wydajności pracy?”

Aleksiej wysyłał takie listy pod adresem teściowej. Chociaż nie wiedział, kiedy one dojdą do rąk Ziny i czy w ogóle dojdą, mimo wszystko nie mógł nie pisać o swym życiu, o swej pracy i myślach. Stało się to jakąś duchową potrzebą. Od pewnego czasu pisanie takich pewnego rodzaju raportów wymagało wielu godzin nocnych; żeby sumiennie streścić wydarzenia jednego tygodnia, trzeba było zapisać gruby zeszyt. Pewnego razu spróbował odtworzyć historię tylko jednego dnia. Wypadło to niezmiernie długo i Kowszow wzruszał ramionami odczytując jeszcze raz zestawienie spraw, załatwionych w ciągu doby. Kłopotów tego zwykłego powszedniego dnia starczyłoby chyba na całe życie jakiemuś nudzącemu się młodzieńcowi z ubiegłego stulecia, jednemu z tych, których geniusz wielkich pisarzy unieśmiertelnił w dziesiątkach dzieł.

I dziś troski od razu pochłonęły Aleksieja. Od rana w ciągu paru godzin nie odrywał się od projektu. Te pierwsze godziny dnia były najlepsze w ciągu doby, ponieważ miał świeży umysł i mniej przeszkadzali mu interesanci.

Wiatr przenikał przez niewidoczne szpary w oknach i ścianach, wydmuchując ciepło z pokoju. Aleksiej posiedział z pół godziny w ubraniu, a potem znów wciągnął kożuszek. Rozczochrany Kobziew i trzej inni inżynierowie siedzieli obok niego i ćmili skręcone z machorki papierosy.

Zmarszczywszy czoło i postukując ołówkiem w skroń Aleksiej sprawdzał obliczenie piezometrycznego nachylenia, zrobione dla lewobrzeżnego odcinka rurociągu. Obliczenie to było jednym z dowodów, że nowy kierunek trasy jest lepszy. Beridze miał zamiar zbudować zamiast dwóch stacji pomp na lądzie - jedną. Wedle projektu Grubskiego druga stacja miała być wybudowana ze względu na szereg wzniesień na prawym brzegu. Ponieważ na lewym brzegu przeszkoda ta nie istniała, tym samym nie było potrzeby budowania dodatkowej stacji.

- Jakie wypada u nas ciśnienie na punkcie końcowym? Półtorej? - zapytał Kowszow nie patrząc na inżynierów.

- Półtorej atmosfery - odrzekł Kobziew, uważnie śledząc każdy ruch kierownika wydziału, który co chwila obliczał coś na suwaku lub zapisywał otrzymane liczby na papierze.

- Jaki stąd wniosek? - zapytał Aleksiej.

- Druga stacja jest niepotrzebna.

- Wniosek słuszny - rzekł Aleksiej i spojrzał na Topolewa. - Jedna stacja zupełnie wystarczy do przepompowywania ropy od Cieśniny Dżagduńskiej aż do samego Nowińska.

Topolew, nachmurzony, odpędzał płynące w jego stronę kłęby machorkowego dymu, ale nie zareagował na uwagę Aleksieja, który zadowolony z obliczenia chcąc dokuczyć staremu, zaczął znowu:

- Samej tylko energii elektrycznej zaoszczędzamy sto kilowatgodzin na tonę ropy naftowej. To rozumiem! A niezależnie od tego skracamy czas budowy, zaoszczędzamy siłę roboczą i materiał.

Te słowa Aleksiej skierował wyraźnie pod adresem Topolewa. Kobziew zauważywszy to, także spojrzał na staruszka. Ale Topolew spokojnie nasypał sobie z wielkiej butelki do tabakierki zielonej tabaki i nie zwracał na nich żadnej uwagi.

W gabinecie już dłuższy czas dzwonił telefon. Dzwonki były coraz częstsze, przeciągłe i gwałtowne. Nie podnosząc słuchawki Aleksiej spojrzał spod oka na aparat i uśmiechnął się:

- To Beridze dzwoni. Ten się nie odczepi. Wasze obliczenie, Kobziew, nie wystarczy mu. Będzie wymyślał z powodu cieśniny. Dajcie tu materiały w tej sprawie! Szybko!

Telefon umilkł. Kobziew rozłożył na stole stos wykresów i tablic. Przejście przez cieśninę pomiędzy lądem a wyspą stanowiło najtrudniejszy etap całej pracy nad projektem. Tej dwunastokilometrowej wodnej przegrody nie można było ani przeskoczyć, ani obejść. W cieśninie rurociąg mógł przejść tylko pod wodą. Układanie rurociągu, trudne nawet na lądzie, w cieśninie komplikowało się wielokrotnie.

Według projektu należało latem spawać na brzegu rury tak, aby otrzymać odcinki stu lub najwyżej dwustumetrowej długości. Następnie te elastyczne, wyginające się kolosy, ważące piętnaście do dwudziestu ton, należało ściągnąć z brzegu na duże barki. Spawanie części-olbrzymów miało się odbywać bezpośrednio na wodzie. Ten sposób był bardzo niewygodny i uniemożliwiał zastosowanie urządzeń mechanicznych. Pierwsza próba spawania dwóch takich części na kołyszącej się stale powierzchni cieśniny skończyła się katastrofą. Obie części rurociągu poszły na dno, a wielki morski kuter, na którym odbywało się spawanie, przewrócił się jak zabawka.

Oprócz trudności przy spawaniu powstawał jeszcze inny problem. Aby zabezpieczyć rurociąg przed zamarzaniem w zimie, trzeba było ułożyć go na głębokości dwóch metrów pod ziemią. Płytka część cieśniny - na przestrzeni czterech kilometrów od jednego brzegu i czterech kilometrów od drugiego brzegu - zamarza do dna. Dlatego należało i w tych miejscach zakopać przewód w ziemi, a tylko w głębokiej, nie zamarzającej do dna części cieśniny układać rury wprost na dnie. Dla ułożenia rurociągu w miejscach płytkich cieśniny musiał być przekopany na dnie głęboki rów. Latem kopały go pływające bagrownice; przed zamarznięciem cieśniny zostały one usunięte, zdołały wykonać zaledwie część pracy.

Nie było więc rzeczą przypadku, że od pierwszych dni uwagę naczelnego inżyniera pochłonęła sprawa cieśniny. Powszechnie uważano, że praca bagrownic i samo spawanie mogło się odbywać tylko latem. Potrzeba więc było do tego dwóch sezonów letnich, poza tym nasunęły się jeszcze wątpliwości, czy w ogóle możliwe jest spawanie na wodzie.

Na dwa letnie sezony nie można było liczyć, mieli bowiem do wykorzystania tylko jedną zimę i jedno lato. Beridze postanowił więc, wbrew ogólnie przyjętym zasadom, prowadzić pracę w cieśninie w okresie zimy.

Pierwsze zadanie - spawanie rur w zimie - znalazło w projekcie Beridzego szczęśliwe rozwiązanie: proponował on spawać rury na brzegu, a następnie przy pomocy traktorów przeciągać je na lód, pokrywający cieśninę. Kowszow opracowywał techniczną stronę spawania. Druga część zadania wciąż jeszcze pozostawała nie rozwiązana. Ani Beridze, ani Kowszow nie wiedzieli, w jaki sposób będą kopać rów w zimie na dnie cieśniny.

- Kto robił ten wykres i obliczenia? - zwrócił się Kowszow do Kobziewa odsuwając arkusz z wykresem i obliczeniem ruchu złączonych rur, przeciąganych po lodzie. Twarz jego przybrała nieprzyjazny wyraz.

- O co chodzi? - zapytał krótkowzroczny Kobziew pochylając się nad arkuszem.

- Błędy i mazanina!

Kobziew pochylił się jeszcze niżej, włosy spadły mu na twarz.

- Czyja to robota? Pieti? Zawołajcie go, powiem mu parę słów.

- Powiedzcie je mnie! Ja sprawdzałem i przyjmowałem wykres, więc ja jestem winien. Nawet i teraz patrzę, ale błędów nie widzę.

- Powiadam, zawołajcie Gudkina! - powtórzył stanowczo Aleksiej. - Nie przyjmujcie na siebie roli dobrego wujaszka, bo zbyt wielu będziecie mieli krewnych...

Kobziew z niezadowoleniem wstał i poszedł po Gudkina. Aleksiej czuł na sobie wzrok siedzącego naprzeciw Topolewa. Wydało mu się, że patrzy na niego ze zrozumieniem i zainteresowaniem. Poddając się temu wrażeniu zapytał:

- Co zrobimy z kopaniem rowu w cieśninie, Kuźmo Kuźmiczu? Nie możemy nic wymyślić. Czy nie spotkaliście w swojej praktyce podobnego wypadku?

Topolew nie odwrócił wzroku; trwał w zamyśleniu. Wszedł Kobziew z Gudkinem - i przerwali rozmowę Aleksieja z Topolewem. Obaj byli podnieceni. Kobziew zdążył już, zdaje się, nawymyślać Gudkinowi. Topolew, który miał zamiar coś powiedzieć, pokiwał głową i odwrócił się do okna.

- Prosiliście Kobziewa i mnie, aby wam dać samodzielną pracę przy projektowaniu - sucho powiedział Kowszow. - Sprzykrzyło się wam kreślenie i kopiowanie. Twierdziliście, że umiecie coś więcej. Wzięliśmy pod uwagę waszą prośbę. Waszym obowiązkiem było starać się wykonać pracę sumiennie. I oto postaraliście się! - Aleksiej podrzucił Gudkinowi arkusz papieru. - To jest zrobione niedbale. Czy można tak pracować podczas wojny?

- Ja to przerobię! - żałośnie powiedział Gudkin przysuwając do siebie arkusz.

- Za późno! - Aleksiej nie zgodził się i położył rękę na wykresie.

- Tak się nie robi. Podpisywać się trzeba pod taką pracą, która nie wymaga poprawek. Jeżeli uważaliście ją za skończoną i podpisaliście, to teraz brońcie jej. Być może, że nie mam racji.

- Oczywiście, macie, nie ma o czym mówić - odezwał się Kobziew.

Znalazł wreszcie błąd w wyliczaniu i energicznie przekreślał kolumny cyfr i wiersze formułek zapisane grubym, czarnym ołówkiem. Rozgniewany inżynier zaczął besztać Pietię.

- Przecież uprzedzałem cię, że obliczenie obciążania lodu i obliczenie wytrzymałości lodu to rzecz odpowiedzialna! Mówiłem: uważaj, abyś nie spartaczył!

- Czy taką mazaninę można nazwać wykresem? Tu wytarto, tam zamazano, przekreślono, tekst nabazgrany - dodał Aleksiej. - Sto razy powtarzałem, że każdy wykres powinien być bez zarzutu.

- Miałem zamiar to przerysować, ale nie zdążyłem - tłumaczył się technik.

- Trzeba nadążać! - Aleksiej spojrzał na telefon, który znów zaczął uporczywie dzwonić. - Brakiem czasu w ogóle nigdy niczego nie usprawiedliwiajcie. Towarzysz Kobziew za kilka dni zamelduje mi o was. Może znowu staniecie się zwykłym kreślarzem.

- Aleksieju Nikołajewiczu! - zawołał Gudkin łamiącym się głosem. - Będziecie zadowoleni, daję wam słowo. Wybaczcie mi! Pierwszy raz! Teraz już sobie nie pofolguję! - Pietia z zaciętością uderzył się pięścią w głowę.

Inżynierowie spojrzeli na siebie, a szarożółte wąsy Topolewa drgnęły.

Raptownie otworzyły się drzwi i do pokoju wbiegła zdyszana Muza Filipowna.

- Naczelny inżynier wzywa was natychmiast. Dzwonił do was tysiąc razy, ale nie odpowiadaliście. Pośpieszcie się!

- Już idę - powiedział Kowszow i znów zwrócił się do Gudkina: - Uważaj więc, Pietuńczyk!

- Nie wyjdę bez was - oświadczyła Muza Filipowna. - On wie, że jesteście u siebie i nie podnosicie słuchawki. Kazał przyprowadzić was choćby nieżywego.

Aleksiej zebrał rysunki i wyszedł za sekretarką.

- Od samego rana chodzi zdenerwowany - opowiadała mu po drodze Muza Filipowna. - Był u was i natknął się na Topolewa, tamten mu coś nagadał. Musieli zmieniać membranę w jego aparacie: dzwonił do was i dzwonił, aż wreszcie trzasnął ze złości słuchawką w stół...

Beridze w futrze siedział przy wielkim biurku, na którym stała kuchenka elektryczna, i grzał ręce nad jej rozżarzoną spiralą.

Głośno na cały pokój hałasował selektor, umieszczony na stoliku przy biurku. Naczelny inżynier spojrzał przelotnie na Aleksieja i nachylając się nad mikrofonem wołał:

- Towarzyszu Pribytkow, w żaden sposób nie mogę zrozumieć, w czym nie zgadzacie się z Rogowem?

Głos Pribytkowa ledwo było słychać. Aleksiej musiał wytężyć słuch, aby zrozumieć słowa inżyniera z piątego odcinka.

- Przecież mówię wyraźnie... Przygotowali plac pod bazę samochodową: wycięli drzewa, wykarczowali pnie, wykopali doły pod fundamenty. Rogow od razu kazał budować internat i garaż. „Obiecałem - powiada - Batmanowowi, że przed jego przyjazdem wybuduję wzorowy internat. A nuż zwali się tu za trzy dni?”

- Bardzo dobrze - pochwalił Beridze - im prędzej, tym lepiej! A wy jesteście zdania, że budowa bazy powinna trwać dłużej?

- Jestem za tym, żeby bazę budować prędko, ale także z sensem z technicznego punktu widzenia.

- To znaczy? - naglił Pribytkowa naczelny inżynier.

- Rogow kazał budować internat na fundamentach zwykłego typu, bez podziemnej wentylacji. W ten sposób zmienił wasz typowy projekt. Jeżeli w tym miejscu jest odwieczna marzłoć, to dom niedługo postoi. Trzeba będzie potem budować nowy dla tych, którzy przyjdą po nas. A przecież wciąż powtarzacie, że każdy budynek mieszkalny należy budować solidnie, żeby przyszli gospodarze rurociągu mogli z niego korzystać przez długie lata.

- Co zaproponowaliście Rogowowi jako inżynier odcinka?

- Zażądałem kategorycznie, aby ściśle trzymał się zatwierdzonego przez was projektu.

- No i cóż?

Ton rozmowy, gwałtowne ruchy i wyraz twarzy naczelnego inżyniera, nie umiejącego ukrywać swego nastroju, mówiły Aleksiejowi, że Beridze jest wzburzony. „Czyżby aż tak rozgniewał się na mnie? Musiało się coś poważnego wydarzyć” - rozmyślał Kowszow.

- Rogow nie usłuchał mnie - skarżył się Pribytkow. - Oświadczył, że wie, jak budować domy bez projektów. Jego zdaniem, w okolicach Tywlina nie ma odwiecznej marzłoci. Jako argument podaje domy Nanajczyków.

- A wy jak myślicie? Jak się ma sprawa z tą odwieczną marzłocią?

- Nie twierdzę tego z pewnością, ale to przypuszczenie jest możliwe: to rejon północny. Trzeba sprawdzić.

- Więc czegóż chcecie ode mnie? - gniewnie zapytał Beridze i zastukał grubym ołówkiem w stół.

- Każcie Rogowowi dokładnie trzymać się typowego projektu.

- Tego nie mogę zrobić!

- Dlaczego? - zdumiał się Pribytkow. - Po co w takim razie daliście odcinkowi projekt?

- Nie spodziewałem się od was takich pytań, towarzyszu Pribytkow. Jesteście przecież niemłodym już, doświadczonym inżynierem. Daliśmy wam wzorcowy projekt jako wykładnik naszych zasadniczych wymagań w stosunku do budowy na odwiecznej marzłoci. Nie jest on jednak ani dogmatem, ani uniwersalną receptą. Być może, że Rogow ma rację. Ja również mam wrażenie, że w rejonie Tywlina nie ma odwiecznej marzłoci. W takim wypadku należy pominąć pewne wymagania projektu. Z drugiej zaś strony, Rogow może się mylić.

- Nie rozumiem was - powiedział Pribytkow. - Jak więc mamy postąpić?

- Bardzo źle, jeśli sami nie wiecie, co macie robić. Inżynier odcinka jest kierownikiem przedsiębiorstwa i głównym kierownikiem technicznym, a nie jakimś niewolniczym wykonawcą i naśladowcą rysunków projektu. Waszym obowiązkiem jest wiedzieć, czy odwieczna marzłoć istnieje na miejscu budowy. Jeżeli jest, żądajcie, żeby budowano ściśle według projektu. Jeżeli nie ma, dajcie dodatkowe wskazówki.

- O to właśnie chodzi, że Rogow nie chce czekać na sprawdzenie.

- Rozumiem go - uśmiechnął się Beridze. - On chce budować prędko, a tymczasem wy, jak widać, jesteście zbyt powolni.

- A więc waszym zdaniem powinienem ustąpić? Czy tak?

- Nie! Za nic! Nie pozwalam ustępować! - zawołał Beridze. - Należy zmusić Rogowa, żeby uznał autorytet inżyniera odcinka.

- Więc pomóżcie mi umocnić mój autorytet!

- Jestem gotów pomóc, ale nie chcę być waszą niańką. Wtedy Rogow już na pewno przestałby się liczyć z wami. Sami zdobywajcie sobie autorytet. Obstawajcie przy swoim, bijcie się! Ale nie traćcie zdrowego rozsądku. Wasze spory nie powinny hamować tempa budowy...

Skończywszy rozmowę Beridze wyłączył aparat i zaczął nabijać tytoniem swą wielką fajkę.

- Ciężko mu z Rogowem - powiedział Aleksiej. - Pribytkow, jako akademik, nadaje się raczej do prac projektowych. Rogow natomiast, jak zauważyłem, skłonny jest do umniejszania roli inżynierów na budowie...

Beridze podniósł zagniewane oczy na Aleksieja, jak gdyby go dopiero w tej chwili spostrzegł.

- Co to znaczy, towarzyszu Kowszow? Dlaczego muszę tracić przez was tyle czasu? Albo w ogóle was nie ma, albo nie można się was dowołać! Co to za zwyczaj nie odpowiadania na telefony? - Beridze wypowiedział to wszystko jednym tchem. W podobnych wypadkach przechodził z „ty" na „wy".

- Słucham was - powiedział Aleksiej.

- Otóż to: ciągle słuchacie, szkoda tylko, że pożytku z tego mało. Wasza praca nad projektem wcale nie posuwa się naprzód.

- Dlaczego tak sądzicie? - zaoponował Kowszow. - Moim zdaniem praca posuwa się...

- Jest to tylko wasze zdanie! - odciął się Beridze.

- Pozwólcie mi złożyć sprawozdanie - odrzekł spokojnie Aleksiej, utkwiwszy szare oczy w wykrzywionej gniewem twarzy Beridzego.

- Jestem niezadowolony, zupełnie niezadowolony - mruczał pod nosem Beridze, ale jednocześnie z ciekawością oglądał arkusze, które rozłożył przed nim Kowszow.

- Obliczenia potwierdziły możliwość poprzestania na jednej tylko stacji na lądzie, jeżeli trasa będzie przechodziła lewym brzegiem.

- Nigdy w to nie wątpiłem. Dla mnie osobiście wyliczenia są zupełnie zbyteczne. - Beridze niedbale odrzucił arkusz, przedtem jednak uważnie przebiegł go wzrokiem. - Mnie interesuje cieśnina.

Aleksiej opowiedział dokładnie, jakie ma plany. Beridze zobaczył rysunek Pieti Gudkina z przekreślonym wyliczeniem i znowu wpadł w gniew.

- To mi nie wystarcza. Nie zrobiliście nic w sprawie rozwiązania problemu cieśniny. - Beridze wstał i oparł się rękami o biurko. - Nawet nie przystąpiliście do rozwiązania zagadnienia przekopu.

- Wskażcie więc, w jaki sposób należy rozwiązać ten problem?

- Dlaczego ja mam wskazywać? - Beridze machnął ręką, futro zsunęło mu się z ramion, lecz nie podniósł go. - Sami nie wysilacie swego mózgu, tylko czekacie, aż wam podpowiem i opowiem. Nie jestem w stanie myśleć o wszystkim. Zmuście do pracy swoich inżynierów, którzy próżnują. Nawet w czasie pokoju nie wypadało brać pieniędzy za darmo.

- Kogo macie na myśli? - zapytał szybko Aleksiej. - Tylko wskażcie konkretnie i sprawiedliwie. Moim zdaniem, ludzie pracują dużo i sumiennie.

- Czy, waszym zdaniem, Topolew też pracuje dużo i sumiennie? - wykrzyknął Beridze. - Stary sabotażysta!

- Tak, to nie jest już ogólnikowe oskarżenie! Ale z Topolewem nic zrobić nie mogę, mówiłem wam już o nim kilka razy.

- Nie ma potrzeby mówić mi o zdziwaczałym starcu. Bądźcie łaskawi na własną rękę radzić sobie z podwładnymi. Jeżeli nie możecie wycisnąć z niego jakiejś rzeczywistej korzyści, to odeślijcie go do wydziału kadr i niech go zwolnią, zgodnie z jakimś punktem „g” ustawy, bez odprawy pieniężnej. To nie przytułek dla zgrzybiałych próżniaków.

Aleksiej milczał zdając sobie sprawę, że jego sprzeciw nie odniósłby skutku. Było rzeczą jasną, że doświadczonego inżyniera nie można było odesłać do wydziału kadr, a tym bardziej zwolnić.

- Uprzytomnijcie sobie, co z tego wynika! - oburzał się dalej Beridze. - Brak projektu hamuje całą budowę, a równocześnie kierownik wydziału zajmuje się ubocznymi sprawami i osłania swego zastępcę!

- Nie zajmuję się ubocznymi sprawami i wcale nie osłaniam Topolewa.

- Byłem u was o wpół do dziewiątej, a nawet śladu waszego nie było! Traktujecie swoją pracę jak urzędnik - przychodzicie do biura punktualnie o wyznaczonej godzinie.

- Byłem na ćwiczeniach przysposobienia wojskowego i przyszedłem do pracy pięć minut przed dziewiątą.

- Otóż to! Za dużo macie zajęć nie mających nic wspólnego z pracą. Mogę was zwolnić od przysposobienia wojskowego.

- Z jakiej racji? Czy jestem lepszy albo gorszy od innych? Zresztą przysposobienie wojskowe nie jest przeszkodą w pracy.

- Żywa przeszkoda siedzi w waszym gabinecie. Gdy rozmawiałem z Topolewem, przekonałem się, że nie ma pojęcia o toku pracy. Nie staracie się wciągnąć go do roboty!

Kowszow przeczekał nowy wybuch gniewu i zauważył:

- Topolew zasługuje na specjalne traktowanie. Wszystkim nam na nim zależy, ale nie potrafiliśmy do niego podejść. Nie należy zapominać, że człowiek ten ma sześćdziesiąt lat.

- Panienka we wspaniałej sukni z gazy! Trzeba do niej specjalnie podchodzić, żeby jej na rąbek nie nadeptać - dociął Beridze.

- Popełniliśmy wobec niego wiele nietaktów - ciągnął dalej Kowszow. - Zbesztaliście go już przy pierwszym spotkaniu - to raz. Zrobiliście go moim zastępcą bez uprzedniego porozumienia się z nim - to dwa. Posadziłem go w swoim gabinecie i kazałem mu siedzieć naprzeciw siebie jak chłopaczkowi - to trzy. Obrażono go w gazetce ściennej - to cztery... Prawdę mówiąc nie oponowałbym teraz, gdyby go ode mnie zabrano. Krępuje mnie: hipnotyzuje gniewnym wzrokiem, zażywa zieloną tabakę i milczy jak głaz. Próbowałem mówić z nim poważnie, nie udało się; przerwał mi i powiedział coś w tym rodzaju: „Ja swój plan w życiu wykonałem, zobaczę czego wy dokażecie!..."

- Nie chcę więcej o nim słyszeć! - powiedział Beridze. - Możecie go nawet umieścić pod kloszem jak rzadki okaz kaktusa. Wzywałem was nie w jego sprawie.

W czasie rozmowy naczelny inżynier dotykał małych karteczek przypiętych szpilkami do dużej schematycznej mapy terenu budowy. Był to jego terminarz-kartoteka. Na kartkach wynotowane były najważniejsze sprawy. Tej czy owej kartki nie zdejmowano z mapy tak długo, aż oznaczona na niej sprawa została załatwiona. Aleksiej przypomniał sobie, jaki hałas powstał niedawno z powodu kartek Beridzego, gdy nowa sprzątaczka, uważając je za śmiecie, wyrzuciła kartki do kosza...

Beridze dostrzegł uśmieszek w oczach Aleksieja i powiedział niechętnie:

- Trzeba jak najprędzej kończyć pracę nad projektem. Załkind uprzedził mnie dziś, że czeka nas bój z Grubskim w Kierownictwie Krajowym. Mam zamiar osobiście sprawdzić nasze zasadnicze wytyczne. W najbliższych dniach udam się na trasę. Przejdę na nartach cały sporny odcinek lądowy, zbadam i lewy, i prawy brzeg. Byłoby lepiej, gdybyście poszli ze mną. Mogę, oczywiście, obejść się i bez was.

Popatrzył pytająco na Kowszowa, ale zadzwonił telefon i Aleksiej nie zdążył odpowiedzieć.

- U mnie, proszę - powiedział Beridze i oddał słuchawkę Aleksiejowi.

- Witam i pozdrawiam z okazji święta! – Aleksiej usłyszał z lekka stłumiony głos partorga i mimo woli pomyślał, że nawet w jego głosie kryje się dobroć. - Czy bardzo jesteś teraz zajęty?

- Jak zawsze. Nie bardzo.

- Czy możesz do mnie wpaść?

- Zaraz przyjdę.

Aleksiej odłożył słuchawkę i czekał na dalszy ciąg rozmowy z Beridzem. Czuł, że naczelny inżynier chce mu powiedzieć coś ważnego.

- Możecie odejść, jesteście wolni - Beridze podniósł się.

- Chcieliście coś powiedzieć...

- Idźcie do Załkinda - z naciskiem powtórzył Beridze. - Obiecaliście, że zaraz przyjdziecie. Nie każcie mu na siebie czekać!

Beridze narzucił futro na ramiona, usiadł i pogrążył się w papierach. Nie rozumiejąc przyczyny jego gniewu Kowszow postał chwilę, ale Beridze zachowywał się tak, jakby nie dostrzegał jego obecności.

14. Dzień i wieczór siódmego listopada

W gabinecie Załkinda siedział Grubski. Wyglądał odświętnie w nowym, nieskazitelnym, popielatym garniturze i szarym swetrze, spod którego widać było śnieżnobiałą koszulę i jedwabny krawat. Pierś jego zdobił order Odznaki Honorowej. Załkind miał także ordery Lenina, Czerwonego Sztandaru i Czerwonej Gwiazdy i także ubrany był odświętnie. Aleksiej źle się czuł w swoim zwykłym, codziennym garniturze.

- Siadaj, Aleksieju Nikołajewiczu - rzekł Załkind, mocno uścisnął jego dłoń i zwrócił się do Grubskiego. - Słucham was...

- Przyszedłem znowu do was jako do kierownika partyjnego. Moje odwołanie się do kierownika budowy, niestety, nie odniosło skutku. - Grubski mówił mentorskim tonem, z poczuciem wagi swoich słów i nawet nieco uroczyście. - Postanowiłem z początku umyć ręce. Jednak sumienie obywatela zmusiło mnie do ponownego złożenia kategorycznego protestu przeciwko decyzjom towarzysza Beridzego. Są one zbyt pośpieszne, błędne i zaprowadzą budowę w ślepy zaułek. Przemyślałem dokładnie swoje zarzuty i wyraziłem je w raporcie skierowanym do was.

„Jeszcze jeden memoriał” - chciał powiedzieć Aleksiej.

- Niepotrzebnie skierowaliście raport do mnie - zauważył Załkind. - Już wam mówiłem i znowu powtarzam, że jestem za propozycjami Beridzego i że będę go mocno popierał.

- Popełniacie błąd! - wykrzyknął Grubski i podniósł się z krzesła. - Jego śniada twarz pociemniała jeszcze bardziej. - Błagam was, nie poddawajcie się zewnętrznym efektom i pięknym słówkom. Doprowadzą one budowę do bardzo szybkiego upadku. Pożałujecie wtedy, gdy będzie za późno.

Aleksiej miał ochotę wtrącić się do rozmowy, ale Załkind powstrzymał go spojrzeniem. Partorg pocierał twarz dłońmi, jakby się mył i przez dłuższą chwilę milczał.

- Jesteście oczywiście szczery w swoim uporze, towarzyszu Grubski, ale to was nie usprawiedliwia. Chciałbym wam zadać jedno pytanie: a co będzie, jeśli okaże się, że Beridze ma rację? Przypuśćmy, że ja teraz widzę lepiej, który z was się myli, chociaż nie jestem inżynierem.

- Jeżeli ja się mylę - odpowiedział Grubski po namyśle – możecie oddać mnie pod sąd wojenny. Wtedy wybaczę Beridzemu, jeśli napluje mi w twarz.

- Zanim będzie sąd i sprawa, sami usiłujecie plunąć Beridzemu w twarz... - wtrącił Kowszow nie mogąc nad sobą zapanować.

- Nie śpiesz się - powstrzymał go Załkind. - Jesteście w błędzie właśnie wy, towarzyszu Grubski, a nie Beridze i ja. Bardzo źle, oczywiście dla was źle, że tak długo nie możecie uświadomić sobie niesłuszności waszego stanowiska. Ponieważ zwróciliście się do mnie, obiecuję wam, że skieruję wasz raport do pełnomocnika Komitetu Obrony Państwa lub do sekretarza Komitetu Krajowego. Niech oni rozstrzygają, kto z was ma rację, a kto jest winien. Ja, powtarzam, będę walczył o projekt Beridzego. Czy to wam odpowiada?

- Polegam na was i mam nadzieję, że w Rubieżańsku zrozumieją mnie - odrzekł Grubski. - Dałem raport inżynierowi Topolewowi do przejrzenia i podpisania. Jest on współautorem projektu i podziela moje poglądy. Wezmę od niego materiał i doręczę wam.

Po wyjściu Grubskiego Załkind przesiadł się do Aleksieja na kanapkę i podał mu swój skórzany kapciuch z tytoniem.

- Zapal sobie, Alosza. Nie lubię palić sam.

Aleksiej niezręcznie skręcał sobie papierosa. Załkind wziął od niego kapciuch i w mgnieniu oka zawinął tytoń w dwa maleńkie skrawki gazety.

- Jak ci się podobał Grubski? - zapytał Załkind puszczając wielki kłąb dymu.

- Wcale mi się nie podobał. Plącze się pod nogami i przeszkadza. Nieprzyjemny człowiek, a może nawet szkodnik. - Aleksiej zakaszlał zakrztusiwszy się dymem.

- Co z niego za szkodnik! - zaprzeczył Załkind. - Od rana byłem na Starcie. Była przed świtem taka chwila, kiedy wszystko ucichło. Rozmyślałem, na czym polega niezwykłość dzisiejszego dnia. - Na twarzy Załkinda zjawił się wyraz rozmarzenia. - Wyobraziłem sobie mieszkańców Moskwy w okopach pod Wołokołamskiem, marynarzy wśród głazów Sewastopola, ludzi Dalekiej Północy, mieszkańców Leningradu. Wyobraziłem sobie naszych braci pilnujących granic Dalekiego Wschodu. Wydaje mi się, że ludzie powinni być dzisiaj inni niż zwykle. Nie o to chodzi, żeby się nagle zupełnie zmienili - nie! Takie przypuszczenie byłoby naiwne. Pozostaną tacy sami, ale wszystko, co w nich jest najlepsze, powinno się dziś -właśnie ujawnić.

- Czy to ma jakiś związek z Grubskim?

- Owszem, Grubski wydał mi się dziś niezwykły. U niego przecież na pierwszym planie występuje lojalność i przestrzeganie form. Dawno już oświadczył, że nie zgadza się z waszymi zmianami w projekcie. Zdawałoby się więc, że zrobił wszystko, reszta nie powinna go już obchodzić. A słyszałeś? I on zaczął mówić o sumieniu obywatelskim! Wierzy w swoją słuszność i czynnie stara się jej dowieść.

- Dobrze, przypuśćmy, że Grubski jest dziś, jak na niego, niezwykle aktywny. Czy nie uważasz jednak, że jego aktywność przynosi szkodę budowie, chociaż on sam nie jest szkodnikiem? Trzeba go wypędzić, jeśli już nie można oddać pod sąd!

- Zbyt pochopnie! Sytuacja nasza jest bardziej skomplikowana, niż ci się wydaje, mój drogi. Wypędzić go zawsze zdążymy. Mimo wszystko jest przecież wybitnym inżynierem, autorytetem wśród budowniczych i autorem nie wycofanego jeszcze projektu. Starą techniczną koncepcję projektu odrzuciliśmy i prawie już stworzyliśmy nową. Jednak oficjalnie projekt nasz nabierze mocy dopiero z chwilą, kiedy za zgodą Moskwy zostanie zatwierdzony w Rubieżańsku.

- To znaczy, niech Grubski dalej przeszkadza?

- A któż mu pozwoli przeszkadzać? Jeżeli chcesz wiedzieć, widzę pewien obiektywny pożytek z obecności Grubskiego. Wbrew swym intencjom pomaga tworzyć nowy projekt. - Załkind chytrze przymrużył oczy.

- Jakoś dotąd nie dostrzegłem tej pomocy! - zaśmiał się Aleksiej.

- Czyż Grubski nie wnosi do waszej pracy elementu niepokoju? Wy poddajecie rewizji jego projekt, a on krytykuje wasze innowacje. Czy nie zmusza was to do poważniejszego obmyślania wszystkiego? Projekt, powstający w trakcie walki z nim, będzie solidniejszy, bardziej uzasadniony. Nawet ostatni jego raport - i ten przyniesie korzyść. Będę musiał posłać go do Rubieżańska. To przyśpieszy rozpatrzenie projektu. Bez tego raportu w Rubieżańsku czekano by na nasz projekt Teraz Pisariew będzie musiał natychmiast wezwać Grubskiego i nas wszystkich dla przeprowadzenia poważnych rozmów. Dlatego powtarzam wciąż Beridzemu i tobie: śpieszcie się!

- Teraz rozumiem, dlaczego Beridze z takim pośpiechem wybiera się na nartach na trasę i dlaczego tak na mnie napadł - powiedział Aleksiej. - Wiele rzeczy mamy gotowych, ale nie klei się na razie sprawa przejścia przez cieśninę. A co się tyczy Grubskiego - nie przekonałeś mnie; mimo wszystko - to szubrawiec!

- Jesteś pochopny w ocenie człowieka! Fotografowie mają taki termin: zdjęcia kontrastowe, czarne i białe, bez półtonów. Niepotrzebnie starasz się widzieć ludzi w sposób kontrastowy. Prościej i łatwiej jest oczywiście wpisać wszystkich wątpliwych i niezupełnie skrystalizowanych ludzi na listę szkodników. W życiu jednak jest inaczej. W naszym kraju szkodnikami są jednostki, a ludzi, którzy mogą się nie podobać z powodu swych licznych wad, jest sporo. Nie można przecież odpychać ich od siebie! Grubski nie jest wrogiem j. na swój sposób jest uczciwy. Całe nieszczęście, że jest zarozumiały, konserwatywny i że brak mu samokrytycyzmu. To dobry inżynier i umie chyba nie mniej niż Beridze. Różnica między nimi polega na tym, że Beridze - to nowator, a Grubski - epigon. Opowiadano mi, że według niego nie podlegają dyskusji żadne poglądy zagranicznych autorytetów w zakresie nauki i techniki.

- Cóż się z nim stanie? - zapytał Aleksiej. - Czy postanowiłeś wychować Grubskiego na nowo?

- Dlaczego ja? U nas zmienia i stawia człowieka na właściwe miejsce zespół, cały nasz system. Między nim a Beridzem dojdzie na pewno do decydującej walki, w której Grubski zostanie pokonany. Wtedy będzie musiał wybierać: albo zacznie pracować z Beridzem nad realizacją tego projektu, albo będzie musiał opuścić budowę.

- Czy myślisz, że Grubski zmieni się, jeżeli w końcu zrozumie swój błąd?

- Bezwarunkowo! Uznanie błędu wywoła w nim głęboki wstrząs. Gdy Grubski przejdzie przez to, stanie się entuzjastą budowy.

Aleksiej z niedowierzaniem kiwał głową - zaciskał wargi.

- Obawiam się, że nie doczekamy się u niego entuzjazmu i zbudujemy rurociąg bez Grubskiego, jak również i bez mego sędziwego zastępcy. Zgodnie z twoją teorią i Topolew, ta zimna skamielina, powinien dziś wykazać się czymś niezwykłym?

- Powinien. Radzę ci, byś mu się dobrze przyjrzał. Dziś jest taki dzień, przyjacielu, że każdy, kto ma duszę, mimo woli ją obnaży. Nie oczekuj tylko od Topolewa od razu jakichś niezwykłych czynów; znajdź cechy niezwykłe w rzeczach codziennych, prostych, niemal niedostrzegalnych. Ten stary jest wiele wart.

- Zadziwiła mnie dziś pewna dziewczyna - przyznał się Aleksiej. - Robiła zawsze wrażenie lekkomyślnej podfruwajki i nagle powiedziała poważnie piękne słowa. Czy to potwierdza twoją teorię?

- Potwierdza. - Załkind zaśmiał się cichym, serdecznym śmiechem.

- Ja też mogę opowiedzieć o pewnej dziewczynie - o Tani Wasilczenko. Co prawda, nie będzie to już przykład na poparcie mojej teorii. Dziś rano spotkałem ją na Starcie, przygotowuje tam swoją kolumnę. Pogadaliśmy naprędce i odczułem, że jest jakaś wzburzona. Nie trudno to było zauważyć. Zwykle jest twarda, cięta w języku i agresywna w dodatnim znaczeniu słowa. O co chodzi? - myślę sobie. „Cóż Taniu, czy jesteś zadowolona teraz?” - pytam. „Bardzo” - powiada, ale w głosie jej brzmiała niepewność. I wydało mi się, że nie ma ochoty tak od razu nas opuszczać. Zapytałem: „Czym jesteś zdenerwowana?” „Niczym” - mówi. I wyczułem, że sama nie wie, co jej jest. Może tu jakieś uczucie weszło w grę?

„Ech, Gieorgiju, zmąciłeś spokój dziewczyny” - pomyślał Aleksiej i odrzekł:

- Zdziwił mnie dziś nasz brodacz.

- Tak, dla niego dzisiejszy dzień jest szczególnie ważny i doniosły.

- Zły jak wiedźma. Ryczy i rzuca się.

- Zły? - zdziwił się Załkind. - Moim zdaniem, nie ma człowieka lepszego niż Beridze dzisiaj. - Spojrzał na zegarek i wstał. - No, Alosza, musimy nadrobić stracony czas. Wezwałem cię, aby przypomnieć, że należy spieszyć się z projektem. Następnie musimy uzgodnić godzinę dzisiejszego posiedzenia egzekutywy. Powinniśmy przyjąć Beridzego właśnie dziś. Myślę, że zbierzemy się o trzeciej po południu.

- Przyjąć Beridzego? Do czego przyjąć?

- Nic ci nie powiedział? Zastanawiające! - zdziwił się Załkind. - Wczoraj w nocy przyniósł mi podanie o przyjęcie do partii. Wystawiłem mu opinię polecającą, drugą dał Batmanow. Myślałem, że trzecią dostanie od ciebie.

Aleksiej był wstrząśnięty. Przypomniał sobie, że w klubie Beridze podchodził do niego chcąc się zapewne poradzić i prosić o polecenie go. Tymczasem Aleksiej pozbył się go. Rano zapewne wpadł też nie bez powodu. Teraz zrozumiał zdenerwowanie towarzysza i całe jego dzisiejsze zachowanie. Aleksiej, wzruszony, nie bardzo rozumiał, co mówił dalej Załkind. Na szczęście, Załkinda oderwał telefon.

Rozmawiał z trzecim odcinkiem. Ponieważ nie miał bezpośredniego połączenia, musiał prowadzić rozmowę za pośrednictwem telefonisty.

- Zapytajcie Tiomkina, co u niego słychać. Dziś powinien nastąpić przełom na odcinku. W takim dniu można porwać ludzi do największego czynu.

Załkind słuchał i z wyrazu jego twarzy można było wyczytać, jak bardzo chwyta go za serce to, co mu komunikowano. Tiomkin zawiadamiał, że ludzie pracują z zapałem, bez wytchnienia... Z rana robota nie szła, ale Niekrasow zmienił w toku pracy rozmieszczenie brygad i teraz idzie lepiej. Przeprowadzka mienia z prawego brzegu posuwa się energicznie. Dobre budynki postanowiono rozebrać i przenieść. Jednocześnie robi się drogę na trasie odcinka i rozszerza nadbrzeżny plac na nowym miejscu.

- Jak tam Jefimow? Gdzie jest i co robi? - zapytał Załkind.

- Jest z nami - przekazał lakoniczną odpowiedź telefonista; Załkind domyślił się, że Tiomkin nie chce wdawać się w szczegółową rozmowę.

Aleksiej wstał. Załkind zasłonił ręką słuchawkę i powiedział;

- Jeszcze nie wszystko, Aleksieju. Muszę otrzymać od ciebie rzeczowy artykuł o nowym projekcie do najbliższego numeru gazety. Trzeba wyjaśnić ludziom, jakie są trudności, co robiono, czego nie zrobiono i z jakiego powodu. Po takim artykule posypią się z trasy nowe pomysły i rady. Pamiętasz, co Mielników powiedział na konferencji? Artykuł musi być gotowy na jutro. Zgoda? A pod wieczór, jeśli nic nam nie przeszkodzi, pojedziemy do miasta - do fabryki Tieriechowa. Nie masz nic przeciwko temu? Doskonale, a więc - do widzenia o trzeciej!

Idąc za pierwszym impulsem Aleksiej skierował się do Beridzego. Znalazłszy się w pokoju sekretarki, zatrzymał się nie mając odwagi pokazać mu się na oczy. Nie mógł sobie wyobrazić, jak zostanie przyjęty, ani też wymyślić żadnego pretekstu do rozmowy. Nie chciał, aby jego przybycie wywołało nowy wybuch rozdrażnienia. Zdecydował, że lepiej przeczekać, aż Beridze się uspokoi.

Muza Filipowi a zauważywszy wahanie Aleksieja, z własnej inicjatywy weszła do gabinetu naczelnego inżyniera; wróciła speszona:

- Powiedział, że jest zajęty. Nic nie rozumiem. Pokłóciliście się?

- Mniej więcej - bąknął Aleksiej zdenerwowany i wrócił do siebie.

Obok biurka Topolewa przechadzał się Grubski. „Podpisywali memoriał, sukinsyny!” - pomyślał Aleksiej. Obaj inżynierowie byli czymś wzburzeni. Mały nosek Grubskiego zupełnie zsiniał i Grubski obcierał go chusteczką, cieniutko poświstując. Topolew siedział nieruchomy i zły; Wąsy drgały mu jak u morsa.

- Więc nie zgadzacie się, Kuźmo Kuźmiczu? - spytał Grubski przykrym, prokuratorskim tonem.

- Nie zgadzam się, Piotrze Jefimowiczu, stanowczo się nie zgadzam - odpowiedział Topolew twardo i odwrócił się od swego byłego zwierzchnika w stronę okna.

- Nie będę ukrywał, że jestem zdziwiony i rozżalony – powiedział Grubski; zwinął memoriał w rulon i wyszedł.

„Rozłam w obozie wroga” - domyślił się Aleksiej. - „Załkind miał rację: skamielina ożyła, poruszyła się, zadrgało w niej życie”.

Nastrój Aleksieja poprawił się. Zaczął wpatrywać się w Topolewa tak uporczywie, aż tamten także podniósł na niego oczy spod krzaczastych brwi. Trzeba było zabrać głos i Aleksiej rzekł:

- Pomóżcie, Kuźmo Kuźmiczu! Partorg zlecił nam napisanie do gazety artykułu o projekcie. Trzeba wyjaśnić zespołowi nasze trudności. Może to stanie się nowym bodźcem, który pobudzi inicjatywę ludzi na trasie.

- Nie nadaję się na korespondenta robotniczego. Nigdy nie zajmowałem się pisaniną - odburknął starzec.

Aleksiej zrozumiał, że nie potrafił wykorzystać odpowiedniej chwili, ażeby zbliżyć się do Topolewa. Rozmowa z Grubskim wyraźnie go wyprowadziła z równowagi i nie należało teraz narzucać się starcowi. Przypomnienie o gazecie było niestosowne. Topolew żywił jeszcze żal z powodu karykatury.

- Poradźcie mi chociaż, jak przedstawić ludziom sprawę cieśniny. Nic przecież nie postanowiono w sprawie przekopu, nie wiadomo, jak się do tego diabła zabrać.

Topolew wstał i wyszedł nie rzekłszy słowa. Aleksiej, wściekły, jednym szarpnięciem chwycił za słuchawkę telefonu, który przenikliwie zadźwięczał.

- Stary chrzan! - ryknął w słuchawkę zamiast „halo” i zaśmiał się usłyszawszy głos Tani. - Nie, to nie do was. Jesteście raczej młodą marchewką, jeśli już miałbym użyć takiego porównania. Przyjdźcie choćby zaraz, waszych spraw nie można odkładać...

Tania przyszła z Fiedosowem. Sprzeczali się: Fiedosow - żartobliwie, Tania - z irytacją.

- Popatrzcie, czego jeszcze żąda to miłe dziewczę. To po prostu okropne! - Fiedosow położył przed Aleksiejem zapotrzebowania na materiały. - I na dodatek chce, żeby wszystko wydać jej natychmiast. Nie liczy się ani z kolejnością robót, ani z naszymi możliwościami. Daj - i koniec!

- Nie chcę liczyć się z możliwościami. - Tania usadowiła się w fotelu i spojrzała chłodno na uśmiechającego się pięknolicego intendenta. - Jutro ruszamy i najważniejsze rzeczy musimy dostać dzisiaj. Resztę trzeba wysłać zaraz po naszym wyjeździe.

- Ledwie mianowali dziewczynę kierownikiem, a od razu straciła połowę swych zalet... - pokpiwał Fiedosow przewracając ciemnymi błyszczącymi oczami. W obecności Tani był bardziej ożywiony niż zwykle i gdy mówił, wyczuwało się, iż sam się sobą zachwyca.

- Moje zalety nie są załącznikami do zapotrzebowań i nie powinny was interesować. Jestem gotowa stać się babą-jagą, byleby dostać potrzebne materiały. Wydajcie mi je. Macie odpowiednie zlecenie. Czy znów mam iść do Beridzego ze skargą na was?

- Wyobraźcie sobie - wtrącił Fiedosow - że Taniusza zdążyła już obmówić mnie przed naczelnym inżynierem, a ten - nie zważając na dzisiejszy uroczysty dzień - nagadał mi mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy. Chodzę jak ze zgagą, jakbym się objadł słoną rybą...

Aleksiej przejrzawszy wykaz przerwał mu:

- Tania ma rację. Skreślić można tylko pewne drobiazgi, które tu zaznaczyłem. Poza tym, na podaniu jest aprobata naczelnego inżyniera. Czy ona was nie obowiązuje? Czemu się targujecie?

- Obowiązuje, absolutnie obowiązuje - Fiedosow wziął z biurka wykaz i westchnął. - Och, cóż za nudni ludzie! Jakże z wami można mówić rzeczowo! Zapytalibyście lepiej, skąd ja to wszystko wezmę?

- Nie udawajcie - niemal zgryźliwie powiedziała Tania. - Macie wszystko pochowane w swoich zasiekach. Po prostu żal wam oddawać. Chcielibyście, aby rurociąg zbudowano z powietrza! A składy pełne wszystkiego chcecie trzymać pod kluczem! Doprawdy stajecie się gorszym skneran niż Liberman.

- No, już dobrze, nie gniewaj się, Taniusza. Wylezę ze skóry, ale dam wam wszystko. - Fiedosow pochylił się i czule objął ramieniem Tanię.

Tania odsunęła się od niego.

- Podziękuję wtedy, gdy otrzymam wszystko.

- A więc jutro wyruszacie? - wtrącił Aleksiej. - A pożegnalna zabawa?

- Zabawa? -Tania powtórzyła pytanie i westchnęła: - Kłopotów masa, a przy tym jestem przecież bezdomna - gdzie ją urządzić?

- U mnie! - ucieszył się Fiedosow. - Właśnie zbiera się dobra kompania. Zaprosimy i Beridzego...

- Co tu ma do rzeczy Beridze? - Tania spojrzała podejrzliwie na Fiedosowa.

Rozmowę przerwało wejście Filimonowa i Libermana. Wstąpili po Aleksieja, aby razem jechać na Start. Fiedosow ujrzawszy Libermana zachmurzył się. Liberman przywitał się z Aleksiejem i Tanią, a na Fiedosowa nawet nie spojrzał. Intendenci w dalszym ciągu boczyli się na siebie i po zarządzie krążyły dowcipy na temat kawałów, jakie sobie nawzajem urządzali.

Fiedosow odciągnął na chwilę Aleksieja na bok.

- Naprawdę, przyjedźcie wieczorem. Przecież dziś święto. Wypijemy trochę, pogadamy, amatorzy kart będą mogli sobie zagrać partyjkę. Musicie obcować z ludźmi. Żyjecie jak w klasztorze. Tak nie można! Beridzego też ściągnę. Tania też przyjdzie.

- Nie wiem - powiedział Kowszow.

- Interesuje się wami pewna dziewczyna - kusił Fiedosow. I dodał żartobliwie: - Nawiasem mówiąc, ja sam interesuję się tą dziewczyną, a wy mi nogę podstawiacie. Zresztą, dla dobra kompanii daruję krzywdę.

- Nie wiem, czy się dziś uda, mam jeszcze dużo spraw - wymawiał się Aleksiej. Domyślił się, że z pewnością chodzi o Żenię. - Dziękuję za zaproszenie, postaram się przyjść.

Tania odrzucając głowę śmiała się, a Liberman burczał:

- Nie ma w tym nic śmiesznego. Wam się to podoba, że ten tak kpi sobie ze mnie.

- Kto z was kpi? - zwrócił się do nich Kowszow. Z przyjemnością patrzył na piękną twarz dziewczyny, rozjaśnioną uśmiechem. Pomyślał przy tym: „Trzeba koniecznie pójść do Fiedosowa z Beridzem i z Tanią”.

- Wczoraj wieczorem ktoś do niego zatelefonował - zaczęła opowiadać Tania wskazując na Libermana. - Podniósł słuchawkę: „Tu Liberman, słucham”. A jakiś męski głos powiada: „Jesteście osłem”. Liberman naturalnie rozgniewał się i krzyczy: „Kto mówi?” A nieznajomy na to: „Wszyscy mówią” i powiesił słuchawkę.

- Nie pozostanę mu dłużny, wymyślę jeszcze lepszy kawał - odgrażał się Liberman.

- Może to nie Fiedosow, może ktoś inny zażartował. Poznaliście po głosie? - wyraził wątpliwość poważny Filimonow.

- To nie był jego głos, jakiegoś innego łobuza namówił.

Aleksiej zostawił na biurku Topolewa kartkę z prośbą, aby po raz drugi sprawdził kosztorysy budynków drewnianych wszystkich typów i przejrzał kilka pomysłów racjonalizatorskich, otrzymanych w ciągu dnia, a sam z Tanią, Filimonowem i Libermanem pojechał na Start.

Wyprawiali w drogę Silina, który sam prowadził traktor. Jego towarzysz wymachiwał czapką, wychyliwszy się zza drzwi „ślimaka”. Domek na płozach posuwał się wolno i długo jeszcze był widoczny na szarobiałej powierzchni rzeki.

Tania przyprowadziła Aleksieja do magazynu, w którym telefoniści robili przygotowania do wymarszu na trasę. Na piąty odcinek, na którym urywała się linia, Tania miała zamiar dostać się z kolumną samochodami i rozpocząć swoją robotę od Tywlina. Aleksiej jak najstaranniej sprawdził wyposażenie członków ekipy i ustalił, w czym jeszcze zarząd powinien im pomóc w najbliższym czasie. Komsomolcy

byli podnieceni i z niecierpliwością oczekiwali następnego dnia. Tania była posępna i zatroskana. Spoglądała z utajoną trwogą na młodych towarzyszy, którzy nie zdawali sobie jeszcze należycie sprawy z oczekujących ich trudów.

Kowszow odgadując jej nastrój rzekł z cicha:

- Nie martw się. Im trudniej, tym większy spokój powinien panować w duszy. Niech chłopcy wspominają jak najczęściej nie Nowińsk, lecz Moskwę i swoich rówieśników, którzy teraz o nią walczą. Tylko nie upadaj na razie na duchu, znajdź w sobie hart, bądź dzielniejsza, niż jesteś zwykle.

Tania spojrzała na Aleksieja z wyrazem wdzięczności.

Kłopoty i rozmowa z telefonistami sprawiły, że Aleksiej omal nie zapomniał o posiedzeniu egzekutywy partyjnej. Spostrzegł się dopiero wtedy, gdy do magazynu przyszedł po niego Filimonow.

Beridze siedział ze spuszczoną głową i nie podniósł oczu nawet wtedy, gdy wszedł Aleksiej z Filimonowem. Prócz nich wszyscy członkowie egzekutywy byli już w komplecie.

- Jesteście nam dłużni dziesięć minut - z naganą upomniał przybyłych Załkind i otworzył posiedzenie. W smutnej postaci Beridzego Aleksiej wyczytał wyrzut: „Nawet w takiej chwili mego życia nie potrafiłeś przyjść na czas...”

Załkind spokojnym głosem odczytał deklarację: „Dziś, kiedy śmiertelne niebezpieczeństwo zawisło nad ojczyzną, nie mogę pozostawać poza szeregami partii Lenina-Stalina”. Następnie podał dane zawarte w ankiecie. Aleksiej, który przez cały dzień był pod wrażeniem nieporozumienia z Beridzem, wsłuchiwał się teraz ze szczególną uwagą w dane zawarte w życiorysie inżyniera i widział je w nowym świetle.

„Ma teraz trzydzieści pięć lat - myślał Aleksiej - zatem ja mam o osiem lat życia więcej przed sobą. Żona umarła sześć lat temu w czasie porodu. Beridze nigdy o tym nie mówił. Ojciec poległ w okresie wojny domowej. Matka-staruszka - wspominał o niej nieraz - mieszka w Gori”.

Wykaz miejsc pracy Beridzego był bardzo długi. W rozmowach niekiedy wspominał: „pracowałem tam i tam”, ale to nie docierało do świadomości, jako szczegół bez większego znaczenia. Obecnie z suchego wyliczenia dat, miejsc pobytu i miejsc pracy układała się żywa charakterystyka człowieka.

Skończył instytut w roku 1929. Aleksiej przypomniał sobie, jak to Beridze kiedyś powiedział, że początek jego pracy inżynierskiej zbiegł się z początkiem stalinowskich pięciolatek. Projektował fabrykę na Zaporożu. Pracował w Dnieprostroju[12] jako kierownik robót. Budował nadbrzeża rzeki Moskwy. Brał udział w projektowaniu chemicznego kombinatu w Bierieźniakach. W Semipałatyńsku budował kolej żelazną. Na Dżygdzie opracowywał projekt zaopatrywania w wodę kopalni złota.

Następnie jako ochotnik pojechał na Daleki Wschód dla badań terenowych, związanych z budową olbrzymiej magistrali od Bajkału do Oceanu Spokojnego. Przy tej okazji zainteresował się hydroenergetyką Dalekiego Wschodu i stworzył dwa projekty elektrowni wodnych - na Olgochcie i na Czongrze. Gdzieś w okolicach Arsenjewa poznał Batmanowa, który w tym czasie został mianowany kierownikiem budowy magistrali i zagospodarowywał się na dzikich, pierwotnych obszarach. Szybko zaprzyjaźnili się i wkrótce Beridze pracował jako naczelny inżynier budowy pod kierownictwem Batmanowa. Na krótko przed wojną obaj otrzymali skierowania na zachód. W ciągu trzech lat Beridze

[12] Dnieprostroj - budowa Dnieprogesu. (Patrz str. 61). - Red.

prowadził budowy na południu i tam właśnie poznał go Aleksiej. Powrót na Daleki Wschód kończył życiowe etapy Beridzego.

Partorg nie pomijał w ankiecie niczego; odczytał więc, że Beridze był nagrodzony dwoma orderami: Czerwonym Sztandarem Pracy i Odznaką Honorową; że wielokrotnie był wymieniany w rozkazach i nagradzany; że nie był karany dyscyplinarnie ani sądownie; że do żadnej partii dawniej nie należał. Rekomendacji wymaganych przy wstąpieniu do partii udzielili Beridzemu Załkind, Batmanow i Pisariew - pełnomocnik Komitetu Obrony Państwa. Wszyscy polecający znali Beridzego od wielu lat. Czytając list rekomendacyjny Pisariewa Załkind nadmienił:

- Pełnomocnik przysłał go dziś przez okazję samolotem.

Wszystkie dokumenty zostały odczytane. Beridze krótko opowiedział o swoim życiu. Partorg poprosił o zadawanie pytań, ale ich nie było; tylko Grieczkin zainteresował się jakimi szczegółem projektu elektrowni wodnej na Olgochcie.

- Oczekiwałem i obawiałem się jednego pytania, towarzysze - zaczął mówić zmieszany Beridze z wypiekami na twarzy. - Pytania zupełnie naturalnego: dlaczego dopiero dzisiaj wstępuję do partii. Mam już przecież trzydzieści pięć lat, inżynierem zostałem w okresie radzieckim... Nie zadaliście mi tego pytania. Nie mogę go jednak pominąć... Wyznaję uczciwie: nie kryje się za tym żadna poważna przyczyna. Zdawało mi się zawsze, że wstąpienie do partii jest tylko formalnością i że wystarczy wewnętrznie odczuwać swą partyjność. W instytucie i w pierwszych latach pracy rozumowałem następująco: jeżeli wstąpię do partii, to prace społeczne i różne obciążenia z tym związane oderwą mnie od nauki i od zajęć technicznych. Byłem istotnie świadkiem podobnego wypadku z moim kolegą. Przykro jest mówić o takim przejawie lekkomyślności, ale niestety, w jakimś stopniu towarzyszyła mi ona do ostatnich czasów mimo moich lat. Możecie, oczywiście, pomyśleć, że Beridze wstępuje do partii ot, tak jakoś nagle, bez namysłu! Jednak krok ten nie jest przypadkowy. Możecie mnie kontrolować, towarzysze, jak chcecie - pod każdym względem jestem komunistą! - Beridze był bardzo wzruszony. Aleksiej słuchając poddał się także wzruszeniu. - Od pierwszego dnia wojny czułem się bardzo źle dlatego właśnie, że byłem poza partią. Zwłaszcza, kiedy usłyszałem wypowiedź pewnego łajdaka w tym mniej więcej sensie, że na wypadek zwycięstwa Niemców znacznie lepiej być bezpartyjnym. Moja bezpartyjność stała się dla mnie nieustannym wyrzutem...

Beridze odetchnął głęboko.

- Niedawno odbywała się u nas konferencja partyjna. Wyznaję, że nie mogłem znaleźć sobie miejsca, dopóki się nie skończyła. Zapytałem siebie: „Dlaczego jesteś na uboczu, czyż to zgodne z twoją naturą?”

Ktoś, powiem zresztą kto - Tania Wasilczenko - zapytała mnie: „Dlaczego nie jesteście na konferencji?” I nie miałem odwagi przyznać się, że jestem bezpartyjny. Wczoraj podczas przemówienia towarzysza Stalina powiedziałem sobie: „Beridze, nie możesz być dłużej poza partią ani jednego dnia, ani jednej godziny”.

Beridze mówił gorąco i z przyzwyczajenia albo targał palcami brodę, albo dotykał różnych przedmiotów. Wszyscy jednogłośnie wypowiedzieli się za przyjęciem go do partii. Grieczkin uśmiechając się podniósł obie ręce.

- Chwileczkę, dwa słowa - powiedział Załkind, kiedy wszyscy poruszyli się przypuszczając, że posiedzenie jest skończone. Po oczach Załkinda i po hamowanym uśmiechu, po sposobie mówienia, Aleksiej poznał, że partorg też jest wzruszony. - Nastały teraz trudne czasy, towarzysze, dla naszego kraju, dla narodu i dla partii. Czasy niebezpieczeństwa, którego jeszcze nie doświadczyliśmy... Takie

czasy są sprawdzianem ludzi. Czasy te określają ściśle jak kwas, co jest szlachetnym metalem, a co nikczemną rdzą, która do niego przywarła. Najlepsi nasi ludzie wiedzą, że losu ich nie da się oddzielić od partii bolszewickiej i stają zwarcie pod jej sztandarami. Pragną dzielić z partią wszystkie ciężkie doświadczenia walki. Żołnierze na froncie idąc w bój składają deklarację: „Proszę uważać mnie za komunistę”. I na towarzysza Beridzego patrzę jak na żołnierza naszej armii, mającego wypełnić trudne zadanie w imię zwycięstwa; do zadania tego chce przystąpić jako komunista. Z całego serca gratuluję ci, towarzyszu Beridze!

Obu rękami uścisnął dłoń naczelnego inżyniera, spojrzał mu w oczy i objął ramionami. Po nim podszedł Batmanow, również uściskał Beridzego i szepnął: „Już dawno trzeba było tak, mój drogi”. Zaraz za nimi zbliżył się Aleksiej. Beridze spojrzał na niego i uśmiechnął się; z twarzy Kowszowa, jak zawsze, można było wyczytać wszystko, co przepełniało jego duszę. Aleksiej cieszył się i był nieco zmieszany. Beridze pociągnął go ku sobie. Pocałowali się.

Dzień chylił się ku wieczorowi. Wszyscy śpiesznie rozeszli się do swych gabinetów. W korytarzu dogonił Kowszowa już ubrany Załkind.

- Jedziemy do Tieriechowa. Co, zapomniałeś, że umówiliśmy się? Nie patrz tak żałośnie na zegarek, potem sobie powetujesz stracony czas...

Samochód mknął po drodze, jakby po dnie głębokiego rowu, pomiędzy dwoma wysokimi wałami śniegu. Trzymając ręce w wielkich rękawicach na kierownicy i wpatrując się w przestrzeń poprzez obmarzające szkło, Załkind od czasu do czasu rzucał znaczące spojrzenie na siedzącego przy nim inżyniera.

- Jeszcze raz powtarzam: piękny jest dzień dzisiejszy, przyjacielu! Czuję się tak, jakbym otrzymał prezent od Beridzego. Byłem bardzo dumny z niego. Czytałem ankietę i myślałem: wspaniałych ludzi wychowała władza radziecka! Całe zastępy fachowców, mistrzów w swym zawodzie, ludzi zupełnie nowych pod względem ideologii i treści wewnętrznej. Faszyści dziś niszczą wszystko, co żywe i cenne na naszych ziemiach. Skończy się wojna... Trzeba będzie zabrać się do odbudowy. I odbudujemy prędko i jeszcze lepiej, niż było! Dlaczego? Dlatego, że mamy dziesiątki i setki tysięcy oddanych Stalinowi fachowców, mamy bardzo wielu takich jak Beridze, posiadających doświadczenie i wiedzę. Prawda, Alosza?

- Tak - zgodził się Kowszow. - Ja również myślałem o tym, tylko inaczej.

- A jak? - Załkind na chwilę oderwał wzrok od drogi.

- My, młodzi ludzie, wychowani przez władzę radziecką, powinniśmy być teraz bardzo wymagający wobec siebie samych.

- Wymagający - w czym? W sensie uświadomienia sobie własnych obowiązków?

- Nie, to rozumie się samo przez się, to jest podstawą wszystkiego - oddanie ojczyźnie i partii, gotowość zrezygnowania ze spraw osobistych, nawet z życia, jeżeli tego wymaga obowiązek. Mam na myśli co innego. Młody obywatel radziecki mający trzydzieści lat nie powinien być niedouczony. Powinien doskonale znać zawód, który sobie wybrał! Mamy tysiące kierowników, inżynierów, architektów, chemików, nauczycieli, lekarzy - prawdziwych mistrzów w swoim zawodzie. Ale mamy też jeszcze wielu ludzi niedouczonych, po prostu zawodowo nie przygotowanych do życia. A przecież wszyscy mieli jednakowe możliwości.

Samochód wjechał w pędzie na nie ubity odcinek drogi i ugrzązł w zaspie śniegu. Zręcznie manewrując biegami i obracając kierownicą Załkind starał się wyprowadzić go z niebezpiecznego miejsca. Nie od razu mu się to udało.

- Myślałem, że ugrzęźniemy - powiedział Aleksiej.

- Próżna obawa. Masz szofera pierwszej klasy - z dumą zauważył Załkind.

Samochód potoczył się równo. Załkind nie zapomniał, o czym przed chwilą rozmawiali.

- Wyraziłeś ciekawą myśl, Alosza. Mnie również interesuje to zagadnienie: dlaczego nasi ludzie, żyjący w tych samych warunkach, z równymi prawami w społeczeństwie i nawet, powiedzmy, z równymi wrodzonymi zdolnościami, dochodzą do różnych rezultatów w życiu? Nie mogę spokojnie mówić o Jefimowie. Myślę o nim cały czas i nie mogę powstrzymać się, aby nie porównywać go chociażby z Tieriechowem, do którego jedziemy. Są w jednym wieku, razem przybyli do Nowińska, zdaje się, że nawet w jednej grupie komsomolców. Tu uczyli się pracować, tu dojrzeli, stali się członkami partii. Teraz zaś można ich, być może, porównywać, ale nie można postawić obok siebie. Tieriechow zuch, sam zobaczysz. O Jefimowie już ci opowiadałem. Dlaczego Tieriechow jest dzisiaj doskonałym dowódcą armii pracy, czy może, skromniej mówiąc, dywizji, a Jefimowa, szczerze mówiąc, należałoby właściwie zwolnić? Dlaczego wytworzyła się taka różnica między nimi w tej trudnej godzinie próby? - Załkind spojrzał pytająco na Aleksieja.

- Można ich chyba porównać z Batmanowem i Sidorenką?

- Owszem. Może to wynika z różnego ich stosunku do samych siebie, z tego, że jeden przestał od siebie wymagać? Prawdopodobnie Tieriechow kształtował się normalnie, a Jefimow - nie. Z początku obaj zapowiadali się jednakowo dobrze. Wysunięto ich na stanowiska kierownicze... Tieriechow traktował ten awans jako „zaliczkę", którą należało jeszcze odpracować. Nieustannie uczył się i zdołał ukończyć Korespondencyjny Kurs Instytutu Moskiewskiego. Jefimowowi natomiast wydało się, że wysunięcie to jest naturalnym uznaniem jego zalet. Zdecydował, że już osiągnął wszystko. Od któregoś momentu przestał pracować nad sobą i pozostał w tyle. Może się mylę, Aleksieju? - Załkind wzruszył ramionami. Zauważywszy dziurę w drodze przyhamował auto i poprowadził je bokiem. - A może nie Jefimow jest winien, lecz my, że wysunęliśmy go przedwcześnie? Jak przyjemnie jest, przyjacielu, stwierdzać sukcesy ludzi i jak przykro widzieć ich klęski.

Zamarzająca szyba przeszkadzała Załkindowi obserwować drogę, więc co chwila oczyszczał ją ze szronu. Aleksiej oparł głowę i zamknął oczy.

Miasto z jego nie kończącymi się dzielnicami standardowych domków drewnianych dawno już pozostało za nimi. Jakiś czas droga wiła się wśród dwóch rzędów wzgórz pokrytych śniegiem. Za ostatnim wzgórzem rozpościerała się na szerokiej równinie dzielnica fabryczna. Widać było regularne ulice, wybrukowaną jezdnię, asfaltowe chodniki, duże cztero- i pięciopiętrowe domy murowane i dziesiątki gmachów fabrycznych, otoczonych wysokimi ogrodzeniami.

- Jak myślisz, Alosza, dokąd cię przywiozłem? - Załkind nie mógł się powstrzymać, żeby z lekka nie zakpić. - Pamiętasz, jak po przyjeździe burczałeś, że za dużo mówi się o Nowińsku, że to wcale nie miasto, lecz po prostu plac budowlany. Więc przyjrzyj się. Fabryki, dzielnice mieszkalne, kluby, szpital. Widać nawet z samochodu. A gdybyś tu był przed ośmiu laty, ujrzałbyś kilka nanajskich fanz i głuchą tajgę...

W obszernej poczekalni zatrzymała ich sekretarka,

- U dyrektora rozpoczęła się niedawno konferencja. Wybaczcie, towarzyszu Załkind, ale spytam się, czy was przyjmie.

Po chwili wróciła i nie zamykając drzwi do gabinetu powiedziała: - Dyrektor prosi.

Tieriechow, o młodej twarzy, czysto wygolonej, zgrabny i elegancki, w nowym granatowym garniturze, wstał od biurka, aby ich powitać. Reszta obecnych podniosła się również.

- Narada będzie krótka - powiedział Tieriechow. - Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, to obradować będziemy dalej. Będzie to trwało najwyżej dziesięć minut.

- Naturalnie - zgodził się Załkind, - Posłuchamy. Jestem ciekaw, na jaki temat odbywa się narada w fabryce amunicji na Dalekim Wschodzie w doniosłym dniu siódmego listopada.

- Jak wam wiadomo, towarzyszu Załkind, w ostatnich czasach pilnie zajmowaliśmy się przygotowaniem fabryki do przejścia na nowe, ulepszone metody produkcji specjalnej. - Tieriechow mówił spokojnie, spoglądając to na Załkinda, to na Kowszowa. - Właśnie dziś, siódmego listopada, wprowadzamy trzy poważne innowacje: transporter w odlewni, system produkcji potokowej w oddziale mechanicznym i godzinowy rozkład pracy w całej fabryce. Wszystkie oddziały zaciągnęły od rana stalinowską wartę. Obecnie dobiega końca pierwsza zmiana i podsumowujemy wyniki.

Narada potoczyła się dalej. Tieriechow prowadził ją sprężyście. Na sprawozdanie przeznaczono jedną lub dwie minuty bez względu na to, kto będzie referował: majster oddziału, technolog czy naczelny inżynier. Istotę sprawy wszyscy znali i rozumieli, należało tylko zakomunikować wyniki, przedstawić trudności i swoje pretensje.

Tieriechow, nie podnosząc głosu i nie używając obraźliwych słów, stawiał zarzuty kierownikowi zaopatrzenia technicznego.

- Robię wam dziś wymówkę w imieniu całej fabryki. Wczoraj wieczorem obiecaliście dostarczyć na rano oliwę. Gdzież ona jest? Zawiedliście nas. Jeżeli nie mogliście jej dostać, to nie trzeba było obiecywać. Nasza praca nie da żadnych rezultatów, jeżeli ja i naczelny inżynier najmiemy się do was w charakterze pomocników. Sami radźcie sobie ze swoimi sprawami.

Po chwili przerwy Tieriechow zwrócił się do naczelnego dyspozytora i kierownika oddziała mechanicznego.

- A wy nie zrozumieliście godzinowego rozkładu pracy. Polega on na tym, aby w każdej godzinie wiedzieć dokładnie, czy fabryka pracuje w odpowiednim tempie, ile części zrobiono w ciągu godziny, który z działów spóźnia się, gdzie jest niezdrowy skok naprzód. Wy zaś nie potrafiliście nawet obliczyć części wykonanych w ciągu zmiany.

Po skończonej naradzie Tieriechow zbliżył się z uśmiechem do siedzących na uboczu Załkinda i Kowszowa.

- Z tego, że gderałem tu i wymyślałem, nie wyciągajcie wniosku, że praca u nas idzie zupełnie źle. Odwrotnie. Pierwsza zmiana dała nam dziś 140 procent normy w głównych oddziałach, a więc o 20 procent więcej niż wczoraj. Dzień jest pomyślny i jestem z niego bardzo zadowolony. Nawiasem mówiąc, nie zapomnij, Michale Borisowiczu, że my pierwsi w kraju przechodzimy na system produkcji potokowej i godzinowy rozkład pracy.

- O tym nie wolno zapomnieć - odezwał się Załkind.

- Zapewne będziecie chcieli sprawdzić, czy Tieriechow wykonuje wasze zamówienia? - zwrócił się Tieriechow do Aleksieja. - Nie boję się, możecie sprawdzać... Wasze zamówienia na agregaty przyjąłem i przekazałem do biura konstrukcyjnego.

- Dziś sprawdzać nie będziemy. Przyjechaliśmy na twoje zaproszenie jako goście. Nasza budowa przeżywa okres tworzenia się, wszystko jeszcze dymi i wrze. U was jest już następne stadium - wszystko w ruchu. Czy sam pokażesz nam fabrykę?

- Tylko sam. W razie potrzeby będzie łatwiejsza obrona... Ale przede wszystkim wysłuchaj mego zażalenia. Telefonowałem do ciebie kilka razy, ale nigdy nie mogłem cię zastać.

- Zażalenia? Skrzywdzono cię? Trudno uwierzyć. Na kogo się skarżysz?

- Na Miejski Komitet. Żyć mi nie dają towarzysze...

- To ciekawe - ożywił się Załkind.

- Opowiadałem ci już kiedyś... Jak wiesz, dostatecznie orientuję się w dziedzinie techniki i mogę swobodnie kierować tym odcinkiem przedsiębiorstwa nawet bez naczelnego inżyniera. Natomiast niedostatecznie znam zagadnienia ekonomii i zmuszony jestem ślepo ufać swoim ekonomistom i buchalterom. Przyniosą mi, na przykład, plan albo bilans, ograniczam się tylko do jego podpisania. Próbowałem wniknąć w te sprawy, ale nic z tego nie wyszło. Niewiele rozumiem, czepiam się rzeczy drugorzędnych, liczb, które rzucają się w oczy. Pomedytowałem i postanowiłem uzupełnić swoje wykształcenie. Złożyłem podanie i wstąpiłem na Korespondencyjny Wydział Instytutu Planowo-Ekonomicznego, na trzeci rok studiów.

Tieriechow wyjął srebrną papierośnicę, poczęstował gości papierosami i zapalił malutką, chromowaną zapalniczkę, miniaturkę miny.

- W tych dniach przysłano z instytutu pierwsze schematy prac kontrolnych - ciągnął Tieriechow. - Wieczorem zebrałem kilku buchalterów i ekonomistów i zaczęliśmy wspólnie pracować. Im również to się przyda. A tu jak na złość licho przyniosło któregoś z instruktorów Komitetu Miejskiego. I zaczęło się gadanie: „Tieriechow zwariował, znalazł sobie rozrywkę w czasie wojny!...” Nie mogę się pokazać na mieście, bo zaraz zaczynają się żarty: „A-a-a, dyrektor-student!” - Tieriechow wzruszył ramionami i spojrzał na Załkinda. - Przecież moja nauka nikomu nie szkodzi, a kiedyś na pewno da dobre wyniki. Troszcząc się o mój czas towarzysze powiadają, że odrywam się od zasadniczych spraw. Ale co komu do mojego czasu? Od nikogo nie pożyczam go i nikogo nie obciążam moimi obowiązkami. Niech wymagają ode mnie przestrzegania planu i porządku w fabryce, tak jak gdybym był po prostu dyrektorem, a nie dyrektorem-studentem.

- Słusznie - Załkind podniósł się z miejsca. - Podobasz mi się w roli studenta. Pochwalam to. Z dowcipnisiami pogadam i na pewno odczepią się od ciebie.

Załkind spojrzał na Kowszowa. Aleksiej ujrzał na twarzy partorga ten sam wyraz dumy, z jakim przed godziną przyjmował do partii Beridzego.

Udali się do fabryki. Dyrektor szedł naprzód z rękami wsuniętymi w boczne kieszenie sukiennej kurtki. W odlewni ogłuszył ich hałas, jak gdyby po szynach toczyły się jednocześnie ze dwie setki kół. Na wielkich sitach dziewczęta przesiewały piasek i czerwoną glinę. Następnie glinę i piasek zsypywały do dużych metalowych bębnów, które obracając się, bardzo szybko kruszyły masę; one to właśnie były powodem ogłuszającego hałasu. Do jednego z bębnów dwóch chłopców dodawało substancje wiążące: dekstrynę i oliwę.

Większą część hali oddziałowej zajmowały długie, jasno oświetlone stoły. Stojące po obydwu stronach robotnice napełniały rdzeniową masą formy wmontowane w stoły.

- Co słychać, ludu roboczy? - zagadnął Załkind młodziutką dziewczynę, która nie przerywając niezwykle szybkich ruchów rąk rozmawiała z koleżanką i uśmiechała się spoglądając na dyrektora.

- Bardzo dobrze! Bo co?

- Nic. Właśnie tak zrozumiałem: bardzo dobrze. Z pięćdziesiąt procent wyrabiasz?

- Tyle wyrabiała moja babcia Matrena, kiedy miała dziewięćdziesiąt lat.

- Ależ języczek! - z zadowoleniem zaśmiał się Załkind.

- Uraziłeś ją - ujął się za dziewczyną Tieriechow. - Obie z koleżanką wyrabiają po sto pięćdziesiąt procent.

Obrzuciwszy spojrzeniem halę i robotników Tieriechow powiedział:

- Oto nasza klasa robotnicza. Poza specjalistami zostawiliśmy mężczyzn tylko przy najcięższych pracach, przechodzących siły kobiet i młodocianych. Daliśmy Czerwonej Armii cały pułk żołnierzy.

Chudziutki staruszek w zatłuszczonej kurtce i w czapce płaskiej jak placek powitał ich przy wejściu do odlewni.

- Starszy technolog Baturin, król kopulaka[13] - przedstawił go Tieriechow patrząc na starego wzrokiem pełnym serdeczności.

Baturin wyglądał na straszliwie zmęczonego, policzki miał zapadnięte, a zaczerwienione oczy łzawiły bez; przerwy.

- Po tej zmianie, Iwanie Iwanowiczu, idźcie do domu odpocząć. Raz jeszcze zabraniam wam pozostawać w fabryce po kilka dni z rzędu. Nie pociągniemy długo, jeśli będziemy nadużywali swych sił.

- Dzisiaj mnie nie ruszajcie, proszę was, Iwanie Korniłowiczu - odpowiedział Baturin nieoczekiwanie niskim basem, nie harmonizującym z jego mizerną postacią. - Nie mogę przecież opuścić stalinowskiej warty, sami to rozumiecie. - I natychmiast dodał z uśmiechem: - O ile mi wiadomo, wy również od tygodnia nie byliście w domu.

- Macie niedokładne wiadomości, Iwanie Iwanowiczu. Spójrzcie - jestem czysty, ogolony i w odświętnym odzieniu. Jestem w porządku - odpowiedział dyrektor.

- Ten staruszek to jego teść - szepnął Aleksiejowi Załkind.

Po stromych schodkach, obiegających spiralnie cylindryczne, rozpalone i huczące żelazne cielsko kopulaka, weszli na górę. Przez duży wsyp widać było buzujący błękitnawy płomień. Buchał straszliwy żar. Wchodzących w jednej chwili ogarnęło gorąco.

- Początek wytopu. Drzewo już się pali, wentyle - otwarte. Nałożono już koks, a za chwilę zaczną kłaść metal - wyjaśnił Baturin.

Wysoki chłopak z osmoloną twarzą wyprostował się na moment, aby spojrzeć i przywitać przybyłych gości i dalej olbrzymią szuflą wrzucał kawałki metalu w ziejącą ogniem paszczę. Aleksiej jak

[13] Kopulak - mały piec do wytapiania żelaza. - Red.

zaczarowany patrzył na płomienie ognia, które huczały, dudniły, syczały, wiły się i tłukły we wnętrzu pieca. Wrzuciwszy cały łom leżący na kupce, robotnik zaczął ważyć koks.

- Czy dawno już pracujecie w odlewnictwie? - zwrócił się Aleksiej do Baturina.

- O, dawno. Z żoną żyję już czterdzieści pięć lat, a z kopulakiem poznałem się jeszcze wcześniej.

- A skąd jesteście? Z Uralu?

- Nie, tutejszy. Ojciec pochodził z przesiedleńców, chłop. A ja na całe życie związałem się z fabryką. Dawniej pracowałem w rubieżańskim arsenale, słyszeliście o nim?

- Iwan Iwanowicz jest patriarchą licznego rodu Baturinów - powiedział Załkind. - Wszędzie ma tutaj siostry i braci, synów i wnuki. A synowie, Iwanie Iwanowiczu, wyjechali?

- Dwóch wyjechało do Rokossowskiego, a jeden został tu, jest w Straży Ochrony Pogranicza. Ale nie jest zadowolony. „Trzeba było i mnie jechać z braćmi, powiada, siedzieć tu nie ma sensu". - Stary zmrużył oczy i spojrzał uważnie na Załkinda. - Jak sądzicie, Michale Borisowiczu, Japończyk będzie stać czy też ruszy na nas?

- Przecież ty, Iwanie Iwanowiczu, lepiej znasz Japończyków niż ja - byłeś partyzantem w oddziale Bojki-Pawłowa. Jak myślisz: wyruszą Japończycy przeciwko nam czy nie?

Porozmawiali jeszcze chwilę, potem zeszli w dół i udali się do wysokiego budynku odlewni. Było tu dość ciemno. Migocący blask płynnego metalu zaćmiewał światło lamp elektrycznych. Dokoła sali biegł transporter - nie kończący się łańcuch połączonych ze sobą wózków na szynach. Tieriechow rozejrzawszy się, spiesznie podbiegł do tablicy rozdzielczej. Oprowadzenie gości po hali zlecił Baturinowi.

Przy wejściu przygotowywano rozkładane formy do odlewania min. Skompletowane formy z rdzeniami wewnątrz przesuwały się na transporterze do kopulaka.

Wysoki i barczysty robotnik w niebieskich okularach przebił łomem glinianą przegrodę i roztopiony metal rzucając oślepiający blask popłynął korytem. Dwóch odlewników w skupieniu trzymało czerpak, napełniający się metalem. Pierwszy czerpak wylali, a z następnym pobiegli do kolejnej formy i zaczęli ją napełniać. Z tylnej części formy z łoskotem buchnął gazowy płomień. Po napełnieniu drugiej formy wylali resztę rozżarzonej cieczy na ziemię i wrócili, by zluzować drugą parę giserów.

- Bierzcie mniej metalu - za duże zlewki! - zawołał Baturin.

Goście szli za konwejerem. Robotnicy zdejmowali górną część formy.

Ukazywał się korpus miny malinowego koloru. Jeden z robotników miarowym ruchem wybijał go z formy na ręczny wózek, którym rozżarzone odlewy podwożono na wytrzęsarkę i umocowywano w uchwycie. Metalowy mały sworzeń[14] wytrzęsarki postukiwał po korpusie miny tak długo, dopóki nie wysypała się masa formierska, której rola była już skończona. Korpus miny próżny wewnątrz był z grubsza gotów.

Zbliżali się do tablicy rozdzielczej, przy której stał Tieriechow.

- Uprzedźcie wszystkich robotników, że przyśpieszam bieg transportera - wydał polecenie kierownikowi oddziału. - Zauważył Załkinda i przywołał go ruchem głowy. - Dowodzę im, że należy przyśpieszyć bieg. Odpowiadają mi na to, że ludzie nie nadążą i będzie więcej braków. Ale i teraz jest

---

[14] Sworzeń - trzon, rdzeń. - Red.

dużo braków, ponieważ kopulaki przelewają. Lepiej więc od razu nadać transporterowi szybkość, przy której piece nie będą wyprzedzać. Ludzie też od razu przyzwyczają się do szybszego tempa i nie trzeba będzie uczyć ich na nowo.

Załkind trącił Aleksieja zwracając jego uwagę na Tieriechowa. Odblask połyskującego metalu padał na twarz młodego dyrektora; energia i stanowczość czyniły ją piękną. Przyśpieszywszy ruch konwejera Tieriechow przeszedł szybko w kierunku przeciwnym do jego biegu. Przyglądając się pracy na poszczególnych etapach, rzucał krótkie odpowiedzi na uwagi robotników.

Przy wyjściu z odlewni przystanęli. Baturin pożegnał się z gośćmi; śpieszył się do swych pieców. Załkind zatrzymał jego rękę w swej dłoni mówiąc:

- Gdy będziecie pisali do synów, załączcie pozdrowienia ode mnie. Przyjmowałem ich do partii. A zdrowie swoje, Iwanie Iwanowiczu, szanujcie. Dyrektor ma rację: potrzeba nam wiele zdrowia, wojna będzie trwała długo.

Następnie Tieriechow zatrzymał gości przy stole starszego brakarza. Chuda, o zadartym nosie kobieta, z trudem trzymając w ręku ciężki korpus miny, sprzeczała się z wysokim chłopakiem w wojskowym mundurze.

- Twoje czepianie się przynosi szkodę i obniża nam produkcję. Gdzie ty tu widzisz raki?[15] Ja cię znam! Po prostu chcesz, żebyśmy siódmego listopada nie wykonali planu!

Kobieta z wysiłkiem podnosiła odlew prawie na wysokość twarzy starszego brakarza. Ten spokojnym ruchem odsuwał odlew na bok i strofował kobietę:

- Chcę nie mniej niż ty, aby fabryka wykonała plan z nadwyżką. Ale nie mogę puszczać braków. Przyjrzyj się lepiej, to sama zobaczysz. Zrozum, że tymi minami będą strzelać, a nie wbijać gwoździe!

- To mąż i żona, ona jest kontrolerem, a on brakarzem z ramienia Komisji Wojskowej. Świetne połączenie! - żartował Tieriechow. - Kłócą się co chwila i wciąż proszą, aby ich rozłączyć w pracy.

Kontrolerka zobaczyła dyrektora i rzuciwszy na ziemię ciężki odlew, podbiegła do niego.

- Towarzyszu dyrektorze! Kiedyż to się skończy? Zszarpał mi już wszystkie nerwy! Przenieście mnie stąd gdziekolwiek, nie mogę już dłużej na niego patrzeć!

- Nie zgadzam się, nie mogę was przenieść. Raczej rozwiedźcie się z nim i poszukajcie sobie innego męża - żartobliwie poradził Tieriechow.

W końcu goście znaleźli się w oddziale montażowym. Tu miny przybierały ostateczny wygląd i były pakowane do skrzyń - po dwie sztuki w każdej. Dziesięcioletni chłopak z wyrazem zakłopotania malował farbą na wiekach skrzynek napis: „Śmierć Hitlerowi".

Goście wychodzili już z montowni, kiedy muzyka płynąca z głośnika, ledwie uchwytna w zgiełku pracy, nagle urwała się i silny głos spikera uroczyście oznajmił, że łączą się z Placem Czerwonym. Tieriechow kazał wstrzymać pracę tam, gdzie to było możliwe. W nagłej ciszy rozległ się miarowy krok maszerujących po bruku kolumn, warkot i szczęk czołgów, szum dalekich okrzyków.

Kowszow spojrzał na zegarek: była piąta po południu. To znaczy w Moskwie - dziesiąta rano. Punktualnie o dziesiątej, jak zawsze! Te słowa, „jak zawsze", które nieoczekiwanie przyszły mu na myśl, wstrząsnęły nim. Wołokołamsk, Możajsk, Naro-Eomińsk - smutne komunikaty ostatnich dni -

[15] Raki - skazy, wady w lanym metalu. - Red.

i nagle, jak zawsze, o dziesiątej, defilada na Placu Czerwonym i z trybuny mauzoleum przemawia do narodu Stalin.

„Czyż wolno wątpić w to, że możemy i powinniśmy zwyciężyć niemieckich najeźdźców?"

Po policzkach Aleksieja niepowstrzymanie spływały gorące łzy radości.

...Budynki dzielnicy fabrycznej powoli tonęły w mroku zbliżającej się nocy. Samochód wiozący Załkinda i Kowszowa, oświetlając silnymi promieniami reflektorów leżącą przed nimi drogę, mknął w ciemnościach. Podniecony Załkind mówił:

- Jakże ciekawe jest życie, Alosza! Aż dech zapiera! Nasze dzieci i wnuki będą nam zazdrościły. Świetnie powiedział Gorki, trudno to lepiej wyrazić: „Najwyższa godność - to być człowiekiem na ziemi!"

W mieście Załkind zatrzymał samochód przed niewielkim domkiem, otoczonym drewnianym płotem. Wysokie zaspy śnieżne sięgały aż do okien.

- Wysiadaj Alosza, trzeba zjeść obiad - powiedział Załkind.

Inżynier zawahał się: od dawna już dokuczał mu głód, a jednocześnie niepokoiła pozostawiona praca. Załkind ujął go za rękę i wyciągnął z samochodu.

- Słuchaj starszych towarzyszy! Ile razy mam ci powtarzać to święte przykazanie?

Załkinda oczekiwała w domu żona - maleńka kobieta o czarnych, żywych oczach i córka - pięcioletnia dziewczynka z kędzierzawymi, ciemnymi włosami i okrągłą buzią.

- Rozbierajcie się, wujaszku, rozbierajcie się - powtarzała dziewczynka za matką.

- Śpieszymy się, Polino Jakowlewno - powiedział gospodarz. Kobieta zakrzątnęła się żywo.

Aleksiej nie mógł się pohamować i głośno wyraził swą radość urzeczony ciepłem i czystością rodzinnego domu Załkinda, w którym on, samotny i w pewnym sensie bezdomny, znalazł choć na krótko serdeczną gościnę. Miękko stąpając w puszystych futrzanych butach, które włożył po przyjściu, Załkind pomagał żonie przy nakrywaniu stołu. Mira - tak nazywała się dziewczynka - pokazywała Aleksiejowi swoje lalki. Załkind zauważył, że twarz inżyniera rozjaśniła się jak gdyby pod wpływem ciepła.

Wzdłuż ścian obu pokojów od podłogi do sufitu stały półki z książkami. Aleksieja ogarnęła chęć przejrzenia biblioteki. Ze smutkiem pomyślał, że dawno już nie grzebał się w książkach, że mało czyta.

- Długo zbierałem książeczkę po książeczce. Na szczęście w ciągu ostatnich lat mieszkam na jednym miejscu - powiedział Załkind.

Najwięcej było książek dotyczących Dalekiego Wschodu - od przekładów dzieł chełpliwych generałów japońskich na temat ekspansji na Ural, aż do nowych książek z zakresu gospodarki rolnej na terenach odwiecznej marzłoci. Aleksiej przeglądał jedną książkę po drugiej. Wiele z nich widział po raz pierwszy. Dał sobie słowo, że przeczyta całą bibliotekę Załkinda i na początek wybrał książki Arsenjewa.

Na osobnej półce przy biurku leżał nieduży stos skromnie wydanych książek pisarzy Dalekiego Wschodu i komplet miejscowej gazety. Dedykacje na tytułowych kartach książek świadczyły o przyjaźni gospodarza z autorami.

- Bywają u mnie i ja im dokuczam mówiąc żartem, że wszystkie te książeczki mogę wziąć w jedną rękę - opowiadał Załkind. - Wzbudziło się we mnie jakieś dziwne uczucie zazdrości; denerwuję się, gdy widzę dobrą książkę napisaną przez pisarza nie pochodzącego z Dalekiego Wschodu. Najlepsze i najdokładniejsze książki o naszym kraju powinny powstawać u nas. Któż, jak nie my, może być autorytetem w sprawach Dalekiego Wschodu? Zabierz i przejrzyj te książki w wolnych chwilach.

Z pewnym żalem partorg mówił dalej:

- Literaci, którzy nie wyjechali na front, zajmują się opisywaniem epizodów wojennych nie oglądanych nigdy własnymi oczami. Nasz kraj stanowi obecnie głębokie zaplecze i dlatego zapomnieli o nim. A powinni właśnie pisać o zapleczu, o tym, w jaki sposób Daleki Wschód bierze udział w wojnie.

- Czy Daleki Wschód bierze udział w wojnie? - zapytał Kowszow przekomarzając się z gospodarzem.

W odpowiedzi Załkind pogroził mu palcem.

Przy obiedzie Aleksiej chwalił wszystko, czym go częstowano.

- Dlaczego tak mało jesz? - zapytał Załkind córeczkę. - Nie smakuje ci ryba? Słyszysz, wujaszek Aleksiej ją chwali. A on już z pewnością zna się doskonale na zakąskach - przyjechał przecież z Moskwy.

- Mała, jak się okazało, płakała dziś całe rano. Poszła na spacer i omal nie odmroziła sobie nóg - powiedziała Polina Jakowlewna. - Muszę ją zostawiać w domu samą - jestem nauczycielką, uczę w szkole języka rosyjskiego i literatury. Innych kłopotów mam także dużo.

- Płakała? - z żartobliwym oburzeniem powtórzył pytanie Załkind.

- Szkoda, że mnie nie było. Nie pozwoliłbym. Cóż to za moda? Beczeć? Lońka nigdy nie płakał.

- Kiedy mnie bardzo bolało! - skarżyła się dziewczynka. - Gdyby mniej bolało, to bym nie płakała.

- Cóż z tego, że boli. Ty na złość temu bólowi powstrzymaj się, uśmiechaj się.

Było widoczne, że rodzinę Załkinda łączyły więzy mocnej, wypróbowanej przyjaźni. Życie płynęło tu raźnie, z humorem, z pogardą dla drobnych niewygód i wszelkich przejawów słabości. Wzajemna sympatia była naturalna i trwała, nie udawano jej specjalnie - przy obcych, jak to się zdarza w niektórych rodzinach.

Załkind spojrzał pytająco na żonę.

- Nie, ani listów, ani depesz… - odpowiedziała zrozumiawszy jego nieme pytanie.

- Do Komitetu Miejskiego też nic nie nadeszło?...

- Od kogo oczekujecie wiadomości? - zapylał Aleksiej.

- Od moich braci... Mam ich trzech, wszyscy na froncie. Dawno już nie miałem listu. Od jej rodziców i sióstr także. Mieszkali w Mariupolu, od pierwszych dni wojny nie mamy żadnych wiadomości. Od syna, Lońki - wyliczał Załkind - jesienią ukończył szkołę morską we Władywostoku i od razu odpłynął do Ameryki. Mam jeszcze jedną córkę - uśmiechnął się. - Też nic nie pisze, ale za to codziennie telefonuje. Jest w Rubieżańsku, w Instytucie Lekarskim.

- W mieście mówią, że Japończycy zatopili nasz statek handlowy koło Wysp Kurylskich. Czy to prawda? - zapytała Polina Jakowlewna. Po jej twarzy przesunął się cień niepokoju.

- Tak, prawda - powiedział Załkind i spojrzał jej w oczy.

- Zaraz przygotuję kawę. - Wstała.

- Siedź, sam to zrobię.

Załkind zabrał się do przygotowania kawy na maszynce elektrycznej. Smakowity zapach napełnił cały pokój.

- Cóż to za bolączka, ci Japończycy! - mówił. - Bolączka, która już tyle lat nie daje nam spokoju - zwrócił się do Aleksieja. - Mam z nimi porachunki osobiste. Przed dwudziestu laty byłem komisarzem w partyzanckim oddziale. Pod względem okrucieństwa i bestialstwa faszyści japońscy nie ustępują hitlerowcom. Gdyby na nas napadli, trzeba by wywozić kobiety i dzieci do tajgi. Ale nie napadną. Stary Baturin dobrze powiedział, że czekają na upadek Moskwy, ale nie doczekają się...

Załkind poszedł po filiżanki.

- W dwudziestym pierwszym roku Japończycy w oczach męża rozszarpali jego przyjaciela - cicho powiedziała Polina Jakowlewna. - Lońka jest synem tego kolegi. Adoptowaliśmy go, kiedy nie miał jeszcze trzech lat.

Wróciwszy do zarządu Aleksiej z pasją pogrążył się w pracy. Topolew poszedł już do domu. Na biurku Kowszowa pozostawił napisane wyraźnym, okrągłym pismem uwagi o kosztorysie i projektach racjonalizatorskich. Staruszek uważał, że do kosztorysu należy wnieść zmiany, obniżające koszty drewnianych budynków. Spośród wniosków, które napłynęły z trasy. Topolew popierał dwa: sposób prostej i szybkiej fabrykacji gontów do pokrycia dachów oraz przyrząd do ładowania rur na samochody. Aleksiej wezwał inżyniera i polecił mu opracować zaakceptowane przez Topolewa. ulepszenia techniczne i rozesłać je na odcinki.

Do gabinetu zajrzał nieśmiało Pietia Gudkin. Od dawna już z niecierpliwością czekał na kierownika wydziału. Aleksiej sprawdzał obliczenia i wykres, a Pietia patrzył z niepokojem. Ku zdumieniu technika Kowszow nie miał żadnych uwag i nawet pochwalił poprawioną pracę. O porannym zdarzeniu nawet nie wspomniał. Aleksiej wzruszony serdecznym przyjęciem w domu Załkinda, przyciągnął do siebie młodego technika:

- Zuch z ciebie, synku!... Teraz idź zabawić się. W klubie mamy dziś przedstawienie i tańce.

Pietia, zmieszany, nie mógł zdobyć się na odpowiedź, chwycił wykres i rzucił się do drzwi przewracając po drodze krzesło.

Aleksiej poszedł do biura projektów. Tam wspólnie zaczęto omawiać nie opracowane jeszcze fragmenty projektu. Największą troską była nie rozwiązana dotąd kwestia przekopu w cieśninie. Aleksiej wzbudził zainteresowanie inżynierów wiadomością o oficjalnym proteście Grubskiego przeciw zasadniczym założeniom nowego projektu.

- Każdego dnia mogą nas wezwać do Rubieżańska. Należy się pośpieszyć. Nie wolno zwlekać ani chwili - rzekł zatroskany Aleksiej.

Przy Aleksieju inżynierowie nie wyrazili swej opinii o postępowaniu Grubskiego, ale zaledwie wyszedł, aby rozmówić się telefonicznie z drugim odcinkiem, w pokoju rozgorzał spór. Większość pracowników wydziału trudziła się sumiennie i wytrwale nad nowym projektem, ale nie wszyscy byli ostatecznie przeświadczeni o słuszności tez Beridzego. Niektórzy inżynierowie wciąż jeszcze wątpili w możliwość przeniesienia trasy na lewy brzeg Adunu i układania rur na dnie cieśniny w okresie zimy. Kategorycznie jednak odmawiał słuszności nowemu projektowi tylko jeden jedyny Fursow, starannie ubrany mężczyzna, o ładnej, wypieszczonej twarzy i siwej głowie.

- Piotr Jefimowicz Grubski podjął się szlachetnej misji, podziwiam jego odwagę - mówił patetycznie Fursow. - Wielu z nas w głębi duszy zgadza się z nim, ale nie może się zdobyć na to, żeby go poprzeć.

- W imieniu wielu nie zabierajcie głosu! - ostro odpowiedział Kobziew podnosząc znad arkusza swą rozczochraną głowę. - Całe nieszczęście, że Grubskiego nie ma w czym popierać. Czyż można obecnie bronić starego projektu, kiedy samo życie już go obaliło?

- Przecież wy sami, Anatolu Siergiejewiczu, negowaliście pomysły tego gorącego syna Kaukazu - przypomniał Fursow.

- Negowałem z początku, ale teraz nie neguję. Drogi mi jest los budowy. Zależy on od projektu i aby projekt był dobry, jestem gotów zrobić wszystko, na co mnie stać.

- I wy też jesteście za tym, żeby trasa przebiegała lewym brzegiem? Wy, którzy wiecie dobrze, dlaczego Grubski w swoim czasie zrezygnował z tego?

- Czas już, abyśmy, jako współtwórcy planu, przestali mówić o prawym i lewym brzegu - powiedział twardo Kobziew. - Decyzja zapadła i o prawym brzegu trzeba zapomnieć. Życie samo pokaże, czy Beridze ma rację. Po bliższym poznaniu naczelnego inżyniera uwierzyłem w niego i jestem przekonany, że wkrótce udowodni nam ostatecznie słuszność swej decyzji.

- Błogosławieni, którzy wierzą - uśmiechnął się złośliwie Fursow poprawiając szalik na szyi. - Ja nie wierzę w Beridzego.

Kobziew zerwał się, rzucił linijkę i cyrkiel. Ostrze cyrkla wbiło się w rysunek.

- W pierwszych dniach pracy z Beridzem i Kowszowem można było jeszcze wybaczyć pewne nasze wahania. Teraz są one niewybaczalne. - Łagodny zazwyczaj Kobziew mówił ostro i z naciskiem. - Ostatnio w tym pokoju Kowszow powiedział: „Wszyscy jesteśmy tu współautorami nowego projektu. Wiele rzeczy jest w nim jeszcze niejasnych, ale mimo wszystko zrobimy go”. Nie przeczyłem, ponieważ zgadzam się z nim. Widocznie inni nie oponowali również dlatego, że z czystym sercem, szczerze pracują nad projektem. Nasze wątpliwości są wątpliwościami ludzi całą duszą oddanych budowie. Ale powiedzcie, Fursow, dlaczego nie zaprzeczaliście Kowszowowi? Przecież nie uważacie siebie za współautora projektu. Jesteście po stronie Grubskiego, twórcy starego projektu.

- Dlaczego się tak unosicie, Anatolu Siergiejewiczu? - odezwał się pojednawczo Fursow. - Czyż nie wolno mi mieć własnego zdania i wypowiadać go, kiedy mi się podoba? Nie unoście się, na miłość boską, wcale nie mam zamiaru kłócić się z wami.

- A ja nie zamierzam z wami się godzić i poproszę naczelnego inżyniera i kierownika wydziału, aby uwolnił nas od waszej dwulicowej współpracy nad projektem!

- Słusznie! Biega do Grubskiego dwadzieścia razy dziennie. Niech sobie idzie na stałe do niego - odezwał się Pietia. Technik, siedząc przy swym stole, z oburzeniem słuchał Fursowa i był zadowolony, że Kobziew dał mu odprawę.

Podczas gdy współpracownicy Aleksieja się sprzeczali, on sam w pokoju, gdzie był węzeł łączności, rozmawiał z odcinkami. Telefonował do niego traktorzysta Silin, który pomyślnie dotarł na swym „ślimaku” do drugiego odcinka i pytał, czy ma prawo zostawać na odcinkach, jeżeli zajdzie potrzeba okazania im pomocy, czy też powinien, nie zważając na nic, jechać wprost nad cieśninę. Na drugim odcinku zwrócono się do niego z prośbą o pomoc przy konstruowaniu pługa do oczyszczania dróg ze śniegu oraz o sprawdzenie dwóch zepsutych traktorów.

- Prawdę mówiąc, mam tu jeszcze i sprawę osobistą - tłumaczył Silin. - Niedaleko stąd znajduje się przedsiębiorstwo leśne, gdzie pracowałem przed przyjściem na budowę. Tam na moim miejscu pracuje moja żona jako traktorzystka. Muszę się z nią porozumieć w pewnej bardzo ważnej sprawie.

- Uważam, że powinniście zatrzymywać się na wszystkich odcinkach, gdzie tylko wasza pomoc będzie potrzebna - odpowiedział Aleksiej. - Oczywiście nie zatrzymujcie się na długo, bo nigdy nie dojedziecie do cieśniny. Do waszych spraw rodzinnych nie chcę się wtrącać. Jeżeli musicie porozumieć się z żoną w ważnej sprawie - to wstąpcie do niej.

Na linii ktoś się zaśmiał. Silin myśląc, że to Kowszow, powiedział:

- Tylko nie pomyślcie sobie tam czegoś... O żadnych figlach nie myślę... Chciałem się tylko z nią porozumieć co do naszych oszczędności, chcę je złożyć na budowę czołgu. Może by nawet na cały czołg starczyło.

Ktoś słuchający ich rozmowy gwizdnął zdziwiony.

- Dobrze, towarzyszu Silin. Ani ja, ani Filimonow nie wątpimy w waszą rzetelność. Postępujcie według waszego uznania zależnie od okoliczności. Co do czołgu - to całkowicie zgadzam się z wami. Mogę nawet dołożyć trochę pieniążków, jeżeli nie starczy...

Z kolei rozmawiał z Aleksiejem Mielników. Pytał:

- Otrzymaliście moje dzieło?

- Nie. Jakie dzieło?

- Zreferowałem pewien pomysł. Może naprowadzi was na myśl, jak zrobić przekop w cieśninie.

- Twoje dzieło będzie trzy lata wlokło się do nas. Powiedz krótko, co wymyśliłeś?

- Pierwsze stadium prac to obnażenie dna cieśniny - przekrzykiwał Mielników inne głosy. - Osiągnie się to przy pomocy stopniowego wymrażania wody z powierzchni. W miarę jak woda zamarza, usuwa się lód i stopniowo powstaje pewnego rodzaju korytarz w lodzie. Kiedy pokaże się dno, nastąpi drugie stadium pracy - kopanie rowu jakimkolwiek zmechanizowanym sposobem.

Aleksiej milczał zastanawiając się nad propozycją.

- Halo, gdzieście się podzieli, towarzyszu Kowszow? - zawołał Mielników.

- Nigdzie! Zastanawiam się nad wartością twego pomysłu. Ale nie bardzo mi się podoba!

- Dlaczego?

- W ten sposób można dać sobie radę z niewielką rzeczułką, my zaś musimy pokonać szeroką dwunastokilometrową cieśninę. Oczywiście, zastanowimy się nad twoim projektem, gdy otrzymamy list. Na razie podzieliłem się z tobą moim pierwszym wrażeniem.

...Nieprzerwanym szeregiem następowała jedna sprawa po drugiej. Aleksiej zabrał się do pisania artykułu. Przeszkodziło mu przybycie Grieczkina.

Inżynier nie umiał gniewać się długo, zapomniał już o rannym zajściu na ćwiczeniach przysposobienia wojskowego.

- Obu nas wzywa Batmanow. Pytał, gdzie jest odpowiedź na depeszę z Komisariatu Ludowego, i rozkaz o zimowej organizacji robót. Gniewał się i kazał przyjść do siebie...

Wspólnie zredagowali długą depeszę do Komisariatu Ludowego, zaprojektowaną przez Grieczkina. Następnie przejrzał obliczenia zasobów koniecznych do prowadzenia zimowych robót i przedyskutowali ewentualną treść rozkazu. Oderwał ich od pracy dzwonek - znowu wzywał ich kierownik budowy. Udali się do niego umówiwszy się przedtem, że nie będą wspominać o rozkazie.

U Batmanowa siedział Beridze i pykając fajkę, w skupieniu obliczał coś na papierku. Batmanow przebiegł oczyma depeszę, podpisał i wyczekująco spojrzał na Kowszowa i Grieczkina.

- To wszystko?

- A cóż jeszcze? - z niewinną miną zapytał Grieczkin.

- Spójrz, Gieorgiju Dawydowiczu, na tych aniołów! Jak gdyby nie domyślali się nawet, po co ich wezwałem. Postanowili, jak widzisz, wykręcić się depeszą. A gdzie rozkaz? Gdzie obliczenia? Powinny być u mnie na stole. Czy rozumiecie, że to jest ważny dokument, dyrektywa w sprawie przygotowania ofensywy? Rozumiecie czy nie? Pytam was!

- Rozumiemy - odpowiedział Grieczkin.

- Dlaczego więc zwlekacie! - Dajcie go!

- Rozkaz nie jest gotowy.

- Chcecie go dać na -wiosnę?

Grieczkin tłumaczył się brakiem czasu.

- Człowiek nie wie, do czego się wpierw zabrać. Wszystko pilne, wszystko terminowe. - Maszyna ruszyła pełną parą, trudno nadążyć...

- Nie mówcie takim żałosnym tonem i tak nie zrobię dla was czterdziestu ośmiu godzin z jednej doby. Powiedzcie lepiej wprost, kiedy dacie rozkaz. Wam także brak czasu, także nie wiecie, co wpierw wziąć do ręki? - zwrócił się Batmanow do Kowszowa.

- Czasu jest oczywiście mało. Ale przecież i wy go nie pomnożycie. Ja chciałbym zapytać z kolei, czy zmieniliście termin. Mieliśmy przedstawić rozkaz jutro, a wy dzisiaj już nam wymyślacie?

- Nie zmieniłem terminu, ale zdaje się, że będę musiał to zrobić. Prędzej niż za tydzień nie dojdę z wami do porozumienia, a odkładać nie można.

- Rozkaz przedstawimy jutro - przyrzekł Kowszow.

W poczekalni Grieczkin napadł na Aleksieja:

- Czemuś się tak pośpieszył? On sam nie liczył na to, że jutro otrzyma rozkaz. Przez ciebie będziemy musieli siedzieć tu do rana. Mam przecież rodzinę! Chciałem być wcześniej w domu, przecież to święto.

Idąc po schodach dobroduszny Grieczkin uspokoił się i zaproponował gościnnie:

- Chodźmy pracować do mego gabinetu, u mnie jest upał.

U Grieczkina rzeczywiście można było nawet rozebrać się, w rogu gabinetu był kaloryfer. Grieczkin usiadł przy biurku i natychmiast spoważniał. Wpadło po niego trzech współpracowników - szli do domu i chcieli go zabrać.

- Idźcie do diabła! - powiedział bez złości. - Powtarzam: idźcie do diabła i zamknijcie drzwi z tamtej strony. - Rozkładał papiery, wytrzeszczał wypukłe oczy i narzekał: - Być szefem wydziału planowania to najbardziej nieszczęsny los. Ciągle popędzają, ciągle wymyślają i nikt nie powie dobrego słowa!... Ludzie jeździli na urlop - ja jak żyję na urlop nie jeździłem. Odznaczono mnie dwoma medalami i nie mogę urlopu otrzymać. Guz mi narasta - też nie mam czasu, żeby go wyciąć... - Pomacał palcem narośl na szyi koło podbródka. - Raz wreszcie zgodzili się dać mi urlop. Ledwie się przygotowałem i spakowałem walizki - wybuchła wojna i moje plany przepadły.

Zamknęli się od wewnątrz i postanowili nie odpowiadać ani na pukanie, ani na telefony. Kowszow robił wykres, Grieczkin szkicował wstępną część rozkazu. Przepracowali zgodnie ze trzy godziny, dopóki Lizoczka, nie mogąc się dotelefonować, nie przyszła sama po męża. Ledwie za drzwiami rozległ się jej głos, Grieczkin natychmiast zaczął składać papiery i wystraszony pospieszył do domu.

15. Po północy

Dyżurny wydziału ujrzawszy Aleksieja stanął zdumiony: północ dawno minęła i w całym gmachu nie było już nikogo. Wszyscy pracownicy podobnie jak Grieczkin chcieli w rodzinnym gronie, uroczyście, zakończyć ten niezwykły dzień pracy.

- Jest tylko jeszcze kierownik budowy i partorg - komunikował dyżurny. - Na chwilę wstąpił towarzysz Beridze, zostawił kartkę, leży na waszym biurku.

„Gdzie się zawieruszyłeś? - zapytywał Beridze. - Szukałem cię wszędzie. Zupełnie o mnie zapomniałeś. Trzeba przecież jakoś uczcić dzisiejsze wydarzenia. Koniecznie chcę cię zobaczyć, będę czekał u Fiedosowa. Mówi, że przyrzekłeś wpaść..."

Kartka doszła z widocznym opóźnieniem. Godzina nie była odpowiednia do odwiedzin. W dodatku Aleksiej nie wiedział, gdzie Fiedosow mieszka. Nie miał również ochoty wracać do domu - do nieprzytulnego, zimnego pokoju. Usiadł samotnie w swoim gabinecie i zaczął pisać zamówiony przez Załkinda artykuł. Ale wrażenia ubiegłego dnia były zbyt świeże i nie pozwalały się skupić.

Na korytarzu rozległy się kroki. Otwarły się drzwi i do gabinetu wszedł Fiedosow. Wesoły i lekko podchmielony, z rumianą twarzą i błyszczącymi oczyma, opowiedział, że wezwał go z domu Batmanow, aby nie bacząc na święto zmyć mu głowę po raz trzeci w ciągu doby.

- Dobrze, że chociaż zastałem ciebie, to wynagrodzi wszystkie moje cierpienia i wędrówkę po mrozie - pocieszał się Fiedosow. - Chodźmy, zebrało się u mnie liczne i dobrane towarzystwo. Brakuje tylko ciebie. Beridze też jest, czeka na ciebie...

Ku zmartwieniu Fiedosowa towarzystwa już prawie nie zastali. Pod nieobecność gospodarza goście rozeszli się do domów. Tylko czterech zapalonych preferansistów waliło kartami w stół, przysunięty do pieca. Była tu również i Żenia Kozłowa, nudziła się leżąc na kanapie. Dziewczyna powitała Aleksieja z nieukrywaną radością.

- Czułam, że jednak przyjdziecie.

- Nakarm go, spełniaj rolę gospodyni - zwrócił się do niej Fiedosow.

Żenia uprzątała koniec stołu i opowiadała:

- Beridze był zły, że nie przyszliście. Oboje z Tanią dopiero co pojechali na Start, bo ona rano rusza z kolumną na trasę.

Fiedosow podszedł z wódką do Aleksieja.

- Ty musisz wypić więcej, a my z Żenia mniej. Za spóźnienie należy się tradycyjna kara.

Aleksiej trzymał szklankę z wódką i dobrodusznie patrzył na Fiedosowa i Żenię. Był rad, że już nie jest samotny. Brakowało tylko Beridzego! Jaka szkoda, że go nie zastał.

- Wiem, jaki będzie wasz toast. Możecie nie mówić - powiedziała Żenia. - Za Moskwę? - Wyjaśniała Fiedosowowi: - On nie pije, a jeżeli pije, to tylko za Moskwę.

- Wszyscy, którzy mieli dzisiaj okazję wziąć kieliszek do ręki, pili za Moskwę - odparł Aleksiej. - Za to, że Stalin jest w Moskwie. Za defiladę na Placu Czerwonym.

- Słusznie, za to gotów jestem wypić jeszcze raz - podtrzymał go Fiedosow.

Mówił poważnie i ze wzruszeniem, że ten dzień siódmego listopada na całe życie pozostanie w jego pamięci. Tyle przemyślał i przeżył w ciągu jednego dnia! I nigdy jeszcze nie pracował z takim zapałem! Aleksiej przypomniał sobie rozmowę z Załkindem. Czyżby to było dziś? Wódka ciepłą falą rozpłynęła się po całym ciele. Żenia gorliwie częstowała go zakąskami.

Z sąsiedniego pokoju zawołano Fiedosowa, aby zażegnał jakiś spór wynikły przy grze.

- Zostawię was na chwilę. Zresztą we dwoje będzie wam chyba lepiej - gościnnie oświadczył Fiedosow.

- Ma rację: we dwoje lepiej - powtórzyła Żenia po wyjściu Fiedosowa. - Chociaż może lepiej tylko mnie? - Gdy Aleksiej milczał, Żenia zapytała: - Wiecie, czego chcę od was? Nie domyślacie się? Pomyślcie.- Usiądźcie, ja zaraz przyjdę.

Wróciła z talerzem mrożonych borówek.

- Oczywiście, nie domyślacie się. - Podała mu kieliszek z jagodową nalewką, drugi wzięła sama. - Dziś są moje urodziny, zapomnieliście? Specjalnie z tej okazji chcę z wami wypić. Spróbujcie odmówić!

- Dlaczego miałbym odmawiać - Aleksiej duszkiem wychylił kieliszek. - Teraz wasza kolej. Winszuję, Żeniu. Czego wam życzyć? Niech to będą ostatnie wasze urodziny podczas wojny.

- Pośpieszyliście się, chciałam przecież wypić z wami bruderszaft - powiedziała. - Ale niech już i tak będzie. Jedzcie borówki. Mówiliście, że we śnie częstowano was truskawkami. Nie mam ich, ale borówki też nie są złe.

Aleksieja bawiła niewymuszona i beztroska wesołość Żeni, wzruszała go jej subtelna dobroć. Sądził, że zainteresowanie jego osobą jest wyrazem jej towarzyskiego usposobienia. Żenia znała wszystkich, wszyscy lubili z nią pożartować. I jemu było przyjemnie siedzieć i gawędzić z nią. „Tania jest daleko ładniejsza, ale Żenia na pewno podoba się chłopcom nie mniej, jeżeli nie więcej, dzięki swej żywości i pogodnemu usposobieniu” - pomyślał Kowszow.

- W dniu moich urodzin nie możecie mi niczego odmawiać - oświadczyła.

- Oczywiście!

- Zatańczmy!

- Przecież nie ma muzyki!

- Jest, we mnie!

Cienkim, czystym głosikiem zanuciła zabawnie dziarską piosenkę, przy której z powodzeniem można było tańczyć.

- Wstawajcie - nagliła.

Aleksiej przecząco skinął głową.

- Po co mamy tańczyć. Posiedźmy, pogadamy lepiej...

- A to uparciuch! Jako solenizantka powinnam się na was obrazić, ale nie potrafię. Będę więc tańczyła sama.

Nucąc Żenia lekko krążyła koło Aleksieja i bez przerwy spoglądała na niego tkliwym wzrokiem. Fiedosow z drugiego pokoju zaklaskał w dłonie.

Spojrzenie Żeni i te samotne oklaski nie podobały się Aleksiej owi. Dobry nastrój od razu go opuścił. Poczuł się nieswojo i odszedł na bok. Żenia obserwowała go, a gdy jej się to znudziło, znów podeszła do niego.

- Jakże nagle zmieniliście się! A Grieczkin chwali was zawsze za równe usposobienie. Czy pogniewaliście się na mnie?

- Ależ nie! Za cóż miałbym się gniewać?

- Czy nie możecie nie smucić się, nie chmurzyć, chociażby z okazji moich urodzin? W dobrym humorze bardziej wam do twarzy.

- Czy można stale być wesołym? Przecież to byłoby straszne: - człowiek, który wciąż się śmieje!

- Niepotrzebnie ucieszyłam się, że Fiedosow odszedł. Mimo wszystko jest nas troje - nieoczekiwanie powiedziała Żenia, po czym na jego nieme pytanie odrzekła: - Przy was jest - ona. Prawda?

- Tak, to prawda. Ona jest przy mnie.

- Nigdy nie myślałam, że tak może być: nie ma człowieka, a jednak jest. Dlaczego mnie nikt tak nie kocha, jak wy swoją Zinę?

- Czeka was jeszcze miłość. I wy także pokochacie naprawdę.

- A może już pokochałam?

Kowszow spojrzał na nią, jakby chciał sprawdzić sens jej słów.

- Nie, nie wyglądacie na człowieka, który pokochał wielką miłością. Wy uważacie miłość za rozrywkę. Miłość - to co innego. Zrozumiecie, kiedy ta miłość przyjdzie.

Żenia była dotknięta jego słowami, ale po chwili potrząsnęła swoją bujną czupryną:

- To lepiej, że moja miłość jest właśnie taka. Czyż dobrze jest męczyć się i cierpieć tak jak wy albo Olga?

- Co za porównanie! Ja się nie męczę. Ja tęsknię z powodu rozłąki. Moja miłość dodaje mi siły.
A miłość Olgi jest nieszczęściem, z którego powinna się wyzwolić.

- Jakie to skomplikowane! -rzekła Żenia z nieukontentowaniem. - Lepiej już nie mówmy o tym i nie psujmy sobie humoru.

Aleksiej roześmiał się i po przyjacielsku ujął dziewczynę za rękę; wzruszające było to dziecinne pragnienie uniknięcia wszystkiego, co było trudne i skomplikowane.

- Z czego się śmiejecie? - zapytała zadowolona, że Aleksiejowi wrócił dobry nastrój.

- Tak sobie... Patrzę na was i myślę... Jaki to ja byłem...

- Jakim byliście w młodości? - powiedziała drwiąco Żenia.

- Tak, w młodości... Powiedzmy, przed pół rokiem...

- Jakimże byliście? To ciekawe. Tamten młody Alosza na pewno bardziej by mi się podobał. - Tamten na pewno...

- Chwileczkę, Żeniu - przerwał jej.

Sam nie wiedział, po co to opowiada. Miał wrażenie, że przysłuchuje się czemuś, co się dzieje w nim samym. Zaczął mówić o tym, jak wrócił do domu ze szpitala. Wszystko było tak jak dawniej: i uliczka nierówna, i czerwony dom z niewygodami, zaniedbanymi mieszkaniami, i rodzice, i rzeczy na poprzednich miejscach. Jednak przyszedłszy do domu Aleksiej zrozumiał, że w nim samym nastąpiła przemiana, że już nie jest tym, kim był dawniej. Tylko trzy miesiące dzieliły go od przeszłości, ale wydawała mu się ona teraz dalekim i beztroskim dzieciństwem...

- Patrzę właśnie na was i wzrusza mnie bezpośredniość, z jaką oddajecie się wesołości, zabawom i tańcom. Rozumiem to: ze mną było to samo. Ale teraz już nie mogę być takim. Dziwię się nawet, że kiedyś byłem inny.

- Alosza, a cóż się działo z Ziną? Nic o niej nie mówicie...

- Nie wstępując do rodziców, pobiegłem do niej... Bałem się, że jej nie zastanę... I nie zastałem... Zina była tam, skąd wyniesiono mnie, wykrwawionego... Zina jest energiczna, stanowcza... W tydzień po moim odejściu postarała się, aby wysłano ją na front.

Opowiadał dalej... W pokoju, w którym spędzili zaledwie kilka szczęśliwych dni, wszystko mówiło o niej. Przypadkowo znalazł zarzucony wśród papierów krótki list. Natknął się na arkusz papieru, przypięty do rysownicy, nie kreśliła już na nim, przeszkodziła wojna. Arkusz był zarysowany różnymi drobiazgami. Cały wieczór oglądał ten arkusz, jakby to był piękny obraz. Kreseczki, krateczki, podpisy miały głęboki sens, zrozumiały tylko dla niego. Gdy wyszedł na ulicę, przypomniał sobie, że szli tamtędy oboje trzymając się za ręce; jakaś spotkana kobieta wzruszona ich widokiem życzyła im, żeby tak samo szczęśliwie, ramię przy ramieniu przeszli przez całe życie... Drobne szczegóły ich krótkiego wspólnego życia, dla kogoś może nawet śmieszne, a tak ważne dla niego, przychodziły mu na myśl bez końca... Trudno zrozumieć, w jaki sposób wszystkie one tak silnie utkwiły w pamięci, jeżeli wtedy przemijały tak szybko, że nawet ich się nie zauważało...

- Alosza - przerwała mu Żenia otrząsając się jakby z zimna. - Jeżeli nie sprawi wam to trudności, przynieście mi chustkę z sąsiedniego pokoju. Nie chce mi się wstawać.

Gdy została sama, starała się zrozumieć, co w opowiadaniu Aleksieja niemile ją dotknęło. Dlaczego tak nagle mu przerwała?

Fiedosow rzucił karty i poszedł z Aleksiejem szukać chustki Żeni.

- Oto nasze rozrywki: preferansik, winko, łatwe zalecanki, pocałunki z dubeltówki. Stare sposoby spędzania czasu. Siedziałem teraz przy kartach i myślałem: i w takim dniu grasz sobie w preferansa! Wiecie, Aleksieju Nikołajewiczu, co mi przyszło do głowy? Że nasze potoczne, zwyczajne życie jest stosunkowo najbardziej reakcyjną stroną naszego istnienia. Pracujemy po nowemu, wytworzył się w nas nowy stosunek do własności i nowe poczucie obowiązku. A życie codzienne, obyczaje pod wieloma względami pozostały stare.

- Ile macie lat, mój drogi? - zapytał Aleksiej.

- Trzydzieści cztery.

- Czas założyć rodzinę. Gdy będziecie mieli dobrą żonę, dzieci - to myśli o reakcyjności bytu nie przejdą wam przez głowę i nie będziecie mieli ochoty na winko i tym podobne głupstwa.

- Mówicie to, oczywiście, na podstawie doświadczenia zaczerpniętego z własnego życia - odciął się Fiedosow, po czym przyznał się nie bez smutku: - Zresztą, drogi przyjacielu, trafiliście w samo sedno. W naszym środowisku cieszy się wielką popularnością taka niestety zasada: „Hulaj, pókiś młody, bo miną lata i nie będziesz miał co wspominać”... Więc też hulałem. A wspomnień - żadnych. Wynika z tego, że jedną zamieniłem na wszystkie...

- Po cóż filozofować? Żeńcie się!

- Zalecałem się do Żeni, chciałem się żenić, ale przeszkodziliście - zaśmiał się Fiedosow.

Wróciwszy do pokoju Aleksiej narzucił chustkę na ramiona Żeni. Twarz jej była zmieniona. Czyżby płakała? Aleksiej przyjrzał się jej uważnie. Może w żarcie Fiedosowa kryło się ziarnko prawdy?

- Co wam jest, Żeniu? - zapytał ostrożnie.

- Trochę mi jest smutno. Sama nie wiem, dlaczego. Czy dlatego, że żal mi przedwojennego życia, czy po prostu jestem dziś zdenerwowana.

- Dobrze. Nie będziemy już więcej pogrążać, się we wspomnienia.

- Nie, opowiadajcie. Chcę posłuchać do końca.

- Ta historia nie ma końca.

- Opowiadajcie!

Kowszow wymawiał się, lecz chęć spojrzenia jeszcze raz nowymi oczyma na to, co było, okazała się tak silna, że znów zagłębił się we wspomnieniach. Wszystko jakby się w nim na nowo powtarzało.

Zapomniał o Żeni. Opowiadanie nagle urwało się. Siedział ze spuszczoną głową. Czyż naprawdę to wszystko działo się tak niedawno!

Żenia patrzyła na niego szeroko otwartymi, smutnymi oczyma. Potem nagle zerwała się i z płaczem wybiegła z pokoju, ciągnąc za sobą chustkę po podłodze..

Aleksiej, zmieszany, pobiegł za nią, szukał jej po całym domu, lecz nie znalazł. Wyszedł na ulicę. Przy świetle księżyca było jasno jak w dzień. Sklepienie niebieskie usiane niezliczonymi gwiazdami wydawało się jasnozielone, matowe. Na horyzoncie kopuła nieba opierała się na delikatnej, malinowego koloru smudze drżącego światła. Iskrzył się śnieg.

Przyjrzawszy się dokładniej Aleksiej ujrzał Żenię siedzącą na pieńku. Postać jej ciemniała na tle śniegu. Podszedł do niej.

- Co ci się stało? Dlaczego uciekłaś? Przykro mi, że zacząłem to opowiadanie.

- To nic, Alosza, nie martw się - powiedziała już spokojnie, wstając i otrzepując z siebie śnieg.

Na progu spotkał ich Fiedosow.

- Myślałem, że uciekliście bez pożegnania. Chcę pójść na Start, aby jeszcze raz sprawdzić, jak są zaopatrzeni ludzie Tatjany Wasilczenko. Chodźmy razem - trzeba się z nimi pożegnać.

Po upływie dziesięciu minut szli po wydeptanej, śliskiej drodze na Start.

Kierownik budowy był już ponad dwadzieścia cztery godziny na nogach. W ciągu dnia położył się w biurze, aby trochę odpocząć, lecz natarczywe myśli nie dawały mu spokoju.

O drugiej w nocy Batmanow udał się do domu. Nie dlatego, że był zmęczony, odznaczał się bowiem wytrzymałością, a w dodatku dzisiaj czuł w sobie, podobnie jak inni, potężny przypływ sił duchowych i fizycznych. Po prostu należało wreszcie zrobić przerwę w pracy.

Cały ten wielki i doniosły dzień Batmanow spędził w nieustannym ruchu. Prawie bez przerwy dzwonił na stole telefon - wzywano kierowników z pięciu najbliższych odcinków. Jeden po drugim przychodzili pracownicy i Batmanow dawał im nowe polecenia; w formie kategorycznej i dość ostrej popędzał do wykonania już przyjętych zadań. Trzy razy przeglądał ostatnią pocztę, dyktował depesze, listy i krótkie instrukcje dla tego lub innego kierownika wydziału. Poprowadził zwykłe zebranie dyspozytorów. Dwa razy był na Starcie, aby zapoznać się z nowoprzybyłymi na budowę ludźmi, wyprawiał w drogę Silina, rozmawiał z młodzieżą Tani Wasilczenko, doglądał trwającej bez przerwy wysyłki ładunków na trasę, asystował razem z Beridzem przy próbnym spawaniu rur w niskiej temperaturze. Wieczorem pojechał do Nampi - miejscowości odległej o dziesięć kilometrów od miasta. Tam z ciężarówki przemawiał na wiecu robotników pierwszego odcinka, którzy zgromadzili się na zamarzniętym Adunie.

Dzień ten nie minął bez śladu dla budowy. Batmanow wiedział to i czuł. Mówiły o tym raporty na piśmie; do wieczora zebrał się ich cały stos. Zwalony las i wycięte w tajdze przesieki, kilometry dróg utorowanych wśród zasp śnieżnych, setki metrów sześciennych nowozbudowanych budynków mieszkalnych i użytkowych - w tym wszystkim był już jak gdyby zmaterializowany entuzjazm robotników, wywołany przemówieniem Stalina. Jeszcze nie nawiązano normalnej łączności z dalszymi odcinkami, ale i stamtąd już dochodziły wiadomości. Pankow z dziewiątego odcinka przysłał okrężną drogą radiogram z wiadomością, że w tym dniu już ostatecznie przeniesiono się na lewy brzeg. Rogow jakimś sposobem potrafił uzyskać nowe wiadomości o kolumnie Gonczaruka. Ludzie z tej kolumny usłyszeli pierwsze przemówienie Stalina na szóstym odcinku; byli tym tak ucieszeni, że przez cały dzień pracowali przy budowie składu.

Jednej tylko rzeczy Batmanow nie mógł zrealizować w dniu siódmego listopada - a mianowicie uczczenia we własnym domu tego największego w całym kraju święta. Zamierzał zaprosić do siebie na wieczór Załkinda z żoną, Beridzego i jeszcze paru kolegów. Zatelefonował do swej gospodyni polecając jej przygotować kolację na dziesięć - dwanaście osób. O wszystkim jednak zapomniał, kiedy wśród stosu listów ujrzał list z Moskwy. Wziąwszy do ręki błękitną kopertę Batmanow instynktownie wyczuł, że zawiera ona wiadomości o jego rodzinie. Tak też było rzeczywiście.

Jeden z przyjaciół, pomagający mu w poszukiwaniu żony i syna, donosił, że widział Annę Iwanownę w Abas-Tumanie, na Kaukazie. Udało jej się wyjechać z Krymu wraz z chorym synem. Umieściła go w sanatorium dla chorych na gruźlicę, lecz biedowanie i niewygody podróży pod bombami ostatecznie podcięły siły Kosti. Nie udało się go uratować - zmarł.

„Stało się to 10 października. Anna Iwanowna powiedziała mi, że nie czuje się na siłach zawiadomić cię o śmierci syna. Dałem jej słowo, że i ja do pewnego czasu będę milczał. Nie mam jednak prawa ukrywać tego przed tobą. Jesteś dzielny i z godnością zniesiesz nieszczęście. Przekonywałem Annę, że pozostawianie ciebie w niepewności jest gorsze od prawdy. Przypuszczalnie wkrótce sama napisze do ciebie, pozwól jej otrząsnąć się nieco. Nieszczęście wstrząsnęło nią. Wmówiła w siebie, że jest winna wobec ciebie, ponieważ powierzyłeś jej syna, a ona nie potrafiła ustrzec go przed śmiercią. Trzyma się mężnie: jest lekarzem wojskowym trzeciego stopnia, pracuje w szpitalu i w sanatorium dla chorych na gruźlicę i daje sobie rade z nawałem pracy. Kierownicy bardzo ją chwalą. Nie może obecnie przyjechać do ciebie, zresztą byłoby to dla niej na razie zbyt bolesne. Nawet z nią o tym nie mówiłem. Myślę, że powinieneś nie czekając na jej list sam do niej napisać. Tak się złożyło, drogi przyjacielu, że mnie właśnie przypadło w udziale zakomunikowanie ci tej smutnej wiadomości. Cóż robić! Wojna nikogo nie oszczędza, w taki czy inny sposób rani wszystkich. Pisz albo depeszuj, co mógłbym zrobić dla ciebie...”

W tym właśnie czasie u Batmanowa był Grieczkin. Nie mógł nie zauważyć, że kierownik budowy był przejęty listem. Ale Batmanow umiał ukryć burzę targających nim uczuć. Gdyby Grieczkin był bardziej spostrzegawczy i mniej pochłonięty myślami o swoim referacie, to może spostrzegłby, z jakim wysiłkiem Batmanow opanowuje swój ból. Twarz jego skamieniała, a ręce z taką siłą wbiły się w oparcie fotela, że zdawało się, iż lada chwila z palców wytryśnie krew. Dopiero gdy Grieczkin wyszedł, z piersi Batmanowa wydarł się jęk. Ktoś pukał do gabinetu... Batmanow prędko ubrał się, wyszedł do Filimonowa i Fiedosowa i obiecał, że przyjmie ich później; w chwilę później pojechał na pierwszy odcinek. Przemarzniętych na wietrze robotników wzruszył żar jego przemówienia, chociaż nie domyślali się, że w słowach o poległych na wojnie ludziach radzieckich dźwięczał ból nie tylko obywatela, lecz i ojca. Wyjazd do Nampi pomógł mu opanować się i w ciągu reszty dnia nikt ze współpracowników nie zauważył u kierownika żadnych zmian.

... Zarząd dawno już opustoszał, a on wciąż siedział nie mogąc się zdecydować na powrót do swego wielkiego, teraz niepotrzebnego już domu.

Tylko towarzystwo Załkinda mogło mu przynieść ulgę w tej ciężkiej dla niego godzinie. Po upływie krótkiego czasu zatelefonował do partorga.

- Czas już zwijać manatki, Michale Borisowiczu. Przyjedź do mnie. Chciałbym zjeść z tobą moją kawalerską kolację.

Załkind rozmawiając przed chwilą z żoną obiecał jej, że wkrótce wróci. Sądził, iż zdoła wymówić się albo zaprosić Batmanowa do siebie. Batmanow zauważył jego wahanie i powiedział z prośbą:

- Zrób to dla mnie, Michale...

W głosie Batmanowa brzmiało coś, co nie pozwoliło Załkindowi się upierać. Zatelefonował znowu do domu. Polina Jakowlewna była zmartwiona.

- Chciałam już zbudzić Mirę. Przyrzekłam jej, że będzie mogła posiedzieć z nami przy stole. Przyjedź przynajmniej za dwie godziny. Będę czekała.

Dom Batmanowa stał na uboczu, wśród śnieżnych zasp, jak osierocony. Równie osierocony wydał się Załkindowi gospodarz samotnej willi.

- Dlaczego tak patrzysz? Nieprzytulnie tu? - zapytał Batmanow.

- Tak, nieprzytulnie - zgodził się Michał Borisowicz.

Pokoje robiły wrażenie niezamieszkałych. Odczuwało się brak gospodyni i tych różnych drobiazgów, które z lokalu czynią mieszkanie.

- Tylko was dwóch? - zdziwiła się Jewdokia Siemionowna. - A ja przygotowałam kolację dla całego towarzystwa.

- To dobrze. Jesteśmy mocni, damy radę we dwóch - zażartował Załkind.

Podczas gdy senna gospodyni nakrywała stół, umyli się. Batmanow zdjął bluzg, włożył jedwabną, wypuszczaną na wierzch koszulę bez pasa i od razu zamienił się w barczystego, wysokiego, młodego chłopaka - „pierwszego we wsi". Do zupełnego podobieństwa brakowało tylko harmonii. Załkind w niezgrabnych, futrzanych butach wyglądał przy nim jak wyrostek.

- Dawno już nie siedzieliśmy razem w domu, przy stole, chyba ze cztery lata - mówił Batmanow. - Właśnie dziś znów nam wypadło. Wypijemy za naszą przyjaźń i pogadamy od serca. Dlaczego z taką obawą patrzysz na karafkę? Mam nadzieję, że nie stałeś się ani bigotem, ani abstynentem? Widzisz, nie dużo nalewam. Nie bój się. Nie upiję się. Mój ojciec na odpuście sam wypijał garniec i mocno trzymał się na nogach! Ja, oczywiście, nie jestem zdolny do takich wyczynów, ale mogę dużo wypić nie tracąc przytomności. Może od tego stanę się bardziej szczery, teraz właśnie tego mi potrzeba.

- Cenię sobie naszą przyjaźń, Wasilij, i dlatego z radością za nią wypiję. - Załkind podniósł swój kieliszek.

Siedzieli długo. Dawno już odstawili karafkę i zakąski. Teraz niemiłosiernie dużo palili, zielonkawy obłok dymu tytoniowego unosił się nad nimi, a w wielkiej popielniczce piętrzył się stos niedopałków.

- Przemówienia Stalina dodały nam wszystkim siły i rozumu. W takie dni człowiek czuje się wyższy o głowę! On wie, kiedy jego słowo jest szczególnie potrzebne narodowi. Powiedział: zwyciężymy - i zwyciężymy na pewno. Jego słowa zawsze się sprawdzają. I niechaj dwumiliardowa ludność kuli ziemskiej zastanowi się nad naszą potęgą.

W tej chwili tylko nasz Stalin i jego najbliżsi współtowarzysze zdolni są wybiec spojrzeniem w przyszłość, poza granice wojny. Jednak i my, zwykli ludzie radzieccy, powinniśmy zastanowić się nad przyszłością. Nie bylibyśmy wychowankami Lenina, gdybyśmy wierzyli, że po usunięciu Hitlera nastanie na ziemi pokój i zgoda. Nie, w przyszłości czeka nas jeszcze bardziej zacięta walka. Ciekawą rzeczą byłoby odgadnąć czas jej trwania, jej rozmach, jej formy. I co mianowicie w tej walce przypadnie nam w udziale, a co przyszłym pokoleniom bolszewików?

My z tobą, na przykład, należymy do drugiej zmiany. A już wyrosły wielomilionowe szeregi trzeciej zmiany - młodzi ludzie, tacy jak: Kowszow, Tania Wasilczenko, Tieriechow, Rogow. A za nimi idzie już czwarta, piąta zmiana. Za przykładem Stalina mamy obowiązek poświęcić ich wychowaniu wszystko, co mamy najlepszego. Nadejdzie przecież dzień i godzina naszego ziemskiego kresu i chcąc nie chcąc będziemy musieli złożyć cały ciężar sprawy na ich młode barki. Naszym świętym obowiązkiem jest tak postępować, aby oni byli zawsze wytrwali, silni, nieustraszeni, gotowi do walki o komunizm aż do zupełnego zwycięstwa!...

Mimo woli przyjaciele przeszli na tematy budowy. Na nich to, jako na kierownikach budowy, spoczywała większa odpowiedzialność za ludzi i za ich pracę. Mówili o sposobach pokonania trudności, o metodach gospodarczego i partyjnego kierownictwa, o ludziach...

- Cenisz ludzi i drżysz o każdego człowieka, to dobrze - mówił Batmanow. - Tylko czy nie jesteś zbyt miękki dla niektórych? Wiem, myślisz o tych, co zginęli na wojnie, i to wzmaga twą troskę o żywych. To jest słuszne! Każdy przeciętny pracownik - niewykwalifikowany czy niechętny do pracy - jest

przecież człowiekiem radzieckim i trzeba mu pomagać, podciągać go, wychowywać. Czyż jednak nie powstaje stąd w tobie szkodliwe w swej istocie godzenie się z wadami ludzi? Czy nie psujesz niektórych swym współczuciem?

- Daj przykłady - zażądał Załkind. - Inaczej się nie zrozumiemy i nie dogadamy...

- Przykład? Jefimow. Żal ci go, czujesz się odpowiedzialny za jego los, a rezultaty są złe. Przez wzgląd na ciebie nie mieszam się na razie do spraw trzeciego odcinka. Niech pozostaje wyłącznie pod twoją opieką.

- Co uważasz za złe?

- Człowiek powinien zasłużyć sobie na to, by nazywano go kierownikiem, i być nim. Jakiż z Jefimowa jest kierownik? Podlegają mu setki ludzi, a on stracił orientację i nie potrafi nimi kierować. On im tylko zawadza, gdyż wykonywana przez nich praca jest trudna i potrzebny im jest energiczny zwierzchnik.

- Odcinek wkrótce będzie w porządku.

- Naturalnie. Starczy ci sił i na to. Byłoby zresztą rzeczą niedopuszczalną, aby odcinek, znajdujący się najbliżej zarządu, był zaniedbany. Tylko że porządek zostanie zaprowadzony tam nie dzięki Jefimowowi, a raczej wbrew niemu. Już na podstawie dzisiejszych rozmów z odcinkiem widzę, jak ułożą się tam sprawy, jeżeli Jefimowa pozostawimy na jego stanowisku.

- Jak się ułożą?

- Tiomkin, sekretarz organizacji partyjnej, zastąpi w końcu kierownika odcinka. Czuje twoje poparcie i już dziś wziął kierownictwo w swoje ręce. I cóż dobrego wyniknie z twego współczucia? Odcinek twój osiągnie właściwy poziom i Jefimow będzie się czuł bohaterem, wbije sobie do głowy, że to on, Jefimow, obraca kulę ziemską dokoła osi! A tymczasem w nim nic się nie zmieni na lepsze, pozostanie nadal kierownikiem tylko z tytułu. Będzie w dalszym ciągu słabym człowiekiem i słabość ta wyjdzie na jaw przy pierwszej poważnej -próbie. Wyobraźmy sobie, że nasza budowa już została zakończona i że Jefimowa przenoszą na inną, jeszcze bardziej odpowiedzialną. Cóż zrobi biedny Jefimow, jeśli ciebie obok niego nie będzie? Kto się nad nim ulituje i kto zgodzi się wziąć na siebie jego ciężar?

- Uważasz, że należy go zwolnić?

- Uważam, że należy znaleźć dla niego inną robotę. Pomogliśmy Rogowowi, Kowszowowi i innym. Pomóżmy i jemu. Mówiłeś, że dobrze pracował w fabryce. Przenieśmy go więc do fabryki albo dajmy go na odcinek, na którego czele stoi silny, rozumny kierownik, gdzie pracuje zgrany zespół. Poślijmy go na początek chociażby do Pankowa.

- Dobrze, Wasilij - powiedział Załkind - zastanowię się nad tym. Sam myślałem już, żeby go przenieść do fabryki do Tieriechowa. Muszę jednak przedtem upewnić się, że Jefimow jako kierownik nie poprawi się na odcinku. Zostaw mi jeszcze trochę czasu, zorientuję się...

- Doskonale. Będę rad, jeśli się okaże, że miałeś rację.

Batmanow zapalił nowy papieros od poprzedniego. Załkind przesiadł się z twardego krzesła na miękki tapczan. Mimo wszystko siedzenie do późna w noc dawało się we znaki.

- A teraz, że tak powiem, tytułem odwetu, mój zarzut w stosunku do ciebie, Wasiliju. Czy nie jesteś zbyt surowy i wymagający w stosunku do ludzi, czy nie przytłaczasz ich czasami? Czy nie należałoby być bardziej wyrozumiałym, łagodniejszym? Uznaję jeszcze twe surowe, czasem twarde wymagania

stawiane organom wykonawczym, kierownikom wydziałów. Ale gdy jesteś taki sam wobec zwykłych pracowników, wobec robotników - to już źle! Teraz, gdy siedzisz w zarządzie, mało się stykasz z nimi, ale wkrótce będziesz musiał mieszkać i pracować wśród nich w ciągu długiego czasu... Czy potrafisz znaleźć klucz do ich serca?

- Zobaczymy. Wyciągasz wniosek przedwcześnie, nie mając podstaw.

- Może. Nie będę się na razie spierać. Zresztą nasi kierownicy wydziałów to też ludzie. Zaprowadziłeś porządek w naszym sztabie, utworzyłeś go na nowo, skierowałeś ludzi na właściwe miejsca - nie myśl, że tego nie widzą. A jednak staraj się być trochę serdeczniejszy. Widzę nieraz jak rozmawiasz z człowiekiem, który aż ugina się pod ciężarem twoich wymówek! Twoje zamiary i chęci są dobre, ale nie przygniataj nimi ludzi, którzy jeszcze nie nauczyli się pracować tak, jakbyś ty chciał.

- Zrobiłeś ze mnie tyrana - ponuro powiedział Batmanow. - Żeby sprawa była jasna, podaj i ty przykład. Komu, twoim zdaniem, złamałem grzbiet?

- A choćby Libermanowi. Przecież i on jest żywym człowiekiem, choć muszę przyznać, że nie czuję do niego sympatii. Wychodzi od ciebie rozżalony. Czy trzeba tak naciskać? Twój słownik w ogóle nie zawiera dobrych słów. Do dziś nie mogę zapomnieć, jak w zeszłym tygodniu zwymyślałeś Kowszowa. Dlaczego tak ostro? Pretensje twoje odnosiły się właściwie do naczelnego inżyniera, lecz nie wypadało ci zwymyślać tamtego, więc cały swój sarkazm skierowałeś przeciwko temu dobremu chłopakowi. A twoja wczorajsza rozmowa z Grieczkinem? Aż żal było na niego patrzeć! Przecież on orze za pięciu i należy mu od czasu do czasu przebaczyć, nawet gdy coś przeoczy. Dziś ponagliłeś Grieczkina i Kowszowa. Nie wątpię, że oni i teraz z pewnością pracują. Dlaczego, towarzyszu kierowniku, nie pomyślałeś o nich, przecież i oni chcieli niewątpliwie rozerwać się trochę wieczorem? Grieczkin ma w domu cały kołchoz - wyobrażam sobie, jak żona i dzieciaki wypatrywały go przez cały dzień i nie doczekały się.

- Wzruszyłeś mnie, Michale - powiedział Batmanow. Miał istotnie wzruszoną twarz. - Widocznie chwilami przeciągam strunę. Przyznaj jednak, że są to rzadkie wypadki, a zasadniczo mimo wszystko mam rację... Prawdopodobnie już ci się nie uda uczynić mnie miękkim i łagodnym. Czy jednakże w mojej surowości nie widać dobroci? Tak wzruszająco mówiłeś o Grieczkinie i Kowszowie. Zarżnij mnie, ale nie mogę wybaczyć im najmniejszych nawet zaniedbań! Tyle od nich teraz trzeba wymagać! A przy tym to bardzo mocne chłopy. Grieczkin, co prawda, denerwuje się, ale taki Alosza uśmiecha się, gdy mu wymyślam. Kiedyś nawet rozgniewał mnie jego uśmiech. „Co was tak bawi? Trzeba słuchać i zapamiętać” - powiadam. A on na to, patrząc mi prosto w oczy: „Robię to cały czas. A uśmiecham się, bo świetnie wymyślacie. Aż ciarki przechodzą! Kiedy człowieka tak zbesztają, to lepiej widzi błędy, których przedtem nie dostrzegał”... Postawiłeś mi zarzut i nie zapomnę o nim, to ci obiecuję. Jest resztą sposób sprawdzenia, który z nas ma rację. Porozmawiaj kiedyś przy okazji z Grieczkinem i Kowszowem na temat mojej tyranii, sarkazmu i tym podobnych okrucieństw. Wybierz odpowiednią chwilę, kiedy wyjdą z mego gabinetu czerwoni i spoceni i zacznij ostrożną rozmowę. Jeżeli będą się skarżyli, postaram się znaleźć dla nich dobre słowo albo innego rodzaju pociechę.

- Widzę, że pominąłeś milczeniem Libermana.

- Zostaw go na jakiś czas w spokoju. Ty masz na swoim koncie Jefimowa, na moim niech będzie - Liberman. To jest naprawdę trudny człowiek, a w dodatku życiorys jego jest bardziej zawikłany niż Jefimowa. Zresztą Liberman też jest mocny; nie tak łatwo złamać mu grzbiet. Coś niecoś zrozumiał już przy mojej pomocy, ale wielu rzeczy jeszcze nie widzi. Chcę go zabrać ze sobą na trasę i zapoznać z ludźmi...

- Nie zaszkodzi pogodzić go najpierw z Fiedosowem - zaśmiał się Załkind.

... Nocna rozmowa dwóch kierowników budowy płynęła bez przerwy.

Sprzeczali się i dochodzili do porozumienia, wspominali popełnione omyłki, które zauważyli u siebie wzajemnie i - nie krępując się - mówili sobie słowa prawdy. Łączyło ich wzajemne zrozumienie i ta prawdziwa przyjaźń, której nie może zburzyć nawet najbardziej bezlitosna szczerość.

- Mamy poza sobą na budowie okres organizacyjny - mówił Batmanow. - Zespół nasz bez obawy może przejść do ofensywy. Teraz całą naszą uwagę powinniśmy skierować nie na zarząd, lecz na odcinki...

- Wydaje mi się. Wasiliju, że i u nas, jak zresztą wszędzie, zakończyła się mobilizacja sił, o której mówił towarzysz Stalin. Prawda?

Lubiący porządek Załkind już dwukrotnie wynosił niedopałki papierosów, wysypujące się z przepełnionej popielniczki na obrus.

- Napijemy się herbaty - rzekł Batmanow. - Udała nam się rozmowa, rozważyliśmy wszystko.

- Czy wszystko? - zapytał Załkind. - Mam wrażenie, że coś ci jeszcze leży na sercu. Obiecałeś być szczery... Czy nie chcesz o tym mówić?

- Przed tobą nic się nie ukryje - mruknął Batmanow. Spuścił swą wielką głowę, jak gdyby było trudno mu trzymać ją prosto. Zaniepokojony Załkind bez szmeru zbliżył się do tapczanu i usiadł.

- Tobie można powierzyć wszystko. Jesteś wcieleniem sumienia. - Batmanow wstał i zanurzył dłoń w czuprynie. - Człowiek musi często ukrywać swój ból lub swe słabości. Jeden robi to przez dumę, inny nie ufa ludzkiej życzliwości. A kierownicy lub dowódcy - ci są po prostu obowiązani w samotności walczyć ze swymi słabościami lub bólem. Kierownik - poza wszystkimi innymi cechami, winien być człowiekiem o niezłomnej woli, musi być silniejszy od tych, którymi kieruje. I jeśli posiada rany lub jakieś niedomagania duchowe - to lepiej żeby przecierpiał, nie zdradzając się z nimi. Rozumny dowódca, ranny w walce, stara się wytrzymywać ból tak długo, jak tylko to jest możliwe, by nie okazać żołnierzom swego cierpienia. Przypomnij sobie Bagrationa, który śmiertelnie ranny, potrafił siłą ducha opanować słabość fizyczną.

- Uspokój się, Wasiliju, i usiądź, proszę, bo już mnie szyja zabolała od ciągłego obracania głowy za tobą - powiedział błagalnie Załkind.

Batmanow usiadł.

- Nie jestem wodzem ani postacią historyczną - nie myśl, że z zarozumialstwa przeprowadzam jakieś tam porównania. Jestem kierownikiem budowy, jakich u nas jest wielu. Mimo wszystko jestem odpowiedzialny za wielkie dzieło i za kilka tysięcy dobrych radzieckich ludzi. Czy mam prawo obnażyć przed nimi swe rany albo jęczeć z bólu? Z pewnością - nie. Jakiż byłby ze mnie kierownik, gdybym w tak trudnym czasie ukazał się im jako człowiek słaby i cierpiący! Oni powinni wierzyć w moją siłę. Jestem dla nich ostoją w ciężkich chwilach. Nie mogę wzbudzać w nich litości.

Batmanow nie mógł usiedzieć na miejscu i znowu wstał.

- Nie mam prawa pokazywać swych ran i słabością niepokoić ludzi. Dobrze. Ale jeżeli nie krzyczę i nie skarżę się jak dziecko lub jak kobieta, czyż to znaczy, że nie odczuwam bólu? Rany moje są bolesne i w dodatku tego rodzaju, że nie ma na nie lekarstwa. Widzę pytanie w twych oczach:...Co mu się nagle stało? O co chodzi?” Po prostu muszę wyrzucić z siebie to, co się nagromadziło w mojej duszy.

Wyobraź sobie, że boli cię ręka, że przyczepił się reumatyzm albo jakaś jeszcze inna choroba - boli i boli do tego stopnia, że już nie możesz wytrzymać. Chodzisz więc po pokoju kołysząc nią, nie mając nadziei, że to pomoże. - Batmanow przeszedł się po pokoju, swobodnie kołysząc ręką. - Mnie ręka nie boli; niech ci się zdaje, że kołyszę przed tobą swą obolałą duszę... Wiem, że mi nie pomożesz. Ale „odnieś się do mnie", jak mówił Majakowski.

- O co chodzi, Wasiliju, nie rozumiem! - Załkind, przejęty do głębi, zerwał się z tapczanu, ale opanował się i znowu usiadł. - Tak zaniepokoiłeś mnie tym wstępem! Cóż za nieszczęście cię spotkało?

- Zaczekaj, powiem ci wszystko. Gdy weszliśmy tutaj, rozejrzałeś się najpierw dokoła, niezadowolony. „Kiepsko mieszkasz, Batmanow. Sam jak pies, jak sierota!" Masz rację, mieszkam byle jak. Nieraz już miałem zamiar podzielić się mieszkaniem z kimkolwiek spośród samotnych pracowników. Jednak nie zrobiłem tego, bo łudziłem się, że w tym domu zamieszka moja rodzina. Rodzina, słyszysz?

Batmanow ciężko opadł na krzesło, aż zatrzeszczało pod jego ciężarem. Im silniejszy jest człowiek, tym ciężej przeżywa chwile słabości. Załkind z bolesną przykrością patrzył na przyjaciela, który siedział z opuszczoną głową i zamkniętymi oczyma. Z całego serca pragnął mu pomóc.

Ale jak? Silny nawet w swej słabości Batmanow nie potrzebował pociechy. O liście, który otrzymał kierownik budowy, Załkind nie wiedział.

- Ty powiesz - cierp. Nic więcej nie wymyślisz, wiem. A jakże mam cierpieć, ja - człowiek, którego życie przyzwyczaiło do walki? Cierpieć, to znaczy niczego nie przedsiębrać. To tak, jakby się widziało, że z rany płynie krew, i nie usiłowało się jej powstrzymać. Ja muszę zawsze, w każdej okoliczności działać, czy to będzie moja osobista, czy ogólna sprawa. Ale cóż mogę począć, czym pomóc sobie? Niczym? - Batmanow podniósł głowę i spojrzał na Załkinda. Pasmo szpakowatych włosów zsunęło mu się na czoło nadając nowy wyraz jego twarzy. - Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, odczułem przecież, że nie miałeś ochoty przyjść tutaj i wolałbyś zaprosić mnie do siebie. Przestraszyłem się. Wszak wiem, ile ciepła jest w twoim gnieździe rodzinnym, a ja nie chcę, nie mogę patrzeć teraz na szczęście cudzej rodziny! Mógłby kto pomyśleć: po co takiemu jak ja rodzina? Jestem zatopiony po uszy w robocie, do domu przychodzę na jakieś pięć - sześć godzin tylko po to, żeby się przespać. Lecz na te pięć - sześć godzin tym bardziej potrzebna mi jest rodzina. Niechaj żona powita cię gderaniem i dzieci niech już śpią; wystarczy, gdy tylko w milczeniu postoisz nad nimi, uśmiechniesz się i westchniesz...

Batmanow gwałtownym ruchem głowy odrzucił włosy z czoła i z trudem zaczerpnął powietrza.

- Czy mogę powiedzieć, że naprawdę ceniłem rodzinę? Uczciwie przyznaję, że często postępowałem tak, jakbym jej nie dostrzegał. W domu żona stworzyła dokoła mnie atmosferę czułego uwielbienia. Nawet muchom nie pozwalała latać nade mną, kiedy spałem. Troszczyła się, żeby nikt nie mógł mi przeszkadzać, kiedy pracuję lub czytam, żeby odgadywano wszystkie moje życzenia...

Wyschło mu w gardle, chciwie przypadł do szklanki z herbatą.

- Biczujesz się, ile masz sił - przemówił Załkind z niezadowoleniem. - Naopowiadałeś o sobie nie wiadomo co. Niby cię nie znam.

- Na miłość boską, Michale, nie broń Batmanowa przed nim samym! - zawołał Wasilij Maksijnowicz. - Wciąż sobie przypominam, jak często rozłączaliśmy się i mieszkaliśmy osobno. Przypuśćmy, że tego wymagała moja praca. Teraz jednak widzę, że można było tego uniknąć, gdybym naprawdę chciał. Zbyt łatwo godzimy się czasami na rozłąkę i wyrzekamy się życia osobistego. Zostawiłem ich na

Krymie, a przecież mogłem ich zabrać ze sobą i tutaj zorganizować leczenie syna. I to właśnie dowód, że nie ceniłem naprawdę swej rodziny i miłości, że zbyt późno nauczyłem się je cenić...

Batmanow potarł ręką czoło i powiedział:

- Zaraz ci coś pokażę. Wiersze, taką błękitną książeczkę - wyszedł do sypialni i wrócił ze zbiorkiem wierszy. - Oto wiersz Szczipaczowa:

> Miłość nauczcie się doceniać,
> Dwójnasób ceniąc ją z latami.
> Nie na ławeczce to westchnienia
> I nie przechadzki pod gwiazdami.
>
> Wszystko w niej będzie: śnieg, zamiecie,
> Bo życie przebyć trzeba razem.
> Dobrą pieśń trudno złożyć przecie,
> A miłość pieśni jest obrazem[16]

Batmanow zmęczony usiadł i odłożył książkę.

- Ty ułożyłeś swoją pieśń, a ja nie potrafiłem. Życie porządnego człowieka powinno być podobne do twego: wierna i kochana przez całe życie żona i dzieci.

- Przecież i ty masz wierną, dobrą żonę i syna. Przyjadą tu i będzie wam razem dobrze! - powiedział Załkind.

- Przestań! - krzyknął Batmanow. - Męczyłem się w samotności i cały czas czekałem na nich. Spodziewałem się, że lada chwila przyjadą-Ale oni nie przyjadą, Michale. Nie przyjadą...

- Dlaczego tak myślisz?

- Kosti już nie ma... Umarł. Nie ustrzegłem go. Anna jest sama... I nie pisze do mnie...

Słowa te powiedział prawie szeptem i opuścił głowę na stół. Załkind siedział wstrząśnięty. Po chwili wstał, podszedł do Batmanowa i poruszył go za ramię:

- Nie umiem pocieszać i nie chcę. Żadne słowa nie wrócą ci syna. Anny jednak nie pozostawiaj samej. Ona cię kocha i powinna tu przyjechać. To bardzo dobrze, żeś silniej odczuł wartość rodziny. Wierzę, że jeszcze ułożysz swoją pieśń, mój drogi towarzyszu...

Batmanow podniósł głowę i suchymi, pełnymi bólu oczyma spojrzał na Załkinda.

- Nie pogrążaj się w swoim bólu - ciągnął Załkind. - Nie zasklepiaj się teraz. Żyj otwartą duszą. Jedź jak najprędzej na trasę, jeszcze bardziej zbliż się do ludzi. Czy myślisz, że ludzie będą cię mniej szanowali, gdy dowiedzą się o twoim nieszczęściu? Przecież oni jeszcze mocniej uwierzą w ciebie, w twą siłę!...

Batmanow wstał i porywczo, niezręcznie uściskał Załkinda skrywając przed nim twarz. Przez chwilę stali tak, nierówni wzrostem i tak bardzo niepodobni do siebie zewnętrznie. Potem Batmanow szybkimi krokami skierował się do sypialni i zamknął za sobą drzwi.

Zostawszy sam Załkind długo jeszcze chodził po pokoju z gasnącym co chwila papierosem w ustach. Zatelefonował do domu i wyjaśnił, dlaczego został u Batmanowa. Polina Jakowlewna w odpowiedzi

---

[16] Przełożył Seweryn Pollak. - Red.

głęboko jęknęła. Partorg usiadł przy aparacie radiowym i długo kręcił guzikami, zanim wśród zgiełku wzburzonego świata nie wyłowił głosu Moskwy: spiker czytał referat Stalina.

Załkind położył się na tapczanie, przykrył futrem i słuchał. Przez okno, jak szary królik, wpełzał nieśmiało zimowy ranek.

Część druga



1. Na nartach

Ledwie zaczęło świtać, gdy Aleksiej wpadł do Beridzego. Zastał go już ubranego i przymierzającego plecak. Uważnie obejrzeli swój ekwipunek i właśnie zamierzali już wyruszyć, gdy zatrzymała ich wychodząca ze swego pokoju Rodionowa. Mrużąc senne oczy popatrzyła na jednego i drugiego i zbadała tętno.

- Czy wzięliście moją apteczkę? - zapytała Beridzego.

- Oczywiście. Tylko jednego środka leczniczego wydaliście za mało - odparł żartobliwie Gieorgij Dawydowicz. - Nie szkodziłoby trochę dodać... do użytku wewnętrznego...

- Ciągle żartujecie - z wyrzutem powiedziała Olga - a ja się bardzo o was niepokoję. Aleksiej jest sportowcem, nic mu nie grozi. - Z uznaniem spojrzała na barczystego Kowszowa, zgrabnego nawet w grubym, watowanym odzieniu. - Dziesięć dni na nartach - to nie żarty. Czy nie przeceniacie swoich sił?

- Bądźcie spokojni, drogi doktorze w aksamitnym kitlu, ten marsz wyjdzie mi na dobre - odpowiedział Beridze z odcieniem urazy. - Gdy wrócimy, dowiecie się od Aleksieja, czy nie nadążałem za nim w drodze.

- Chcieliście dać list do Rogowa - przypomniał jej Kowszow.

Olga zmieszała się.

- Nie napisałam. Umiem pisać tylko recepty. Powiedzcie mu ode mnie, że teraz, kiedy go nie ma, często go wspominam. Chętnie go zobaczę. Tylko niech nie zrozumie w ten sposób, że go zapraszam, bo gotów natychmiast przylecieć. - Zaśmiała się wyobraziwszy sobie zapewne gwałtowne zjawienie się Rogowa.

- To wszystko? - zapytał Aleksiej. Olga potakująco skinęła głową.

- Olu! Oleńko! - zawołała z kuchni Serafima. - Zupełnie zapomniałam, że mam przygotowaną paczkę dla Tani - pierożki i kołduny. Niech Aleksiej Nikołajewicz weźmie ze sobą.

Kowszow musiał rozwiązać swój plecak, żeby zapakować podarunek.

- Wziąć mogę, tylko nie ręczę, czy Tania otrzyma to ode mnie - żartował zarzucając plecak na ramię.

Odprowadziwszy inżynierów Olga zatrzymała się koło progu, jakby przypuszczała, że mogą wrócić. Ogarnął ją nagle smutek i niepokój. Obecność Beridzego, zawsze wesołego i pełnego radości życia, działała na nią kojąco. Aleksieja uważała za godnego zaufania i niezawodnego przyjaciela; była przy nim swobodna i naturalna. Teraz dom opustoszał.

Spojrzenie Olgi zatrzymało się na przyniesionej przez Chmarę walizie. Od owego okropnego dla niej dnia nie dotykała jej, chociaż stała na widocznym miejscu i niepokoiła ją. Teraz ze ściśniętym sercem i z uczuciem nieufności, a zarazem niepokoju i fizycznej odrazy, otworzyła walizę. Tak, bez wątpienia, to były rzeczy Konstantego; ubranie dobrze już podniszczone, bielizna, którą kupiła jeszcze w Rubieżańsku, przybory do golenia, włochate ręczniki, a na samym dnie kilka grubych zeszytów, zapisanych dużym, niedbałym pismem. Wszystko było przesycone zapachem jego tytoniu.

Siedziała na podłodze z przymkniętymi oczyma, blada, z bezradnie opuszczonymi rękami; dokoła leżały rozrzucone rzeczy. Te martwe przedmioty różnymi głosami mówiły jej o człowieku, którego kochała, z którym przeżyła kilka lat. Na jej prośbę Załkind i Kowszow zasięgnęli informacji i otrzymali oficjalne potwierdzenie: lekarz Konstanty Andriejewicz Rodionow był rzeczywiście w ciężkim stanie zabrany z pociągu, umarł i został pochowany w Tajszecie.

Teraz robiła sobie wyrzuty z powodu złego stosunku do męża. Tak wielu innych, nie był pozbawiony wad, lecz jakież miała prawo tak szybko i łatwo odejść od niego? W chwilach, kiedy potrzebował pomocy, kiedy trzeba było spokojnie, z opanowaniem pokierować nim, udzielić mu rad, ona po prostu odepchnęła go, wypędziła. I nawet wówczas gdy zwyciężyły w nim dobre pobudki i poszedł na front, nie uwierzyła mu podejrzewając fałsz.

Przerzucając kartki zeszytu nie widziała pisma, wiersze zlewały się w nieprzerwane fioletowe plamy. Było jej wstyd, że podczas takich dni mogła myśleć o Rogowie i nie krępowała się mówić o tym obcym ludziom. Nie panując nad sobą zerwała się z podłogi i z zeszytami w ręku pobiegła ku drzwiom, aby dopędzić Aleksieja i zapowiedzieć mu: niech ani słowem nie wspomni o niej Rogowowi! Wszystko to wydało jej się niedorzecznością, lekkomyślnością i bluźnierstwem w stosunku do zmarłego.

Kowszow i Beridze ułożyli się obok siebie na wiązce siana w ciężarówce szybko mknącej po Adunie. Nad nimi gwizdał lodowaty wiatr. Postanowili dojechać do najbliższego odcinka znajdującego się koło nanajskiej osady Nampi, a stamtąd ruszyć na nartach. Obok nich, zwrócony plecami do wiatru, siedział Załkind. Jechał do rafinerii nafty położonej niedaleko od Nampi i dla towarzystwa przysiadł się do ich samochodu. Był w świetnym humorze, opowiadał przyjemne nowiny: oto następnego dnia miało się odbyć otwarcie nowińskich zakładów samochodowych, a poza tym syn Lońka powrócił z rejsu morskiego i depeszował, że przyjeżdża na urlop.

- Powtarzam wam to, co powiedział wczoraj Batmanow! - krzyczał Załkind pochylając się ku inżynierom.-Nie rozpraszajcie się! Czeka na was tysiąc spraw na każdym odcinku. Uważajcie, abyście nie ugrzęźli w nich; nie zapominajcie o głównym zadaniu, o ostatecznym rozwiązaniu wszystkich problemów projektu.

Zeskoczyli z samochodu tuż przy rafinerii nafty, która zajmowała ogromny plac nad Adunem; opodal czerniała ściana cichej, jakby przyczajonej tajgi.

- Dziwne sąsiedztwo: z jednej strony głucha puszcza, z drugiej fabryka, ostatnie słowo techniki dwudziestego wieku - rzekł Załkind - to nadzwyczajne, prawda, Aleksieju?

Minąwszy zabudowania fabryczne inżynierowie z nartami na ramionach wyszli z Załkindem na otwarte pole, na którym stały rozstawione jak na szachownicy dziesiątki olbrzymich, bielonych zbiorników.

- Na pewno puste - mruknął ponuro Beridze wskazując ruchem głowy na cysterny.

- Tak, puste - odpowiedział Załkind. - Ropę, dostarczoną do rafinerii w okresie nawigacji, przerobiono już na benzynę i zaraz poszła na front. W tej chwili rafineria przerabia bardzo mało ropy. To, co przywozi się koleją z odległości tysięcy kilometrów, natychmiast przelewa się do aparatów. - Załkind mówił spokojnie, ale w głosie jego można było wyczuć gorycz. Wskazując ręką w dal dodał: - a tam, na wyspie nagromadziło się morze ropy wypompowanej z wnętrza ziemi; morze ropy, która pozostanie nie wykorzystana do wiosny.

- Serce się krwawi, kiedy sobie człowiek uświadomi, że na tę ropę czekają teraz motory czołgów i samolotów - rzekł Aleksiej.

- W fabryce będą mnie pytali, kiedy wreszcie do tych pustych cystern zacznie napływać ropa z waszego rurociągu. Cóż mam na to odpowiedzieć, towarzysze inżynierowie? - żartobliwie zapytał Załkind.

- Odpowiedzcie im, że i my czekamy na to z niecierpliwością. O niczym innym nie marzymy. - Beridze spojrzał poważnie na partorga.

Bezkresna kopuła nieba była zasnuta jednostajną, białawą zasłoną. Słońce było podobne do przyćmionej, matowej plamy otoczonej niewyraźną tęczową obwódką. Wszystko na niebie i na ziemi było jednakowego koloru. Wyodrębniała się tylko wtłoczona w głębokie koryto rzeka, ciągnąca się W mglistą nieskończoność.

W tamtą stronę spoglądali teraz inżynierowie i partorg.

- Dzień będzie słoneczny, macie szczęście - odezwał się Załkind. Stali chwilę w milczeniu. - No, a teraz idźcie sobie, towarzysze inżynierowie, na wszystkie cztery strony świata - uśmiechnął się i lekko trącił Kowszowa w plecy.

Był to jakby sygnał do odmarszu. Aleksiej odepchnął się kijkami i lekko pochylony zjechał po pochyłym brzegu ku rzece. Beridze skinął głową Załkindowi i ruszył za towarzyszem.

- Powodzenia! Wracajcie jak najprędzej, drodzy przyjaciele! - krzyknął za nimi partorg, kiedy obydwaj zjechali na lód i równocześnie odwrócili się w jego stronę.

Wkrótce ich ciemne sylwetki zniknęły w oddali. Załkind raz jeszcze spojrzał na słońce, podobne do tłustej plamy na papierze, i poszedł do fabryki.

W ciągu dwóch godzin, które tam spędził, narciarze znacznie oddalili się od Nowińska. Słońce zaczęło przebijać się przez zwały chmur. Stawało się coraz wyraźniejsze, aż w jakiejś niespodziewanej chwili jego promienie przedarły się przez zasłonę; wszystko dokoła rozpogodziło się i zalśniło.

Słońce towarzyszyło inżynierom także drugiego, trzeciego i czwartego dnia. Z początku zdawało się im, że jest go nawet za wiele; aż oczy bolały od oślepiającego światła. Później przyzwyczaili się do blasku, jak i do nieprzerwanego marszu. Wielokrotnie przecięli Adun, zbadali wszystkie zakręty, odnogi i zatoki, wzniesienia i urwiska po obu brzegach. Wstępowali do wszystkich osad i wnikliwie wypytywali mieszkańców o właściwości rzeki i jej największe wylewy. Przy pomocy robotników z odcinków dziesiątki razy mierzyli grubość lodu, głębokość rzeki i szybkość jej prądu. Ich notesy zapełniły się notatkami, mapy topograficzne pokryły się liniami poprawek. Teraz sami mogli zmierzyć i obejrzeć każdy metr nowej trasy i przekonać się, że budowniczowie mocno usadowili się na lewym brzegu i o prawym już zapomnieli.

Naczelny inżynier i jego zastępca doskonale zdawali sobie sprawę, że należy się śpieszyć. Batmanow ograniczył do minimum czas ekspedycji, starali się więc nie zbaczać od zasadniczego celu. Jednak życie odcinków porywało ich za każdym razem, z żalem rozstawali się z jednym, gdy musieli przejść na następny.

Na trzecim odcinku przez cały dzień rozpatrywali spory pomiędzy Jefimowem a Tiomkinem. Sekretarz organizacji partyjnej utrzymywał, że Jefimow i na lewym brzegu wprowadza swoje biurokratyczne porządki.

- Trzeba to wreszcie zrozumieć, że nie jesteśmy ani instytucją, ani administracją fabryczną. Jesteśmy najniższą jednostką produkcyjną budowy - dowodził Tiomkin, zły na siebie za swój cichy głos, i rzucał gniewne spojrzenia na Jefimowa.

- Powinniśmy być możliwie blisko obiektów, a wy chcecie znowu skupić wokół siebie cały aparat administracyjno-techniczny. Dziesiętnicy i kierownicy robót muszą po kilka razy dziennie odrywać się od pracy i lecieć do sztabu na wasze wezwanie. Niekrasow znowu dziś skarżył się, że nie pozwalacie wykończyć piekarni i elektrowni, zabieracie wciąż robotników do budowy biura, bo ono dla was jest najważniejsze. Do czego to podobne?

Beridze poparł całkowicie stanowisko Tiomkina i zatelefonował do Batmanowa, aby omówić z nim sprawy organizacyjne trzeciego odcinka. Batmanow wysłuchał go uważnie i oświadczył, że trzecim odcinkiem zajmie się Załkind. Był bardzo niezadowolony z tego, że inżynierowie zatrzymali się na tym odcinku.

- Dziś przyszła depesza od Dudina i Pisariewa - rzeki. - Otrzymali oni memoriał Grubskiego i wzywają nas wszystkich w celu rozpatrzenia projektu. Obiecałem, że stawimy się w Rubieżańsku za dziesięć, najpóźniej za dwanaście dni, a teraz widzę, że wrócicie do Nowińska nie wcześniej jak za dwa miesiące. Będę chyba musiał jechać za wami, aby was popędzać.

Po tej rozmowie inżynierowie pośpieszyli się i w ciągu doby nieprzerwanego posuwania się po trasie, zajmując się wyłącznie badaniami, nadrobili stracony czas. Jednak na czwartym odcinku znów zatrzymał ich Mielników. Tutaj bowiem na propozycję cieśli, braci Piestowów, rozpoczęto próbę budowania pomieszczeń z gotowych elementów. Beridze i Aleksiej udali się więc w towarzystwie Mielnikowa na miejsce robót.

Na placu przy drodze leżały stosy gładkich bali, belek, listew, futryn okiennych i do drzwi, przygotowanych zawczasu w fabryce obróbki drzewa. Brygada brata starszego, otyłego, ciemnowłosego Fiodora - składała poszczególne części, zaś chudy, jasnowłosy Siemion Piestow ze

swymi ludźmi zajęty był montowaniem baraku. Bracia z zegarkiem w ręku obserwowali szybkość składania; na podciąganie i ułożenie każdej belki wyznaczano ściśle ograniczony czas. Robota szła szybko i gładko: heblowane ściany z białych belek wyrastały po prostu w oczach. Beridze zainteresował się braćmi, udzielił im pewnych rad i obiecał zastosować składakową budowę drewnianych budynków na innych odcinkach.

- Czy zostaniecie u nas na noc? - zwrócił się Mielników do naczelnego inżyniera.

Beridze spojrzał speszony na Aleksieja: spędził na odcinku cały dzień i nie zauważył, że nadszedł wieczór.

Następnego dnia Beridze i Kowszow minęli granicę czwartego i piątego odcinka, oznaczoną zwykłym drewnianym lukiem z przylepionym do niego miniaturowym domkiem punktu kontrolno-rozdzielczego. Odcinek ten był uważany za ostatni z bliskich i pierwszy z dalekich odcinków trasy. Gospodarował na nim Rogow.

Narciarze ruszyli w drogę jeszcze przed świtem sunąc szybko po zygzakowatej ścieżce, znaczonej na lodzie jasną smugą księżyca. Nieme nadbrzeżne drzewa, wyglądające grubo w swych zimowych futrach, zdawały się płynąć wstecz. Ciemnoniebieska zasłona nieba na wschodzie zaczynała się przejaśniać. Błękitny pas zaróżowił się i nagle zapłonął ogniem. Gwiazdy szybko gasły ginąc w głębi nieba. Księżyc zbladł i kiedy powoli wypłynęła tarcza słoneczna, zawisł w powietrzu jak maleńki, srebrny haczyk. Słonce było niezwykle wielkie i czerwone, później zmalało i zżółkło. Niebo pobladło. Jak okiem sięgnąć, wszystko stało się białe i przejrzyste. Na lustrzanym lodzie Adunu osiadł szron w postaci mnóstwa kryształków, na których promienie słońca grały różnobarwnym migotaniem świateł.

- Spójrz, to jakby diamentowe kwiaty wyrosłe z dna rzeki - wykrzyknął zachwycony Aleksiej zwracając się do Beridzego, którego również zadziwił blask lodowych wzorów.

Tu trasa oddalała się od rzeki omijając łańcuch stłoczonych wzgórz. Kiedy zbliżali się ku nim, ujrzeli wielkiego ptaka, który unosił się nisko nad polaną, wykonując dziwne, nagłe zwroty. Beridze roześmiał się: skrzydlaty drapieżnik ścigał zająca. Ledwie dostrzegalne szare zwierzątko rzucało się na wszystkie strony, uciekając przed przesuwającym się po śniegu cieniem swego prześladowcy. Beridze wystrzałem z rewolweru spłoszył ptaka. Zając dał susa w bok i skrył się za wzgórzem.

- No, widzisz, narzekałeś, że dokoła nie ma żywej istoty! Poczekaj, gotowiśmy jeszcze znaleźć gdzieś legowisko niedźwiedzia!...

Szli teraz wolniej. Beridze zaczął opowiadać o tajdze, wspominając wypadki, gdy podczas ekspedycji dostawał się parę razy w taki gąszcz leśny, że już żegnał się z życiem straciwszy nadzieję wydostania się stamtąd.

- Z początku nie rozumiałem, jaka jest właściwie różnica pomiędzy tajgą a jakimkolwiek zwykłym lasem środkowej strefy naszego kraju - powiedział Aleksiej. - Gatunki drzew są oczywiście inne, na przykład wiąz, drzewo aksamitne, dąbek mandżurski. I fauna jest zupełnie inna - tygrysów jak wiadomo nie ma w okręgu podmoskiewskim. Ale nie o to chodzi!... Zauważyłem, że wielu ludzi sądzi o tajdze według tego, co widzi na jej brzegu. A naprawdę poznać ją można dopiero wtedy, gdy się człowiek wedrze w jej wnętrze, kiedy niejako wpadnie w jej łapy. Nieraz jesienią zapuszczaliśmy się w głąb tajgi na prawym brzegu rzeki - to, cośmy tam widzieli, to nie był przecież zwykły las, lecz jakieś żywiołowe szaleństwo roślinności. Stoją ogromne, nagie pnie, obrośnięte do wierzchołków złowieszczym ciemnozielonym lub czarnym mchem. Splecione korony drzew przysłaniają słońce;

w dole mrok, duszno i głusza: - ani ptaków, ani kwiatów, ani kropli wilgoci w glebie! Jest w tym coś z okresu przedhistorycznego, kiedy po ziemi włóczyły się olbrzymie potwory. Zwierząt tych od dawien dawna nie ma, a tajga jest wciąż taka sama. Pokrywa ziemię na przestrzeni tysięcy kilometrów. Drzewa stoją setki lat, walą się same ze starości, a na ich miejsce wyrastają nowe. Ileż tu dziewiczych mateczników, w których noga ludzka jeszcze nie stanęła! To rzeczywiście wroga nam siła - cieszę się, że przypadła mi w udziale walka z nią.

Beridzemu podobała się ta tyrada pełna zapału.

- Wydaje mi się, że inżynier, budowniczy, w dodatku mieszkaniec miasta, powinien mieć taki właśnie stosunek do tajgi. Niech ci jednak nie przyjdzie do głowy mówić tego tubylcom, zwłaszcza myśliwym - tajga jest ich świętością, przedmiotem ich dumy.

- Nie widzę powodu do dumy. Czyż można, na przykład, być dumnym z pustyni Sahary? Co innego szczycić się fabryka czy miastem zbudowanym w tajdze! Teraz, kiedy sam coś nie coś zrozumiałem, z radością myślę o Nowińsku! Mam wrażenie, że w naszym kraju zanadto rozmiłowano się w egzotyce tajgi, w tym dziwacznym współżyciu południowej mandżurskiej i północnej ochockiej flory. Czczą tę swoją lokalną osobliwość i modlą się do niej! Mogę jeszcze zrozumieć mieszkańca Moskwy, który siedząc w swym mieszkaniu na Arbacie zachwyca się zdjęciami tajgi, zamieszczonymi w czasopiśmie „Ogoniok”. Owszem, zdjęcia są piękne. Ale przecież kto jak kto, ale mieszkańcy Dalekiego Wschodu wiedzą lepiej od innych, że olbrzymie przestrzenie bezkresnej tajgi to właśnie owe „białe plamy” na mapie. Zasługują one nie na sławę, lecz na wytrzebienie!

Beridze gwizdnął, chwycił w ruchu garść śniegu i ulepił kulę.

- No i cóż? Wydaje ci się zapewne, że jestem wrogiem tajgi? - Aleksiej spojrzał na jego uśmiechniętą twarz. - Mogę, oczywiście, wydać ci się jednostronnym, ale chyba rozumiesz, że nie jestem przeciwnikiem lasu. Wiem, że las dostarcza futer i dziczyzny, materiałów budowlanych i wielu innych rzeczy. Ale jestem zdecydowanym przeciwnikiem pierwotnej puszczy i tych przestrzeni liczących tysiące kilometrów. Niedawno pożyczyłem od Załkinda i przeczytałem kilka książek naszych tutejszych pisarzy. Możesz sobie wyobrazić, jakie znalazłem wzruszające zachwyty nad tajgą! U pisarzy pochodzących z innych stron kraju także znajdziesz te same tkliwości. Znowu: dziki krzew winorośli, pnący się po modrzewiu, znowu takie i owakie ptaki i zwierzęta, znowu dawny prymitywny byt Goldów i Udegejczyków[17], wydrążone łodzie... O tym wszystkim w swoim czasie napisał już wiele Arsenjew - po cóż więc powtarzać to samo? Dlaczego nie pisze się o Goldach i Udegejczykach, którzy ukończyli instytuty i żyją teraz w swoich osiedlach zupełnie inaczej ? Dlaczego nie piszą wierszy i powieści, powiedzmy, o Tierechowie i jego fabryce?

- A czy my nie nadajemy się na bohaterów powieści? - łobuzersko zapytał Beridze i rzucił daleko śnieżną kulę.

- Nie wiem, czy to właśnie my się nadajemy, ale jestem przekonany, że nasz rurociąg jest daleko bardziej godnym tematem literackim niż wszystkie uroki pierwotnej tajgi. Popieram atak na tajgę, na „białe plamy”. Chcę czytać o tym również w książkach! Niech wszyscy wiedzą jak ciężka jest dla człowieka taka walka. Te książki mogą zawierać również opisy przyrody, jestem tylko przeciwny temu, żeby człowiek gubił się w tej przyrodzie jak igła w stogu siana lub jak my zagubiliśmy się przedwczoraj

[17] Goldowie i Udegejczycy - ludy z językowej grupy tunguzo-mandżurskiej, żyjące na Dalekim Wschodzie ZSRR nad rzekami Amurem, Tunguzką, Samargą, Chorą, Chungarią. Zajmują się polowaniem, rybołówstwem, częściowo ogrodnictwem i rolnictwem. - Red.

w tej przeklętej tajdze. Moim zdaniem literatura, w której są tylko ptaki i rośliny, a nie ma człowieka, przestaje być literaturą, a staje się fenologią w poezji i w prozie!...

Beridzemu rozluźniły się paski u narty. Przysiadł, aby poprawić wiązania. Aleksiej dreptał w miejscu koło niego.

- O naszym rurociągu na pewno zostanie napisane solidne dzieło literackie, opisujące akt przejęcia budowy i uruchomienia całego przedsiębiorstwa - rzekł Gieorgij spoglądając w górę na Aleksieja. - Ale o inżynierach Beridzem i Kowszowie nie będzie tam na pewno wzmianki... Nie jestem próżny, ale czasami przychodzi mi na myśl jedno opowiadanie Czechowa. Pamiętasz? W pociągu wszczęła się rozmowa pomiędzy bardzo znanym inżynierem rosyjskim a niemniej wybitnym profesorem. Inżynier wracał z uroczystego otwarcia zbudowanego przez siebie mostu.

- A, tak, pamiętani - odpowiedział Aleksiej. - Zebrało się mnóstwo ludzi i wszyscy oklaskują jakąś podrzędną śpiewaczkę, która również przyjechała na tę uroczystość. A o samym inżynierze zapomniano w tłumie i nikt nie zwracał na niego uwagi.

- A właśnie! To bardzo niesprawiedliwie. W naszym obecnym życiu naprawiono tę niesprawiedliwość, ale w literaturze jeszcze to nie nastąpiło. Chodzi tu nie tylko o inżynierów, lecz w ogóle o tych, którzy budują miasta, fabryki, koleje. Masz słuszność: czy dużo dobrych książek napisano o tych ludziach? Cały Daleki Wschód to całkowicie nowe budownictwo, ale jego budowniczym nie dano jeszcze należnego miejsca w literaturze. O ileż więcej szczęścia mieli Newelski[18] i Murawjow lub Pojarkow i Chabarow![19]... Powiadają, że w tych skomplikowanych sprawach pisarzowi potrzebna jest pewna perspektywa czasu. Nie wiem, nie będę o tym wydawać sądu - nie jestem specjalistą. Ale znam i lubię Majakowskiego i widzę, że doskonale radził sobie bez tej perspektywy! Przykro jest wyobrazić sobie, że na przykład dopiero w 2005 r. przyjdzie tu pisarz i zacznie się grzebać w „skamieniałym łajnie”, przerzucać archiwalne papierki i wypytywać o to i owo zgrzybiałych starców. Natomiast współczesny nam pisarz ani rusz nie może odważyć się na wyjazd z Rubieżańska, tylko siedzi w bibliotece i pisze jeszcze jedną książkę o Newelskim.

Wspinali się na wzgórze pozostawiając za sobą na śniegu zygzakowate ślady desek. Aleksiej idący na przedzie odepchnął się, aby zjechać po zboczu. Nagle zaspa śnieżna zapadła się pod nim i Aleksiej poczuł, że leci w dół. Upadł na bok, coś trzasnęło pod jego podwiniętymi nogami. Chwilę leżał oszołomiony, z trudem zdając sobie sprawę z tego, co się stało. Pulchny śnieg oblepił mu twarz, dostał się pod czapkę, za kołnierz i do filcowych butów. Nie widząc nic dokoła siebie, Kowszow gwałtownie odwrócił się, aby wstać. Narty miał na nogach. Zdjął je jakoś i opierając się na deskach zaczął przebijać się przez zaspę w poszukiwaniu wyjścia. Po chwili narty uderzyły o coś twardego, jakby o pionową ścianę.

Aleksiej uprzytomnił sobie zarysy zbocza, tak jak widział je przed upadkiem, i z trudem zawrócił. Po paru krokach narty znów napotkały na twardą przeszkodę. Głośno zawołał Beridzego, ale śnieg natychmiast zatkał mu usta i głos jakby wsiąkł w miękką poduszkę. Ogarnęła go złość i z wściekłością zaczął torować sobie drogę w inną stronę.

Wkrótce poczuł, że dusi się z braku powietrza i z wściekłości. Tego jeszcze brakowało, żeby zginął tutaj tak głupio i bez sensu! Chwilę leżał przysłuchując się głośnemu biciu serca i odzyskując powoli spokój. Następnie bez pośpiechu zaczął rozcierać zmarzniętą twarz i znów zabrał się do odgarniania

---

[18] Newelski Giennadij Iwanowicz (1813-1876), admirał. W 1849 r. odbył morską wyprawę wzdłuż południowego brzegu Morza Ochockiego, wyspy Sachalin, Cieśniny Tatarskiej i ujścia Amuru. - Red.

[19] Chabarow Jerofiej Pawłowicz (rok urodzenia i śmierci nieznany) badacz i zdobywca kraju nad Amurem. Dwie wyprawy w r. 1649 i 1651-53. - Red.

śniegu. Wygrzebując się z niego, czołgał się uparcie naprzód, przystawał na chwilę, odpoczywał i znów brnął dalej.

Nagle usłyszał głos Beridzego i w tej samej chwili spostrzegł, że otaczający go mrok jak gdyby rzednie, a z boku poprzez warstwę śniegu przenika światło. Aleksiej z całej siły rzucił się w tę stronę i zanim otworzył zalepione śniegiem oczy, poczuł, że nareszcie wydostał się na zewnątrz.

Cały, od czapki do butów, pokryty był zlodowaciałym śniegiem. Beridze rzucił się ku niemu, pomógł mu wstać i energicznie otrzepywał z niego stwardniały śnieg. Zauważywszy, że nos i policzki Aleksieja zbielały, próbował rozcierać mu twarz.

- Poczekaj, sam to zrobię! - powiedział Aleksiej, ledwie poruszając zmarzniętymi wargami. - Jeszcze nos mi złamiesz!

Beridze objął go nagle i szepnął:

- Nigdy jeszcze tak się nie denerwowałem! Omal nie zwariowałem. Przeklęte miejsce! Dobrze, żeś karku nie skręcił!

Rozcierając twarz Kowszow obejrzał się w stronę pułapki, z której dopiero co się wydostał. Zobaczył, że w miejscu, w którym śnieg się osypał, skała zieje głęboką rozpadliną o stromych ścianach. Nałamawszy suchych gałęzi Beridze pośpiesznie rozpalał ognisko. Kiedy Aleksiej zapadł się nagle, naczelny inżynier już gotów był rzucić się na ratunek, ale bał się, że mógłby się zwalić wprost na głowę towarzysza. Szukając łagodniejszego zejścia spostrzegł, iż w szczelinie osiada śnieg i zrozumiał, że zostało to wywołane poruszaniem się Aleksieja pod zaspą. Wówczas szybko zjechał z góry.

- Co ci się stało w nogę? - zaniepokoił się Beridze widząc, że Aleksiej utyka.

- Nadwerężyłem w czasie upadku, przejdzie...

Narciarze usiedli przy ognisku, postanawiając jednocześnie pożywić się. Kowszow rozgrzał się szybko i za chwilę już ze śmiechem zaczęli wspominać szczegóły wypadku.

- Tajga zemściła się na tobie za niepochlebną opinię - żartował Beridze.

Na szczęście z nogą Aleksieja nie było nic poważnego, więc ruszyli dalej. Kowszow szedł bez kijków, pozostały na miejscu upadku. Obie narty miał uszkodzone. Teraz droga inżynierów prowadziła przez modrzewiowy las, w którym drzewa stały proste i wysokie jak kolumny. Zdawało się, że wszystko, co żywe, wymarzło tu doszczętnie. Tylko skrzypienie śniegu pod nartami mąciło ciszę tajgi. Beridze zatrzymał się i wytężył słuch: z daleka dochodził hałas.

- Drwale! - oznajmił Beridze.

Wkrótce zupełnie już wyraźnie usłyszeli dźwięk pił, uderzenia siekier i trzask padających drzew. W lesie nieoczekiwanie rozległa się zawadiacka, wesoła pieśń; brzmiała tak raźnie, jak gdyby jakiś ptak lecąc nad głowami śpiewał ją dźwięcznym, chłopięcym głosem:

> Dalej, drwale, naostrzcie topory. Raz... dwa...
> Pomachajcie nimi do wieczora. Raz... dwa...
> A wieczorem, gdy nadejdzie w końcu pora. Raz... dwa...
> Aż do rana odpocznijcie od topora. Raz... dwa...

Aleksiej i Beridze spojrzeli na siebie z uśmiechem i przyśpieszyli kroku. Przed nimi otworzyła się szeroka przesieka. Brygada drwali ścinała drzewa posuwając się w kierunku inżynierów. Spiłowane drzewa obrabiano na miejscu, oczyszczano z gałęzi, a woźnice końmi odciągali je ku drodze.

Inżynierowie podeszli do najbliższej pary drwali. Jeden z nich, szczupły chłopak o zadartym nosie i łobuzerskich oczach, śpiewał piosenkę, której dziarskość przypadła im do serca.

Drugi - olbrzymi chłop - wyglądający obok towarzysza jak góra, pogwizdywał do taktu, Drwale skończyli robotę przy jednym drzewie i zapalili papierosy, którymi poczęstował ich Beridze. Natychmiast zebrała się dookoła cała brygada. Zawiązała się ożywiona rozmowa. Inżynierowie wypytywali drwali o robotę i o sprawy na odcinku. Ci zaś z kolei interesowali się ostatnimi komunikatami z frontu. Chłopak o zadartym nosie nazywał się Fantow, a olbrzym - Szubin. Obaj pochwalili się, że każdy z nich wyrabia trzysta procent normy.

- Kierownik odcinka, Rogow, polecił wyrąbać przesiekę w ciągu trzech dni; potrzebna jest jako droga łącząca odcinek z Adunem. Przy okazji przygotujemy drzewo na podkłady. Zdaje się, że damy sobie radę w ciągu dwóch dni - mówił Szubin.

Aleksiej wziął z rąk Fantowa lśniącą, jakby wypolerowaną piłę.

- Gitara nie piła! Walca można na niej grać! - powiedział Fantow.

- Zwykła dwuręczna - z powagą poprawił go Szubin. - Utrzymujemy ją w porządku, naftą, oczywiście, smarujemy obficie, zęby ustawiamy jak należy; są, jak widzicie, troszeczkę odgięte, a każdy piąty prosty i więcej spiłowany. I sposób roboty mamy też swój. Przyjrzyjcie się - zaproponował inżynierom. - Nie trzymamy go w sekrecie, owszem, możecie podać go innym. Sześćset procent wszędzie się przyda!

Szubin machnął siekierą i lekko wbił ją w pień. Drzewo drgnęło i zahuczało, jakby na znak protestu. Wyrąbawszy klin Szubin chwycił za koniec piły. Inżynierowie czekali, kiedy Fantow zacznie śpiewać. I znów rozległ się wariant pieśni:

Dalej, drwale, naostrzcie swe topory. Raz... dwa...
I odłóżcie do jesiennej pory. Raz... dwa..
A gdy przyjdzie już jesienna pora. Raz... dwa...
Weź się znowu do topora. Raz... dwa...

Piła delikatnie pojękiwała w takt chwackiej piosenki i zagłębiała się w kierunku nacięcia. Kiedy już zupełnie weszła w miąższ drzewa, Szubin nacisnął jej koniec i gwałtownie ją skręcił. Piła znów jęknęła i zadźwięczała. Fantow nacisnął rękojeść i skręcił piłę w swoją stronę. Chodziła równo i bardzo szybko. W ostatniej chwili Szubin cofnął piłę do pozycji początkowej.

- Zapamiętaj sobie, Alosza, to stachanowska metoda, będzie później potrzebna - mówił Beridze. - Proste a skuteczne! Nie na próżno skręcają piłę, dzięki temu chodzi swobodnie. Kiedy obracają ją, w drzewie tworzy się trójkąt wierzchołkiem ku środkowi. Spójrz, teraz spiłowują go. Praca idzie łatwo i pień ściętego drzewa nie ulega zniszczeniu.

Podpiłowane drzewo zaczęło się przechylać na bok.

- Uwaga, towarzysze inżynierowie! - ostrzegł Fantow.

Stopniowo przyśpieszając upadek drzewo płynnie i miękko zwaliło się w zaspę. Na drwali posypał się śnieżny pył.

Koło południa Beridze i Kowszow znaleźli się na szerokiej, dobrze wyślizganej „zimowej" drodze, wzdłuż której co trzy kilometry stały prymitywne drewniane domki - posterunki łączności

telefonicznej i telegraficznej. Drogą w obu kierunkach snuły się samochody, naładowane rurami i próżne. Konie o oszronionych pyskach i bokach wiozły siano, termosy z gorącą strawą i drzewo.

Tuż przy drodze narciarze ujrzeli miasteczko i niezwłocznie skręcili ku niemu. Takie miasteczka były na trasie punktami oparcia, tu mieściły się kwatery załóg robotniczych i składy zaopatrzeniowe. Przyjemnie było spotkać w środku tajgi nowe, drewniane baraki, łaźnię, kuchnię, kancelarię kierownika robót, ruchomą elektrownię pod dachem. Zdawało się, że cieśla przed chwilą dopiero przestał stukać siekierą i odszedł, starannie sprzątnąwszy po sobie wióry.

W miasteczku nie było prawie nikogo; wszyscy, począwszy od kierownika robót, byli na trasie; inżynierowie zastali tylko służbę kuchenną i dyżurnych. W jednym z baraków leżało pięciu chorych. Trzech z nich miało grypę, a dwóch odmrożenia. Inżynierowie posiedzieli z nimi, porozmawiali. Baraki wyglądały dość ubogo, całe umeblowanie składało się z prycz, żelaznych pieców, długich stołów i ławek. Było jednak ciepło i czysto i Beridze wołał z zachwytem: „Można tu z powodzeniem zimować! Zuch Rogow”

W piekarni spróbowali świeżego, jeszcze ciepłego chleba. W kuchni kucharz Nogtiew poskarżył się im na brak sprzętu i naczyń kuchennych. Kiedy po chwili zobaczyli, że na obiad gotowano kaszę i ryby (i jeszcze jakie ryby - karpie!), Beridze zawołał:

- Można żyć!

Nogtiew, pragnąc wykorzystać odwiedziny inżynierów dla swego gospodarstwa, zapewniał, że gdyby dano mu wszystko, czego potrzebuje, to zorganizowałby wyżywienie, jakiego nie dostanie się nawet w restauracji! Wyszło przy tym na jaw, że pracował dawniej w nowińskiej restauracji „Adun”, ale dobrowolnie zgłosił się na budowę, aby „karmić sławnych twórców rurociągu”.

Beridze nic nie obiecywał, ze wszystkiego był zadowolony i powtarzał tylko:

- Można zupełnie dobrze żyć. Jedzenie doskonałe.

Naczelny inżynier ucieszył się ogromnie z małej łaźni, wyposażonej w drewniane kadzie i szkopki. Miał ochotę wykąpać się, ponieważ jednak trzeba było czekać na ogrzanie wody, zrezygnował z zamiaru.

W pobliżu miasteczka mieściły się niewykończone jeszcze budynki transportu samochodowego: szopa, przestronny garaż oraz wspólne mieszkanie dla szoferów i mechaników. Unosił się tu ostry zapach benzyny, oliwy i gumy. Robotnicy krzątali się przy samochodach znajdujących się w remoncie.

Kilka samochodów z przyczepkami, naładowanych rurami i próżnych ustawiło się w szeregu przed dyspozytornią. Beridze i Aleksiej wstąpili i tam. Przy gorącym piecu grzali się szoferzy, odziani w kożuszki zatłuszczone oliwą.

Na widok nieznajomych zamilkli, lecz po chwili znów zaczęli rozmawiać o rozwózce rur. Pomstowali, że jeszcze nigdy nie wozili tak ciężkich i wielkich ładunków.

Dyżurna ruchu, rumiana, wysoka dziewczyna, w rozpiętej watowanej kurtce, gościnnie zapraszała inżynierów, żeby się ogrzali.

- Przemarzliście trochę, prawda? - zapytała Aleksieja rzuciwszy okiem na jego twarz.

Zasoby materiałów posiadanych przez odcinek były zgromadzone na dużej bazie nad brzegiem Adunu, dokąd zostały dostarczone z Nowińska częściowo drogą wodną w okresie nawigacji, a częściowo już po lodowej magistrali na samochodach. Obecnie należało rozwieźć materiały po trasie i ułożyć rurę za rurą. Pracownicy odcinka byli zajęci teraz przede wszystkim przy transporcie:

jedni stale naprawiali i ulepszali trakt zimowy, inni ładowali rury i materiały, jeszcze inni rozwozili je samochodami i taborami konnymi.

Rozwózka była głównym i podstawowym zadaniem wszystkich odcinków. Beridze i Aleksiej szczególnie się nią interesowali. Podczas całego marszu wzdłuż trasy nie pominęli ani jednego stosu rur, ani jednej rury. Dlatego leż po zapoznaniu się z szoferami dołączyli się do ich rozmowy.

- U was jest nie lepiej niż na czwartym odcinku. Wszędzie ta sama historia - opowiadał Aleksiej. - Wzdłuż drogi leżą rury rzucone byle jak. Spotyka się je często, są to rury wzięte ponad normę i rzucone albo wskutek uszkodzenia samochodu, albo z powodu niedbalstwa szofera. To, po prostu, klęska - towarzysze! Wedle moich obliczeń na waszym odcinku zrzucone rury stanowią blisko trzecią część ogólnej ich liczby. Trzeba się nad tym zastanowić, bo gotowiśmy stracić rachubę i będziemy bez końca przerzucać je z miejsca na miejsce.

Pierwsza odezwała się Musia Kuczina, kierowniczka ruchu:

- Trzeba surowiej postępować z szoferami! - powiedziała poważnie. - Gdyby im kazać wwozić masło, to nie porozrzucaliby go po drodze! To przecież lenie: gdy coś się zepsuje - zaraz rury z wozu - i koniec!

- Nie należy napadać na wszystkich! - zaoponował szofer Sołncew, człowiek o wyrazistych rysach twarzy, dużym nosie i mądrych, nieco wypukłych oczach. - Nie przeczę, że są między nami różni ludzie, ale główna przyczyna to - ładunek nieporęczny. Byle co i już leżysz; no i rury - trzeba zwalać...

Nie na próżno rozwożenie rur tak interesowało inżynierów, nie darmo również skarżyli się na nie szoferzy. Na każdym kilometrze trasy trzeba było wyciągnąć w linię około setki rur, z których każda miała jedenaście metrów długości i ważyła tonę. Trzeba je było rozwozić na duże odległości. Dowieźć taki ładunek na miejsce można było tylko po dobrych drogach, a letnich dróg na budowie jeszcze nie było.

Kierownicy budowy postawili wobec odcinków bardzo stanowczo kwestię rozwiezienia rur: albo odcinki rozprowadzą rury teraz, zimą, korzystając z magistrali lodowej i dróg odcinkowych, i wtedy spawanie rurociągu rozpocznie się bez przeszkód na wiosnę, albo też to nie uda się: nadejdzie wiosna i roztopy, wiele czasu pochłonie przygotowanie dróg letnich i na budowę samego rurociągu nie starczy ani sił, ani czasu.

- Nie twierdzę, że łatwo jest wwozić rury. Mówię tylko, że wy, towarzysze szoferzy, staracie się ułatwić sobie zadanie w sposób niedozwolony - sprzeczała się z szoferami Musia. - Jeden tylko Machow spośród was wykonuje normę. Wiem o tym lepiej od innych. W ciągu ostatnich trzech dni miał tylko dwa nieudane rejsy. A ty, Sołncew, ile rur nie. dowiozłeś? Macie jednakowe samochody, a wyniki różne. Dlaczego?

Musia z wyraźną sympatią spojrzała na siedzącego przy oknie szofera o niebieskich oczach.

- Sama spytaj Machowa, dlaczego ma takie szczęście - odpowiedział dziewczynie Sołncew. - Coś mi się zdaje, że przez protekcję liczysz mu wszystkie rury. Machow zrzuci, a ty mimo to liczysz, że wszystkie dowiózł na miejsce.

Szoferzy roześmieli się.

- No, no, Sołncew, bez osobistych wycieczek... - spokojnie i cicho odezwał się Machow.

- Może i tak zapisuję. Udowodnij, a będziesz miał rację! - oczy Musi błysnęły zaczepnie.

- Na czym właściwie polega ta kontrola dowiezionych i nie dowiezionych rur? - zapytał ją Beridze.

- Co trzy kilometry mamy na drodze punkt kontrolny; przy nim jest kontroler, który pilnuje zarówno rozwożenia rur jak i w ogóle całego gospodarstwa w zasięgu swoich trzech kilometrów. Wraz z kierownikami ruchu łączności kontrolerzy notują każdy samochód. Szofer otrzymuje rury na bazie i powinien je dostarczyć do ostatniego stosu. Jeśli zrzuci rury gdzieś po drodze - kontroler sprawdzi to natychmiast. Następnie wszyscy kontrolerzy meldują mi, kto dowiózł, a kto zrzucił rury i ile.

- Porządeczek pierwszorzędny, nic się nie da ukryć! - zaśmiał się Sołncew. - To nasz inżynier Pribytkow wprowadził ten system - och! to dokładny staruszek. Żeby ten porządeczek ominąć, trzeba umieć dogadać się i z Musią, i z kontrolerem, a czy z nimi można dojść do ładu?

Machow spojrzał na zegarek i wstał.

- No, zagrzaliśmy się przyjaciele! Dość! Jedziemy!

Wychodząc szofer ukradkiem rzucił na Musię czułe spojrzenie. Dziewczyna odpowiedziała mu uśmiechem.

Sołncew zaproponował inżynierom, że dowiezie ich do bazy wracał z Machowem bez ładunku. Beridze wsiadł do szoferki, Aleksiej - do Machowa.

- Kłopot z tymi rurami, towarzyszu Machow! - zaczął Aleksiej. - Tyle zmartwień! Słusznie powiedział naczelny inżynier: jeżeli do wiosny ułożymy rury w sznur, można uważać, że rurociąg już jest w połowie zmontowany.

- Nie wiem, jak będzie gdzie indziej, ale na piątym odcinku rury będą rozwiezione. - Słowa Machowa zabrzmiały pewnie i bez samochwalstwa.

Samochód mknął wzdłuż nieprzerwanej linii rur, ułożonych na styk jedna przy drugiej na przestrzeni kilometra. Aleksiej z radością patrzył na tę czarną linię, rysującą się na śniegu.

- Chciałbym widzieć taką kiełbasę aż do samej wyspy!

- Oj, daleko jeszcze do wyspy! - odezwał się szofer. To potężna machina, ten rurociąg!

- Ech, znowu! - zawołał z gniewem Aleksiej ujrzawszy nieporządnie zrzucone rury koło stosu. - Powiedzcie, towarzyszu Machow, jak wy to robicie, że wszystkie rury dowozicie na miejsce? Dlaczego wam się to udaje, a innym nie?

- Niewielka sztuka - odrzekł Machow patrząc z uśmiechem przed siebie. - Mam taką samą ilość zrzuconych rur, co Sołncew, ale potrafiłem umówić się z Musią i kontrolerami.

Aleksiej wziął słowa szofera za żart. Podobał mu się ten człowiek pewny siebie, o mądrym spojrzeniu i miłej twarzy.

- Dawno jesteście kierowcą?

- Z pięć lat. Po ukończeniu dziesięciolatki poszedłem do garażu. Miałem co prawda przerwę - ponieważ ogromnie pociąga mnie muzyka, w ubiegłym roku wstąpiłem do szkoły muzycznej i zacząłem grać w orkiestrze miejskiej. Pochodzę z Błagowieszczeńska; tam wyrosłem i uczyłem się.

- Dlaczego więc zarzuciliście muzykę?

- Nie wzięli mnie do armii, bo mam płaskie stopy. W orkiestrze nie mogłem usiedzieć. Wstyd jakoś przebierać palcami na akordeonie i dmuchać w trąbę, kiedy koledzy ryzykują życiem na froncie.

Miejski Komitet Komsomołu wysłał mnie na budowę. Powiedzieli mi wtedy: nie jest to wprawdzie front, ale także walka - o naftę. Pojeździłem teraz po tych zimowych drogach, namęczyłem się, ciągnąłem nieraz maszynę na własnym grzbiecie - i sam teraz widzę, że to rzeczywiście coś w rodzaju frontu...

- Wiecie, towarzyszu Machow - powiedział niespodziewanie Aleksiej - przyszła mi myśl, żeby zmienić organizację rozwożenia rur. Zastanówmy się, czy zmiana taka mogłaby przynieść jakąś korzyść czy też nie?

Dotychczas na odcinkach wożono rury „od siebie", to znaczy od składu do najbliższego miejsca wyładunku, stopniowo oddalając się od bazy. Przy takiej metodzie w wypadku niedowiezienia czy przymusowego zrzucania rur bliżej niż w miejscu wyznaczonym okazywały się one zbyteczne, ponieważ w tym samym miejscu znajdowały się już rury przywiezione wcześniej. Aleksiejowi przyszła do głowy myśl, aby wozić rury „do siebie", to jest dostarczać je najpierw do najbardziej odległego miejsca, a następnie skracając rejsy zbliżać się do bazy, w której ładowano rury na samochody. Przy tej metodzie każdy przymusowy wyładunek przed miejscem przeznaczenia nie powodowałby zbytecznej pracy, bo rury zostawałyby tam, gdzie musiałyby się znaleźć po którymś z następnych rejsów.

- To rozumiem! - wykrzyknął Machow patrząc zdumiony na Aleksieja.

- Prawda? Trzeba to wypróbować. Założenie jest logiczne.

- Nie potrzeba próbować, już wypróbowano - odrzekł Machow wciąż jeszcze nie przestając się dziwić.

- Kto wypróbował? Gdzie?

- A no, ja! Od trzech dni wożę rury takim właśnie sposobem, jak mówicie, „do siebie". Dziwna rzecz, że jedna i ta sama myśl powstała u dwóch ludzi jednocześnie. Wyobraźcie sobie, że ja też nazwałem ten sposób zwózką „do siebie".

- Naprawdę? - zdziwił się z kolei Aleksiej. - Ale w takim razie dlaczego, mój kochany, nie oświeciliście swoich towarzyszy? Nie chcecie zdradzić sekretu czy co?

- Nie, dlaczego? Ale widzicie, sprawa była tego rodzaju... Kiedy ta myśl przyszła mi do głowy, od razu powiedziałem o tym Poliszczukowi, naszemu kierownikowi transportu. Ale moja propozycja nie podobała mu się. Uważał, że jest rzeczą niecelową posyłać samochody na koniec odcinka, kiedy w pobliżu nie ma jeszcze rur. Przecież od niedawna dopiero zaczęto rozwozić rury, ledwo zorganizowano system kontrolny - i nagle wszystko to zmieniać? Odmówił mi stanowczo.

- I wtedy umówiliście się z Musią i kontrolerami! - wybuchnął śmiechem Aleksiej.

- Właśnie. Chciałem, jeszcze ze dwa, trzy dni wozić tak cichaczem, żeby wypróbować ten sposób, a dopiero potem podać go wszystkim. Ponieważ wam również przyszła taka myśl do głowy, zaproponujcie sami Rogowowi i Poliszczukowi. Wolę pozostać w cieniu. Poliszczuk nie wybaczyłby mi samowoli.

- Głupstwo! przeciwnie, można nawet wystąpić z pretensją do Poliszczuka, że nie zadał sobie trudu zastanowienia się nad waszym pomysłem. Będziemy wszędzie wprowadzali metodę wożenia „do siebie" - i niech ktoś spróbuje się sprzeciwić!

Po przyjeździe do bazy inżynierowie pożegnali się z Machowem i Sołncewem. Szoferzy zaczęli ładować kolejną partię rur, Kowszow i Beridze ruszyli w dalszą drogę. Aleksiej z zapałem opowiadał Beridzemu o propozycji Machowa. Beridze od razu ocenił zalety projektu.

- Metoda „do siebie” będzie dużym krokiem naprzód, zobaczysz - powiedział. - Zuchy z was obu.

Gdzieś z prawej strony był ukryty za drzewami tartak. Dochodził stamtąd rytmiczny łoskot silnika, przenikliwie zgrzytały i śpiewały piły rżnące kloce. Beridze przysłuchiwał się, twarz jego rozjaśniła się.

- Przyjemna muzyka! Lepsza niż Mozart! Jak uważasz, Alosza?

- Patrz, katastrofa - krzyknął Aleksiej.

Przed nimi na zakręcie drogi samochód wiozący rury zahaczył przyczepką o przód jadącej z przeciwnej strony ciężarówki. Samochody gwałtownie wykręciły i zatarasowały drogę. Szoferzy wyskoczyli i zaczęli się kłócić. Na drodze powstał zator. Nowe samochody podjeżdżały i przystawały, pomiędzy nimi usiłowała przecisnąć się kolumna sań.

W zamieszaniu nie od razu zauważono, że w szoferce uszkodzonego samochodu przygniotło pomocnika kierowcy. Wreszcie ktoś usłyszał jęki. Tłumnie rzucono się na pomoc, wyciągnięto rannego z kabiny i przeniesiono do pustego samochodu. Położyło to kres kłótni i wszyscy z pasją zaczęli zrzucać rury z przyczepki. Jedna z rur zwaliła się na ziemię i potoczyła w kierunku sań. czekających na zwolnienie drogi. Konie zlękły się czarnego potwora, zbliżającego się do nich, zachrapały i stanęły dęba. Rozległ się trzask łamiących się sań.

Nadbiegli inżynierowie. Aleksiej kazał odprowadzić konie na bok, a Beridze coś tam mówił do szoferów.

- Jeśliś taki mądry, brodaczu, to zrzuć narty i bierz się do rury albo umykaj - odpowiedział mu rozzłoszczony szofer.

- Skończyć z bałaganem. Natychmiast ustawić przyczepkę i ładować rury z powrotem! - krzyknął Beridze rzucając narty.

- A coś ty za jeden, że tu rozkazujesz? - oburzył się szofer.

- To naczelny inżynier, nie podnoście na niego głosu! - krzyknął Aleksiej i sam się uśmiechnął ze zdania, które mu się wyrwało. - No, towarzysze, rozłączcie swoje maszyny. Podjeżdżajcie wolno. Postawimy na właściwym miejscu przyczepkę tego krzykacza i załadujemy rury, niech je dowiezie jednak na miejsce.

W ciągu kilku minut ruch na drodze został przywrócony.

- Szkoda chłopca, taki młody - powiedział Aleksiej. - Mocno go zgniotło.

- Nasze straty... - westchnął smutnie Beridze. - Bój o rurociąg też wymaga ofiar, Alosza...

Patrząc na okryty śniegiem las, ciągnący się wzdłuż drogi, Aleksiej wyobraził sobie Mitię czołgającego się ku drewnianemu mostowi z granatem w ręku. Przed wyjściem z Nowińska Kowszow przygotował paczkę (konserwy, ciepłe skarpetki, machorkę - braciszek z pewnością nauczył się już palić!) i prosił Żenię Kozłową, aby wysłała ją do szkoły.

- Szkoda chłopaka - powtórzył.

- Nigdy nie zapomnę, z jakim smutkiem mówił o tym Stalin - wyszeptał Beridze, który też myślał o wielkich ofiarach wojny.

2. Sztab Rogowa

Do Tywlina - nanajskiego osiedla, w którym rozlokował się Rogow ze swoim sztabem - pozostawało jeszcze około pięciu kilometrów. Inżynierowie wstąpili na najbliższy punkt kontrolny, aby się ogrzać i dowiedzieć, gdzie jest Rogow. Zaledwie weszli, dyżurny telefonista zerwał się z miejsca i zasalutował po wojskowemu.

- Komuż to salutujecie? - zapytał Beridze.

- Naczelnemu inżynierowi i jego zastępcy - rezolutnie odpowiedział dyżurny. - Od dawna już wraz z całym odcinkiem obserwujemy wasze posuwanie się wzdłuż trasy. Nasz kierownik oczekuje was w sztabie. Właśnie przed chwilą meldowano mu przez selektor, jak zwymyślaliście szoferów.

Wrócił pośpiesznie do aparatu i nałożył słuchawki.

- Połączcie mnie z Rogowem, chciałbym z nim porozmawiać - powiedział Gieorgij.

- Będziecie musieli poczekać, towarzyszu Beridze: rozmawia z nim gospodarz.

- Jaki gospodarz?

- No - Batmanow.

Z tego, z jaką ciekawością dyżurny przysłuchiwał się, i z jego uśmiechu Beridze domyślił się, że rozmowa musi być interesująca. Wziął drugą parę słuchawek.

- Pytam was, towarzyszu Rogow - huczał w słuchawce głos Batmanowa - dlaczego nie wykonaliście mego polecenia?

- Tak, Wasiliju Maksimowiczu... - odezwał się głos Rogowa.

- Co „tak”? - przerwał mu Batmanow. - Zaczniemy rozmowę od początku. Samowolnie zatrzymaliście dziesięć samochodów przeznaczonych dla siódmego odcinka. Kazałem je natychmiast zwrócić. Gdzie one są?

- Wasiliju Maksimowiczu, przecież nie mogę odpowiadać za to, że siódmy odcinek nie śpieszy się z odebraniem tych wozów. Nie przysłali swoich szoferów.

- Nie oszukujcie mnie! Przede mną stoi człowiek, którego wczoraj posyłano do was po samochody. Nie mógł was znaleźć, chociaż stracił na to cały dzień. Zagadkowy przypadek!

Beridze mocniej przycisnął słuchawki. Dyżurny ruchu słuchał z taką uwagą, że aż poruszał wargami z podniecenia.

- A cóż ja jestem winien! Nie trzeba posyłać niedołęgów!

- No, dosyć, Rogow! Nie róbcie ze mnie naiwnego chłopaczka. Doskonale rozumiem, dlaczego was nie znalazł. Pomyśleliście: Batmanow nie dowie się, a ja na tych zdobycznych samochodach pojeżdżę sobie jeszcze ze dwie - trzy doby i rozwiozę paręset rur...

- Niesłuszne posądzenie, Wasiliju Maksimowiczu!

- Towarzyszu Rogow! - zadźwięczał głos Batmanowa. - Bądźcie no łaskawi zebrać samochody i dostarczyć je osobiście jutro na siódmy odcinek.

- Dlaczego osobiście? I bez tego mam dość pracy...

- Powiedziałem i nie będę powtarzać!

- Rozkaz!

- Żeby się to więcej nie zdarzyło! Chcę wam przypomnieć pewien przykry wypadek z rybami.

- Wasiliju Maksimowiczu, nas słuchają moi podwładni.

- Boicie się, że poderwę wasz autorytet? Nie lękajcie się. Nikt nie podważy waszego autorytetu, jeżeli wy sami tego nie zrobicie. A tym, że zabieracie cudze samochody i podstawiacie nogę towarzyszom, którzy w dodatku współzawodniczą z wami, nie boicie się podważyć swego autorytetu?

- Wasiliju Maksimowiczu, jeszcze raz was proszę... Nie jesteśmy sami.

- Dobrze, porozmawiamy sam na sam. - Po chwilowej pauzie Batmanow wydał ostry rozkaz: - Wszyscy, którzy są na linii - niech odejdą od aparatów!

Dyżurny ruchu natychmiast położył słuchawkę i odszedł do okna. Beridzego to rozśmieszyło, dał znak Aleksiejowi, aby włożył słuchawki.

- Proszę odłożyć rozmowę, Wasiliju Maksimowiczu - mówił Rogow. - I tak nas podsłuchują.

- Niech podsłuchują, jeśli są tacy nieuczciwi.

Beridze i Kowszow uśmiechnęli się. Aleksiej jedną ręką przytrzymywał słuchawki, drugą dotykał odmrożonych z lekka policzków, które w cieple zaczerwieniły się, zaczęły obrzmiewać i palić.

- Mogę powiedzieć waszym podwładnym, że szanuję ich szefa - ciągnął Batmanow - że to jest energiczny, zdolny kierownik. Jednocześnie pozwala sobie jednak na anarchistyczne wybryki, które są niedopuszczalne. Skłonny jestem nawet nazwać to korsarstwem na naszej lodowej magistrali.

- Wasiliju Maksimowiczu, obrażacie mnie! - zawołał Rogow.

- A wyście mnie już obrazili! - odparł natychmiast Batmanow. - Czy myśleliście o mnie, kiedy zdecydowaliście się na tę awanturę? Czy rzeczywiście przypuszczaliście, że pozwolę na takie rzeczy? - Batmanow milczał chwilę, po czym ciągnął dalej, spokojniejszym już tonem: - A co do ryb, nie dawałem wiary, kiedy mi mówiono, że byliście wmieszani w tę sprawę. Teraz uwierzyłem. To wszystko. Nigdy nie zapomnę tej historii z samochodami!

- Towarzyszu kierowniku, muszę się z wami natychmiast zobaczyć. Wyjeżdżam do was. Czy pozwolicie? - błagalnie mówił Rogow.

- Nie pozwalam. Kończmy rozmowę! Bądźcie łaskawi wykonać moje polecenie. I żebyście czasem nie zamienili dobrych samochodów na złe.

- Wasiliju Maksimowiczu! - zawołał z rozpaczą Rogow, lecz rozmowa się urwała. Słychać było, jak westchnął i zgrzytnął zębami.

Inżynierowie pośpieszyli do Tywlina w obawie, że nie zastaną Rogowa na miejscu. Idąc Beridze kręcił głową, przypominając sobie rozmowę przez selektor.

- Czy nie wiesz, co to za historia z tymi rybami? - zapytał Aleksiej.

- Owszem, wiem. Kiedyś Załkind opowiadał ją przy mnie Batmanowowi. Przed dwoma laty Rogow był dyrektorem przetwórni rybnej położonej przy ujściu Adunu. W czasie wędrówki łososi kilku tamtejszych dyrektorów porozumiawszy się ze sobą, zrobiło jakieś urządzenie celem wpędzenia ryb

na swoje tereny. W ten sposób wykonali od razu po dwa plany roczne. Ale przy tym wiele łososi wypłoszyli i nie wszystkie poszły do rzeki. Podobno z tego powodu wytwórnie położone nad górnym biegiem Adunu nie były w stanie wykonać planu.

- Paskudna sprawa! Czyżby Rogow był zdolny do czegoś podobnego? - zdziwił się Aleksiej. - Jakoś nie mogę w to uwierzyć.

Chytrych rybaków sądzono. Zostali ukarani. Rogow jednak dowiódł, ze nie brał udziału w tej sprawie i że sprzeciwiał się machinacjom tamtych. Załkind opowiadając o tym był zdania, że Rogow rzeczywiście nie miał z tym nic wspólnego.

Droga skręcała na prawo, ku rzece. Inżynierowie zboczyli ku jednemu z kanałów, aby skrócić sobie drogę do Tywlina. Na lodzie ciemniały okrągłe przeręble wielkie i małe. Woda w nich wrzała, dymiła i dzwoniła srebrzyście. Przy przeręblach uwijali się Nanajczycy to zanurzając w wodzie, to wyciągając sieci. Stosy zamarzniętych ryb - szczupaków, karasi i karpi - leżały na lodzie. Ryba wyciągnięta z wody ledwie zdążyła poruszyć się, zamarzała w mgnieniu oka.

Przy jednej z przerębli kilku ludzi przywiązywało sieć do grubych drewnianych kołków, położonych w poprzek przerębli. Pozostali całą gromadą przytrzymywali sznury. Coś ogromnego ruszało się w rzece podnosząc na wodzie fale i rybacy chwiali się w jedną i drugą stronę, z trudnością utrzymując sieć w rękach. Zaciekawieni narciarze przystanęli. Opodal siedział stary Nanajczyk w haftowanych w różnokolorowe wzory futrzanych butach, w futrzanej czapeczce i takiej samej kurtce. Spokojnie wyciągał z przerębli jedną rybę po drugiej wyławiając je „machałką” - zwykłym haczykiem na grubym sznurku przywiązanym do kija. Podniósł oczy na inżynierów i powiedział głosem monotonnym:

- Ryba wielka, a złapać się. Nasi myśleć: może kaługa... Ciągnąć ciężko, patrz ile ludzi. Na pewno maszyna trzeba wołać. Dobrze, jak taka ryba się złapać - nasza żołnierz będziem dobra karmić.

Kaługa, największa ryba Adunu, miewa nieraz do osiemdziesięciu pudów wagi. Inżynierowie przezwyciężyli chęć zobaczenia, jak będą ją wyciągać z rzeki i pośpiesznie poszli dalej. Za nimi biegły dzieci, było ich coraz więcej. Niektóre wyprzedzały ich, inne biegły na spotkanie. Wytrzeszczały czarne, błyszczące jak antracyt oczy na nieznanych ludzi, zwłaszcza na Beridzego i jego białą, pokrytą szronem brodę. Małym Nanajczykom towarzyszyły kudłate, złe z wyglądu psy, biegające dokoła, lecz nie zwracające uwagi na przybyszów.

- Ekspedycja chodzi! - wołały dzieci. - Ekspedycja!

- To my z tobą jesteśmy tą „ekspedycją” - zaśmiał się Beridze. - Przy okazji zobaczysz tu nowych Goldów. Radzę ci przyjrzeć się ich trybowi życia w Tywlinie, które jest jednym z największych osiedli nad Adunem. Wypadło im zrobić skok od razu z okresu kamiennego do naszego, radzieckiego. Lud, który przeżył taką przemianę, jest ogromnie interesujący. Ujrzysz to, czego jeszcze nie opisano w książkach i czego już w żadnym razie nie ma w obwodzie moskiewskim. Bywałem tutaj, gdy brałem udział w ekspedycjach, ale w ciągu kilku lat w Tywlinie wszystko na pewno się zmieniło.

Osiedle ukazało się od razu za zakrętem. Położone na lewym brzegu wznosiło się wysoko nad Adunem. Cała osada dymiła, nad dachami zawisły prawie zupełnie proste, nieruchome słupy dymu. W promieniach słońca dym przybierał to różowy, to ognisty, to znów złotawy kolor. Na błękitnym zimowym niebie robiło to wrażenie uroczystej iluminacji.

Przed pierwszym domkiem osiedla, na lodzie Adunu, oczekiwała inżynierów grupa Nanajczyków. Jeden z nich, w kożuszku, wyższy od pozostałych, o dużej, z wydatnymi kośćmi policzkowymi

twarzy, wyszedł na spotkanie i przedstawił się jako przewodniczący Rady Wiejskiej. Maksym Chodżer. Wyraźnie i starannie wymawiając słowa, powitał przybyszów.

- Bierzecie nas widocznie za jakąś ekspedycję. My jesteśmy z budowy - powiedział Beridze. - Idziemy do Rogowa. Czy znacie takiego?

Chodżer i inni Nanajczycy roześmieli się z dziecinną bezpośredniością.

- My przecież także z budowy - odrzekł Chodżer. - My i Rogow to jedno. On pomaga nam, my - jemu. I o was, towarzyszu Beridze, dużo słyszeliśmy; Aleksander Iwanowicz opowiadał nam. - Z szacunkiem, prawie uroczyście dodał: - Wiemy, że wy przenieśliście trasę na nasz brzeg. Za drogę do Nowińska wszyscy tubylcy wam podziękują. Chodźmy do mojej fanzy, odpoczniecie sobie.

Beridze wyraźnie wzruszony i zadowolony z pochwały odrzekł, że obaj z towarzyszem z wdzięcznością skorzystają z gościnności, przedtem jednak odwiedzą Rogowa. Nanajczycy tłumnie towarzyszyli inżynierom, idącym przez osiedle. Przypominało ono zwykłą rosyjską wieś z szeroką i prostą ulicą, z dwoma rzędami mocnych drewnianych domów. Chodżer z przyzwyczajenia zapewne nazywał domy fanzami, jednak nie było tu widać wcale tych niskich fanz i spichlerzyków na słupach, które inżynierowie spotykali w innych osiedlach nad Adunem. Tylko psie zaprzęgi i narty, stojące koło szop, przypominały o tym, że jest to wieś nanajska. Poza tym przy wielu domach nie było zadrzewionych ogródków, otoczonych płotem, tak charakterystycznych dla rosyjskiej wsi. Nie było też widać studni z żurawiem - Nanajczycy używali wody z rzeki.

Chodżer tak serdecznie zapraszał Beridzego i Kowszowa, aby obejrzeli szpital, koło którego przechodzili, że inżynierowie nie mogli mu odmówić. Był to niewielki budynek, bardzo ciepły, lśniący czystością. Inżynierowie poznali się z kierowniczką szpitala, starszą już kobietą-lekarzem, Rosjanką, i z jej pomocnicą, felczerką Walą, młodziutką Nanajką. Musieli także zajrzeć do żłobka, z którego matki zabierały właśnie dzieci do domu. W żłobku panował gwar. Wstąpili też do szkoły, posiadającej dwie obszerne klasy i nowiutkie czarne ławki.

Po drodze Chodżer opowiadał o życiu osiedla. Nie bez dumy wyliczał, ile to futer i ryb dostarczył kołchoz na fundusz obrony, ile jarzyn zebrał ze swych ogrodów warzywnych.

Tłum z każdą chwilą wzrastał. Przewodniczący odpędzał ciekawskie dzieciaki, które rozbiegały się z głośnym śmiechem, ale nie odstępowały. Do nich przyłączali się dorośli, a nawet starcy. Wychodzili z domów i nie kryjąc swej żywej ciekawości uważnie przyglądali się inżynierom. Aleksiej zwrócił uwagę na to, że z wyjątkiem starców i starych kobiet, ubranych w ciemne lub pstre, bogato haftowane chałaty, wszyscy Nanajczycy nosili zwykłą miejską odzież.

Chodżer, rzucając już nie po raz pierwszy spojrzenie na uszkodzone narty Aleksieja, powiedział rzeczowo:

- Wasze deski mocno już ucierpiały. To nic, damy inne, dobre. To będzie nasz podarek. - Wziął zaraz narty inżynierów, oddał je idącemu obok chłopakowi, polecając: - Schowaj je na pamiątkę, a Stiepanowi powiedz, że trzeba wybrać najlepsze narty. Niech przyniesie je do mnie jutro rano.

- Miałem tu znajomego, starego Mafę. Umarł już chyba? - przypomniał sobie Beridze i wyjaśnił Aleksiejowi: - to drugi Dersu Uzała[20], Był przewodnikiem wielu ekspedycji. Nieraz zwracaliśmy się do niego. Przypominam sobie, że już wtedy był bardzo stary.

---

[20] Dersu Uzała - bohater powieści W. Arsenjewa, stary myśliwy. - Red.

- Mafa! Żyje! Ma już sto dziesięć lat. Teraz umie tylko spać i drapać się! - zawołał z tyłu jakiś chłopak. Wszyscy roześmieli się, a chłopak ukrył się za plecami towarzyszy.

- Żyje? Doskonale! - ucieszył się Beridze. - Muszę się z nim koniecznie zobaczyć. I on, i inni starcy są mi potrzebni, chcę się ich poradzić.

- Mafa będzie wspominać gubernatora Murawjowa! - zawołał z tłumu ten sam głos.

- Czemu się tam chowasz, Wołodia? - krzyknął Chodżer i z dumą wyjaśnił: - To mój siostrzeniec. Uczy się w Rubieżańsku, w szkole technicznej, przyjechał na wakacje... A tu siedziba towarzysza Rogowa - wskazał ręką. - Jego ludzie mieszkają w naszych fanzach.

Sztab Rogowa zajmował pięć domów na końcu wsi. Naprzeciw biura kierownika odcinka mieściła się Rada Wiejska. Chodżer pokazał inżynierom swój dom stojący w pobliżu, wziął ich plecaki i odszedł.

Rogow stojąc na środku pokoju, którego umeblowanie składało się z dwóch stołów i ławek, powitał inżynierów z rezerwą większą niż zazwyczaj, gdy rozmawiał z nimi przez selektor. Przedstawił im stojących obok: swego zastępcę - Chłynowa, kierownika transportu - Poliszczuka i sekretarza organizacji partyjnej - Kotieniewa.

- My się już znamy - powiedział Aleksiej. - Pracowaliście przecież w żegludze rzecznej? Zmieniliście zawód? - zwrócił się do Poliszczuka.

- Mam tu zaledwie trzy kuterki, które stoją sobie w remoncie, a ja nie wiem, co mam robić ze swoją siłą... - dobrodusznie odrzekł Poliszczuk. Zauważywszy jednak surowe spojrzenie Rogowa, niezadowolonego widocznie, że rozmowa nawiązywała się niezależnie od niego, stanął na baczność i zapytał: - Czy mogę odejść?

Rogow zwrócił się do Chłynowa: - pogadajcie z Poliszczukiem, a my tymczasem zajmiemy się omówieniem swoich spraw.

Chłynow i Poliszczuk wyszli do sąsiedniego pokoju. Aleksiej, który znał Rogowa tylko z kilku krótkich spotkań, przyglądał mu się z ciekawością. Silna postać Rogowa, ubranego w zgrabną, dobrze dopasowaną kurtkę z żółtej skóry, zapinaną na błyskawiczny zamek, tchnęła zdrowiem. Jego twarz o wydatnym podbródku, szeroko rozstawionych oczach i prostym nosie, o skórze zgrubiałej i pociemniałej wskutek stałego przebywania na mrozie, nacechowana była męskością i energią.

- Wielce był groźny wojewoda tywliński! - zawołał Beridze, z uznaniem patrząc na gospodarza.

Rogow pochmurny i zatroskany nie zareagował wcale na jego żart. Inżynierowie zrozumieli, że to chłodne przyjęcie jest wynikiem burzliwej rozmowy kierownika odcinka z Batmanowem.

- Czemuż nie poszliście odpocząć? - zapytał Rogow prawie gniewnie i obrzucił Aleksieja uważnym i jakimś nieprzychylnym spojrzeniem. - Spieszycie się, towarzysze kierownicy, aby zrobić na szaro Rogowa? Zdążycie to jeszcze zrobić!

- Cóż, jeżeli trzeba będzie, to zrobimy go na szaro. Jakie to wymyślne słówka wybrał on! - odpowiedział Beridze i od razu spoważniał. – Dla dobra sprawy, Aleksandrze Iwanowiczu, nie wstyd nawet się pokłócić. Zresztą lepiej nie uprzedzajcie wypadków, po co się napraszać?

- Wymyślajcie, to należy do waszych obowiązków! - machnął ręką Rogow, aż zaskrzypiała skóra jego kurtki. - Sam wiem zresztą, że na moim odcinku źle się dzieje. Zbytecznych rur nawaliłem na trasie bez sensu! Składy zbudowałem byle jak! W barakach dla robotników nieprzytulnie! Żyję dniem

dzisiejszym, do planowania nie nabrałem ochoty, nie wiem, co będę robić za miesiąc! Czyż nie tak? Batmanow już mi za to nawymyślał, a teraz wymyślajcie wy!

Kotieniew przygładzając szopę falistych, niesfornych rudawych włosów z niezadowoleniem słuchał kierownika odcinka i próbował pohamować go spojrzeniem.

- Po co to wszystko, Aleksandrze Iwanowiczu? - rzekł mu wreszcie.

Beridze, który już siedział przy stole, wstał.

- Źle zaczęliście rozmowę, towarzyszu. Gorący z was człowiek, ale ja jestem jeszcze gorętszy - wiadomo, z Kaukazu. Jeszcze trochę, a nagadamy sobie wzajemnie różnych głupstw. Chodźmy, Aleksieju Nikołajewiczu, do Chodżera, niech gospodarz cokolwiek ostygnie...

Podszedł ku drzwiom, za nim ruszył Aleksiej. Rogow skoczył naprzód i zagrodził im drogę.

- Obrazisz mnie śmiertelnie, jeśli wyjdziesz, Gieorgiju Dawydowiczu! Nie puszczę cię. Lepiej już nawymyślaj mi albo uderz, ale...

Beridze popatrzył na niego uważnie.

- A więc umawiamy się: pamiętaj, Rogow, że jesteśmy przedstawicielami zarządu, i że nie przyjechaliśmy do ciebie jako goście. Wtedy obejdzie się bez rękoczynów. W przeciwnym razie, wybacz, ale możesz oberwać!...

Inżynierowie wrócili do stołu. Rogow usiadł na swoim miejscu. Pozwalając mu ochłonąć Aleksiej i Beridze zaczęli rozmawiać po cichu między sobą. Rogow obserwował ich przez chwilę i wyszedł wraz z Kotieniewem.

Za cienką przegródką rozległ się jego ochrypły głos:

- Zawołać felczera! Niech przyniosą obiad dla przedstawicieli zarządu.

- Po co mu felczer? Krople będzie przyjmował, żeby uspokoić nerwy czy co? - roześmiał się Aleksiej.

Inżynierowie słyszeli wszystko, o czym mówiono w sąsiednim pokoju.

- Czemuście się tak stawiali, Aleksandrze Iwanowiczu? - pytał Kotieniew. - Za samochody dostało się wam zupełnie słusznie. Na zebraniu partyjnym jeszcze za nie dołożymy.

- Daj spokój, Kotieniew! I bez ciebie słabo mi się robi - zawołał Rogow.

Głosy zmieszały się, po chwili znów odezwał się Rogow:

- Słuchaj, Poliszczuk, obejrzyjcie z mechanikiem jak najdokładniej te samochody. Jutro z rana sam je przyjmę i poprowadzę na siódmy odcinek.

- Nie zdążymy, Aleksandrze Iwanowiczu. Wszystkie samochody są w drodze. Niektóre znajdują się aż na drugim końcu odcinka i wrócą dopiero jutro - sprzeciwił się Poliszczuk. - Nic wielkiego się nie stanie, jeżeli pobędą u nas jeszcze ze dwa dni.

Rogow zaklął:

- Ja ci dam jeszcze dwa dni! Niech diabli wezmą te samochody! Napoili mnie już za nie miodem. Zrobisz, jak powiedziałem. I jeszcze jedno: wszystkich szoferów, którzy w nocy powrócą do bazy, przyprowadzisz do mnie. Dam ja im szkołę.

Beridze zawołał:

- Aleksandrze Iwanowiczu! Znamy historię z samochodami, niepotrzebnie tam szepczesz! Wracaj na swoje miejsce i wydawaj polecenia głośno.

Rogow wrócił i nie patrząc na inżynierów usiadł przy stole. Poliszczuk, Chłynow i Kotieniew weszli także.

- Idź - zwrócił się Rogow do Poliszczuka. - I uwijaj się. Uważaj!

- Słucham - odparł tamten i zniknął.

Do pokoju weszły dwie kobiety w białych fartuchach, z menażkami i talerzami na tacy. W jednej chwili nakryły stół dla inżynierów.

- O, smażona kaługa! Na pewno ta sama, którą niedawno wyciągali z przerębla. Prawda, Aleksiej?

Beridze z apetytem zabrał się do ryby.

- Słyszeliśmy wszyscy, co mówił Batmanow - gderał Rogow zwracając się do Chłynowa. - A jednak nic się absolutnie nie robi. Czekacie, żeby nam znowu dali nauczkę! Powiedziano nam przed dwoma dniami, że życie u nas jest znośne, a powinno być dobre. Zapomniałeś o tym, Chłynow? Gdzie jest przytulność w barakach? O łaźni też się mówiło i o kuchni. Mówiłem ci: przydzielić ludzi, żeby robili ławki, stoły, nocne szafki...

- Wszystko robimy, Aleksandrze Iwanowiczu - powiedział Chłynow.

- Co to za robota! Pół roku będziesz się bawić z drobiazgami, kiedy dano mi na nie godzinę! Jazda na siódmy odcinek z samochodami zajmie mi dwa dni. Pamiętaj, żeby te dwa dni nie poszły na marne.

O mało nie wpadłszy na wychodzącego Chłynowa wbiegła do biura młoda Nanajka w wiewiórczym futerku i takiej samej czapeczce. Wskutek szybkiego ruchu jej ożywiona twarz nabrała rumieńców. Inżynierowie poznali w niej felczerkę Walę.

- Kto tu chory? - zapytała dźwięcznym głosem.

- Spójrz no, Walu. Towarzysz Kowszow odmroził sobie twarz. Trzeba mu udzielić pomocy - powiedział pochmurnie Rogow.

Aleksiej dopiero teraz zrozumiał, że Rogow zatroszczył się o niego. Dziewczyna zbliżyła się i pomimo protestów Aleksieja podniosła ku górze chłodnymi dłońmi jego rozognioną i z lekka obrzękłą twarz. Aleksiej z zachwytem patrzył na jej długie rzęsy.

- Dobrze, że natarliście śniegiem - powiedziała Wala. - Bo musielibyście chodzić z czarną twarzą. Zaraz wysmarujemy wam policzki i nos tłuszczem i wszystko minie. - Spojrzała Aleksiejowi w oczy. - Zagoi się, zanim wrócicie do Nowińska. Narzeczona nic nie zauważy. A pokażcie no ręce! E, z rękami gorzej! Z tego się narzeczona nie ucieszy. - Dziewczyna mówiła dobrze po rosyjsku, z ledwo dostrzegalnym akcentem.

- Nie mam narzeczonej, Walu.

- Nie wierzę - odrzekła dziewczyna i zaśmiawszy się dziecinnie, pobiegła po tłuszcz.

Rogow w milczeniu przechadzał się po pokoju, w dalszym ciągu nie patrząc na inżynierów. Beridze zapalił fajkę. Aleksiej wydobył z torby arkusz papieru, aby nakreślić schemat rozwożenia rur „do siebie”.

- Gdybyście wiedzieli, co tu się działo, kiedy przyjechałem z tą uszkodzoną barką! Kotieniew może wam opowiedzieć - głucho i z mocą przemówił nieoczekiwanie Rogow nie zwracając się do nikogo. - Dwa razy poprzez kry przedostawaliśmy się z Poliszczukiem z brzegu na brzeg. O mało nie poszliśmy na dno, nałykaliśmy się lodowatej wody... Połowa odcinka na jednym brzegu, połowa na drugim. Kierownik odcinka pije w towarzystwie takich jak on sam łotrów, rozkradają dobytek, łobuzują się, awanturują. Zrazili do siebie Nanajczyków. Ludzie cierpią głód i chłód, aż żal patrzeć! Co było robić? Naradziliśmy się z Kotieniewem i zdecydowaliśmy, że muszę tu zostać. Dopiero potem Batmanow mnie zatwierdził. Komitet Rejonowy pomógł mi rozprawić się z łajdakami. Przyszliśmy z Kotieniewem do Nanajczyków. Byli obrażeni na dawnego kierownika odcinka i z początku nie ufali nam, dopiero potem uwierzyli. Doczekaliśmy się nareszcie zamarznięcia Adunu, przenieśliśmy na lewy brzeg dobytek, naprawiliśmy drogę, pobudowaliśmy się po trochu...

Rogow szybko chodził po pokoju i gorączkowo opowiadał. Inżynierowie słuchali go z sympatią. Aleksiej przypomniał sobie pierwsze zetknięcie się Batmanowa z Rogowem i szlachetny odruch tego ostatniego.

- To, co zrobiłeś na odcinku, było twoim obowiązkiem - przerwał mu Kotieniew. - Po co o tym mówisz?

- Tak, robiłem to, co było moim obowiązkiem i czego nie mogłem nie robić - ciągnął Rogow. - Pewnie, że nie dla Batmanowa męczyłem się, traciłem siły, nie spałem po nocach. Teraz jest wojna i każdy musi zająć swe miejsce w boju... Jednak dużo myślałem o Batmanowie: przecież jest mi drogie jego dobre słowo. Ty, Kotieniew, masz do niego inny stosunek i dlatego nie możesz mnie zrozumieć. Odkąd go poznałem, przywiązałem się do niego bardzo mocno. Gotów byłbym duszę za niego oddać, słowo honoru! Prócz mnie wielu jest teraz na odcinku ludzi, którym przypadł do serca... Kim ja wobec niego jestem? Żółtodziobem - Rogow odwrócił się tak gwałtownie, że wszystko na nim zachrzęściło. - I dopiąłem swego, usłyszałem od niego dobre słowo: „Zadowolony jestem z ciebie, dobrze tu gospodarzyłeś. Dziękuję! Cieszę się, żem się na tobie nie zawiódł". A dziś wszystko poszło do diabła? „Obraziliście mnie" - powiada. I od razu przeszedł na „wy". Cóż ze mnie za pała! - uderzył się dłonią w czoło. - Jednym głupim postępkiem można przekreślić lata uczciwej pracy!... Te samochody! Toż przecież gotów jestem oddać nawet samochody ze swego odcinka i wlec rury na własnym grzbiecie! Co on sobie teraz o mnie myśli? I o rybach przypomniał sobie. - Pochylił się gwałtownie w stronę Beridzego. - Wierz mi, Gieorgiju Dawydowiczu: nic nie zawiniłem w tej historii z rybami. A samochody... No cóż, zabrałem. Ale zapytaj, jak to się stało! Dwa czy trzy samochody nawaliły w drodze, szoferzy przyszli do mnie, kazałem im pomóc. Potem pomyślałem, jak się okazało w złą godzinę, że na siódmym odcinku i tak będą stały bezczynnie, postanowiłem skorzystać i przewieźć trochę rur...

- Z samochodami źle załatwiłeś - surowo powiedział Beridze. - Nie ma się co usprawiedliwiać.

- Ja się nie usprawiedliwiam, lecz przyznaję się do winy. Kotieniew uprzedzał mnie, nie posłuchałem. Nigdy w życiu nie przebaczę sobie tego. Powiedz mi, Gieorgiju Dawydowiczu, jak mam się teraz z Batmanowem pogodzić? On nie chce mnie nawet widzieć. Rozmawialiśmy przez selektor, a mnie się zdawało, że staliśmy twarzą w twarz. W takiej chwili tak się zhańbiłem!...

Rogow usiadł na ławce i pochylił głowę. Jego nieoczekiwana spowiedź wzruszyła Aleksieja. Z coraz większą sympatią patrząc na tego silnego i porywczego człowieka Aleksiej przypomniał sobie nagle Olgę: oto kto był potrzebny tej kobiecie, skrzywdzonej przez niefortunną miłość! Wyobraził ich sobie jako parę i ze zdumieniem pomyślał o tym, jak los bywa ślepy, łączy ludzi nie troszcząc się, czy odpowiadają sobie, czy nie, i często rozdziela tych, którzy są dla siebie stworzeni.

Kotieniew wypytywał Beridzego o pracę nad projektem, interesował się odcinkami już obejrzanymi przez inżynierów.

- Czy poprawiły się stosunki między Rogowem i Pribytkowem? - zapytał Beridze.

- Stosunki są dobre. Zdaje się, że do obu pisaliście w tej sprawie.

- Pisałem i to bardzo ostro.

- Rogow ma taki charakter, że ani jeden dzień nie mija spokojnie. To człowiek o niesłychanej energii! Ale i stary Pribytkow nie da sobie zrobić krzywdy. Czasami muszę występować w roli pośrednika. Ja już ich poznałem i wiem, jak trzeba ich godzić. W ogóle pracujemy, jesteśmy przecież komunistami i mimo różnic w charakterach znajdujemy zawsze wspólny język.

Wróciła Wala ze słoikiem maści. Za nią wszedł Maksym Chodżer. Przewodniczący Rady Wiejskiej usiadł w milczeniu przy stole pykając fajeczkę. Wala wysmarowała twarz i ręce Aleksieja, po chwili inżynier błyszczał jak mongolski bożek. Skończywszy swe dzieło dziewczyna usiadła obok Chodżera i z zaciekawieniem przyglądała się gościom.

- Czas do roboty, na niezadowolenia i kwasy można poświęcić pięć minut - powiedział z westchnieniem Rogow i zwrócił się do Chodżera: - na co czekasz, przewodniczący? Masz jakąś sprawę? Mów, o co chodzi!

- Towarzysza Beridzego chcemy widzieć u siebie. Niech przyjdzie. Towarzysz Kowszow także. Chcieli rozmawiać ze starcami - zebrałem ich, nawet Mafa przyszedł.

- Nie teraz, Chodżer, później. Musimy najpierw rozpatrzyć niektóre sprawy. A ty, doktorze, nie mrugaj na Kowszowa... Nic nie pomoże - w mieście ma ukochaną, piękną dziewczynę; on nie dla ciebie.

Aleksiej uchwycił w tym żarcie ukrytą nutę goryczy i spojrzał ze zdziwieniem na Rogowa.

- Na nikogo nie mrugam, kierowniku, ja mam także narzeczonego. Czy już zapomniałeś, kogo wyprawiliśmy na front? - odpowiedziała figlarnie Wala. Spojrzała jeszcze raz ukradkiem na błyszczącą twarz Kowszowa i uciekła.

- Aleksandrze Iwanowiczu, nasi rybacy chcą ci opowiedzieć o swojej krzywdzie - odezwał się po chwili Chodżer.

- Co znowu za krzywda? No, to zawołaj ich.

Chodżer wyszedł i natychmiast wrócił w towarzystwie dwóch Nanajczyczyków, których inżynierowie widzieli już na rzece. Pierwszy z nich, chudy starzec, przestąpiwszy próg nisko ukłonił się Rogowowi.

- Niepoprawny jesteś, dziadku! Ile już razy mówiłem ci, żebyś przestał wybijać te pokłony! - rozgniewał się Rogow. - Zawsze tym psujesz mi humor. Mógłbyś się już od tego odzwyczaić. Komu to potrzebne?

Drugi rybak, na którego twarzy wśród szerokich i płaskich policzków, podwyższonych ku skroniom zupełnie ginął maleńki jak guziczek nos, był młodszy. Zbliżył się do Rogowa i zaczął mówić podnieconym tonem:

- Niedobrze tak robi. Nasza kaługa złapał, nasza sama chciał robotnikom podaruj. Po co mechanik zabrać ryba? O, jak niedobrze! - Rybak kiwał głową i cmokał.

- Jaka znów ryba? O czym mówisz? Nic nie rozumiem. Mógłbyś się od Chodżera nauczyć mówić po rosyjsku. Albo już mów po nanajsku, prędzej cię zrozumiem.

Chodżer wyjaśnił, że rybacy złapali olbrzymią kaługę, ważącą około dwudziestu pięciu pudów. Nie mogli jej wyciągnąć i zwrócili się do mechanika o pomoc. Ten podjechał traktorem, zahaczył sieć i wyciągnął olbrzymią rybę. Następnie pomocnicy mechanika załadowali kaługę na sanie doczepione do traktora i odjechali. Ten postępek rozżalił i dotknął rybaków, którzy sami mieli zamiar połowę ryby ofiarować odcinkowi, drugą zaś dać na Fundusz Obrony.

- Ach, łajdak! - Na twarzy Rogowa zarysowała się ostra zmarszczka. Spojrzał na Kotieniewa. - Słyszysz? Znów powtarza się chuligańskie zachowanie się wobec tubylców. Macie rację, towarzysze - zwrócił się Rogow do rybaków. - Natychmiast poczynimy odpowiednie kroki. Ryba zostanie wam zwrócona.

Kazał odszukać i wezwać do siebie mechanika. Stary Nanajczyk znów się ukłonił. Rogow odwrócił się od niego ze złością. Odchodząc z rybakami Chodżer przypomniał, że będzie czekać na inżynierów w swoim domu.

Pribytkow, kierownik robót na trasie odcinka, siwy staruszek w okularach, rozłożył przed inżynierami i kierownikiem odcinka harmonogram rozwózki i spawania rur. Do wykresu dołączony był wykaz potrzebnych materiałów.

- Najpierw pomówimy o rurach - powiedział Beridze. - W tej części odcinka, którą przeszliśmy z Kowszowem, leży wiele zbędnych rur. Czy to znaczy, że brak ich w drugiej części, czy też są w ogóle zbyteczne?

Aleksiej wydostał sporządzoną przez siebie notatkę i wszyscy razem zaczęli robić zestawienie rur, według rubryk: znajdują się na składach, rozwieziono i ułożono w stosy, wyciągnięto w linię. Z obliczeń wynikało, że na odcinku jest przeszło sto zbędnych rur.

- Natychmiast, Aleksandrze Iwanowiczu, każ je oddać szóstemu lub siódmemu odcinkowi - polecił Beridze. - Wiem, że tam są braki. Te samochody, które będziesz wysyłać jutro, mogą od razu zabrać prawie wszystkie niepotrzebne rury.

Rogow chodził po pokoju i hałaśliwie pocierał szorstkie, spierzchnięte ręce.

- Znowu wyszło tak, jakbym dybał na cudze. Ale tu już zupełnie nie moja wina! Dlaczego towarzyszu inżynierze - zwrócił się do Pribytkowa - milczeliście, nie powiedzieliście o tym? Czy nie mogliście policzyć rur? Zapomnieliście arytmetyki?...

Inżynierowie i kierownicy odcinka skrupulatnie badali wedle harmonogramu dzień po dniu, obliczając tempo rozwózki.

- Czy mamy wozić rury jeszcze dwa miesiące? - gorączkował się Rogow. - Nie zgadzam się, towarzyszu Pribytkow. Zrobimy to prędzej.

- Nie damy rady - oponował staruszek. - Proszę, tu macie obliczenie. Mamy dwanaście samochodów, każdy ładuje...

- Samochody samochodami, a ludzie ludźmi - sprzeciwił się Kotieniew.

- Doskonale wiecie, że z każdym dniem rozwozimy coraz więcej, a samochody wciąż mamy te same.

- Dziś zbiorę szoferów i zobaczymy, co oni nam powiedzą - dodał Rogow.

- Wszystko jedno, co powiedzą, ale faktem jest, że rury rozwożą źle. W dalszym ciągu zwalają je byle gdzie - łagodnie, a jednocześnie uparcie twierdził Pribytkow. - Harmonogram tego nie przewiduje i trzeba będzie przeznaczyć na to dodatkowy czas.

- Kierownik odcinka ma rację - wtrącił się Kowszow. - Należy przyśpieszyć rozwózkę rur. Gdy zejdą się szoferzy, porozmawiamy o zmianie organizacji rozwózki. Mam pewną rozsądną propozycję.

Rogow skrzywił się. Poparcie Kowszowa nie podobało mu się z jakiegoś powodu. Beridze zauważył to i dodał:

- Zobaczysz, Aleksandrze Iwanowiczu. Propozycja świetna, choć bardzo prosta. Dziwię się, dlaczego wcześniej nie przyszła nam do głowy!

Nagle do biura wbiegł pędem rosły chłopak z szoferskimi rękawicami w rękach. Głowę miał pokrytą szronem, na mokrym kożuszku szklił się lód. Ciężko dysząc zameldował Rogowowi:

- Wydobyłem samochód z wody! Wstawiłem do garażu.

- Świetnie! - ucieszył się Rogow. - Biegnij do domu i rozgrzej się. Powiedz, że kazałem ci dać szklankę spirytusu. Uważaj, żebyś nie zachorował...

Szofer nie ruszał się z miejsca utkwiwszy wzrok w Rogowie. Ten popchnął go z lekka w stronę drzwi.

- Leć, leć. I bez ciebie znam przepisy: przez głupotę utopiłeś samochód - dostałeś naganę, wyratowałeś go - nagana będzie cofnięta. - Rogow szepnął szybko do Kotieniewa: - widzisz, jakim kamieniem na duszy jest nagana. Nie czas teraz ją dostawać zwłaszcza od Batmanowa.

Na progu stanął niski, szeroki w barach człowiek w zatłuszczonym kombinezonie.

- Pogadaj ty z tym uzurpatorem. Boję się, że nie będę w stanie nad sobą zapanować - zwrócił się Rogow do Kotieniewa.

- Kto wam pozwolił rządzić się na odcinku? - zapytał Kotieniew człowieka w kombinezonie. - Jakim prawem zabraliście rybakom kaługę?

- To właśnie my wyciągnęliśmy tego wieloryba z rzeki. Oni przecież i tak nie daliby sobie sami rady - mechanik z miną niewiniątka wzruszył ramionami.

- „Przecież, przecież”! - przedrzeźniał Rogow, który jednak nie wytrzymał. - O moralności później z wami specjalnie porozmawiamy, teraz nie wypada mi użyć wszystkich wyrażeń.

- Wasz postępek był dziki, to jakiś wstrętny przeżytek - robił mechanikowi wymówki Kotieniew. - Nanajczycy zasługują na pełny szacunek. Pomagają nam we wszystkim. Dlaczego skrzywdziliście ich? Przecież oni sami chcieli ofiarować odcinkowi połowę tej kaługi.

- Bardzo dobrze. Niech im się zdaje, że już ją ofiarowali - uśmiechnął się mechanik. - A dla siebie jeszcze złapią. Ryb w rzece jest dość.

- Proszę, nie wiedziałem, że jesteście takim handlowcem! - zdziwił się złośliwie Rogow. - Szkoda, że nie pracujecie w dziale zaopatrzenia - w mig oczyścilibyście całą okolicę!... A teraz powiem wam, obywatelu, tylko tyle: macie natychmiast odwieźć rybę do przewodniczącego kołchozu, a później przyjdźcie tutaj, porozmawiamy o handlu!

Rogow takim tonem powiedział „porozmawiamy”, że mechanika przeszły ciarki.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to zajmę się tą historią - zaproponował Kotieniew. - Pójdę do kolumny samochodowej, zwołam wszystkich - komunistów i bezpartyjnych - i pogadamy od serca. Mechanik i jego dzisiejszy kawał zasługują na specjalną uwagę.

Pribytkow i Beridze z Kowszowem przeglądali wykazy materiałów, badając, co jest i czego brak na odcinku.

- Zapisz, Alosza: karbidu mało, elektrod także. Bitumu nie ma zupełnie - dyktował szybko Beridze.

Aleksiej pisał rozcierając lewą ręką rozpływający się na policzkach tłuszcz. Rogow usiadł z boku, głęboko wsunąwszy ręce w kieszenie.

Za oknami było już ciemno, gdy wszedł Poliszczuk. Za nim wsunęła się gromada szoferów - zdrowych, rumianych chłopców, w garbowanych kożuszkach i filcowych butach. Zapełnili biuro wnosząc z sobą ostry zapach benzyny.

- Siadajcie, towarzysze szoferzy - zaprosił dobrodusznie Rogow, któremu poprawił się już humor.

Przemówień na tym osobliwym zebraniu nie wygłaszano, wszystko rozstrzygano szybko. Trzymając przed sobą notatkę, którą mu podał Poliszczuk, Rogow wywoływał:

- Szofer Sołncew! Trzy rejsy, dziewięć rur. Sześć dowiózł, trzy zrzucił na dziewiętnastym kilometrze... Zmęczyłeś się pod koniec czy co? Po cóż mi te trzy rury na dziewiętnastym kilometrze? Z tego wynika, mój kochany, że ty zobowiązałeś się wobec Smorczkowa, a zobowiązanie będzie wypełniał wujaszek?

Sołncew wstał i odwracając wzrok wyjaśnił:

- Starałem się, jak mogłem, a mimo to się nie udało... Nie wiem już, jak wozić te przeklęte rury! Myślę, że dobrze byłoby obniżyć podpórki na przy czepce, będą mocniejsze.

- Poliszczuk, zanotuj jego propozycję - polecił Rogow. - Przyczepkę obejrzymy, ale twoja jutrzejsza norma wynosi dwanaście rur: trzy dzisiejsze i dziewięć jutrzejszych. Innego wyjścia nie ma. Pilnuj się, żeby jednak twoja norma nie doszła w ten sposób do setki...

Sołncew uśmiechnął się i spojrzał na towarzyszy: uśmiechali się wszyscy, widać było, że przyzwyczaili się już do Rogowa i lubili go. Wstawali jeden po drugim i składali meldunki. Rogow nie szczędził upomnień, wymówek i wyjaśnień. Wreszcie zaczęto omawiać poglądowo przykłady pozytywne.

- Szofer Machow. Trzy rejsy, dwanaście rur - wszystkie na miejscu. Opowiedz, Machow, tym pechowcom, jak sobie radzisz. Musicie wiedzieć, że on bierze cztery rury zamiast trzech i zawsze dowozi je tam, gdzie trzeba.

- To tajemnica - oświadczył Machow i spojrzał na Kowszowa, jakby go chciał uprzedzić, ażeby nic nie mówił. - Niech pechowcy sami myślą, ja za nich myśleć nie będę.

- Tajemnica? - zaśmiał się Rogow. - A więc mamy prywatnego przedsiębiorcę indywidualistę! Ech, warto ci się przyjrzeć, teraz nieczęsto można takich spotkać na naszej ziemi. Czyś ty czasem nie przyjechał z Ameryki?

- Nie obrażaj mnie, towarzyszu Rogow, pochodzę z Błagowieszczeńska.

- Więc nie chcesz podzielić się tajemnicą?

- Nie - spokojnie odpowiedział Machow.

- Jak uważasz, obejdziemy się. Boję się tylko, że tobie samemu potem będzie wstyd.

- Nie szkodzi, wytrzymam ten ból.

Wtedy Aleksiej wyjaśnił szoferom, na czym polega sposób rozwożenia rur „do siebie”.

Nie skończył jeszcze mówić, gdy w pokoju podniósł się gwar: nowy projekt podobał się wszystkim, szoferzy od razu ocenili korzyści, jakie dawała ta metoda.

- Towarzyszu Rogow, wprowadźcie zaraz od jutra ten sposób - zawołał Sołncew.

- Oczywiście - zgodził się Rogow. Przyglądał się uważnie Aleksiejowi, który dostrzegł w jego wzroku aprobatę.

- Pozwólcie, towarzyszu Kowszow, że dodamy coś jeszcze do waszego pomysłu. Coś w rodzaju premii na końcowym punkcie. Kto dowiezie rury na wyznaczone miejsce - otrzyma nagrodę.

- Szklaneczkę wódki! - krzyknął ktoś.

- Pijak! - rzucił w odpowiedzi Rogow. - A jeżeli powita was tam dziewczyna z kubkiem gorącej kawy, kanapką i paczką papierosów, to wam się nie będzie podobało?

- Zgoda! Trzymamy za słowo! - zawołał Machow.

- Ach, to pan, panie indywidualisto? - Wzrok Rogowa spoczął na Machowie. - A ja już zapomniałem o was. Wydała się wasza tajemnica, co? Teraz jest już nikomu niepotrzebna! Nie żal wam?

- Ani trochę - szczerze odparł Machow.

- Od jutra rozwozimy według metody inżyniera Kowszowa - polecił Rogow Poliszczukowi. - Przejście na nowy system musi się odbyć bez przerwy w robocie. Dziś jeszcze wspólnie z Pribytkowem opracujcie dokładnie system ruchu i kontroli.

- Zrobione - odpowiedział krótko Poliszczuk.

Ten małomówny człowiek stał się wiernym pomocnikiem i przyjacielem Rogowa od chwili, gdy się poznali podczas pamiętnej katastrofy barki na przeprawie. Gdyby wówczas Poliszczuk nie pośpieszył z kutrem na pomoc, to kto wie, czy Rogow potrafiłby uratować uszkodzoną barkę i ocalić ludzi i dobytek.

W tej chwili Poliszczuk był zmieszany i zirytowany. Po spojrzeniach, jakie wymieniali między sobą inżynier i szofer, poznał, że obaj byli w zmowie. Poliszczuk był zły na siebie za gafę. Nie wiedział, czy należy całą rzecz wyjawić przed Rogowem czy też nie. I w tym właśnie momencie usłyszał słowa Kowszowa:

- Towarzyszu Rogow, nazwaliście metodę rozwożenia „do siebie” moją metodą. Sumienie każe mi wnieść poprawkę. - Aleksiej zaśmiał się zauważywszy, jak Machow skulony chował się za plecami towarzyszy.

- Jak to? Przecież wy zaproponowaliście tę metodę!

- Jeszcze przede mną wymyślił ją i sprawdził w praktyce towarzysz Machow.

- Ach tak! - zazdrośnie zawołał Rogow. - Machow! - Dopiero po chwili odnalazł szofera oczami. - Nie chowaj się, i tak cię znajdę. Więc nie ufasz nam - ani mnie, ani Poliszczukowi, ani Kotieniewowi?

Szofer milczał. Rozgniewany Rogow nie spuszczał z niego wzroku.

- Nie ruszaj go, Aleksandrze Iwanowiczu, to moja wina - cicho powiedział Poliszczuk. - Zwracał się do mnie, ale mu odmówiłem. Nie przekonała mnie jego propozycja, sam nie wiem, dlaczego.

Rogow zwrócił zdziwiony wzrok na Poliszczuka.

- Cóż to się dzieje w moim domu?

Chciał wsiąść od razu i na Poliszczuka, i na Machowa, ale zauważył, że inżynierowie i Kotieniew obserwują go z uśmiechem.

- Dobrze, odłożymy naszą pogawędkę - burknął.

Zwalniając szoferów powiedział im na pożegnanie:

- W ciągu najbliższych dwóch dni nie będzie mnie na odcinku. Spodziewam się, że wróciwszy zastanę zupełnie inne sprawdziany waszej pracy.

- Teraz rozwożenie pójdzie o wiele składniej - wtrącił Sołncew.

- Trzeba się śpieszyć ze wszystkich sił - ciągnął dalej Rogow. - Naczelnik budowy uprzedził mnie, że ma za mało szoferów na dalszych odcinkach. Wkrótce niektórzy z was będą musieli ruszyć dalej, w ślad za Smorczkowem.

- Jestem pierwszy w kolejce - szepnął Machow do Sołncewa. - W przeciwnym razie zmarnieję tu do szczętu za ten mój „indywidualizm”...

Beridze, Kowszow i Rogow wyszli z biura. Wczesna zimowa noc okryła osiedle ciemną zasłoną. Słabe migotanie gwiazd ledwie było widoczne przez mgłę.

- Zatrzymajcie się na chwilę... - powiedział Rogow i wszyscy przystanęli.

Za Adunem dźwigał się powoli ogromny, czerwonozłoty księżyc. Zawisł nad rzeką i wtedy wszystko przybrało dziwny koloryt: czarne i ciche wzgórza spowiły w dziwaczne cienie spadzisty brzeg, lód Adunu uchodzący w dal i błękitnawy, skrzący się śnieg.

- Tak, piękny jest ten pejzaż - przyznał Beridze.

- I cóż w tym pięknego? - powiedział Rogow. - To się tu powtarza na pewno już milion lat...

- Przecież sam kazałeś nam zachwycać się - zauważył Aleksiej.

- Ale nie tym! - wykrzyknął Rogow. Widząc, że Beridze szybko oddala się, zawołał: - zaczekajcie jeszcze chwilę!

I jakby okrzykiem swoim włączył niewidzialny opornik: w mgnieniu oka zapaliły się światła - jednym łańcuchem wzdłuż brzegu, drugim wzdłuż lodowej trasy Adunu. Jaskrawe i silne, zaćmiły nikły blask księżyca i gwiazd. Rogow z zadowoleniem odwrócił się od rzeki w stronę trasy - tam za domami i wzgórzami ognie odcinka zapaliły się na niebie niepokojącą łuną. Wyglądało to tak, jakby po usunięciu nocy przedwcześnie wstawała zorza poranna. Światło rozbudziło życie: na rzece rozległy się sygnały samochodów, przy brzegu zawarczał traktor, za osiedlem zaśpiewały swą przeraźliwą pieśń piły tartaczne. Senne psy odpowiedziały na to gniewnym szczekaniem, ale szybko ucichły.

- Chodźmy. Chciałem wam pokazać właśnie to uzupełnienie krajobrazu - powiedział Rogow.

Aleksiej puścił przed sobą Beridzego i wziął Rogowa pod ramię.

- Mam dla was polecenie z Nowińska. Kazano mi serdecznie was pozdrowić.

- Kto kazał pozdrowić? Może Filimonow?

- Nie, nie Filimonow. Wy wiecie - kto. - Aleksiej poczuł, jak pod jego palcami napięły się twarde mięśnie Rogowa. - Mówiła, że często was wspomina. Chętnie was zobaczy.

- A więc jesteście jej powiernikiem? - Rogow gwałtownie się odsunął. - Muszę przyznać, że dużo o tym słyszałem!

- Tak, jestem powiernikiem - zgodził się Aleksiej. Od razu zrozumiał przyczynę podejrzliwych, nieprzyjaznych spojrzeń Rogowa. Zrobiło mu się lżej na duszy. Uśmiechnął się i mocno ścisnął ramię Rogowa:

- Nie ryczcie na mnie tak wściekle, zazdrosny „Otello”. Nie jestem adoratorem Olgi, lecz przyjacielem, jeśli można użyć tak wielkiego słowa w odniesieniu do naszej krótkiej znajomości.

Rogow przystanął i zbliżywszy swą twarz do twarzy Aleksieja badawczo mu się przyjrzał.

- Dziękuję ci - powiedział cicho, rzucając z ukosa spojrzenie na Beridzego, który szedł przed nimi. - Widzę, że nie mam powodu przed tobą ukrywać... Tęsknię bardzo. I jestem jej wdzięczny. Coś takiego tchnęła mi w duszę, że mogę góry poruszyć. Ginę chwilami z tęsknoty. Wiesz - jeszcze ciszej szepnął do ucha Aleksieja - ona mnie pokocha, zobaczysz. Nie wierzę, żeby tak mocno była związana z tym... Konstantym.

- Ona go nie kocha. I teraz w męce wyrywa z serca wszystko, co ich łączyło - powiedział z przekonaniem Aleksiej.

- Pojadę do Nowińska. Chociaż spojrzeć na nią! - namiętnie i z goryczą rzekł Rogow.

- Nie trzeba. Teraz nie trzeba jej przeszkadzać.

- Opowiedz mi o niej!...

Rozmowa urwała się - byli już na krańcach osiedla. Tu dopędził ich posłaniec Chodżera. We trójkę zaczęli zastanawiać się nad tym, czy iść do przewodniczącego Rady Wiejskiej, czy odbyć najpierw naradę kierowników odcinka.

- Dziś trzeba załatwić wszystko - powiedział stanowczo Rogow. - Z rana muszę wyjechać z samochodami na siódmy odcinek, wy także musicie ruszać dalej.

- Rób, co ci polecono, nie rządź nami - powiedział Beridze dotknięty jego stanowczym tonem. - Pozostaniemy w Tywlinie jeszcze ze dwa, trzy dni, a może nawet dłużej.

- W żadnym wypadku, towarzyszu inżynierze - odpowiedział Rogow. - Wam również kazano jutro ruszać w dalszą drogę.

- Kto kazał?

- Gospodarz.

- Nawiasem mówiąc, niepotrzebnie wspominasz go co słowo. Można pomyśleć, że był tu wczoraj.

- A był! Wprawdzie nie wczoraj, lecz przed dwoma dniami - powiedział Rogow. - Spadł jak piorun z nieba...

- W jaki sposób zdołał nas wyprzedzić?

- Przyleciał samolotem. Wszystko obejrzał, z wszystkimi pogadał, wytłumaczył, co dalej należy robić, i odjechał.

Inżynierowie zamienili spojrzenia.

- A więc nie z Nowińska rozmawiał z tobą przez selektor?

- Z siódmego odcinka. Dlatego też nie miałem żadnej obrony - westchnął Rogow i znowu silnie uderzył się dłonią w czoło.

- Co kazał nam powiedzieć?

- Powiedz, powiada, inżynierom, że posuwam się wzdłuż trasy przed nimi. Niech nie grzebią się w dziurach, których zatykanie do mnie należy. Na trasie takich dziur tyle, co gwiazd na niebie; nie ma sensu zatrzymywać się przy każdej...

3. Nanajczycy na swojej ziemi

W obszernym domu Maksyma Chodżera było pełno ludzi. Siedzieli na ławach, przy stole i na podłodze pod ścianami. Starcy w szerokich watowanych chałatach, nieruchomi i smagli, tłoczyli się w kącie i w milczeniu kurzyli fajki. Bliżej drzwi umieściła się młodzież. Chodżer, zajęty rozmową z dwoma tubylcami, siedział za stołem przewodniczącego. Kiedy w obłoku mroźnej pary zjawili się inżynierowie i Rogow, podniósł się szybko na ich spotkanie. Rozglądając się Aleksiej napotkał kpiące, pełne blasku oczy Wali siedzącej przykładnie na ławce obok trzech innych dziewcząt. Spoglądając na Kowszowa zaczęły z ożywieniem szeptać ze sobą.

- Prosimy, drodzy goście - przemówił radośnie Chodżer. - Czekałem, czekałem. Gawędziliśmy tu trochę o swoich sprawcach.

- I nie przerywajcie sobie, nie zwracajcie na nas uwagi - odpowiedział Beridze przyciskając ręce do piersi. - Pogadamy sobie ze starymi na boku.

- Nasze sprawy nie odejdą od nas, a wy odejdziecie - odrzekł Chodżer. Wprowadził gości do sąsiedniego pokoju, oddzielonego od pierwszego zasłoną z kudłatego niedźwiedziego futra.

Na ścianach wyklejonych gazetami wisiały lustra i wiązki wysuszonych wiewiórczych skórek. Na środku pokoju paradowało wielkie niklowane łóżko z czterema błyszczącymi kulkami. Na biurku stało radio i maszyna do pisania. Za niewysokim parawanem, ozdobionym czerwonym haftem, siedziały w kucki dwie kobiety koło niziutkiego stolika, na którym leżały podłużne pudełka z kory brzozowej z przyborami do szycia. Jedna z nich szybko obracała korbkę maszyny do szycia, druga kończyła szyć gotową już prawie, futrzaną rękawiczkę.

Przy piecu na rozesłanych skórach smacznie spali w wygodnych pozach dwaj malcy. Obok nich staruszka o suchej, pomarszczonej twarzy, z fajką w zębach kąpała w głębokim, żelaznym kotle śniade niemowlę. Kilku starszych Nanajczyków uważnie przyglądało się kąpieli. Ujrzawszy gości staruszka szybko wyjęła dziecko z wody i owinęła je w prześcieradło, które z wielką powagą trzymał jeden z tubylców.

- Sami na razie nieczęsto się kąpią, ale lubią patrzeć, jak myje się dzieci - objaśnił Chodżer. - To są moi synowie, a to żona - wskazał na dzieci i na niewysoką, o miłej twarzy kobietę, która wyszła spoza parawanu, trzymając nie wykończoną rękawiczkę. - Poczęstuj Katiu, gości.

- Dla kogo takie ładne? - zapytał gospodynię Beridze dotykając rękawiczki.

- Dla was i waszego towarzysza - odpowiedziała kobieta błysnąwszy w uśmiechu zębami. - Zrobimy wam też ciepłe buty, żebyście zdrowo nosili i wspominali Tywlin.

- Dzielna kobieta - powiedział z dumą Chodżer, z czułością dotykając ręką ramienia żony. - Uczy dzieci i radzi sobie z wielu innymi robotami. Dla żołnierzy na froncie szyje ciepłe rzeczy, pomagają jej wszystkie kobiety z osiedla.

Oboje zaczęli nakrywać do stołu. Na białym, starannie wyprasowanym obrusie zjawiło się mięso niedźwiedzie, suszone mięso łosia, ryby, jagody. Nowością dla Aleksieja była potrawa z cienkich kawałeczków mrożonej ryby, którą gospodarz z błyskawiczną szybkością pokrajał ostrym nożem i przyprawił solą i pieprzem.

W czasie gdy gospodyni wychodziła jeszcze po jakąś potrawę, a Chodżer oddalał się do sąsiedniego pokoju, Rogow z ożywieniem i szczerą sympatią mówił o Nanajczykach:

- Są uczciwi, kochają prawdę, nie cierpią kłamstwa. Za dobre odpłacają stokrotnie. Bardzo rzetelny naród.

Opowiadając podchodził do stołu i w roztargnieniu brał na widelec suche płatki mięsa. Widocznie w ciągu całego dnia nie miał czasu pomyśleć o jedzeniu i był bardzo głodny.

- Do pracy idą jak na święto. Czy łowią ryby, czy budują klub, czy stawiają komuś nową fanzę - wszystko robią wspólnie. Lubię na nich patrzeć, aż lekko robi się na duszy. A już jeżeli na moim odcinku coś trzeba zrobić, na przykład utorować drogę na Adunie, wychodzą wszyscy, jak jeden mąż, nawet dzieci. Gdzieś czytałem, zdaje się u Łopatina - jest taki badacz, że Nanajczycy to rzekomo lud leniwy i niezdolny do pracy! To bezczelne kłamstwo! Przeciwnie, bardzo lubią pracować i każdy z nich ma aż za dużo energii!...

Katia przyniosła i postawiła na stole duże solone ogórki, oznajmiając uroczyście, że pochodzą z własnego ogrodu. Wrócił Chodżer i poprosił gości do stołu. Chodżer, inżynierowie i Rogow napili się rozcieńczonego spirytusu z małych porcelanowych filiżaneczek. Rogow wziął z miski ogórek i zwrócił się do Chodżera:

- Teraz ten ogórek i wszelkie jarzyny są zwykłą rzeczą w waszych osiedlach, a przed kilku laty żaden z Nanajczyków nie wziąłby do ust ogórka, pomidora czy kartofla. Rolnictwo daje wam obecnie nie mniej niż rybołówstwo i myślistwo - prawda?

Nanajczyk skinął głową:

- Jarzyny i hodowla bydła dają nawet więcej dochodu niż ryba...

- A jeszcze niedawno w moich oczach zdarzały się śmieszne wypadki - wspomniał Rogow. - Tubylcy w żaden sposób nie mogli zrozumieć, po co, powiedzmy, kartofle trzeba zakopywać w ziemi. Nieraz można było widzieć, jak Nanajczyk posadziwszy kartofle całymi godzinami stał nad grządką i czekał, co z tego wyniknie. Nie doczekawszy się, wykopywał kartofel i z rozczarowaniem przekonywał się, że jest taki sam, jak był!

Rogow roześmiał się dobrodusznie. Chodżer, z ciekawością przysłuchujący się jego opowiadaniu dodał z lekkim uśmiechem:

- Jeszcze trudniej było przywyknąć do krów...

- Nikt nie umiał i nie chciał doić krów. Obowiązek ten musiały wziąć na siebie lekarka i nauczycielka - przerwał mu Rogow.

- Przy tym, kiedy odbywało się dojenie, wszyscy z osiedla otaczali ich kołem i śmiali się. Długo nie można było znaleźć pastuchów. Starcy wręcz odmawiali: „Pilnować zwierząt? Widziane rzeczy! Niech sobie idą do tajgi i tam żyją...” Nie mogli zrozumieć, dlaczego krowy jedzą siano - „suchą trawę”, a nie suszoną rybę. Ten i ów zbliżał się, podtykał krowie kawałek takiej ryby i dziwił się, że krowa odwraca pysk. Wszystko to należy już do przeszłości... Teraz żyją inaczej.

- Sami staliśmy się gospodarzami - powiedział ze wzruszeniem Chodżer. - Nasz naród był dawniej prawie na wymarciu. Choroby pustoszyły osiedla. Dzikość była taka, że podobni byliśmy do zwierząt... Dręczyli kupcy i szamani. Uczeni przepowiadali, że do czterdziestych lat wymrą wszyscy Nanajczycy. W końcu zeszłego wieku było pięć tysięcy tubylców, a w 1915 roku było nas poniżej czterech tysięcy. Dopiero po rewolucji naród odżył, liczba ludności zaczęła się zwiększać. Teraz liczymy już przeszło pięć tysięcy. Nie znamy ani epidemii, ani niedostatku. Posiadamy własny alfabet. Młodzież jest piśmienna, kilku ludzi z osiedla studiuje w instytucie...

Mimo serdecznych zaproszeń Kati Chodżer goście wstali od stołu dziękując za gościnę. Wówczas podniósł się i gospodarz:

- Jest jeszcze i u nas wiele złego z dawnych czasów - powiedział i pokiwał głową. - Nawet i szamani się uchowali. Właśnie przed waszym przyjściem rozpatrywałem sprawę jednego z nich... Mogę wam pokazać żywego szamana...

Wrócili do dużej izby, w której ludzie podzieliwszy się na gromadki prowadzili głośne rozmowy, hałasowali, śmiali się. Wala z koleżankami głośno śpiewała po nanajsku na melodię pieśni „Ulubione miasto”. Maksym posadził inżynierów w oświetlonym kącie pod dużą naftową lampą. Twarz jego przybrała surowy wyraz, rzucił półgłosem kilka zdań po nanajsku i w izbie zapanowała cisza.

Z tylnych rzędów wyszedł na środek izby niemłody, otyły Nanajczyk w spiczastej szopowej czapce i w zatłuszczonym, granatowym, watowanym kaftanie. Na czole i błyszczącym policzku Nanajczyka ciemniały dwie blizny. Chodżer wpatrywał się w niego uporczywie i wypytywał z nietajoną wrogością.

- Moja chce brygada - odpowiadał Nanajczyk łamanym językiem rosyjskim, rzucając niespokojne spojrzenia w stronę inżynierów. Widocznie brał ich za dygnitarzy z miasta i liczył na ich poparcie. - Chcę pracować uczciwie - uczciwie jak wszyscy. Zapisz brygada, moja będzie łowić rybę.

- Ty się nie wykręcaj - przerwał mu Chodżer. - Cóż ci tak pilno nagle do brygady? Trzeba było wcześniej myśleć o uczciwej pracy? Wszyscy tu wiedzą czym się dawniej trudniłeś!...

Rogow pochylił się ku inżynierom i szeptem wyjaśnił, o co chodzi. Był to właśnie szaman, o którym Chodżer wspominał. Na jakiś czas przycichł, ale gdy zaczęła się wojna, znów rozpoczął swoje ciemne sprawki przewidując okazję zarobku. Wymyślił również chytrą jak i bezczelną sztuczkę. Z osiedla wielu młodych Nanajczyków poszło do wojska. Pisali z frontu i na podstawie tych listów szaman zaczął „przepowiadać”. Szły do niego przede wszystkim stare kobiety, niespokojne o los swoich synów. Szaman oszukiwał je i wyłudzał pieniądze. Dotychczas uchodziło mu to bezkarnie, ale niedawno „przepowiedział” nieostrożnie starej Mergenie, że syn jej przyjedzie z frontu, a tymczasem przyszło zawiadomienie, że jest ciężko ranny. Wzburzona oszustwem Mergena przyszła z zażaleniem do Rady Wiejskiej.

Nieoczekiwanie wyszła na jaw jeszcze jedna sprawa. Myśliwemu Fomie przy przedwczesnym porodzie umarła młoda żona. Foma uchodził za jednego z najlepszych myśliwych w osiedlu i na Fundusz Obrony oddał wiele soboli. W głębi duszy jednak był jeszcze zabobonny. Bardzo kochał żonę i pochował ją, w tajemnicy przed mieszkańcami osiedla, według starego obyczaju z całym należącym do niej dobytkiem, aby na tamtym świecie, jak pragnął, żyła beztrosko. Po tygodniu odkrył, że mogiła

jest rozkopana, a wszystkie rzeczy z niej zniknęły. Dowiedział się ponadto, że staruszka matka dwukrotnie chodziła z jego brzemienną żoną do szamana i teraz podejrzewał, że to on właśnie był winien jej śmierci.

Wezwany przez Chodżera, Foma był wśród zebranych. Rogow wziął od niego spis skradzionych z mogiły rzeczy i pokazał inżynierom. Były tam dwa futra, dziesięć chałatów, dwadzieścia tysięcy rubli, dwie sobole skórki i wiele przedmiotów domowego użytku.

- Czy nie wywróżysz, szamanie, gdzie są rzeczy? - ironicznie pytał Chodżer. - Przecież ty wiesz wszystko i wszystko widzisz.

Szaman milczał opuściwszy głowę. Foma spoglądał na niego ze wstrętem.

- No, skoro oduczyłeś się już jasnowidztwa, to trzeba będzie poprosić milicję - uśmiechnął się Chodżer. - Milicja umie dobrze zgadywać, szybko znajdzie wszystko!...

Szaman drgnął i zaczął mamrotać mieszając rosyjskie słowa z nanajskimi. Rzeczy nie widział i nic nie wie. Foma jest chytry i wszystko to zmyślił, niech lepiej przewodniczący przyjmie go jak najprędzej do brygady.

Oburzony Foma doskoczył nagle do szamana i zamachnął się na niego. Ten skurczył się ze strachu i nieoczekiwanie pisnął cienko jak szczur. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Ktoś rzucił w szamana zwiniętą w kłębek szmatę. W izbie powstał gwar, zgiełk, zamieszanie.

Aleksiej nie odrywając oczu z ciekawością obserwował wszystko, co się działo. Siedzący obok Rogow odwrócił się i uważnie na niego popatrzył.

- Nie opowiedziałeś mi wszystkiego. Tania, przechodząc tędy, powiedziała mi, że Olga otrzymała wiadomość o śmierci Konstantego. Dlaczego o tym nie mówiłeś? Powinienem wiedzieć o wszystkim, o wszystkim!...

- Nie chciałem cię denerwować... Na pewno poleciałbyś zaraz do Olgi, a to nie miałoby sensu. Jeszcze raz powtarzam: nie trzeba jej na razie przeszkadzać... Przecież w niczym jej nie pomożesz...

Korzystając z tego, że panujący dokoła hałas zagłuszał ich rozmowę, Aleksiej opowiedział o wizycie Chmary u Rodionowej. Rogow zupełnie sposępniał.

- Różne łotry zakłócają jej życie! - Szkoda, że mnie nie było; ja bym z nim pogadał po swojemu! - Poruszył się niespokojnie na ławce. - Wyobrażam sobie, jak jej musi być ciężko samej. - Aż do bólu ścisnął rękę Kowszowa. Ten człowiek znów może przyjść do niej, żeby się pastwić! Diabli ich wiedzą, do czego są zdolni! Teraz nikogo przy niej nie ma, jest zupełnie bezbronna.

- Nie denerwuj się, Olga nie da siebie skrzywdzić - uspokajał go Aleksiej, ale obawa o Olgę nie dawała Rogowowi spokoju.

- Wiem, że przepędzi mnie, jeśli przyjadę - szepnął do ucha Aleksiejowi. - Z drugiej strony, jeżeli się z nią coś stanie, to będę winić tylko siebie. Jakie to głupie: kochasz kogoś i możesz go ustrzec przed nieszczęściem, a nie masz prawa wtrącać się do jego życia. Musisz patrzeć i czekać!

Po chwili wstał.

- Pójdę, zatelefonuję do niej. Przy okazji sprawdzę, jak tam u Poliszczuka jest z samochodami. - Wykrzywił twarz w uśmiechu: - Ech, Rogow, Rogow, pirat lodowego szlaku...

Kowszow patrzył, jak Rogow przeciskał się ku wyjściu pomiędzy siedzącymi na podłodze ludźmi - silny i na pozór niewzruszenie spokojny. Zdenerwowanie Rogowa udzieliło się i jemu, rozbudziło w nim tlący się stale w głębi duszy niepokój o żonę. Wyobraźnia narysowała mu nagle jakiś niejasny obraz wojny. Przed oczyma buchnął płomień, ziemia wskutek wybuchu wyleciała w powietrze... Las... Śnieg... Ludzie w kożuszkach przy ognisku... Próbował wyobrazić sobie wśród nich Zinę, lecz nie mógł. Za każdym razem zjawiała się w myślach w zwykłych warunkach - w domu, na ulicach Moskwy lub w instytucie.

Przetarł ręką rozpalone czoło, otworzył oczy i spotkał się ze współczującym wzrokiem Wali, która przez cały czas go obserwowała.

Gdy po wyprowadzeniu skompromitowanego szamana zgiełk w izbie się uciszył, dwaj chłopcy na znak dany przez Chodżera przywiedli do Beridzego sędziwego Mafę. Starzec ledwo się trzymał na krzywych, drżących nogach. Sto dziesięć lat życia tak go wysuszyło, że twarz jego stała się podobna do pieczonego jabłka, a na głowie nie ocalał ani jeden włos. Inżynierowie posadzili go między sobą na ławce. Naprzeciw nich Chodżer postawił drugą ławkę, na której dostojnie zasiadło jeszcze czterech starców palących fajki. Pozostali otoczyli ich ciasnym kołem.

- Witaj, Mafo! - powiedział głośno Beridze. - Poznajesz mnie?

Starzec spojrzał na niego małymi, załzawionymi oczyma.

Widać było, że nie poznał Beridzego i nie zrozumiał go. Aleksiej wzruszył się na myśl, że człowiek ten rozpoczął swą drogę życiową jeszcze w czasach Puszkina, że widział Murawjowa i Newelskiego, że rozmawiał z nimi. Ileż nagromadził on życiowej mądrości, spotkań i wrażeń żyjąc przeszło sto lat - a oto teraz starość uczyniła go bezsilnym. Jak gdyby idąc za biegiem tej myśli siostrzeniec Chodżera, Wołodia, stojący za plecami starca, odezwał się niecierpliwie:

- Nawet opowiedzieć nic nie potrafi. Zupełnie zdziecinniał.

Lecz Mafa, który wciąż wpatrywał się w Beridzego, nagle zaczął mówić cichym, drżącym i śpiewnym głosem i suchą, trzęsącą się ręką dotknął brody inżyniera. Wołodia a za nim i inni chłopcy roześmieli się.

- Cicho, Wołodia, bo cię przepędzę! - zagroził Chodżer wsłuchując się w słowa starca. - Mafa mówi, że w młodości miał przyjaciela wśród pierwszych Rosjan na Adunie - z taką samą czarną brodą. Nazywał się Fiodor, był silnym i śmiałym człowiekiem. Wtedy handlowali tu jeszcze Chińczycy. Pewnego razu pobili Mafę za to, że nie zapłacił swego długu. Fiodor stanął w jego obronie i pobił dwóch Chińczyków.

Starzec płakał oddając się wspomnieniom; głos jego to nabierał siły, to znów zniżał się do szeptu.

- Tego Fiodora z czarną brodą zadusił niedźwiedź - tłumaczył Chodżer. Razem byli na polowaniu i Mafa potem zabił zwierzę. Mafa mówi, że był wtedy młody, od tego czasu minęło tak wiele lat, że policzyć nie może.

Starzec milczał dysząc ciężko i znów zaczął coś szeptać niewyraźnie.

- Teraz na pewno przypomina sobie czy Murawjow miał brodę - zaśmiał się znów Wołodia i zawołał swawolnie wprost do ucha starca:

- Dziadku, dosyć o brodach!

Mafa umilkł posłusznie. Beridze zwrócił się do innych starców. Interesowało go zagadnienie wylewów Adunu. Prosił, aby przypomnieli sobie, do jakiego poziomu sięgały wody rzeki podczas powodzi w ubiegłych latach. Mafa w milczeniu przysłuchiwał się słowom Beridzego, po czym zwrócił się do Chodżera po nanajsku:

- Kim jest ten przybysz?

- To nasz przyjaciel - odrzekł Chodżer.

W krótkich i prostych słowach, żeby starzec go lepiej zrozumiał, opowiedział o Beridzem, o budowie i o drodze, która połączy teraz osiedle z wielkim miastem. Starzec poruszył się niespokojnie, spojrzał, nie wiadomo czemu, na wiszącą nad stołem lampę i nagle zaczął śpiewać drżącym, urywanym głosem. Śpiewając kiwał się całym ciałem.

- On opowiada wam bajkę o drewnianym człowieku, który budował drogę do nieba. Nanajczycy nie mieli swego miejsca na ziemi i drewniany człowiek postanowił przenieść ich do nieba - wyjaśnił Chodżer.

Wszyscy umilkli słuchając Mafy. Maksym tłumaczył inżynierom słowa bajki. Nagle stary umilkł w półsłowa. Zamknął oczy, zasnął momentalnie i zaczął się chylić na bok. Bezceremonialny Wołodia natychmiast go obudził:

- Nie można spać, słyszysz? Chcą z tobą rozmawiać.

Wołodia słuchał tego, co mówił Beridze, i wyraźnym, silnym głosem zadawał starcowi pytania to po rosyjsku, to znów po nanajsku. Mafa znów utkwił wzrok w Beridzem i pogrążył się w zadumie, bezdźwięcznie poruszając bezkrwistymi, suchymi wargami.

- Dobrze przypomnij sobie, dziadku - prosił Wołodia. - Inżynier z czarną brodą pyta, czy Adun podnosił się kiedykolwiek do naszego osiedla. On to musi koniecznie wiedzieć. Inżynier niepokoi się, żeby podczas powodzi woda nie zalała drogi i rurociągu. Nie rozumiesz? Co za człowiek z ciebie! Przecież mówię ci wyraźnie!... - i zagniewany Wołodia zaczął wymachiwać nad Mafą obiema rękami.

- Nie unoś się, spokojniej! Przecież on jest sześć razy starszy od ciebie - fuknął na niego Maksym Chodżer. Po czym jak gdyby starając się usprawiedliwić porywczość chłopaka zwrócił się do inżynierów: - starzec słucha go więcej niż innych, lepiej go rozumie.

Już zupełnie spokojnym tonem Wołodia ciągnął rozmowę po nanajsku. Starzec coś odpowiadał. Błysk świadomości pojawił się w jego głęboko zapadniętych oczach.

- Mafa przypomniał sobie - chłopak odwrócił się z zadowoloną miną i spojrzał na Beridzego. - Tylko jeden raz, przed siedemdziesięciu laty wody Adunu podeszły podczas wylewu aż do fanz. Dziad twierdzi, że wtedy tubylcy zawinili wobec boga rzeki i ten rozgniewał się.

- A czy nie było wypadku, żeby wody rzeki podchodziły, powiedzmy, do tego miejsca, gdzie stoją dwa małe spichlerze na palach?

Odezwało się na raz kilka głosów, lecz Maksym podniesieniem ręki nakazał milczenie.

- Na to może odpowiedzieć wielu, nie tylko Mafa - powiedział. - W trzydziestym, zdaje się, roku Adun dochodził do tego miejsca. Nie, nie w trzydziestym, lecz w trzydziestym pierwszym... Właśnie wyjeżdżałem wtedy na naukę do Leningradu i płynąłem łodzią aż do Rubieżańska po szeroko wezbranej rzece.

Beridze zwrócił się do Aleksieja:

- Widzisz, Alosza, nie omyliliśmy się. W tym miejscu nasza trasa przechodzi za osiedlem. A więc i na tym odcinku nie potrzebujemy bać się zatopienia.

To wszystko jednak nie zadowoliło Beridzego.

- Spróbuj, mój drogi, dowiedzieć się od Mafy - zwrócił się do Wołodi - czy silnie był zatopiony we wszystkich tych wypadkach lewy brzeg w rejonie Czomy i Cziłmu. Tamtędy przebiega siódmy i ósmy odcinek trasy.

Wołodia znowu przyczepił się do starego.

- Nie śpij, tylko myśl! - pokrzykiwał i wytrwale wyciągał od studziesięcioletniego starca potrzebne inżynierom informacje.

Zmęczonego zupełnie Mafę odprowadzono do domu. Beridze zwrócił się do innych starców. Zadawał im niezliczone pytania i starannie zapisywał ich odpowiedzi.

Młodzież znudziła się już tym wszystkim; dziewczęta i chłopcy odeszli na bok i otoczywszy kołem Wołodię śmiali się przytłumionym głosem. Aleksiej zajrzał poprzez ich głowy: student-Nanajczyk odtwarzał operetkę „Silwa”, którą widział kiedyś w teatrze komedii muzycznej w Rubieżańsku. Okazało się, że Wołodia posiada przyjemny tenorek i wrodzony dar naśladownictwa. Wraz z innymi Kowszow z całej duszy bawił się tą odtwarzaną przez jednego człowieka operetką, zanim nie zawołał go Beridze. Naczelny inżynier dał nareszcie spokój starcom.

- Bardzo dobrze, bardzo - powtarzał z zadowoleniem. Inżynierowie zbierali się do odejścia, lecz Maksym Chodżer zatrzymał ich.

- Jest pewna ważna sprawa. Nie wiem, jak będziecie się na to zapatrywać, chcę się was poradzić. Dziś na zebraniu całe osiedle powzięło decyzję...

Aleksiej wziął podany przez Chodżera arkusz papieru i przeczytał głośno:

„Do wszystkich kołchoźników wsi rosyjskich i nanajskich osiedli na Adunie”. - Aleksiej przebiegł tekst wzrokiem, dokończywszy czytania po cichu. Wyraźnie wzruszony podał arkusz Beridzemu.

„Do prowadzenia wojny potrzebna jest ropa naftowa, dlatego partia i rząd wymagają jak najszybszego uruchomienia rurociągu. Budowa ta przyczyni się znacznie do dalszego rozwoju wszystkich osiedli na naszym Adunie.

My, mieszkańcy osiedla Tywlin, uważamy budowę za naszą własną sprawę i zobowiązujemy się pomagać budowniczym we wszystkim. Zwracamy się do was z propozycją, żeby uznać budowę za sprawę narodową, żeby nie tylko budowniczowie, ale cała ludność Adunu odpowiadała wobec państwa za uruchomienie rurociągu w terminie”.

- Źle to napisałem, sam to czuję! - powiedział ze skruchą Chodżer. - Poprawcie, towarzyszu Beridze.

- Napisałeś dobrze, Maksymie, lepiej nie trzeba! - zawołał naczelny inżynier i uściskał Chodżera. - Poprawić taki dokument - to tyle, co popsuć...

- Wołodia! - zawołał uradowany Maksym. - Daj tu maszynę, będziesz pisał. Ale uważaj!

Maszyna do pisania była tu widocznie przedmiotem dumy. Wszyscy umilkli i uważnie przyglądali się, jak Wołodia ostrożnie przyniósł ją na rękach, postawił na stole, usiadł z powagą i założył arkusz papieru. Nanajczycy otoczyli chłopca ciasnym kołem i pod dyktando Maksyma Wołodia jednym palcem zaczął wystukiwać odezwę.

4. U Tani Wasilczenko

Wyprawa Beridzego i Kowszowa miała się ku końcowi. Już niedaleko była Olgochta, od której trasa i Adun rozchodziły się w różne strony. Dziś inżynierowie posuwali się szczególnie szybko i w ciągu pierwszych godzin porannych oddalili się znacznie od miejsca noclegu.

Beridze na prośbę Aleksieja niechętnie zgodził się na krótki odpoczynek. Usiedli na rozesłanym na śniegu płaszczu i zjedli śniadanie nie rozpalając ogniska. Po chwili Beridze wstał, rozejrzał się po terenie i wydostawszy mapę topograficzną zaczął wnosić poprawki. Aleksiej zebrał rzeczy i przystanął obok towarzysza.

Z urwistego brzegu ujrzeli rozpostartą przed nimi bezkresną śnieżną dolinę, zalaną słońcem. W dole leżała nieruchoma, zakuta w lodowy pancerz rzeka ze srebrzystymi zwałami śniegu na lustrzanej powierzchni. W oddali widoczne były kopulaste wzgórza wznoszące się kilkoma coraz wyższymi pasmami. Na tle jednolitej bieli śniegu robiły wrażenie namalowanych: te najbliższe - delikatnym liliowym kolorem, leżące za nimi - fioletowym, najdalsze zaś ciemnogranatowym. Nad wzgórzami, na czystym niebie, gromadziły się ciemnoszare obłoki.

Aleksiej przypomniał sobie, że przed trzema blisko laty, podobnie jak teraz, we dwóch z Beridzem, ale o dziesięć tysięcy kilometrów stąd, oglądali inną trasę. Wszystko było inne: upał i zieloność. Od tamtych czasów przyjaźń jego z Beridzem pogłębiła się i on, Aleksiej Kowszow, z ucznia i niedoświadczonego absolwenta instytutu stał się pierwszym pomocnikiem naczelnego inżyniera wielkiej budowy.

- Jakaż przestrzeń i jaka świeżość! - zawołał z zachwytem Beridze. - Naprawdę nigdzie nie znajdziesz nic podobnego, dlatego i poczynania tu są tak ogromne. Gdzież, nawet w naszym kraju, znalazłbyś dla młodych inżynierów takich jak ty i ja pracę o większym rozmachu. Oto, Alosza, Daleki Wschód - nowe budownictwo stalinowskie!

- Nie agitujcie, towarzyszu, już od dawna jestem patriotą Dalekiego Wschodu - odezwał się Aleksiej, z przyjemnością patrząc na rozjaśnioną twarz naczelnego inżyniera. Broda jego, wąsy i brwi były siwe od szronu. Aleksiej wiedział, że Beridzego cieszy nie tylko pogodny ranek i przestrzeń, lecz i to, że dziś nareszcie zobaczy Tanię.

- Wiem, Alosza, czuję to sam, że taka przestrzeń czyni człowieka, jeśli nie jest niedołęgą, silnym, przedsiębiorczym i śmiałym. Dla słabych nie ma tu miejsca. Nie darmo w przeszłości przybywali nad Adun na własne ryzyko i odpowiedzialność tylko odważni i silni ludzie.

Aleksiej, nie dosłuchawszy go do końca, nagle pochylił się w bok i rozłożywszy ręce rzucił się z urwiska w dół. Rysując na śniegu szerokie zygzaki zsunął się na lód rzeki. Beridze popatrzył chwilę i zjechał za nim.

Przecinali rzekę utrzymując rozjeżdżające się na lodzie narty. Ostrza kijków ledwie go rysowały. W niemej ciszy wyraźnie słychać było stukanie nart i z rzadka głuchy trzask pękającego lodu.

- Wychodź. Alosza, na brzeg, tędy ciężko iść! - zawołał Beridze otoczony białym obłokiem własnego oddechu, strzepując dłonią szron z wąsów i brody.

Aleksiej posłusznie skręcił. Inżynierowie wspięli się na pochyły brzeg, porośnięty rzadkim lasem. Wysokie modrzewie wznosiły się tu na przemian z krępymi świerkami. Na gałęziach leżały ciężkie płaty śniegu.

Za nimi na rzece rozległ się zgiełk i hałas. Inżynierowie odwrócili się i ujrzeli sześć samochodów szybko jadących jeden za drugim. Każdy ciągnął przyczepkę załadowaną rurami.

- Nasi! - zawołał Beridze i odprowadzając wzrokiem samochody powiedział: - Spieszcie się, chłopcy, nie marudźcie! Mów, co chcesz, Aleksieju, ale trasa jest już na lewym brzegu, tętni życiem i z każdym dniem nabiera siły. Pamiętasz tę linię świateł na odcinku u Rogowa? Wkrótce oświetlą one cały Adun, przerzucą się na wyspę... Nie śmiej się, sceptyku! - krzyknął zauważywszy ironiczny uśmiech Aleksieja, który uważnym okiem obrzucił pustynne, bezludne brzegi. - Ostatecznie jest teraz dla nas rzeczą ważną przekonać się naocznie o słuszności naszego postanowienia.

- O tym już się przekonałem.

Szli dalej zatrzymując się, aby przyjrzeć się linii brzegu i sprawdzić dane zdjęć topograficznych. Po upływie półtorej godziny spotkali tę samą szóstkę samochodów, które wracały już bez ładunku. Zauważywszy ich szoferzy zatrzymali maszyny i nie wyłączając motorów wyszli do inżynierów. Beridze nie omieszkał skorzystać z okazji, by dowiedzieć się, ile samochodów pracuje przy rozwożeniu rur i ile kursów mogą zrobić w ciągu dnia.

Przeszedłszy jeszcze paręset metrów inżynierowie zauważyli skręcającą w bok od rzeki, utorowaną przez samochody drogę i skierowali się ku niej. Takie drogi nazywano „wąsami", ponieważ rzeczywiście niby olbrzymie wąsy rozchodziły się w bok od lodowej magistrali. Narciarze ruszyli tą drogą i wkrótce ujrzeli stosy rur, przykryte brezentem tłumoki i skrzynie, domek zbity z desek i szereg innych, nie wykończonych jeszcze baraków i składów. Około stu ludzi pracowało przy budynkach i układało dopiero co przywiezione rury.

Aby ułatwić rozwożenie po trasie materiałów i żywności, utworzono co dwadzieścia kilometrów bazy. Była to właśnie jedna z takich baz dziewiątego odcinka. Kierownik jej, Szmielow, spokojny, powolny w ruchach starszy człowiek, powitał inżynierów przy stosach rur.

- Bardzo mi przyjemnie. Czekam na was - powiedział witając się i prowadząc ich do domku z desek.

- Czekacie na nas? Dlaczego? - zapytał Aleksiej.

- Mówiła mi o was Tania Wasilczenko. Wczoraj przeciągnęła tu linię i mam teraz połączenie z odcinkiem. O, proszę - Szmielow wskazał ręką zawieszone na drzewach przewody.

W drewnianym domku ziała gorącem „burżujka"[21]. Inżynierowie zdjęli czapki, rękawice i plecaki. Szmielow poczęstował ich smażoną rybą, leżącą na wielkim arkuszu blachy, czerstwym chlebem i herbatą w wielkich blaszanych kubkach. Pogawędzili o ostatnich komunikatach Biura Informacyjnego. Znano tu dopiero komunikaty sprzed trzech dni. Aleksiej słuchając przypuszczeń Szmielowa co do możliwych zmian na froncie poczuł, jak znów serce ścisnęło mu się trwogą. Przed wyjściem na trasę otrzymał list z Moskwy. Ani radio, ani gazety nie mogły mu dostarczyć bardziej żywych szczegółów. List szedł prawie miesiąc, a od dwunastu dni tułali się z Beridzem po trasie. Aleksiej wiedział, że od tego czasu sytuacja pod Moskwą nie uległa poprawie. Co mogło zajść w ciągu ostatnich trzech dni?

---

[21] „Burżujka" - Żelazny piecyk. - Red.

- Mam teraz coś w rodzaju hotelu - rzekł Szmielow tonem gościnnego gospodarza. - Ruch na trasie jest ogromny i wiele osób tu zagląda. Nie liczę już tych, którzy kursują pomiędzy odcinkami. Ci tylko ogrzeją się i jadą dalej. Nawet z samego Nowińska zaglądają do nas goście.

- Kto, na przykład?

- Szofer Smorczkow. Znacie takiego? Ależ twardy chłop! Bez przerwy jest w ruchu! Jego samochód ugrzązł o siedem kilometrów stąd. Przywlókł się w nocy zmęczony, zły. „Pomóż mi - powiada - a ja ci też kiedyś usłużę. Odpłacimy sobie tą samą monetą”. Naturalnie trzeba było mu pomóc. Wyciągnęliśmy maszynę i zaopatrzyliśmy w benzynę. Bardzo się zmęczył w drodze. Dałem mu coś do zjedzenia, a on zasnął mi przy stole z kawałkiem chleba w ręku. Nawet nie czuł, jak go układałem na ławce. Jednak po trzech godzinach zerwał się...

- Dobrze by było, gdyby już dojechał do cieśniny - powiedział Aleksiej.

- Wątpię. Wprawdzie słyszałem od Pankowa, że minął już dziewiąty odcinek. Ale dalej droga jest coraz gorsza, a od Adunu do cieśniny podobno zupełnie nie ma drogi. Kto wie, czy mu się uda dojechać na miejsce, chociaż uporu mu nie brak. Olbrzymie zadanie wziął na siebie ten człowiek.

- Dlatego też i wielką mamy z niego korzyść - zauważył Beridze. - Na wszystkich odcinkach, gdzieśmy byli, szoferzy wymieniają go w swych socjalistycznych zobowiązaniach.

- Po Smorczkowie przybyło tu z Nowińska - no, czy pomyślelibyście? - trzysta osób! - opowiadał Szmielow.

- Kolumna Gonczaruka?

- Właśnie. Łatwiej im było w gromadzie przezwyciężyć trudności drogi... Gdy śnieg zawiał drogę, schodzili z samochodów i oczyszczali szlak. Ale i oni zmęczyli się okropnie. Nieraz musieli torować drogę wśród zasp na przestrzeni kilku kilometrów. To chyba jeszcze gorzej niż iść pieszo. Sam Gonczaruk jest chory, ledwo się rusza. Postanowił, że gdyby dalej droga okazała się zła, to pozostawi samochody na dziesiątym odcinku i do zatoki pójdą pieszo. Ma rację, nie będą przecież dźwigać ciężarówek na własnych ramionach. Byli u mnie zaledwie jeden dzień, ale sprawili mi wiele kłopotu. Trzeba było ich jakoś umieścić i nakarmić. To niemało trzystu ludzi! Za to pomogli mi niezgorzej. Pracowali po stachanowsku. Potem przyjechał traktorzysta Silin z całym domem na płozach. Ten również bardzo nam pomógł - ubił drogę, podwiózł ładunki.

- Kiedy przejeżdżał tędy Silin?

- Zaraz sobie przypomnę... Przedwczoraj. Zaraz po nim zaszczycił nas swoją osobą gospodarz.

Znów inżynierowie usłyszeli to zdanie, wypowiedziane znaczącym, ważkim tonem. Beridze, jak gdyby nie rozumiejąc o kogo chodzi, zapytał:

- Co za gospodarz?

- Kierownik budowy. Któż jeszcze może być gospodarzem na Adunie?

Zdjął czapkę odsłaniając zupełnie łysą głowę. Następnie nalał sobie wrzątku i popijając opowiadał, jak to niespodziewanie wpadł Batmanow. Obejrzał wszystko, porozmawiał z ludźmi, zwymyślał Tanię Wasilczenko i jego, Szmielowa. Wspomnienia o tym wypadku najwidoczniej sprawiały mu przyjemność.

- A za cóż dostało się Tani Wasilczenko? - zapytał Beridze.

- Za to, że magazyny nie są gotowe - nie zrozumiawszy pytania ciągnął swe opowiadanie Szmielow. - „Cóż to, powiada, masz zamiar cały rok marudzić przy tych nieszczęsnych składach? Za rok cały rurociąg zbudujemy!... A jeżeli rury i wszystkie materiały przysypie zamieć, to będziesz je odkopywał?" Nadzwyczajny człowiek: wszystko zauważył, wszystko skrytykował! Za stosy też nawymyślał - dlaczego takie wysokie: „Cóż to, miejsca masz mało, że układasz rury aż pod niebo? Układaj, układaj, sam przysparzasz sobie pracy. Wkrótce będziemy je rozwozić, namęczysz się wtedy ze swymi drapaczami chmur!..."

Aleksiej roześmiał się. Szmielow potrafił oddać nawet ton głosu Batmanowa.

- A za cóż kierownik nawymyślał Tani Wasilczenko? - powtórzył swe pytanie Beridze.

- Ona oberwała oczywiście za linię telefoniczną, że za wolno ciągnie. Kierownik przyszedł tu razem z nią. Nie miałem jeszcze łączności z odcinkiem, a on chciał połączyć się z zarządem i podać stąd wskazówki dotyczące ruchu. I nie udało się. Więc przypomniał Tatjanie Pietrownie, ile kilometrów zobowiązała się przeciągnąć w ciągu dnia. Wyliczył, ile jej brak. Oszukałaś, powiada, i mnie, i państwo.

- A cóż ona? - pytał Aleksiej.

- Milczała. Widocznie czuła się dotknięta. To dumna dziewczyna, ambitna. Znałem przecież jej ojca, Piotra Wasilczenkę.

- Skąd? - zainteresował się Beridze, dla którego było ważne wszystko, co miało związek z Tanią.

- Byłem w jego oddziale partyzanckim. Odważny był z niego dowódca i serce miał złote. Tatjana zupełnie jest do niego podobna i z twarzy, i z charakteru. - Stary partyzant mówił o Piotrze Wasilczence z jakąś uroczystą dumą. - Razem z gospodarzem odwiedził mnie i Pankow Stiepan Kuźmicz, kierownik naszego odcinka. Jego również znam od dawna. To był wielki przyjaciel ojca Tani. Gdy Batmanow udał się na spoczynek, my ze Stiepanem Kuźmiczem przegadaliśmy całą noc, wspominając wołoczajewskie czasy. Pankow to człowiek ze starej gwardii - silny, twardy. Zawsze go wysyłają na trudne odcinki i daje sobie radę. Pankow bardzo szanuje Tatjanę. Przedtem w zarządzie, gdy było poprzednie kierownictwo, miała poważne przykrości z powodu swego prostolinijnego charakteru. Pankow wziął Tanię w obronę i pracowała na jego odcinku przez cały ów przykry okres.

- Czy Pankow przyjechał aż tutaj na spotkanie kierownika?

- Gospodarz wzywał go do Nowińska, wiec pojechał. Ale spotkali się w pół drogi, gdzieś na siódmym odcinku. Batmanow zawrócił Pankowa. „Przedstaw mi, powiada, swego zastępcę i przekaż mu sprawy. Wysyłam cię jako swego przedstawiciela nad cieśninę. Rób tam porządek, później ja też przyjadę, to ci pomogę". Widać, że dobrali się i przypadli sobie do serca.

- Wśród telefonistów u Tatjany jest, zdaje się, synek Pankowa. Taki żywy chłopaczek, Gienka - przypomniał sobie Aleksiej.

- Właśnie, to jego syn. Pankow spotkał się z nim tutaj. Pili u mnie herbatę wszyscy trzej: gospodarz, Pankow i Gienka. Batmanow tłumaczył Pankowowi: „Puściłem go na własne ryzyko z Tatianą. Strasznie uparty chłopak, nie chce pozostać w tyle za kolegami". A Pankow powiada: ,.Nic nie szkodzi, niech zawczasu przyzwyczaja się do trudności, w kolektywie nie zginie". Przepraszam was na chwilę...

Szmielow zobaczył przez okno nadjeżdżające samochody i wybiegł na ich spotkanie.

- Chodźmy, drogi Alosza, nie ma tu co wysiadywać - powiedział Beridze. - Wypalę fajkę - i ruszamy!

Aleksiej domyślał się, że Beridze chciał jak najprędzej ujrzeć Tatjanę, od której dzieliło ich zaledwie kilka kilometrów.

Wrócił Szmielow. Spojrzał na inżynierów rozgrzanych ciepłem izby i powiedział z naciskiem:

- Gospodarz kazał wam powiedzieć, że już był u mnie...

Kowszow wyobraził sobie, jak Batmanow siedział i wydawał w tej izdebce rozkazy.

- Co powiedział wam kierownik? - zapytał Aleksiej.

- Żebyście się nie zatrzymywali. „Oni, powiada, wszystkiego są chciwi, wszystkim będą się interesować. A tymczasem mają swoje sprawy, ważniejsze od twojej bazy. Wypędź ich stąd. Tylko grzecznie, bo oni też mają władzę i sami ciebie mogą przepędzić".

Aleksiej i Beridze zamienili spojrzenia, po czym wstali w milczeniu. Szmielow zerwał się zmieszany.

- Towarzyszu naczelny inżynierze, cóż wy robicie? Przecież ja wam tylko dokładnie powtórzyłem słowa kierownika. Przecież wy tutaj sami jesteście gospodarzem.

- E, nie, jeżeli już otrzymałeś taki rozkaz, to wypędź nas na zbity łeb! - z udaną powagą sprzeciwił się Beridze.

- Właśnie nie radzę wam odchodzić teraz, ponieważ zanosi się na zamieć - przekonywał Szmielow. - Od dawna mieszkam na Adunie i wiem, kiedy ma się na zmianę pogody.

- Pójdziemy - oznajmił Beridze stanowczo. - Niebo jest jasne i czyste - i ty ojczulku mgły na nie nie napuszczaj.

Po wyjściu z bazy posuwali się płytkim jarem, który był podobny do przesieki i jakby dzielił dwa niepodobne do siebie lasy. Z prawej strony rosły niebotyczne, strzeliste modrzewie i jesiony, po lewej - drzewa różnych gatunków i wysokości. Promienie słoneczne z trudem przebijały się poprzez gęste, przyprószone śniegiem korony. Nad jarem ciągnęła się wesoła, jasnobłękitna wstęga nieba. Dwaj narciarze byli, zda się, jedynymi żywymi istotami w tajdze skutej mrozem.

Szli w milczeniu i obydwaj myśleli o Batmanowie. Gdy żegnali się z nim w zarządzie, niczym nie zdradził swego zamiaru udania się na trasę; tylko dla żartu groził, że ich dogoni i będzie popędzać z tyłu. Teraz okazało się, że ich wyprzedził. Na odcinkach o niczym innym nie mówiono, tylko o tym, co powiedział, kogo pochwalił, komu nawymyślał, jakie wydał polecenia, komu i co przyrzekł. I chociaż na trasie wiele jeszcze było rzeczy nie wyjaśnionych, a życie na odcinkach szło jeszcze niezupełnie normalnym trybem, to jednak we wszystkich żyła już wiara we własne siły i swojego kierownika.

- To nieźle brzmi: „gospodarz Adunu", prawda? - odezwał się Beridze.

- Dobrze brzmi. Teraz ludzie na trasie poznali Batmanowi i to mnie cieszy - odpowiedział Aleksiej. Obłoczek pary tworzył się koło jego ust przy każdym słowie. - A ja kiedyś, pamiętam, obawiałem się, że to jest człowiek od biurka.

- Wszystko ma swoją porę, mój drogi, i biurko i bezpośredni kontakt z robotą. Zobaczysz go jeszcze na trasie!

Posuwali się szybko i lekko, zamieniając od czasu do czasu kilka słów. Las witał ich przyjaźnie, sypiąc im na głowy suchy pył śnieżny. Potrzaskiwały skute mrozem pnie i konary drzew. Nieoczekiwane spotkanie za zakrętem przekonało Beridzego i Kowszowa, że nie są sami w tej milczącej tajdze. Spoza

grubego pnia świerka nagle wyskoczyła sarna. Przerażona, rzuciła się w bok robiąc jednocześnie ogromny skok, pełen wdzięku. W Beridzem odezwał się myśliwski instynkt: sięgnął po pistolet, ale nie zdążył go wydobyć z futerału, gdy sarna już zniknęła. Później śmignęło obok nich jeszcze jakieś małe, nieznane im zwierzątko, które na świst Aleksieja uciekło pozostawiając na śniegu dwa wzorzyste ślady.

- Jak dobrze, kiedy człowiek ma jasno wytknięty cel, do którego zmierza - odezwał się Aleksiej.

- Kogo masz na myśli? - zapytał Beridze.

- Oczywiście, jego - Batmanowa! Na trasie spotkał się z tysiącem ludzi, z mnóstwem przeróżnych spraw, a mimo to nie zapomniał o nas. Wydaje mi się, że na każdym kroku słyszę jego głos: „Obserwuję was, moi kochani, nie marudźcie, śpieszcie się, projekt na was rzeka...” Trzeba przyznać, że gdyby Batmanow nie wyprzedził nas na odcinkach, to jeszcze dzisiaj tkwilibyśmy gdzieś w pobliżu Rogowa.

Przewody telefoniczne snuły się od drzewa do drzewa, jak cienka, lśniąca w słońcu pajęczyna. Te przewody i białe izolatory na drzewach były naprawdę niezwykłym i radosnym zjawiskiem w dzikiej tajdze. Oblodzone wąsy Beridzego rozchylały się w uśmiechu za każdym razem, gdy zadzierał głowę do góry.

- Dzielna z Tani prządka! - nie przestawał się zachwycać. - Patrz, jaką wspaniałą przędzę rozsnuła w tajdze! Założę się, że już płyną głosy ludzkie po przewodach. Szmielow zapewne nie omieszka naplotkować o nas Tani.

- Ciszej! - Aleksiej podniósł rękę.

Wytężyli słuch. W napiętej ciszy lasu huczały przewody. Był to żałosny i cichy, szarpiący niepokojem dźwięk.

- Zupełnie, jakby się ktoś skarżył. Może nadają jakiś smutny komunikat z frontu albo jakąś nieprzyjemną wiadomość...

- Nie strasz mnie tajemniczymi domysłami. To tylko przewody, zwykły metalowy drut. - Beridze powiedział te słowa tonem żartobliwym, ale i on się zamyślił.

Coraz częściej napotykali ślady ognisk i place z udeptanym śniegiem - zupełnie niedawno pracowały tutaj robocze brygady Tani. Wkrótce ujrzeli przenośną bazę służby łączności: cztery namioty o sztywnych szkieletach. W jednym z nich przy żelaznym piecyku z kwadratową płytą do gotowania krzątali się chłopak i dziewczyna z ciemnymi, odmrożonymi policzkami. Gotowali coś w kociołkach i rozmawiali. W namiocie stały lekkie, składane prycze, pomiędzy nimi i pod nimi leżały zwoje przewodów, haki i izolatory.

Dowiedziawszy się, gdzie znajduje się Tania, inżynierowie nie zwlekając ruszyli dalej. Wkrótce usłyszeli głosy ludzkie, dziwnie dźwięczące w tajdze - dogonili brygadę, która zawieszała druty na drzewach. Nie chcąc przeszkadzać pracującym, Beridze i Kowszow przyglądali się im stojąc na uboczu. Jedni telefoniści stojąc na ziemi podnosili na długich tyczkach przewód rozciągnięty na przestrzeni stu metrów, a drudzy umocowywali drut siedząc na drzewach, na których już wcześniej inna brygada wmontowała wsporniki z izolatorami.

W młodzieńcu, który dowodził telefonistami, Aleksiej poznał chociaż nie od razu technika Czernowa z oddziału Filimonowa. Komsomolec był zaskoczony nieoczekiwanym zjawieniem się inżynierów.

Z pośpiechem odpowiadał na ich pytania nie przestając uważnie obserwować zaciągania drutu. W pewnej chwili przerwał swoje opowiadanie i zapytał:

- Czy nie znacie ostatnich komunikatów? Na naszym przewodzie od trzech dni to samo.

Odpowiedzi już nie dosłyszał, bo nagle nad ostatnią parą telefonistów zerwał się przewód i ze świstem spadł na śnieg. Czernow przeprosił inżynierów i skoczył w tamtą stronę. Aleksiej chciał zaczekać na jego powrót, ale Beridze śpieszył się ciągnąc towarzysza naprzód.

Druga brygada umocowywała na drzewach wsporniki z izolatorami. Któryś z komsomolców zauważył inżynierów i krzyknął na cały las:

- Patrzcie, oto oni!

Było jasne, że spodziewali się Beridzego i Kowszowa. Brygada w mgnieniu oka przerwała pracę. Zbiegli się zarówno ci, którzy przygotowywali i podnosili wsporniki, jak i ci, którzy je umocowywali. Gwarnym tłumem otoczyli gości, którzy przysiedli na zwalonym pniu. Ze wszystkich stron posypały się pytania o sytuacji na frontach, o nowinach z miasta i zarządu, o znajomych.

Aleksiej dostrzegł Gienkę Pankowa. Watowane spodnie i ściągnięta pasem ciepła kurtka pogrubiały go, wobec czego wydawał się jeszcze mniejszy. Nos miał spuchnięty - widocznie musiał go odmrozić. Zachowywał się z powagą i przywołany przez Aleksieja podszedł bez pośpiechu.

- No i cóż, Gienka, przyzwyczaiłeś się do życia w tajdze? - zapytał inżynier obejmując chłopca.

- Przyzwyczaiłem się, dlaczego miałbym się nie przyzwyczaić... - z odrobiną nieufności odpowiedział Gienka.

- To nasz stachanowiec, zuch. Najlepiej i najszybciej ze wszystkich montuje wsporniki. Po drzewach wspina się jak wiewiórka - pochwaliła go dziewczyna, w której Aleksiej poznał Zinę, byłą sekretarkę Załkinda.

- Powiadają, że do Nowińska przyjechał Utiosow ze swoim jazzem, czy to prawda? - chciwie wypytywała jej przyjaciółka, szczuplutka dziewczyna w niezgrabnej watowanej kurtce.

Aleksiej nie puszczał Gienki:

- Widziałeś ojca?

- Widziałem, albo co?

- Chciał cię na pewno zabrać z sobą?

- Jak może mnie zabrać, kiedy jestem przy pracy - z godnością oświadczył Gienka. - Ojciec został teraz wyznaczony nad cieśninę, a my także tam idziemy...

- A nos jednak odmroziłeś... Trzeba uważać...

- U mnie to nic! Inni mają gorzej. Nawet Kola Smirnow chodzi z ciemnymi plackami na policzkach.

- A gdzież Kola? - obejrzał się Beridze.

- Właśnie biegnie!

„Długi” Smirnow mknął ku nim na nartach, zręcznie lawirując pomiędzy drzewami.

- Natknęliśmy się wczoraj na legowisko niedźwiedzia.

- To ja zobaczyłem je pierwszy - pochwalił się Gienka. - Obudziliśmy go naszymi drągami - dodał zapalając się - musiał wyleźć z barłogu...

- Straszny, okropny! Sierść zmierzwiona, oczy nabiegłe krwią - dorzuciła szybko Zina otrząsając się.

- A ty nie widziałaś nawet, tylko słyszałaś ode mnie - z lekceważeniem spojrzał na nią Gienka.

- A co niedźwiedź? - zainteresował się Aleksiej.

- Kola Smirnow położył go dwoma strzałami.

- Rozejść się! - wołał z daleka Kola podjeżdżając z brawurą.

Rozepchnął młodzież przeciskając się ku Beridzemu i Kowszowowi. Nawet tutaj ubrany był lekko, jakby nie był w tajdze, tylko na zawodach sportowych. Jego twarz z brązowymi plamami na policzkach błyszczała posmarowana tłuszczem.

- Tatjana orzekła, że minęliście nas bokiem, po rzece - powiedział przywitawszy się z inżynierami.

Przy Koli rozmowa potoczyła się jeszcze żywiej. Zajęci gawędą nie zauważyli, jak szybko mijał czas. Gienka, który zmarzł, zaczął już przytupywać jak w tańcu. Beridze wciąż rozglądał się dokoła.

- A jak tam Tatjana? Daje sobie radę? Czy słuchają jej? - zapytał półgłosem Kolę.

- Możecie być pewni, że tak! Ona każdego zmusi do posłuszeństwa! Jeżeli chcecie, mogę wam to zademonstrować. - Kola nachylił się do Gienki i szepnął: - Tatjana idzie!

- Tatjana! - krzyknął Gienka, a zrobił to tak niespodziewanie i głośno, że Beridze drgnął. Wszyscy momentalnie rozbiegli się grzęznąc butami w śniegu. Inżynierowie parsknęli śmiechem.

- Chodźmy do niej! - zaproponował Smirnow.

Po drodze opowiedział, że był u nich kierownik budowy i ojciec Gienki. Batmanow rozmawiał z młodzieżą, skrzyczał Tatjanę i jego samego.

Tanię znaleźli w czołowej brygadzie wyznaczającej kierunek linii. Telefoniści torowali sobie drogę na pochyłym zboczu, które porastał gęsty las z bezładnie leżącymi zwalonymi przez burzę drzewami. Tania w białym kożuszku, w czarnych butach filcowych i czerwonej szydełkowej czapeczce stała z boku koło trzech brzózek, wyrastających jak gdyby z jednego korzenia. U jej stóp z wesołym trzaskiem płonęło ognisko i żółte języki płomieni wzbijały się w górę.

Usłyszawszy skrzypienie śniegu odwróciła się, lecz ujrzawszy inżynierów nie okazała ani zdziwienia, ani radości. Drgnęły tylko jej długie, pokryte szronem rzęsy.

Idący na przedzie Kowszow po przyjacielsku przyciągnął dziewczynę do siebie, a ona zrozumiawszy właściwie jego ruch przytuliła się do niego i wargami dotknęła jego policzka. Dotknięcie jej chłodnych warg wzruszyło Aleksieja.

- Witaj, gospodyni tajgi! Witaj piękna dziewczyno!

- A cóż mnie przypadnie w udziale, Czerwony Kapturku? - podchodząc zapytał Beridze.

Tania spojrzała na niego i wybuchnęła śmiechem.

- Prawdziwy Dziad Mróz! Jemu wystarczy zwykłe „Dzień dobry”!

Beridze z puszystymi od szronu wąsami i brodą, z plecakiem na ramionach, rzeczywiście podobny był do choinkowego Dziadka. Tania pokłoniła mu się i zdjąwszy czerwoną rękawiczkę wyciągnęła dłoń. Beridze rzuciwszy na śnieg kijki i wielkie rękawice delikatnie ujął jej ręce w swoje dłonie.

- O jej, już zamroził! - wykrzyknęła, gdy ścisnął jej rękę - Dziad Mróz!

- To nic, zaraz odmarzniemy i staniemy się znowu kaukaskimi mężczyznami w średnim wieku - powiedział Beridze pochylając się nad ogniskiem i wycierając brodę.

Kola zbierał gałązki i dorzucał je do ogniska. Aleksiej i Tania zbliżyli się do ognia. Tania zaczęła od razu wypytywać ich i o projekt, i o zarząd, i o znajomych, jakby rozstała się z nimi przed rokiem.

- Serafima dała mi dla ciebie pierożki - przypomniał sobie Aleksiej. - Zjedliśmy je oczywiście, mile wspominając ciebie i Serafimę. I tak zamieniłyby się w kamienie i pewnie by ci nie smakowały... Nieśliśmy też dla ciebie woreczek kołdunów, ale na postoju ściągnęło nam je jakieś bezczelne zwierzę...

- Z przyjemnością zjadłabym gorące pierożki lub kołduny - powiedziała poważnie Tania. - Albo czerwony barszcz na wieprzowinie... Dobrego wina też bym się napiła.

- Mogę wydostać swoją manierkę, dobrze? Zakąska też się znajdzie, konserwy. Zgoda? - zaproponował Beridze.

Tania skrzywiła się:

- Spirytus i konserwy! Czyż tym częstuje się dziewczęta?

Grzejąc ręce nad ogniskiem, opowiadała im o swych sprawach. W słowach jej nie było skarg ani przesady, ale Beridze sposępniał uprzytomniwszy sobie dokładnie, ile trudów przyniosły dziewczynie ubiegłe trzy tygodnie.

Z początku nie byli przyzwyczajeni do życia w tajdze. Nie wszyscy komsomolcy okazali potrzebny hart. Dwóch chłopców uciekło od razu w pierwszym tygodniu; na zebraniu ogólnym uznano ich za dezerterów. Dziewczęta płakały, a jedna prosiła, aby ją odesłano z powrotem do miasta.

- W pierwszych dniach wydawało się rzeczą wprost niemożliwą ciągłe przebywanie na mrozie - przerwał opowiadanie Tani Kola Smirnow. - Nawet śmielsi chłopcy bali się nocować w tajdze. Przecież dokoła nie ma żywej duszy!

W pracy telefonistów zimą wciąż wyłaniały się jakieś przykre niespodzianki, mimo iż Tania będąc jeszcze w zarządzie dokładnie przygotowywała się do wyruszenia na trasę. Brak było niektórych materiałów, prawdziwych fachowców w brygadach prawie nie było. Codziennie trzeba było przewozić bazę z miejsca na miejsce. W takich warunkach trudno urządzić znośne życie. A w ogóle praca na mrozie jest bardzo trudna; w rękawicach nie wszystko można zrobić, a bez rękawic młodzież natychmiast odmrażała ręce. W pierwszych dniach było wiele odmrożeń - nie pomogła ani wazelina, ani inne środki. Zresztą i teraz zimno ogromnie utrudnia im życie.

- Oddziaływam osobistym przykładem. - Tania uśmiechnęła się. - Stałam się wychowawcą. Zimne wychowanie w dosłownym i w przenośnym znaczeniu: to znaczy surowe. Już niemal przywykli myć się śniegiem, pić lodowatą wodę, spać bez śpiworów. Każę im uprawiać sporty. Nie pozwalam jęczeć i narzekać. Tłumaczę im, że wszystkie nasze trudności są niczym w porównaniu z tym, jak trudno jest żołnierzom na froncie. Wielką mam pociechę z Koli. Cieszy się dużym autorytetem wśród wszystkich, bez niego dawno zwaliłabym się z nóg. - Z uznaniem spojrzała na Smirnowa podrzucającego chrust do ogniska.

Zdjęła rękawiczkę, żeby poprawić włosy. Beridze ostrożnie ujął jej spuchniętą, czerwoną rękę z połamanymi paznokciami.

- Jeszcze dobrze, gdy nie ma wiatru - ciągnęła Tania. - Podczas wiatru mamy prawdziwe piekło: często zrywa nam przewód i trzeba kilka razy zawieszać ten sam kawałek drutu. Przy tym zawsze zdarzają się wypadki odmrożenia. Czasami widzę, że chłopcy omal na głos nie płaczą...

- Dobrze pracujecie, Tatjano Pietrowno - powiedział wzruszony Beridze. - Przeszliście już prawie połowę trasy. Takie przeciąganie linii należy uznać za rekordowe.

Udzielił jej kilku rad. Jego wąsy i broda odtajały już i znów zrobiły się czarne. Oczy tkliwie i ze smutkiem patrzyły na Tanię, taką smukłą i kobiecą w jasnym kożuszku - przepasanym pasem. Słuchała uważnie Beridzego patrząc na ogień.

- Jesteście zbyt dobrzy dla mnie, Gieorgiju Dawydowiczu - powiedziała Tania podnosząc oczy. - Batmanow był ze mnie niezadowolony. „Ależ macie kierowniczkę!" - powiedział chłopcom. Dlaczego on się zawsze czepia? Czy to taka metoda czy co? Próbuję wyobrazić sobie, jaki jest w pożyciu domowym. Żona na pewno drży przed nim. Co by mu szkodziło okazać ludziom trochę serca i powiedzieć im niekiedy kilka dobrych słów?

- Jesteście niesprawiedliwi wobec Batmanowa. Jego rodzina pozostała na Krymie - z wyrzutem powiedział Beridze. Nie wiedział jeszcze o ciosie, jaki dotknął kierownika.

Tania schyliła głowę, ale ją zaraz podniosła.

- Tym bardziej powinien być łagodniejszy wobec ludzi.

- Łagodniejszy? Powinien być sprawiedliwy wobec ludzi i dobry, ale wewnętrznie, a nie w słowach - wmieszał się do rozmowy Aleksiej. - Moim zdaniem Batmanow jest dobry. Lubi ludzi, ale nie psuje ich bezmyślną dobrocią, nie gładzi ich po główce, kiedy trzeba i nie trzeba.

Kola Smirnow przysiadł na kupie chrustu i uważnie popatrzył na Aleksieja.

- Zastanawiałem się nieraz, jaki powinien być stosunek kierownika do podwładnych. Jest to problem, który trzeba rozwiązać dla samego siebie. Doszedłem do następującego przekonania: ponieważ żyjemy i pracujemy w ciężkim okresie, w trudnej sytuacji, więc nie wolno odnosić się do ludzi z manifestowaną dobrocią. Jestem zwolennikiem „zimnego" odnoszenia się – Aleksiej uśmiechnął się. - Ty, Tatjano, zapewne zrozumiałaś już, dlaczego Batmanow mówił ci przykre słowa.

- Swoją surowością chciał usprawiedliwić wobec chłopców jej własną surowość - powiedział Kola Smirnow.

- Zupełnie słusznie! - zgodził się Aleksiej. - Są matki, które tylko całują i pieszczą swe dzieci pozwalając im na wszystko. Są natomiast maiki surowe, które dzieci swe karcą, a całują rzadko, najczęściej wtedy, kiedy dzieci śpią. Wolę matkę surową! Taka matka nie tylko kocha, ale i wychowuje. W jej stosunku do dzieci jest nie tylko serce, lecz i rozum. Dzieci jej to prawdziwe dzieci. I ich miłość do surowej matki nie jest ani trochę mniejsza! Do licha! - opamiętał się. - Niechcący wygłosiłem całą mowę.

- Mów dalej, Alosza! - poprosiła Tania. Jego słowa zainteresowały dziewczynę.

- Nie ma o czym mówić. Słuszna jest surowa miłość. Stosunek Batmanowa do ciebie jest zapewne taki sam, jak twój do młodzieży.

Długo siedzieli w milczeniu. W ciszy głośno zatrzeszczały płonące gałęzie.

- Jak bardzo czekałam na was!- cicho przemówiła Tania. - Dobrze, że zjawiliście się nagle, wśród tajgi. Pogwarzyliśmy sobie, poradzili, daliśmy ujście uczuciom... Ale lepiej by było, gdybyście nas ominęli... Teraz odejdziecie i będzie mi ciężej niż przedtem. Będę o was myśleć, wspominać. O Batmanowie też będę myślała, Alosza. - Spojrzała na milczących inżynierów i zaśmiała się. - Gospodyni zasmuciła gości, jakże mi przykro!

- Zostaniemy u was do jutra, przenocujemy. Wieczorem pogadamy z brygadami, upitrasimy sobie jakąś kolację, zgoda? - zapytał Beridze.

- Cóż wy!... To niemożliwe! - odrzekła Tania. Nawet podniosła się z miejsca. - Lepiej będzie, jeżeli jak najprędzej odjedziecie. Lepiej i dla mnie, i dla chłopców. Odnoszę się do nich, jak mówi Alosza, z surową miłością. Batmanow jeszcze spotęgował tę surowość. A tu zobaczymy dobrego Dziada Mroza i rozkleimy się. Zresztą Batmanow kazał mi wyrzucić was zaraz, jak tylko się zjawicie! Idźcie sobie!

- Nie wstyd wam wyrzucać nas? Zmarzniemy - odezwał się żałośnie Beridze.

- Nic wam nie będzie. O dziewięć kilometrów stąd jest osiedle Czoma: dojdziecie tam jeszcze przed zmrokiem.

Chcąc zostawić Beridzego sam na sam z Tanią Aleksiej wraz z Kolą poszedł do pracujących opodal telefonistów. Usłyszał pełne smutku słowa Beridzego :

- Czy nie znajdziecie, Taniu, dobrego słowa dla mnie? Przez cały ten czas marzyłem o chwili, kiedy was zobaczę!

- Nie mówmy o tym! - zawołała z goryczą i niezadowoleniem dziewczyna. - Czy nie rozumiecie, że nie trzeba teraz mówić o tym?

- Zacięła się trochę Tatjana - zauważył Kola Smirnow. Tak czekała i nagle rzuca...

- Ma rację - odrzekł Kowszow.

Gdy wrócili do ogniska, Beridze i Tania rozmawiali spokojnie o sprawach budowy. Telefoniści mieli szczególnie wiele kłopotów z uciążliwym w zimowych warunkach procesem spawania końców przewodu. Tania długo męczyła się nad jego ulepszeniem i obmyśliła przyrząd do automatycznego spawania. Beridze pochwalił jej pomysł i obiecał niezwłocznie wykonać przyrząd w warsztatach mechanicznych zarządu. Dziewczyna śpiesznie szkicowała w notesie naczelnego inżyniera rysunek automatu, co chwila grzejąc nad ogniem skostniałe od mrozu palce.

Po upływie pół godziny inżynierowie, byli już o trzy kilometry od telefonistów. Pogrążeni we własnych myślach, w ciągu drogi nie zamienili ze sobą ani słowa.

Niespodziewany poryw wiatru rzucił narciarzom w twarz obłok śnieżnego pyłu. Beridze podniósł głowę i rozejrzał się. Niebo, jeszcze niedawno pogodne, zaciągnęło się teraz szarą zasłoną, w lesie zapanował mrok.

- Szmielow miał rację. Niepotrzebnie posłuchaliśmy Tani. Trzeba było zostać i przeczekać burzę - rzekł Beridze.

- Rozumiem, dlaczego nas tak przynaglała - odpowiedział Aleksiej.- Jesteś wobec niej nie dość delikatny, lekkomyślny. To dobra dziewczyna, bardzo wartościowy człowiek.

- Lekkomyślny? Czyś ty zwariował?

- Obserwuję, jaki masz stosunek do niej!

- Patrzcie, obserwuje! Psycholog! - zawołał z irytacją Beridze i gniewnie spojrzał na Aleksieja.

- Nie jestem psychologiem, po prostu patrzę. I jako prawdziwy przyjaciel, zarówno jej jak i twój, powiadam: jesteś gotów w samym zarodku zabić wszystko najlepsze, co może być między wami.

- Zachowaj dla siebie te morały! - rzucił Beridze i szybko ruszył naprzód.

Aleksiej również przyśpieszył kroku. Lasem targnął silny poryw wiatru. Pod jego naporem zaskrzypiały drzewa i zadźwięczały pokryte lodem krzaki. W powietrzu zawirował śnieg i igliwie.

Beridze przystanął czekając na Aleksieja.

- Dziwaku! Przecież ją kocham! Czy nie widzisz? Ona jest wciąż ze mną, tu i tu... - wskazał rękawicą na piersi i głowę. - Pokochałem ją od pierwszego dnia, jak tylko ją zobaczyłem, pamiętasz? Jechała na nartach po Adunie. Czy wierzysz w taką miłość, która spada jak piorun, jak cios? Drogę twego życia przeciął wczoraj nowy człowiek, a dziś już poczułeś, że jesteś zupełnie inny, wszystko w tobie szaleje z radości. Ja wiem i zrozumiałem, czym jest Tania. Ta dziewczyna jest jak święto!...

Kowszow patrzył na Beridzego szeroko otwartymi oczyma. Nigdy takim go nie widział. Pomyślał ze zdziwieniem, jak trudno poznać człowieka do głębi, nawet jeżeli to jest stary znajomy i przyjaciel.

- Rozumiem cię, Aleksieju - mówił z uniesieniem Beridze. - Boisz się o Tanię i mnie życzysz jak najlepiej. Dlatego wątpisz w szczerość moich uczuć i skłonny jesteś przypisać wszystko mojemu temperamentowi. Ale znamy się już od trzech lat, staliśmy się wielkimi przyjaciółmi, a przypomnij sobie, czy mówiłem ci kiedykolwiek, że kogoś kocham? Czy zwierzałem się przed tobą?

- Nie - przyznał Aleksiej.

- To znaczy, że dopiero teraz pokochałem! I zgodzę się na wszystko, byleby tylko i ona mnie pokochała. Mogę czekać, mogę milczeć, mogę znieść rozłąkę, jeżeli tego zażąda. Chociaż nie mogę bez niej żyć. Nie mogę! Z trudem zmusiłem się, ażeby od niej odejść, i zdolny jestem w tej chwili, jak chłopaczek, zawrócić!...

Beridze spojrzał uważnie na Aleksieja.

- Nieraz na pewno słyszałeś opinię różnych mędrców, że dzisiejsi ludzie nie umieją po ludzku kochać... To brednie! Umiemy kochać. Tylko nie umieramy z miłości. Nasza miłość jest zdolna poruszać góry! Przez nią stajemy się silniejsi, lepsi, czystsi! Czy twoja miłość do Ziny nie jest taka sama?

W tej chwili Aleksiej uprzytomnił sobie, że i jego miłość do Ziny spadła jak grom. Teraz uwierzył, że Beridze pokochał Tanię prawdziwie, wiernie, że on nie potrafi kochać inaczej.

- Gieorgij, mój drogi... Życzę ci dużo szczęścia - powiedział.

Szara mgła przesłoniła niebo, zaczął padać gęsty śnieg. Podmuchy wiatru stawały się coraz silniejsze. Nie uszli nawet kilometra, jak rozszalała się śnieżna burza.

Zaskoczeni i zdezorientowani przystanęli. Z wszystkich stron niosły się głuche grzmoty, świst i wycie. Wiatr łamał grube konary i podrzucał je do góry. Olbrzymie modrzewie chwiały się w jedną i drugą stronę. Spoza białej zasłony wyłaniały się od czasu do czasu zarysy pobliskich drzew, ale zaraz ginęły z nowym porywem wiatru. Tajga jęczała i wzdychała, jakby się przed kimś żaliła.

Beridze odciągnął Kowszowa pod grube drzewo i wrzasnął mu do ucha:

- Wpadliśmy, Aleksieju! Musimy się trzymać z całych sił! Powiadam: trzeba się trzymać! Nie odchodź ode mnie ani na krok. Nie odchodź, bo zginiesz!

Można było iść naprzód tylko w krótkich przerwach pomiędzy jednym a drugim podmuchem. Aleksiej po omacku szedł za Beridzem, który jakimś cudem jeszcze zgadywał kierunek drogi. Przy każdym porywie wiatru narciarze kulili się i nieruchomieli. Gdzieś obok ze straszliwym trzaskiem runęło drzewo. Beridze skoczył w bok pociągając za sobą Aleksieja.

- Trzeba stąd iść nad Adun. Wyjdźmy - powiadam - na otwartą przestrzeń, bo nas - do diabła - jeszcze przywali! - krzyczał Beridze.

Śnieżna zamieć wzmagała się, pod każdym naporem wichru padały drzewa. Inżynierowie uparcie posuwali się naprzód, to padając na śnieg, to podnosząc się.

Udało im się dobrnąć do rzeki. Tu, na otwartej przestrzeni, jeszcze trudniej było się posuwać. Lodowaty potok, niosący ostrą kaszę śniegu i ziemi, bił w twarz, w piersi. Cienkie kije narciarskie wyrywały się z rąk, jakby były żaglami. Palący wiatr przenikał na wskroś. Beridze z trudem przesuwał narty, lecz nie zatrzymywał się, Aleksiej pochylając się, aby osłonić smaganą twarz, starał się iść tuż za nim.

Szczególnie potężny poryw wichru zbił ich z nóg. Aleksiej poczuł, jak potężna siła uniosła go w powietrze i rzuciła w zaspę. Obok grzebał się w śniegu Beridze. Inżynier ze wszystkich sił uczepił się Aleksieja i z trudem chwytając powietrze krzyczał mu w twarz:

- Nie wolno przystawać! - Wicher porywał jego słowa, musiał więc je powtarzać. - Nie można, powiadam, przystawać! Pęknij, ale idź! Mówię - idź, nie zatrzymuj się za żadne skarby! Nie bój się, wygrzebiemy się. Grunt to odwaga. Bądź dzielny, powiadam, nie upadaj na duchu! Chowaj się za mnie! Mówię, chowaj się za mnie!

- Nie uspokajaj mnie, nie jestem panienką - odkrzyknął Aleksiej.

Dźwignęli się i przez chwilę dreptali w miejscu. Beridze z trudem wydobywszy pistolet wystrzelił dwa razy w powietrze, bardziej dla dodania otuchy towarzyszowi niż w nadziei na uzyskanie pomocy.

Poruszanie się w pozycji stojącej stało się już niemożliwe, inżynierowie zaczęli się czołgać zatrzymując się co chwila dla zaczerpnięcia tchu. Huragan nacierał ze wszystkich stron: to zatrzymywał ich, to odrzucał w tył, to gwałtownie uderzał w plecy, to spadał z góry i przygniatał do ziemi, to znów podmuchem z dołu - unosił w górę.

Beridze zdawał sobie sprawę z grozy sytuacji i myślał tylko o Aleksieju.

- Nic, Alosza, wygramolimy się! - krzyczał.

Wyjmował z rękawiczki zmarzniętą rękę, wsuwał ją pod sweter i ogrzawszy palce chwytał za rewolwer. Głuchy odgłos wystrzału ginął natychmiast w ryku i szumie wichru.

Czołgali się bardzo długo - może godzinę, a może i trzy. Beridze nie odzywał się już więcej do Aleksieja i przystawał tylko po to, aby oddać kolejny strzał. Wreszcie nastąpił moment, kiedy nacisnąwszy spust nie usłyszał wystrzału...

5. Surowy obrachunek

W Nowińsku burza śnieżna szalała już trzecią dobę. Przewracała płoty i słupy telegraficzne, porywała w górę i rzucała o ziemię liche drewniane szopy. W nocy wicher zerwał dach z trzypiętrowego gmachu zarządu. Dach osiadł płasko na zaspach i teraz z boku wyglądał jak dom zasypany po sam szczyt.

Kuźma Kuźmicz Topolew nie mógł jednak usiedzieć w domu, odważnie wyszedł na ulicę i brnąc po pas w ogromnych zaspach po upływie godziny dotarł do zarządu. W gabinecie długo otrzepywał śnieg, cierpliwie wyskubywał z wąsów kawałki lodu i ciężko oddychał ze zmęczenia. Nie zdejmując ciężkiego futra usiadł w fotelu, wyjął z biurka teczkę z papierami i zamierzał zabrać się do pisania. Ale to mu się nie udało: z kałamarza wystawał fioletowy sopel zamarzniętego atramentu.

Nagle przypomniał sobie z jakim dziecinnym zdumieniem oglądał kiedyś Kowszow przy swoim biurku kawałek lodu powstały również z zamarzniętego atramentu. Starcowi wydało się nawet, że słyszy wesoły śmiech Aleksieja i sam mimo woli się uśmiechnął. Zrozumiał jednocześnie, że nie potrafiłby teraz napisać ani jednego wiersza, i zdecydowanie odsunąwszy papiery, w zamyśleniu zapatrzył się w okno. Musiał się przyznać wobec siebie samego, że brak mu Aleksieja i otaczającej go atmosfery ożywionego ruchu.

W ciągu tych wszystkich dni, chory wskutek niepogody i przeżyć duchowych, Topolew nie wiadomo po co przychodził do biura. Jeszcze niedawno wszystko wydawało mu się tu niesympatyczne: zimny jak piwnica gabinet, ciągłe dzwonienie telefonu, nie kończący się potok interesantów, hałaśliwe narady w sprawie projektu, pewna siebie i nad podziw niezmordowana pracowitość Kowszowa - „chłopaka Aloszki”, jak przezwał go Grubski.

Topolew, oczywiście, zrozumiał od razu, w jakim celu kierownik posadził go w tym niespokojnym miejscu: chciano go wciągnąć w sprawy budowy. I to właśnie, nie mówiąc już o wielu innych rzeczach, wywołało w nim sprzeciw, który wyrażał się u niego w tak zwanym formalnym stosunku do obowiązków służbowych. Podobnie jak Grubski, Topolew nie wierzył, aby Beridze i Kowszow zdolni byli zmienić to, co było ściśle ujęte w dziesięciu tomach dawnego projektu. Zdawało mu się, że ci przybysze tylko ganili wszystko i krytykowali robiąc wiele hałasu, zamiast skromnie w milczeniu pracować. Grubski rozpoczął z nimi spór, usiłował dowieść swojej racji; Topolew ograniczał się do ironicznej obserwacji.

Myślał teraz o tym z przykrością i zdumieniem. Nie czuł już wcale niechęci ani do Aleksieja, ani nawet do Beridzego. W zarządzie wszyscy niepokoili się o los inżynierów, których gdzieś w drodze zaskoczyła burza śnieżna. Również Topolew ze wzrastającym z dnia na dzień niepokojem czekał na wieści o nich. Przypomniał sobie z ciężkim poczuciem winy, jak nieprzychylnie potraktował dobroduszne odezwanie się Aleksieja: „Życzcie nam powodzenia, Kuźmo Kuźmiczu. Udajemy się w wielkiej sprawie, przyniesiemy w plecaku nowy projekt”. Nie rozumiał teraz, jak mógł mu wtedy odpowiedzieć: „Żadnej wielkiej sprawy nie widzę, zwykła wycieczka narciarska. Życzę, żeby była przyjemna. A projekt to nie kot, żeby go nosić w worku!”

Bzdura, niesłychana bzdura! Komu są potrzebne te gniewy, zadrażnienia, starcze gderanie? Przegrał w drobiazgach, oddalając się od doniosłej sprawy, chociaż całe życie wierzył tylko w wielką pracę. Praca! Potrzebował pracy bardziej niż powietrza. Lecz Aleksiej był nieobecny i stary nie wiedział, jak ma się do tej pracy włączyć. Odsunąwszy się sam, stał się nikomu nie potrzebny. Telefon milczał, ludzie nie przychodzili, zegar na ścianie stanął i oto - nawet atrament zamarzł w kałamarzu.

Nie mogąc znieść męczącej samotności, Topolew zaczął bez celu błądzić po budynku. Współpracownicy odzywali się do niego z uśmiechem. Wpatrywał się w każdego, odpowiadał na powitania i szedł dalej, żaden z nich nie przykuwał, jego uwagi. Liberman w kurtce ze źrebaków

i w kudłatej, nie wiadomo z jakiego futra, czapce zatrzymał Kuźmę Kuźmicza. Trąc purpurowy nos i policzki, energicznie sklął „psią pogodę”. Zauważywszy tabakierkę w dłoni starca, poprosił o tabakę, hałaśliwie wciągnął ją w szerokie nozdrza, zrobił zdziwioną minę i z lubością kichnął.

- Odpoczywacie, Kuźmo Kuźmiczu? - zapytał pobłażliwie. - Siedzielibyście w domu. Mamuniu najmilsza, czy można mieć pretensje do starego człowieka!

- Odpoczywam - burknął Topolew i straciwszy chęć do rozmowy odszedł nie spytawszy nawet, czy Liberman ma jakie wiadomości o Beridzem i Kowszowie.

Wróciwszy do swego gabinetu Topolew przesiedział bez ruchu ze trzy godziny czekając na coś, lecz niczego się nie doczekał. Prawda, wstąpił Grubski - niezgrabny, w dużych, szarych butach filcowych i w futrze na tchórzach, z podniesionym bobrowym kołnierzem.

- Nasi odkrywcy Ameryki zamarzli, zdaje się, na Adunie razem ze swymi gorącymi ideami - powiedział cienkim głosem, chuchając w ręce.

Starzec uważnie, jak gdyby pierwszy raz go widział, patrzył na niego ze zdziwieniem, nie znajdując właściwych słów. Zrobiło mu się nieswojo z powodu myśli, która nagle przyszła mu do głowy, że ten dziwaczny i zdaje się zły człowiek jest właśnie ośrodkiem wszystkiego, co utrudniało mu życie w ciągu ostatnich tygodni. Czy tylko tygodni? Może miesięcy? A może nawet lat?

Rad był, gdy Grubski coś sobie przypomniawszy wkrótce zniknął. Wtedy przyszła Topolewowi na myśl spóźniona odpowiedź, jaką powinien był dać swemu niedawnemu zwierzchnikowi: „Patrzę na was, drogi Piotrze Jefimowiczu, i nie mogę zrozumieć, jakim prawem nazywacie siebie Rosjaninem? Gdzie wasz rosyjski rozmach? Gdzie wasz pociąg do nowego? Co zostało w was rosyjskiego? Od dawna przywykliście kłaniać się obcym bogom nauki i techniki, a to, co jak kopalnia złota leżało obok, odsuwaliście od siebie swoją zasuszoną rączką. Jak widać, nie wierzyliście ani we własne siły, ani w twórczość swych rodaków, a byliście po prostu zarozumialcem opierającym się o grube tomy podręczników. I czym jesteście teraz? Niczym!...”

W takich mniej więcej słowach układała się w umyśle Kuźmy Kuźmicza jego oskarżycielska mowa. Dalej jednak następowało gorzkie zdanie, zwrócone do samego siebie: „A czyż nie byłeś tego samego zdania co on? Czyż nie starasz się ze wszystkich sił dowieść, że Topolew i Grubski - to dwa buty z jednej pary?” Ta myśl była tak nieprzyjemna, że Kuźma Kuźmicz odżegnywał się od niej obydwiema rękami.

Nikt więcej nie przyszedł do niego. Dwie czy trzy osoby zajrzały do gabinetu, ale Topolew nie był im potrzebny. Żenia Kozłowa w płaszczu i białej puszystej chusteczce na głowie uchyliła drzwi i od progu obejrzała pokój nie zwracając uwagi na starca.

- Proszę bliżej, panienko - odezwał się ochrypłym basem Topolew.

Żenia powiedziała „dzień dobry” i po chwili wahania weszła. Topolew znał ją jako przyjaciółkę Tani Wasilczenko i nie wiadomo czemu wydało mu się, że obie zna od bardzo dawna, od dzieciństwa, chociaż poznał dziewczęta dopiero po przyjeździe na budowę. Kozłowa od jakiegoś czasu często wstępowała po Aleksieja, aby razem z nim pójść do stołówki albo w jakiejś sprawie od Grieczkina, a nieraz po prostu bez powodu. Zauważywszy, jak pokornie siedziała nieraz na otomanie, wpatrzona w Kowszowa, Topolew zrozumiał, że Aleksiej dla Żeni był nie tylko kolegą biurowym.

- Pusto tu, prawda? - zapytał ze współczuciem, podnosząc brwi. - Siedzi niemy starzec jak nieżywy, nikomu niepotrzebny. A tego, kto powinien tu być - nie ma. - Żeby tak odwrotnie, prawda, Żeniu?

- Kuźmo Kuźmiczu, przecież nie ma o nich żadnych wiadomości. Ja się lękam! - Głos dziewczyny i jej duże, jasne oczy wyrażały trwogę. - Jestem gotowa sama włożyć narty i pójść na poszukiwanie. Próbowano telefonować do Tatjany, ale nie ma połączenia. Widocznie burza uszkodziła całą linię. Co robić, Kuźmo Kuźmiczu?

- Nie ma powodu do obaw. Na pewno schronili się gdzieś w odpowiednie miejsce - powiedział uspokajająco Topolew, chociaż słowa Żeni bardzo go zaniepokoiły. - Posiedźmy sobie, dziecko, parę minut, pogadajmy trochę. Opowiedzcie mi, co się wokół dzieje.

Żenia opowiadała. Znów smutny komunikat - walki na przedpolach Moskwy, znowu zaczęto mówić o Japończykach, awanturujących się na granicy. Załkind zorganizował brygady złożone z komunistów i komsomolców, mające na celu kontrolę pracy wydziałów, ją również wciągnięto do tej roboty. Załkind prosił, żeby zajęła się wydziałami Fiedosowa i Libermana. Dziś jest narada u partorga, ona ma przemawiać, dlatego jest niespokojna. W nocy ukończono kwartalny plan robót - Grieczkin pomimo czepiania się nic nie mógł zarzucić jej tablicom, a przecież ona robi rozliczenia prac - to nie funt rodzynków!

Miała zwyczaj mówić: „nie funt rodzynków, tylko cztery kilogramy”, gdy opowiadała o jakiejś ważnej sprawie. Teraz powiedziawszy to westchnęła i skierowała się ku drzwiom. Starzec podniósł się z fotela.

- Chodźmy, Żeniu, spróbujemy razem odszukać Tatjankę.

Poszli do centrali telefonicznej i bitą godzinę spędzili przy aparacie krzycząc po kolei w słuchawkę. Przewód dokładnie przekazywał to, co się działo w przyrodzie - słychać było dzikie wycie zawieruchy, świst i szum wichru, i prawie czymś nieprawdopodobnym wydał się głos Tani, który niespodziewanie odezwał się z daleka.

- Gdzie Aleksiej i Beridze? Gdzie Aleksiej? Co wiesz o nich? - krzyczała Żenia dźwięcznym, silnym głosem.

Głos Tani to zbliżał się i brzmiał głośno, to oddalał się ginąc w szumie:

- Przeszli przedwczoraj... przeszli przedwczoraj... Nie mogę sobie darować... nie zatrzymałam ich u siebie... - Słowa Tani przerywały się na sekundę i momentalnie ginęły. - Chcieli zostać u mnie. Jestem niespokojna... Bardzo się niepokoję.

Żenia zrzuciła chustkę. Od razu zrobiło się jej gorąco, puszyste włosy miała potargane, umilkła i siedziała z utkwionym nieruchomo w dal wzrokiem. Wtedy zaczął mówić Topolew. Raz jeszcze wypytał Tanię o inżynierów. Tania powtórzyła to samo.

- Walczę z burzą - komunikowała dziewczyna. - Powiedzcie kierownictwu... Załkindowi powiedzcie... zorganizowałam brygady pogotowia technicznego... z najsilniejszych chłopców. Łączność utrzymamy. Nie bójcie się... nie poddamy się.

- Oszczędzaj ludzi i siebie! - mówił ochrypłym głosem Topolew. - Siebie oszczędzaj! Czy są nieszczęśliwe wypadki? Czy są nieszczęśliwe wypadki?

- Co słychać u was? Co u was? - słychać było w odpowiedzi głos dziewczyny. - Co dobrego słychać u was?

Topolew odpowiadał z wysiłkiem natężając głos i kaszląc:

- Nic dobrego! Źle! Źle! Powiadam, że źle, Tatjanko!

Zrozumiała nareszcie:

- Co jest złego? Z Wołodią? Czy coś z Wołodią?

- Prawie - odpowiedział niewyraźnie Topolew. - Prawie z Wołodią! Prawie!

- Co prawie? - dopytywała się dziewczyna. - Mówcie, dziadku, co tam mruczycie! Co prawie? Mówcie!...

Żenia opamiętała się i pobiegła do wydziału. Topolew wrócił do siebie i znów usadowił się w fotelu. Posiedział kilka minut, następnie starannie zatemperował dwa ołówki i przygotował się do pisania. Mimo wszystko niepostrzeżenie został wciągnięty w kłopoty Beridzego i Kowszowa. Starzec nieraz przyłapywał się na myśli o tym, co tak bardzo zajmowało inżynierów: nad sprawą przejścia przez cieśninę. Musiałby być chyba ślepym, żeby nie widzieć słuszności śmiałej decyzji powziętej przez Beridzego w zakresie robót zimowych. Nie doszli jeszcze do tego, jak robić przekop przez cieśninę. W czasie zimy Kowszow zwrócił się do niego z tym pytaniem, gdy starzec już sam zaczął zastanawiać się nad tym problemem. W jego głowie kiełkował ciekawy pomysł, coraz częściej wracał do niego myślą i teraz był już przekonany, że rozwiązanie tego skomplikowanego problemu przypadnie w udziale jemu, Topolewowi.

Wielki kieszonkowy zegarek, długoletni towarzysz życia Kuźmy Kuźmicza, wskazywał koniec dnia pracy. Spoglądając na jego poczerniałą tarczę Topolew namyślał się, czy iść do domu, czy pozostać w biurze. Pracować nad notatkami i obliczeniami można i w domu - tam cieplej, ale tu prędzej dowie się czegoś o Aleksieju. Przechadzał się po gabinecie z rękami w kieszeniach futra - wysoki, siwy, pochmurny i wąsaty, podobny do Maksyma Gorkiego. Niespodziewanie przybiegła młodziutka dziewczyna. Ku zdziwieniu Topolewa miała interes właśnie do niego.

- Ledwo was znalazłam. Nawet nie wiedziałam, że mamy u siebie inżyniera Topolewa - powiedziała dobrodusznie nie rozumiejąc, że rani go w samo serce. - Tu zawsze siedział Alosza Kowszow; jego znam dobrze. Jesteście jego zastępcą, tak? To ci dopiero, stary musi słuchać młodego! Teraz będę was już znała. Chodźcie prędko, partorg wzywa was na naradę kierowników wydziałów.

Wybiegła, zanim Topolew zdążył otworzyć usta. Na progu zderzył się z rozczochranym jak zwykle Kobziewem. I jego również wzywał kierownik - widocznie we dwójkę mieli zastąpić Kowszowa.

Narada już się zaczęła. Załkind uprzejmie przywitał się z Topolewem i Kobziewem i poprosił, aby usiedli.

- Zebrałem kierowników wydziałów wraz z partorgami i komsorgami[22], aby porozmawiać o dyscyplinie i naszych niedociągnięciach. Proszę, mówcie dalej - skinął na Grieczkina, który stał wyczekująco koło stołu.

- Kontrola, którą przeprowadziliśmy, wydobyła na wierzch błędy ukryte gdzieś aż na dnie wydziałów. - Grieczkin ruchem ręki pokazał, jak wypłynęły z dołu te błędy. - I niestety, nie możemy dziś postawić za przykład żadnego wydziału mówiąc: wzorujcie się na nim. Wszędzie są ludzie grzeszący niedbalstwem. Są jeszcze amatorzy spóźniania się do pracy i wczesnego opuszczania jej. Ten i ów tłumaczy swoją ślamazarność zamieciami i najrozmaitszymi trudnościami. - Grieczkin wskazał ręką w kierunku zasypanych śniegiem okien. - Wielu jest takich, którzy nie cenią czasu; włóczą się bez sensu po korytarzach, rozmawiają podczas pracy o sprawach prywatnych, zbyt długo zatrzymują się przy mapach, roztrząsając sytuację na froncie. Zapominają, że frontowi należy pomagać nie westchnieniami i nie domorosłą strategią. Przykro o tym mówić, ale jednocześnie nie można pominąć

[22] Komsorg - organizator komsomolski. - Red.

milczeniem, że w niektórych naszych wydziałach nie ma jeszcze uczciwego, gorliwego stosunku do potrzeb trasy: nie wszyscy rozumieją, że jesteśmy tu sługami trasy i istniejemy dla niej, a nie odwrotnie.

Grieczkin mówił gorąco i surowo, popierając słowa energiczną gestykulacją. Słuchano go bardzo uważnie. Był, jak sam mówił, ekonomistą-praktykiem, obdarzonym przez naturę sprytem i zdrowiem; mógłby pracować dwadzieścia godzin na dobę. Gdy zmieniło się kierownictwo budowy, zaczął grać wybitną rolę w życiu zarządu. Batmanow uczynił jego wydział wydziałem kontroli i planowania i Grieczkin był stale referentem na dyspozycyjnych naradach u kierownika budowy. Partyjną pracę prowadził aktywnie; była ona widoczna dla wszystkich. Obecnie jego wystąpienie świadczyło również, że do zadania partorga ustosunkował się sumiennie i wnikliwie, kontrolując wydziały surowo, z pasją.

- Niech moje słowa będą pewnego rodzaju wstępem - zakończył Grieczkin, obrzucając zebranych bystrym spojrzeniem okrągłych, przenikliwych oczu. - Towarzysze, którzy byli w wydziałach, sami opowiedzą, co tam znaleźli.

Załkind otworzył dyskusję krótkim zagajeniem:

- Wszystko, co wam leży na sercu, wypowiadajcie wprost i szczerze. Krytykujcie nie oglądając się na nikogo i nie obawiając się obrazić sympatycznego kierownika czy dobrego przyjaciela. Wszyscy razem jesteśmy dość silni i od krytyki nie zachorujemy, przyniesie nam ona tylko korzyść. Daję każdemu dziesięć minut, a to dlatego, żebyśmy unikali zbędnych opowiadań. Nie mamy prawa obradować po dziesięć godzin. Starajcie się unikać swarów, intryg i drobiazgów.

Wszyscy przemawiali krótko, niezupełnie gładko i składnie, lecz z przejęciem i z przekonaniem o swej słuszności. Denerwowało to, nie wiadomo dlaczego, Topolewa. Widział, że większość przemawiających to byli ludzie młodzi, zupełnie młodzi. Jedna z pierwszych otrzymała głos Żenia Kozłowa.

Podszedłszy do stołu dziewczyna zaczęła mówić najpierw niepewnie, ze spuszczonymi oczyma i z rumieńcem na twarzy. Nigdy jeszcze nie przemawiała na takich naradach i ze strachem myślała o tym, że musi wypowiedzieć niemiłe i surowe słowa o kierownikach dwóch dużych wydziałów. Na chwilę zawahała się i z wielkim wysiłkiem pohamowała pragnienie przerwania swego przemówienia i ucieczki, jak jej się to już kiedyś zdarzyło na koncercie amatorskim.

Grieczkin skrzywił się ze złości i nawet się odwrócił. Wiele spodziewał się po wystąpieniu Żeni i teraz był rozczarowany. Pozornie gderliwy i lubiący się czepiać, miał dla Żeni wiele sympatii i zawsze starał się ją zainteresować sprawami wydziału. Z dumą powiedział raz Aleksiejowi, że uważa Żenię za swą najlepszą pracownicę. Propozycję Aleksieja, żeby poważniej wciągnąć Żenię w życie organizacji komsomolskiej, uważał za słuszną. Zaraz też wtedy, nie odkładając, wezwali dziewczynę i długo rozmawiali z nią na ten temat.

Żenia zauważyła niezadowolenie Grieczkina i pomyślała, że na pewno powie Aleksiejowi o jej niepowodzeniu. To pomogło jej opanować niepewność i zmieszanie. Zaczęła mówić tonem bardziej zdecydowanym i spojrzawszy znowu na Grieczkina spostrzegła jego życzliwy uśmiech.

Brygada Żeni wykryła w wydziałach zaopatrzenia wiele nieporządków. W biurkach pracowników Fiedosowa leżały raporty z trasy, pozostawione bez odpowiedzi, nie wysłane pilne depesze, zapomniane dokumenty. Fiedosow odniósł się do kontroli wydziału niepoważnie i wyniośle. Próbował również tutaj wykpić się replikami i usprawiedliwić wszystko dużym nawałem pracy, w którym niepostrzeżenie toną poszczególne niedociągnięcia i błędy.

- Przecież to niesłuszny i szkodliwy punkt widzenia! - zawołała Żenia. - Prowadzi do wykrętów, którymi można osłonić każde niedbalstwo.

Następnie Żenia przeszła do Libermana i zarzuciła mu, że starając się wszystko zamaskować i upiększyć, mydli po prostu oczy.

Były to ciężkie zarzuty. Obaj kierownicy wydziałów nie spodziewali się tego, mimo że byli uprzedzeni przez Załkinda.

A Żenia nie powiedziała jeszcze wszystkiego. Czas przeznaczony dla niej minął, spojrzała na zegarek i urwała w pół słowa. Załkind skinął zachęcająco głową.

- Od dawna krążą wśród nas śmieszne historyjki o nienawiści pomiędzy Libermanem a Fiedosowem - szybko mówiła dalej Żenia. - Brałam to za żart nie wierząc, żeby dorośli, poważni ludzie mogli się zabawiać w ten sposób. Teraz przekonałam się, że pomiędzy dwoma wydziałami toczy się prawdziwa wojna... Mój nieboszczyk ojciec długo mieszkał nad Adunem i opowiadał o nienawiści dzielącej rody nanajskie. Naturalnie, teraz nie ma mowy o jakiejś nienawiści, tylko jej ślady można znaleźć w poszczególnych przypadkach. Ojciec nazywał je przeżytkami ustroju rodowego. Gdy słyszałam Libermana obmawiającego Fiedosowa i Fiedosowa obmawiającego Libermana, przypomniały mi się słowa ojca i pomyślałam: waśnie naszych dwóch kierowników są również przeżytkiem minionych wieków.

- No, trochę już dziewczyna przeholowała! - powiedział głośno Fiedosow.

- Nie, nie przeholowałam - żywo zwróciła się Żenia w jego stronę, rozkładając ręce. - Powiedzcie mi, towarzysze: czy nie za przeżytek przeszłości należy uważać dziki wypadek, kiedy dwóch ludzi radzieckich kierujących pokrewnymi odcinkami pracy, zaczyna sobie wzajemnie przeszkadzać? Może na tym polega ich współzawodnictwo? Jeśli tak - to sprostujcie to, co mówię.

Kilka osób zaklaskało w dłonie. Załkind pochylił się nad stołem kryjąc uśmiech.

- Nie można gołosłownie oczerniać ludzi - powiedział Liberman zaczekawszy, aż wszyscy ucichną.

- Ach, chcecie faktów? Dobrze, przytoczę je.

Fakty były błahe i śmieszne. Żenia nagle przerwała w pół słowa, podeszła szybko do Libermana i cichym ze wzruszenia głosem zwróciła się wyłącznie do niego, jakby zapomniała o pozostałych:

- Dlaczego nie lubicie ludzi? Dlaczego nie ma w was dobroci? Wiem, że jesteście uczciwym człowiekiem, że nie weźmiecie cudzego. Ale czyż to jest prawdziwa uczciwość, jeżeli innych uważacie za nieuczciwych? Często chwalicie się: „Dostaję wszystko, czego potrzebujemy... Oprócz mnie nikt nie dostanie". Prawdopodobnie tak jest rzeczywiście. A czy jest z tego jaka korzyść? Przypuśćmy, że dostaliście tysiąc watowanych kurtek, które leżą na składzie. Tymczasem na siódmym odcinku kurtek brak i ludzie marzną klnąc was na czym świat stoi. Was to nie obchodzi - przecież kierownictwo podziękowało wam za kurtki. Znalazłam w waszym wydziale cztery depesze z trzeciego odcinka: nie mają kaszy. Nie zwróciliście uwagi na te depesze, ponieważ was obchodzi tylko to, żeby zdobyć kaszę. Dostaliście, a reszta - to już nie taka ważna rzecz.

Liberman siedział trzymając się prosto i często mrugając jasnymi rzęsami. Próbował przeczyć, ale Żenia nie pozwoliła mu dojść do słowa.

- Odpowiedzcie mi - mówiła dziewczyna z tym samym wzburzeniem i stanowczością - po co w takim razie staracie się zdobyć te kurtki, kaszę i wiele innych rzeczy? Czy tylko po to, aby mówiono: „Jaki z tego Libermana doskonały kierownik zaopatrzenia - wszystko umie wydostać!" Przecież to wszystko

są głupstwa! Powinniście myśleć tylko o tym, aby ludzie byli odziani i syci, żeby nie marzli na mrozie. Nie macie serca, zamiast serca macie ambicję - tyle wam tylko powiem!

Żenia rozejrzała się i nieco zmieszana wróciła na swoje miejsce.

- Mamuniu najmilsza, kogo właściwie interesują te płomienne dziewczęce mowy! - rzucił Liberman spojrzawszy ukradkiem na Załkinda.

- Mnie interesują. I wszystkich towarzyszy interesują. A najważniejsze, że wysłuchanie ich bardzo wam się przyda - powiedział szorstko Załkind, patrząc Libermanowi w oczy. Odwrócił się do Żeni i uśmiechnął się mile: - Mówcie dalej...

Uszczęśliwiony Grieczkin nie spuszczał z Żeni wzroku. „Kto jak kto, ale ja wiem najlepiej, że najbardziej interesowały ją tańce i chór amatorski. Tymczasem obaj z Aleksiejem wciągnęliśmy ją do komsomolskiej pracy - i proszę" - myślał z zadowoleniem. Przemawiając dalej Żenia nagle wymieniła i jego nazwisko. Nie spodziewał się, że i jego zaczepi; nie obraził się jednak, kilkakrotnie kiwnął w jej stronę głową uchwyciwszy jej spojrzenie.

- Nawet Kowszow i Grieczkin, komuniści i członkowie egzekutywy - mówiła Żenia - nawet i oni za mało nam ufają, wszystko starają się zrobić sami. A przecież wiemy, że jeden człowiek nie podoła temu, co kolektyw... To byłoby wszystko, Michale Borisowiczu. Chcę tylko jeszcze powiedzieć na zakończenie, że nasza narada jest dobra i podoba mi się, szkoda tylko, że towarzysze Kowszow, Beridze i kierownik budowy są nieobecni. Wygląda to tak, jakbyśmy tylko pod ich nieobecność byli śmiali i odważni.

- Niech to nikogo nie krępuje - odezwał się Załkind. - Możecie mówić tak, jakby Batmanow, Beridze i Kowszow byli w tej sali. Podejmuję się odpowiadać za nich wszystkich.

Żenia stała chwilę w milczeniu, obciągnęła ciasno przylegający do jej silnej postaci granatowy sweter i usiadła na krześle obok Grieczkina. Rozglądała się, czy się z niej nie śmieją.

- Zuch! - szepnął Grieczkin. - Wkrótce Tatjanę zatkniesz sobie za pasek. Zamierzyłaś się nawet na Aloszę, swoje bóstwo. Pochwalam!

Żenia popatrzyła na niego roztargnionym wzrokiem i nic nie odpowiedziała. Jeszcze nie ochłonęła z podniecenia.

Najsilniej ze wszystkich reagował na to, co się działo, Topolew. Uważał, że wszystko, co powiedziała Żenia i inni, było kierowane pod jego adresem. „Przeżytek przeszłości" - powtarzał w duchu i uczucie wstydu rosło w nim coraz bardziej. „Można siedzieć tuż obok nich, robić to samo, a mimo to być nieskończenie dalekim od nich" - myślał z goryczą Topolew. Starzec był nie wiadomo czemu pewny, że na zebraniu wspomną i o nim. Bał się, ale - dziwna rzecz - pragnął tego.

Głos zabrał Pietia Gudkin. Właśnie on zaczął mówić o Topolewie. Prędko rzucił pierwsze zdania i - spojrzawszy na starego inżyniera - zaciął się. Powstrzymywał go ciężki wzrok Kuźmy Kuźmicza i cała jego postać, przygnębiona i godna pożałowania.

- Mów dalej, Pietia - powiedział Załkind, zauważywszy spojrzenie Topolewa i wahanie młodziutkiego technika. - Towarzysz Topolew nie obrazi się na ciebie za słowa prawdy. Przecież chodzi ci o dobro sprawy.

- Mówcie, Pietia, ja się nie obrażę - wyrzęził cicho.

- Źle się dzieje w naszym wydziale - mówił Pietia urywanym, silnym głosem. - Zespół, oczywiście, pracuje, ludzie rozumieją zadanie i starają się z całych sił. Ale jesteśmy niezadowoleni z towarzysza Topolewa. Jest wybitnym inżynierem, posiada dużą wiedzę, ale Aleksiejowi Nikołajewiczowi Kowszowowi kiepsko pomaga. A przecież Aleksiejowi Nikołajewiczowi jest ciężko. Ja obserwowałem go i nawet nie wiem, kiedy on śpi, skoro o czwartej po północy jeszcze pali się światło w jego gabinecie, a o ósmej rano jest już przy biurku. My o wszystkim wiemy i nie myślcie, towarzyszu Topolew, że nie widzimy tego, co się dzieje w waszym biurze.

Pietia ze zdenerwowania bezustannie poruszał rękami. Wyjął z kieszeni chusteczkę i zaczął ją targać, następnie schował z powrotem.

- Teraz tak się złożyło, że Aleksiej Nikołajewicz jest na trasie, a wydział został bez kierownictwa. Zastępcą jest towarzysz Topolew, ale on nie interesuje się wydziałem. We wszystkich sprawach zwracamy się do towarzysza Kobziewa, ale przecież on nie jest zastępcą i nie może odpowiadać za cały wydział. Poza tym sytuacja jego jest dziwaczna: musi sam decydować, kiedy ma nad sobą obecnego zastępcę kierownika. W dodatku Kobziew jest roztargniony i trudno mu wszystko ogarnąć.

- Zarżnął mnie - wykrzyknął Kobziew i zakrył twarz rękami.

Wszyscy roześmieli się.

- Nie widzę powodu do śmiechu, mówię prawdę. - Pietia gniewnie podniósł głos. - Jeżeli będziecie się śmiać, przestanę mówić.

- Nie gniewaj się, Pietia, mów dalej, słuchamy - powiedział Załkind.

- Powinniśmy wiedzieć, dlaczego towarzysz Topolew odsunął się od wszystkiego. Nie interesuje się nikim i niczym. Na przykład, ja jestem sekretarzem organizacji komsomolskiej w wydziale i zwykłym technikiem - czy porozmawiał ze mną chociaż raz, czy zainteresował się moją pracą? Nie. Dlaczego? Czyż doprawdy nie ma mnie o co zapytać i nie ma mi nic do powiedzenia? Zwracaliśmy się raz do Aleksieja Nikołajewicza, pytając o Topolewa. Rozgniewał się na nas: „A co wam do niego? Przeszkadza wam? Macie ode mnie dość roboty. Jeśli za mało, przyjdźcie, dodam wam". No, cóż, rozumiemy, że Aleksiejowi Nikołajewiczowi nie wypadało zapewne inaczej odpowiedzieć... - Pietia znów wyjął chusteczkę, podniósł ją do twarzy, zmiął i schował do kieszeni marynarki. - Dziś postanowiłem zapytać was, towarzyszu partorgu, i towarzysza Topolewa. Znów może się to wyda śmieszne... Wciąż zastanawiam się: czy Kuźma Kuźmicz wysłuchał szóstego i siódmego listopada przemówienia towarzysza Stalina czy też nie? Jeżeli wysłuchał i pozostał obojętny, to w takim razie nie wiem nawet, jak mamy dalej zachowywać się wobec towarzysza Topolewa. Wybaczcie mi, Kuźmo Kuźmiczu, że tak się przyczepiłem do was. Ale przykro nam ze względu na was i ze względu na Aleksieja Nikołajewicza. Tym bardziej, że on... może zginął tam... na trasie, z naczelnym inżynierem. A wam wszystko jedno...

Chłopakowi głos zadrżał i załamał się. Pietia umilkł. Znów sięgnął po chusteczkę, machnął ręką i wybiegł z gabinetu. Załkind spojrzał na Żenię. Dziewczyna szybko wyszła za Pietią, z trudem hamując łzy.

Zapanowało przykre milczenie, podobne do tego, jakie bywa na sali sądowej przed wydaniem wyroku. Wszyscy spoglądali na Topolewa, siedzącego z nisko opuszczoną głową.

Wtedy podniósł się Załkind:

- Nie mamy żadnych podstaw do tego, aby opłakiwać naszych towarzyszy. To ludzie zahartowani i silni; jestem przekonany, że nic im się nie stało. Żeni Kozłowej i towarzyszowi Topolewowi udało się

uzyskać dziś przez selektor połączenie z Tanią Wasilczenko, która widziała inżynierów żywych i zdrowych tuż przed zamiecią śnieżną. Prawda, Kuźmo Kuźmiczu? Prócz tego otrzymałem dziś przez lotników wojskowych wiadomość od kierownika budowy, który szykuje się do powrotu. Prawdopodobnie wszyscy trzej zjawią się tu lada chwila.

Żenia i Pietia wrócili do gabinetu. Nachmurzony technik zatrzymał się przy drzwiach.

Załkind starając się nie widzieć uśmiechów na twarzach obecnych, zwrócił się do Pieti z zapytaniem:

- Skończyliście już swoje przemówienie towarzysza Gudkin, czy będziecie mówić dalej? Niezupełnie zrozumieliśmy, o co ci chodziło. Machnąłeś na nas ręką i uciekłeś.

- Powiedziałem wszystko - mruknął basem Pietia.

- Widzisz, sam jesteś z siebie niezadowolony. Krytykowałeś, a sam zacząłeś histeryzować. Opowiem Beridzemu i Kowszowowi, jak ich to przedwcześnie opłakiwałeś.

Narada potoczyła się dalej. Ale teraz Topolew już nie mógł uważnie słuchać przemówień. Pietia zadał mu zbyt silny cios. W tym ciosie jak gdyby skupiły się wszystkie ciosy ostatnich dni.

Ból głucho doskwierający w sercu starca wzmógł się i potęgował z każdą chwilą. Głowa ciążyła, mózg pracował niezdarnie i z trudem. Z pewnością Żenia, Pietia, Załkind i wszyscy inni oczekują jego wystąpienia. Powinien odpowiedzieć... I nie odpowie... Nie ma teraz nic do powiedzenia.

Załkind rozumiał stan starca, rozumieli go i inni. Topolew zawsze na pozór taki silny i nieprzystępny, nagle zmienił się w ich oczach. Od razu stało się widoczne, że jest to człowiek chory, że ma zaczerwienione oczy i purpurowy rumieniec na twarzy, że oddycha z wysiłkiem, że trudno mu nawet podnieść głowę.

Topolew nie mógł od razu tego pojąć, czego od niego chcą, gdy ujrzał przed sobą Żenię trzymającą kartkę od Załkinda. Rozwinął papier i długo czytał: „Kuźmo Kuźmiczu, powinniście dobrze zrozumieć tego chłopca i nas wszystkich. Pragniemy szanować was naprawdę. Jest wam obecnie ciężko - przeżywacie coś głęboko i niewątpliwie jesteście chorzy. Idźcie do domu, później przedyskutujemy wszystko i mam nadzieję, że znajdziemy wspólny język. Obiecuję natychmiast zawiadomić was o powrocie Beridzego i Kowszowa”. Topolew ponuro spojrzał na partorga i ruchem głowy zaprzeczył - dając mu tym do zrozumienia, że jest zupełnie zdrów. „Skąd on wie o moich przeżyciach i o tym, że czekam na Aleksieja?” - pomyślał.

Załkind zamykał naradę. Mówił krótko, rzeczowo, bez moralizowania. Nie powtarzał już tego, co mówiono o niedociągnięciach w pracy, mówił o tym, jak je naprawić. Było w tym przemówieniu jedno zdanie - dotyczyło wszystkich, lecz Topolew zrozumiał, że Załkind zwraca się przede wszystkim do niego.

- Przypominam wam mądre słowa Lenina: „...Nie tak niebezpieczna jest porażka, jak niebezpieczna jest obawa przyznania się do swojej porażki, obawa przed wyciągnięciem z niej wszystkich wniosków”.

Jeszcze zanim partorg doszedł w swym przemówieniu do wydziałów zaopatrzenia, Fiedosow podał Libermanowi kartkę: „Myślę, że powinniśmy poważnie porozmawiać. Jeżeli nie macie nic przeciw temu, zajdę do was o dziesiątej wieczorem”. Liberman napisał na kartce: „Zgoda”. Załkind stanowczo, chociaż spokojnie, podkreślił:

- Wstyd i nieprzyjemnie mówić teraz o tym, co Żenia Kozłowa określiła jako przeżytek i obiecuję nie wspominać o tym, jeśli Fiedosow i Liberman nie dadzą mi do tego powodu. - W tym momencie obydwaj zaopatrzeniowcy skwapliwie przytaknęli mu ruchem głowy.

Zamknąwszy naradę Załkind pośpiesznie opuścił gabinet. Na dole, przy wyjściu na ulicę, na której szalała jeszcze zamieć, dopędził Topolewa.

- Podwiozę was. Po drodze wpadniemy do szpitala, do Rodionowej - to przyda się nam obu... - I nie zważając na protesty starca poprowadził go do sań.

Olga Rodionowa w towarzystwie dwóch felczerów obchodziła szpitalne sale. Przed tygodniem w Nowińsku wybuchła epidemia grypy. Sale były przepełnione, łóżka stały nawet na korytarzach. Dochodził stamtąd kaszel, kichanie i ciężkie westchnienia. Zamieć i tu przedostawała się poprzez szczeliny w ścianach i ramach okiennych. W salach było zimno.

Olga zatrzymywała się przy każdym łóżku, wysłuchiwała skarg, badała chorych, dawała wskazówki felczerom.

- Doktorze, wy także jesteście chora - mówili jej pacjenci spoglądając na zabandażowane ręce Olgi, na zapadnięte, blade policzki i gorączkowo błyszczące oczy.

- Lekarz nie ma prawa chorować - uśmiechała się, szybko badając pacjenta - jakiż byłby z niego doktor?

Powiedziano jej, że przyjechał Załkind. Poprosiła, żeby poczekał, i wyszła do niego dopiero po skończeniu obchodu.

Załkind z niepokojem zauważył, że Olga rzeczywiście źle wygląda. Machnęła zabandażowaną ręką:

- Wiecie przecież, że mam zastarzały reumatyzm. Tylko ciepły klimat może mi pomóc. Teraz nie ma co nawet marzyć o tym i dlatego odłóżmy lepiej rozmowę o mnie do końca wojny.

Wybuch grypy niepokoił Załkinda; pytał, jak się obecnie przedstawia sytuacja. Olga opowiedziała, że w ciągu dwóch dni obeszła wszystkie domy osiedla - liczba chorych wciąż wzrasta. Szpital jest przepełniony. Jest tylko jedno wyjście: trzeba izolować chorych od zdrowych, przeznaczając im specjalne pokoje w internatach i domach. Jest to obecnie ważniejsze od wszelkich lekarstw.

- Co mam zrobić? - zapytał szczerze zmartwiony Załkind.

- Trzeba uświadomić ludzi, że powinni bez protestu zgodzić się na zagęszczenie mieszkań i izolację chorych. Weźcie pod uwagę to, że wśród mieszkańców krążą pogłoski, jakoby epidemię wywołali Japończycy. Mówią o wojnie bakteriologicznej. Te pogłoski przeszkadzają nam walczyć z grypą. Muszę też zgromadzić jak największą ilość drzewa na opał. Dajcie konie, wskażcie, skąd brać drzewo, a zwieziemy sami. Widzicie, jak u nas zimno. Powinnam palić całą dobę, ponad wszelkie normy... Potrzebuję też pomocników. Nie proszę o lekarzy i pielęgniarki, nie sprowadzi się ich z wojska. Ale niech przyjdą z pomocą gospodynie domowe. Dlaczego tu nie ma Rady Kobiecej, towarzyszu partorgu? Jest bardzo potrzebna, i nie tylko mnie. W instytucjach dziecięcych, w internatach i stołówkach brak kobiecego dozoru i troskliwości. W każdej organizacji jest Rada Kobiet, na której czele stoi żona kierownika. Nasz kierownik nie ma tu żony i dlatego zapewne nie ma u nas Rady. Czy wasza żona, towarzyszu, nie mogłaby stanąć na czele naszego komitetu? I bez tego ma wiele pracy? Zastosujcie do niej swe ulubione powiedzenie: „Im więcej pracy, tym lepiej człowiekowi”. Niech kobiety, które nie mogą sobie dać rady w domu z gospodarstwem, pomyślą, jak sobie radzi Lizoczka

Grieczkina. Ma czworo dzieci, a przecież już trzeci dzień przychodzi tu dyżurować na godzinę lub dwie. - Olga uśmiechnęła się. - Myślę, że na dziś dość spraw. Jeżeli mnie nie powstrzymacie, to mogę tak skarżyć się do rana.

- Na razie dość - zgodził się Załkind i zaczął wyliczać: - a więc izolacja chorych w internatach, walka z szerzeniem szkodliwych pogłosek, drzewo, gospodynie do pomocy. O Radzie Kobiecej myślałem i zdaje się dowiodłem już żonie swojej ulubionej tezy. Rada Kobieca będzie musiała zająć się poważnie warunkami życia, zwłaszcza osób samotnych: wielu naszych fachowców mieszka w zimnych mieszkaniach. Jutro znów przyjadę do was, porozmawiamy jeszcze i pojedziemy do miasta - może nam pomogą. A teraz, Olgo Fiodorowno, spójrzcie na naszego chorego. Gwałtem go tu przyciągnąłem.

- Kuźma Kuźmicz w charakterze pacjenta? Nadzwyczajne! - Olga zakrzątnęła się koło Topolewa nie zwracając uwagi na jego protesty. - Wpadliście. Teraz już nie będziecie się chwalić, że przez całe życie nie mieliście do czynienia z eskulapami.

Ujęła w dłonie głowę starca i uważnie przyjrzała się jego twarzy.

- Do łóżka. To grypa, gorączka - powiedziała do Załkinda, a Topolewa zapytała po cichu: - Czy się co stało, Kuźmo Kuźmiczu?

Starzec milczał. Załkind szybko włożył futrzaną czapkę z nausznikami i wyszedł wyprowadzając Topolewa. Od progu zawrócił.

- Nie mam prawa ukrywać... Lepiej będzie, jeżeli dowiecie się o tym... Jeżeli jesteście gotowa wysłuchać złej wiadomości... - Załkind zawahał się spoglądając badawczo na Olgę.

- Mówcie! - Jestem przygotowana na wszystko! - krzyknęła nerwowo. Oczy jej miały wyraz cierpienia.

- Zakomunikowano mi, że Konstanty Rodionow uchylił się od mobilizacji. Drogą oszustwa „urządził się” w pociągu sanitarnym jako lekarz. Obawiając się, że mimo wszystko wyślą go na front, postanowił zrobić z siebie na pewien czas inwalidę. Zaczął pić jakieś paskudztwa i przebrawszy miarę - otruł się.

Jakiś dziwny, stłumiony dźwięk wyrwał się z gardła Olgi - jakby chciała krzyknąć, ale zdławiła głos w ostatniej chwili.

- Jeżeli będziecie potrzebowali pomocy - powiedział Załkind - ja nie mówię o szpitalu - to oczywiście... Pomoc towarzysza... dla was osobiście... Powiedzcie... o każdej porze...

- Dziękuję wam. Mnie osobiście... nic nie trzeba... - wyszeptała Olga.

Stojący przy drzwiach Topolew odgadł, że na Olgę spadło nieszczęście i że jest jej ciężko. Z szacunkiem i współczuciem spojrzał na nią spod nastroszonych brwi. Wszystko wokół świadczyło o ciężkiej walce: nie tylko młodzi chłopcy, ale nawet kobiety były mężnymi żołnierzami: Jak to się mogło stać, że on, inżynier Topolew, uchylił się od walki? „Oswobodziwszy się od pragnień, nie znamy nadziei ni strachu” - przypomniał sobie ulubiony wiersz. Teraz powtarzając te słowa - stwierdził, iż nie godzi się z ich treścią.

6. Sam na sam ze sobą

W domu ogarnęło starca błogie ciepło. Sam przed zimą opatrzył mieszkanie i żadne wiatry nie mogły wywiać stąd drogocennego ciepła. Maria Iwanowna, gospodyni, u której Topolew mieszkał i stołował się, spoglądała na niego z niepokojem. Załkind uprzedził ją o chorobie lokatora.

- Nie martwcie się, jestem zdrów. Ciepło tu i zacisznie, nic mi więcej nie trzeba.

Wyjął z kieszeni proszki, które wydała mu Rodionowa, schował je do szuflady biurka, zdjął marynarkę i położył się na kanapie; podłożył twarde pięści pod głowę i zamknął oczy. Na naradzie podczas przemówienia Pieti Gudkina miał ochotę jak najprędzej znaleźć się w domu, ale wcale nie dla odpoczynku. Teraz nareszcie został sam na sam ze sobą.

Pietia, Żenia, Załkind, Olga, Aleksiej i Tania - wszyscy stawali mu przed oczyma. Po chwili wszyscy cofnęli się, oddalili, a na ich miejsce zjawił się ktoś bardziej surowy i wymagający. Ten ktoś srogi i surowy krzyknął: „Porozmawiajmy!" - i zaczął mówić głosem Pieti, to Olgi, to Załkinda, to znów Aleksieja. Ale wszystkie te głosy zagłuszył rozpaczliwy okrzyk jego siostrzeńca Wołodi: „Dziadku, zrozum - nasz generał Iwan Siemionowicz Mironow nie żyje! Byliśmy w tej samej bitwie o Moskwę, ale ja żyję, a on poległ. Lepiej, żeby się stało odwrotnie. Dziadku, czy rozumiesz mnie? Przysięgliśmy tutaj, my, jego żołnierze i oficerowie, że pomścimy go bez miłosierdzia. Zabici faszyści - to nasza stypa po generale".

Wania, Iwan Mironow i śmierć - to było niemożliwe do pogodzenia, w to nie podobna było uwierzyć! Powtarzając po raz setny rozdzierające serce słowa króciutkiego listu siostrzeńca, Topolew jęknął.

„Witaj, Kuźmo!" - rozległ się nagle znajomy, drwiący głos Wani Mironowa. Razem z kilku nieodłącznymi przyjaciółmi, którzy od dawna już nie żyli, Mironow wszedł do pokoju. Kroczyli poważni i skupieni. Pochylili się nad nim, powalonym przeżyciami i chorobą, i jątrząc mu duszę przemawiali młodymi głosami: „No cóż, Kuźmo, zrobimy bilans. Każdy powinien do tego przystąpić w swoim czasie, a zwłaszcza ten, kto stoi nad grobem. Powiedz nam, towarzyszu, czym się możesz pochwalić, co dobrego zrobiłeś w życiu? Doszły nas wieści, żeś ostygł, żeś niemal już przyłączył się do tych, którzy uważają, że lepiej być żywym psem niż martwym lwem. Czy to prawda, Kuźmo? Trudno uwierzyć, że zapomniałeś o swych płomiennych mowach, które zdawały się zagrażać pożarem naszemu pokoikowi na poddaszu, w drewnianym domku nad Dnieprem, gdzie zbieraliśmy się. Trudno uwierzyć, że zapomniałeś o naszej przysiędze, którą złożyliśmy jeszcze na piętnaście lat przed rewolucją w dniu Tatjany, na niezapomnianym kawalerskim wieczorze: „Do samej śmierci, dopóki bije serce, ani chwili nie stać w miejscu, wciąż iść naprzód w świętej służbie narodu..."

„Mówią, że obrosłeś sadłem, Kuźmo, chociaż z wyglądu jesteś chudy. Pragnienia twoje uwiędły, a mózg wyjałowiał i zaszedł mgłą. Jesteś zadowolony z siebie i uważasz, że wypełniłeś swój plan z nadwyżką, że wszystkiego już w życiu dokonałeś. Powiadają, że jakiś Grubski - płytki, mały człowiek - wyrósł w twych oczach tak, że potrafił przesłonić ci prawdziwych ludzi. Grubski przepoił cię mieszczańskim zadowoleniem, podsunął ci teczki z papierkami, w których pogrzebałeś swe dawne zalety i talent inżyniera. Zamieniłeś się w biurokratę, dla którego świat zacieśnia się do rozmiarów biurka i dwóch szaf nabitych papierami. Te właśnie głupie szpargały przesłoniły ci waleczne pułki saperskie naszego przyjaciela dzieciństwa i młodości, Iwana Siemionowicza Mironowa. Odpowiadaj, Kuźmo, musimy wiedzieć, co się z tobą stało".

I Kuźma odpowiadał, usiłując usprawiedliwić się przed surowym sądem:

„Nie, nie zapomniałem o przysiędze młodości, bynajmniej. Przechowuję ją święcie w pamięci, ale stało się coś, nad czym trzeba się zastanowić, póki jeszcze nie jest późno. Wiele lat upłynęło od czasu, gdy składaliśmy przysięgę. Wszyscyśmy wtedy, przyjaciele, stali na progu życia. A czyż stojąc przed

furtką wiesz, jakie będzie życie na szerokiej ulicy? Jak daleko sięgam pamięcią, zawsze pracowałem uczciwie, tak jak postanowiłem, ze wszystkich sił. I nie jestem oczywiście zwolennikiem filozofii żywego psa ani osobistej korzyści. Po diabła mi ta zdawkowa moneta, mnie - człowiekowi, który uwierzył we wzniosłe ideały, który przeżył sześćdziesiąt lat i sprawdził w życiu wszystkie wartości, od największych do najlichszych. Rzecz jasna, że nie w tym tkwi sedno rzeczy".

„Więc w czymże, mój drogi, powiedz?" - zapytuje ktoś. Ale to nie jest głos Wani Mironowa; Wania milczy i tylko wpatruje się uporczywie w bezradnie leżącego przyjaciela.

„Chodzi widocznie o to, że ja, Kuźma Topolew, wpadłem pewnego razu w jakiś gwałtowny potok, który porwał mnie, i musiałem się wciąż śpieszyć; nie było nawet kiedy rozejrzeć się i pomyśleć o sobie..."

„Czyż ten potok życia nie był wspólny i dla ciebie, i dla Iwana Siemionowicza, i dla nas wszystkich? Czy też pewnego razu postanowiłeś wyskoczyć z niego i obserwować z boku to, co się dzieje? A następnie po prostu zdrzemnąłeś się zasłuchany w słodki szept Grubskiego? Czy tak?"

„Poczekajcie, przyjaciele, nie przynaglajcie mnie. Życie rozwijało się w niesłychanym tempie. Całe stulecia kraj nasz starał się nadrobić w ciągu kilku pięciolatek. Rósł i przygotowywał się do przyszłych prób. Potok życia porywał mnie i utrzymywałem się na jego powierzchni swą pracą. Czyżbym nie dał wszystkiego, do czego byłem zdolny?"

„Chcesz powiedzieć, że już się zupełnie wyczerpałeś? Czyż to się może przydarzyć żywemu człowiekowi?"

„Nigdy nie zadawałem sobie pytania, czy oddaję wszystko? Oddawałem siebie bez reszty. I mnie, i was rewolucja zastała jako ludzi dorosłych, trzydziestopięcioletnich. Na pierwszy zew poszliśmy za nią wszyscy. Żaden z nas nie znalazł się wśród tych, których lud sądził w procesie szachtyńskim[23]. Nikt mnie jeszcze nie nazywał „starym fachowcem" w ujemnym znaczeniu tego słowa. Wiedziałem, na jaki wzniosły cel wydatkowane jest moje życie, i z radością przyjmowałem wszystko, co mi proponowano. A jednak potępiacie mnie dzisiaj i ja sam wydaję siebie na bezlitosny sąd sumienia".

„Dlaczego zamilkłeś. Kuźmo? Mów dalej" - żądają przyjaciele.

„I dawniej rozumiałem chwilami, że realne wyniki nie pokrywają się z zamiarami, z przysięgą młodości. Nieświadomie prawie czekałem na krótki moment wytchnienia, aby zebrać myśli i przeistoczyć się do końca. Życie nie dawało wytchnienia. Przyjeżdżałem na nowe miejsce i budowałem, budowałem. Naglono mnie i ja przynaglałem, potem przekazywałem budowę i pędziłem na inne miejsce, aby budować coś nowego. Życie coraz bardziej przyśpieszało tempo. Wojna doprowadziła to tempo do ostatecznych granic. I wtedy od razu przyszedł czas próby - dla mnie, dla Wani Mironowa; generał, wyszedł zwycięsko z próby, chwała mu, a ja..."

„Jakież z tego wyjście, Kuźmo? Nie możemy zrozumieć" - przynaglają przyjaciele.

Pytanie jest ostre, dopieka i kłuje i Kuźma Kuźmicz już woła: „Nie ma wyjścia! Skapitulowałem. Byłem słaby! Nie nadążyłem za życiem. Teraz poruszam się siłą bezwładności, która lada chwila zgaśnie. Nie nadaję się do takiego tempa: «Pilne. Bardzo pilne. Niezwłocznie. Natychmiast». Nadaję się do służby

---

[23] Szachtyński proces - sądowy proces poważnej kontrrewolucyjnej organizacji, która powstała w roku 1922-23 w szachtyńskim okręgu Donbasu w środowisku inżynierów i techników, związanych z właścicielami kopalń węgla i fabryk oraz z zagranicznymi kapitalistami i wojskowym wywiadem. Członkowie organizacji nie chcąc dopuścić do rozwoju socjalizmu w ZSRR i dążąc do przywrócenia kapitalizmu niszczyli maszyny, powodowali pożary i wybuchy w kopalniach, fabrykach i elektrowniach. Wyrok zapadł w Moskwie w 1928 r. - Red.

poza linią frontu. A właściwie w ogóle do niczego się nie nadaję. Przyszła starość, rozumiecie to? - Starość: Ustępuję miejsca chłopakowi Aloszce, przedstawicielowi młodego pokolenia".

„Poczekaj, Kuźmo. Czy doprawdy chcesz wznowić dawno porzucone dyskusje o starych i młodych fachowcach? Czyż generał Mironow nie był z tego samego pokolenia co i ty? Dlaczego on nie przeciwstawiał siebie «młodemu pokoleniu?» Dlaczego on nadawał się, a ty nie?"

„O to właśnie chodzi, przyjaciele. Między mną a Wanią Mironowem jest tak olbrzymia różnica, że nie mogę się z nim porównywać. Lepiej nie wplątywać go do tej rozmowy. Lepiej pochylmy z czcią głowy przed tarczą, na której leży nasz bohater..."

W pokoju rozległ się szmer. Kuźma Kuźmicz otworzył oczy. Stała nad nim pochylona Maria Iwanowna. W jednej ręce trzymała proszek - znalazła go jednak - w drugiej - szklankę z wodą.

- Kuźmo Kuźmiczu, wypijcie, mój drogi. Macie gorączkę, jęczycie - rzekła. - Proszek wam pomoże.

Starzec posłusznie połknął proszek. „Moje choroby akurat nadają się do leczenia proszkami" - pomyślał uśmiechając się. Gospodyni uspokoiła się i wyszła. Wierzyła w lekarstwa.

Topolew znów przymknął oczy. Lecz przyjaciele już się więcej nie zjawiali... Przez chwilę tylko zamajaczyła szczupła, pokryta piegami twarz Pieti Gudkina, jego lekko rudawa, rozwichrzona czupryna. Znów zadźwięczał jego wzburzony głos: „Czy Kuźma Kuźmicz wysłuchał przemówienia towarzysza Stalina szóstego i siódmego listopada, czy nie wysłuchał?"

Kochany chłopcze, jeśli mam mówić prawdę, to wszystko zaczęło się właśnie w nocy z szóstego na siódmego listopada. Topolew wysłuchał, oczywiście, przemówienia Wodza i nie pozostał obojętny. Nić jego przeżyć wewnętrznych ciągnęła się od mądrego przemówienia Stalina poprzez wiadomość o śmierci generała Mironowa aż do oskarżycielskiej mowy komsomolca Pieti Gudkina. Właśnie teraz trzeba koniecznie pomówić o wszystkim i naradzić się z Aleksiejem. Starzec gotów był otworzyć przed nim serce i wraz z nim rozstrzygnąć poważne zagadnienia życia.

Oto stoi przed nim Alosza Kowszow, jak żywy! Więcej niż średniego wzrostu, barczysty i dobrze zbudowany, łyżwiarz, narciarz i gimnastyk. Dobra rosyjska twarz. Poszczególne rysy twarzy niezbyt prawidłowe i ładne - zbyt szerokie czoło, lekko zadarty nos, nieposłuszna jasna czupryna, szare oczy. A jednak twarz ta jest ładna, ponieważ od wewnątrz opromieniona jest zawsze myślą i uczuciem. Jest spokojny, często zamyślony, nieraz smutny. A jednocześnie zdolny jest w jednej chwili wybuchnąć, zapalić się. Przejście od skupienia i smutku do ruchu i wesołości bywa u niego błyskawiczne. Lubi żart, cięte słowo i chętnie się śmieje, a śmieje się głośno, zaraźliwie, pokazując rząd mocnych zębów. Wszyscy szybko do niego się przyzwyczajają, a wielu przywiązuje się. Beridze kocha go jak młodszego brata. Grieczkin i Filimonow w ciągu miesiąca stali się jego przyjaciółmi. Żenia - ta jest w nim prawie zakochana. Nawet cynik Liberman jest do niego przyjaźnie usposobiony i podświadomie lgnie do niego. Dlaczegóż więc on, Topolew, odepchnął od siebie Aloszę? Czemuż się nie porozumieli?

Teraz, gdy wyrzucał sobie nieporozumienie z Aleksiejem, trudno było znaleźć przyczynę tego rozdźwięku. Należało cofnąć się aż do czasu ich pierwszego spotkania. Aleksiej Kowszow zjawił się wówczas przed nim jako zwierzchnik - mający kontrolować pracę inżyniera Topolewa, którego nazwisko cytowane jest w podręcznikach. I on, inżynier Topolew, w ścisłym porozumieniu z inżynierem Grubskim, z miejsca odtrącił inżyniera Kowszowa, nie znając właściwie zupełnie jego kwalifikacji. Inżynier Kowszow był nieprzyzwoicie młody i mógł być jego synem. Wychodził poza ramy typu zawodowca znanego Topolewowi, nie pasował do utartego wzoru - i to wystarczyło, żeby go nie uznać. Topolew uważał, że inżynier nie może być nietaktowny i nie może nie uznawać autorytetu. Tymczasem inżynier Kowszow Popełnił nietakt i nie uznał autorytetu. Inżynier Kowszow posadził go

przed swoim biurkiem i zaczął grzebać się w jego solidnej pracy, ganiąc ją bez żenady głośno, jakby miał przed sobą nie dzieło mistrza, lecz wypracowanie ucznia.

Mijały dni - i on, Topolew, wbrew woli zaczął badawczo przyglądać się człowiekowi siedzącemu naprzeciw niego, aż dojrzał coś, czego do tej pory nie przeniknął Grubski. Oto miał przed sobą inżyniera nowego typu, inżyniera-gospodarza, który śmiało sięgał do wszystkich dziedzin życia, nie tylko do techniki. Technika była jego zawodem, jego powołaniem, ale nie ograniczał się do niej, interesował się wszystkim. Inżynier Kowszow przywiązywał wagę do tego, co wydawało się nieważne inżynierowi Topolewowi. Potrafił, na przykład, poświęcić kilka godzin na to, aby uczyć Pietię Gudkina - zamiast odrzucić jego pracę. I odwrotnie, zagadnienia, które Topolew uważał za skomplikowane, dla niego były proste. Takim prostym i nieskomplikowanym było dla niego zagadnienie stosunku do autorytetu. Gdy nie zgadzał się z kimś, to oponował, walczył, obalał. W instytucie Kowszow na pewno nieraz słyszał o Kuźmie Topolewie, ale gdy zetknął się z nim, bez namysłu zaczął go zwalczać. Ograniczoność Grubskiego była mu obca i czuł do niej antypatię. Sam jest podwładnym Beridzego i szanuje dyscyplinę, ale gdy nie zgadza się z naczelnym inżynierem, to i jemu dowodzi, że nie ma racji. Jeżeli powstaje pomiędzy nimi różnica zdań, to walczy z nim mimo osobistej przyjaźni i zależności służbowej.

Te właśnie nowe cechy, które z początku wydawały się Topolewowi niezrozumiałe i drażniące, coraz jaśniej zarysowywały się przed nim, coraz wyraźniej występowały w charakterze młodego inżyniera. Starzec pamiętał okres, kiedy Kowszow nie mógł sobie znaleźć miejsca, rwał się na front, tam gdzie jest trudniej i niebezpieczniej, aby w końcu zrozumieć, że i tutaj walka o nowy projekt rurociągu jest także frontem. Gdy tylko znalazł swoje miejsce w tej walce, natychmiast okrzepł. Dlatego właśnie Aleksiej Kowszow jest tak nienasycony w pracy i w każdym najmniejszym rysunku widzi sprawę o znaczeniu państwowym. Dlatego jest tak bezlitośnie wymagający wobec siebie i innych, surowy i szczery aż do opryskliwości, do nietaktu. Gdy robi wymówki podwładnym, to robi to z ironią, żeby były jeszcze bardziej dotkliwe. O tym młodym człowieku można powiedzieć, że lubi krytykę. Jest niemal uradowany z każdego mycia głowy, które otrzymuje od Batmanowa lub Beridzego. Chwali się nawet, że mu solidnie nawymyślano. Kiedyś powiedział z głębokim przekonaniem: „Rzeczowe wymyślanie rozumnego kierownictwa - to najskuteczniejsza i najpożyteczniejsza nauka w życiu .

Pracuje z entuzjazmem. Ma wiele obowiązków i niezmordowanie bierze na siebie coraz to nowe. Pietia Gudkin ma rację: inżynier Kowszow rzeczywiście niemal odwykł od spania. Na jedzenie przeznacza dosłownie minuty. Jest ascetą, gdy chodzi o osobiste potrzeby. Pewnego razu Żenia robiła mu wymówki, że bez protestu mieszka w pokoju, w którym jest zimno jak na ulicy.

Tak, taki jest Aleksiej Kowszow. Naturalnie Kuźma Kuźmicz widział również minusy swego przełożonego, lecz minusy te, jak sądził, należało tłumaczyć młodością. Kowszow nie miał jeszcze doświadczenia, które Topolew zdobył w ciągu długich dziesięcioleci praktyki. O brakach w sposobie bycia nie ma co mówić - te można łatwo i prędko usunąć. O wiele ważniejszy jest brak kultury technicznej. Kowszow czasami jak gdyby po omacku znajdował to, co starzec widział na pierwszy rzut oka, nie posiadał jeszcze tej łatwości w rozwiązywaniu zadań technicznych, jaką osiąga dopiero wytrawny fachowiec.

W pośpiesznej pracy nad nowym projektem nieuniknione były niedociągnięcia i niedokładności w obliczeniach. Twórczość techniczna jak dom z cegieł wyrasta z wielu elementów, które podobnie do ziaren pereł były przez dziesiątki lat wyławiane na budowlanych placach. Kowszow natomiast usiłował je odkryć w ciągu kilku dni. On, inżynier Topolew, mógł w tym i owym poprawić Kowszowa, lecz tego nie robił. Krzywiąc się smętnie, przyznawał przed samym sobą, że uchybienia Aleksieja jakby

mu dogadzały, że chwilami jakby szydził: „Widzisz, jakiś ty mądry! Chcesz, żebym nagle oddał ci swoje uciułane po groszu bogactwa? Nie, mój drogi, ciułaj je sam”.

„Więc do czego doszedłeś, nędzny Salieri[24] znad Adunu” - znęcał się nad sobą Topolew.

Kiedyś, szczególnie rozgniewany na Aleksieja, Topolew nakreślił w swej wyobraźni obraz nieuniknionego jakoby upadku Kowszowa. Oto pochłonie go tak samo wir życia i ani się obejrzy, jak stanie się drugim wydaniem tego samego inżyniera Topolewa. Dzień po dniu będą spadały na niego coraz to nowe obowiązki, wszelkiego rodzaju raporty, meldunki, wykresy, kosztorysy. Ani na chwilę nie będzie mógł wypuścić z rąk słuchawki telefonicznej. Będzie musiał bez końca konferować z wyższymi władzami, uzgadniać zagadnienia, godzinami siedzieć na naradach, odbywać służbowe rozjazdy. Wiecznie będzie czuł się tak, jakby śpieszył do pożaru i jakby się zawsze spóźniał.

Aż wreszcie nagromadzi się w Aleksieju Kowszowie znużenie i stopniowo ostygnie jego zapał. Zrodzi się w nim obojętny stosunek do codziennej pracy. Będzie musiał mieszkać w zapadłym kącie - inżynierowie przeważnie budują na odludziu, z dala od miast - przyzwyczai się do wina, do preferansa i lekkomyślnych rozrywek. Zło tkwi oczywiście nie w samych rozrywkach, ale w tym, że będą one sprawiały mu większą przyjemność niż praca. I chętniej będzie poświęcać swój czas na plotki niż na gorące i wzniosłe dyskusje. A może ożeni się i wraz z żoną zacznie chciwie nabywać na własność toaletki, lustra, bieliznę, futra. Kupi sobie motocykl, by doznawać silnych wyrażeń pędząc wściekle po zakurzonych drogach. Albo aparat fotograficzny, aby robić zdjęcia fotogenicznych twarzy znajomych... Albo strzelbę, żeby zabijać kaczki i... czas. Jednym słowem wymyśli cokolwiek, by tylko móc się rozerwać w wolnym czasie.

Aż nadejdzie jakiś fatalny dzień, kiedy zacznie składać za piecem nie rozcięte czasopisma techniczne i w końcu zapomni o odnowieniu prenumeraty. Zatraci wrażliwość w odczuwaniu życia, utraci świadomość przemian, rozwinie się w nim straszna choroba - zadowolenie z siebie i samouspokojenie się. Jest to choroba Grubskiego, która udzieliła się i jemu, Topolewowi. I talent Aleksieja Kowszowa jak dotknięty rakiem organizm zacznie usychać, zdolności twórcze zanikną. Stanie się nieczuły na to, co można nazwać daleką perspektywą. Pociągać go będzie tylko to, co jest w perspektywie najbliższej, ściśle mówiąc: bliska perspektywa przesłoni mu perspektywę daleką. Zapomni o młodzieńczej przysiędze - jeśli ją składał - by ciągle iść naprzód, nie spoczywać na laurach, ale rozwijać się, zdobywać wiadomości i robić dziś więcej i lepiej niż wczoraj. Krócej mówiąc z Aleksiejem stanie się to, co stało się z nim samym.

Nie! Starzec wyciągnął się na kanapie i energicznie potrząsnął głową. Nie, Aleksiejowi nie może, nie powinno się to wydarzyć! On, Kuźma Topolew, domorosły Salieri, musi ostrzec, uprzedzić Kowszowa. Powinien jak najprędzej, zaraz, natychmiast z Kowszowem pomówić...

W pokoju rozległy się czyjeś kroki. Starzec podniósł ociężałą głowę; jakże pragnął ujrzeć Aleksieja, a zobaczył - Grubskiego. Grubski z czerwoną od mrozu twarzą szybko rozcierał ręce i spoglądał na chmurnego starca wkładającego marynarkę.

- Postanowiłem odwiedzić chorego - powiedział Grubski z pozorną uniżonością.

- Chorych odwiedzają lekarze i przyjaciele - niezbyt życzliwie i wyraźnie odpowiedział Topolew zbliżając się do stołu, przy którym usiadł już były naczelny inżynier.

[24] Salieri Antonio (1750-1825) - kompozytor włoski, napisał ok. 40 oper; otruł przez zawiść Mozarta. - Red.

Starzec stał opierając się o poręcz krzesła.

- Nasza przyjaźń, Kuźmo Kuźmiczu, ma już, dzięki Bogu, dwadzieścia pięć lat i można by ją nazwać srebrną - powiedział Grubski z ożywieniem. - Zawsze cieszę się, gdy mam okazję potwierdzić w jakiś sposób swoją wierność starej przyjaźni.

„Co za kwiecisty styl" - pomyślał starzec i wycedził przez zęby:

- Jeżeli tak, to dziękuję za przychylność. Nie wiem, czym was przyjąć.

W pokoju natychmiast zjawiła się Maria Iwanowna.

- Nie fatygujcie się, Kuźmo Kuźmiczu, zaraz podam herbatę.

- Wziąłem ze sobą lekarstwo - wesoło powiedział Grubski wyjmując spod stołu dużą ciemną, spotniałą od ciepła, butelkę wina.

- Tego lekarstwa nie wolno mi używać. Będziecie musieli sami się nim kurować.

Grubski uśmiechnął się sam do siebie: „Nie ma co mówić, uprzejmy jest dziś staruszek". Zaczął mówić o epidemii grypy, o przykrych komplikacjach, które wywiązują się z tej choroby, o zamieci, która przyczyniła mnóstwo szkód i wszystkim dokuczała, lecz na szczęście już się uspokaja, i o sytuacji na frontach.

Maria Iwanowna wniosła herbatę i skromną przekąskę. Po bezowocnych usiłowaniach namówienia Topolewa na wino, Grubski odstawił butelkę i zabrał się do gorącej herbaty.

Kuźma Kuźmicz prawie nie podtrzymywał rozmowy i siedział na pół odwrócony. Starał się odgadnąć, czemu zawdzięcza wizytę Grubskiego. Trudno było uwierzyć, że pan ten nie zważając na zamieć przyszedł do niego tylko po to, aby go odwiedzić. W ogóle rzadko kiedy bywali u siebie, a w ostatnich czasach trzymali się z daleka. W miarę tego jak Grubski czuł się coraz bardziej pewny siebie, rozdrażnienie Topolewa wzmagało się. Hamował się, żeby nie powiedzieć czegoś brutalnego, a jednocześnie czuł, że ta nieoczekiwana wizyta źle się skończy, że pierwszy raz zdaje się w ciągu sześćdziesięciu lat swego życia wypędzi nieproszonego gościa ze swego domu.

Grubski zaczął mówić o budowie. Jego zdaniem Batmanow i Beridze popełniają zbrodnię: nie wykończywszy jeszcze tego szalonego projektu, nie zatwierdziwszy go skierowali już budowę na nowe tory. Wiele odcinków, porzuciwszy wszystkie materiały na prawym brzegu, przeniosło się na lewy. Grubski nie mógł o tym spokojnie mówić. Wstał, chodził dokoła stołu i znów usiadł.

- Nie wątpię, że nasi „genialni" wynalazcy skończą źle! - wykrzykiwał. - Ale dopóki władza spoczywa w ich rękach, wyrządzają trudną do naprawienia szkodę. W Komisariacie Ludowym stwarza się fałszywe wrażenie, że wszystko jest w porządku. Wprowadza się w błąd czynniki rządowe, traci się na próżno czas i fundusze. W ogóle to, co dzieje się tutaj, jest typowym przykładem naszej złej organizacji. Można przeklinać Niemców, nie przeszkadza to jednak uczyć się od nich, jak należy pracować. Z pewnością nie budowaliby teraz rurociągu.

Starzec słuchał nie odzywając się ani słowem, ale jego czujność wzrastała. Zaczynał się po trochu domyślać celu nieoczekiwanej wizyty.

- Wy, Kuźmo Kuźmiczu, zdaliście się już na łaskę przeciwnika, złożyliście, że tak powiem, broń. Tymczasem opowiadano mi, że w Rubieżańsku wszyscy rozsądni ludzie uważają pomysł Batmanowa i Beridzego za głupi i szkodliwy - mówił Grubski głosem przyciszonym, pochylając głowę w stronę Topolewa. - Nie można składać broni, trzeba jak najuporczywiej dowodzić, że mamy rację. Rurociągu

nie zbuduje się w ciągu roku, w ogóle nawet w najlepszych okolicznościach budowa jego nie wpłynie na przebieg wojny. Biję się w piersi, sam broniłem swych pozycji bardzo nieśmiało i formalnie. Musimy działać bardziej zdecydowanie. Należy szukać stosunków w Rubieżańsku i w Moskwie. Można uważać, że początek już jest zrobiony: wysłałem do Rubieżańska mój memoriał. Nie chcieliście go podpisać, ulegając prawdopodobnie chwilowemu nastrojowi. Nie gniewam się o to, ale proszę, żebyście wysłali list, że jesteście tego samego zdania. A byłoby wspaniale, gdybyście zdecydowali się napisać o wszystkich naszych sprawach do Moskwy do Pietrowa. Przecież to w pewnej mierze wasz uczeń, a dziś wpływowa osobistość, zastępca komisarza ludowego.

Twarz pochylonego nieco Topolewa była purpurowa, jego szarożółte wąsy poruszały się, ścisnął kolanami ciężkie ręce o nabrzmiałych żyłach, aby ukryć ich drżenie. Przez kilka minut całą siłą woli hamował wzbierający w nim gniew, po czym wstał powoli, zbliżył się do drzwi i jednym szarpnięciem otworzył je na oścież.

- Wyjdźcie! - krzyknął starzec zdławionym głosem. Olbrzymi, wyprostowany i gniewny - był straszny. - Żeby i śladu tu po was nie było!

Grubski zerwał się z miejsca.

- Co to znaczy, Kuźmo Kuźmiczu? Jak można? - wykrzyknął z przestrachem.

- Precz! - krzyknął starzec piorunującym głosem. - Nie doprowadzajcie mnie do ostateczności, bo nie ręczę za całość waszej osoby!

Były naczelny inżynier skurczył się, wciągnął głowę w ramiona i przeszedł obok starca nawet nie spojrzawszy na niego.

- Zakarbujcie to sobie na nosie, były przyjacielu. Srebrna przyjaźń z inżynierem Topolewem skończona! - krzyczał za nim z wściekłością Topolew. - W waszych podłych intrygach i domowych spiskach nie będę brał udziału. Zapomnijcie nawet, gdzie mieszkam.

Z hałasem zatrzasnął drzwi za gościem i zaczął ciężko chodzić po pokoju.

- Łajdak! Sprzymierzeńca we mnie znalazł! Widzisz go, namawia do czynnych wystąpień.

Zza drzwi dobiegł go szmer i ściszone słowa. Kuźma Kuźmicz podszedł ku drzwiom.

- Jest chory i czymś zdenerwowany - tłumaczyła jakby w poczuciu własnej winy Maria Iwanowna.

- Zgłupiał i zniedołężniał, nadaje się tylko na klej i na mydło - zasyczał zirytowany Grubski.

- Jeszcze zobaczymy, do czego nadaje się Topolew! - krzyknął stary, lecz gość już go nie usłyszał. Szczęknęły zasuwy drzwi zamkniętych przez Marię Iwanownę i dom, którego spokój zmąciła nieoczekiwana wizyta, znów pogrążył się w ciszy.

Topolew wciąż chodził tam i z powrotem założywszy ręce do tyłu i mruczał pod nosem. Powoli uspokoił się. Nagle wzrok jego padł na butelkę wina przyniesioną przez Grubskiego. Podniósł ją i parsknął śmiechem. Gniew go opuścił. Czuł się tak, jak gdyby dokonał trudnego lecz dobrego dzieła.

- Doprawdy, za to można nawet wypić - uśmiechnął się. Napełnił kieliszek gęstym, purpurowym winem, upił trochę i starannie otarł wąsy. - Niezłe lekarstwo, na pewno pójdzie choremu na zdrowie.

Potem długo stał i patrzył w ciemne, przyprószone śniegiem okno. Wreszcie usiadł przy biurku i aż do świtu nie odrywał się od obliczeń i raportu o swoim projekcie zrobienia przekopu w cieśninie metodą wybuchów.

7. W domku pod śniegiem

Brakło już sił do walki z burzą i Beridze przestał wierzyć w ocalenie. Jedynie myśl o Aleksieju i jakaś uparta pasja popychały go do działania i nieustawania w walce. Brnął chwiejąc się i padając, a za nim jak cień wlókł się Kowszow.

Ratunek przyszedł nieoczekiwanie - w postaci człowieka, jakby podmuchem wiatru wywianego z nieprzeniknionej zasłony śnieżnej. Ujrzeli go dopiero wtedy, kiedy wielki, straszny, rzężący - stanął tuż przed Beridzem. Aleksiej obawiając się napaści - rzucił się na ratunek towarzysza. Nieznajomy jednak nie zaatakował Beridzego, tylko krzyczał coś do Gieorgija Dawydowicza i Aleksiej zrozumiał, że człowiek ten pragnie ich dobra.

Teraz szli dalej gęsiego - na przedzie nieznajomy, a za nim Beridze z Aleksiejem. Nagle nieznajomy przystanął, porozmawiał o czymś z Beridzem, wykręcił się na nartach w lewo i zniknął. Gieorgij dotknąwszy twarzy Aleksieja swoją zamarzłą na lód brodą, zawołał:

- Mieliśmy szczęście, Alosza! Spotkaliśmy doświadczonego człowieka, rybaka, władcę zamieci. Usłyszał strzały! Usłyszał strzały, mówię. Zapewnia, że usłyszał je w tym piekle. Obiecuje nas wyprowadzić.

- Przecież zniknął ten twój władca zamieci.

- Nie zniknął, tylko szuka zacisznej drogi. Szuka, powiadam, spokojnej drogi. Wiatr wieje strefami. Prawdziwa róża wiatrów, róża wiatrów, mówię!

Aleksiej próbował zapytać, czy daleko do rybackiego osiedla, ale gdy otworzył usta, zachłysnął się wiatrem.

Rybak wyrósł obok nich równie nieoczekiwanie jak poprzednio. Nie zatrzymując się minął ich i poszedł w przeciwnym kierunku.

- Nie znajdzie on tej swojej bajecznej drogi - zwątpił Kowszow.

- Znajdzie! Teraz widocznie przecina kierunek wiatru.

Rybak rzeczywiście odnalazł drogę. Idąc za nim inżynierowie stoczyli się w jakąś kotlinę. Na prawo i na lewo do wysokości dwukrotnie przekraczającej wzrost człowieka wznosiły się zaspy śnieżne. W górze szalała zamieć, ale tu śnieg padał powoli i wiatr wiał stosunkowo spokojnie. Usypany przez burzę wąwóz biegł nie prosto, lecz zygzakiem. Rybak prowadził ich tu tak pewnie, jak po ubitej ścieżce.

Niebawem narciarze natknęli się na ognisko, płonące jasno na dnie śnieżnego jaru. Grzejący się przy nim ludzie odsunęli się w milczeniu, aby zrobić miejsce przybyszom. Beridze i Kowszow rozgrzawszy ręce naciągnęli na siebie śpiwory i przysunęli się do samego ognia.

- Wyratowaliście nas z biedy, drogi towarzyszu. Serdecznie dziękujemy, nigdy wam tego nie zapomnimy! - dziękował rybakowi Beridze.

Aleksiej z ciekawością przyglądał się ludziom. Surowi i milczący w olbrzymich kożuchach przypominali furmanów. Ten, który wyprowadził ich z burzy, gospodarzył przy ognisku. - Widocznie był tu starszym. Otuliwszy się w kożuch przysiadł i ponad ogniem spojrzał na Beridzego. W czerwonych refleksach

ogniska twarz nieznajomego wydała się Aleksiejowi niezwykle urodziwa. Rybak miał śmiałe spojrzenie, prosty i cienki nos, oraz podbródek wyraźnie zarysowany, zdradzający stanowczość. Uśmiechał się szeroko, jakby wszyscy oni siedzieli nie na mrozie, lecz w ciepłej izbie.

- On zawsze u nas ratuje kogoś. Nawet premię raz za to dostał! - powiedział ktoś z uśmieszkiem - pozostali również się zaśmiali.

- To prawda, zdarzył mi się taki wypadek. Przed pięciu laty, tak samo zimą, znalazłem na Adunie dwóch zamarzniętych ludzi. Jeden był buchalterem, drugi kasjerem czy coś takiego. Osiem kilometrów taszczyłem ich na sobie, jednego po drugim. No i dali mi wtedy premię: podejrzewali, że to ja ich wykończyłem. Dwa tygodnie przesiedziałem w areszcie, zanim rozpatrzyli sprawę. Od tego czasu przyjaciele pokpiwają sobie ze mnie.

Rybak opowiadał o tym spokojnie, żartując sam z siebie. Jego głos podobał się Aleksiejowi: był miękki i brzmiał silnym basem. - „Z pewnością dobrze śpiewa” - pomyślał Aleksiej. Beridze, słuchając opowiadania rybaka, śmiał się, aż mu podrygiwała wystająca ze śpiwora broda.

- Dobrze, że znaleźliście nas jeszcze żywych! Powtórzyłaby się wówczas Poprzednia historia z premią! - powiedział.

Rybak spoważniał. Spojrzał uważnie po wszystkich.

- A jednak od tego czasu mam jakby jakąś słabość. Nie mogę usiedzieć w domu w niepogodę. Wciąż mi się wydaje, że na Adunie ginie jakieś ludzkie życie. Przecież bez doświadczenia trudno wyjść z takich opałów... I powiedzcie, jakie mam szczęście: co roku bezwarunkowo muszę się natknąć na kogoś.

- I dziś tak samo - odezwały się głosy przy ognisku. - Zaczął nasłuchiwać. Nagle skoczył: „Ktoś strzela...” Śmiejemy się z niego, a on krzyczy ze złością: „Tam giną ludzie, a my siedzimy!” No i widzicie, nie na próżno się niepokoił.

Beridze, który już zdążył nabrać sił, prowadził z rybakami ożywioną rozmowę. Chętnie dzielili się swymi troskami. Połów w Dolnej Sazance był wciąż marny, ryb mało, poziom wody zbyt wysoki. Teraz ryby są. Wybrali się na naradę do rejonu, ale zatrzymała ich burza i teraz na pewno spóźnią się. Starając się ze wszystkiego wyciągnąć korzyści, Beridze zaczął również ich wypytywać, jak szeroko wylewa Adun w tych okolicach. Potem zaczął opowiadać o budowie rurociągu i o tym, że trasa została przeniesiona z prawego brzegu na lewy.

Ogrzawszy się w śpiworze Aleksiej niespostrzeżenie zdrzemnął się podczas rozmowy. Jakiś czas słyszał jeszcze głosy, potem wszystko rozpłynęło się, ogarnął go sen. Nie wiedział, czy upłynęła godzina, czy tylko kilka minut, gdy obudził go okrzyk Beridzego. Aleksiej mógł spać przy każdym hałasie, lecz jeśli zwracano się do niego, budził się od razu.

- Aleksiej, spójrz no, kto jest naszym wybawicielem! - głośno i z podnieceniem mówił Beridze podniósłszy się. - Przecież to Karpow, współautor lewobrzeżnego projektu! Rozmawiamy sobie, rozmawiamy, aż wyjaśniło się. Od razu jakoś wyczuwałem z rozmowy, że mam przed sobą osobliwego rybaka! To budowniczy, a nie rybak! Słyszeliśmy o was wiele dobrego, drogi towarzyszu. Szukał was Załkind, wysłał list. Powinniście, a nawet obowiązani jesteście wrócić na budowę!

- List otrzymałem, dziękuję za dobre słowo. I wasz kierownik Batmanow wpadł przedwczoraj do Dolnej Sazanki. On także rozmawiał ze mną. Dziękuję za zaproszenie, tylko że ja nie mogę iść na budowę. Ja odpowiadam za kołchoz, łowimy tu ryby.

Karpow powiedział to ze spuszczonymi oczami, przygnębionym głosem. Aleksiej zrozumiał, że jest wytrącony z równowagi: propozycja Batmanowa, list Załkinda i dzisiejsze spotkanie wywołały w nim rozterkę. Towarzyszom Karpowa nie podobał się taki obrót rozmowy; wszczęli hałas:

- Nie kuście go, towarzyszu inżynierze, nie kuście!

- I tak już chodzi nieswój, odkąd dowiedział się, że budowa poszła innym torem.

- My w kołchozie też nie gramy w warcaby. Front potrzebuje ryb! Karpow jest naszym przewodniczącym i duszą roboty. Ludzie szanują go. Nie możemy być bez niego. Jeżeli odejdzie, nigdy mu tego nie darujemy.

Rybacy umilkli, jakby czekali na odpowiedź. Beridze wsłuchał się w cichnący szum wiatru. Wydobywszy na zewnątrz ręce zaczął wydostawać się ze śpiwora.

- Wychodź na biały świat, Alosza, pójdziemy. Burza ucichała. Powiadają, że do osiedla jest siedem kilometrów, to szybko machniemy.

- Nie puszczę was, nie można - stanowczo sprzeciwił się Karpow. - Wiatr wkrótce znowu zacznie dąć i tym razem na długo. Zginiecie i będziemy musieli wziąć ten grzech na siebie.

- Przecież, jak widzę, sami wybieracie się w drogę - powiedział Beridze.

Zwinąwszy śpiwór, umocowywał go sobie na plecach. Aleksiej również zaczął się przygotowywać do drogi.

- My to co innego! Adun to dla nas dom.

- A cóż to radzicie nam cały tydzień siedzieć przy ognisku? Nam czas jest drogi.

- Nie musicie siedzieć przy ognisku! Zaprowadzę was w lepsze miejsce. Niedaleko stąd stoi wasz traktor z domkiem na płozach. Tam sobie przeczekacie niepogodę.

Pożegnawszy się z rybakami inżynierowie w ślad za szybko posuwającym się na nartach Karpowem ruszyli ku rzece.

Karpow doprowadził ich do „ślimaka”. Trudno zrozumieć, jak odnalazł ten domek zagubiony niczym ziarnko piasku wśród śnieżnego oceanu. Traktor i domek-przyczepkę zupełnie zawiało śniegiem. Ktoś, prawdopodobnie traktorzysta, krzątał się obok usiłując łopatą odgarnąć śnieg.

- Stój! Kto tam? - rozległ się donośny i dobrze znany Aleksiejowi głos.

- Swoi - powiedział pojednawczo Karpow. - Przyjmij gości.

Przez tunel w śniegu jak do podziemia weszli do środka „ślimaka”. W tej małej klitce były dwa miejsca do spania, jedno nad drugim, stał też warsztat, stolik, dwa stołki i skrzynie z narzędziami. Dużo miejsca zajmowało nagromadzone wszędzie drzewo i węgiel. Dwoje ludzi z trudem się tu mieściło, a teraz weszły od razu cztery osoby.

Nad warsztatem wisiała lampa naftowa. Jej kopcący języczek wydawał się po przyjściu z ciemności oślepiająco jasny. Pośrodku izdebki w rozżarzonym okrągłym piecyku żelaznym huczał ogień. Beridze ujrzawszy światło i piecyk wydał okrzyk radości, przecisnął się ku pryczom i zaczął szybko zrzucać z siebie plecak, kożuszek, czapkę i filcowe buty.

- Bierz ze mnie przykład - radził Aleksiejowi.

Traktorzysta, z początku zaskoczony nieoczekiwanym zjawieniem się gości, dopiero teraz ich poznał i zakrzątnął się, aby im pomóc w zdjęciu odzieży i urządzeniu się.

- Nie poznaliście mnie, towarzyszu Kowszow? Jestem Silin, pamiętacie? Wyprawiliście mnie z Filimonowem ze Startu. Ugrzązłem tu, nie dojechawszy do cieśniny. Najpierw miałem uszkodzenie, a potem od razu ta zamieć! Dopóki jej nie było, jechałem dobrze. Przyczepki z ładunkiem dowiozłem szczęśliwie, po drodze pomagałem maszynom w biedzie, oczyszczałem drogę. Miałem nadzieję, że wnet doczołgam się do cieśniny, aż tu masz - ani w tył, ani naprzód! Siedź i kurz fajkę.

- Trudno w was poznać Silina. Pożegnałem młodego chłopaka, a spotkałem rudobrodego dziada - żartował Aleksiej. - Tylko głos pozostał dawny. Przypominacie teraz rozbójnika morskiego.

Silinowi rzeczywiście urosły gęste, rude bokobrody, był podobny do skandynawskiego marynarza. Tak samo jak Smorczkow, Silin wziął na siebie niezwykłe trudne zobowiązanie. Aleksiej z uznaniem patrzył na traktorzystę, który zdołał tak daleko posunąć się na drodze do cieśniny.

- Pomocnika swego wysłałem na bazę do Szmielowa, żeby nam stary pomógł wygrzebać się jakoś z tych zasp. Ja mu też pomagałem, dwa dni poprawiałem drogę do bazy. Teraz przyszła kolej na niego. Boję się tylko, że mój posłaniec zabłądził - utyskiwał Silin, zadowolony, że może się wygadać.

- Powiem ci, żeś niepotrzebnie wysłał swego pomocnika. Zawieja znowu się rozpęta i twój towarzysz może łatwo zginąć - odezwał się pouczającym tonem Karpow. Stał zasłaniając sobą drzwi i z ożywieniem i ciekawością rozglądał się po mieszkaniu traktorzysty. - Uważam też, iż niepotrzebnie rzucasz się teraz z łopatą na śnieg. Daremny trud! Miej cierpliwość, przeczekaj, aż przestanie wiać, wtedy się odkopiesz. Tylko na jedno teraz zwróć uwagę: żeby wyjścia nie zaniosło.

Silin puścił mimo uszu rady rybaka i spojrzał na niego z niechęcią. Beridze już rozebrany siedział na taborecie przy piecu i wyjmował z plecaka jedzenie.

- Nie patrzcie na niego tak podejrzliwie - powiedział do Silina. - Gdyby nie ten towarzysz, męczylibyśmy się już z Kowszowem w raju. Posadźcie go lepiej na honorowym miejscu i ugośćcie. Chcecie gorącej herbaty, Karpow? Zaraz zrobimy!

- Niewielki ze mnie amator herbaty. Zresztą i czasu na to nie ma, chłopcy na mnie czekają. Może, towarzyszu inżynierze, znajdzie się u was coś chłodniejszego?

- Coś gorętszego! - poprawił Beridze. - Mam, mój drogi. Właśnie ten gatunek herbaty miałem na myśli.

Wydobył z plecaka dużą manierkę ze spirytusem. Na jej widok wszyscy wyszczerzyli w uśmiechu zęby nie wyłączając Aleksieja, który w kącie rozcierał sobie twarz rękami.

Karpow zdjął czapkę, przygładził czarne włosy i ostrożnie wziął podaną przez Beridzego srebrną czarkę. Wychyliwszy spirytus, głośno chuchnął i odmówił przyjęcia zakąski:

- Przegryzę rękawicą. - I otarłszy usta rękawicą dodał: - W ten sposób prędzej się rozejdzie po żyłach!...

Znowu włożył czapkę, ale nie odchodził. Widać nie bardzo mu się chciało zamieniać ciepły kąt na tułaczkę wśród zamieci.

- Więc jakże będzie, Karpow? Kiedy przyjdziecie? - zapytał Beridze poważnie, nie spuszczając badawczych oczu z energicznej twarzy rybaka.

Karpow odwrócił się i odpowiedział dopiero po chwili:

- Nie takie to dla mnie łatwe - odejść... Tak po prostu – wziąć i pójść - to nie uchodzi. Postępując w ten sposób już dawno wojowałbym na froncie.

- Jakoś wszystko to załatwimy, niepotrzebnie się niepokoicie. W ostatecznym razie damy kołchozowi innego człowieka. Załkind to zrobi - kusił Beridze. Karpow przypadł mu do serca.

- A ja powtarzam - to nie takie proste. - Karpow odwrócił się do Beridzego, w głosie jego zabrzmiała nuta wymówki: - Mój los jest mocno związany z kołchozem, głęboko zapuściłem korzenie. Rodzina - żona, dwie dziewczynki, ojciec-staruszek. Mężczyzn w kołchozie mało, a plan wielki. I ludzie są do mnie przywiązani, nikt mi nie wybaczy, jeżeli od nich odejdę - ani towarzysze, ani rodzina. Słyszałeś jak się koledzy obruszyli, kiedy przy ognisku zacząłeś o tym mówić?

Aleksiejowi zrobiło się żal Karpowa i już postanowił zwrócić uwagę Gieorgija Dawydowicza na coś innego, ale on sam zrozumiał, że rybakowi jest ciężko prowadzić tę rozmowę i umilkł. Karpow pożegnał się, pokłonił się prawie do ziemi i wyszedł.

Silin szczodrze podkładał węgiel do piecyka. Apetycznie zapachniało smażone mięso - rozgrzały się postawione na blasze konserwy.

- No, to siadajmy! - wesoło zaproponował Beridze.

Zapomniawszy jakby o Karpowie częstował serdecznie towarzyszy przygotowaną naprędce kolacją. Wszyscy trzej wypili po szklaneczce spirytusu, tylko Aleksiej przez długą chwilę nie mógł się zdobyć na odwagę, aby przełknąć palący jak ogień napój. Przegryzali rozgrzanymi konserwami i smażoną rybą, którą przed zamiecią złapał w przerębli pomocnik Silina.

- Cóż ty, Aleksieju Nikołajewiczu, spoglądasz na drzwi? - zapytał Beridze widząc, że Kowszow wciąż odrywa się od jedzenia.

- Nie mogę przestać myśleć o Karpowie - powiedział niechętnie Aleksiej. - Dziwne to jednak: spotkaliśmy dobrego człowieka, wyświadczył nam wielką usługę, największą chyba, jaką towarzysz może okazać towarzyszowi w nieszczęściu. Przecież przyprowadził nas prawie z tamtego świata! I oto odszedł tak po prostu i zwyczajnie. Poszedł nie wiadomo dokąd, może go już nigdy nie spotkamy!... A myśmy od razu o nim zapomnieli.

- Dlaczego zapomnieli? Zapewniam cię, że Karpow przyjdzie do nas na budowę - odezwał się Beridze, który po swojemu zrozumiał słowa Aleksieja.

Silin także inaczej zrozumiał Kowszowa.

- U nas tutaj ludzie każdej chwili są gotowi do poratowania człowieka w nieszczęściu: bez przyjacielskiej pomocy i praca by nie poszła, i sam byś zginął. Ludzi tu mało, a przyroda wymaga od człowieka czujności. Ten rybak zrobił, co do niego należało, i poszedł sobie. To zwykła rzecz. On wie, że gdyby jemu samemu przydarzyło się nieszczęście - towarzysze nie pozostawią go bez pomocy. I ja na przykład także wiem, że Szmielow nie odmówi mi pomocy. - Poruszył się niespokojnie. - W Nowińsku, towarzyszu Kowszow, powiedzieliście mi: „Jeżeli dojdziesz do cieśniny, możesz uważać, żeś ustanowił rekord. Nie było jeszcze wypadku, żeby traktor w zimie i na bezdrożach pokonał taką przestrzeń”. I ja omal nie zachorowałem, kiedy mnie zatrzymało uszkodzenie traktora i zamieć. Masz ci, myślę sobie, rekord! Ale możecie być pewni, że dolezę do cieśniny!

- Wcale nie wątpię! - powiedział Aleksiej.

- Bierzcie się, przyjaciele, do jedzenia - zachęcał Beridze trzymając na ostrzu noża kawałek mięsa i energicznie pracując szczękami.

Po kolacji inżynierowie ułożyli się do snu. Beridze na dolnej półce, Aleksiej nad nim. Silin toczył coś i dopasowywał na warsztacie, wypytując jednocześnie głównego inżyniera o nowiny z frontu. Wiadomości były nie pocieszające i Silin nie krępując się, ciężko wzdychał, jak gdyby się krztusił.

- Dopóki pracuje się ze wszystkich sił, to można wytrzymać - mówił. - Ale jak się zatrzymasz, zrobisz przerwę, zaraz na duszy robi się ciężko i męczy sumienie: „Siedzisz sobie s... synu, a Niemiec prze na Moskwę”. Wszyscy moi krewni poszli na front. Pracowałem przedtem w przemyśle drzewnym, woziłem traktorem drzewo. Pewnego razu wezwali mnie. Ucieszyłem się. Myślę sobie: uwzględnili moje podanie, pojadę teraz na front; zamienię traktor na czołg. Jednak postanowili inaczej. Skierowali mnie tutaj; żona moja też jest traktorzystką, została na dawnym miejscu. Chcę się was poradzić, towarzyszu Beridze. Aleksiejowi Nikołajewiczowi już mówiłem. Mam pewną myśl, która nie daje mi spokoju...

Kowszow osłabły z gorąca leżał na górnej półce. Jego wysmagana wiatrem i śniegiem twarz płonęła. Oczy kłuły od światła, ale spać mu się nie chciało. Nad kruchym domkiem, tuż nad głową, wyła na różne tony zamieć, jak gdyby gdzieś obok zwarły się dwa olbrzymie szarpiące się nawzajem potwory. Silin z przejęciem opowiadał, że mają z żoną oszczędności, że są młodzi i bezdzietni, postanowił więc kupić z własnych pieniędzy czołg i udać się nim na front wraz z żoną. Tu zapewne tej sprawy nie będzie można rozstrzygnąć. Ale gdyby tak napisać do towarzysza Stalina?

- Ja radzę inaczej - odezwał się Beridze; z tonu jego głosu, z jego szczególnej serdeczności i miękkości poznał Aleksiej, że Silin zadziwił i wzruszył Gieorgija Dawydowicza. - Budowy porzucać nie trzeba. A czołg kupcie. To szlachetna myśl, każdy wam przyzna. - Beridze milczał chwilę, pykając fajeczkę, w której coś potrzaskiwało.

- Sam nie wiem, jak lepiej - westchnął Silin.

- Radzę wam jako towarzysz, nie jako naczelny inżynier, w którego interesie leży zatrzymanie dobrego traktorzysty. A co będzie, jeżeli towarzysz Stalin odpowie: źle obmyśliliście, powinniście budować rurociąg! Chyba nie wątpicie w to, że budowa jest także walką i że każdy budowniczy jest tu żołnierzem...

Aleksiej przysłuchiwał się rozmowie, ale myślami był daleko. Od dawana, od najmłodszych lat, lubił poznawać nowe okolice i nowych ludzi. Zaczęło się to od szkolnych lekcji geografii, od czytania podróżniczych książek. Jego wyobrażenie o nie widzianych nigdy miejscach było wówczas czysto pojęciowe i dlatego nierealne. Wydawało mu się zawsze trochę dziwne, że gdzieś, powiedzmy, nad rzeką Wołgą lub nad rzeką Adunem istnieje ktoś niezależnie od niego, Aleksieja Kowszowa, i zajmuje się czymś... Później stało się, że był nad Wołgą, teraz zaś jest nad Adunem - zobaczył na własne oczy te nowe ziemie, przekonał się, że i tu żyją ludzie. Nie sądził oczywiście, że spotka pustkowie. Potwierdzało się właśnie to, co „znał” wyobraźnią i to sprawiało zadowolenie. Odtąd obraz kraju żył w pamięci Aleksieja pełen barw i dźwięków, odtąd wiedział, że tam a tam żyją tacy a tacy ludzie i robią to a to. Chociażby na przykład rybak: odszedł przed chwilą, ale pozostawił po sobie głęboki ślad w duszy, serdeczne uczucie przyjaźni. Teraz Aleksiej wiedział, że nad Adunem żyje i pracuje człowiek silny i odważny - Iwan Łukicz Karpow... I komsomolec Machow... I ten traktorzysta z wędrującym domkiem...

Przymknąwszy piekące oczy Aleksiej segregował w pamięci wrażenia ostatnich dni. Adun - ogromna rzeka rosyjska - przedstawiał mu się teraz w swych żywych, rzeczywistych obrazach. Kraj zaludniało

mnóstwo ludzi, każdy o innej twarzy, postaci, głosie i umiejętności... Teraz łatwo było odtworzyć sobie i przeszłość Adunu i niedaleką przyszłość, związaną chociażby z budową rurociągu. Na odcinku Rogowa przekonał się naocznie o tym, o czym wspominał Beridze: niezliczona ilość świateł budowy po obu brzegach rzeki...

Silin, którego męczyła bezczynność, wziął łopatę i znów poszedł odrzucać śnieg przy wejściu. Beridze leżał na wznak, zarzuciwszy ręce za głowę i uniósłszy twarz tak, że broda sterczała niemal prostopadle; mówił z zadowoleniem:

- Teraz, Alosza, jesteśmy mocni. Ludzie są za nami, za lewym brzegiem! I robotnicy na odcinkach, i rybak Karpow, i Nanajczycy - wszyscy są za nami. Słyszałeś, co powiedział mi Silin: „Teraz już trasy w żaden sposób nie można przenieść z powrotem, mocno przyrosła do tego brzegu..." Obaj przekonaliśmy się ostatecznie, że najpoważniejszy zarzut naszych przeciwników o zalewaniu lewego brzegu był wyolbrzymiony. Przeraziwszy się możliwości powodzi przyjęli błędną ocenę w badaniach i w projekcie i oswoiwszy się z tym błędem uczynili go niezaprzeczalnym prawem. Powiedzmy, że raz na dziesięć lat ulega zatopieniu tylko siódmy i ósmy odcinek, ale to nas wcale nie powinno przerażać.

Zatrzymując się na szczegółach, snuł swe myśli o wadach starego i zaletach nowego projektu.

- Widzę, że masz już gotową mowę do wystąpienia w Rubieżańsku - zaśmiał się Aleksiej.

- Tak, gotową. Choćby nas tam władze nawet zwymyślały za samowolne posunięcia, to jednak nie będą mogły nie przyznać nam słuszności! Nas, radzieckich inżynierów, uczono nie bać się ryzyka. Zaryzykowaliśmy - i zgadzamy się ponieść za to odpowiedzialność. Czy słusznie rozumuję, Alosza?

- Słusznie - po chwili odpowiedział Aleksiej. - Teraz należałoby przyśpieszyć nasz powrót do Nowińska i kończyć projekt. Trzeba zupełnie przenieść się z miasta na odcinki... Wiesz, Gieorgij, serce mnie boli, gdy myślę o cieśninie i wyspie! Przecież jeszcześmy tam nawet nie dotarli!

- Ciekawe, czy Batmanow był nad cieśniną. To byłoby dobrze - westchnął Beridze. - Zdaje się, że wysyła tam na razie tylko jednego Pankowa.

Próbowali ustalić, gdzie jest w tej chwili kierownik budowy. Ostatnie wiadomości o nim mieli od Tani Wasilczenko. Batmanow wyprzedzał ich wtedy o dwa dni.

- Oj, ciężko teraz Tatjanie! - powiedział nagle Beridze i tak się poruszył, że drewniany stojak z pryczami skrzypnął. - Szkoda, że poszliśmy od niej, bardzo by się jej przydała nasza pomoc.

- Tania nie jest wychuchaną panieneczką i nie jest sama, lecz z całym zespołem - zaoponował Aleksiej. - Burze śnieżne nie są tu rzadkością. Nie może przecież ciągle liczyć na cudzą opiekę.

- Jestem przekonany, że Tania nie siedzi z założonymi rękami i nie wyczekuje, ale wszystkimi siłami stara się utrzymać łączność. Wyobraź sobie taką sytuację: burza zrywa przewód, Tania zawiesza go ponownie i znów burza zwala drzewa, lecz ona nie poddaje się.. Żeby tylko obeszło się bez ofiar!...

Beridze nie zdążył dokończyć zdania, gdy z zewnątrz rozległ się hałas, cały domek zatrząsł się. Usłyszeli głośne nawoływania Silina.

- Coś się stało! - Gieorgij Dawydowycz zaczął pośpiesznie wciągać filcowe buty.

Otworzyły się drzwi i w obłoku mroźnej mgły Silin z tymże samym Karpowem z trudem wciągnęli bezwładnego człowieka.

- Kogoż ty jeszcze przywlokłeś? - oburzał się traktorzysta, podtrzymując ostrożnie nowego przybysza i rozglądając się, gdzieby go można było ułożyć. - Tu już szpilki nie ma gdzie wetknąć. We trzech ledwo się pomieściliśmy. Hotel sobie znalazł! Kto cię prosił z takim ładunkiem?

- A dokądże teraz pójść? To przecież jedyny punkt mieszkalny na przestrzeni kilku kilometrów wokoło - usprawiedliwiał się Karpow. - Do odcinka waszego daleko, do Sazanki jeszcze dalej. A porzucić go tak nie można. Przecież to człowiek! Usłyszałem krzyk. A gdy go podniosłem i zacząłem ciągnąć, nawet przestał krzyczeć, biedak.

Przekomarzając się położyli ostrożnie zmarzłego człowieka na kożuszku i kaftanie rozesłanym przez Aleksieja na podłodze.

- Spójrz, rękami objął głowę i tak zesztywniał! - wyszeptał Beridze.

Silin nachylił się i zaczął wyprostowywać ręce zamarzniętego. Nagle odskoczył z krzykiem:

- Toż to Fiodor!

Poznał w zamarzniętym swego pomocnika, wysłanego do Szmielowa. Ze zdenerwowania Silin zaczął bezmyślnie go tarmosić lamentując:

- Fiodor, Fiedia! Co z tobą? Co to znaczy? Parszyn, Fiedia!...

- Daj spokój, odejdź! - Aleksiej odsunąwszy go pochylił się nad zamarzniętym.

Beridze, Karpow i Silin stłoczeni jeden obok drugiego nad Fiedią z niepokojem wpatrywali się w jego białą twarz.

- Żyje! - Aleksiej wyprostował się z ulgą i krzyknął: - Karpow, śniegu! Silin, pomóżcie go rozebrać! Gieorgij, dorzuć do pieca i rozpal go do czerwoności!

Po upływie pół godziny Parszyn natarty śniegiem i spirytusem, cały czerwony, przyszedł do siebie. Zawinęli go w trzy kożuchy i przysunęli do pieca. Uradowany do łez Silin chodził koło niego jak koło małego dziecka, niezgrabnie, ale troskliwie poił go gorącą herbatą z blaszanego kubka, usiłował go nakarmić i czule powtarzał, że wszystko będzie w porządku...

- Siemionie Iljiczu - odezwał się słabym głosem Parszyn - Szmielow obiecał przygotować zapasowe części i przysłać... Mówi: pomogę we wszystkim...

Fiedia wkrótce zasnął. Mieszkańcy „ślimaka” uspokoili się. Karpow chciał odejść, ale Silin zatrzymywał go:

- Nie śpiesz się, przeczekaj burzę. Miejsca starczy dla wszystkich. Gdzie zgoda, tam nie jest ciasno. Muszę ci jeszcze serdecznie podziękować. Całe życie będę ci wdzięczny, że uratowałeś mi towarzysza... Również Aleksiejowi Nikołajewiczowi będę wdzięczny do grobu za przywrócenie mu życia...

- Głupstwa opowiadasz - rzekł Karpow. - Twój towarzysz jest i naszym towarzyszem. No, bądźcie zdrowi, dobrej nocy. Więcej już teraz nie będę was niepokoić.

Otulił się kożuchem, pokłonił się i wyszedł w burzę. Silin, posiedziawszy koło śpiącego pomocnika, położył się obok niego. W domku pod śniegiem wszystko ucichło. Słychać było tylko ciężki, przerywany oddech uratowanego traktorzysty, ciche pochrapywanie Silina i przeciągłe wycie burzy nad dachem.

Beridze nie mógł usnąć. Gdy po pewnym czasie podniósł się, aby poprawić kopcący płomyk lampy i podrzucić trochę węgla do pieca, zauważył, że i Kowszow nie śpi. Leżąc na wznak trzymał przed sobą list i wzrokiem błądził gdzieś w przestrzeni... Tyle było smutku w jego twarzy i w zaciśniętych wargach, że Beridze przestraszył się:

- Czy stało się coś, Alosza? Powiedz, przecież jestem twoim przyjacielem.

Aleksiej popatrzył na niego długo i bez słowa podał mu kartkę. Był to list z Moskwy od matki Ziny. Gieorgij Dawydowicz wróciwszy na swoje miejsce zaczął czytać. Stara kobieta, pełna niepokoju o los córki, jak gdyby rozmawiała o niej z człowiekiem, który - wiedziała o tym dobrze - kochał Zinę tak samo gorąco, jak ona jego.

„...Odwiedzają mnie jej przyjaciółki, które pozostały w Moskwie. Otrzymuję również listy i od dziewcząt ewakuowanych. Są chwile, kiedy mi przychodzą do głowy złe myśli: przecież i moja Zina mogłaby być tutaj albo znajdować się na dalekim zapleczu. Ale w rzeczywistości nie chcę dla Ziny innego losu. Sama go sobie wybrała. Nie potrzebuję ci mówić, jaka jest dumna i odważna. Taka już jest i może właśnie dobrze, że nie jest inna. Byleby tylko moja jedyna pozostała przy życiu!

Chcę ci opisać, jak posprzeczałyśmy się z nią w przeddzień wyjazdu. Stało się to po pewnej wyjątkowo ciężkiej nocy. Ciebie już wtedy nie było od tygodnia. Wróciła o świcie z dyżuru, w chwilę po odwołaniu alarmu. Przez całą noc bardzo się niepokoiłam, nerwy odmówiły mi posłuszeństwa; gdy weszła, zaczęłam na nią krzyczeć. Robiłam jej wymówki, że pcha się w samo piekło i nie schodzi do schronu nawet wówczas, gdy nocuje w domu. A ona na to: „Nie chcę chować się w schronie i drżeć tam jak parszywy pies. Byłby to zbyt wielki zaszczyt dla faszystów - gdybym musiała chować się przed nimi do piwnicy”.

Nie dając za wygraną ciągnęłam dalej: „Gdybyś chciała, wyjechałabyś z instytutem na zaplecze, gdzie nie ma bombardowań i jest bezpiecznie. I teraz jeszcze nie jest za późno, można powiedzieć, że jesteś chora albo wymyślić co innego”. Jakże nasza ślicznotka rozgniewała się na mnie! „Zamilcz! - krzyknęła. - Wstydzę się za ciebie, uczysz mnie małoduszności. Alosza na froncie, a ja, według ciebie, powinnam ratować własną skórę?” A potem zawahawszy się powiedziała: „Ogłoszono rozkaz, zgłosiłam się i jutro rano również wyjeżdżam na front. Powiem ci uczciwie, że sama postarałam się o to przez Komitet Rejonowy”. Wtedy ostatecznie ją zrozumiałam i pobłogosławiłam...

Aleksieju, mój kochany, chciałabym ci wiele opowiedzieć. Chciałabym ci napisać coś weselszego, ale gdzież tu teraz zdobyć coś radosnego i wesołego? A może to, co napisałam o Zinie, już ci kiedyś opowiadałam? Wybacz - ja wciąż na nowo wszystko przeżywam. Prosiła mnie, abym ci powiedziała, żebyś o niej myślał, wówczas jej będzie lepiej i lżej. I ona zawsze będzie myśleć o tobie, zawsze! Powiedziała: powiedz mu, że ja wierzę, że czas naszej miłości jest przed nami...”

Beridze wzruszył się listem. Przycisnąwszy do twarzy zmięte kartki szeptał przez zaciśnięte zęby:

- Drodzy nasi.. Za wszystkie męki... za wasze łzy i krzywdy... spadnie na nich zasłużona kara!

Długo leżał myśląc o Zinie i Aleksieju, o ich miłości pełnej słońca, która nagle zjawiła się przed nim tutaj, wśród nocy i śniegu. Od myśli o Zinie, którą znał tylko z fotografii, zwrócił się ku Tani i poczuł, jak wzbiera w nim duma, oto dziewczyna podobnie jak Zina znalazła w sobie wielką siłę i męstwo. Wstał, aby podzielić się tymi myślami z Aleksiejem, ale ten spał mocno, zwiesiwszy bezwładnie rękę - zmęczenie wreszcie go zmogło. Beridze podniósł rękę Aleksieja, odgarnął mu włosy z czoła, poprawił opadającą kurtkę i przez długą chwilę stał wpatrzony w śpiącego przyjaciela.

8. O rytmie życia

Obudziwszy się wcześnie - zwykle budzą się tak ludzie starzy - Kuźma Kuźmicz Topolew przysłuchuje się odgłosom rodzącego się dnia. Gdzieś zapiał kogut. W domu za ścianą dźwięcznie szczebiocze czteroletnie dziecko, osierocony wnuk gospodyni, przywieziony niedawno z dalekiej, męczeńskiej Ukrainy. W mieście zahuczały syreny fabryczne. Głosy ich stopniowo zlewają się w jeden potężny ryk, wstrząsający szybami. Ozdobione szronem kwadraty okien przejaśniają się: z ciemnogranatowych stają się liliowe, potem błękitne, a w końcu różowe. W porannym półmroku coraz jaśniej i wyraziściej zarysowują się znajome przedmioty w pokoju.

Nowonarodzony dzień jest zawsze piękny: gdy jest słońce - wszystko dokoła lśni, gdy pada deszcz - jest szczególnie świeżo i czysto. Latem - pachnie kwiatami, miodem, sianem i mlekiem; zimą - mróz swawolnie szczypie policzki i nos. Zdrowego człowieka zawsze raduje przebudzenie przyrody o brzasku.

Kuźma Kuźmicz zawsze lubił te słodkie chwile wczesnego ranka. Podobały mu się także dlatego, że były inne od reszty dnia z jego pośpiechem, troskami i niepokojem. W rannych chwilach nie chciało się o niczym myśleć, nic nie wywoływało niepokoju. Co dzień z uczuciem podobnym do zdziwienia Kuźma Kuźmicz przechodził od tego niezmąconego spokoju do gwarnych godzin pracy.

Dawniej Kuźma Kuźmicz za przykładem swego siostrzeńca Wołodi i w tajemnicy przed nim gimnastykował się z rana, „aby ciało i dusza były młode”. Podpatrzywszy ćwiczenia Wołodi powtarzał je dość zręcznie: przysiadał i wstawał, wykonywał rękami to gwałtowne, to znów płynne ruchy, ciężko „biegał” w miejscu i boksował się z niewidzialnym przeciwnikiem, postękując zmęczony wymachiwaniem rękami. Czując, jak w żyłach rozlewa się rozgrzana krew, maszerował po pokoju i mruczał ulubiony wiersz Wołodi: „Kroczę piękny, dwudziestodwuletni...”

Teraz już nie uprawia gimnastyki - chyba od czasu rozstania z Wołodią. Siostrzeniec po ukończeniu akademii wojskowej wyjechał do wojska na zachodnią granicę, a on - zupełnie teraz samotny - znalazł się na Dalekim Wschodzie. Od tej właśnie pory coś się w nim załamało. Widocznie siostrzeniec był dla niego tym bodźcem, pobudzającym energię, którego potrzebuje każdy człowiek wkraczający w smutny okres starości. Wołodia wyjechał, a zamiast niego zjawił się obok Grubski, straszliwa w swej zarozumiałości istota o metafizycznym sposobie myślenia.

Dziś Kuźma Kuźmicz jest obojętny na wszystko. Za oknami piękny ranek, lecz starcowi nie chce się spojrzeć w okno, żeby się o tym przekonać. Cisza pokoju i bezczynność już mu obrzydły, domowy spokój budzi w nim niesmak. Nasycił się już słodyczą niezmąconych porannych chwil. Jest mu teraz potrzebna praca z jej gwarem, zgiełkiem, z takimi niespokojnymi ludźmi, jak Aleksiej Kowszow, Beridze. Batmanow. A on tymczasem zażywa błogiego wypoczynku w ciepłym pokoju i leczy się proszkami.

Postękując wstaje z łóżka. Spojrzenie jego pada na teczkę, w której leży jego memoriał - projekt robienia przekopu metodą wybuchów. Skończył go przedwczoraj i starannie przepisał dwukrotnie jak uczeń zakochany w swym nauczycielu. Teraz ubierając się odwraca się od teczki. Widocznie nie ma nic nadzwyczajnego w jego memoriale, skoro nauczyciel nie śpieszy się, aby go przejrzeć i postawić ocenę.

Trzeba umyć się i ogolić, ale mu brak ochoty. Marszczy czoło i bacznie patrzy w lustro: nie podoba mu się własna twarz, jakby była nowym nieudanym sprawunkiem, do którego się zniechęcił, gdy tylko przyniósł go do domu. Na czole głębokie zmarszczki - ślady, które wyżłobiło życie. Oczy wyblakłe,

prawie wodniste. Żółtozielonkawych wąsów już nie można domyć, tak są nasycone tabaką. Twarz chuda, a jednocześnie nalana, zwiotczała, nie staje się młodsza nawet po śnie i ogoleniu.

„Jak to się mówi? - wzdycha Topolew. - To się mówi: starość nie radość”.

Dostrzega Marię Iwanownę: kobieta spogląda na niego badawczo przez uchylone drzwi. Kuźma Kuźmicz wita ją chłodno i odwraca się. Razi go teraz jej czuła troskliwość.

- Będziecie się golić? - pyta gospodyni; ona wie, że powinien się ogolić. - Zaraz przyniosę gorącej wody. A potem śniadanie. Nasmażyłam świeżych rybek i mam coś jeszcze do nich. Jakiś dobry człowiek przysłał nam wspaniałą paczkę.

Stary nie odzywa się, chociaż dziwi go wiadomość o paczce. Maria Iwanowna zbliża się, ogląda go i kiwa głową:

- Ależ kiepsko wyglądacie, Kuźmo Kuźmiczu! Trzeba by wam jeszcze poleżeć, dopóki nie wrócicie do zdrowia... A z zarządu ledwo świt przysłali umyślnego z listem. On właśnie paczkę przyniósł. Z paczki ucieszyłam się, ale listu nawet wziąć nie chciałam: „Dajcie, powiadam, spokojnie pochorować człowiekowi”.

Nie spodziewała się zupełnie, że słowa jej wywołają taką reakcję ze strony lokatora: Topolew od razu odżył, zerwał się i podbiegł ku niej:

- Dlaczego nic nie mówiliście? Gdzie list? Od kogo?

Maria Iwanowna poszperała w kieszeniach bluzki i wydobyła złożoną we dwoje kopertę, w której była kartka od Załkinda.

„Dzień dobry, Kuźmo Kuźmiczu! Zgodnie z przyrzeczeniem donoszę wam, że Aleksiej i Beridze wrócili, obaj żywi i zdrowi. Batmanow również jest w domu, przyleciał o całą dobę wcześniej od nich. Jak się czujecie? Jeżeli nie jesteście zupełnie zdrowi, lepiej na razie nie wychodźcie: pod wieczór przyślę wam Aleksieja do domu. Wracajcie do zdrowia, Kuźmo Kuźmiczu. Czy nie potrzebujecie czego? Powiedzcie, nie krępujcie się. Szanujący was Załkind”.

Kuźma Kuźmicz zaczął biegać po pokoju i krzątać się nie zdając sobie sprawy, gdzie i po co się śpieszy.

- Patrzcie ją, z listu nie rada! A list do kogo adresowany? - gderał.- Wody gorącej, szybciej, Mario Iwanowno!

Gospodyni naprzód z lękiem, później już z uśmiechem spoglądała na to nieoczekiwane, ale miłe starcze zamieszanie.

- Przyniosę wody. Tylko czy nie macie czasem zamiaru iść do zarządu? Nie puszczę! Olga Fiodorowna kazała wam leżeć.

- Wody gorącej! Prędko! - wesoło pokrzykiwał Topolew. - Co mi tam wasza Olga Fiodorowna, kiedy są ważniejsi lekarze....

Ogolił się w ciągu trzech minut, umył się bez zwykłego marudzenia i wytarł twarz wodą kolońską. Uśmiechnął się stwierdziwszy, że twarz jednak odmłodniała. Odsunął obfite śniadanie - smażoną rybę, śmietankowe masło i kawę - i młodzieńczym krokiem zbiegł z ganku pozostawiając zdumioną Marię Iwanownę. Teraz dopiero ujrzał, że ranek był rzeczywiście wspaniały. Po szalonej burzy wszystko w przyrodzie ucichło. Jednostajny, świeży śnieg zaściełał ulice. Pokryte szronem gałęzie drzew lśniły w promieniach słońca jak cudne, delikatne wyroby z porcelany. Proste słupy białego dymu stały nad dachami domów, jak gdyby nieruchome.

Starzec szedł raźnie, po kolana, a czasami po pas w śniegu, chciwie chłonąc pachnące arbuzami chłodne powietrze.

Kowszow i Beridze zjawili się nocą. Drogę powrotną odbyli samolotem i zmarzli na kość. Gdy weszli do zarządu, od razu powstało zamieszanie. Zbiegli się ludzie. Można było pomyśleć, że czatowali na przybyłych. Dyżurny nie zważając na słabe protesty Beridzego zatelefonował do Batmanowi do domu: kierownik budowy polecił, by mu natychmiast dano znać, gdy tylko Beridze i Kowszow powrócą.

- Jak się macie, straceńcy! - rozległ się jego zaspany, ale wyraźnie zadowolony głos, wywołując uśmiech Gieorgija Dawydowicza. - Miałem już zamiar wysłać ekspedycję ratunkową. Dzwoniłem i depeszowałem na wszystkie strony. Nic wam się nie stało? Zdrowi jesteście?

- Najzupełniej, Wasiliju Maksimowiczu.

- Idźcie odpocząć. Tylko nie za długo! Nie pozwolę wam długo odpoczywać: roboty zwaliło się tu moc!

- Długo odpoczywać nie będziemy. Nie jesteśmy bardzo zmęczeni - odrzekł Beridze, chociaż oczy mu się kleiły, a głowa chyliła się na bok.

Beridze zaprosił Aleksieja, by u niego przenocował:

- U Serafimy ciepło i wszystko jest pod ręką. Umyjemy się naprędce i zjemy kolację. Zdążymy jeszcze zdrzemnąć się ze trzy, cztery godziny. Wiesz, jak dobrze poleżeć w cieple. We mnie aż dusza drży, tak przemarzłem. Gdy odpoczniemy, zasiądziemy do sprawozdania, a potem - do Batmanowa w pełnym rynsztunku!

Aleksiej wymówił się. Chciał jak najprędzej znaleźć się w swoim pokoju i zobaczyć, czy nie nadeszły listy lub depesze z Moskwy. Rozstali się z tym, że spotkają się punktualnie o dziewiątej z rana.

Przechodząc korytarzem obok swego wydziału, Kowszow zauważył światło w pokoju kreślarzy. Kobziew, Pietia Gudkin i kilku innych techników pracowało w zupełnej ciszy w różnych kątach obszernego pokoju. Pietia obliczał coś, poruszając wargami. W roztargnieniu podniósł wzrok i ujrzał stojącego w drzwiach Kowszowa. Młody technik drgnął zaskoczony widokiem Aleksieja i natychmiast zerwał się z okrzykiem radości. Uradowani współpracownicy otoczyli Kowszowa. Kobziew od razu zaczął mówić o sprawach, a Kowszow, wzruszony serdecznym powitaniem i tym, że zastał ich wszystkich przy pracy, z rozczuleniem przyglądał się każdemu.

- Na razie, przyjaciele, radzę: idźcie spać! - rzekł, opanowując wzruszenie. - Pogadamy sobie w dzień. No, synku, jak dawałeś tu sobie radę beze mnie? - zwrócił się do Pieti, który nie spuszczał z kierownika rozmiłowanych oczu.

- O, o nim będzie specjalna rozmowa, Aleksieju Nikołajewiczu! - odezwał się Kobziew.

W domu czekała Aleksieja również niespodzianka. Z przykrością stwierdził, że nie ma gdzie skłonić głowy: pokój podczas jego nieobecności zamieniono na kuchnię. Wypełniał go piec i naczynia kuchenne. Nieznajomy palacz, który na hałas wyszedł ze swojej komórki, zastał Kowszowa bezradnie - stojącego na korytarzu.

- Czego tu szukacie, obywatelu? - zapytał opryskliwie palacz.

- A wy kim jesteście? Dyżurny?

- Coś w tym rodzaju.

- Cóż to znaczy, towarzyszu dyżurny? Kiedy wyjeżdżałem, miałem pokój, a gdy wróciłem - pokój zamienił się w kuchnię.

- To wasz pokój? Nie ma czego żałować! Przygotowano dla was inne mieszkanie. Właśnie dziś oglądał je towarzysz Załkind, z kimś jeszcze... Chwalili... Macie tu klucz i wprowadzajcie się. Pokażcie tylko legitymację, muszę się przekonać, czy jesteście tym, który ma tam zamieszkać.

- Czy nie było do mnie listów albo depesz?

- Nie widziałem. Nikt mi nie dawał. Widocznie nie było.

Aleksiej otworzył drzwi, odnalazł wyłącznik, zapalił światło i zaskoczony przystanął na progu przenosząc wzrok z przedmiotu na przedmiot. Pokój był duży, świeżo malowany i bez wątpienia ciepły. Na podłodze leżał gruby dywan, trochę zniszczony, ale jeszcze dobry. Okrągły stół, stojący na środku pokoju przykryty był ozdobnym, żółtozłocistym obrusem, nad stołem wisiał żyrandol. Drewniane, błyszczące świeżym lakierem łóżko przykryte było puszystym kocem w dobrym gatunku. Przy oknie stało niewielkie biurko i fotel. Na etażerce w kącie - rzędy książek, jego książek, wydobytych przez kogoś z kufra, w którym leżały od dnia jego przyjazdu. Na ścianach wisiały małe portrety Stalina i Gorkiego. - Aleksiej widział je już gdzieś przedtem. - Były tu nawet kwiaty, poustawiane na stolikach z obu stron biurka.

Tylko książki należały do niego. A skąd się wzięła reszta rzeczy? Rozglądając się ujrzał jeszcze niektóre swoje przedmioty: portret Ziny na biurku, a obok dużą fotografię rodziny. Nieznana osoba przygotowując pokój nie zawahała się rozporządzić jego rzeczami. Zresztą zaledwie tu wszedł, zrozumiał od razu, że to nowe mieszkanie, ze wszystkimi oznakami ludzkiej sympatii i troski, było darem Załkinda i Żeni, przede wszystkim zaś tej ostatniej.

Odwrócił się ku drzwiom. W tej samej sekundzie do pokoju wbiegła zaróżowiona od snu Żenia. Była otulona w puszystą chustkę.

- Nareszcie! Tak się niepokoiłam i czekałam! I wszyscy, wszyscy! - westchnęła.

- Dziękuję, Żeniu... Dziękuję... - szepnął Aleksiej czując jak coś podtoczyło się do gardła. Opuchniętymi z zimna dłońmi ujął jej ręce.

- Słyszę! Słyszę! Przyjechał, hałasuje, nie daje spać! - rozległ się w korytarzu głos Grieczkina i planista wpadł do pokoju na wpół ubrany i zaspany. - Widzisz, jakie przygotowaliśmy ci tu apartamenty? To Żenia tak się starała i małżonka Załkinda, Lizoczka, także pomagała. No, chodź do nas, nie masz się czego chmurzyć.

Objął Aleksieja i ciągnął go do siebie. Kowszow wszedł pokornie do mieszkania Grieczkina, które błyszczało czystością podłóg, firanek i obrusów. Po chwili wahania Żenia weszła również.

- Lizoczka, zajmij się Aleksiejem Nikołajewiczem! - odezwał się tonem prośby Grieczkin. - Przydałaby się gorąca woda i jakaś lepsza kolacja!...

- A ty nie rozkazuj, nie jesteś u siebie w wydziale planowania. I bez ciebie domyślą się, co robić - odcięła się mała, szczuplutka Lizoczka, krzątająca się przy elektrycznej kuchence.

Gdy tylko Aleksiej umył się za parawanem, usiedli do stołu. Gospodyni nachmurzyła się na widok Żeni, lecz złagodniała, gdy zauważyła jej spojrzenie skierowane na Aleksieja. Grieczkin, ucieszony powrotem towarzysza i serdecznością, z jaką przyjęła go Lizoczka, pośpiesznie opowiadał biurowe nowiny. Z humorem mówił o napaści Pieti Gudkina na Topolewa, o tym jak Liberman pogodził się z Fiedosowem, o „kobiecym przewrocie" i powstaniu „kobiecego rządu", którego przewodniczącą jest

żona Załkinda, a jednym z ministrów - Lizoczka. Główną jednak rolę w opowiadaniu Grieczkina grała Żenia.

- Nie wiem, skąd się u niej wzięło naraz to wszystko - dziwił się planista. - Owszem, dawniej także przejawiała energię, ale tylko w tańcach do upadłego i w śpiewach aż do zachrypnięcia. A teraz to figura, działacz społeczny! Gdzie tam Tani do niej! Teraz by ją trzeba wydać za mąż - wyskoczył z niespodziewanym wnioskiem. - Nie masz przypadkiem, Aleksieju Nikołajewiczu, jakiego odpowiedniego narzeczonego? - Grieczkin spoglądał z figlarną dobrodusznością to na Aleksieja, to na dziewczynę.

- Nie śpiesz się, nie wszystko od razu - zaśmiał się Aleksiej, z trudem walcząc z ogarniającą go sennością.

Żenia, która godziła się dotychczas na pochwały Grieczkina, rozgniewała się:

- Przestańcie! I bez was znajdę sobie męża, kiedy będzie potrzeba.

- Przecież nie chodzi mi o ciebie - powiedział Grieczkin – tylko o mnie. Kiedy już nareszcie wyjdziesz za mąż, Lizoczka mniej mi będzie przygadywać.

Teraz uniosła się Lizoczka:

- Ani rusz nie możesz przejechać koło mojego podwórka, żeby nie zaczepić hołoblą o wrota!

Kiedy nareszcie opamiętali się, że już czas, aby Aleksiej udał się na spoczynek, była prawie piąta godzina.

Wyszedłszy od Grieczkina Aleksiej z Żenią przystanęli na korytarzu. Trudno było im obojgu rozstać się od razu. Aleksiej miał ochotę powiedzieć Żeni coś bardzo miłego, z głębi serca, i czuł, że dziewczyna czeka na jego słowa.

- Nie umiemy mówić dobrego w oczy. I ja też nie umiem, jak wszyscy...

Umilkł, zrozumiał nagle: Żenia kocha go. W ciągu piętnastu dni jego nieobecności sympatia przerodziła się w prawdziwe uczucie, jakiego jeszcze dotąd nie zaznała. Teraz cała lgnęła do niego, czekała, żeby ją objął i w milczeniu przytulił swą twarz do jej twarzy. Aleksiej zmieszał się uświadomiwszy sobie, że i on pragnie ją przytulić.

Dziewczyna nawet nie domyślała się, co działo się w duszy Aleksieja w ciągu tych kilku sekund. Lecz on natychmiast opanował się. Nie mógł odpowiedzieć na jej uczucie tym samym. Po prostu czuł się samotny i osierocony, było mu źle, zapragnął serdeczności i wzruszała go troskliwość i dobroć Żeni.

„Nie, nie chcę, nie można - powiedział sobie. - Nigdy bym sobie tego nie darował".

I właśnie dlatego, że pragnął serdeczności i że ciągnęło go do tej dziewczyny, powiedział sucho:

- To dobrze, że o tobie tak mówią. Zuch z ciebie! Jestem bardzo, bardzo rad...

- Dziękuję ci, Alosza... Wiele ci zawdzięczam - powiedziała Żenia jakby zgaszona.

Zostawszy sam Kowszow długo chodził po nowym pokoju. Przemyślał ponownie swój stosunek do Żeni i zadecydował, że postąpił tak, jak powinien był postąpić. Jednocześnie żal mu było dziewczyny - jej zasmucona twarz stała mu wciąż przed oczyma. Potknąwszy się o dywan Aleksiej poczuł straszliwe zmęczenie, nogi uginały się pod nim, ogarnęło go nieprzeparte pragnienie snu. Za godzinę miał usiąść do pracy - nie warto było kłaść się. Lecz łóżko tak wabiło go do siebie, że nie wytrzymał i nie zdejmując ubrania położył się na puszystym kocu, aby chociaż przez chwilę poleżeć. I od razu zapadł

w głęboki sen. Zapewne już we śnie przypomniały mu się słyszane dawno słowa ojca: „Wielu jest, Alosza, na świecie dobrych ludzi, bardzo wielu. Szkoda, że ich nie zawsze dostrzegamy i nie zawsze im wierzymy. A należałoby i widzieć, i bardziej im wierzyć..."

Zbudził się tak nagle, jakby go ktoś szturchnął, i z przestrachem spojrzał na zegarek. Okazało się, że spał zaledwie godzinę. Po upływie dziesięciu minut siedział już w gabinecie i pogwizdując obmyślał swoją część sprawozdania. Trzeba było zdać w nim sprawę ze wszystkiego, co widzieli i zrobili na trasie. Drugą połowę sprawozdania, zawierającą ostateczne wnioski w sprawie lewobrzeżnego wariantu rurociągu, pisał Beridze.

Kuźma Kuźmicz zastał Aleksieja nad stosem drobno zapisanych arkuszy. Stary inżynier już od progu zwrócił uwagę na wymizerowaną, pociemniałą twarz siedzącego w kożuszku młodego kierownika. Kowszow szybko pisał, nieumiejętnie trzymając w ustach papieros i marszcząc twarz z wyrazem zatroskania. Włosy spadały mu niedbale z obu stron na czoło.

Zjawienie się Topolewa było mu nie na rękę. „Że też przyleciał tak wcześnie, siedziałby sobie w domu!" - pomyślał ze złością. Ale zaraz uderzył go niezwykły stan starego inżyniera. Topolew najwidoczniej był czymś przejęty i skierował się wprost ku niemu. Rzuciwszy pióro Aleksiej skwapliwie uścisnął wyciągniętą rękę starca.

- Alosza - powiedział Kuźnia Kuźmicz. Kowszowa zaskoczył ten zwrot. Nigdy nie słyszał i nie spodziewał się go usłyszeć z ust Topolewa. - Muszę pomówić z wami. Uprzedzam, że rozmowa nie będzie dotyczyła spraw biurowych i nie ma charakteru służbowego, ale konieczna jest dla mnie, a może i dla was. Jeżeli możecie, ustosunkujcie się do niej bez ironii i niechęci... Za godzinę zacznie się praca. Zadzwoni telefon, wpadną ludzie z ich sprawami nie cierpiącymi zwłoki. I wtedy na pewno nie będę już miał ochoty odezwać się do was nieoficjalnie, a wy nie zechcecie mnie wysłuchać. A ta rozmowa powinna się odbyć. Ponoszę winę za to, że pomiędzy nami wyrósł mur, i ja pierwszy chcę go zburzyć...

Starzec umilkł na chwilę i spojrzał pytająco na Kowszowa. Ten z troską zerknął na nie dokończony referat, ale odpowiedział poważnie i życzliwie:

- Słucham was, Kuźmo Kuźmiczu, siadajcie, proszę.

- Alosza, pewien mądry człowiek przypomniał mi niedawno słowa Włodzimierza Iljicza Lenina: „Nie tak niebezpieczna jest porażka, jak niebezpieczna jest obawa przyznania się do swojej porażki, obawa przed wyciągnięciem z niej wszystkich wniosków". Przypomniał mi te słowa nie bez powodu i bardzo na czasie. Poniosłem w życiu straszną porażkę i nie rozumiałem, nie uznawałem jej. Teraz przyznałem się do porażki i wyciągnąłem wnioski. Od tego właśnie pragnę rozpocząć naszą rozmowę. Tylko zaklinam was, nie dziwcie się, że będzie taka osobliwa, i niech was nie zdumiewa moja nieoczekiwana ekscentryczność i chaotyczność tego, co opowiem...

Aleksiej rzeczywiście był zdziwiony, a nawet zmieszany z początku niejasnym i namiętnym przemówieniem milczącego zwykle starca-odludka. Śpiesząc się i przeskakując z tematu na temat Kuźma Kuźmicz mówił o tym, że od pewnego czasu nie dostrzegając tego znalazł się w niewoli niesłusznych, niewolniczych pojęć o życiu, teraz zaś, wskutek potężnego impulsu z zewnątrz, wszystko się w nim wzburzyło i wywróciło. Mówił o przemówieniach towarzysza Stalina szóstego i siódmego listopada, o naradzie u Załkinda, o demaskującej mowie Pieti Gudkina, o śmierci generała Mironowa, o swym siostrzeńcu Wołodi, o przyjaciołach z lat dziecinnych i młodzieńczej przysiędze w domku nad Dnieprem, o niepojętym biegu czasu, o zagubieniu rytmu życia, o Mozarcie i Salierim,

o swym zwierzchniku Grubskim, krzewicielu nikczemnej teorii zadowolonego z siebie mieszczaństwa, którą zacofani inżynierowie jego pokolenia nazywają lojalnością. „Nie rusz mnie, ja ciebie też nie ruszę” - oto znaczenie tego zawiłego słowa! - oburzał się starzec. I wreszcie konkretny rezultat: obojętny, prawie wrogi stosunek jego, Topolewa, do szlachetnych usiłowań odrzucenia starego projektu rurociągu i stworzenia nowego. „Tak, tak - przyznaję się do tego - Salieri aduński, niech mnie diabli wezmą”.

Topolew zaczerpnął powietrza i przeskoczył na nowy temat.

- Alosza - ciągnął dalej, szarpiąc w palcach czerwoną chustkę. - Pamiętajcie: człowiek zawsze powinien być niezadowolony z siebie. Gdy was spotka niepowodzenie, to nie składajcie winy na warunki, lecz szukajcie jej w sobie. Nie zatrzymujcie się. Nie spoczywajcie na laurach, nie ostygajcie, nie dajcie zestarzeć się duszy. Niech was nie pociągają łatwe, płytkie radości życia kosztem mniej dostępnych większych radości. Są w życiu bliskie i dalekie perspektywy. Nigdy nie zadowalajcie się bliższą.

Do gabinetu zajrzała sprzątaczka - ponura staruszka z wiadrem i szmatą w rękach. Ujrzawszy Aleksieja kiwnęła głową i chciała wejść, aby posprzątać, lecz Kowszow dał jej znak ręką. Postała chwilę, nie bardzo rozumiejąc o co chodzi, i odeszła. Następnie zjawił się Filimonow, ale Aleksiej i jego zatrzymał na progu. Topolew nie przestawał mówić stojąc w rozpiętym płaszczu z podniesionym kołnierzem i wielkim ciepłym szalu, omotanym dokoła szyi. Nic i nikogo nie widział poza Aleksiejem, z którego nie spuszczał oczu.

- Życie jest krótkie, tylko próżniakom wydaje się długie. Oszczędzajcie czas! Lecz nie myślcie, że wzywam was do oszczędzania samego siebie. Niech Bóg broni, przeciwnie! Nie należy unikać życia. Jest takie przysłowie: ten dobrze przeżył, kto się dobrze schował. To straszne przysłowie, nie pasuje ani do mnie, ani do was. Zostawmy je Grubskiemu i jemu podobnym! Bez reszty oddajcie się życiu, ale nie płyńcie bezwolnie z prądem. Zmierzajcie zawsze wyraźnie do celu. Niech każda chwila będzie odmierzana wartością pracy dla dobra ludzi...

Zamyślił się na chwilę i zaraz ciągnął jeszcze bardziej gorączkowo:

- Nie pozwalajcie tylko, żeby tak zwane bieżące sprawy podporządkowały was sobie. Nie! To wy podporządkujcie je swojej woli. Nie sądźcie, jakobym zalecał wam lekceważąco traktować zwykłe zajęcia i drobne sprawy. Nie! I jeszcze raz nie! Chcę powiedzieć, że praca powinna być powołaniem. Nie tylko nie neguję zwykłych zajęć, lecz przeciwnie, apeluję do was, żebyście uznawali również i drobiazgi, z nich powstaje drogocenne doświadczenie. Obserwowałem was i wiem, że czasami chcecie zrobić wszystko prędko, w ciągu pięciu minut, że gotowi jesteście zlekceważyć wiele rzeczy. Zrozumcie, że to jest niedopuszczalne!

Starzec znów machnął ręką z zaciśniętą w niej czerwoną chustką; ruch ten podobny był do sygnału alarmowego.

- Zastanówcie się, Alosza, nad tym, co powiedziałem. Jako człowiek, którego nauczyło życie, mam prawo ostrzec was i ostrzegam. Niech Bóg broni, żeby miało się stać kiedyś z wami to, co ze mną! Wypadłszy na jakiś czas z rytmu życia i ocknąwszy się nagle wskutek jakiegoś silnego wstrząsu, przekonacie się, że wasz czas, że wasza siła, rozum i talent rozmieniły się na miedziaki... Ach, jakie to straszne i męczące, mój drogi, robiąc bilans życiowy przekonać się, że straciliśmy niewybaczalnie wiele, bez pożytku, bez sensu, niepotrzebnie...

Topolew gwałtownie i z goryczą potrząsnął głową. Jego wzruszenie udzieliło się Aleksiejowi. Zatroskana, opalona na zimnym wietrze twarz Kowszowa rozjaśniła się. Topolew umilkł nagle i ciężko

opadł na fotel. Wypowiedziawszy wszystko, teraz jakby się ocknął. Spojrzał na chustkę zaciśniętą w ręku i szybko ją schował. Zdjął czapkę, odwinął szal, opuścił podniesiony kołnierz płaszcza - było mu gorąco.

Aleksiej milczał. Starzec podniósł oczy i idąc za wzrokiem Kowszowa odwrócił głowę w stronę drzwi. Stali tam Grieczkin, Żenia, Pietia, Gudkin, Kobziew i Filimonow: za ich plecami widać było dużą twarz Libermana. Widzieli, że między Kowszowem i Topolewem toczy się jakaś rozmowa, lecz nie rozumieli, dlaczego nie można jej przerwać i dlaczego Aleksiej nie chce, aby weszli.

Kowszow zobaczył, z jakim niezadowoleniem uniosły się brwi starca, jak się skrzywił, widocznie żałując już tego, że się tak rozgadał.

- No cóż, skończymy na tym. Nie udała się rozmowa - wymamrotał.

Aleksiej zwrócił się do stojących w drzwiach:

- Przepraszam was, towarzysze, jestem bardzo zajęty z Kuźmą Kuźmiczem i nie mogę przerwać. Za pół godziny sam odnajdę was wszystkich.

Wyszli zdumieni. Topolew siedział z zastygłym na twarzy gorzkim uśmiechem.

- Drogi Kuźmo Kuźmiczu - powiedział cicho Aleksiej i starzec od razu się uspokoił. Młody inżynier stał przed nim z ożywioną twarzą i już sam wyraz jego oczu świadczył o tym, że wszystko, co powiedział Topolew, przyjął z powagą. - Wierzcie mi, już to samo, że zwróciliście się do mnie, i to wszystko, co mi powiedzieliście, wzruszyło mnie do głębi. Na waszą szczerość odpowiem szczerością. - Aleksiej chciał zaciągnąć się, lecz jego papieros dawno zgasł i Alosza na próżno gniótł go wargami. - Trudno teraz znaleźć człowieka spokojnego i zadowolonego z siebie. Co więcej, przestałbym ufać człowiekowi, gdybym zauważył, że jest obecnie zadowolony z siebie i spokojny. Ja osobiście poprzez wszystkie te miesiące przeżyłem wiele z tego, co było mi zupełnie nie znane. Byłem przecież na froncie, powąchałem prochu i nagle znalazłem się tutaj! Chciałem wrócić do wojska i tak trudno było roi przemóc w sobie ten poryw i wszystko należycie zrozumieć.

Odrzucił wreszcie zgasły papieros. Spojrzenie jego padło na brulion nie dokończonego referatu. Energicznym ruchem odsunął arkusze.

- Wątpię, czy potrafię ucieszyć was jakimiś rewelacjami - zaśmiał się zmieszany pełnym oczekiwania spojrzeniem Topolewa. - Myślę, że po prostu musimy się wypowiedzieć wreszcie po tak długim milczeniu. Potem łatwiej nam będzie pracować. - Zrobił pauzę i starzec skinął głową na znak zgody. - Chciałbym tylko powiedzieć słówko dla obronienia was przed waszymi zarzutami. Nie wiem, co zaszło w waszym życiu, dlaczego od pewnego czasu zamknęliście się w sobie, ale i ja, i Beridze, i Załkind, i inni towarzysze rozumieliśmy, że mamy teraz przed sobą nie prawdziwego Topolewa, lecz jakiegoś człowieka zmienionego, człowieka, który utracił swoją postawę, czy coś w tym rodzaju. Trzeba stwierdzić, że nawet Pietia Gudkin zrozumiał to. Gdyby było inaczej, nie mówiłby o was. I nie omyliliśmy się! Między Topolewem i Grubskim jest różnica!

Aleksiej przetarł oczy - bezsenne noce dawały się we znaki. Patrzał z trudem, jakby pod powiekami miał pełno piasku.

- Powiedzcie jednak, drogi Kuźmo Kuźmiczu, jakie praktyczne wnioski wyciągnęliście dla siebie? Przecież gdyby ktoś nie zrozumiał waszego dzisiejszego stanu, mógłby przypuścić, że rozczarowaliście się do swego zawodu inżyniera-budowniczego, do swego powołania, któremu poświęciliście prawie czterdzieści lat.

Topoiew poruszył się niespokojnie w fotelu.

- Nie warto mówić o mnie. Z takiego stuletniego dziada nie będzie już żadnego pożytku. Chcę tylko, żeby moje smutne doświadczenie było lekcją dla was, człowieka wchodzącego dopiero w życie.

Aleksiej z uporem poruszył głową. Pasmo włosów spadło mu na czoło.

- Nie odżegnujcie się Kuźmo Kuźmiczu, i nie gniewajcie, jeżeli będę mówić właśnie o was. W przeciwnym wypadku cała nasza rozmowa nie przyniesie żadnej korzyści.

Ktoś znowu zajrzał do nich i natychmiast zniknął. Kowszow podszedł do drzwi i przymknął je. Kuźma Kuźmicz z niecierpliwością wodził za nim oczami.

- Ustaliliśmy podstawową prawdę, że nie ma dla nas nic ważniejszego nad nasze obowiązki wobec ojczyzny. Praca dla niej jest tym, czym należy mierzyć każdego. Dobrze. Powiedzieliście, że czas leci błyskawicznie, że życie nasze podobne jest do burzliwego potoku. Słusznie. Czy trzeba tłumaczyć, dlaczego tak jest? Ale jeżeli to jest słuszne, to należy tempo naszej epoki przyjąć bez zastrzeżeń. Należy podporządkować siebie tej szybkości i przyjąć ją jako normalne warunki życia.

Po korytarzu potoczył się gwar głosów - to pracownicy przyszli do biura.

Do gabinetu weszła Muza Filipowna, poprawiła na nosie binokle i przywitała się chłodniej, niż uczyniłaby to, gdyby tu nie było Topolewa, bała się go trochę i nie darzyła starca sympatią.

- Naczelny inżynier prosił, żebym sprawdziła, czy tu jesteście, Aleksieju Nikołajewiczu. Punktualnie o dziewiątej oczekuje was u siebie.

Kowszow targnął się za czuprynę i przysunął do siebie notatki.

Topolew wstał.

- Trzeba odłożyć rozmowę.

- Nie, nie będziemy jej odkładać - nie zgodził się Aleksiej. - Postawiliście na początku słuszny warunek, że jest to pierwsza i ostatnia rozmowa. Trzeba więc skończyć ją przed rozpoczęciem dnia pracy.

Topolew posłusznie usiadł.

- Powiadacie: „Duszę się. Nie nadążam za biegiem czasu, rozmieniłem talent na miedziaki. Nie spełniłem przysięgi młodości, ostygłem". Czy nie tak, Kuźmo Kuźmiczu? To doskonale, że sami siebie sądzicie tak surowo - to znaczy, że niezupełnie skłonni jesteście spocząć na laurach i utonąć w bezczynności... Czy jednak nie oskarżyliście siebie w zapalczywości - niesłusznie? My, młodzi inżynierowie, zawsze znaliśmy Topolewa jako wybitnego budowniczego radzieckiego i widzieliśmy w nim przykład godny naśladowania. Czyżby ten Topolew umarł? Cóż się z nim stało? - Aleksiej spostrzegł, że gwałtowne ruchy zdradzają jego wzruszenie, i szybko schował ręce w kieszenie kożuszka. - Ja również na swój sposób składałem przysięgę młodości, może nawet równie wzruszająco i zabawnie. Miałem, wiecie, nawet zaplanowaną własną pięciolatkę - nauki, pracy i najrozmaitszych osiągnięć. Od tamtej chwili minęło dziesięć lat. Przez ten czas zrozumiałem, że wiele układa się nie tak, jak zamierzałem... To, co nazwaliście przysięgą młodości, przecież to jest swego rodzaju cudowny plan. Życie wnosi poprawki do naszych schematów i planów. I to jest dobre! Nie można przecież wcisnąć ich, niby rozkład lekcji, w drewniane ramki. Ważne jest tylko to, żeby - wśród komplikacji i nieoczekiwanych prób życiowych - nie zapomnieć o tej swojej przysiędze, o własnej pięciolatce.

Aleksiej mówił w podnieceniu. Topolew serdecznie i nie bez zdumienia Patrzał na jego wypiękniałą twarz.

- Zastanówmy się, na czym polega różnica między nami. Mówiliście coś o nowym i dawnym człowieku, o Mozarcie i Salierim, i o wielu innych rzeczach. Tylko nie trzeba, Kuźmo Kuźmiczu, wracać do płytkich i przestarzałych rozważań o starych i nowych specjalistach. Moim zdaniem między nami jest tylko różnica wieku i przyzwyczajeń, poza tym - jesteśmy jednakowymi gospodarzami. Przyzwyczajenia są sprawą drugorzędną, jak sądzę. Z wiekiem, rzeczywiście - sprawa wygląda poważniej - pod tym względem jesteście w gorszym położeniu. Serce, mięśnie, żołądek nie dopisują. Należałoby wam wyrazić tylko współczucie. – Aleksiej uśmiechnął się życzliwie i wesoło. Topolew pogładził wąsy i także się uśmiechnął - po raz pierwszy w obecności Kowszowa. - Sędziwy wiek! No, cóż, ostatecznie i mnie czeka to samo. Jesteśmy inżynierami i kto jak kto, ale my wiemy doskonale, że nic nie trwa wiecznie. Czy warto robić zdziwione oczy, gdy w sercu zjawiają się szmery, a lekarz konstatuje sklerozę? Pewnie, że myśl o starości nie jest przyjemna. Ale czy wasz sędziwy wiek stanowi przeszkodę? Nie! Nie ten jest stary, kto nosi szósty krzyżyk, ale ten, kto skwaśniał przy trzydziestce. A przecież wy jesteście inni! Łatwo mogę sobie wyobrazić was, jak pracujecie z natchnieniem. Natchnienie i doświadczenie, zwłaszcza wasze doświadczenie - te właśnie drogocenne miliony drobnych spraw, o których wspominaliście...

- Pozwólcie mi odejść, Alosza.. - Starzec wstał, z niepokojem spoglądając na drzwi, za którymi rozlegał się gwar głosów.

- Nie pozwolę! Mam jeszcze jedno pytanie... Wszystko co powiedzieliście o braku doświadczenia u nas, o zwiększonych wymaganiach w stosunku do siebie - jest słuszne. Mówcie o tym częściej i mocniej. Każdy z nas młodych zrozumie wasze pretensje i nie obrazi się. Dziś jednakże musicie mieć jakieś podstawy, żeby w ten sposób rozmawiać - i stąd moje pytanie...

Zadzwonił jednak telefon. Aleksiej nie zwracając na niego uwagi, patrzył na Topolewa już bez uśmiechu, surowo i badawczo.

- Jakie pytanie chcecie mi zadać, Aleksieju Nikołajewiczu? - zapytał niespokojnie Topolew i nawet podniósł się z krzesła.

- Chciałem i chcę wiedzieć - powiedział Aleksiej - muszę wiedzieć, jaki w rezultacie wyciągnęliście praktyczny wniosek dla siebie? Czego oczekiwać po was?

Topolew obszedł biurko i zbliżywszy się do Aleksieja położył mu ręce na ramionach.

- Mój drogi, tęsknię do prawdziwej pracy i chcę nadrobić wszystko, co zaniedbałem. Zdaje mi się, że wyszedłem teraz ze ślepej uliczki, w której się znalazłem. Zwalcie na mnie tyle pracy, żebym się ugiął pod jej ciężarem. Pomóżcie mi wejść wreszcie w rytm życia.

Aleksiej ucieszył się, jakkolwiek oczekiwał właśnie takich słów. Mocno uścisnął dłoń starca.

Znów terkotał telefon. Do gabinetu wbiegła zdyszana Muza Filipowna.

- Aleksieju Nikołajewiczu, naczelny inżynier niecierpliwi się, mówi, że już czas iść do towarzysza Batmanowa.

Aleksiej śpiesznie zaczął zbierać papiery z biurka.

- No, dostanę od Beridzego: sprawozdanie nie gotowe. Ale jestem zadowolony, ogromnie zadowolony!

Pośpieszył za sekretarką, która wybiegła, lecz Topolew zatrzymał go. Starzec wyjął z teczki plik porządnie zszytych arkuszy zapisanych wyraźnym, okrągłym pismem.

- W samotności dużo rozmyślałem nad sposobem wykonania przekopu w cieśninie. Moim zdaniem jest odpowiednie wyjście: przekop należy robić przy pomocy wybuchów. Miałem do czynienia kiedyś z czymś podobnym w małej co prawda skali. Weźcie ze sobą te notatki jako uzupełnienie do swego referatu. To jest, że tak powiem, mój wkład w pracę zespołu.

Aleksiej na progu przerzucił notatki. Nie wniknąwszy jeszcze w szczegóły, intuicją inżyniera odgadł, że ma, zdaje się, w ręku to właśnie, czego brakowało w projekcie.

Na korytarzu rozległ się odgłos drobnych kroków Muzy Filipowny, biegnącej ponownie po Kowszowa. Aleksiej zajrzał Kuźmie Kuźmiczowi w oczy, przyciągnął go do siebie, pocałował głośno w zwisające, przepojone tabaką wąsy i wyskoczył za drzwi.

Telefon dzwonił bez przerwy. Topolew po raz pierwszy w tym gabinecie podniósł słuchawkę. Po twarzy jego spływały łzy. Marszczył się jak od bólu i uśmiechał się. Zapomniał powiedzieć „słucham" czy „halo", po prostu podniósł słuchawkę do ucha i usłyszał namiętne wymyślanie Beridzego. Naczelny inżynier oburzony był lekkomyślnością Kowszowa, który dotychczas nie zjawił się u niego. Topolew wyszedł na korytarz, żeby dopędzić Aleksieja - chciał go obronić jakoś przed gniewem Beridzego, wziąć ten gniew na siebie. Tu jednak ujrzał grupę ludzi zgromadzonych u drzwi. Wśród nich byli Pietia Gudkin i Żenia Kozłowa.

- Na kogo czekacie? - zapytał.

- Na Aleksieja Nikołajewicza - odrzekł Gudkin i dodał nie tając zdziwienia: - Powiedział nam, żebyśmy ze wszystkimi sprawami zwracali się do was.

- Po cóż więc sterczycie tutaj, czy nie żal wam czasu? - powiedział głośno starzec usiłując nie zdradzać wzruszenia na myśl, że jego umowa z Aleksiejem wchodzi już w życie. - Chodźcie wszyscy, pogadamy!

Usiadł przy biurku. Wyjmując z szuflady ołówki i rozkładając papiery rzucał ukradkiem spojrzenia na przybyłych. Ci zaś nie byli w stanie ukryć swojego zaciekawienia: ani spokojna Żenia, ani zmieszany Gudkin, ani drugi technik z grupy Kobziewa, ani wreszcie czwórka innych nie znanych mu pracowników.

- Kto pierwszy? Pierwszeństwo mają kobiety, prawda? - zapytał wesoło Topolew i zwrócił się do Żeni:
- Słucham was, towarzyszu ekonomisto.

- Mogę poczekać na Kowszowa - odrzekła niepewnie Żenia.

- Po cóż macie czekać na niego? Zresztą jest dziś zajęty i nie wiem, czy się go doczekacie - odpowiedział twardo, z odcieniem ironii. - Pokażcie, co tam macie?

Żenia rozłożyła na stole tablice.

- Po pierwsze, sprawozdanie z przebiegu robót - referowała. - Po drugie, zapotrzebowanie roboczej siły do kwartalnego planu. Towarzysz Grieczkin prosi Aleksieja Nikołajewicza, aby jeszcze raz przejrzał, czy nie ma jakichś uwag.

- A po trzecie? - zapytał starzec.

- Przed udaniem się na trasę Aleksiej Nikołajewicz polecił mi zmienić normy i na nowo obliczyć zapotrzebowanie na robotników do zimowych prac drogowych.

- To ciekawe. - Topolew wziął od niej tablicę i utkwił wzrok w kolumnach wyraźnie napisanych cyfr. - Na czym opiera się Aleksiej Nikołajewicz, zamierzając tak gwałtownie podnieść normy?

- Nie wiem.

- To źle, że nie wiecie, powinniście wiedzieć. - Starzec odłożył preliminarz i zabrał się do sprawozdania. - Oho, cóż za poprawa w rozwożeniu rur! Czy nie zrobiliście tu jakiegoś błędu? Na piątym odcinku jakoś za wiele wykazano...

- Nie ma błędu - odpowiedziała stanowczo Żenia. - Właśnie na odcinku Rogowa praca idzie najlepiej. Codziennie otrzymujemy od niego sprawozdania.

- Tak - rzekł przeciągle Kuźma Kuźmicz. - Proszę was, towarzyszko Kozłowa, przynieście mi później wszystkie materiały dotyczące planu. I kompletne sprawozdanie z przebiegu wszystkich robót na wszystkich odcinkach. Dobrze?

- Tak jest - odpowiedziała dziewczyna i wyszła otulając się swoją białą puszystą chustką.

Topolew zwrócił się do innych pracowników. Jeden z nich, przysłany przez Fiedosowa, pytał, czy nie można smoły ziemnej nr 3, potrzebnej do izolacji rurociągu, zamienić na smołę innej marki. Kuźma Kuźmicz zapisał pytanie i obiecał, że w najkrótszym czasie sprawdzi w laboratorium, czy taka zamiana jest możliwa. Drugi przyniósł od Filimonowa rozdzielnik na aparaty do spawania i prosił o ostateczne zatwierdzenie rozmieszczenia ich na odcinkach. Dwaj następni byli z kotłowni. Okazało się, że Aleksiej przed udaniem się na trasę oświadczył, iż z winy kotłowni marzną wszyscy pracownicy zarządu. Palacze dowodzili, że przyczyną tego jest zły gatunek miejscowego węgla i kiepska izolacja cieplna gmachu.

- Towarzysz Kowszow polecił mi zająć się wami - powiedział Topolew, chociaż Aleksiej nic mu o tym nie mówił. - Dziś jeszcze zjadę do kotłowni i tam zbadamy, co dzieje się z ciepłem.

Rozmowa z ludźmi sprawiała Topolewowi ogromne zadowolenie. Z troskliwością starał się wniknąć w każdą sprawę. Wiedział, że teraz z każdą godziną będzie ich coraz więcej.

Pietię umyślnie pozostawił Topolew na koniec. Przez chwilę przypatrywał mu się z udaną surowością. Młodzieniec odważnie wytrzymał jego spojrzenie.

- Z jaką sprawą przyszliście do Aleksieja Nikołajewicza? - zapytał Topolew.

- W sprawie inżyniera Fursowa. - Pietia zawahał się pomyślawszy, że ktoś inny zagadnienie to powinien rozstrzygnąć, ale nie Topolew.

- Cóż tam z Fursowem?

- Jak długo mamy go tolerować, Kuźmo Kuźmiczu?! - wybuchnął Pietia. - On otwarcie kpi z Beridzego i z nas wszystkich. Grubski powiedział do niego: „W tych dniach odbędzie się pogrzeb genialnego noworodka”. Miał na myśli nasz nowy projekt! Grubski otrzymał depeszę wzywającą go do Rubieżańska. Posłał tam przecież protest! Fursow powiada: „Piotr Jefimowicz potrafił dowieść swego”.

Topolewa zaniepokoiła podana przez Pietię wiadomość. Zapomniał zupełnie o tym, że jego były zwierzchnik w dalszym ciągu działa i stawia opór. „Zobaczymy jeszcze, czego potrafiliście dowieść, szanowny Grubski” pomyślał, a głośno zapytał:

- Czyż wszyscy razem nie jesteście w stanie poradzić sobie z jednym Fursowem i wziąć go w karby?

- Czy jesteśmy w stanie? Niech mi tylko pozwolą, to wyrzucę go przez okno!

Starzec spod oka przyglądał się Gudkinowi, jakby go widział po raz pierwszy. Chuda postać młodzieńca w obcisłym swetrze zdradzała wielką siłę.

- Niech go lepiej zabiorą od nas po dobroci! Nie chcemy, żeby swymi brudnymi łapami dotykał naszego projektu! Czyż można tak postępować: myśleć jedno, a robić drugie, jak Fursow?

- Nie, nie można - zgodził się Topolew. - Czy mówiliście już o tym Kowszowowi?

- Kobziew miał z nim o tym porozmawiać, ale przecież wy znacie Kobziewa: zapalił się i prędko ostygł. Pewnie go ten Fursow czymś rozczulił albo powiedział, że zmienił swoje zdanie. Przecież to nic go nie kosztuje. Przy Kobziewie udaje cichutkiego i posłusznego.

Kuźma Kuźmicz zamyślił się i milczał, więc Pietia żałował już, że powiedział mu o Fursowie. „Stary też trzyma z Grabskim" - przemknęło mu przez myśl.

- Powtórzcie Fursowowi, niech zaraz do mnie przyjdzie - rzekł Topolew, - A Kobziewowi powiedzcie, że wzywam go z materiałami dotyczącymi projektu. Wy też przyjdźcie i poproście tu również resztę towarzyszy, tych, których Kobziew uzna za potrzebnych...

Fursow wszedł ze słodziutkim uśmieszkiem, z szacunkiem uścisnął dłoń Kuźmy Kuźmicza i zapytał go o zdrowie.

- Cóż to za konflikt między wami a Gudkinem i innymi towarzyszami? - zapytał Topolew.

- Przecież wiecie z własnego doświadczenia, Kuzmo Kuźmiczu, jak on odnoszą się do Grubskiego i do nas wszystkich, jego zwolenników. Oczarowani są swym czarnobrodym Beridzem i każde słowo prawdy o nim i jego szarlatańskich projektach doprowadza ich do wściekłości. Jestem zachwycony, że Grabskiemu udało się dowieść swojej racji.

- A więc i mnie uważacie za zwolennika Grubskiego?

- A któż by mógł uważać was za zwolennika Beridzego? - Fursow roześmiał się na samą myśl o tym. Wciąż jeszcze nie dostrzegał nieprzychylnego i gniewnego spojrzenia Topolewa.

- W takim razie rozczaruję was. Jestem właśnie zwolennikiem Beridzego i rozumiem, dlaczego ten dobry chłopiec Gudkin i jego towarzysze nie chcą dłużej znosić was w swym zespole! - Stary powiedział to ze wzburzeniem i podniósł się z krzesła.

- Zadziwiliście mnie, Kuźmo Kuźmiczu! Nie mogę zrozumieć tego! Przecież jesteście najbliższym przyjacielem Grubskiego.

- Od jutra bądźcie łaskawi nie pokazywać się tutaj! - podniesionym głosem przerwał mu Topolew. - Idźcie do wydziału kadr i weźcie dowód zwolnienia. Zatelefonuję tam...

Fursow nie mógł zrozumieć tej nagłej zmiany w dotychczasowym stanowisku starca, lecz odczuł całą powagę jego tonu i słów.

- Zwolnienie? - powtórzył. - Wyrzucacie mnie? Wy, inżynier Topolew?

- Tak, ja, inżynier Topolew, zwalniam was, inżyniera Fursowa.

- Pracowałem sumiennie... Wykonywałem wszelkie polecenia Kobziewa. Zapytajcie go. Może czegoś nie rozumiałem, postaram się wniknąć...

- Dosyć! Widzę, że jesteście gotowi w ciągu jednej minuty zmienić swoje przekonania.

- Przecież mam rodzinę, dzieci... Będę zmuszony szukać pracy gdzie indziej, a wtedy zapytają mnie, dlaczego zostałem zwolniony z budowy, na której tak bardzo są potrzebni specjaliści.

- Na pewno zapytają! Ale o tym trzeba było pomyśleć wcześniej. Możecie odejść. Swoje prace przekażcie Kobziewowi...

Fursow w zielonym szaliku, okręconym wkoło szyi wyglądał żałośnie: był przygnębiony. Ani śladu dawnej pewności siebie i pychy. Spojrzał spode łba na Topolewa i widocznie orientując się, że nie może na niego liczyć, wszedł. Kuźma Kuźmicz zawrócił go. Uprzytomnił sobie, że jeszcze wczoraj Beridze i Aleksiej mogli jego samego odesłać w ten sam sposób do wydziału kadr.

- Mając na względzie waszą rodzinę, zmienię swoją decyzję - powiedział szorstko. - Zostaniecie na budowie, ale nie przy pomocy nad projektem. Przeniesiemy was na trasę, będziecie tam wcielać w życie projekt Beridzego. W ten sposób prędzej ocenicie jego wartość.

Fursow chciał oponować, ale Topolew nie dał mu przyjść do słowa.

- Proszę wyjść! - rzekł rozkazująco.

Zostawszy sam Kuźma Kuźmicz zaczął niecierpliwie chodzić po gabinecie. Pragnął dalej coś rozstrzygać, działać, do czegoś się włączać. Usłyszał sygnał selektora i szybko włożył słuchawki. Niekrasow z trzeciego odcinka wzywał Kowszowa.

- Jak się masz, stary towarzyszu! - powitał go Kuźma Kuźmicz. Inżynierowie znali się ze wspólnej pracy na innych budowach. - To ja, Kuźma Topolew. Nie poznałeś?

- Dawno, dawno już nie słyszałem twego basowego głosu, więc nie poznałem... - Niekrasow nie ukrywał swego zdumienia.

- Za to od razu cię ucieszę!

- Czymże to?

- Skarżyłeś się nieraz, że nie masz możności wykorzystania swego doświadczenia saperskiego.

- Wiesz przecież, że na tej budowie niemal zupełnie nie stosujemy środków wybuchowych, a to moja główna specjalność.

- A jeżeli znalazła się praca dla ciebie? I to jeszcze jaka!

- Nie kręć, stary, mów wyraźniej.

- No, to siadaj, przyjacielu, do samochodu i przyjeżdżaj tu... wszystko zrozumiesz.

- Jakże to tak - przyjeżdżaj? Na to muszę mieć rozkaz Batmanowa albo Beridzego.

- A czy ja nie jestem zwierzchnikiem dla ciebie? Siadaj do samochodu i przyjeżdżaj! Zrozumiałeś?

Do gabinetu weszli całą gromadą pracownicy biura projektów z Gudkinem na czele i położyli przed Topolewem cały stos arkuszy projektu.

Kuźma Kuźmicz pochylił się nad biurkiem i przez kilka minut pilnie przypatrywał się wykresom. Szczególnie interesowało go to wszystko, co dotyczyło prac w cieśninie. Nie mogąc się powstrzymać starzec zaczął poprawiać jeden z wykresów, przedstawiający proces spawania rur na lodzie. Pietia Gudkin podbiegł do biurka; żal mu było pracy, wykonanej z najwyższą starannością. Kobziew powstrzymał go za rękę. Wszyscy utkwili wzrok w Topolewie. Oczy starca płonęły, ręka uzbrojona w ołówek szalała, od całej przeistoczonej postaci starego inżyniera biła energia. W jednej chwili na gotowym rysunku zjawiła się sieć poprawek i kolumna nowych obliczeń.

- Zrobimy inaczej! - Kuźma Kuźmicz przechylił się na oparcie krzesła. - Trzeba będzie wiele rzeczy przerobić.

Kobziew, a za nim pozostali zbliżyli się, aby obejrzeć, co starzec nakreślił na arkuszu, ale Topolew przykrył rysunek wielką ręką o nabrzmiałych sinych żyłach.

- Na razie nie ma jeszcze na co patrzeć - to drobiazg. Chodzi o przebudowę wszystkiego, co jest zaplanowane w pracach nad cieśniną. Powiedzcie mi, jak rozwiązaliście zagadnienie przekopu na tym odcinku?

- Rozwiązania właściwie nie mamy. To jest jeszcze biała plama na naszym projekcie - odparł Kobziew.
- Spodziewam się, że Beridze i Aleksiej Nikołajewicz przynieśli nam coś ze swojej wyprawy.

- Otóż to - przynieśli! Białej plamy już nie ma! - powiedział triumfująco Topolew. - Przekop będziemy robili metodą wybuchów!...

Nacieszywszy się wrażeniem, jakie wywarły jego słowa, poprosił wszystkich, by usiedli, i zaczął objaśniać istotę swojego projektu nie wspominając ani słowem, że sam jest jego autorem.
W najciekawszym miejscu przerwało jego objaśnienia wejście sekretarza kierownika budowy: Batmanow wzywał Topolewa do siebie.

„Oho, stary, stajesz się ważny!" - powiedział z zadowoleniem Topolew do siebie. Czekał na to, domyślał się, że go lada chwila zawezwą. Niemal biegł przez korytarz, Kobziew i Gudkin śpieszyli za nim z trudem dotrzymując mu kroku.

- Kuźmo Kuźmiczu, opowiedzielibyście wszystko do końca! Teraz nie będziemy mogli pracować aż do waszego powrotu - skarżył się Gudkin.

Topolew nie słyszał. Wciąż przyśpieszał kroku. Jego wąsy poruszały się. Cichutkim basem nucił:

Aby ciało i dusza
Były młode, były młode -
Przez żar i chłody
Hartuj się jak stal!

Porywało go niepohamowane pragnienie czynu i walki, ogarniała go pełnia życia, którą można nazwać szczęściem.

9. Projekt zatwierdzony

Zanim Batmanow, wezwany przez Pełnomocnika Komitetu Obrony Państwa, wyjechał z inżynierem do Rubieżańska na konferencję, zwołał u siebie wielką naradę. Głównym przedmiotem obrad miał być nowy projekt. Obecnie w całym zarządzie nikt nie znalazłby już chyba jawnych przeciwników

nowego projektu z wyjątkiem oczywiście Grubskiego. Jednakże nie wszystkich można było uważać za przekonanych zwolenników pomysłów Beridzego. Pomysły te obalały przyjęte dotychczas założenia i były tak śmiałe, że niektórzy inżynierowie - nie krytykując ich wprawdzie, a nawet zachwycając się nimi - w głębi duszy nie byli przeświadczeni, czy będzie można je zrealizować. Ten i ów nie rozumiał jeszcze Beridzego; przyznając mu talent i doświadczenie uważał go za zapaleńca i ryzykanta.

Batmanow, przekonawszy się naocznie, że pracownicy wszystkich odcinków trasy stają w obronie nowego projektu i nawet swoje życie układają już zgodnie z nowymi planami, zdawał sobie sprawę, że odrzucenie tego projektu jest już niemożliwością. Jednakże wyjazd do Rubieżańska i ta uprzednia narada nie były dla niego jedynie formalnością. Postanawiając wraz z Załkindem doprowadzić do swego rodzaju pojedynku pomiędzy Beridzem a Grubskim, obaj chcieli poddać projekt ostatecznej próbie. Obaj rozumieli, na jakie ryzyko się narażali, dając Beridzemu pełną swobodę w posunięciach realizacyjnych wówczas, kiedy projekt nie był jeszcze zatwierdzony. Jeśli w Rubieżańsku, a następnie w Moskwie projekt Beridzego znajdzie pozytywną ocenę - wszystko będzie w porządku. Ale co się stanie, jeżeli założenie Beridzego okaże się niesłuszne i zwycięży rozważna argumentacja Grubskiego? Wtedy budowa znajdzie się w ślepej uliczce, a oni - jej kierownicy - zostaną ukarani z całą surowością prawa wojennego.

Wszyscy wezwani przez Batmanowa zdawali sobie sprawę z powagi chwili. Fakt zwołania narady jeszcze bardziej to podkreślił niepokojąc umysły. Grieczkin idąc korytarzem z Filomonowem mówił z troską:

- Wierzymy w Beridzego, ale a nuż on się myli? Nie darmo wzywają nas do Rubieżańska. Prawdopodobnie i Moskwa zaalarmowała Pisariewa: zbadaj, co oni tam narobili!... Bądź co bądź ludzie przez lata biedzili się nad projektem, a nasz Gruzin od razu wywrócił go na nice!

Grieczkin przez rozmowę chciał rozwiać swoje wątpliwości, ale Filimonow, jak zwykle, milczał.

Pracownicy z uwagą obserwowali kierownika budowy starając się wyczytać z jego twarzy, co ich czeka. Batmanow jak zawsze był spokojny i rzeczowy. Jego słowo wstępne ani nie zwiększało wątpliwości, ani nie uspokajało. Miało się wrażenie, że postanowił nie wpływać na bieg sprawy. Przyglądając się zebranym widział wyraźnie, jakie ich opanowały nastroje. Nastroje te odbijały się nie tylko na twarzy Grieczkina, który nie umiał nic ukryć, ale nawet na twarzy nieprzeniknionego Filimonowa. Batmanowowi mimo woli przyszło na myśl, że jeszcze nigdy dotychczas w swojej pracy nie miał tak skomplikowanej sytuacji jak obecna. Właśnie teraz, kiedy armia jego pracowników była gotowa do akcji, wszystko mogło obrócić się wniwecz.

„Przeciwnicy" usiedli naprzeciw siebie. Tak jakoś dziwnie się złożyło, że Grubski został odosobniony - nikt nie zajął miejsca ani obok niego, ani w pobliżu. Pierwszy, wbrew oczekiwaniom, otrzymał głos Beridze. Grieczkin podniósł brwi ze zdumieniem: Batmanow jak gdyby celowo stawiał naczelnego inżyniera w mniej dogodnej pozycji.

Beridze trzymając przed oczami maszynopis referatu zaczął go czytać powoli i spokojnie. Jednak gdy doszedł do zasadniczej kwestii - przeniesienia trasy na lewy brzeg, rozgorączkował się, odsunął referat na bok i mówił bez przerwy przeszło godzinę. Aleksiej w toku wykładu demonstrował arkusze z wykresami i schematami. Swoim namiętnym i żywym przemówieniem Beridze porwał wszystkich i kiedy usiadł, zebrani nie mogli się powstrzymać od oklasków.

Wtedy podniósł się Grubski. Przed nim leżała sterta tomów starego projektu, oprawionych w granatowy dermatoid. Gdy zaczął mówić, położył na nich rękę; ten gest przesądzał niejako charakter jego wystąpienia. Nie poruszał niemal sprawy starego projektu. Uważał, że ilość i rozmiary

tomów świadczą same za siebie, nie potrzebują obrony. Ograniczył się tylko do krytyki projektu Beridzego i krytyka ta nie była pozbawiona argumentów. Mówił z przekonaniem, płynnie, i to wywoływało wrażenie.

Beridze nie odrywając od niego rozgorączkowanych oczu wybuchnął:

- Powinniście bronić swojego projektu, a nie napadać na cudzy! - wykrzyknął. - Można by sądzić, że zaproszono was na konsultację.

Grubski, zmarszczywszy brwi, poprosił, aby nie powtórzył się więcej atak na niego, wynikający z uczuciowego ustosunkowania się do zagadnienia, a nie mający nic wspólnego ze sprawą.

- Nie, moja reakcja uczuciowa ma związek ze sprawą! I byłoby dobrze, gdyby i was poniosło uczucie, gdybyście choć trochę przejęli się losem rurociągu i kraju!

- Nie mniej od was jestem przejęty losem rurociągu i kraju - odpowiedział poważnie Grubski nie patrząc na Beridzego.

- W takim razie przestańcie trzymać się tych grubych foliałów i wyjaśnijcie zwyczajnie, jak wykonać zadanie postawione przez rząd - krzyknął Beridze. - Napisał mi z frontu mój przyjaciel, artylerzysta, że wojna ujawniła nieprzydatność niektórych typów uzbrojenia; wasz projekt - to stara armata, którą należy jak najszybciej zastąpić nową. A wy wciąż usiłujecie zniszczyć nią wroga. Możecie z góry uważać się za pokonanego.

- A wy wymyśliliście nową armatę, która robi tylko dużo hałasu - odgryzł się Grubski. - Można z niej strzelać tylko do wróbli. Niestety, ta zabawa będzie drogo kosztować skarb państwa...

Rzeczowy charakter narady został naruszony. Liberman z ukosa spoglądając na Batmanowa zaczął coś szeptać do ucha Fiedosowa, wywołując jego uśmiech. Grieczkin wiódł ożywioną rozmowę z Filimonowem. Aleksiej patrzał ze zdumieniem na Batmanowa nie pojmując jego bierności. Rzeczywiście, kierownik budowy jakby usunął się od przewodniczenia naradzie - nie przerywał słownego pojedynku Beridzego z Grubskim, ograniczając się do pilnego wysłuchiwania argumentów jednej i drugiej strony.

Gdy wreszcie obydwaj przeciwnicy umilkli, Batmanow zwrócił się do głównego inżyniera z prośbą, aby pokrótce powtórzył podstawowe założenia swego projektu. Beridze uważnie spojrzał na Batmanowa i jak gdyby pokrzepiony jego spokojem streścił w ciągu dziesięciu minut tezy swego referatu.

- Proponujemy - mówił - wytyczyć trasę rurociągu do Olgochty wzdłuż lewego brzegu. Co nam to da? Skrócimy rurociąg o pięćdziesiąt kilometrów, dzięki temu wystarczy nam rur - to raz. Ułatwimy ułożenie rurociągu, ponieważ profil lewego brzegu jest o wiele równiejszy - to dwa. Idąc lewym brzegiem omijamy prawobrzeżne pasmo wzgórz, wskutek czego nie zachodzi potrzeba budowania drugiej stacji pomp do przetłaczania ropy naftowej na odcinku lądowym - oto trzy. Nie trzeba będzie dwukrotnie przechodzić przez Adun, a zatem unikniemy konieczności robienia przepustów, kosztownych i wymagających wiele pracy - to cztery. Wreszcie jest jeszcze jeden wzgląd przemawiający za lewym brzegiem. Kierownictwo budowy nie jest wprawdzie tym bezpośrednio zainteresowane, ale zainteresowany jest kraj, miasto Nowińsk i mieszkańcy wszystkich osiedli nad Adunem. Jak wiadomo, w Nowińsku kończy się odgałęzienie biegnące od magistrali kolejowej. Dalej na północ drogi nie ma. Nasza trasa na lewym brzegu stworzy tę drogę od Nowińska na północ. W ciągu całego roku miasto będzie miało dobre połączenie ze wszystkimi osiedlami nad Adunem, bo tylko niektóre z nich są położone na prawym brzegu. Ponadto droga ta zbliży nas do rzeki Olgochty,

która, według mojego głębokiego przekonania, będzie w przyszłości źródłem energii elektrycznej dla przemysłu w Nowińsku. Właśnie na Olgochcie mieszkańcy Dalekiego Wschodu zbudują pierwszą elektrownię wodną wielkiej mocy.

- Nawiasem mówiąc, towarzysze, projekt tej elektrowni jest stworzony także przez naszego naczelnego inżyniera! - krzyknął Grieczkin, którego porwało na pozór suche, ale bogate w treść wyliczenie Beridzego.

Filimonow po cichu przywołał go do porządku. Grieczkin obejrzał się i zmieszany zaczął szeptać sąsiadowi do ucha:

- Przeklęty brodacz, po prostu zahipnotyzował człowieka. Jak zacznie mówić, jak zaświeci ślepiami, to dech mi zapiera! Zapomniałem już o wszystkich swoich wątpliwościach...

- Planujemy - Beridze podniósł głos - wykonanie przejścia przez cieśninę w zimie nie czekając lata. Mamy zamiar przekopywać rów na dnie zalewu nie kopaczkami, lecz przy pomocy wybuchów. Spawać rury będziemy na brzegu dłuższymi odcinkami, aby następnie ściągać je traktorami na lód i opuszczać na dno. Kładziemy poza tym w nowym projekcie nacisk na poważne zmniejszenie prac, które muszą być wykonane w pierwszej kolejności. Do chwili puszczenia ropy przez rurociąg musimy robić tylko to, co jest bezpośrednio związane ze sprawnym działaniem przewodów, resztę można zrobić później. W ten sposób zaoszczędzimy wiele czasu i podołamy pracy z tą ilością rąk roboczych, jaką rozporządzamy... Co proponujemy na razie zredukować? Przy przejściach przez rzekę i przez cieśninę nie budować od razu dwóch linii rurociągu, lecz poprzestać na jednej. Drugą, zapasową linię będzie można przeprowadzić wówczas, gdy ropa będzie już przepływać pierwszą. Można śmiało dwukrotnie zmniejszyć objętość zbiorników, na pośrednich punktach przetokowych, a zbiorniki o pełnych objętościach wybudować znowu później...

Beridze powiódł wzrokiem po obecnych i mówił dalej:

- Wiemy, że licząc się z warunkami zimy na Dalekim Wschodzie musimy rurociąg zakopać w ziemię na głębokość dwóch metrów i dziesięciu centymetrów. Jest to podyktowane koniecznością zachowania dla rur niezmiennych warunków termicznych, mówiąc prościej - chodzi o to, aby zabezpieczyć rury przed zamarzaniem i skutkami dużych wahań temperatury. Z tego wynika, że na całej długości rurociągu trzeba będzie wykopać rów i ułożywszy w nim rury przykryć go z powrotem wyrzuconą poprzednio ziemią. A to nie jeden milion metrów sześciennych! Gdybyśmy nawet zmobilizowali wszystkie kopaczki, włączając te, które nam przydzieli kraj, nie bylibyśmy w stanie przerzucić tyle ziemi bez podwojenia ilości rąk roboczych. Dlatego projektujemy przekopanie rowu o głębokości jednego metra, a nie dwóch, następnie zaś, gdy zluzuje się główna masa sił roboczych, usypiemy nad tym rowem wał wysokości jednego metra. Tylko w taki sposób możemy wybrnąć z tej sytuacji bez zwracania się do rządu o dostarczenie jeszcze kilku tysięcy robotników... Tak w skróceniu przedstawiają się nasze zasadnicze propozycje. Można je potwierdzić jeszcze raz technicznymi obliczeniami... Pozwólcie, że wyciągnę wniosek: wszystkie wskazania nowego projektu wzięte razem pozwolą nam w terminie, tj. do przyszłej rocznicy Października, puścić ropę naftową z wyspy do Nowińska!

Większość uczestników zebrania już wcześniej wiedziała o tym, co jeszcze raz powtórzył Beridze. Oczywiście i Batmanow był także doskonale zorientowany w szczegółach nowego projektu. Mimo to i on, i wszyscy pozostali wysłuchali wywodów naczelnego inżyniera ze skupioną uwagą, głęboko zastanawiając się nad każdym jego zdaniem. Batmanow poprosił również Grubskiego o powtórzenie swoich zastrzeżeń. Z kolei wszyscy zwrócili się znowu w stronę małego człowieczka o ptasim wyrazie twarzy.

- Gdy człowiek zostanie opętany manią wynalazczości i weźmie sobie za zadanie na nowo odkryć Amerykę - zaczął z ironicznym uśmiechem Grubski - musi wyglądać właśnie tak, jak inżynier Beridze. Trasa została wytyczona na prawym brzegu - nie, on musi ją koniecznie przeciągać na lewy! Nie mam żadnych wątpliwości, że gdyby według naszego projektu trasa przebiegała wzdłuż lewego brzegu, wynalazca zaproponowałby przenieść ją na prawy.

- Zaproponowałbym, gdyby to rozwiązywało zagadnienie! - rzucił mu w odpowiedzi Beridze.

- Właśnie, właśnie! Cała wynalazczość inżyniera Beridze jest tego rodzaju. Jeżeli przez rzeki muszą być przeprowadzone dwie linie - on proponuje ograniczyć się do jednej. Jeżeli do normalnej eksploatacji ropy są potrzebne cysterny o wielkiej objętości - wynalazca postanawia je zmniejszyć. Jeżeli postawiono warunek, że rurociąg musi znajdować się w ziemi na dwumetrowej głębokości - wynalazca ma już gotowy inny wariant: jeden metr!... Wszystko to jest już zbyt prymitywne! Szkoda, że towarzysze przyjmują to wszystko poważnie. Ja rozumiem, że chciałoby się dopomóc sprawie - ale te niepowściągliwe i nieodpowiedzialne idee Beridzego przyniosą tylko szkodę.

- Wy mówicie o odpowiedzialności! Wy, którzy nie rozumiecie jej znaczenia! - wybuchnął Beridze, rozdrażniony skrzypliwym, rozwlekłym głosem swego oponenta. - Nie wadziłoby pomyśleć o tym, konsultancie Grubski, że wasza praca kończy się na rozmówkach i papierkach, a moja się od nich zaczyna. Ja będę budować, nie wy! I nie tylko budować, ale i odpowiadać za wybudowane. Jestem naczelnym inżynierem budowy i nie zapominam o tym.

- O tym pamiętają nawet sprzątaczki z zarządu - od niechcenia powiedział Grubski.

Załkind z gniewem rzucił ołówek na stół, wstał i przeszedł się po pokoju.

- Naczelny inżynier został mianowany przez przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych - powiedział sucho, zatrzymując się przy Grubskim. - Radziłbym wam również poważnie potraktować jego koncepcje. Szkoda, że do tej pory nie zainteresowaliście się nimi. Szkoda również, że nie rozumiecie, po co zebraliśmy się dzisiaj i dlaczego kierownik budowy dwukrotnie udzielił wam głosu. Częstujecie nas dowcipami, jak gdyby one nas interesowały.

Grubski nie mogąc wytrzymać wzroku partorga odwrócił się.

- Ja także jestem żywym człowiekiem i trudno mi nie odpowiadać Beridzemu - rzekł cicho, jakby się zwracał tylko do Załkinda. - Dlatego przerzucam się z rzeczowej dyskusji do polemiki. Proszę wierzyć, że jestem głęboko przekonany o błędności koncepcji naczelnego inżyniera. – Umilkł i drżącą dłonią tarł wysokie czoło, wklęśnięte w skroniach. - Pozostawałoby mi tylko pogratulować mu świetnego zwycięstwa i pokłonić się do ziemi, gdyby to wszystko, co proponuje, było oparte na podstawach naukowych i technicznie wykonalne. Ale nieszczęście polega na tym, że chęć służenia sprawie i temperament Beridzego nie pozwalają mu trzeźwo spojrzeć na to, że wyciąga pochopne i błędne wnioski... Wciąż będę powtarzać: nasz projekt jest dziełem ludzi, którzy nie żałowali swego trudu ani czasu. Nasze decyzje zapadły nie przypadkowo. Dlaczego wybraliśmy prawy brzeg wytyczając bieg trasy? Czyżbyśmy nie widzieli zalet lewego brzegu, które dojrzał Beridze? Owszem, widzieliśmy je, ale lewy brzeg jest w całym szeregu miejsc zatapiany w okresie powodzi, przy tym należy zaznaczyć, że w historii Adunu znane są lata, kiedy powódź przybiera tam rozmiary katastrofalne! Nie trudno jest zrozumieć, że zalanie rurociągu w rowie oznacza wstrzymanie prac na bardzo długi okres czasu. Tu nie może być żadnej dyskusji, wystarczy przejrzeć techniczną literaturę. Zagraniczne powagi naukowe zabraniają układać rurociąg w warunkach takich, jakie istnieją na lewym brzegu.

Otworzył jeden z leżących przed nim tomów i przeczytał najpierw po angielsku, a następnie po rosyjsku dwa zdania potwierdzające jego słowa.

- Mam własną głowę na karku - powiedział Beridze. - I nie chce słuchać we wszystkim waszych niemieckich i amerykańskich autorytetów. Nie są bogami i bardzo często się mylą. I bynajmniej nie wszystko wiedzą!

- Ich zdania nie może ignorować żaden wykształcony inżynier - odpowiedział z godnością Grubski unosząc księgę wysoko nad głową. - Lewy brzeg jest wykluczony, a jeśli tak - trzeba się wyrzec jego kuszących korzyści. Trzeba będzie jednak budować w Olgochcie drugą stację pomp, chociaż, oczywiście - byłoby lepiej obejść się bez niej. Uważam, że nawet przy lewobrzeżnym wariancie byłoby ryzykowne wyrzekać się budowy drugiej stacji. Proszę sobie wyobrazić, jakie będzie ciśnienie podczas przetaczania, jeżeli na lądzie zrobimy tylko jedną stację. W pewnym momencie możemy się znaleźć w absurdalnym położeniu: ciśnienie tej stacji okaże się nagle nie wystarczające, aby przetoczyć ropę do Nowińska. Co wtedy począć?

Grubski zaczerpnął tchu i wytarł spocone czoło śnieżnobiałą chusteczką.

- Trzeba będzie także budować dwa przejścia przez Adun, gdyż przecina on dwukrotnie trasę na prawym brzegu. Ludność nad Adunem będzie musiała przez jakiś czas obejść się jeszcze bez drogi do Nowińska, która - zgadzam się ze zdaniem naczelnego inżyniera - o wiele bardziej jest potrzebna na lewym brzegu niż na prawym. Pozostałe jego propozycje sprowadzają się do tego, żeby techniczne wyposażenia przyszłego rurociągu okroić i zredukować. Można i tak oczywiście upraszczać sprawę, tylko przedtem warto zastanowić się nad niewygodami i ograniczeniami, jakie powstaną już w czasie eksploatacji urządzenia. Obawiam się...

- Wy się wszystkiego boicie! - nie wytrzymał znów Beridze. - Jako inżynierowi powinno wam być wiadome, że w pracy każdego mechanizmu czy instalacji są limity, ograniczenia!

Batmanow z lekka pokręcił głową usiłując pohamować Beridzego. Z nie słabnącą uwagą słuchał Grubskiego i zauważył na twarzach uczestników narady pewne zakłopotanie. Wzrok jego spotkał się z zaniepokojonym, prawie błagalnym spojrzeniem Aleksieja. Im dłużej Batmanow słuchał Grubskiego kontrolując swój stosunek do jego kontrargumentów, tym bliżej i jaśniej robiło mu się na sercu.

- Przytoczę tylko dwa przykłady, aby przekonać was o ryzyku skracania i redukowania - kontynuował Grubski. - Proponują nam tu, abyśmy z początku budowali tylko jedną linię na przejściach. Wykluczone! Muszą być koniecznie i właśnie od razu dwie! Proszę sobie wyobrazić, że nastąpiło rozsadzenie jednej rury w cieśninie albo w rzece, pod wodą. Co wtedy robić, gdy nie będzie linii zapasowej ? Dostawa ropy naftowej zostanie wstrzymana aż do czasu naprawy jedynego rurociągu. Piękna to będzie robota!... Proponują nam, aby zmniejszyć objętość zbiorników na stacjach węzłowych. Wykluczone! Nieodzowne są duże zbiorniki, ponieważ w razie uszkodzenia spojeń rurociągu gdziekolwiek na odcinku część rurociągu leżąca przed miejscem przerwania będzie pompowała ropę do zbiorników na węzłowych stacjach. A jeśli nie będzie takich zbiorników, to dokąd pompować ropę? Czy znów unieruchomić rurociąg? Bardzo źle obmyślane, bardzo źle!...

Grubski umilkł, lecz jeszcze nie siadał. Wtedy Batmanow zwrócił się do niego:

- Skończyliście już?

- Skończyłem - odpowiedział Grubski i spojrzał na siedzącego z boku w głębokim fotelu Topolewa. Starzec przez cały czas dyskusji nie zabierał głosu. - Nie miałem zamiaru - dodał jeszcze - zaczepiać pomysłów dotyczących cieśniny. Moim zdaniem nie wytrzymują one krytyki. Lecz inżynier naczelny mówił o nich z takim zapałem i powagą, że nie wolno pominąć milczeniem i tej części projektu. Ja kategorycznie sprzeciwiam się spawaniu w zimie. Beridze nie może nie wiedzieć, że jest to uważane za sprzeczne z zasadami techniki. - Grubski prawie uroczyście podniósł do góry jeszcze jedną grubą

księgę. - Co się zaś tyczy przekopywania rowu w cieśninie metodą wybuchów, to jest to w ogóle wymysł dziecinny.

- Za tym projektem stoi czterdziestoletnie doświadczenie rosyjskiego inżyniera Topolewa! - z oburzeniem krzyknął Aleksiej.

Wszyscy spojrzeli w stronę Kuźmy Kuźmicza i uśmiechnęli się - starzec siedział bez ruchu, jakby drzemał.

- Bardzo cenię wieloletnią działalność inżyniera Topolewa, lecz powiem uczciwie: propozycja jego jest całkowicie nierozsądna. Przecież to śmieszne: dla założenia wybuchowego materiału nurkowie muszą wiercić dziury w dnie morskim pod lodem i wodą. Może byłoby lepiej w ogóle polecić nurkom odręczne wykopanie rowu w cieśninie?

- Już wam tłumaczono, że nie mamy zamiaru dłubać dna i zakładać ładunków - rozległ się nagle głęboki bas Topolewa, który podniósł głowę i patrzał gniewnie na swego byłego zwierzchnika. - Nie zrozumieliście absolutnie nic, a zabieracie się do krytyki! Opuścimy ładunek na dno, spowodujemy wybuch - i sprawa załatwiona.

- Wysadzicie tylko lód i wodę! - uśmiechnął się Grubski, zadowolony z tego, że udało mu się sprowokować starca do polemiki.

- Bzdury! - powiedział ze wzgardą Topolew. - Ładunek z jednakową siłą uderzy w górę - w warstwę wody i lodu, i w dół - w ziemię. Uderzenie w dół utworzy rów.

- Wątpliwe! - uśmiechnął się Grubski. - Bardzo wątpliwe!

- Osobiście będę realizować w praktyce swój projekt i zapraszam tego oto sceptyka, żeby się przejechał do cieśniny - zwrócił się Topolew do Batmanowa. - Jeśli nie boi się przeziębienia, to będzie miał możność zobaczenia tego, czego jeszcze nie opisano w jego grubych zagranicznych księgach, przystosowanych do wszystkich okoliczności życia!...

Wśród ciszy, która powstała, gdy Grubski wreszcie usiadł, wszyscy zebrani nie wyłączając Załkinda i Beridzego spojrzeli na Batmanowa. Ten milczał i jakby na coś czekając spoglądał teraz na twarze siedzących przed nim ludzi. Kowszow niecierpliwie jak student podniósł do góry rękę prosząc o głos. Batmanow odpowiedział mu ledwo dostrzegalnym uśmiechem i Aleksiej zrozumiał, że już nic więcej mówić nie trzeba, że wszystko powie sam Batmanow. Wasilij Maksimowicz zgasił papierosa, szepnął coś Załkindowi i powstał, obciągając dobrze na nim leżącą bluzę.

- Widzę wielką obiektywną korzyść w tym starciu, którego byliśmy świadkami - rozpoczął. - Pozycja naszego projektu - zaakcentował słowo „naszego” - jest teraz wyraźniejsza i mocniejsza. Towarzysz Grubski tylko krytykował, ale sam nic nie chciał zaproponować. Stało się więc, że stworzony w rekordowo krótkim czasie nowy projekt jest jedynym wyjściem z sytuacji. Byłoby oczywiście źle, gdybyśmy na ślepo przyjęli pomysły Beridzego i jego pomocników, nie zbadawszy ich należycie. Okazalibyśmy wówczas nierozważną młodzieńczą ufność, a tego nam robić nie wolno. Jednakże w nowym projekcie wszystko jest ujęte w granicach naszego zrozumienia, nie ma w nim specjalnie skomplikowanych rzeczy i widzimy, wiemy, przekonani jesteśmy, że nowe techniczne rozwiązania są zupełnie solidne, uzasadnione i opierają się na obliczeniach i obserwacjach, na doświadczeniu całego kolektywu inżynierów, a nie tylko samego Beridzego. Czy projekt jest śmiały? Tak! Ale wszakże i my nie należymy do tych, co się boją. Czy propozycje naszych inżynierów są ryzykowne? Owszem, ryzykowne! Lecz my nie boimy się ryzyka. Nasze ryzyko nie jest bynajmniej niedorzeczne i ślepe.

Ryzyko Beridzego - to ryzyko nowatora, a my przecież dokonaliśmy całej technicznej rewolucji w naszym kraju ryzykując coś niecoś.

Wziął leżący na stole referat Beridzego, podniósł, jakby go ważył, i zamyślił się przez chwilę.

- W ostatecznym rachunku ja pierwszy odpowiadam za was wszystkich i za los budowy. I nie boję się ponieść odpowiedzialności za konsekwencje mojej decyzji. Wyobraźcie sobie, towarzyszu Grubski, że teraz, w tej chwili, dowodzący armią N podejmuje ważną decyzję tam, na froncie. Czy ryzykuje czy nie? Tak, ryzykuje! Bo na świecie żadna istotna rzecz nie powstaje bez ryzyka...

Słowa Batmanowa, jak zwykle, coraz bardziej zniewalały słuchaczy swą skupioną wewnętrzną siłą. Liberman z zaciekawienia znieruchomiał; widocznie dopiero teraz zrozumiał, że spór inżynierów to nie drobnostka i nie zabawa. Topolew podniósł głowę, Aleksiej i Grieczkin nie spuszczali oczu z twarzy mówiącego. Nie ograniczając się do ogólnej oceny Batmanow przeprowadził analizę dwóch zasadniczo różnych koncepcji inżynierskich i Aleksiej poczuł się dumny z kierownika budowy, doskonale orientującego się w najdrobniejszych, bardzo specjalnych zagadnieniach.

- Jasne jest dla mnie, jak dwa razy dwa, że autorzy poprzedniego projektu popełnili błąd poddając się niewolniczo wpływom autorytetów, do których tutaj z takich wzruszeniem modlił się Grubski. Nie mam zamiaru odrzucać zupełnie doświadczenia zagranicznej techniki; to byłoby nieuctwem. Ja tylko zgadzam się z Beridzem, że trzeba mieć własną głowę na karku! Żal mi tych ludzi, którzy razem z wami, towarzyszu Grubski, pracowali nad projektem. Otumaniliście ich swoim błędnym założeniem podstawowym; cała ich praca poszła na marne... Tak, stała się bezużyteczna, a nawet szkodliwa. Zadawałem sobie już pytanie, czy problem budowy rurociągu w terminie jednego roku jest problemem tylko okresu wojennego? Czy termin trzyletni nie jest błędny zasadniczo? Według mego zdania, przy uwzględnieniu wszystkich okoliczności, jest rzeczą niedopuszczalną układanie rurociągu w tak długim terminie. Przed wojną również nie należało prowadzić trasy wzdłuż prawego brzegu, nie uwzględniając interesów ludności i pomocy z jej strony, nie uwzględniając rozlicznych możliwości zaoszczędzenia środków. Tu tkwił błąd, wypływający z niefrasobliwości i z obojętnego stosunku do sprawy tempa. Wojna dopomogła do wykrycia tego błędu. Wojna i przezorność naszego rządu. Jestem jednak przekonany, że gdyby Beridze był tu wydelegowany przed wojną - to i wtedy zaplanowałby robotę na okres znacznie krótszy. Cała praktyka socjalistycznego budownictwa nauczyła Beridzego oszczędzania czasu. Szkoda, że nie nauczył się tego Grubski. Chciałbym jeszcze powiedzieć towarzyszowi Grubskiemu... Nam teraz roczny termin budowy wydaje się bardzo krótki. Ale kto wie, czy po wojnie to tempo nie wyda się nam samym dostateczne?...

Batmanow przeszedł się tam i z powrotem koło okna i ciągnął dalej:

- Materiały zebrane przez Beridzego i Kowszowa niezbicie dowodzą, że trasę należy przeprowadzić wzdłuż lewego brzegu. Inżynierowie słusznie postąpili, że nie ograniczyli się tylko do podręczników, lecz poszli w teren i omówili z ludźmi swoje pomysły. W ogóle, należy jeszcze raz przypomnieć, że te pomysły powstały i u góry - u inżyniera naczelnego, i w dole - u prostych ludzi z trasy. Daremnie Grubski z zarozumiałością odrzucił je w swoim czasie; wysunęło je samo życie!...

Batmanow uśmiechnął się.

- Zastraszające zaklęcia na temat tego, że lewy brzeg podlega katastrofalnym powodziom, są wyolbrzymione. Istotnie, dwa odcinki na lewym brzegu są zalewane częściej niż na prawym. To nas nie powinno przestraszać. Towarzysz Beridze słusznie mówi, że możliwość uszkodzenia poszczególnych połączeń rurociągu będzie istniała w przejściowych porach roku, w okresach przejścia od zimy do wiosny i od jesieni ku zimie, w momentach gwałtownych zmian temperatury. A przecież

Adun wylewa w lipcu i sierpniu, kiedy pęknięcia połączeń są najmniej prawdopodobne... Załóżmy jednakże, że rurociąg będzie zalany. Nasi nowatorzy dowodzą, wbrew wszelkim autorytetom, że nie należy obawiać się wody. Dobrze izolowana rura posiada najlepsze warunki statyczne znajdując się właśnie w wodzie. Woda w rowie stwarza miękkie łożysko dla rurociągu i zmniejsza ciśnienie ziemi, którą jest zasypany... Poza tym, na tych najbardziej zatapianych odcinkach, siódmym i ósmym, ciśnienie wewnątrz rurociągu nie będzie przekraczało piętnastu atmosfer. To bardzo niewiele - nieznaczna część tego ciśnienia o sile siedemdziesięciu atmosfer, na jakie rurociąg jest obliczony. Przy takim ciśnieniu pęknięcia połączeń są rzeczywiście wykluczone.

Batmanow w roztargnieniu wziął papieros, włożył go do ust. później odłożył na stół.

- Te sprawy są tak jasne i przekonywające, że rozmiar błędów Grubskiego, który dotąd nie chce skapitulować, aż zdumiewa!... Pozostałe jego zarzuty są, na szczęście, albo czysto polemiczne i pozbawione uzasadnienia, jak na przykład kwestionowanie projektu użycia materiałów wybuchowych, albo po prostu nieuczciwe. Grubski zapewniał nas, że Beridze, zdaje się, z góry przekreślił los przyszłego rurociągu, bo postanowił ograniczyć jego techniczne wyposażenie! Ale przecież chodzi tylko o to, żeby całą pracę podzielić na dwa etapy: najpierw zrobić wszystko, co jest konieczne dla puszczenia ropy, a następnie, w drugim etapie, już po wykonaniu podstawowego zadania, zleconego przez rząd, uzupełnić resztę. Grubski nas straszy, ale my się nie boimy! Nie boimy się rozpocząć przetaczania ropy jednym przewodem przez cieśninę i rzeki. Gdybyśmy poszli po linii obaw Grubskiego, to trzeba by powiedzieć, że i dwóch przewodów byłoby za mało, bo przecież obydwa mogłyby niespodzianie ulec uszkodzeniu... Po uruchomieniu jednego przewodu ułożymy oczywiście drugi. A gdyby nawet coś się wydarzyło, to będzie pod ręką cała armia naszych pracowników, która natychmiast przyjdzie z pomocą. Słowem, nie trzeba się bać, będziemy ryzykować, towarzysze! Proponuję uznać te słowa za uchwałę naszej narady: będziemy ryzykować!

Batmanow rozłożył szeroko ręce i roześmiał się. W gabinecie aż huczało od okrzyków entuzjazmu. Wasilij Maksimowicz usiadł na swoim miejscu i zapalił papierosa, chciwie zaciągając się raz za razem.

Aleksiej spojrzał w stronę Grubskiego. Ten, zapomniany przez wszystkich, siedział osamotniony za stosem książek i tomów projektu. Wyciągając szyję patrzał na Batmanowa zrozpaczonym wzrokiem i miało się wrażenie, że lada chwila były naczelny inżynier wybuchnie płaczem...

W Rubieżańsku wysiadających z wagonu Batmanowa, Załkinda, Beridzego, Kowszowa i Grubskiego powitał lejtenant, sekretarz Pisariewa. Usadowił wszystkich w dwóch samochodach. W tej chwili nad placem dworcowym zawyła syrena, a po niej rozległ się głos megafonu, powtarzający monotonnie: „Obywatele, alarm lotniczy".

- Pełnym gazem! - krzyknął lejtenant do szofera. - Musimy przejechać bez zatrzymywania się. - Odwróciwszy się do siedzących z tyłu Batmanowa i Załkinda, powiedział: - do granicy jest dziesięć minut lotu, dlatego urządzamy stale ćwiczenia i alarmy. A u was, w Nowińsku, spokojnie?

Obydwa samochody trąbiąc mknęły po opustoszałych w jednej chwili ulicach. Nad miastem nisko przelatywały eskadry samolotów. Na skrzyżowaniach obsługa artylerii przeciwlotniczej pospiesznie ściągała z dział pokrowce. Oddziały obrony przeciwlotniczej z maskami gazowymi i z noszami biegły na wyznaczone miejsca. Z przeciwnej strony wypadły z rykiem trzy samochody służby pogotowia technicznego.

- Instytut Pedagogiczny... Cyrk.. Biblioteka naukowa... Pierwszy szpital miejski... Teatr dramatyczny... Instytut lekarski - lejtenant wymieniał migające po obu stronach budynki.

Przejechawszy wbrew sygnałom miejsce „uszkodzone przez bombardowanie", samochody skręciły w główną ulicę miasta. Szeroka, asfaltowa z wysokimi murowanymi domami miała wygląd ulicy stołecznego miasta. Samochody podjechały pod wielki, pięciopiętrowy, szary gmach Krajowego Komitetu Partii.

- Pełnomocnik jest u sekretarza Krajowego Komitetu Partii, kazał was przywieźć wprost tutaj - wyjaśnił lejtenant.

Batmanow i Załkind weszli od razu do gabinetu Dudina, inżynierowie zatrzymali się w poczekalni. Grubski usiadł z boku na kanapie i zaczął przeglądać jedną z leżących na stoliku gazet. Beridze przystanął przed ogromnym, sięgającym do sufitu oknem. Stąd z wysokości czwartego piętra widać było całe miasto, szeroko rozłożone na wzgórzach. Spadziste ulice pełne słońca, na dachach domów błyszczał śnieg. Szeroki Adun opasywał miasto półkolem - szary przestwór zamarzniętej rzeki sięgał do linii horyzontu.

- Cóż się tak zamyśliłeś? - zapytał Aleksiej kładąc dłoń na ramieniu Beridzego.

- Myślę wciąż o Tatjanie. W tym mieście wychowała się. Chcę zobaczyć się z jej matką.

W tej chwili wezwano ich do gabinetu - dużego i jasnego z masywnymi mahoniowymi meblami. Batmanow przedstawił inżynierów. Pisariew, wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w mundurze generała, z siwymi, zaczesanymi do góry włosami i poważną twarzą, podniósł się z fotela, energicznie uścisnął ich dłonie i lekko przymrużywszy oczy uważnie przyjrzał się każdemu z nich. Dudin, niewysokiego wzrostu, otyły, chociaż jeszcze młody, z odznaką Rady Najwyższej na kurtce wojskowego kroju, powitał uprzejmie Beridzego, jak starego znajomego, i z zainteresowaniem patrzał na Kowszowa i Grubskiego.

Dudin zaczekał na wezwanych przez niego pracowników Komitetu i stenografistkę, następnie zatelefonował, a dowiedziawszy się, że przewodniczący Krajowego Komitetu Wykonawczego wyjechał nagle do jednej z fabryk i nie może przybyć - od razu, bez specjalnego zagajenia oddał głos Batmanowowi. Kierownik budowy szczegółowo i jasno opowiedział o konflikcie między Beridzem i Grubskim, o nowym projekcie, o odbytej naradzie w zarządzie i o stanie prac, prowadzonych już faktycznie według nowego projektu. Kończąc położył przed Pisariewem i Dudinem egzemplarze protokołów z narady.

- Posłuchamy inżynierów - powiedział Dudin i zwrócił się do Grubskiego: - udzielam wam głosu. Powiedzcie wszystko. Projekt decyduje o losie rurociągu. Musimy wiedzieć, czy kierownicy budowy mylą się czy nie.

Grubski referował gruntownie, powołując się na wykresy i obliczenia. Wyłożył tezy starego, potem nowego projektu i zakończył krytyką projektu Beridzego. Mówił jakoś niepewnie i bez zapału. Zauważył to nawet Beridze i ze zdumieniem spojrzał na przeciwnika. Widocznie Grubski nie wierzył już, że uda mu się obronić swój punkt widzenia.

Beridze w ciągu pół godziny wyliczył wszystkie argumenty przemawiające za jego projektem. Mówił spokojnie i już bez polemicznych zaczepek. Batmanow uśmiechając się w głębi ducha, słuchał przypominając sobie, z jaką zaciekłością spierali się inżynierowie obrażając jeden drugiego w jego gabinecie. Wypowiedziawszy sobie wszystko na naradzie, stanęli teraz, jak na to liczył kierownik budowy, wolni od namiętności i od tego wszystkiego, co mogło utrudnić Pisariewowi i Dudinowi wniknięcie w istotę sprawy.

„Takie oczy widzą wszystko” - pomyślał Aleksiej zauważywszy, że Pisariew przypatruje się bacznie Grubskiemu. Kowszow nie odczuwał już żadnego niepokoju, choć właśnie dopiero teraz rozstrzygał się ostatecznie los projektu. Prawdopodobnie nastroiła go tak niepewność Grubskiego i twardy ton Beridzego.

- Argumenty towarzysza Beridzego są wam znane nie od dzisiaj ? - zapytał Dudin Grubskiego. - Spór wasz zaczął się od pierwszych dni znajomości. Powiedzcie nam rzetelnie: czy od tego momentu, kiedy wysłaliście do nas swój memoriał, wasze stanowisko nie uległo zmianie? Może trudno wam przezwyciężyć w sobie ducha przekory? Bywa przecież tak, że człowiek coś przedsięweźmie, zrobi fałszywy krok i potem jest mu trudno wycofać się. Przyznajcie się, póki nie jest za późno. Budowa, jak powiedział towarzysz Batmanow, rozwija się w kierunku wskazanym przez nowy projekt; jeżeli ten kierunek jest fałszywy - to mamy katastrofę i to nie do poprawienia.

- Jestem głęboko przekonany, że towarzysze obrali fałszywą drogę. Obecny stan robót jest istotnie katastrofą - oświadczył znowu Grubski.

- Co proponujecie, aby wycofać budowę z „katastrofalnej” sytuacji i wykonać polecenie rządu?

- Niestety, nic nie mogę zaproponować - przyznał się Grubski. - W takim terminie nie można zbudować rurociągu. Lepiej przyznać się do tego teraz niż potem, kiedy ogromny wysiłek wielu ludzi pójdzie na marne...

Sekretarz Komitetu spojrzał na Grubskiego z wyraźną niechęcią.

- To jest odpowiedź nie przemyślana i niesłuszna, towarzyszu Grubski. A mieliście dość czasu na rozmyślania...

Grubski milczał opuściwszy ręce, z trudem wytrzymując skierowany na siebie wzrok Dudina.

- Wiecie, kto was podtrzymuje w przekonaniu, że rurociągu nie można zbudować? - zapytał Pisariew. Miał wyrazisty, niski głos i mówił bez pośpiechu. - Wyobraźcie sobie, że Goebbels! On jest tego samego zdania. Tak, tak, nie oburzajcie się! - podniósł nieco głos zauważywszy, że Grubski drgnął i poczerwieniał. - Wiedzcie, że w ostatnich tygodniach niemieckie gazety na zlecenie Goebbelsa piszą o waszej budowie. Sens tej faszystowskiej pisaniny jest mniej więcej taki: bolszewicy przedsięwzięli budowę rurociągu naftowego z Tajsinu do Nowińska, odgrażając się, że potrafią go przeciągnąć pod burzliwymi wodami Cieśniny Dżagdyńskiej. Ten pomysł bolszewików, oczywiście, nie ma żadnego praktycznego znaczenia, ale jest ciekawy jako przykład ich propagandy, która usiłuje przekonać, że wojna potrwa dłużej niż jeden rok. Ostatecznie, powiadają pomocnicy Goebbelsa, niech się wysilają, niech budują ten rurociąg. Wojna wkrótce będzie zakończona, a wszystko, co zdołają zrobić, dostanie się w ręce naszych przyjaciół na Dalekim Wschodzie. - Pisariew milczał przez chwilę i dodał szyderczo: - Nic innego nam nie pozostaje, jak pogratulować zgodności poglądów...

Grubski porwał się, aby coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu. Zachwiał się, usiadł i zakrył twarz rękami.

- Nie wyobrażacie sobie, jak ryzykowne jest to, co proponuje Beridze! - wykrzyknął wreszcie z siłą, przenosząc wzrok z Pisariewa na Dudina. - Jakże mam was przekonać? Wszystkie bezcenne środki, które zużytkujemy teraz, pójdą na marne...

Pisariew pokiwał głową, z hałasem odsunął fotel i wstał.

- Wyobrażam sobie, że właśnie tak rozumują niektórzy panowie w Ameryce. Nie należy, powiadają, pomagać Związkowi Radzieckiemu w budowie rurociągu na Dalekim Wschodzie. Oni i tak już przegrali

wojnę. A gdyby nawet stał się cud i udałoby się im przeciągnąć rurociąg przez tajgę – to i tak stanie się on łupem Japończyków. Szkoda tedy naszych pieniędzy i materiałów. Radziłbym wam, Grubski, zastanowić się poważnie nad waszą rolą. Zarząd nie składał skarg na was, my jednak zdajemy sobie sprawę, ile krwi napsuliście Beridzemu i jego pomocnikom. Inżynier z was tęgi, z autorytetem, nie łatwo was zbyć byle czym... Słuchałem was i starałem się odgadnąć na czym polega wasz błąd, który w istocie doprowadził was do ostatecznego zerwania z budową.

Beridze i Aleksiej siedzieli bez poruszenia. Oskarżenie, wypowiedziane przez Pisariewa, było bardzo ciężkie. Grubski jeszcze niżej opuścił głowę.

- Straciliście wszelkie poczucie rzeczywistości i odpowiedzialności - wtrącił Dudin. - Jak to się mogło stać, że nie pomogliście Reridzemu? Przecież Topolew zrozumiał, po czyjej stronie jest słuszność! Zlękliście się ryzyka? Postanowiliście odżegnać się od niego? A czegóż poważnego można dokonać na świecie nie ryzykując?

Aleksiej i Beridze zamienili spojrzenia - sekretarz Komitetu powtórzył słowo wypowiedziane przez Batmanowa na naradzie. Dudin umilkł zapalając papierosa. Pisariew, który przechadzał się po puszystym dywanie tłumiącym odgłos jego kroków, usiadł i także zapalił.

- Towarzyszu Batmanow! - powiedział po długiej, naprężonej pauzie.

Batmanow wstał:

- Słucham.

- Polecam wam z dniem dzisiejszym uważać inżyniera Grubskiego za zwolnionego z pracy. Jego obecność na budowie jest szkodliwa. Poza tym sądzę, że nie zasługuje on po prostu na to, aby uczestniczyć w tak chwalebnym przedsięwzięciu, nie wierząc w nie. - Pisariew zwrócił się w stronę Grubskiego: - Tak. usuwam was z pracy na budowie i uwalniam od niebezpieczeństwa ryzyka. Myślę, że nawet wówczas, gdy zrozumiecie swój błąd, nie będzie łatwo namówić mnie do wyrażenia zgody na wasz powrót... Czy zrozumieliście mnie? - Pełnomocnik Komitetu Obrony Państwa zwrócił się ponownie do Batmanowa.

- Zrozumiałem.

- To wszystko z mej strony, jeśli chodzi o Gruhskiego - powiedział Pisariew do sekretarza Komitetu.

- Możecie odejść - zwrócił się Dudin do Grubskiego.

Grubski przez chwilę siedział bez ruchu, jakby nie rozumiejąc, co do niego mówiono. Następnie podniósł się i ciężkim krokiem skierował się ku drzwiom.

Wszystko to stało się tak szybko, że Aleksiej był oszołomiony. Z głębokim szacunkiem patrzył na Dudina i Pisariewa, myśląc o wielkiej odpowiedzialności, jaka spoczywa na nich, nie tylko za budowę rurociągu, lecz za losy całego tego kraju, szeroko rozłożonego tuż nad granicą wrogiego świata, a oddalonego od Moskwy prawie o dziesięć tysięcy kilometrów.

- Zarządzam przerwę w naszej naradzie do jutra. - Pisariew wstał. - Jestem przekonany, że wasz projekt jest słuszny. Musimy jednak z towarzyszem Dudinem zameldować o nim Komitetowi Obrony Państwa.

Następnego dnia przedstawiciele budowy, tym razem bez Grubskiego, zostali znowu wezwani do Krajowego Komitetu Partii. Przyjęli ich znowu Dudin i Pisariew. Gdy zajęli miejsca, Pisariew. uśmiechnąwszy się kącikami wyraźnie zarysowanych ust, żartobliwie zapytał sekretarza Komitetu:

- Jak myślisz, powiedzieć im?

- Chyba trzeba powiedzieć - dobrodusznie zgodził się Dudin.

- Wczoraj drogą radiową złożyliśmy towarzyszowi Stalinowi raport o stanie robót - przemówił z naciskiem Pisariew. - Towarzysz Stalin zaaprobował go i oświadczył, że uważa budowę rurociągu za walną bitwę o właściwej sobie strategii i taktyce oraz swoistych trudnościach i ofiarach. Towarzysz Stalin wyraził przekonanie, że Batmanow i jego armia budowniczych wygra bitwę, ponieważ plan natarcia jest słuszny i wszystkie inne przesłanki przemawiają za zwycięstwem...

W spontanicznym odruchu Batmanow, Załkind, Beridze i Kowszow porwali się z miejsc. Aleksiej poczuł, jak mocno bije mu serce.

- Nie skompromitujemy się, towarzyszu Kowszow? - zwrócił się Pisariew do młodego inżyniera dostrzegłszy wzruszenie na jego twarzy.

- Nie skompromitujemy się, towarzyszu pełnomocniku! - odpowiedział dobitnie Aleksiej.

- A teraz powiedzcie nam, co się dzieje na waszych odcinkach - rzekł Pisariew. - Przedstawcie swoje trudności i potrzeby.

Batmanow opowiadał poruszając najdrobniejsze szczegóły. Dzięki wyjątkowej pamięci nie potrzebował żadnych notatek i wymieniał liczby, nazwiska i materiały z taką łatwością, jakby je miał w głowie specjalnie poukładane. Mimo iż narada była stenografowana, Dudin zapisywał w swoim notatniku prośby Batmanowa.

- Wybaczcie, drogi towarzyszu. - Dudin podniósł swą wielką głowę o gęstych, ciemnych włosach. - Otrzymałem niedobrą wiadomość z cieśniny. Spawacz Mahomet - sam wysłałem go na budowę - donosi mi o złej sytuacji na tym ważnym odcinku. Skandal wołający o pomstę! - Skarży się na Mierzlakowa - tak zdaje się nazywa się kierownik tego odcinka. Umara jest komunistą - wierzę mu. O cóż tam chodzi? Kto z was i kiedy był nad cieśniną?

- Przyznaję się, że tam jeszcze nie dotarłem - rzekł Batmanow. - Jest to odcinek, do którego mam zamiar wybrać się z towarzyszem Beridze natychmiast po powrocie do Nowińska. Będziemy tam tak długo, dopóki sprawa nie ruszy całą parą. Na razie wysłałem tam Pankowa, człowieka pewnego i mocnego. Chciałbym, aby w przyszłości zastąpił Mierzlakowa. Pankow z jakiegoś powodu nie daje o sobie żadnych wieści.

- Alarm Umary jest bardzo niepokojący - wtrącił Pisariew. - Weźcie pod uwagę, towarzyszu Batmanow, że jeśli ja albo Dudin zjawimy się nad cieśniną wcześniej niż wy, to znajdziecie się w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

Batmanow podniósł głowę z godnością:

- Powtarzam, iż mam zamiar wyjechać nad cieśninę natychmiast. Do chwili obecnej nie miałem prawa wyjeżdżać tam na dłuższy okres czasu. Sprawy całości budowy były ważniejsze od spraw jednego odcinka, choćby to był odcinek najtrudniejszy, a pobyt tam jedno czy dwudniowy nie miał sensu. Dla inżynierów nie było tam na razie żadnej roboty, bo przecież nie trzeba zapominać, że techniczne rozwiązanie problemu cieśniny zostało dokonane dopiero dosłownie w ostatnich dniach - przez Topolewa. Człowiek tego pokroju co Pankow był tam bardziej potrzebny niż jakikolwiek inżynier. Nie rozumiem, co się z nim stało.

- Wiem, że nie tracili na próżno czasu - z uśmiechem aprobaty powiedział Pisariew. - Widać, że kierujecie budową w oparciu o dobrze przemyślany plan, co do którego nie mam zastrzeżeń. Ale nawet przy najlepszym planie możliwe są fatalne omyłki.

- Jakkolwiek przypuszczam, a w tej chwili nawet jestem pewien, że nad cieśniną sprawy wyglądają bardzo niepomyślnie, to zapewniam was, towarzysze, że do waszego przyjazdu wszystko będzie tam w porządku...

Po naradzie Batmanow udał się do Pisariewa. Miał jeszcze wiele spraw do omówienia i zadecydowania w szczegółach. Beridze pośpieszył się, poprosił o samochód i wyjechał - jak się domyślał Aleksiej - do matki Tani Wasilczenko. Załkind musiał pójść w swoich sprawach do Krajowego Komitetu Partii. Aleksiej pozostał sam.

- Idź do hotelu i odpocznij - poradził mu partorg. - Niebawem będę wolny i przyjdę do ciebie z córką; pójdziemy gdzieś we trójkę!

Aleksiej przez delikatność wymówił się nie chcąc przeszkodzić Załkindowi w spotkaniu z córką.

- Wczoraj przypadkowo spotkałem się z niejakim Chmarą. Zaciągnął mnie do siebie i nie zdążyłem jeszcze niczego obejrzeć - powiedział.- Chcę iść do muzeum, a wieczorem - na operetkę. U nas wszyscy wciąż mówią o bracie Libermana; trzeba się przekonać, czy rzeczywiście jest taki dobry...

Gdy późno w nocy wrócił do hotelu, zastał Załkinda i Beridzego w stanie ogromnego podniecenia.

- Alosza! - rzucił się ku niemu Beridze. - Niemcy pod Moskwą rozgromieni! Ciesz się, Alosza! Ciesz się, mój kochany!...

10. W drodze do cieśniny

Czwarty kurs szofera Machowa był pechowy. Dotychczas maszyna szła dobrze, ale nagle coś w motorze z cicha klasnęło, po sekundzie odezwał się stuk i suche trzaski, motor kichnął i ucichł. Ciężarówka potoczyła się jeszcze parę metrów i stanęła. W jednej chwili zapanowała niezwykła cisza.

Machow pchnął drzwiczki - do kabiny wdarł się mroźny wiatr i oparzył mu twarz. Przed wyjazdem z bazy słyszał, że temperatura spadła do czterdziestu pięciu stopni. Podniósł pokrywę silnika i włączył światło. Motor stygł. Chłód przenikał szofera do kości, nie chronił go przed zimnem ani kożuch, ani watowany kaftan. Machow pośpiesznie odsłonił karburator - był pusty: benzyna albo nie dochodziła, albo - wbrew wyliczeniom - skończyła się po prostu.

Palce mu zgrabiały i zaczęły dokuczać. Krzywiąc się z bólu odkręcił przewód benzynowy i wyjął rurkę. Teraz czekała go rzecz najbardziej niemiła. Przytknął wargi do rurki i dmuchnął: wyskoczyła bryłka lodu, trysnęły krople - benzyny nie było. Zamknąwszy oczy Machow oderwał od wargi przymarzniętą rurkę. Oblizując krew, zdrętwiałymi palcami wstawił rurkę na miejsce i zaczął szukać zawieruszonej gdzieś śrubki karburatora. Wreszcie ją znalazł, ale długo nie mógł jej ująć palcami.

Klnąc patrzył z coraz większym niepokojem na drogę. Z niewiadomego powodu wciąż jeszcze nie było widać maszyny Sołncewa. Można by pożyczyć u niego paliwa i przy jego pomocy rozgrzać motor. Machowowi było przykro, że Sołncew zyskiwał na czasie. Po raz pierwszy od czasu współzawodnictwa w rozwożeniu rur Sołncew będzie przed nim i Musia Kuczina, bufetowa kiosku premiowego, powie drwiąco nie Sołncewowi jak dotychczas, lecz właśnie jemu, Machowowi: „Twój przyjaciel-przeciwnik był tu prawie pół godziny temu; wypił kawę, wziął papierosy, zapalił i pojechał robić nowy kurs”.

Teraz jednak nie obchodziła go już ani premia, ani nawet pierwszeństwo. Podczas gdy dokręcał śruby, stracił do reszty czucie w palcach, ale - co gorsza - ostygał motor. Machow z wściekłością walił się rękami po kolanach. Nagle usłyszał trzask zamarzających rurek chłodnicy, ten dźwięk po prostu przeszył mu serce. Skoczył, aby spuścić wodę i zamarł - zobaczył zbliżającą się nareszcie maszynę Sołncewa.

Podniósł ręce, samochód stanął. Sołncew nie opuszczając kabiny kpiąco kiwnął ręką swemu współzawodnikowi i nie zastanawiając się ani chwili odmówił mu benzyny.

- Jeszcze czego! - krzyknął zagłuszając huk swego dudniącego motoru. - Oddaj mu swego konia, a sam wal na piechotę. Mnie także jak widać nie starczy benzyny. Nie trzeba było się gapić! Zresztą, to byłoby mi nie na rękę! Do widzenia!...

Zatrzasnął drzwi szoferki i odjechał. Machow w pierwszej chwili nie znalazł słów, aby dać wyraz swemu oburzeniu. Dopiero gdy maszyna odjechała i Sołncew nie mógł go już usłyszeć, odzyskał mowę:

- Ach, ty s.... synu, opuściłeś towarzysza w nieszczęściu! - wykrzyknął Machow, rzuciwszy się z podniesionymi pięściami w ślad za Sołncewem. - Ach, ty, plugawy indywidualisto! - Słowo „indywidualista", użyte kiedyś przez Rogowa, stało się u szoferów wyzwiskiem.

W podnieceniu Machow zapomniał o swoim samochodzie. Stał na drodze z wzrokiem wlepionym w zmienioną w czarny punkcik ciężarówkę Sołncewa, jakby pragnął siłą spojrzenia zatrzymać uciekającego współzawodnika. Potem zawrócił i zaczął rozpalać ognisko, powstrzymując się z wysiłkiem, aby nie krzyczeć z bólu, który odczuwał w rozgrzewających się palcach. Zajęty ogniskiem nie zauważył, jak podjechała półtoratonówka, prowadzona przez szofera-Nanajczyka. - To przewodniczący Rady Wiejskiej, Maksym Chodżer, jechał do Zarządu Okręgu. Dowiedziawszy się o zmartwieniu Machowa i on, i szofer, nie porozumiewając się ze sobą, zaproponowali mu odstąpienie benzyny.

- Ty musisz dowieźć rury, to ważniejsze. Ja mogę nawet wrócić - mówił Chodżer pomagając przy przelewaniu benzyny z baku do baku.

Machow, wzruszony, nie umiał znaleźć słów podzięki; więc tylko uścisnął Chodżerowi rękę i już z kabiny rzekł do niego, ledwie poruszając okaleczonymi wargami:

- Nigdy tego nie zapomnę, Maksymie. Uratowałeś mnie. Teraz jestem twoim dłużnikiem.

Przejechawszy trzy kilometry, Machow przez zamarzniętą szybę dojrzał przed sobą samochód: stał zaryty przednimi kołami w przydrożny nasyp śnieżny. Przyczepka z rurami ustawiła się niemal w poprzek drogi. Przy maszynie kręcił się - Sołncew. Gdy dostrzegł podjeżdżający samochód podniósł rękę. Machow zmienił bieg, zwolnił, ale się nie zatrzymał, tylko uchyliwszy drzwiczki zawołał:

- Powodzenia! Nie zapomnij spuścić wody z chłodnicy! Radzę ci, nie trać czasu, tylko leć - stąd niedaleko, może z dziesięć kilometrów! Do miłego zobaczenia!...

Ostrożnie manewrując przejechał bokiem. Lecz gniew i rozdrażnienie już go opuściły. Coś chwyciło go jednak za serce. Z tego, jak ustawiony był samochód Sołncewa, zrozumiał, że tamten - mimo wszystko - usiłował zawrócić. ,.Na pewno chciał wrócić do mnie" - pomyślał Machow.

- Do końca życia nie darowałbym sobie takiej podłości - powiedział już na głos i zahamował.

Stękając odłączył z wysiłkiem przyczepkę z rurami, wykręcił i pojechał z powrotem. Sołncew powitał go radosnym okrzykiem.

- Przebacz mi. bracie! - powiedział ze skruchą. - Sam nie rozumiem, jak mogłem zrobić coś podobnego. Jestem niegodziwym indywidualistą!... Co ci się zrobiło z wargi? Patrz, krew! Masz chustkę, osusz starannie!...

Niemało się namęczyli, zanim wspólnymi siłami wyciągnęli z zaspy buksującą maszynę.

- Nie mogłem odjechać, ruszyło mnie sumienie - tłumaczył się Sołncew. - Zacząłem zawracać, ale pośpieszyłem się i ugrzązłem w zaspie. Stoję i od zmysłów odchodzę, nie myślę już o sobie, ale o ciebie się niepokoję. Gdy wreszcie przejechałeś obok, nawet nie poczułem żalu, tak byłem rad, żeś się wydostał... Zresztą, czułem to, że nie odjedziesz, że wrócisz... Powiedz, skąd wzięły się w nas te resztki kapitalizmu?

Spojrzeli wzajem na siebie i roześmiali się. Machow odrzucił w bok niedopałek z zakrwawionym ustnikiem i powiedział zdecydowanie:

- Pamiętaj, że o tym nikomu ani słowa! Wstyd byłby przed ludźmi! Zrozumiałeś?

Pozostałą część trasy przejechali razem, razem weszli do „straganiku”. Taką nazwę nosił autobus, w którym mieścił się ruchomy bufet dla szoferów. Od czasu gdy rozpoczęto rozwożenie rur metodą „do siebie”, „straganik” stał na końcowym punkcie kursu, na miejscu każdego kolejnego zrzucania rur. Szoferzy dowożący ładunek na miejsce otrzymywali poza normalnym wyżywieniem dodatkowe śniadanie jako premię.

Musia Kuczina, czerwonolica gospodyni autobusu, ze zdumieniem spojrzała na szoferów, wchodzących w obłoku pary. Swoje kożuszki pozostawili w samochodach. Od obu ciągnął ostry zapach benzyny.

- Dziwne! Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby dwóch przyjechało na raz! Cóż to się stało, że Sołncew dogonił dziś Machowa? - powiedziała zwracając się do Batmanowa, który siedział tu w towarzystwie Beridzego, Kowszowa, Topolewa, Filimonowa i Libermana. Kierownik budowy wraz ze swoim sztabem w przejeździe na daleki odcinek zatrzymał się dla rozgrzewki w ruchomym kiosku Musi. Szoferzy zobaczywszy zwierzchników, stropieni, przystanęli na miejscu.

- Chodźcie, przyjaciele, bliżej - zaprosił szoferów Batmanow przyglądając się im z zainteresowaniem. - Weźcie swoje premie i opowiedzcie nam, jak je zdobywacie. Nie mogę zrozumieć, dlaczego na odcinku Rogowa tak sprawnie idzie rozwożenie rur!...

Machow i Sołncew zdjęli czapki i przysiedli się do jednego ze stolików, ustawionych w przestronnym autobusie. Musia pośpieszyła natychmiast do nich, niosąc na tacy dwa kubki gorącej kawy, kanapki i papierosy. Zauważywszy mocno uwydatniające się, nienaturalnie czerwone wargi Machowa, zapytała z naciskiem i niepokojem:

- Dlaczego się dzisiaj spóźniłeś? Dlaczego masz takie czerwone usta? Z kim się całowałeś na mrozie?

Machow nie odpowiadając wziął kubek i chciwie podniósł go do ust. Ale zaraz postawił go z powrotem, gorący napój oparzył mu zranione wargi.

- Miałem uszkodzenie, on mnie wyratował. A całować się musiał z karburatorem - odpowiedział za niego Sołncew. - Zrozumiałaś?

- Zrozumiałam, jeszcze jak! - Twarz Musi rozjaśniła się. Z dumą spojrzała na Batmanowa, który szeptem rozmawiał o czymś z Libermanem.

- Poczekajcie, przyjaciele, zostawcie na razie kawę. I od nas należy się wam maleńka nagroda - zwrócił się Batmanow do szoferów.

Liberman uśmiechając się uprzejmie, postawił przed nimi butelkę spirytusu, konserwy i położył dwie tabliczki czekolady.

- Dziękuję, towarzyszu Batmanow - rzekł Machow, lekko odsuwając od siebie butelkę. - Czy myślicie, że my tylko dla samej premii tak się staramy ?

Batmanow przez całą drogę tłumaczył inżynierom, że należy śpieszyć się do cieśniny i nie tracić ani chwili. Lecz autobus Musi Kucziny tak mu tutaj widocznie przypadł do gustu, że spędzał w nim już drugą godzinę na pogawędce z podjeżdżającymi szoferami. Jego towarzysze, przemarznięci tego dnia, byli zadowoleni, że trafiła się okazja posiedzenia w cieple.

- Nie dla premii pracujecie? - zapytał Batmanow z udanym zdziwieniem.

- Są powody poważniejsze. Pracujemy dla frontu, towarzyszu Batmanow - odparł Machow z godnością. - Przyjaciel Sołncewa jest w armii Rokossowskiego, odpędził Niemców spod Moskwy. Sołncew zobowiązał się wobec niego, że podniesie półtora raza swoją normę. Wczoraj zrobił przeszło sto pięćdziesiąt procent.

- Nastrój nasz bardzo się poprawił od czasu, kiedy dowiedzieliśmy się o zwycięstwie - powiedział Sołncew. - I metoda towarzysza Kowszowa także nam bardzo pomogła. Dlatego lepiej jest z rozwózką i porzuconych rur nie znajdzie się już na odcinku.

- Metoda nie jest moja, lecz Machowa - poprawił szofera Aleksiej.

- A więc niepotrzebnie wprowadzono premię - powiedział jakby do siebie Batmanow, który w przedłużeniu rozmowy miał jakąś ukrytą myśl.

- Owszem, potrzebnie! - zaoponował Machow. Mówił spokojnie, ważąc słowa. Batmanow przyglądał się z sympatią jego poważnej, młodej twarzy. - Każdemu jest miło spotkać się w tajdze z ludzką troską o niego. - Zerknął na Musię i uśmiechnął się. - Przecież u nas te kubki z kawą stały się jakby czymś w rodzaju wskaźników wydajności. Teraz nie pyta jeden drugiego, ile przewiózł rur, tylko ile wypił kubków kawy. - Uśmiechnąwszy się znów do dziewczyny, dodał wyzywająco: - Zresztą, nawet gdy Musi tu nie było z jej autobusem, pracowaliśmy tak samo.

- Ach tak! - czupurnie zawołała Musia. - Zapamiętam to sobie, towarzyszu Machow!

- Ja też myślę, towarzysze, że nie dla premii tak się staracie - miękko powiedział Batmanow. - Nie przejmujcie się moją poprzednią uwagą, a tego - skinął głową w stronę rozłożonych przez Libermana przekąsek - nie uważajcie za premię.

Niepostrzeżenie wszyscy włączyli się do rozmowy. Inżynierowie wypytywali szoferów o bieg pracy i życia na odcinkach.

- A więc czyjaż ostatecznie jest ta nowa metoda rozwózki? - zapytał Batmanow. - Mówiono mi, że chcieliście zachować ją w tajemnicy.

- Grunt, że wozimy wedle nowej metody, a kto ją wynalazł, to nie ma ostatecznie żadnego znaczenia - rozstrzygnął Machow.

- Ogólnie biorąc, macie rację - przyznał Batmanow. - Nie chcecie o tym mówić - w porządku, niech ta wasza tajemnica pozostanie przy was. - Spojrzał na Musię. - Zdaje się, że widzę jeszcze jedną waszą tajemnicę...

Musia wmieszała się do rozmowy:

- Powiem wam, towarzyszu kierowniku, dlaczego tak jakoś niezręcznie postąpił Machow. Nie trzeba, żebyście mieli o tym jakieś złe wyobrażenie. Machow sprawdzał metodę, żeby nie było omyłki, i uważał, że jeszcze za wcześnie, aby ją ludziom proponować. I właśnie wtedy ubiegł go inżynier - spojrzała niechętnie na Kowszowa.

- Też mi obrońca! - burknął zmieszany Machow. Wstał i włożył czapkę. - Czy można iść do samochodu, towarzyszu kierowniku? Mamy jeszcze dwa kursy.

- Można - powiedział Wasilij Maksimowicz podnosząc się także. - Czas i nam ruszać, zasiedzieliśmy się w gościnie u Musi... Aha! Mam jeszcze dla was pewną propozycję, towarzyszu Machow. Jadę nad cieśninę. Tam będą mi potrzebni śmiali i energiczni chłopcy. Trzeba będzie przerzucić na wyspę dużo ładunku, to jest ważna i trudna robota. Chciałbym was przenieść nad cieśninę. Musię z tym jej autobusem także. Nie macie nic przeciw temu?

Wszyscy roześmieli się. Musia schowała się za bufetem.

- Musia sama o sobie decyduje, nie ma ze mną nic wspólnego - odpowiedział nachmurzony Machow. - Ja osobiście zgadzam się, jeżeli tylko moja zgoda jest potrzebna. U nas na odcinku już się zanadto spokojnie zrobiło. I z kierownikiem Rogowem rozstanę się bez żalu. Nazwał mnie „indywidualistą" i nie może zapomnieć, że nie zwróciłem się do niego z moim pomysłem, że dałem sobie radę bez niego.

Wyszli na drogę. Mroźne powietrze zapierało dech. Musia zarzuciwszy na siebie kaftan wybiegła za szoferami, aby im oddać pozostawione konserwy i czekoladę.

- To dla ciebie, za twoją obronę - rzucił gniewnie Machow zwracając jej czekoladę i oglądając się na kierownika budowy. - I nie stercz na mrozie, termometr pokazuje pięćdziesiąt stopni!

Batmanow wraz z inżynierami i Libermanem wyjechał na trasę natychmiast po powrocie z Rubieżańska. Na wszystkich odcinkach oczekiwano ich z niecierpliwością. Na skomplikowanej budowie co chwila powstawało wiele kwestii, które musiał rozstrzygać albo sam Batmanow, albo inżynierowie, albo kierownik zaopatrzenia.

Na początku towarzyszył im w ich wędrówce Załkind, który wspólnie z Batmanowem rozpatrzył stan prac na trzecim odcinku i doszedł do przekonania, że należy jednak na miejsce Jefimowa dać Tiomkina: ten niepozorny człowiek o cichym głosie był już i tak faktycznym kierownikiem tego odcinka. Batmanow od razu podpisał jego nominację. Jefimowa zabrał Załkind do Nowińska, aby go umieścić z powrotem w fabryce u Tieriechowa.

Wśród kłopotów, jakich przysparzały najbliższe odcinki, nie opuszczała Batmanowa poważna troska o dalsze odcinki, do których podążał. Wszędzie brakowało ludzi, mimo to skąd się dało zabierał robotników do budowy przewodu przez cieśninę. Niekrasowowi polecił przekazać jego obowiązki inżynierowi przybyłemu z Nowińska i szybko przygotować się do drogi. Jako saper miał wspólnie z Topolewem poprowadzić gigantyczną minierską pracę w cieśninie. Na czwartym odcinku Batmanow rozkazał podążać za sobą również braciom Piestowom.

- Nie bądźcie skąpcami; jesteście pod bokiem zarządu i zawsze znajdzie się dość robotników i wszystkiego, co trzeba - odpowiedział na protesty Mielnikowa.

Pragnąc jak najszybciej znaleźć się nad cieśniną, Batmanow co chwila przynaglał towarzyszy, nie pozwalając im na dłuższe postoje na jednym miejscu. Nie wiedzieli, co to odpoczynek. Wszędzie, gdzie zatrzymywali się na nocleg, spadała na nich taka masa spraw, że rano już nie można było się od nich oderwać. I gdyby nie twarda wola Batmanowa, nieubłaganie ciągnącego ich za sobą, musieliby tygodniami siedzieć na każdym odcinku.

Na czwartym odcinku zainteresował bardzo Beridzego projekt jednego z techników - chodziło o przesunięcie niedużego odcinka trasy. Naczelny inżynier chciał zatrzymać się parę dni, aby osobiście zbadać teren.

- Zrozumcie, że nie wolno się zatrzymywać - przekonywał Batmanow. - Nie traćcie głowy z powodu każdej ciekawej sprawy... Nie macie obowiązku myszkować osobiście po odcinku, aby sprawdzać projekt waszego technika. Zrobią to i bez was... Naszym celem jest cieśnina. W drodze możemy zajmować się tylko sprawami najważniejszymi nie cierpiącymi zwłoki...

Mimo to niekiedy sam musiał sprzeniewierzać się swoim postanowieniom. Życie trasy wciągało, pochłaniało i jego. Spraw najważniejszych i pilnych było dziesiątki. Chmurny od trosk i obawy o los przejścia przez cieśninę, Batmanow nabrał humoru dopiero na odcinku Rogowa. Podobał mu się nie tylko zabawny autobus-bufet, był to zaledwie drobny szczegół dobrze zorganizowanej pracy całego zespołu.

Jeszcze zupełnie niedawno Batmanow, a tuż po nim Beridze i Kowszow byli na tym odcinku, ale już teraz na każdym kroku spotykali rzucające się w oczy zmiany. Najbardziej cieszyło ich to, że Rogow potrafił w krótkim czasie rozwieźć większą część rur. Na przestrzeni wielu kilometrów rozciągała się teraz na śniegu czarna linia rur.

Po ostatniej, pamiętnej rozmowie przez selektor Batmanow i Rogow jeszcze się nie widzieli. Spotkali się w czystym i przytulnym internacie szoferów. Były tu starannie przygotowane łóżka, firanki z gazy w oknach, na podłodze chodniki, oddzielna umywalnia i szatnia. Wchodząc do internatu Batmanow przypomniał sobie obietnicę Rogowa, że urządzi wzorowy internat. Wasilij Maksimowicz w głębi ducha był zadowolony, jednak czepiał się i zrzędził:

- Zupełnie jak „potiomkinowska wieś”[25]... Sam Rogow naturalnie nie pokaże się na oczy, ponieważ jest zajęty urządzaniem podobnych operowych dekoracji... Wyobrażam sobie te szoferskie łóżka w ich zwykłym, codziennym stanie!...

- Właśnie widzicie je w zwykłym, codziennym stanie - przekonywał Chłynow, zastępca Rogowa, towarzyszący Batmanowowi od granicy piątego odcinka. - Szoferzy są bardzo zadowoleni i dosłownie rzucają się na każdego, kto ośmiela się zaśmiecać tę izbę. Tu szefem jest Musia Kuczina, z nią nie ma żartów, jeśli chodzi o porządki.

- Gdzież jest wreszcie wasz kierownik? - zapytał Batmanow siadając przy łóżku i podnosząc kołdrę, aby sprawdzić czystość prześcieradła.

- Jestem - spokojnie odezwał się Rogow.

Zjawił się nie spostrzeżony przez nikogo i stał przy drzwiach. Batmanow zgadł: Rogow poświęcił całą noc i ranek na to, aby przygotować swój odcinek na surową inspekcję.

---

[25] Potiomkin Grigorij Aleksandrowicz (1739-1791) - faworyt Katarzyny II, rządzący faktycznie Rosją. Zarządzał południową połacią kraju. Gdy w roku 1787 Katarzyna II wybrała się w podróż na południe, Potiomkin wzniósł na jej drodze sztuczne wsie na dowód swej wzorowej gospodarki. - Red.

- To znaczy, że ostatnie pociągnięcie pędzlem zostało już zrobione? - Batmanow podszedł ku niemu i zajrzał mu w oczy.

Rogow milczał, nie śmiał zaprzeczyć temu, co w pewnej mierze było rzeczywiście prawdą.

- Dzień dobry, Aleksandrze Iwanowiczu - przywitał się Batmanow.

Rogow uścisnął mocną, twardą dłoń kierownika budowy.

- Twarz wymizerowana i jakaś smutna. Czy coś się stało? - zapytał Beridze witając się również z Rogowem.

- Tak jakoś - niewyraźnie odpowiedział Rogow, którego cała uwaga skupiała się na Batmanowie.

- Chorował nam. Zaziębił się. Nie chce leżeć, pracował mając trzydzieści dziewięć stopni gorączki - dodał Chłynow starając się nie widzieć gniewnego spojrzenia Rogowa.

- Chorował, mówisz? - zapytał Batmanow.

- Głupstwo! To ci choroba - katar! - powiedział ze złością zdenerwowany Rogow.

- Nie przejmuj się - szepnął stojący koło niego Aleksiej. - Już jest postanowione, jedziesz z nami!

Batmanow, jeżeli nawet nie dosłyszał, to domyślił się, co powiedział Kowszow, i pokiwał głową.

- Nie wiem, co teraz zrobić - zastanawiał się. - Nie ma chyba racji wlec ze sobą człowieka chorego. Poza tym, odcinek także trudno zostawić bez kierownika. Czy Chłynow sam dałby sobie radę?

- Jestem zdrów jak koń! - wykrzyknął Rogow. - Chłynow da sobie radę, za to ręczę! Prawdę powiedziawszy przekazałem mu już wszystkie sprawy.

Batmanow z udaną obojętnością machnął ręką:

- Dobrze, przygotowujcie się!

- Rozkaz! Proszę mi tylko pozwolić na zabranie ze sobą Poliszczuka, szoferów: Machowa, Sołncewa i kierowniczki ruchu Musi Kucziny. Bardzo o to proszę.

- Machow, wręcz przeciwnie - wyraził życzenie rozstania się z tobą... Zresztą dobrze, niech jadą, jeśli Chłynow nie ma nic przeciw temu. Teraz to przecież są już jego ludzie. Załatw to z nim. Ja chcę go także prosić o zwolnienie kucharza Nogtiewa oraz drwali Szubina i Fantowa.

- Doszliśmy już z Chłynowem do porozumienia - z miejsca odpowiedział Rogow. - Czy nie tak? - zwrócił się z pytaniem do Chłynowa.

Ten uśmiechnął się.

- Wychodzi na to, że tak. - Spojrzał na Kotieniewa i mruknął: - Ogołacają nas, co lepszych zabierają...

- Głupstwo, damy sobie radę - uspokoił go Kotieniew. - Na cieśninie będzie ciężko, tam trzeba tęgich chłopaków! A skąd ich wziąć, jeśli nie od nas?

- W sztabie będę czekać na wyczerpujący raport od was o stanie przejętego odcinka. - Batmanow obrzucił uważnym spojrzeniem mocną, kanciastą postać Chłynowa. - Dopiero potem podpiszę waszą nominację. - Przechodząc do drzwi obok Aleksieja powiedział mu półgłosem: - Ach, ty litościwa osobo! Popsułeś mi całą sprawę! Trzeba było pomęczyć tego pirata, to by mu wyszło tylko na dobre!

Tego samego dnia ruszyli dalej. Samochodami mogli dojechać tylko do siódmego odcinka. Po wietrznym i śnieżnym dniu na lodowej drodze coraz częściej wyrastały zaspy. Samochody musiały nieraz przystawać ku irytacji Batmanowa - nawet na długo. W pewnym miejscu ugrzęźli w śniegu zupełnie. Pomocy w pobliżu nie można było znikąd oczekiwać, musieli sami dwa kilometry pchać samochody.

Dalej aż do samej cieśniny jechali krytymi saniami. Pierwsze posuwały się sanie Batmanowa, które wszyscy nazywali „flagowymi”. Leżał w nich sam owinąwszy się kożuchem i od czasu do czasu wzywał któregokolwiek ze współtowarzyszy podróży „do raportu na leżąco” - jak określał to złośliwie Aleksiej. Reszta rozmieściła się w saniach po dwóch, skracając sobie czas gawędą i dyskusjami. Podróż przerywano postojami na odcinkach i w różnych punktach trasy na sygnały z sań „flagowych”.

Aleksiej i Rogow jechali w jednych saniach; postarali się o to umyślnie, czując jeden do drugiego coraz bardziej wzrastającą sympatię.

- Alosza, jakże się cieszę, że jadę nad cieśninę! - mówił Rogow, z lekka przyciskając do siebie leżącego obok Kowszowa. - Gdy dowiedziałem się, że ruszyliście z Nowińska, przez cały czas zgadywałem: czy Batmanow mnie weźmie, czy zostawi? Na moim odcinku wszystko szło już normalnym torem, więc zrobiło się nudno. A ja muszę mieć taką robotę, żeby mi aż łeb pękał od kłopotów. Od dawna marzyłem o tym, aby pracować z Batmanowem, zobaczyć, jak on gospodaruje, poduczyć się!... I za co ja go tak lubię? Przecież wciąż tylko wymaga i wymaga, nie powie nigdy dobrego słowa!... - W głosie Rogowa wyczuwało się uznanie.

- Byłeś bardzo zmieszany, kiedy spotkaliście się w baraku!

- Tak, rzeczywiście, ale sam nie wiem dlaczego. Przecież nikomu nie pofolguję: od dzieciństwa mam już taką zasadę; potrafiłem bić się po dziesięć razy na dzień. A wobec niego tracę odwagę. Pamiętasz, jak mnie poskromił przy pierwszym naszym spotkaniu? Skoczyłem wtedy, jak ussuryjski tygrys, on powiedział dwa słówka i... i z tygrysa zmieniłem się w kotka.

- Byłem wtedy całą duszą po twojej stronie - przypomniał Aleksiej. - Wtedy także złożyłem prośbę o zwolnienie na front. Dotychczas trzyma je w safesie. Kiedyś jestem u niego, a on wyjmuje podanie i pokazując mi je pyta: „Zwrócić?” Pomyślał i schował z powrotem: „Jeszcze za wcześnie, niech poleży”...

- I powiem ci, jeszcze, Alosza, dlaczego pragnąłem wyjechać z wami nad cieśninę. Lepiej dla mnie, że będę na razie dalej od Nowińska. - Głos Rogowa zadrżał. Aleksiej żałował, że nie widzi jego twarzy.

- Dlaczego chcesz być dalej od Nowińska?

- Parę dni temu zrobiło mi się szczególnie ciężko na sercu. Wciąż myślałem o Oldze. I wspomnienie tego Chmary! Cierpiałem!... Dowiedziałem się, że akurat w tym czasie cały zarząd wyjechał do Rubieżańska. Wsiadłem do samochodu - i do Nowińska pędziłem trzydzieści godzin niemal bez odpoczynku!... Tylko, pamiętaj, ani słowa o tym Batmanowowi, przepadłbym z kretesem! Nie powiesz?

- Nie, oczywiście. No i jakże cię przyjęła Olga?

- Przyjechałem w nocy. Drzwi otworzyła mi Serafima, zaklaskała w dłonie, zaczęła się krzątać - wiesz, jaka ona jest! Tak jak stałem, w kożuchu wpadłem do Olgi. Leżała w łóżku, była chora i widocznie było jej smutno. Moje zjawienie się nie zaskoczyło jej; zdawało mi się, że nawet na razie była ucieszona. A ja zobaczywszy ją bladą, z oczami pełnymi tęsknoty, upadłem na kolana, całuję pokryte bandażami

jej ręce i czuję, że brak mi tchu ze szczęścia i z jakiegoś żalu. Przylgnęła do mnie mokrym od łez policzkiem i łka jak dziecko!

Umilkł na chwilę.

- Mów dalej - rzekł Aleksiej.

- Szybko minęło moje szczęście. Po prostu w chwili przygnębienia zobaczywszy mnie ucieszyła się, a ja już myślałem... Serafima patrząc na nas wzruszyła się i zaczęła głośno beczeć. Olga od razu stała się surowa, poprosiła mnie, żebym wyszedł z pokoju, wstała, ubrała się i - dalejże mnie łajać! Po co przyjechałeś? Kto ci pozwolił? „Serce mi pozwoliło - odpowiadam - ono jest moim najwyższym przełożonym". Spojrzała mi w oczy, dotknęła ręką czoła, zmierzyła temperaturę. „Matko! trzydzieści dziewięć i trzy!" Położyła mnie na kanapie w pokoju Beridzego i zaczęła razem z Serafimą mnie leczyć. A ja i z tego byłem rad: byle tylko być przy niej! Ciebie to śmieszy?

- Wcale nie śmieszy.

- Wydawało mi się, że uśmiechasz się ukradkiem.

- Dziwak jesteś, Aleksandrze. Mów, co dalej.

- To wszystko. Trzeba było wracać na odcinek. - Głos jego załamał się, wspomnienia zdenerwowały Rogowa. - Nie pozwoliła, żebym został u niej, i nie chciała puścić mnie na odcinek. „Jeśliś chory - idź do szpitala". Upatrzyłem odpowiednią chwilę i - uciekłem...

- Nie starałeś się porozmawiać z nią wprost? Konstanty był oszustem i zginął jak pies. Gdy mówiła mi o tym, nie mogła ukryć wstrętu do niego...

- Mówię jej: „Bez ciebie nie mogę żyć. Albo zabij, albo już mnie nie odpędzaj" - głucho wykrztusił Rogow.

Obróciwszy się, całym ciężarem swego ciała przydusił Aleksieja.

- Niedźwiedź! A cóż ona na to?

- Nic. Nic nie odpowiedziała! Odsunęła się, jakby się czegoś przelękła. Stoi, rozumiesz, jak nieszczęsna sierota, a ja - nie śmiem się zbliżyć. Powiedz, Aleksiej, co mam teraz robić? Tak długo czekałem!... Przedtem były przeszkody, ale teraz? Przecież teraz wyrwała tego Konstantego z serca... Widocznie nie kocha mnie i nie pokocha nigdy!...

- Myślę, że ty jej nie rozumiesz - odpowiedział Aleksiej. - Olga cię kocha i z każdym dniem będzie kochać coraz mocniej, ale jest takim człowiekiem, że chce przyjść do ciebie z czystym sercem. Teraz, chociaż z Konstantym wszystko skończone, serce jej udręczone jest smutkiem, niespokojne. Przypomnij sobie, ile ona wycierpiała. Ja ją rozumiem. Bardzo kochała; to była jej pierwsza miłość i aby wyrwać ją z serca, musiała walczyć z nią. Coś ją ciągnęło ku tamtemu i - odtrącało. Potem dowiedziała się, że jest na froncie, zaczęła go żałować. Gdyby była człowiekiem małodusznym, słabszym, sama szukałaby w tobie ukojenia i wsparcia. Ale nie chce tego w tej chwili. Bądź cierpliwy, hamuj się, nie powinieneś jej teraz niepokoić...

Rogow chciwie słuchał Kowszowa, tylko nierówny oddech zdradzał jego wzburzenie. Zdawało się, że w słowach Aleksieja szuka potwierdzenia własnych przypuszczeń.

- Mówisz tak, aby mnie pocieszyć - rzucił przez zęby. - Powiedziała mi na pożegnanie: „Nie przyjeżdżaj do mnie. Gdy będzie trzeba, napiszę. Nie bój się o mnie. Chmara jest dla mnie niczym. Po tym, co przeżyłam, nie boję się już niczego". Krótko mówiąc - uprzejmie wskazała mi drzwi...

- Nie, ty jej nie rozumiesz! Ufaj mi, ja mam rację. Twoja namiętność nie pozwala ci jasno myśleć i zrozumieć...

- Dość, już, Aleksieju. Jesteś dobrym przyjacielem, ale niepotrzebnie częstujesz mnie walerianą! Porozmawiajmy o czym innym.

- A wiesz, w Rubieżańsku widziałem się z Chmarą - wspomniał Aleksiej.

- Kiedy? Gdzie? - zapytał Rogow obojętnym tonem.

- Spotkałem go przypadkowo na ulicy - wiesz, jakie tam są zabawne ulice - z górki pod górkę. Możesz siadać i zjeżdżać!... Zaprosił mnie do siebie. Nie miałem ochoty iść, ale poszedłem, uległem głupiej ciekawości. Bywa tak, że ktoś może być niesympatyczny, ale interesujący.

- Na pewno znów mówił o Oldze.

- Mówił, że podoba mu się i chętnie ubiegałby się o jej względy, ale z uwagi na przyjazne uczucia dla mnie pozostawia ją na mojej opiece. - Mówiąc to Aleksiej szeroko uśmiechnął się i przezornie odsunął się od Rogowa.

- Ja ci dam opiekę! - niemal poważnie pogroził mu Rogow.

- U Chmary zastałem Grubskiego. To, jak się okazało, starzy przyjaciele, z czasów gdy Grubski pracował w Rubieżańsku. Przyszedł do Chmary wypłakać swoje żale i ukoić ból. Na mnie nawet nie spojrzał. Chmara robił mi wymówki, że tak źle obeszliśmy się z jego przyjacielem. „Omylił się - powiada - dlaczegóż zaraz człowieka wypędzać?" Przy tym rzecz szczególna to jego współczucie jakoś dziwnie łączyło się z pogardliwym stosunkiem do Grubskiego. Gdy Grubski poszedł spać, Chmara powiedział: - „Skapcaniał!... Mężczyzna powinien w ciężkich chwilach trzymać się mocno".

- Słusznie - mruknął Rogow.

- Słusznie, ale żebyś słyszał, jakim tonem było powiedziane! W ogóle po tej wizycie moja antypatia do Chmary wzrosła jeszcze bardziej. Przywitał mnie serdecznie, częstował przysmakami z nielegalnych źródeł i winem, proponował towarzystwo „znajomych dam", jak się wyraził. Był zdziwiony, gdy odmówiłem. Z każdą chwilą stawał się bardziej wstrętny. Olga słusznie powiedziała o nim: to próżny człowiek, dla którego małe przyjemności życia są droższe ponad wszystko. Mówiąc otwarcie: zgnilizna. Aż przykro, że takie typy stykają się w życiu z ludźmi wartościowymi, czystymi i kalają ich. Między różnymi zdjęciami fotograficznymi, porozwieszanymi na ścianach, zobaczyłem ze zdumieniem portret - zgadnij czyj?

- Olgi?

Nie, Tani Wasilczenko. To mnie tak zaskoczyło, że nie wytrzymałem i zapytałem, skąd ma tę fotografię. Odpowiedział mi jakoś niechętnie i z przykrością: „To przecież serdeczna przyjaciółka Olgi. Studiując tutaj, często wpadała do Rodionowów. Zalecałem się do niej oczywiście". Użył przy tym jeszcze jakiegoś dwuznacznika... Nie mogłem tego znieść i wyszedłem.

- Ach, żeby tak człowiek mógł spotkać się tutaj z tym okazem i przyjrzeć się, co to za ananas!

- Zdaje się, że będziesz mieć tę przyjemność. Wspominał, że wybiera się wkrótce na Tajsin z ekspedycją geologiczną, będzie gdzieś w naszej okolicy. Nie będę miał nic przeciwko temu, jeśli gdzieś tam w tajdze rozjaśnisz mu trochę we łbie przy pomocy pięści!

- Z przyjemnością! - Rogow zacisnął mocno dłonie.

Kipiała w nim potężna siła. Objął Aleksieja i zaczął go tak gnieść, że ten aż jęknął i prosił o litość.

Na ostatnich saniach jechał Filimonow i Liberman. Obaj byli ogromni i ledwie mieścili się w ciasnym domku na płozach. Liberman wiercił się i wciąż wzdychał, żeby już jak najprędzej znaleźć się „na tym końcu świata". W ciągu całej podróży gnębił go jakiś nawet dla niego niezrozumiały niepokój. Nie na próżno starał się w zarządzie, aby go zwolniono od wyjazdu, zasłaniając się tym, że musi rzekomo czekać na żonę i córkę, którym udało się wydostać z otoczonego Leningradu.

Konieczność bliskiego i czujnego obcowania z Batmanowem, ścisły kontakt z ludźmi, z którymi przedtem prawie się nie stykał i których różnorodne zainteresowania były mu nieznane, zmiana wrażeń, ogromny rozmach budowy, który sobie dopiero teraz należycie uzmysłowił - wszystko to wywołało w nim wewnętrzny ferment. Horyzont jego wyobrażeń od razu się poszerzył, a własna działalność ukazała mu się nagle z nieoczekiwanej strony.

Na dziesiątym odcinku Batmanow szybko zorientował się, dlaczego ludzie pracują tu gorzej niż na sąsiednich. Stwierdził na podstawie szeregu ujawnionych przez siebie faktów, że błąd polega na nieskoordynowanej pracy kierownictwa odcinka. Jakkolwiek ludzie nieźle zdawali sobie sprawę z sytuacji i ze swoich obowiązków i zadań, wszystko tonęło w biurokratycznym przewlekaniu spraw. Batmanow nie pominął okazji, aby przekonać Libermana, że na przykład dla otrzymania kilograma gwoździ trzeba na odcinku odbyć szereg nużących rozmów z kilkoma kierownikami i przejść przez długą papierkową procedurę. Kierownicy podstawowych wydziałów odcinka, siedzący w sąsiednich pokojach, prowadzili między sobą bezmyślną korespondencję w najprostszych sprawach. Rzec by można, że w małym zwierciadle Liberman ujrzał tu siebie i Fiedosowa.

- Kiedy zdołaliście wyhodować tę pleśń? - zapytał Batmanow na naradzie produkcyjnej odcinka. - Przecież niedawno byłem tutaj i nie widziałem nic takiego.

Nie wyjechali dopóty, aż ustawili odpowiednio ludzi w aparacie biurowym i wprowadzili należyty ład w pracy. Jednakże i potem jeszcze dyskutowali długo, jak powinny być prowadzone radzieckie instytucje i jacy powinni być radzieccy pracownicy. Liberman nie brał udziału w tych rozmowach, jednakże był nimi przejęty i zdenerwowany. Dopiero gdy został sam na sam z Filimonowem, rozwiązał mu się język. Okazało się przy tym, że usiłował usprawiedliwić i bronić pracowników zaopatrzenia, chociaż nikt ich nie atakował.

Chcąc dokuczyć Filimonowowi Liberman począł podkreślać uprzywilejowaną sytuację inżynierów przy budowie rurociągu i w ogóle. Twierdził, że łatwo im pracować, ponieważ korzystają z wszelkiej pomocy i ścisłe normy techniczne dają im gotowe recepty na każdy wypadek.

- Oto ty, inżynierze Filimonow, co ty wiesz? - nacierał Liberman. - To żeby samochód był dobry, żeby maszynie dać benzynę i żeby samochód prowadził dobry szofer. To wszystko! Jeśli tego nie otrzymasz, samochody będą stały, robota nie ruszy z miejsca! A ja mam milion kłopotów: nakarmić ludzi zgodnie z normą, odziać ich i obuć, stworzyć im dobre warunki. Mamuniu najmilsza, choćbyś pękł, prowiant i odzież musisz dać! To samo z Fiedosowem. Żądasz od niego wszystkiego, co ci jest potrzebne, i jeśli on ci wszystko da - to możesz spokojnie pracować. Ale jak on to wszystko zdobywa - tym się nie interesujesz...

Filimonow jak zawsze albo milczał, albo ograniczał się do wykrzykników. Z tych wykrzykników Liberman zorientował się, że udało mu się rozgniewać go.

- Jeśli praca intendentów jest taka trudna, to dlaczego nie zmienią rodzaju zawodu? Niech idą na inżynierów, którzy mają takie słodkie życie - mruczał Filimonow.

Liberman puścił tę odpowiedź mimo uszu i dalej rozwijał swoją myśl.

- Wam, inżynierom, wszystko przychodzi łatwo i wszystkie swoje prawidła od „a" do „z" macie w księgach. Stąd pochodzi wasz tupet i pewność siebie. Mamuniu najmilsza, weź na przykład Kowszowa! To chłopak niemal, gdy chodzi o wiek, a wymądrza się jak profesor albo rabin. Na wszystkim się zna, nigdy nie ma żadnych wątpliwości!

- Pewność siebie u inżyniera Kowszowa - powiedział gniewnie Filimonow - jest wyrazem jego przekonań. On nie chodzi krętymi drogami, postępuje otwarcie, bez żadnych wybiegów. Jestem pewny, że nigdy nie mija się z prawdą i nie robi nic z myślą o osobistej korzyści. Dlaczego to ci się nie podoba? Ja ci powiem, dlaczego! Bo sam jesteś pozbawiony takiej pewności i prostoty. Gdy się z tobą rozmawia, czuje się, że za twoimi słowami kryje się coś nieodpowiedzialnego. Nie darmo wielu ludzi użala się, że z tobą trudno się dogadać. Nie możesz się powstrzymać, aby nie oszukać, choć nie jest ci to do niczego potrzebne... Dlaczego wyolbrzymiasz znaczenie swojej pracy? Dlaczego opowiadasz, że jest taka skomplikowana, a równocześnie pomniejszasz wysiłki i trudności innych? Dlaczego z reguły starasz się odrzucić każdą wniesioną prośbę? Albo jeśli wreszcie zgodzisz się jej zadośćuczynić, to dasz połowę tego, o co cię proszą? Pamiętasz, jak Żenia wyrecytowała twoje grzechy? Wszyscy myśleli to samo, co ona, nikt nie zaoponował. Widocznie rzeczywiście nie lubisz ludzi i nie dowierzasz im.

- Mamuniu najmilsza, jakie zarzuty! - wykrzyknął Liberman. - Jeżeli jestem taki, to trzeba oddać mnie pod sąd!

- Tylko bez przesady. Nie wszystko w zachowaniu się człowieka może być regulowane kodeksem karnym. Gdyby sprawa tak się przedstawiała, rozmawiałbyś w tej chwili z pewnością nie ze mną, lecz z sędzią śledczym. Poza tym nie tylko ty jeden jesteś taki; jest wielu podobnych do ciebie zaopatrzeniowców. I to mnie właśnie zaciekawia: dlaczego oni są tacy?...

- Dlaczego? - wykrzyknął Liberman. Słowa Filimonowa dotknęły go do żywego.

- Według mnie przyczyna tkwi w niewłaściwym ustosunkowaniu się do wartości materialnych, do własności, która nie jest nawet dobrem osobistym. Jakieś bardzo żywotne bakcyle burżuazyjnego handlu pozostały w niektórych pracownikach zaopatrzenia. Widocznie w ich świadomości wolniej niż w świadomości innych ludzi zanikają przeżytki kapitalizmu.

- Ty uważaj z tym burżuazyjnym handlem i kapitalizmem! Ja na zaopatrzeniu zęby zjadłem, życie mu poświęciłem. W swoim zawodzie śmiało mogę się równać, jeśli nie z członkiem akademii, to na pewno z inżynierem! Zacząłem się uczyć swego fachu znacznie wcześniej niż ty techniki, bo od dziesiątego roku życia. A teraz, Bogu dzięki, mam już czterdzieści pięć!

- A, jeżeli tak, to jubileusz trzeba ci urządzić! To dziwne, że nie natknąłem się jakoś dotychczas na dekret o odznaczeniu akademika zaopatrzenia, Libermana!...

- Jeszcze się natkniesz! Gdy tylko skończymy rurociąg - wtedy na pewno zostanę odznaczony!

- Daj Boże! Ja pierwszy będę cię oklaskiwać, chociaż nie jestem wielbicielem sprytnej wiedzy zaopatrzeniowców.

- Nigdy nie pracowałeś w zaopatrzeniu, dlatego nie możesz zrozumieć, że bez sprytu i kombinacji nie można się obejść! Batmanow to rozumie.

- Nie wierzę, żeby tak było, i tym bardziej nie wierzę, żeby Batmanow przymykał oczy na fortele i kombinacje. Jestem przekonany, że taki na przykład Kowszow pracowałby również w dziale zaopatrzenia inaczej niż ty.

- Mamuniu najmilsza, on porównuje mnie ze swoim Aloszą Kowszowem! - zaskrzeczał Liberman. - Ty mnie z nim nie porównuj! Jego życie od dziecka jest jak szkiełko przezroczyste! Słyszałem, jak na zebraniu podawał swój życiorys. Ojciec robotnik, analfabeta, a jego kształcił. Ze szkoły Kowszow poszedł do instytutu, a z instytutu - na budowę i masz - już figura! Linia jego życia jest prosta, jak strzała: z pionierów do Komsomołu, z Komsomołu - do partii. Czyż życie uciskało go tak i młóciło jak mnie? W dzieciństwie nie klepał biedy w sklepie, u kupca. Nie musiał należeć do tych, nad którymi każdy mógł się znęcać, którym nikt nie dał dobrego słowa - tylko wyzwiska i szturchańce! Twój Kowszow nie musiał chodzić po przedsiębiorstwach i prosić o pracę, nie musiał kłaniać się nikomu ani poniżać!

Liberman wyrzucił to wszystko ze siebie w podnieceniu i z goryczą. Filimonow milczał; po raz pierwszy słyszał, jak ten człowiek mówił o sobie prawdę - bez zgrywania się i niedomówień. Zamilkł i Liberman zawstydziwszy się widocznie swoich wyznań.

- Jeśli chcesz, opowiem ci pewną historyjkę - powiedział po dłuższej chwili już spokojnym głosem. - Kiedyś uraczył mnie nią jakiś przedsiębiorca, gdy prosiłem go o pracę. Chcesz posłuchać?

- Opowiedz - zgodził się Filimonow.

- Pewnego razu przyszedł chłopak i prosił, żeby go przyjęto na sklepowego. Kupiec obejrzał go ze wszystkich stron i pyta: „A czy ty nadajesz się na sklepowego, mój kochany? To praca niełatwa, wymaga sprytu”. - „Co w tym trudnego. Widywałem przecież tych sklepowych!” A kupiec spojrzał w okno i czymś się nagle zainteresował: „Spójrz no, mój kochany, co tam jedzie drogą?” - „Jakiś tabor przejeżdża”. - „Co to za tabor? Co wiezie?” - dopytywał się kupiec. - „Skocz i dowiedz się”. Chłopak pobiegł, wraca zdyszany i mówi: „To chłopi owies wiozą”. Na to kupiec: „A dokąd go wiozą?” - „Nie zapytałem o to. Czy mam pójść jeszcze raz?” - „Oczywiście trzeba się dowiedzieć. Tylko się pośpiesz, bo już daleko odjechali”. Znów pobiegł chłopaczyna. Wrócił cały mokry. - „Wiozą owies do wsi Popówki”. - „A po cóż tam wiozą, nie pytałeś?” - „Nie, zapytać?” - „Zapytaj kochanie. Tylko, że ich już nie widać”. - „Głupstwo, ja ich dogonię!” Zmęczył się setnie chłopczyna, ledwie nóg nie pogubił. „Wiozą na sprzedaż, do kupca Syzobriuchowa”. - „Po ile? Po ile chcą za pud?” - „Ach, nie zapytałem” - powiada chłopak z żalem, ale już sam nie proponuje, że się dowie. Kupiec radzi: „Mógłbyś dowiedzieć się jednak, po ile za pud”... Cóż było zrobić, musiał chłopak pędzić za taborem jeszcze raz. Długo nie wracał. Wreszcie wpada zziajany, ledwo dyszy. - „Po rublu za pud” - powiada i wali się z nóg. - „A czy nie odstąpiliby mi chłopi tego owsa, gdybym im dorzucił po dziesiątce na pudzie” - pyta kupiec. Ale spojrzał na chłopaka i widzi, że ten jest już bez sił. Woła więc swego starszego sklepowego. - „Jakiś tabor przejeżdżał koło nas. Nie wiesz, Timofieju, kto to był?” - „Wiem, odpowiada subiekt - to chłopi, wieźli owies do Popówki, do kupca Syzobriuchowa, po rublu za pud. Ale są gotowi nam odstąpić. Na własną odpowiedzialność dorzuciłem im piątaka. Zawrócili już, zaraz tu podjadą”. - „Zrozumiałeś? - pyta kupiec chłopca. - Nie nadajesz się na sklepowego. Radzę ci pomyśleć o zawodzie inżyniera-mechanika. Do tego nadaje się każdy, nawet Filimonow został inżynierem!”

Filimonow roześmiał się.

- Zabawna opowieść - przyznał Filimonow. - Ciekawe, czy to nie ty, towarzyszu akademiku, byłeś tym chłopcem, który nie zdał egzaminu?

- Nie, towarzyszu inżynierze, to nie ja! Mamuniu najmilsza, gdybym to ja był, to u Batmanowa byłby kierownikiem zaopatrzenia jakiś wysoko kwalifikowany inżynier, a na odcinkach ludzie chodziliby nadzy i bosi...

Gdy po którymś z kolei noclegu na odcinku Beridze i Topolew znaleźli się na jednych saniach, przez dłuższy czas jechali w milczeniu. Słychać było ciężki przerywany oddech Kuźmy Kuźmicza. Od czasu do czasu Beridze próbował nucić: „Słynne morze, otoczony czcią Bajkale". Dotychczas nie mieli okazji do rozmów niesłużbowych, zresztą przy służbowych zawsze był obecny Kowszow.

Na zakręcie silnie zarzuciło saniami i inżynierowie wpadli na siebie. Beridze poczuł zapach tabaki, którym przesiąknięte były wąsy starego, i roześmiał się:

- Oto wreszcie zbliżyliśmy się, Kuźmo Kuźmiczu! Czy nie wydaje się wam, że już dość tego milczenia? Myślę, że teraz nie ma powodów do boczenia się na siebie? Jak sądzicie?

- Macie rację. Mówiąc szczerze, to i przedtem nie było poważnych powodów.

- Przedtem była przyczyna: Grubski. Jeśli można się tak wyrazić, byliście u niego w niewoli... Powiedzcie, czy nie żal go wam? Bądź co bądź, dużo pracy włożył w swój projekt i nagle - wypędzono go.

- Nie. Jest teraz godny pożałowania, ale nie żałuję go - odpowiedział twardo Topolew. - Wypróbowałem na sobie skutki jego wpływu, skutki tej, jak powiedzieliście, niewoli. Dałbym nagrodę temu, kto wyjaśniłby mi naturę takich ludzi jak Grubski.

- Spróbujcie to uczynić sami - pieniądze zostaną w kieszeni... - żartobliwie poradził Beridze. - Nawiasem mówiąc, macie teraz dużo wolnego czasu.

- Pozwolicie mi zażyć tabaczki? Zrobię to ostrożnie, nie zaprószę wam oczu. To mnie podtrzymuje.

- W tym ciemnym kącie jesteście takim samymi gospodarzem jak ja. Po cóż te ceregiele?

Topolew załadował nos szczyptą tabaki. Beridze kichnął ogłuszająco.

- A jednak zaleciało i do was! - zaśmiał się starzec. - Jeśli macie ochotę, zacznijmy wspólnie zastanawiać się nad tym skomplikowanym indywiduum, jakim jest mój były przełożony. Czy zgadzacie się, że to skomplikowany osobnik?

- Oczywiście.

- Aleksiej Maksimowicz Gorki - Topolew z szacunkiem wypowiedział to imię - nie bez słuszności gorąco wzywał do nienawiści wobec filisterstwa. Potworna siła filisterstwa tkwiła w szczególności w gnuśnym zamiłowaniu do spokoju i bezczynności. Grubski ma w sobie coś z tego. On powinien przebywać w Anglii. Tam wszystko od wieków stoi bez ruchu jak zatęchły staw zaciągnięty zielonym szlamem... Gdyby zniknęły naraz grube podręczniki, które były drogowskazem w jego działalności, pękłoby mu serce. Oczywiście, on wiele umie i wiele zdobył w czasie pracy inżynierskiej. Ale wierzy tylko w to, co jest wydrukowane w grubych książkach cudzoziemskich, oraz w to, co zostało sto razy potwierdzone przez różne autorytety. Wlokąc się za nimi wszedł kiedyś do spokojnego, zatęchłego bajora i pozostał tam. Obce mu jest wszelkie nowatorstwo i śmiałość. Drażni go wprost twórcza inicjatywa innych... Teraz dobrze rozumiem, dlaczego z takim sarkazmem i pychą odrzucił pierwsze rodzące się pomysły wykorzystania lewego brzegu. To było jeszcze przed waszym przyjazdem - mam na myśli wnioski, które nadeszły wówczas z terenu, od Karpowa i innych. Równie lekko potraktował

inicjatywę Tani Wasilczenko, gdy występowała na wszystkich naradach z żądaniem założenia prowizorycznej linii telefonicznej.

- Czy przedtem nie rozumieliście Grubskiego? Czy też rozumieliście i zgadzaliście się z nim?

- Nie rozumiałem go tak, jak rozumiem teraz, kiedy wyrwałem się z jego niewoli. Owszem, przyznaję, że udało mu się i mnie zawlec do zatęchłego bajora. Aż przykro pomyśleć, że to przecież ja odpowiadałem - z jego polecenia - na propozycje z trasy. I ja nie potrafiłem poprzeć Tani Wasilczenko, choć zdawałem sobie sprawę, że miała rację.

Starzec był zdenerwowany - drżał mu głos. Beridze chcąc go uspokoić, powiedział:

- Nie denerwujcie się! Przecież zajmujecie się obecnie rozpatrywaniem skomplikowanego zagadnienia, które należy już do przeszłości.

- Spróbuję - odparł Topolew. - Nie wszystko bynajmniej podobało mi się w moim dawnym zwierzchniku. Ale byłem daleki od myśli przeciwstawienia się, a tym bardziej buntu. Nawiasem mówiąc znamy się przecież od dwudziestu pięciu lat; kiedyś określił czas naszej znajomości srebrną przyjaźnią. Możecie sobie wyobrazić, jak mi teraz ciężko myśleć o tym „serdecznym przyjacielu!" Któryś ze starożytnych filozofów powiedział: „Bezruch to śmierć". Otóż Grubski w istocie to człowiek umarły, żywy trup. A ja od najmłodszych lat trzymałem się innej zasady: do diabła z bezruchem i rutyną, chcemy niepokoju, pośpiechu i zmiany z każdym dniem!... Wy jesteście według mnie żywym przeciwieństwem Grubskiego! Cieszę się, że wreszcie jestem razem z wami. Cieszę się, że jadę pracować nad cieśninę. Grubski sam by nie pojechał i mnie by nie puścił. Wiecie co, przykro mi wyznać, ale ja bym się nawet nie napraszał na ten wyjazd - daleko, mróz, różne niewygody, kłopoty, podczas gdy w domu cicho i ciepło... Ale jakaś siła idąca od was przeniknęła mnie na wskroś; nic by mnie teraz nie utrzymało w domu, muszę sam wszystkiego dotknąć własnymi rękami, własnymi oczami muszę widzieć zanurzanie się rurociągu w cieśninie... Śmieszne jest to co mówię, prawda?! -

- Chciałbym uścisnąć wam rękę, lecz teraz byłoby niewłaściwe - odpowiedział szczerze wzruszony Beridze.

- Mógłby sobie ktoś słuchając mnie wzruszyć ramionami – mówił dalej Topolew zamilknąwszy na chwilę. - Stary z palca wyssał to zagadnienie! W naszym kraju nie ma takiego problemu. Cały nasz ustrój, cały system jest nastawiony na twórczość, przeciw bezruchowi. Stary piernik chce nam narzucić swoje subiektywne przeżycie!... Takiemu imaginacyjnemu oponentowi odpowiedziałbym: zgoda owszem, cały nasz ustrój jest nastawiony przeciw martwocie, beztrosce i bezruchowi - stawia na życie. A jednak problem podkreślony przeze mnie istnieje. Przecież nawet i wy powiedzieliście między innymi: to należy do przeszłości. Czy rzeczywiście? Żyje mnóstwo ludzi w naszym kraju - miliony - a los każdego jest inny. Człowiek rodzi się, żyje, wychowuje, a to, jakim będzie, zależne jest od bardzo wielu warunków... Czyżbym przejmował się tymi zagadnieniami tylko dlatego, że mam sześćdziesiąt lat? że jestem - jak to mówią - starym fachowcem z przeżytkami przeszłości? Brednie, nie jestem wcale starcem!

- Brawo!

- A tak, tak! Śmiem sprostować to przestarzałe pojęcie o wieku! Nawet gdybym był teraz młodszy o czterdzieści lat, to i wówczas ten problem nie mniej by mnie pociągał. Grubski jest młodszy ode mnie, lecz nie zrozumiałby mnie, gdybym mu wszystko opowiedział. Ale chłopak z Komsomołu może także popaść w niewolę fałszywych pojęć. Wyobraźcie sobie syna Grubskiego - jakże on będzie myślał, jeżeli będzie podobny do ojca? Czy nie spotykaliście młodych ludzi zadowolonych z siebie aż do mdłości? Taki młodzieniec kończy szkoły, idzie na posadę, zakłada rodzinę i jest już przekonany, że

osiągnął szczyt. Dalsza perspektywa - to myśmy z Aleksiejem wynaleźli ten termin - żadna, powiadam, dalsza perspektywa nie interesuje go, żaden dalszy cel. Płynie z prądem, z ogólnym prądem życia. Prąd to, co prawda, potężny i wspaniały, niesie wszystkich naprzód w przyszłość. Ale czyż można być spokojnym, gdy wśród tych, którzy ze wszystkich sił przyśpieszają ten ruch, są także tacy, którzy biernie unoszą się na fali? Wszystko, co jest bezwolne, może stanąć w miejscu, a to, co staje w miejscu - jest hamulcem, powstrzymującym ogólny ruch...

Nagle sanie stanęły. Na przedzie rozległy się głosy i śmiech. To Batmanow zatrzymywał od czasu do czasu cały korowód w jakimś najbardziej odludnym i dzikim miejscu, by rozprostować kości. Wszyscy wyskakiwali z sań za jego przykładem. Słońce i biel śniegu raziły oczy. Batmanowowi podobał się zimowy pejzaż Adunu; długo mógł stać i zachwycać się nim.

- Biały, jednostajny krajobraz - prawda, Wasiliju Maksimowiczu? -powiedział Beridze zbliżywszy się, chcąc sprowokować Batmanowa. - Patrzę na ten jednostajny szary kolor i myślę: „Ach, Kaukaz! Tam na każdym kawałeczku ziemi tyle barw - jaskrawych, krzyczących! Choćbyś nie chciał, musisz się zachwycać...”

Wszyscy zbliżyli się ku nim. Tylko Liberman i Filimonow nieco z boku mocowali się na śniegu. Liberman w swym wielkim, włochatym futrze nacierał na Filimonowa jak ogromny brunatny niedźwiedź.

- Prawda, Alosza, jaki tu smutny, bezbarwny krajobraz? A w zimie to już w ogóle nie ma na co patrzeć... - porozumiewawczo mrugnął na Aleksieja szukając w nim sojusznika.

Topolew, któremu nie bardzo podobała się tutejsza przyroda, przyjął jego słowa poważnie.

- Kwiaty bez zapachu, ptaki bez głosu - powtórzył czyjeś słowa. - Surowy, aż nazbyt surowy klimat. Ja jestem wielbicielem Smoleńszczyzny; byłem nim i pozostanę.

Beridze z uciechą trącił Aleksieja łokciem.

- No, ten mu dojechał! Zaraz skoczy na starego!

I rzeczywiście Batmanow dopaliwszy papierosa i odrzuciwszy niedopałek zaczął:

- Ślepcy! Letniskowi bywalcy! Nic tylko: „Ach, Kaukaz! Och! Kaukaz”. Nie gańcie przyrody; ona jest piękna wszędzie. Trzeba tylko umieć patrzeć i mieć poczucie piękna. Teraz dam wam szkołę: co dwie godziny będziecie musieli wyskakiwać z sań na mróz i patrzeć po godzinie na krajobraz, żeby poznać jego piękno.

- Och, ja już poznałem - roześmiał się Beridze.

- Spójrzcie na zachód - powiedział Batmanow tonem rozkazującym.

- Widzicie, słońca już nie ma, schowało się za pasmo wzgórz. A mimo to jeszcze jest obecne. Ono właśnie rozwinęło przed wami tę białośnieżną płaszczyznę. Jak można nie zachwycać się tą przygasającą jasnością, tak wyraziście uwypuklającą kontury wzgórza! Gdyby nasz naczelny inżynier potrafił rozumieć cokolwiek poza wykresami - dojrzałby wtedy i te gęste jodły, które jakby na dłoniach trzymają na gałęziach garście śniegu, i to płynne złoto promieni mieniące się wśród śniegu.

Beridze z zachwytem patrzył na Batmanowa. Wysoki, barczysty, w białym kożuszku i futrzanej czapce był piękny. W jego szarych oczach odbijał się blask zachodu.

- Jesteście artystą, Wasiliju Maksimowiczu - powiedział Topolew. - Człowiek, który widzi w naturze piękno nie dostrzeżone przez innych jest artystą.

- Chce powiedzieć, że kierownik pokazał nam to, czego w rzeczywistości nie ma? - prowokował Aleksiej starca.

- Nie, zupełnie co innego chciałem powiedzieć; nie przekręcajcie.

- Nie zwracajcie uwagi na tych dowcipnisiów - poradził starcowi Batmanow. - To jedno wzgórze to cały obraz. Przyjrzyjcie się: namalowany jak gdyby jednym kolorem, ileż tu tonów i półtonów! Na szczycie - złoto, nieco niżej - jasnofioletowy odcień, coraz bardziej ciemniejący, aż u samego podnóża przechodzi w ciemny fiolet. Gdzie dopatrzyliście się tej jednolitej, szarej barwy, towarzyszu Beridze?

Beridze podniósł do góry ręce w wielkich rękawicach.

- Poddaję się. Gdzieś się podziała przeklęta!

- Teraz skierujcie swe krótkowzroczne oczy na Adun.

- Batmanow spojrzał na towarzyszów i zatrzymał wzrok na Libermanie, ciężko sapiącym po zapasach z Filimonowem. - Jakie myśli przychodzą wam do głowy, gdy patrzycie na rzekę?

Liberman zwrócił swój czerwony nos w stronę Adunu i wzruszył ramionami:

- Myśli? Po prostu - wielka rzeka, która zamarzła.

- To wszystko.

- A cóż by jeszcze, mamuniu najmilsza. - Liberman mrugał dobrodusznie oszronionymi brwiami i rozgrzewał chuchaniem zziębnięte ręce. Wreszcie dodał nie bez ironii: - W ogóle to więcej mógłbym powiedzieć w sprawach zaopatrzenia, towarzyszu kierowniku.

Wszyscy zaśmiali się.

- A wy cóż powiecie? - Batmanow spojrzał na Aleksieja, który uważnie obserwował rzekę. - Czy i w waszym umyśle zamarznięty Adun nie budzi żadnych myśli i uczuć?

- Owszem - poważnie odpowiedział Aleksiej. - Gdy w zimie patrzę na dużą rzekę, zawsze zdumiewa mnie jej bezwład. Chciałoby się odkryć ślady tej walki, jaką musiała stoczyć, zanim uległa przemożnej, obezwładniającej sile.

Batmanow przyjął jego słowa z wyraźnym zadowoleniem.

- Słusznie. Znalazł się przynajmniej jeden człowiek z poczuciem piękna. Spójrzcie, jak bronił się Adun, jak walczył! Czymże są te dziko spiętrzone zwały na rzece? To zakrzepnięte ślady ruchu. Mamy tu przed sobą całe pole zmagań dwóch żywiołów! - Odwrócił się i bystro spojrzał gdzieś daleko poza rzekę. - Gdzie zobaczycie jeszcze taki las? Na Kaukazie?... Tu, gdzie stoimy, na lewym brzegu las cofnął się; za to tam podszedł do samej wody, jakby mówił Adunowi: „Zwolniłem ci tamten brzeg - hulaj sobie, ale tu moje królestwo, tędy nie ma przejścia dla ciebie - zawracaj!”...

Beridze uśmiechnął się pod wąsem. Batmanow dojrzał to.

- Nie widzę powodów do śmiechu - powiedział z dobrze udaną złością.

- Ludzie bardzo praktyczni, podobni do was, widzą w lesie tylko drzewa, słupy i deski - czterdziestki. Ale są i inni, tacy dla których drzewa i nawet zwykła deska to las, zielony, pełen głosów i radosnego szumu!

- Przyjmuję waszą uwagę jako polecenie. Od tej chwili przestaję patrzeć na las od strony praktycznej jako na drzewo i deski. Będę się nim zachwycać - niech sobie, kochany, stoi spokojnie choćby jeszcze pięćdziesiąt lat!

Aleksiej przecząco potrząsnął głową.

- Czy chcieliście coś powiedzieć? Nie zgadzacie się? - zapytał go Batmanow.

- Nie zgadzam się, żeby ten las stał spokojnie pięćdziesiąt lat - odpowiedział Aleksiej. Gospodarzem tego lasu jest niedźwiedź! Mnie pociągają inne krajobrazy. Nigdy nie zapomnę widoku, na który zwrócił nam uwagę Rogow na swoim odcinku.

- A cóż ty im pokazałeś? - spytał z zainteresowaniem Batmanow. - Ja cię znam, kawalarzu!

Rogow uśmiechał się. Aleksiej uprzedził jego odpowiedź:

- Pokazał nam światła wzdłuż trasy na Adunie i światła wzdłuż lewego brzegu. Taka zorza o północy - to dopiero niezwykły widok!

Batmanow życzliwie spojrzał na Rogowa, ale powiedział gderliwie z udaną surowością:

- Szkoda, żeś się wysilał. Nieczułe dusze inżynierów i techników! Czyż można je czymkolwiek poruszyć?

A jednak moja dusza starego inżyniera poruszyła się - z uśmiechem zauważył Topolew. - Przyznaję, że nie spodziewałem się po naszym kierowniku takiej artystycznej wrażliwości.

- Zdradzę tajemnicę. Nasz kierownik od młodzieńczych lat oddaje się malarstwu - nie bez złośliwości wyjaśnił Beridze. - Miałem szczęście oglądać jego pejzaże. Pewnego razu złapałem go nawet na gorącym uczynku - ze stalugą, pędzlem i paletą z rękach. Tak mnie to zaskoczyło, że zapomniałem o całym świecie!... Nasz szanowny malarz usiłował uwiecznić na płótnie jesień. Na skale kilka brzóz ze złocistymi liśćmi: jakby wlokły się skądś z daleka, stanęły nad urwiskiem i zamarły z przerażenia. Poza tym - żadnego drzewka, tylko czarne, skaliste, stłoczone dokoła wzgórza. A nad tym wszystkim - blade, zimne niebo. - Beridze roześmiał się. - Widzicie, Wasiliju Maksimowiczu, opisałem wasz pejzaż z największą doskonałością, a wy mi wymyślacie, że jestem nieczuły.

- Jeszcze wam za mało wymyślam - odpowiedział Batmanow. – Proszę, siadajcie do moich sań. Powiem wam kilka takich słówek, że odechce się wam obgadywania przełożonych!...

11. Karpow przechodzi na budowę

Zapatrzony w rudawy promyk słońca, przenikający przez maleńki otwór w budzie sanek, Batmanow pogrążył się w rozmyślaniach nad sprawami, które go czekały. Czas zużywany na przebycie drogi z jednego odcinka trasy na drugi, to były jedyne dla niego godziny samotności. Teraz mógł spokojnie przemyśleć raz jeszcze stan całej budowy. Przypomniała mu się ostatnia rozmowa z Pisariewem i Dudinem. Stalin porównał budowę do bitwy o strategicznym znaczeniu. Nad tym należało się na nowo i to nie jeden raz zastanowić.

Szczególnie uporczywe i niespokojne były myśli o cieśninie. Batmanow oceniał w myśli każdego z posłanych tam ludzi. Robotników na ten odcinek przyjmowała specjalna komisja i gdy Kowszow znowu dzisiaj zdawał z tego sprawę, Batmanow czuł, że o robotników może być spokojny. Wedle

zapewnień wydziału kadr kierownicy poszczególnych działów byli także ludźmi wybranymi spośród najlepszych. Ale właśnie co do tego miał wątpliwości. Nie bardzo dowierzał wydziałowi kadr - pracownicy tego wydziału nie zawsze umieli poza długimi ankietami dojrzeć żywych ludzi. Mierzlakowa, kierownika odcinka, nie widział na oczy, natomiast słyszał o nim niezłe relacje wydziału kadr. Jednak Grieczkin odrzucał je stanowczo: „To jakiś niewyraźny typ i z cicha frant, ten Mierzlakow! Myśli głównie o swoich interesach. Na pewno trzeba go będzie przepędzić, wspomnicie moje słowa!" Inżynier Kotlariewski był wysłany nad cieśninę niedawno. Robił jakieś niewyraźne wrażenie, chociaż według ankiet uczestniczył w dwóch wielkich budowach. Jedynie Pankow wzbudzał pełne zaufanie. Batmanow poznał go dobrze podczas wspólnej podróży wzdłuż trasy. Ten jego rówieśnik, towarzysz Załkinda z okresu partyzantki, był człowiekiem dojrzałym i zahartowanym w ciężkiej szkole walki. Batmanow czuł się nawet jak gdyby spokojniejszy, gdy Pankow oświadczył przy pożegnaniu, że natychmiast ruszy nad cieśninę. Dlaczego milczy, co się tam z nim stało? Batmanow powiedział Pisariewowi prawdę: nie, nie można było rzuciwszy wszystko zajmować się tylko tym jednym odcinkiem. Czas na roboty nad cieśniną przyszedł dopiero teraz. Zasadniczych rzeczy, oczywiście, nie zaniedbano, pozostałe - można będzie przecież doprowadzić do porządku, nadrobić. Trudno sobie wyobrazić, żeby Pankow nie zrobił nad cieśniną nic pożytecznego!

Kierownika budowy niepokoiło doniesienie Umary Mahometa. Wśród ludzi na odcinku panuje rozprzężenie: są zdezorientowani i nie zdają sobie dobrze sprawy z tego, po co wysłano ich na „koniec świata". Widocznie Pankow nie zdołał uporać się z trudnościami. Trzeba będzie natychmiast zaprowadzić tam porządek i żelazną dyscyplinę. Ze szczególną troską należy zająć się warunkami życia. - Liberman będzie musiał wykazać całą swą energię! Ten odcinek to prawdziwy egzamin dla twoich największych wartości, towarzyszu; możesz ducha wyzionąć, ale ludzie muszą odczuć, że robi się wszystko, aby ich otoczyć najlepszą opieką!

Najważniejsze - to podnieść nastrój pracowników. Jaka szkoda, że Załkind nie mógł pojechać nad cieśninę! Czy też wiedzą tam już o zwycięstwie pod Moskwą? Myśli Batmanowa stały się pogodniejsze na wspomnienie o pierwszym wielkim zwycięstwie w tej wojnie. Opowiadał mu o nim szczegółowo Pisariew. Mówił, że klęska Niemców pokrzyżowała plany Japonii. Gdyby Niemcom udało się wziąć Moskwę, Japonia uderzyłaby na nas. Pisariew ostrzegał: „Miejcie oczy otwarte! Uważajcie! Nie zażywajcie błogiego wypoczynku! Japonia bardzo interesuje się naszym rurociągiem. Na wyspie i nad cieśniną mogą się znaleźć jej agenci".

Batmanowa zdumiewało, że Stalin znalazł czas na wysłuchanie raportu o budowie rurociągu właśnie w chwili, kiedy toczyły się gigantyczne boje o Moskwę. Ani jedna bitwa na froncie, ani jedno ciężkie zmaganie się na zapleczu nie odbywało się bez udziału Stalina - jego geniusz olśniewał każdego generała i żołnierza w walce i każdego kierownika i robotnika przy pracy. W końcu sierpnia, przed odlotem Batmanowa na Daleki Wschód, Stalin także znalazł czas, aby go przyjąć. Pod koniec audiencji powiedział mu to, co zapewne mówił wszystkim innym kierownikom przemysłu. Powiedział, że należy bezlitośnie walczyć z ludźmi zarażonymi nastrojami czasu pokojowego, zwalczać te nastroje w sobie samym i wśród otoczenia, wszędzie, gdziekolwiek się przejawiają. Ludzie o takim nastawieniu będą twierdzili, że rurociągu nie da się zbudować nawet w okresie trzech lat. Stalin polecił Batmanowowi, aby się sam w tym zorientował; zorientował i zrealizował plan w ciągu roku. Wódz wyciągnął do Batmanowa rękę i zakończył słowami, które często dźwięczały w uszach Wasilija Maksimowicza, gdy pozostawał sam: „Życzę powodzenia, towarzyszu Batmanow".

Wzruszony Wasilij Maksimowicz jakby na nowo odczuł energiczny uścisk dłoni Wodza. Powodzenie będzie, towarzyszu Stalinie, jakiekolwiek byłyby trudności!

W jakimś znanym sobie miejscu Batmanow zatrzymał całą wyprawę. Wszyscy wyskoczyli z sań i - osłupieli ujrzawszy coś nieoczekiwanego. Batmanow patrzył z triumfującą miną na ich zdumione twarze. Stali nad brzegiem Adunu, plecami zwróceni do rzeki. Mieli przed sobą schodzącą łagodnie w dół kotlinę, podobną do ogromnej, głębokiej białej misy, dymiącej, pokrytej dużymi, czarnymi cętkami. Z zasp śnieżnych biły wprost w bladobłękitne niebo białe strumienie ni to dymu, ni to pary. Robiło to wrażenie, jakby jakaś zagadkowa siła unosiła śnieg w górę. Wiatr kołysał lekko te delikatne, białe strumienie, a za nimi - jak poza wzorzystą tiulową zasłoną - widać było dużą wieś - Dolną Sazankę.

- Wspaniałe! - wykrzyknął Aleksiej. - Przecież to gorące źródła!

- I to jakie jeszcze! - Batmanow powiedział to takim tonem, jakby sam był odkrywcą i właścicielem tych źródeł. - Z czasem będzie tu jedno z najlepszych uzdrowisk świata. Te wody są lepsze od kaukaskich, słyszycie, towarzyszu Beridze? Wysoka radioaktywność, obfita zawartość soli mineralnych, temperatura plus dziewięćdziesiąt stopni na powierzchni ziemi. To jest dopiero woda!

- Szkoda, że taki skarb się marnuje - wtrącił Rogow.

- Niezupełnie się marnuje - zaprzeczył Batmanow.

Zbliżali się to do jednego, to do drugiego gejzeru. U podstawy jednego źródła w środku śnieżnego kopca czerniał otwór, w którym coś syczało, pieniło się i wytryskiwało z głębi w postaci słupa pary. Wszyscy długo patrzyli na ten zdumiewający na tle zimy widok.

Nagle spoza źródeł ukazał się Karpow. Z godnością i serdecznie pozdrowił wszystkich, następnie powoli podchodził do każdego i witał się uściskiem dłoni. Gdy stanął przed Beridzem, na jego zafrasowanej twarzy ukazał się uśmiech - przypomniał sobie spotkanie w czasie śnieżnej burzy.

- Witaj, Iwanie Łukiczu! Jak się masz, przyjacielu! Batmanow ściskał jego dłoń. - Przybyliśmy do ciebie w gościnę!

- Prosimy bardzo - odpowiedział Karpow znów się kłaniając.

- Pokaż im, proszę, jak wykorzystałeś na pożytek ludzi podziemne ciepło. Niech inżynierowie zobaczą, przyda się im...

- Nie ma się czym tak bardzo chwalić - odpowiedział Karpow, chociaż widać było, że zainteresowanie przybyłych sprawiało mu przyjemność.

Jego pomysł był bardzo prosty. Kilka źródeł położonych bliżej wsi kołchoźnicy przykryli drewnianymi kadziami. Zebraną gorącą wodę rozprowadzano drewnianymi rurami używając jej do ogrzewania inspektów i mieszkań. Pod szklanym dachem inspektów, który jakby wyrósł z zasp śnieżnych, było gorąco. W długich skrzyniach ustawionych na podstawach bujnie krzewiła się zieleń rzodkiewek, sałaty, ogórków i pomidorów. Podróżnym mimo woli zabłysły oczy - z przyjemnością skosztowali świeżych warzyw.

- Dokoła mróz siarczysty i śnieg, a tu tropikalne lato! - Beridze rozglądał się z zachwytem, zajadając z apetytem ogórek. - Czarodziej z ciebie, Iwanie Łukiczu!

- Inspektami zajmuje się mój ojciec. On jest tu kierownikiem wiejskiego gospodarstwa. - Karpow uchylając się od pochwał gości zapoznał ich zaraz z milczącym staruszkiem o regularnych rysach i gładko wygolonej twarzy, do którego był bardzo podobny. - Przez całą zimę mamy świeże jarzyny dla dziecarni i chorych. Wystarcza nie tylko dla nas, nawet sąsiednim wsiom sprzedajemy. Wprawdzie

podstawą naszego gospodarstwa jest ryba, ale uprawa ziemi także daje kołchozowi nienajgorszy dochód.

Pokazawszy inspekty Karpow poprowadził gości w głąb wsi. Po obu stronach ulicy stały porządne domy z ciosanego drzewa. W środku wznosiła się szkoła i czytelnia. Za domami widać było solidne zabudowania gospodarskie i płoty dużych ogrodów.

- Nasza wieś ma już prawie dziewięćdziesiąt lat. Założyli ją dziad mój nieboszczyk i jego towarzysze - objaśnił z dumą Karpow. - Przywędrowali zza Bajkału szukając znośniejszych warunków życia. Nie było sądzone dziadowi zaznać lepszych dni, dopiero ojciec dożył socjalizmu!...

Goście wstąpili do kilku domów... Prawie w żadnym nie było mężczyzn. Wielu poszło na front. Z tych, którzy pozostali, jedni byli w tym czasie zajęci łowieniem ryb pod lodem, drudzy zaś - odstawiali transport ryby do Okręgu. Batmanow, który już po raz drugi odwiedzał Dolną Sazankę, witał się teraz jak stary znajomy z gospodyniami i dziećmi i sam pokazywał towarzyszom rury rozprowadzające wodę z gorących źródeł.

- Latem mają tu elektryczność - wyjaśniał Batmanow. - Karpow zbudował na tutejszej rzeczułce małą elektrownię wodną.

- O, Iwan Łukicz to pomysłowy człowiek. On u nas uchodzi też i za doktora. Zajrzyjcie do dziadka Trifona, ten cuda wam opowie - wtrąciła jakaś kobiecina.

Karpow, jakby się usprawiedliwiał, zaczął tłumaczyć:

- Woziłem naszą wodę do Nowińska i do Rubieżańska - tłumaczył się Karpow, jakby był winny. Bardzo radzili, żeby robić z niej kąpiele tym, którzy cierpią na reumatyzm. Stary Trifon od dawna się męczył, więc namówiłem go, żeby się leczył wodą... Pomogło. A teraz i inni używają tych kąpieli. U rybaków reumatyzm to rzecz zwyczajna. Dlatego, kiedy wracają z połowu, zaraz rozgrzewają nogi w tej wodzie...

Mieszkańcy wioski witali Batmanowa i jego towarzyszy życzliwie, ale z pewną rezerwą. W ich spojrzeniach i rozmowie czuło się ukryte pytanie: „Po cóż oni tu, dobrzy ludzie, przyjechali, czy tylko po to, żeby na nas popatrzeć i pokazać się?”

- Zauważyłeś, że Karpow nie zaprasza nas do siebie? - szeptem zwrócił się Aleksiej do Beridzego.

Karpow rzeczywiście dopiero po pewnym czasie i jakby z niechęcią przyprowadził ich do swojego domu. Otworzył furtkę do ogródka przed domem, zaprosił wszystkich do mieszkania, sam wszedł ostatni. Twarz jego spochmurniała. Jego żona, młoda kobieta, krępa o żywych czarnych oczach, przywitała gości oschle i nieuprzejmie. Na męża nawet nie spojrzała. Dwie bystrookie dziewczynki też silnie zbudowane, w wieku czterech i sześciu lat - chowały się za matkę.

Spojrzawszy na świeżo wybielone ściany i sufit, na jasne podłogi zasłane starannie wypranymi chodnikami, Beridze pochwalił wobec gospodarzy czystość ich domu. Ci zaś milczeli, rozmowa nie kleiła się. Batmanow przyciągnął ku sobie dziewczynki i poczęstował je czekoladą. Obie zachowywały się wobec niego z ufnością.

- Jedźcie ze mną budować rurociąg - mówił do dzieci rzucając krótkie spojrzenia na matkę. - Będziecie jeździły na samochodach, zobaczycie wybuchy w cieśninie. To bardzo ciekawe.

- Wystarczy wam ich ojciec - wytrąciła ostrym tonem matka. - Już niech on jeden jedzie budować wasz rurociąg.

- Katia - surowo upomniał ją Karpow.

- „Katia!" Przez trzydzieści lat to samo! Ust mi nie zamkniesz! Nie jesteś gospodarzem tego domu, skoro go rzucasz!... We wsi pokazać się nie można, bo wszyscy wydziwiają: „Twój Łukicz zwariował, ucieka licho wie dokąd. Uważano go za pierwszego człowieka na wsi, któż go tu skrzywdził? Jakże sama jedna zostaniesz?" Posłuchałbyś chociaż swego ojca, on ci przecież każe zostać!

- Nie macie racji, gosposiu - powiedział Batmanow. - Karpow jedzie do pracy na ważną państwową budowę, gdzie będzie bardzo pożyteczny. To nie jest jego zachcianka...

- A cóż to, czy on tu nie jest pożyteczny? - podniosła głos kobieta. - Czy ryb nie potrzeba dla frontu, co?

- Przestań - z oburzeniem przerwał jej Karpow. - Wiesz dobrze, że z zarządem kołchozu omówiłem już wszystko, że przygotowałem zastępcę. Robota w kołchozie idzie nieźle... Muszę jechać, ta budowa zapadła mi w serce. Przez całe życie nie daruję sobie, jeżeli nie pojadę.

- Jedź! Kto cię trzyma? Nie boję się zostać sama, mam ręce, to przeżyję. Tylko ci powiem, że lepiej byś poszedł na wojnę, nie wstydziłabym się tak przed ludźmi.

Karpow wzburzony podniósł się. Goście również wstali.

- Nie sądźcie mnie źle, towarzyszu Batmanow i wy wszyscy za to, że tak źle przyjęto was w moim domu - powiedział głucho. - Chodźmy do zarządu. - Odwróciwszy się ku żonie spojrzał na nią z wyrzutem. - Sama będziesz się kiedyś tego wstydziła. Zhańbiłaś mnie wobec drogich mi ludzi!

W zarządzie kołchozu zastali zastępcę Karpowa i jeszcze kilku ludzi. Był tam także ojciec Karpowa i jeszcze jeden starzec, Zobnin, rybak. Porozmawiali o nowych wiadomościach z frontu. Zobnin obliczał ilość zabitych Niemców oraz sprzęt wzięty pod Moskwą, w rejonie Jelca i w czasie zajęcia Kalinina.

- Teraz lżej nam oddychać - powiedział Zobnin.

Pogawędzili też o sprawach kołchozu. Potem Batmanow zapytał:

- A więc godzicie się, żeby Karpow jechał z nami?

- Niech jedzie. Zarząd postanowił zwolnić go - odpowiedział nowy przewodniczący kołchozu. - Na zebraniu ogólnym także uchwalono nie sprzeciwiać się, jeśli tak nalega.

- Nie mamy prawa zatrzymywać, ale jesteśmy oburzeni na niego - dodał Zobnin. - I na was jesteśmy oburzeni, że zwabiliście go.

- Ty, Iwanie, nie wracaj już teraz do domu. Wypędzę! - ponuro rzekł ojciec Karpowa.

Karpow nic nie odpowiedział, tylko wzruszył barczystymi ramionami.

Po godzinie, jakby chcąc prędzej go porwać, sanie Batmanowa i jego sztabu mknęły już ze wsi. Nowy pracownik budowy leżał obok Beridzego i posępnie milczał. Beridze, wyczuwając jego stan, nie wszczynał rozmowy.

- Oto, niedola! Tak jakoś na duszy ciężko, jakbym się na zawszę pożegnał z rodziną i przyjaciółmi - wzdychając odezwał się w końcu Karpow.

- Żal ci, Iwanie Łukiczu?

- Nie, nie o to chodzi. Nie mogę wyrzec się tej budowy! Lubię technikę! Przyjdzie czas, to po wojnie pojadę do Rubieżańska na naukę! W tej budowie widzę swój wielki cel. Gdy już pójdzie tędy rurociąg i powstanie droga do Nowińska, jakież tu życie zakwitnie! Wspomnisz moje słowo. Gieorgiju Dawydowiczu! Za dziesięć lat nasza Dolna Sazanka stanie się znakomitym uzdrowiskiem. Będą tu zjeżdżać ludzie z całego kraju, aby podziwiać piękno tych stron i nabierać nowych sił!... - już się uspokoił i z przejęciem mówił o przyszłości swojej wsi i Adunu, tak jak on to sobie wyobrażał.

Niemal przy samej cieśninie dopędzono Tanię Wasilczenko i jej brygadę. Od dnia wyjazdu Batmanowa i jego towarzyszy z Nowińska śledziła dokładnie ich posuwanie się po trasie. Mając linię w swoim posiadaniu wiedziała o wszystkim: o tym, że projekt został zatwierdzony, że Batmanow wiezie ze sobą Rogowa i Karpowa i że kierownik budowy śpieszy się, zaniepokojony sytuacją na krańcowych odcinkach.

Tania kilkakrotnie rozmawiała przez selektor z Beridzem, Kowszowem i Topolewem podczas ich postojów na odcinkach. Dwukrotnie wzywał ją do selektora także sam Batmanow. Pytał, ile kilometrów przewodów pozostało jej jeszcze do założenia, i odgrażał się, że będzie kiepsko, jeśli ją dogoni jeszcze przed cieśniną. Miała przed sobą jeszcze około sześćdziesięciu kilometrów, można było przeto uważać, że polecenie Batmanowa zostało wykonane; więc nie obawiała się jego pogróżek.

Ostatni nocleg Batmanowa i jego towarzyszy wypadł na dziesiątym odcinku. Stamtąd otrzymała Tania wiadomość, kiedy towarzystwo ruszyło dalej; wówczas wzięła narty i wraz ze Smirnowem udała się na spotkanie jadących.

Dzień był jasny, słoneczny, tęczowe migotanie śniegu raziło oczy. W ośnieżonej tajdze budził, się jak gdyby ożywione przez słońce jakieś nikłe szmery i poszumy; dolatywał z niej nawet śpiew jakichś małych ptasząt.

Tania posuwała się szybko. Smirnow na swych długich nogach ledwie za nią nadążał. Była w doskonałym nastroju: uśmiechała się i nuciła. Od jej różowych warg odrywał się co chwila w mroźnym powietrzu niezwykle delikatny obłoczek oddechu, który jakby się łączył z jej piosenką. Od owego pamiętnego dnia, kiedy wyprosiła od siebie obu inżynierów, aby później wiele wycierpieć z powodu obawy, że zginęli podczas burzy, Tania nie widziała jeszcze Beridzego. Z radością myślała o spotkaniu z nim i obiecywała sobie, że nie będzie już gniewać się, jeżeli nawet Beridze zacznie wygłaszać swoje nalegające mowy o miłości. Chciała też ujrzeć i Aleksieja, i Topolewa, i Rogowa i nawet Batmanowa, którego mimo wszystko trochę się bała. Wszyscy wydawali się jej kochani i bliscy, prawie na równi z matką.

Zbliżywszy się do rzeki Tania i Smirnow przystanęli. Brzeg w tym miejscu był wysoki i urwisty. Smirnow pierwszy dojrzał wśród białej przestrzeni ciemny, wolno przesuwający się punkt. Gdy sanie jadących zbliżyły się - Tania podniosła kijki i pochyliwszy się ku przodowi szybko zjechała w dół. Za nią pohukując skoczył w obłoki śnieżnego pyłu Smirnow.

Wypadli tuż przed pierwszym zaprzęgiem. Przestraszony koń zachrapał, potrząsnął łbem i cofnął się - tylne sanie wpadły na przednie. Tania i Smirnow nie mogli powstrzymać się od śmiechu, widząc jak pasażerowie niby worki wylatują z sań i mrużą oczy, nie rozróżniając w pierwszej chwili niczego w jaskrawym blasku słońca. Wreszcie przyjrzawszy się, uradowani, obstąpili Tanię ciasnym kołem. Beridze zachwycony i bardzo onieśmielony stał cicho z boku nie mogąc oderwać od niej oczu. Tania ucałowawszy Topolewa szepnęła mu z wyrazem triumfu:

- No i co, dziaduniu? Niezły chłop z Beridzego, miałam jednak rację...

- Prawda, kochanie, przyznaję - odpowiedział tajemniczym szeptem stary.

- A co się dzieje z Wołodią? - rzuciła szybkie pytanie.

- Już od miesiąca nie mam od niego żadnych wieści. Bardzo mnie to niepokoi - odrzekł starzec.

Liberman przeciskając się obok Topolewa i ocierając usta rękawicą, rzucił się ku Tani z rozpostartymi ramionami.

- Mamuniu najmilsza, skąd się tu wzięło to cudo z pąsowymi buziaczkami i w pąsowej czapeczce! Przepiękna leśna królewna!

- Zawsze zachowuje się jak chłopaczek - rzekła Tania uchylając się od jego objęć i podając mu rękę na powitanie: - bardzo dobrze, że wyciągnęli was wreszcie na ten boży świat - dodała.

Batmanow ciekawy, dlaczego się zatrzymano i z czego śmieją się jego towarzysze, wygramolił się także ze swoich sań. Zbliżył się i ujrzawszy Tanię, z miejsca ją zdetonował:

- Dzień dobry. Nierad jestem, że was tu widzę, najzupełniej nierad.

- Dlaczego, towarzyszu kierowniku? - zapytała zmieszana dziewczyna nie wiedząc, czy traktować jego słowa jako żart czy na serio.

- Czy tutaj kończy się wasza linia? Czy dalej przewodu jeszcze nie ma?

- Na razie tutaj, ale do cieśniny zostało nam już tylko sześćdziesiąt kilometrów.

- Czy zapomnieliście o naszej umowie? Linia będzie mi potrzebna na odcinku cieśniny natychmiast po moim tam przyjeździe. Posuwacie się żółwim krokiem, moja droga!

Tania milczała wzburzona. Już nie uśmiechała się, opuściła głowę. Powstrzymała się od wypowiedzenia ostrych słów, które cisnęły się jej na usta. Liberman za plecami Batmanowa chwytał się za głowę i mruczał:

- Mamuniu najmilsza, tak traktować naszą ambitną Tanię!

Beridze wstawił się za nią:

- To niesłuszna nagana, Wasiliju Maksimowiczu. Tatjana Pietrowna i jej ludzie ustanowili w przeciąganiu sieci rekord. Żaden samochód nie nadążyłby za nimi.

Batmanow spojrzał na niego z uśmiechem:

- Dobry z was adwokat i rycerz, Gieorgiju Dawydowiczu.

Liberman roześmiał się głośno, zwracając na siebie uwagę Batmanowa.

- Czemuż to wam tak wesoło? Żebyście tylko nie musieli płakać nad cieśniną!

Aleksiej rozmawiał na boku ze Smirnowem; przysunął się bliżej ku dziewczynie chcąc ją pocieszyć:

- Nie przejmuj się jego słowami. Przypomnij sobie, jak rozmawialiśmy kiedyś o dobrych kierownikach, którzy nie szafują pochwałami nawet wobec ludzi, których lubią. Odpowiedz lepiej jakim żartem i koniec!

- A niech ich, tych dobrych kierowników! Nie wiadomo jak im odpowiadać! - ze złością odburknęła Tania.

Topolewowi było szczerze żal Tani. Zaciągnął się szczyptą tabaki, wytarł usta czerwoną chustką i zdecydowanym krokiem podszedł do Batmanowa.

- Dlaczego ją krzywdzicie? - zapytał z wyrzutem. - I tak nie jest jej lekko. Pomyślcie tylko, ile musiała się namęczyć, aby dociągnąć przewód aż do tego miejsca! Wszyscy witali ją z taką radością, a wy popsuliście ten nastrój? Mogliście złajać chociażby mnie, jeżeli już zachciało się wam wymyślać!

Batmanow z zaciekawieniem spojrzał na starca, potem na Beridzego, na Tanię, której Aleksiej coś szeptał do ucha, na stojących w pobliżu Karpowa i Rogowa, na Smirnowa spokojnie wytrzymującego jego spojrzenie, na Libermana udającego obojętność. Nie odpowiedziawszy Topolewowi rzucił krótko:

- Do sań! Nie będziemy na mrozie prawić sobie komplementów; możecie się jeszcze pozaziębiać!

Pożegnawszy Tanię ze współczuciem, zabierali się do siadania. Tylko jeden Beridze stał jeszcze patrząc ze smutkiem na dziewczynę.

- Czy wy także chcecie mnie zwymyślać, towarzyszu naczelny inżynierze? - uszczypliwie zapytała Tania.

Beridze jeszcze bardziej spochmurniał. Odszedł. Tania patrzyła za nim wyrzucając sobie, że nie zapanowała nad sobą. Miała ochotę zawołać go, opowiedzieć, jak dniem i nocą marzyła o tym spotkaniu. Z sań wymachiwano ku niej rękawicami i czapkami. Liberman wołał:

- Do widzenia, Taniusza! Całuję was w nosek!

Tania odwróciła się i powiedziała do Smirnowa:

- Jedziemy, Kola!

Zaczęli wspinać się na stromy brzeg strącając śnieg ze zbocza. Nagle Batmanow obserwując ich ze swoich sań krzyknął:

- A po cóż wy się tam pchacie, towarzyszko! Wracajcie, pojedziecie z nami! Siadajcie tu do moich sań! A wy, towarzyszu Smirnow, wracajcie do brygad i szybciej przeciągajcie ten swój zatracony przewód. Waszą kierowniczkę biorę jako zastaw. Nie wydam jej, dopóki nie oddacie mi gotowej linii na cieśninie! Zrozumieliście?

- Zrozumiałem! - wesoło odkrzyknął ze zbocza Smirnow. - Będzie zrobione!

Aleksiej odetchnął z ulgą. Wsunął się do sań Beridzego.

- A to historia! Ale z góry wiedziałem, ze ją weźmie z sobą.

Beridze nie odezwał się.

- Czego się dąsasz?

- Daj spokój, Aleksiej, nie mów nic - gniewnie burknął Beridze.

Batmanow narzucił na Tanię kożuch i kazał jej dobrze się otulić. Owinęła się w przesyconą ostrym zapachem baranicę i odsunęła się od Batmanowa, na ile tylko pozwalały sanie. Leżała bez ruchu czekając na rozmowę, która nieuchronnie musiała nastąpić.

Promyk słońca padał z góry przez szczelinę w budzie. Batmanow patrzył z uśmiechem, jak słońce igrało na twarzy dziewczyny oświetlając jej różowe nozdrza, malutki prosty nos i górną wargę lekko odętą jak u zagniewanego dziecka. Sanie podskoczyły i promień przebiegł po jej całej twarzy mocno

ściemniałej, prawie brązowej od opalenizny. Od blasku promienia zajaśniały delikatne czarne loki, rąbek ucha, które wymknęło się spod szydełkowej czapeczki, i szyja, niezbyt szczelnie okryta czerwonym szalikiem.

Wspominając, jak przed godziną wszyscy stanęli w jej obronie, Batmanow uśmiechnął się: „Czyż naprawdę nie rozumieją, że ja również jestem jej przyjacielem?"

- Dziewuszko z charakterem, czy jeszcze się gniewacie? - przerwał milczenie.

- Kierownik ma prawo udzielić mi nagany. Czyż mogę gniewać się z tego powodu? - Tania powiedziała to sucho, z nieuchwytną ironią.

- Nie można odpowiadać tak oficjalnie i patetycznie, kiedy leży się tuż obok drugiego człowieka; nawet gdyby to był sam komisarz ludowy - zauważył Batmanow.

Tania wyczuła, że Batmanow uśmiecha się, i pośpieszyła z repliką:

- Czyż oficjalne stosunki zależą od przypadkowych środków lokomocji? Co za różnica, czy stoję przed wami w gabinecie, czy jadę razem saniami?

Sanie znów zarzuciły i Tania dotknęła łokciem Batmanowa. Natychmiast odsunęła się. Batmanow ledwie się powstrzymał od śmiechu.

- Co tu dużo mówić, na pewno jest różnica między gabinetem a saniami! A zatem nie gniewacie się na mnie? Skąd więc to zmieszanie? Boicie się, czy co?

- Boję się? Czego? - Zmieszanie Tani rozpraszało się, czuła się swobodniej.

- Nie wiecie oczywiście, czego się można po mnie spodziewać. Wyobrażacie sobie, że jestem człowiekiem brutalnym i złym. Myślicie, co powiedzą o mnie jadący za nami? Co powiedzą chłopcy, gdy im to wszystko wygada Smirnow?

- Potrafię się sama obronić, gdyby zły człowiek chciał mnie skrzywdzić. W takim wypadku nie liczyłabym się z jego stanowiskiem. A Kola Smirnow i inni na pewno nic złego nie pomyślą.

- Dlaczego?

- To są przyzwoici chłopcy i mają dobre mniemanie i o was, i o mnie. Nie ręczę tylko za Libermana - ten może pomyśleć nawet coś złego. Ale na pewno nic nie powie, bo oberwałby...

- Ze względu na szacunek dla was czy dla mnie?

- Przez szacunek dla was i dla mnie. Ze względu na czysty stosunek do kobiety.

- Skąd wiecie o czystym stosunku do kobiety?

- Kobieta zawsze wyczuwa, odgaduje, jak ją traktują.

- Tak. Czy jeszcze macie jakieś uwagi?

Tania zaśmiała się.

- Owszem, miałabym jeszcze, ale już nie w obronie przed waszymi zarzutami.

- A mianowicie?

- Podwładnemu nie wypada wydawać sądu o przełożonym. Rezygnuję.

- Spróbujcie, pozwalam.

- Sami, nie wiadomo po co, obmawiacie i siebie, i ludzi.

- A jak myślicie, dlaczego to robię?

- Widocznie taki już macie charakter i metodę. Kowszow, gdy staliśmy przy saniach, pocieszał mnie: „Są tacy dobrzy ludzie, którym nie może przejść przez gardło ani jedno miłe słowo; wolą być szorstcy". On nazywa wasz zwyczaj napadania na ludzi i besztania „surową miłością".

- A to ci psycholog! Skąd jest taki mądry i wszystkowiedzący! Ja mu dam „surową miłość!" Ładną opinię o mnie wydaje! - Batmanow powiedział to w tonie żartobliwego oburzenia. Jednak w jego głosie zadźwięczała także rzeczywista uraza. Powtórzone przez Tanię z ironią słowa osoby trzeciej dotknęły go.

- Przecież pozwoliliście krytykować przełożonych - przypomniała Tania.

- Wam pozwoliłem, jemu - nie. Oberwie za to...

Umilkli.

- No, dobrze! Wyobraźmy sobie, że kierownik wasz to człowiek poczciwy z duszą i kościami i dlatego właśnie nagadał wam mnóstwo przykrych rzeczy - zaczął znów po dłuższej chwili Batmanow. - Z dobroci zabrał was ze sobą, posadził przy sobie, zaczął dyskusję na oderwane tematy i w ten sposób rozwiał wasz przykry nastrój. A co będzie, jeśli to wszystko są banialuki, a wasz dobry kierownik żywiąc ku wam jakieś uczucia ma zamiar to wyznać?

Tania szybko odsunęła się.

- Dość już tego, Wasiliju Maksimowiczu. Mogę domyślić się, jakie są wasze prawdziwe uczucia. Przecież wiem dobrze, że jest wam teraz ciężko... Dajmy spokój żartom!

Nie odpowiedział, było mu przykro. Znów zapadło długie milczenie.

- No, wyjaśniliśmy wszystko - powiedział wreszcie z westchnieniem.

- Teraz złóżcie mi sprawozdanie. A raczej opowiedzcie, jak się wam żyło i pracowało przez cały ten czas. Byłem u was i widziałem niejedno, ale nie mieliśmy wówczas okazji porozmawiania w cztery oczy. Ciekaw jestem, jak sami oceniacie swoją pracę z młodzieżą.

Zapytał, czy może zapalić papierosa. Przyjemny, ciepły dym owionął Tanię. Gdy zaciągał się papierosem, czerwonawy odblask oświetlał jego dużą twarz i zwrócone ku górze oczy.

Wiele chłopców i dziewcząt zgłosiło się do łączności nie zdając sobie zupełnie sprawy z oczekujących ich trudności. Tam, w Nowińsku, wyobrażali sobie, że praca będzie niemal rozrywką, a Tania czymś w rodzaju zastępowej. Po dwóch - trzech dniach sytuacja uległa zmianie: ze zwyczajnych, miejskich warunków przeniesiono ich w głąb tajgi i zostali nieledwie pozostawieni własnej zaradności. Wtedy wielu stchórzyło - praca i życie na mrozie wydały się wprost niemożliwe. Osoba Tani jako kierownika, od którego teraz zależał ich los, przestała wzbudzać zaufanie. Część młodzieży wpadła w apatię, niektórzy ze łzami w oczach prosili, aby im pozwolono wrócić do miasta.

Na szczęście Tania nie prosiła o pozostawianie i nie ulegała. Znalazła w sobie dość siły, aby być nieustępliwą i wymagającą... „Zimno? - starajcie się przyzwyczaić, a nie będzie wam chłodno. Przecież nie będziemy budować ciepłego domu przy każdym drzewie. Ciężko? - Jest wojna - na froncie jeszcze ciężej. A wreszcie czy komsomolcom wolno szukać łatwego życia? Że pierwszy raz na takiej robocie,

że nie znacie się na niej? No, cóż, trzeba pracować i uczyć się w toku pracy”. Ale wszystko to na razie były tylko słowa. Wtedy Kola Smirnow poradził: ..Musimy słowa poprzeć czynem, osobistym przykładem”. Oboje zaczęli zachowywać się tak, jakby mróz dla nich nie istniał. Dowiodła chłopcom, że można pracować bez rękawic. Ręce stały się czerwone i szorstkie - ale skóra już nie reagowała na zimno. Kola chorował i odmroził sobie policzki, a ona - dziwnym trafem - nie przeziębiła się i nawet niczego sobie nie odmroziła.

- Ciekawe - wtrącił Batmanow. - Powiadacie, że ręce przyzwyczajają się? A moje jakoś wciąż marzną. Dajcie mi swoją rękę.

Dotknął jej małej, ciepłej dłoni o zgrubiałym, szorstkim naskórku, pokrytym odciskami. Jak szybko to uczynił, tak szybko cofnął swoją rękę. Nie wiadomo, co oznaczał ten gest - uścisk czy ciekawość?

Tania opowiadała dalej. Kolumnę łączności trzeba było podzielić na brygady, a proces zakładania linii rozdzielić na poszczególne operacje. Praca została uproszczona i poszła już lepiej - szybko przyzwyczaili się do swojej roboty, stawali się specjalistami.

- Grubski wciąż czekał, aż z centrali przyślą na trasę specjalistów - przypomniała Tania. - Głupi człowiek! Gdyby nie on, już dawno wzdłuż całej trasy byłby telefon. Jak może ziemia ścierpieć fakt, że chodzą po niej tacy ludzie!

- Nie wiem, jak ziemia może go ścierpieć, ale my nie musimy go już tolerować. Wygraliście, dajcie mu spokój, umarłych nie ma co ruszać!

Tania postanowiła wreszcie wyjaśnić kierownikowi, dlaczego przewód nie został doprowadzony do cieśniny i dlaczego Batmanowowi udało się ją tutaj dogonić. Przeszkodziła zamieć. Przyszła niespodziewanie i narobiła dużo szkód. Miejscami przewody były porwane na przestrzeni kilku kilometrów. Po zamieci zamiast iść naprzód do cieśniny, trzeba było wracać, aby od nowa wykonać blisko połowę pracy. Na domiar złego podczas zamieci pięciu chłopców zgubiło się, zbłądzili w tajdze. Odnaleziono ich dopiero po czterech dniach i kurowano przez tydzień. Gdyby nie zamieć, telefon byłby już doprowadzony do cieśniny.

- Nie tłumaczcie się - miękko powiedział Batmanow i nagle pogładził ją po ojcowsku po głowie. - Wbrew przyzwyczajeniu, które mi przypisujecie, korzystając z ciemności, powiem wam dobre słowo: z zadania swego wywiązaliście się celująco. Zrobione zostało więcej, niż można było zrobić. Gdy brygady dotrą do cieśniny, w specjalnym rozkazie podziękujemy wszystkim chłopcom. Będzie to pierwszy taki rozkaz na budowie. Cieszycie się?

Skaczący promyk światła pozwolił Batmanowowi dojrzeć, jak rozjaśniła się twarz dziewczyny. Popsuła cały nastrój swoim radosnym okrzykiem:

- Jesteście naprawdę bardzo dobrzy! Z chęcią bym was ucałowała!

- No, no, nie przerzucajcie się z jednej ostateczności w drugą! - burknął z niechęcią Batmanow - Czy wam się zdaje, że wiozę was po to, aby prawić komplementy? Tak mi się powiedziało... A zatem, pierwsze zadanie rozwiązaliście, dziękuję. Teraz stanie przed wami drugie, technicznie jeszcze trudniejsze. Mam na myśli przerzucenie linii na wyspę. Chodzi o przeprowadzenie podwodnego kabla przez cieśninę, rozumiecie.

Zamilkł czekając na odpowiedź. Tania nie odezwała się: myślała w tej chwili nie o czekającym ją zadaniu, lecz o człowieku, z którym teraz rozmawiała. Jak to dobrze, że tu, na ich budowę, Stalin przysłał właśnie jego!

- Dlaczego milczycie? - zapytał Batmanow. - Przestraszył was ten podwodny kabel?

- Nie, nie przestraszył - odpowiedziała szybko, otrząsając się z zamyślenia. - Przeciągniemy kabel. Myślałam już o nim i naradzałam się nawet z Beridzem i Kowszowem. Mamy swój plan działania. Będziemy układali kabel równocześnie z rurociągiem. Gdy tylko rozejrzę się na miejscu, złożę wam dokładny raport.

- W porządku. Jeśli chcecie, powiem wam, w jaki sposób chcę wykorzystać przeprowadzoną przez was linię.

- Naturalnie, że chcę. Na ogół wiem, jak się korzysta z łączności.

- Nie, wcale nie wiecie. Nie mam na myśli zwyczajnego posługiwania się łącznością.

Z ożywieniem zaczął opowiadać, że teraz będzie mógł wprowadzić na całej budowie prawdziwą służbę dyspozycyjną. Zarząd i on sam muszą wiedzieć i widzieć, co się dzieje w każdej chwili na każdym punkcie trasy. Nie można dopuścić, aby los roboty zależał tylko od normalnych depesz i dorywczych rozmów przez telefon. Na każdym odcinku i na każdym ważnym punkcie trasy będzie teraz dyspozytor. Będzie to nie tylko pracownik obsługujący aparat selektorowy i nie tylko pracownik techniczny, lecz doświadczony, fachowy człowiek, który wszystko widzi i rozumie... Wprowadzi się odpowiedzialne stanowisko głównego dyspozytora, jemu będą podlegali dyspozytorzy na trasie, a on sam będzie podlegał kierownikowi budowy.

- Grieczkin? - zapytała Tania.

- Tak, on będzie naczelnym dyspozytorem - potwierdził Batmanow. - Każdy kierownik wydziału musi, czy tego chce czy nie, zjawić się przy aparacie w określonym wedle rozkładu czasie i rozmawiać z ludźmi na odcinkach. Kowszow - z przodownikami, Filimonow - z mechanikami. Liberman - z pracownikami zaopatrzenia. Gdy to wejdzie w nawyk, jak codzienny posiłek, wszyscy będą zdumieni, jak mogli przedtem obchodzić się bez tego stałego kontaktowania się!...

Na bliższych odcinkach Batmanow już to wprowadził. I ludzie przyzwyczaili się chociaż nie od razu. Kierownicy wydziałów i ich podwładni na trasie wydziwiali: „Po cóż zgłaszać się do aparatu, gdy w danej chwili nie ma żadnych spraw?” Batmanow uporczywie nalegał: „Jeśli nie macie o czym rozmawiać z trasą, to znaczy, że nie znacie jej. Tym bardziej powinniście zbliżyć się do podwładnych, tym częściej komunikować się z nimi”.

Tania słyszała już o tym, ale dopiero teraz zrozumiała jasno sens wprowadzonego przez Batmanowa systemu. Wiedziała, że selektor jest jego pasją: aparat stał na biurku kierownika budowy i nigdy nie był wyłączany. Czymkolwiek był zajęty, w każdej chwili - nie odrywając się od pracy - słuchał nie milknących dniem ni nocą odgłosów trasy. Krążyły nawet anegdoty na ten temat: jak to wtrącił się usłyszawszy jakąś kłótnię, jak zmienił niewłaściwe zarządzenie, jak głośno roześmiał się z czyjegoś ciętego żartu. Wszystkim pracownikom łączności i samej Tani podobał się ten jego poważny stosunek do łączności.

- Dobrze znacie Pankowa? - nieoczekiwanie zapytał Batmanow. - Jakiego jesteście o nim zdania?

- Owszem znam go dobrze. To wielki przyjaciel naszej rodziny. Niegdyś wspólnie z moim ojcem walczył z Japończykami i białogwardzistami. Mam dla niego wielki szacunek - odpowiedziała Tania. - Poprzedni kierownik budowy Sidorenko i Grubski nie lubili go za jego szczerość: co dzień wykłócał się z nimi, szczególnie w sprawie budowy tymczasowej łączności. Pankow był jedynym człowiekiem, który mnie w tym popierał.

- Dawno widzieliście go?

- Tego dnia, kiedy byliście z nim u nas w kolumnie. Pankow chciał zabrać ze sobą Gienkę, swego synka, ale ten nie chciał się zgodzić. Roześmieliście się nawet, kiedy Gienka z powagą oświadczył, że jest na służbie i nie może porzucić towarzyszy. Z jakąż niecierpliwością ten chłopak oczekuje spotkania z ojcem nad cieśniną! Czemu pytacie o Pankowa, Wasiliju Maksimowiczu?

- Niepokoję się, bo nie mam od niego żadnych wiadomości. Pojechał i przepadł. Nad cieśniną jest źle. Czyżbym się zawiódł na nim?

Znów długo milczeli pogrążeni w swoich myślach. Szczera rozmowa zbliżyła ich i Tani nie krępowały już te pauzy. Miarowe kołysanie sań działało na Tanię usypiająco i zmęczona w ciągu dnia dziewczyna niepostrzeżenie zdrzemnęła się. Batmanow nie dał jej pospać nawet dwudziestu minut.

- Taniu, śpicie? - zapytał zdumiewając ją tym poufałym zwrotem. - Nie wolno wam spać. Ja sam nigdy nie sypiam w dzień i innym nie pozwalam. Będziemy dalej rozmawiać na tematy oderwane... Dobrze, że pohamowaliście mnie, gdy za wiele chciałem powiedzieć... Sam, jak okazuje się, rozjątrzyłem swoje rany - teraz mi jakoś ciężko na duszy.

Tania domyśliła się, do czego zmierza Batmanow. I jej też zrobiło się ciężko.

- Nie wiem, czy mieliście jakieś głębokie przeżycia czy nie. Myślę, że raczej nie - na waszej twarzy nie ma najmniejszego cienia... A mnie coraz częściej nachodzą myśli o tym, co nazywamy życiem osobistym. To jasne, że w naszym życiu najważniejsze miejsce zajmuje praca. Ale jeśli poza nią człowiek nic nie ma - to wątpliwe, czy można go nazwać pełnym człowiekiem. - Batmanow mówił spokojnie, jakby głośno myślał. - Wydaje mi się, że bardzo wiele zależy od tego, jak ułoży się życie człowieka z początku, czy zacznie się od wielkiej, prawdziwej miłości. Są przecież i tacy ludzie, którzy nigdy nie kochali i nie wiedzą nawet, co to jest miłość. Ci ludzie nawet nie wierzą, że takie uczucie istnieje, uważają je za wymysł literatury. - Batmanow zacisnął palce, aż zatrzeszczały w stawach. - Wybaczcie, że poruszyłem ten temat. Wszak jesteście dorosłym człowiekiem, chociaż dopiero zaczynacie życie. I lepiej spojrzeć prosto na przeciwności życia, niż udawać, że się ich nie widzi. Jest bardzo źle, gdy ludzie zbliżają się ku sobie bez prawdziwej miłości. Stwarza to w efekcie niewłaściwy, niepoważny stosunek jednej strony do drugiej. Niekiedy ten stosunek staje się wprost cyniczny... Dlaczego wzdychacie, Taniu? Przykro wam o tym słuchać?

- Proszę mnie nie pytać - powiedziała głucho. Aż otrząsnęła się przypominając sobie w tej chwili dawną znajomość z Chmarą. Na szczęście znajomość ta w porę się zerwała. Chmara przestraszył ją swoimi grubiańskimi żądaniami.

- Pewnie, że nie jest przyjemnie słuchać tego, o czym mówię - zgodził się Batmanow. - Cóż robić, w życiu trzeba znosić wiele przykrych rzeczy. Ja oto męczę się, by zrozumieć, dlaczego nie udało mi się osiągnąć prawdziwego szczęścia w życiu rodzinnym... Przecież - zdaje się - kochałem Annę. Była siostrą mego przyjaciela. Wszyscy mówili, że tworzymy piękną parę, radzili, żebyśmy się pobrali. No i pobraliśmy się. Najpierw byliśmy we dwoje, potem przyszedł na świat syn. Zdawało się, że wszystko układa się pomyślnie - szczęśliwa rodzina, tylko chłopczyna był niezbyt zdrowy. Wydaje się, że nie mam powodu robić sobie wyrzutów. Jednak miejsca sobie teraz znaleźć nie mogę, myślę wciąż z goryczą, że mieszkałem z żoną i synem, oddychałem tym samym powietrzem - a mimo to byłem od nich daleki. Kiedyś Anna powiedziała mi o tym. Właściwie, trudno to nawet nazwać wymówką. To jest kobieta i godna szacunku, i rozumna, ale traktowała mnie zbyt poważnie i mówiła nieśmiało. W końcu odważyła się jednak: „Wasiliju Maksimowiczu (niemal nigdy nie mówiła do mnie po imieniu, a ja, nie wiadomo dlaczego, uważałem to za normalne), brak nam ciebie. Mieszkasz z nami, a jest tak,

jakbyś był nieobecny. Tak dłużej być nie może, prosimy, abyś poświęcał nam więcej uwagi. Postaraj się, abyśmy mogli choćby na krótki czas wyjechać razem. Gdy będziemy razem we troje, znów przyzwyczaisz się do nas, jakby na nowo". Te słowa wstrząsnęły mną - po raz pierwszy zastanowiło mnie to, że życie nasze płynie jakoś niewłaściwie. Tak się złożyło, że właśnie została ukończona budowa, którą kierowałem - dostałem urlop. Pojechałem z nimi na wieś, w jej rodzinne strony na Białorusi. Nie było tam ani roboty, ani moich przyjaciół, tylko ona i syn, i cicha białoruska przyroda. Wziąłem ze sobą stalugi i książki o sztuce - wspomnienie młodzieńczych marzeń... Batmanow nie mógł powstrzymać westchnienia. To westchnienie przeszyło Tanię jak sztylet.

- Teraz z rozrzewnieniem wspominam czas spędzony z nimi na wsi, ale wtedy... Nie wytrzymałem długo, po miesiącu ten tryb życia uprzykrzył mi się. Czego mi było brak? Doprawdy nie rozrywek - lecz pracy. Po życiu na budowie, pełnym ruchu, trudno było znaleźć zadowolenie w zaciszu rodzinnym. Odetchnąłem z ulgą, gdy otrzymałem terminowe wezwanie z Moskwy. Anna nie powiedziała mi ani jednego słowa wymówki, ale widać było, że rozumiała, iż wyjeżdżam z ochotą...

Na Krym wpadłem dosłownie na dobę, już przed samym wyjazdem tutaj. Od tego czasu nie widziałem ich więcej...

- Odnajdą się, Wasiliju Maksimowiczu! - serdecznie powiedziała Tania.

- Nie, już się nie odnajdą. Syna już nie ma. Umarł. I nie wiem, jak zejdą się nasze drogi z Anną. Obawiam się, że już do mnie nie wróci... Powiedzcie, dlaczego to, co jest najdroższe, człowiek zaczyna cenić dopiero po stracie? Teraz, gdy na chwilę zostanę sam, nachodzą mnie tysiące wspomnień, przypominają się drobiazgi... To dziwne, przetrwały w pamięci, chociaż wówczas, zdawałoby się - nie dostrzegałem ich...

Tania milczała przygryzając wargi, aby nie wybuchnąć płaczem. Obawiała się, że ten nieprzeciętny człowiek o skomplikowanej psychice zawstydzi się swej szczerości i powie znowu coś ironicznego i opryskliwego.

- Macie, zdaje się, dwadzieścia cztery lata, Taniu? - odezwał się znowu Batmanow. - Z całego serca życzę wam, abyście bardziej przezornie zaczęli osobiste życie. Niech moje dzieje będą dla was ostrzeżeniem... Załkind powiedział mi, co prawda: „Ty jeszcze stworzysz swoją pieśń..." Ale jakże zacząć nowe życie, gdy się ma już czterdzieści cztery lata!

Milczenie, które zapadło po tych słowach, było dla Tani nie do zniesienia. Wybawiło ją zatrzymanie się sań. Buda przestała się chwiać, konie szarpnęły raz i drugi, płozy zaskrzypiały i stanęły na miejscu. Przybyli na jakiś nowy punkt.

12. Na skraju świata

Adun pozostał za nimi. Batmanow i jego towarzysze już drugi dzień jechali przez odcinek Mierzlakowa - ostatni odcinek na lądzie. Dalej była cieśnina, a za nią wreszcie - wyspa Tajsin.

Członkowie zarządu coraz częściej wysiadali z sań i długo brnęli pieszo. Im bardziej zbliżali się do celu, tym silniej umacniali się w przekonaniu, że ten odcinek jest bardziej zaniedbany od innych, jakkolwiek powinien był je wyprzedzić: znajdował się przecież poza obrębem Adunu, a więc uniknął komplikacji, które wynikły z przenoszenia trasy.

Na bliższych odcinkach niejedno radowało oczy: zimowa droga ze sznurami samochodów i konnych taborów, domki posterunków blokowych, mieszkalne osiedla, rury ułożone w stosy i wyciągnięte w linię, ożywiony ruch i krzątanina tysięcy ludzi. Tutaj tego wszystkiego nie było. Tylko przez tajgę ciągnęła się przesieka i znikome ślady pozwalały domyślać się, że próbowano robić drogę dla samochodów. Nie było również żadnych budynków poza kilkoma niezdarnie skleconymi szopami, przeznaczonymi na składy. Ale i w tych szopach były pustki. Nie dostrzegało się ruchu od cieśniny w głąb lądu; było jasne - rozwożenie żywności, rur, materiałów i urządzeń nie zaczęło się nawet.

- Bezludny, martwy odcinek - mówił Batmanow z oburzeniem i niepokojem. Gdzie są ci ludzie, których tu posłaliśmy? O kilka kilometrów przed cieśniną wygląd trasy trochę się zmienił. Ukazała się droga zimowa, zaniedbana i niemal nie nadająca się do ruchu samochodowego. Częściej trafiały się składy, a nawet baraki mieszkalne, gdzieniegdzie spotykało się niewielkie grupki ludzi leniwie i powolnie oczyszczających przejazdy. Na drodze stały przysypane śniegiem samochody - próżne i załadowane; tu i ówdzie leżały rury ułożone w stosy albo - najczęściej - zrzucone byle jak.

Batmanow polecił wysiąść z sań i dalej do cieśniny iść pieszo, a po drodze dokładnie zwracać uwagę na każdy drobiazg. W saniach pozostał tylko Topolew leżący pod trzema kożuchami. Tania wypadała na nartach to na prawą, to na lewą stronę drogi - badała teren, na którym już wkrótce mieli pracować jej telefoniści. Batmanow i wszyscy inni wstępowali do składów i baraków, liczyli rury, wypytywali spotykanych ludzi. Zatrzymywali się przy każdym porzuconym na drodze samochodzie - Filimonow oglądał motor, zapisywał numer i stan każdego wozu.

Przy jednym z takich samochodów zatrzymali się dłużej. Wóz był naładowany rurami i stał na środku drogi zagradzając przejazd. Ponury szofer ze złością odczepiał podpórki, starając się zrzucić na drogę swój duży i ciężki ładunek.

- Wasze nazwisko? - zapytał krótko Filimonow, który wraz z Kowszowem pierwszy podszedł do samochodu.

- Smorczkow - równie krótko odpowiedział szofer zeskakując z samochodu na ziemię.

- Smorczkow?! - powtórzył ze zdumieniem Aleksiej.

Inżynierowie wymienili spojrzenia. A więc Smorczkow jednak dotarł do cieśniny! Ciekawe, czy udało mu się doprowadzić swoją maszynę do Czongru, czy też pozostawił samochód gdzieś na Adunie, a sam pieszo dobrnął dalej i wziął nowy samochód? Ale fakt pozostawał faktem: Smorczkow znajdował się na miejscu. Coś mu się jednak stało. Chudy, z policzkami zarośniętymi rudawą szczeciną, z niezdrowo błyszczącymi, zapadłymi oczami zupełnie nie przypominał pełnego energii młodzieńca, którego inżynierowie wyprawili ze Startu.

- Co się stało z samochodem? - zapytał Filimonow pozostawiając dalsze pytania na później.

- Motor nie działa.

- Próbowaliście zapuścić i nie ruszył? - Batmanow zbliżył się z pozostałymi. On również nie poznał szofera.

Smorczkow rzucił okiem na otaczających go ludzi i odwrócił się.

- Sto razy próbowałem i nie udało się.

- Cóż teraz zrobicie? Zamarzniecie tu, biedaku.

Szofer wzruszył ramionami i odpowiedział obojętnie:

- No, cóż, może nadjedzie inny samochód, to wrócę na Czongr.

- Po cóż więc wyładowujecie rury? wtrącił się Beridze. - Przecież musicie wieźć je dalej. A poza tym, jeśli samochód jest unieruchomiony, to przecież chyba wszystko jedno, czy jest pusty, czy załadowany. Wyjaśnijcie mi, dlaczego to robicie?

Szofer uśmiechnął się cierpko i nie odezwał się ani słowem.

Batmanow prosił Filimonowa, aby spróbował uruchomić motor. Filimonow z uwagą pomajstrował kilka minut przy samochodzie i nagle motor zaczął działać. Wszyscy wparli się w karoserię, pomagając ruszyć samochód z miejsca.

- Cóż teraz z wami zrobić? - zwrócił się z gniewem Batmanow do Smorczkowa, gdy ten nie wyłączając wesoło stukającego motoru wyszedł z kabiny. - Czy wy rozumiecie, co robicie?

Smorczkow niechętnie coś odburknął składając wszystko na niefachowy remont na trasie.

- Po cóż te kłamstwa? - przerwał od razu Filimonow. - Maszyna jest w porządku, zupełnie nowa.

- Co z was za człowiek? Jesteście Rosjaninem? - zapytał Batmanow nie spuszczając surowego spojrzenia z szofera.

- Naturalnie. Czyż nie widać tego?

- Na razie nie widać. Skąd jesteście?

- Przeniesiono mnie tu z robót przy budowie dróg. Pochodzę z okręgu orłowskiego. Dlaczego pytacie? Nie poznaliście mnie czy co? - Szofer mówił ze złością, niemal wyzywająco.

- Czy ktoś z waszych bliskich został w Orle?

- Owszem, zostali rodzice. Teraz, zresztą, nie wiem. Nic teraz nie wiem!

- Warto by was pokazać rodzicom! Byliby zachwyceni tą waszą pracowitością tutaj. Należałoby napisać staruszkom, jakiego mają synalka!...

Smorczkow stał odwrócony plecami. W wiszącym, długim watowanym kaftanie wyglądał jak przełamany.

- Dlaczego milczycie? - ze złością dopytywał się Batmanow.

- A cóż to jesteście dzieckiem, czy co? Czego ode mnie chcecie? - Szofer spojrzał Batmanowowi w twarz. - Nie wysilam się, oczywiście! Po cóż się wysilać! Powiedzmy, że przewiozę jeszcze kilkadziesiąt rur z miejsca na miejsce, cóż z tego? Komuż są potrzebne te wasze rury? Czysta komedia!

Batmanow zwrócił się do Filimonowa:

- Czy ty coś rozumiesz z tego, co plecie ten dziwak?

- Nie rozumiem. Wyjaśnijcie nam dokładniej, o co chodzi? Do czego zmierzają te wasze uszczypliwe uwagi? Skąd ten ponury nastrój?

- To raczej wy mi odpowiedzcie! - wykrzyknął Smorczkow z żalem. Zerwał z głowy czapkę, rozrzuciwszy nią zwichrzone włosy. - No, cóż, wiozłem te rury i myślałem: dokąd, dla kogo je wiozę? Gotów byłem zamordować siebie za tę głupotę! Po co mnie tu posłaliście, towarzyszu kierowniku? Wyobrażałem sobie, że wypełniam ważne zadanie! Czy pamiętacie, towarzyszu Filimonow, jakżeście

mnie wyprawiali w drogę? Nie szczędząc sił prowadziłem samochód przez setki kilometrów. Czy widzieliście drogę do Adunu? To nie jest droga. A mimo to doprowadziłem wóz do cieśniny, przyciągnąłem go niemal na własnym grzbiecie. I ładunek dowiozłem na miejsce... I po cóż to wszystko? Po co, powiedzcie mi?

- Tak trzeba, towarzyszu Smorczkow. Za to, żeś doprowadził swój samochód aż tutaj, składamy ci serdeczne podziękowanie. - Batmanow przeszedł na „ty", mówił już spokojniej. Teraz dopiero poznał w szoferze Smorczkowa i zaczął rozumieć coś niecoś z tego, co się kryło w jego zawiłej wypowiedzi. - Ale za to, żeś tu na odcinku zamienił się w diabli wiedzą kogo, trudno ci dziękować.

Smorczkow ze zdumieniem spojrzał na kierownika budowy.

- Co z was za ludzie, nie rozumiem! Czyż doprawdy zabieracie się do budowy rurociągu? Przecież gadają o tym, że Niemcy zajęli Moskwę, a Japończycy będą tu lada dzień. Komu jest potrzebna ta nasza praca? Powiedzcie raczej, co robić, dokąd ruszyć, aby stanąć do walki z japońskim najeźdźcą?

- Chłopie, tyś zwariował! - krzyknął Karpow.

- Mamuniu najmilsza... - jęknął Liberman.

- Kto ci naplótł, że Niemcy zajęli Moskwę? - zapytał Batmanow patrząc z politowaniem na Smorczkowa. - Jak mogłeś w to uwierzyć?

Rogow z wściekłością rzucił się na szofera:

- Och, ty jesteś... człowiek! Jesteś kompletne zero, Smorczkow! „Moskwa wzięta! Moskwa wzięta!" Jak ci to w ogóle przez gardło przeszło! O tobie wszyscy szoferzy na trasie mówią z zachwytem, a ty tutaj - opuściłeś ręce... I jeszcze masz odwagę twierdzić, że jesteś Rosjaninem! Rodzona matka wyrzekłaby się ciebie, gdyby usłyszała, coś przed chwilą powiedział!

Zdawało się, że Smorczkow uderzy zaraz Rogowa. Tymczasem obrzucił nagle wszystkich ożywionym, jaśniejszym spojrzeniem i uśmiechnął się niezdecydowanie. Jego nieogolona, ponura twarz rozpogodziła się:

- Czy on mówi prawdę? Więc - Moskwa nasza? Towarzysze, powiedzcie wreszcie! Myśmy tu wiarę stracili, znikąd ani słowa dobrej wieści! - Głos Smorczkowa rwał się i drżał.

- Tak, to prawda, przyjacielu! Niemcy pod Moskwą zostali rozbici. Armia Czerwona pędzi ich precz - powiedział Beridze.

- Jakąż wspaniałą nowinę przywieźliście nam, jaką wielką radość! - wybełkotał Smorczkow.

W mgnieniu oka poderwał się i pobiegł do samochodu, w biegu nasuwając na głowę czapkę i wciągając rękawice. Cała jego postać zmieniła się od razu, ruchy stały się szybkie i zdecydowane.

- Zrzucaj rury i wracaj na przylądek. Znajdziesz mnie na odcinku, będziemy musieli jeszcze porozmawiać! Tak lekko ci ta panika nie przejdzie! - krzyknął za nim Batmanow.

Smorczkow już z szoferki uśmiechnął się do niego.

- Godzę się, towarzyszu Batmanow, na wszystko! Na każdą wymówkę, na każdą naganę. Zrehabilituję się przed tobą, jeszcze mi nawet podziękujesz! - wołał zagłuszając szum motoru. - Teraz już nie trzeba mnie popędzać, zrozumiałem wszystko!

Samochód ciężko ruszył z miejsca i potoczył się po drodze. Batmanow odprowadził go wzrokiem.

- Źle się dzieje nad cieśniną, Wasiliju Maksimowiczu - powiedział z przejęciem Aleksiej.

- Tak, to widać. No, ale jesteśmy już na miejscu.

Nie uszli nawet kilometra, gdy od cieśniny nadjechał samochód osobowy. To kierownik odcinka Mierzlakow i kierownik robót, inżynier Kotlariewski, dowiedziawszy się skądś o ich przyjeździe wyjechali, aby powitać zarząd. Kotlariewski - wysoki i chudy, o małej twarzy, na której nieprawdopodobnie wielkimi wydawały się rogowe okulary, trzymał w ręku teczkę i rulon z rysunkami.

- Cóż to, chcecie raport składać tutaj, na mrozie? - obrzucając spojrzeniem teczkę zapytał złośliwie Batmanow i przeszedł obok niego.

Mierzlakow, przysadzisty, o szerokiej twarzy z purpurowoczerwonymi wypiekami od mrozu, starał się nadążyć za szybko idącym Batmanowem. Z pośpiechem tłumaczył, że nad odcinkiem przez dziesięć dni szalała burza śnieżna, że naniosła olbrzymie zaspy, że dopiero teraz wszystko zaczyna stopniowo wracać do życia.

- Gdzie jest Pankow? - przerwał mu nagle naczelnik budowy.

- Coś się z nim stało, zniknął... Przepadł - skwapliwie i jakby trochę z poczuciem winy odpowiedział Mierzlakow.

- Co to znaczy „przepadł”? - Batmanow przystanął jak porażony. - Cóż to za gadanie?

- Przepadł, towarzyszu kierowniku. Dobrnął do odcinka późnym wieczorem. Był bardzo zdenerwowany i z miejsca napadł na mnie. Po drodze spotkał jakiegoś człowieka... Z Zatoki Umi - tam mamy pięćdziesięciu ludzi i bazę. W okresie żeglugi wyładowano tam trzy statki z materiałami...

- Jakiż to ma związek z Pankowem? Co wy pleciecie!

- Człowiek, którego spotkał Pankow, nagadał mu przeróżnych głupstw. Że podobno ludzie giną z głodu. Pankow postanowił pójść tam natychmiast. Powiadam mu: Słuchaj, przecież drogi nie ma, trzeba przeczekać, na bazie na pewno nic złego się nie dzieje. Nie zgodził się. Zerwał się raniutko, przypiął narty i od tego czasu więcej go nie widzieliśmy.

- Dlaczego puściliście go?

- Jakże można było nie puścić? Przecież on przyszedł jako inspektor, rewident zarządu... Uprzedzałem go...

- Dlaczego nie zorganizowaliście poszukiwań? - Batmanow rzucał słowa nieledwie machinalnie, rozumiejąc, że śledztwo niewiele już może pomóc Pankowowi.

- Szukaliśmy, oczywiście. Bardzo gorliwie szukaliśmy, ale nie znaleźliśmy... Cóż, na takim pustkowiu!...

Mierzlakow znowu zaczął mówić o burzy śnieżnej, a następnie o trudnościach wywołanych klimatem i o tym, że jego odcinek jest zupełnie odcięty od świata.

- Kiedy już koniecznie chcecie prowadzić rozmowę na mrozie, to powiedzcie mi konkretniej, co się dzieje na odcinku - wycedził przez zęby Batmanow.

Gorycz i żal ściskały mu serce. Pankow, silny, pewny siebie stał mu przed oczyma. Pomyślał o Gience. Czyżby ten dzielny chłopczyna był już sierotą? Spojrzał na Tanię i spuścił oczy - dziewczyna wstrząśnięta wiadomością gryzła wargi i krzywiła się, jakby pod wpływem fizycznego bólu.

Mierzlakow zaczął mówić o sprawach odcinka. Batmanow, co mu się rzadko zdarzało, co chwila przerywał jego sprawozdanie. Inżynierowie idący za nimi uśmiechali się słysząc, jak celnymi pytaniami zbija wywody Mierzlakowa.

- A cóż z budową drogi zimowej? Zawaliliście sprawę?

- Przyznaję się, towarzyszu kierowniku, nie włożono w to w swoim czasie zbyt wielkiego wysiłku - z pokorą potwierdził Mierzlakow.

- Ile macie rur na odcinku i gdzie są rozmieszczone? Jakie porobiono przygotowania do przetransportowania ich na wyspę? Jakich materiałów jest brak? - sypał pytaniami Batmanow.

- Jaki macie zapas żywności w składach i na punktach zaopatrzenia? - wtrącił Liberman.

- Za chwileczkę, zaraz wszystko wyjaśnię, mam wszystko zapisane - z uprzedzającą grzecznością kiwał głową Mierzlakow rozpinając kożuszek.

- Nie trzeba, zaziębicie się. Takie rzeczy trzeba zapisywać wprost w głowie i umieć na pamięć. Ile macie czynnych samochodów do przewożenia rur?

- Ile mamy czynnych samochodów? - Mierzlakow zwrócił się z tym pytaniem do idącego tuż za nim Kotlariewskiego. - Sprawy techniczne to jego dziedzina, towarzyszu kierowniku, staram się nie wtrącać.

- Niesłusznie! - przeciął krótko Batmanow. - Za niewtrącanie się premii nie dajemy. Wobec tego odpowiadajcie wy, ale bez zaglądania do teczki! - spojrzał przez ramię na Kotlariewskiego.

Ten wytarł nos zmiętoszoną chustką i zachrypniętym głosem odraportował:

- Samochodów w dobrym stanie mamy siedem, dwadzieścia - stoi. Droga jeszcze nie jest zrobiona i maszyny kiepsko pracują w warunkach tutejszej zimy. Poza tym mamy jeszcze samochody wymagające remontu.

- Powiedzcie Mierzlakow, jak się zachowują szoferzy w warunkach tutejszej zimy? - zapytał idący z tyłu Beridze.

- Nieźle, mniej lub więcej nieźle - odpowiedział Mierzlakow odwracając się do naczelnego inżyniera.

Na drodze rozległ się huk motoru. To Smorczkow zrzuciwszy rury wracał na odcinek. Chciał wyminąć idących, ale Batmanow zatrzymał go ruchem ręki.

- Smorczkow, jak tam droga, towarzyszu? - zapytał szofera.

- Jakoś przejechałem! Gdzieniegdzie zawiało śniegiem, ale ja radzę sobie na każdej drodze! W jednym miejscu pomogli ludzie, odrzucili śnieg. Zdziwili się widząc mnie. „A ty - powiadają - co, wciąż jeszcze rury wozisz?” Powtórzyłem im waszą nowinę i zaraz sami zapalili się do pracy. Trzeba drogę oczyszczać. Z rurami i ja nie dojadę dalej niż do piętnastego kilometra.

- A jak tam maszyna? Bo tu nam mówią, że samochody źle znoszą warunki tutejszej zimy. Czy tak jest w istocie? - zapytał znowu Beridze.

- Pytacie, jak maszyna? - szofer uśmiechnął się i pogładził dłonią ciepłą maskę silnika. Świetne mamy maszyny, wstyd byłoby skarżyć się na nie!

Batmanow chmurnie popatrzył na Mierzlakowa.

- Jedźcie wszyscy na odcinek - zwrócił się do Beridzego. - I jego zabierzcie także - ruchem głowy wskazał Kotlariewskiego, wciąż zajętego wycieraniem nosa. - Gotów mnie tu zarazić katarem. Topolewa postarajcie się od razu umieścić w jakimś ciepłym kącie, żeby się nie rozchorował po tej podróży.

- A wy, Wasiliju Maksimowiczu?

- Ja przejdę się z Mierzlakowem. Zdaje mi się, że on już od dawna nie spacerował po swoim odcinku.

Jedni wskoczyli na ciężarówkę Smorczkowa, drudzy usadowili się w samochodzie osobowym i odjechali z gwarem i szumem. Batmanow z Mierzlakowem brnęli za nimi po nieubitej drodze. Kierownik budowy przypatrywał się swojemu towarzyszowi z wyraźną niechęcią.

- Mówiono mi w Nowińsku, Mierzlakow, że jesteście niebezpiecznym człowiekiem.

- Cóż mogę wam na to odpowiedzieć, towarzyszu kierowniku? - odparł zdziwiony Mierzlakow. - Nie brak ludzi złośliwych. W oczy boją się powiedzieć, a poza plecami wygadują.

- Znacie Grieczkina? On chyba nie bałby się powiedzieć w oczy swego zdania.

- Stykałem się z Grieczkinem, ale trudno mi powiedzieć, co to za człowiek. On mi się nie podobał. Jakiś bardzo pyszny. Zresztą nie znam go bliżej.

- Za to on was zna! Powiedział mi takie przysłowie: „Kozła wystrzegaj się z przodu, osła z tyłu, a Mierzlakowa - ze wszystkich stron...” I istotnie, już zaczynam was się obawiać. Jakie jeszcze niespodzianki czekają mnie na waszym odcinku? - zrobił pauzę spodziewając się odpowiedzi, ale Mierzlakow milczał. - Wokoło chaos, ludzie w rozterce, rosną panikarskie plotki i nastroje! Pankow zaprzepaszczony! - skandował twardo Batmanow. - Nie widziałem jeszcze, co dzieje się nad cieśniną, ale cały niemal wasz odcinek trasy przeszedłem pieszo. To dżungla! Samochody i traktory stoją, a przecież setki razy pisało się do was i wbijało się Kotlariewskiemu do łba przed wyjazdem, że należy rozwozić rury, żywność i materiały. Rozwozić, wciąż rozwozić, dopóki zima. Bo gdy przyjdzie wiosna, będzie za późno, droga zimowa roztaje, a letniej nie zrobi się na zawołanie!... Jestem przekonany, że także do przerzucenia się na wyspę nie porobiliście żadnych przygotowań. Jestem pewny, Kotlariewski nic nie zrobił dla zaczęcia prac w cieśninie. A to przecież jest groźne dla całej budowy! Cóż to się stało, dlaczego taka dezorganizacja? Nigdzie na trasie nie ma czegoś podobnego! Nie liczyłem na to, że tu zastanę wszystko w porządku, ale nie wyobrażałem sobie, że zobaczę ruinę. Czy macie warunki gorsze niż gdzie indziej? Nie! Daliśmy wam niemało ludzi, przywieziono wszystko, co jest nieodzowne, waszego odcinka nie przenoszono z jednego miejsca na inne, a mimo to właśnie u was nastąpiło załamanie.

Mierzlakow, przejęty wagą i tonem oskarżeń kierownika, zaczął się skwapliwie usprawiedliwiać.

- Ciężko jest, towarzyszu kierowniku budowy. Nigdy tak ciężko nie było! Wpływa na to i sytuacja wojenna, ludzie się załamują. Niepożądane nastroje są wynikiem tego, że jesteśmy zupełnie odcięci od świata. Łączności brak, radio nieczynne, coś się w nim zepsuło. A warunki też niełatwe. Czyż można tu zapewnić ludziom odpowiedni poziom życia? To są przyczyny, że nie wszystko wygląda dobrze. Wiem, że najważniejszą teraz sprawą są roboty transportowe. Czyż ja tego nie rozumiem? W zarządzie - jeszcze przed waszym przyjazdem z Moskwy - wtedy gdy otrzymałem nominację, przykazywano mi: „Szoferzy i traktorzyści na pierwszym planie! Stwórzcie im dobre warunki, nie krępujcie się podawać im rękę, mówić po imieniu, siadać obok nich przy kierownicy”.

- To znaczy, że na próżno podawaliście im rękę, na próżno siadaliście obok nich przy kierownicy. Nie pomogło? - zapytał z uśmiechem Batmanow.

- Nie pomogło - żałośnie zgodził się Mierzlakow.

- Posłano wam takich wspaniałych ludzi! Ziatkow, Gonczaruk, Umara Mahomet... Znacie go?

- Jeszcze jak! To awanturnik! Nic mu się nie podoba!... Mówicie, że przysłano mi mnóstwo ludzi. Owszem, przysłano dużo, ale mimo to oprzeć się nie ma na kim. - Znów zaczął się uskarżać i biadać.

Batmanow przeciął mu krótko.

- Dość już tego! Znam was zaledwie od trzydziestu minut, a już mi cierpko w ustach od tego waszego wyrzekania. Jakbyście znali tylko same rosyjskie ckliwe słowa.

Po bladym chłodnym niebie smętnie pełzły łachmany żółtawoszarych chmur. Zapadał wczesny zimowy wieczór. Wokół leżał jednostajnie szary śnieg. Tu, na miejscu, gdzie miała stanąć w przyszłości stacja pomp, wszystko, co żywe, ginęło w tej szarzyźnie.

Teren pod budowę stacji miał kształt kwadratu, utworzonego z jednej strony przez przylądek Czongr, wrzynający się w lód zatoki, a z drugiej - przez falisty grzbiet niewysokich wzgórz. Trzeba było bardzo pilnie wpatrywać się, żeby wykryć ślady działalności człowieka: kilka niewysokich baraków, przytulonych do wzgórz, dwa-trzy pojedyncze domki, maleńka szopa na samym przylądku, słaby ruch ludzi w ciemniejących po środku placu wykopach i na lodowej powierzchni zatoki. Tu i ówdzie wśród śnieżnych zasp wiły się zygzakowato dróżki, przekopane łopatami albo wydeptane przez ludzi. A ponad tym wszystkim unosił się nieprzerwany stukot, jakby dziesiątki młotków uderzały w miedzianą misę.

Beridze i Aleksiej z ponurym wyrazem twarzy patrzyli na niezbyt wesoło przedstawiający się obraz najważniejszego odcinka budowy. Towarzyszył im również Kotlariewski. Rogow, Liberman i Karpow udali się wprost do osady - tak nazywano kilka ledwie widocznych budynków u podnóża wzgórz. Filimonow odjechał z szoferami na przylądek. Topolewa i Tanię odprowadzono do domku Kotlariewskiego.

- Pokażcie swoją robotę, pochwalcie się - rzekł posępnie Beridze do inżyniera.

Podeszli na środek terenu budowy, gdzie robiono wykopy pod fundamenty dieslowskiej stacji pomp. Robotnicy w watowanych kurtkach łomami i oskardami rozbijali zmarzniętą, twardą jak skała ziemię. Kilku ludzi dwójkami wynosiło wybraną ziemię na tragach. Przy dwóch ogniskach płonących w wykopie grzało się jeszcze około trzydziestu robotników.

- Cóż wy tu robicie? - zapytał Beridze Kotlariewskiego.

- Wykopy pod fundamenty.

- Wiem, że wykopy, żeby was diabeł porwał! - zaperzył się Beridze. - Ale dlaczego taka bezmyślna robota?! Dlaczego nie rozbijacie najpierw ziemi materiałem wybuchowym?

- Tak zamierzaliśmy robić. Ale dostaliśmy wasze zarządzenie, aby oszczędzać materiał wybuchowy na roboty przy ryciu rowu w cieśninie.

- Ale przecież trzeba myśleć! Oszczędzać to nie znaczy zupełnie nie używać. Trzeba było zostawić dla tamtego celu odpowiedni zapas.

- Załóżmy, że oszczędzaliście materiał wybuchowy - wtrącił Aleksiej. - Ale przecież mogliście ogrzewać grunt przy pomocy ognisk. Można było rozpalić nie dwa nędzne ogniska, lecz, powiedzmy, sto. Czy oszczędzaliście drzewa?

- A wyobraźcie sobie, że drzewa nie mamy. Nie mamy transportu do zwiezienia drzewa.

- A gdzie są samochody?

- Jak widzicie niemal wszystkie stoją. Te zaś, które są w ruchu, rozwożą rury.

- A konie?

- Ja już koni nie zastałem. Nie porobiono zapasów ani siana, ani paszy; część koni musiano dobić, część padła.

- A traktory?

Kotlariewski wciąż wycierał nos. Beridze nie spuszczał z niego gniewnego wzroku. Aleksiej chcąc uprzedzić wściekły wybuch towarzysza szarpnął go za rękaw kożuszka.

- Chodźmy popatrzeć dalej.

- Na co tu patrzeć?! - oburzał się Beridze... - Dalej kopią ziemię pod zbiorniki - i także ręcznie! Dziesiątki tysięcy metrów kubicznych ziemi - ręcznie! Tak?

Kotlariewski potwierdził skinieniem głowy.

- Do nitowania metalowych zbiorników także się zabrali ręcznie! Gdy usłyszałem ten stukot - od razu zrozumiałem, że tutaj robi się wszystko jak za czasów Piotra I - ludzkim potem. Kto wam dał dyplom inżyniera? - wrzasnął wściekle Beridze.

Bliżej brzegu zatoki były wykopane trzy ogromne okrągłe doły, metrowej głębokości. Stojący w nim ludzie oskardami grzebali w ziemi. W zapadającym zmierzchu widać było, jak nad dołami migały ich czapki. W pobliżu leżał na ziemi ogromny metalowy krąg, w którym brak było jednego odcinka. Czterech nitowników obrabiało kolejny arkusz blachy. Pomocnik stał obok polowego paleniska, trzymając w ogniu gotowy do podania nit.

Beridze kiwał głową z politowaniem. Chciał coś powiedzieć Aleksiejowi, ale jego słowa ginęły w huku; machnął więc tylko ręką... Aleksiej podszedł do robotników i trąciwszy jednego z nich w ramię, kazał wstrzymać robotę. Gdy ustał nagle straszliwy stukot, w uszach aż dzwoniło.

- Od dawna to robicie? - zapytał Aleksiej.

- O! Już od bardzo dawna.

- Jakie otrzymaliście polecenie?

- Wcale nie otrzymaliśmy. - Nitownik spojrzał na swoich towarzyszy i uśmiechnął się. - Można pracować, a można i nie pracować - wszystko jedno. Nitujemy z własnej woli, z nudów. Zapytaliśmy kierownictwo: czy można nitować? Proszę bardzo - powiedzieli. No, to stukamy, rozgrzewamy się.

- Jeżeli już macie nitować, to raczej róbcie to sprężonym powietrzem. Przyjemniej niż ręcznie. A może nie macie sprzętu?

- Sprzęt mamy, ale tutaj wszystko robi się ręcznie. Prądu prawie że nie ma. Mamy tylko przenośną stację elektryczną, ale słabiutka, ledwie, ledwie pracuje...

- Musimy zbudować elektrownię - mruknął Kotlariewski.

- A może jesteście kontrolerem pracy? Sprawdzacie wydajność? - zapytał nitownik Aleksieja. Robotnicy uśmiechnęli się żałośnie. - Nie ma co sprawdzać, to widać od razu...

- A tak, widać - przyznał Aleksiej. - No, na dzisiaj koniec. Za pół godziny będzie ciemno, poszlibyście już odpocząć.

- Nie, jeszcze postukamy - odparł nitownik. I znów na placu zabrzmiał huk młotków.

Mróz stawał się coraz większy, silniejszy. Kotlariewski zupełnie skostniał. Aleksiej rozcierał policzki, przytupywał nogami w filcowych butach i podziwiał wytrzymałość Beridzego, który, zdawało się zupełnie nie odczuwał zimna, choć jego brodę i wąsy pokrył lód. Brnąc przez zaspy inżynierowie szli w kierunku brzegu. Beridze nachmurzony milczał. Kowszow zarzucał Kotlariewskiego pytaniami:

- Dlaczego to wszystko u was tak źle wygląda? Pracujecie dorywczo, bez żadnego planu, odrzuciliście wszystkie wytyczne naczelnego inżyniera. Rozsypaliście ludzi po terenie do różnych drobnych zajęć, zamiast skupić ich przy najważniejszych. Dlaczego nie robicie drogi na wyspę? Gdzie macie przygotowania do robót nad cieśniną? Dostaliście ostatni rozkaz z dnia siódmego listopada?

- Z siódmego listopada? Nie, takiego rozkazu nie dostałem - wymamrotał Kotlariewski.

- Oszukaliście mnie! - wybuchnął Beridze. - Ja przecież was tutaj polecałem, polegałem na was, wierzyłem wam!

- Jakaż może być praca, gdy ludzie są zrozpaczeni! - Kotlariewski także podniósł głos. - Sam nie wiedziałem, co robić, gdy rozniosła się wiadomość o upadku Moskwy... Po cóż droga na wyspę, jeśli ją maję zagarnąć Japończycy? W ogóle po co my tu jesteśmy, komu są potrzebne nasze wysiłki?...

Na drugim końcu placu Mierzlakow prowadził Batmanowa w stronę nowiutkiego, jaśniejącego świeżymi wiązaniami domku, który stał z dala od baraków, na zboczu wzgórza.

- Odpocznijcie, ogrzejcie się, towarzyszu kierowniku. W domu, Bogu dzięki, ciepło i spokojnie.

- Kto tu mieszka?

- Ja. Taką samą chatkę zbudowaliśmy także dla kierownika robót Kotlariewskiego i buchaltera.

- Mówicie, że w domku ciepło? Nie marzniecie? - pytał Batmanow.

- Ciepło - z ulgą westchnął Mierzlakow. - Tu nad cieśniną wciąż mamy wiatr; wywiewa wszystko ciepło. Dziś akurat - jakby na cześć waszego przyjazdu - ani śladu wiatru. A zimno tu takie, że trzeba dniem i nocą palić w piecach.

- Drzewa z pewnością wychodzi dużo, co?

- O tak, dużo. Dobrze, że mieszkamy w tajdze!

Zbliżyli się do jednopiętrowego domku z mansardą, otoczonego wysokim parkanem z ostro zakończonych pali z przeciągniętym u góry drutem. Dziwne wrażenie sprawiał ten dom na posępnym, dzikim tle zaniedbanego odcinka.

- Jakiż z was, mimo wszystko, skromny człowiek - Batmanow uśmiechnął się. - To przecież pałac, nie chatka!

- To projektował Kotlariewski. On wszystko obmyślił, mnie by samemu nie przyszło do głowy.

- No, sądzę, że parkan to już nie on, lecz wy wykombinowaliście. To nie inżynierska sprawa obmyślać tego rodzaju ogrodzenia.

- Owszem, płot jest moim dziełem, zgadliście, towarzyszu kierowniku - Mierzlakow uśmiechnął się służalczo.

Otworzył furtkę. Weszli na podwórko. Z solidnie zbitego chlewu doleciało ich syte pokwikiwanie wieprza.

- Jak widzę, macie tu całe gospodarstwo - ze zdumieniem powiedział Batmanow. - Solidnie wyposażone. Krowa, świnie, kury, co?

- Świnie i drób. Inaczej być nie może.

Batmanow bardzo szczegółowo obejrzał gospodarskie zasoby Mierzlakowa.

- Nie mogę zrozumieć, w jaki sposób przenieśliście cały ten bagaż tutaj nad zatokę. Kto wam pomagał? Przed piętnastu minutami uważałem was za złego gospodarza, okazuje się jednak, że byłem w błędzie. Cóż, trudno dać sobie radę z takim gospodarstwem? Zabiera wiele czasu? Przecież inwentarz potrzebuje paszy i doglądania, prawda?

- Zupełnie słusznie. - Mierzlakow zmierzył Batmanowa spojrzeniem, starał się odgadnąć, do czego właściwie zmierza.

- Chyba jednak nie wstąpię do was - postanowił nagle Batmanow. - Zajrzę raczej do osady.

- Czy mam wam towarzyszyć, towarzyszu kierowniku?

- Jak chcecie. Jeśli jesteście zmęczeni, możecie odpocząć.

W drodze zainteresował Batmanowa hałas sprawiany przez nitowników. Skręcił ku nim.

- Już mrok. Czas kończyć pracę - powiedział.

- Trudno ich wypędzić do domu - entuzjazm pracy! - z godnością wyjaśnił Mierzlakow.

- Entuzjazm, mówicie? No, dobrze! zapytamy ich o ten entuzjazm. - Podszedł do robotników i zwracając się do pierwszego z brzegu, powiedział:

- Już ciemno. Na nic taka robota. Czas na odpoczynek.

Nitownik spojrzał w twarz przybysza.

- Odpocząć? Nie rwiemy się do odpoczynku.

- A czemuż to?

- Widać, że dopiero przyjechaliście do nas, skoro pytacie. Jak pobędziecie dłużej, sami zrozumiecie, dlaczego się nie rwiemy.

Batmanow ruszył do osady. Mierzlakow jak cień szedł za nim, zafrasowany i niespokojny. Wpadł na nich biegnący od strony baraków Liberman. Zobaczywszy Batmanowa kierownik zaopatrzenia chwycił się swoim charakterystycznym gestem za głowę:

- Mamuniu najmilsza, co za okropność! Zobaczcie sami, jak mieszkają robotnicy! Biegnę, aby wydać najkonieczniejsze zarządzenia.

- Odrobinę spokojniej, Liberman - zawołał za nim Batmanow.

Przy pierwszym baraku natknął się na Rogowa, rozmawiającego z jakimś dryblasem. Rogow mówił wolno i spokojnie, ale wysłuchać tego wszystkiego to rzecz niełatwa - chłopak stojący na baczność aż chwiał się pod ciężarem jego upomnień.

- O czym gawędzicie? - nie zatrzymując się zapytał Batmanow.

- Zawieramy znajomość z kierownikiem gospodarczym - odparł krótko Rogow.

W baraku byle jak skleconym i już pochylonym było ciemno. Światło naftowej lampy, stojącej na długim stole, nie rozjaśniało mroku całego pomieszczenia. Na pryczach, ustawionych piętrowo jak w wagonie, leżeli robotnicy w kurtkach, w filcowych butach i w czapkach. Kilku ludzi skupiło się przy żelaznym piecyku. Zewsząd rozlegał się kaszel i kichanie.

- Dobry wieczór, towarzysze! - rzekł Batmanow. Nikt mu nie odpowiedział. Batmanow przechodząc dalej dotknął piecyka - był ledwo ciepły. Przysiadł na ławce koło stołu, zapalił papierosa i położył otwartą papierośnicę na brzegu stołu. W milczeniu przyglądał się wszystkim. Mieszkańcy baraku również milczeli patrząc na niego i na papierosy.

- Dlaczego tak milczycie! Opowiedzcie, jak się wam żyje - powiedział dobrodusznie Batmanow.

- Cóż tu opowiadać? Jeśli macie oczy, sami możecie zobaczyć. Drżymy z zimna i czekamy nie wiadomo na co - odezwał się stojący przy piecu zgarbiony starzec.

- Towarzysz Ziatkow! - poznał go Batmanow. - A jednak dojechaliście!

- Tak, dojechaliśmy - ponuro potwierdził stary.

- A gdzież jest Gonczaruk?

- Tutaj. Leży, jest chory.

- A może teraz, towarzyszu Ziatkow, udzielimy głosu kierownikowi odcinka. Niech natychmiast wyjaśni, jako tutejszy gospodarz, dlaczego urządził wam takie podłe pomieszczenie, gorsze od szopy? Dlaczego w barakach jest zimno? Gdzie drzewo? - Batmanow zadawał pytania nie patrząc na Mierzlakowa.

- Do zwózki drzewa jest przeznaczona tylko jedna maszyna - odpowiedział Mierzlakow. - Ponieważ trzeba przywozić z daleka, samochód nie nadąża. Poza tym i droga jest kiepska - oni wiedzą o tym, że samochód wciąż grzęźnie.

- Dlaczego droga jest kiepska? Dlaczego, jeżeli to nie wystarcza, przydzielono tylko jeden samochód?

- Wszystkie środki transportu są potrzebne na budowie. Nawet do przewożenia rur jest mało samochodów. Sami widzieliście.

- Widziałem, że wasz transport jest unieruchomiony - potwierdził Batmanow. - A dlaczego? Odpowiadajcie śmielej, gospodarzu!

Chodził po baraku, z uwagą patrząc na twarze robotników. Na stu pięćdziesięciu ludzi mieszkających tutaj, piętnastu było chorych na grypę. Inni też źle wyglądali - byli wychudzeni, brudni, nie ogoleni. Powietrze w baraku było stęchłe i ciężkie.

- Dlaczego chorzy nie są izolowani od zdrowych? To przecież pierwszy warunek, najważniejsza rzecz w czasie epidemii. Dlaczego w ogóle wszystko jest tu tak zaniedbane?

Mierzlakow milczał.

- Czy łaźnia jest czynna? - Batmanow zadawał wciąż nowe pytania.

- Dla łaźni nie ma wody - wtrącił Ziatkow.

- Kierowniku odcinka, dlaczego nie ma wody?

- Woda w studni zamarzła. Musimy ją wozić z rzeki, a do rzeki daleko. Wszystko wciąż spada na transport. Przywozimy tylko wodę do picia.

Batmanow zauważywszy, że jeden z robotników przypatruje się mu bardzo uważnie, przysiadł na narach obok niego.

- Przybiegł tu szofer Smorczkow - zaczął robotnik. - Mówił, że rozbito Niemców pod Moskwą. Kto mu o tym powiedział, ty?

- Tak, ja powiedziałem. Armia Czerwona odniosła zwycięstwo, Niemcy zostali odrzuceni od Moskwy.

- A więc to prawda! - powiedział ktoś z przejęciem głośnym szeptem. Przez barak przeleciało westchnienie ulgi. Ludzie poruszyli się i przysunęli bliżej.

- Dziękuję ci, ty dobra wiadomość przyniósł - rzekł z ukontentowaniem rozmówca Batmanowa. Mówił z nieuchwytnym akcentem i nieprawidłowo budował zdania. - Tutaj u nas bajka mówili - Moskwa u Niemców. Ja nie wierzył: Jak to u Niemców? Stalin na Placu Czerwonym powiedział, że zwyciężymy i nagle - oddali Moskwę.

Zamilkł nie spuszczając z Batmanowa uporczywego spojrzenia. Podciągnął owinięte kurtką nogi.

- Wy także chorujecie? - zapytał Batmanow. Domyślił się już, kim jest rozmówca.

- Każdy by zachorował!

- Grypa? Macie gorączkę?

- Jaka grypa? Serce boli, głowa boli, dusza boli. Przez niego choruję - spojrzeniem wskazał Mierzlakowa. - Dlaczego pytasz? Jesteś doktorem?

- Nie. Poznajmy się. Jestem kierownikiem waszej budowy. Nazywam się Wasilij Maksimowicz Batmanow.

Robotnik podniósł się szybko. Był niewysoki, ale szeroki w ramionach. W baraku podniósł się gwar.

- Czekali my na ciebie, aj czekali - powiedział robotnik. - Mówili, że nie dojedziesz. Daleko, drogi nie ma, zimno, koniec świata. Dudin wysłał ciebie, czy ty sam?

- I Dudin wysłał, i sam chciałem. Później wam opowiem, towarzysze, dlaczego nie mogłem wcześniej przyjechać. Wysłałem tu w swoim zastępstwie człowieka godnego zaufania, ale spotkało go nieszczęście. Zdaje się, że nawet nie widzieliście go. A o was wiele słyszałem. Jesteście Umara Mahomet, spawacz, prawda?

- Prawda. Umara Mahomet był spawaczem.

- Był? A teraz?

- Teraz ja - nierób, pasożyt.

- Dlaczego nierób?

- Nie ma dla mnie roboty. Ja śpieszył się tutaj, śpieszył. A tu mój robota niepotrzebny. Wysłał wiadomość do Dudina. Jakby ty nie przyjechał, ja by stąd uciekł. I wszyscy by uciekli. Jeden Mierzlakow by został. Albo wygnalibyście go sami...

- To znaczy, że i roboty dla ludzi nie było? - zapytał Batmanow ledwie zwracając się w stronę Mierzlakowa.

- Robót wymagających spawania na razie jeszcze nie prowadzimy, towarzyszu kierowniku budowy...

- Ja nie proszę o roboty przy spawaniu! - wybuchnął nagle Umara.- Ja się zgadza rury ładować, ja się zgadza śnieg rozrzucać! Posyłaj robić, co chcesz, żeby tylko korzyść była z roboty, żeby tylko nie był ze mnie nierób. Ot, popatrz naokoło - traktorzyści, spawacz, ślusarz, monter - wszyscy chcą robota, byle jaka. Teraz nie ma nasza robota - będzie później. Budowa powoli się rozwinąć.

- Słusznie, towarzyszu Umara - powiedział Batmanow opanowując wzruszenie.

Umara podszedł blisko do Mierzlakowa i krzyczał mu w twarz z goryczą, namiętnie:

- Nigdy ci nie przebaczymy, że z nas pasożyty! Ty słyszał, co powiedział Batmanow? On - gospodarz. A ty... Ty nie gospodarz. Ręce my opuścili, mało nie przepadli razem z tobą. Uciekać ja chciał od ciebie, ale dokąd? A uciekać nie można. Na front mnie nie puścili, tutaj przywieźli - tak daleko, aby rurociąg budował. Sam Dudin mnie posłał. My tak śpieszyli się tutaj! Samochody ciągnęli na sobie, pieszo szli... A powiedzcie, po co?

- Nie podnoście głosu, nie jestem głuchy - rozdrażniony Mierzlakow odsunął się od spawacza.

- Ty nie głuchy - przyznał Umara - ty tylko watą uszy napchał... Nie, ja będę krzyczał, a ty słuchaj! Niech kierownik budowy patrzy na ciebie i na mnie. Niech on powie, kto ma rację, kto winien.

- Przywołuję was do porządku - uniósł się Mierzlakow.

- A czy sami wiecie, jaki powinien być porządek? - zapytał Batmanow stłumionym głosem.

- Źle, Mierzlakow, bardzo źle. Psie życie u was - nacierał Umara. - Myślisz sobie, żalimy się, bo chłodno. Nie, możemy ci przebaczyć, że chłodno. Że głodno? Także darujemy. Że wody mało? To nic. Że żałujesz nam tytoniu? Głupstwo! Mam dwóch braci na wojnie, im na pewno gorzej. Ty nam sto razy gadał: „Nie można żądać - bo wojna!” Nie sprzeciwiamy się - słusznie! Ale ty zrobił z nas ścierkę! Pozbawił siły. Odebrał robotę. Całą budowę zaprzepaścił! Tego ci nie przebaczymy! - W najwyższym uniesieniu zwrócił się do Batmanowa: - Towarzyszu kierowniku, jego trzeba pod sąd!

- A któż wam nie dawał roboty? - Mierzlakow wciągnął głowę w ramiona, w jego głosie zabrzmiał strach. - Sami nie chcieliście. Proszę bardzo, możecie pracować.

- Nie trzeba kłamać, Mierzlakow! - krzyknął Ziatkow prostując się. - Jesteście złym gospodarzem, doprowadziliście nas do nieszczęścia.

Batmanow nie spuszczał z Mierzlakowa ciężkiego, twardego spojrzenia.

- Przyjechałem, towarzysze, aby popracować tutaj razem z wami. Nie wyjadę stąd, dopóki nie zaprowadzimy tu porządku, dopóki wszystko nie pójdzie jak należy. - Wstał i zwracając się ku Mierzlakowowi rzucił krótko:

- Chodźmy!

Ledwie przestąpili próg baraku, Batmanow chwycił Mierzlakowa za klapy kurtki, przyciągnął ku sobie i podniósłszy go niemal do góry, krzyknął, nie mogąc już dłużej powstrzymać wybuchu oburzenia i gniewu:

- Kim wy jesteście, Mierzlakow? Kim jesteście - jeśli odważyliście się naigrawać z naszych robotników, z naszego dzieła? Co uczyniliście z okazanego wam zaufania? Przebaczyłbym wam wszystkie błędy i uchybienia - to, że nie umiecie pracować, że zrobiliście tu bałagan, że bezhołowie we wszystkim... Ale gdy już radzieckich ludzi cenicie mniej niż świnie - to jesteście łajdakiem. Oddamy was pod sąd! Pod sąd!

Silnym pchnięciem odrzucił Mierzlakowa chrypiącego ze strachu. Ten, oniemiały z przerażenia, upadł na śnieg.

Batmanow z zaciśniętymi pięściami szedł w zapadającym mroku nie widząc drogi, nie patrząc na nic. Rogow idący z przeciwnej strony niemal siłą zmusił go do zatrzymania się.

- Dajcie rozkaz, Wasiliju Maksimowiczu, przekażcie mi to gospodarstwo. Ten odcinek odpowiada mi, w sam raz dla mnie.

Batmanow milczał, ciężko dysząc. Rogow przypomniał mu:

- Obiecaliście, że będę mógł sobie wybrać. Więc wybrałem!

- Obiecałem. Bierz. Szybko bierz, natychmiast! - Batmanow mówił tracąc oddech. Miał wciąż przed oczami doprowadzonych do rozpaczy mieszkańców baraków. - Bardzo zawiniliśmy wobec ludzi. Trzeba teraz na nowo zdobyć ich zaufanie, pracą usprawiedliwić się przed nimi. Niech wszyscy pracują jak potępieńcy!... Jutro przyjdę do baraków. Żeby mi tam było ciepło! I czysto! Izolować chorych! Dać jedzenie, jakie tylko można! Nie żałować żywności! Dać tytoniu! I pracę dać odpowiednią i dobrą. Oni tęsknią do roboty, rwą się do walki... No, cóż tak stoisz? Do pracy! Libermanowi powiedz, że wycisnę z niego duszę, jeśli się nie będzie ruszać!

- Czy pozwolicie mi coś powiedzieć? - zapytał szybko Rogow i nie doczekawszy się odpowiedzi, meldował: - Kierownika gospodarczego wysłałem po drzewo - trzy samochody i tabor konny, ten którym przyjechaliśmy. Jeden samochód pchnąłem po wodę. Karpow wybrał się do Niwuchów[26] - ma nadzieję, że dostanie od nich mięsa i ryb. Liberman jest w kuchni, sam kucharzy, obiecał przygotować dobrą kolację.

Z półmroku wynurzyła się postać Mierzlakowa. Szukając wzroku Batmanowa prosił:

- Towarzyszu kierowniku, powinniście uwzględnić wszystkie trudności. Towarzyszu kierowniku!

Batmanow nie zwracał na niego uwagi. Nie widział go już, nie dostrzegał. Mierzlakow przestał dla niego istnieć, jak nie istniał już Grubski. Zdarzało się to Batmanowowi w tych rzadkich wypadkach, kiedy tracił wiarę w człowieka.

Część trzecia

[26] Niwuchowie - ludność staroazjatycka żyjąca przy ujściu Amuru i na Sachalinie. - Red.



1. Na czym polegało najważniejsze osiągnięcie

Rogow nieufnie podchodził do sprawy, zdumiony ogromnie tym, że na odcinku tak chaotycznie i nieporządnie prowadzono ewidencję i przechowywano cenne materiały. Mierzlakow apatycznie milczał. Starszy buchalter Kondrin, wysoki, chudy mężczyzna, o wąskiej, dziobatej twarzy i świdrujących oczach, dowodził, że jest tu człowiekiem nowym i że w zakresie rachunkowości robił wszystko, co mógł.

- Przecież to socjalistyczne dobro. Pod sąd należy oddać za tego rodzaju ustosunkowanie się do spraw! - oburzał się Rogow.

W okresie żeglugi zdołano przewieźć na odcinek drogą morską wiele maszyn, urządzeń i materiałów. Tylko część ich była potrzebna do budowy przejścia przez cieśninę, resztę należało odtransportować w głąb lądu i na wyspę. Porozrzucane po wybrzeżu skrzynie, części maszyn i stalowe rury sterczały z zasp śnieżnych. Jedynie żywność i niektóre szczególnie cenne materiały umieszczono w składach - w naprędce skleconych drewnianych szopach o nieszczelnych ścianach.

Rogow zebrał wszystkich ludzi, jacy tylko byli w barakach, kazał oczyścić plac, wykopać spod śniegu maszyny i materiały i ułożyć pod daszkami. Na wybrzeżu zebrał się ożywiony tłum robotników. Pilnując pracujących Rogow rozmyślał, co należy zrobić dzisiaj, a co jutro i w najbliższe dni. Spraw pilnych nagromadziło się tak wiele, że trudno było ustalić ich kolejność...

Mierzlakow i Kondrin deptali Rogowowi po piętach. Na lodzie skuwającym cieśninę ukazał się Batmanow. Mierzlakow śledził oczami każdy ruch kierownika budowy, który w jednej chwili pozbawił go wszystkich praw i dobrodziejstw.

- Zachwyca się naturą? - Kondrin ruchem głowy wskazał na Batmanowa, ironicznie wydymając wargi.

- Komu jest potrzebna ta wasza przyroda! - odburknął gniewnie Rogow. - Kierownik patrzy i myśli jakby poprowadzić drogę przez lód, tę właśnie drogę, której wy zapomnieliście zbudować! No, buchalterze, dość już gapienia się! Zaczynajcie razem ze mną przejmować inwentarz. Wszystko, od traktora aż do gwoździ, trzeba wciągnąć do ksiąg i mocno trzymać w garści.

Batmanow pilnie oglądał rozciągający się przed nim bezkresny obszar cieśniny. Gdy słońce wychylało się zza chmur, w błękitnej mgle zarysowywała się falista linia dalekiego brzegu wyspy. Wyraźnie

odcinał się przylądek Gibielnyj podobny do głowy jakiegoś gigantycznego potwora, który ocknął się ze snu. Batmanow istotnie szukał najlepszego kierunku dla drogi. Był zaniepokojony ostrzeżeniem Beridzego, że w tych właśnie dniach, jeśli można wierzyć ludziom mieszkającym tu od dawna, lód odrywa się zwykle od brzegu. Beridze miał zamiar zbadać cieśninę w kilku miejscach; wedle jego przypuszczeń lód jeszcze jest zbyt cienki i kto wie, czy wytrzyma ciężar samochodów, nie mówiąc już o traktorach. Batmanow szedł po lodzie, mocno przytupując i odnosił wrażenie, że lodowy pancerz pewnie i trwale połączył już oba brzegi.

Zauważywszy idącego w jego stronę Filimonowa kierownik budowy wrócił na brzeg.

- Wszystkich ludzi, co do jednego, wyślemy jutro na lód i w ciągu dwóch dni utorujemy drogę na wyspę. Potem cofniemy ich w kierunku Adunu - rzekł Batmanow.

- Dla mnie najważniejsza jest droga. Gdy będzie droga, będzie i ruch. O samochody i szoferów jestem spokojny - odpowiedział Filimonow.

To, że musiał czekać na zrobienie drogi, zbijało go z tropu - wiązało mu ręce. Nie wierzył, aby można ją było zrobić w ciągu dwóch dni czy nawet tygodnia. Rozmowy o tym, że grubość lodu nie jest wystarczająca, jeszcze bardziej go zaniepokoiły.

- Najważniejsze - to nie droga, lecz właśnie szoferzy i samochody - rzekł Batmanow zauważywszy wątpliwości Filimonowa. - Widzę, że rozkleiliście się i wahacie się, zamiast starać się wykazać swoją energię i zaradność. Radzę odzwyczajać się powoli od tej pasożytniczej maniery transportowców: dajcie asfaltową drogę, dajcie to, dajcie tamto, piąte i dziesiąte, wtedy pojedziemy.

Asfaltowa droga na tym zaniedbanym odcinku była czymś tak nieprawdopodobnym, że nachmurzony Filimonow uśmiechnął się.

- Chodźmy do waszych szoferów; jeszcze u nich nie byłem - zaproponował Batmanow.

Podeszli do zbitego z okrąglaków, drewnianego domku, który stał samotnie na skalistym cyplu. Na nagich, szarych, smaganych wiatrem głazach śnieg nie mógł się utrzymać.

W domku było pełno ludzi; leżeli na pryczach, siedzieli i stali zwróceni twarzą w stronę rozpalonego pieca. Płomień w otwartych drzwiczkach wydawał się jaśniejszy od dziennego światła, które ledwie przenikało przez dwa zakopcone okienka. Czerwonawe odblaski igrały na twarzach szoferów. W powietrzu wisiały kłęby błękitnego dymu machorki.

Batmanow i Filimonow przecisnęli się do pieca. Batmanow zdjął czapkę.

- No, cóż, palicie sobie? - zapytał po długiej chwili milczenia.

- Dziękujemy za tytoń, towarzyszu Batmanow; stęskniliśmy się za nim - odpowiedział siedzący najbliżej krzepko zbudowany mężczyzna o dobrodusznej, szerokiej twarzy. - Za radosną nowinę o Moskwie także dziękujemy, podniosła nas na duchu.

- Czy jesteście szoferem? Jak się nazywacie?

- Jestem Remniow, szofer i traktorzysta. Ale nie mam ani ciężarówki, ani traktora.

- A jak długo macie zamiar, towarzyszu Remniow, kurzyć papierosy i grzać się przy piecu?

- Albo co?

- Czas by najwyższy zacząć pracować na chleb. Powiadacie: radosna nowina. Ale wygląda tak, jakbyście myśleli poprzestać tylko na przyjęciu jej do wiadomości.

- Nie z własnej chęci przesiadujemy tu przy piecu. Tego i owego posłano rano po wodę i drzewo, a dla nas jakoś na razie nie było roboty.

- Nie było roboty? - zdumiony Batmanow spojrzał na Filimonowa. - To ciekawe. W takim razie przyjmijcie do wiadomości, że od jutra ja osobiście będę sprzedawać chleb. Uważajcie, żebyśmy nie musieli kartek pracowniczych zmienić na kartki dla nie pracujących - zażartował, ale brzmiało to surowo.

- Cóż mamy robić, jeśli nie ma dróg i nieprędko będą? Wielu z nas zostawiło samochody i traktory w tajdze - powiedział Remniow, rozmawiający z Batmanowem jakby w imieniu wszystkich.

- Jednym słowem: niech wujaszek zrobi drogę, niech wujaszek ściągnie samochody i uruchomi je, wtedy pojedziecie? Czy Smorczkow jest tutaj?

Z kąta wysunął się Smorczkow. Wyglądał jak odmieniony: był gładko wygolony, świeży i pełen energii.

- Dlaczego nie opowiedziałeś im, jak wczoraj zapoznaliśmy się ze sobą? Przypominam sobie, że nawet dałeś słowo: „Teraz już nie trzeba będzie popędzać”.

- Z tą drogą to naprawdę znaleźliśmy się w jakimś ślepym zaułku, towarzyszu Batmanow - powiedział cicho Smorczkow. - Od rana siedzimy i naradzamy się w sprawie roboty. Chodziliśmy do dawnego kierownika odcinka, ale machnął na nas ręką; a nowy kazał nam tymczasem zabrać się do odrzucania śniegu. „Poczekajcie - powiada - dzień, dwa, dajcie mi się rozejrzeć”... co do tej drogi przez cieśninę mamy duże wątpliwości. Lód jest jeszcze cienki, każdej chwili może się oderwać od brzegu; tutaj co roku tak bywa. Czy nie lepiej byłoby zostawić na razie cieśninę w spokoju, a zabrać się do zrobienia drogi na lądzie?

- No, wreszcie zaczyna się rzeczowa rozmowa! - pochwalił Batmanow.

- Tylko ty, Smorczkow, mów głośniej. Zacznijmy wspólnie myśleć, jak pokonać trudności. Tego właśnie od was oczekuję. Można, oczywiście, siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż kierownicy wypowiedzą swoje zdanie. „Oni wszystko lepiej wiedzą, czytają gazety”. Można tak mówić i uważać, że jest się uczciwym. Ale nie o taką uczciwość tu chodzi. Z takiego ustosunkowania się do pracy nic dobrego nie wyniknie. Teraz na przykład ucieszyliście się zwycięstwem pod Moskwą i - koniec. Zdobyliście drzewo do pieca i grzejecie się!

- Słusznie, towarzyszu Batmanow - wykrzyknął Remniow. - Zmyjcie nam głowę! Już od dawna tęsknimy za robotą.

- Wytrzymałość lodu na cieśninie sprawdzimy - ciągnął Batmanow. - Myślę, że nie jest tak źle. I wy sami - będziecie robić drogę, oczywiście nie tylko wy, ale wszyscy ludzie z odcinka. Zostawiać teraz cieśniny nie wolno - to przecież jest nasze główne zadanie. Na utorowanie drogi daję wam dwa dni, nie więcej. Towarzyszu Filimonow, czy dacie radę?

- Damy radę - potwierdził Filimonow, który jeszcze przed godziną wątpił, czy uda się zrobić drogę w ciągu tygodnia.

Jeszcze teraz nie był zupełnie przekonany, ale Batmanow i szoferzy tak uporczywie na niego patrzyli, że nie mógł się cofnąć, więc powtórzył:

- Damy radę, na pewno. - I powiedziawszy to, jednocześnie zrozumiał, że nie ma innego wyjścia, że muszą podołać.

- Samochody z tajgi sprowadzicie również sami, i to nie później niż jutro do południa - powiedział Batmanow. - Mam zamiar na nowo przyjmować do pracy każdego szofera i każdego traktorzystę. Rzecz jasna - z dobrymi motorami. Kogo nie przyjmę na szofera czy traktorzystę, ten zgłosi się do Libermana na magazyniera.

Szoferzy przyjęli jego słowa przyjazną wrzawą.

- Wskażcie nam tylko drogę - to później już nas nie wstrzymacie - odezwał się wielki, tęgi chłop. Gdy podniósł się, głową sięgał niemal sufitu.

- No, cóż, dobrze, dogadaliśmy się - odpowiedział Batmanow spoglądając z ledwie widocznym uśmiechem na Filimonowa.

W domu Kotlariewskiego Batmanow, Filimonow i Rogow zastali wszystkich członków swojej brygady. Liberman krzątał się przy stole, zajęty obiadem, a pozostali, grzejąc się przy kominku, słuchali opowiadania Tani Wasilczenko. Mówiła o wyspie, na którą zdążyła się już przedostać na nartach.

- „Tajsin” oznacza siedzibę bogów - podniósłszy brwi wyjaśniła dziewczyna. - Ależ to siedziba powiadam wam! Dzikie pustkowie! Coś okropnego! Rozejrzałam się i czym prędzej wróciłam.

- Jak mogłaś sama wypuszczać się na taką wycieczkę? - zganił ją Aleksiej. - Tak właśnie było z Pankowem: poszedł i nie wrócił. Należałoby ci dobrze wsypać za tę twoją brawurę.

Na wzmiankę o Pankowie dziewczyna spochmurniała. Beridze uradowany, że Tani nie spotkało nic złego, zaczął ją wypytywać szczegółowo o wytrzymałość lodu na cieśninie.

- Ale co mogło się stać z Karpowem? - zapytał Aleksiej. - To niepokoi mnie.

- Karpow nie zginie - odezwał się Beridze. - Pamiętasz, co powiedział wtedy podczas zamieci: „Dla nas Adun - to dom”.

Batmanow w milczeniu zaczął ściągać z siebie okrycie, zesztywniały na mrozie kożuszek stuknął o podłogę; zdawać by się mogło, że to jakiś człowiek przykucnął. Batmanow podniósł go i powiesił na gwoździu.

- Wszędzie, gdzie tylko zajdę - powiedział rozcierając policzki - wszyscy próżnują, strzępią sobie języki i zażywają błogiego spoczynku. Słuchaj no, Liberman, wstrzymaj się z podawaniem obiadu, niech najpierw na niego zapracują... Karpow zniknął, Wasilczenko urządza sobie sportowe wypady na nartach, a reszty nie można oderwać od pieca.

- Trzeba się najpierw rozejrzeć, Wasiliju Maksimowiczu - odezwał się Beridze. - My z Aleksiejem i Topolewem złaziliśmy cały brzeg i mamy już naszkicowany jaki taki plan.

- Ludzie oczekują od nas mądrych i zdecydowanych zarządzeń. Rozglądać się można przez dzień - i przez dziesięć dni. A my nie mamy dziesięciu dni, tylko jeden. Czas podzielić się zadaniami i ogarnąć całokształt spraw odcinka. Od razu się umówimy, że nie będziemy chodzić gromadą, by nie przeszkadzać sobie wzajemnie. Nie pozwalam na nieuzgodnione działanie. Oto Rogow zebrał dziś wszystkich robotników z odcinka, zaczął uprzątać śnieg i przeprowadzać inwentaryzację. Prace niewątpliwie pożyteczne, ale nie najważniejsze. Nas, kierowników, jest tu wielu. Gdy wszyscy będziemy chwytać za jedną kierownicę, szybko znajdziemy się w rowie. Nie możemy dopuścić do chaosu i anarchistycznych poczynań, nie możemy wydawać zarządzeń bez sensu. Musi istnieć ogólny plan, uzgodniony i jasny.

- Trzeba podzielić zadania i ustalić, kto i za co jest odpowiedzialny - podpowiedział Beridze.

- Słusznie, od tego właśnie zaczniemy. Was, towarzyszu Beridze, zwalniam na razie z obowiązku ogólnego kierownictwa. Wraz z Kowszowem, Topolewem i Kotlariewskim zajmijcie się przede wszystkim sprawami technicznymi. Rogow niech zapoznaje się z gospodarką odcinka i wspólnie z Libermanem zabiega o poprawę warunków bytowania.

- Wydaliście zarządzenia, aby odesłać Mierzlakowa do Nowińska - wtrącił Rogow. - Ale ja go nie puszczę, zanim nie podpisze aktu.

- Dobrze, niech mi się tylko nie pokazuje na oczy. Wy, Filimonow, musicie wziąć w swoje ręce sprawy transportu i wszystko, co jest związane z mechanizacją. Tania Wasilczenko wie, jakie są jej obowiązki, z nią się już porozumieliśmy. Ja i Karpow będziemy robili drogę na wyspę i w głąb lądu. A teraz zorientujmy się, jakimi siłami rozporządzamy.

Zapomniawszy o obiedzie wszyscy skupili się wokół Batmanowa. Beridze trzymając w ręku kartkę z notatkami wyjaśnił, ilu jest ludzi na odcinku i jacy to są ludzie. W mgnieniu oka zdecydowano o ich przydziale do poszczególnych robót.

- Teraz do obiadu! - zawołał Batmanow zawadiacko i zwinnie pierwszy usiadł przy stole.

Zapowiedział też, że wieczorem zbierze cały zespół pracowniczy odcinka w celu omówienia stojących przed nimi zadań. Filimonowi kazał wstąpić do elektrowni i dopilnować, aby wieczorem bezwzględnie było światło w barakach.

W starej szopie, w której mieściła się przenośna elektrownia, było zimno jak na ulicy. Mechanik Sieriogin i dwaj monterzy kończyli zestawianie silnika po remoncie. Filimonow zapoznał się z nimi i obejrzał nieskomplikowane urządzenia elektrowni.

- Czy dacie prąd na wieczór? Zdążycie?

- Postaramy się - odpowiedział krótko Sieriogin, młody, o szerokiej twarzy chłopak w granatowym kombinezonie, włożonym na watowaną kurtkę.

Filimonow interesował się, dlaczego odcinek był pozbawiony prądu i dlaczego elektrownia była w tak zaniedbanym stanie. Sieriogin na pytanie odpowiadał niechętnie.

- Co tu ukrywać! - wtrącił się do rozmowy jeden z monterów. - Nie dawali nam nic z tego, czego potrzebowaliśmy do normalnej pracy. Wciąż gadali o oszczędzaniu paliwa i smaru. Nikomu ta elektrownia nie była potrzebna. Kierownik Mierzlakow żądał tylko, aby miał stały i punktualny dopływ prądu do swego domu. No i tak się robiło.

- Zbudujemy nową, wielką elektrownię - powiedział Filimonow, - o tym porozmawiamy później szczegółowo. A dziś doprowadźcie światło do baraków - nie może być żadnych przerw w dopływie prądu...

- Prąd będzie - z naciskiem zapewnił go Sieriogin.

Wkrótce po wyjściu Filimonowa przyszedł do elektrowni buchalter Kondrin. Rzucił parę słów bez znaczenia i dyskretnym ruchem głowy odwołał mechanika na bok.

- Zjechały tu ważne figury zarządu i może zechcesz z nimi o tym i owym pogadać - wycedził przez zęby. - Więc jeszcze raz cię uprzedzam: niech ci nie przyjdzie do głowy na mnie naszczekać, bo będzie źle!...

Sieriogin ze skupieniem wycierał ręce ścierką i milczał, jakby słowa Kondrina nie odnosiły się do niego.

- Cóż ty, Koniku, nie słyszysz mnie? - zapytał buchalter Sieriogina i przeszył go ostrym spojrzeniem.

- Ja mam ludzkie imię - burknął mechanik.

- Ach, staliście się wykształceni! No, cóż, możemy mówić wyższym stylem - odparł drwiąco Kondrin. - Proszę was usilnie, towarzyszu Sieriogin, abyście zapomnieli o mnie i o moim adresie. Po prostu nie znacie mnie...

- Do czego ty zmierzasz, Somow? Po co przyszedłeś tu na odcinek? Dlaczego nosisz cudze nazwisko? - zapytał wzburzony Sieriogin.

- Milcz, frajerze! - zasyczał Kondrin i obejrzawszy się dookoła chwycił mechanika silnie za rękę. - Widzę, że chcesz dostać pod żebro! Przysięgam, że dostaniesz! Wiesz przecież, że ja wyrzucam zawsze orła, na pewniaka! A jeżeli ja cię nie „urządzę" - to znajdą się inni...

- Cóżeś się tak przyczepił do mnie? - mruknął wyraźnie nastraszony Sieriogin - Nie mam z tobą nic wspólnego. Ja odpowiadam za siebie, a ty za siebie.

- No, to już rozumniejsze słowa, przyjemnie posłuchać - powiedział Kondrin nieco spokojniej. - Jeżeli będziesz trzymał język za zębami, to zostaniemy przyjaciółmi.

Obrzucił mechanika badawczym spojrzeniem i chcąc go uspokoić dodał:

- Nie masz się czego bać, kamienia za pazuchą nie noszę. Po prostu chcę zacząć nowe życie, wolne od wszystkiego. Niech nikt nie wie, że jestem Somow i że byłem w więzieniu.

- A dlaczego nie można zacząć wszystkiego uczciwie?

- Każdy ma swój rozum - odpowiedział Kondrin ze sztuczną wesołością. - Ty zacząłeś żyć uczciwie pod swoim własnym nazwiskiem - i co? Zajmujesz stanowisko małe i niepozorne - a ja zaczynam żyć uczciwie pod nazwiskiem Kondrina i - patrz: zupełnie co innego - jestem starszym buchalterem, mam uznanie, szacunek i wielkie możliwości. Zrozumiałeś? A więc umawiamy się: znasz mnie jako towarzysza Kondrina, starszego buchaltera. Możesz polegać na mnie we wszystkim. Ale gdybyś się pomylił i nazwał mnie inaczej - to pisz zawczasu testament...

Członkowie zarządu siedzieli w domu Kotlariewskiego i słuchali, jak Batmanow dyktował Kowszowowi rozkaz do pracowników odcinka. Światło zabłysło tak nagle, że Tania krzyknęła. Na progu stanął Karpow. Od jego kożucha ciągnęło mrozem, a cała jego postać była pokryta szronem. Zdjąwszy czapkę rybak pozdrowił wszystkich i z zadowoleniem oznajmił:

- Przywiozłem prezenty - będziemy teraz karmić ludzi rybami i mięsem foki. Niwuchowie przysłali w podarku.

Spojrzał za siebie i odsunął się na bok. Za nim stał Niwuch, mały człowieczek w wysokich „torbasach"[27], w kurtce z jeleniego futra i w spodniach ze skóry foki. Na głowie miał futrzaną czapkę w kształcie stożka.

- Przewodniczący kołchozu, Nikifor Gibelka - przedstawił go Karpow.

[27] Torbasy - miękkie buty z jeleniej skóry odwróconej sierścią na zewnątrz. - Red.

- Zdrowa żyj! - huknął gość kołysząc się całym tułowiem. Jego oczy, ledwo widoczne w wąskich szparkach powiek, błyszczały wesoło. - Przyjmuj towara!

Na ulicy stały cztery jelenie zaprzęgi naładowane rybami; obok nich przewodnicy. Jelenie nerwowo poruszały rosochatymi rogami i spode łba patrzyły na ludzi wybiegających z domu. Batmanow gorąco podziękował Niwuchom i zaprosił ich na herbatę.

Na zebranie wyznaczył Rogow najobszerniejszy barak. Trzy razy wymyto w nim podłogę, dwa razy przepalono w piecu. Sieriogin i monterzy zainstalowali kilka żarówek - zrobiło się widno jak na scenie. Długi stół w przejściu między pryczami nakryto jasnoczerwonym materiałem, na ścianie zawieszono portret Stalina.

Na długo przed rozpoczęciem zebrania barak zapełnił się ludźmi przybyłymi z całego odcinka. Po trzech zajmowali miejsca na pryczach albo siadali ciasno jeden przy drugim na podłodze. Zjawiały się ciągle nowe grupy ludzi i wciąż wszystko trzeba było w baraku przesuwać.

- Wchodźcie, wchodźcie, miejsca starczy dla wszystkich - wzywał Rogow.

- Chodź tu na balkon - z górnej pryczy wołał Remniew Smorczkowa, który się spóźnił.

Nastrój zebranych był doskonały, zewsząd sypały się żarty. Wejście Batmanowa i jego pozdrowienie zostało przyjęte okrzykiem tak gromkim, że niemal zatrzęsły się ściany baraku.

Do stołu nakrytego „kumaczem”[28] podszedł Rogow.

- Towarzysze, ogłaszam otwarcie walnego zebrania kolektywu jedenastego odcinka...

Zerwała się burza oklasków. Ludzie cieszyli się, że tu, na krańcu świata, zaczęło się na nowo życie, do jakiego przywykli. Umara Mahomet coś tam wykrzykiwał, ale słowa jego tonęły w ogólnym hałasie. Gdy wreszcie ucichły oklaski, zawołał:

- Słusznie powiedział: „zebranie kolektywu!” Teraz mamy kolektyw, a przedtem go nie było.

Rogow oddał głos kierownikowi budowy. Przemówienie Batmanowa było tak żywe i tak bezpośrednio dotyczyło każdego, że nie było nikogo, kto by go słuchał obojętnie. Chwytano chciwie każde słowo. Batmanow właściwie przed ludźmi z tego najdalszego odcinka wyliczał się z każdego dnia swojej pracy, począwszy od momentu przejęcia budowy. Opowiadał, jak stopniowo tworzył się plan walki o rurociąg i jakie przy tym trzeba było przezwyciężać trudności, omawiał szczegółowo nowy projekt budowy zatwierdzony przez samego towarzysza Stalina. Teraz należało jak najszybciej wprowadzić ten projekt w życie.

Dokładnie omówił zadania, które zlecone zostały kolektywowi jedenastego odcinka. On także podkreślał słowo „kolektyw”. Po raz pierwszy robotnicy dowiedzieli się naprawdę, jaką skomplikowaną i trudną budowę mają wznieść nad Cieśniną Dżagdyńską. Wyrażali swoją radość okrzykami i oklaskami. Mechanik Sieriogin razem ze wszystkimi bił z zapałem w dłonie. Obejrzawszy się ujrzał nagle siedzącego za nim w sąsiednim rzędzie Kondrina. Tamten z kpiącą miną patrzył na niego i znacząco podniósłszy ręce głośno klaskał. Radość mechanika z miejsca zgasła.

A Batmanow mówił o swoim zamiarze wprowadzenia na odcinku żelaznej dyscypliny i najsurowszego regulaminu dziennego.

---

[28] Kumacz - materia bawełniana jasnoczerwonego koloru. - Red.

- Nie obiecuję wam, przyjaciele, łatwych i spokojnych dni. Trzeba będzie pracować ze wszystkich sił, trzeba będzie niemało znieść. Zapewniam was, że to jest właśnie prawdziwe życie. My, ludzie radzieccy, nie dążymy do łatwego mieszczańskiego życia ludzi, którzy myślą tylko o własnej wygodzie. My pragniemy trudnego życia w imię jasnej przyszłości. Dzień jest teraz krótki - a więc wydrzemy kilka godzin ciemnej zimowej nocy: Będziemy pracowali przy świetle elektrycznym!

Gdy skończył, w baraku zahuczało, ludzie przekrzykiwali się wzajemnie. Nikt nie prosił o głos, a zresztą Rogow nie starał się nawet o zachowanie oficjalnego porządku obrad. Robotnicy przemawiali jeden po drugim, każdy miał jakąś propozycję i rzeczowe rady.

Stary kopacz Ziatkow podniósł w górę strudzone ręce.

- Tysiące metrów sześciennych ziemi przerzuciłem nimi. Na największych budowach pracowałem i wszędzie mnie szanowano. I tutaj też nie okryję się hańbą, będę wyrabiać po pięćset procent normy!

Remniow przypomniał sobie Mierzlakowa i zaczął go kląć.

- O Mierzlakowie zapomnijcie, towarzyszu Remniew - odpowiedział mu Batmanow. - Nie ma go. Możecie teraz wymagać ode mnie, od Rogowa, od Beridzego - my tu teraz jesteśmy.

Umara przepchnął się przez tłum i stanął przed Batmanowem.

- Tobie wierzymy. Żądaj, czego chcesz - wszystko zrobimy! Popatrz, jaka my jest siła! - krzyczał.

Ledwie zaczęło świtać, gdy Beridze i Kowszow wziąwszy do pomocy kilku ludzi ruszyli nad cieśninę, aby mierzyć grubość lodu. Nie czekając, aż inżynierowie wypowiedzą swoje zdanie, Batmanow postanowił wyprowadzić na lód wszystkich mieszkańców odcinka. Liberman, który przez całą noc pilnował kuchni, zdołał nakarmić ludzi sutym śniadaniem. Robotnicy, ubrani ciepło w ciemne watowane kurtki i filcowe buty, z gwarem wylegli na ulicę. W barakach zostali tylko chorzy; Mierzlakow uchylił się od wyjścia na robotę.

Dziesiętnik Gonczaruk pomimo grypy nie chciał siedzieć w domu. Wyszedł razem ze wszystkimi i sprawnie wydawał z samochodu przywiezione narzędzia. Ziatkow z ukrytym uśmiechem w milczeniu podał Batmanowowi ciężki żelazny łom.

- Dziękuję, stary - Batmanow obrzucił go czułym spojrzeniem.

Rogow ustawił wszystkich w kolumnę. Niosąc na ramionach oskardy, łopaty, łomy, ruszyli z miejsca. Maszerujący na czele kolumny Karpow silnym barytonem zaczął śpiewać „Trzech tankistów”; natychmiast dołączyły się inne głosy, wprawdzie niezbyt harmonijne, ale za to mocne.

- Musimy przebić drogę na wyspę przed zapadnięciem zmroku - powiedział Batmanow na brzegu, obserwując zebranych ludzi. - Kierowanie robotami biorę w swoje ręce, na pomocników wyznaczam Karpowa i Umarę Mahometa.

- A jeśli lód oderwie się od brzegu? Nie boisz się, Wasiliju Maksimowiczu? - cicho pytał stojący obok niego Karpow.

- A czy wiesz, kiedy to nastąpi? Dzisiaj czy za miesiąc?

- Prawda, nie wiem...

- I ja nie wiem. A czekać nie możemy. Będziemy ryzykować. W pracy, tak jak w walce, towarzyszu, nie można się obejść bez ryzyka.

Rogow rozdzielił robotników na dwie kolumny. Karpow i Umara Mahomet umawiali się co do odcinków roboty. Remniew, stojący w tłumie, wykrzyknął:

- Towarzyszu Batmanow, ja bym proponował, żebyśmy robili drogę od dwóch stron. Jedni powinni zostać tu, a drudzy niech zaczynają od wyspy.

- To czyste zawracanie głowy - sprzeciwił się Rogow. - Zanim ludzie dojdą do tamtego krańca, stracą czas i siły.

Batmanow nie zgodził się z nim.

- Propozycja jest dobra, warto się zastanowić - powiedział i dodał, już tylko dla samego Rogowa: - Nie rozumiesz, to przecież współzawodnictwo. I bardziej rozwinięty front robót. Trzeba to tylko dobrze zorganizować.

- A gdybyśmy tak zrobili - ożywił się Karpow - niech obydwie kolumny idą w tym samym kierunku. Jedna kolumna zacznie z tego miejsca od brzegu. Druga kolumna odejdzie o cztery kilometry naprzód i stamtąd rozpocznie pracę również w kierunku wyspy. Kiedy pierwsza kolumna dotrze do gotowej drogi, dopędzi drugą i wtedy podzielą się resztą.

- Przyjmuję twój projekt, Iwanie Łukiczu - powiedział z zadowoleniem Batmanow. - Zaczynaj! - Uważnie popatrzał na Karpowa. Ten w lot zrozumiał, że właśnie on ze swoimi ludźmi powinien iść na środek cieśniny.

- Nie obawiajcie się, Wasiliju Maksimowiczu, będziemy ostrożni - powiedział Karpow.

- Na wyspie zostawicie ze dwudziestu ludzi, niech przygotują plan na materiały - zlecił kierownik.

Umara był zadowolony, że zostaje z tej strony, przy Batmanowie.

- Wzywam do współzawodnictwa! - nacierał na Karpowa.

- Przyjmuję wezwanie, ale z góry ci powiadam, że za słaby jesteś, aby ze mną współzawodniczyć.

- Niesłaby, niesłaby. Zobaczymy, ile kto zrobi kilometrów!

- Trzeba jednak, towarzyszu Batmanow, wziąć pod uwagę to, że my na początku będziemy w mniej korzystnej sytuacji. Zanim dojdziemy do swojego miejsca, Umara przez ten czas zdąży już niemało nadłubać ze świeżymi siłami.

- Uwzględniamy to, Iwanie Łukiczu. I obiad dla twoich ludzi przywieziemy, a po sto gramów też się znajdzie - obiecał Batmanow.

- Słyszysz, co mówi kierownik? - Karpow trącił Libermana.

- Słyszę. Mamuniu najmilsza, jestem przecież muzykalny.

- Brygady! - krzyknął Karpow.- Droga przed nami nieznana, możemy trafić na cienki lód, dlatego trzeba iść w rozsypce, nie gromadą! Daję komendę: w szyku pojedynczym, na dwa metry jeden od drugiego, w kierunku na wyspę - marsz!

Długo widać było poruszającą się wśród lodowych zwałów wyciągniętą linię ludzi idących za rybakiem. Jeszcze nie zniknęli z oczu pozostałym, gdy Umara już rozstawił swoją kolumnę w grupy po

kilku ludzi. Pierwsi uderzyli w lód Batmanow i Umara. Za nimi trzysta łomów i oskardów wbiło się w lodowe zwały, rozległ się dźwięczny szklany odgłos uderzeń. Umara, który pracował oskardem, wciąż spoglądał na Batmanowa.

- Zobaczysz, kierowniku, jaki spawacz Umara. Na pewno myślisz, Umara pięknie gada, ale spawać źle. Ja ogniem mogę pisać. Nie wierzysz? Nie wyjeżdżaj, zanim nie zrobię pierwszego styku - wtedy zobaczysz!

- Wiem, że jesteś mistrzem w swoim zawodzie - odpowiedział Batmanow. Lekko podnosił łom i wbijał go z siłą w lodowe bryły odwracając twarz od lecących odprysków. - Na razie nie myślę o wyjeździe, popracujemy tu jeszcze razem. A twój pierwszy styk zobaczę na pewno...

Tymczasem inżynierowie zrobili kilka pomiarów grubości lodu. Kowszow przysiadłszy na zwale lodu obok niedużej okrągłej przerębli, w której gderliwie bulgotała czarna woda, robił obliczenia.

- Wygląda to niepocieszająco - powiedział. - Przy takiej grubości traktor nawet bez ładunku zapadnie się. Puszczanie samochodu też jest ryzykowne - lód jest nierówny, a tu i ówdzie bardzo cienki. - Aleksiej wstał. - Trzeba powiedzieć Batmanowowi, że niepotrzebnie spieszy się z drogą przez cieśninę.

Beridze z ciekawością przyglądał się, jak w przerębli wysuwały się z wody spiczaste głowy ogromnych ryb.

- Powiedzieć mu o tym trzeba, ale drogę niech robią - odezwał się.

- Po co?

- Będziemy puszczać samochody z niepełnym obciążeniem. Batmanow ma rację: nie wszystko da się z góry obliczyć. Poza tym na oczyszczonej ze śniegu i zwałów drodze warstwa lodu będzie narastała szybciej.

- Ta droga to nieustanne ryzyko dla ludzi i samochodów. Nawet nie zdążysz krzyknąć, jak cię wciągnie pod lód! Wtedy pożałujesz, ale będzie za późno.

- Nie rozumiesz Batmanowa, Alosza. Budując razem z ludźmi tę drogę zaprzyjaźni się z nimi, da im możność uświadomienia sobie ich własnej siły. Postanowił zrobić przejście do wyspy w ciągu dnia. Powiedz no, ile dni trzeba by zużyć na to wedle normy?

Od strony brzegu podszedł ku nim Silin. Nie od razu go poznali - traktorzysta nie miał już tych rudych „baczków”, które wywołały ich zdumienie w domku pod śniegiem. Silin ucieszył się ze spotkania z inżynierami, jakby byli jego krewnymi.

- Opowiedz, Siemionie, jak się tu dostałeś? - prosił Aleksiej obejmując go.

- Szczęśliwie. Traktor w porządku, można go choćby zaraz zapuszczać.

Silin nic więcej nie dodał, ale Aleksiej wyobraził sobie, ile musiał znieść ten silnie zbudowany, skromny człowiek, zanim zdołał doprowadzić na miejsce swój wielki motor.

- Gdzież to się zawieruszyłeś? Szukaliśmy ciebie.

- Na odcinku były takie ciemności, że dłużej nie mogłem tego znieść: dałem drapaka, aby być bliżej światła - zażartował Silin.

- A dokąd?

- Po zebraniu partyjnym, na którym daliśmy Mierzlakowowi ostatnie ostrzeżenie, ten uwziął się specjalnie na mnie i na Umarę. Mnie najzwyczajniej zwolnił. Niewiele brakowało, żeby Smorczkowa spotkał ten sam los - za krnąbrność. Umara wysłał wiadomość do Krajowego Komitetu Partii i czekaliśmy na rezultat. Potem naradziliśmy się i postanowiliśmy w jakiś sposób przyśpieszyć całą rzecz. Nie można już było dłużej milczeć. Dobrnąłem jakoś do straży granicznej... Naczelnik strażnicy połączył się z Rubieżańskiem - odpowiedzieli mu, że Batmanow wraz z wami wszystkimi wyjechał już tu... Wtedy wróciłem. - Przerwał swoje opowiadanie i zwrócił się do Beridzego: - Mam do was trzy sprawy.

- Choćby cztery, Siemionie Iljiczu.

- Mierzlakow mnie zwolnił, ale mimo to uważam się za pracownika tego odcinka. Trzeba to jednak załatwić formalnie. Buchalter Kondrin powiada, że musi być polecenie.

- To głupstwo. Idź do Rogowa, on to załatwi.

- Warto opowiedzieć Batmanowowi o tym, jak Mierzlakow go zwolnił - powiedział Kowszow.

- Druga sprawa - mówił dalej Silin. - Widzę, że wszyscy wyszli na drogę i kruszą lód łomami i oskardami; czy ja mam także zabrać się do łomu.

- A co, nie chcesz?

- Owszem, chcę! - Ale mam inną propozycję; powinniśmy torować drogę nie łomami tylko buldożerem. Pamiętacie, jak robiono pod Nowińskiem? Ja raz, dwa wszystko przygotuję, dajcie tylko zezwolenie.

Oczy Beridzego zaświeciły blaskiem - spojrzał na Aleksieja. Ten odpowiedział surowo:

- Nie można, Silin. Lód cienki, buchniesz w otchłań - i bywaj zdrów!

- Pozwólcie. Zapewniam, że wszystko będzie w porządku - nalegał traktorzysta.

- Nie można!

- Kowszow ma rację, nie wolno - powiedział łagodnie Beridze kładąc rękę na ramieniu Silina. - Byłoby niebezpiecznie puszczać na lód nawet samochody. Będziesz musiał, przyjacielu, mimo wszystko wziąć się do łomu. Trudno, Batmanow obiecuje, że i bez pomocy sprzętu mechanicznego droga będzie gotowa na wieczór. Idź, pomóż mu.

- Ostatnia sprawa, towarzyszu Beridze, dotyczy buchaltera Kondrina. Mam pewne podejrzenia - to szkodliwy człowiek.

- Jak to, tak ni stąd ni zowąd? - zdziwił się Beridze. - Skąd ci to przyszło do głowy?

- Towarzyszu inżynierze, trzeba tylko mu się przyjrzeć. Nie jest lepszy od Mierzlakowa.

- Na jakiej podstawie to mówisz? - spytał Aleksiej.

- Trudno to powiedzieć... - Silin wzruszył ramionami. - Gdy rozmawia się z nim, aż burzy się coś w człowieku. Nieprzyjemny typ.

- I tylko tyle! - roześmiał się Beridze. - Nie można tak pochopnie wydawać sądu o ludziach. Zdarzają się przecież ludzie nieprzyjemni, a mimo to uczciwi. Pewno powiedział ci coś przykrego i masz do niego żal...

- Nie podoba mi się ten człowiek - pokręcił głową Silin.

- No, dobrze, będziemy o tym pamiętali - powiedział naczelny inżynier.

- O Kondrinie powiedz także Batmanowowi - poradził Aleksiej. - Idź już do niego, oddasz mu przy okazji tę notatkę.

Traktorzysta znalazł Batmanowa na drugim kilometrze od brzegu, wśród gromady robotników.

- Nie wolno nam lekceważyć tej roboty - mówił Batmanow. Droga musi być dobra, nie byle jaka. Powinna mieć nie mniej niż sześć metrów szerokości, a myśmy ją znów tak zwęzili, że dwa samochody nie będą się mogły wyminąć. Poza tym trzeba się starać, żeby była gładka jak posadzka - a zostawiliśmy na niej moc nierówności. Słuchaj no, Umara, nie zwiększaj tempa kosztem jakości. Czy zrozumiałe?

- Jasne jak słońce! - odkrzyknął Umara.

Nie chciał tracić ani jednej minuty, ale inni wciąż jeszcze stali wokół Batmanowa. Umara nie mógł na to spokojnie patrzeć; niecierpliwie chwycił za łom i w ruchu odrzucił watowaną kurtkę. Czapka zsunęła mu się na tył głowy odsłaniając twarde jak druty, czarne włosy.

- Towarzysze, do roboty! Karpow nie śpi, nie dajcie się prześcignąć - krzyczał spawacz ustawiając na nowo ludzi. - Tu stań, oczyszczaj drogę. Nie wiercić dziur w lodzie, ostrożnie! Ech, potrzebny jakiś walec!

Gdy podbiegł do Batmanowa, aby zasięgnąć rady w sprawie walca, zastał go rozmawiającego z Silinem.

- Nie przeszkadzaj, potem sobie porozmawiasz - powiedział Umara do traktorzysty. - Towarzyszu kierowniku, trzeba wymyślić jakiś walec, bez walca ciężko.

- Poczekaj, Umara. Porozmawiam z towarzyszem i przyjdę do ciebie - odpowiedział Batmanow.

Umara z zazdrością spojrzał na Silina i pobiegł z powrotem. Batmanow z uwagą przysłuchiwał się słowom traktorzysty. Silin stał przed nim z ciężkim łomem w ręku jak z karabinem.

- Z buldożerem daj spokój - powiedział Batmanow. - Jeśli inżynierowie mówią, że nie można, to nie ma o czym mówić. Przecież tu właśnie, w tej notatce meldują, że lód jest cienki. Twoje ostrzeżenie co do Kondrina wezmę pod uwagę, chociaż zarzuty są bardzo nieokreślone. A więc Mierzlakow zwolnił cię, co? - Batmanow uśmiechnął się, uważnie obserwując szczerą twarz traktorzysty.

- Tak, nie przypadłem mu do gustu... No, cóż, nie udało mu się. Jego nie ma, a ja pozostałem.

- I nie mogło mu się udać! Powiem Rogowowi, aby wydał odpowiednie zarządzenie w twojej sprawie. Po pracy wpadnij do mnie, pogadamy sobie spokojnie. A teraz idź do Filimonowa; pomyślcie obaj, jaki można by zrobić naprędce walec. Widzisz, jak wygląda robota bez walca...

Batmanow idąc ku brzegowi zastanawiał się nad tym, co powiedział Silili o Kondrinie. Trzeba będzie przyjrzeć się starszemu buchalterowi, skontrolować jego pracę. Trzeba w ogóle jeszcze poznać lepiej ludzi. Nie darmo Pisariew uprzedzał, że należy być czujnym, życie udowodniło, że na tym bezludnym pograniczu nieraz ukrywały się i grasowały różne ciemne typy.

Rozmyślania przerwał mu Umara Mahomet. Zdenerwowany spawacz gonił za kierownikiem budowy.

- Towarzyszu Batmanow, dokąd odchodzisz? Sam mówiłeś, że droga jest najważniejsza. Dlaczego rzucasz robotę? Chodź, będziemy razem kończyli!

- Na razie sam tu rozkazuj. - Batmanow uśmiechnął się mimo woli. - Nie złość się, chodź, zapalimy.

Zasłaniając się od wiatru zapalili papierosy. Zesztywniałe od mrozu ręce Batmanowa (z uporem hartował je metodą Tani Wasilczenko) nie mogły utrzymać papierosa; patrzył na nie z niezadowoleniem.

- Umara, co powiesz o Kondrinie, buchalterze?

- O, to niedobry człowiek. - Umara zmarszczył czoło.

- Dlaczego niedobry?

- W oczy nie patrzy. Śmieje się nieprzyjemnie. Po co przysłali tu takiego?

- Że się nieprzyjemnie śmieje - to jeszcze nie powód, żeby mówić źle o człowieku. Trzeba go bliżej poznać.

- Co? Poznać bliżej? Przepędzić go trzeba! On i Mierzlakow to dwa buty z jednej pary. Przepędziłeś Mierzlakowa, przepędź Kondrina! Po co go trzymasz?

- Nie można się tak gorączkować, Umara. Mierzlakowa poznaliśmy całego jak na dłoni, a o Kondrinie nic nie wiemy. Nie wolno wyrzucać człowieka za to tylko, że ma nieładne oczy. Sprawdzimy najpierw, jak pracuje, a wtedy postanowimy. A ty - biegnij do ludzi. Włóż kurtkę, zapnij się, bo się zaziębisz...

- Mnie mróz nie bierze - odparł Umara. Ty sam lepiej pozapinaj się i włóż rękawica, bo odmrozisz ręka!

Batmanow po nagich, oblodzonych kamieniach wyszedł na brzeg. Tu zbliżył się do niego nie znany mu człowiek w starym, czarnym kożuszku.

- Czy mogę z wami porozmawiać, towarzyszu Batmanow? - zapytał. - Jestem Sanin, z zatoki Umy. Przybył do nas wasz człowiek i kazał mi przyjść.

- Co u was słychać? W porządku wszystko?

- Teraz mniej więcej w porządku...

- Opowiedzcie mi, w jakich okolicznościach spotkaliście się z Pankowem. Przecież to wy jesteście tym człowiekiem, na którego on natknął się w drodze do cieśniny.

- Tak. Na bazie było źle, zabrakło żywności. Pomocy z odcinka w żaden sposób nie mogliśmy się doprosić. Postanowiłem dostać się do najbliższego odcinka na Adunie. I właśnie gdy doszedłem do rzeki, spotkałem Pankowa. Dał mi konia, żywności i kazał wracać do bazy. Obiecał zrobić wszystko, co będzie można, i przyjechać razem z Mierzlakowem natychmiast, jak tylko dotrze do cieśniny. Po czterech dniach posłałem na odcinek człowieka do towarzysza Pankowa i dowiedziałem się...

- A cóż mogło się z nim stać, jak myślicie? - zapytał Batmanow niecierpliwie.

- Nie wiadomo. Poszedł sam jeden... Chyba zabłądził... Do nas jest więcej niż dwadzieścia kilometrów...

- Osobiście szukaliście go?

- Tak. Postawiłem na nogi wszystkich swoich ludzi... Tylko jeden raz go widziałem, ale od pierwszej chwili pojąłem, że to dobry i sprawiedliwy człowiek...

Batmanow z twarzą nieruchomą, jakby skamieniałą, patrzył gdzieś w przestrzeń ponad głowę swego rozmówcy. Sanin nie przerywał jego myśli, czekał.

- Tak, to był bardzo dobry, mocny i godny zaufania człowiek - z westchnieniem powiedział w końcu Wasilij Maksimowicz. - Nie wiem, co o tym myśleć. Czyż to możliwe, żeby ten doświadczony mieszkaniec tajgi i partyzant zabłądził w tajdze? Będziemy nadal prowadzili poszukiwania, a wy, towarzyszu Sanin, pomożecie mi w tym...

Rogow sprzeczał się z Tanią Wasilczenko, siedząc pod wielkim dachem, pod który ściągano z całego brzegu zwoje przewodów, izolatory i aparaturę łączności. Kondrin usadowiwszy się na skrzynce zapisywał coś w księdze.

- Batmanow polecił mi przygotować się do przeprowadzenia łączności z wyspą - mówiła Tania. - Najważniejsza rzecz - to podwodny kabel. Fiedosow oświadczył mi stanowczo, że kabel został tu zrzucony. Trzeba go znaleźć.

- Niech Fiedosow sam szuka - burczał Rogow. - Tak daleko ten kabel zrzucili, że na pewno wpadł do morza.

- To nie żarty, sprawa jest poważna.

- Wciąż się kłócicie? - podchodząc ku nim zapytał Batmanow.

- Żąda ode mnie kabla - uśmiechnął się Rogow. - A ja go nie mam.

- Musi być. Wysłano go tu jeszcze w okresie żeglugi - potwierdził Batmanow i spojrzał na Kondrina, pracowicie wpisującego jakieś cyfry. - Towarzyszu buchalterze, będziecie musieli teraz dobrze popracować. Trzeba wszystko znaleźć, wszystko do ostatniej śrubki... Osobiście będę sprawdzać wszystkie wasze zestawienia rachunkowe. Na pewno znajdzie się wasz kabel, Tatjano Pietrowno.

- Oczywiście, znajdziemy. Wszystko zainwentaryzujemy - powiedział Kondrin patrząc Batmanowowi prosto w oczy.

- Doskonale.

- Mierzlakow żąda, aby mu zapłacić za krowę, świnię i drób, które zostały zarekwirowane z waszego polecenia - powiedział Rogow. - Złożył mi pismo - podanie z rachunkiem po cenach rynkowych. Poważna suma! Jak mam to załatwić?

- Jeśliś bogaty, to płać! - tym samym tonem odparł Batmanow. - Ja nie mam pieniędzy, mogę tylko dać po karku! Za nim kryminał tęskni, a on marzy o pieniądzach!...

Kondrin uśmiechnął się.

- A cóż na to buchalteria? - zwrócił się do niego Batmanow. - Słusznie rozumuję czy nie?

- Najzupełniej - potwierdził Kondrin skwapliwie. - Mierzlakow to kułak, dusigrosz, zdobył swój inwentarz w sposób nieuczciwy, kosztem państwa, jestem przekonany...

- Masz! Nawet buchalteria twierdzi, że nic mu się, poza kopniakiem, nie należy - zaśmiał się Batmanow.

Zapominając od razu o Mierzlakowie, Batmanow kazał Rogowowi zabrać wszystkich cieśli i rozwieźć drzewo na miejsca budowy posterunków ruchu na lodowej drodze. Zgodnie z jego planem co kilometr powinien stanąć domek, a w nim telefon, piec, stół i ławki.

- Te posterunki będą kierowały całym ruchem na drodze - rozwijał swoją myśl Wasilij Maksimowicz.

Tania poprosiła go o pozwolenie udania się na spotkanie telefonistów, z którymi następnego dnia wróciłaby razem na odcinek.

- Miałem, co prawda, inny zamiar: chciałem was także wciągnąć do roboty na drodze - odpowiedział Batmanow. - Potrzebny mi jest arbiter do ustalenia wyników współzawodnictwa między Umarą Mahometem a Karpowem. Ale jakoś sobie poradzę, nie będę was odrywać od waszych bezpośrednich obowiązków. Idźcie do swoich chłopców i przyprowadźcie ich tu jak najszybciej. Będziemy was witać jak najmilszych gości... Rogow, gdzież są inżynierowie?

- U siebie, wciąż kreślą. - Rogow powiedział to z pewną pobłażliwością.

- No, no, po cóż ten protekcjonalny ton! Inżynierowie to nasz sztab generalny... Powtórz Beridzemu i Kowszowowi, aby napisali rozkaz o premiowaniu pracowników łączności. Wspólnie z Libermanem pomyśl o przygotowaniu przyjęcia dla chłopców; zasłużyli sobie na to małe święto.

- Nic nie powiem chłopcom; niech to powitanie będzie dla nich miłą niespodzianką! - zawołała Tania z radością. Nagle przypomniała sobie Gienkę Pankowa i dodała z czułością i niepokojem: - Co robić z tym malcem? Co mu powiedzieć? On tak niecierpliwie czeka na spotkanie z ojcem!

- Nic mu nie mówcie. Zrobię to sam - odpowiedział jej zdecydowanie Batmanow, równie głęboko wzruszony. - Przyznam się, Taniu, że ból ściska i moje serce, gdy myślę o chłopcu. Zdaje się, że nie ma matki?

- Nie ma. W Nowińsku mieszkał u ciotki.

Batmanow przez chwilę patrzył na Tanię biegnącą lekko i cicho w swoich małych filcowych butkach. Czerwony szalik trzepotał w powietrzu nad ramionami dziewczyny...

Dostrzegł ponurą minę stojącego w pobliżu Rogowa.

- Czego się boczycie, Aleksandrze Iwanowiczu?

- Czy mój dawny odcinek nie otrzyma podziękowania? - zapytał Rogow. - Nie myślę o sobie, Wasiliju Maksimowiczu. Przecież moi ludzie w Tywlinie pracowali nie gorzej od telefonistów.

- Niepotrzebnie przypominasz, o dobrym nie zapomina się nigdy. Twój dawny odcinek otrzyma najwyższe wyróżnienie: przechodni Czerwony Sztandar zarządu. Zadowolony jesteś?

- Teraz tak - odparł uradowany Rogow.

- Musisz więc pomyśleć o tym, jak odebrać ten sztandar twemu poprzedniemu odcinkowi na rzecz obecnego!...

Kondrin zwinął zestawienia i przywołał przechodzącego obok rachmistrza. Obaj przeszli do sąsiedniego składu.

- Nie spuszczaj z oka tego człowieka - powiedział Batmanow wskazując na Kondrina. - Pewnym ludziom tutaj wydał się podejrzany. Pod pretekstem przejmowania całości gospodarki trzeba będzie dokładnie zbadać sprawy buchalterii.

- Dobrze. Co prawda, jest tu od niedawna...

- Przyglądaj mu się specjalnie, nie dowierzaj mu zanadto. Dopiero gdy się upewnisz, że podejrzenia były niesłuszne, będziesz mógł mu naprawdę zaufać.

Batmanow spojrzał na zegarek. Zbliżała się godzina wyznaczona wczoraj na zbiórkę szoferów. Pożegnał więc Rogowa i ruszył w kierunku placu przed elektrownią, na którym powinny zbierać się samochody. Na drodze za zakrętem natknął się na troje sań wiozących obiad dla brygad Umary i Karpowa. Przed saniami szedł Liberman.

- Stój! Stać tam, mamuniu najmilsza! Nie widzicie, że kierownik budowy zainteresował się nami! - wrzasnął na swoich pomocników powożących końmi.

Zaopatrzeniowiec zaproponował Batmanowowi, aby „pobrał próbę" pożywienia. Batmanow był przemarznięty i wygłodzony, więc nawet sam nie wiedział, kiedy zjadł miskę rybnej zupy, miskę kaszy i wypił kubek osłodzonej herbaty.

- Spryciarz z ciebie. Skusiłeś mnie na obiad - powiedział zauważywszy dyskretny uśmiech Libermana. Wyobraził sobie, jak zaopatrzeniowiec wieczorem będzie opowiadać o tym Filimonowowi i Rogowowi...- To pięknie, Liberman, że stałeś się lepszy. Kiedy przyjechałem, nie chciałeś mnie wcale karmić, pamiętasz? Jak to, już zapomniałeś? No, już dobrze, ja także zapomnę!... Obiad dobry. Dziękuję w imieniu własnym i ludzi; będą także zadowoleni.

- Tak jest, kierowniku - huknął Liberman prężąc się jak struna.

- Stale stroisz sobie żarty - upomniał go Batmanow. - Po co? Nie jesteś ani klownem, ani konferansjerem, żeby ciągle kpinkować i robić ze siebie błazna. - Wyjął z kieszeni papierosy i poczęstował Libermana. - A jak tam rodzina? Czy udało się im wyjechać z Leningradu?

- Wyjechali, ale nie wiem dokąd. Już od trzech tygodni nie mam wiadomości od żony. - Na twarzy Libermana odmalował się cień niepokoju.

- Załkind wysłał dwie depesze w sprawie skierowania rodziny tutaj. Bądź cierpliwy - żona i córka przyjadą!

Sanie zaczęły spuszczać się po zboczu na lód zatoki. Kopyta koni ślizgały się i rozbiegały. Z dala od brzegu widać było na lodzie robotników Umary - jak ciemne literki na szarej karcie papieru. Brzeg wyspy zasnuwał się gęstą zasłoną mgły.

- Ostrożniej, ostrożniej, mamuniu najmilsza! - krzyczał Liberman.

Batmanow obserwował go uśmiechając się z zadowolenia: oto ten, „trudny wujek" stał się teraz mniej więcej godnym zaufania jego pomocnikiem. W czasie całej podróży wzdłuż trasy Batmanow miał Libermana stale na oku. Kierownik zaopatrzenia wyraźnie się zmienił. Był jak dawniej ruchliwy, sprytny i przebiegły, ale teraz sprawy budowy były mu bliższe i, co najważniejsze, zrozumiał wreszcie, że istotny sens jego pracy wyrażał się w trosce o ludzi.

- Liberman! - zawołał nagle Batmanow. Zaopatrzeniowiec odwrócił się i podniósł duży nausznik włochatej czapki. - Mianuję cię arbitrem w sprawie współzawodnictwa między brygadami Karpowa i Umary. Weź pod uwagę, że Karpow zaczynał pracę w gorszych warunkach. Gdy wrócę, naradzimy się, jak odznaczyć zwycięzców.

- Zrozumiano! - dobiegło z dołu.

Samochody jechały jeden za drugim i ustawiały się rzędem. Turkot przybyłych na miejsce maszyn zlewał się z wyciem i rykiem tych, które podjeżdżały na plac. Filimonow sprawdzał zaraz ich stan i odnotowywał w notesie.

- Coś zapisuje. Milczy jak kamień. Ani słowa nie powie - mówili szoferzy.

Na wyznaczoną godzinę nie stawiły się dwa samochody; widocznie ugrzęzły gdzieś w tajdze. Filimonow miał nadzieję, że może jeszcze nadjadą przed przyjściem Batmanowa.

Ale kierownik budowy przyszedł punktualnie. Nie spodziewał się, że zobaczy tyle samochodów, i był przyjemnie zdziwiony. Od szeregu huczących motorów powiało na niego jakby ciepłem. Słuchając wyjaśnień Filimonowa przeszedł przed frontem kolumny. Podeszli do samochodu Smorczkowa. Szofer stojący przy chłodnicy patrzył na Batmanowa rozjaśnionymi oczyma.

- Proszę o odznaczenie towarzysza Smorczkowa za wyjątkową pracę - powiedział Filimonow. - Sam przyprowadził cztery samochody. Jego własny, mimo iż ma za sobą drogę z Nowińska, jest we wzorowym porządku.

Batmanow mocno uścisnął rękę Smorczkowa. „Jego i Silina trzeba wymienić w specjalnym rozkazie. Niech się wszyscy dowiedzą, jakie to zuchy!" - pomyślał Batmanow.

Filimonow ruchem ręki przywołał szoferów, którzy ciasnym kołem otoczyli Batmanowa.

- Towarzysze, przyjmuję was wszystkich znowu do pracy i wpisuję na listę wyżywienia - ni to żartem, ni to poważnie zaczął kierownik budowy.

Ryk motorów nie pozwolił mu dokończyć: podjechały dwie maszyny, każda z nich holowała samochód. Batmanow spojrzał pytająco na Filimonowa; ten wzruszył ramionami:

- To nie nasi.

Z szoferek wyskoczyło trzech ludzi, wśród nich dziewczyna. Na platformie jednego z samochodów ukazało się jeszcze pięciu innych chłopców.

- No, jakże nie nasi! Właśnie że nasi! - Batmanow poznał przybyłych. - To przecież ludzie z piątego odcinka, komsomolcy Machow, Sołncew i Musia Kuczina. I bracia Piestowowie, cieśle... I drwale Szubin i Fantow. I kucharz Nogtiew. Wspaniale! - Szybko podszedł ku nim i uścisnął każdemu rękę. - Witajcie! Ależ prędko przyjechaliście, nie spodziewałem się!

- Przecież nie pieszo - powiedział Sołncew głaszcząc dłonią chłodnicę. - Przyciągnęliśmy z tajgi parkę bezpańskich samochodów. Powiedziano nam na trasie, że je zbieracie.

- A cóż ty się tak rozglądasz, Machow? - zapytał Batmanow.

- Oto ten kraniec świata! - wykrzyknął Machow. - Pięknie! Nigdy jeszcze tak daleko nie jeździłem!... Jestem ciekawy, czy zostały tu jakieś ślady pobytu admirała Newelskiego.

- Też palnął! - wykrzyknął Sołncew. - Daj spokój historii, pomyśl raczej o dzisiejszym dniu!

- Co słychać, gosposiu? - powitał Batmanow serdecznym uśmiechem Musię, która robiła wrażenie zmęczonej i jakby nieco zdenerwowanej. - Nie żal ci, żeś zajechała tu za dziewiątą górę?...

- Nie, nie żałuję - otrząsnęła się. - Zamyśliłam się tylko...

- Towarzyszu kierowniku, jesteśmy gotowi natychmiast przystąpić do pracy - powiedział Machow.

- No, rzeczywiście, potrzebni mi jesteście, tacy umęczeni - odezwał się Batmanow patrząc ze wzruszeniem na komsomolca. - Poznajcie się ze swoimi towarzyszami i idźcie odpocząć. Filimonow! Dopilnujcie, aby im wydano wszystko, co trzeba! - Zwrócił się ku gromadzie czekających w milczeniu szoferów. - Przyjaciele, przedstawiam wam szoferów - stachanowców: Machowa i Sołncewa,

dyspozytorkę Kuczinę i pozostałych towarzyszy. Przybyli tu, aby wam pomagać. Przyjmijcie ich proszę do swojej rodziny.

Gromada krzepkich ludzi, od których niósł się zapach benzyny i owczych kożuchów, ruszyła ku przyjezdnym i otoczyła ich przyjaznym kołem.

Wiele jeszcze chcieliby zrobić tego dnia pracownicy odcinka, ale dzień, jak zwykle zimą, był krótki. Błękit nieba już poszarzał zwiastując wczesną i ciemną noc. Batmanow zganiwszy Filimonowa, że nie dopilnował, aby plac był lepiej oświetlony, ruszył do inżynierów. „Jakoś zbyt dobrze wszystko się dzisiaj składa, ledwie mogę nadążyć z podziękowaniami!” - rozmyślał.

Smorczkow i Silin szli za nim. Szofera wziął ze sobą, a traktorzysta przyłączył się po drodze. Silin zwierzał się Smorczkowowi, że do walcowania drogi ma zamiar użyć beczek po benzynie. Puste będą znacznie lżejsze od lanych walców, ale doskonale je zastąpią. Tylko nie będzie można użyć do nich zaprzęgu konnego, muszą być holowane przez samochód.

- A masz już przygotowany choćby jeden taki walec? - zapytał Smorczkow.

- Jeden jest już gotów. Poszło to zupełnie łatwo. Jak wiesz, w dnach cysterny są małe otwory do nalewania i zlewania benzyny; przez nie właśnie przeciągam grubą linę drucianą, która służy jako oś. Ale cóż z tego! I tak na lód nie pozwolą mi ich wtoczyć!

- Podobno kierownik ma zamiar puścić mnie na lód - na próbę - szepnął poufnie Smorczkow. - Więc przyczepię twoją cysternę... Biegnij, bracie, przygotuj się po cichutku!

Inżynierowie, jak to powiedział Rogow, siedzieli i kreślili. W ich pokoju było ciepło i cicho. Batmanow z przyjemnością zrzucił kożuch. Zaproponował Smorczkowowi, aby zrobił to samo. Przez chwilę Batmanow odpoczywał. Pokpiwał sobie żartobliwie z Topolewa i Aleksieja dziwiąc się ich pracowitości: stary i młody inżynier zdołali wspólnie upstrzyć liniami rysunków kilka arkuszy papieru. Przeglądając schematy robót na lodzie Batmanow drapał się w głowę - każdy krok budowniczych powinien być tutaj atakiem. Aleksiej skończył przepisywanie na czysto rozkazu dotyczącego brygad łączności. Batmanow drobnym, wyraźnym pismem zastąpił trzy napuszone zwroty bardziej prostymi i Aleksiej znów zaczął przepisywać rozkaz na dobrym papierze, równymi, drukowanymi literami.

- Chcę dziś jeszcze puścić samochody na lód - oświadczył Batmanow bez żadnego wstępu. - Najpierw przejadę się ze Smorczkowem pustą ciężarówką, a potem spróbujemy z obciążeniem. Rogow przygotowuje budulec na posterunki dla dyżurnych ruchu; byłoby dobrze, gdybyśmy mogli natychmiast rozwieźć po lodzie kloce i deski. Co o tym myślicie, towarzysze inżynierowie?

Aleksiej był temu przeciwny.

- Kotlariewski robi pomiary co godzina. Grubość lodu stopniowo wzrasta, ale trzeba przeczekać, ryzyko jest zbyt wielkie.

- Jak długo czekać? Dzień? Dwa?

- Oczywiście, że dłużej. Powiedzmy - tydzień.

- Ho, ho! Może dwa tygodnie? Miesiąc? Tyle macie czasu?! A co powie naczelny inżynier? Czy także jest taki ostrożny?

- Możecie spróbować, tylko bez hazardu - zgodził się Beridze.

- Radziłbym do ramy każdego samochodu przymocować poprzeczne długie belki - odpowiedział Topolew na pytające spojrzenie Batmanowa. - W razie nieszczęścia maszyna zawiśnie na belkach, które się oprą na lodzie.

Batmanow z wdzięcznością spojrzał na starca i zaczął wciągać kożuch.

- Przyjmujemy radę Kuźmy Kuźmicza, Smorczkow, słyszysz? Biegnij, przygotuj samochód i wyprowadź go na sam brzeg.

Zawiązując pod brodą tasiemki od czapki Batmanow rzekł do Aleksieja, aby mu dokuczyć:

- Tak, tak, ostrożny młody człowieku...

- W każdym razie sprawdzanie wytrzymałości lodu nie do was należy - gniewnie odparł Aleksiej chwytając za kożuszek i czapkę. - Kierownik budowy jest dobry, kiedy znajduje się na powierzchni lodu, a nie pod nim!

Nad cieśniną Smorczkow i Silin pod nadzorem Filimonowa przymocowywali do samochodu dwie poprzeczne belki i przyczepkę na drucianej linie w postaci poziomo leżącej niedużej żelaznej cysterny. Pomagali im szoferzy z samochodów ustawionych rzędem na brzegu.

- Po co tu stoicie? - zapytał ich surowo Batmanow. - Nie wzywałem nikogo, jest mi potrzebny tylko Smorczkow.

- Nie obawiajcie się, towarzyszu Batmanow, nie zrobimy żadnego głupstwa - powiedział Machow. - Ruszymy na lód dopiero wtedy, gdy dacie rozkaz.

- I ty tu jesteś? I Sołncew także? Przecież kazałem wam odpocząć!

- Nie wypada opuszczać towarzyszy. I ciekawi jesteśmy! – Machow powiedział to tak szczerze, że Batmanow dał mu spokój.

- A to co za bęben? Smorczkow, po co przyczepiłeś tę cysternę? - Zdumiony spojrzał na wynalazek Silina. - To przecież dodatkowy ciężar.

- Nie szkodzi. Może iść - uspokoił go Kowszow, który zdążył już obejrzeć cysternę. - To dobry pomysł. Lekki i prosty walec. Jeśli już postanowiliśmy ryzykować, możemy ciągnąć i ten bęben.

- A nie zapomnieliście załadować żywności? - zapytał Batmanow. - Jedna brygada zostanie na wyspie, trzeba ją zaopatrzyć we wszystko, co jest niezbędne.

- Żywność jest na samochodzie - odpowiedział Smorczkow.

Zapuścił motor, wskoczył do kabiny, ale drzwiczki zostawił otwarte Ledwie Batmanow zrobił krok w stronę ciężarówki, Aleksiej zatrzasnął drzwiczki i zastąpił mu drogę.

- Nie trzeba, Wasiliju Maksimowiczu. Pojedziemy sami.

- Smorczkow, jazda! - rzucił rozkaz Filimonow.

Aleksiej i Silin wskoczyli na stopnie z prawej i lewej strony samochodu. Wóz wolno zsunął się na lód. Za nim, obracając się na długiej linie, toczyła się beczka, ugniatająca ze zgrzytem i chrzęstem śnieg. Batmanow patrzył przez chwilę, potem biegiem ruszył za nimi. Rogow pobiegł również. Odruchowo ruszyła także gromadka szoferów.

- Pozwólcie i mnie! - krzyknęli równocześnie Machow i Sołncew.

Filimonow rozłożył ręce:

- Stać na miejscu! Machow, przygotuj się!

- Rozkaz! - krzyknął zachwycony szofer.

Maszyna Smorczkowa sunęła po lodzie. Tocząca się beczka dudniła głośno jak dzwon. Tuż za nią szli, starając się nie pozostawać w tyle, Batmanow i Rogow. Nagle kierownik przystanął i zaczął nasłuchiwać: zaniepokoił go podejrzanie silny trzask.

- Wróć! - zawołał i zaczął biec w kierunku samochodu. - Aleksiej, natychmiast wróć!

- Nie ma obawy, Wasiliju Maksimowiczu - uspokoił go Rogow. - To tak trzeszczy w głębi, bo coraz mocniej ściska lód.

Batmanow wsłuchiwał się w te odgłosy jeszcze przez chwilę, potem odwrócił się w stronę brzegu i ręką dał znak Filimonowowi. Drugi samochód wtoczył się na lód. Batmanow poczekał na niego i siadł do szoferki obok Machowa.

- Czy wiesz, po czym jedziemy? - zapytał wesoło, zdejmując czapkę i ocierając spocone czoło. - Po Cieśninie Dżagdyńskiej. Tędy płynął kiedyś twój Newelski.

W tyle zjeżdżały na lód jeden po drugim samochody, załadowane do połowy budulcem. Sunęły w równych odstępach po dopiero co utorowanej drodze. Huczały rytmicznie motory, skrzypiał pod kołami rozgniatany lód. W kabinach głośno rozprawiali podnieceni szoferzy. Kolumna wciąż przyśpieszając bieg posuwała się w stronę wyspy.

Nad cieśniną zapadał zmierzch, w którym nie można już było odróżnić jej lodowej przestrzeni. Z daleka, najpierw cichy zupełnie, to znów wzmocniony na sile, dobiegał hałaśliwy gwar wielu głosów. To brygady Umary Mahometa i Karpowa ukończywszy budowę drogi spotkały się na lodzie w odległości kilometra od brzegu. Robotnicy z radością podbiegali ku sobie. Niektórzy odrzuciwszy oskardy i łomy ściskali się serdecznie, a Karpow i Umara wycałowali się wzajemnie.

- Mamuniu najmilsza, jakie to wzruszające! Pocałunek na mrozie! - pokpiwał Liberman, ale był wzruszony nie mniej od innych. Uwaga! Wysłuchajcie orzeczenia arbitra: pierwszeństwo we współzawodnictwie zdobyła kolumna towarzysza Karpowa!

Po stronie Karpowa rozległy się burzliwe oklaski, po stronie Umary - gwizdy i protesty.

- Dlaczego Karpow pierwszy? - z oburzeniem pytał Umara. - My zrobili więcej, mnie nie oszukasz! Na naszym odcinku było więcej zwałów, a Karpow przeszedł dwa kilometry zupełnie bez zasp. Niesprawiedliwe orzeczenie! Trzeba rozpatrzyć na nowo!

- Posłuchajcie mnie, towarzyszu Umara! - starał się przekrzyczeć go Liberman. Musicie przecież rozumieć...

- Niesprawiedliwe orzeczenie! Poskarżymy się Batmanowowi!

Ktoś znowu gwizdnął. Umara rozłożył ręce i obejrzał się na swoich ludzi, jakby szukając w nich poparcia. Karpow, jak gdyby spór jego nie dotyczył, kpił wodząc po wszystkich wesołym spojrzeniem.

- Patrz, ciężarówki! - nagle drgnął i krzyknął.

Z wieczornej mgły wynurzył się na drodze samochód, jeden, drugi, trzeci. Ludzie podnieśli w górę ręce - grzmot oklasków rozległ się nad cieśniną. Przez cały czas, gdy samochody podjeżdżały, a ludziom zdawało się w tej chwili, że sunąć tak będą bez końca, trwały nieprzerwanie oklaski; kiedy z

drugiej szoferki wyskoczył Batmanow, entuzjazm przybrał na sile. Kierownik szedł i także bił brawo - Umarze, Karpowowi i wszystkim, którzy budowali tę drogę.

- Towarzysze! - powiedział doczekawszy się ciszy. - No, cóż? Gratuluję! Mamy drogę! Jutro od rana zaczniemy zwozić na wyspę rury i maszyny. A teraz Smorczkow i Machow pojadą do końca i przewiozą na wyspę dwie brygady oraz żywność. Pozostali będą wyładowywać drzewo, bo to sprawa pilna! Potem - odpoczynek. Zgoda? - zapytał Umarę.

- Nie zgadzam się! Ja i moi ludzie jesteśmy pokrzywdzeni.

- Pokrzywdzeni? Przez kogo?

- On skrzywdził - spawacz wskazał na Libermana.

- Przyznaliście pierwszeństwo Karpowowi? - domyślił się Batmanow.

- Niesprawiedliwie przyznał - zaszemrali ludzie wokoło.

- Nie denerwujcie się, towarzysze, chwileczkę. - Batmanow zamyślił się. - Rozumiem Libermana. Uważał, że brygadom Karpowa było z początku trudniej. Ale ja myślę, że arbiter nie obrazi się, jeśli zespołowo rozpatrzymy orzeczenie. Moim zdaniem, żadnej z kolumn nie można nazwać drugą. Obie są pierwsze! To znaczy, że obie zajęły jakby i pierwsze, i drugie miejsce. Słusznie czy nie?

- Pewnie, że słusznie! - potwierdził Karpow.

- Słusznie, towarzyszu arbitrze? - Batmanow zwrócił się do Libermana.

- Salomonowy wyrok - odparł Liberman. - To mi nie przyszło do głowy.

- Ale Umara jeszcze nie był zadowolony, patrzył nieufnie i z niepokojem.

- Gniewasz się? Niezadowolony jesteś? - zapytał go Batmanow. - Przecież obaj zajęliście pierwsze miejsce, obaj pracowaliście świetnie!

Umara wreszcie uśmiechnął się.

- Oj, sprytny z ciebie człowiek, kierowniku. No, już dobrze. Dawaj nagrodę. - I zaraz zapytał rzeczowo:
- A co dasz?

- Po dwie skrzynki machorki na kolumnę, każdemu dodatkowe danie na obiad i po dobrym kieliszku! - odpowiedział natychmiast Batmanow i spojrzał na Libermana, czy nie przeholował. Kierownik zaopatrzenia kiwnął głową na znak zgody.

Noc zapadała szybko. Wyładowywanie budulca odbywało się już o zmierzchu.

- Szybciej, towarzysze, szybciej! - zachęcał Batmanow.

Wciąż oglądał się na wyspę, niepokoił się o Smorczkowa i Machowa. Za chwilę doleciał stamtąd huk zbliżających się motorów. Wracali.

Do Batmanowa podszedł Karpow.

- Nie chciałem was denerwować, ale muszę - powiedział niezdecydowanie. - Świetnie nam dzisiaj wszystko poszło. Ale nie podoba mi się pogoda; żeby tylko w nocy nie było burzy! Strzyka mi w moich kościach. Popatrz, niebo zaciągnęło się chmurami, zrywa się wiatr.

Batmanow obejrzał się. W pewnych odstępach czasu zrywał się ostry wiatr. Te raptowne porywy wiatru nie wróżyły nic dobrego. Ale tylu było dookoła ludzi, na których mógł polegać, i taka była dobra droga pod nogami, że niepokój Karpowa wydawał się przesadzony.

- Przesadzasz, Iwanie Łukiczu - powiedział Batmanow.

- Lepiej być ostrożnym - nie ustępował Karpow. Niech nikt nie zostaje tu na noc. Ja bym nawet z wyspy zabrał ludzi. I drzewo bym przewiózł z powrotem na brzeg.

- Ostrożność na wszelki wypadek nie zawadzi. Nie pozostawimy na lodzie ani ludzi, ani samochodów. Naszej brygadzie na wyspie nic się nie stanie - wysłałem im tam żywność na miesiąc. Drzewa nie będziemy przewozili z powrotem - nastrój ludzi jest mi droższy od drzewa. No, chodźmy, stary, odpocząć! Jutro czekają nas znacznie poważniejsze sprawy.

Był już późny wieczór, gdy Batmanow, Rogow, Aleksiej, Liberman i Karpow wrócili na odcinek. Nieliczne światła latarń tonęły w mroku, wiszącym nad placem. Obok domu, który dawniej zajmował Mierzlakow, w przyćmionym świetle, płynącym z okien, Batmanow dostrzegł Tanię Wasilczenko i jej pomocnika Smirnowa.

- Popatrzcie - odwrócił się do towarzyszy - nasz Czerwony Kapturek już jest tutaj!

- Towarzyszu kierowniku - rozległ się dźwięczny głos Tani. - Kierownik kolumny Wasilczenko melduje: wasze polecenie w sprawie przeprowadzenia tymczasowej linii telefonicznej z Nowińska do Cieśniny Dżagdyńskiej zostało wykonane! Wszyscy ludzie, których mi powierzono, są zdrowi i w tej chwili odpoczywają.

- Zuchy! To dopiero podarunek! - uradowany Batmanow przyciągnął do siebie Tanię i pocałował ją w oba policzki. - Rogow, Liberman! Przygotujcie przyjęcie dla telefonistów! Zaproście także szoferów i robotników, którzy torowali drogę! - I zwróciwszy się znów do Tani zapytał: - Czy zdążyliście zainstalować aparat?

- Aparat zainstalowany, łączność nawiązana - zameldowała dobitnie Tania, wyprężona jak struna; zdawało się, że gdyby jej kto dotknął - zadźwięczy.

- Cudownie! - wykrzyknął Batmanow.

Wpadł do domu, w biegu zrzucił kożuszek i czapkę i przypadł do stołu. Przy selektorze siedział Beridze, rozmawiał z Załkindem.

- No, nagadałeś się, pozwól teraz innym porozmawiać - powiedział Batmanow z żartobliwą surowością i odsunął naczelnego inżyniera.

Usiadł wygodnie na taborecie, włożył na uszy słuchawki i z uśmiechem pełnym zadowolenia przysunął do siebie mikrofon.

- Halo! Na linii! Słuchajcie! - wołał lekko zachrypniętym głosem, mrużąc oko do Aleksieja. - Tu Batmanow, jestem nad cieśniną. Wszyscy kierownicy i partorgowie odcinków mają wysłuchać mojej rozmowy z towarzyszem Załkindem! - Zaczerpnął powietrza: - Witajcie, Michale Borisowiczu! Chciałbym złożyć sprawozdanie z dzisiejszego dnia, pochwalić się pierwszymi małymi osiągnięciami!...

- Świetnie - odpowiedział Załkind. - Właśnie na linii jest w tej chwili i Tiomkin, i Mielników, i Chłynow. Rozmawialiśmy o was, gdy włączył się Beridze. Słuchamy ciebie, Wasiliju Maksimowiczu.

Po całodziennej pracy wszyscy, zarówno telefoniści jak szoferzy i budowniczowie drogi, byli bardzo zmęczeni. Ale podtrzymywał ludzi jakiś nadzwyczajny, podniosły nastrój i nikt nie myślał o odpoczynku; wszyscy chcieli wziąć udział w wieczornym przyjęciu.

Kolację trzeba było urządzić w dwóch barakach. Wszystko przygotowano jak najprościej, tak jak na to pozwalały warunki. Każdy ze swoją porcją wódki i zakąską przysiadał, gdzie się dało, nikt nie pragnął czegoś lepszego. Tylko zebrani w drugim baraku byli niezadowoleni: woleliby znaleźć się w pierwszym baraku, w którym skupili się bohaterowie dnia - telefoniści, a przewodniczył im sam kierownik budowy.

Barak był pełen ludzi. Batmanow z blaszanym kubkiem w ręku stał przy stole i patrzył w rozpalone od mrozu twarze, zwrócone ze wszystkich stron ku niemu.

- Długo bawić się nie będziemy, nie pora na to - powiedział. - O świcie czeka nas nowy ciężki wysiłek. Należy zrezygnować z długich przemówień. Sam obiecuję ograniczyć się do kilku słów. - Podniósł twarz ku światłu. - Na czym polega najważniejsze nasze osiągnięcie? Nie na tym, że w ciągu jednego dnia zdołaliśmy zrobić drogę na wyspę, że doprowadziliśmy do porządku samochody i przeciągnęliśmy limę telefoniczną do cieśniny. Najważniejsza jest zdobyta dziś przez nas pewność, że wtedy gdy mamy przed sobą wyraźny cel, gdy jesteśmy dobrze zorganizowani i jednomyślni - nie ma takiego zadania, którego nie bylibyśmy w stanie wypełnić. Czyż nie są słuszne słowa, że „siła człowieka jest nieograniczona - jeśli tą siłą jest kolektyw!" A więc wypijmy za nasz dobry, silny kolektyw!

Podniósł kubek. Razem z nim wypili wszyscy. Następnie Topolew, wyraźnie wzruszony, odczytał spokojnym, niskim głosem rozkaz kierownika budowy o premiowaniu pracowników łączności. Po nim wystąpiła Tania Wasilczenko. Zdążyła już przebrać się; miała na sobie nowy, ciemnogranatowy sweterek i wyglądała pięknie. Aleksiej, patrząc na nią, żałował, że Beridze, zajęty obowiązkami przewodniczącego w drugim baraku, nie mógł jej w tej chwili widzieć.

- Z wszystkich nas telefonistów ja jestem najstarsza, mam dwadzieścia cztery lata. A najmłodszy z nas, Gienka Pankow, ma piętnaście - zaczęła Tania. - Towarzysze, przyznajemy się szczerze, że trudno nam było przedzierać się przez tajgę. Ale każdego z nas podnosiła na duchu myśl o losie ojczyzny, o losie naszej Moskwy. I każdy niósł w duszy obraz wielkiego Stalina, a z nim nic nie jest straszne! My, pracownicy łączności, wiemy, że stoją przed nami trudne zadania. Ale zapewniamy was, towarzyszu Batmanow, jako człowieka, którego przysłał tutaj towarzysz Stalin, że komsomolska kolumna łączności wykona wszystko, co rozkażecie!

Ledwie skończyła, poprosił o głos Umara. Potem przemawiali Karpow, Smorczkow, Ziatkow, Silin. Zebranie, wbrew zamiarom Batmanowa, przeciągnęło się. Robotnicy jakby wciąż jeszcze czekali na coś. Nawet sam Batmanow nie miał ochoty rozstawać się z nimi.

Ktoś na głos wyraził żal, że nie ma muzyki, i ta jakby na zamówienie znalazła się: Machow już wyjmował z futerału wspaniałą harmonię. Stojący przy nim odsunęli się robiąc mu miejsce. Machow, z uroczystą miną przyciskając policzek do harmonii, zagrał „Pieśń o Ojczyźnie". Tania pierwsza podchwyciła dźwięcznym głosem melodię, do niej przyłączył się pięknym, soczystym barytonem Karpow, za nimi zagrzmiał cały barak. Po prześpiewaniu pierwszej pieśni ktoś zaczął drugą, trzecią. Później, ścisnąwszy się jeszcze bardziej, zrobiono miejsce do tańca.

Z boku przy Koli Smirnowie siedział Gienka Pankow. Z ciekawością przyglądał się wszystkiemu, co działo się wokół niego; Tania powiedziała mu, że ojca nie ma obecnie na odcinku, że wyjechał na wyspę. Zmartwiony chłopczyna wnet rozpogodził się, porwany ogólnym nastrojem. Batmanow, który

obserwował go z daleka, zdecydował się wreszcie podejść do komsomolców i poczuł jak od razu serce jego ścisnął ból. Usiadł między Kolą a Gienką i bez słowa położył im ręce na ramionach. Natychmiast podeszła do nich także Tania. Gienka spojrzał na ich poważne twarze i zaniepokoił się.

- Gienadij, nie jesteś już małym chłopcem, masz hart dorosłego człowieka - przemówił Batmanow wśród gwaru, starając się opanować drżenie głosu. - Powinieneś dzielnie, jak przystało na komsomolca, przyjąć złą wiadomość... Nie wiemy jeszcze ostatecznie... ale jest możliwe... że twój ojciec... nie żyje...

Batmanow z trudem wytrzymał czujne, przenikliwe spojrzenie zwężonych nagle oczu Gienki; potem trysnęły z nich łzy i chłopak porwał się z miejsca, chcąc uciec. Batmanow zatrzymał go. Chłopiec skulił się i ukrył twarz na jego kolanach.

Tania nie mogąc ukryć wzruszenia szybko odeszła. Kola Smirnow trzymał za rękę swego młodziutkiego przyjaciela.

- Staraj się opanować - mówił dalej Batmanow tonem serdecznej perswazji. - Szkoda ojca! Nic cię nie może pocieszyć. Ale nie trać głowy. Będziesz się uczył, masz dobrych przyjaciół - Kolę, Tanię, całą rodzinę...

- Będziemy zawsze z tobą, Gienka - powiedział Kola. - Jesteś dla mnie jakby młodszym bratem...

- Sam zdecydujesz o swoim losie, nikt ci nie będzie niczego narzucać, ale - jeśli się zgodzisz - będę dla ciebie drugim ojcem - oświadczył Batmanow schyliwszy się nad chłopcem. - I ja... straciłem syna. No, głowa do góry, mój drogi, bądź dzielny.

Batmanow objął Gienkę, uniósł go i chłopiec ulegając wzruszeniu przytulił się nagle do Batmanowa i żałośnie zapłakał.

Nikt tej sceny nie zauważył; w baraku trwała nadal zabawa... Ktoś wypchnął na środek Musię Kuczinę. Ujęła się pod boki i z łobuzerską miną poszła w koło wodząc po obecnych czarnymi, figlarnymi oczami. Gdy z ukłonem przystanęła przed Rogowem, ten w tanecznym pląsie ruszył za nią.

- Machow, z ogniem! - krzyknął Sołncew i skoczył skądś z góry w krąg, sunąc pod coraz żywszy rytm muzyki tak drobnym kroczkiem, że wszyscy zaczęli się uśmiechać.

Śpiew, gwar i tupot nóg zagłuszyły burzę, która rozpętała się na dworze. Wiatr za ścianami wył coraz mocniej i zacieklej. Dopiero gdy barak nieoczekiwanie nagle zatrząsł się pod pierwszym uderzeniem nawałnicy, wszyscy z niepokojem zaczęli nasłuchiwać.

W ciszy wyraźnie rozlegało się wrycie buszującego wiatru. Nagle zagłuszył je potężny huk, podobny do uderzenia piorunu. W baraku zgasło światło. W zupełnej ciemności rozległ się czyjś bolesny okrzyk:

- Lód oderwał się od brzegu! Lód ruszył na cieśninie!

- Masz, już po drodze! - westchnął gorzko Karpow.

W baraku powstał popłoch, rozległy się krzyki. Wszyscy chcieli biec na dwór, ale okazało się, że drzwi są zamknięte od zewnątrz. Zaczęto je wyłamywać. W ciemności zamigotały w rękach szoferów jasne światła latarek.

- To jakaś podejrzana sprawa! - szepnął Batmanowowi do ucha Rogow. - Odsuńcie się trochę na bok.

Rogow rzucił się ku oknu, silnym uderzeniem wybił ramę i wyskoczył na ulicę. Batmanow tuląc do siebie Gienkę czuł, jak wszyscy skupiają się w milczeniu wokół niego. Rozpoznawał ich dotykiem: oto Smirnow, Aleksiej, Karpow, Smorczkow, Silin, Filimonow. Przeczekał sekundę i zawołał dźwięcznym głosem:

- Cóż to za popłoch, towarzysze? Nie przystoi nam poddawać się panice! Wzywam wszystkich do zachowania spokoju i cierpliwości. Boicie się zamieci? Zrobimy drogę na nowo! Obejdziemy obszar zalany wodą i wszystko powtórzymy od początku. Znowu w ciągu jednego dnia! Starczy nam sił na wszystko! Ogłaszam nocny alarm! Wszyscy komuniści, kierownicy, przodownicy - do mnie!

Te słowa, wypowiedziane z władczą siłą i pewnością, zatrzymały wszystkich na miejscu. Pasemka świateł rzucane z różnych stron baraku skrzyżowały się w jednym punkcie, wyłaniając z ciemności energiczną, zdecydowaną, spokojną twarz Batmanowa.

2. Niech się stanie światłość!

Życie nad cieśniną rozpoczynało się teraz na długo przed świtem, a kończyło się dopiero po północy. Setki elektrycznych słońc, oświetlających teren budowy, rozszerzały granice zimowego dnia.

Na odcinku wprowadzono surowy regulamin obozu wojskowego: wszyscy wstawali na sygnał syreny, czas na mycie się i śniadanie był ściśle określony, obiad i kolację spożywali wszyscy w jednej porze, a „odmarsz" na spoczynek nocny był również podawany sygnałem syreny. Ten wzorowy regulamin spotkał się z pełnym uznaniem, a Rogow, wielki zwolennik wojskowej dyscypliny, czynił wszystko, aby nikt nie mógł jej naruszać. Mawiał, że nowy regulamin nie dotyczy tylko jednej osoby, to jest tego, kto go wprowadził - Batmanowa.

Kierownik budowy - jak to nieraz bywa z tymi, którzy dniem i nocą muszą pamiętać o odpowiedzialności za losy wielu ludzi i wielkiej sprawy - sypiał mało. Budził się zawsze o tej samej porze - na długo przed sygnałem. Cicho, starając się nie obudzić śpiących obok niego przyjaciół, ubierał się prawie po omacku, mył się w lodowatej wodzie i wychodził na ulicę.

Zimowa czarna noc szczelnie otulała świat. Nigdzie ani światełka... Nieomylnie odgadując drogę do cieśniny Batmanow szedł bez pośpiechu, lecz pewnie. W ulubionym miejscu, na skalistym cyplu, przystawał...

Ciemności pełne były hałasów. Wody cieśniny, skute lodem, jęczały głucho. Wiatr pogwizdywał raz ciszej, to znów głośniej. Oto, stukając rytmicznie kopytami o lód, przemknął w oddali jeleń.

Batmanow słuchając rozmyślał. W tych wczesnych rannych godzinach, kiedy umysł jest jeszcze taki świeży, powstawały w jego głowie idee, które później w ciągu dnia przybierały postać zarządzeń i rad dla podwładnych. Oceniał jeszcze raz w sobie samym, czy słuszne było to, co wykonał poprzedniego dnia. Myśli w sprawach konkretnych przeplatały się z refleksjami oderwanymi, które przychodziły niekiedy nie wiadomo dlaczego.

Batmanow lubił myśleć o tym, że tu, na krańcach Dalekiego Wschodu, oni i wszyscy budowniczowie odcinka witają pierwsi w kraju nadchodzący dzień pracy, dzieląc ten zaszczyt chyba jedynie ze strażą graniczną. Budziło się w nim dziwne i cudowne poczucie siły, więc ledwie powstrzymując instynktowny śmiech szczęścia prężył pierś i ramiona. Ta siła jak ciepły wiatr szła ku niemu od całej ojczystej ziemi. Radziecki obywatel, Batmanow, nie był Iwanem, który nie pamiętał o swoich związkach krwi. Lubił wspominać, że tędy właśnie przechodzili niegdyś rosyjscy podróżnicy, że po tych

wodach żeglował Newelski. Myślał o nich ze czcią i mimowolnym smutkiem. Jakże byli samotni w walce z dziką przyrodą i licznymi wrogami! Z uczuciem czci łączyła się u niego świadomość przewagi nad dalekimi poprzednikami! Wasilij Maksimowicz uważał ją za zupełnie właściwą i uprawnioną, świadomość ta była wolna od jakiejkolwiek pychy i próżności i wyrażała dumę z nowego porządku życia, z narodu radzieckiego, z Nowej Rosji. Jakże wielką siłą osłaniała ona każdego ze swych synów! Robiło się przykro na wspomnienie, że Newelski przybił do tych brzegów ze swą historyczną misją, na własne ryzyko i odpowiedzialność, mając przy boku niewielką garstkę ludzi. O ileż był silniejszy on, Batmanow, wysłany tu na czele ogromnego zespołu ludzi, uzbrojonych w wiedzę i środki najnowocześniejszej techniki!

Obok admirała zjawiła się w wyobraźni Batmanowa Katarzyna Iwanowna Newelska, bohaterska kobieta rosyjska, która nie ulękła się trudów i rozczarowań i znalazła w sobie dość męstwa, aby wyrzec się wygód i powabów światowego życia dla wielkości i sławy ojczyzny. W rubieżańskim muzeum Batmanow widział jej portret... Wydała mu się podobna do jego żony, Anny...

Na jego depesze, wzywające ją do przyjazdu, Anna nadesłała wreszcie list i fotografię syna.

„To wszystko, co nam zostało po Kosti - pisała. - Wydarła go nam wojna. Osierocił i ciebie, i mnie, ale powinna krzepić nas myśl, że rozpacz milionów ojców i matek jest również nieutulona jak nasza... Nie wiem, czy twoje serdeczne słowa płyną z serca, ale widzę cię często we śnie i na jawie, jak patrzysz na mnie surowo i z wyrzutem. Tak, nie ustrzegłam syna, nie ustrzegłam! Wzywasz mnie do siebie... Ale czy mogę teraz przyjechać? Noszę mundur i podobnie jak wszyscy uważam się za żołnierza. Obowiązkiem moim jest pozostać tutaj. Syn nasz zginął i nie powinniśmy czynić doli naszej lżejszą. Chcę wierzyć, że kiedy się spotkamy znowu, będziemy oboje gotowi zacząć wspólne życie lepsze od tego, którym żyliśmy dotychczas. Lepsze, mądrzejsze i już bez rozłąki...”

Jakże boleśnie tęsknił w takich chwilach, jakże pragnął widzieć ją tu przy sobie! „Anno - wołał w myślach - tylko od ciebie zależy, by skończyła się rozłąka. Przerwij ją! Musimy być razem. Nasze życie będzie teraz inne, przysięgam ci!”

Batmanow wzdychał, jakby zrzucając z siebie brzemię ciężkich myśli, i spoglądał na zegarek: zielone, świecące strzałki wskazywały dwadzieścia po piątej. Czekał jeszcze chwilę w skupieniu, a następnie ogłaszał w myśli: - Niech się stanie światłość!

I oto w tym samym momencie odzywała się swoją donośną pieśnią syrena i zapalały się nagle oślepiające światła. Raz! - i jasność ogarniała osiedle. Dwa! - i potoki światła zalewały teren budowy. Trzy! - i blaski lamp biegły wzdłuż brzegu i po całej dwudziestokilometrowej drodze - aż do wyspy. Reflektory na wzgórzach i przybrzeżnych wzniesieniach oraz latarnie na słupach, ustawionych wszędzie na odcinku, rodziły w jednej chwili dzień; noc uchodziła precz, w głąb tajgi.

- Powiedziałem - i stało się jakby na skinienie bóstwa - zaśmiał się do siebie Batmanow. - Po cóż czekać, aż jasne słoneczko raczy się obudzić!

Batmanow zauważył, że nie tylko on jeden czuwał w ciemnościach. Pod byle jakim pretekstem zawsze w jego pobliżu krążył Karpow... I Rogow, choć nie łatwo go można było zauważyć, bo znikał jak zjawa. Za pierwszym razem Batmanow zakpił z Karpowa głośno, żeby Rogow mógł także usłyszeć:

- Dlaczego włóczysz się za mną? A to mi dopiero ochotnicza osłona!

- Dlaczego „osłona”? Cóż to, nie wolno pospacerować, gdy się ma czas odetchnąć czystym powietrzem - odpowiedział Karpow z niewinną miną.

Nazajutrz znów byli w pobliżu, postanowił więc nie zwracać na nich uwagi.

...Z pośpiechem wracał Batmanow do domu, w którym mieszkał z całą brygadą. Zabronił nazywać go domem Mierzlakowa.

- Mieszkanie zostało wydezynfekowane, czas zapomnieć o poprzednim gospodarzu. Batmanow lubił patrzeć, jak śpią jego współpracownicy. Aleksiej - z twarzą zawsze pogodną - spał na prawym boku cicho i spokojnie. Liberman - z obcym mu w ciągu dnia wyrazem troski i niepokoju na twarzy - chrapał i dziwnie pokrzykiwał przez sen. Tania Wasilczenko - wstępował i do jej pokoju - spała z rozwichrzonymi włosami i dłonią pod brodą, z miłym i wzruszającym pochyleniem głowy. Jak małe dziecko - z rozrzuconymi rękami, cmokając i wydymając policzki - spał Beridze.

Batmanow przez chwilę patrzał z upodobaniem na śpiących, potem budził ich bez litości.

- Wstawajcie, lenie! Nie przyjechaliście tu wylegiwać się! Do pracy! - grzmiał jego głos.

Każdego ranka wstępował w towarzystwie Rogowa i Libermana do kwatery robotników. Witał się z nimi, wypytywał żartem, co im się śniło, oglądał drobiazgowo pomieszczenie, i z reguły znajdując jakieś braki, zwracał się do nowego kierownika odcinka i Libermana z pretensjami:

- Dlaczego tu zimno?

- Mamuniu najmilsza, skądże zimno? Popatrzcie tylko: piętnaście stopni! - Liberman podbiegał do termometru.

- Macie, znalazł się naukowiec, termometr pokazuje! Powinieneś pamiętać tylko o tym, żeby ludzie pracujący cały dzień na mrozie mogli sypiać w samej bieliźnie i omdlewali z upału. Widzisz, że nawet dyżurny owija się w kożuszek! Czyż tak być powinno?

- Z wieczora i w nocy był upał - ujął się za Libermanem dyżurny. - Nad ranem zrobiło się nieco chłodniej. Proszę na mnie nie zwracać uwagi, ja stale trzęsę się z zimna; po bytności w Azji Środkowej trudno mi się przyzwyczaić...

- Palcie jednak w piecach więcej i staranniej. Nie żałujcie drzewa, nie bądźcie „mierzlakowami".

Robotnicy szybko przyzwyczaili się do tych porannych odwiedzin. W czasie obchodu można było zwrócić się do Batmanowa z każdą prośbą i z każdym zapytaniem. Po prostu - przypadła im do serca jego troskliwość. Zwykle nie okazywana albo okazywana w sposób rubaszny, szorstki, troskliwość ta wzruszała ich, starali się więc w jakikolwiek sposób okazać swą wdzięczność. Tu na miejscu, w barakach, podchodzili ku niemu szoferzy i składali zobowiązania, że zrobią jeszcze jeden nadliczbowy kurs. Robotnicy pracujący przy wykopach pod fundamenty oświadczali, że ustawią transporter do mechanicznego wyrzucania ziemi na powierzchnię.

Nikt nie uskarżał się na trudne warunki życia. „Mamy czyste i ciepłe pomieszczenia, obfite jedzenie - cóż nam więcej trzeba?" Jedynie Umara Mahomet, doprowadzając Libermana do pasji, zawsze był z czegoś niezadowolony i stale czegoś żądał.

- Kierowniku, trzeba powiesić tu portrety wodzów, powiedzcie im. Mogliby odgrodzić kącik i zawiesić lustro, będzie wygodniej się golić. Prosimy o instrument muzyczny, przecież Machow ma harmonię, a my nie mamy nic.

I natychmiast Liberman i Rogow otrzymywali polecenie wyszukania portretów, urządzenia oddzielnego pokoju fryzjerskiego i postarania się o instrumenty muzyczne.

- Oto zasadnicze wymagania moje i towarzyszy - mówił Batmanow. - W internacie powinno być czysto jak w sali szpitalnej, ciepło jak w łaźni, przytulnie jak w pokoiku dziewczęcym.

Często Batmanow przypominał Rogowowi:

- Jakie piękne były te „potiomkinowskie” pomieszczenia dla szoferów, którymi się zachwycałem na piątym odcinku! - I dodawał: - Kiedy nareszcie tu będzie tak samo?

Rogow nie czekał zresztą na przypomnienia. Po rozejrzeniu się z Libermanem w magazynach odcinka znalazł w przywiezionych tutaj ogromnych zapasach i chodniki, i firaneczki do okien, gitary, domino, szachy i książki.

Batmanow i pracownicy zarządu jadali śniadanie wspólnie ze wszystkimi, w wielkim składzie, jeszcze niezupełnie dostosowanym do potrzeb stołówki. Śniadanie trwało najwyżej piętnaście minut, ale nawet w ciągu tego krótkiego czasu Liberman i kucharz zawsze dostawali naganę. Któregoś z pierwszych dni Batmanow, spróbowawszy cienkiej zupy z konserw rybnych i zjadłszy na drugie danie maleńki kwadracik omletu z jajek w proszku, popatrzył z oburzeniem na kierownika zaopatrzenia i kucharza i zawołał:

- Przecież to dla pięcioletniego dziecka!

- Muszę się ograniczać do tych produktów, które dostaję od kierownika zaopatrzenia - usprawiedliwiał się pośpiesznie kucharz Nogtiew, wystraszony, że nie dogodził Batmanowowi.

- Kaloryczność przewidziana dla dorosłego człowieka pracy jest ściśle przestrzegana - zagłuszając kucharza z powagą zapewniał Liberman podsuwając Batmanowowi zestawienie produktów w jadłospisie. - To śniadanie zawiera ponad tysiąc pięćset kalorii. Ja, na przykład, jestem najedzony stwierdził z zadowoleniem, ale unikał wzroku kierownika.

- Słuchaj i spójrz mi w oczy - surowo powiedział Batmanow. Po wojnie przyjmiesz pracę w instytucie przemysłu spożywczego. Jest taki w Moskwie. Tam każdy kąsek i bulion będziesz obliczał na kalorie. Ale dopóki pracujesz u mnie, miara powinna być tylko jedna: - sumienie. Niech człowiek pracy odchodzi stąd z pełnym żołądkiem. Zrozumiałeś? Nogtiew musi gotować pożywną kaszę. Kartofle macie, ryby macie. Ale nie nalewajcie tak wiele wody. Musi być widoczne, że to zupa z ryby, a nie zwykła woda.

Kierownik zaopatrzenia usiłował zaprzeczać:

- Zapominacie o normach!

- Za to pamiętam o ludziach. Radzę i tobie, abyś nie zapominając o normach pamiętał także o ludziach. Wówczas będzie dobrze.

Kwadrans przed szóstą brygady wychodziły na robotę, punktualnie o szóstej odcinek rozpoczynał dzień pracy.

Drogę na całej trasie odcinka wykonano rekordowo: w ciągu czterech dni. Teraz przystąpiono do usprawniania przewozu ładunków. Współzawodniczący ze sobą Smorczkow i Machow jechali na czele kolumn z rurami, żywnością, z materiałami budowlanymi. Kolumna Machowa, okrążając duży obszar zalany wodą, posuwała się na wyspę po tak zwanej „batmanowskiej” drodze. Smorczkow prowadził sznur samochodów w przeciwnym kierunku - lądem w stronę Adunu. Przed udaniem się w drogę Smorczkow, skupiony i poważny, a Machow uśmiechający się ukradkiem, podeszli do siebie i wymienili uścisk dłoni, jak bokserzy na ringu przed meczem.

Na terenie budowy często słychać było głośne wybuchy - to rozsadzano amonitem ziemię w wykopach, przygotowywanych pod zbiorniki ropy i fundamenty przyszłego budynku stacji pomp. Miner Kurtow i jego pomocnicy robili po kilkadziesiąt otworów - „lisich nor” - zakładali materiał

wybuchowy i oddalali się pozostawiając bryły zmarzniętej ziemi. Po chwili do wykopów schodzili kopacze.

Wzdłuż powstającego budynku stacji pomp ciągnął się daszek, pod którym mechanicy montowali kilka betoniarek. Spokojny w ruchach i zrównoważony betoniarz Pietrygin odbierał dowożone samochodami beczki z cementem, tłuczeń i piasek. Pomagała mu duża grupa uczniów ze szkoły rzemieślniczej, których przywiózł ze sobą na odcinek.

Obok baraku stukały siekiery i jęczała tarczowa piła. Cieśle z braćmi Piestowymi na czele budowali nowe kwatery, świetlicę i stołówkę z kuchnią.

W oddali, na brzegu cieśniny, bez ustanku dudniły traktory Silina i Remniowa, którzy wyrównywali walcami plac dwukilometrowej długości; na nim miało się odbywać spawanie rur. Umara Mahomet, Fiedotow, Kiedrin i inni spawacze rozkładali tutaj swój sprzęt spawalniczy.

Po obu stronach miejsca ich pracy robotnicy zbudowali dwa drewniane domy średniej wielkości; jeden dla świeżo przybyłej grupy nurków pod dowództwem starszego nurka o nazwisku Smiełow, drugi - dla teletechników Tani Wasilczenko. Nieco dalej, przy brzegu, szybko powstawał trzeci budynek, dla minerów. Dom jeszcze nawet w połowie nie był gotowy, ale otaczał go już wysoki parkan; w obrębie tego parkanu inżynier Niekrasow przygotowywał się ze swoimi ludźmi do wielkich robót minerskich w cieśninie.

Elektrownia rozbudowała się; obecnie miała już sześć ruchomych instalacji silnikowych. Obok elektrowni prawie w oczach rosły dwa obszerne budynki : garaż i warsztat mechaniczny.

Układanie fundamentów pod stację pomp było dopiero w zaczątku, kiedy Filimonow, przekazawszy szoferów Poliszczukowi i wziąwszy sobie do pomocy Sieriogina, zaczął zapoznawać się z problemami montażu pomp i motorów Diesla. Na razie, do czasu ukończenia budowy warsztatu mechanicznego, różne części instalacji wstawiono wprost na klepisko elektrowni. Maszyny były nowe, nikt nie znał ich konstrukcji. Firma amerykańska przysłała rysunki niekompletne i nie było można doliczyć się niektórych części. Albo je gdzieś zarzucono i jeszcze nie odnaleziono, albo też firma „zapomniała” je zapakować.

Batmanow cały dzień spędzał na odcinku. Widywano go w szoferce Machowa, gdy odbywał kolejny rejs na wyspę, żeby sprawdzić, czy nie ma na trasie porzuconych rur, ugrzęzłych po drodze samochodów, i wygrzewających się zbyt długo na słońcu szoferów. To znów przychodził do spawaczy i wysłuchiwał z uwagą utyskiwań Umary Mahometa, który był bardzo .wymagający, gdy chodziło o jego sprzęt, i zawsze znajdował w nim niezliczone braki. Kiedy indziej przypominał sobie Niekrasowa, więc szedł do niego, aby popatrzeć, jak przygotowują potężne ładunki materiałów wybuchowych. Wreszcie dostawał się do wykopów, do staruszka Ziatkowa.

Stary pracował dużo i niezmordowanie, rzadko pozwalając sobie na wypoczynek i zaciągnięcie się papierosem. Ruchy jego były oszczędne, wypróbowane w ciągu długich lat pracy. Uwagę wszystkich zwracało niecodzienne narzędzie stachanowca - ogromna, szuflowa łopata z trzonkiem zgiętym w kształcie łuku.

Ziatkow trzymał łopatę wgiętą stroną do przodu, garb trzonka opierał się o jego kolano. Prawie wcale się nie pochylając naciskał na rękojeść i łopata jak gdyby sama nabierała i podnosiła bryły ziemi. Jeden ruch - i grudy ziemi leciały na posuwającą się ku górze taśmę transportera.

Batmanow sprawdził na sekundomierzu: Ziatkow wyrzucał swoją łopatą dwa razy więcej ziemi niż ktoryklowiek z młodych kopaczy.

- Dajcie no łopatę, ja spróbuję - poprosił Batmanow.

- Po co macie brudzić ręce? Wasza rzecz - pracować głową - rzekł stary.

- Ręce uczą głowę. Na budowie trzeba będzie przerzucić niejeden milion sześcienny ziemi, wypróbowanie waszej łopaty przyda mi się i na innych odcinkach.

Wasilij Maksimowicz nabierał zmarzniętą ziemię i rzucał ją na taśmę. Wywijał łopatą szybko i pewnie, ale gwałtownie i nierówno. Garb trzonka - zamiast ułatwiać - utrudniał mu ruchy.

- Spokojniej, nie naciskajcie tak mocno - poprawił Ziatkow pilnie obserwując każdy ruch kierownika.

Robotnicy przysunęli się, żeby popatrzeć, jak pracuje Batmanow, ale Ziatkow jednym gestem zawrócił ich na miejsca.

- Wyszedłem z wprawy - powiedział z żalem Batmanow ciężko dysząc.

- Jak widzę, dobrze znacie się z łopatą - zauważył Ziatkow.

- Tak, kiedyś pracowałem jako palacz na parowozie. Macie interesującą łopatę, ale trzeba się do niej przyzwyczaić. - Obrzucił spojrzeniem pracujących i dodał: - Tylko wy sami nią robicie, a trzeba, żeby i inni jej używali; korzyść byłaby niewątpliwa.

- Ciężko im się z nią oswoić - z żalem powiedział Ziatkow. Na jego ciemnej twarzy pojawił się skąpy uśmiech. - Dowcipnisie nazywają moją łopatę wielbłądem.

- Wciąż was zapominam zapytać, ojcze... Znałem Piotra .Ziatkowa. Studiowałem z nim w akademii i przyjaźniłem się. Później spotykaliśmy się na Zaporożu, Piotr był tam dyrektorem. Czy to wasz krewny?

- To młodszy brat...

- Ach, tak! A gdzie jest obecnie? - zapytał z ożywieniem Batmanow.

- Nawet nie wiem... Były wiadomości, że jest w partyzantce. Pogubiłem swoich. Syn był pod Leningradem, ale od dawna się nie odzywa. Stara z córką pozostały w Swobodnem, mieszkają w Zee. Sam pochodzę z zachodu, ale od czasu ukończenia budowy kolei Turkiestańsko-Syberyjskiej poszedłem na Daleki Wschód. Kilka lat pracowałem w kopalniach.

- A jak trafiliście tutaj?

- Słyszałem, że trzeba tu ludzi, więc przyszedłem.

- Czy nie jest wam za ciężko, w tym wieku?... Przecież można znaleźć lżejszą pracę.

- Lżejszej nie potrzebuję, nie martwcie się o mnie.

Ziatkow poprawił rękawice i znów wziął się do swojej krzywej łopaty. Batmanow zajął się czym innym. A spraw miał dużo. Nic mniej lub bardziej ważnego nie działo się bez jego wiedzy. Kilka razy dziennie rozmawiał przez selektor z trasą i zarządem dając coraz to nowe zadania i kontrolując ich wykonanie. Przebywał stale wśród ludzi, uczył ich, jak mają pracować, i sam się od nich uczył.

Nagle zupełnie niespodziewanie kazał Rogowowi zarządzać alarmy lotnicze. Jeśli się to zdarzało wczesnym rankiem lub w nocy, momentalnie gasło światło, oddziały obrony przeciwlotniczej, które przeszły szkolenie u naczelnika straży granicznej, pospiesznie zajmowały swoje posterunki. Budowa zamierała, robotnicy przeobrażali się w żołnierzy gotowych do obrony.

Jak u wszystkich na odcinku, twarz Batmanowa od wiatru i stałego przebywania na zimnie stała się miedzianoczerwona. Pewnego razu zatrzymał Tanię, żeby jej pokazać swe zgrubiałe i zniekształcone od mrozu ręce.

- Mieliście słuszność, że ręce przyzwyczajają się do każdej temperatury. Chodzę teraz bez rękawic nawet podczas silnego wiatru i nic mi nie jest. Dziękuję za radę.

Dziewczyna nie od razu zrozumiała, o co chodzi, a gdy zorientowała się, spojrzała na niego z szacunkiem. Cieszyły ją stopniowo ujawniające się zalety jego duszy. Miała chęć uścisnąć sinoczerwone ręce kierownika budowy.

Już nieraz mówił Batmanow pół żartem, pół serio:

- Nadejdzie wkrótce dzionek, kiedy my, robotnicy, odejdziemy na bok, wejdziemy na tamto oto wzgórze i ustąpimy miejsca naszym inżynierom. Niech pokażą, co potrafią.

I dzień taki nadszedł. Pewnego wczesnego ranka, bezwietrznego i pięknego, inżynierowie wytyczyli na lodzie cieśniny przestrzeń długości pięciuset metrów od brzegu w kierunku wyspy, w celu przeprowadzenia pierwszego próbnego wybuchu. Był to wstęp do najważniejszych prac na odcinku, a jednocześnie próba słuszności propozycji Topolewa.

Karpow wyprowadził na cieśninę kilka brygad; ludzie zaopatrzeni w siekiery i kilofy zaczęli wyrąbywać w lodzie co pięć metrów szerokie przeręble. Skrząc się w słońcu leciały w górę błękitne odłamki lodu; rozlegał się nieprzyjemny dla ucha zgrzyt i brzęk. Ciężka praca posuwała się powoli. Kowszow spoglądał na zegarek i ponaglał.

Wzdłuż linii przerębli Niekrasow, człowiek niemłody, o osowiałej, ponurej twarzy, ale w gruncie rzeczy poczciwiec, ułożył na lodzie elektryczny przewód. Pomagał mu Kurto w ze swoimi pomocnikami. Minerzy przeciągnęli do przerębli lonty z przymocowanymi na końcach woreczkami z impregnowanego papieru, wypełnionymi amonalem. Gdy wszystkie przeręble były już gotowe, stu ludzi podniosło i zanurzyło jednocześnie worki z materiałem wybuchowym w burzliwej wodzie cieśniny.

Według założeń Topolewa ładunki, ułożone w szereg na dnie cieśniny, winny były z jednakową siłą uderzyć w górę, w warstwę wody i lodu, oraz w dół, w ziemię, i wyżłobić w niej szczelinę-przekop. W przekopie miał być ułożony rurociąg. W ten sposób rurociąg byłby zabezpieczony przed zamarzaniem w zimie (z wierzchu przekop szybko zapełniłby się ziemią, naniesioną przez wodę) i przed płynącymi latem po cieśninie okrętami, które mogłyby kilem zaczepić o rurociąg i uszkodzić go.

Niekrasow dał gwizdkiem przerywany sygnał - tak gwiżdżą w miastach milicjanci. Natychmiast rozległy się alarmowe uderzenia o szynę. Ludzie w mgnieniu oka opuścili lód cieśniny i cały teren budowy. Na brzegu pozostał tylko Niekrasow i nurek Smiełyj, obaj ukryci w specjalnie zbudowanym dla obserwacji schronie, na skraju lodu.

Batmanow pozwolił przerwać pracę także tym, którzy nie znajdowali się w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca wybuchu. Kilkuset robotników wspięło się na wzgórze za osiedlem. Całe wzgórze ożyło i zahuczało. Niżej na zboczu stali Batmanow, Beridze i Kowszow.

Machow podniecony oczekiwaniem i zwracający na wszystko uwagę z uśmiechem wskazał ich Musi Kuczinie i Sołncewowi:

- Stoją jak trzej bohaterowie!

Gdy tak stali w białych, ściągniętych rzemieniami kożuszkach, w czapkach z nausznikami, przypominającymi hełmy, byli podobni do legendarnych rycerzy - wysoki i krzepki Batmanow, silny, czarnobrody Beridze i wysmukły Kowszow. Brakło im tylko tarcz i mieczy.

Postękując wspiął się ku nim Topolew. Wyprostował się przed kierownikiem budowy i rzekł uroczystym tonem:

- Możecie już dać sygnał; niech zaczynają, Wasiliju Maksimowiczu.

Starzec denerwował się i aż nazbyt często zaglądał do srebrnej tabakierki z całującą się parą na porcelanowej pokrywce. Aleksiej przyciągnął go ku sobie i szepnął na ucho:

- Przypomniało mi się pewne zdanie: „Basta! Swoje już w życiu zrobiłem, nic mi więcej nie trzeba, pragnę tylko spokojnej egzystencji". Kto to powiedział?

Kuźma Kuźmicz krztusił się od śmiechu i musnąwszy wąsami policzek Aleksieja odpowiedział:

- Mój kochany, umowa jest droższa od pieniędzy. Nasza poufna rozmowa skończyła się wówczas wraz z dzwonkiem telefonu. Przyznam ci się, Alosza, że drżę każdym nerwem. Przeprowadziłem w życiu wiele wybuchów, a jednak nie przyzwyczaiłem się do nich. Dzisiejszy wybuch jest dla mnie szczególnie ważny, bo albo uściśniecie Topolewowi rękę, albo odeślecie go do archiwum jako bezużytecznego starca.

Batmanow wyjął z kieszeni rewolwer. Gdy podnosił powoli rękę, wszyscy patrzyli jak urzeczeni.

Padł strzał. Na chwilę zapanowała martwa cisza. Słychać było tylko przyspieszony oddech Topolewa. Niekrasow w swoim bunkrze włączył kontakt i w nieuchwytnie krótkiej chwili prąd dopłynął do zapalników na końcach przewodów. Zadrżała ziemia, ogłuszająco zatrzeszczał pękający lód, zakołysało się powietrze. Nad cieśniną uniosły się masy wody, śniegu, lodu i ziemi; przez chwilę zawisły wysoko w powietrzu jak grom i zwiększając stopniowo szybkość runęły w dół.

Niekrasow, ogłuszony nieco, dostrzegł z bunkra obnażone dno cieśniny, głęboko przecięte wybuchem. W utworzonym rowie leżały stosy wodorostów i trzepoczących się ryb. Mijały sekundy, a woda rozdarta wybuchem wciąż jeszcze nie powracała na miejsce. Wreszcie zwarła się z szumem zasłaniając dno.

Ludzie na wzgórzu poruszyli się, zaczęli krzyczeć i bić brawo, choć nie wiedzieli na razie, jaki jest rezultat wybuchu.

W powietrzu warowały jeszcze bryły ziemi i lodu, gdy Kowszow chwycił pod rękę Topolewa i zbiegł z nim z góry. Zmiatając śnieg, popędził za nimi rozgorączkowany, hałaśliwy tłum robotników.

Brzeg wyglądał jak po burzy: zalane wodą skaliste zbocza, bryły lodu, grudy ilastej ziemi, wodorosty i martwe ryby pokrywały całą przestrzeń. Szarą, jednostajną płaszczyznę cieśniny przecinała olbrzymia szarpana rana przerębli.

Kowszow z Topolewem podbiegli ku wyrwie, w której zaledwie przed chwilą znikł kulisty skafander nurka.

- Jest rów! Równiuteńki! Widziałem go na własne oczy! - krzyczał do nich Niekrasow.

Batmanow i Beridze opanowując niecierpliwość zbliżali się do cieśniny bez pośpiechu, wyprzedzani przez wszystkich. Batmanow oświadczył, iż zbyt długo zatrzymał się na odcinku i że czas wracać do

Nowińska. Beridze słuchał z roztargnieniem, pragnął jak najprędzej dowiedzieć się, jakie są rezultaty wybuchu:

- Zawiadomiono mnie w nocy, że Pisariew dowiadywał się, czy jestem tutaj i jak długo jeszcze pozostanę - mówił dalej Batmanow. - Nie wiem, co to znaczy: czy powinienem spieszyć do zarządu, czy też zatrzymać się tu? A może on sam zamierza tu przyjechać?

- Byłoby dobrze, gdyby przyjechał. Pokazalibyśmy mu wszystko na miejscu i powiedzielibyśmy o wszystkich naszych potrzebach - rzekł Beridze.

Zajęci rozmową, nie spostrzegli biegnącego na ich spotkanie Topolewa. Kuźnia Kuźmicz potykał się, raz nawet upadł. Rzucili się ku niemu.

- Biedny stary, cóż mu się stało? Czyżby się nie udało z przekopem? - zaniepokoił się Batmanow.

Topolew prawie zwalił się w ramiona Beridzego. Nie mógł wydobyć z siebie głosu, z trudem chwytał oddech.

- Nie trzeba się tak przejmować, kochany Kuźmo Kuźmiczu - powiedział serdecznie Batmanow biorąc go pod ramię. - Nawet gdyby się stało coś złego, nie powinniście tak pędzić, zawsze znajdzie się ktoś młodszy.

- Trzeba... - Muszę właśnie sam!... wykrztusił z trudem Topolew. - Niekrasow widział... Jest rów! Jak wykopany łopatą... Równy... Ucieszyłem się... Melduję... Nie zawiodłem was!...

- Dziękuję wam, Kuźmo Kuźmiczu - ze wzruszeniem powiedział Batmanow. - Teraz można powiedzieć, że zagadnienie cieśniny jest już rozwiązane.

Wycierając głośno nos, starzec huczał:

- Chciałbym dalej przeprowadzić wybuchy, choćby wszystkie od razu. Ale na każdy trzeba co najmniej trzech, czterech dni. Dobrze, że chociaż dziś zdążyliśmy - już wieczór nadchodzi.

Batmanow obejrzał się ze zdumieniem:

- Rzeczywiście, jak szybko minął dzień!

Kierownik budowy w otoczeniu inżynierów i robotników ostrożnie chodził nad brzegiem przerębli, szerokiej na kilka metrów. Kręte linie pęknięć na lodzie rozchodziły się na wszystkie strony. Z przerębli kłębami buchała para i opadała na lód.

- Oto jeszcze jedna korzyść z wybuchu: żeby opuścić rurociąg, nie trzeba już rozbijać lodu: gotowy! - rozważał naczelny inżynier.

Podszedł ku niemu Umara Mahomet i trącił go w ramię:

- Towarzyszu Beridze, dość przyglądania się, chodźmy, zacznę spawać rury.

Poprzedniego dnia Umara otrzymał od Beridzego obietnicę, że jednocześnie z wybuchami rozpocznie się spawanie, ale nie zdążono przygotować aparatury do elektrycznego spawania, a poza tym kłopoty związane z pierwszym wybuchem pochłonęły całą uwagę inżynierów - o Umarze zapomniano.

- Trzeba jeszcze sprawdzić transformatory spawalnicze - powiedział Beridze. - Gdy przygotujemy wszystko jak należy, wtedy zaczniemy.

- Dobrze, spawanie elektryczne zaczniemy później, a gazowe? Dlaczego nie można? - nie odstępował Umara. - Jest karbid, jest tlen, wszystko mam gotowa

- Późno już, mój kochany. Wieczór się zbliża, zaczekaj do jutra.

- Do jutra? - przestraszył się Umara. - Ja już czekał tak dawno! Tyle miesięcy nie miał ognia w ręku. Ja cały zamarzł! Dusza mi zamarzła! Ja nie mógł spać w nocy - wciąż myślał, jak zacznę spawanie...

Beridze spojrzał porozumiewawczo na Batmanowa, Topolewa i Kowszowa, wszyscy uśmiechali się zsiniałymi od mrozu wargami. Umara przenosił błagalne spojrzenie z jednego na drugiego.

- Pozwólcie mu spawać, Gieorgiju Dawydowyczu - poprosił nie wytrzymawszy Topolew. - Skoro już raz zdecydowaliście rozpocząć dziś spawanie, nie trzeba się cofać.

- Zgadzam się, przekonaliście mnie. Zaczynaj, Umara!

- Bardzo dziękuję, kierowniku! Bardzo dziękuję! Zrobię wam za to podarunek! - wykrzyknął spawacz i pobiegł ku brzegowi.

Na ogromnym placu, przeznaczonym dla robót spawalnianych, ułożono na drewnianych podkładach trzy długie linie rur stykające się ze sobą. Przy jednej z tych linii stał agregat Umary Mahometa do spawania gazowego.

Brygada Umary, składająca się z wesołego, tryskającego zdrowiem pomocnika Wiatkina i jeszcze trzech robotników, czekała na swojego brygadzistę.

Umara w biegu wydał rozkaz. Pomocnicy zaczęli lewarami wyrównywać dwie pierwsze rury. Umara obejrzał uważnie wyczyszczone już idealnie brzegi rur i wziął palnik z rąk pomocnika. Palnik połączony był dwu giętkimi przewodami z aparatem spawalniczym. Spawacz wetknął wylot palnika w stojące na ziemi metalowe naczynie, w którym nikłym płomieniem tliły się przepojone oliwą „końce". Błysnął drgający języczek błękitnawego ognia. Umara włączył dopływ tlenu. Silny strumień ognia z ogłuszającym hukiem, podobnym do wystrzału, wyrwał się z metalowej skuwki i zatrzepotał w rękach Umary. Spawacz, przerzucając palnik z ręki do ręki, z okrzykiem zachwytu bawił się chwilę huczącym ogniem.

Nagle twarz Umary spoważniała: „Żarty na stronę, zaczyna się praca". Wyregulował płomień, lekkim ruchem lewej ręki opuścił na twarz maskę, wziął od pomocnika żelazny pręt i przystąpił do spawania.

Pod strumieniem ognia na metalu pojawiło się czerwone znamię, które szybko zbielało. Spawacz postawił pod płomień pręt i roztopiony metal zapełnił w jednym punkcie lukę między rurami. Potem zrobił jeszcze dwa takie „punkty" na obwodzie szwu - wiążąc w ten sposób rury. Następnie powoli poprowadził palnik od dołu do góry po bocznej stronie styku. Przeszedłszy ćwierć obwodu Umara przestąpił przez rurę i spawał z drugiej strony.

Teraz pozostały nie spojone wierzch i dół styku. Umara spojrzał tylko na pomocników, ci natychmiast zaczęli obracać rury: miejsca spojone znalazły się u góry i u dołu, nie spojone - z boków.

- No, Wasiliju Maksimowiczu, doczekaliśmy się; oto Umara Mahomet stosuje w cieśninie tak zwane spawanie obrotowe - powiedział Beridze do Batmanowa.

- Pierwszy szew - z przejęciem oświadczył kierownik budowy. - Zaczęło się...

Wokół Umary zebrał się tłum, oświetlony w mroku ostrym, niebieskim światłem. Ludzie nie spuszczali oczu z małego, krępego spawacza. Im, przemarzniętym do szpiku kości w ciągu dnia, robiło się cieplej obok tego człowieka, gorejącego jakby tym samym czystym ogniem, który huczał w jego rękach.

Wreszcie Umara odskoczył od rury i niedbale odsunął ku górze maskę. Spojrzał wesoło na Batmanowa, na Beridzego i ruszył dalej.

- Wasiliju Maksimowiczu! - zawołał nagle, coś sobie przypomniawszy. - Ostatni szew także ja będę spawać! Dajcie słowo!

- Zgoda! Masz moje słowo!

Maszyna przesunęła się nieco ku przodowi. Robotnicy przypasowywali następną rurę. Spawacz spoglądał wciąż to na Batmanowa, to na Beridzego i uśmiechał się. Gdy rura była już przygotowana, zakrył twarz maską i przystąpił do spawania drugiego styku.

Aleksiej z latarką w ręku sprawdzał spojone przez Umarę rury. Spojrzawszy gorejącymi oczyma na spawacza, przywołał ręką Batmanowa, Beridzego i pozostałych. Wiodąc palcem po obwodzie rury, przeczytał głośno:

„Niech żyje nasza Moskwa! Chwała wielkiemu Stalinowi! Zwyciężymy! Styczeń 1942 roku”.

Tymi słowami, na wieki wypalonymi ogniem na metalu pierwszego styku, spawacz Umara Mahomet dał początek rurociągowi.

3. Jak układano rurociąg

Robotnicy ponownie wspięli się na wzgórze, aby z bezpiecznego miejsca przyjrzeć się wybuchowi. W momencie, gdy wszyscy zadarli głowy ku niebu obserwując wyrzuconą w górę masę lodu i dna morskiego, ujrzeli wprost nad cieśniną - samolot. Fala powietrza, wywołana przez wybuch, wstrząsnęła nim i samolot zachybotał się jak trafiony ptak, wyrównał jednak lot i zaczął się zniżać. Batmanow i Beridze pędem zbiegli ze wzgórza.

Samolot lekko osiadł na zwalcowanej wstędze lodowej drogi. Wysiedli z niego Dudin, Pisariew i Załkind. Sekretarz Krajowego Komitetu Partii i pełnomocnik Komitetu Obrony Państwa byli w jednakowych bekieszach, ochronnego koloru, z kołnierzami z szarego karakułu i w takich samych szarych czapkach.

- Gościnnie nas witasz, nie ma co mówić. Salut z tysiąca dział! - zażartował Załkind zauważywszy zdenerwowanie Batmanowa.

- Nie rozumiem, jak się to stało - powiedział Batmanow stając na baczność przed Pisariewem.

Ten podał mu rękę z lekkim uśmiechem.

- Sami jesteśmy winni, że przylecieliśmy bez uprzedzenia.

- Przecież nic się nie stało. Trochę tylko rzuciło. Mamy dobrego pilota, nie stracił przytomności umysłu - dodał Dudin rozglądając się wokoło. - Opowiadajcie, towarzyszu Batmanow, jakże tu gospodarujecie...

Sekretarz Komitetu i pełnomocnik, oprowadzani przez Batmanowa i Beridzego, długo chodzili po odcinku. Zajrzeli na plac, gdzie spawano rury, i do osiedla, i do wykopów pod fundamenty, gawędzili z robotnikami i przodownikami...

- Praca ruszyła, to dobrze! Zuchy! - z zadowoleniem oświadczył Dudin, gdy skończyli obchód.

Wstąpili do „kwatery kierowników" - tak nazywano teraz domek Kotlariewskiego, zajęty przez inżynierów. Chwilę przedtem wpadł tu Aleksiej, żeby sprawdzić coś w wykresach. Nie miał nawet czasu zdjąć kożuszka i robił obliczenia stojąc pochylony nad stołem. Chciał wyjść, ale Dudin go zatrzymał.

- Nie wyobrażam sobie dokładnie, w jaki sposób będziecie przesuwali z brzegu na lód półkilometrowe części rurociągu - powiedział Dudin zwracając się do niego. - To przecież machiny. I jak je opuścicie na dno cieśniny?

Dudin zdjął zwierzchnie okrycie, za jego przykładem poszli inni. Aleksiej także zrzucił kożuszek, rozłożył na stole rysunki i przystąpił do wyjaśnień. Sekretarz Komitetu i pełnomocnik słuchali go z uwagą. Dudin zbliżył się i przez ramię Aleksieja spojrzał na wykres. Pisariew przechylił z lekka dużą głowę i nie odrywając od Kowszowa przenikliwego spojrzenia wypytywał:

- Jak są uzasadnione techniczne terminy robót przy układaniu rurociągu w cieśninie? Jak obliczono zasoby - czy wystarczy rąk roboczych, żeby prowadzić równocześnie budowę stacji pomp? Za pomocą jakich środków technicznych będą przezwyciężane trudności na wyspie?

Aleksiej obejrzał się na Batmanowa, Załkinda i Beridzego, siedzących z boku. Właśnie żądano od niego całego wykładu. Partorg uśmiechnął się, a Beridze wzruszył zabawnie ramionami: wykręcaj się, bracie, jak możesz!

Kierownicy budowy widzieli, że i tym razem jak poprzednio w rozmowie z innymi pracownikami Dudin i Pisariew chcieli upewnić się, czy kolektyw rozumie swoje zadania.

- Nie oglądajcie się na Batmanowa i Beridzego, oni wam nie pomogą - rzekł żartobliwie Dudin.

Aleksiej wydostał ze stołu potrzebne materiały i wyczerpująco zreferował plan zimowych robót na odcinkach cieśniny i wyspy. Umiał ten plan na pamięć ze wszystkimi szczegółami i mówił przekonywająco, a pod koniec nawet z przejęciem. Wykład Aleksieja widocznie zadowolił gości, gdyż nie stawiali więcej pytań.

- Dlaczego nie opowiedzieliście nam, towarzyszu Batmanow, jak wyglądał odcinek przed dwudziestu dniami? - zwrócił się Pisariew do kierownika budowy. - Zastaliście straszny widok, co? Rozkład i nieporządki?

- Nie było nic szczególnie strasznego. Nawet nie pamiętam już, co zastaliśmy. Naturalnie, trzeba było trochę popracować. Ale po to właśnie przyjechaliśmy.

Załkind śmiejąc się trącił go w ramię:

- W takim razie dlaczego, Wasiliju Maksimowiczu, przepędziliście Mierzlakowa? Jeżeli nie było tu nieporządków, to nasuwa się przypuszczenie, że niepotrzebnie rozprawiliście się z nim. Po cóż więc oddajemy go pod sąd? Dlaczego miejscowa organizacja partyjna wykluczyła go z liczby kandydatów do partii? Widzieliśmy zresztą Mierzlakowa na trasie; złożył towarzyszowi Pisariewowi skargę na ciebie za niestosowne postępowanie.

- Postąpiłem z tym łajdakiem jeszcze za delikatnie - wycedził przez zęby Batmanow. - Założył sobie nad oceanem kułackie gospodarstwo, odgrodził się od odcinka średniowiecznym murem, nie miał czasu na zajmowanie się budową. Toteż uwolniłem go od tego... Niechaj teraz mając wolny czas pasie krowę i świnie...

- Przecież zabrałeś mu krowę i świnie! Nagiego puściłeś w świat! Gdzie się teraz człowiek podzieje? - pokpiwał partorg.

- Towarzysz Załkind przywiózł wam piękny prezent - przypomniał Dudin.

Partorg wyjął z torby depeszę od towarzysza Stalina: „Nowińsk nad Adunem, Zarząd budowy N... do traktorzysty Siemiona Iljicza Silina. Dziękuje, Siemionie Iljiczu, wam i waszej żonie za patriotyczną troskę o Armię Czerwoną. Stalin”. Przyjemnym podarunkiem był także numer krajowego dziennika z artykułem o budowniczych rurociągu.

- Zwołamy zebranie i odczytamy wszystkim - powiedział Batmanow podając depeszę i artykuł inżynierom.

Beridze podkreślił paznokciem jakiś wiersz w gazecie i Aleksiej rozpromienił się znalazłszy swoje nazwisko wśród wymienionych w artykule wybitnych pracowników. Korespondent pisał: „Ci ludzie tu, na Adunie - bronią ojczyzny”.

Wezwano Silina.

- Czy wpłacałeś pieniądze na czołg? - zapytał Załkind z uśmiechem.

- Wpłacałem, towarzyszu partorgu.

- Pisałeś do towarzysza Stalina?

- Zgadza się.

- No, to masz!

Silin wziął depeszę i omal jej nie upuścił, gdy zrozumiał, od kogo pochodzi. Odczytywał ją kilka razy, odwrócił i oglądał z drugiej strony. Jego twarz, szczera jak u dziecka, wyrażała miotające nim uczucia. W oczach jego błysnęły łzy. Przycisnąwszy depeszę do piersi, odwrócił się bez słowa i wyszedł.

- Rozumiem, dlaczego nie macie ochoty mówić o Mierzlakowie - zwrócił się Pisariew do Batmanowa. - Postąpiliście z nim słusznie; wątpię, czy na waszym miejscu zrobiłbym inaczej. Teraz już wam nie przeszkadza, więc zapomnieliście o nim. Ale Mierzlakow jeszcze istnieje i będę zmuszony w jakiś sposób przyczynić się do rozstrzygnięcia o jego losie. Dlatego pragnę w miarę możności oprzeć na czymś konkretnym swój stosunek do tego człowieka, zanim oddam go w ręce sprawiedliwości.

Batmanow przezwyciężając odrazę zaczął mówić o Mierzlakowie. Człowiek ten okazał się bardziej niebezpieczny od jawnego wroga. Nie wystarczy stwierdzenie, że nie wypełnił zadania. Jako kierownik odcinka nie interesował się zupełnie losem i potrzebami podległych mu ludzi. Nie przejął się alarmami kolektywu, jakby zupełnie nie dotyczyły jego osoby. Zachował się obojętnie wobec szerzących się na odcinku plotek o rzekomym zajęciu Moskwy przez Niemców i rzekomym napadzie Japończyków. W tych ciężkich dla wszystkich dniach troszczył się tylko o własne dobro.

- Trzeba głębiej sięgnąć w przeszłość Mierzlakowa - oświadczył Dudin. - Nie będę zdziwiony, jeśli znajdziemy w niej jakieś przyczyny jego obecnego postępowania. Nie wy, towarzyszu Batmanow, mianowaliście go kierownikiem odcinka, ale niech ten przypadek będzie dla was nauczką. Trzeba dobrze znać człowieka i bardzo mu ufać, nim się go wysunie na stanowisko kierownicze. Towarzysz Załkind mówił mi o Jefimowie - to bardzo przykry wypadek. Ale sprawa z Mierzlakowem jest dziesięciokrotnie gorsza. Niestety, często u nas wysuwa się na stanowiska ludzi nie poznawszy ich dobrze, nie przyjrzawszy się im dokładnie: „A może jakoś da sobie , radę, wygląda na niezłego chłopa”. Jakie są z tego skutki, przekonaliśmy się dzisiaj zwiedzając odcinek. Ileż skarg złożyli nam robotnicy na Mierzlakowa... Mówcie dalej, towarzyszu Batmanow - Dudin dotknął ręką kolana Wasilija Maksimowicza.

- Nie mogę nazwać Mierzlakowa bezpośrednim sprawcą śmierci Pankowa. Ale w głębi duszy uważam, że Pankow zginął przez niego.

Słysząc to Załkind, nagle zerwał się z miejsca i w zdenerwowaniu zaczął chodzić po pokoju. Batmanow umilkł w pół słowa i podniósł na niego oczy. Pozostali także spojrzeli na partorga.

- Przyjaźniłem się z nim przeszło dwadzieścia lat. Dwa razy uratował mi życie - zaczął Załkind. Zmienił się na twarzy i wykrzywiał się jakby pod wpływem bólu. - W dwudziestym pierwszym roku byłem komisarzem w partyzanckim oddziale, Japończycy i biali zdrajcy mieli mnie specjalnie na oku. Polowali na mnie i raz tak się zdarzyło, że wraz z kilkoma partyzantami wpadłem w zasadzkę. Białych było około trzystu, otoczyli nas szybko. Nie udało nam się przebić i tylko jeden chłopak zdołał wymknąć się z pierścienia. Nie liczyliśmy na ratunek. Zaszyci w gąszczu zwalonych przez burzę drzew, ostrzeliwaliśmy się, przygotowani do tego, żeby jak najdrożej oddać swoje życie. Zupełnie niespodziewanie ratunek nadszedł w osobie Pankowa, który z garstką partyzantów wpadł z wściekłością na białych, napędził im strachu i rozproszył po tajdze. Jak się później okazało, tego szlachetnego i śmiałego czynu dokonał Pankow na własną odpowiedzialność, wbrew rozkazowi. Dowódca wysłał go jedynie w celach zwiadowczych i zakazał działania na własną rękę. Wówczas oszczędzaliśmy ludzi i każdą operację przeprowadzaliśmy z największą ostrożnością. Pankowowi udało się uwolnić nas bez ofiar, a mogło stać się inaczej: i nam mógł nie pomóc, i zgubić siebie z towarzyszami. Zwycięzców, oczywiście, nikt nie stawia przed sądem, ale Pankow dostał za swoje od dowódcy. Dotąd słyszę odpowiedź Pankowa: „Już taki mam charakter, nic na to nie poradzę. Gdy ludzie są w nieszczęściu, muszę im pomóc nie oszczędzając niczego. Przekląłbym siebie na całe życie, gdybym nie przyszedł z pomocą komisarzowi Załkindowi i jego chłopcom".

Beridze pochylił się ku Aleksiejowi i nagle wyszeptał gorączkowo:

- Alosza, gdy słuchałem Załkinda, zdawało mi się, że przeniosłem się do czasów „Klęski" Fadiejewa. Miałem wrażenie, że widzę przed sobą Lewinsona...

Aleksiej pod wrażeniem tych słów spojrzał nowymi oczami na Załkinda, jakby ten rzeczywiście był bohaterem tej książki ulubionej i znanej z czasów dzieciństwa.

- Ty, Wasiliju Maksimowiczu, poznałeś Pankowa zupełnie niedawno, już jako dojrzałego człowieka. I masz rację twierdząc, że był mądry i doświadczony. Zgubił go jednak widocznie ten rys charakteru, którego w nim nie znałeś. W niektórych wypadkach Pankow był porywczy do ostatecznych granic. Tak kochał ludzi i tak im współczuł, że gotów był popełnić szaleństwo, gdy dowiadywał się, że jest im źle. I teraz, gdy usłyszał od spotkanego na drodze Sanina, że gdzieś tam umierają ludzie, myślał już tylko o nich. Wyobrażam go sobie, jak stanął w owej chwili przed Mierzlakowem z żądaniem, aby ten udał się wraz z nim natychmiast do umińskiej bazy! Trzeba tylko żałować, że zamiast łotra Mierzlakowa nie było tu kogoś przyzwoitego i mądrego, kto by uczynił zadość żądaniu Pankowa. Wówczas wszystko byłoby inaczej, Batmanow uniknąłby przykrego zetknięcia się z nieporządkami na odcinku, a sam Pankow siedziałby teraz z nami...

- Czy przekonaliście się ostatecznie, że dalsze poszukiwania nie mają celu? - zapytał Dudin Batmanowa.

- Szukaliśmy wszędzie, przetrząsnęliśmy całe wybrzeże. Sam chodziłem także, dwukrotnie. Nie wpadliśmy na żaden ślad.

- Zaopiekujemy się jego rodziną - powiedział Pisariew. - Zdaje się, że miał syna, matkę i siostrę?...

- Syna chcę przyjąć do swojej rodziny - oświadczył Batmanow i popatrzył na Załkinda. Partorg siedział zwrócony do okna.

- Musimy pomyśleć także i o tym, aby nie zaginęła pamięć o Pankowie - dodał Dudin. - Pomyślę, jak to zrobić.

- Towarzyszu Batmanow - przerwał chwilę milczenia Pisariew. - Mówiliśmy z wami w Rubieżańsku, że musicie być wyjątkowo czujni. Japończycy zaczynają interesować się rurociągiem, a jeśli tak jest, to właśnie odcinek nad cieśniną powinien zwrócić ich szczególną uwagę. Powiem wam, że nie podoba mi się ta historia z barakami. Trudno przypuścić, że w dniu zebrania zamknięto baraki z zewnątrz tylko przez przypadek. Wydaje mi się, że również i na wypadek z Pankowem należy spojrzeć od tej strony: czy tu naprawdę miał miejsce nieszczęśliwy przypadek, czy też działała czyjaś zła wola? Pankow był przecież człowiekiem znanym w kraju i mógł komuś przeszkadzać. Poproszę towarzyszy z organów bezpieczeństwa, żeby zajęli się specjalnie sprawą Mierzlakowa. W ogóle wezmą oni odcinek pod szczególną obserwację. To jednak nie zwalnia was od obowiązku i konieczności czuwania...

- Czy dobrze poznaliście swoich ludzi? Czy nie trzeba stąd kogo usunąć? - zapytał Dudin.

Poza Mierzlakowem zwolniliśmy i skierowaliśmy do Rubieżańska rachmistrza i magazyniera. Kradli produkty przeznaczone dla robotników i próbowali sprzedawać je Niwuchom. Na ogół dobieraliśmy ludzi na ten odcinek starannie i kolektyw w zasadzie powstał dobry. Brak mu było tylko odpowiednich kierowników. Jestem przekonany, że budowniczowie przejścia przez cieśninę otrzymali ich w osobach Beridzego, Rogowa, Kowszowa i Filimonowa. Teraz jest jasne, że towarzysze ci będą musieli przez cała zimę pozostać na odcinkach przy cieśninie i na wyspie.

- Słyszałem coś o starszym buchalterze, co to za człowiek?

- Skontrolowaliśmy jego pracę: wszystko w porządku. To uczciwy i wykwalifikowany pracownik. Razem z Rogowem uporządkowali szybko ewidencję i sprawę zabezpieczenia inwentarza. Wydaje mi się, iż narzekania na Kondrina są wywołane jego skrupulatnością w rozliczeniach i tym, że stara się zaoszczędzić każdy grosz. Na razie nie można powiedzieć o nim nic złego. Ale nie spuszczamy go z oka. Mamy tu jeszcze czterech byłych więźniów: mechanika Sieriogina, jednego dziesiętnika, szofera i cieślę. Ale opinia o nich jest bez zarzutu; w obozie nauczyli się fachu i pracowali tam wzorowo. U nas także mają dobrą opinię. Sądzę, że nie należy ich ruszać, dopóki nie ma do tego powodów. O waszym ostrzeżeniu, żeby czuwać, towarzyszu pełnomocniku, pamiętam i postaram się, żeby każdy człowiek na odcinku również o tym stale pamiętał.

Jeszcze tego samego dnia Dudin i Pisariew, zabrawszy ze sobą Batmanowa. Beridzego i Kowszowa, udali się samolotem na wyspę.

Pod skrzydłami samolotu przesuwała się szybko jednostajna i martwa tajga. Nie można w niej było dojrzeć żadnych oznak ludzkiej działalności.

- Pewien pisarz, który przebywał tu w końcu ubiegłego wieku, wyraził pesymistyczny pogląd, że północna część wyspy Tajsin nigdy nie będzie człowiekowi potrzebna. Jednym słowem, uważano ją za bezwartościowy kawałek naszej planety - powiedział głośno Dudin przenosząc spojrzenie na Batmanowa. - Jestem bardzo zadowolony, że właśnie nam przypadł zaszczyt obalenia tego twierdzenia. Ów pisarz nie mógł nawet przypuszczać, ile tu znajduje się czarnego złota. Na jesieni

wśród tych zarośli - wskazał ręką w dół - będą leżały wasze rury i popłynie przez nie ropa. Niech diabli wezmą jakie to wspaniałe!

Nagle tajga zniknęła: zbliżano się do północnego krańca wyspy. Krajobraz zupełnie się zmienił: na prawo wynurzał się bezkresny szarawy obszar zatoki, na lewo wznosiły się pokryte lasem iglastym pasma wzgórz, a pośrodku, wzdłuż całego wybrzeża, jak okiem sięgnąć, wznosiły się wieże wiertnicze przypominając patrzącemu z góry fantastyczny wzór koronki. W ogromnej ilości otaczały one miasto Konczełan, rozrzucone szeroko nad brzegiem zatoki.

- Oto Baku Dalekiego Wschodu - z zadowoleniem powiedział Dudin wskazując na las wież wiertniczych. - Według mnie - dodał - ten las jest o wiele weselszy od tajgi.

Do zmroku zwiedzali goście tereny naftowe i miasto. Ropą napełnione były ogromne zbiorniki w porcie i na podgórzu. Ropa sączyła się z czarnej ziemi. Ropa biła z szybów wiertniczych. Zapachem ropy było przesycone powietrze. Zdawało się, że domy, ludzie, a nawet ich pożywienie jest przepojone ropą.

Inżynierowie obejrzeli stację pomp. W okresie żeglugi stacja przetaczała ropę do portu, do stojących tam rezerwuarów i statków-cystern. Po wybudowaniu rurociągu stacja pomp miała zacząć przepompowywać ropę do Czongru, głównego węzła pomp. Dudin i Pisariew czekali, aż inżynierowie obejrzą pomieszczenie i urządzenia. Po skończonym przeglądzie Beridze zakomunikował, jakie jeszcze prace uzupełniające należy bezwzględnie wykonać, żeby stacja pomp mogła wypełnić swoje nowe zadanie.

- Ależ urządzę święto, gdy tylko te maszynki zaczną pompować ropę do Nowińska - z rozmarzeniem powiedział Beridze do Aleksieja, kiedy opuszczali stację pomp.

- Nie zapomnijcie i mnie zaprosić, ja również lubię takie święta - roześmiał się idący na przedzie Dudin.

Na ostatku odwiedzili odcinek koncesji japońskiej. Towarzyszył im tłusty, niziutki Japończyk zarządzający koncesją. Na każde pytanie odpowiadał z niezwykłą służalczością, kłaniając się nisko i pokazując duże, żółte zęby.

- Jaki uprzejmy pies szczerbaty! - mruknął Aleksiej obrzucając Japończyka złym spojrzeniem; nigdy jeszcze nie zetknął się z Japończykami tak bezpośrednio. - Wyobrażam sobie, co się kryje w tym samurajskim łbie.

Aleksiejowi, znajdującemu się podczas nocy w gabinecie sekretarza konczełańskiego Miejskiego Komitetu Partii, wciąż majaczyło się bezbrzeżne, czarne i oleiste morze, które pobłyskiwało tęczowymi błyskami i oślepiało.

- Czy przypominasz sobie, drogi Alosza, puste cysterny w rafinerii? - zapytał Beridze, jakby odgadując jego myśli.

Sekretarz Miejskiego Komitetu meldował Dudinowi, że za miesiąc trzeba będzie ograniczyć wydobycie ropy, ponieważ nie będzie jej gdzie magazynować. Już teraz zebrano zapas wyrażający się liczbą sześciocyfrową.

- To są ogromne składy prochu, na które wróg postara się uderzyć natychmiast, gdy tylko rozpoczną się działania wojenne - powiedział Pisariew. - Pożałujemy stokrotnie, że nie ma jeszcze rurociągu.

Sekretarz Krajowego Komitetu Partii i pełnomocnik Komitetu Obrony Państwa zapoznali się jak najdokładniej z potrzebami budowy i przyrzekli zadośćuczynić wszystkim prośbom Batmanowa.

Kończono elektryczne spawanie pierwszej sekcji rurociągu, która miała być zatopiona w cieśninie. Zespoły robocze Umary Mahometa i Kiedrina zbliżały się ku sobie. Umara wcześniej oznaczył środek sekcji dwoma słupkami wbitymi z boków i teraz daleko zapuścił się już na „terytorium” współzawodnika, wyprzedzając go w ciągu trzech dni co najmniej o całodzienną normę.

Ukończywszy spawanie kolejnego styku Umara odskakiwał od rury, odsłaniał maskę z fibry i podczas gdy pomocnicy wyrównywali osie dwóch następnych rur, wołał złośliwie do zbliżającego się Kiedrina:

- Na żółwiu jedziesz! Pospiesz się!

Na placu, gdzie odbywało się spawanie, rozległym jak pole, igrał wietrzyk unosząc lekki śnieżny pył. W jasnym świetle słońca błękitne płomyki palników były prawie niewidoczne. Batmanow przychodził tu często, zatrzymywał się przez dłuższy czas przy Umarze, z zachwytem przyglądał się jego „zabawie” z ogniem i podziwiał zorganizowaną, zręczną pracę całego zespołu. Umara tak wytrenował swoich pomocników, że tworzyli z nim teraz jakby żywy organizm.

Zwykle niespokojny i wściekły, przeistaczał się, gdy tylko zaczynał spawanie. Ruchy jego stawały się opanowane, oszczędne. Na każdą rurę przeznaczał dokładnie obliczony czas, ani sekundy więcej.

Oto Umara idzie szybko ku następnemu stykowi. Musi zmienić elektrodę, robi to idąc: wydobywa stalowy pręcik z torby-kołczana, którą ma przewieszoną przez ramię, i umocowuje go w oprawce. Pomocnicy oczyścili już końce rur i czekają na majstra. Umara milczy, pomocnicy rozumieją go bez słów i milczą także: teraz jest praca i nic nie powinno zaprzątać uwagi. Umara opuszcza na oczy ochronną maseczkę, nachyla się i zbliża elektrodę do styku rur. Rozlegało się dźwięczne klaśnięcie, jakby coś pękało; z charakterystycznym potrzaskiwaniem sypie się snop złocistych iskier i powstaje łuk - jaskrawobłękitny płomień roztapiający metal.

Batmanow trzyma w ręku stoper - w ten sposób łatwiej obserwować pracę obu zespołów. Strzałka obiegająca tarczę stopera pomaga w zrozumieniu różnicy pomiędzy dobrym, starym i doświadczonym spawaczem Kiedrinem a majstrem-artystą, jakim jest Umara Mahomet. Batmanowowi zdaje się, że pochylony nad rurą Umara całą swą siłą wpływa na czas, który posłusznie się kurczy. Sekunda do sekundy! Sekunda do sekundy! I oto Umara spoił już sześć styków, a Kiedrin rozpoczyna dopiero piąty.

Kierownik budowy szybko odchodzi z placu - podnieca go robota Umary: chwyta się na tym, że chciałby bić brawo. A na to nie czas. Trzeba pracować! Trzeba pracować nie tracąc ani chwili.

W drugim dniu współzawodnictwa Kiedrin sam nie mógł uwierzyć, że tak szybko został wyprzedzony.

- Musi być jakaś omyłka albo może ten Umara nie dba o jakość roboty - mówił.

Umarze powtórzono słowa Kiedrina i spawacz nie ociągając się przebiegł kilometr wzdłuż sekcji, wziął opierającego się Kiedrina pod rękę i przyprowadził do swojego ogniwa.

- Patrz moja styki! Patrz moja jakość! - huczał Umara.

Kiedrin obejrzał spawane części pragnąc wykryć jakieś braki, ale nie znalazł „pęcherzyków” na metalu, więc bez słowa powrócił do siebie. Umara dopędził go:

- Dlaczego milczysz? Powiedz, jaka jest spawanie?

- Czego się przyczepiłeś? Znalazł sobie czas na urządzenie oględzin.

- Więc po co mówisz na wiatr niedobre słowa? Mów teraz dobre słowo.

- Dobrze, dobrze, zgoda - wycofał się Kiedrin z uśmiechem. - Jesteś górą. Ale się jeszcze pomocujemy!

Batmanowowi bardzo się nie podobał sposób, w jaki Umara ze swoimi towarzyszami wykonywał spawanie „sufitowe". Wszystko szło dobrze, dopóki spawano rury leżące na podkładach pojedynczo - spawacz stał z ogniem nad stykiem. Ale kiedy trzeba było spawać rury już połączone ze sobą w ciężkie zespoły, których nie można było obracać, spawacz musiał kłaść się na ziemię. Leżąc na grzbiecie w wykopanym pod stykiem rowie pracował skierowując ogień ku górze, w „sufit".

Chłód przemarzniętej ziemi szybko przenikał watowaną odzież. Batmanow zauważył, że spawacze podnosząc się z ziemi dygotali z zimna. Wydajność ich pracy wciąż się obniżała. Już trzeciego dnia dwóch spawaczy zachorowało na zapalenie płuc. Batmanow zaniepokoił się, zażądał od inżyniera, by im ulżono w pracy.

...Dźwignąwszy się z ziemi Umara zaczął biegać dookoła ogniska dla rozgrzania. Nagle spostrzegł tuż przy sobie Batmanowa.

- No, jak się widzi moja robota? Moje spawanie - niezłe, co? - zapytał.

- Doskonale spawasz, jesteś zuch! Taką pracę trzeba pokazywać na scenie jak sztukę - szczerze chwali Batmanow. - Trzeba będzie przyznać ci Czerwony Sztandar.

- To mogę teraz napisać list do dwa bracia na froncie i do moja narzeczona w Kazaniu?

- A co to, masz narzeczoną?

- Pewnie! każdy powinien mieć żona albo narzeczona. Moja narzeczona pracuje Kazań. Ładny dziewczyna, skromny. Kocha mnie, czeka. Skończy się wojna, wyprawimy wesele.

- Czy trzeba czekać aż do końca wojny? Wezwij ją tutaj i żeń się.

- Ona jest zecer, pracuje w drukarni, drukuje gazety. Jeśli tobie potrzebny zecer, to ją wezwij.

- Pomyślę o tym - powiedział Batmanow.

- Ech, nie warto myśleć... I tak nie przyjedzie. Chce na front. Będzie drukować frontowa gazeta.

Umara znowu kładł się na ziemi, żeby połączyć dwie połowy ogromnej sekcji rur.

- Ot, jedna sekcja gotowy - mówił wyłażąc spod rury. - Dwieście pięćdziesiąt procent normy wyrobił dzisiaj. Zmarzłeś zupełnie, kierowniku ? Dlaczego nie nosisz rękawic? - pytał ze współczuciem marszcząc zsiniałą twarz.

- Co tam mnie - odpowiedział Batmanow. - Przecież jest dużo gorzej tobie i innym spawaczom, gdy leżycie długo na ziemi.

- My jesteśmy mocny, to nic!

- Jak to nic! Popatrz, cały się trzęsiesz. Kazałem uszyć grube, watowane materace; będziecie je podkładać pod siebie. Przerwy trzeba będzie robić częściej i rozpalać większe ogniska.

Umara spojrzał z dołu na Batmanowa i powiedział ze smutkiem:

- Mówili, że prędko wyjedziesz. Szkoda, my przywykli do ciebie.

- Nad cieśniną zostanie Beridze, to dobry i energiczny gospodarz, wszystko będzie w porządku - odpowiedział Batmanow. - A na mnie już czas: budowa jest duża, oprócz twojego odcinka jest jeszcze dziesięć innych. Popatrzę, jak inżynierowie będą opuszczali w wodę tę oto „trąbę", i pojadę...

„Trąba” - półkilometrowej długości gruba rura rozłożyła się na placu jak gigantyczny, czarny wąż, zwrócony głową w stronę cieśniny. Tego olbrzyma, przeszło pięćdziesięciu ton wagi, trzeba było ściągać na lód i opuścić przez przerębię do wykopu na dnie cieśniny.

Okazało się, że zadanie to jest niesłychanie trudne, inżynierowie znaleźli się niemal w sytuacji bez wyjścia.

W Nowińsku, podczas opracowania projektu robót w cieśninie, powitały dwa warianty dotyczące spawania i przenoszenia rur na lód. Kowszow proponował spawanie zespołów na brzegu, po trzy rury, przewożenie tych zespołów na lód samochodem i łączenie ich tam w długie ogniwa. Beridze nie zgadzał się z propozycją Aleksieja. Jego zdaniem „sufitowe” spawanie zespołów na lodzie było nie do pomyślenia: spawacze nie mogli pracować leżąc pod rurami, trzeba by podnosić rury na wysokie podpory albo żłobić rowy w lodowej powłoce.

Kowszow zgodził się z wywodami naczelnego inżyniera i przyjął jego propozycję, aby spawać półkilometrowe ogniwa na brzegu i traktorami ściągać je na lód.

Spróbowali tak zrobić i nie udało się. Dwa sześćdziesięciokonne traktory nie mogły nawet ruszyć rurociągu z miejsca. Aleksiej chciał puścić w ruch trzeci traktor i jeśli trzeba będzie, nawet czwarty, ale Beridze powstrzymał go. Obawiał się słusznie, że podczas przeciągania sekcji rur styki zostaną niedopuszczalnie naprężone, a to wpłynie zgubnie na ich wytrzymałość. Należało liczyć się także z tym, że w czasie przesuwania ciężka metalowa masa mogła załamać lód.

- Źle to obmyśliliśmy, Alosza - powiedział Beridze. - Trzeba znaleźć jakiś inny sposób.

- Znajdzie się - obiecał Aleksiej. - Pomęczymy się z jedną „trąbą”, ale za to następne pójdą jak po maśle. A ja myślę, że...

Proponował, aby z placu, gdzie spawano, przeprowadzić wąskotorową kolejkę i przeciągnąć rurociąg na wagonikach. Szyn wystarczyło tylko do brzegu. Wobec tego postanowili ciągnąć sekcję do brzegu po szynach, a od brzegu po lodzie na saniach. Dwie doby zeszły na układaniu kolejki. Przez ten czas cieśle pod nadzorem Karpowa zrobili sanie.

Wyginającą się elastycznie, olbrzymią rurę za pomocą bloków i lin, z zachowaniem szeregu ostrożności, załadowano na wagoniki. Dwa traktory, prowadzone przez Silina, pociągnęły ten niezwykły pociąg do cieśniny. Przy brzegu przesunięto rurę na trzydzieści sań. Traktory ruszyły po lodzie i szarpnęły przyczepiony do nich ogon.

- Stój! - wrzasnęli wszyscy chórem.

Więcej niż połowa sań uległa strzaskaniu i rura zwaliła się na ziemię... Z jednym ogniwem rur męczyli się przez dwa dni. Cały odcinek obserwował z niepokojem przesuwanie rurociągu. Batmanow ogłosił konkurs na najlepszy projekt jak najszybszego dostarczenia rur na miejsce.

Musia Kuczina, która przebywała ze swoim bufetem na wyspie, wybiegała do zbliżających się szoferów z niezmiennym pytaniem:

- Jak tam rura?

Sołncew odpowiadał:

- Z rurą klapa...

Chłopcy z brygady betoniarza Pietrygina zakładali się: przeciągną sekcję na lód, czy nie przeciągną? Pietrygin usłyszawszy o tym skrzyczał ich:

- Jak można w to wątpić? A od czego rozum? Na pewno coś wymyślimy...

Wniósł już projekt, żeby przeciągnąć ogniwo po lodzie na drewnianych rolkach. Trzeba jednak było odrzucić tę myśl: drewniane rolki nie wytrzymywały ciężaru rur, a poza tym przy ruchu stłoczyłyby się jedna przy drugiej. Ze wszystkich stron sypały się dziesiątki innych pomysłów...

- Może robić krótsze sekcje i opuszczać je na dno? - pytał Batmanowa stary Ziatkow.

Obaj przyszli z tym do inżynierów.

- Wyrzekliśmy się tej myśli na samym początku - powiedział Beridze. - Zatapianie krótkich odcinków jest nie do pomyślenia. Spróbujcie to sobie wyobrazić, a sami wyrzekniecie się tego pomysłu.

- Ja proponowałbym spawać na brzegu zespoły tylko z trzech rur, a resztę spawania przenieść na lód - radził Topolew.

- Z tego także zrezygnowaliśmy. Ten sposób nie nadaje się. Policzcie, ile trzeba będzie zrobić spojeń „sufitowych”. Tysiące! Cały lód zryjemy dołami dla spawaczy. Zresztą to się nie uda: lód nie jest na tyle mocny, żeby ryć w nim rowy. Spawaczom także będzie gorzej, gdyż na lodzie nie będzie już można rozpalać ognisk.

- Jakież więc jest wyjście? - zaniepokoił się nie na żarty Batmanow.

- Wyjście, zdaje się, jest - powiedział Kowszow. - Oto Karpow poddał słuszną myśl: rury załaduje się na wagoniki, a w przerwach między wagonikami przywiąże się do rur sanie.

- Co to da? - zapytał Batmanow z nadzieją w głosie.

- Przy samym brzegu wagoniki odskoczą z rozpędu po wąskim torze w prawo, a rura na przywiązanych pod nią saniach nie zatrzymując się spełznie za traktorami prosto na lód.

Pomysł Karpowa podobał się inżynierom. Ludzie znów zaczęli się krzątać koło rurociągu. Aleksiej dał Silinowi znak rękawicą. Wagoniki z rurą i przywiązanymi pod nią saniami potoczyły się po szynach. I znów się nie udało! Zaledwie ciężar rury przeniósł się z przednich wagoników na sanie, zerwały się wiązania i główna część węża rur gruchnęła na lód. Cały pociąg spiętrzył się. Zgrzytnęły, zaskrzypiały koła wagoników. Zatrzeszczały sanie. Biegnący z boku Kowszow nierozsądnie podskoczył ku rurze i upadł uderzony po nogach kawałkiem płozy. Beridze krzyknął i podbiegł do Aleksieja; za nim pośpieszył Karpow. Ale Kowszow już się podniósł i mocno utykając na prawą nogę szedł ku nim.

- Boli cię? - z niepokojem zapytał Beridze.

Aleksiej machnął ręką.

- Idź, połóż się. Widać, że porządnie dostałeś - powiedział Karpow.

- Nic mi nie będzie - ze złością odpowiedział Aleksiej i uśmiechnął się. - Teraz już skończymy z tą „trąbą”! Iwanie Łukiczu, powiedz Silinowi, żeby ją ciągnął z powrotem. Powtórzymy wszystko od początku...

Batmanow szedł ku inżynierom. Kiedy rury spadły na lód, zaklął siarczyście i zawrócił. Zgodnie z harmonogramem ułożenie rurociągu w cieśninie należało skończyć w ciągu trzech miesięcy, najpóźniej do połowy kwietnia, kiedy zaczynają tająć lody. Każdy dzień był dotychczas wyzyskany do ostatnich granic, a tu traci się czas bez pożytku.

Rurę na wagonikach pociągnięto z powrotem. Silin, siedząc przy kierownicy traktora, obserwował inżynierów i próbował odgadnąć, co jeszcze wymyślą.

- Nie koordynujemy ruchów - krocząc obok Beridzego rozważał Aleksiej. - Gdy tylko traktory zaczynają ciągnąć „trąbę”, pozostawiamy ją własnemu losowi.

- A cóż z tą wściekłą bestią jeszcze robić? - wzruszył ramionami Beridze. - Mamy przystawić do niej jeszcze tysiące nianiek?

- Właśnie, właśnie! Przy każdym wagoniku i przy każdych saniach należy postawić jednego człowieka z żelaznym drągiem i wszystkie ruchy wykonywać równocześnie, na wspólny sygnał.

- Słusznie. Tak należałoby zrobić - zgodził się Karpow, który podchwycił myśl Aleksieja w pół słowa.

- Może i warto spróbować - powiedział Beridze. - Wydaje mi się jednak, że gdybyśmy tej „trąbie” przydzielili nawet stu ludzi, nie stanie się przez to mądrzejsza...

- Wyznacz ludzi, przygotuj wszystko i zaczniemy - zwrócił się Aleksiej do Karpowa. - Silinowi sam wyjaśnię, co ma robić.

- Już lecę! - powiedział Karpow.

Ale zatrzymał go Umara Mahomet. Przybiegał tu już pewnie dziesiąty raz, żeby popatrzeć, jak idzie robota, i przynaglić inżynierów.

- Ależ marudzicie! - krzyknął do Karpowa. - A my kończymy już drugą sekcję.

- Słuchaj, Umara, wynoś się stąd! - poradził spawaczowi Karpow. - Inżynierowie są wściekli, a ty ich jeszcze denerwujesz. Możesz na gorąco oberwać coś od Beridzego...

...Aleksiej, jak się okazało, miał rację. Pięćdziesięciu ludzi, ustawionych przy rurze z drągami w rękach, jakby ją ożywiło. Kiedy Batmanow i Załkind przyszli na teren robót rura spoczywała na lodzie całym swym długim cielskiem, zaczepiona jednym końcem o brzeg. Batmanow jeszcze przed chwilą skarżył się przed Załkindem na niepowodzenie. Teraz od razu rozpromienił się i uderzył Rogowa po ramieniu.

- Powiedziałeś, że inżynierowie nie dadzą sobie rady - wykrzyknął, chociaż Rogow nigdy tego nie mówił. - Rosyjska smykałka plus wyższa matematyka i fizyka to, mój drogi, siła! Teraz „trąba” pójdzie lekko, najgorszy bywa początek. Żeby jeszcze tylko zobaczyć, jak tę zabaweczkę spuszczą na dno cieśniny i - można stąd odjeżdżać.

4. Batmanow prawi komplementy

Batmanow z wielką uwagą i zainteresowaniem przyglądał się otaczającym go ludziom. Zapominając o sobie, wyrzekli się oni wszystkiego, widzieli jedynie przed sobą ciężkie sekcje rurociągu i myśleli tylko o tym, jakby je szybciej przeciągnąć na miejsce. Szalona wytrwałość inżynierów i robotników, ich bezgraniczne poświęcenie pozwalały dokonywać rzeczy niemożliwych.

Kowszow, kierujący robotami na lodzie, dosłownie postarzał się w ciągu tych dni: twarz pokryła się zarostem jak szczeciną, oczy od ciągłego przebywania na wietrze i oślepiającego słońca zaczerwieniły się, policzki się zapadły. Ale w zaciśniętych ustach, kiedy patrzył na nie poddającą się jego rozkazom rurę, w żywych, niecierpliwych ruchach, w zgryźliwych żartach, surowych, zwięzłych rozkazach było tyle upartej siły, że Batmanow miał ochotę powiedzieć mu: „Doskonale, chłopcze, tak właśnie należy

żyć - z uporem, na przekór wszelkiemu złu”. Wasilij Maksimowicz zatrzymał Beridzego i wskazał na Kowszowa: - No, cóż, wtedy w Moskwie mieliście rację - macie odpowiedniego zastępcę. Sądzę, że na froncie powąchał tylko prochu, ale walczyć nauczył się u nas, na budowie.

Często wpadał Batmanowowi w oczy Silin. Telegram Stalina przeistoczył jego powszednie dni pracy w święto. Całymi dniami nie schodził z traktora i pierwszy zgłaszał się do wykonywania najtrudniejszych zadań.

Kierownik budowy obserwował także Gienkę Pankowa. W watowanej kurtce i spodniach chłopaczek kręcił się zafrasowany między siedzibą służby łączności a placem budowy i z powrotem. Nie chciał pozostawać w tyle za towarzyszami, gdy chodziło o pracę, a jednocześnie bał się przeoczyć cokolwiek z tego, co dokonywało się na lodzie.

Stary Topolew przeziębił się i mocno kaszlał. Miał surowo nakazane leżenie w ciepłej izbie, ale Kuźma Kuźmicz nie mógł i nie chciał pozostać bezczynny. Wykradając się z domu pracował po całych dniach z minerami albo zjawiał się przy budowie stacji pomp, albo u telefonistów - wszędzie gdzie było potrzebne jego doświadczenie.

A Ziatkow, ten pięćdziesięcioletni człowiek, który przerzucał tyle ziemi co czterech robotników! I który wciąż zadręczał się myślą, jakby pomóc inżynierom w ich kłopotach z tą wielką rurą...

Kierownik budowy zauważył również niezwykły niepokój Rogowa, który zbyt często podchodził do niego, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie mógł się zdecydować.

- Czemu się tak kręcisz, młody człowieku? - zapytał w końcu Batmanow odbywając z Rogowem już po raz dziesiąty drogę z placu budowy nad cieśninę i z powrotem. - Czy cię do mnie przywiązano, że mnie nie odstępujesz?

- Chciałbym jeszcze przed waszym wyjazdem o coś was poprosić. - Rogow zaczerwienił się. - Ale boję się, że mnie zwymyślacie.

- Jeśli się boisz, to milcz - specjalnie surowo powiedział Batmanow. - A przy tym i mnie zwolnisz od konieczności wymyślania.

Rogow machnął ręką: ech, było nie było!

- Nudno mi na odcinku, kierowniku.

- Wieczorem poprosisz Machowa, to zagra ci fokstrota na harmonii.

- Chcę rozmawiać poważnie, Wasiliju Maksimowiczu. Na odcinku jest wielu kierowników, moja rola jest znikoma. Wy, póki tu jesteście, cały ciężar bierzecie na siebie. Obecnie wszystko jest już na dobrej drodze. Po waszym wyjeździe i tak pozostanie jeszcze dosyć gospodarzy: Beridze, Kowszow, Filimonow. Ja przecież rozumiem, że odcinkiem nad cieśniną powinni kierować inżynierowie.

- A więc? - rzucił niecierpliwie Batmanow. Przystanął i z zaciekawieniem patrzył na Rogowa.

- Muszę otrzymać trudniejszą pracę. Trudniejszą niż był piąty odcinek. Choćby taką jak tu, ale bez was. Chcę wypróbować siły przy bardzo trudnej i odpowiedzialnej robocie.

- Mówcie konkretniej.

- Oddajcie mi Tajsin! Dopóki inżynierowie będą zajęci przeprawą przez cieśninę, ja zaatakuję tajgę.

- Jeszcze za wcześnie na wyspę - odparł Batmanow. - Tajsin trzeba zaatakować po gruntownym przygotowaniu. Po cóż teraz się pchać? Przede wszystkim należy przewieźć tam rury, materiały,

żywność - a to jeszcze potrwa długo. Nie można też odrywać stąd ludzi, bo ani tu, ani tam nie będzie dobrze, wszystko - ni w pięć, ni w dziewięć. Rozumiem cię. Myślisz sobie: „Na piątym odcinku zastałem chaos i uporządkowałem wszystko własnymi rękami”. Ale, po pierwsze, wyspa jest zadaniem dziesięć razy trudniejszym. A po wtóre, nie życzę sobie, żeby się powtórzyła historia piątego odcinka. Jeśli chcesz wiedzieć, na piątym odcinku ujawniła się nasza słabość. Czyż to dobrze, że byłeś zdany na własne siły? Pomyśl tylko, co z tego wynikło? Pankow był nie gorszy od ciebie, a mimo to nie mógł nic zrobić na cieśninie.

- Pankow - to inna sprawa: nieszczęśliwy przypadek; on nawet nie zdążył zabrać się do pracy.

- Nie, to nie jest ani trochę inna sprawa. Przecież nie wiesz, co cię czeka na wyspie. Historia z Pankowem - to również dowód naszej słabości. Nie mogę dopuścić, żeby się coś podobnego powtórzyło. Czy wiesz, jak ruszymy na wyspę? Potężnym, druzgocącym atakiem. Nie będziemy z tajgą walczyć siekierkami. Przyjrzyj się projektowi inżynierów - wtedy zrozumiesz, że wyspa będzie wzięta szturmem.

- Kiedyż to nastąpi? Trzeba wyrąbywać przesieki, zrobić drogę i przewieźć rury w ciągu zimy, zagospodarować się...

- Nie zamierzam odkładać szturmu na wyspę do wiosny. Przeskoczymy na Tajsin, jak tylko zawieziemy przynajmniej połowę ładunku i przeciągniemy rurociąg w cieśninie poza jej środek.

Przyszli do spawaczy. Batmanow był zadowolony, ujrzawszy Kiedrina leżącego nie na gołej ziemi, lecz na watowanym materacu. Takie same materace miała reszta spawaczy. Ponadto na placu stały dwa domki, w których spawacze mogli się ogrzać. Wasilij Maksimowicz zawrócił.

- Od jakiegoś czasu zmieniliście swój stosunek do mnie - powiedział nagle nie odstępujący go Rogow. - Ja to ciężko przeżywam.

- Tak ci się dziś zebrało na zwierzenia - powiedział ze złością Batmanow. - Na mrozie nie powinno się zbyt często otwierać ust, można zaziębić gardło. Powiadają, że mężczyźni powinni być powściągliwi w wyrażaniu swoich uczuć.

Rogow był przybity słowami Batmanowa i tonem, jakim były wypowiedziane.

- Nie opuszczaj głowy. Masz taki mocny kark, że nie do twarzy ci z opuszczoną głową - dodał Batmanow powstrzymując uśmiech. - Żeby raz na zawsze wszystko było między nami jasne, pozwolę sobie i ja na ryzyko zwierzeń. Proszę cię, żebyś sprawy wyspy nie łączył z moim stosunkiem do ciebie. Do sprawy wyspy podchodzę inaczej niż do piątego odcinka czy nawet do cieśniny. My, jako twórcy rurociągu, wciąż rośniemy i taktyka nasza zmienia się, nieprawdaż? A teraz o tobie, o moim stosunku do ciebie. Jeszcze przed tą naszą rozmową, naradziwszy się z Załkindem, postanowiłem wysłać cię na wyspę.

- Nie zawiodę waszego zaufania! - prędko z przejęciem zawołał Rogow.

Batmanow skrzywił się:

- Znów te wykrzykniki! Dodaj jeszcze: „Biorę na siebie następujące zobowiązania”. Trzeba przecież zrozumieć, że są między ludźmi sprawy oczywiste, jasne i bez słów. Czy nie rozumiesz mojego stosunku do ciebie? Według mnie wszystko jest jasne. Cóż to, mam ci prawić komplementy za wszystko, coś zrobił dobrze? Nie jesteś panienką. A może powinienem wytykać palcem to, co jest złe? Mogę, oczywiście, jeśli chcesz. Weźmy najświeższy przykład. Słyszę nieraz od ciebie: „Dajcie mi olbrzymie zadanie”. Cóż to, rozpiera cię, młodzieńcze, bohaterska siła? Przypuśćmy, że tak jest. Ale

dlaczego masz się odosabniać, stawać się Waśką Buzłajewem[29]. To już niemodny wzór. Nazwałeś Machowa indywidualistą, tymczasem zaszło coś zabawnego. Czy wiesz, że to przydługie słowo właśnie do ciebie bardziej pasuje? Popatrzcie tylko, już mu inżynierowie przeszkadzają! Wydaje mi się, że i na kolektyw patrzysz jak na materiał, z którego można pleść sznury.

Rogow wydał okrzyk protestu.

- Jeśli tak nie jest, to się cieszę - rzekł Batmanow. - Mówiłeś coś o szacunku dla mnie. Czyżbyś więc nie zauważył, przy całym swoim szacunku, że ja bez inżynierów i bez kolektywu jestem jak zero bez jedynki. Przyznaję się do tego bez najmniejszego żalu. Przeciwnie, jestem zadowolony, że stać mnie na zrozumienie tej prawdy. Kto tego nie rozumie, postępuje jak człowiek podcinający gałąź, na której siedzi.

Batmanow zakaszlał zachłysnąwszy się mroźnym powietrzem.

- Prawdę mówiąc zmartwiłeś mnie swoją wypowiedzią. Zobacz, ilu tu jest godnych uwagi ludzi i żaden z nich się nie pyszni, nie przechwala siłą, nie domaga się nadzwyczajnych zadań - zapomnieli zupełnie o sobie, wprzęgli się i ciągną ze wszystkich sił.

- A czyż ja pozostaję w tyle, nie ciągnę razem z nimi? - zapytał urażony Rogow.

- Owszem, ciągniesz, nie o to chodzi. Możesz dużo i robisz dużo. Interesują mnie jednak środki i metody twojej pracy. Weź na przykład Amerykanów: oni także umieją pracować, a przecież ich sposoby pracy nam nie odpowiadają. Przyglądałem ci się jeszcze na piątym odcinku...

- W żaden sposób nie możecie zapomnieć o tych samochodach - powiedział z goryczą Rogow.

- Znów nie zgadłeś! W tym sęk, że ty sam zapamiętałeś tylko ten fakt. Nawet bym teraz o nich nie wspomniał...

Na piątym odcinku koniecznie chciałem dociec, w jaki sposób doszedłeś do dobrych wyników. I zrozumiałem - potrafiłeś docenić siłę naszych ludzi zespolonych w kolektywie, potrafiłeś oprzeć się na komunistach i przyciągnąć do budowy Nanajczyków. Z zadowoleniem stwierdziłem, że masz zadatki na prawdziwego kierownika... A jednak wydusiłeś ze mnie komplement! Mimo to jest w tobie jeszcze i coś niedobrego. Te właśnie samochody i te ryby - niech je diabli wezmą! - i to jakieś występujące niekiedy wyniosłe traktowanie ludzi - skąd się to bierze w tobie? Wreszcie to niezbyt mądre lekceważenie inżynierów - przecież oni, ty dziwaku, są prawodawcami radzieckiej nauki!

Rogowowi ciężko było słuchać Batmanowa, odsunął się nawet od niego.

- Nie przerażaj się, Aleksandrze Iwanowiczu, prowadzimy dość przykrą rozmowę, ale możesz nie brać jej jednak za bardzo do serca. Możesz mi odpowiedzieć: „Co do inżynierów - żartowałem, a sprawę z samochodami - wyolbrzymiliście..." Wierz mi: jeżeli nie jest ci ktoś obojętny, to tak samo ważne jest dla ciebie wykonane przez niego wielkie zadanie, zasługujące na odznaczenie, jak i jego rzucone od niechcenia słówko. Chcesz, będę szczery do końca. Tylko nie patrz z takim przygnębieniem.

Batmanow wziął go pod ramię.

- Jak wiesz, pracuję bez zastępcy, a bardzo chciałbym go mieć. Przysłali mi tu jednego, nie widziałeś go i nikt go nie widział - Pisariew go niezwłocznie odwołał. To był niezły człowiek, ale jeszcze nie dojrzał do takiego stanowiska. Ale i ty nie dojrzałeś. Chcę powiedzieć, że chętnie wziąłbym cię na

[29] Waśka Buzłajew - bohater eposu ludowego. - Red.

zastępcę, ale rozumiem, że byłoby to przedwczesne. Po co masz wspinać się na trzecie piętro z bagażem, który można pozostawić na parterze?

Tak rozprawiając ani się spostrzegli, jak doszli do osiedla. Załkind stał na ganku biura. Ujrzawszy go Batmanow przyśpieszył kroku.

- Pójdę już, Wasiliju Maksimowiczu - rzekł złamanym głosem Rogow. - Zakręciło mi się zupełnie w głowie od tego wszystkiego, coście powiedzieli. Muszę przemyśleć to w samotności.

- Idź, idź i przemyśl sobie - uśmiechnął się do siebie samego Batmanow.

Gdy Batmanow grzał się przy piecu, partorg powiedział mu, że z zarządu przyjechał Puszczin z drukarnią zainstalowaną na dwóch samochodach.

- Wyprawiłem go, żeby odpoczął, i przykazałem, aby jutro była pierwsza ulotka. Powinien drukować, małe, wielkości dłoni ulotki, trafnie godzące w cel. Puszczin redagował fabryczną gazetę i wie, o co mi chodzi. A tu bardzo odczuwa się brak organizatora kolektywu i propagandzisty. Co o tym myślisz, towarzyszu kierowniku?

Batmanow, przytrzymując szklankę skostniałymi od mrozu palcami, łykał gorącą herbatę i potakiwał ruchem głowy.

W czasie swego pobytu na odcinku Załkind wiele zrobił dla wzmocnienia pracy organizacji partyjnej. Na dzień następny było wyznaczone zebranie partyjne - czekano na nie z niecierpliwością. Zebranie miało dokonać wyboru nowej egzekutywy. Załkind zdążył przyjrzeć się dobrze ludziom, odbył rozmowy ze wszystkimi członkami partii i z bezpartyjnymi. Widział, że ofiarnością, umiejętnością pracy i prawością komuniści zdobyli sobie w kolektywie ogromny autorytet. Zastanawiając się nad możliwymi kandydatami na członków egzekutywy, wybrał już w myśli Karpowa, Rogowa, Umarę, Gonczaruka, Niekrasowa - tych pięciu ludzi mogło w zupełności stać się przywódcami kolektywu tutaj, na najważniejszym odcinku budowy.

- Jutro będziemy przyjmowali do partii dobrych ludzi - powiedział Załkind pokazując Batmanowowi kilka podań. - Oto podanie Poliszczuka. Nieraz staje mi w pamięci nasze pierwsze spotkanie z nim na Starcie.

Załkind roześmiał się, uśmiechnął się również i Batmanow.

- Przypadkowo słyszałem rozmowę Aloszy Kowszowa z Topolewem. Czy stary nie złożył podania o przyjęcie? - zapytał Batmanow.

- Złożył. Polecają go Kowszow, Rogow i Niekrasow. Aleksiej w opinii pisemnej podkreślił, że będąc jeszcze studentem poznał Topolewa jako wybitnego rosyjskiego inżyniera.

- Zuch stary! Warto powiedzieć o nim jutro obszerniej. Jego przykład może być wzorem dla młodych komunistów i w ogóle młodzieży.

- Zacznij więc sam o tym mówić - poradził Załkind.

- Dobrze. Sądzę jednak, że lepiej powie o nim Aleksiej. Podoba mi się ich przyjaźń! Kiedy się na nich patrzy, człowiek mimo woli myśli, że takiej przyjaźni jeszcze nigdy nie było. Starzec i niemal młodzieniec... Czy to jest stosunek ucznia do nauczyciela? Nie. Czyż Alosza - to uczeń Topolewa? Już raczej odwrotnie. Może to krewni? Może sąsiedzi z jednego domu? Może partnerzy od szachów? Nie! Jest to przyjaźń silniejsza, mądrzejsza... Dlatego przyjaźnią się, że złączyła ich myśl o przyszłości. Jak to

się ciekawie złożyło, pomyśl! I ty, i ja, i Beridze - wszyscy nie mieliśmy racji co do starego. Nie potrafiliśmy podejść do niego delikatnie i wnikliwie. Na początku po prostu „zaszeregowaliśmy" go do Grubskiego, ściślej mówiąc, prawie „zaszeregowaliśmy". Kowszow okazał większą wnikliwość od nas, poznał, że zaakcentowana lojalność Topolewa wobec Grubskiego była typową pozą inteligenta starego pokroju. „Aha, nowe kierownictwo wymyśla Grubskiemu. W takim razie ja go będę chwalił! Sam bym mu wymyślał, gdyby był stroną silniejszą. Ale teraz jest niczym, a zatem będę go podtrzymywał". I nie dość że Aleksiej odgadł istotę Topolewa; udało mu się nawet znaleźć klucz do jego serca. Przecież Beridze, odżegnując się od starego, przychodził do mnie z żądaniem, aby go odprawić. Rozmawiałem o tym z Kowszowem - ten zaczął gorąco bronić Topolewa: „Wierzę, że się zmieni, przyrzekam wam, że wpłynę na niego, tylko nie od razu..." No i wpłynął!

Batmanow zamilkł, znów zabrał się do swojej herbaty. Lubił mocną herbatę.

- Czyje jeszcze masz podania?

- Silina. Prosi, aby go przenieść z kandydata na członka partii. - Załkind odnalazł wśród papierów potrzebny mu akt. - „Tu, na Dalekim Wschodzie, wychowałem się i nauczyłem pracować. Obecnie jest wojna, przypadło mi w udziale walczyć pracując na budowie. Jeżeli jestem godny, proszę mnie przyjąć na członka partii. Pragnę być robotnikiem-komunistą".

Batmanow opowiedział partorgowi o rozmowie z Rogowem.

- To chłop wielkiej siły i jeżeli chce się nim pokierować, to trzeba mocno naciskać! Rozmawiam z nim i czuję, że trzeszczą mu kości. Tym razem, zdaje się, nacisnąłem już zbyt mocno. - Chwilę pomilczawszy zawołał z błyskiem w oczach: - W jaki zabawny sposób prosił, aby mu oddać wyspę!

Ze spojrzenia i twarzy Załkinda Batmanow poznał, że opowiadanie o Rogowie zainteresowało go bardzo. To wzmożone zainteresowanie Załkinda było dla niego aż niezrozumiałe. Batmanow nie wytrzymał:

- Czy mi się zdaje, czy rzeczywiście mi się przyglądasz? - zapytał. - Odzwyczaiłeś się od mojego widoku przez czas mego pobytu tutaj?

Załkind szybko wstał i podszedł do okna. Poprzez czystą, nie zamarzniętą szybę widać było niemal cały teren aż do cieśniny, zalany światłem słońca. Załkind odwrócił się od okna i powiedział do Batmanowa ze swoim dobrym uśmiechem:

- Myślałem o tobie i twoje opowiadanie o przeprawie z Rogowem zeszło się właśnie z moimi myślami.

- Myślałeś o mnie? A cóż ty mogłeś myśleć?

- Zaraz ci opowiem, nie przynaglaj... Trochę historii... Kiedyś, może przed pięciu laty, mówiliśmy o tobie w egzekutywie Miejskiego Komitetu, że niechętnie poddajesz się krytyce, że nieco lekceważysz sobie szarych ludzi, że przygniatasz ich swoim autorytetem i stanowiskiem. Nie obyło się bez tego, że niektórzy towarzysze nagadali rzeczy niesłusznych. Ktoś nawet nazwał cię małym Napoleonkiem.

- To ciekawe! - krzyknął, wyraźnie dotknięty Batmanow.

- Posłuchaj spokojnie - to przecież już - przeszłość. Ale jednak w pewnym - wprawdzie dobrym - sensie nosiłeś w sobie to, co spostrzegłeś teraz u Rogowa. Kiedy na jesieni zetknęliśmy się ponownie w Nowińsku, zastanawiałem się: czy Batmanow się zmienił? Obaj wiemy o tym dobrze, że w naszym środowisku często wartościowy i silny człowiek korzystając z zaufania partii staje się kierownikiem. Przez jakiś czas wszystko idzie normalnie. Ale później taki towarzysz przestaje odczuwać łączność ze

źródłem swojej siły, przestaje rozumieć, że bez społeczności, bez kolektywu, bez partii jest zerem bez jedynki, jak to ty mówisz. Zaczyna mu się wydawać, że sam jest źródłem siły i jedyną przyczyną wszystkich osiągnięć.

- Tyle razy rozmawialiśmy ze sobą. Pamiętasz noc z siódmego na ósmego listopada? I nigdy mi nie mówiłeś o tym... A więc uznałeś, że stałem się małym Napoleonkiem - ze zdumieniem i niedowierzaniem zapytał Batmanow.

- Nie, nie uznałem. Niepotrzebnie zadajesz takie pytania! Wspólnie zaczęliśmy tworzyć kolektyw naszego sztabu. Przyznam ci się, że obawiam się, czy nie wyolbrzymiasz roli zarządu, ściślej: czy nie pomniejszasz znaczenia odcinków, gdzie właściwie buduje się rurociąg. Wydawało mi się, że za bardzo przesiadujesz między ścianami zarządu. Bo przecież istnieje w odróżnieniu od prawdziwej twórczości także twórczość biurokratyczna. Robota wre, pisze się papierki, postukują maszynistki...

- Doceniasz chyba nie gorzej ode mnie znaczenie kierowniczego aparatu na budowie, szczególnie w okresie organizacyjnym!

- Oczywiście, rozumiem i oceniłem celowość twoich ówczesnych wysiłków. Wszyscy wyrywaliśmy się na trasę i ty sam także, ale zatrzymywałeś wszystkich - chytrze uśmiechnął się Załkind. - Jednak wiesz o tym, że uważałem za wskazane zetknąć przedstawicieli odcinków z urzędnikami zarządu na konferencji partyjnej; pamiętasz wystąpienie Tani Wasilczenko i Kotieniewa? Stwierdziłem wówczas z zadowoleniem, że przyjmujesz krytykę tak jak trzeba. Nie boisz się jej i nie uchylasz się przed nią. W ten sposób przygotowaliśmy się do naszego strategicznego boju o rurociąg. Nie obeszło się bez błędów i niedopatrzeń. Co tu mówić, stanęliśmy nad cieśniną z opóźnieniem. Robiłem wymówki Umarze i innym komunistom, że nie uchronili Pankowa pozostawiwszy go samego. Oświadczyli mi w odpowiedzi: „Przyznajemy się do winy i gotowi jesteśmy ponieść odpowiedzialność... ale gdzie wy byliście? Dlaczego pozostawiliście Pankowa samego?"

- Przestańmy już wymawiać sobie wzajemnie Pankowa... Spóźniliśmy się z przyjściem nad cieśninę, przyznałem się do tego jeszcze przed Dudinem w Rubieżańsku. Czegóż ty chcesz? Jeszcze raz robić mi wyrzuty?

- Nie pozwalasz mi mówić. Tu, na odcinku, ucieszyłem się z niejednego... Tu dopiero zobaczyłem ciebie...

Załkind chciał zapalić, zaczął szukać zapałek.

- Poczekaj jeszcze z pięć minut, później od razu wypalisz trzy papierosy - powiedział Batmanow. - Jakie zobaczyłeś tu moje grzechy?

- Mówiłeś o przyjaźni Aleksieja z Topolewem. I ja też chcę wspomnieć o przyjaźni... twojej przyjaźni z ludźmi, z prostymi robotnikami. Dawniej też dostrzegałem tę przyjaźń. Ale tu jakoś inaczej podszedłeś do ludzi. Stałeś się prostszy, serdeczniejszy. To bardzo dobrze. I twój autorytet podniósł się jeszcze bardziej. Także i to, że ostrzegłeś Rogowa, świadczy dobrze o tobie. Jestem zadowolony, że właśnie z takim Batmanowem wypadło mi pracować.

Batmanow wyraźnie zmieszany zatrzasnął wieczko papierośnicy i gniewnie powiedział:

- Mówisz o tym, czego trudno słuchać! Może byśmy się umówili na przyszłość, że nie będziemy sobie prawili komplementów?

- Godzę się. - Załkind przysunął bliżej taboret i usiadł obok Batmanowa. - Umawiamy się, że będziemy mówili sobie nawzajem tylko rzeczy nieprzyjemne. Zacznę więc od razu, dobrze?

Batmanow śmiejąc się potarł szyję:

- Trudno, już się nie wykręcę, skoro sam tego chciałem.

- Ziatkow mi mówił, w jaki sposób starasz się przejąć jego metody pracy. Umara także chwalił się, że uczy kierownika spawać rury.

- Co do tego, nie masz racji! - Batmanow podniósł się niezadowolony. - Lubię każdą mistrzowską robotę, więc świerzbią mnie do niej ręce! Ciągnie mnie, aby spróbować samemu!

- Przecież nie mam nic przeciwko temu! Rozumiem cię doskonale, to bardzo ludzkie!

- Metoda Ziatkowa przyda się i na innych odcinkach. To samo dotyczy Umary.

- Tak, chcę właśnie o tym mówić! Nie ograniczaj, proszę, rozpowszechniania dobrych sposobów pracy do osobistych pokazów. Nie jesteś Piotrem Pierwszym i czasy nie są tamte. Jeśli zechcesz, wspólnie zorganizujemy propagandę techniczną na budowie! Z rozmachem, jak trzeba! Puszczinowi każemy wypuścić ulotki o Umarze, o Machowie... Wyznaczymy instruktorów stachanowskich metod pracy, tego właśnie Ziatkowa i Pietrygina. Zaczniemy przygotowywać narady stachanowców, najpierw na odcinkach, potem ogólne dla całej budowy. Zrobione?

- Zrobione, towarzyszu partorgu - powiedział Batmanow i wyciągnął zapalniczkę. - Teraz możesz wypalić trzy papierosy z rzędu... A za komplementy nie podałbym ci nawet ognia. A może poczęstować cię herbatą?

Pili herbatę i w milczeniu wymieniali przyjacielskie spojrzenia.

- Pozwól mi, Wasiliju, poruszyć jeszcze jedną sprawę delikatnej natury. Można?

Batmanow skinął głową.

- Słucham...

- Domyśliłem się, że chcesz usynowić Gienkę Pankowa.

Batmanow nadstawił ucha i odsunął szklankę z herbatą.

- Czy nie pochwalasz tego?

- Dlaczego miałbym nie pochwalać? Chcę cię jedynie po przyjacielsku uprzedzić. Wiesz o tym, że usynowiłem Lońkę. Ale Lońka zjawił się w mojej rodzinie, gdy miał trzy lata. Tymczasem Gienka ma już piętnaście. Jesteś teraz samotny i masz samotne serce... Nie zraź go do siebie.

- Myślałem o tym i wszystko rozumiem - Batmanow wstał i zaczął się nerwowo przechadzać.

- Pankow pozostawiał mu dużo swobody. To był mądry ojciec, potrafił z daleka kierować chłopcem.

- Ja także nie będę mu narzucać ani swojej woli, ani uczuć.

- Słusznie, Wasiliju, wpływ twój musi być niedostrzegalny. Będziesz musiał panować nad sobą, dopóki nie przyzwyczai się do ciebie jak do ojca.

- Biedactwo, tak mi go żal! - westchnął ciężko Batmanow. - Wczoraj wpadłem do telefonistów i zobaczyłem go... Stoi na ganku i tak gorzko płacze. Można oszaleć!

Batmanow usiadł i objął głowę rękami.

Kierownik budowy i partorg nie powrócili zaraz do swoich obowiązków. Załkind postanowił wezwać do siebie ludzi z odcinka.

- Pracuj tutaj - zatrzymał go u drzwi Batmanow. – Nagromadziło mi się mnóstwo listów, poleceń i dyrektyw Komisariatu Ludowego; w ogóle w ostatnich dniach zaniedbałem korespondencję. Będę bez sekretarza cichutko przeglądać papiery, aby ci nie przeszkadzać.

Siedzieli w dwóch przeciwnych kątach niedużego pokoju; każdy zajęty swoimi sprawami. Do Załkinda wchodzili kolejno robotnicy odcinka, komuniści i bezpartyjni. Batmanow wyjął z grubej teczki papiery i przeglądał je w milczeniu; pisał wnioski, robił uwagi, szybko i bez poprawek szkicował depesze i listy. Wrażenie po rozmowie z Załkindem jeszcze nie minęło, spoglądał na partorga i mimo woli przysłuchiwał się jego rozmowom z wezwanymi.

Wszedł Karpow. Batmanow na podstawie pytań próbował zorientować się, po co partorg go wezwał. Karpow oglądając się na Batmanowa i ściszając głos z przejęciem opowiadał o pracach na lodzie. „Michał przewiduje, że właśnie Karpow zostanie wybrany sekretarzem partyjnej organizacji, więc jeszcze raz chce mu się przyjrzeć” - pomyślał Batmanow.

- Iwanie Łukiczu, po drodze zajechałem do Dolnej Sazanki i widziałem się z twoimi ziomkami - powiedział partorg. - Wspominali o tym, jak się z tobą rozstawali, i żałowali, że powstał między wami konflikt. Wydaje im się, że powinieneś odezwać się pierwszy. Czy nie czas, żebyś rzeczywiście napisał list? Pisz tak, jakby w ogóle nic nie zaszło...

Karpow uśmiechnął się.

- O nie, niech już oni pierwsi do mnie napiszą. Całą rodzinę poruszyli, liczyli na to, że się nastraszę i zrezygnuję z pracy na budowie... Dobrze, pomyślę, może i sam napiszę. Jesteśmy bliskimi sobie ludźmi i z powodu sprzeczki się nie rozstaniemy.

Po Karpowie partorg wezwał Gonczaruka i Umarę. Później zjawił się Smorczkow. Po nim Kowszow. Batmanowa zaskoczył surowy i suchy ton, jakim Załkind zwrócił się do Aleksieja. Zwykle Michał odnosił się do inżyniera z ojcowską serdecznością.

- Dlaczego zatrzymaliście Smirnowa, towarzyszu Kowszow? Zgodnie z moim osobistym zleceniem już od pięciu dni powinien być w Nowińsku w seminarium.

- Michale Borisowiczu, Smirnow jest mi bardzo potrzebny. Sami przecież wiecie, że w tej chwili mamy gorączkową robotę nad cieśniną. Tatjana sama nie da sobie rady. Ostatecznie nie stanie się nic strasznego, jeżeli Smirnow opuści seminarium.

- Jestem zmartwiony waszą ciasną praktycznością - powiedział Załkind. - Dawniej nie spostrzegałem tego u was. Już czas, żebyście wiedzieli, że żadne okoliczności nie mogą przeszkodzić w szkoleniu partyjnym. Wiedziałem, że roboty w cieśninie nabrały już rozmachu i pomimo to dałem nakaz, żeby wysłać do Nowińska z waszego odcinka Smirnowa i jeszcze trzech towarzyszy. Za tych ostatnich odpowie Rogow, za Smirnowa - wy. Z jakiej racji zdecydowaliście się nagle wtrącać w nieswoje sprawy?

- Uzgodniłem tę kwestię z kierownikiem budowy. - Aleksiej był zaskoczony surowością partorga.

- Towarzysz Batmanow postąpił w tym wypadku niesłusznie - twardo powiedział Załkind. - Nie powinien był zmieniać rozporządzenia partorga budowy. Ale interesuje mnie, przyznam się, a nawet oburza wasza nieoczekiwana inicjatywa. W ostatecznym razie mogliście porozumieć się ze mną, nie zwracając się do kierownika budowy.

Kowszow, wyraźnie zbity z tropu, spojrzał na Batmanowa szukając w nim poparcia.

- To prawda, zgodziłem się na zatrzymanie Smirnowa - przyznał Batmanow. - W ten sposób niesłusznie poparłem wasze stanowisko, towarzyszu Kowszow. Naprawicie niezwłocznie mój i swój błąd, niech Smirnow jedzie się uczyć.

Aleksiej stał przy stole kręcąc w rękach taśmę. Nie chciał wyjść, póki nie wytłumaczy się przed Załkindem.

- Stało się rzeczywiście niedobrze - powiedział strapiony. - Proszę, nie tłumaczcie sobie tego fałszywie. Wcale nie chciałem was dotknąć, Michale Borisowiczu. Zagadnienie wydawało mi się bardziej proste, niż jest w istocie.

- To kiepskie tłumaczenie - przerwał mu Załkind. - Skończmy już rozmowę na ten temat. Zapamiętajcie sobie moje uwagi na przyszłość - to wszystko.

Kowszow niechętnie wyszedł. Załkind roześmiał się, twarz jego przybrała od razu wyraz dobroci.

- Widzę, że jednak przeszkadzamy sobie wzajemnie. Widocznie nie powinniśmy siedzieć w jednym mateczniku.

- Postarajmy się choćby na dziś pohamować temperamenty i nie przenosić się do różnych mateczników - tym samym żartobliwym tonem odpowiedział Batmanow.

Wrócili do pracy. Zapukawszy do drzwi wszedł Kondrin. Partorg wezwał go, żeby się dowiedzieć, jak się przedstawia sprawa dobrowolnych składek na eskadrę samolotów „Budowniczy naftowego rurociągu". Załkinda interesowała również opinia starszego buchaltera o Mierzlakowie; chciał wiedzieć, w jaki sposób zdołano dowieść, że były kierownik popełniał jakieś nadużycia.

Kondrin w pierwszej chwili był zmieszany, ale szybko opanował się i logicznie, ze spokojem zaczął odpowiadać partorgowi. Batmanow znów oderwał się od papierów i z boku przypatrywał się starszemu buchalterowi. Kondrin i teraz nie podobał mu się, jakkolwiek okazało się, że jest niegłupi i rzeczowy. Zachowywał się poprawnie, ale raził jego służalczy ton w odpowiedziach.

„Czyż antypatia może być wywołana jedynie nieprzyjemną powierzchownością i czyimiś nie uzasadnionymi podejrzeniami?" - zapytał siebie Batmanow. Rzucił przy tym spojrzenie na partorga. Tego charakteryzowała nawet powierzchowność: otwarta, śmiała twarz, szczere spojrzenie, swobodne ruchy.

- Wasilij - zawołał Załkind wyprawiwszy Kondrina. - Nie sprzykrzyła ci się twoja kancelaria? Chodź, przejdziemy się po odcinku. Przypominam ci, że mamy dziś wręczyć Czerwony Sztandar zespołowi Umary Mahometa, a Machowowi proporczyk i czerwony pokrowiec na samochód.

Kondrin mimo woli przestraszył się, gdy usłyszał, że wzywa go Załkind. Przez głowę przemknęła mu myśl, że Sieriogin nie dotrzymał słowa. Szedł do Załkinda z zamiarem przyznania się do winy. Ale okazało się to niepotrzebne: rozmowa była rzeczowa i spokojna. Mimo to Kondrin zauważył, że partorg uporczywie mu się przygląda. A może tak się przygląda wszystkim nowym ludziom? Sam fakt spotkania z Załkindem wzburzył go do ostateczności. Posiedział trochę w kantorku, potem poszedł przejść się po budowie i niepostrzeżenie znalazł się obok warsztatu mechanicznego, w którym pracował Sieriogin.

Kabina mechanika była odgrodzona świeżymi deskami od wspólnego, jeszcze nie ukończonego warsztatu. Sieriogin siedział na jakiejś żeliwnej części maszyny i nucąc jakąś melodię spoglądał na rozłożony na podłodze duży rysunek. Dopiero co naszkicowali z Filimonowem schemat ważnej części pompy, z którym Filimonow pobiegł do Beridzego. Pochłonięty pracą Sieriogin nie zauważył Kondrina. Ten kopnął jakąś metalową część maszyny, która mu się nawinęła pod nogi, i zaklął.

- Pracujesz i śpiewasz, psi mechaniku, co? - zapytał oburzony.

Sieriogin nie odpowiedział, przysunął do siebie odepchnięty przedmiot i ponownie wpatrzył się w rysunek. Na jego twarzy zjawił się wyraz uporu.

Kondrin z jeszcze większą zaciętością, nie oszczędzając nogi, powtórnie odepchnął część maszyny i schwycił Sieriogina za kołnierz.

- Czegoś się przyczepił, czego się wściekasz? - wyrywał się Sieriogin. - Idź do diabła!

- O nie, Koniku, mnie do diabła nie wyślesz - syczał Kondrin szarpiąc go. - Jesteśmy ze sobą związani sznureczkiem, mamy jedną drogę. Nie uciekniesz ode mnie do Załkinda. Ode mnie tylko jedna droga - do mogiłki. Ułożę cię w nią z komfortem, bądź spokojny.

- Daj spokój, zawołam ludzi! - krzyknął głucho Sieriogin, przerażony straszliwie wykrzywioną twarzą Kondrina.

Kondrin wsunął głowę w ramiona, obejrzał się i puścił mechanika. Sieriogin, masując szyję, przeszedł do stojącej przy oknie tokarki.

- Widzę, że dałeś się przekabacić i chcesz mnie sprzedać za trzydzieści srebrników. Nie zapominaj, Koniku, że jesteś przecież takim samym aresztantem jak i ja.

- Nie jestem aresztantem, jestem wolnym człowiekiem. Ja swoją winę odkupiłem.

- Bzdura! Nie zetrzesz piętna, będziesz z nim chodzić wszędzie.

- Czego chcesz ode mnie? Przecież nikt cię nie rusza.

- Chcę wiedzieć, czy to nie ty zwróciłeś na mnie uwagę partorga! Coś za bardzo mi się przypatruje.

- Nic nie mówiłem, ale jeżeli będziesz się czepiać, to powiem. Nie wierzę, że stałeś się uczciwym człowiekiem. Łobuzem byłeś, łobuzem zostaniesz.

Jednym skokiem Kondrin znalazł się przy mechaniku.

- Piśnij jeszcze słówko, a nie dośpiewasz swojej piosenki. - Trzymał nóż przy piersi Sieriogina.

- Słowa do ciebie nie można powiedzieć - wymamrotał Sieriogin patrząc znieruchomiałymi oczami na nóż.

- Myśl o tym, co mówisz! - Zadowolony z wywołanego wrażenia Kondrin schował nóż. - Znasz mnie, Koniku, jeszcze jedno słowo na przekór - a tak cię „urządzę”, że popamiętasz!

- Czegoś się na mnie tak zawziął, co ci zrobiłem? Siedzę i pracuję.

- „Pracuję” - przedrzeźniał Kondrin. - Jaki się znalazł entuzjasta, osioł!

Sieriogin spojrzał na buchaltera z wściekłością, ale się pohamował. Kondrin usiadł na stołku i zapalił papierosa. Przypominał sobie szczegóły rozmowy z Załkindem i zgrzytał zębami. Nagle oprzytomniał i zerwał się z miejsca.

- Pamiętaj, Koniu, o swoim słowie... Pamiętaj we śnie i na jawie, jeśli ci życie drogie - rzucił Sierioginowi na odchodnym.

Wkrótce powrócił do warsztatu Filimonow. W drzwiach spotkał Kondrina. Zauważył, że Sieriogin był zgnębiony; nie było w nim ani śladu niedawnego ożywienia. Bez zainteresowania przyjął wiadomość, że Beridze otrzymał depeszę od Tieriechowa, dyrektora fabryki w Nowińsku, który zgodził się przygotować brakujące części pomp.

- Co macie wspólnego z Kondrinem? - zapytał Filimonow. - Jakie was łączą sprawy? Ani wiekiem, ani specjalnością nie pasujecie do siebie...

- Żadnych spraw z nim nie mam - odparł szybko Sieriogin. - To mój stary znajomy, nieraz tu wpada, tak po prostu, aby pogawędzić...

Wypowiedziawszy te słowa mechanik stropił się: przecież Kondrin zabronił mu nawet wspominać o ich starej znajomości...

5. Powszednie dni budowy

Na lodzie cieśniny równolegle do przerębli o poszarpanych brzegach, utworzonej przez wybuch, leżały na niskich drewnianych podkładach stykające się końcami trzy sekcje rurociągu. Jak czarna strzała wyciągnęły się od brzegu daleko ku linii horyzontu.

Dziesiątki robotników pod kierunkiem Gonczaruka pilnie oczyszczały rury z rdzy i młotowin. Praca była ciężka i męcząca. Od dzikiego jazgotu i zgrzytania bolały uszy, w powietrzu unosił się żrący, rdzawy pył. Ale za to pod poruszającymi się w tył i naprzód metalowymi skrobaczkami i szczotkami w kształcie sierpa czarna rura zmieniała się w oczach - rozjaśniała się, stawała się brązowa, w końcu czerwonawa! Przy szczotkowaniu pył już nie powstawał. Gonczaruk był bardzo wymagający, nawet gderano na niego:

- Cacko chce zrobić z rury...

- A przecież i tak ją będą smarować.

I rzeczywiście, korzystając z cieplejszej pogody robotnicy od prac izolacyjnych, wysmoleni, obficie pokrywali oczyszczony rurociąg gorącą, czarną masą, podobną do dziegciu. Tę masę - roztopioną smołę z pewnymi domieszkami - warzono w wielkich kotłach tuż obok na lodzie. Rurę pokrytą warstwą smoły szczelnie owijano jutową tkaniną i raz jeszcze powlekano smołą. Tylko szwy na stykach pozostawiono bez izolacji - przed zanurzeniem sekcji należało sprawdzić jej szczelność.

Spawacze przyłączyli do rurociągu rurkę o małej średnicy w celu doprowadzenia powietrza z kompresora. Z obu stron zatknięto sekcję na głucho grubymi jak telegraficzny słup drewnianymi kołkami. Uruchomiono kompresor, który zaczął wtłaczać powietrze do wnętrza rurociągu. Beridze i Aleksiej stojąc przy kompresorze obserwowali ciśnienie na manometrze. Gdyby ciśnienie spadało, oznaczałoby to, że jeden lub kilka szwów spawania przepuszcza powietrze.

Umara i Kiedrin stali tuż obok. Umara z natężeniem obserwował inżynierów, gotów w każdej chwili się wtrącić. Kiedrin przybrał obojętny wyraz twarzy, jednak także się denerwował i nie odchodził ani na chwilę. Ale obawy spawaczy były płonne - próba wypadła dobrze. Kowszow polecił wypuścić powietrze z rurociągu, wykonać izolację styków i przygotować sekcję do zatopienia w cieśninie.

Szkoda, że nie ma Batmanowa i Załkinda, zobaczyliby, jak będziemy urządzać pogrzeb „trąbie”! Nie doczekali się - żałował Karpow.

Aleksiej niecierpliwie machnął ręką. Teraz myślał tylko o rurociągu, który miał być pogrążony w wodzie.

Pomocnicy Karpowa uwiązali „trąbę” linami pośrodku do czterech traktorów, stojących w szeregu po drugiej stronie przerębli a na końcach - do dwóch dźwigów, z których jeden był ustawiony na brzegu, a drugi o pół kilometra dalej na lodzie.

Wszystko w tej odpowiedzialnej operacji było przemyślane i przygotowane wcześniej i teraz pogrążanie sekcji szło prędko na sygnały podawane przez Aleksieja, który stał z sekundomierzem w ręku.

Kowszow podniósł rękawicę, traktory zaryczały i ruszyły szeregiem w kierunku od przerębli. Liny dźwięcząc wyprężyły się i pociągnęły za sobą czarną, tłusto połyskującą rurę po wcześniej ułożonych na lodzie podkładach. Trzeszczały dźwigi zwijające liny boczne.

Rurociąg z głuchym hukiem zbliżał się do przerębli. Aleksiej w zdenerwowaniu, nie wiedząc nawet o tym, zginał się i przysiadał, jakby to jego samego ciągnął ogromny ciężar metalowej rury.

Prostując się raptownie inżynier znów dał znak rękawicą. Traktorzyści w jednej chwili odczepili liny i rurociąg załamując brzeg grubego lodu zniknął pod wodą wzbijając nad przeręblą mętnozieloną falę. I zaraz wypłynął na powierzchnię.

- Świetnie! - z ulgą zawołał Silin. - Bałem się, że pozrywa wszystko i zatonie. Ależ tęga rura! Aż dziwne, że stalowa i taka ciężka, a nie tonie.

- Jest wewnątrz pusta i dlatego nie tonie. I dźwigi ją utrzymują na linach - objaśniał Karpow zebranym wokół niego robotnikom. Niedawny rybak teraz przejęty był i czuł się jak solenizant. - Teraz trzeba ją utopić. Jakie to wszystko ciekawe!

- Zaprzestać rozmów, wrócić na miejsca! - krzyknął Aleksiej oglądając się z niepokojem - dopiero teraz spostrzegł zwarty tłum na lodzie.

Na komendę Kowszowa końce rurociągu zostały uniesione dźwigami nad powierzchnię wody. Wyciągnięto drewniane zatyczki. Na koniec zwrócony ku brzegowi nałożono metalową siatkę.

- Pogrążać! - krzyknął Aleksiej.

Dźwig na brzegu zatrzeszczał opuszczając stopniowo linę. Rurociąg zaczął jednym końcem szybko pogrążać się w wodzie, ze sterczącego nad wodą drugiego końca z szumem uchodziło powietrze. Wkrótce została zatopiona cała sekcja. Tylko metalowa szyja sterczała z wody. Na wielkich saniach ściągano już tu drewniany domek-pudło; postanowiono przykryć tym pudłem wylot rurociągu, żeby na otwartym powietrzu nie utworzył się w nim lodowy korek.

- Leży na dnie takim oto łukiem - odpowiedział Karpow na zapytania robotników, którzy skupili się dokoła. - Teraz robota dla nurków.

Na brzegu Smiełow i jeszcze dwaj inni nurkowie przygotowywali się do zejścia pod lód, na dno cieśniny. Nurkowie trzymali w rękach elektryczne latarnie i metalowe lufy hydromonitorów, od których ciągnęły się grube węże do kompresora na brzegu. Znalazłszy się pod wodą zaczęli sprawdzać krok za krokiem, czy rura ściśle przylega do dna. Gdzie wykrywali nierówność terenu, tam zmywali ją potężnym strumieniem z hydromonitora.

Pierwszego dnia Smiełow przesadził w gorliwości i nurków wyciągnięto na lód wpół przytomnych. Sam zresztą potem przeleżał całą dobę. Często przybiegała do niego Tania Wasilczenko.

Powtarzała się stale ta sama rozmowa.

- Nie proś, nie zgadzam się - mówił nurek.

- Smiełow, bądźże człowiekiem. Przecież to dla dobra sprawy - nalegała Tania. - Powinnam osobiście kierować ułożeniem kabla w cieśninie.

- Jeszcze nie widziałem kobiet-nurków i nie chcę widzieć.

- Jestem przecież od ciebie silniejsza, ty dumny chłopie. Chcesz, to udowodnię...

- Nie teraz. Pozwól mi najpierw wyzdrowieć.

- A więc dogadaliśmy się? - znów zaczynała Tania.

- Nie! - ucinał Smiełow i odwracał się. - Nie przeszkadzaj mi w odpoczynku.

Tania wychodziła zdenerwowana.

W kilka dni później przedłużono rów na dnie o dalszy kilometr, na lodzie cieśniny przybyła czwarta sekcja, robotnicy od prac izolacyjnych czyścili i powlekali smołą trzecią sekcję, a drugą spuszczono do cieśniny. Sekcja ta zakorkowana z obu stron pływała po wodzie z uniesionymi na linach końcami.

Umara Mahomet otrzymał polecenie połączenia końców dwu sekcji - opuszczonej i pływającej. Potem dopiero można było drugą sekcję opuścić na dno. Z obu sekcji wyciągnięto zatyczki, oczyszczono dokładnie końce rur i na jedną z nich nałożono „motylkową” mufę - ogromny pierścień z wzorzystymi wcięciami; po czym przesunięto ją na razie na bok.

Umara spawał palnikiem gazowym stojąc na drewnianym pomoście spuszczonym na wodę. Na niespokojnej powierzchni cieśniny pomost chwiał się, bryzgi wody zalewały mu ubranie i twarz.

- Niech to diabeł weźmie! - złościł się spawacz.

- Odpocznij, Umara - radził Aleksiej. - Albo przerwij spawanie, a my pomyślimy, jak umocować pomost.

Spawacz nie odpowiedział. Położył się na tratwie pod stykiem uniesionych sekcji i skierował płomień w „sufit”.

Umara pracował na tratwie już przeszło dwie godziny, a do końca było jeszcze daleko. Spawacz był cały oblodzony i przestał nawet burczeć i wymyślać.

- Wychodź na lód, Mahomet! - rozkazał Kowszow.

Umara obrzucił go wściekłym spojrzeniem i wrzasnął:

- Nic nie rozumiesz, a krzyczysz! Nie można zostawiać, nie można!

Na szew nałożono mufę. Umara skierował palnik na wzorzysty występ mufy. Woda w cieśninie to wzdymała się, to opadała i rurociąg poruszał się jak żywy.

- Jakby oddychał - szepnął Karpow. - To wdech, to wydech...

Przy jednym z takich nagłych „wydechów” woda zakołysała się; stalowa machina poddając się jej drgnęła i lekko nacisnęła pomost. Drewniana tratwa przewróciła się i powietrze przeciął niebieski

płomień palnika. Umara został odrzucony wstecz i zwalił się do przerębli. Wszystko to stało się w jednej chwili. Jedynie Karpow nie stracił przytomności. Leżąc na lodzie trzymał spawacza za kurtkę. Mokrego i szybko obmarzającego Umarę chwycono za ręce i poniesiono na brzeg, aby się ogrzał.

Pomost został umocowany. Wszedł na niego Kiedrin i bez pośpiechu, ostrożnie dokończył spawania. Mufę oczyszczono i pokryto warstwą izolacyjną.

- Uwaga! - krzyknął Aleksiej.

Wszyscy odbiegli na bok.

- Pogrążać!

Środkowa część dwóch połączonych ze sobą sekcji rurociągu wzburzywszy wodę pogrążyła się w otchłani. Niebawem zatonęła cała druga sekcja, pozostał na wierzchu tylko jeden jej sterczący koniec.

- Dogoniliśmy harmonogram, Alosza - powiedział Beridze i dopiero w tym momencie zauważył, że ma oblodzoną brodę.

- Teraz musimy go wyprzedzić - odpowiedział Kowszow. Obejrzał się, obliczając, czy nie można by jeszcze czego dzisiaj zrobić.

- Nie uda się - roześmiał się Beridze zrozumiawszy to chciwe spojrzenie.

Istotnie, cienie kładły się już na ziemię, szybko zapadała zimowa noc, a z chwilą jej nadejścia przerywano na lodzie wszystkie roboty.

- Tu nigdy nie można poczuć się gospodarzem - poskarżył się Aleksiej. - Albo nagle w nocy lód oderwie się od brzegu, albo zajdzie coś jeszcze bardziej nieoczekiwanego. We śnie często widzę rozmaite zmory.

- Na razie cieśnina jest spokojna - stwierdził Beridze. - Ale śpieszyć się oczywiście trzeba.

Od brzegu dochodził gwizd syreny. To cichł, to znów wzmagał się aż do ryku. Zabłysły lampy oświetlając teren budowy i lodową drogę.

Inżynierowie wracali do domu. Dopiero teraz poczuli straszliwe zmęczenie, które jak nadmierny ciężar gięło ich ku ziemi, podcinało nogi.

- Mam wrażenie, że zaraz się położę - mówił Aleksiej. - Położę się i zasnę tu, na lodzie...

- Alosza, zapomniałem ci powiedzieć«. Dziś rano po zwykłym raporcie o postępie robót na odcinkach Grieczkin wszczął ze mną rozmowę o Żeni Kozłowej. - Beridze mówił powoli, leniwie, ledwie cedząc słowa.

- Czy stało się jej coś złego? - zaniepokoił się Aleksiej.

- Absolutnie nic! Tylko prosi, żeby ją tu do nas przenieść. Grieczkin mówi: „Kozłowa jest mi bardzo potrzebna w wydziale, ma także wiele roboty w organizacji komsomolskiej, ale jeśli sobie życzycie - puścimy ją na miesiąc czy półtora”.

- Co zdecydowałeś?

- Widzisz, Grieczkin krępował się mówić szczegółowo przez selektor, tylko znacząco podkreślił: „Powiedzcie Kowszowowi, że Żenia chce pracować w cieśninie; niech się zastanowi, czy ma

przyjechać czy nie". Ja, drogi Alosza, rozumiem to w ten sposób, że nasz odcinek o tyle tylko interesuje Żenię, o ile ty ją interesujesz... Jeśli możesz, powiedz, proszę, co cię z nią łączy...

- Z mojej strony - po prostu stosunek przyjacielski. Od początku do końca.

- A z jej strony coś więcej niż przyjacielski?

Aleksiej spojrzał badawczo na towarzysza.

- Tak. Gdy wróciliśmy z tobą z narciarskiej wycieczki, była chwila, że pod wpływem okoliczności omal nie przekroczyłem granicy zwykłego przyjacielskiego stosunku. Czułem się bardzo samotny, a Żenia mnie tak miło powitała i tak szczerze lgnęła ku mnie. Przemknęła mi wtedy przez głowę myśl, że przecież moja miłość do Ziny nie dozna ujmy, jeżeli obejmę dziewczynę i przytulę. Ale natychmiast zawstydziłem się tej myśli. Poczułem, że to właśnie zepsuje mi wszystko - i miłość, i całe życie, że przestanę być sobą. Zapanowałem nad sobą. Żenia, oczywiście, obraziła się na mnie. Odpowiedziałem jej coś sucho i w ogóle zepsułem nasze serdeczne spotkanie. Musiałem tak postąpić. Rozumiesz mnie?

- Rozumiem, bardzo dobrze cię rozumiem, Alosza...

- Nigdy bym sobie później nie darował tej chwili słabości. Moja ukochana żona jest na froncie, wśród niebezpieczeństw, a ja oto nie umiem opanować swoich chwilowych porywów. Byłoby to nieładnie i w stosunku do Żeni, która mnie naprawdę szczerze pokochała.

- Chodź, Alosza, niech cię uściskam. Jesteś zuch.

- O, zaraz ściskać - roześmiał się Aleksiej odsuwając się od Beridzego.

Tamten mimo to objął go i uścisnął.

- Żenia, moim zdaniem, nie powinna tu przyjeżdżać. To przyjemny człowiek, dobra pracownica - na pewno byłaby pożyteczna. Jednak lepiej żebyście byli osobno. I dla niej lepiej; nie widząc cię, szybciej się otrząśnie. Co ty na to?

- Masz zupełną słuszność. Rób, jak uważasz. No, dobrnęliśmy wreszcie...

Aleksiej z ulgą chwycił za klamkę drzwi ich domku. Marzył tylko o jednym: żeby jak najszybciej znaleźć się w łóżku.

Ostatni opuszczał cieśninę pomocnik Kowszowa w pracach na lodzie - Karpow. Wszystko oglądał, zapamiętywał, rozważał...

W domu czekał na niego Smorczkow, który wracając z dalekiego kursu do Adunu, otrzymał od rybaków list dla Karpowa.

- Dziękuję ci - rzekł ściskając dłoń Smorczkowa.

Miął w ręku kopertę, ale jej nie otworzył. Rozebrał się, umył i poczekał aż szofer poszedł; dopiero wtedy zabrał się do czytania listu.

„Dlaczego milczysz, włóczykiju? - pytała go żona. - Jakbyś się zapadł pod ziemię! Ludzie mi nie dają spokoju: «Gdzie się podziewa Iwan Łukicz, czy jeszcze żyje i dlaczego o nim nie piszą w gazetach? Dopóki pracował w kołchozie, często o nim pisano». Nadeszła gazeta z Rubieżańska, o waszej budowie był cały artykuł, wymieniono sto nazwisk, a o tobie ani słowa. Może masz zamiar powrócić

do kołchozu? Ludzie wciąż są na ciebie oburzeni. Mógłbyś chociaż przyjechać na urlop, pokazać się... Łatwo cię na pewno puszczą, bo tam takich jak ty są setki, jeżeli wyjedziesz, nawet nie zauważą. Już naprawdę nie wiem, co z tobą robić! Po raz drugi wiążesz się z tą budową. Posunąłeś się już w latach, a wciąż jak chłopczyk wpraszasz się do szkoły. Córki zasyłają ci pozdrowienia. Ale ojciec milczy. Myślał, że nie zdecydujesz się na wyjazd, gniewa się. Właściwie i ja też powinnam się zawziąć i nie pisać. Ale jakoś mi żal. Pewnie i tobie nie jest tam dobrze...

Karpow przyglądał się kartkom listu, zapisanym energicznym pismem, gładził je pieszczotliwie i widział swój czysty dom, żonę i córki przy stole. Stary czyta głośno gazetę, wszyscy słuchają... Karpow wyciągnął zeszyt, wyrwał kartkę i zabrał się do odpowiedzi, aby już jutro wysłać list samochodem idącym przez Dolną Sazankę.

„Nie pisałem do ciebie, skoro mnie wyrzuciłaś i narobiłaś wstydu wobec Batmanowa. Nie będę jednak o tym wspominał - co było, to przeszło. Czuję, że mnie zrozumiałaś, choć jeszcze nie zupełnie. Czy byłoby ci lepiej, gdybym ni stąd, ni zowąd powrócił do kołchozu przed ukończeniem budowy? Masz rację, że takich jak ja jest wielu. We wsi byłem pierwszym chłopem, a tu jestem małym człowiekiem. Sama wiesz, jakie mam wykształcenie - wszystkiego siedem klas. Ale nie przejmuję się tym. Los zetknął mnie z mądrymi ludźmi, więc jestem rad, uczę się, wszystko sobie przyswajam. Nie wytykaj mi tego, że pragnę się uczyć, nie ma się czego wstydzić. Mamy tu inżyniera, Kowszowa Aleksieja Nikołajewicza, jestem jego pomocnikiem. Kiedy mamy wolną chwilę, inżynier uczy mnie matematyki i fizyki. Opowiadał mi raz o naczyniach połączonych (to takie urządzenie) i zażartował: „Jeden człowiek umie więcej, drugi mniej. I oto od jednego do drugiego przepływa nauka, jak woda w tych naczyniach... Prędko już i ty Iwanie Łukiczu, nauczysz się tyle, ile ja sam od profesorów w instytucie...” Żarty żartami, ale ja naprawdę nauczyłem się wiele od inżynierów. Bardzo zajmujące jest życie na budowie. Zobaczyłabyś, jak układamy rurociąg. Tego nie można opisać, trzeba zobaczyć na własne oczy...”

Zabrakło kartki więc Karpow wyrwał z zeszytu drugą. Pisał dalej, żeby się nie martwili, jeżeli nie wspomniano o nim w gazecie; to nie ma znaczenia, jeszcze na niego za wcześnie, kiedyś napiszą. Nawet na urlop nie może przyjechać; choć na budowie jest pracowników tysiące, każdy jest potrzebny i droga jest każda godzina. W zakończeniu zapraszał żonę, żeby go odwiedziła: „Zobaczysz sama i będziesz zdumiona. Droga nie jest zbyt daleka, wszystkiego dwieście kilometrów. Po trasie jeżdżą samochody, każdy cię podwiezie. Jeżeli postanowisz przyjechać, to ubierz się cieplej. Mocno ucałuj córeczki, bardzo tęsknię. Śnią mi się co noc...”

O pobycie Puszczina na odcinku dowiedziano się już następnego dnia: ukazała się pierwsza ulotka. Minęły jeszcze dwa, trzy dni i ulotki zaroiły się na odcinku jak w lecie mewy nad wybrzeżem. Bielały na pudłach samochodów ciężarowych idących w tajgę, na tryskających płomieniami aparatach spawalniczych, na dźwigających się stopniowo ścianach budynków, na rurach, które traktory wlokły po lodzie cieśniny.

Cichy i niepozorny, o bladej twarzy i błyszczących ciemnoniebieskich oczach, Puszczin okazał się energicznym, niezmordowanym pracownikiem. Szybko przeniknął wiele tajemnic odcinka, docierał niemal do każdego miejsca i drukował do dziesięciu ulotek na dobę. Szoferzy żartem nazywali ulotki „dodatkowym paliwem” - i tak naprawdę było. Kilku zdaniami potrafiły zagrzać ludzi, pchnąć ich na jeszcze jeden rejs, na jeszcze jedno spawanie trzech dodatkowych rur, na wydobycie jeszcze jednego metra sześciennego ziemi ponad normę. Bracia Piestowie rozpoczęli budowę czterech składanych baraków drewnianych i tegoż dnia Puszczin to ogłosił.

„Towarzysze robotnicy! - nawoływała któraś z kolejnych ulotek. - Dziś na dno cieśniny opuszczono trzecią sekcję. Wyprzedziliśmy harmonogram o pięć dni. W spawaniu kroczy na czele odznaczone Czerwonym Sztandarem ogniwo Umary Mahometa”. W innej ulotce znów zwrócił się do betoniarzy: „Brygada Pietrygina położyła dziś ponad normę pięćdziesiąt metrów sześciennych betonu pod fundament stacji pomp. Towarzysze betoniarze, starajcie się dogonić przodowników!”

Nikt więc się nie dziwił, że Umara Mahomet wysyłał sto razy dziennie swoich pomocników po nową ulotkę albo do innych ogniw spawaczy, żeby dowiedzieli się, czy ktoś nie wyprzedził go na budowie.

- Chcesz oddać sztandar Kiedrinowi? - krzyczał Umara i biegł do samochodu, gdzie obok spawarki czerwienił się sztandar z napisem: „Najlepszemu spawaczowi budowy”. - Nie chcę oddawać. Póki wojna nie skończyć, sztandar nasz.

Już trzy ulotki, w których wymieniono jego nazwisko, Umara przesłał braciom na front i do Kazania - do narzeczonej. W zamian żądał, żeby mu nadsyłali gazety, w których i o nich dobrze napisano.

Nikt się nie dziwił, że Smorczkow, wróciwszy z kolejnej wyczerpującej jazdy do końca trasy odcinka, wpadał do dyżurki i przede wszystkim zapytywał: „Ile rur ma Sołncew i Machow?”

Puszczin miał korespondentów z terenu budowy - były nimi setki oczu robotników oraz zespołowe, nieprzekupne sumienie. Dzięki ich pomocy nie tracił nic z pola widzenia, nie pomijał rzeczy dobrych, nie przebaczał - złych. Kiedy brygada drwali Siemionowa chciała „zrobić kant” próbując oddać dziesiętnikowi osiemdziesiąt metrów sześciennych drzewa za sto dziesięć - dzięki ulotce dowiedzieli się o tym wszyscy. „Hańba! - donosiła ulotka - w takiej chwili Siemionow postanowił oszukać kolektyw i państwo...” Kiedy w gotowej już czwartej sekcji rurociągu Karpow wykrył korek z watowanej kurtki szczelnie wciśniętej do rury, w ulotce uderzono na alarm: „Towarzysze! Są tu wśród nas wrogowie, którzy próbowali uszkodzić rurociąg w najważniejszym miejscu. Bądźcie czujni na każdym kroku i o każdej porze!”

Kolektyw żył sprawami ogółu, ulotki stały się życiową koniecznością, a redaktor pełnoprawnym i cenionym budowniczym przejścia przez cieśninę. Nikt go nie zwalczał ani za pochwały, ani za krytyki zawarte w ulotkach. Jednak raz Puszczin pomylił się podając niezbyt ściśle racjonalizatorski wniosek dziesiętnika Gonczaruka, dotyczący skrócenia czasu oczyszczania rurociągu od rdzy i korozji - i za to dostało mu się porządnie na naradzie produkcyjnej.

Wszystko w życiu odcinka stawało się niezawodnym dorobkiem wszystkich, nawet to, o czym Puszczin nie pisał. Ożywione, żartobliwe rozmowy spowodowała historia ochrzczona zjadliwie przez Sołncewa „ulotką, która nie wyszła z druku”.

Komsomolec Machow szybko wysunął się we współzawodnictwie szoferów na pierwsze miejsce. Kierownik budowy i partorg wręczyli mu czerwony pokrowiec na chłodnicę i proporczyk „Najlepszemu szoferowi”. Ani Smorczkow, ani Sołncew pomimo wszelkich wysiłków nie mogli dogonić Machowa. Było rzeczą zrozumiałą, że Puszczin często pisał w swoich ulotkach o najlepszym szoferze. Inni szoferzy zazdrośnie podkreślali szczególne zainteresowanie redaktora Machowem; zauważyli, że Puszczin nawet z powierzchowności podobny był do ich szczęśliwego kolegi: „Ma takie same kasztanowate włosy i niebieskie oczy”. Żartując nazywali ich braćmi.

Puszczin rzeczywiście darzył Machowa szczególną sympatią, częściej niż z innymi udawał się z nim na trasę i nawet w sypialni łóżka ich stały obok siebie. Przyjaźń ta nie wynikała z tego powodu, że Puszczin i Machow, jak się okazało, chodzili razem do szkoły w Błagowieszczeńsku, ale stąd, że redaktor był ujęty zaciekłością i uporem, z jakim jego rówieśnik walczył o pierwszeństwo.

Pewnego dnia, był to jeden z uciążliwych dni Machowa - gdy Smorczkow i Sołncew deptali mu po piętach, Puszczin zająwszy miejsce pomocnika w szoferce spędził z Machowem kilka godzin i podczas załadunku i wyładunku robił notatki do ulotek. I właśnie w czasie ostatniego rejsu stała się ta historia...

Okrążając bokiem ogromne lodowisko, które w wielu miejscach dochodziło aż do drogi, Machow wpakował się całym ciężarem obładowanego samochodu w miękką mieszaninę lodu i wody. Samochód zabuksował.

- Oto masz, spróbowaliśmy gorącej kawy u Musi - powiedział posępnie Machow, robiąc aluzję do niedawnej rozmowy z Puszczinem o oczekiwanym, bliskim odpoczynku.

Gdy Machow próbował wyciągnąć „nosorożca z błota" (jak ze złością dowcipkował), a Puszczin poszedł po robotników drogowych, którzy na trzykilometrowym odcinku budowali obejście drogi w bok od lodowiska - upłynęło sporo czasu i skończyła się benzyna. Robotnicy drogowi, przejęci wypadkiem, przybiegli i pomogli wyciągnąć samochód. Ale zaledwie Machow z Puszczinem przejechali kilometr, motor stanął: zabrakło paliwa.

- Diabeł nasłał to podłe lodowisko! - oburzył się Machow. - Pozostało półtora kilometra. Teraz Sołncew przeleci obok nas jak bystronogi jeleń. Co za wstyd! Wyśmieją mnie. Trzeba będzie oddać proporczyk.

- Przestań skomleć! - przerwał mu Puszczin. - Decyduj szybko, co jeszcze można zrobić.

- Leć do bazy po benzynę: piętnaście kilometrów - niewesoło zażartował Machow, który sam łamał sobie głowę, jak się wydostać z biedy. - Jeśli ci wypada jako redaktorowi i gdybyś jako przyjaciel chciał mi naprawdę pomóc, to... - zaczął nagle.

- Mów prędko, szkoda czasu - przynaglał go Puszczin.

- Kładź się na błotniku maszyny i wciągaj karburatorem ostatnie krople benzyny; może nam się uda w ten sposób jakoś dobrnąć. Tylko uważaj, żebyś nie odmroził ręki, musiałbyś później pisać nogą.

Puszczin bez słowa ułożył się na błotniku i robił wszystko tak, jak mu pokazał szofer. Samochód ruszył z miejsca i poszedł. Ręka Puszczina nie osłonięta rękawicą szybko obmarzła, zaczęła boleć, skostniała. W twarz uderzał lodowaty wicher. Zacisnąwszy zęby Puszczin „wyciskał" ostatnie krople paliwa. Samochód przeszedł osiem kilometrów i zatrzymał się ostatecznie.

- Złaź, przyjechaliśmy! - obwieścił Machow.

Puszczin zeskoczył z błotnika i pomknął z powrotem do robotników drogowych; walił jedną ręką o drugą, aby palcom przywrócić czucie. Robotnicy z zainteresowaniem obserwujący z daleka, jak się zakończy niefortunna jazda najlepszego z szoferów, sami biegli mu na pomoc. Resztę drogi, która na szczęście spuszczała się w dół, obciążony samochód przebył przy pomocy całej brygady, która go popychała rękami.

Wieczorem na kwaterze Smorczkow i Sołncew urządzili „rozgrywkę" ze swoim współzawodnikiem, który i tym razem był pierwszy. Przy udziale wszystkich szoferów Sołncew komponował na głos artykuł pod tytułem: „Jak za czasów babuni". W artykule była mowa o tym, że szofer Machow wynalazł sposób przewożenia rur ciężarówką bez paliwa - przy pomocy brygady złożonej z trzydziestu ludzi i jednego redaktora w charakterze dodatku do karburatora.

Puszczin leżąc na pryczy kołysał swą obwiązaną ręką, która mocno mu dokuczała, i milcząc uśmiechał się. A Machow dobrodusznie odcinał się żartami.

Puszczone w ruch przez Batmanowa koło życia na cieśninie obracało się coraz szybciej. Przechodni Czerwony Sztandar zarządu, którym wyróżniony był z początku kolektyw Chłynowa, a później odcinek Tiomkina - przywieziono na cieśninę i wręczono Rogowowi.

Beridze, który potrafił w ciągu dnia odwiedzić wszystkie obiekty, nieraz się dziwił, jak prędko zmienił się ten dziki „kraniec świata”. Jeszcze nie wykończone nowe domy u podnóża wzgórz, zasłaniające nędzne baraki Mierzlakowa, utworzyły długą, wesołą ulicę. Środek placu, najbardziej widoczne miejsce, zajmowała budowa stacji pomp - serce rurociągu; zakładano tu już fundamenty. Na prawo od przyszłej stacji pomp koparka wybierała ziemię pod ogromne zbiorniki. Obok stał gotowy, metalowy zbiornik, tutaj też nitowano drugi. Z przeciwnej strony stacji pomp rozpościerała się „przemysłowo-energetyczna baza odcinka”: elektrownia, garaż i warsztat mechaniczny. Lodową drogą poprzez cieśninę samochody przewiozły już wiele ładunków. Kowszow i Topolew posunęli się do środka cieśniny i nadchodził czas przeprawy na wyspę, aby od tamtej strony układać dalej rurociąg. Na budowie prawie całą dobę panował zgiełk: basowo warczały samochody, trzeszczały traktory, piszczały piły tarczowe, bębniły urywanie pneumatyczne młotki. W tym gwarze ginęły setki ludzkich głosów.

Myśli Beridzego coraz częściej kierowały się ku wyspie: zbliżała się chwila skoku na nią całą potęgą nagromadzoną przez kolektyw. Rogow nastawał co dzień: kiedy nareszcie? Do niedawna jeszcze uważano przejście przez cieśninę za najtrudniejsze zadanie (i teraz jeszcze na całym terenie budowy nie ustawała walka z przyrodą) - ale naczelny inżynier traktował już odcinek lądowy jako przedpole do szturmu na wyspę.

Samolotem wysłał do Konczełanu Kotlariewskiego z kilkudziesięcioma robotnikami, żeby dokonali przeróbek na stacji pomp na wyspie. Technik Czernow z brygadą teletechników ruszył na wyspę, aby snuć w tajdze metalową pajęczynę łączności. Ale to był zaledwie jakby wywiad bojowy.

Po wyjeździe Batmanowa Beridze stał się jedynym gospodarzem krańcowych odcinków, na których urządził się na czas dłuższy. Dni upływały mu na bezustannej współpracy z setkami robotników i na walce z przeciwnościami, które wyłaniały się bez końca. Na kwaterze brygady łączności wyznaczono Beridzemu oddzielny pokój - tu w sąsiedztwie z Tanią zorganizował sobie sztab i mieszkanie, tu słychać było głosy całej trasy. Nie dane mu było ani na jeden dzień zapomnieć o obowiązkach naczelnego inżyniera budowy. Na wszystkich odcinkach wciąż wyłaniały się różne techniczne zagadnienia - decyzje rzadko zapadały bez niego. Nie było łatwo łączyć bezpośrednią pracę na odcinku z technicznym kierownictwem całej budowy. Nawet sny jego były jakby przedłużeniem dnia pracy. Słuchał we śnie raportu Grieczkina o sytuacji na odcinkach; wymyślał przez selektor Mielnikowowi, że nie pozwala rozpoczynać spawania; biegł na lód cieśniny, żeby skontrolować, jak opuszczają kolejną sekcję rurociągu, to znów głowił się razem z Filimonowem nad jakąś tajemniczą częścią pompy, schodził do wykopów ziemnych, żeby zdecydować, czy nie czas już zakładać w przyszłym zbiorniku warstwę nie przepuszczającą ropy, płynnego, czarnego złota.

Ale choć waliło się na niego wiele trosk i kłopotów, Beridze nie tracił ducha i równowagi.

- Spokojnie, spokojnie, przyjacielu - mówił, kiedy przychodzili do niego ludzie zrozpaczeni, że to lub tamto się nie udaje. - Trzeba tylko dobrze wiedzieć, czego się chce, a wtedy na pewno osiągniesz swój cel. - To było jego ulubione powiedzenie.

Beridze należał do tej kategorii radzieckich ludzi, którzy działają tym pewniej i dochodzą do celu tym szybciej, im trudniejsze są warunki pracy. Nawet wówczas kiedy go dosłownie rozrywano na

wszystkie strony, nie opuszczała go równowaga. Co prawda, nieraz wybuchał nawet bardzo ostro, ale szybko odzyskiwał pogodę i stawał się szczególnie dobry, nawet czuły wobec tego, kogo skrzyczał przed godziną.

Kowszow i Topolew byli jego oddanymi pomocnikami. Beridze potrafił pozostawiać im inicjatywę. Upór i niestrudzona energia Aleksieja znajdowały równie dobre zastosowanie jak encyklopedyczna wiedza Topolewa w dziedzinie budownictwa.

Wszystko obchodziło Beridzego na tym skrawku radzieckiej ziemi, wolał jednak oddawać się temu, co zwykł nazywać techniczną twórczością. „Jak to wspaniale, kiedy nauka ma bezpośredni wpływ na życie" - z zapałem mówił Gieorgij Dawydowicz. Nie przestawał uprzedzać ciągle inżynierów i budowniczych o niebezpieczeństwach odwiecznej marzłoci. Ucieszył się niemal, kiedy marzłoć dała znać o sobie po raz pierwszy - teraz ludzie własnym doświadczeniem będą mogli przekonać się o słuszności jego przewidywań.

Któregoś dnia, wczesnym rankiem, przybiegł do niego wzburzony Umara Mahomet.

- Towarzyszu Beridze, katastrofa, nieszczęście, prędko pomagaj!

W kwaterze spawaczy, wprost spod podłogi chlusnął nieoczekiwanie potężny strumień lodowatej wody, ludzie ledwie zdążyli wyskoczyć na dwór. Woda zapełniała szybko kwaterę, przelewała się przez okna i drzwi. Beridze zastał na miejscu duży tłum ludzi przyglądających się w rozterce niezwykłemu zjawisku: drewnianemu barakowi wypełnionemu lodem. Błyskawicznie zamarzając woda potworzyła wokół domu dziwaczne wodospady. (Ktoś nazwał je zaraz „lodospadami").

- Jak woda dostał się do domu? Skąd się wziął? Dlaczego do nasz dom, a nie gdzie indziej ? - dopytywał się swarliwie Umara.

- Moi drodzy, to typowa sprawka odwiecznej marzłoci - wyjaśniał Beridze robotnikom. - Teren pod kwaterą nagrzał się mocno ciepłem pomieszczenia. I jaki efekt? Nieprzenikliwa, odwieczna marzłoć w głębi i zamarzająca coraz bardziej górna warstwa ziemi ścisnęły wody podskórne, a te szukając ujścia na powierzchnię znalazły je w tym właśnie przegrzanym miejscu. Można uniknąć takich nieprzyjemności. Należy budować pod domami chłodne piwnice; wtedy ciepło mieszkań nie będzie miało wpływu na przemarznięty grunt.

- Dom wasz, jak pompa, wyciągnął wodę z głębi ziemi - dodał Topolew, który przyszedł zaraz za Beridzem i opowiedział wypadek, jaki miał w swojej praktyce: ni stąd, ni zowąd nagle na środku dziedzińca powstało lodowisko. Okazało się, że woda podskórna przebiła ziemię w miejscu, w którym stała odwrócona do góry dnem pusta beczka; spełniła ona zadanie pompy: pod nią właśnie ziemia przemarzła w mniejszym stopniu niż dokoła.

- Gdzie będziemy mieszkać? Potrzebny kwatera - Umara patrzył strapiony na zniszczone pomieszczenie.

- Nie martw się, będzie kwatera - obiecał Beridze.

Po upływie tygodnia zdarzyło się znowu coś dziwnego: w piekarni zaczął osiadać piec, a po trzech dniach prawie całkowicie zapadł się w ziemię. Rogow zarządził, aby na górnej części zawalonego pieca ustawić nowy.

- Aleksandrze Iwanowiczu, zmieńcie wasze zarządzenie - polecił Beridze Rogowowi.

- O co chodzi, Gieorgiju Dawydowiczu? Przecież trzeba gdzieś wypiekać chleb, a ten przeklęty piec runął do piekieł.

- Chodzi o to, że pod piekarnią leży warstwa odwiecznej marzłoci - czyli mieszanina ziemi i lodu. Od ciepłego pieca lód stopniał, w dole powstało grzęzawisko. Następny piec zapadnie się również. Oto jeszcze jeden przykład niedopatrzenia budowniczych, naszych poprzedników. Będziemy zmuszeni budować nową piekarnię i obmyślić coś, żeby uspokoić panią Odwieczną Marzłoć.

Innym znów razem Beridze poprowadził Aleksieja i Topolewa, żeby obejrzeli jeden z baraków, otrzymanych w spadku po Mierzlakowie. Podłoga w baraku była wyraźnie pochylona, drzwi otwierały się z trudem.

- Oto jeszcze jeden figiel odwiecznej marzłoci, Alosza - pokazywał Beridze. - Na tamte dwa węgły budynku napierają od dołu siły pęcznienia, to znaczy siła rozszerzania się lodu w głębi. Siły te podnoszą budynek z jednego boku, jakby go usiłowały przewrócić. Barak rozpadnie się po roku. Dobrze, że jest w ogóle licho zbudowany i przeznaczony na rozbiórkę, bo byłaby szkoda. Cóż to za kanalia ta odwieczna marzłoć!

Topolew, który zawsze miał w zapasie mnóstwo wypadków z praktyki, nie wytrzymał:

- Przed dziesięciu laty wypadło mi wyjechać w zimie na Syberię z pewną komisją techniczną - sprawdzaliśmy stan mostów kolejowych. Wyobraźcie sobie, spośród stu mostów zbadanych na wytrzymałość dziewięćdziesiąt było podniesionych na trzy centymetry wskutek tego samego pęcznienia. Co za kanalia? - powtórzył pytanie. - Nasycona wilgocią górna warstwa ziemi rozszerza się w zimie od chłodu, ale w dół nie może, bo tam stoi jak ściana odwieczna marzłoć; dlatego poszerzenie idzie ku górze i ziemia zaczyna pęcznieć.

Aleksiej nie spotykał się dawniej z podobnymi zjawiskami i uważał, że Beridze wyolbrzymia niebezpieczeństwo marzłoci. Teraz zrozumiał, że naczelny inżynier miał sto razy rację, kiedy kazał mu w Nowińsku przerabiać projekty fundamentów wszystkich murowanych budynków.

Przy budowie stacji pomp trzeba było stawiać fundamenty zgodnie ze wskazówkami Beridzego na głęboko wbitych w ziemię palach. Zamarznięta ziemia była twarda jak skała i trzeba było nadludzkich wysiłków, żeby wbić choć jeden pal. Ziatkow w imieniu wszystkich robotników zwrócił się do Beridzego.

- Czy konieczne są te pale? - zapytał stary kopacz pokasłując w rękawicę. - Straszną z nimi mamy mękę, z sił opadamy przy tej robocie. Jeśli nie można się obyć bez pali, to przynajmniej powiedzcie, po co one są. Pozbędziemy się chociaż naszych wątpliwości.

I znów Beridze musiał wyjaśniać robotnikom:

- Nasz teren budowlany leży na warstwie odwiecznej marzłoci, a z nią nie ma żartów, ona bezlitośnie mści się na lekkomyślnych ludziach. Czy będzie wam przyjemnie, gdy po upływie roku w budynku stacji pomp powstaną pęknięcia, a w latach następnych - wszystko zacznie się walić? Robotnicy-nafciarze, którzy przyjdą tu, gdy skończymy budowę, przeklną nas wtedy.

- Tego nikt z nas nie chce. Musimy budować wzorowo - powiedział Ziatkow.

- I ja tak myślę - podchwycił Beridze. - Radzieccy uczeni i inżynierowie stworzyli zupełnie nową dziedzinę nauki, która wyjaśnia tajemnice odwiecznej marzłoci - i pomaga z nią walczyć. Ta nauka zaleca nam, budowniczym, dwie metody wznoszenia budynków w miejscu, gdzie się znajduje odwieczna marzłoć. - Ludzie słuchali uważnie. Rozmowa z nimi sprawiała Beridzemu przyjemność. - Albo odwieczna marzłoć pod budynkiem musi być zachowana, albo jest świadomie niszczona. Jeśli warstwa marzłoci sięga głęboko, a budynek nie będzie wytwarzać zbyt dużego ciepła, staramy się zachować reguły budowy na gruntach przemarzniętych: stosujemy do budowy fundamentów

materiały o złym przewodnictwie cieplnym i budujemy piwnice z wentylacją. Natomiast jeżeli warstwa marzłoci nie jest zbyt gruba, a budynek będzie wydzielać dużo ciepła, należy pomyśleć o tym, aby fundamenty po roku lub dwóch nie znalazły się na odmarzniętej ziemi. Wówczas stawiamy fundamenty na palach, które sięgają do gruntu znajdującego się poniżej warstwy odwiecznej marzłoci. Przy takich fundamentach podstępna marzłoć nie jest straszna. Cokolwiek by się z nią działo, i fundamenty, i sam budynek będą trzymały się na palach mocno i pewnie. Dlatego właśnie musimy je wbijać w ziemię.

- Okazuje się, że to sprawa poważna - rzekł Ziatkow. - Będziemy więc wbijać pale. Zastanówmy się, chłopcy, razem, jakby ułatwić tę pracę.

- Ze swojej strony obiecuję takie wspólnie z inżynierami coś obmyślić.

Topolew zaproponował, żeby gniazda pod pale przebijać... parą.

- Myślę o tym - powiedział Beridze. - Ale skąd wziąć parę? Potrzeba jej dużo.

- A „Kamczadał”?

- Jaki „Kamczadał”?

- No, ten parostatek, który w lecie, jak mówią, uległ katastrofie. Poliszczuk zajął się jego uporządkowaniem i zapewnia, że kocioł jest zupełnie dobry.

Po trzech dniach Beridze i Topolew zeszli do robotników ziemnych w wykopie. Starzec trzymał w ręku długą, pustą wewnątrz, żelazną rurę, zakończoną ostrym okuciem. Za nią wlókł się kręty, połączony z nią wąż.

- Stańcie tutaj - powiedział Topolew do Ziatkowa oddając mu rurę.

- Zaczynajcie, proszę.

Ziatkow mocno wbił rurę w ziemię.

- Puśćcie parę! - krzyknął Beridze do ludzi stojących na górze.

Para hucząc wypełniła przewód i rurę i z sykiem, i świstem uderzyła w marzłoć. Topolew z zegarkiem w ręku obliczał czas. Grunt odtajał i zakipiał, rura dość szybko zaczęła pogrążać się w rozrzedzonej ziemi. Kopacze pracujący obok nie zdążyli wydobyć nawet pół metra ziemi na powierzchnię, gdy „igła parowa” (tak nazywał swoje urządzenie Topolew) przebiła już otwór na cztery metry w głąb. W otwór wbito gruby, pięciometrowej długości słup.

- Podoba się wam? - spytał Beridze Ziatkowa.

- Bardzo pomysłowe, nie można nic powiedzieć.

- Towarzysze, odwołuję ręczne wbijanie pali - ogłosił z zadowoleniem Beridze. - Będziemy pracowali „igłami parowymi”.

Stary Topolew do niedawna jeszcze boczył się na Beridzego, ale na cieśninie oswoił się z nim i chwalił go nieraz przed Aleksiejem. Kiedyś spędziwszy z Beridzem prawie cały dzień przy budowie stacji pomp, Topolew powiedział z pewną przesadą ku zadowoleniu Aleksieja:

- Nasz naczelny inżynier ma coś z Mozarta. Obdarzony jest bogatym talentem i polotem - najtrudniejsze zadania rozwiązuje jakby mimochodem, bez żadnego wysiłku. Można mu pozazdrościć szczęśliwego usposobienia. Bez obaw płynie z potokiem życia, a potok unosi go nie uderzając o rafy ani brzegi. Czy Beridze wie, co to są wahania, wątpliwości i niepokoje?

Starzec nie powiedziałby tego, gdyby mógł zajrzeć w głąb duszy Beridzego. Miłość do Tani spadła nań nagle jak cios. Chodził z początku jak odurzony i od razu, nie kryjąc się, wyjawił Tani swoje uczucia. Już samo wyznanie miłości czyniło go szczęśliwym. Tanię przeraziła nagłość tych wyznań, nie mogła uwierzyć w tę nagłą, jak mówiła, a więc i nietrwałą miłość. Beridze dał słowo, że będzie cierpliwy, i ukrył uczucie w głębi serca. Ale teraz, tajone przed wszystkimi, rozrastało się w nim niepohamowanie. Czasami „pożar serca" szalał z taką siłą, że Beridze ledwie nad sobą panował.

Coraz trudniej było mu żyć bez Tani, coraz mocniej ciągnęło go ku niej. Pomimo ciągłej ze sobą walki nie mógł zakazać sobie, żeby jej nie odwiedzać. Przychodził do niej częściej, niż tego wymagała praca; tym bardziej że mieszkali w jednym domu. Wysłał na wyspę zamiast niej Czernowa nie tylko dlatego, że na jej barkach spoczęło bardziej skomplikowane zadanie przeprowadzenia kabla pod cieśniną, ale także z chęci zatrzymania jej przy sobie.

Jednakże spotykając się z Tanią nie wyjawiał swoich uczuć. Stosunek do niej, dawniej tak wyraźny i bezpośredni, zmienił się. Beridze nie dawał już wyrazu swym szczerym i trochę naiwnym zmieszaniom i zachwytom. I to nie dlatego, że nauczył się hamować, ale dlatego, że po prostu już nie mógł mówić Tani o swojej miłości. W jej obecności opanowywała go prawdziwa młodzieńcza nieśmiałość i starał się tylko o to, aby nie wydać się śmiesznym jej otoczeniu. Pozostając z nią sam był zdecydowany wyznać jej, że nie może już dłużej ukrywać swego uczucia. Ale jeśli dawniej przyjmował lekko jej ostre odpowiedzi, to teraz bał się, że może je znów usłyszeć.

Wasilczenko szybko zauważyła w nim zmianę. I jeśli dawniej raziła ją i krępowała nawet niekiedy bezpośredniość, z jaką wyrażał swoje uczucia, to teraz ona pokochawszy również prawdziwie - pragnęła i oczekiwała jego wyznań. Próbowała w rozterce wyjaśnić sobie, co się z nim stało, dlaczego się zmienił. Na ogół przenikliwa, w tym wypadku nie mogła zrozumieć jego stanu. Wyjaśnienie nastąpiło przypadkowo.

Tani udało się w końcu namówić nurka Smiełowa i, po uprzednim treningu po kilka razy w ciągu dnia, razem z nurkiem i jeszcze dwoma telefonistami, zdrowymi i doświadczonymi robotnikami, była zajęta przeprowadzaniem kabla pod wodą. Celowo nie mówiła Beridzemu, że postanowiła zapoznać się z pracą nurka. Bez wiedzy naczelnego inżyniera wciągnęła na siebie po raz pierwszy skafander. Smiełow poprowadził ją na dno. Beridze dowiedziawszy się o tym przybiegł nad przeręblę. Kazał natychmiast wyciągnąć Tanię na brzeg. Nie czekając, aż przyjdzie do siebie po tej niezwykłej wędrówce w skafandrze po dnie cieśniny, napadł na nią z gniewem:

- Po jakiego diabła pchacie się tam, gdzie was nie proszą! - krzyczał i tupał nogami.

Tania nigdy jeszcze nie widziała Beridzego w takim stanie i nie przyszło jej do głowy, że jego zachowanie było wyrazem głębi jego miłości do niej. Nie wiedziała, że w ciągu tych kilku minut, kiedy na nią czekał biegając ze wzburzeniem wzdłuż przerębli, zrozumiał, że nie może bez niej żyć.

Wykrzyczawszy się Beridze zawstydził się i nie mógł patrzeć jej w oczy. A Tania nie panując nad sobą zapytywała z urazą i goryczą:

- Dlaczego tak zmieniliście się, Gieorgiju Dawydowiczu? A więc słusznie wątpiłam w szczerość i stałość waszego uczucia. Miałam rację: błyskawicznie powstało i w mgnieniu oka znikło.

Nie przypuszczał, że Tania może tłumaczyć sobie wszystko w ten sposób, i tkliwość zalała mu serce. Nie było już w nim śladu niedawnego gniewu. Obejrzawszy się na stropionego nurka i jego kolegów powiedział:

- Chodźmy stąd, patrzą na nas...- i zapomniawszy o wszystkim poszli wzdłuż brzegu.

Gieorgij Dawydowicz postanowił wypowiedzieć się jasno i zażądać od Tani zdecydowanej i ostatecznej odpowiedzi. Ale gdy tylko zaczął mówić, przyszło mu do głowy, że jej odmowna odpowiedź położy kres wszystkiemu, i zamiast szczerego, gorącego wyznania wydobył z siebie kilka zawiłych i nie przekonywających słów. Zły na siebie umilkł. Tania nie wytrzymując tego milczenia, przystanęła.

- Teraz już nigdy nie mówcie mi nic o swojej miłości - powiedziała cicho, nie mając siły mówić głośniej, i popatrzyła na niego, tak jakby żegnała się na zawsze.

Wreszcie Beridze oznaczył dzień szturmu na wyspę. Poprzedniego dnia odbyła się narada zespołu kierowniczego odcinka i szczegółowo omówiono plan działania. W urzeczywistnieniu planu przeszkodziła burza śnieżna, nazwana przez pracowników „wrogiem numer jeden”.

Wiatr w cieśninie nie ustawał niemal nigdy. Podrywał z ziemi śnieg i piasek, gospodarował na budowie. Zamiatał drogi, gwizdał w próżnych pudłach budynków, huczał głucho i smętnie w metalowych zbiornikach. Ludzie przyzwyczaili się do bezustannej pracy na wietrze i rzadkie bezwietrzne dni uważali za święto. Wiatr przechodzący w burzę był dla nich utrapieniem, nieszczęściem.

Burza obalała wszystkie harmonogramy. Z czynnej, ofensywnej postawy ludzie przechodzili do obrony. Gdy burza mijała, wiele czasu pochłaniało naprawianie szkód. Dobrze jeszcze, gdy nie były zbyt duże. Niekiedy jednak okazywały się bardzo dotkliwe, zwłaszcza nad cieśniną. Kolejna zamieć mogła wywołać przesunięcie lodów, a wtedy wystający nad powierzchnią wody koniec ostatniej opuszczonej sekcji rurociągu mógł zwalić się na dno. Gigantyczna siła spękanych zwałów lodowych była zdolna uszkodzić albo rzucić w otchłań wodną leżące na lodzie, jeszcze nie pogrążone sekcje. Wówczas nieuchronnie przepadłaby droga po lodzie na wyspę, wyjeżdżona jak jezdnia miejska, doskonale urządzona, z punktami do ogrzania się, dyżurkami i stacjami paliwa.

Już przy pierwszych oznakach zbliżającej się burzy Beridze utworzył brygady pogotowia, które ruszyły na spotkanie huraganu.

Z Nowińska Batmanow i Załkind wzywali naczelnego inżyniera do telefonu, ale ten znajdował się na cieśninie. Rozmowę prowadziła zostawiona przez niego przy aparacie Tania Wasilczenko.

- Przekażcie Beridzemu... za wszelką cenę trzeba ratować przejście przez cieśninę... za wszelką cenę... Czy słyszycie? - Głos Batmanowa grzmiał. Tania wyobraziła sobie, jak kierownik budowy musi teraz żałować, że nie jest z nimi. - Resztę da się naprawić... Zameldujcie, co już przedsięwziął naczelny inżynier.

Ludzi na lodzie podzielono. Jedni pod kierunkiem Beridzego umacniali dodatkowymi linami wyprowadzony na powierzchnię koniec rurociągu, inni z Rogowem na czele próbowali przy pomocy traktorów ściągnąć na brzeg leżące na lodzie ogromnej długości sekcje połączonych już rur; szybko przekonali się jednak, że było to niemożliwością.

- Ubezpieczyć je drucianymi linami i sznurami! - zrywał głos Rogow. Robotnicy nie ociągali się, ale i huragan wzrastał z oszałamiającą szybkością. Miotało ludźmi jak zabawkami. Padali, podnosili się i znów biegli do rur, które należało ratować we wszelki sposób, za wszelką cenę, nawet za cenę życia.

Beridze w pośpiechu omal nie wpadł pod traktor Silina i kazał mu natychmiast wyprowadzać maszynę na brzeg, póki jeszcze nie jest za późno. Traktorzysta nie miał siły porzucić kolegów i ryzykując, że każdej chwili może wpaść w przerębię, pomagał rozciągać sztywną stalową linę poruszając się w nieprzeniknionej zamieci jak w ciemnościach.

Rogowa i Poliszczuka wiatr poderwał i rzucił na lód z taką siłą, że przez chwilę nie mogli się podnieść. Zerwawszy się na nogi znów wczepili się w stalową grubą linę podciągając ją ku dźwigowi.

- Jeszcze, jeszcze raz, Aleksandrze - zachęcał Rogowa Poliszczuk, nie widząc, że z nosa cieknie mu krew.

Rozwinięta lina uderzyła dziesiętnika Gonczaruka - upadł nieprzytomny i już nie wstał. W oczach Aleksieja podmuch wiatru rzucił dwóch robotników do przerębli. Nie udało się ich uratować, nawet nazwisk ofiar nie można było ustalić od razu.

Huragan szalał przez całą dobę i przez cały ten czas ani na chwilę nie opuszczała ludzi straszliwa obawa o los rurociągu. Cała trasa w milczeniu oczekiwała końca walki z żywiołem.

Na drugi dzień, w jakiejś pomyślnej chwili burza od razu ucichła. Zabrano się do ustalania spowodowanych przez nią nieszczęść i szkód. Ziemię pokryła gruba warstwa śniegu. Poznikały drogi. Domki na budowie zawiał śnieg. Tam gdzie były ogromne doły, wykopane pod naftowe zbiorniki(wznosiły się teraz, całe góry zasp śnieżnych.

Jak zwykle po burzy, wszyscy pracownicy wyszli oczyszczać drogi, miejsca pracy, pomieszczenia, składy, narzędzia. Oby tylko ocalały sekcje rur na lodzie! Dotarto wreszcie do nich po przebiciu w śniegu głębokiego wykopu. Obawy były na szczęście płonne - rurociąg pozostał nieuszkodzony.

W walce z huraganem zginął dziesiętnik Gonczaruk, szofer Kozyriew i spawacz Masłow; przepadli bez wieści cieśla Siemion Piestow i robotnik Firsow; przypuszczano, że zostali porwani przez wichurę. Stojącą nad urwiskiem dyżurkę zrzuciło w dół; cudem ocalały dyżurny Bieriezow nie przestając się dziwić opowiadał, jak huragan podniósł go razem z chatką ponad ziemię, jak nią obracał i miotał przez parę minut w powietrzu i zrzucił w dół.

Tych, co zginęli, pochowano na brzegu w bratniej mogile.

- Kraj zapamięta wasze nazwiska, dzielni obrońcy Ojczyzny - powiedział w swej mowie Rogow.

Nie od razu zorientowano się, że brak Topolewa. Gdy to stwierdzono, Aleksiej zbladł. Beridze przypomniał sobie, jak przepędził z cieśniny Topolewa i na wpół chorego Niekrasowa, którzy przybiegli razem z innymi na pomoc. Okazało się, że nie ma nigdzie także Niekrasowa. Poszukiwania przywiodły Aleksieja do stojącego na uboczu domku minerów. Ale domku nie było, tylko komin sterczał ze śniegu.

Całą gromadą rzucono się do odkopywania domu. Aleksiej, odrzucając wściekle śnieg łopatą, wymyślał sobie w duchu, że w zamieszaniu zapomniał o starcu. Teraz byłby gotów oddać życie, żeby odnaleźć go całego.

Gdy Kowszow omal nie wyrwawszy drzwi z zawiasów pierwszy wpadł do domku, natknął się na stojącego w sionce Topolewa i bez słowa chwycił go w ramiona. Spoza pleców starego inżyniera wyjrzał Niekrasow.

- Gdybyśmy to przewidzieli, zrobilibyśmy sobie na tydzień zapasy wódki i prowiantu - powiedział swoim basem Topolew, wzruszony synowską czułością Kowszowa.

Miner w odpowiedzi na żarty ludzi, którzy go odkopali, klął od ostatnich, wyzywając burzę, śnieg i Boga...

- Tu, chłopie, przyroda jest groźna. Bądź z nią zawsze ostrożny - pouczał go z uśmiechem Karpow.

- Niech będzie przeklęta ta twoja przyroda, jeśli wyprawia takie szelmowskie sztuki z porządnymi ludźmi! - oburzał się Niekrasow.

6. Tajsin - siedziba bogów

Budowniczowie wiedzieli, że gdzieś na trzydziestym kilometrze na prawym brzegu jest kombinat rybny i maleńka osada, a na czterdziestym - osiedle Niwuchów. Natomiast tutaj, gdzie przecięli cieśninę, nie było żadnych oznak ludzkiego życia. Nad płaskim, zamarłym brzegiem wyspy, panował skalisty cypel „Gibielnyj”. Ta ponura nazwa brzmiała jak ostrzeżenie i przypominała o losie garstki bezimiennych Rosjan, którzy w ubiegłym wieku na tym brzegu zginęli w nierównej walce z przyrodą. Granitowe skały były pomnikiem ich bohaterstwa.

Wyspę otulała zasłona z porannej, gęstej mgły. Wschodzące słońce ugodziło w nią złotymi mieczami. Mgła szybko rozwiała się, zginęła. Tajga, wyłaniająca się początkowo z mgły jak z dymu, stawała się coraz wyraźniejsza i widoczniejsza.

Na razie tylko wąski pas ziemi przy brzegu był we władaniu budowniczych - rozłożyli się na nim jak na wywalczonym przyczółku z wszystkimi zwiezionymi tu materiałami, rurami, maszynami, zapasami żywności. Za tym „przyczółkiem” od razu zaczynał się las.

Wznosił się jak potężna ściana, jakby wychodząc na spotkanie ludzi, aby się z nimi zmierzyć i nie puścić ich dalej. Drzewa rosły tu w kilku kondygnacjach. Najwyżej stały szeregiem smukłe kolumny modrzewi i jesionów, niżej rosły brzozy, limby i las świerkowy. Na dolnym piętrze szeroko rozpostarły się krzewy. W całości była to jednolita, dzika, ciasno spleciona i splątana przegroda pni i najeżonych konarów. Tajga milczała ponuro i czujnie, jakby wyczekując na to, co przybysze poczną dalej.

Beridze. Rogow i Kowszow patrzyli ze skały na ten obraz, nieprzyjazny nawet w pełnym blasku słońca.

- Tajsin znaczy „siedziba bogów?” Powiem wam, że bogowie wybrali sobie na mieszkanie niezbyt przytulne miejsce - zażartował Aleksiej.

- Tak, mieli kiepskiego kwatermistrza - potwierdził Rogow.

- Warto sobie uświadomić, że stoimy na skraju jednej z tych białych plam, towarzyszu naczelny inżynierze, z powodu których niejednokrotnie się martwiliśmy - dodał Aleksiej.

- To nic, szybko przekreślimy ją czerwoną linią - uspokoił go Beridze.

Zeszli do mało widocznej obok lasu, bardzo starej, okrągłej fanzy, zbudowanej zapewne przez rybaków. Obok stał na palach ledwie trzymający się spichlerzyk, „chatka na kurzych nóżkach”, jak go nazwał Rogow. Nie wiadomo dlaczego Beridze wybrał dla sztabu właśnie fanzę, chociaż na brzegu wyrosła już cała osada z namiotów.

- Królewski pałac! - powiedział obrzuciwszy drwiącym spojrzeniem poczerniałe ściany chaty, rozpalony już piec oraz biały, pachnący świeżym drzewem stół. - Tu, w tej rezydencji tajsińskich królów, wydamy rozkaz natarcia!

W izdebce inżynierowie jeszcze raz uzgodnili plan działań. Kowszow z Topolewem i Tanią Wasilczenko mieli zająć się układaniem rurociągu od brzegu, a Rogow otrzymał zadanie przesunięcia się w głąb wyspy w celu przebicia trasy nowego odcinka. Omówiwszy wszystko udali się nad cieśninę.

Po lodzie nieustannie przesuwały się samochody z ludźmi. Nacinając lód gąsienicami pełzły ogromne traktory z potężnymi kopaczkami - ostrymi stalowymi pługami. Głosy ludzi i motorów zlewały się w groźną bojową muzykę szturmu.

Pierwsze ruszyły na tajgę traktory - w dwóch kolumnach. Na czele jednej jechał Silin, drugą prowadził Remniow.

- Czołgi naprzód! - krzyknął zawadiacko Silin błyskając czarnymi, małymi oczkami.

Przeskoczywszy przybrzeżny teren, traktor Silina nie zatrzymując się uderzył w biegu ostrym kantem buldożera w gruby pień modrzewia stojącego z przodu jakby na straży. Motor zaryczał groźnie, cała maszyna zatrzęsła się z naprężenia. Trwało to chwilę i drzewo poddało się, pochyliło i upadło, podcięte przy korzeniu. Traktor gwałtownie szarpnął, stratował krzewy i natarł na następne drzewo ścinając je bez trudu. Trochę na lewo za traktorem Silina sunął następny, nieco dalej na lewo - trzeci... czwarty... piąty... Kolumna prowadzona przez Remniowa posuwała się w tym samym porządku o kilka metrów na lewo od pierwszej. Wszystkie traktory były połączone grubą stalową liną. Lina ta wlokąc się z tyłu, chwytała i zagarniała drzewa, naginała je i z nieubłaganą mocą wyrywała z korzeniami ze zmarzniętej, dzwoniącej ziemi.

Traktory ryczały; drzewa padając ogłuszająco trzeszczały. Las pogrążył się we wzbitej w powietrzu śnieżnej kurzawie jak w bitewnym, dymie. Tajga trwożnie huczała. Silin z twarzą płonącą podnieceniem i zapałem odwracał się i krzyczał:

- A masz, a masz, tajgo! Kłamiesz, poddasz się! Nie oprzesz się! Miażdż ją, Silin!

W pobliżu uradowanego, jakby odurzonego Beridzego kręcił się Niwuch Nikifor, który znów przyszedł w odwiedziny do budowniczych. Wsunąwszy głowę w ramiona, co czyniło go jeszcze mniejszym, spoglądał ze strachem na potężne maszyny, pod których naporem padał olbrzymi las. Renifery chrapiąc wyrywały się z rąk przybyłych z Nikiforem Niwuchów.

- Towarys... - Nikifor szarpnął za rękaw naczelnego inżyniera. - Nie wolno tak tajga niszczyć. Ona zły - będzie zemsta. Drzew trochę zostawić.

- Troszkę zostawimy, jeszcze wystarczy dla ciebie i dla twoich wnuków - odpowiedział z roztargnieniem Beridze.

Maszyny znikły z pola widzenia, ale wciąż jeszcze można było śledzić kierunek ich ruchu według tego, jak coraz dalej i dalej rozcinały tajgę na dwie części jakby gigantycznym nożem.

Silin parł naprzód. Jego wielka, ziejąca żarem maszyna, podobna do czołgu, nagle utknęła w jakimś dole. Rozległ się rozdzierający ryk zwierzęcia. Traktorzysta najechał na legowisko niedźwiedzia. Nad chaosem zwalonych drzew stanął ogromny brunatny niedźwiedź, wyprężył w górę włochate łapy, jakby chciał grozić swojemu prześladowcy - i runął na ziemię.

- Powiedz, co za pech: rozgniotłem gąsienicami misia! Nie właź pod rękę - zawołał Silin pochylając się całym ciałem naprzód, jakby chciał własną piersią zmierzyć się z wyrosłą na drodze nieprzebytą gęstwiną.

Władcy tajgi jeszcze nie rozumieli, że muszą się ukorzyć przed Silinem bez sprzeciwu. Spłoszone hałasem wybiegły z zarośli całym stadem dziki, które włóczyły się niedaleko stąd szukając widocznie pokarmu pod śniegiem. Ujrzawszy pędzącego wprost na nie huczącego, czarnego potwora, osłupiały z przerażenia, nastawiły uszy, chrząknęły gniewnie, poruszyły szczękami i nagle ku zdumieniu Silina rzuciły się na traktor.

- Też mi bohaterowie! - zawołał Silin i werżnął się w stado.

W tajdze powstała szeroka przesieka. Zagradzały ją bezładnie zwalone drzewa z powykręcanymi korzeniami. Jeszcze nie zdążył umilknąć w tajdze łoskot przedzierających się przez nią traktorów, a już zapełnili przesiekę ludzie oczyszczający ją pod teren budowy. Odwlekali końmi zwalone pnie. Zadzwoniły topory i piły brygad drwali, przygotowujących zapasy okrąglaków na budowę letniej drogi i na słupy telegraficzne. Nad przesieką unosiła się piosenka Fantowa i Szubina:

Dalej, drwale, naostrzcie topory. Raz... dwa...
I pracujcie do wieczora. Raz... dwa...
A wieczorna gdy nadejdzie pora. Raz... dwa...
Odpocznijcie od topora. Raz... dwa...

Cieśle, a wraz z nimi spawacze, robotnicy pracujący przy izolacji rurociągu i minerzy ustawiali namioty. Płócienne miasteczko rosło w oczach. W jednym szeregu ustawiono cztery przenośne elektrownie, które już zaopatrywały w energię piły do cięcia drzewa. Cieśle z brygady Piestowa starszego dopiero co rozpoczęli obijać deskami szkielet tartaku, a tarczowe piły już się obracały, śpiewały i dźwięczały, równo przecinając na kantówki i deski podwożone z lasu kloce.

Rogow organizował wielką traktorową kolumnę z żywnością i narzędziami na pakownych, szerokich saniach przyczepionych do traktora. Z tą kolumną zamierzał ruszyć przez przesiekę w głąb odcinka. Jednocześnie Poliszczuk, wierny towarzysz i pomocnik Rogowa od chwili ich poznania się na uszkodzonej barce, przygotowywał do tejże podróży kolumnę samochodów. Szczelnie ubity ślad po ciągnikowych saniach mógł służyć jako gotowa droga dla samochodów.

Puszczin, ubrany w niezgrabny, nie na niego robiony kożuszek, stojąc ze Smorczkowem obok samochodu szybko notował zobowiązania szofera: dostarczyć otrzymany ładunek na nową trasę w zupełnym porządku i w terminie. Smorczkowowi, pierwszemu z szoferów, przypadło w udziale przedarcie się ciężarówką przez tajgę, jeszcze z rana niedostępną.

Po pięciu dniach robotnikom budowy wydawało się, że mieszkają na wyspie już od dawna. Każda przeżyta godzina dostarczała tylu wrażeń i wymagała takiego fizycznego i umysłowego wysiłku, że należałoby liczyć dobę za tydzień. Na odcinku wyspy, tak samo jak na lądzie, prawie zawsze było widno: noc wstępowała w swoje prawa na krótko, na czas, gdy zmęczeni ludzie spali nabierając nowych sił.

Grzmotami wybuchów, które zaczęły się już trzeciego dnia, hukiem strwożonej tajgi i łoskotem motorów pracownicy rurociągu dali znać o sobie całej wyspie. Teraz zaczęli często zaglądać do nich goście. Z Konczełanu przylecieli nafciarze i prawie w tym samym czasie wylądował nad cieśniną samolot przywożąc z Nowińska przedstawicieli robotników rafinerii nafty. Obydwie delegacje doręczyły listy od swoich kolektywów z propozycjami współzawodnictwa dla uczczenia rocznicy walecznej Armii Czerwonej. Za nimi przybyli rybacy z mrożonymi dorszami. Z grupą straży

granicznej przygalopował konno lejtenant Baturin. Aleksiej rozmawiając z nim dowiedział się, że Baturin jest synem „króla Kopulaka”, starego majstra, którego inżynier poznał w fabryce Tieriechowa.

- Miałem w ubiegłym tygodniu list od staruszka - powiedział strażnik graniczny. - Podzielił się ze mną radosną wieścią: Dudin i Pisariew przyjechali do nich do fabryki, by wręczyć przechodni Czerwony Sztandar Komitetu Obrony Państwa.

Pewnej nocy na szerokich a krótkich nartach myśliwskich wyszedł z tajgi na teren budowy geolog Chmara z plecakiem i karabinem przerzuconym przez ramię. Zapytał o Kowszowa, zaprowadzono go więc do nowego, dobrze wedle wskazówek Topolewa uszczelnionego namiotu. Mieszkali tu wspólnie Beridze, Topolew, Kowszow i Tania.

Inżynierowie siedzieli przy stole i pili herbatę. W niedużym namiocie było ciepło i jasno. Podłogę przykrywały skóry jeleni i niedźwiedzi.

Tania opowiadała, jak wspólnie z nurkami zbadała na dnie cieśniny, w najgłębszym jej miejscu, zatopiony okręt wojenny. Smiełow oświadczył, że mają go na uwadze i że we właściwym czasie zostanie wydobyty.

- Ten okręt jest na pewno ofiarą wojny japońskiej - zauważył Topolew. - Czy dożyję chwili odwetu za stratę „Warjaga”, za Port Artur? Zginęło tam dwóch moich braci.

- Dożyjecie stu lat, a gdyby to okazało się za mało, przedłużymy wasze życie o następne sto lat - zażartował Aleksiej.

Na widok tych ludzi, zżytych jak w rodzinie, sercem Chmary targnęło coś w rodzaju zawiści.

Zdjął czapkę i zrobił krok w stronę stołu. Tania poznała go pierwsza i nie potrafiła powstrzymać się od okrzyku zdumienia.

- Nie lękaj się cudna Tatjano spokojnego gościa - rzekł dobrodusznie Chmara wyciągając ku niej rękę.

- Wcale się nie lękam. Tylko wasze zjawienie się jest zbyt nieoczekiwane - odrzekła Tania podkreślając zwrot „wy” i chłodno odpowiadając na uścisk jego ręki.

Ukradkiem spojrzała na Beridzego, który nie spuszczał z gościa badawczego spojrzenia. Wzburzenie Tani nie uszło jego uwagi - zrozumiał nieomylnie, że z tym człowiekiem łączy ją coś więcej niż zwykła znajomość.

Chmara obszedł wszystkich witając się i prawiąc grzeczności; po czym usiadł koło Aleksieja, który, choć nie rad z gościa, musiał przyjąć na siebie rolę uprzejmego gospodarza.

- Otóż spotkaliśmy się. - Chmara spoglądał dobrotliwie na Aleksieja wyciągając z plecaka wino. - Czy przypominacie sobie wieczór w Rubieżańsku? Przez was, że tak powiem, przedzierałem się przez tajgę, chyba z dziesięć kilometrów. Wybuchy grzmią na całą wyspę. Ciekawe, myślę sobie, trzeba zobaczyć, co się tam dzieje.

Topolew uparcie wpatrywał się w Chmarę i nieprzyjaźnie poruszał wąsami. Bodaj dwukrotnie stykał się z Chmarą u Grubskiego i teraz ta wizyta popsuła mu dobry nastrój.

- Czemu na mnie tak surowo patrzycie, Kuźnio Kuźmiczu? - zapytał uśmiechając się Chmara. - Wasza przyjaźń z byłym zwierzchnikiem skończyła się, ale co ja mam z tym wspólnego? Raczcie zmienić już gniew na łaskawość.

- Przyznam, że wasze zjawienie się tutaj zdziwiło mnie. Czyżbyście tylko dla przyjemności odbyli tak uciążliwą wędrówkę po tajdze? - zapytał stary z niedowierzaniem i odwrócił się od uśmiechniętego gościa.

- A wyobraźcie sobie, że przyszedłem bez żadnego powodu. Po prostu, żeby popatrzeć na wybitnych budowniczych rurociągu. Wieść o was rozeszła się wszędzie, nawet Niwuchowie o niczym innym nie mówią.

Beridze podziękował za wino, którym Chmara częstował, wstał, podszedł do swego biurka, zapalił nad nim lampkę i zagłębił się w notatkach. Ale jego uwagę wciąż przykuwał przybysz. Przypomniał sobie, co Aleksiej mówił mu o Chmarze. Nie przywiązywał wówczas znaczenia do tego, że geolog znał Tanię. Teraz ujrzawszy ich razem Beridze poczuł, jak obudziło się w nim nagle dojmujące, nie znane przedtem uczucie.

„Czyżbym zachorował na przysłowiową zazdrość?" - pytał siebie.

Odszedł od stołu, żeby nie zwymyślać gościa i nie widzieć oczu Tani, uporczywie patrzących na Chmarę.

Wasilczenko przyglądała się gościowi z niechęcią. Przed trzema laty zetknęła się z Chmarą u Rodionowów. Niebawem uświadomiła sobie, że go kocha. Ale wszystko skończyło się pewnego wieczoru, gdy zraził ją swoim cynizmem. Czyż było miłością to, co jej zaproponował? Dotychczas ufna, od razu przestała mu wierzyć i znalazła w sobie dość siły, żeby z nim zerwać ostatecznie.

Teraz Tania nie mogła zrozumieć, dlaczego wówczas cierpiała rozstając się z Chmarą - obecnie nie było w nim nic, co by ją pociągało. Nie interesowało jej żywe i dowcipne opowiadanie Chmary o tym, jak spędza w tajdze czas na poszukiwaniach ołowiu. Popsuł im nastrój przy wieczornej herbacie. Tak miło było siedzieć naprzeciw Beridzego! Zauważyła, że się zasępił. Chciała podejść ku niemu, ale nie mogła się zdecydować. Później powtórzyła sobie ulubioną maksymę: „Trzeba być szczerym i usuwać z drogi wszelkie krępujące konwenanse". Z tą myślą Tania podeszła do Beridzego. Podniósł na nią wyczekujące spojrzenie.

- Nie chcę, żeby padał na mnie cień tego człowieka - rzekła cicho.

- Nie kryję przed wami, że niewiele brakowało, żebyśmy się stali bliskimi sobie ludźmi; ściślej mówiąc, sądziłam, że mogę go pokochać. W porę zrozumiałam swój błąd.

Nie łatwo jej było mówić o tym - rumieniec oblał jej twarz. Beridze nie odpowiedział nic, zgnębiony już samym faktem, że Chmarę w ogóle coś łączyło z Tanią. Dziewczyna przez chwilę postała i wróciła do siebie; miała swój oddzielny kącik za przegrodą.

Chmara z grymasem uśmiechu wodził za nimi wzrokiem, po czym spytał Aleksieja:

- Para narzeczonych, co?

- A cóż, może to was boli? - zapytał Aleksiej.

- Kiedy widzę ładną kobietę z innym mężczyzną, czuję się jak ograbiony - zażartował Chmara i dodał już innym tonem, niechętnie, jak się mówi o czymś, co nie doszło do skutku: - Kiedyś spędziłem z Tanią kilka przyjemnych wieczorów.

Beridze, do którego dochodziły fragmenty tej rozmowy, odwołał Aleksieja i rzekł ponuro:

- Zrób mi przysługę i wyprowadź go stąd. Uprzedzam, że mogą wyniknąć nieprzyjemności. Nie potrafię oddychać tym samym co on powietrzem i słuchać jego wynurzeń.

Poczęstowawszy gościa herbatą i skosztowawszy jego wina, Aleksiej poprowadził Chmarę na nocleg. Znalazł dla niego miejsce u Niekrasowa.

Aleksiej wyszedł na dwór i zaczął brnąć przez plac budowy. Światło księżyca srebrzystymi strumieniami padało na tajgę, nadając oblodzonym, o nagich gałęziach drzewom jakąś martwą bladość. Od lasu płynęły szelesty nocy. Aleksiej zaczął nasłuchiwać. Owładnęła nim instynktowna trwoga.

Opodal przeszła grupa ludzi; Aleksiej zawołał na nich.

- Tu swoi, towarzyszu Kowszow. Chodzimy, aby sprawdzić, czy tu nie ma obcych - odpowiedział z ciemności głos Silina.

Aleksiej stwierdził z zadowoleniem, że warty czuwały na swoich posterunkach. Ale lęk nie opuszczał go. Z rana przyjechał z tamtego brzegu Filimonow i zakomunikował, że w wystający z cieśniny koniec rurociągu ktoś próbował wbić drewniane czopy; przestępców widocznie spłoszono, bo porzucili wszystko nie zdążywszy wykonać swego niecnego zamiaru. Prawie jednocześnie stwierdzono, że w warsztacie zaginęły plany stacji pomp.

- Dałem o tym znać komu należało, ale wy także musicie tutaj wzmóc czujność - ostrzegał Filimonow.

„Kim są ci nikczemnicy?” - myślał Aleksiej z palącą nienawiścią. Zbudowane do połowy przejście przez cieśninę było mu drogie jak rodzone dziecię; ilekroć pomyślał, że temu dziecku grozi niebezpieczeństwo, wpadał we wściekłość. „Dlaczego Chmara tu się obija, czego tu szuka?” - zapytywał siebie Kowszow. Nie można było nic geologowi zarzucić, nie budził bezpośrednich podejrzeń, a mimo to Kowszow zrozumiał, że jego lęk wywołało nie tylko doniesienie Filimonowa, ale i przyjście nieproszonego gościa.

Aleksiej zbliżył się do brzegu, z daleka było widać drogę przez cieśninę - łańcuszek świateł przecinających mgłę. Stamtąd dochodził niewyraźny szum ruchu, którego nie przerywała nawet noc.

Myśli Aleksieja wróciły ku temu, co męczyło go już drugi dzień. Z Nowińska przysłano mu list od brata, złożony w kształcie trójkąta, list z frontu, wytarty i zbrudzony w długiej drodze. Jeszcze przedtem powiadomiono go, że Mitia, lekko ranny, leży w szpitalu i wkrótce powróci do oddziału.

Brat nie pisał do niego ze szpitala, nie chciał go zapewne niepokoić; tymczasem list, który otrzymał, wysłany był znacznie wcześniej, jeszcze w czasie walk o Moskwę, a przyszedł dopiero teraz.

„Alosza, piszę do ciebie krótko. Ogłoszono nam rozkaz, że mamy iść do natarcia. Idę się bić, Alosza! Będę szczęśliwy oddając krew za naszą Moskwę. Gdyby mnie spotkało coś złego, postaraj się zastąpić mnie, pamiętaj o ojcu i matce. Teraz dopiero zrozumiałem, jakich mamy rodziców. Jakże bym pragnął spojrzeć na nich i na ciebie! Czy pamiętasz, jak się na mnie gniewałeś za brak szacunku i lekkomyślność - jakie to dalekie, choć było tak niedawno - kilka miesięcy temu. Klnę się na honor, że ani ty, braciszku, ani moi drodzy rodzice nie będziecie musieli się wstydzić z mojego powodu”.

„W takiej chwili przypomniałem sobie, jak się na niego gniewałem za brak szacunku i lekkomyślność” - mówił sobie z wyrzutem Aleksiej. Kiedy po trzyletnim pobycie na budowie na południu powrócił do domu, Mitia był już młodzieńcem. Matka poskarżyła się: „Pali po kryjomu, spotkałam go na ulicy z dziewczyną. A do nauki niezbyt się przykłada. Ojciec jest niezadowolony. Ale dobry jest i łagodny jak owieczka. Jeżeli spłata jakiegoś figla, to potem tak się przymila, że miękniemy z ojcem. Porozmawiaj z nim, Alosza, wpłyń na niego”.

Wieczorem bracia poszli na spacer. Mitia przyjął z radością propozycję wspólnego „przewietrzenia się”. Prędki w ruchach, wesoły, wszystko dostrzegał i na wszystko reagował, dowcipkował z byle powodu, uważnie przyglądał się przechodzącym obok nich dziewczętom.

- Czy wiesz, że rodzice nie są zadowoleni z ciebie? - surowo zapytał Aleksiej.

- Wiem. W domu i w szkole bezustannie stawiają mi za przykład ciebie: „Twój brat był lepszym uczniem”, albo: „Alosza nawet teraz nie pali”. Ależ mnie los urządził, że urodziłem się po tobie! - odpowiedział Mitia.

- A czy to tak trudno dobrze się uczyć mając normalne warunki? Czy to tak trudno postarać się, żeby nie martwić takich staruszków jak nasi?

- Nie trudno, ale mi się nie udaje, Alosza. Potrafię wytrwać przez tydzień, nigdy dłużej. Potem znów mi coś przeszkodzi.

Przyznawał się tak szczerze, że Aleksiej z trudem zdławił w sobie budzącą się serdeczność. Trzeba było doprowadzić surową rozmowę do końca.

- Widzę, że nie potrafisz wziąć się w karby. Tak bywa tylko z nałogowymi pijakami, którzy mają słabą wolę: rozumieją, że nie wolno pić, a piją.

Mitia obejrzał się, a stwierdziwszy, że nikogo nie ma w pobliżu, gwałtownie objął brata i pocałował w policzek.

- Nie złość się, Aloszka. Szaleję z radości, żeś przyjechał. Tak cię w domu brakowało.

- Cielę! - burknął wzruszony w głębi duszy Aleksiej i odsuwając ręce brata powiedział karcąco: - Mężczyzna powinien być bardziej opanowany i twardszy.

- Któż tam wie, jaki powinien być mężczyzna! Czy ty uważasz, że jesteś prawdziwym mężczyzną? - Młodszy brat przyglądał się Aleksiejowi z uśmiechem.

- Powiedz, co zamierzasz robić dalej, urwisie! Szkolę masz już za sobą.

- Pójdę do wojska. - Mitia powiedział to poważnie, bez uśmiechu. - Wszyscy mówią, że wkrótce będzie wojna, Alosza. Trzeba się nauczyć wojować. A przed wojskiem chciałbym roczek zabawić się. Nie martw się, jeżeli czasem będą się na mnie skarżyć. Przecież nie pozwalam sobie na nic nadzwyczajnego.

- A teraz setki razy będzie ci żal, że nie byłeś dla niego lepszy i wyrozumialszy - szeptał Aleksiej krocząc po okrytym śniegiem, skalistym brzegu Dżagdyńskiej Cieśniny na wyspie Tajsin. Niezwykle surowa i dojrzała twarz brata, blada z utraty krwi, zdawała się płynąć przed nim w ciemności.

7. Co przyniosła wiosna

W połowie lutego Karpow wróciwszy z polowania wręczył Tani pęczek jeszcze nagich i suchych gałązek bagna.

- Oto, miła, zadatek na wiosenny bukiet. Wstaw do wody.

Aleksiej zażartował sobie z niego:

- A po co wstawiać tę miotłę do wody? Przyda się do zamiatania podłogi. O wiośnie nie wspominaj, nie ma tu takiej pory roku. - I zaśpiewał popularną na odcinku piosenkę:

Ach, wyspo Tajsin -
Wesoła planeto:
Dwanaście miesięcy trwa zima,
A reszta - lato...

- Skończyła się już twoja zima, przyszła na nią kreska. Śpieszcie się z robotami na lodzie. Można powiedzieć, że wiosna już się zaczęła.

- Dziwak z ciebie, rybaku - odpowiadał Aleksiej i wyciągał go przed dom. - Spójrz! Wokoło śnieg i czterdzieści stopni poniżej zera. Nawet jeszcze nie pachnie wiosną.

- Pachnie. Jeszcze jak pachnie! Jesteś zakatarzony, nie czujesz. Wiosna u nas nadchodzi powoli, ostrożnie. Nie od razu występuje do walki z zimą.

Kowszow nie spostrzegał tego, co tak wyraźnie widział rdzenny mieszkaniec Adunu: wiosenne odrodzenie przyrody istotnie już się rozpoczęło. Pokrywa śnieżna szybko znikała. Śnieg nie topniał (było zimno), lecz ulatniał się. Drogi pociemniały. Na wielkich zaspach w pobliżu budynków ukazała się szara, twarda skorupa. Nadszedł dzień, kiedy zaczęły spadać czyste jak łza krople, z dachów zwisały sopelki.

- Popatrz, Aleksieju, to wiosna - wskazywał na nie Karpow.

Ale następnego dnia spadł śnieg. Padał długo w postaci ciężkiej, suchej kaszy i pokrył ziemię grubą, białą warstwą. Wzmógł się wiatr północny - ostry, dotkliwy, o lodowatym podmuchu.

- No i gdzie twoja wiosna, Iwanie Łukiczu? - pytał Aleksiej.

Właśnie w czasie tych zawiei pęczek bagna, ofiarowany przez Karpowa, nieoczekiwanie zakwitł. Rankiem Tania rzuciła niechcący okiem na okno i krzyknęła z zachwytu - jeszcze niedawno martwe, suche gałązki błyszczały bladoliliowym płomykiem delikatnych kwiatów.

Inżynierowie zaczęli się nimi zachwycać, ale Beridze nagle uprzytomnił sobie, że przecież zwiastują one wiosnę; spochmurniał i zaczął się pośpiesznie krzątać. Nie zakończono bowiem układania rurociągu na dnie cieśniny i należało jeszcze przewieźć wiele ładunku na wyspę.

Przyszła chwila zatopienia ostatniej sekcji (powinna była znaleźć się w najgłębszym miejscu nurtu cieśniny) i złączenia już ułożonych od obydwu brzegów części rurociągu. Umara połączył tę ostatnią sekcję dwoma stykami; rurę ściągnięto traktorami do przerębli, nurkowie za pomocą hydromonitorów ułożyli ją szczelnie na dnie - i dwunastokilometrowy przewód przez cieśninę stał się jedną całością.

Budowniczowie mieli prawo święcić zwycięstwo: ułożyli rurociąg w cieśninie na dwadzieścia dni przed terminem, w niezwykle trudnych warunkach zimy, z zastosowaniem metod nie znanych dotąd w technice. W imieniu kolektywu dwóch odcinków - lądowego i wyspowego - Beridze wysłał raport telegraficzny do zarządu; donosił w raporcie o wypełnieniu zadania i wymieniał, ile godzin pracowniczych i maszynogodzin w związku z tym udało się zaoszczędzić. Obliczenie dowodziło, że metoda kopania wykopów przy pomocy wybuchów i spychanie rurociągu z lodu zmniejszyły koszty kilka razy w porównaniu z kosztami robót według starego projektu.

„Nie poprzestając na tym osiągnięciu - raport zakończono tradycyjnymi dla radzieckich ludzi słowami - kolektyw z potrojoną energią zabiera się do jak najszybszego ukończenia drugiej linii przejścia i przygotowań wiosennych”.

Krótki, rzeczowy dokument, w którym było więcej cyfr niż słów, rozbrzmiał na budowie jak pieśń. W odpowiedzi posypały się życzenia. Wasze osiągnięcie to najpiękniejszy podarunek ofiarowany naszej bohaterskiej Armii Czerwonej w dniu jej święta” - pisali w telegramie nadesłanym z Rubieżańska Dudin i Pisariew. Życzenia nadesłali również nafciarze z Konczełanu, robotnicy z fabryk w Nowińsku oraz kołchoźnicy z różnych osiedli na Adunie.

Budowniczowie nie pamiętali już, kiedy po raz ostatni mieli wolny dzień. Również i teraz, nawet z okazji takiego świątecznego wydarzenia, nie mieli czasu odetchnąć. Uczciwszy tę uroczystość krótkim zebraniem i małą porcyjką wódki do wieczerzy, zabrali się do układania w cieśninie drugiej linii rurociągu.

Według projektu należało to zrobić znacznie później, już po uruchomieniu rurociągu. Jednakże upewniwszy się co do prawidłowości technicznych rozwiązań i mając dowody siły i sprawności kolektywu, Beridze jeszcze przed dwoma tygodniami zwrócił się do Batmanowa z propozycją nieodkładania budowy drugiej linii przejścia na później, lecz ukończenia wszystkiego przed wiosną. Propozycja była tyleż nęcąca co i ryzykowna. Pozostawało już niewiele dni do końca zimy, zbliżała się chwila ruszenia lodów na cieśninie.

- Sami zadecydujcie, orientujecie się lepiej ode mnie - odpowiedział Batmanow. - Jeżeli uporacie się z jedną linią, cześć i chwała, na razie więcej nie potrzebujemy. A za wszystko, co wykonacie ponadto, jestem gotów pokłonić się wam do ziemi.

- Omówcie wszystko z ludźmi, obliczcie jeszcze raz swoje siły, nie obarczajcie się nadmiernie, ryzyko ogromne - doradzał Załkind.

Beridze zwołał naradę, na której zapadła decyzja: budujemy drugą linię! Topolew z najlepszymi spawaczami i Niekrasow ze swoimi minerami od razu przeprawili się na ląd. Znów zagrzmiały wybuchy. W ciągu tygodnia minerzy zrobili przejście - druga przerębla wysunięta o kilometr bardziej na północ rozdarła lód cieśniny. Tego dnia, kiedy Kowszow ułożył od strony wyspy ostatnią sekcję rurociągu pierwszej linii, Topolew od strony lądu opuścił na dno dwie sekcje drugiej.

Aleksiej przeszedł po lodzie kilka kilometrów, żeby się spotkać z Kuźmą Kuźmiczem na cieśninie. Stary inżynier wyglądał bardzo efektownie - w kożuchu, z obmarzłymi wąsami i białymi od szronu brwiami.

- Skończyłeś, Alosza, pierwszą linię? Winszuję - powiedział głębokim basem. - Przechodź teraz na drugą, będziemy nacierali z dwóch stron. Tym pewniej wyprzedzimy wiosnę.

Aleksiej wziął go pod rękę. Szli pomiędzy zwałami lodu jakby na przechadzce po gładkim chodniku ulicy.

- Już się wziąłem do drugiej linii - mówił Aleksiej. - Przyszedłem do was nie po to, żeby usłyszeć dobre życzenia, ale żeby rzucić rękawicę. - Z udaną powagą zdjął rękawicę i rzucił ją na lód. - Wyzywam was do walki. Wyprzedziliście mnie o dwie sekcje. Niech będzie, daję wam fory - i tak pierwszy przybędę na środek.

Topolew postękując nachylił się i podniósł rękawicę.

- Przyjmuję wyzwanie. Wygraną o dwie sekcje skreślam z rachunku, nie potrzebuję twojej łaski. Ale nie będę się chwalić zawczasu - my, ludzie starzy, jesteśmy skromni. Zobaczymy...

Rzeczowym już tonem rozważyli warunki współzawodnictwa i potwierdzili umowę przez wypicie herbaty.

Teraz obydwaj inżynierowie - stary i młody - posuwali się ku sobie pozostając w ciągłej łączności telefonicznej.

- Towarzyszu Topolew, ułożyliśmy pierwszą sekcję o czterdzieści godzin wcześniej, niż przewidywał harmonogram - śpieszył z zawiadomieniem Aleksiej. - Jak wam się to podoba?

- Obiecaliście, towarzyszu Kowszow, szybciutko wyprzedzić nas, zgrzybiałych staruszków. Jakoś to wam nie wychodzi - z triumfem odpowiadał Topolew. - Przygotowaliśmy trzecią sekcję, wyprzedzając harmonogram o pięćdziesiąt dwie godziny.

- Przez szacunek dla starszych nie śpieszymy się - wykręcał się Aleksiej, ale kładąc słuchawkę powiedział do Karpowa:

- Znów nas wyprzedzili, stare diabły. Leć, opowiedz chłopcom...

A wiosna zbliżała się. Coraz częściej pochmurne i chłodne dni ustępowały słonecznym i ciepłym. Karpow, skrzętnie wykrawający sobie czas na polowania, co dzień przynosił świeże wiadomości.

Z ożywieniem opowiadał ni stąd ni zowąd Aleksiejowi, że na południowych stokach wzgórz ukazało się mnóstwo szarych much, podobnych do domowych. Nazywał je „przyjaciółkami".

- No i cóż tam „przyjaciółki?" - dopytywał się go nazajutrz Aleksiej. - W nocy bardzo się oziębiło.

- Zginęły co do jednej - przyznawał Karpow ze zdumieniem. - Od wielu lat obserwuję je i nie przestaję się dziwić: jak tylko zrobi się cieplej - są; niech tylko ochłodzi się - giną. Jesteś uczony, to mi powiedz, gdzie one się podziewają i skąd się biorą?

Kowszow bronił się przed dociekliwym przyrodnikiem.

- Tego mi tylko brakowało, abym zajmował się twoimi muchami.

Z Nowińska Batmanow zwrócił się z zapytaniem do Beridzego: „Czy możecie zwolnić część pracowników? Armia musi być zasilona nowymi zastępami, zbliża się kolejny pobór". Karpow zwołał zebranie partyjne, a potem ogólny wiec. Zapadła decyzja wysłania do Armii Czerwonej grupy pracowników.

- Coś się tak zamyślił, Siemionie Iljiczu? Chciałbyś także pójść? - zapytał Beridze Silina. - Przypominam sobie, jak się rwałeś na front. Jeżeli będziesz nalegał, puścimy cię także, decyduj...

- Chciałbym, oczywiście, pójść z towarzyszami. Jeżeli każecie, pójdę. Ale na dobrowolne odejście z budowy nie mogę się zdecydować. Włożyłem w nią duszę i pragnę zobaczyć, jak ropa popłynie do Nowińska.

„Wyspiarze", jak nazywano pracowników odcinka na wyspie, uroczyście żegnali zmobilizowanych towarzyszy, wśród nich stachanowców: Sołncewa, Remniowa i innych.

- Bijcie faszystów! Bijcie mocno, bijcie dobrze! A my damy wam ropę! - wołał Umara przemawiając na wiecu.

- Przysięgam wam, towarzysze, że tylu położę fryców, ile drzew zwaliłem w tajdze - odpowiedział ogromny Remniow.

Baturin przybył na pożegnanie z grupą żołnierzy służby granicznej; przywiózł w darze od placówki umundurowanie. Remniow i Sołncew w nowych wojskowych płaszczach, w czapkach z czerwoną gwiazdą i w długich butach wyglądali na dziarskich żołnierzy.

- Zobowiązujemy się zastąpić idących do wojska - przemówił Ziatkow w imieniu kopaczy. - Każdy z nas podniesie swoją wydajność...

Zaledwie wyprawili towarzyszy do armii, gdy ni stąd, ni zowąd trzeba było witać gości; w powrotnej drodze Machow przywiózł na wyspę członka zarządu kołchozu z Dolnej Sazanki, sławnego rybaka Zobnina, a z nim żonę i dwie córki Karpowa.

Karpow pochwycił na ręce biegnące ku niemu dziewczynki, a swoją Katię powitał tak pogodnie i serdecznie, jakby nie było między nimi żadnego nieporozumienia. Kobieta, która mimo wszystko trzymała się hardo, oświadczyła na początku, że przybyła tu nie z własnej woli, lecz z polecenia kołchozu. Karpow puścił mimo uszu te słowa i Katia musiała wziąć udział w ożywionej rozmowie ojca z córkami. Aleksiej zwolnił go na całą dobę z budowy i rodzina pozostała sama w starej fanzie. Palił się żelazny piecyk, Katia gospodarowała przy stole, rozkładając przywieziony z kołchozu poczęstunek, a Iwan Łukicz siedział i uszczęśliwiony mrużył swe bystre oczy myśliwego.

- Dziadek kazał cię uściskać - o; tak! - mówiła młodsza córka, jaśniutka, kędzierzawa dziewczynka, i obejmowała rączkami mocną szyję ojca.

- Wspominaliśmy cię każdego wieczoru - dodawała starsza. - Dziadek czytał nam gazetę, w której pisali o tobie, nauczyłam się tego na pamięć.

Katia przekazała mu liczne pozdrowienia od znajomych i szczegółowo opowiedziała o działalności kołchozu. Przewodniczący przysłał list, w którym donosił, jak kołchoźnicy przygotowują się do wiosennego połowu ryb, i zapytywał, czy Iwan Łukicz nie przyśle im pisemnie po starej znajomości rad i życzeń.

W tym samym czasie oprowadzano Zobnina po odcinku. Stary rybak przyglądał się wszystkiemu uważnie i badawczo.

- Zupełnie jak nowomianowany kierownik - wskazywał na niego Beridze. - Spieszymy się ze wszystkich sił, towarzyszu Zobnin. Wy oczekujecie wiosny z niecierpliwością, a nam jej nadejście zapowiada same przykrości.

- Tak, tak - odpowiadał jakoś powściągliwie Zobnin.

Wiele rzeczy zdumiało go na odcinku - i podobne do węży sekcje metalowych rur, wlokące się na trzydziestu saniach za sznurem traktorów, i nurkowie w błyszczących skafandrach i bezustanny ruch samochodów po lodowej drodze. Ale nie okazywał swego podziwu.

- Zwołajcie ogólne zebranie - poprosił. - Chcę przekazać kilka słów od naszych rybaków, mam zlecenie dla budowniczych.

Wieczorem „wyspiarze" zebrali się w jednym z najobszerniejszych namiotów i wtedy wyjaśnił się cel przyjazdu Zobnina i Kati Karpowej: kołchoz wzywał odcinek do współzawodnictwa. Zobnin wykonując polecenie ogólnego zebrania kołchozu wyraził również podziękowanie swojemu rodakowi Karpowowi za rzetelną pracę na budowie, przy czym pocałowawszy trzykrotnie Karpowa wręczył mu jako premię nową broń myśliwską. Stachanowcom Umarze i Machowowi rybak przekazał srebrne zegarki.

- Po te podarunki posyłaliśmy specjalnie człowieka aż do Nowińska - nie omieszkał dodać.

Spędziwszy na odcinku trzy dni goście ruszyli z powrotem. Karpow odprowadził ich aż do Adunu. W drodze powrotnej dostrzegał wciąż nowe oznaki nadchodzącej wiosny. Myśli o sytuacji na frontach przeplatały się z troskami o odcinek i kołchoz. Karpow często spoglądał na niebo oczekując przylotu ptaków. I rzeczywiście, jeszcze nie zdążył się dostać na wyspę, kiedy zjawiły się stadka daurskich kawek. Tania nazwała je „artystkami" z powodu „kołnierzyków" - białych obrączek na szyi i „gorsów" - śnieżnobiałych piór na piersiach.

- To są tutejsze kosy, wiosenne ptaki - z niepokojem objaśniał Karpow Aleksiejowi.

W powietrzu ukazały się motyle. Jak żywe kwiaty unosiły się wszędzie całymi bukietami i pojedynczo: perłowiec, modraczek i pawie oczko z jaskrawą plamą na tylnych skrzydełkach. Daleko gdzieś, aż poza „kraniec świata", przelatywały stada dzikich gęsi i kaczek, wzorzystymi kluczami z tęskną pieśnią ciągnęły pod wysokim niebem żurawie.

Batmanow, jak mówili teletechnicy, nie „schodził z selektora". Zjawiając się to w jednym, to w drugim miejscu trasy, po dwa razy dziennie wzywał wszystkich kierowników odcinków do aparatu i uporczywie przypominał:

- Drogi już płyną, jeszcze kilka dni, a ruch ustanie. Zbadajcie dokładnie, czy jakikolwiek punkt w głębi trasy nie pozostał bez żywności i materiałów. Połóżcie nacisk na transport samochodowy i traktory, wykorzystajcie każdego człowieka, każdą chwilę do ostatecznych granic. Weźcie pod uwagę to, że roztopy unieruchomią nas na cały miesiąc i że, jeżeli już teraz nie zajmiemy się drogami, to przepadniemy. Przestawiajcie się na budowę dróg letnich.

Rozmowa kończyła się niezmiennym pytaniem, skierowanym do krańcowego odcinka:

- Co tam słychać u was w cieśninie, towarzyszu Beridze?

Słońce z każdym dniem przygrzewało coraz mocniej wlewając życie w zastygłą, martwą tajgę. Hałaśliwie i zgodnie zaśpiewały strumienie. Zmywały szary, zimny osad z ziemi i odsłaniały zeszłoroczne trawy. Ożyły suche gałęzie drzew. Zaszeleściły bazie olch na pozostałych z jesieni szypułkach, na białych baziach wierzb zjawiły się złociste pręciki. Południowe zbocza wzgórz zabarwiły się od liliowych i malinowych pierwiosnków. Od strony -lasu dochodziły do budowy głosy ptaków i najdźwięczniej sza ze wszystkich - pieśń sikorki.

Beridze objeżdżał cieśninę na swojej półciężarówce.

- Przyjaciele.., w imię zwycięstwa nad wrogiem, w imię wspaniałego naszego dzieła musicie zwiększyć swoje wysiłki - prosił naczelny inżynier podchodząc to do jednej, to do drugiej brygady.

Widząc, jak pracują, czuł, że nie ma już moralnego prawa rozkazywać. Ludzie wytężali wszystkie siły, żeby tylko prędzej ukończyć przejście przez cieśninę. Nie przerywano pracy ani na chwilę, nawet w nocy. Traktorzyści, spawacze, specjaliści od izolacji, prości robotnicy - wszyscy wyrzekali się nawet snu. Karpow siłą niemal ściągał na brzeg tę lub inną brygadę, kiedy stwierdził, że nie schodziła z lodu przez dwa dni z rzędu.

Wreszcie pracownicy Topolewa i Kowszowa spotkali się na cieśninie. Aleksiej wyprzedził Topolewa o dwie sekcje.

Starzec z całego serca powinszował Kowszowowi zwycięstwa.

- Stawiam butelkę dobrego wina, Alosza. Przez całe swoje długie życie nie pracowałem z taką przyjemnością, jak w tych ciężkich dniach. Oto rezultat współzawodnictwa! Nawet połowy nie wykonalibyśmy bez niego.

- Ej, Kuźmo Kuźmiczu, jeszcze się nie cieszcie! Trud nasz może pójść na marne. Popatrzcie, co się dzieje! - Aleksiej obejrzał się z niepokojem.

Niepokój nie był nieuzasadniony. Należało jeszcze złączyć końce rurociągu w środku. A na powierzchni lodu już stała woda. Tysiące strumieni ściekało tu z tajgi, podmywało szybko teren, na którym nie ukończono jeszcze robót. W każdej chwili topniejąca coraz bardziej lodowa podstawa mogła runąć pod olbrzymim ciężarem spoczywającej na niej, ostatniej nie opuszczonej jeszcze sekcji rur.

Beridze zabronił puszczać na lód traktory. Samochody chodziły jeszcze z lądu na wyspę, ale ze zmniejszonym do połowy obciążeniem. Koła samochodów wzbijały fontanny wody, w których na mgnienie oka rozbłyskiwały rude tęcze.

Ostatnią sekcję opuszczono ręcznie, zespołowym wysiłkiem setek ludzi. Kierował nimi sam Beridze. Silin przeżywał męki patrząc, jak ludzie wytężali siły przesuwając centymetr po centymetrze stalową machinę ku przerębli. Uważał, że obawy naczelnego inżyniera co do lodu są bezpodstawne i wymyślał mu w duchu i nawet na głos. Upatrzywszy chwilę, kiedy Beridze wezwany przez zarząd do selektora przemknął obok niego na samochodzie, wjechał traktorem na lód.

W gorączce pracy nikt na to nie zwrócił uwagi. Aleksiej usłyszał charakterystyczny warkot motoru dopiero wtedy, gdy traktor był już zupełnie blisko. Drgnął i popędził naprzeciw. Rozłożywszy ręce krzyczał z wściekłością:

- Natychmiast zawracaj! Wracaj! Lód się załamie! Wracaj! Wszystko zniszczysz, łotrze!

Jakby załamany siłą tego krzyku, lód rozwarł się z ogłuszającym trzaskiem i ogromny traktor, rycząc i skrobiąc lód gąsienicami, pogrążył się w otchłani. Osłupiały Aleksiej zatrzymał się na chwilę, po czym rzucił się na miejsce katastrofy. Pełznąc dobrnął do ziejącej przerębli. Na krzyk Aleksieja ze wszystkich stron zaczęli biec ludzie. Silin nawet nie ukazał się na powierzchni wzburzonej wody przerębli - widocznie od razu musiało go wciągnąć pod lód. Wstrząśnięci katastrofą pracownicy długo nie mogli odejść od tej niespodziewanej mogiły towarzysza; wszystkie próby, żeby wyciągnąć choćby zwłoki Silina, nie doprowadziły do niczego.

W tym czasie powrócił naczelny inżynier; właśnie przed chwilą uspokoił Batmanowa zwykłym: „wszystko w porządku”. Beridze zobaczył opuszczony przez wszystkich rurociąg i tłum ludzi nad rozwartą głębią rzeki. Nic nie zrozumiawszy z wyjaśnień Karpowa rzucił się z wściekłością na Kowszowa:

- Jak śmiałeś do tego dopuścić, ty, głupcze! Jeszcze nie zdążyłem stąd odejść, a już sobie zacząłeś pozwalać na samowolę! Odpowiadaj teraz za śmierć człowieka! Silin zginął, rozumiesz czy nie? Silin! Po co puściłeś traktor na lód? Po co?

Aleksiej nawet nie drgnął pod ciężarem tego niesprawiedliwego zarzutu. Tylko z goryczą odpowiedział:

- Z chęcią wezmę winę na siebie... jeżeli to nam powróci Silina.

Kowszow przypomniał sobie o wstrzymanej pracy: trzeba było nadrabiać cenne minuty straconego czasu. Zwołał ludzi i pobiegł do rurociągu. Karpow zwrócił się z wymówką do Beridzego:

- Powinieneś go przeprosić. W takiej chwili obraziłeś go i skrzywdziłeś. Za co? - powiedz. Ani on nie jest winien, ani nawet biedak Silin, jeśli chcesz wiedzieć. Wszyscy płoną jednym zapałem i dlatego nie żałują życia...

Za pomocą dźwigów, lin i trzech samochodów ostatnie ogniwo drugiej linii rurociągu opuszczono wreszcie do cieśniny. Ale radość z ukończonej pracy była zmącona wspomnieniem o stracie towarzysza. Beridze kazał zmęczonym i smutnym ludziom udać się na spoczynek. Aleksiej nie spał już od trzech dni i poszedł razem ze wszystkimi. Przed oczami stawał mu wciąż ten sam straszny obraz: Silin zapadający się z traktorem w otchłań wody. Beridze dopędził Aleksieja, zatrzymał go i nie krępując się obecnością ludzi, którzy ich otaczali, mocno go uścisnął.

- Wybacz mi, Alosza, nawymyślałem ci w gniewie.

- To głupstwo, Gieorgij - odpowiedział znużonym głosem Aleksiej.

- Jeszcze z milion razy pokłócimy się ze sobą i pogodzimy. A dobrego człowieka straciliśmy i nic go nam nie zwróci.

W początku maja niespodziewanie zaczął padać śnieg - dużymi, leniwymi płatkami. Po nim przyszedł czysty i drobny, pierwszy wiosenny deszcz. W ciągu jednej nocy ocieplona ziemia pokryła się delikatnym puszkiem trawy, jak gdyby zabłysła zielonym światłem.

Beridze kazał przerwać wszelki ruch na cieśninie. Powierzywszy Aleksiejowi kierownictwo nad wszystkimi robotami na Tajsinie od strony przylądka „Gibielnyj”, naczelny inżynier, udał się z Karpowem w głąb wyspy, żeby pomóc Rogowowi.

Droga zimowa zupełnie rozmiękła, przesieka przekształciła się w jednostajne trzęsawisko, w którym bezradnie grzęzły samochody i traktory. Jedynym środkiem lokomocji był koń, i to nie wszędzie. Wszyscy pracowali nad budową letniej drogi, która na całej długości powinna była składać się z okrąglaków, ciasno ułożonych w poprzek i połączonych ze sobą cienkimi balami. Robotnicy musieli je przenosić na barkach. Szczególnie ciężko było im w bezleśnych dolinach. W takich miejscach okrąglaki wyrąbywano w najbliższym lesie, nieraz o dwa kilometry od trasy. Robotnicy dźwigali na ramionach niektórzy po jednym, inni po dwa kloce; grzęźli w lepkim błocie, często potykali się i padali.

Naczelny inżynier musiał z bólem serca godzić się z tym barbarzyńskim sposobem pracy. Z radością przyjmował każdy pomysł ułatwienia roboty; odkrywszy w dwóch miejscach zmagazynowane rolki grubego drutu, dopomógł do szybkiego urządzenia drogi „linowej” dla przerzucania drzewa z lasu na trasę.

- To jeszcze szczęście, że taka praca wypadła w czasie najlepszej pogody w tajdze - mówił Karpow.

I rzeczywiście dokuczliwe zimna z zamieciami pozostały za nimi, upalne lato z chmurami komarów i rojami drobnych, naprzykrzających się muszek jeszcze nie nadeszło. Powietrze było ciepłe i łagodne. Pod białą korą mandżurskiej brzozy soki poczynały już krążyć i na trasie wszyscy pili kubkami z kory brzozowej słodkawą, cierpką wodę, orzeźwiające „Wino wiosny”.

W czwartym dniu wędrówki po tajdze - to konno, to znów pieszo po pas w trzęsawisku - Beridzego i Karpowa dosięgnął chłodny wiatr od cieśniny.

- Ruszyły lody - orzekł natychmiast Karpow.

... Ostatnim człowiekiem, który zaryzykował przejście z lądu na wyspę po trzymającym się jeszcze, ale już niepewnym lodzie cieśniny - był Kondrin. Bywał już nieraz na wyspie; Beridze zobowiązał go, aby pomagał w pracy mniej doświadczonemu od siebie buchalterowi odcinka na wyspie. Kondrin zwalniając się u Filimonowa tłumaczył, że kra będzie płynęła dwa do trzech tygodni, a w tym czasie uda mu się sprawdzić stan rachunków we wszystkich rozrzuconych na wyspie magazynach i punktach sprzedaży. W rzeczywistości jednak Kondrin nie tylko dlatego śpieszył na wyspę. Stosunki jego z Sieriogìnem zaostrzyły się. Po zniknięciu planów pomp Sieriogin, wściekły i wzburzony, przyszedł do buchaltera i zażądał:

- Zwróć plany ukradzione z warsztatu. To twoja robota! Przestań wreszcie robić świństwa, w przeciwnym razie rozprawię się z tobą!

- Zwariowałeś, Sieriogin! Jakie plany, jakie świństwa? Co ja mam z tym wspólnego? - oburzył się Kondrin.

Mechanik nie chciał słuchać jego wyjaśnień, upierał się przy swoim. Jego zdaniem, wiązały się bezpośrednio z Kondrinem dziwne wydarzenia na odcinku, zarówno w wypadku z barakami jak i z czopami w rurociągu.

- Wynoś się z odcinka, to zapomnę o tobie - powtarzał Sieriogin. - Daj mnie i wszystkim innym spokojnie pracować. Przez ciebie pada cień i na nas. Straciłem spokój, wciąż myślę o tym, żebyś czego gdzieś nie nabroił.

Kondrin miał możność już wcześniej przekonać się, że Sieriogin jest całkowicie pochłonięty montażem pomp i że poza tym nic go nie interesuje. Mechanik wilkiem patrzył na buchaltera nawet wtedy, gdy ten zachodził do warsztatu w sprawie służbowej. W gniewie Sieriogin mógł nie tylko donieść o nim, ale nawet go zabić.

Kondrin próbował mu zagrozić, zjednać go, ale nic z tego nie wyszło. Mechanik przyszedł do niego z ostateczną decyzją i nie ustępował.

- Poczekam do jutra - oświadczył twardo Sieriogin. - Jeżeli jutro do szóstej wieczorem plany nie zostaną zwrócone do warsztatu i ty nie opuścisz odcinka po dobroci, zrobię na ciebie doniesienie.

Wkrótce po rozmowie z Sierioginem Kondrin nie zwracając uwagi na ostrzeżenie, że lód w cieśninie lada chwila ruszy - udał się na wyspę. A mechanika Sieriogina w nocy spotkał nieszczęśliwy wypadek. Gdy przechodził obok budynku stacji pomp, zwaliła mu się na głowę ciężka belka.

O wypadku doniesiono Beridzemu; Sieriogin przez całą dobę nie odzyskał przytomności, stan jego był ciężki.

Aleksiej i Tania patrzyli ze skalistego cypla „Gibielnyj" na obudzoną do życia cieśninę. Lody ruszyły. Ogromne kry piętrzyły się jedna na drugiej i jak żywe zwierzęta wyskakiwały na skały. Potok, oswobodzony z zimowych okowów, potężnie szumiał, ogłuszał ludzi stojących na brzegu. Wściekły wiatr ryczał i wył. Głośno trzeszczały pękające warstwy lodu - przypominało to wystrzały armatnie. Z bezustannym łoskotem kry ocierały się o brzeg. Z wrzawą płynęły wartkie potoki wody tworząc wiry. I podobnie jak kra, takim samym nie kończącym się nurtem płynęły myśli Aleksieja i Tani obserwujących ruszenie lodu. Aleksiej myślał o tym, że już od dwóch miesięcy nie miał wiadomości o Zinie. Wysyłał do jej matki depeszę za depeszą - odpowiedzi nie było.

Tania po raz nie wiadomo który próbowała zorientować się w swoim skomplikowanym stosunku do Beridzego. Wyjechał, a ona tęskniła...

Z nieodstępną myślą o Tani przedzierał się przez tajgę Beridze. Przycichł zimny wiatr. Cała przyroda święciła teraz triumf. W śnieżnobiałe grona ustroiła się czeremcha. Młode dęby zrzuciły zimową odzież. Rdzawe i szorstkie, jakby blaszane liście zastąpiły młodziutkie, ciemnozielone pędy i gwałtownie rozwijające się pąki. Zakwitł kwiat bagna, zbocza wzgórz zalśniły fioletowomalinową barwą.

Karpow towarzyszący naczelnemu inżynierowi wciąż zwracał jego uwagę: „posłuchaj, jak krzyczy krętogłów!" - i nasłuchiwał. - „Popatrz, przyleciała pierwsza jaskółka". W tajdze było tyle ptaków, że można było do nich strzelać prawie nie celując. Jeziorka dosłownie kipiały od zrywających się kaczek. Karpow nie potrafił iść prosto, musiał koniecznie kołować. Przed Beridzem zjawiał się z przywiązaną do pasa zwierzyną trzymając w rękach pęczki fiołków, pierwiosnków, czerwonożółtych kaczeńców. Beridze przyjmował z wdzięcznością te wspaniale podarunki. Na budowie letniej drogi często widziano naczelnego inżyniera niosącego kwiaty. Gdy zdarzyło mu się nieraz udzielić nagany albo w jakimś momencie podłożyć ramię pod okrąglak, fiołki i pierwiosnki spadały w błoto. W ten sposób ginęły dziesiątki bukietów przeznaczonych dla Tani, której Beridze ofiarowałby chętnie wszystkie kwiaty tajgi.

Pod koniec piątej doby Beridze i Karpow dobrnęli do największej w tajdze rzeki Oj. Rogow budował na niej drewniany most. Do mostu prowadziła droga gotowa już na przestrzeni kilku kilometrów. Budowa zbliżała się do końca. Mimo to Rogow był niezadowolony i zły.

- Na tej rzece „zaojkniemy" i „zaachniemy" - żalił się ze złością Beridzemu.

Nie dowieziono tu w zimie zapasów, ponieważ baza znajdowała się w odległości dwudziestu kilometrów. Okazało się teraz, że nawet niewielka odległość przy wiosennych roztopach jest nie do przebycia. Jucznymi końmi można było dostarczać tylko najniezbędniejsze artykuły - mąkę, sól, konserwy - dlatego pożywienie było skąpe, a wypiekany na ogniskach chleb czuć było końskim potem i dymem. W dodatku do ludzi przyczepiła się jakaś okropna choroba. Narzekali na osłabienie i brak apetytu, mówili, że giną, prosili o pomoc. Rogow naprawiwszy drogę do bazy zdołał przywieźć produkty i polepszyć wyżywienie, ale wobec nieznanej choroby był bezsilny.

Za radą Beridzego Rogow poprosił do selektora Olgę Rodionową i próbował się dowiedzieć na odległość, jak leczyć nieznaną chorobę, od której chorzy niknęli w oczach.

- Czy to nie szkorbut? - wypytywała Olga z Nowińska. - Czy dziąsła krwawią? Czy występują na ciele wrzodziki? Zmuszajcie wszystkich do picia odwaru z igliwia. Sami też pijcie.

- Pijemy waszą nalewkę. Dławimy się, ale pijemy. Jemy także śmierdzącą czeremchę. Na szkorbut choruje dwoje ludzi, ale to jest jakaś inna choroba - odpowiedział Rogow.

Był zdenerwowany tym, co się działo, a jednocześnie cieszył się z rozmowy z Olgą, jak gdyby widział ją w tej chwili, pochyloną nad aparatem, zaniepokojoną i gotową śpieszyć z pomocą.

- Obawiam się, Aleksandrze Iwanowiczu, czy to nie jest encefalit[30]. Strzeżcie się kleszczy! - wołała Olga. - Kierujcie chorych natychmiast nad cieśninę. Zbadam ich i jeśli będzie trzeba, odwiozę do Nowińska.

- Przyjedziecie tu? - krzyknął głęboko uradowany Rogow i obejrzał się, czy go kto nie słyszy. (Jakby rozmawiając przez selektor, można było ukryć w tajdze choć słówko!) - Będę najszczęśliwszy, przyjeżdżajcie, czekam.

[30] Encephalitis lethargica (grec.) - śpiączka nagminna; choroba zakaźna. - Red.

- Przyjadę - powiedziała cicho Olga milknąc na chwilę, jakby chciała przezwyciężyć w sobie niepewność. - Poproszę Batmanowa o zwolnienie i przyjadę. Ściślej - przylecę. Zawiadomcie, kiedy dostawicie chorych do cieśniny...

- Przyjeżdżajcie choćby tylko z racji chorych - zgadzał się na wszystko Rogow.

- Przyjadę nie tylko z tego powodu - nieoczekiwanie poprawiła go Olga.

- Co powiedzieliście? Powtórzcie! - wrzasnął Rogow. Olga nie odezwała się już więcej.

Karpow podjął się dobrowolnie odprowadzenia chorych do cieśniny.

Osłabieni i apatyczni posuwali się za nim przez tajgę tu i ówdzie po gotowej już drodze, to znów tonąc w trzęsawiskach. Karpow współczując całą duszą chorym, opiekował się nimi na postojach jak dziećmi i wciąż obiecywał, że znajdzie dla nich cudowny, leczący wszystkie choroby korzeń żeń-szeń. W tym samym czasie Beridze i Rogow posuwali się dalej ku Konczełanowi.

Jeszcze nie ukończono całkowicie budowy letniej drogi, kiedy Batmanow i Beridze znajdując się na dwóch przeciwległych krańcach trasy zaczęli myśleć o rozpoczęciu robót spawalniczych na całej linii. Sam tok budowy wysuwał spawanie jako kolejny, bardzo odpowiedzialny i skomplikowany etap budowy rurociągu.

Batmanow postanowił omówić zadanie kolektywnie. Do selektorów zostali wezwani kierownicy techniczni, spawacze, przodownicy i stachanowcy ze wszystkich odcinków od Nowińska do Konczełanu. Tylko budowniczowie i drogowcy znają podobne narady, kiedy uczestnicy dyskutują i wreszcie zgadzają się na jedno - będąc rozdzieleni ogromną przestrzenią i nie widząc się nawzajem.

Naradą kierował naczelny inżynier.

- Spawanie, towarzysze, to najważniejsza część naszej pracy na budowie. Dopiero po dokonaniu tej operacji tysiące rur rozciągniętych na trasie złączy się w jedną budowę - mówił Beridze. - O postępie robót spawalniczych zadecyduje dobra organizacja. Długo rozprawialiśmy podczas opracowywania projektu i wiem, jakie spory toczą się teraz na odcinkach. Musimy rozstrzygnąć dwa zagadnienia. Po pierwsze - jak prowadzić spawanie na odcinku: z jednego czy z dwóch końców? Po wtóre - jak zorganizować spawaczy? Wszyscy wiecie, że nasz projekt odpowiadał na te zagadnienia w ten sposób: pracę na każdym odcinku należy prowadzić z jednego końca i spawaczy połączyć w jedną silną kolumnę. Obecnie przeciwko temu wysunięto poważne zarzuty. W niektórych miejscach na trasie jednocześnie powstała myśl utworzenia drugiego frontu, czyli jednoczesnego spawania z dwóch końców odcinka. Praktyka zdobyta przy spawaniu na cieśninie wzbudziła wątpliwości co do tego, czy warto łączyć wszystkich spawaczy w jedną kolumnę. Musimy jeszcze raz odmierzyć, zanim ostatecznie odetniemy. Zacznijmy więc wspólnie zastanawiać się, a dojdziemy do właściwego rozwiązania.

Inżynier Pribytkow z piątego odcinka oświadczył, że wszystko mają przygotowane do spawania i że głosują za zorganizowaniem pracy ściśle według projektu.

- Podział pracy na dwa fronty - to rozdrobnienie kadr roboczych i maszyn. Można podzielić na dwie części beczkę benzyny. Ale jeżeli mam do spawania jednego technika-przodownika, to nie mogę przeciąć go na połowy i postawić je na obu końcach odcinka - przekonywająco mówił inżynier starczo sepleniąc. - Odcinek nasz ma prawie osiemdziesiąt kilometrów. Zgodzić się na prowadzenie robót jednocześnie z obu stron, to znaczy świadomie osłabić nadzór. Mogę zaręczyć, że powstanie bardzo wiele braków. Nie zyskamy na czasie; na odwrót - stracimy, bo trzeba będzie poprawiać błędy.

Inżynier Kotlariewski z Konczełanu przyłączył się do opinii Pribytkowa. Przeciwstawiał się im Topolew z cypla „Gibielnyj”. Po raz pierwszy budowniczowie usłyszeli bas sędziwego inżyniera.

- Moi koledzy, których nie widzę, ale doskonale rozumiem, mają słuszność co do jednego: pracować z jednego końca jest stosunkowo prościej i łatwiej - bez pośpiechu i sugestywnie mówił Topolew. - Ale czy nie należy zrezygnować z łatwiejszego rozwiązania, aby wygrać na czasie. Nie podoba mi się punkt widzenia towarzysza Pribytkowa, który uważa, że nie uniknie się braków. Należy więcej ufać naszym robotnikom-spawaczom, błędy nie będą wtedy sprawą przesądzoną. Proponowałbym również, żeby przydzielić do pomocy brygadzistom pomocników spośród wybitniejszych stachanowców. Będzie lepsza kontrola.

- Dobrze mówisz - włączył się Umara. Z oburzeniem wysłuchał Pribytkowa i Kotlariewskiego i kręcił się na ławce, czekając, kiedy otrzyma głos.

- Cieszę się, że mój przyjaciel Umara zgadza się ze mną - ciągnął Topolew. - Chcę poruszyć drugie zagadnienie. Towarzysze Pribytkow i Kotlariewski proponują połączenie wszystkich spawaczy na odcinku w jedną kolumnę. Kategorycznie się sprzeciwiam! Dość pracowałem w swoim życiu ze spawaczami, a przy budowie przejścia przez cieśninę zrozumiałem ostatecznie, że można grupować najwyżej dziesięciu spawaczy z jednym kierownikiem na czele. Pomyślcie tylko, towarzysze, że mamy odcinki, na których znajduje się około dwudziestu majstrów-spawaczy. To znaczy, że kierownik kolumny spawaczy winien organizować pracę dwudziestu spawalnic albo sześćdziesięciu ludzi! A przecież nasza norma wynosi dziesięć styków na spawacza. Normę tę Umara potraja. Biedny będzie ten kierownik, który spróbuje kontrolować robotę sześćdziesięciu takich spawaczy! Nie zapominajcie, że Umarę trzeba we wszystko zaopatrzyć, usunąć mu z drogi wszelkie przeszkody, przyjąć od niego pracę - kłopotów dużo, nie na siły jednego człowieka...

Po Topolewie występowali stachanowcy; wszyscy podtrzymywali go.

- Towarzysz Beridza! Skończ mówić, pisz rezolucja! - powiedział nie prosząc o głos Umara. - Spawacze są za drugim frontem. Kraj potrzebuje rurociąg, damy go przed terminem. Obiecujemy pracować bez błędów. Dlaczego inżynier, ja zapomniał nazwiska, mówi tak krzywdząco: „będzie brak”. Nie będzie błędy. Pisz, towarzysz Beridza: „Umara Mahomet zobowiązuje się dawać trzysta pięćdziesiąt procent i zero błędy”. Wszystkich spawaczy wzywam do współzawodnictwa!

Znów występowali spawacze. Przyjmowali wezwanie Umary.

Batmanow i Załkind zrezygnowali z udzielonego im głosu.

- Nie mamy nic do dodania do słów towarzysza Umary - powiedział partorg. - Zamknijcie naradę, Gieorgiju Dawydowiozu...

- Nie cierpimy na chorobliwą ambicję, nie obawiamy się odstąpić od rozwiązań projektu, które obaliło życie - powiedział zamykając naradę Beridze. - Będziemy pracować na dwa fronty i niewielkimi zespołami spawaczy. Wzywam kierownictwo budowy do przejrzenia harmonogramów i do przedstawienia mi ich jutro w nowym opracowaniu oraz do rozpoczęcia spawania. Dla towarzyszy Pribytkowa i pozostałych inżynierów mam jedną radę. Rozpoczynamy trudny okres, kiedy w każdej chwili i w każdym miejscu będziemy potrzebni na trasie. A więc: przestawcie się na życie w samochodach.

8. Smutne wieści

Tania Wasilczenko nie na próżno szczyciła się dziełem swoich rąk - selektorem. Nie na próżno kolumna łączności tyle wycierpiała niewygód w mroźnej tajdze. Metalowy przewód przeciągnięty od zarządu do ostatniego punktu trasy na wyspie, jakby wrósł żywym nerwem w ciało kolektywu. Gdyby tak teraz odebrano budowniczym selektor, pozbawiono by ich jednocześnie słuchu i mowy.

Nieustannie, dniem i nocą, płynęły przez selektor potoki ludzkiej mowy i najróżnorodniejsze odgłosy życia: bardzo ważne i nieważne, ogólne i osobiste, tragiczne i śmieszne. Radio donosiło z trwogą o ofensywie Niemców w kierunku Izjum-Barwienkoskoje. Felczer znad cieśniny czytał lekarzowi Rodionowej protokół o nieszczęśliwym wypadku mechanika Sieriogina, który walczył ze śmiercią. Załkind winszował szoferowi Smorczkowowi: odnaleźli się nareszcie jego rodzice; w porę zdążyli ewakuować się z Orła do Kańska nad Jenisjejem. Inżynierowie z odcinków meldowali kolejno Beridzemu o postępie robót spawalniczych w ciągu kilku pierwszych dni. Liberman z Nowińska gromił swego zastępcę na ósmym odcinku: „Mamuniu najmilsza, gdzież się podziała taka ilość kaszy? Niedźwiedzie chyba karmicie kaszą?” Ekonomista z dziesiątego odcinka wyliczał zarządowi monotonnie liczby dziennej wydajności. Dyżurna z siódmego odcinka pytała dyżurnego z drugiego odcinka: „Głos masz ładny, ale ciekawa jestem, jak wyglądasz?” - „Jestem rudy”- odpowiadał chłopiec. - „Nie wierzę”. - „Przyjedź, to zobaczysz”. Kierownicy odcinków Tiomkin i Chłynow wymieniali doświadczenia z ubiegłej doby. Puszczin wypytywał z Nowińska Karpowa, jak jest w tej chwili na wyspie; opowiadał mu ze swej strony o wiosennych roztopach w kraju, a na zakończenie prosił, żeby na chwilę wezwał do telefonu Machowa.

- Żyjesz? - pytał redaktor swojego towarzysza od miski.

- Podobno.

- Masz proporczyk na samochodzie? Jeszcze ci nie odebrali?

- Proporczyk mam przylutowany na stałe, nikt mi go nie oderwie.

- Co słychać u Musi?

- Krząta się, karmi kanapkami i częstuje kawą; uśmiecha się do przystojnych chłopców.

- A do ciebie?

- I do mnie o tyle, o ile jestem przystojny...

- Kiedyż ślub? Ślub, pytam, kiedy?

- Nie mamy tu jeszcze urzędu stanu cywilnego. Ale wkrótce będzie.

- Będziecie musieli długo czekać. Długo trzeba czekać, powiadam.

- To nic, jesteśmy cierpliwi. Byliśmy już u Niwuchów, szukaliśmy szamana, żeby nas połączył węzłem małżeńskim.

- Odmówił?

- Okazało się, że nie ma już szamanów. Pochowali niedawno ostatniego.

- To wszystko. Całuję i ściskam. Nie wypuszczaj z rąk proporczyka, ściskam grabę!

- Ściskam wypielęgnowaną redaktorską rączkę. Mocniej trzymaj pióro!

Po Batmanowie za najważniejszego gospodarza na linii uchodził naczelny dyżurny Grieczkin. Mówił często, po kilka razy na dzień, wciąż coś objaśniał i wciąż był z czegoś niezadowolony. Zgadywał z cyfr,

jakie zmiany zaszły na odcinkach, i czepiał się byle powodu, jego czujność budził zarówno wzrost jak i spadek wydajności. Nadawszy depeszę z podpisem Batmanowa, telefonował wkrótce potem na odcinek, żeby dowiedzieć się, jak ją przyjęto.

Z wyspy często rozmawiał z nim Aleksiej. I tym razem Grieczkin wezwał go do aparatu.

- Pytam, co słychać u was nad cieśniną? Czy lody wciąż idą?

- Idą. Diabeł wie, skąd się tego tyle bierze - odpowiadał Aleksiej. - Czas już, żebyśmy z Beridzem opuścili wyspę.

- Nabiliście mnie w butelkę, towarzysze wyspiarze. Nabiliście mnie w butelkę, mówię.

- Nie rozumiem was, towarzyszu naczelny dyżurny.

- Doskonale wszystko rozumiesz, nie udawaj. Z waszego sprawozdania wynika, że wykonaliście w ciągu dnia dziewięć kilometrów letniej drogi. To się nie mieści w żadnych normach. Bezczelne kłamstwo!

- Wcale nie. Jesteśmy uczciwi. Wykonano dziewięć kilometrów w ciągu dnia. Wkrótce przyślemy raport o ukończeniu pracy. Nie słyszysz? Powiedziałem - droga będzie wkrótce gotowa.

- Coś mi się nie chce wierzyć. Skąd taka wydajność?

- Jak to skąd? Pomnóż swoje normy przez patriotyzm pracowników. A jeśli nie wierzysz, to przyjedź i sprawdź.

- Właśnie bardzo żałuję, że nie mogę przyjechać. Kierownik nie puszcza mnie na taką trasę. Piszę co dzień: „obrotowe spawanie", „spawanie sufitowe", a sam jeszcze nie widziałem, co to takiego. Ułożycie cały rurociąg, a ja go nawet nie zobaczę - skarżył się Grieczkin.

- To nic. Za jakieś dziesięć lat przyjedziesz tu z wycieczką, wtedy zobaczysz - pokpiwał Aleksiej. - Sądzę jednak, że pozwolą ci spojrzeć na rurociąg. Przecież na twojej szerokiej piersi zabłyśnie odznaka: „Aktywnemu uczestnikowi budowy".

- Zdziczałeś na wyspie, Aleksieju, nauczyłeś się złośliwości - wzdychał Grieczkin. - Przykro z tobą rozmawiać. Żenia Kozłowa coś jeszcze chce ci powiedzieć. Jesteś ciekaw tego?

- Bardzo.

Żenia użalała się, że obrzydły jej papiery, atrament i cyfry.

- Wiosna w pełnym rozkwicie, a ja siedzę wśród czterech ścian, zamknięta przez Grieczkina.

- Machnij na niego ręką i przyjeżdżaj do nas.

- Dawniej uciekłabym. Teraz już nie mogę uciec. Sama na każdym kroku głoszę kazania o poszanowaniu dyscypliny. Zostałam komsorgiem.

- Wstawić się za tobą? Pytam, czy się wstawić za tobą?

- Ja ci się wstawię! - wtrącił się Grieczkin. - Nie kuś moich pracowników. Poleci za tobą na wyspę Borneo, tylko zawołaj.

- Puść ją tymczasem na wyspę Tajsin. Puść ją, mówię, na wyspę Tajsin na razie.

- Alosza, przyszła tu do ciebie depesza! I dwa listy - oznajmiła Żenia. - Przyszło to wszystko na raz. Czy będziesz czekał na okazję?

Aleksiej owi głośno zabiło serce.

- Przyślij jak najprędzej - poprosił. - Albo nie, przeczytaj depeszę od razu.

„Najmilszy Alosza, bądź mężny - nasza Zina zginęła”... - szybko przeczytała Żenia i głos jej się załamał.

Zdanie to, wyraźne wśród hałasu i niezrozumiałych głosów, przeszyło serce Aleksieja.

- Czytaj! - wykrztusił zebrawszy siły.

„Wysłałam do ciebie list, widocznie nie otrzymałeś - Żenia cedziła słowo po słowie. - Skąd wziąć siły, Alosza, żeby znieść takie nieszczęście...”

Na linii zrobiło się cicho, ledwie dochodził żałosny stuk aparatu Morsego. Budowniczowie lubili inżyniera i teraz współczuli mu w milczeniu.

- Przeczytaj listy, Żeniu - rzekł Aleksiej opamiętawszy się.

Żenia nie odezwała się. Aleksiej powtórzył prośbę.

- Nie, Alosza. Listy prześlemy. Otrzymasz je za dwa, trzy dni - odpowiedział zamiast Żeni Grieczkin.

- Czytaj! - zażądał Kowszow.

- List od kierownika szkoły wojskowej - oznajmił Grieczkin i akcentując mocniej niż zwykle „o” zaczął: - „Szanowny towarzyszu Kowszow! Wasza paczka przybyła już po wyjeździe Dymitrija Kowszowa na front. Brat wasz był najlepszym uczniem i chciałbym przekazać tę paczkę najlepszemu uczniowi nowego poboru. Oddepeszujcie, czy się zgadzacie”.

Aleksiej w odpowiedzi westchnął tylko.

- Co? - spytał Grieczkin. - Co mamy zrobić z paczką?

- Depeszuj, niech postąpią według własnego uznania - odpowiedział z rozpaczą w głosie Aleksiej. Błysnęła mu myśl: „Był ranny i powrócił na front... Być może, znowu jest ranny, a paczka nie może do niego dotrzeć”...

Ludzie w różnych punktach trasy słuchali rozmowy Grieczkina z Kowszowem z zapartym oddechem. Selektor milczał. Umilkł nawet aparat Morsego.

- Nie upadaj na duchu, Aleksieju. Bądź mężny, mój drogi - rozległ się nagle głos Beridzego.

Naczelny inżynier znajdował się w tym czasie w Konczełanie i podszedł do aparatu, żeby wywołać Batmanowa. Grieczkin ucichł, był zadowolony z włączenia się Beridzego. Ale Aleksiej nie zapomniał o drugim, nie przeczytanym jeszcze liście.

- Czytaj! - powiedział z udanym spokojem.

- Prześlemy ci list, bądź cierpliwy, Alosza - rzekł błagalnie Grieczkin. Może list zawiera nową wiadomość o nieszczęściu towarzysza.

- Nie męcz mnie, czytaj, bądź przyjacielem! - powiedział Kowszow złamanym głosem. - To list od matki Ziny... Muszę wiedzieć wszystko.

Nastąpiła cisza, którą przerwał czyjś płacz, zdaje się, kobiecy, po czym znów wszystko ucichło.

- „Aloszka, milczałam, jak długo mogłam, chciałam ci oszczędzić cierpienia” - krzycząc prawie czytał Grieczkin. - „Czekałam wciąż, że nadejdzie nowa wiadomość, która sprostuje pierwszą. Ale nic już więcej nie ma, więc nie mogę, nie mam prawa dłużej przed tobą ukrywać. Otrzymałam wszystkie twoje depesze i listy... Bardzo cierpiałam i przeżywałam twój ból. Nawet twój ojciec mówił nieraz, żeby donieść ci o wszystkim: «milczeniem nie odmieni się losu» - więc piszę. Byli tu stamtąd towarzysze, opowiadali...”

- Nic nie słyszę, powtórz! - krzyknął Aleksiej, kiedy Grieczkin zrobił pauzę, żeby odetchnąć.

- Pisze: „Byli stamtąd ludzie, opowiadali - powtórzył Grieczkin. - Zina nie powróciła z bojowej wyprawy. Powierzono jej bardzo trudne zadanie. Jej i czworgu innym. Wykonali zadanie, ale zginęli! Próbowano ich odnaleźć i uratować, ale nie udało się!”

-Co? - spytał Aleksiej nie chcąc uronić ani słowa.

- Nie udało się ich uratować, pisze, zginęli.

Ochrypły od codziennych rozmów przez selektor głos Grieczkina brzmiał jak sygnał nieszczęścia.

- „Osierociła nas, kochanie. Nie masz już żony, a ja drogiej córki. I co teraz począć, Alosza? Nie przeżyję tego, na pewno...” - Czy słyszysz?

- „Co teraz począć, nie wiem. Ból mój jest bezgraniczny i bezmierny...”

- Aleksiej, słyszysz mnie? Teraz każda rodzina jest dotknięta nieszczęściem. Nie chcę cię pocieszać, chcę ci tylko dopomóc do odnalezienia w sobie hartu ducha. Pamiętaj, że nie jesteś sam, masz przyjaciół, wielu przyjaciół - to Załkind odezwał się z Nowińska; wszyscy, którzy go słyszeli, byli zadowoleni, że powiedział jakby w imieniu ogółu, to, co trzeba było powiedzieć.

Aleksiej długo siedział przy aparacie. Na linii w obu kierunkach płynął wielogłosy szum. Nad Aleksiejem stał Karpow, męczył się pragnąc jakoś ulżyć przyjacielowi w cierpieniu.

- Zbierz siły. Nie daj się ugiąć - szeptał.

Aleksiej wstał, zataczając się jak pijany wyszedł na dwór i powlókł się bez celu. Nie chciał nikogo widzieć. Wyminął Karpowa, Topolewa i Tanię, którzy rzucili się ku niemu. Minąwszy teren budowy znalazł się nagle w bezludnej tajdze. Karpow dopędził go i pociągnął za rękę:

- A ty dokąd? Nie puszczę cię. Wracaj do domu!

- Daj mi spokój, Iwanie Łukiczu. Muszę zostać sam - odpowiedział Aleksiej krótko, ale stanowczo.

Jego twarz nacechowana głęboką męką powstrzymała Karpowa od nalegań, więc cofnął się.

Mała rzeczka Oktanka płynęła wąskim i czystym nurtem pośród połyskującego brzozowymi pniami lasku. Wkrótce brzózki zniknęły wśród modrzewi, które zwartymi szeregami podchodziły do samego brzegu. Pod nimi bujnie i gęsto rozpostarły się krzewy. Jakieś zwierzę łamiąc krzaki umknęło Aleksiejowi spod nóg. Bezustannie skrzypiały limby. Latająca wiewiórka, rozpostarłszy błoniaste łapki, przeleciała jak na skrzydłach nad głową inżyniera z jednego brzegu rzeki na drugi. Zwykła wiewiórka zawistnie zaskrzeczała na jej widok. Ospale gęgając podniosły się z wody opasłe gęsi.

Aleksiej idąc niczego nie dostrzegał i tylko automatycznie rozgarniał rękami krzaki. W oddali z karabinem w ręku brnął Karpow. Ujrzał wśród krzewów wąsaty pysk wielkiego rysia. Podniósł broń, ale zwierzę, błysnąwszy okrągłymi, żółtymi ślepiami, zniknęło.

Ileż to razy po nocach w Nowińsku i w zimie na Adunie, i tu na wyspie śniło ci się, Aleksieju, wciąż to samo kochane i bliskie, to, co cię czyniło szczęśliwym jak dziecko: że powróciłeś do Moskwy! Idziesz znanymi sobie ulicami i ujrzałeś z daleka ten wygięty jak garb zaułek, muzeum twego dzieciństwa, który teraz dumnie nazwano imieniem słynnego konstruktora. Wreszcie zbliżasz się do skrzyżowania, skręcasz i oto masz przed sobą drogi ojcowski dom. Przyspieszasz kroku; na spotkanie wybiegają, spiesząc się, twoi najbliżsi i najdrożsi: stary, ale jeszcze rześki ojciec, niziutka mama, chłopięco niezgrabny braciszek, wyciągający na przywitanie obie ręce. A przed nimi biegnie ona najbardziej niecierpliwa... Ten sen zawsze przerywał się nagle: serce przepełnione radością biło tak mocno, że się budziłeś...

- Mówiliśmy sobie, Zino, że nic nas nie rozłączy... A oto zostałem sam - szeptał Aleksiej.

Ileż to treści zdołało zamknąć w sobie to krótkie pożycie z Ziną. Teraz, gdy jej już nie było, wszystko stanęło w pamięci szczególnie żywo. Widział ją przed sobą, dotykał jej rękami, słyszał wyraźnie jej głos.

...Pewnego wieczoru, będąc na urlopie po ukończeniu budowy na południu, Aleksiej poszedł do przyjaciela mieszkającego na tej samej ulicy. Gdy wstępował na schody, spotkał dziewczynę. Przystanęła zdumiona i uważnie, dziwnie badawczo wpatrzyła się w jego twarz. Aleksiej, zdumiony, również przystanął. Nie spuszczała z niego jasnych, niebieskich oczu.

- Więc wróciliście nareszcie - powiedziała z nieukrywaną radością i swobodnie, lekko zbiegła na dół.

Popatrzył na odchodzącą, na jasne włosy spadające nisko na plecy, na drobną postać w skromnej, dobrze uszytej sukni - i czuł dotkliwy żal, że ta dziewczyna minęła go i za chwilę zniknie.

Zawołał:

- Pomyliliście się? Zatrzymajcie się!

Odwróciła się z uśmiechem, od którego twarz jej stała się jeszcze piękniejsza.

- Nie, nie pomyliłam się. Nie mogłam się pomylić. Nie przypominacie mnie sobie, Alosza?

- Widzę was po raz pierwszy.

- A ja was znam od dawna, bardzo dobrze znam - powiedziała z przekonaniem i poszła swoją drogą.

Aleksiej roztargniony przywitał się z przyjacielem, przedstawił się jego młodej żonie (w tym czasie gdy Kowszow był na budowie, dużo zmieniło się w Moskwie) i zaraz zaczął wypytywać o dziewczynę spotkaną na schodach.

- To Zina. Targałeś ją w dzieciństwie za warkoczyki i dokuczałeś: „Zinka - warkoczynka” - przypomniał mu przyjaciel. - Dawniej mieszkała w naszym domu i teraz często odwiedza koleżanki. Jeżeli chcesz, mogę cię z nią poznać. Poznać, że tak powiem, na nowo.

„Zostaliśmy sierotami, Alosza. Nie masz już żony, a ja, drogiej córki” - ciągle słyszał głos Grieczkina. Chcąc uciec przed tym głosem, rzucił się w gęstwinę. Biegł nie patrząc. Gałązki krzewów czepiały się jego rąk i palców.

- Nie wierzę w to, nie wierzę! - krzyknął Kowszow i głos jego z łoskotem potoczył się po lesie.

Widział Zinę żywą; tylko żywą! Pamięć jakby przerzucała kartki minionych lat. Poszczególne epizody, spotkania... Słowa bez związku, okrzyki, śmiech. Męczyło go pragnienie przypomnienia sobie tego, co

było najważniejsze, najdroższe w ich życiu, ale wszystko - i bardziej, i mniej ważne - stapiało się w coś jednego, a tym jednym było szczęście.

...Niezapomniany dzień spędzili kiedyś za miastem. Ziemia i drzewa dopiero się zazieleniły. Wiosna. Zina i Aleksiej długo błądzili, aż przyszli nad duży, zapuszczony staw. Siedzieli na trawie aż do zmierzchu. W pociemniałej wodzie drżały gwiazdy. Gdzieś pięknie śpiewały dziewczęta.

- Co wam teraz dolega, Alosza? Smutno wam?

Popatrzyła na niego długim spojrzeniem. Twarz jej była piękna i smutna, tak właśnie jak pieśń dziewcząt płynąca z oddali. Aleksiej pochylił się i pocałował ją.

- Cicho... - rzekła, gdy chciał jej coś powiedzieć. - Posiedźmy w milczeniu i zapamiętajmy tę chwilę na zawsze, Alosza.

- To nieprawda, że znamy się dopiero kilka dni! - zaczęła Zina przerywając chwilowe milczenie. - Znam was całe życie. Całe życie! Od dziecka przyzwyczaiłam się myśleć o was i rosłam pod niedostrzegalnym waszym wpływem i zawsze czułam - zawsze, czy słyszycie? - że będziemy razem, że bezwarunkowo będziemy.

Aleksiej ujął jej ręce - palce były chłodne - delikatnie zaczął ogrzewać je ciepłem swoich rąk.

- Nawet nie podejrzewaliście, a ja zawsze byłam duszą z wami. Skończyliście instytut i wyjechaliście na budowę - na tak długo! Mówiono o was: „Młody i niedoświadczony, jest mu trudno”. Pragnęłam, żeby wam było lżej, i myślałam o was bez przerwy. Wierzyłam i teraz wierzę, że człowiekowi to pomaga, jeżeli inny człowiek, który go kocha, myśli o nim. Dziwi to was zapewne, Alosza, że tak nagle, nic nie ukrywając, pierwsza zrobiłam wam wyznanie.

Chciał coś odpowiedzieć, Zina przerwała mu:

- A jednak, jakie to dziwne. Przecież nawet was dobrze nie znałam. Alosza Kowszow żył w mojej wyobraźni taki, jakim go chciałam widzieć. Nieraz myślałam z obawą: a nuż okaże się zupełnie innym człowiekiem i miłość moja zgaśnie?

Na chwilę zamilkła, żeby opanować wzruszenie, ale znów zaczęła mówić jeszcze goręcej:

- Miałam wielu znajomych. Niektórzy z nich interesowali się mną. Tylko w jakichś złych chwilach śmiałam się z samej siebie: na kogo czekasz? Czy można się doczekać, czy się doczekasz kogoś, kto ciebie nie zna, nie dąży ku tobie i o tobie nie myśli? Czy doczekasz się go, jeżeli on, być może, nie istnieje nawet na świecie?

Wzruszenie Ziny było tak wielkie, że nie mogła się już opanować. Szybko wstała i pociągnęła Aloszę za rękę:

- Nareszcie spotkaliśmy się tam, na schodach. Nie mogłam przejść obok ciebie, bo zrozumiałam, że teraz powinniśmy być razem. Jak to dobrze, że okazałeś się jeszcze piękniejszy niż Alosza, którego znałam w moich myślach i marzeniach! Żywszy, bogatszy, bardziej skomplikowany! - Wzniosła ręce w uniesieniu i zawołała z triumfem: - Gotowam porwać w objęcia cały świat za to, że jest mi dane tak kochać!

„Nasza Zina zginęła! I co teraz począć, Alosza, co robić?”

Przecież naprawdę już jej nie ma! Nie możesz zrozumieć, że zginęła? Ruszył zwolna dalej, próbując wyobrazić ją sobie w warunkach bojowych, wypełniającą ważne zadanie.

I nagle przypomniał sobie pewien jej postępek, zwykły i codzienny, który go zdumiał jednak ogromem poświęcenia i prawdziwej, wielkiej miłości.

...Wkrótce po ślubie, coś na trzy dni przed wojną, matka Ziny spoglądając na nich zapytała żartem:

- Co zamyślacie na przyszłość, nowożeńcy, jakie macie plany?

Aleksiej odpowiedział także żartem. Później zostali sami. Zina opowiadała o wynalazku swego kolegi również abiturienta instytutu.

- Jakże będziemy żyć dalej? - z uśmiechem powtórzył pytanie. - Jakie mamy plany?

- Będziemy żyć pięknie - odpowiedziała nie namyślając się. - Najważniejsze: nigdy się nie rozłączać, być zawsze razem! Prawda?

- Oczywiście - przytaknął i zamyślił się. - Pozostało ci pół roku do końca nauki. A potem - asystentura?

- Tak. Asystentura. To jest rzecz zdecydowana. Robię już właściwie drugą naukową pracę.

Zaczęła mówić o niej i nie zauważyła, że Aleksiej wstał i z ponurą miną zaczął się przechadzać po pokoju.

- Wiem, że gdybym się postarał, to mogę znaleźć pracę w Moskwie, w jakimkolwiek biurze projektów - powiedział ze smutkiem Aleksiej. - Ale ciężko mi o tym myśleć. Nie byłaś na budowie i nie wyobrażasz sobie, co to jest. A ja zawsze marzyłem o tym, żeby budować w zapadłych kątach. Po budowie na południu nie mógłbym się przyzwyczaić do biura w Moskwie. I w centralnym zarządzie już zdecydowano, że pojadę teraz albo na Daleki Wschód, albo na północ do rejonu Peczory...

Aleksiej przystanął przy oknie. Przypomniał mu się nagle jakiś epizod z życia na budowie: czy to walka o most w czasie powodzi, czy też próbna jazda pociągu po nowozbudowanej przez nich magistrali.

- Nie powinniśmy się rozstawać. I nie będziemy. Pojadę z tobą - usłyszał jej głos, spokojny i cichy. - Czy wyślą cię na Daleki Wschód, czy nad Peczorę - to wszystko jedno. Gdzie ty będziesz, tam i ja. Asystenturę i Moskwę porzucimy. Trochę mi szkoda, ale to nic. Trzeba przezwyciężyć bezwład przyzwyczajenia. Pracę naukową można prowadzić także na budowie. Będziesz mi przecież pomagał, prawda, kochany?...

Jej słowa niezwykle go rozczuliły. „Taka jest we wszystkim – pomyślał - dla tego, kogo kocha, oddałaby nawet życie”. Zdawało mu się dawniej, że nie jest zdolny do sentymentalnych uniesień i wszelakich pięknych gestów, ale teraz zbliżył się ku niej, bez słowa przyklęknął i z czułością zaczął całować jej ręce...

„Wypełniła obowiązek, ale zginęła!” wypłynął w pamięci głuchy głos Grieczkina. I wówczas Aleksiej ujrzał wyraźnie Zinę stojącą przed dowódcą.

„Zadanie jest bardzo niebezpieczne. Idziecie na śmierć. Jeżeli nie czujecie w sobie dostatecznej siły - zrezygnujcie”. - „Jestem zdecydowana. Możecie być pewni, że starczy mi sił” - odpowiedziała spokojnie i stanowczo.

- Uwaga! - rozległ się głośny okrzyk, a zaraz po nim huknął ogłuszający strzał. Jednocześnie coś ciężkiego zwaliło się na ziemię.

Aleksiej stał objąwszy obydwoma rękami drzewo i nie poruszał się. Karpow podszedł i dotknął jego ramienia. Inżynier po chwili odwrócił ku niemu twarz zalaną łzami.

- Jeszcze troszeczkę, a byłby skoczył na ciebie, niegodziwiec! - powiedział Iwan Łukicz trącając nogą ogromnego rysia, rozciągniętego na trawie. Zastygłe, oszklone oczy drapieżnika nie utraciły jeszcze złego wyrazu.

Karpo w był przejęty obojętnością, z jaką Aleksiej spojrzał na zwierzę.

- Otrząśnij się - rzekł Iwan Łukicz. - Jesteś teraz jak nieżywy. Spójrz no - wszystko żyje.

Wokół płynęło nieprzerwane od wieków życie. Szemrał i dzwonił jasny nurt Oktanki. Dwa piżmowce wyszły do wodopoju, zobaczyły ludzi - i w jednej chwili pomknęły z powrotem w gęstwinę. Gdzieś w górze niezmordowanie pracował dzięcioł.

Nagle Karpow zaczął nasłuchiwać i podniósł karabin: ktoś biegł brzegiem rzeki. Ucho myśliwego odróżniło przerywany oddech człowieka, który widocznie bardzo się śpieszył. I oto ukazał się spoza zakrętu - Kondrin! Karpow wskazał go Aleksiejowi. Kondrin nie zauważył ich. Przystanął w pobliżu, aby się napić wody z potoku. Wkrótce zniknął wśród drzew.

- Czego on szuka w tajdze? - ze zdziwieniem zapytał Karpow.

- Odejdź, Iwanie Łukiczu - powiedział ze znużeniem Aleksiej. - Sam powrócę. Nie opiekuj się mną, nie trzeba. Jeśli możesz, zostaw mi karabin.

- Nie - odmówił Karpow. - Rób, co chcesz, ale ja od ciebie nie odejdę. Jeżeli nie chcesz wracać na budowę, razem powłóczymy się po tajdze. Jeżeli cię to interesuje, możemy pójść do geologów, trochę się rozerwiesz. Niedaleko stąd. Spotkałem dwukrotnie twojego znajomego, wciąż cię zaprasza do siebie.

Po upływie pół godziny byli już na miejscu postoju ekspedycji Chmary. Kilka dużych namiotów o drewnianych ścianach i brezentowych dachach rozłożyło się na polance, tuż przy rzece. Uwiązane obok dwa konie potrząsały łbami, wybierając obrok z toreb. Na brzegu widoczne były wieże próbnych wierceń. Ludzi na postoju nie było.

- Gdzież podziali się wszyscy? - zdziwił się Karpow. - Trzy dni temu był tu cały jarmark.

Skierowali się ku namiotom. Zatrzymał ich nie zauważony przez nich pośród krzaków żołnierz ze straży pogranicznej. Zaczął ich badać, ale poznał Kowszowa i uspokoił się.

- Jest tu lejtenant Baturin, towarzyszu inżynierze - powiedział przyjaźnie. - Jeżeli chcecie, możecie go zobaczyć. Jest w tamtym namiocie.

Lejtenant usłyszawszy głosy wyszedł na ich spotkanie. Opowiedział, że geologa Chmarę i jeszcze dwie osoby z ekspedycji aresztowano i odesłano samolotem do Konczełanu. Reszta zwinęła gospodarstwo i ruszyła do Czongru.

- Była tu mała bójka. Wasz znajomy nie bardzo pięknie się prowadził, więc go trochę poturbowano - roześmiał się Baturin mrugając do Karpowa.

Aleksieja nie zdziwiła ta wiadomość.

- Żałuję, że się spóźniliśmy. Z wielką przyjemnością dodałbym od siebie temu łajdakowi - powiedział z powagą i spojrzał na swoje pięści.

9. Między wyspą a lądem

Kry płynęły i płynęły, jakby ściągały do tej wąskiej cieśniny z całego morza. Chwilami powierzchnia wody była już zupełnie od nich wolna, ale znów się pojawiały kierując się do oceanu jak stada owiec ciągnące bez końca na wiosenne pastwiska.

Mała flota Poliszczuka, złożona z ośmiu kutrów i tuzina barek, mogła już wyjść na wodę, ale na rozpoczęcie żeglugi było jeszcze za wcześnie. Denerwowało to Beridzego, który chciał możliwie szybko dostać się na ląd. Przejechawszy całą wyspę od Konczełanu do cieśniny po ukończonej drodze naczelny inżynier przekonał się, że odcinek na wyspie śmiało można pozostawić pod opieką Rogowa. Obecnie więcej niepokoiła Beridzego budowa stacji pomp po drugiej stronie cieśniny. Poza dwoma odcinkami na cieśninie było jeszcze dziesięć innych, wszędzie na trasie rozpoczęto roboty spawalnicze, wymagające właściwego dozoru. Trudno było usiedzieć na miejscu.

Beridze uzgodnił przez selektor z Batmanowem swoje dalsze plany: razem z Kowszowem spędzą tydzień na Czongrze, pomogą Filimonowowi zorientować się w montażu pomp i motorów, zorganizują spawanie na czołowym odcinku na lądzie - od cieśniny do Adunu - a następnie udadzą się wzdłuż trasy do Nowińska. Topolewa i Tanię naczelny inżynier również zabierał ze sobą. Kuźma Kuźmicz miał pozostać na węźle, aby kierować budową stacji pomp, a Tania udawała się do Nowińska, żeby stamtąd zacząć montowanie stałej linii łączności na słupach. Czernowa w tym samym celu pozostawiono na wyspie.

Filimonow pytał przez selektor, czy może rozpocząć montaż motorów i pomp, czy też ma czekać na naczelnego inżyniera. Beridze miał ochotę być przy rozpoczynaniu montażu, a nie chciał go wstrzymywać, postanowił więc natychmiast przeprawić się na ląd. Poliszczuk nie przestawał mówić, że trzeba jeszcze poczekać ze dwa, trzy dni. Wierny swej postawie Rogow dolał oliwy do ognia:

- Jedźcie, przyjaciele, prędzej, mam już was dość! Po co tu tylu kierowników? Mnie samemu już tu za ciasno. Poliszczuk, nie rób paniki, zostań lepiej kapitanem i poprowadź statek.

- Przygotujcie kuter - polecił Beridze.

Poliszczuk, w głębi duszy zadowolony, bo w ciągu zimy stęsknił się do wody, już bez dalszych sprzeciwów pobiegł wypełnić rozkaz.

Za Beridzem i jego towarzyszami podróży wszedł na kuter Kondrin - prowadzony przez sierżanta, który konwojował starszego buchaltera z rewolwerem w ręku. Podczas gdy Beridze rozmawiał o czymś z Poliszczukiem, Kowszow opowiedział Tani i Topolewowi, za co został aresztowany Kondrin. Człowiek ten, zataiwszy swoje prawdziwe nazwisko oraz wszystkie stare grzechy, przebywał na budowie na podstawie podrobionych dokumentów. Mechanik Sieriogin po odzyskaniu przytomności opowiedział wszystko Filimonowowi. Sieriogin oskarżył Kondrina o zamach na jego życie i o udział w machinacjach z planami i ze znalezionymi w rurociągu czopami. Jednocześnie władze bezpieczeństwa zatrzymały na odcinku Filimonowa podejrzanego osobnika, który podczas badania przyznał się, że z polecenia Kondrina spowodował nieszczęśliwy wypadek z mechanikiem.

- Czy Kondrin przyznał się do winy? - zapytała Tania obrzucając buchaltera nienawistnym spojrzeniem.

- Nie. To podobno zatwardziały przestępca z bogatą przeszłością.

Ledwie statek odbił od brzegu, zafrasowany Beridze poweselał. Najbardziej ze wszystkiego na świecie nie lubił zwłoki albo odraczania już zdecydowanej roboty, a gdy tylko przystępowano do jej realizacji,

natychmiast nabierał wiary w jej pomyślne zakończenie. Towarzysze podróży również cieszyli się ze zmiany otoczenia i nawet Aleksiej ożywił się, gdy wszedł na pokład kutra.

Podczas tych wszystkich dni Beridze z niepokojem patrzył na Aleksieja. Kowszow wyszedł z tajgi po dwudniowej wędrówce w gęstwinie leśnej W towarzystwie Karpowa z pasmem siwych włosów i jakby skamieniały w niewzruszonym spokoju. Beridze nie usłyszał od niego ani słowa skargi, jakby nic bolesnego nie zaszło w jego życiu.

Cieśnina była niespokojna. Ciemne pod zachmurzonym niebem fale lekko unosiły kuter i rzadkie wokół niego kry. Na pokład ze wszystkich stron leciały bryzgi zimnej wody. Brzeg wyspy szybko znikał, a daleki brzeg lądu krył się w białawej mgle.

Pasażerowie zmarzli. Wiatr na wodzie, wilgotny i ostry, przenikał aż do kości poprzez deszczowe płaszcze i odzież. Tania dała przykład - schodząc pierwsza na dół. Za nią zeszli Beridze, Aleksiej i Topolew. W kajucie, lśniącej jasnoniebieską olejną farbą ścian, sufitu i ławek, było ciepło. Aleksiej usiadł obok Tani, naprzeciw nich ulokowali się Beridze i Topolew.

- Co zrobiłby najpierw każdy z was, gdyby się znalazł w kulturalnych miejskich warunkach? - zapytał Beridze.

- Manicure - odpowiedziała Tania spoglądając ze smutkiem na swoje ręce. - Ależ złościłaby się manicurzystka: tyle pracy z tymi łapami! Potem poszłabym w gościnę do domu, w którym dobrze gotują, i najadłabym się tam do syta, nie zwracając uwagi na zaniepokojonych gospodarzy. A potem chodziłabym z jednego kina do drugiego na wszystkie seanse.

- Ja poszedłbym włóczyć się do parków i na bulwary, po prostu popatrzeć na spacerujących ludzi - powiedział Kuźma Kuźmicz. - Cieszyłbym się patrząc na matki z dziećmi. Tyle czasu ich nie widziałem! Na całej wyspie była tylko jedna kobieta - Tania, ale ona się nie liczy: ani to matka, ani dziecko.

Beridze przypomniał sobie:

- Umara mi powiedział: „Kiedy skończę ze spawaniem całego rurociągu, dajcie urlop. Pojadę do Kazania i tego samego dnia się ożenię. Nie wolno żyć samemu, rodzina potrzebna, dzieci potrzebne, chcę mieć przytulne, serdeczne życie".

Tania czekała, co jeszcze powie, ale jej spojrzenie zmieszało go; zwrócił się do milczącego w skupieniu Aleksieja:

- A ty? Na co rzuciłbyś się po powrocie z tajgi?

- Zaprosiłbym się na stały pobyt do miłego domu Załkinda, zająłbym jakiś kąt z miękką kanapą i leżąc czytałbym jedną po drugiej grube książki opisujące przygody, w rodzaju „Trzech muszkieterów", Conan Doyle'a, Juliusza Vernego, Fenimora Coopera, Dumasa - ze smutkiem wyraził swoje życzenie Aleksiej.

Beridzemu ścisnęło się serce: „Biedaku, trzeba by cię teraz rzeczywiście umieścić w jakiejś zacnej rodzinie, pod opieką mądrych, serdecznych ludzi, choćby na tydzień" - pomyślał i dodał głośno:

- Żyje człowiek w normalnych, kulturalnych warunkach i jest niezadowolony, narzeka, zrzędzi - wciąż nie jest tak, jakby chciał. A jak spędził roczek w tajdze czy strefie arktycznej - zaczyna rozumieć i cenić każdy drobiazg w swoim opuszczonym mieszkaniu.

- Gdy się zjawicie w mieście, przyślą wam zawiadomienie z zakładu fryzjerskiego - powiedziała Tania spoglądając na jego brodę. - Powiedzą: jak mu się nie sprzykrzy dźwigać taki ciężar!

- Nie pójdę do fryzjera. Wedle danych statystycznych tylko jeszcze trzej ludzie na Dalekim Wschodzie mają takie brody: pewien stary partyzant, siedemdziesięcioletni stróż hotelu w Rubieżańsku i ja. Po śmierci staruszków zostanę jedynym posiadaczem tej ozdoby.

Rozmowa zeszła na temat wydarzeń, które przedwcześnie postarzają człowieka.

- Każdy miesiąc wojny równa się kilku latom - zauważył Topolew. - Młodzieniec, który dziś ma dwadzieścia lat, po upływie roku stanie się rówieśnikiem trzydziestoletniego dojrzałego mężczyzny. Oczywiście, nie mam na myśli wyglądu zewnętrznego.

Aleksiej odczuł na sobie badawcze spojrzenie Tani i zapytał ją:

- Postarzałem się, prawda? Nie wiadomo skąd wzięła mi się siwizna - dotknął siwego pasma, wyraźnego nawet wśród jego jasnych włosów.

Tania nie taiła tego, że myślała o nim:

- Zmieniłeś się, Alosza. Siwizna - to głupstwo. Jeżeli można tak powiedzieć, byłeś przedtem jak dom, którego drzwi i okna były otwarte na oścież; teraz ten dom jest na głucho zabity.

Gieorgij Dawydowicz chciał do tego dodać: „Szkoda, że Aleksiej tak zamknął się w sobie - trudno samemu poradzić ze smutkiem" - ale powstrzymał się nie chcąc jątrzyć jego rany.

Byli zdumieni, że podróż ich tak szybko się skończyła: kuter uderzył kilkakrotnie z szumem o coś burtą - widocznie przybijał - i stanął. Na wiodących w górę schodkach spotkał ich Poliszczuk.

- Mamy nieprzyjemną sprawę, towarzyszu naczelny inżynierze - powiedział w poczuciu winy.

Beridze kazał Tani i Topolewowi pozostać w kajucie, a sam z Kowszowem wyszedł na pokład. Wiatr wzmógł się. Kuter został uwięziony między dużymi krami, zagradzającymi spławny nurt.

- Próbowałem przepłynąć bokiem, ale nie udało się. Lód płynął zwartą ławą. Chciałem przeskoczyć, lawirowałem, jak mogłem. Taka przykrość, pozostało nam tylko cztery kilometry do brzegu, bagatelka po prostu - opowiadał strapiony Poliszczuk.

- Tak, bagatelka - wycedził Beridze wpatrując się w wolno przepływające, dalekie, niewyraźne zarysy brzegu.

- Spróbujcie rozepchnąć to skupisko kry - polecił Poliszczukowi.

- Już próbowałem.

- Trzeba jeszcze raz spróbować - rzekł Aleksiej i przyłączył się do chłopców z załogi kutra. Starali się odepchnąć kry od burt bosakami.

Poliszczuk pobiegł do mechanika. Alarmowe sygnały z beznadziejną regularnością rozbrzmiewały nad cieśniną. Kuter zadrżał napierając na dwie wielkie bryły, osaczające go od strony dziobu.

- Spuszczaj się kumie, na dno, nie trać sił na próżno - pozwolił sobie na żarty Kondrin, stojący tuż obok z sierżantem. Widząc wokół siebie opanowanych ludzi nie był w stanie zrozumieć całego niebezpieczeństwa. - Towarzyszu naczelny inżynierze, każcie śpiewać egzekwie.

- A wy przestańcie krakać i w ogóle milczcie! - przeciął mu ostro Beridze.

Mocno chwycił za bosak, którym Aleksiej usiłował odepchnąć krę napierającą na kuter.

- Nie mogę sobie darować, Alosza! Pośpieszyłem się z tym wyjazdem i wciągnąłem was wszystkich w biedę.

- Uderz się pięścią w pierś, będzie ci lżej - odezwał się Aleksiej, zaczerwieniony od wysiłku, ciężko dysząc.

- Ostrożniej! - krzyknął Poliszczuk do jednego z marynarzy, który omal nie spadł z kutra. Przyjrzał się inżynierom, jakby oceniał ich siły, i powiedział tonem, w którym brzmiał rozkaz: - Będziemy się zmieniać, w przeciwnym razie szybko się zmęczymy. Zejdźcie na razie do kajuty. Zawołam, jak zajdzie potrzeba. Towarzyszu sierżancie, pomóżcie nam.

- Rozkaz! - odezwał się wezwany i rozkazał Kondrinowi: - Bierzcie się za bosak!

Teraz już i w kajucie było słychać wycie wichru i trzask lodu. Syrena wyła raz po raz. Motor to się uciszał, to znów zaczynał stukać i wtedy wstrząsał całym kutrem.

- Cóżeście się tak zasępili! To nic strasznego. Trochę nas zniesie na bok, wielkie nieszczęście! - powiedział Beridze błyskając zębami w uśmiechu.

Siedział naprzeciwko Tani. Już nie kryjąc swych uczuć dziewczyna nie odrywała od niego spojrzenia.

- Co za oczy! - zachwycał się Beridze. Zrobiło mu się jaśniej na duszy od jej spojrzenia.

- Jakie?

- Tak wymowne, że sam już nie wiem... trudno to wyrazić. Można w nich zobaczyć to, o czym myślicie.

- To dobrze, że wypowiedziały to wszytko, co chciałam wyrazić w słowach.

- O twoich oczach, Tatjano, Heine tak powiedział - wtrącił się do rozmowy Topolew: „Czy jej oczy są duże? Skądże mogę wiedzieć? Czyż można określić kaliber broni, gdy jest skierowana na ciebie, żeby uderzyć pociskiem?”

Tania i Beridze roześmieli się, Aleksiej z sympatią i smutkiem patrzył na nich i przysłuchiwał się temu, co działo się na górze.

- Zacznijmy opowiadać sobie różne historie - zaproponował Beridze.

- Albo też dyskutujmy na temat odwiecznych problemów. Zanim przybijemy do brzegu, rozwiążemy wszystkie zagadnienia.

- Jakie na przykład? - zainteresowała się Tania.

- Jakież by! Problemy miłości, życia i śmierci. Co, waszym zdaniem, jest najsilniejsze w człowieku?

- Na pewno miłość - oświadczyła Tania.

- A, chcecie, to wam dowiodę, że najważniejsze jest i wszystkim rządzi - prawo żołądka. Mogę wam opowiedzieć pewną przekonywającą historię.

Beridze wyrzekł te słowa poważnie, lecz Tania potakiwała głową z powątpiewaniem, domyślając się żartu. Topolew nagle cicho i serdecznie się zaśmiał.

- Dlaczego śmiejecie się, Kuźmo Kuźmiczu? - zapytała Tania. - Może znacie tę żołądkową historię?

- Nie, nie znam. Ale zamknąłem oczy i wydało mi się, że siedzimy wieczorem w przytulnym pokoju i pijemy herbatę.

- Mogłoby tak być z uśmieszkiem potwierdziła Tania. - Ponieważ przy wieczornej herbacie starsi opowiadają młodszym dzieje swojej ciemnej przeszłości, niech więc Gieorgij Dawydowicz opowie o zwycięstwie żołądka nad sercem, a potem przyjdzie kolej na was.

Beridze nic nie zdążył opowiedzieć. Przez uchylony nagle luk wpadły krople wody, a z góry zajrzał Poliszczuk.

- Proszę zluzować załogę. Towarzysz Topolew i Tatiana Wasilczenko niech raczej się nie trudzą.

Topolew pozostawszy z Tanią po ojcowsku przyciągnął ją ku sobie:

- Boisz się, córeczko?

- Nie, Kuźmo Kuźmiczu. W tajdze przywykłam do wszystkiego. Kiedy już bywało wyjątkowo źle, myślałam: na wojnie wciąż śmierć stoi nad głową. Teraz nie odczuwam prawdziwego niebezpieczeństwa, bo jestem z wami, z Gieorgijem i Aleksiejem. W takim towarzystwie nie można upadać na duchu. Na odwrót, pragnie się dodać odwagi.

- Przykro jest zdawać sobie sprawę z własnej bezradności - westchnął starzec. - Oto siedź i czekaj: uda się czy się nie uda.

- Głupstwo, inżynierze, uda się na pewno - teraz już Tania uspokajała Topolewa, chociaż ten nie o siebie się niepokoił.

Na niebie kłębiły się ciemne chmury. Cieśnina wrzała białą pianą, w której niemal niewidoczne były kry, wiążące kuter. Załoga Poliszczuka odpoczywała grzejąc się w maszynowni. On sam niezmiennie trzymał wachtę. Na dawane przez niego sygnały inżynierowie i Kondrin manewrując bosakami starali się odepchnąć nacierające kry. Na pokładzie trudno było utrzymać się na nogach. Wiatr wyrywał z rąk długie, ciężkie drągi i zagrażał samym ludziom zrzuceniem w otchłań. Kuter jak skorupka wciąż podnosił się na grzbiet nie wiadomo skąd powstałej wodnej góry i gwałtownie opadał w dół, w przepaść.

- Uwaga! - ostrzegał Poliszczuk przyciskając się do burty.

Strumień wody przewalił się ponad kutrem. Poliszczuk wyprostował się i nastawił żerdź. Inżynierowie i sierżant również niezmordowanie pracowali drągami. Spojrzenie Poliszczuka znów padło na Kondrina: buchalter upuścił drąg i kurczowo trzymał się poręczy.

- Idźcie stąd precz, do diabła! - krzyknął ze złością Poliszczuk.

- Towarzyszu Beridze, pozwólcie mu pobyć w kajucie - poprosił sierżant wskazując na Kondrina. - Tu tylko przeszkadza, wstręt bierze patrzeć na niego.

- Dobrze - zgodził się Beridze.

- Zejdźcie w dół, do kajuty! - rozkazał sierżant Kondrinowi.

Ten chętnie przystał na to i zaczął ostrożnie przedostawać się do luku.

- Co z nim zrobicie, gdybyśmy musieli opuścić kuter? - zapytał Kowszow.

- Będę usiłował dostarczyć go wpław do brzegu. Towarzysz Poliszczuk da mi do pomocy marynarza.

- Wiatr może nas wyratować z tej kry - z przekonaniem powiedział Poliszczuk. - Żeby tylko nie rozpętał się sztorm.

Aleksiej i Beridze zziajani, podnieceni i przemoknięci powrócili do kajuty. Z ich jednakowych gumowych płaszczów woda strużkami ściekała na podłogę.

- Tacy jesteście różni, a tacy podobni do siebie - powiedziała Tania, szczerze dumna z nich. Z całego serca chciała im powiedzieć coś miłego.

Inżynierowie obejrzeli się wzajemnie i usiedli obok siebie. Kondrin siadł na schodach, blisko wyjścia. Był przestraszony, przygnębiony i nie ukrywał tego.

- W czym jesteśmy podobni? - zapytał miękko Beridze nie odrywając oczu od dziewczyny. Chusteczka, którą narzuciła na głowę, dodawała jej jakiegoś nowego uroku.

- Pewien znajomy marynarz opowiadał mi w Rubieżańsku o prawdziwej katastrofie okrętu. - Tania położyła nacisk na „prawdziwej". - Na Morzu Ochockim sztorm zaskoczył nasz nieduży okręt. Z całej załogi uratowało się tylko troje ludzi...

Tania z uwagą przyglądała się swoim towarzyszom podróży. Aleksiej jest najzupełniej opanowany, nawet być może obojętny na to, co się dzieje. Topolew uśmiecha się do swoich myśli gładząc wąsy. Kondrin spoziera dokoła takim wzrokiem, jakby się spodziewał, że kajutka lada chwila ulegnie zmiażdżeniu. A Beridze figlarnymi oczami przygląda się napisowi „Nie palić" i zaciągając się dymem podsuwa jej papierosy. Tania przypala nieumiejętnie, zbliżając swoją twarz do jego twarzy. Na górze Poliszczuk znów strzela... Nerwowo stuka motor...

- Nasz okręcik skrzypi tak, jakby na jego burtach nie było żelaznych okuć - powiedział Beridze.

Tania roześmiała się i zakrztusiła dymem.

- Nigdy nie kłamcie, Gieorgiju Dawydowiczu, wasze kłamstwo za bardzo rzuca się w oczy. „Okręcik" właśnie dlatego skrzypi, że na jego burtach nie ma żadnych okuć.

- Opowiadaliście o prawdziwej katastrofie okrętowej - przypomniał Topolew.

- Walczyli o życie, ale bez obawy śmierci. Ten, kto opowiadał mi tę historię - a był to jeden z tych trzech, którzy się uratowali - powiedział zdanie, które mnie zdumiało: „Gdy człowiekowi grozi niebezpieczeństwo, a nawet zguba, i zdaje sobie z tego sprawę, powinien skupić całą siłę woli i nie bać się niczego. Wówczas wszystko, co jest mu drogie w życiu, pomoże mu pozostać twardym i mocnym. W ostatniej chwili nie utraci ludzkiej godności i umrze z honorem".

Kondrin z markotnym powątpiewaniem zwrócił się w stronę Tani.

- Niech żyją odważni! - zachrypiał Kuźma Kuźmicz. Zdążył się już przeziębić stojąc na pokładzie. Zachwyciła go dzielność dziewczyny usiłującej dodać odwagi im, mężczyznom.

- Wszystko to brednie i głupstwa - rozległ się skrzypiący głos Kondrina. Zaczerwienionymi, małymi oczkami buchalter przyglądał się nieprzyjaźnie towarzyszom podróży. Nie zwracano na niego uwagi, jakby go tu wcale nie było. Tylko Tania nie wytrzymała.

- Co to znaczy - brednie i głupstwa? - zapytała.

- A wszystko, o czym tu pleciecie, zacna kompanio. W rzeczywistości nie ma takich pięknych rzeczy. Każdemu jest droga jego własna skóra i wszyscy boją się śmierci. Przecież i wam nie chce się tonąć.

Teraz jesteście kochającymi się przyjaciółmi, bo spodziewacie się ocalenia. Ale niech tylko nadejdzie chwila niebezpieczeństwa, to rzucicie się na siebie z zębami, aby sobie wydrzeć koło ratunkowe.

Tania była wstrząśnięta tym nieoczekiwanym wystąpieniem i treścią wypowiedzianych słów, a jeszcze bardziej tonem - złym i pełnym przekonania. Patrzyła na Kondrina z taką pogardą, że nie wytrzymał tego spojrzenia.

- Żadne z nas nie myśli rzucać się na drugiego - powiedziała. Przeciwnie, będziemy szczęśliwi mogąc pomóc sobie wzajemnie. Źle stoją wasze sprawy, jeśli macie takie myśli. Widocznie potrafilibyście odebrać towarzyszowi koło ratunkowe.

Kondrin chciał coś odpowiedzieć, ale przeraził go wstrząs, od którego kuter przechylił się na chwilę na bok. Wycie wichru wzmogło się..

- Towarzysze, sztorm - powiedział Beridze.

Znów zatrzęsło kutrem.

Tania i Aleksiej nie zdołali utrzymać się na swoich miejscach. Dziewczyna padła na pierś siedzącego naprzeciw Beridzego, Aleksiej na Topolewa. Beridze nie powstrzymał się i pocałował Tanię. Kuźma Kuźmicz wyszeptał do Aleksieja:

- Jestem gotów oddać swoje stare życie, żebyś tylko ty, przyjacielu, ocalał.

Ten nie zauważony przez Kondrina epizod wzruszył wszystkich pozostałych pasażerów. Przezwyciężając zmieszanie Tania poprosiła Topolewa:

- Opowiedzcie coś, Kuźmo Kuźmiczu.

- Co mianowicie?

- No, choćby... o pierwszej swojej miłości.

- To trudna sprawa. Wywietrzały mi wszystkie wspomnienia. Nie pamiętam już nawet, czy miałem w swoim życiu pierwszą miłość – starzec mówił żartobliwie, oczy jego połyskiwały. - Długie lata życia wszystko wymiotły z pamięci. To tak jak wielki wybuch w lesie: stały drzewa, śpiewały ptaki i nagle ludzie spowodowali wybuch. I oto - nie ma już lasu, sterczą tylko z ziemi nagie, martwe pniaki. Ja Właśnie jestem jak martwy pień zielonego niegdyś drzewa.

Beridze spojrzał na Kowszowa - ten zrozumiał go bez słów. Inżynierowie weszli na schodki, z trudem otworzyli luk. Huk sztormu wdarł się do kajuty. Kondrin także zrobił dwa kroki po schodkach. Oblała go woda. Nad samą głową z trzaskiem zamknęła się pokrywa. Buchalter śpiesznie zawrócił. Tania obserwowała go z uśmieszkiem.

Beridze i Aleksiej dobrnęli jakoś do Poliszczuka, który z bladosiną, posępną twarzą łapiąc oddech wołał do inżynierów:

- Mimo wszystko podciągamy się ku brzegowi. Żeby tylko jeszcze trochę wytrzymać! Motor odmawia posłuszeństwa. Ale wyrwaliśmy się z niewoli. Nie obejdzie się jednak bez kąpieli! Przygotujcie starego i Tanię. Zrzucić niepotrzebną odzież! Bierzcie pasy ratunkowe!

W kajucie kołysało i wstrząsało tak, że trudno było siedzieć, nawet trzymając się obydwiema rękami. Mimo to zdawało się inżynierom, że ściany kajuty są osłoną przed sztormem. Podobnie zaskoczony przez zamieć podróżny widzi ratunek przed śnieżnymi wichrami w przypadkowo napotkanym szałasie. Beridze spotkał się oczyma z Tanią i uśmiechnął się do niej.

- Opuśćcie, przyjaciele, kajutę - powiedział spokojnie Aleksiej i zaczął zrzucać z siebie płaszcz i kurtkę.

- Weźcie to na wszelki wypadek - powiedział Beridze podając Tani i Topolewowi pas ratunkowy.

- A cóż to, ja mam zginąć? Dajcie i mnie pas ratunkowy! - cienkim głosem krzyknął Kondrin ze schodów.

- Idźcie na pokład, dostaniecie od sierżanta - Beridze odwrócił się od niego ze wstrętem.

Tupiąc nogami buchalter rzucił się po schodach w górę. Przez otwarty luk lała się woda.

- A wy? - spytał Aleksiej Topolewa. Starzec nie spieszył się ze zdejmowaniem zwierzchniego okrycia.

- Nie bierzcie mnie w rachubę, Alosza. Musicie oszczędzać siły, nie zawracajcie sobie mną głowy.

- Przestańcie, Kuźnio Kuźmiczu - wykrzyknęła Tania z bólem. - Jak wam nie wstyd!

- Pływam doskonale - oświadczył Beridze. - Ty, Alosza, będziesz podtrzymywać Kuźmę Kuźmicza. Nasi marynarze pomogą Tani.

- Nie trzeba mi pomagać, Gieorgiju Dawydowiczu, wyrosłam nad Adunem i pływam jak ryba.

- A ty, Gieorgiju, nie okłamuj nas, wiem dobrze, jak pływasz - rzekł ponuro Aleksiej.

Ściągał palto z Topolewa jak z dziecka. Słowa Kowszowa przejęły Tanię. Spojrzała na niego błagalnie. Zrozumiał to spojrzenie i skinął głową.

Nowy wstrząs kutra był tak silny, że upadli. Rozległ się głośny trzask, jakby statek przełamał się wpół. Rzucili się do wyjścia. W luku ukazała się twarz jednego z marynarzy:

- Wychodźcie! Prędzej! - krzyknął.

Aleksiej chwycił pasy ratunkowe, jeden włożył na Topolewa, drugi na Tanię. Dziewczyna na moment przypadła do niego:

- Alosza, ratuj Beridzego... - wyszeptała całując go mocno.

I rzuciła się ku Beridzemu, żeby się z nim pożegnać. Aleksiej przytrzymując Topolewa ruszył po chwiejących się schodkach. Wyskoczyli na pokład. Tu zwalił się na nich wyjący wicher. W dzikim szaleństwie żywiołu nie można było zorientować się, gdzie jest niebo, gdzie brzeg, gdzie cieśnina. Wszystko się skłębiło. Kuter to zamierał, to znów parł wściekle naprzód.

- Motor zupełnie odmówił posłuszeństwa! - rzucił Poliszczuk Beridzemu. - Trzeba będzie skakać do wody.

W tym popłochu Aleksiej dojrzał Kondrina. Z twarzą wykrzywioną z przerażenia buchalter trzymał się obydwiema rękami przegródki w budce oddziału maszynowego. Miał na sobie pas ratunkowy. Gdy ujrzał taki sam pas na Tani, uchwycił się go i ciągnął ku sobie.

- Precz! - potrząsnął nim sierżant.

- Wy z chłopcami ratujcie Tanię i Topolewa. Ja biorę na siebie Beridzego - pośpiesznie umawiał się Aleksiej z Poliszczukiem.

Kuter zwalił się na bok. Znów podrzuciła go fala.

- Opuścić kuter! - wrzasnął Poliszczuk.

- Skacz, draniu! - ponaglił sierżant Kondrina zupełnie ogłupiałego ze strachu.

Aleksiej pociągając za sobą Beridzego rzucił się w głębię. Od lodowatej wody zamarło serce. Aleksiej czuł, jak Beridze rzuca się w jego rękach, przeszkadzając mu wypłynąć. W wodzie szarpnął go mocno za włosy i Beridze uspokoił się - pojął, czego chce od niego Aleksiej. Od razu wynurzyli się na powierzchnię.

- Płyniemy tędy, brzeg jest tam! - pokazywał Aleksiej podtrzymując Beridzego.

Nic nie było widać: ani kutra, ani towarzyszy. Fale jak dzikie bestie rzucały się na nich, podnosiły ku niebu, miotały w dół i przewalały się nad ich głowami.

Beridze denerwował się, kręcił głową i ciągle próbował coś krzyczeć, ale tylko zachłystywał się wodą.

- Spokojnie, Gieorgij! Oszczędzaj siły! - krzyczał Aleksiej, a sam czuł, jak lodowacieją mu mięśnie, ale starał się nie poddawać rozpaczy.

10. Bajka o bohaterach

Aleksiej śni: Niwuch Wołodia Chodżer śpiewa-opowiada swoje pieśni-bajki. Głos opowiadającego, dziewczęco wysoki i lekki, rozlega się tuż nad uchem, ale pomimo wysiłków Kowszow nie może dojrzeć Wołodi.

Jakże tajemniczo odbywa się to wszystko! Jednocześnie ze słowami powstają szybko zmieniające się obrazy bajki i - co jest najbardziej cudowne - on sam bierze w niej udział.

Pierwsza bajka - o strzelcu wyborowym Niwuchu Makarze z osiedla Mylwo, z tego osiedla, które leży nad Cieśniną Dżagdyńską.

„... Dobrze nauczył się strzelać Makar, oj, dobrze! Nauczył go dziad Gibelka. W tajdze na polowaniu trafiał Makar wiewiórkę w oko - oto jaki był celny! Na froncie się też przydało: po pierwszym strzale Makara hitlerowiec padał z dziurką w czole.

Hitlerowiec padał, a Makar odkładał jeszcze jedną zapałkę do pudełka. Kiedy już pudełko było pełne, Makar przesyłał je dziadkowi Gibelce na Daleki Wschód.

Żołnierze, towarzysze Makara, śmiali się: po co Makar posyła zapałki?

- Hej, przyjacielu, czy nie masz lepszego podarunku? Liche paczki wysyłasz do ojczyzny.

Makar nie śmiał się. My przecież znamy naszego Makara - on nigdy się nie śmieje, nawet w dzieciństwie był poważny jak stary.

- W domu cieszą się z moich przesyłek. Mam dziada Gibelkę, w szkole go nie uczono, cyfr nie potrafi odczytać, więc łatwiej mu liczyć na zapałkach - odpowiada Makar towarzyszom.

- To weź jeszcze naszych dziesięć pudełek, niechże dziad liczy sobie na zdrowie.

- Waszych nie mogę dołączyć. Dałem słowo dziadkowi Gibelce, że będę przesyłać tylko swoje zapałki...

Podarek Makara doszedł do osiedla Mylwo. Ucieszył się Gibelka, przeliczył wszystkie zapałki, żadnej nie opuścił, żadnej nie uronił. Z powrotem włożył do pudełka i schował. Widzieliście, u dziadka

w fanzie wisi portret Makara, wycięty z gazety? Obok portretu na półce leżą już trzy pudełka. W każdym pudełku jest pięćdziesiąt zapałek, razem sto pięćdziesiąt zapałek - to znaczy stu pięćdziesięciu hitlerowców zeszło ze świata. Bardzo dobrze. Zuch Makar!

Dziadek Gibelka poszedł do przewodniczącego:

- Nikiforze, zwołaj ludzi - wyślemy odpowiedź Makarowi.

Niwuchowie przemawiali w klubie, wszystkie słowa były zapisane i tak powstał list do Makara. Mężczyźni i kobiety oddawali pieniądze Nikiforowi na samolot. Ten pieniądze, a ten skórki. Jeszcze trochę pieniędzy zebrać - i będzie trzeci samolot. A list do Makara na front poleciał. Dziękujemy za podarek, dziękujemy. Czekamy na dalsze. Bij Hitlera..."

Zjawy - jak ilustracje do bajki, śpiewanej głosem czystym i dziarskim, choć trochę drwiącym.

Aleksiej-Makar na froncie poluje na fryców, składa zapałki jedną do drugiej i zebrawszy pełne pudełko posyła je na Daleki Wschód.

Aleksiej - przemieniony w dziadka Gibelkę - siedzi w swojej fanzie we wsi Mylwo, liczy bez pośpiechu zapałki, potem przemawia w klubie, oddaje Nikiforowi skóry morskich zwierząt i wydry na zakup samolotu, osobiście wręcza listonoszowi list do Makara i prosi, żeby tylko nie zgubił.

Aleksiej - inżynier Kowszow - leży na ziemi obok Beridzego i nie może zrozumieć, co się z nim dzieje. Słyszał już niemało bajek, czytał je, oglądał inscenizowane bajki w teatrze, ale nigdy jeszcze tak nie było, żeby jednocześnie słuchało się i oglądało bajkę, i samemu brało w niej udział.

Druga pieśń - to bajka o Brodatym Inżynierze. Aleksiej ujrzał Beridzego i ucieszył się: „Oto, jakiś ty, Gieorgij, sławny, lud ułożył już o tobie bajkę. Na próżno martwiłeś się, że nasze czyny pozostaną nikomu nie znane".

Dalej mówiło się w bajce o Wielkim Kierowniku i Młodym Aloszy. I Aleksiej ujrzał przed sobą Batmanowa, Beridzego i samego siebie.

„Wszyscy trzej weszli śmiało do tajgi - i tajga rozstąpiła się przed nimi. Niedźwiedź, tygrys i wszystkie zwierzęta uciekły precz. Wielki Kierownik, Brodaty Inżynier i Młody Alosza szli prędko i walili las - za nimi od razu powstawała droga. Po niej sunął traktor, parskał, dymił, ciągnął za sobą żelazną rurę. Była czarna i długa - jeden koniec przy nas, drugiego nie widać: oparł się o niebo.

Wielki Kierownik, Brodaty Inżynier i Młody Alosza doszli do morza. Leżała przed nimi szeroka dal wodna.

- Daleko na morzu, na wyspie, bije ropa z ziemi. Bije w górę i ginie. Niech ta ropa popłynie rurą na front - tak rozkazał Stalin - mówi Wielki Kierownik.

Puścili traktor na wodę - zatonął. Puścili samochód - zatonął. Kładli rurę na statek - omal nie zatonęła. Jakże dowlec rurę do wyspy? Wszyscy trzej stali nad morzem, myśleli. Młody Alosza rzucił się na ziemię, zaczął rozpaczać:

- Na froncie nie starczy benzyny. Staną czołgi, staną samochody, samoloty przestaną latać. Co teraz poczniemy?

Aż tu od Adunu podszedł do nich Rybak Iwan:

- „Chcę wam pomóc..."

Aleksiej we śnie ucieszył się:

- Oto i Karpow znalazł się w bajce. Witaj, Iwanie Łukiczu!

„...Wielki Kierownik powiedział:

- Płyńcie we trzech na wyspę. Brodaty Inżynier niech wskazuje drogę, rozpędza fale. Młody Alosza i Rybak Iwan niech ciągną rurę. Ja pozostanę na brzegu, będę ją popychać. Płyńcie prędzej, śpieszcie się, na froncie ropa jest bardzo potrzebna. Gdy popłynie rurą, zacznę strzelać, usłyszycie.

Wielki Kierownik pozostał nad wodą. Brodaty Inżynier, Młody Alosza i Rybak Iwan popłynęli ku wyspie. Rura była ciężka, ciągnęła Rybaka Iwana i Młodego Aloszę na dno. Obaj szybko się zmęczyli, ale płynęli i płynęli, dźwigali rurę na sobie. Brodaty Inżynier był na przedzie, oglądał się na nich; chciałby im pomóc, ale miał swoje zadanie - wskazywać drogę, rozbijać fale i odpędzać wielką rybę...

Podpłynęli już zupełnie blisko do wyspy, niewiele pozostało do przebycia. Ale wpadła na nich największa ryba. Brodaty Inżynier zaczął z nią walczyć, ale ani rusz nie mógł podołać - trafili na olbrzymią rybę..."

... Aleksiej leży na ziemi, słyszy jęki - to Beridze męczy się obok niego. Aleksiej chce zerwać się i biec do przyjaciela, ale nie może: znów słyszy głos bajarza.

„...Rybak Iwan i Młody Alosza dopłynęli do wyspy, wyciągnęli rurę na brzeg i widzą: ropa bije z ziemi, czarnym słupem wznosi się ponad tajgę. Zawrócili ten słup ropy do rury i pobiegła ropa rurą. Na tamtym brzegu Wielki Kierownik głośno wystrzelił. To znaczy - ropa obok niego popłynęła na front. Rybak Iwan i Młody Alosza krzyknęli: «hura!» A Brodaty Inżynier wciąż jeszcze walczył w morzu z wielką rybą - trudno było dać jej radę... Rybak Iwan został na wyspie, aby pilnować rury. Młody Alosza powrócił na morze - pomagać Brodatemu Inżynierowi. We dwójkę szybko zabili wielką rybę.

Młody Alosza jedną ręką podtrzymywał Brodatego Inżyniera. Popłynęli do brzegu - do Wielkiego Kierownika. Dopłynęli do środka - zaczęła się nowa bieda: zerwała się burza na morzu. Poniosło ich daleko, daleko. Brodaty Inżynier nie mógł już dłużej płynąć, mówi do Młodego Aloszy:

- Zostaw mnie. Niech zginę, za to ty się uratujesz.

Młody Alosza nie słuchał go. Płynął i płynął. Wielka fala wyrzuciła ich obydwu na brzeg. A nasi Niwuchowie znaleźli na brzegu Brodatego Inżyniera i Młodego Aloszę, nakarmili ich i ułożyli do snu. Niech Brodaty Inżynier i Młody Alosza odpoczną spokojnie, nikt ich nie ruszy. Niwuchowie nie pozwolą ich skrzywdzić, Niwuchowie są ich przyjaciółmi... wielkimi przyjaciółmi..."

Pieszczotliwy i śpiewny jest głos opowiadającego. Miło się go słucha. Ale zagłusza go niespodziewany okrzyk:

- Alosza! Cóżeś się tak zapatrzył! Przecież ona tonie! Prędzej, prędzej, Alosza! Nie wolno pozwolić, żeby utonęła!

Aleksiej wypręża się: to Beridze krzyczy, woła na pomoc, nie wolno zwlekać!

Jakby zrywając pęta, Aleksiej budzi się ostatecznie z męczącym wysiłkiem. Zobaczył nad sobą stary szałas. Obok niego rzuca się i bredzi zupełnie nieprzytomny Beridze. Już ranek. Świt sączy się nieśmiało przez trójkątny dymnik szałasu. Niwuchowie siedzą u ogniska, naprawiają sieci i gawędzą. Aleksiej rozpoznał wśród nich przewodniczącego kołchozu, Nikifora. Obok rozparł się starzec z fajką w zębach, wolno miesza w kociołku nad ogniskiem jakąś strawę... Był to zapewne dziad Gibelka. Któryż z nich tak składnie i z takim chłopięcym zapałem opowiadał bajkę?

Niwuchowie milczeli, słuchali dziwnie zmienionego głosu Beridzego, który bez przerwy majaczył, to krzyczał, to znów szeptał:

- Zostaliśmy sami, sami. Dlaczego milczysz, Alosza? Jakie to okropne, że ty milczysz? Rozumiem cię, rozumiem! Nie potrafisz pocieszać... I ja nie potrafię...

Nikifor podnosząc fajkę mówił:

- Wielkie serce ma Brodaty Inżynier. Bardzo się przejmuje. Żal mu żony, żal towarzyszy. Zginęli pewnie...

Aleksieja ogarnia przerażenie. To znaczy, że stracona już jest wszelka nadzieja; Niwuchowie nie znaleźli ani Tani, ani Kuźmy Kuźmicza, ani Poliszczuka z jego ludźmi, ani sierżanta. Nie żal mu tylko Kondrina - na nic lepszego nie zasłużył, łajdak.

Nagle ludzie przy ognisku zwrócili głowy ku cieśninie. Gibelka chwycił karabin. Do ogniska podszedł człowiek obszarpany i straszny, Kondrin!

- Jestem z kutra, który zatonął. Sam jeden ocalałem, reszta zginęła - wykrztusił. - Chcę się ogrzać. Dajcie coś zjeść. Muszę odpocząć.

Niwuchowie posadzili buchaltera przy ognisku, zakrzątnęli się. Jeden przez drugiego zaczęli go raczyć rybą z kotła. Kondrin dławiąc się łykał jedzenie i wciąż zaglądał do kotła. Nikifor kiwał głową ze współczuciem.

Aleksiej podniósł się z trudem, w głowie czuł dziwny szum. Postał chwilę chwiejąc się na nogach - i wyszedł. Kondrin ujrzawszy go odskoczył od ogniska, potknął się o korzeń i upadł z krzykiem. Podniósł się jednak i zaczął uciekać łamiąc krzewy. Aleksiej ledwie powłócząc nogami odmawiającymi posłuszeństwa rzucił się za nim. Wyprzedzili go Nikifor i Gibelka z karabinami w ręku.

- Czy to zły człowiek? Dlaczego ucieka? - zapytał Nikifor.

- Przestępca. Nie można pozwolić, żeby uciekł! Trzeba go zatrzymać! - z trudem chwytając oddech krzyknął Aleksiej.

- Twoja nie potrzebujesz biegać za nim - Gibelka odepchnął Aleksieja i podążył za Nikiforem podskakując śmiesznie i wykrzykując coś cienkim głosem.

Aleksiej powrócił do ogniska. Młody Niwuch (to on pewnie opowiadał bajki) z troską i niepokojem wpatrzył się w Aleksieja, dotknął jego głowy i milcząc pokazał swoją rękę: była na niej krew. Aleksiej miał mocno rozdartą skroń. Oderwał kawałek płótna od koszuli i wycierając krew przysłuchiwał się. W tajdze rozległy się okrzyki i strzały. Pewnie Nikifor i Gibelka próbowali zatrzymać zbiega. Potem rozległ się jeszcze jeden daleki wystrzał i wszystko ucichło. Rybacy u ogniska uspokoili się, przestali nasłuchiwać.

Nikifor i Gibelka wrócili. Nikifor rozcierał rękę i zmieszany patrzył na Aleksieja.

- Podły człowiek, zły. Bił się, ugryzł mnie w rękę, bił po głowie. Wyrwał się, znów uciekał. Krzyczeliśmy: nie wolno uciekać... Nie usłuchał...

A stary obejrzał karabin, nabił go i zaczął znów spokojnie mieszać w kociołku, jakby nic nie zaszło.

- Można pudełko Makara jedna zapałka dodaj! - spytał Gibelka Aleksieja. - Jak twoja myśli?

Kowszow nie od razu zrozumiał pytanie. Po chwili odpowiedział:

- Możesz dodać dwie. Mówią, że był bardzo niebezpiecznym wrogiem.

Gibelka pomyślał i nie zgodził się:

- Dużo - dwie. Dodaj ot... - Stary pokazał jeden palec. - Więcej taka człowiek nie wart, tfu!

- Schowaj to... - Nikifor oddał Aleksiejowi mokre dokumenty Kondrina.

Aleksiej rozpostarł je, aby wysuszyły się przy ognisku. Nikifor przyglądał się ranie od ugryzienia.

Gibelka próbował jedzenia i z zadowoleniem cmokał wargami.

- Tłusta rybka, bardzo smaczna. - Postawił kociołek przed Aleksiejem i częstował go. - Jedz, jedz, twoja musieć zdrowie poprawiać...

Kowszow bez apetytu jadł gorące, rozgotowane mięso ryby.

- Brodaty Inżynier nasza znów ugotuj ryba - z zadowoleniem powiedział Gibelka, gdy się Aleksiej odwrócił od kociołka. - Twoja trzeba spać, idź, siła zbieraj.

Aleksiej zaprzeczył ruchem głowy. Siedział trzymając ręce nad ogniem. Drżały mu palce. Przymknął oczy - było mu trudno patrzeć, bo wciąż przed nim unosiła się zielona woda, fale spiętrzały się nad nim... Wszystko się znów powtarzało. Wzdrygnął się, otworzył rozpalone oczy i wpatrzył się w ogień...

Inżynierowie razem z Niwuchami szukali przyjaciół do wieczora. Przetrząsnęli wybrzeże na przestrzeni przeszło trzydziestu kilometrów i nikogo nie znaleźli.

- Utonęli. Pochłonęła ich woda - zadecydował Nikifor. - Nie ma co szukać.

Aleksiej nie mógł uwierzyć, żeby Tania i Topolew zginęli; tak trudno było wyobrazić sobie śmierć tych dwojga ludzi, tak różnych wiekiem, ale tak jednakowo pełnych młodzieńczej siły. Wciąż mu się zdawało, że oto już za chwilę znajdą się - żywi i cali. Dopiero gdy zapadała noc, zgodził się przerwać poszukiwania. I on, i Nikifor ze swoimi ludźmi opadali już z sił.

Aleksiej, sam wstrząśnięty do głębi, z nękającym go niepokojem w sercu widział, jak ciężko przeżywa nieszczęście Beridze. Dosłownie postarzał się w ciągu doby. To, czego nie można było dawniej zauważyć w wesołym i czynnym Beridzem - zmarszczki na twarzy, siwizna na skroniach, zmęczenie w oczach - wyraźnie teraz uwidoczniło się w skamieniałym z bólu człowieku.

W przeciwieństwie do Aleksieja Beridze od razu uwierzył w śmierć Tani. Pokornie zgodził się z Nikiforem, że dalsze poszukiwania przyjaciół są bezcelowe.

Nawet dziad Gibelka zwrócił uwagę na jego stan i powiedział mu chytrze:

- Nasza Niwuch mówi, Brodaty Inżynier zawsze wesoły, zawsze mówi, zawsze śmieje się. To nieprawda: twoja zawsze milczy jak kamień!

Gieorgij Dawydowicz odpowiedział bolesnym uśmiechem. Aleksiej odwrócił się, żeby tego nie widzieć.

Po bezsennej, pełnej udręki nocy u ogniska inżynierowie udali się z wybrzeża do osiedla Mylwo; Nikifor pod wpływem nalegań Kowszowa pozostał w cieśninie, aby kontynuować poszukiwania. Dziad Gibelka zaprowadził Aleksieja i Gieorgija Dawydowicza do swojego nowego domu, zbudowanego przez kołchoz. Stary z naiwną dumą pokazał wszystko, począwszy od czystych szyb w oknach,

a kończąc na oprawionym w piękną brzozową ramkę dużym portrecie wnuka, wyborowego strzelca Makara. Na półeczce obok portretu leżały opiewane w bajce słynne trzy pudełka zapałek.

Z biura kołchozu Aleksiej spróbował połączyć się z Nowińskiem. Przewód telefoniczny we wsi jeszcze w zimie na prośbę Nikifora został włączony do linii magistralnej na budowie.

Beridze siedział przy nim. Ukradkiem spoglądając na niego Aleksiej w ostrożnych, mglistych słowach zawiadomił Batmanowa o nieszczęściu. Wasilij Maksimowicz obruszył się, zwymyślał Aleksieja za chaotyczne sprawozdanie.

- Nie zwracaj na mnie uwagi, Alosza - powiedział Beridze. - Złóż mu rzeczowe sprawozdanie.

Po wysłuchaniu Aleksieja Wasilij Maksimowicz męcząco długo milczał.

Kowszow już myślał, że ich rozłączono.

- Nie krzyczcie na telefonistkę, słyszę was - odezwał się znowu Batmanow. - Nie traćcie głowy. Nie przerywajcie poszukiwań. Postawcie wszystkich na nogi, nie spocznijcie, aż znajdziecie. Gdzie jest Beridze? Dlaczego nie podchodzi do aparatu?

Pragnąc zaoszczędzić przyjacielowi rozmowy, w której Batmanow mógłby jeszcze mocniej rozjątrzyć jego ranę, Aleksiej powiedział, że Gieorgij wyszedł. Ale Beridze wziął słuchawkę. Smutne jego oczy rozjaśniły się, Aleksiej owi też zrobiło się lżej na sercu, jakby stopniała gniotąca piersi bryła lodu.

- Batmanow leci tu samolotem - radośnie oznajmił Beridze, jakby spodziewał się, że kierownik znajdzie Tanię, Kuźmę Kuźmicza i marynarzy.

Odnaleziono ich wszystkich jeszcze przed przyjazdem Batmanowa. Jeden z Niwuchów natknął się na Poliszczuka i przyprowadził go do osiedla. Wyczerpany do ostateczności Poliszczuk wskazał, gdzie należy szukać pozostałych. Jak się okazało, wydostawszy się z wody poszli w głąb tajgi w nadziei, że znajdą osiedle, ale zbłądzili. Według słów Poliszczuka Tania i stary inżynier czuli się bardzo źle, nie byli w stanie iść; sierżant i Kondrin utonęli.

Beridze zmienił się w jednej chwili, wróciła mu cała jego energia. Dosłownie pędził przez las rozgarniając zarośla; Aleksiej i Niwuchowie ledwie za nim nadążali.

... Tania i Topolew leżeli przy ognisku, nakryci ubraniem i gałęziami. Obok nich w samych tylko poszarpanych bluzach siedzieli marynarze z załogi kutra.

Beridze rzucił się ku Tani, uniósł ją i z wielkim niepokojem wpatrywał się w rozpaloną od gorączki, czerwoną twarz dziewczyny. Z jękiem otworzyła oczy, ujrzała Beridzego i przytuliła się do niego.

- Żyjesz... żyjesz... Gieorgij... Jaka jestem szczęśliwa... Nie daj mi teraz umrzeć - szeptała w uniesieniu i głaskała jego twarz pałającymi dłońmi.

Na kolanach Aleksieja umierał Topolew. W piersi coś mu chrypiało i rzęziło, z trudem łapał oddech. Kuźma Kuźmicz starał się przezwyciężyć ból fizyczny.

- Dobrze, że zdążyłeś na czas, Alosza - mówił powoli, z wysiłkiem. - Muszę ci przekazać... swojego rodzaju testament. Wszystko, kochany, jest drogie, co się przeżyło. Myślę teraz, że za mało zrobiłem... Tobie przekazuję jakby w sztafecie. Nieukończone prace. Bibliotekę... jest w Moskwie. Błędy. Przemyśl je i nie powtarzaj. Ile ich było w ciągu sześćdziesięciu lat, mój Boże! Swój honor inżyniera... Grubskiemu, jeśli go ujrzysz, powiedz. Wspominał ciebie, powiedz, stary przed śmiercią i żałował. W mojej kieszeni, Alosza, jest tabakierka, weź na pamiątkę. I w mieszkaniu, w Nowińsku, wszystko twoje, co ci się spodoba.

Starzec umilkł, potem poprosił, aby go uniesiono, i jęknął. Jakby opamiętując się, z pośpiechem zaczął znów mówić:

- Pamiętaj zawsze o tym, o czym mówiliśmy. Daleka perspektywa. Nie starzeć się duchem, nie rozdrabniać się, cokolwiek by się stało.

Aleksiej uniósł starca, żeby mu było lżej oddychać, ale życie już opuszczało go. Uchodziło z jego piersi z każdym słowem, z każdym westchnieniem. Twarz poszarzała, oczy zaczęły mętnieć.

- Błogosławię cię na życie - wymówił nagle zupełnie wyraźnie Topolew, chciał podnieść rękę, ale zabrakło mu sił - ręka osunęła się na ziemię.

Batmanow przyleciał razem z Rodionową i Grubskim. W tych dniach w całej tajdze zakwitły głogi. Pokój Beridzego, w którym leżała Tania, był cały zastawiony bukietami tych czerwonych, wydzielających słodkawy zapach kwiatów.

Olga wyprosiła mężczyzn i zbadała dokładnie przyjaciółkę. Stwierdziła, jak się tego spodziewała, zapalenie płuc.

Tania, choć osłabiona wysoką gorączką, była ożywiona i radosna, to podtrzymywało przekonanie Olgi, że życiu przyjaciółki nie grozi niebezpieczeństwo.

- Egipcjaneczko, nie bądźże tylko lekarzem - powiedziała jej Tania uśmiechając się spieczonymi wargami.

Rodionowa do głębi wzruszona i zaniepokojona zachowywała powagę i spokój. Słowa i choroba Tani wzruszyły ją, przyjaciółki uścisnęły się i przypadłszy ku sobie zapłakały.

- Taka jestem szczęśliwa... Żadna choroba mnie nie zmoże - szeptała Tania do ucha Olgi, choć w pokoju nikogo prócz nich nie było.

Przypomniała sobie Topolewa, którego śmierć ukryto przed nią, i zaczęła przynaglać przyjaciółkę:

- Idź do niego, Olgo, pomóż mu. Mówią, że z nim jest źle. I zawiadom także Rogowa, że tu jesteś. Jak on cię kocha, Oleńko!

Rogow był już na odcinku i szukał Olgi. Spotkali się na drodze do wsi, dokąd Olga szła badać chorych, przyprowadzonych przez Karpowa z tajgi.

Rogow zmieszał się, przywitał ją jakby zawstydzony, a potem, klnąc w duchu swą nieśmiałość, szorstko wyjawił, że przyjechał po nią, aby ją niezwłocznie zawieźć na wyspę.

- A może będzie mi wolno zbadać chorych i w ogóle dysponować sobą według własnego uznania? - z udaną surowością zapytała Olga i skierowała się do punktu sanitarnego.

Rogow coś wymamrotał i uparcie szedł tuż za nią. Olga przystanęła.

- Nie idź za mną, Aleksandrze. Nie trzeba... i tak jestem roztrzęsiona - powiedziała miękko. - Idź na razie do Batmanowa; jesteś mu z pewnością potrzebny - jest w klubie. Gdy będę wolna, porozmawiamy.

Rogow, w jednej chwili poskromiony tymi słowami, poszedł do klubu. Na środku pokoju leżał w trumnie Topolew, spokojny i majestatyczny, zadziwiająco podobny do Gorkiego. Pochylały się nad

nim czerwone sztandary, te, które odcinek obecnie posiadał jako odznaczenie. Trumna była zasypana kwiatami z tajgi. Na honorowej warcie przy zmarłym stał kierownik budowy.

Tu, przy szczątkach Topolewa, spotkali się Grubski z Beridzem. Grubski w milczeniu pozostał przez pół godziny przy trumnie, potem pocałował starca w woskowe czoło i gdy zmierzał już do wyjścia - przyszedł do klubu Gieorgij Dawydowicz.

Niechęć do Grabskiego z chwilą, gdy tylko Beridze spojrzał na niego, ustąpiła miejsca wielkiej litości. Wyglądał jak starzec, zupełnie siwy i zgarbiony. Ze wzruszenia nie mógł mówić. Beridze milczał także.

- W takich chwilach nie wolno być nieuczciwym, nieszczerym i niepoważnym - zaczął w końcu Grubski. - Wierzcie mi, że przyszedłem do was po głębokim uświadomieniu sobie swoich błędów. Ubiegłe miesiące mego życia były gorzkie, ale zasłużone. Stałem się człowiekiem, który utracił miejsce między swoimi... Gdybyście wiedzieli, jakie to okropne zostać samemu! Zrozumiałem, że tylko tu potrafię i powinienem odzyskać godność radzieckiego obywatela i radzieckiego inżyniera. Weźcie mnie pod swoje kierownictwo, towarzyszu Beridze. Pisariew i Batmanow oddają mój los w wasze ręce. Jak postanowicie, tak będzie.

Beridze milczał. Grubski podniósł rękę do zaczerwienionych oczu.

- Dajcie mi najtrudniejszą i najcięższą pracę...

Obejrzał się na trumnę i zawołał z rozpaczą:

- Jak mi żal, że nie dane nam było porozmawiać ze sobą! Czekałem na spotkanie z nim... Czy mogłem przewidzieć, że będzie takie bolesne?

Podniósł oczy na Beridzego. Ten spojrzał na niego badawczo i wyciągnął rękę:

- Cieszę się, że będziemy razem. Rozejrzyjcie się sami na odcinku i zadecydujcie, jaka praca będzie wam najbardziej odpowiadała.

Z ciemnoszarej, ostro wcinającej się w cieśninę skały wyrąbano ogromną granitową płytę. Pietrygin z pomocnikami obciosał ją starannie. Aleksiej własnoręcznie wyrył na kamieniu napis: „Kuźma Kuźmicz Topolew, inżynier. Oddał życie za Radziecką Ojczyznę. Czerwiec 1942 roku”.

Pochowali Kuźmę Kuźmicza na wzgórzu, z którego w zimie budowniczowie obserwowali pierwszy wybuch. Teraz wspinali się wszyscy za trumną, którą nieśli Batmanow, Beridze, Aleksiej, Grubski, Rogow i Umara Mahomet.

- Ogarnia nas bezgraniczny żal po stracie towarzysza, którego wszyscy tak dobrze poznaliśmy i pokochaliśmy. Umiał pracować, był mądry i miał czystą duszę - mówił Batmanow nad mogiłą. - Jak się pogodzić z tą stratą? Powinna wesprzeć nas świadomość, że Kużma Kużmicz nie na próżno żył, że zdołał zostawić po sobie ślad. Oto tędy przeszli kiedyś pierwsi rosyjscy ludzie - znani i bezimienni wędrowcy. I tędy właśnie biegnie teraz stalowa nić naszego rurociągu, z którym złączył się trud inżyniera Topolewa. Wkrótce popłynie z wyspy ropa - będzie to najpiękniejsza pamiątka po nim, wybitnym radzieckim inżynierze i wiernym naszym towarzyszu.

Na mogile Topolewa położono pamiątkowy kamień. Pokryły go wieńce z żywych kwiatów. Wiatr lekko poruszał czerwonymi wstęgami wieńca, który Rodionowa z Aleksiejem ułożyli na wierzchu - i zdawało się, że nad mogiłą poruszają skrzydełkami - nie odlatując - wielkie, czerwone motyle.

Straż pograniczna i Niwuchowie, którzy wzięli udział w pogrzebie, oddali kilka salw w powietrze ze strzelb i karabinów. Na placu budowy syreny zaśpiewały swoją podniosłą pieśń. W milczeniu zeszli budowniczowie ze wzgórza. Jeden tylko Aleksiej został przy mogile.

Niwuch Nikifor zatrzymał Batmanowa i zawiadomił go, że przywiózł ciało Kondrina.

- Trochę go ptaki podziobały - powiedział ze skruchą Nikifor. - Ale jest cały. Gdzie go złożyć?

- Pochowajcie w tajdze. Grób zrównać z ziemią, żeby nie było nawet śladu.

...Skończywszy obchód odcinka Batmanow zaproponował Beridzemu, aby z Aleksiejem i Tanią poleciał samolotem do Nowińska.

- Odpocznijcie trochę, wszystkim wam jest potrzebna zmiana otoczenia. Zajmijcie się Aleksiejem, chłopiec aż się pochylił, takie się na niego zwaliły nieszczęścia. Poczekajcie na mnie w zarządzie i gdy wrócę, zaczniemy opracowywać już końcowe plany naszej budowy.

Batmanow postanowił wejrzeć dokładniej w sprawy dalekich odcinków. Najwięcej niepokoiła go stacja pomp i jej skomplikowany montaż.

Dowiedziawszy się, że Batmanow wysyła Rodionową do Nowińska z chorą Tanią, Rogow zaczął prosić kierownika, żeby pozostawił Olgę na wyspie, choćby tylko na miesiąc.

- A po co? - zdumiał się Batmanow spojrzawszy na Rogowa i na Olgę, która była obecna przy rozmowie.

- Mam u siebie ludzi chorych na jakąś nierozpoznaną chorobę. Trzeba przecież ich zbadać i pomóc im - nie mrugnąwszy nawet okiem, powiedział szybko Rogow.

Batmanow znów spojrzał na niego, zamyślił się i zwrócił się do Olgi.

- Czy obowiązki w szpitalu pozwolą wam na dwa tygodnie nieobecności?

- W tej chwili jest tam wszystko w porządku. Poza tym mam bardzo dobrego zastępcę - odpowiedziała Olga i trochę zmieszana dodała: - Ale chorych już nie ma na wyspie. A w sprawie tej nieznanej choroby...

Batmanow przerwał jej:

- Jedźcie na wyspę, pomóżcie Rogowowi zorientować się w tej zagadkowej chorobie. Daję wam na to dwa tygodnie czasu.

I żeby nie słuchać sprzeciwów Rodionowej, szybko oddalił się pomyślawszy w duchu: „Oto jakie jest życie: i pogrzeby, i śluby - wszystko razem...”

Rogow zostawszy z Olgą zażądał, żeby zaraz udała się z nim na Tajsin. Chwyciwszy za rękę pociągnął ją za sobą:

- Czeka na nas kuter „Perła”. Powinniśmy być na miejscu jeszcze przed nocą.

- Czyś ty oszalał? Co ja będę robiła na tej twojej wyspie? – śmiała się zmieszana i wzruszona Olga. - Nie pojadę na „Perle”.

- Pojedziesz. Skoro Batmanow wyraził swoją zgodę, już się nie wykręcisz, on jest dla mnie najwyższym autorytetem. I nie sprzeciwiaj się. Zamieszkasz w fanzie, będziesz spała na niedźwiedzich skórach,

będziesz jadła pstrągi, piła źródlaną wodę, słuchała leśnych kanarków, polowała na jelenie i leczyła moją tajemniczą chorobę serca.

Inżynierowie z Tanią polecieli do Nowińska, Rogow i Olga odpłynęli na wyspę, a Batmanow z Filimonowem na cały dzień zamknęli się na stacji pomp. Duży, przestronny, z ogromnymi oknami budynek był w surowym stanie gotowy. Ułożono już w nim podłogę z płyt, malarze wywijali swoimi pędzlami, a Filimonow z pomocnikami zaczęli już montować motory dieslowskie i pompy. Szczegółowe omówienie schematu montażu nie wywoływało zastrzeżeń, więc Batmanow poweselał. Filimonow, podniesiony na duchu, prosił o pomoc w zdobyciu brakujących instrumentów kontrolno-pomiarowych; Fiedosow nie mógł ich sam nigdzie znaleźć. Batmanow zaraz wysłał na miejscu depeszę do Pisariewa do Rubieżańska i do Tieriechowa do Nowińska - między nim a młodym dyrektorem fabryki zadzierzgnął się stosunek wzajemnej pomocy.

Zadziwiwszy Batmanowa niezwykłą gadatliwością i natarczywością Filimonow po raz trzeci zaczął opowiadać o Sierioginie. Stan mechanika poprawiał się; leżąc w łóżku opracował jeden po drugim cztery projekty przyśpieszające montaż pomp. W praktyce propozycje okazały się bardzo cenne.

- O co ci chodzi? Powiedz wprost - odezwał się Batmanow.

- Żebyście do niego wstąpili. Błaga o to, musi z wami porozmawiać.

Batmanow udał się na punkt sanitarny, gdzie w oddzielnym, czystym pokoiku leżał Sieriogin. Był bardzo wychudzony i blady, głowę miał jeszcze zabandażowaną. Mechanik coś rysował trzymając przed sobą niedużą deskę. Gdy zobaczył kierownika budowy, aż podskoczył; deska spadła na podłogę.

- Nie denerwujcie się, leżcie spokojnie - powiedział Wasilij Maksimowicz; usiadł przy stoliku i zapalił papierosa.

Sieriogin posłusznie położył się, zebrał siły i nie szczędząc siebie, ze wzburzeniem, jąkając się, zaczął opowiadać o tym, jak - niby widmo przeszłości - zjawił się przed nim Kondrin i zburzył jego obecne pracowite życie. Trzeba go było od razu zdemaskować, powiedzieć o swoich podejrzeniach, ale on, Sieriogin, zląkł się.

- Postanowiłem odsunąć się na bok: ty mnie nie rusz, to i ja ciebie nie ruszę. Tak jednak nie wolno postępować. Nie wolno! Nie doniosłem o nim, a tym samym pozwoliłem mu swobodnie działać. To znaczy, że to, co robił, i na mnie rzuca cień.

Sieriogin bardzo się zdenerwował, na jego bladej twarzy wystąpiły czerwone plamy.

- Nikt nie będzie miał teraz do mnie zaufania i ja sam jestem temu winien. Nie wierzono mi, kiedy mówiłem o Kondrinie - odpowiadali, że bredzę. Zrozumcie: każdej chwili można się po nim spodziewać wszystkiego najgorszego. Jest niezwykle niebezpieczny. Obawiam się o stację pomp. Przecież nie na próżno zginęły plany.

- Bandyta został zastrzelony - powiedział Batmanow.

Sieriogin opadł na poduszki.

- Jakby mi kamień spadł z serca - odetchnął z ulgą. I znów zaczął surowo: - Wina spada także na mnie, wiem o tym. Jestem gotów pójść pod sąd. Ale pomóżcie mi, towarzyszu Batmanow.

Sieriogin zaciął się. Zaciekawiony Batmanow zapytał:

- Jak?

- Nie wypędzajcie mnie stąd. Pozwólcie mi w dalszym ciągu pracować. Przysięgnę wam na wszystko, że nie ucieknę. Teraz całe moje życie związane jest ze stacją pomp. We śnie widzę pracujące maszyny. Kiedy ruszą, jestem gotów pójść nawet na rozstrzelanie.

- Wierzę - odrzekł Batmanow. - Wierzę, bo trzeba już być zupełnie zgubionym człowiekiem, żeby pracując w dobrym kolektywie, nie uświadomić sobie różnicy między bogatym życiem pełnoprawnego człowieka pracy a nędzną dolą przestępcy, odepchniętego przez społeczeństwo. Otrzymaliście dotkliwą pod każdym względem naukę, niech wam jednak wyjdzie na pożytek. Nie można zbyt łatwo uwolnić się od przeszłości. Trzeba czynnie walczyć z jej objawami w sobie i w innych. - Batmanow zamilkł na chwilę. - Myślę, że zostawią was na budowie za moim poręczeniem. I zapamiętajcie sobie: przyszłość człowieka prawie zawsze jest w jego rękach.

Sieriogin leżał z twarzą ukrytą w dłoniach; ramionami jego wstrząsało łkanie.

11. Zina wróciła

Aleksiej nie powinien był, widocznie, jechać do Nowińska - wyjazd nie wyszedł mu na dobre. Po dniach i nocach wypełnionych troskami i pracą w ciągu kilku miesięcy, teraz wpadł w taki nastrój, jaki bywa u ludzi po bitwie: ucichł huk armat, umilkły krzyki, a w uszach nadal huczy i dzwoni niezwykła cisza. Aleksiejowi pozostawiono zupełny spokój: - nic od niego nie żądano, o nic nie proszono, był niemal niepotrzebny. Pozostawiono mu wolny czas, chociaż teraz właśnie zupełnie go nie pragnął.

W tym czasie zarząd był po prostu aparatem dyspozytorskim, o niewielkiej ilości osób, kierowanym za pośrednictwem Grieczkina przez samego Batmanowa. Większość pracowników była na trasie. Z wydziału Kowszowa pozostała na miejscu tylko mała grupka ludzi, którą z powodzeniem kierował Kobziew. Po zatwierdzeniu projektu charakter pracy wydziału uległ zmianie - obecnie wydział zajmował się drobnym projektowaniem, wykonywał zadania wynikające z indywidualnych potrzeb odcinków. Techniczne kierownictwo trasy sprawował znad cieśniny naczelny inżynier.

Dlatego też Aleksieja nic w jego wydziale nie zainteresowało. Kobziew, który szczerze pragnął wprowadzić swojego kierownika w bieg pracy zarządu, nie poznawał Aleksieja: był tak apatyczny, roztargniony, a nawet przygnębiony. Kobziew wiedział o nieszczęściach, jakie na niego spadły, rozumiał jego stan i nie mógł zdecydować się, żeby odejść i zostawić Aleksieja samego.

- Gdzie jest Pietia Gudkin?

- Na czwartym odcinku. To teraz figura: został kierownikiem technicznym - odpowiadał ponownie Kobziew, starając się nie okazywać zdziwienia, że Aleksiej, obdarzony dobrą pamięcią, zadaje wciąż to samo pytanie.

- Wezwalibyście go, jest mi potrzebny.

- Już zrobione. Jutro Pietia będzie już tutaj.

Aleksiej czekał z niecierpliwością, kiedy Kobzie w wreszcie wyjdzie. Gdy zaś wychodził - było jeszcze gorzej. W ciszy zdawało się Aleksiejowi, że słyszy pukanie własnego serca ściskanego bólem. Stary Topolew - w ciężkiej szubie z podniesionym kołnierzem, z szalikiem owiniętym wokół szyi, z czerwoną chustką w ręku, taki, jaki zjawił się owego pamiętnego ranka - wstawał spoza swego biurka i szedł ku niemu. Powtarzała się ich rozmowa, która zapadła mu w duszy na całe życie.

„Alosza drogi - mówił basem Kuźma Kuźmicz - zapamiętaj sobie, człowiek powinien być wciąż niezadowolony z siebie... Gdy doświadczysz niepowodzenia, nie składaj nigdy winy na okoliczności - szukaj winy tylko w samym sobie... Nie szukaj uspokojenia, nie ostygaj w zapale, bądź zawsze młody duchem. Nie daj się kusić drobnym, łatwo dostępnym uciechom życia za cenę mniej dostępnych, prawdziwych, wielkich radości".

Upał wczesnego lata wlewał się w okna wraz z aromatem omdlewających na klombach kwiatów. Ale Aleksiejowi się zdawało, że za oknami trwa w dalszym ciągu zima i burza śnieżna; wstrząsał się jak pod wpływem chłodu i szybko opuszczał osierocony gabinet.

Muza Filipowna zobaczywszy go nie omieszkała podzielić się z nim radosną nowiną: znalazła się wreszcie jej Mastoczka. Jest w Czelabińsku, pracuje w fabryce, dostała pokój. Stara kobieta pokazywała Aleksiejowi plan pokoju, narysowany przez córkę na końcu listu: „tu stoi stół, tam łóżko, a tu kartofle - całe trzy worki".

Wszyscy starali się w jakiś sposób rozerwać Aleksieja i dodać mu otuchy. Ale on w chwilach słabości pragnął widzieć tylko trzy osoby: Załkinda, Żenię i Pietię. Jednak nikogo z nich nie było. Załkind nie powrócił jeszcze z Rubieżańska, skąd oczekiwano jego powrotu z dnia na dzień. Żenię wysłał Grieczkin na drugi odcinek z brygadą w celu skontrolowania: dlaczego przekroczono normę robotniko-godzin. Pietia Gudkin był już zapewne w drodze do Nowińska.

Beridze nie zapomniał o Aleksieju starając się ściągnąć go do siebie, gdzie w pokoju Olgi leżała chora Tania. Ale chociaż współczucie Beridzego i Tani było bardzo serdeczne, choć bardzo pragnęli mu pomóc - nie mógł długo pozostawać z nimi. Nie umieli ukryć swojego szczęścia, które stwarzało wokół nich szczególną atmosferę. Każdy gest, każde słowo Beridzego i Tani mówiło o tym, jak bardzo lgną ku sobie, jak im trudno w obecności Aleksieja powstrzymać się od pieszczotliwego słowa czy pocałunku. Aleksiej przypomniał sobie słowa Ziny o ich własnej głębokiej miłości; być świadkiem cudzej miłości - to było nie do zniesienia, podobnie jak nie do zniesienia jest widok czyjejś radości na pogrzebie bliskiego człowieka.

Ciągnęła go do siebie Serafima, ale jej żywe współczucie przejawiało się nazbyt prosto i materialnie: pierożki, smaczne, duszone mięso, jagodowy sok na cukrze, mocny jak wino. Aleksiej wymawiał się prędko od tych przysmaków: nie był w stanie dogadzać żołądkowi, gdy tak bardzo bolało serce.

Pół dnia spędził u Grieczkina. Naczelny dyżurny siedział z powagą w sali zawieszonej tablicami, na których co godzina przedstawiano graficznie zmiany zachodzące na odcinkach. Na ogromnym biurku stały ustawione w szachownicę aparaty telefoniczne, połączone bezpośrednio z odcinkami. Bez przerwy toczyły się rozmowy, zapisywano cyfry, zestawiano tablice, rozsyłano zarządzenia - tu była zbiornica osiągnięć i klęsk pracowników budowy.

Grieczkin nie mógł znaleźć chwili, aby porozmawiać z Aleksiejem.

- Zaraz będę wolny - zapewniał i znów chwytał jedną i drugą ręką słuchawki telefonów jednocześnie dzwoniących różnymi sygnałami. Wytrzeszczając oczy i podnosząc brwi naczelny dyżurny zaczynał krzyczeć:

- Dlaczego przerwaliście spawanie? Jak to, nie ma elektrod? Czemużeście, do diabła, milczeli o tym wczoraj ?

Aleksiej uważnie przyglądał się pięknym słupkom i krzywym na tablicach, próbując według nich odtworzyć sobie stan pracy na odcinkach. Natychmiast stawał mu przed oczami obraz trasy; dostrzegał niedokładności w wykresach Grieczkina i przestawały go one interesować.

Grieczkin, oderwawszy się na chwilę od telefonów, odgadywał myśli Aleksieja i przyznawał:

- Trudno nadążyć za życiem, mój drogi. Człowiek z trasy nie powinien oglądać tych tablic. Ale nam one bardzo pomagają. Mimo wszystko dzięki nim mniej lub więcej dokładnie wiemy, co się gdzie dzieje w danym momencie. - I chełpliwie dodawał: - Nie na próżno o moim punkcie dyspozytorskim pisali w rubieżańskiej gazecie. Nie czytałeś? Przeczytaj! Dam ci gazetę.

Aleksiej poszedł do mieszkania Topolewa. Gospodyni, Maria Iwanowna, przywitała go tak, jakby był synem zmarłego lokatora. Płakała i wciąż wspominała, jakim dobrym człowiekiem był Topolew. W jego pokoju nikt na razie nie mieszkał, wszystko pozostało tutaj w takim stanie, jak za życia lubiącego porządek Kuźmy Kuźmicza.

Gość patrzał na odziedziczone po starcu rzeczy, na książki z uwagami na marginesach i na drobno zapisane zeszyty, na podarowaną mu przez Topolewa srebrną tabakierkę, na fotografię siostrzeńca, młodego, sympatycznego chłopca o mądrych oczach i ironicznie uśmiechniętych ustach - i wydawało mu się, że oto za chwilę wejdzie żywy Kuźma Kuźmicz, z udaną surowością zmierzy go od stóp do głów spojrzeniem spod nastroszonych brwi, muśnie ręką wąsy i zapyta: „Gospodarujesz”?

- Będziecie tu mieszkali? - na pół twierdząco zapytała Maria Iwanowna. - Przychodziła tu Liza Grieczkina z komendantem; polecili, aby pokój został nie zajęty, bo może będzie wam potrzebny.

- Tak, zamieszkam tu - potwierdził Aleksiej, nie wyobrażając sobie nawet, żeby w pokoju Topolewa mógł zamieszkać ktoś obcy.

- W takim razie urządźcie się jak u siebie w domu - uczyniła zapraszający ruch ręką ucieszona Maria Iwanowna.

- Naturalnie... naturalnie - zgodził się Aleksiej i szybko wyszedł, zanim gospodyni zdołała dostrzec, co przeżywał.

Zaprosił go do siebie Liberman. Przyjechały do niego nareszcie żona i córka, którym udało się wydostać z oblężonego Leningradu. Można było nie słuchać tego, co opowiadały, wystarczyło je zobaczyć, żeby zrozumieć ogrom cierpienia, które przeżywali mieszkańcy tego miasta.

Żona Libermana, kobieta czterdziestoletnia, wyglądała na sześćdziesięcioletnią staruszkę. Osiwiała, wypadły jej na skutek szkorbutu prawie wszystkie zęby, wyschła z głodu, skóra na jej twarzy i na szyi zżółkła i pomarszczyła się.

- Tak wyglądałam przed blokadą - pokazała Aleksiejowi fotografię jeszcze dość młodej i ładnej kobiety, patrzącej kokieteryjnie ze zdjęcia.

Dziewczynka miała smutne oczy człowieka, który dużo widział i dużo przecierpiał. Na chudziutkiej buzi uwydatniał się „nos papy” - nie taki duży, ale bardzo podobny z kształtu.

Sepleniąc bezzębnymi ustami i płacząc raz z żalu, to znów z zawziętości, kobieta opowiadała o znanej artystce w futrzanym płaszczu przepasanym sznurkiem, z kołdrą na głowie i oblodzonym wiadrem w ręku; o tramwaju zamarłym na rogu Kronwierskiego i Kamiennostrowskiego z jednym jedynym zamarzłym pasażerem w przyczepnym wagonie; o ich sześciopiętrowej kamienicy, w której w ostatnich czasach mieszkało tylko dziesięciu lokatorów; o tym, jak siostrzenicę i ciotkę wieziono na cmentarz, ułożone pokotem na jednych saniach; o rozpaczliwych ciemnościach nocnych, o szubienicach w Peterhofie, o wierszach Dżambuła - „Leningradczycy - dzieci moje, Leningradczycy - dumo moja”.

- Nigdy nie wyjechałabym z naszego Leningradu, gdyby nie mama! - krzyknęła ze złością dziewczynka. - Chcę zobaczyć, jak przepędzą Niemców!

W Nowińsku - w mieście, które nie znało zaciemnienia, bombardowań i kanonad artyleryjskich - zdumiewało ją wszystko. Zadawała pytania, które odbierały dorosłym spokój.

- Mamuniu najmilsza! Mamuniu moja najmilsza! - szeptał Liberman patrząc z męką w oczach na żonę i córkę. - Dajcież mi, spokojnemu człowiekowi, broń, żebym i ja mógł odpłacić się tym potworom.

Późno wieczorem przyjechał Pietia; miał na sobie pasiastą koszulkę futbolową, jasne spodnie i białe pantofle na bosych nogach. Twarz chłopca ogorzała, piegi stały się jeszcze większe - wielkości grosza - z opalonego nosa schodziła skóra. Znalazł Aleksieja na skwerku na wprost zarządu. Było tu bardzo cicho, z mnóstwa białych kwiatów tytoniu wydzielał się intensywny, korzenny zapach.

Chłopak z daleka patrzył na Aleksieja, nieruchomo siedzącego na ławce; nie mógł się zdecydować, aby podejść. Wreszcie przezwyciężywszy nieśmiałość, zbliżył się i z tyłu objął inżyniera.

- Mitieńka - wyrwało się Aleksiejowi; w ten sposób lubił podkradać się ku niemu braciszek.

Poznawszy Pietię Aleksiej bez słowa przyciągnął go do siebie. Długo snuli się wzdłuż osady i nad brzegiem Adunu, lśniącego w blaskach księżyca. Pietia z przejęciem dzielił się wrażeniami ze swojej pracy na czwartym odcinku. Ma osiem grup spawaczy, rozstawił ich na dwóch końcach dziesięciokilometrowego odcinka. Nie schodzi z konia i nadąża z nadzorem nad spawaniem na dwa fronty. Pietia bardzo się interesował Umarą Mahometem; Aleksiej musiał szczegółowo opowiadać, jak pracuje najlepszy spawacz na budowie, ile minut spawa jeden styk, jakie ma urządzenia i jak pracują jego pomocnicy.

Kowszow wezwał Pietię z odcinka mając nadzieję, że zabierze go nad cieśninę, dokąd już sam zamierzał wracać. Kiedy zrozumiał, że chłopak dosłownie zrósł się ze swoim odcinkiem i pochłonięty jest całkowicie troską o spawaczy, zrezygnował z niepokojenia go propozycjami. Już po godzinie Pietia zaczął się dręczyć: nie chciał porzucać Aleksieja i bał się, że nie zdąży do samochodu wracającego na odcinek. Chłopak miał wszystko wyliczone: po szesnastu godzinach jazdy miał dostać się na miejsce i zdążyć na jutrzejszą wieczorną zmianę. Pietia usiłował sobie już wyobrazić, czy jego spawaczom uda się wypełnić w ciągu dnia zobowiązanie - wykonać dwie normy - a jednocześnie z przejęciem słuchał opowiadania Aleksieja o śmierci i pogrzebie Topolewa nad cieśniną.

- Obaj jesteśmy jego spadkobiercami - ze wzruszeniem mówił Aleksiej. - Od niego - do mnie, ode mnie do ciebie - jak w sztafecie - powinno przechodzić nie ukończone dzieło. Ty, Pietia, nie możesz ograniczać się tylko do trosk dnia dzisiejszego. Prócz spawania jest jeszcze wiele rzeczy, które czekają na ciebie. Czas, mój przyjacielu, pomyśleć o własnym planie - pięciolatce rozwoju swych sił.

Pożegnali się jak bracia nie wstydząc się trzykrotnego pocałunku i mocnego uścisku. Pietia wpatrywał się w twarz Aleksieja, przełknął dławiące go łzy, zacisnął zęby i szybko się oddalił przyciskając łokcie do boków i prężąc krok.

Chcąc nie chcąc Aleksiej musiał ruszyć do domu. Dopędził Lizę Grieczkinę wracającą z przedszkola, w którym wspólnie z Poliną Jakowlewną Załkindową odbywały naradę z piastunkami i wychowawczyniami. Na prośbę Lizy zaszedł na chwilę do Grieczkina, aby popatrzeć na ich skarby: czworo dzieci - trzech chłopców i dziewczynka, podobnych do siebie z jasnych jak len włosów i rumianych policzków - spało w drewnianych łóżeczkach, rozstawionych wzdłuż ścian.

W pokoju, który stał pustką przez całą zimę i który Żenia przystroiła z myślą o nim, Aleksiej nie mógł już uciec od wspomnień - o bliskich - ich oczy, uporczywie patrzące na niego z fotografii, przykuwały go do miejsca.

Z lewej strony, z niedużej, pociemniałej fotografii chmurnie i surowo patrzył na niego Topolew. Z dużego familijnego zdjęcia uśmiechał się Mitia. Całą rodzinę sfotografował przyjaciel Sierioża w dniu przyjazdu Aleksieja z budowy na południu. Wszyscy byli wówczas w doskonałym nastroju. Dowcipy leciały od Sierioży do Aleksieja, od Aleksieja do Miti i z powrotem, jak piłka w siatkówce. Ojciec słuchając ich zaśmiewał się serdecznie. Sierioża długo czekał, aż przyjmą poważny wyraz twarzy, ale się nie doczekał i dlatego na zdjęciu zostały uwiecznione roześmiane twarze.

I Zinę także fotografował Sierioża. Chciał przy tym koniecznie, żeby w jakiś wymyślny sposób zwróciła głowę. Dziewczyna odmawiała: „Nie usiłuj robić mnie ładniejszą. Alosza kocha mnie taką, jaką jestem. Prawda, Alosza?" Teraz Aleksiej nie mógł oderwać oczu od fotografii. Spojrzenie Ziny było żywe i pytające. Jej długie rzęsy zdawały się poruszać.

Straciwszy nad sobą panowanie Aleksiej zaszlochał. Ten głuchy, chwytający za serce głos wyrywającego się na zewnątrz nieukojonego człowieczego cierpienia usłyszała Żenia, która właśnie przed chwilą wróciła z odcinka. Grieczkin powiedział jej o przyjeździe Aleksieja, w celu odszukania go pobiegła do domu...

Dawniej Żenia Kozłowa mało zastanawiała się nad tym, jak żyje. Szeroka rzeka życia niosła ją beztrosko. Nie oglądając się poza siebie i nie przejmując się zbytnio, dziewczyna płynęła lekko z potężnym prądem. Dość często spotyka się ludzi, którym ich życie wydaje się nawet po okresie dzieciństwa prostsze, łatwiejsze i weselsze, niż jest w istocie. Ale tak bywa tylko do pewnego czasu. U jednego wcześniej, u innego później bezmyślny stosunek do rzeczywistości przemienia się w inny - bardziej trzeźwy, surowy i poważny. W życiu Kozłowej wszystko zmienił - nic o tym nie wiedząc - Aleksiej Kowszow.

Poznała go przypadkowo, podobał się jej. Zupełnie nieświadomie lgnęła ku niemu nie zastanawiając się nad tym poważniej. I dawniej tak się zdarzało - Tania to nazywała lekkomyślnością. Żenia niemal otwarcie szukała sposobności, żeby się spotkać z Aleksiejem, wynajdywała ku temu powody. Jego stosunek przyjacielski potraktowała jako dowód szczególnego zainteresowania się nią. Ziną, o istnieniu której dowiedziała się zaraz na początku znajomości, nie przejmowała się - tamta znajdowała się daleko, była jakby nierealna.

Ale gdy tylko dojrzewające w Żeni uczucie zapragnęło czegoś więcej niż zwykłej przyjaźni, dziewczyna zrozumiała, że Aleksiej kocha daleką Zinę i że dla nikogo więcej nie jest dostępny. Wówczas od razu uczucie dziewczyny okrzepło, wykrystalizowało się, przeszło w ogarniającą wszystko miłość. Stało się to w ciągu jednej nocy, może nawet w chwili wzruszającego opowiadania Aleksieja o tym, jak kocha Zinę.

Żenia poznała wówczas gorycz nieodwzajemnionego uczucia. Przerażona tymi nieznanymi do tej pory, niemal niemożliwymi do zniesienia przeżyciami, postanowiła zdławić je w sobie. Próbowała nawet wzbudzić w sobie niechęć do Aleksieja. Ale jeśli niekiedy udawało się jej to osiągnąć, to nie na długo. Aleksiej, pochłonięty swoją miłością, z początku nie rozumiał, co się dzieje z Żenia, i nie robił ze swej strony wysiłku, aby odsunąć się od dziewczyny. Zawsze przyjazny, rozbrajał ją tym i wszelka niechęć, którą próbowała odgrodzić się od niego, znikała przy pierwszym spotkaniu. Po krótkim okresie wyrzeczenia się Aleksieja pociąg jej ku niemu stał się jeszcze silniejszy. „Ale czyż zdołasz stłumić głos namiętności?... Im bardziej posępne i ciemne jest niebo, z tym większą siłą rozpęta się burza" - usłyszała Żenia przez radio cytowane słowa Byrona, które jakby dla niej były przeznaczone.

Tak więc Żenia nie potrafiła przezwyciężyć siebie i wyrzec się przyjacielskiego stosunku do Aleksieja. Przyjmowała każde jego zaproszenie, chodziła z nim do stołówki, na nieczęste wieczorynki i seanse filmowe w klubie. Zauważywszy, że nie dba o siebie, zaopiekowała się nim. Gdzieś głęboko w jej duszy żyła nadzieja... Topolew odgadł widocznie jej udrękę, bo któregoś dnia, gdy czekała na Aleksieja w jego gabinecie (Kowszow był na zebraniu u Batmanowa), jakby przypadkiem powiedział znacząco: „Wielka miłość zwycięża..."

Przeżycia Żeni nabrały szczególnej głębi w czasie, gdy Aleksiej wędrował z Beridzem wzdłuż trasy i omal nie zginął podczas śnieżnej burzy. Jakoś samo przez się powstało w niej przeświadczenie, że jeśli jej miłość do Aleksieja jest nieuchronna, to ona, Żenia, w żadnym wypadku nie powinna oddalać się od niego, że musi dążyć do tego, aby i on ją pokochał! Byleby tylko nie stało mu się nic złego, byleby wrócił cały! Nabrała nie wiadomo dlaczego przekonania, że zaszła w nim w stosunku do niej zmiana, że choć nie pokochał jeszcze - już przestał być tylko towarzyszem. Gdy Aleksiej wrócił, spotkali się. Jakże czekała na to, żeby ją objął, przytulił! Nie zrobił tego. Nie uszła jej uwagi krótka chwila wahania się Aleksieja i podkreślona potem oschłość. Dotknęła ją ta niespodziewana i gwałtowna w nim zmiana.

Później wszystko przemyślała i zrozumiała, co się w nim działo. A zrozumiawszy zaczęła go jeszcze bardziej cenić. Zrobiło jej się jeszcze ciężej, gdy pojęła, że ten mężczyzna o silnych zasadach moralnych, zdolny do tak oddanej i czystej miłości, jest dla niej na zawsze stracony.

Zdołała stopniowo przezwyciężyć się i nastawić na czysto przyjacielski stosunek. Pewnego razu, gdy spotkała go po trzech dniach niewidzenia, uścisnęła go po przyjacielsku. Źle to zrozumiał i tym sprawił jej przykrość. Zresztą natychmiast go usprawiedliwiła.

Aleksiej odjechał nad cieśninę i wkrótce na całej budowie rozeszły się wieści o odcinku, na którym odbywała się decydująca bitwa o rurociąg. Zwróciła się do Grieczkina, aby pozwolił jej wyjechać nad cieśninę. Grieczkin obiecał, ale na drugi dzień odpowiedział, że Aleksiej jakoby jest przeciwny jej przyjazdowi. Żenia obraziła się, ale znów szybko mu to przebaczyła. Miłość do Aleksieja była silniejsza niż miłość własna.

W ciągu kilku miesięcy znajomości Żenia całkowicie poddała się jego wpływowi. Przyzwyczaiła się myśleć o nim i - początkowo nieświadomie - zaczęła postępować tak, jakby on sobie tego życzył. Zwykle unikała społecznych obowiązków, ale Aleksiej przywiązywał do nich wielką wagę, więc pragnąc mu dogodzić przestała się od nich uchylać. Po pewnym czasie zasmakowała w pracy społecznej - teraz nie mogłaby już żyć bez tego wszystkiego, co wniosły do jej życia obowiązki komsomolskiego organizatora i przywódcy.

Na wiele rzeczy patrzyła teraz oczyma Aleksieja, a raczej starała się często wyobrazić sobie, jakby on postąpił na jej miejscu. Było możliwe, że postąpiłby inaczej, niż jej się w danej chwili wydawało, ale już samo zastanawianie się pomagało Żeni lepiej przemyśleć ten lub inny krok. Część z osiągniętych w pracy dobrych wyników przypisywała jemu: przecież to on pomógł jej powziąć właściwą decyzję.

Stało się tak w przypadku Pieti Gudkina. Chłopak prosił, aby go skierowano na trasę. Kobziew nie zgadzał się. Gudkin poskarżył się Żeni: „Szkoda, że nie ma Aleksieja - on by mnie puścił, zrozumiałby mnie". Zdecydowała, że Aleksiej istotnie pomógłby Gudkinowi. Poszła wówczas do Załkinda i użyła jego wpływu na Kobziewa. Pieti pozwolono wyjechać na trasę. Potem z zażenowaniem słuchała podziękowali chłopca: zapisywała je na rachunek Aleksieja.

Aleksiej nawet nie podejrzewał, że Żenia w myśli przeżywała z nim jego powodzenia, trudy i smutki. Jakże się cieszyła, gdy przeczytała w gazecie artykuł, w którym Aleksieja obok Beridzego nazywano

zdolnym inżynierem nowej radzieckiej szkoły. Nieszczęścia, które spadły na niego, nie ominęły również jej. Wówczas przy selektorze Aleksiej okazał więcej opanowania niż Żenia. Rozpaczała tak, jakby Zina była jej siostrą. Nie przyszło jej nawet do głowy, że Zina - to przecież jej rywalka.

Żenia sama zdecydowała, że powinna być z Aleksiejem. Wydało jej się, że nikt z jego przyjaciół - ani Beridze, ani Topolew, ani Tania - nie potrafi tak go podtrzymać, pocieszyć i podnieść na duchu, jak ona. Przyśniło jej się nawet, że Aleksiej samotny i smutny wzywa ją. Znów zwróciła się do Grieczkina, aby ją wysłał na wyspę. Nie śmiała nalegać, gdyż argumenty jej brzmiały nieprzekonywająco: Grieczkin odgadłszy jej przeżycia zaczął jej narzucać częste podróże służbowe sądząc, że w powodzi spraw łatwiej wróci do równowagi.

...Wreszcie ujrzała swego ukochanego. Aleksiej przypadł twarzą do stołu, ciałem jego wstrząsało łkanie, jasne włosy opadły mu na czoło i oczy.

Współczucie, jak każde uczucie ludzkie, jest wielostronne. Niekiedy jest równoznaczne z pogardą. Często poniża tego, ku któremu jest skierowane. Ale współczucie człowieka kochającego, zwrócone ku kochanemu - to uczucie wielkie i potężne. Przejęta takim uczuciem Żenia rzuciła się ku Aleksiejowi. Na jedną chwilę przylgnęła do niego, jakby korząc się przed jego nieszczęściem. Siłą oderwała Aleksieja od stołu, odwróciła ku sobie wymęczoną, wykrzywioną cierpieniem twarz z zamkniętymi oczyma i pokryła ją pocałunkami, w których było więcej uczucia macierzyńskiego niż namiętności.

- Jak mi jest ciężko, Żeniu! Jak ciężko! - jęknął Aleksiej, z ufnością wsparłszy się na jej ramieniu.

Przycisnąwszy głowę Aleksieja do piersi, tuliła go jak dziecko.

- Masz wielu przyjaciół, Alosza, masz swoją pracę, wielkie obowiązki. Przebolejesz, nabierzesz sił i będzie ci lżej. Tylko pamiętaj, że jesteś potrzebny, że wszyscy cię kochają i boleją razem z tobą. Nie wiem, co bym zrobiła, aby ci było lżej. Jeśli mnie nie odepchniesz - zawsze będę z tobą, zawsze! Otrząśnij się, drogi, bądź silny jak dawniej.

Batmanow powrócił i natychmiast wezwał do siebie Beridzego, Kowszowa i Grieczkina. Na stole kierownika budowy obracał się brzęcząc mały wentylator: było gorąco. Wasilij Maksimowicz przechadzał się po gabinecie zgrzany, z zakasanymi rękawami i szeroko odwiniętym kołnierzem cienkiej jedwabnej koszuli.

- Zajmiemy się arytmetyką - powiedział wymieniwszy z przybyłymi kilka ogólnikowych zdań o tym i owym. - Są trzy liczby, które, podobnie jak Hermanowi trzy karty, nie dają mi spokoju. Mam je stale tu - Batmanow uderzył się w czoło.

Trzema decydującymi liczbami Batmanow nazywał liczbę dni, które pozostały do końca wyznaczonego przez rząd terminu ukończenia budowy, ilość robót nie wykonanych jeszcze w zakresie spawania i układania rurociągu, wreszcie ilość niezbędnej siły roboczej. Liczby te bynajmniej nie były pocieszające: dni do końca terminu pozostawało niewiele, spawanie dopiero niedawno rozpoczęto, odczuwało się brak rąk roboczych.

- Zauważyłem na wyspie i w cieśninie, a także na innych odcinkach jakieś jak gdyby rozmagnesowanie - mówił Batmanow zbliżając się do wentylatora, aby skierować jego chłodzący wietrzyk na twarz i szyję. Podmuch zwichrzył mu włosy. - Zima przeszła pomyślnie i teraz owładnęło ludźmi uczucie beztroski. Uważa się za rzecz samą przez się zrozumiałą, że damy ropę w terminie. Taka zbytnia pewność, moim zdaniem, nie jest lepsza od niepewności. Na budowie nie ma atmosfery niepokoju,

nie ma groźnego poczucia, że dzień uruchomienia rurociągu ciągle się zbliża. Nikt nie dostrzega, jak bezpowrotnie mija czas - godzina za godziną, dzień za dniem.

Kowszow poczuł, że pod wpływem słów Batmanowa, wypowiedzianych z troską i powagą, budzi się w nim uczucie trwogi. To uczucie tłumiło nie milknący, dotkliwy ból serca. Gdy wyobraził sobie opuszczony niedawno odcinek na wyspie, pojął, że Batmanow przesadza - ludzie nie są znów tak zadowoleni z siebie i z góry pewni wygranej, mimo to kierownik miał rację, że nastąpiła chwila, kiedy należało zacząć liczenie czasu nie na doby, lecz na godziny i minuty. Oderwawszy się na krótki czas myślą od trasy, Aleksiej odczuł wypowiedź Batmanowa jak zarzut skierowany do siebie: każda godzina jest droga, a ty trwonisz już nie wiadomo który dzień na swoje przeżycia...

- Co zrobimy, jeśli wedle obliczeń Grieczkina, nie uda się nam uzgodnić ze sobą tych trzech decydujących liczb? - rozważał Wasilij Maksimowicz. - Wypada, że trzeba albo przedłużyć termin, albo zwiększyć liczbę pracowników, albo skrócić rurociąg. Nie mamy prawa przesuwać terminu ani skracać rurociągu. Możemy mówić jedynie o zwiększeniu wykwalifikowanej siły roboczej. Załkind robi w Rubieżańsku wszystko, aby uzyskać uzupełnienie kadr. Ale jestem przekonany, że kraj nie da nam ludzi, bo po prostu tych ludzi nie ma. Możemy tylko w bardzo ograniczonej mierze liczyć na pomoc okolicznej ludności z nad Adunu, gdyż dla wszystkich kołchozów te miesiące są najgorętsze - to czas żniw i połowów. Jakie zatem jest wyjście?

Batmanow spojrzał po obecnych, odpędził osę latającą nad głową i oświadczył z naciskiem:

- A jednak jest wyjście!

Na wyspie Rogow pochwalił się przed Batmanowem, że na jego odcinku stu ludzi wypełnia dwieście pięćdziesiąt procent normy. Potem gdy rozpatrywali plan pozostałych robót, Rogow opierając się na wyliczeniach wedle norm zażądał, aby mu dodano kilkuset robotników do kopania rowu pod rurociąg.

- „Nie są ci potrzebni nowi ludzie” mówię do niego - opowiadał Batmanow. - „Jakże niepotrzebni!” zdziwił się Rogow. „Jeśli u ciebie czterystu ludzi wypełni trzy normy, a pięciuset - dwie, to czy wtedy podołasz bez dodatkowej siły roboczej?” pytam. „Wtedy - podołam. Ale nie mam tylu stachanowców” oponuje książę na Tajsinie. „Jeśli nie masz, to postaraj się, aby byli” odpowiadam. „Powiedz, jaką wartość ma stachanowska metoda, jeśli na setkę ludzi przypada tylko jeden stachanowiec? Postaw całą sprawę we właściwy sposób wobec wszystkich ludzi, zdobądź się na upowszechnienie metody stachanowskiej, a wtedy i u ciebie większość robotników wykona dwu i trzykrotną normę”. Rogow zamyślił się i powiada: „Jak można na to liczyć? Może stachanowców znajdzie się tysiąc, a może pięciuset. A plan - to coś realnego i dokładnego”. Biorę go pod rękę i prowadzę na teren budowy. - „Plan, jego realność - to żywi ludzie. Czy zapomniałeś, Aleksandrze Iwanowiczu, o tych ważkich słowach? Chodźmy do ludzi, naradzimy się”.

Batmanow opowiadał, jak razem z Rogowem odwiedził wszystkie brygady i wszędzie poruszał ten sam problem: co zrobić, aby uniknąć konieczności zwiększania liczby pracowników? W odpowiedzi wszystkie brygady brały na siebie półtorakrotne i dwukrotne zobowiązania; z miejsca - na naradach wytwórczych - robotnicy przyrzekali pracować za dwóch, za trzech i nawet za czterech.

- Musimy natychmiast wprowadzić dzienny oraz godzinowy harmonogram na całej budowie, na każdym odcinku i dla każdej brygady. - Batmanow miarowym krokiem przechadzał się po gabinecie. - Każdy pracownik powinien widzieć we śnie i na jawie, że tyle a tyle jest obowiązany wykonać w ciągu godziny i całej zmiany według norm, a tyle - na prośbę państwa - ponad normę. I ta druga liczba będzie dla niego prawem, jeśli całą duszą pragnie dać ropę w terminie i dopomóc braciom na froncie.

Nie wychodząc z gabinetu kierownika budowy Beridze, Kowszow i Grieczkin zaczęli opracowywać nowe, zwiększone zadania dla odcinków i brygad. Aleksiej kreślił harmonogram, Grieczkin szybko manipulował suwakiem logarytmicznym i wypisywał liczby na tablicy. Beridze także coś zapisywał i przysłuchiwał się rozważaniom Batmanowa.

- Mówią nam: „Macie nieźle zorganizowany kolektyw". Zgódźmy się bez fałszywej skromności, że jesteśmy nieźle zorganizowani. Ale dziś musimy ściągnąć obręcze naszej organizacji szczelniej, mocniej, abyśmy sami poczuli i dowiedli innym, że jesteśmy zorganizowani wzorowo! Nadszedł czas pewnego przeorganizowania trasy, utworzenia bojowych odcinków i wprowadzenia bojowego porządku na trasie. Niemcy, zebrawszy siły po zadanych im ciosach pod Moskwą, prą na południe. Nasi ludzie co dzień słyszą o przeważających siłach wroga pod Sewastopolem i Charkowem - trzeba pomóc ludziom jeszcze bardziej rozumnie, starać się w większym stopniu wykorzystać w pracy ich zaciekłość, ich nienawiść do najeźdźcy.

Na przykładzie krańcowych odcinków, będących tak jak przedtem najważniejszymi na budowie, Batmanow wyjaśniał, jak sobie wyobraża bojowe odcinki. Według jego koncepcji należało tam, gdzie istniały dotychczas dwa, stworzyć trzy odcinki: a więc - wyspa, węzeł przetaczania ropy na Czongrze i odcinek trasy od cieśniny w głąb lądu aż do Adunu.

- Nazwiemy to wschodnim rejonem całej budowy - mówił Batmanow. - Kierownikiem całego tego rejonu zrobimy Beridzego. Kierownika bojowego odcinka na Tajsinie już mamy - jest nim Rogow. Kierownika bojowego odcinka na Czongrze mamy również: jest nim Filimonow. A na trzeci bojowy odcinek musimy dobrać bojowego towarzysza, nie ustępującego tamtym dwom.

- Mam odpowiedniego kandydata. - Beridze podniósł głowę. - Aleksiej Nikołajewicz Kowszow. Lepszego dowódcy dla czołowego odcinka nie znajdziemy.

- Zobaczymy, jak się będzie prowadził - Batmanow popatrzył na Aleksieja; jeszcze przed zebraniem postanowił wyznaczyć właśnie Kowszowa na kierownika czołowego odcinka. - Specjalnych sprzeciwów nie mam. Przypuśćmy, że trzecim dowódcą będzie Alosza. I oto ta trójka weźmie się za bary na śmierć i życie. Załkind poddał dobrą myśl: ufundować specjalny Czerwony Sztandar dla bojowych odcinków. Ten, kto z tym sztandarem stanie w dniu zwycięstwa, będzie miał prawo podpisać się pierwszy pod sprawozdaniem do towarzysza Stalina. Dlaczego tak się we mnie wpatrzyłeś, towarzyszu? - spytał Batmanow uchwyciwszy na sobie uparte spojrzenie Kowszowa. - Bierz pióro i pisz, podyktuję ci zarządzenie. A więc - całą budowę dzielimy na trzy rejony: wschodni - z Beridzem na czele, środkowy - tym zajmie się Załkind, wreszcie zachodni - ten biorę na siebie. Zobaczymy, kto kogo prześcignie. Układaj tymczasem treść rozkazu, Aleksieju, a my podzielimy centralny i zachodni rejon na odcinki bojowe.

Przy tym zastał ich Załkind, który właśnie przed chwilą wrócił samolotem z Rubieżańska. Był wyraźnie ożywiony i wzruszony. Szybko przywitawszy się z Batmanowem, Beridzem i Grieczkinem wesoło pozdrowił Aleksieja, ujął go pod ramię i odprowadził na bok. Batmanow i Beridze spojrzeli na siebie znacząco, Grieczkin ze zdumieniem pokręcił głową. Wszystkim wydawała się niezrozumiała ta wesołość Załkinda, zwykle delikatnego i współczującego ludziom.

- Mam dla ciebie, przyjacielu, dwie niespodzianki - cicho mówił Załkind do Aleksieja. - Cieszę się całym sercem, że mogę ci dać to i jeszcze to...

Wsunął w rękę Aleksieja otwartą depeszę, którą otrzymał przed chwilą od Żeni, oraz numer „Komsomolskiej Prawdy", przywieziony z Rubieżańska. Wargi Aleksieja zadrgały, wyprężył się jak struna i odczytywał wciąż i wciąż na nowo słowa depeszy: „Kochany wróciłam ściskam całuję

depeszuj natychmiast wiecznie twoja Zina”. Machinalnie odwrócił gazetę i ujrzał od razu na trzeciej stronie, wśród kilku zdjęć, znany mu portret Ziny - taki sam, jaki stał u niego na biurku. Całą szerokość pod fotografiami zajmował duży napis: „Dzielne córki Moskwy”.

- Idź, idź, zachwycaj się w samotności - powiedział partorg odprowadzając Aleksieja ku drzwiom.

Gdy zamknął drzwi za przejętym, oniemiałym Aleksiejem, zdjął marynarkę, wytarł spoconą twarz chusteczką i uroczyście oznajmił:

- Jego Zina zmartwychwstała, wróciła do Moskwy z odznaczeniem i honorami.

Wiadomość uradowała wszystkich. Beridze chciał już biec za przyjacielem, ale Załkind powstrzymał go. Zaczęli mówić o Tałalichinie, Zoi Kosmodemiańskiej, o chłopcach i dziewczętach - bohaterach Wojny Narodowej. Załkind opowiadał nowiny: ruszył pierwszy na Dalekim Wschodzie kombinat metalurgiczny, zasiewy w całym kraju ukończono pomyślnie, nową ofensywę niemiecką uważa się za bardzo poważną i niebezpieczną.

Załkind pokazał list od Sołncewa: były szofer budowy otrzymał chrzest bojowy pod Charkowem i ma swój udział w ogólnej liczbie zniszczonych czołgów nieprzyjacielskich. „Tutaj ludzi Dalekiego Wschodu bardzo cenią” - czytał partorg. -”Powiedzcie wszystkim, że nie przyniosę wstydu dobrej sławie Dalekiego Wschodu. Napiszcie, jak idzie budowa rurociągu. Cały nasz oddział wie o was i pragnie, żeby ropa była dana w terminie...”

- Ja mam także przyjemny list - powiedział Batmanow wydostając z biurka błękitną kopertę. - Nigdy byście nie zgadli, od kogo. Od Sidorenki, byłego kierownika naszej budowy.

- Czyżby od Sidorenki? - zdziwił się Grieczkin.

- I skąd pisze! - Batmanow ze znaczącą miną podniósł list.

- Z budowy w Kazachstanie? - wyraził przypuszczenie Beridze.

- Nie, z frontu. Prosił, aby wysłano go na front. Dowodzi pułkiem saperskim. Został ranny, nagrodzony dwoma bojowymi odznaczeniami! Myślę teraz, że słusznie zrobiono wysyłając Sidorenkę na front, a nie na inną budowę.

- Przeczytaj - rzekł zaciekawiony Załkind.

„... Około miesiąca przeleżałem w szpitalu. Fryce przewiercili w moim organizmie niezbyt wielką dziurkę. Lekarze załatali ją i teraz wracam już do mojej jednostki. Wyobrażam sobie, jak czytając mój list wzruszasz ramionami. Muszę przyznać, że często myślę o tobie, drogi towarzyszu. Wyjeżdżałem z urazą, nie łatwo było jej się pozbyć. Potem zacząłem myśleć inaczej, jakby z pewnym poczuciem winy. Zrozumiałem, że gospodarowałem źle. Nie umiałem wymagać, przywykłem do potakiwania i pochlebstw, zbytnio zaufałem takim ludziom jak Grubski, oddaliłem się od kolektywu. Jeśli ci to nie sprawi trudności, napisz, jak sobie poradziłeś, jak poszła robota. Nie sądź, że kieruje mną pusta ciekawość. Wierzę, że się jeszcze spotkamy...”

- Świetnie! - powiedział partorg i zaraz wyjaśnił odpowiadając na pytające spojrzenia obecnych: - Świetnie, że u nas wszystko sprzyja temu, aby człowiek mógł znaleźć swoje miejsce w życiu. Gdzieś w Ameryce na przykład człowiek, któremu podwinęła się noga, który doznał niepowodzenia w swojej pracy, nie doczeka się pomocy i nieuchronnie stoczy się w dół. Tam jeden dla drugiego jest rywalem w walce o majątek lub kawałek chleba. A u nas nawet wojna - zastanówcie się tylko - nawet wojna! - wywiera na ludzi jakiś dobroczynny wpływ, szybko kształtuje i podnosi wartość charakteru.

- Z przyjemnością popatrzyłbym teraz na Sidorenkę - powiedział Batmanow i głęboko zamyślony odwrócił się do okna. Wietrzyk wentylatora igrał z jedwabiem jego koszuli.

Beridze wypytywał o nowiny z Rubieżańska. Załkind spoglądając na zatroskanego, pochłoniętego swymi myślami Batmanowa opowiadał, że została aresztowana grupa osobników zajmujących się działalnością szpiegowską na wielkich budowach. W łączności z nimi zostawał także niejaki Chmara, geolog.

- Czy pamiętacie, nawiasem mówiąc, Kondrina, zastrzelonego przez Niwuchów? - zapytał Załkind. - Jego prawdziwe nazwisko brzmi Somow. Był w ścisłej łączności z dywersją nad cieśniną. Działał nie sam, lecz przez pomocników, rozsianych między robotnikami. Kondrina przypomnieli mi moi towarzysze: okazało się, że to mój stary znajomy. W roku dwudziestym drugim nasz oddział zniszczył karną sotnię białogwardzisty i wielkiego bogacza wiejskiego Fiodora Somowa. Kondrin to jego synalek. Są wszelkie dane, aby przypuszczać, że śmierć Pankowa to dzieło jego rąk.

- A czy Konstanty Rodionow nie miał nic wspólnego z działalnością szpiegowską? - zapytał Beridze.

- W tej chwili trudno powiedzieć, kim był ten haniebną śmiercią zmarły człowiek. Ale już sama przyjaźń z Chmarą charakteryzuje go dostatecznie.

- Przeglądaliśmy z Aloszą w ostatnich dniach zeszyty Rodionowa z jego notatkami - powiedział Beridze. - Ten, za pozwoleniem, doktor zajmował się „naukowymi badaniami" tworząc niedorzeczne teorie. W jednej z tych teorii twierdzi, że wszystko, co jest ludzkie w człowieku - to tylko nietrwała obsłonka, a cała jego istota - to zwierzęce instynkty. Inna jego teoria głosi, że ludzi normalnych rzekomo nie ma: wszyscy są mniej lub więcej obłąkani. Cóż to za typ! Można się tylko cieszyć, że Olga uwolniła się od niego.

- Wiecie, przyjaciele, bardzo mnie zmartwiła ta historia z Kondrinem i Chmarą - powiedział w zamyśleniu Załkind. - Lenin nieraz uprzedzał, że stare zdycha cuchnąc wokół nas i zarażając atmosferę. Niekiedy traktujemy to głębokie ostrzeżenie Włodzimierza Iljicza jedynie jak świetny aforyzm. Musimy jednak bardzo dokładnie znać swoich ludzi, wtedy obcych będzie nam łatwiej wykryć.

Batmanow wstał, spojrzał w okno - coś zwróciło tam jego uwagę - i zapytał Załkinda wprost, bez żadnego przejścia w rozmowie:

- To znaczy, jeśli dobrze rozumiem, Michale Borisowiczu, nie mamy co liczyć na ludzi z Rubieżańska?

- Kwestia ta była rozważana na posiedzeniu egzekutywy Krajowego Komitetu Partii. Myśleliśmy i radziliśmy na różne sposoby. Na początku popierał mnie Pisariew. Ale tak on, jak i ja przekonaliśmy się, że ludzi nie ma skąd wziąć. Robotników brak i w przemyśle, i w transporcie, i w rolnictwie. Zalecili nam, abyśmy zastosowali współzawodnictwo. Pisariew i Dudin mają zamiar przybyć tu z pomocą.

- Kierowników mamy dosyć i bez nich - burknął Batmanow i z energią uderzył dłonią w szklaną taflę biurka. - Pięknie. Wróćmy zatem do naszego zarządzenia. Umówiliśmy się przecież, że będziemy starali się wykorzystać każdą minutę. Grieczkin, pisz.

Wasilij Maksimowicz zaczął na nowo dyktować zarządzenie o końcowym etapie budowy, o wprowadzeniu dwudziestoczterogodzinnego i godzinowego harmonogramu, o organizacji trzech rejonów i osiemnastu bojowych odcinków na trasie.

12. Niespokojny poranek

Późną nocą Batmanow wezwał do selektora trzech kierowników bojowych odcinków uczestniczących we współzawodnictwie: Rogowa - na wyspie, Filimonowa - nad cieśniną i Kowszowa - na lądzie.

- Witajcie, Marki nocne - powiedział Batmanow. - Jest tu przy mnie partorg. Chcemy sprawdzić wyniki współzawodnictwa ostatnich pięciu dni. Czy jesteście gotowi?

- Gotowi! - szybciej od innych odpowiedział Rogow.

- Dlaczego odpowiadasz za trzech? Czyżbyś z wyspy widział, co się dzieje u Filimonowa lub u Kowszowa?

- Owszem, widać, Wasiliju Maksimowiczu - z chrypką w głosie, ale wesoło odpowiedział Rogow. - Znam ich każdy krok. Na przykład mogę wam zameldować, że Filimonow nie wychodził ze stacji pomp przez siedemdziesiąt cztery godziny, a Kowszow mieszka w samochodzie i zupełnie przestał jeść, już tydzień nie jada obiadów. Entuzjazm pracy, proszę zauważyć.

U Aleksieja w jego ciasnej izdebce - następnym kolejnym mieszkaniu, zmieniającym się teraz często w miarę posuwania się brygad spawaczy w głąb lądu, znajdowali się Karpow, Umara Mahomet i kierownik techniczny Grubski. Wpatrywali się pilnie w słuchawkę selektora, jak gdyby chcieli w niej dojrzeć twarz kierownika, którego głos brzmiał wyraźnie, nie był przytłumiony i zniekształcony przez odległość.

Aleksiej w wyobraźni widział przy selektorach: trochę zmęczonego, lecz pełnego energii Batmanowa - siedział oparty łokciem o biurko, z kosmykiem włosów opadającym na czoło; Załkinda - półleżącego w miękkim fotelu, z nieodłącznym papierosem; Filimonowa - z zaczerwienionymi oczami i wpadniętymi policzkami, pokrytymi szczeciniastym zarostem; obok niego Beridzego, gładzącego w roztargnieniu brodę. Wyobraził sobie także Rogowa o szerokiej twarzy, a wokół niego grupę ludzi, w obecności których lubił często żartować.

- Wasze kolektywy wzięły na siebie dodatkowe zobowiązania - ciągnął Batmanow. - Towarzyszu Rogow, skoroś taki zuch, mów pierwszy.

- Rozkaz! - wyrąbał Rogow po żołniersku, aż zadźwięczało w słuchawce. - Zobowiązaliśmy się do jutra - przepraszam, omyłka - do godziny dwunastej dnia dzisiejszego skończyć rozwożenie rur do końcowego punktu trasy, to jest do szybów naftowych. Rezultat jest taki: pozostało do rozwiezienia sto sztuk, dokładnie sto dwie rury. W tej chwili wszystkie samochody są naładowane i o świcie ruszą w drogę. Potem zrobią drugi kurs i rozwózka będzie skończona.

- Do dwunastej ? - zapytał Batmanow.

- Nie, do jedenastej - powiedział Rogow.

- Filimonow, jak u ciebie?

- Montaż diesli i pomp ukończyliśmy właśnie w tej chwili. Dałem brygadom sześć godzin na odpoczynek. Ludzie już dawno nie spali. Rano, z nowymi siłami, rozpoczniemy próby.

- Kowszow, a ty? Zawiodłeś czy nie?

- Nie, u nas to wykluczone - odpowiedział Aleksiej. Spojrzenia pomocników i Umary zwróciły się teraz ku niemu. - My zobowiązaliśmy się skończyć w dniu dzisiejszym do godziny osiemnastej spawanie na

trzydziestym pierwszym kilometrze rurociągu głównego odcinka na lądzie, ułożyć go w wykopie i przeprowadzić próby hydrauliczne. Siedzi u mnie Umara Mahomet i melduje, że przed dwiema godzinami osobiście dokonał zespawania ostatniego styku na trzydziestym kilometrze.

- Zgadza się, Wasiliju Maksimowiczu, skończyłem spawanie trzydziestu kilometrów, jestem gotów! - Umara nie wytrzymał i przysunął się do selektora.

- Nie czekając, aż Umara skończy spawanie, zaryglowaliśmy część rurociągu, przy którym pracował, i zaczęliśmy przygotowania do próby - ciągnął Aleksiej. - Wmontowaliśmy krany ochronne do wypuszczania powietrza i zaczęliśmy napełniać rurociąg. Pompujemy wodę dwiema pompami, i to już ze dwadzieścia godzin; przypuszczalnie do rana rurociąg będzie napełniony.

- A co będą robili ludzie na odcinku? - Czy są uprzedzeni - wypytywał o szczegóły Batmanow.

- Do próby zostali wyznaczeni tylko ci, którzy są absolutnie niezbędni. Pozostali będą pracować dalej, na trzydziestym pierwszym lub drugim kilometrze.

- To znaczy, że do osiemnastej zdążycie?

- Zdążymy, wszystko jest obliczone i przygotowane.

- Naczelny inżynierze, czy można im wierzyć? Czy ci młodzi ludzie nie przesadzają? - zapytał Załkind. - U którego z nich jesteście w tej chwili? U Kowszowa zapewne.

- Nie zgadliście, jestem u Filimonowa. Nie mogę oderwać się od diesli i pomp. Stwierdzam, że wszyscy trzej mówili szczerą prawdę.

- Jeśli tak, dziękujemy wam, przyjaciele! - powiedział dobitnie Batmanow. - Na razie, oczywiście. Jeszcze goręcej podziękujemy po godzinie osiemnastej.

- Służymy Radzieckiej Ojczyźnie! - znów szybciej od wszystkich odezwał się Rogow.

- Czy sztandar jest jeszcze u Kowszowa? - zapytał Załkind, choć doskonale wiedział, gdzie jest w tej chwili sztandar zarządu, przyznawany raz na pięć dni najlepszemu bojowemu odcinkowi.

- Sztandar jest u mnie. I nie „jeszcze", tylko i nadal pozostanie u mnie - odezwał się Kowszow obrzucając rozpromienionym spojrzeniem Umarę Mahometa, Karpowa i Grubskiego. Ci przytaknęli głowami na znak zgody.

- Myślę, że jutro zawieziecie sztandar na wyspę - wtrącił Rogow; słychać było, jak stojący obok niego ludzie głośno przytakiwali.

- Po co robić sobie kłopot i wieźć proporzec na wyspę? Zatrzymam go w cieśninie i umieszczę na stacji pomp - powiedział Filimonow.

- Nie będziemy się spierali! Po co się targować? Sztandaru nigdzie nie powieziemy! On jest nasz do końca budowy! - zapalczywie krzyczał Umara wprost w słuchawkę i chwycił w rękę drzewce stojącego w rogu proporca, jakby już w tej chwili chciano go stamtąd zabierać.

Batmanow i Załkind wybuchnęli śmiechem, dołączył się do nich i Rogow. Przez chwilę śmiech rozbrzmiewał po przewodzie od Nowińska do wyspy.

- Dobrze, bracie, kierownik się śmieje. Z całego serca! Rozśmieszyłeś wszystkich, Umara! - z szerokim uśmiechem zauważył Karpow.

- No, cóż, Umaro Mahomecie, zobaczymy, czy będziemy musieli oddawać sztandar czy nie. Mnie oczywiście wszystko jedno, bo sztandar nie jest u mnie, ale wam oczywiście może być przykro - dobrodusznie powiedział Batmanow. Aleksiej wyobraził sobie natychmiast, jak kierownik mrugnął w tej chwili do Załkinda. - Więc, przyjaciele, umówmy się tak: kto doprowadzi swoje dzieło do kropki, niech natychmiast do nas telefonuje i zaraz potem niech wysyła oficjalną depeszę. Beridze - jak zawsze - jest arbitrem, on odpowiada za wiarogodność zawiadomienia. A teraz, Gieorgiju Dawydowiczu, chociaż nie stanowicie dwu osób, proszę, kierujcie osobiście próbami u Filimonowa i Kowszowa.

- Naturalnie! - zgodził się Beridze. - Nie martwcie się, wszystko będzie w porządku.

- Zdaje mi się, towarzysze, że niezupełnie uświadamiacie sobie niezwykłość i znaczenie zbliżającego się, a właściwie już rozpoczętego dnia - włączył się do rozmowy Załkind. Głos jego zdradzał wzruszenie. - To, co dzieje się u Kowszowa i Filimonowa - to nie jest zwykłe zakończenie jakiejś serii robót. Oni dokonują próby pierwszych, całkowicie wykończonych instalacji rurociągu. Jest to nowy okres w historii budowy! Od pomyślnych wyników prób zależy wiele, bardzo wiele.

- I jeszcze uwzględnijcie to - dodał Batmanow - że tymi próbami interesuje się i Rubieżańsk, i Moskwa.

- Oni nie zawiodą - poważnie zapewnił z wyspy Rogow. - Ręczę za nich.

- A więc wszystkiego najlepszego! - krzyknął Załkind. - Dobrej nocy nie życzymy, bo już minęła, zaczyna się pełen niepokoju ranek. Życzymy wam wszystkim trzem jak najlepszego powodzenia.

Kowszow wspólnie z Grubskim i Karpowem powrócił do przerwanego rozważania szczegółów mających się odbyć próbnych badań. Umara mógł już dawno pójść spać, ale pochłonięty przygotowaniami siedział i nadstawiwszy ucha spoglądał to na jednego, to na drugiego, łowiąc każde słowo.

- Halo, Gieorgiju Dawydowiczu! - znów przemówił Batmanow. - Zaraz po przeprowadzeniu próby ułóżcie Filimonowa do snu na dwadzieścia cztery godziny. Kowszowowi dajcie niańkę, żeby go karmiła z łyżeczki.

- O, co to, to słuszne! - poparł go Rogow. - Bo wciąż się niepokoję, żeby mój przyjaciel nie umarł z wycieńczenia. Z kim bym wtedy współzawodniczył?

- Nie przerywaj mi, jeszcze nie skończyłem - ciągnął Batmanow. - Postarajcie się Gieorgiju Dawydowiczu, wpaść jak najrychlej do Rogowa. Podejrzewam, że je i śpi ponad wszelką normę.

- Podejrzewam również o to samo - wykrzyknął Aleksiej. - Roztył się jak pasza ten Rogow tajsiński.

- Drodzy sąsiedzi! Ponieważ jutro będziemy mieli coś w rodzaju święta, zapraszam was wszystkich do siebie na wyspę - powiedział Rogow i to zupełnie poważnie. - Będzie wspaniała uczta - postawię wszystko, co tylko jest na mojej wyspie.

... Nie kładli się już spać.

- Odcinek musi pracować przez cały dzień normalnie, próby nie powinny obniżyć naszej wydajności. Natomiast podwyższyć wydajność można, nie mam nic przeciwko temu. Przerwę w pracy pozwolimy zrobić dopiero pod koniec prób na cieśninie. - Aleksiej powiedział to zauważywszy świąteczny nastrój Umary. - Czy słyszysz, Mahomet? Połączyłeś trzydzieści kilometrów, teraz będziesz spawać dalej. Nasz

odcinek jest duży. Bądź zdrów! Połóż się spać, abyś mógł wyjść na zmianę wypoczęty. Daj przykład opanowania siebie.

Umara wytrzeszczał gniewnie oczy i wzdychał, jego szorstkie włosy sterczały nastroszone; szarpał niecierpliwie kołnierz koszuli.

- Co z ciebie za człowiek, nie rozumiem! - powiedział wzburzony. Schwycił czapkę i wybiegł. Już za drzwiami krzyknął: - Opanowanie! Skąd opanowanie? Sam idź spać! Sam wychodź wypoczęty!

O świcie, jeszcze przed wschodem słońca, cały odcinek był już na nogach. Brygady w skupionym milczeniu szybko odchodziły na wyznaczone miejsca.

Las po obu stronach trasy tonął w gęstej mgle, podnosiła się wolno, odsłaniając na razie najniższe piętro tajgi. Białe jej pasma snuły się w zagajnikach jak żywe, rozpełzały i unosiły w górę. Od mgły i szarego nieba było mroczno.

Aleksiej z odkrytą głową, w kraciastej kowbojskiej koszuli, z zawiniętymi do łokci rękawami, w bryczesach wpuszczonych w buty stał na górce porośniętej leszczyną. Zaczesane do tyłu włosy, spłowiałe przez lato, miały prawie kolor pszenicy; siwe pasmo zniknęło. Twarz, ręce i szyja zrobiły się ciemnobrązowe. Aleksiej zdążył się ogolić i patrząc na jego młodzieńczą, świeżą twarz nie można było poznać, że już dawno po ludzku nie odpoczywał. Ciągnący znad jeziorka lekki wiatr niósł chłodną wilgoć. Inżynier otrząsał się i opędzał przed atakującymi go komarami i muszkami.

Dwie pompy wtłaczały przez grube węże wodę z jeziorka do rurociągu. Traktor trajkocąc podciągał wyprodukowany przez fabrykę Tieriechowa aparat do prób na ciśnienie, zmontowany na żelaznej ramie. Na jego manometrach skrzyżowały się teraz spojrzenia wszystkich pracowników rurociągu.

Wyciągnięty poza horyzont gigantyczny rurociąg leżał spokojnie w głębokim wykopie na wpół przysypany ziemią, jak legendarny czarny wąż. Ciągnął się od tego miejsca na przestrzeni trzydziestu kilometrów aż do cieśniny. Aleksiej uprzytomnił sobie, że te trzydzieści kilometrów to tylko drobna część całej budowy, i z jakąś szczególną jasnością uświadomił sobie jej ogromną skalę.

Zleciwszy Grubskiemu nadzór nad przygotowaniami do prób Aleksiej pojechał na półciężarówce wzdłuż wykopu. Główne zadanie Kowszowa polegało teraz na zupełnym usunięciu powietrza z rurociągu. Próby nie można było rozpocząć, dopóki wpompowywana woda nie wyprze powietrza do ostatniego pęcherzyka.

Aleksiej zatrzymywał samochód przy każdym punkcie kontrolnym i nie zadowalając się raportem liniowego dziesiętnika, osobiście sprawdzał, czy z kranu zaczęła już ciec woda, czy też jeszcze wychodzi powietrze.

Napełnianie rurociągu zbliżało się do końca - już i na krańcowych punktach pokazała się woda.

Przed punktem dyspozytorskim na trzydziestym kilometrze - ostatnim gotowym kilometrze rurociągu - Kowszow wysiadł z samochodu, żeby rozmówić się przez selektor z Beridzem, przebywającym wciąż jeszcze na odcinku Filimonowa. Musiał poczekać, aż odszukano naczelnego inżyniera na terenie budowy.

- Dzień dobry, przyjacielu, Alosza, bohaterze dnia! - usłyszał wreszcie głos Beridzego. Gieorgij Dawydowicz był wyraźnie w uroczystym nastroju. - Mamy dziś wielki dzień. Czuję się tak, jakby dziś było święto, a ty?

- Sam nie wiem, w jakim jestem nastroju. Gryzą mnie przeróżne kłopoty - powiedział Kowszow. - Staraj się przyjechać jak najszybciej, musimy natychmiast przystąpić do prób na ciśnienie.

- Wkrótce przyjadę - oświadczył Beridze. - Przygotuj wszystko starannie. Trzeba się zabezpieczyć przed nieprzyjemnymi niespodziankami. Dobrze rozumiem twój stan. Pomyśl tylko, jaka to skomplikowana sprawa - to badanie na ciśnienie! No, co, może proste? Nie, nie proste. To jest, mój drogi, próba ciężkiej pracy uczciwych, prostych ludzi, próba pod ciśnieniem siedemdziesięciu atmosfer! Jeśli spawane styki wytrzymają ciśnienie - dobrze, bardzo dobrze! W ludziach obudzi się poczucie i pewność sukcesu. Ale jeśli styki nie wytrzymają? Wówczas będzie źle, całkiem źle!...

Aleksiej znowu wsiadł do samochodu i pojechał poza obręb poddawanego próbie odcinka, tam gdzie jego ludzie spawali i układali nowe kilometry rurociągu. Nie było budowniczego, który by pozostał obojętny lub spokojny w tych chwilach naprężonego oczekiwania. Aleksiej widział, i, co ważniejsze, odczuwał wzruszenie i niepokój ludzi. Przeżyć swych nie mogli przed nim ukryć ani spawacze, w skupieniu obserwujący płomień, ani umazani smołą smagli robotnicy od izolacji, ani nadzy do pasa kopacze w wykopie.

Sami nie zdawali sobie z tego sprawy, że pracowali dzisiaj w przyśpieszonym tempie, zapominając nawet o wypaleniu papierosa; badawczym spojrzeniem odprowadzali przejeżdżającego w samochodzie lub kroczącego w dół wykopu kierownika odcinka.

- Wróć na chwilę, Aleksieju Nikołajewiczu! - zawołał za nim Ziatkow.

Stary kopacz stał na wale, oparty oburącz na krzywej łopacie. Przepocona koszula przylgnęła do jego przygarbionych ramion i szerokich, wypukłych pleców.

- Czy prędko zaczniecie?

- Wkrótce. A cóż tam, nie idzie robota?

- Jakoś strach bierze. Sam to zresztą czujesz. Kiedyś pracowałem przy budowie dużego mostu. Ależ nałykałem się strachu, zanim przejechał po nim pierwszy pociąg! I wszędzie to samo, gdziebym nie pracował. Nasz rurociąg, jak tak spojrzeć, jest stalowy i mocny, a jednak niepokój człowieka ogarnia.

Stary znowu skrył się w wykopie. Aleksiej chciał jechać dalej, ale dogonili go na ciężarówce Grubski i Karpow.

Grubski w zmiętym ubraniu, z przekrzywionym na bok krawatem, sczerniały od słońca, ocierał szczupłą twarz i łysą głowę.

- Aparat do prób jest w porządku, ze wszystkich kontrolnych punktów zawiadamiają, że można zaczynać próby. Dajcie rozkaz, Aleksieju Nikołajewiczu.

- Nie, rozkaz wyda Beridze. Wracajcie na swoje miejsca. Naczelny inżynier zaraz przyjedzie.

Ale naczelny inżynier nie śpieszył się, Karpow, niezwykle spokojny, milczący, spotkał spojrzenie Kowszowa i bez słowa zrozumiał go:

- Zatelefonować do niego? Powiedzieć, że wszystko już przygotowane? Już biegnę.

Aby się nie męczyć oczekiwaniem, teraz już daremnym, Aleksiej poszedł do spawaczy. Pracowali już na trzydziestym drugim kilometrze odcinka. Przystanął koło brygady Umary. Spawalnica stała na samochodzie, którego buda była obciągnięta czerwonym materiałem z napisem: „Najlepsi spawacze budowy". Ponad kabiną na wysokim drzewcu wisiał nieruchomo sztandar. Od wiosny, to jest od czasu, kiedy Batmanow wręczył go Umarze, sztandar stale mu towarzyszył i zdążył już nawet trochę wyblaknąć w nielitościwych promieniach słońca.

Umara leżał na ziemi i dokonywał „sufitowego” spawania dwóch odcinków rur. Zrastały się w oczach. Ukończywszy styk Umara podniósł się, wyłączył aparat i trzymając w ręku ochronną tarczę podszedł do inżyniera. Jego pomocnik w niebieskiej trykotowej koszulce, wiecznie uśmiechnięty Wiatkin - szedł za nim jak cień.

Mały, krępy Umara, spocony i rozpalony od słońca, płomienia łuku elektrycznego i wzruszenia, nacierał na Kowszowa; nie mówił, lecz krzyczał (od spawania szumiało mu w uszach):

- Dlaczego stoimy? Czas tłoczyć! Na co i na kogo czekamy?

- Czekamy na naczelnego inżyniera, bez niego nie można zaczynać - spokojnie odparł Aleksiej.

- To czemu nie przyjeżdża? Czy to dla niego obojętne? Patrz, wszyscy się męczymy...

- Nikt się nie męczy - zaprzeczył Aleksiej opanowując wzrastającą w nim samym irytację na Beridzego. - Tylko ty jeden, jak widzę, męczysz się. Bądź łaskaw nie męczyć się za wszystkich. Wróć do spawania.

Aleksiej ruszył dalej. Umara krzyczał za nim:

- Dlaczego mnie krzywdzisz? Czy sam tego nie przeżywasz? Czy jesteś ślepy, nie widzisz, jak wszyscy czekają? A ja męczę się najbardziej - mam takie prawo. Sprawdza się moje spawanie, moją pracę na odcinku. Prosimy cię bardzo: daj rozkaz!

Karpow zdyszany zameldował:

- Nie udało mi się porozumieć z Beridzem. Selektorzysta na węźle powiedział: „U nas przeprowadza się w tej chwili badanie dieslowskiej stacji pomp. Naczelny inżynier i wszyscy inni są teraz zajęci, nikt z tobą nie będzie rozmawiał”. Ach, żeby tak popatrzyć na te diesle i pompy w ruchu. Ile się przy nich mechanicy namęczyli! Bez rysunków, bez doświadczeń, a mimo to zestawili wszystko. Mówią, że Sierioginowi za jego trud przebaczą winę.

Aleksieja ogarnęła złość. Beridze podstawił mu nogę. Teraz Filimonow gotów wyprzedzić go z próbą.

- Jedź, Iwanie Łukiczu, na węzeł i zrób mu tam awanturę w moim imieniu.

- Już jadę.

W powrotnej drodze Kowszow nie mógł, jak zwykle, przejść obok Umary. Dotknięty do żywego spawacz udawał, że go nie spostrzega. Aleksiej zatrzymał się na kilka minut. Czuł, jak od czystego płomienia buzującego w rękach spawacza, od całej postaci Umary, który stał się dla niego tak bliski (nastroszony i zakurzony, z umazaną, miłą twarzą o wystających kościach policzkowych i perkatym nosie) - topniał w nim lód rozdrażnienia i niechęci.

Nie zdążył jeszcze odejść od spawacza, kiedy wzbijając tumany kurzu nadjechał samochód Beridzego. Aleksieja w pierwszej chwili ogarnęła radość, ale natychmiast zwiesił głowę: samochód przyjechał bez naczelnego inżyniera. Szofer ustnie przekazał Aleksiej owi dziwne zarządzenie Beridzego: „Inżynier Kowszow ma stawić się natychmiast na stacji pomp”.

- Jedźcie z powrotem i powiedzcie towarzyszowi Beridzemu, że czekamy na niego już od dawna - ostro powiedział Aleksiej do szofera. - Niech natychmiast przyjeżdża tutaj. Kowszow się wścieka, powiedz mu, ludzie są zdenerwowani, nie można ich trzymać w takim napięciu.

- Beridze zabronił mi wracać bez was - powiedział szofer z zakłopotaniem.

- Wracajcie, i to zaraz - wyrąbał Kowszow.

Szofer wzruszył ramionami i siadł przy motorze. Samochód zawarczał i ruszył w powrotną drogę.

Wreszcie Aleksiej wrócił do miejsca, w którym stał aparat do prób ciśnienia. Włosy miał zmierzwione, twarz błyszczącą od potu, buty szare od kurzu. Ze zdziwieniem zauważył nagle, że słońce podniosło się już wysoko, powietrze było gorące. Z porannej mgły i chłodu nie pozostało śladu. Niebo bez jednej chmurki jarzyło się. Z jeziorka, do którego się zbliżył, by odświeżyć rozpaloną twarz i zaschnięte gardło, lekkimi strumykami podnosiła się para.

Przy instalacji do wykonania próby tłum robotników słuchał objaśnień Grubskiego. Inżynier zrzucił wreszcie marynarkę i krawat i w pasiastej rozpiętej koszuli wyglądał inaczej, jakoś po domowemu. Wśród zebranych było kilku szoferów, ich samochody stały tuż obok.

Ludzie zauważyli kierownika odcinka i spojrzeli po sobie - tak bardzo był ponury. Czerpał ciepłą wodę rękami i spryskiwał sobie głowę. Z tłumu wyszli nierozłączni Machow i Kuczina. Aleksiej rozczesywał włosy palcami i niecierpliwie podrzucał głową. Spojrzenie jego padło na szofera i Musię. Obydwoje byli ubrani w kolorowe koszulki futbolowe, po sportowemu. Dziewczyna przez wiosnę wyładniała, a Machowowi nawet oczy rozjaśniły się pod palącym słońcem.

- Aleksieju Nikołajewiczu, przyszliśmy z prośbą - niepewnym głosem zaczął Machow. - Pozwólcie nam tu zostać, opuścić jeden kurs... później to nadrobimy. Byłoby nam przykro, gdybyśmy nie byli przy próbnym badaniu rurociągu. Tak długo na to czekaliśmy! Nigdy jeszcze nie widzieliśmy, jak się bada takiego olbrzyma.

Aleksiej rozchmurzył się, usiadł na pagórku.

- Róbcie jak chcecie, odpocznijcie. Beridze robi nam zawód. Ugrzązł u Filimonowa i nie przyjeżdża. Posłałem po niego Karpowa. Za chwilę na pewno zjawią się obaj.

- Zdaje się, że już się kurzy na drodze - zauważyła Musia.

Karpow wrócił sam - wzburzony i rozdrażniony.

- Nasz Gieorgij Zwycięzca nawet nie myśli tu przyjechać - meldował. - Kazał tobie przyjechać. Tam, widać, musiało się coś stać. Ale jest w dobrym nastroju: uśmiecha się, gładzi brodę. Pokazał mi diesla i pompy - pracują całą parą. Zebrali się tam wszyscy, kto żyw. Beridze przemawiał. Wyprzedzili nas. Nie łatwo dać sobie radę z taką rurą, a tam u nich wszystko jak na dłoni. Musisz jechać. Beridze przykazał surowo. Nawet tu kilka słów napisał.

Na odwrocie karteczki Kowszowa było skreślone grubym niebieskim ołówkiem: „Raz jeszcze powtarzam: natychmiast stawić się tutaj - w sprawach nie cierpiących zwłoki”. Rozwścieczony Aleksiej, nie szczędząc przekleństw i złośliwości pod adresem Beridzego, pomknął na węzeł przetaczania ropy.

Samochód ze wzniesienia wpadł na plac stacji pomp zalany jaskrawym światłem słonecznym. Wszystko tu wyglądało odświętnie. Aleksiej obrzucił spojrzeniem duży murowany budynek stacji pomp. Na prawo od niego znajdowały się cylindryczne cysterny, stamtąd dochodził ogłuszający, ciągły stukot pneumatycznego nitowania. Po całym placu rozrzucone były czyściutkie, świeżo pobielone budynki: wartownie, centrala telefoniczna, centrala ruchu, elektrownia, kotłownia, warsztat mechaniczny i tuż u podnóży wzgórz - domki i internaty pracowników. Było to całe miasto, które powstało w oczach Aleksieja.

Jak można się było spodziewać, naczelny inżynier znajdował się w przestronnej, jasnej hali dieslowskiej stacji pomp. Wraz z Filimonowem w otoczeniu około dwudziestu monterów stali w milczeniu przy pompach. Był tu i Sieriogin. Z kluczem w jednej ręce i dziennikiem kontrolnym w drugiej stał uroczyście jak wartownik. Oczy jego promieniały. Ogromne, lśniące maszyny pracowały bez hałasu i stuku. Filimonow, aż po brwi umazany oliwą, ledwie się trzymał na nogach ze znużenia. Beridze także miał twarz, ręce, koszulę i spodnie umazane smarem. Po jego oczach, po łagodnym wyrazie twarzy, po tym jak targał brodę, można było odgadnąć, że próba wypadła pomyślnie.

- Patrz, co za śliczności, nie mogę się nacieszyć - zawołał Beridze do zbliżającego się Kowszowa. Dziki wygląd Aleksieja rozweselił go. - Może się jednak przywitasz i powinszujesz zakończenia montażu diesli i pomp i puszczenia ich w ruch? Powinszuj choćby temu bohaterowi - położył rękę na ramieniu uśmiechającego się ze znużeniem Filimonowa.

- Winszuję - burknął ze złością Aleksiej.

Wszyscy roześmieli się. Aleksiej zatrzymał się, popatrzył na pracę pomp, przeszedł się po czystej kaflowej posadzce do hali diesli i wrócił z rozjaśnioną twarzą.

- Zuch z ciebie, jestem gotów choćby pieszo przytaszczyć ci sztandar - powiedział obejmując Filimonowa. - Wszystkim wam także winszuję, towarzysze - zwrócił się do monterów ściskając im po kolei ręce.

- Myśmy tu już z Beridzem i Rogowem bez ciebie postanowili, że sztandar powinien zostać przy tobie - powiedział Filimonow. - Tak czy owak, ale tobie było trudniej niż nam osiągnąć wyniki dzisiejszego dnia.

- No, wstrzymaj maszyny i marsz spać - polecił Beridze Filimonowowi. - Czas wyznaczył „doktor" Batmanow: dwadzieścia cztery godziny snu...

Beridze wyszedł na dwór trzymając Aleksieja pod rękę. Gabinet i mieszkanie prywatne naczelnego inżyniera na Czongrze, jak i poprzednio, mieściło się w jednym małym pokoiku budynku centrali telefonicznej, do którego ze wszystkich stron przenikało nieprzerwane brzęczenie i trzaski. Od cieśniny dochodził łoskot i plusk przypływu.

- Proszę cię, Gieorgiju, nie zatrzymuj się ani na chwilę. Jedźmy na odcinek. Tam wszystko rozpalone do czerwoności - stanowczo oświadczy! Kowszow.

Beridze zdjął ubrudzoną oliwą koszulę i obnażywszy porosły gęstymi włosami potężny tors przypadł do pękatego kubła z wodą.

- Pojadę, zaraz pojadę - oderwał się w końcu od kubła. - Ale pojadę, mój drogi, sam, bez ciebie.

- Co to znaczy - beze mnie? -zdumiał się Aleksiej.

- No, tak, sam jeden, a ty polecisz do miasta. Batmanow przysłał po ciebie samolot.

- Coś ty, zwariował? - oburzył się Aleksiej.

- Nie gorączkuj się, spójrz raczej na zatoczkę, widzisz samolot? Czeka na ciebie.

- Po jakiego diabła mi ten samolot?

- Polecisz na nim do miasta, do zarządu. Zrozumiałeś?

- Kawalarz z ciebie, naczelny inżynierze. Sprawia ci przyjemność granie mi na nerwach! Baw się, baw, to nic - jestem silny - wytrzymam! - Aleksiej mówił z gniewem.

- Niestety, Alosza, nie żartuję. Musisz lecieć do Nowińska, a stamtąd do Moskwy. Będziesz składać sprawozdanie z robót w Komisariacie Ludowym. Ciężko mi rozstawać się z tobą, bo jesteś wiernym pomocnikiem. Ale nic nie wskórasz...

- Jakie sprawozdanie, jaka Moskwa? - zawołał Aleksiej. - O co ci chodzi naprawdę?

- Zwykła Moskwa - stolica. Ach, jak miło byłoby znaleźć się teraz w Moskwie! Wielu ci pozazdrości - ja pierwszy.

- Czy ty mówisz poważnie? - głos Aleksieja zadrżał. - Nigdzie nie pojadę, nigdzie nie polecę. Odpowiadam za cały odcinek, nie mogę go porzucić w takiej chwili.

- Możesz mi powierzyć odcinek, mój drogi, nie zawiodę. Zajmę się nim osobiście, zakończymy pracę wspólnie z Karpowem i Grubskim. A lecieć musisz, czy chcesz czy nie chcesz. Do Moskwy, dziwaku, rozumiesz? Przecież sam pragnąłeś się tam dostać, masz tam rodziców i żonę. Zapomniałeś już, jak marzyłeś o tym w zimie?

- Cóż z tego, że marzyłem? Teraz nie chcę.

- Komisariat Ludowy niespodziewanie wezwał Batmanowa i mnie. Ale przecież rozumiesz, że my nie możemy obecnie porzucić budowy. Przez godzinę wykłócaliśmy się, kogo posłać. Wreszcie postanowiliśmy, że tylko ty, nikt inny.

- Nie, jedźcie już sobie z Batmanowem! Jestem małym człowiekiem, kieruję tylko jednym bojowym odcinkiem, nie mogę odpowiadać za całą budowę! - gorączkował się Aleksiej.

Beridze śmiał się oblewając plecy i piersi wodą z kubła. Aleksiej wyrwał mu z ręki kubeł i ze złością postawił go na ławkę:

- Dość tej zabawy! Łaźnię sobie urządza!

- Otóż mówię ci, Aleksieju, poważnie: nie trać czasu, do zarządu trzeba lecieć trzy godziny. Śpiesz się. Batmanow czeka, już telefonował i dopytywał się, czyś wyruszył.

Kowszow stał podobny do człowieka, który chce natychmiast gdzieś uciec. Jednakże w miarę, jak niespodziewana wiadomość przenikała do jego świadomości, energia i stanowczość zaczęły go opuszczać. Pochylił głowę i opuścił muskularne ramiona.

Beridze nałożywszy czystą koszulę podszedł do niego i ujął za ramiona.

- Przecież nie trzeba ci, Alosza, tego tłumaczyć, sam dobrze rozumiesz wszystko. Trzeba jechać. Jesteś najodpowiedniejszym do tego człowiekiem. Wiesz wszystko o budowie, o sprawach technicznych, o zasobach. Przy tym jedziesz do rodzinnego miasta, to także wzięliśmy z Batmanowem pod uwagę. Myśleliśmy, że będziesz ogromnie zadowolony. A ty się upierasz. Kiedy przyjedziesz, pomyśl przez chwilę o Beridzem i podziękuj mu. Pokłoń się nisko ode mnie Moskwie. Powiedz jej, że my tu na Adunie stęskniliśmy się za nią, za naszą najdroższą stolicą. - Potrząsnął ramionami przyjaciela. - Pożegnajmy się tutaj. Na odcinek nie powinieneś już wstępować. Nie ma czasu, a poza tym ludzie są już i tak podenerwowani. No, żegnaj! Och, ciężko mi jednak, przywiązałem się do ciebie.

Ucałowawszy mocno Aleksieja, Beridze pierwszy wyszedł z domu; nie spojrzał już więcej na towarzysza, żeby nie pokazać zwilgotniałych od łez oczu; wsiadł do samochodu i odjechał.

Aleksiej patrzył za samochodem, póki nie zginął mu z oczu, i rozejrzawszy się ruszył na wzgórze do mogiły Topolewa.

Ktoś opiekował się troskliwie ostatnim miejscem spoczynku Kuźmy Kuźmicza. Szary granitowy nagrobek był otoczony porządnym, drewnianym ogrodzeniem, na mogile leżały świeże kwiaty.

- Ach, staruszku, nie mogłeś pożyć jeszcze trochę - powiedział głośno Aleksiej i westchnął. - Oto wyjeżdżam do Moskwy. Żegnaj, drogi.

Położył rękę na mogile, stał tak przez chwilę, po czym zbiegł nad zatokę, gdzie na wodzie kołysał się hydroplan kierownika budowy.

Dopiero gdy usadowił się w kabinie, zrozumiał naprawdę, że istotnie czeka go daleka droga. Poprosił pilota, aby leciał nisko nad trasą.

Z dziwnym uczuciem wzruszenia, radości i szlachetnego żalu przyglądał się Aleksiej zmieniającym się szybko obrazom twórczej walki o rurociąg. Trasa żyła! Rozwijało się przed nim to pełne urody życie, o którym tak boleśnie, z taką tęsknotą marzyli z Beridzem, gdy brnęli zimą wzdłuż trasy, istniejącej wówczas raczej na wykresach niż w rzeczywistości.

Teren budowy rozciągający się na przestrzeni setek kilometrów wyznaczała równa przesieka, wewnątrz której biegły trzy wyraźne linie: linia wykopu i niemal równoległa linia głównego przewodu lub rur wyciągniętych równiutko, ale jeszcze nie połączonych. Z tymi dwiema liniami to krzyżowała się, to rozchodziła linia drogi.

W wielu miejscach nagle ginęła albo linia wykopu („dużo jeszcze trzeba kopać” - wzdychał Aleksiej), albo też linia rurociągu („już jest w wykopie, to dobrze!”). W poszczególnych miejscach pozostawała tylko linia drogi, a wzdłuż niej czerniały kwadratowe stosy rur. („Okropność! Dotychczas nie rozwieźli jeszcze rur! Skandal! Trzeba się śpieszyć, trzeba się śpieszyć!”).

W dole śpieszyli się, Aleksiej dobrze o tym wiedział i widział to. Dziesiątki samochodów i traktorów sunęły drogą rozwożąc rury. Mechaniczne kopaczki ryły wykop wyrzucając na powierzchnię równe warstwy ziemi. Tysiące robotników i kołchoźników kopało rów łopatami; wyrzucana ziemia dosłownie wisiała w powietrzu jednolitą szarą taśmą.

Pracę spawaczy można było rozpoznać po rozlicznych małych płomykach, widocznych z samolotu nawet pod słońce. Telefoniści kończyli już zakładanie przewodów na ustawionych wzdłuż trasy białych słupach, przypominających z góry równo wykreśloną na zielonym tle linię punktów.

Trasa żyła, huczała! Huk ten był zagłuszany rykiem motorów samolotu. Ale Aleksiej wyrwany nagle z rytmu życia swojego odcinka słyszał wyraźnie głosy trasy: warkot traktorów, basowe sygnały samochodów, zjadliwe syczenie spawalnic, okrzyki i śpiewy pracowników. Zdawało mu się nawet, że rozpoznaje twarze ludzi: odrywali się od roboty, aby spojrzeć na przelatujący nad nimi samolot.

A na lewo toczył swoje wody Adun, ogromny, lśniący, jakby zagarnął w siebie całe światło słońca - po obu jego stronach rozpościerała się bez końca i kresu tajga.

13. Sprawozdanie złożone ojczyźnie

Po przylocie do Nowińska Aleksiej nie zdążył się nawet umyć i przebrać. Przyłapano go w pobliżu lotniska zarządu i kazano udać się natychmiast na naradę do kierownika budowy.

W zarządzie wszyscy wiedzieli już o wyjeździe Kowszowa do Moskwy; gdy szedł do Batmanowa, spotykający go po drodze współpracownicy winszowali mu i życzyli powodzenia. W korytarzu Aleksiej

nieoczekiwanie natknął się na Żenię - zmieszana, cicho odpowiedziała na jego powitanie i szybko zniknęła.

W poczekalni, pod drzwiami gabinetu Batmanowa, dreptał Liberman. Był na bazie, nic nie wiedział o naradzie, a spóźniwszy się nie śmiał wejść. Zjawienie się inżyniera ucieszyło go, dodało mu odwagi.

- Co jest tematem narady? - zapytał Kowszow.

- Mamuniu najmilsza! Przecież tobie jest poświęcona! Ściślej mówiąc twojemu wyjazdowi do Moskwy. Spóźniliśmy się obydwaj fatalnie. Kierownik przemawia już na zakończenie.

Weszli razem do gabinetu. W pokoju zwykle o tej godzinie zachodu było bardzo duszno. Na wielu twarzach błyszczał pot. Batmanow swoim zwyczajem przechadzał się wzdłuż długiego stołu.

Batmanow przywitał się z Aleksiejem i obrzucił chłodnym spojrzeniem Libermana, przeciskającego się do wolnego krzesła.

- Powtarzam, obradujemy nad sprawozdaniem dla Moskwy - głośno powiedział Batmanow spojrzawszy przenikliwie na Kowszowa. Ogorzały od słońca, w kraciastej koszuli i iw butach pokrytych kurzem wydawał się tu nie na miejscu; robił wrażenie człowieka, który czekał na rozkaz, aby wrócić tam, skąd przyszedł. - Nie próżnowaliśmy, musimy jasno i przekonywająco opowiedzieć, czego dokonaliśmy na rzecz wojny, dla kraju i ludu. Nasza gospodarka jest ogromna, milionowe środki, olbrzymie zasoby siły ludzkiej - nam nie wolno wykręcać się byle czym. Każdy rozumie, że musi teraz złożyć rachunek nie tylko wobec bezpośredniego przełożonego, lecz także wobec rządu. Niełatwa to rzecz: stanąć przed rządem i odpowiadać. Trzeba się zastanowić, co i jak powiedzieć. Nie jestem zadowolony ze sprawozdań kierowników wydziałów: nie stanęli na wysokości zadania.

Liberman gorącą i wilgotną ręką trącił Aleksieja w łokieć i wskazał mu Grieczkina. Kierownik planowania był dosłownie zlany potem i rozglądał się gniewnie wokoło. Był przekonany, że z narady nie będzie żadnego pożytku i że szczegółowe sprawozdanie dla Moskwy będzie musiał mimo wszystko przygotować sam.

- Widzę po waszych twarzach - ciągnął dalej kierownik - że jednak pozostajecie przy swoim błędnym mniemaniu: najważniejsze - to zbudować, sprawozdanie to rzecz łatwa, od tego są buchalterzy i ekonomiści, otrzymują przecież za sprawozdania pensję...

- Słusznie! - zaśmiał się Fiedosow.

- Wcale niesłusznie! Wasza odpowiedź jest bardzo charakterystyczna. Wolelibyście raczej stracić dwa dni na szukanie tony smoły, niż pomyśleć przez dwie godziny nad takim zagadnieniem, jak wasze sprawozdanie dla Moskwy. To pachnie ciasnym praktycyzmem. Jasna rzecz, że najważniejsze to - zbudować. Ale czy to nie jest ważne, żeby przemyśleć swoją pracę wówczas, kiedy budowa weszła w okres końcowy? Widzicie, Fiedosow, Moskwa jest daleko i zajęta jest wojną, powierzyła nam los rurociągu. Ale Moskwa chce zdecydowanie wiedzieć, że nie zawiedziemy jej w krytycznej chwili. Niemcy rwą się do kaukaskiej nafty, zebrali niemałe siły z całej Europy. Zainteresowanie państwa naszym rurociągiem stale wzrasta... A z samych cyfr i tablic Grieczkina trudno odgadnąć, czy rurociąg będzie w terminie gotowy czy nie. Czasu jest mało, ilość nie wykończonych jeszcze robót jest ogromna, sądząc z danych liczbowych sprawa wygląda niezupełnie pewnie. Nic też dziwnego, że Moskwa nas wzywa, że chce zorientować się we wszystkim. Pomyślcie tylko, Fiedosow... Na naszej budowie pracuje tysiące ludzi, to są przecież pułki wyłączone z szeregów Armii Czerwonej. Zatrzymujemy tu wielkie ilości koni, to przecież kawaleria. Samochody, traktory - to także z arsenału

Armii Czerwonej. Czyż nie jest naszą świętą powinnością pokazać, jaki udział w bitwach o rurociąg brali nasi ludzie, nasza kawaleria, nasze zmotoryzowane oddziały - i jakie są ich osiągnięcia?

Aleksiej czuł się bardzo dziwnie: jakby ktoś rozszczepił jego świadomość na połowy. Jedna z nich przysłuchuje się słowom Batmanowa. Ten człowiek zawsze wywiera wpływ na tych, do których się zwraca. Jego przemówienia, rady, nawet wymówki budzą w ludziach dobroczynny niepokój, wlewa w ich serca żądzę czynu i walki. Aleksiejowi trudno go słuchać, ale nie może także nie słuchać... Drugą połową świadomości Aleksiej jest stąd daleko...

- I mnie, i Kowszowowi jest ciężej niż wam - mówi Batmanow i znów patrzy na Aleksieja z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. - Obydwaj zdajemy sprawozdanie z całości: ja - jako odpowiedzialny za budowę i za was wszystkich, Kowszow - jako nasz wysłannik do Moskwy. Zwracamy się więc do was: ułatwcie nam zadanie, niech każdy złoży sprawozdanie z własnej pracy. Zrozumcie: nie chodzi tu o formalne sprawozdanie... Macie możność przyjrzeć się sobie ze wszystkich stron, przeprowadzić analizę i wyciągnąć ogólny wniosek: czy w boju o rurociąg każdy z was z osobna i my wszyscy razem zajmujemy godne miejsce, czy nasza armia pracy nie znalazła się w pewnego rodzaju kotle, z którego musimy się wydobyć za wszelką cenę? Za kilka dni Kowszow uda się do Moskwy. Formalnie zdążymy w tym czasie przygotować i dać mu do ręki sprawozdawczy referat - dwadzieścia stronic maszynowego pisma plus wszelkie potrzebne tablice, diagramy, wykresy. Ale traktując sprawę nie tylko formalnie - jesteśmy obowiązani przefiltrować w mózgu to wszystko, czego nie da się zmieścić na dwudziestu stronach. Pomyślcie, dokąd jedzie Kowszow! Dopomóżcie mu zgodnie z waszym sumieniem i rozumem. Gdy wrócicie stąd do swoich wydziałów, postarajcie się nie grzęznąć w biurokratycznych drobnostkach, przesiejcie przez sito analizy cyfry, fakty i wnioski - jak kamieniarze - wówczas pozostaną wam na sicie duże kamienie ważnych spraw, a wszystkie drobiazgi przelecą...

Załkind siedząc przy oknie czuje na plecach przyjemny, ożywczy powiew zbliżającego się wieczoru. Z zainteresowaniem obserwuje, jak przepojona uczuciem mowa Batmanowa powoli zaczyna niepokoić ludzi. Jak ognik błyszczy złoty ząb w ustach partorga: uśmiecha się na myśl, że z twarzy ludzkich może czytać jak z książki. Oto już niemal zupełnie rozproszyło się niezadowolenie Grieczkina: przestał wytrzeszczać oczy i boczyć się. Tania Wasilczenko słucha chciwie. Michał Borisowicz przypomina sobie, jak Tatjana w początkach zimy przybyła z odcinka do zarządu, gotowa bez żadnej obawy wstąpić w zapasy z nowym kierownictwem budowy. Ileż to zaszło od tego czasu wydarzeń i zmian! Jak zmienili się ludzie! Załkind przenosi spojrzenie na Fiedosowa. Aha, oto i w nim wreszcie wzbudziło się zainteresowanie. A przecież uważał, że ta narada jest niepotrzebna. „Trzeba dać sprawozdanie? O co chodzi? Damy więc sprawozdanie, wielka rzecz”. Tak, a jednak, mój drogi!...

Gdy z Batmanowem omawiali konieczność zwołania tej narady, sami także nie wiązali z nią zbyt wielkich nadziei; trudno było liczyć na to, że kierownicy wydziałów po naradzie wymyślą coś ponad dawno przyjętą formę raportu. Ale, do diabła, trzeba, żeby ich ogarnęła niespokojna myśl o odpowiedzialności tej chwili! Trzeba, żeby ich poruszyła niełatwa misja Aleksieja! Choćby nawet nie dodali nic ważnego do sprawozdania Kowszowa, na pewno zdobędą się na większe niż dotychczas wyniki w pracy!

- Wysłuchałem was wszystkich bardzo uważnie - rozległ się głos Batmanowa. Stał w oknie z odrzuconą w tył głową i z błyskiem w oczach patrzył na zebranych. - Chcę zatrzymać się na konkretnych przykładach. Zacznę od głównego buchaltera. Zarzucił nas tu cyframi, aż wielu ogarnęła nuda. Czy Kowszow powinien stanąć na tym samym stanowisku i oszołomić towarzyszy z Centralnego Zarządu liczbami?

- Liczby to wielka rzecz, nie uciekniecie przed nimi - rzucił w odpowiedzi naczelny buchalter, urodziwy starzec o zarozumiałym wyrazie twarzy.

- Jeszcze by tego brakowało, żebym uciekał przed waszymi liczbami! Stanowisko i wiek nie pozwalają mi na to - uśmiechnął się Batmanow. Pozostali roześmiali się również. - Nie straszcie nas, towarzyszu buchalterze, liczbami. One są martwe i ścigać nas nie będą. Albo przedrzemią się w teczce Kowszowa, albo przelecą przez uszy nie poruszywszy tych, przed którymi będzie musiał składać sprawozdanie. - Wasilij Maksimowicz powiódł spojrzeniem po twarzach siedzących ludzi. - Weźmy na przykład takie zagadnienie: Towarzysz Stalin zobowiązał nas, gospodarzy, do przestawienia wszystkiego na gospodarkę wojenną. Dokonaliśmy tego. Wykazaliśmy niezwykłą żywotność w zestawieniu z czasami pokojowymi. Obeszliśmy się w większości przypadków bez pomocy Moskwy nawet wówczas, kiedy ta pomoc wydawała się prawie konieczna. Jakbyście o tym opowiedzieli? Fiedosow, przecież was o to pytam!

Fiedosow wstał czerwony z gorąca i zmieszania.

- Rozumiem was, Wasiliju Maksimowiczu. Mam wiele do powiedzenia i w liczbach, i w żywym słowie: lwią część materiałów technicznych zdobyliśmy na miejscu bez jakichkolwiek państwowych zasobów.

Batmanow przystanąwszy przy kierowniku zaopatrzenia słuchał go z uwagą. Był wyraźnie niezadowolony - nachmurzył się i machnął ręką.

- Lwia część! Koślawy frazes, w którym król zwierząt - lew - występuje w roli wskaźnika ilości blachy i łopat! - Wybuch śmiechu przerwał słowa kierownika, Batmanow czekał, aż wszyscy się uspokoją. - Powinniście powiedzieć po prostu: przyszli nam z pomocą Tieriechow i inni wybitni kierownicy przemysłu na Dalekim Wschodzie, wykonali dla nas na przykład agregaty do badań na ciśnienie, których nie mogliśmy otrzymać. Zrobili do amerykańskich pomp części, których nam nie przysłano. We własnych warsztatach i laboratoriach nauczyliśmy się robić elektrody, węglan wapnia, przyrządy, gwoździe i wiele rozmaitych narzędzi. - Batmanow spojrzał na Libermana. - Spóźniliście się, nie słyszałem waszego głosu. Powiedzcie, jak zamierzacie ująć sprawozdanie dla rządu?

Liberman wstał i milcząco wpatrywał się w kierownika budowy.

- No, nie chciałbym, aby Kowszow tak jak wy w tej chwili mrugał tylko oczami, gdy każą mu składać sprawozdanie - powiedział Batmanow nie doczekawszy się odpowiedzi Libermana. - Z waszej twarzy widzę, żeście się na mnie obrazili. Ale cóż ja jestem winien, gdy wy w tej tak ważnej chwili nie macie nic do powiedzenia! Przypomnijcie sobie, jak przynosiliście mi depesze i raporty z bezustannym żądaniem ciepłej odzieży i obuwia. Przypomnijcie sobie, że założyliście - na wszelki wypadek - specjalne akta z takimi depeszami i raportami. Chcecie, to wydobędę je z szafy i dam Kowszowowi? Niech wykorzysta kopie waszych papierków jako atuty w Moskwie. Myśmy do was pisali, a wy nam nie pomagaliście. Dlaczego milczycie? Na nic są teraz wasze papierki, prawda? A więc, Liberman... Jeżeli w waszym wydziale będzie robił sprawozdanie człowiek myślący kategoriami magazyniera, to wybębni nudno: tyle a tyle butów, onuc, kurtek i spodni wydano pracującym, tyle to zużyto produktów, takie i takie utrzymaliśmy normy. Ale człowiek o głębokim ogólnopaństwowym podejściu do rzeczy powie inaczej: nadeszła zima, nie mieliśmy prawie ciepłej odzieży, a mimo to zrezygnowaliśmy z państwowej pomocy, a to, co lepsze, oddaliśmy Armii Czerwonej. Mimo to ubraliśmy robotników... w co? Liberman, czyżbyście już zapomnieli? Przecież razem z wami uszyliśmy ogromną ilość kaftanów, watówek i płaszczy z mundurów przeznaczonych przez oddziały wojskowe na odpadki surowcowe. Nauczyliśmy się cenić znoszone rzeczy, naprawiać je i sto razy łatać, zamiast od razu wyrzucić na śmietnik. Zapomnieliście o butach ze zużytych opon samochodowych, o wacie ze szmat? Czy mamy prawo mówiąc o kwestii wyżywienia nie wspomnieć o pomocy Nanajczyków i Niwuchów, o pomocy rybaków z kołchozu Karpowa? Policzcie tylko uważniej, ile oni nam dali mięsa i ryb.

Załkind uśmiecha się nieznacznie, jest zadowolony z narady. Liberman, oczywiście, czuje się pokrzywdzony, siedzi nadęty. I nie on jeden. Ale gdyby tak zapytać tegoż Libermana czy Fiedosowa: czy rzeczywiście są aż tak bardzo niezadowoleni z Batmanowa, czy może woleliby innego kierownika budowy - bardziej miękkiego, delikatniejszego, a nie tak niespokojnego i ostrego w języku jak Batmanow?

Tak, Batmanow to twardy człowiek, ostry, nieraz bezlitosny. A mimo to żaden z nich nie odstąpiłby od niego. Nie zamieniliby go, powiedzmy, na Sidorenkę. Z Batmanowem poznali to, co on sam lubi nazywać bolszewicką organizacyjną twórczością.

- Jacyż ludzie pracują u nas na trasie, towarzysze! - mówi Batmanow ze wzruszeniem. - Bardzo słusznie nazwał ich Puszczin w gazecie - gwardią zaplecza. W naszym sprawozdaniu obowiązani jesteśmy opowiedzieć o nich tak dobrze, jak to piszą we frontowych komunikatach o żołnierzach i oficerach wyróżniających się w bitwach. - Wasilij Maksimowicz uśmiechnął się, rozjaśniły mu się oczy. - A oto nasz wydział kadr! Założę się, że towarzysze z wydziału kadr wystąpią z arkuszami pełnymi słów i liczb - ile mamy mężczyzn i kobiet, ile jest w tej liczbie z wyższym wykształceniem, ze średnim, a ile z niższym. Będą pisali w nim również - widziałem już coś w tym rodzaju - o zasięgu współzawodnictwa w procentach i średnich miesięcznych. I zaprzepaszczą, towarzysze, w tych słowno-cyfrowych nudach to, co jest najważniejsze - ducha ludzi. Tam nie będzie miejsca na opowiadanie o tym, że u nas nie było wcale teletechników i że to komsomolcy pod przewodnictwem Tani Wasilczenko stali się nimi: i o tym, że brak nam było spawaczy i Umara Mahomet pracował za czterech; że brygada drogowa wspólnymi siłami ciągnęła samochód szofera Machowa, aby nie utracił pierwszeństwa; o tym, jak ludzie ginęli, bowiem sprawa była dla nich droższa niż własne życie. Czy mamy prawo zapomnieć o inżynierze Topolewie, dziesiętniku Gonczaruku, o traktorzyście Silinie?

... W rozdwojonej świadomości Kowszowa jedna połowa poruszona słowami Batmanowa żyje tym, co się dzieje na naradzie, druga jest na porzuconym bojowym odcinku. Jak tam teraz wszystko wre! Przed oczyma stoi mu Beridze: „Bądź spokojny, Alosza. Ufaj mi, nie zawiodę!" Nie, Beridze nie próżnuje. Wydaje zarządzenia, gospodaruje na jego odcinku. Oto szybko przechodzi obok budzącej wątpliwości sekcji rurociągu; jego buty grzęzną w miękkiej ziemi wyrzuconej z wykopu. Oblewa go pot; wyciera twarz rękawem szarej już od kurzu koszuli. W tym czasie do rurociągu tłoczą dalej wodę. Pompy pędzą ją i pędzą bez przerwy. Ludzie czekają, denerwują się. Tylko Beridze jest spokojny, on nie ma prawa się denerwować. Nawet potrafił uspokoić Umarę Mahometa, który nie wytrzymał i przyjechał na miejsce próby. Beridze powiedział do niego: „Nie będziemy się denerwować. Chodź, zapalimy, korzystając z okazji opowiem ci pewną śmieszną historię".

Wokół Beridzego i Umary gromadzi się tłum: naczelny inżynier beztrosko opowiada, jak to kiedyś, we wczesnej młodości, poznał na morzu, daleko od brzegu, piękną dziewczynę. Tłum śmieje się, ale nikt nie demaskuje Beridzego, chociaż wielu z nich wie, że inżynier niemal zupełnie nie umie pływać. Aleksiej ledwie go wyciągnął z cieśniny.

- A cóż nam powiedzą nasi racjonalizatorzy? - słyszy Aleksiej pytanie kierownika budowy zwrócone do systematycznego, zawsze wyszukanie uprzejmego inżyniera Połozkowa.

Połozkow wstaje:

- Chciałbym dać towarzyszowi Kowszowowi dwa wykresy: dynamikę wpływu wniosków racjonalizatorskich w poszczególnych miesiącach oraz sumę umowną rocznej oszczędności, uzyskanej wskutek realizacji szeregu usprawnień.

Zebrani śmieją się. Batmanow patrzy na Połozkowa gniewnym wzrokiem.

- Nie potrzebujemy waszej „dynamiki” i „umownej oszczędności!” Dajcie nam żywą, ludzką notatkę o bezumownej twórczości naszych inżynierów i robotników. Na odcinkach widzieliśmy usprawnienia na każdym kroku. Cała lewobrzeżna trasa Beridzego i Karpowa - to co? A sposób rozwożenia rur „do siebie” Kowszowa i Machowa? A premiowy bufet Rogowra i Kucziny? Albo buldożer Silina, miażdżący tajgę? Albo metoda Topolewa stosowania wybuchów przy robieniu wykopów? A spawanie rur w warunkach zimowych? A przesuwanie po lodzie stalowych odcinków rurociągu kilometrowej długości? Drodzy przyjaciele, przecież to wszystko jest nowatorstwem!

... Aleksiej z całym realizmem wyobraża sobie: oto nadchodzi krytyczny moment próby. Teraz Beridze nie odchodzi już od aparatu. Setki uważnych, niespokojnych oczu robotników są przykute do manometrów. Ciśnienie w rurociągu stale wzrasta. Albo dojdzie do czerwonej kreski - siedemdziesięciu atmosfer - i wtedy zerwie się burza radosnych oklasków i rozgłośne, entuzjastyczne „hura!”, a Beridze i Umara, dźwignięci silnymi ramionami, uniosą się ponad tłumem. Albo też sprężona woda rozsadzi spoiny - a wówczas... „Czy są zachowane wszystkie środki ostrożności?” niepokoi się Aleksiej i w odpowiedzi wyraźnie słyszy, jak głosem Grubskiego bez przerwy wzdłuż całej trzydziestokilometrowej trasy biegnie ostrzeżenie: „Odejść od wykopu - niebezpieczeństwo! Odejść od rurociągu - wysokie ciśnienie, niebezpieczeństwo! Towarzysze, ostrożnie! Uwaga!”

- Śmiało i uczciwie, towarzyszu Kowszow, mówcie w Moskwie o naszych brakach, omyłkach, niepowodzeniach i błędach! - grzmi głos Batmanowa. - Do naszego kolektywu wdarli się zdrajcy, których nie wykryliśmy od razu. W naszym środowisku znaleźli się dezerterzy, egoiści i tchórze, nie pomijajcie tego milczeniem. Byli i tacy, którzy nie wierzyli, że rurociąg można zbudować w ciągu roku. Byli też i tacy, którzy poczytywali budowę rurociągu za sprawę mniej ważną i składali raporty z prośbą o przeniesienie na front.

Grieczkin trąca Aleksieja w bok:

- O tobie mowa. Rozumiesz?

- Opowiedzcie wszystko, jak było, towarzyszu Kowszew - zagłuszył Grieczkina Batmanow. - Na początku niewłaściwie podeszliśmy do sprawy ograniczeń wywołanych wojną, nie interesowaliśmy się bytem ludzi. Inżynierowie marzli w lodowatych izdebkach, w stołówkach karmiono tylko kartoflami. „Cóż robić, wojna”.

... Aleksiej w myślach liczy sekundy i ledwie może usiedzieć na miejscu. Byłby już czas... Dlaczego Beridze milczy? Czyżby katastrofa? Do gabinetu wchodzi szybko sekretarka i spojrzawszy zezem na Aleksieja coś szepce kierownikowi budowy. Ten wyciąga rękę do odstawionego na bok selektora. Aleksiej podrywa się z miejsca...

... Szum wdziera się do gabinetu jak woda do pustej śluzy. Z początku nie można nic zrozumieć, czuje się tylko, że ten szum jest czymś ogromnym i doniosłym - ni to huczące morze, ni to odgłosy wielkiego boju. Wszyscy wsłuchują się z naprężeniem. Z ogłuszającego chaosu dźwięków zaczynają nagle wydobywać się wyraźnie poszczególne ludzkie głosy i okrzyki: „To dar dla naszego Stalina”. „W górę Umarę Mahometa!” „Gdzie jest towarzysz Kowszow?” „Gdzie nasz towarzysz kierownik?” „W górę towarzysza Kowszowa!” „Niech żyje naczelny inżynier Beridze!” Znów toną ludzkie głosy we wzmagającym się szumie, teraz już zrozumiałym: to oklaski, owacja wielotysięcznego tłumu budowniczych.

Aleksiej bez tchu, z zaciśniętymi zębami przypadł do selektora, dosłownie wchłania w siebie odgłosy życia swojego odcinka.

W końcu burza dźwięków zaczęła przycichać, rozległ się głos Beridzego:

- Halo, zarząd! Halo, zarząd!.

- Tu zarząd - odpowiedział Batmanow.

- Melduje się naczelny inżynier Beridze. Próba czołowego odcinka odbyła się wspaniale. Rurociąg na całej trzydziestokilometrowej przestrzeni nie wykazał żadnej szczeliny, nawet przy maksymalnym ciśnieniu siedemdziesięciu atmosfer. Winszuję wam, towarzyszu kierowniku budowy, i proszę o przekazanie powinszowań towarzyszowi Kowszowowi i całemu kolektywowi zarządu.

- Winszuję wam, towarzysze, z całej duszy - odpowiedział z zapałem Batmanow. - Praca budowniczych czołowego odcinka zasługuje na najwyższą pochwałę. Czerwony Sztandar zarządu pozostaje przy odcinku. O waszym zwycięstwie prześlemy też zaraz wiadomość do Moskwy i do Rubieżańska.

- Kierowniku, a co, dobry moje spawanie? - wtrącił się Umara Mahomet. - Pamiętasz, jak mówiłeś: „za szybko spawasz, nie zrób błędu". No i ani jeden styk nie puściła! Daj premia spawaczom, obiecałeś.

- Przed nocą otrzymacie zarządzenie o premiowaniu - ze wzruszeniem odpowiedział Batmanow.

... Zrywają się oklaski - teraz już nie tylko na odcinku, ale w gabinecie Batmanowa. Wszyscy stojąc klaszczą w dłonie i patrzą na Kowszowa. On nikogo nie widzi, niezwykle przejęty chwilą pochylił się nad selektorem, drżą mu wargi, trzepocą powieki. Partorg ruchem głowy wskazuje go Batmanowowi, a sam przysunąwszy się do mikrofonu woła:

- Towarzysze, budowniczowie czołowego, bojowego odcinka. Przy aparacie jest wasz kierownik, inżynier Kowszow. W pilnej sprawie wylatuje samolotem do Moskwy, dlatego nie jest w tej chwili z wami. Pragnie powiedzieć wam parę słów...

Odcinek zamiera... Aleksiej przez chwilę milczy, zbiera myśli.

- Drodzy towarzysze! - mówi opanowawszy wzruszenie. - W najbardziej krytycznym momencie musiałem porzucić odcinek. Ale i stąd, z odległości kilkuset kilometrów, przeżywałem całym sercem każdą minutę odbywającej się próby. Jakże się cieszę, moi drodzy, że nasz rurociąg jest w porządku. Zuch Umara! Zuchy spawacze! Obejmuję was w myślach i ściskam dłonie...

- Alosza - rozlega się znów głos Beridzego, głos człowieka upojonego szczęściem... Wszyscy mnie proszą, aby ci powiedzieć... odczuwamy bardzo twoją nieobecność. Staram się, jak mogę, zastąpić cię. Jesteśmy dumni, że właśnie ty jesteś wysłannikiem naszego kolektywu do Moskwy. Powiedz stolicy, że wszystkie nasze myśli są przy niej!

- Stalinowi powiedz w raporcie, że cały rurociąg będzie taki, jak nasz odcinek! Ani jedna styk nie pęknie. Daję na to słowo! - tonem rozkazu mówi Umara.

Aleksiej posłusznie kiwa głową...

14. Do Moskwy

Stało się tak, jak przewidywał Grieczkin: sprawozdanie musieli przygotować obydwaj z Aleksiejem.

- I po cóż, do licha, zwoływali naradę - zrzędził kierownik planowania. Batmanow tylko rozdrażnił ludzi. Przedtem wszystko było dla mnie jasne - jakie są potrzebne cyfry, jakie wyjaśnienia. A teraz mam wątpliwości... I czekaj tatku latka, aż kierownicy odcinków przyniosą swoje fantazje.

Podzielili się pracą: Grieczkin zbierał materiały i przygotowywał dane sprawozdawcze, a Aleksiej wspólnie z Kobziewem zastanawiał się nad wyborem potrzebnych do sprawozdania map, wykresów, rysunków i schematów i zabrał się do obmyślania ogólnego planu referatu.

W ciągu dwóch dni Grieczkinowi udało się wyciągnąć piśmienne raporty od wszystkich kierowników wydziałów. Przychodzili i z góry usprawiedliwiali się: „Gdyśmy słuchali Batmanowa, ręce same wyciągały się po pióro, a gdy zaczęliśmy pisać - jakoś nie szło”.

- Raczej spróbujmy rozmawiać, opowiem ci wszystko - zaproponował Aleksiejowi Fiedosow z miną winowajcy. - Męczyłem się i męczyłem, i nic z tego nie wyszło. Powiedz mi, proszę, co ja ci tu właściwie mam przynieść - powieść, czy co?

Grieczkin i Aleksiej pokazali raporty kierownikowi budowy. Batmanow przeglądał je, czytał Załkindowi oddzielne ustępy i pomstował:

- Naturalnie, wiedziałem. „Pracownicy łączności mobilizowali siły w celu pokonania wszelkich przeciwności”. W ten sposób pisze Tania Wasilczenko, czegóż więc można oczekiwać od Libermana. Albo taki „utwór” biura racjonalizatorów: „Istota usprawnienia wprowadzonego przez inżyniera Topolewa polega na następującym...” Dalej idą punkty „a”, „b” - cały alfabet. Biedny Topolew doprawdy przewróciłby się w grobie od tych. „następujących” słów, jakby z blachy. Was to śmieszy. - Batmanow zauważył uśmiech Aleksieja i Grieczkina. - Będziecie sami pisali. Ale spróbujcie mi tylko przynieść coś podobnego!

Kowszow i Grieczkin pisali sprawozdanie i spierali się; wciąż wychodziło „typowo nie to”, wedle ulubionego wyrażenia Grieczkina. Kobziew przyniósł wielką, po mistrzowsku narysowaną przez niego mapę Dalekiego Wschodu z umownym oznaczeniem rurociągu. Na rysunku wydawał się olbrzymim, czarnym jak kolor ropy kanałem, ciągnącym się przez cały arkusz pokryty siatką podziałki, błękitnymi żyłkami rzek, kółeczkami miast i osiedli. Po obydwu stronach rurociągu biegły cienkie, równoległe, barwne linie, których każdy centymetr odpowiadał dziesięciu kilometrom. Linia czerwona odznaczała drogę samochodową, niebieska - łączność, brązowa - rozwożenie rur po trasie, zielona - spawanie, różowa - wykop pod rurociąg, błękitna - oczyszczanie, izolację i opuszczenie rur do wykopu, żółta - sprawdzanie hydrauliczne, liliowa - zasypanie wykopu ziemią, fioletowa - budowę stacji pomp i pomarańczowa - budynki mieszkalne.

Tylko trzy linie biegły przez całą długość rurociągu: czerwona (droga samochodowa), niebieska (łączność) i pomarańczowa (budynki mieszkalne). Jeszcze tylko brązowa (transport rur) była niemal ciągła, przerywana tylko gdzieniegdzie. Pozostałe linie wyglądały tak, jakby były nakreślone niedbałą ręką: urywały się nagle, ginęły, ukazywały się i znów znikały.

Ten prosty, poglądowy obraz stanu budowy wzruszył Aleksieja, a szczególnie Grieczkina. Pstrokaty, ozdobny wzór na mapie krzyczał nieledwie każdą kreseczką o tym, jak wiele jeszcze pozostało pracy.

Na mapę Kobziewa, na papiery padały opaliwszy skrzydełka nad żarówką albo po prostu osłabłe zielone motylki. Z nastaniem wieczoru, jak twory księżycowego światła, wpadały przez okna i niepokojącym, natrętnym szelestem wypełniały pokój. Aleksiej ze złością strząsnął je z mapy i zauważywszy utkwione w sobie spojrzenie Grieczkina zapytał:

- Czemu się tak gapisz na mnie? - Mam twarz usmarowaną atramentem czy co?

- Nie interesuje mnie twoja twarz, nie jestem Żenią - odciął się Grieczkin. - Przyjechałeś z krańcowych odcinków, widziałeś trasę, więc powiedz: zdążymy czy nie zdążymy na termin?

- Zdążymy - odpowiedział Aleksiej bez wahania. - Nie dlatego, że prace zbliżają się do końca; do końca jeszcze daleko. I nie dlatego, żeby to była łatwa rzecz. Po prostu nie wolno nam nie zdążyć, nie mamy prawa nie zdążyć.

- Czy oświadczysz to w Moskwie?

- Oświadczę to samo.

- Moskwa nie uwierzy ci na słowo, trzeba tego dowieść. Wiesz, co ci powiem jako towarzyszowi: masz bardzo trudne zadanie. Nie uwierzyłbyś, jak się denerwuję w ostatnich dniach. Nawet Lizoczka to zauważyła. Na ogół z Batmanowem pracuje się dobrze... Jest ciężko, to prawda... Ciągnie się ładunek przeznaczony na końskie siły. I wciąż trzeba się mieć na baczności, bo łatwo się zblamować. A jednak, mimo wszystko, jest dobrze... To surowy, twardy człowiek, wszystko, co najtrudniejsze, bierze na siebie. Dobre słowo powie raz na trzy lata. Dlatego też jest cenne, i takim kierownikiem szedłbym do ostatka w każdej sprawie. Ale zbliża się termin ukończenia budowy, czas topnieje jak wosk. Wyśmiał buchaltera, ja także nie mogłem się powstrzymać, rżałem jak koń. A przecież wielu może powiedzieć to samo: przed liczbami się nie ucieknie... Do mnie samego zewsząd przychodzą te cyfry. Prawda, że rosną z dnia na dzień, tyją, obrastają, że tak powiem, mięsem i tłuszczem. Zawsze tak jest. Ale wejdź teraz w moje położenie i rozważ obecną wydajność budowy, wydajność codzienną - to zaledwie połowa tego, co powinniśmy osiągnąć, jeżeli chcemy dać ropę w terminie. Całe to moje rozumowanie prowadzi do tego, że będziesz musiał w Moskwie obalać liczby, które ja sam wysyłam co dzień do centrali.

Oczy Grieczkina stały się okrągłe, na brzydkiej, szerokiej twarzy zjawił się wyraz rozterki.

- Czyżbyś ty, przebywając na trasie, wiedział więcej ode mnie? - ciągnął dalej. - Skąd masz taką pewność? Czy sądu swego nie opierasz wyłącznie na osiągnięciach własnego, czołowego odcinka? Zgadzam się, że twój odcinek będzie gotów na czas, to widać ze wszystkiego. Ale na innych odcinkach spawanie doprowadzono zaledwie do połowy. Umara Mahomet jest tylko jeden na całej budowie.

Aleksiej wstał, przeszedł się do drzwi i z powrotem; Grieczkin nie spuszczał z niego oczu.

- Tak, masz słuszność, pracy jest mnóstwo. Mimo to wszystko będzie zrobione. - Aleksiej stwierdzał to bez wahania. - Jesteś dziwny, towarzyszu naczelny dyspozytorze. Wiesz przecież dobrze, jakie stosujemy środki, aby twoje cyfry rosły jeszcze prędzej. Po ogłoszeniu rozkazu o bojowych odcinkach wydajność od razu skoczyła w górę. Wprowadziliśmy godzinowy harmonogram - dopiero wchodzi w życie. Współzawodnictwo jeszcze nie osiągnęło najwyższego stopnia nasilenia. Umara bynajmniej nie jest jeden. Czy czytałeś oświadczenie spawaczy Pieti Cudkina? Oni już niemal Umarze następują na pięty... A sam Umara i jego koledzy - Kiedrin, Wiatkin i Fiedotow - zostali skierowani na odcinki jako instruktorzy stachanowskich metod pracy. Wiesz o tym wszystkim dobrze... Wymagające największego nakładu pracy roboty ziemne - kopanie i zasypywanie wykopów - biorą na siebie w przeważającej mierze kołchoźnicy, nasi przyjaciele znad Adunu. Przytaczamy te fakty w raporcie. Czyżbyś pisał co innego, niż myślisz?

Grieczkin zmarszczył się i zrobił nieokreślony ruch ręką - ni to sprzeciwiał się, ni to opędzał przed motylkami i komarami.

- Pojedź na trasę, ty, urzędniku. Z miesiąc przynajmniej pobądź na odcinkach, a przekonasz się i uwierzysz we wszystko - poradził Aleksiej.

- A jakże, do diabła, pojedziesz. Jestem tu potrzebny Batmanowowi przy tych tablicach z obrazkami, przy telefonach, żeby je licho porwało.

- Drogę przez lód na cieśninie wykonaliśmy w ciągu dwóch dni. Wedle norm ci sami ludzie powinni byli robić ją osiem dni. Twoje normy wywróciły się do góry nogami. Tysiąc razy koziołkowały podczas układania rurociągu w cieśninie. Od chwili ukończenia instytutu pracuję na drugiej budowie, a podczas praktyki byłem też na dwóch niemałych obiektach... zrozumiałem, że dobrze zorganizowany kolektyw budowy rośnie w siły pod koniec w jakiś osobliwy sposób z dnia na dzień. W przebiegu budowy bywa takie stadium, kiedy z dwunastu miesięcy pozostaje, powiedzmy, tylko cztery, a robota jest w połowie - i ta połowa zostaje ukończona w ciągu czterech miesięcy albo nawet jeszcze wcześniej. To jest specyficzne tempo wzrostu. Czy pamiętasz, jak często na początku zimy mówił Batmanow o przygotowaniu do strategicznego uderzenia? Już wtedy zapowiadał: przygotowujemy rozbieg, potem rozpędzimy się i - skok. Zakładam się z tobą, że raportowana przez ciebie wydajność podwoi się po dziesięciu dniach. Tempo dojrzewa w brygadach. Myślisz, że nie wypełnią swoich zobowiązań? Wypełnią. Tego jeszcze nie było, żeby nie dotrzymały słowa. Mam notatkę dotyczącą wydajności pracy brygady kopaczy Ziatkowa. Nie można patrzeć na nią bez zdumienia. Brygada wciąż ta sama, a wydajność rośnie progresywnie. Prawie nie do wiary z punktu widzenia krótkowzrocznego urzędnika ustalającego normy, ale to fakt. Przed faktami także uciec nie można. - Aleksiej roześmiał się i zajrzał w oczy Grieczkinowi. - No, cóż, przekonałem cię?

- Przekonałeś - odparł Grieczkin i rzeczywiście nabrał otuchy i poweselał. Miał już taki zwyczaj, że kiedy w coś wątpił, dzielił się swoimi wątpliwościami z tym, komu ufał.

Urwawszy rozmowę, jakby nigdy nic, zabrał się do pracy. Aleksiej również pochylił się nad raportem.

Minęło pięć dni, które Batmanow wyznaczył na przygotowanie materiałów dla Moskwy. Przeszły wśród bezsennych nocy i denerwujących kłopotów. W końcu wszystko było gotowe - albumy z tablicami, mapy, diagramy, wykresy. Po raz trzeci przepisany po przeróbkach i poprawkach raport Aleksiej przeczytał na głos Batmanowowi i Załkindowi. Batmanow składając podpis podrwiwał sobie z Kowszowa i Grieczkina.

- To oczywiście nie takie sprawozdanie, jakie chciałbym otrzymać. Ale lepsze od tego, które bym otrzymał, gdybym wam wszystkim nie natarł uszu na naradzie.

- Niesłusznie narzekacie, kierowniku - jąka się Grieczkin. - To poważny, rzetelny raport, solidne materiały.

Teraz, kiedy Aleksiej owi nie pozostało nic innego, jak tylko wyruszyć w drogę, czuł, że nie jest należycie przygotowany. Jak długo pisał raport, wierzył, że właśnie to jest prawdziwy obrachunek przed Moskwą. Lecz teraz starannie, po biurowemu oszlifowane papiery budziły w nim wątpliwość. - Tylko sztuka swoimi czarodziejskimi środkami jest zdolna w muzyce, w malarstwie, w artystycznym słowie odtworzyć zapadłe w przeszłość barwne obrazy życia - rozmyślał przerzucając wciąż od początku stronice raportu, przeglądając rozmaite wyjaśnienia i tablice. - Gdzie, w jakich wykazach znalazły odzwierciedlenie radości i smutki włożone w pracę nad rurociągiem? Nieboszczyk Kuźma Kuźmicz Topolew powiedział kiedyś o swoim „udziale w spółce". Jakimi liczbami jest wyrażony udział jego albo udział Smorczkowa, Beridzego, Silina?...

Podróż do Moskwy wydawała mu się coraz bardziej odpowiedzialna. Gdy rozmyślał nad budową, stawały mu przed oczyma nie oderwane, lecz konkretne obrazy całego jej przebiegu, od początku do końca. Przypomniało mu się, jak to kiedyś nad cieśniną w zły czas styczniowej zawiei spędził z Beridzem przyjemny wieczór w baraku pracowników. Od gorącego piecyka buchał żar, wokół siedzieli robotnicy. Ziatkow poprosił Beridzego, żeby opowiedział, jak zostanie puszczona ropa przez

gotowy rurociąg. Jeszcze nawet pierwsza sekcja przewodu nie była ułożona na dnie, robota dopiero się rozkręcała i na razie było w niej dużo niepowodzeń, a mało osiągnięć, mimo to ludzie wierzyli, że ropa przyjdzie do Nowińska w ściśle oznaczonym terminie. Dowodzili nawet, że będzie przed terminem, choć o jeden dzień, ale wcześniej.

- Spróbujemy? - zapytał Beridze zapalając się i zaczął: - Minęło kilka lat...

- Minęła wojna - podchwycił Aleksiej. - Zwyciężyliśmy i cały kraj wszedł w okres gigantycznej rozbudowy...

- Znaleźliśmy się wszyscy na wielkiej budowie - ciągnął Beridze. - Powiedzmy, że nad Morzem Kaspijskim.

- Układamy rurociąg na dnie morza... - rozwijał jego myśl Aleksiej.

- Zbliża się trzydziesta druga rocznica Października, postanawiamy przypomnieć sobie, jak to kiedyś walczyliśmy...

- Lepiej tak: młodzi robotnicy-komsomolcy proszą, aby im opowiedzieć, jak to tutaj u nas było - poprawił Ziatkow uśmiechając się szeroko.

- Gieorgiju Dawydowiczu, opowiadaj - krzyknął Umara Mahomet.

- Towarzysze! - Beridze podniósł się. Twarz mu spoważniała, w głosie zadźwięczało wzruszenie. - Puściliśmy ropę na trzy dni przed terminem, w przeddzień dwudziestej piątej rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. A było to tak...

... Umara Mahomet rozciągnął się w rowie pod rurociągiem, kończył spawanie ostatniego styku. Gdy wstał i zdjął hełm, wszyscy ujrzeli, że spawacz płacze i śmieje się jednocześnie.

- Diabli wiedzą, coś mi wpadło do oka - burknął Umara. Zły na siebie, powiedział do inżyniera Kowszowa: - Cóż tak patrzysz, jakbyś mnie nigdy nie widział? Lepiej popatrz, jaki zrobiłem napis na rurze. Raport...

Inżynier przyjrzał się i na głos przeczytał słowa wypalone płomieniem na metalu: „Towarzyszu Stalin. Wasze polecenie wykonaliśmy, rurociąg gotów. Oto nasze uderzenie w Hitlera. Czekamy na wasze nowe rozkazy. Październik 1942 roku”.

Tylko że nie był jeszcze czas na raporty - największy trud był ciągle przed nimi. Taki już jest los ludzi czynu i walki - największy trud wciąż mają przed sobą.

Przede wszystkim trzeba było zasypać rurociąg ziemią. Tym musieli się zająć wszyscy: i prości robotnicy, i spawacze, i szoferzy, i kierownicy. Do pomocy przybyli mieszkańcy znad Adunu - Nanajczycy i Rosjanie. Zwartym szeregiem na dystansie kilkuset kilometrów ustawili się z łopatami w ręku przy wykopie. I tu znów Ziatkow pokazał, co umie, nikt nie mógł się z nim zrównać.

Jednak wciąż czekało ich najbardziej odpowiedzialne zadanie: szybkie wypróbowanie, przemycie i uruchomienie rurociągu. Mrozy mogły wszystko pokrzyżować. Gdyby nagle chwyciły, musiałoby się odłożyć puszczenie ropy do wiosny. W niskiej temperaturze nie można ani poddawać urządzenia próbie na ciśnienie, ani przepłukiwać - woda zamarzłaby, lód rozsadziłby spoiny... Musi się bezwzględnie przed nadejściem zimy wypchnąć wodę z rur i zapełnić je ropą. Inżynierowie wciąż powtarzali to samo: „Przed nastaniem mrozów musimy stworzyć wewnątrz rurociągu takie warunki, żeby nie powietrze narzucało rurociągowi swoją wolę, lecz na odwrót...”

Samolotem przybyła na wyspę komisja rządowa z Pisariewem, pełnomocnikiem Komitetu Obrony Państwa, na czele. W Konczełanie puszczono w ruch pompy - z całą mocą przetłaczały wodę przez rurociąg na wyspie. Jednocześnie zaczęły pracować pompy na Czongrze. Woda popłynęła wzdłuż Adunu w kierunku przeciwnym do jego nurtu. Woda wewnątrz rury biegła szybko, ale napotykała na swej drodze liczne przeszkody i dopiero po tygodniu dotarła do Nowińska. W tym czasie ludzie denerwowali się i przeżywali więcej niż w okresie budowy rurociągu.

W każdej chwili mogło się coś stać. Według zasad techniki przy próbach na ciśnienie są dopuszczalne pęknięcia jednego procentu spojeń. A więc jeśli tych spojeń przewód ma dziesiątki tysięcy, to pęknąć mogą setki. Ale nie na próżno Umara Mahomet i jego towarzysze złożyli przyrzeczenie, że nie dopuszczą do powstania defektów - pod ciśnieniem siedemdziesięciu atmosfer rozerwało się tylko dwanaście styków. A ile krwi napsuło pracownikom tych dwanaście styków. Gdy spoina pękała, pompy na sygnał z najbliższego punktu kontrolnego przerywały pracę; trzeba było rozkopywać wykop, odsłaniać rurociąg i zamieniać uszkodzone ogniwo nowym. Zdarzało się to dwanaście razy. Na dwóch odcinkach stwierdzono zaczopowanie. Długo męczono się nad odnalezieniem uszkodzeń, trzeba było w kilku miejscach przecinać rurociąg; wreszcie wyciągnięto z wnętrza... gruby pień i korek z siana.

Przewodniczący delegowanej komisji zarządził puszczenie ropy. Ruszyły pompy Konczełanu i ropa z ogromnych zbiorników zaczęła spływać w rurociąg. Przesuwającej się w przód ropie towarzyszyli na samochodach członkowie komisji i przedstawiciele kolektywu budowy. Byli tu i Batmanow, i Ziatkow, i Beridze, i Umara, i Tania Wasilczenko, i Pietia Gudkin, i Grubski, i Karpow, i Gienka Pankow, i Filimonow, i Aleksiej Kowszow - ogółem pięćdziesiąt osób. Prowadzili te „odświętne” samochody Smorczkow i Machow. W szoferce z Machowem siedziała jako pomocnik Musia Kuczina. Była to radosna, choć pełna niepokoju wyprawa.

Już na lądzie w pobliżu Dolnej Sazanki, tam gdzie rybacy, krajanie Karpowa, uroczyście witali pracowników - nagłe pękła spoina. Ropa chlusnęła w wyrwę, wyrzuciła z wykopu warstwę ziemi i wzbiła się ponad tajgę, zalała i obryzgała żółte drzewa, suchą trawę, jaskrawe jesienne kwiaty. Samochód, w którym jechał Umara Mahomet, znalazł się najbliżej miejsca katastrofy. Spawacz wyskoczył z szoferki i pędem ruszył tam, skąd biła w górę fontanna ropy.

- Ropa! Ropa! Popatrzcie, ropa! - radośnie wołał Umara, garścią czerpał oleistą ciecz i wciągał w nozdrza jej zapach.

Beridze wpadł na niego zirytowany: - Tu katastrofa, a on, cudak, tańce sobie urządza. Ale Umara wyciągał do naczelnego inżyniera upaprane ropą ręce i wciąż wołał:

- Ropa! Ropa!

Beridze obrzucił go uważnym spojrzeniem i nic już więcej nie powiedział.

- Iwanie Łukiczu! Jedźcie natychmiast na punkt blokowy - zarządził tymczasem Kowszow. - Niech telefonują do Czongru, żeby zatrzymali pompy. Gdy pompy staną, natychmiast zamknijcie zasuwami uszkodzone miejsce.

Po upływie czterech godzin ropa znów popłynęła i samochody ruszyły dalej.

- Cóż cię to tak rozweseliło? - zwrócił się Karpow do Umary. - Straciliśmy tyle ropy, a ty cieszysz się.

- Ropy przepadł głupstwo, a radości dużo - odpowiedział Umara. - Widzę, że ropa doszedł do twojej wioski, no to będzie prędko i w Nowińsku...

Ropa doszła do Nowińska ósmego dnia, czwartego listopada. Całe miasto wyszło nad Adun na jej spotkanie. Wielotysięczny tłum zebrał się przy rafinerii nafty. Wszyscy chcieli znaleźć się w pobliżu tego zbiornika, w który włączono wylot rurociągu.

- Komu polecicie odebranie ropy? - zapytał Batmanow Pisariewa i Dudina, znajdujących się przy zbiorniku.

Pisariew obrzucił spojrzeniem stłoczonych wokół ludzi.

- Ropę przyjmiecie wy, Umara Mahomet, Ziatkow, Karpow, Tania Wasilczenko, Tieriechow i Kapicyn, robotnik rafinerii.

W tejże chwili w szerokim otworze wylotu zjawiła się ropa. Wytrysnęła cienką, żółtą strugą, a potem chlusnęła czarnym słupem, migocąc tęczowymi błyskami. Nad Adunem rozległ się grzmot oklasków.

Ziatkow wysunął się z tłumu, zdjął czapkę i z butelką w ręku zbliżył się do cysterny. Trzęsącą się ręką podstawił naczynie pod strugę ropy. Butelka napełniła się, Ziatkow otarł ją czapką, pocałował i podał Pisariewowi.

- To podarunek nasz dla towarzysza Stalina. Prosimy o odesłanie samolotem.

- Zawieziecie sami, towarzyszu Ziatkow. Wspólnie z towarzyszem Umarą i towarzyszem Batmanowem wręczycie ten nadzwyczajny podarunek Wodzowi - odpowiedział Pisariew.

Rozległy się znów oklaski, jakich jeszcze nigdy nie słyszał ani Adun, ani starucha-tajga.

A ropa nieustannie spływała w zbiornik: teraz już nikt by jej nie zatrzymał. Całe morze ropy mieniło się i przelewało przed oczyma pracowników budowy i mieszkańców Nowińska. I oto robotnicy są już gotowi, aby przełączyć czarną strugę do drugiego zbiornika...

... Beridze umilkł i powiódł po wszystkich spojrzeniem. Ziatkow ocierał oczy, nie kryjąc łez. Wszyscy byli wzruszeni. Za ścianami baraku wciąż wyła i dudniła burza śnieżna. Umara Mahomet lekko zeskoczył z górnej pryczy, podbiegł do Beridzego i chwycił go za rękę.

- Zuch! Składnie to opowiedziałeś! Tak będzie!...

Gdy Aleksiej pakował swoje rzeczy do niedużej walizeczki, przyszedł do niego Liberman.

- Polecono mi, abym cię zaopatrzył na drogę - oświadczył rzeczowo.

- Wykalkulowałem, co należy ci wydać wedle norm, ale wyśmiano mnie: wypadło bardzo cienko...

- Do większej ilości nie mam prawa ani nie liczę na więcej!

- Mamuniu najmilsza, dajże mi dokończyć! Batmanow, Załkind i Beridze ustąpili ci swoich miesięcznych przydziałów żywnościowych. Złączyłem je z twoimi i w sumie wypadło tego sporo. Ponieważ wybierasz się samolotem, staram się zaopatrzyć cię wyłącznie w artykuły konserwowe. Nie masz nic przeciw temu? Daję ci smalec, mleko skondensowane, konserwy, wędliny. Mamuniu najmilsza, tobie nie żałuję niczego, jesteś dobrym chłopakiem. No, i nie co dzień jeździ się od nas z raportami do Moskwy.

- Otóż tak! Nic mi nie trzeba oprócz żywności na drogę - powiedział Aleksiej wzruszony troską kolegów. - Za trzy, cztery dni będę w Moskwie. Przydziały Batmanowa, Załkinda i Beridzego oddaj z powrotem. Dziękuję serdecznie, ale obejdę się jednak...

Liberman popatrzył na niego z politowaniem.

- Patrzcie no, jaki ofiarny towarzysz! Ojca i matkę masz? Czy pomyślałeś o tym, jaką ciężką przeżyli zimę? Słyszałem również, że masz i żonę. Przyjedziesz do nich z pustymi rękami i zaczniesz ich objadać, co? O nie, nie pozwolimy ci kompromitować naszej wspaniałej organizacji. Dla żony daję ci w prezencie bombonierkę doskonałych czekoladek, przedwojennej jakości. Mam na składzie kilka par dobrych pantofli, ale ty pewnie nie znasz numeru obuwia twojej żony. Prawda, że nie znasz?

- Nie znam - roześmiał się Aleksiej.

I nagle przeniknęło go uczucie radości: prędko, już zupełnie prędko zobaczy Zinę, będzie z nią rozmawiać, całować ją!

- Jesteś w takim wieku, kiedy mężczyźni patrzą tylko na twarz kobiety, a nie zwracają uwagi na jej nogi. A to niesłuszne - trajkotał Liberman.

Kiedy tak się rozwodził, a Kowszow nie słuchając go pakował rzeczy, sprzedawca przyniósł z magazynu żywność i podarunki.

- Aż tyle! To przecież grabież wśród białego dnia! - odżegnywał się Aleksiej.

- Mamuniu najmilsza, jaki to trudny człowiek! - Liberman zniecierpliwił się i odsunął stanowczym ruchem Aleksieja od walizki.

Był zadowolony, gdy Kowszowa wezwano do kierownika budowy.

- Idź, idź, nie oglądaj się - wyprawiał go. - Swego czasu byłem komiwojażerem, mam jakie takie doświadczenie z walizkami.

Batmanow przywitał Aleksieja serdecznie, posadził na kanapie i sam usiadł obok niego.

- Staraj się nie mieć tremy w Moskwie - instruował go troskliwie, kładąc rękę na ramieniu inżyniera. - Ale i nie zadzieraj nosa. Bądź sobą, nie upiększaj, nasza prawda jest dobra i bez upiększeń. Myśl nie o sobie, lecz o budowie: nie można pozwolić, aby skrzywdzono ją, nie można pozwolić, aby umniejszono jej osiągnięcia, gdyby przypadkiem były tego rodzaju próby. W razie napaści broń się, ale i nie zaperzaj bez sensu. Jednym słowem, okaż prawdziwą godność, jak przystoi przedstawicielowi zasłużonego kolektywu. Proś o to, czego nam brak, ale skromnie, bez głupiej chciwości. Co będą mogli - sami dadzą bez targowania się. W Rubieżańsku zatrzymasz się na jeden dzień: Dudin i Pisariew chcą cię widzieć. Prawdopodobnie coś ci tam jeszcze poradzą.

Batmanow nie potrafił ukryć niepokoju i tak niezwykłego u niego wzruszenia. Słuchając go chciwie Aleksiej nie mógł zrozumieć, czy ten stan wywołała obawa o niego, czy też kierownik jest po prostu czymś zdenerwowany.

- Na pewno będziesz musiał składać sprawozdanie przed Centralnym Zarządem - to oni zwykle poważnie traktują!... Audytorium składające się z mądrych ludzi i liczne! Przygotuj się dobrze. Najważniejsze, nie pływaj jak żeglarz. Bądź treściwy, dokładny, stanowczy. Nie komplikuj, ale też nie upraszczaj. W prostych słowach opowiedz o naszej skomplikowanej pracy. Nie bierz wysokich tonów, bo zerwiesz głos. - Wasilij Maksimowicz roześmiał się. - Kiedyś, gdy byłem młody i przygotowywałem się do pierwszego poważnego sprawozdania, jeden z moich starszych towarzyszy udzielił mi takiej rady: „Nie leź, Wasia, zbyt wysoko, żebyś nie musiał przy całej publice ze wstydem złazić na czworakach”.

Przez chwilę milczał jakby oceniając siły Aleksieja.

- Trzeba pamiętać jeszcze o jednym... To bardzo ważne... - ciągnął dalej. - Wiemy z całą stanowczością, że ropa popłynie w terminie. Czasu do końca pozostało niewiele. Dlatego już teraz myślimy o przyszłości, pragniemy wiedzieć, co będziemy robić później, chcemy zawczasu przygotować się do nowego dzieła. Musisz stanowczo oświadczyć w imieniu nas wszystkich, że nie powinno się rozbijać, rozsypywać naszego kolektywu. Jest świetnie zgrany. Rzeczą korzystniejszą będzie przerzucenie go z miejsca na inną budowę, najchętniej odpowiednio wielką i trudną. Jeśli nasz kolektyw utrzymają, będziemy na nowym miejscu budowali lepiej i szybciej, nauczyliśmy się przecież czegoś. Powiedz, że drugi taki rurociąg zbudujemy już nie w ciągu roku, ale w ciągu dziewięciu miesięcy. Zrozumiałeś mnie, przyjacielu?

Batmanow potarł czoło.

- Cóż to ja chciałem dać ci na drogę?

- Dziękuję. Liberman tak mnie zaopatrzył, jakbym miał brać udział w ekspedycji na biegun północny. Nawet nie wypada...

- Słusznie, bierz wszystko, nie odmawiaj, przyda się - Wasilij Maksimowicz podniósł się raptownie. - Ach, przypomniałem sobie! Mam tu schowany pewien papierek. Teraz można mu nadać bieg.

Wydostał ze skrzynki złożony przez Aleksieja osiem miesięcy temu raport z żądaniem wysłania go na front, pod Moskwę. Przebiegłszy pismo śmiejącymi się oczyma odnotował na nim decyzję: „Zezwalam na wyjazd do Moskwy” i oddał papier Aleksiejowi.

- Chciałeś do Moskwy? Możesz jechać.

Aleksiej chciał w pierwszej chwili raport podrzeć, ale pomyślał i starannie złożył arkusz we czworo, i schował go do kieszeni. Czas już było pożegnać się i odejść, ale Aleksiej czuł, że Batmanow chce coś jeszcze powiedzieć. Wasilij Maksimowicz milczał. Aleksiej spojrzał mu w oczy z niemym zapytaniem i wyciągnął rękę:

- Do widzenia, Wasiliju Maksimowiczu! Postaram się nie zrobić wam wstydu.

Batmanow nie wypuszczał jego ręki. W końcu zapytał:

- Co byś powiedział, gdybym cię o coś poprosił jak towarzysz? Sprawa osobista.

Aleksiej zaskoczony tym nieoczekiwanym zwrotem odpowiedział po chwili: - Zrobię wszystko, Wasiliju Maksimowiczu.

- Nie mogę w żaden sposób nawiązać łączności z żoną. Najlepiej byłoby porozmawiać telefonicznie, ale stąd jest to niemożliwe, sam wiesz. A z Moskwy, jak słyszałem, można uzyskać połączenie z Kaukazem. Jest wprawdzie trudno, bardzo trudno, ale można. Spróbuj. Zanotowałem ci na karteczce, przez kogo możesz robić starania. Zapisałem także, jak należy jej szukać. - Batmanow westchnął. - Jest jeszcze inna możliwość, zupełnie dobra. Trzeba tylko postarać się o zgodę władz w Moskwie: polecieć na Kaukaz i porozmawiać osobiście. W ciągu dwóch dni można być tam i z powrotem. Widzisz, gdybym pojechał sam do Moskwy, udałoby mi się dotrzeć...

- Ja też dotrę - żywo zapewnił Aleksiej.

Batmanow uścisnął rękę Kowszowa, wsunął mu karteczkę i odszedł do okna.

- Powiedz jej, że męczę się i czekam. Może uda się jej przyjechać. Niech przyjedzie choćby na miesiąc. Opowiedz wszystko, co o mnie myślisz, co wiesz. Powiedz o Gience Pankowie, o tym, że go usynowiłem - to ważne. Trzeba by koniecznie, żebyśmy się zetknęli we troje.

Wzruszony prośbą i siłą tęsknoty z jaką była wyrażona, Aleksiej przysunął się bezwiednie do Batmanowa. Wasilij Maksimowicz nie odwracając się od okna, podniósł rękę ruchem ostrzeżenia:

- Aleksiej, idź już... Wszystkiego najlepszego! Powodzenia!

Stojąc już przy drzwiach Aleksiej odwrócił się jednak i oświadczył stanowczo:

- Wasiliju Maksimowiczu, ona przyjedzie ze mną!

Do wieczora Kowszow żegnał się z towarzyszami, przyjmował ich polecenia do Moskwy. Zebrało się ich niemało. Muza Filipowna prosiła, żeby wpadł do jej domku, dała mu nawet karteczkę z notatką, co ma załatwić. Kobziew dał paczuszkę dla brata. Liberman dał list żony z prośbą, aby go wysłał z Moskwy do Leningradu. Grieczkin prosił o zakupienie zabawek dla dzieci, dał cały spis. Tania chciała, żeby przywiózł dla jej „brodacza” prezent według swego gustu.

Aleksiej szukał Żeni, ale nie znalazł jej. Okazało się, że z rana wyjechała na czwarty odcinek. Tak go to zasmuciło, że był gotów zawrócić ją z drogi. To jasne, że wyjechała umyślnie.

Na pożegnanie raz jeszcze rozmawiał przez selektor ze swoim odcinkiem. Beridze przekazał pozdrowienia dla Ziny i Moskwy.

Wszyscy wspominali o Zinie, wszyscy prosili, żeby ją pozdrowić, jakby ją znali osobiście. Sprawiało to Aleksiejowi wielką przyjemność.

- Jakiś ty niepraktyczny - krzyczał Karpow. - Trzeba ci było wziąć ode mnie sobole skórki dla żony!

- Mam już dla niej prezent, Iwanie Łukiczu - odpowiedział Aleksiej. - Maksym Chodżer dał mi sporą wiązkę wiewiórczych skórek na kołnierz i czapkę.

Rozmowa dawno już była skończona, a Aleksiej wciąż jeszcze stał i wsłuchiwał się w niewyraźny, skłębiony szum trasy, w którym nagle odzywały się ludzkie głosy.

Ostatnią noc przed odjazdem spędził u Załkinda. Partorg zabrał go do siebie wprost z biura. Pomimo późnej pory Polina Jakowlewna jeszcze nie spała, zajęta pisaniem. Michał Borisowicz szybko podszedł ku niej i nie pozwalając jej wstać, bez słowa ją objął i przytulił twarz do jej twarzy.

- Wciąż jeszcze pracujesz? - powiedział czule, spoglądając na arkusze papieru leżące na stole.

- To artykuł do gazety miejskiej o urządzeniu kuchni dla dzieci żołnierzy na froncie. W mieście nie spieszą się z podjęciem naszej inicjatywy - wyjaśniła Polina Jakowlewna i delikatnie odsunęła męża; dopiero teraz zauważyła Aleksieja.

Witając się uściskiem dłoni obrzuciła go serdecznym spojrzeniem swych czarnych, smutnych oczu.

- Pół roku nie widziałam Aleksieja Nikołajewicza. Czas nie minął bez śladu. Zmężniał, okrzepł. Taki nigdzie nie zawiedzie - zwróciła się do Załkinda, jakby kontynuowała z nim rozmowę o Aleksieju.

- Na pewno nie zawiedzie - z przekonaniem potwierdził Załkind. - Widzisz, drogi przyjacielu, jak to się dziwnie złożyło: na froncie otrzymałeś żołnierski, bojowy chrzest, a tu na budowie wojna zahartowała cię naprawdę, stałeś się oficerem, bojowym dowódcą...

- I wy, moim zdaniem, zmieniliście się, Polino Jakowlewno - powiedział zaskoczony słowami Załkinda Aleksiej, wpatrując się w jej twarz zaokrągloną, wyrażającą wewnętrzne ukojenie.

Na ustach Poliny Jakowlewny ukazał się cichy, szczęśliwy uśmiech. Wyszła z pokoju. Inżynier zrozumiał: Załkind oczekiwał nowego potomka.

- Trzymasz to w tajemnicy, nic nie mówisz. I byłbym przyjechał z Moskwy bez podarunku - z wymówką powiedział Aleksiej.

- Cóż za tajemnica, wszystko jest widoczne - uśmiechnął się Załkind.

Aleksiej był przygotowany na długą rozmowę, tymczasem po kolacji Załkind oświadczył krótko:

- Połóż się spać, drogi Alosza, o szóstej musisz być na lotnisku. Jeśli nie odpoczniesz teraz należycie, będziesz później zmęczony. Masz przed sobą około pięciu dni lotu. Na rozmowę przeznaczam akurat tyle czasu, ile trzeba, by wypalić papierosa. Może chciałbyś o coś zapytać?

Aleksiej wyjawił mu to, czego nie miał odwagi powiedzieć Batmanowowi: swoje obawy, czy potrafi wypełnić zadanie.

- Czy nie podjąłem się tego zbyt pochopnie? To wszystko stało się tak szybko. A jednak powinien był polecieć sam Batmanow.

- Nie myśl o tym. Gdyby taka konieczność zaszła przed pół rokiem, to wątpliwe, czy posłalibyśmy ciebie. Słyszałeś, co powiedziała Polina Jakowlewna? Co prawda, nie będę cię łudzić, przygotuj się na niełatwą przeprawę w Centrali, no i w Komisariacie Ludowym. Mam wrażenie, że tam nie wszyscy słusznie oceniają tutejsze warunki. Znajdą się i tacy, którzy będą o nas mówić: „Głębokie tyły, stosunki pokojowe, nie potrafili się przestawić”. Oczywiście, trzeba umieć odróżnić krytykę sprawiedliwą od niesprawiedliwej. I jeszcze ci powiem... - Załkind zbliżył swoją twarz do twarzy Aleksieja...- Być może, że będziesz musiał stanąć przed wielkimi ludźmi. Przed bardzo wielkimi ludźmi. Mam takie przeczucie. Tak... A wątpliwości swoje pozostaw tutaj, nie zabieraj ich ze sobą. Przecież znasz budowę, beczkę soli, jak to mówią, z nami zjadłeś. Postaraj się opowiedzieć, jak wygląda w tej chwili ten nasz rurociąg! - Załkind rozłożył szeroko ręce. - Porozmawiaj też o przyszłości, o nowym zadaniu. Wysonduj, może na razie nie powiedzą, ale chociażby napomkną...

Rozstali się. Aleksiej już był w łóżku, gdy Załkind znów przyszedł na chwilę.

- Czy Batmanow nie dał ci żadnego zlecenia? W sprawie swojej żony? Zdawało mi się, że...

- Przywiozę ją, Michale Borisowiczu, zobaczysz.

Mijała godzina za godziną, zbliżał się świt, a Kowszow wciąż nie spał. Rozpamiętywał wskazówki Batmanowa i Załkinda, myślał, jak wypełni swą misję. A nad wszystkimi myślami panowała jak najwyższa jedna - o spotkaniu z Ziną. „Wysłać do niej depeszę czy nie?” pytał sam siebie, aż wreszcie zdecydował się: „Lepiej nie wysyłać. Będzie czekała, niepokoiła się; zjawię się niespodzianie...”

Nazajutrz i Aleksiej, i Załkind zerwali się o brzasku. W jednej chwili byli gotowi. Ponieważ nie nadjechał jeszcze samochód mający odwieźć ich na lotnisko, Załkind zaproponował, aby wyjść naprzeciw.

W nocy padał deszcz. Czyste niebo lśniło błękitem. W przezroczystym powietrzu wyraźnie zarysowywała się ciemnobłękitna dal. Zmyta deszczem trawa była jasnoszmaragdowa. Na liściach i w igliwiu drzew iskrzyły się duże krople deszczu. Poranną senną ciszę przerywał tylko świergot ptaków w ogródkach przy domach i stuk butów Załkinda i Aleksieja na drewnianym trotuarze. Partorg wciągał chciwie świeże powietrze, przesycone zapachem świerków.

- Słuchaj, Aleksiej, co mi w tej chwili przyszło na myśl - powiedział Michał Borisowicz. - Ten niespodziewany wyjazd do Moskwy to jakby nagroda dla ciebie... za to, żeś dobrze pracował, żeś nie uchylał się przed trudnościami, żeś żył całą duszą...

Spojrzał na poważną twarz Kowszowa, położył mu rękę na ramieniu i dodał już innym tonem:

- W Moskwie na pewno zapomnisz o nas, drogi Alosza. Już i w tej chwili jesteś tam całą duszą i tylko to marne ciało kroczy obok mnie po ulicach nudnego Nowińska.

- O nie! Nowińska zapomnieć nie można! - gorąco zapewnił Aleksiej. - Jeśli mam mówić twoim żartobliwym stylem, to połowa mojej duszy tu pozostaje, a druga jedzie do Moskwy i jest jej smutno...

Naprzeciw, spoza zakrętu, wypadł osobowy samochód. Szofer spostrzegł ich i ostro przyhamował. Na tylnym siedzeniu szeroko rozparty siedział Grieczkin z walizkami Kowszowa.

- Szukała cię Żenia - szepnął Aleksiejowi.

- Wróciła? Czemu nie zabrałeś jej z sobą? - zapytał z żalem Aleksiej. - A więc nie udało mi się z nią pożegnać! - Chciałem ją zabrać, ale przepadła jak kamień w wodę. Dziewczyna była jak oszalała.

Wyjechali na szeroką, brukowaną szosę, wiodącą do fabrycznej części miasta i na lotnisko. Aleksiej obejrzał się na wielki budynek zarządu i nagle ujrzał biegnącą stamtąd w ich kierunku dziewczynę w białej sukni. Wymachiwała czymś czerwonym nad głową. Aleksiej odgadł. Była to Żenia.

Kazał zatrzymać samochód.

- Dobrze, że cię zobaczyłem! - Aleksiej podszedł ku niej i ujął jej obie ręce.

Żenia zadyszana od biegu nie mogła wydobyć z siebie słowa. W ostatnich czasach wyraźnie zmizerniała. Jej twarz, ogorzała w ciągu lata, nabrała ostrych rysów, straciła swą dziecięcą okrągłość.

- Wszędzie cię szukałem. W tych dniach mieliśmy takie urwanie głowy, nie było czasu porozmawiać z sobą...

Prosił, aby pojechała z nim na lotnisko. Odmówiła.

- Jestem tam niepotrzebna. Tu się pożegnamy. Uciekłam, żeby uniknąć pożegnania z tobą - teraz wzruszenie tamowało jej oddech. - Przyjechałam na odcinek i myślałam, że postradam zmysły. Gdyby Pietia nie postarał się o samochód, przybiegłabym chyba pieszo.

- Było mi przykro, że cię nie ma...

- Poczekaj, Alosza, nie mów. Chcę ci coś powiedzieć. Wyrzucałam sobie, wymyślałam sama sobie... wiem przecież, że mi nie wolno cię kochać. Nastawiłam się na przyjaźń, tylko na przyjaźń. Aż nagle uprzytomniłam sobie, dokąd i do kogo jedziesz - i wszystko się we mnie wzburzyło... Głupie to, bardzo głupie!

Na drodze zatrąbił samochód: Załkind przypomniał, że trzeba się śpieszyć; mogli się spóźnić na samolot.

Żenia przynaglała:

- Idź, czas już na ciebie... Nie martw się o mnie. Opanuję swoje uczucia. Już niemal opanowałam je. Droga mi jest twoja przyjaźń, Alosza. I ty sam jesteś mi bardzo drogi. Nie chcę i nie mogę się pogodzić

z tym, żebyś miał zupełnie zniknąć z mojego życia. Idź już, kochany... Życzę ci powodzenia w twoim przedsięwzięciu. I szczęścia, największego szczęścia...

Rzuciła się ku Aleksiejowi, chciała go objąć i - powstrzymała się: przystanęła z wzniesionymi rękami, wpatrzona gorąco w jego twarz oczyma lśniącymi od łez. I wtedy on, w jednej chwili wyzwolony z męczącego go skrępowania, po przyjacielsku przytulił ją i pocałował. Żenia raptownie odwróciła się i pobiegła z powrotem, powiewając czerwoną chusteczką.

... Samolot nabierał wysokości. Duże miasto, podzielone na kwadraty i prostokąty dzielnic, szybko malało w oczach. Pozostały z tyłu zwierciadlane lśnienia Adunu. Pod skrzydłami samolotu płynęły splecione w jedną ciemnozieloną masę zwarte skupiska drzew.

Uczucie wewnętrznej swobody, które obudziło się w Aleksieju, nie mijało.

Chciwie wpatrzonemu w dół, zdawało się, że oto przed jego oczami przesuwa się przeżyty rok. Ten rok życia był ciężki, bardzo ciężki. Ale nie minął na próżno. Czyżby tylko przez przypadek stało się mu drogie to wszystko, co znalazł tu, tak daleko od swojej Moskwy?

W dole niespodzianie przepołowiła tajgę przesieka z dwiema srebrnymi nitkami szyn. Mignęła stacja, zmniejszona do rozmiarów pudełka zapałek. Kilka dni temu, kiedy podobnie przelatywał nad trasą, oszołomił go na nowo rozmach budowy. Ale teraz pomyślał z zachwytem: w porównaniu z całym krajem nasz olbrzymi rurociąg także nie jest większy od pudełka zapałek!

Niemal zmysłowo uświadomił sobie niezmierzony ogrom kraju i tego wszystkiego, co się działo na jego bezkresnych przestrzeniach. Doświadczał niezwykłej pełni uczuć, miał ochotę śpiewać. Aż do tego momentu nigdy jeszcze on, Aleksiej Kowszow, nie widział, nie czuł i nie wyobrażał sobie tak wyraziście i jasno swojej roli w życiu wielkiej Ojczyzny, w jej tytanicznej walce o przyszłość.



KSIĄŻKA i WIEDZA
WARSZAWA 1951
Przełożył z języka rosyjskiego Marian Ruth-Buczkowski
Tytuł oryginału: Далеко от Москвы
Red. odp. Maria Skalska
Wydanie trzecie
„Książka i Wiedza", Warszawa Printed in Poland Wrzesień 1951 rok
2-B-23546

